BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

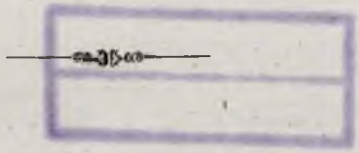
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 159.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1880.



Tom trzeci.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1880.

4620. 1880. 3
II. 1
50.000 —

Дозволено Цензурою.

Варшава, 21 Іюня 1880 года.

X-14259
4620/II 3.
/1880

Druk J. Bergera, Elektoralna Nr. 14.

O HONORZE ŚREDNIOWIECZNYM.

PRZEZ

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

Jako tarcza ma dwa oblicza, a na każdéj twarzy barwę inną, tak w średnich wiekach były dwa różne obowiązki. Świat z Kościołem nie byli nigdy w zgodzie. Zrazu święci uciekali od ludzi, a późniéj walczyli z nimi, a ludzie świeccy nigdy nie zastosowali zewszystkiém życia swego do przepisów kościelnych, i zawsze mieli inne powinności, których im się czasem podług świeckich pojęć nie godziło zaniedbać, nawet wbrew rozkazom kościelnym. Tylko że tego obowiązku świeckiego nie przezywano cnotą, jeno honorem i że od czasu, jak Kościół ze swojemi teologicznemi pojęciami wystąpił do walki z pojęciami wszystkich prawie narodów, rozpoczęła się dotąd niezakończona walka, między cnotą a honorem i niezgoda wewnętrzna sumieni, nieznana starożytnym ludom.

Honor jestto poprostu dawna cnota skandynawskich i słowiańskich drużyn, co na początku średnich wieków świat podbiły, która przetrwała wieki, w niejednym względzie uległa zmianie, w niejednéj sprawie otrzymała uświęcenie, albo odrazu stanęła w zgodzie z Kościołem, ale w wielu rzeczach istnieje i obowiązuje dotąd, mimo ustaw kanonicznych, praw świeckich z rzymska przykrojonych i filozoficznych doktryn, wylęgłych w trzech ostatnich wiekach. I jakośmy poprzednio mówili tylko albo prawie tylko o świętości, tak teraz będziemy prawić przeważnie, jeśli nie wyłącznie, o honorze.

I świętość i honor przetrwały do dni naszych, choć nie zajmują już na świecie tyle miejsca co dawniéj, ale oboje po dziś dzień żyją, wśród nowożytnych społeczeństw, w rozłączeniu i bodaj czy nie w niezgodzie. W starożytności chyba czynna cnota klasycznych obywateli podobna, choć nie zewszystkiém, do honoru; chyba marzenia Pitagorejczyków zwiastują, choć niewyraźnie, świętość. Oto już Rzymianie poznali i opisali szorstką pierwotną cnotę narodów Północy, i gdy czy-

REDAKCYI BIBL... WARSZAWSK...

tamy o bojach, które Maryusz lub Cezar z nimi toczyli, albo gdy przerzucamy kartki Tacytowéj Germanii, spotykamy się już z honorem i honor witamy radzi, jak dobrego znajomego.

A najpierw pamiętajmy, że starożytni nie dobrze odróżniali trzy wielkie szczepy, które za dni ich zamieszkiwały Północ, i że Juliusz Cezar zawsze niepewny, gdy ma orzec, czy jakie pokolenie: Celtyckiém było czy Germańskiém i że dla Tacyta i Ptolomeusza zupełnie nie istnieje różnica między Słowianami i Germanami do tego stopnia, że Niemcy do niedawna twierdzili na podstawie starożytnych świadectw, iż Słowian niegdyś w Europie nie było, i że dopiéro teraz uczymy się tego, że tacy Ligowie czyli Lygowie i Rugijczycy Tacytowi, albo Roksolani Strabonowi Słowianami, a nie Niemcami byli; i przypomnijmy sobie, jak owe słowiańskie i niemieckie i celtyckie drużyny krzyżowały się nieustannie i biły o siebie, do zamąconéj fali podobne przez cały długi okres gminoruchów; a nie będziemy się dziwić temu, że jak jedna broń i jedne były groby na całéj Północy, tak wszędzie podobną była cnota; i będziemy wiedzieć o tém, że starorzymskie owe świadectwa prawią i o pojęciach naszych odległych przodków. Zresztą powiemy, gdy przyjdzie kolej na to, czém się od reszty świata różniła Słowiańszczyzna, a zaczniemy rzecz o rycerskim honorze, tam gdzie owego honoru początek.

Czyto Wercyngetoryks zwoływał ostatki obrońców galskiéj niepodległości do walki z Rzymem, czyto Hermanarych, na wyniosłéj siadłszy stolicy, władał na czele swych Gotów nad całą Ukrainą; czyto Radegast wiódł półnagie Słowiany, pod mury Florencyi, ofiarując wszędy całopalenia z koni Świętowidowi, ku uciesze pogan, a zgorszeniu chrześcian konającéj Romy; czy mniejszy, zwyczajny bren, koning, lub kniaź czy wojewoda, wiódł wśród borów i równin bezbrzeżnych zapomniane boje, albo, jako król fali, śmieléj od rzymskich sterników, płynął po ogromnéj atlantyckiéj fali, gnany wichrem od Wschodu, gdzieś aż na amerykańskie wybrzeża—zawsze podstawą państwa, nie miasto było, jeno drużyna.

Wszędzie szumiał las bezbrzeżny, po jednostajnéj pustyni, i ledwo tu i tam wzniosła się jakaś góra, co mogła stanowić granicę, o wiele nadto dalekoby o niéj wiedziały pierwotne plemiona; nawet rzeki nie były wyraźną granicą, bo zamieniały się często na wiosnę i w jesieni w zimne trzęsawisko, co zakrywało całe równiny i zostawały wśród borów na rok cały jeziora i stawy, co łączyły nieprzerwaném pasmem Dźwinę i Wołgę z Sekwaną i Ligierą; a w zimie rzeki te letni gościniec mężów płynących na morze, stawały się twardą drogą; lód tworzył na cztery miesiące most, po którym przechodziły suchą nogą drużyny, co ciągnęły i wracały od Czudzkiéj puszczy do granic Państwa Rzymskiego i wreszcie granice imperyi zdruzgotały i osiadając na szczęśliwém, starém Południu i tam poniosły z sobą obyczaj i powinność nową.

Oto jak się drużyna tworzyła. Spotkało się wśród puszczy dwu mężów na łowach. Znużeni, zziębnięci, radzi byli jeden i drugi, że wreszcie spotkali człowieka; rozpalili tedy ogień, puścili konie na paszę, a sami sobie piekli upolowaną zwierzynę i rozpoczynali rozmowę. Wreszcie, gdy się dowiedzieli, że obaj idą samopas i że z nikiem nie zawarli przymierza, powiedzieli, że dwaj ludzie zawsze więcéj warci od jednego, i postanowili być pobratymcami; podali sobie tedy ręce i przyobiecali, że w każdém niebezpieczeństwie będą się bronić obopólnie, że każdy łup podzielą, że będą za siebie wzajemnie ponosić, choćby najcięższe trudy, i że w razie potrzeby dadzą życie jeden za drugiego. Odtąd obowiązkiem świętym było dotrzymać przymierza.

Gdy dwu było razem, byłto już początek drużyny; jeśli tych dwu miało dzielne ramię, bystre oko i szybkie nogi, prędzéj czy późniéj przygarnęło się do nich wielu innych, których nieszczęście jakieś pozbawiło dawnych związków; niedługo a było kilkuset, albo nawet kilka tysięcy mężów, co ciągnęło razem na boje; i tak powstawał naród na Północy, którego węzłem wspólna obietnica wzajemnéj obrony. Wiarą tego ludu były chyba zabobony o duchach, co straszyły wśród borów, o upiorach i marach, co wstawały na pobojowisku i siadały na wichr, by odbywać, wyjąc, piekielne wyścigi i o wiedźmach, których zaklęcie mężom odbierało cnotę, albo wspomnienia, przechowane w pieśni ślepców, co szli samopas od drużyny do drużyny, prawiąc o jasnych bogach, co siadły pod biegunem, na stolicy z lodów. Ojczyzny lud niemiał naprawdę, bo jeśli gdzie czasem osiadł na dłużéj, choćby na pokoleń kilka, stawiał tylko chaty z chrustu, a co najlepiéj z drzewa i wiedział, że jeśli wróg naprze, chaty te spali i przeniesie się daléj, w kraj zupełnie do dawnego podobny, i bez trudu postawi wieś podobną do dawnéj. Mowa nawet narodu zmieniała i składnią i słowa, w miarę tego, jak nowi druhowie, lub nowi niewolnicy przybywali do drużyny, tak, że dziś czczemi często spory o to, czy plemię to lub owo mówiło za czasów pogańskich słowiańskiém, czy niemieckiém, czy też litewskiém narzeczem. W ludzie tym żyło tylko słowo, niegdyś przez przodków dane i dotrzymanie słowa było tedy treścią i szczytem wszelkiego obowiązku i ono po dziś dzień najpierwszém prawem honoru.

Słowo nie tego tylko obowiązywało co je dał. Gdy ojciec umierał, synowie brali po nim niejako duszę i słowo przez ojca dane i dla nich było świętém. Przecie gdyby nie to, nie byłoby bezpieczeństwa ni trwałości w zawiązanéj drużynie; przecie gdyby nie to, nie wartoby wychowywać młodzieży wśród mężów! Podobnież znów i nawzajem było obowiązkiem przyjaciół ojca opiekować się dziećmi pozostałymi po nim; śmierć nie zrywała węzłów przymierza i pobratymstwa. Jako po śmierci druha, druh głowę narażał by pomścić dawne jego krzywdy, tak strzegł jak źrenicy oka tego, co druhowi umarłemu było za życia najdroższém, wdowy po nim i dzieci, wierząc, że i na tamtym świecie przyjaciel się cieszy przyjacielską usługą. I tak dziedziczyło

się słowo, dane z pokolenia na pokolenie, i święte niegdyś zobowiązania nie przestawały być świętemi i powstawała wierność synów Północy, co długo była podporą mnogich społeczeństw. Widziano późniéj, jak całe narody, Litwa i Polska, albo Anglia i Szkocya, zawierały z sobą po rycersku wiekuiste przymierze, którego nie zdołały rozerwać burze dziejowe.

Zazwyczaj pokolenie czy naród żyły zrazu w zupełnéj gminowładczéj równości i czyto co roku, czy częściéj, czy rzadziéj obierało sobie wodza, czyli wojewodę. Ale skoro który wojewoda odznaczył się czyto siłą, czy rozumem, czy stałością niepospolitą, obwoływali go towarzysze królem czy kniaziem i zamieniali pobratymstwo na stosunek poddańczy. Odtąd rycerze wszyscy mieli w pokoju poddawać spory swoje pod sąd króla, mieli wraaz z nim ciągnąć na wojnę i słuchać go na wojnie; a on zato miał strzedz ich własności, ich prawa i obyczaju, życia ich żon i dzieci i chwały całéj drużyny. Owo przyrzeczenie posłuszeństwa warunkowego, dane przez poddanych, było najświętszą obietnicą i jéj dotrzymanie najwyższą cnotą: lojalnością, któréj odpowiadała druga lojalność książęca, dbałość o obyczaj i spełnianie królewskiego obowiązku obrony i miłości. A że przyjaciel ojca winien był być dzieci przyjacielem, więc ojca poddany bywał poddanym synów i był co najmniéj winien zpośrodka synów zmarłego króla, obrać sobie króla nowego. I nawet, gdy jeden z królów nie dopełniał swego obowiązku, należało się go wprawdzie wygnać, ale należało się zarazem nowego pana brać z tego samego co dotąd rodu i zpośrodka potomstwa dawnego bohatera założyciela i musiał cały ród znikczemnieć, zanim utracił prawo do dziedzicznéj korony. Takie były poięcia pogańskich przodków naszych i niewiele się zmieniły po dziś dzień w chrześciańskiéj Europie.

Na to, by dotrzymać czyto pobratymczéj, czy poddańczéj, czy królewskiéj obietnicy, trzeba było się nauczyć pogardy śmierci i bólu. Kto znał strach, ten musiał słowa niedotrzymać właśnie w najważniejszéj chwili i dlatego tchórz był równie występnym jak zdrajca i mąż wolny był winien okazać swoję odwagę i tam nawet, gdzie nie była konieczną dla dobra ogółu. Winien był mścić się za śmierć krewnego lub przyjaciela z narażeniem życia i winien był krwi żądać za każdą krzywdę, za każde ubliżenie. Gdy mu mężczyzna inny, wolny i silny, powiedział, że tchórzem jest, albo gdy mu kłam zadał, gdy mu dał w twarz, lub gdy go obczernił, winien był obrażony dowieść odwagi, nie ścigając podstępnie przeciwnika swego, ale wzywając go w bój i przy świadkach, a najczęściéj przy królu stawali naprzeciw siebie obaj przeciwnicy, zmierzali kroki, które ich dzielić miały i zaczynali pojedynek, jako dowód męztwa. Nawet gdy przed sądem nie było między świadkami zgody, a świadkowie wolnymi byli, rozstrzygał spór pojedynek; gdy oskarżony się nie godził z wyrokiem sędziego, rzucał mu rękawicę i znów sąd w pojedynek się zamieniał.

Obok mężów wolnych, były w każdém pokoleniu i wolne niewiasty; i one miały cnotę, i im nie był obcym obowiązek. Przyrzekały słuchać męża, strzedz jego domu, pilnować dobytku i służby i chować jego dzieci, i wtedy cześnemi były gdy dotrzymały słowa. I podobnie jak mężów tak i niewiast nie uwalniała śmierć od danego przyrzeczenia. Dziewica, co się bogom nie poświęciła, mogła przed ślubem mieć niejednę miłostkę; mogła bez rodziców gniewu próbować niejednego młodzieńca i wiele swawoli pozwalała sobie i wiele rzeczy, coby się wydały zdrożnemi; ale skoro za mąż poszła i czepek wdziała, zapadła klamka nazawsze. Odtąd zpod opieki ojca szła pod opiekę męża i winna była dbać o to, by mąż miał z niéj dzielne dzieci; u ubogiego jedna była żona, u króla i pana żon więcéj, z których jednak jedna zawsze poczestniejsze miała miejsce; one kłamały najhaniebniéj i mężowi i przyjaciołom jego, gdy dzieci obce, a najgorzéj dzieci służby wydawały za dzieci mężowskie i nawet wtedy, gdy narażały tylko męża na to, że cudzych dzieci od swoich nie rozpozna. Gdy im taką zdradę zarzucono i gdy nikt nie zadał kłamu oszczercy z mieczem w ręku, golono im głowy i zapisywano między niewolnice, wysiekłszy wpierw rózgami; a gdy mąż chciał, mógł żonę niewierną zabić. On nie żądał od niéj, by odważnie ciągnęła w bój albo na łowy, ale popadłby w pogardę, gdyby nie umiał bronić jéj chaty; więc choć on może wziąć i drugą i trzecią dziewkę do domu, i brankę ukochać przez chwilę na wojnie i z obcą polgrać kochanką, niechże żona czci swéj strzeże i małżeńskiego łoża! Nawet po śmierci, nie zewszystkiém przystojna, gdy wdowa za mąż pójdzie, a te się niewiasty chwali, co się po klęsce, i męża zgonie, własnym warkoczem zdusiły, by nie popaść w ręce zwycięzcy; i te się chwali wdowy słowiańskie, co wyszły na stos mężowski, by spłonąć żywcem i pójść na tamten świat mężowi na wysługi.

Zresztą niekoniecznie żoną i matką musiała być kobiéta; gdy chciała, mogła się wyrzec węzłów rodzinnych i stać się dożywotnią kapłanką i tłómaczem bogów i duchów. Duchy powietrzne, ziemne i niebieskie, na dwa sposoby objawiały swoję wolę: albo przez rzeczy nieżywotne i zwierzęta, albo przez niewiasty. Kostka rzucona, ptak przydybany, grzmot i błyskawica, albo poświęcony koń Świętowida, czy Odyna wróżyły świadomym; ale niewiasta drażliwa widywała bezpośrednio bogów nieśmiertelnych i przodków poległych wśród boju i drżąc wypowiadała przerywanemi słowy wolę potęg niebieskich; gdy duchy sobie dziewicę jakąś upodobały, trapiły ją snami i widzeniami i niewytłómaczonemi niepokojami póty, póki nie opuściła ojcowskiego ogniska i nie poszła w jakie ustronie, w góry, co przerywały równinę bez końca, falistym, oblesionym szczytem, albo na wyspę pustą, wśród zielonego, mętnego morza Północy. Tu przecie nie przeciągały pokolenia, tu było miejsce ciche i nieruchome, wśród którego mogło naprawdę powstać podanie, i tu tylko zasiadały na Północy większe i bardziéj osobiste bogi, podobne do klasycznych, otoczone przez pieśniarzy i sławne na całą okoliczną równinę, zkąd różni z różnych

szczepów ludzie, chodzili z pokłonem i ofiarą po radę. W takiémto miejscu siadała przed ogniem wiecznym dziewica, wśród innych dziewic, co się tam już zestarzały i wśród orszaku guślarzy i piewców brodatych, i tu już całe swoje życie spędzała jako własność bogów święta. Tu przychodzili królowie i rycerze pytać się wybranéj i słuchać jéj słów, jak najświętszego rozkazu, i cześć zabobonna dla niéj była nieraz jedyną religią zbrojnego barbarzyńcy Północy. I z czci téj dla kapłanek wyrodziła się zawczasu, a zwłaszcza u Niemców i Litwy, cześć dla niewiasty każdéj. Choć osiadła która przy męża ognisku, mniemano przecie, że w chacie, czy w namiocie miewa każda żona cnotliwa widzenia; mniemano, że czasem słowo kobiéty, bez myśli wypowiedziane, mieści w sobie rozkaz boski, i ztąd to powstało pewne zabobonne uszanowanie dla kobiéty i dziewicy, i ztąd powstała zawczasu zasada, że nie godzi się zabijać, że nie godzi się uderzyć, że nie godzi się znieważyć białogłowy, i że kto jednę z tych rzeczy czyni przy niewieście cnotliwéj a wolnéj, traci poczęści cześć rycerską, tak samo, jak zdradna żona i niewolnica tracą owe niewieście przywileje.

I oto może cały kodeks cnoty pierwotnéj, pogańskiéj na Północy. I nie trzeba zbyt wielkiéj uwagi, by dostrzedz, że w tym zawarty także już i kodeks nowożytnego honoru. Cnota stara straciła imię cnoty, gdy mnisi zakapturzeni i ogoleni księża z nią bój rozpoczęli; w tém lub owém uległy jéj przepisy zmianie, ale gdy zważymy rzeczy bezstronnie, przyznamy, że pod nową nazwą honoru władnie silniéj czynami ludzi dzisiejszych nawet, niż przepisy kościelne, prawa cywilne i karne i nauki filozofów. Nie jeden stracił wiarę, spiskuje przeciw prawu i nie przyjął żadnego systematu, żadnego myśliciela, a wacha się na myśl samę, by miał wykroczyć przeciw temu, co się zwie imieniem honoru. I społeczeństwo całe przebaczy najcięższy grzech, odkąd grzechem zwie się tylko rzecz przez Kościół zabroniona i najstraszliwiéj karaną zbrodnią czasem i pochwali, skoro zbrodnią bywa dziś tylko rzecz, któréj broni ustanowione państwo, często zostające w niezgodzie ze społeczeństwem. Kto słowa danego nie dotrzymał, kto pojedynku nie przyjął i kto zmienił dla zysku, lub korzyści jakiéjś polityczną, albo religijną wiarę, temu nie poda już ręki żaden człowiek, co siebie szanuje. Przybyło coś do kodeksu honoru w ciągu dziejów i ubyło coś z kodeksu tego—i naszém zadaniem będzie teraz poznać to, w czém się ten kodeks zmienił i jak się zmieniał. Ale choć mówią niektórzy, że honor przesądem, a inni, że grzechem; jego przepisy po dziś dzień przepisami praktycznéj etyki i tam tylko społeczeństwo zdrowe, gdzie się tych przepisów trzymają, a tam, gdzie idą w zapomnienie, tam i ze społeczeństwem źle się dzieje.

Z narodów Północy jedne wyszły, że tak powiem, naprzeciw dziejów, inne poczekały na ich przybycie. Przez Rzymian podbici Celtowie byli przez pięćset lat częścią składową świata rzymskiego i podzielali wszystkie jego koleje; przesiąkli tedy pojęciami klasycznemi, uczuli klasyczne utrudzenie życiem i wraz z konającą starożytnością poszli do

klasztoru, zachowując samodzielne życie tylko na niektórych wyspach i na kilku mniéj dostępnych kończynach lądu stałego. Możemy ich tedy ominąć na tém miejscu. U nich powstała wprawdzie najpierw klechda Artusowa, ale o klechdzie owéj i jéj znaczeniu przyjdzie trochę późniéj wspominać, wtedy, gdy będzie już mowa o rozkwitłém rycerstwie średniowiecznem.

W pół tysiąca lat późniéj wyszli Niemcy na zdobycz i osiedli orężnie we wszystkich zachodnich prowincyach cesarstwa rzymskiego, gdzie założyli mnogie państwa, pośród których było najpotężniejszém i najżywotniejszém państwo Franków; podbojowi swemu germańskiemu zawdzięczają swój początek wszystkie niemal narody Zachodu i nowe pojęcia o państwie i społeczeństwie.

Hunowie, którzy podówczas także przez świat przeszeleścieli, byli dziczą wstrętną dla wszystkich mieszkańców Europy. Ani starych bogów, ani nowego Boga nie czcili i byli jakoś podobnymi do szarańczy, co wychodzi z tych samych stron, co i oni; niszczyli tylko, a nic nie budowali. Wpadłszy między zniechęcone ludy Zachodu i Południa, sprawiała dzicz rzeź tylko i wzmagała tylko wiarę w blizki koniec i sąd. Gwałt, rzeź i pożoga, oto jedyne ślady Hunów pochodu i państwo konające Romy na nich zdobyło sobie ostatnie wawrzyny i na nich odniosło ostatnie zwycięztwo pod Châlon sur Marne. Ale owo zwycięztwo rzymskiego imienia nie było już Rzymian zwycięztwem. Nie rzymscy obywatele dobyli oręża, by obronić opustoszałe świątynie i wyludniające się grody i mąż konsularny, co wojskami dowodził, nie był Rzymianinem. Stylicho niewiadomo Niemiec li, czy Słowianin, z ludu Wandalów, czyli Wildilów, czyli Wenedów, z ludu strasznych, jasnowłosych łupieżców i burzycieli, wzniósł podówczas orły rzymskie ponad głowę czerni i dziczy i królowie Franków i Burgundów wiedli swoje ciężkie niemieckie roty na pomoc Słowianom i Germanom, ubranym w pancerze rzymskich legionaryuszów. Zwyciężyło imię Romy, co przez długie wieki jeszcze zwyciężać i władać miało. W saméj rzeczy zwyciężyli już nowi ludzie, co mieli nowy świat posiąść.

Imperator żył w Rawennie bezsilnie w martwym majestacie, otoczony przez mnichów, karłów i rzezańców—a senatu cień radził daremnie w Rzymie nad przyczyną upadku państwa. Ale germańscy wodzowie, co mogli łatwo państwo imperatora roznieść w puch, bali się jeszcze szat jego złocistych i dzierżaw bez końca. Królowie Germanów woleli tedy stać się lennikami, jak wrogami Rzymu; przyjmowali chrzest bez trudu, skoro ujrzeli, że cześć Chrystusa opanowała wszystkie kraje Południa, czyniąc to samo, co czynili wpierw, gdy wśród lasów nieśli ofiary każdemu miejscowemu bóstwu i chcieli być koniecznie wiernymi poddanymi wiernego opiekuna Cezara, pragnąc świat cały odtworzyć na podobieństwo północnéj drużyny. Więc pyszny trup w złotogłowiach stawał się zwierzchnikiem mężów tysiąca i miał im dawać za pomoc orężną i wierność ziemi i skarbów do syta. Got i Frank nie pojmowali tego, że Rzymianin uważał ziemię uprawianą od wieków za

część swojéj osoby i że imperator nie mógł jednemu zabierać bez powodu to, czego drugi zapragnął i gdy imperator Alarykowi nie chciał dać tego wszystkiego, czego Alaryk żądał, skarżył się Got, że Rzymianin nie dotrzymuje przymierza i szedł sam zdobywać włościc. Wpadł do murów miasta wiecznego i łupił i palił po stolicy świata, aż świat zapłakał nad zgliszczami owemi i aż świat jeden się skończył wśród jednego miasta pożogi. Na cztery wiatry rozpędzono cienie senatu i nie było zbrodni, którejby nie dokonano w mieście potępioném, w ów dzień straszliwy, w którym się cieszyły cienie Hanibala i Mitrydata, a jednak syn Alaryka, Atanaryk, miał się daléj za lennika cesarskiego, skoro mu wyznaczono ziemie szerokie i urodzajne w południowéj Galii.

I niebawem cały Zachód Europy i cała prawie Północ były w ręku niemieckich i skandynawskich zdobywców i prócz kilku zakątków we Włoszech i kilku wysp na morzu Śródziemném, nic z téj strony Adryatyku nie należało do cesarzy Rzymu, zamieszkałych w Carogrodzie, a jednak wszędzie imię cezara uważano za miano następcy Bożego na ziemi w porządku świeckim i wszędzie czczono go i słuchano ustami, choć w czynach o niego niedbano i choć najeżdżano jego dzierżawy, ilekrotnie odmówił datków i darowizn. I choć przez chwilę na Zachodzie Karol Wielki, król Franków, cień cesarskiéj potęgi zamienił w rzeczywistość: była to chwila, co przeminęła, jak tchnienie i zostawiła wspomnienie chyba. Wśród gwałtu i łupieży, wśród kłamanéj pokuty i udanéj najczęściéj jałmużny, wśród niedotrzymanéj lenników wiary, dzikich małżeństw królewskich i zdziczałych klasztorów, władła na gruzach ziemi przemoc samowładnie i wszystko czczém było, lub rubaszném u Niemców i Łacinników przez półtora tysiąca lat.

U Lombardów i Anglosasów we Włoszech i w Anglii, zabrano dawnym rzymskim właścicielom całą ich ziemię, tak, że doprowadzone do rozpaczy, broniły się ich niedobitki do upadłego za murami kilku miast włoskich i w Kambrejskich górach. W Galii i Hiszpanii wydarto im tylko część własności dawnéj, ale zawsze i niezmiennie pojęcia germańskiego honoru i obyczaj germański stały się rycerską cnotą możnych i wolnych, czyto byli rzymskiego, czy niemieckiego pochodzenia, a wszędzie podbój i zwycięztwo zmieniły i popsuły pojęcia owe.

Gdyby wszyscy byli w X wieku dotrzymywali sumiennie wiary, byłby ów wiek X wzorem zgody i braterstwa. Każdy, co gdziekolwiek posiadał ziemię i władzę i małą drużynę rycerską, poprzysiągł był i przyobiecał wierność rycerską komu innemu, czasem możniejszemu, a czasem nawet słabszemu od siebie. Każdy albo klął naprawdę, albo winien był klęknąć przed zwierzchnikiem swoim i winien był poprzysiądz, ucałowawszy go w stopę, że do śmierci będzie wiernym; rycerz prosty miał pana swego, pan hrabiego, lub księcia, lub wreszcie biskupa, a ci znów króla; królowie cesarza uznawali nad sobą, choć najczęściéj hołdu nie wykonywali ani osobiście, ani przez posłów. Wreszcie sam cesarz przez Kościół poświęcony, mianował papieża i przysięgał, że Kościoła bronić będzie. I dotrzymanie rycerskiéj wiary było pierw-

szym świeckiéj cnoty obowiązkiem i ta wiara obowiązywała także zwierzchników do tego, by czuwali nad poddanymi swoimi. Świat cały chrześciański był tedy jedną wielką drużyną, jedném pobratymstwem, jedną rzecząpospolitą, opartą o rycerską wszystkich uczestników cnotę i w mniemaniu tém niebrak było ideału.

Ale przez rzeczpospolitę ową chrześciańską krew się ciągle sączyła; nie było bezpieczeństwa, nie było uczciwości, czci nie było nawet, ni nabożności chrześciańskiéj, a chyba tylko śmiech rozpusty przerywał nieustanny brzęk łupieżczego oręża. Od chwili gdy rycerz północny zdobył sobie przemocą ziemię i niewolników, ogarnęło go łakomstwo niezmierne, i wydało mu się, że obowiązkiem świata całego dostarczać zbytków jemu, pancernemu próżniakowi. Wobec niewolników i w ogóle wobec nierycerskiego motłochu; wobec rycerskich nawet dzieci jako ludzi niezbrojnych, niemiał rycerz żadnego obowiązku wedle pojęć honoru; a że miał być przedewszystkiém mężem wojennym, byłaby każda praca skalała jego ręce zwycięzkie i żyć był winien zdobyczą. Więc jak ptak drapieżny ścielił sobie gniazdo na niedostępnéj skale, budował zamek o wieżach ponurych i ztamtąd wypadał na okolicę po zdobycz. Albo zwierzynę łowił w lesie, albo kupców napadał i odbierał im towary wypadłszy z zasadzki, albo wreszcie wydawał wojnę pobratymcom lub bratu, by od niego dostać ziemi i niewolników; a gdy się udało, bratał się z drugimi, by odebrać włości zwierzchnikowi swojemu; skoro cały świat był jedną drużyną, a łakomstwo w sercach ludzkich nieprzygasło, i skoro praca była rzeczą niewolników i rzeczą haniebną, niebyło naprawdę żadnéj drużyny, żadnego prawa, i zbrodnia stała się codzienną.

Gdy się przerzuca kartki średniowiecznych dziejów, traci się powoli sąd o tém co dobre i co występne, i przebacza się kłamcom i bratobójcom, tym co ojca dzierżaw pozbawili i tym co małoletnim bratańcom oczy wypalili gorącém żelazem, mimo to że przyjęli nad nimi opiekę, i widząc że niemasz człowieka w czasach owych, co nie uszedł do pustelni, a mimo to nie został zbrodniarzem, sądzi się wreszcie królów owych i rycerzy tak jak ich współcześni sądzili. Kto mieczem mógł w bitwie wroga na dwoje rozpłatać; kto podstępniejszy i gwałtowniejszy od innych, kto pokoju nie lubi i na koniu dnie swoje spędza polując albo wojując, tenci jest jedynie królem lub rycerzem dzielnym i dobrym. A jedyném prawem honoru to, że z równym sobie trzeba walczyć wydawszy mu wojnę wpierw, i że trzeba dotrzymać przysięgi i obietnicy danéj równemu pod słowem honoru. Przysięga nawet służyła ku wiarołomstwu. Kładziono palce pod Biblią a nie na Biblią, albo dodawano do przysięgi kilka słów pocichu, i myślano że tém samém zwolniono się od obietnicy i od obowiązku mówienia prawdy. A wreszcie, gdy niedotrzymano danego słowa, radzono sobie używając religii do złego i dawano to, co się w owych wiekach ciemnych jałmużną zwało, to jest obdarowywano klasztor suto za odpust otrzymany; a potém, aby nie mieć krzywdy, najeżdżano ten sam klasztor i zmuszano z do-

bytym orężem drżących mnichów do tego, by małoletniego syna najezdcy przyjęli za opata. I odtąd dobrodziéj klasztorny daléj w imieniu syna swego używał darowanéj włości, a był pewny, że syn-opat za każdy rozbój rozgrzeszy. A odtąd już żaden przepis kościelny nie obowiązywał, oprócz postów i słuchania mszy, których się trzymano zabobonnie. Odtąd rycerz żył jak dawniéj w wielożeństwie, otoczony kobietami, co niewolnicami były a nie żonami; jedna z nich wprawdzie wzięła ślub kościelny, ale i ona była pomimowolną sługą, nie wiele różną od tamtych. W wielu krajach sprzedawali jeszcze rycerscy rodzice swoję córkę za wiano, które mąż dawał a nie dostawał. Gdzieindziéj porywano sobie żony choćby z klasztoru, jak to Mieszek uczynił z Odą, albo przydybaną gwałcono. Wilhelm Zdobywca bił póty Matyldę przydybaną na ulicy, póki mu się nie poddała i tém samém nie została księżniczką normandzką, a ten sam Wilhelm szczycił się, jak tylu innych spółczesnych mianem bohatéra, dowodzącém, że król ów możny, był synem nie głównéj, jeno jednéj z pobocznych żon Roberta Dyabła. Słowem, dzicz była gorsza od pogańskiéj dziczy, i pogaństwo skalane tylko znieważonemi formami chrześciańskiemi.

A jeśli rycerze zbójcami byli i bratobójcami bluźniącymi, niewiasty ze szlachetnego rodu były prostaczkami dumnemi i twardemi, podobnemi do kobiet prostych każdego czasu i kraju. Wdziawszy czepek na głowę, bywały żonami wiernemi napoły z przywiązania a napoły ze strachu przed żelazną dłonią mężów swych i panów, a niemogąc dobyć oręża, i niemogąc zdobywać mienia wstępnym bojem, oddawały się oszczerstwu, plotkom i zdradzie w samym środku zamku. Mnogie kobiety co dzieliły rycerską łożnicę nienawidziły się z serca, i patrzały zazdrosném okiem na dzieci obce, co obok własnych dzieci czekały na dziedzictwo ojcowskie; gdy tedy pan wrócił z łowów, kłamały wszystkie o lepsze, oskarżając się wzajemnie o niewiarę; i młodsza i piękniejsza śmiała się w tryumfie i dawała na mszy dziękczynne, gdy pan starszą wygnał z domu, albo zabił, albo kazał zamurować w jednéj z piwnic pod zamkiem; i gdy raz straciła nieprzyjaciółkę, gubiła potém dzieci pokonanéj, pokazując ojcu uśmiech zalotnicy, a dzieciom wilcze zęby. I nie spoczęła, aż kiedyś korzystając z ojcowskiego gniewu, nie kazała powiernemu słudze pasierbom oczy wykłuć sztyletem. Na wieczną noc skazane biedaki już nie mogły zażyć rycerskiego chleba, i dzieci podstępnéj zbrodniarki dziedziczyły zamek czy królestwo i miecz ojcowski; a jeśli ojciec stary niedość prędko szedł do grobu, i jeśli synowie pod wąsem już, czekali jeszcze na dziedzictwo, znajdowała i na to radę czuła matka, i synom przysparzała pomoc i stronników, by ojca starego wygnali. I bywało często, błąkał się wśród zawieruchy król lub rycerz wygnany przez własne dzieci i przeklinał je w niemocy, aż znalazł przytułek, kawał chleba i pogardę pod obcym dachem, albo śmierć głodową i zapomnienie na opustoszałym stepie.

A większa część ludzi była w niewoli; różny bywał téj niewoli tytuł, i zawczasu uważano to za uczynek dobry dawać wolność bratu

w Chrystusie. Był to rodzaj jałmużny, wielce miły Kościołowi, i wielce dobroczynny i zgodny z duchem Chrześciaństwa. Szkoda tylko że i tu najczęściéj tylko udany. Bo gdy pan wolność darowywał poddanemu, zachowywał panowanie nad nim i naprawdę zmieniał tylko imię, a rzecz zostawiał niezmienioną i obchodził się nadal tak jak wpierw z nieszczęśliwym człowiekiem, co mógł miéć cnotę jako chrześcianin, jeśli uciekł w lasy i stał się pustelnikiem; ale nie mógł miéć ani prawa ani honoru. Taksamo po uwolnieniu jak przed niém, zawisł poddany od łaski i zachcianki pańskiéj, i tylko imię niewoli wykreślano powoli ze słownika narodów Zachodu. Co więcéj, owi nabożni uwolniciele starali się przemocą i podstępem nabywać nowych poddanych, i gdy się niby liczba niewolników zmniejszała, znikał naprawdę z dniem każdym zastęp ludzi wolnych a ubogich, i wszyscy prawie co sami dziedzicami zamków nie byli, szli w pańskie poddaństwo. A tém chyba różnił się naprawdę poddany od niewolnika, że dzięki opiece Kościoła, miewał prawdziwą rodzinę i prawą żonę, i że nie było w zwyczaju go sprzedawać osobno, jeno wraz z gruntem na którym zamieszkał. Zresztą tak rodzina jak i owoce służebnéj pracy, i jak nawet czas poddanego, zależały jedynie od widzimisię choćby najzdrożniejszego pana zamku i poddanych.

Za podłego tedy uchodził pochylony nad rolą człowiek, i hańbiła go praca ręczna, przy któréj w pocie czoła zarabiał na chléb własny i na wojenne zbytki pana; hańbiły go kłamstwa, któremi bronił bezsilnéj głowy przed gniewem pańskim, a zdobiła chyba cnotą cierpliwość i pokora chrześciańska; ale i one nie zdejmowały ze spodlonego czoła piętna hańby, które na niém wycisnęła niemoc, bo po wędrówce narodów, świecki honor a duchowna cnota, były to dwie rzeczy wcale różne.

A że niewolnik każdy kłamcą, i że sługa nie mógł na bój sądowy wezwać tego co mu kłam zadał, przeto gdy go o co oskarżono, stał na równi z niewiastą: bezbronny przed pańskim sądem. Niewiasta ze szlachetnego rodu miała zawsze jeszcze tę nadzieję, że wystąpi w jéj obronie rycerz jaki, czyto zakochany w niéj, czy spokrewniony z nią, a wyzwie na rękę niegodnego oszczercę, ale jakąż miał nadzieję poddany? Społeczeństwo w niczém nie mogło mu się stać pomocném, i mógł chyba wezwać do pomocy Boga i Wszechmoc Jego. A na uroczyste Boga wezwanie stawała mu nad głową ręka karząca, i sędzia przyjmował dowód niewinności prostaka, zwany Bożą Próbą, czyli Ordalią. Jeśli naprawdę chłopek był niewinny, miał się stać cud na jego korzyść; miał rękę włożyć bezkarnie do ukropu, albo miał przejść przez ognisko rozpalone bez szwanku. I wielkaż to była dla niego nadzieja? Powiedz sam czytelniku.

Taka to ludzkość, taki obyczaj naszły Północ w X w. po Chrystusie, rozpoczynając nową dziejów odsłonę najazdem pierwotnéj jeszcze Słowiańszczyzny. Na Zachodzie była dzicz rozpasana i zepsuta, ale zbrojna w lepszy oręż; na Północy dzicz także była, ale dzicz północ-

na żyła jeszcze w stanie prostoty i względnego szczęścia. I gorsza dzicz lepszą pokonała.

Na dworze Mieszka, Gejzy i Włodzimierza, bawiły jeszcze pierwotne drużyny nie rozczłonkowane jeszcze w gmach feodalny, napozór tak misterny, a naprawdę tak luźny i niekształtny. Jeden pan był na kraj cały, a pod nim wojewodowie i drużyna, niewolnicy księcia, ale wierni naprawdę jego poddani; i stół oczekiwał przy wiecznie rozwartych drzwiach, nieustannie przybycia nowych gości, i żony paliły się po dawnemu na stosie pana i męża; i poddani wyganiali tylko okrutnego księcia, i praca koło roli jeszcze nie hańbiła. Ale nie było związku między ludami i każdy stał samopas zupełnie, i nie było granic między dziedzinami kniaziów tak stałych, jak te, które Kościół ustanowił na Zachodzie, zakładając zawczasu kościelne prowincye, i uświęcając święceniem królewskiém prawo pierworodztwa. Gdy książę umierał, rozpadało się jego państwo na mnogie synów drużyny i nie mógł nigdzie powstać naród naprawdę. Wszystko się mieniło jeszcze jak fala na jeziorze niczém nie ujęta, i gdy Niemcy nacierali w imię krzyża, ciągnąc ze wszystkich stron i nieustannie i natarczywie, pojedyńcze Słowian drużyny ginęły z osobna bez wzajemnéj pomocy. Więc by ujść zagłady, weszły niektóre z nich w skład wielkiéj rzeszy chrześciańskiéj i dały początek narodom i państwom; ale odtąd co na Zachodzie było, było i na Północy, i niemniéj strasznemi od dziejów Plantagenetów dzieje Piastowiczów i Rurykowiczów.

Jedne i te same wszędzie bratobójstwa, łotrowstwa i krzywoprzysięstwa, i to chyba Północ wyróżnia, że drużyny zostały zawsze pierwotniejszemi, i że feodalizm tu nie wydał kwiatu równie misternego.

Ale jeśli zrazu może zło tylko i nieszczęście przybyły z Zachodu, znalazło się prędko i błogosławieństwo w ich orszaku. Już w XI wieku zaczął Kościół świat przerabiać wedle swoich ideałów i ludzkość zaczęła nowy pochód ku lepszemu. Więc najgorszy stan trwał krótko bardzo w Słowiańszczyźnie, a klęski które na nią spadły z Niemiec, były powodem tego, że w Czechach, w Polsce i na Węgrzech uczestniczono w poprawie rycerstwa i w powstawaniu nowego honoru pracy.

Gdy Kościół zawładnął światem, pomyślał o wojsku kościelném i w wojsko takie zechciał przemienić wszystkie rycerskie drużyny Chrześciaństwa. Odtąd rycerzowi nie wolno było okupować tanio rozgrzeszenia nieszczerą jałmużną; odtąd musiał być naprawdę posłuszny Kościołowi, musiał szanować i kanony i wiarę małżeńską i przykazania Boże i dobywać miecza w obronie papieża, przeciw cesarzowi, i w obronie Chrześciaństwa przeciw poganom. Płynął za morze bronić Pańskiego Grobu, szedł w śniegi z orężem w ręku nawracać Litwę, Jaćwież i Prusy; albo na ziemi hiszpańskiéj odzyskiwał kraje niegdyś chrześciańskie, a podbite przez Maurów. Nie odrazu zmieniły się drużyny średniowieczne, i Bolesław Rogatka rozbijał jeszcze po wrocławskich gościńcach w wieku XIII, i w XV wieku zasiadł Ryszard III na angielskiéj stolicy z rękami skalanemi krwią brata, ale

ideał nowy stanął w czasach rycerstwa; treść honoru była znów bogatszą i nie starczyło miéć silne ramię, aby być prawym rycerzem, i różnych cnót trzeba było aby być damą czesną, wedle praw miłosnych i rycerskich.

A najpierw nie każdy wolny mąż był rycerzem odrazu. Trzeba było się najpierw dosłużyć tego zaszczytu; trzeba było długo służyć, nim się mogło niezawiśle i czesnie krew przelać za wiarę i sprawiedliwość, i dopiéro kto już przez lat kilka był giermkiem, mógł przywdziać złote rycerstwa ostrogi; nawet królewicz musiał w pierwszéj bitwie stanąć jako uczeń przy boku starszego rycerza; i Bolesław Krzywousty został pasowany przez ojca Władysława wtedy dopiéro, gdy już był zaznał wojennéj kurzawy. I wtedy gdy mąż miał zyskać cześć pełną rycerską, kładł Kościół wszechobecny swoje ręce na jego barki i namaszczał go sakramentami prawie, na sprawowanie świętéj służby. Całodzienny post, całonocne czuwanie w kościele poprzedziły dzień obrzędu. W białym płaszczu szedł giermek przed ołtarz i przyjąwszy wpierw przenajświętszą komunią, klękał przed starszym rycerzem ślubował że będzie służył Bogu, królowi i niewiastom; otrzymywał lekki policzek i uderzenie mieczem po plecach i teraz dopiéro wstawał rycerzem naprawdę.

Gdy ślubował służbę Bożą, obiecywał, że zechcé naprawdę zrozumiéć naukę Kościoła i że nie odstąpi od obrony wiary. Jak tylko papież go powoła, wnet przywdzieje płaszcz krzyżem znaczony i pójdzie walczyć nieustraszenie z wrogami Kościoła, i wtedy będzie najszczęśliwszym gdy zginie w pogańskim kraju, jako męczennik na pobojowisku, słuchając przy zgonie anielskiego śpiewania. A gdy ślubował służbę królewską, znaczyło to, że póty, póki król przez Kościół wyświęcony pod klątwę nie popadnie, będzie wykonywał każdy jego rozkaz, będzie posłuszny każdemu skinieniu, bez szemrania położy głowę gdy król głowy zażąda; będzie bronić praw królewskich wtedy nawet, gdy król nieobecny, albo wygnany, albo w więzieniu, i po śmierci króla będzie bronił królewskiego dziecka przed przemocą całego świata. A gdy ślubował obronę niewiast, poprzysięgał, że nie da skrzywdzić ani kobiety, ani dziecka, ani starca; że zawsze będzie obrońcą słabszych, i przedewszystkiém stróżem dobréj niewiast sławy i czystości małżeńskiéj łożnicy. A gdy został rycerzem, wiedział że mu się już nigdy nie godzi w boju podać plecy; i że gdy co raz powie, musi dotrzymać słowa, choćby kosztem życia.

W życiu zbliżano się czasem do rycerskiego ideału, a w XIII wieku zjawili się w pełni mężowie, co z koroną na głowie i z berłem w ręku rycerzami byli doskonałymi i wzorami honoru, a przy nich stanęły niewiasty cześne i świątobliwe, co mogły bezpiecznie dawać wstęgę rycerzom zwycięzkim, nie kalając czci i nie narażając na szwank zbawienia. A doskonalsze jeszcze ideały wymarzono w rycerskiéj pieśni.

Trudno znaleźć w całém Chrześciaństwie szlachetniejszego rycerza, jak Henryk II Pobożny, męczeński obrońca Polski, a przy nim

i dokoła niego pełno było niewiast świętych, bez których nie mógł zaświecić w pełni rycerz pancerny. Między niemi jaśniała cnotą matka Henrykowa, święta Jadwiga. W świecie żyła dla Boga tylko i nie było wzoru niewieściego, w którego obronie i dla którego chwały było bardziéj warto objeżdżać świat szeroki błędnych rycerzy obyczajem. Choć mąż jéj Henryk I Brodaty umiał się oprzéć roszczeniom duchownych, gdy biskupi cały naród chcieli ugiąć pod pastorał i choć nawet w walce z Kościołem przeniósł klątwę, nie ugiąwszy czoła przed błyskawicami, których żar w XIII wieku coraz mniéj palił sumienia, zgodził się na to, by i on i małżonka jego żyli w czystości, wydawszy wpierw na świat dzieci kilkoro. I odtąd Henryk na stolicy martwił ciało włosiennicą, Jadwiga dobijała się świętości, jako ksieni w klasztorze. I nie przestali się kochać, ale kochali się nową rycerską miłością, co się dopatrywała tylko świętego odblasku Boga w oblubieńcu i oblubienicy i nie widywali się wcale, a modlili się za siebie gorąco—on na tronie, a ona w klasztorze.

Ale on rycerzem był tylko—ona świętą była. To téż gdy Henryk I już leżał na śmiertelném łożu, gdy przyjął wiatyk i ze świecą w ręku stawał przed obliczem Wiecznego Sędziego, zapragnął niewiasty, co mu była wpierw żoną, potém świętym niedostępnym ideałem i słał do klasztoru posły, prosząc, by przyszła do niego, by mógł się pokrzepić jéj wzrokiem i przed śmiercią ujrzéć w jéj licu odblask Bożéj myśli i niewieściéj cnoty. A ona odmówiła. Idąc za próg klasztorny, stała się Chrystusową tylko żoną. Modlić się mogła za Henryka, nie mogła iść do konającego męża.

I skonał książe Brodaty. Syn jego Henryk II objął po nim berło we Wrocławiu i Krakowie i wieść straszna doleciała do Polski. Gorsza od dżumy, gorsza od szarańczy plaga groziła Chrześciaństwu. Papież tam we Włoszech walczył z cesarzem i szarpali się nawzajem obaj, a Chrześciaństwo bezbronném było prawie, a tu Oktaj Chan, pan Azyi całéj i poganin, co wierzył w Buddę, w śmierć i nicość, syn Dżyngischana, wielu królestw podbójcy, wysyłał brata swego Batuchana na Europę, by w Chrześciaństwie nicość zapanowała. A ród to był straszny, a byłto ród szkaradny, ów Mongołów ród, o małém jaszczurczém oku i żółtéj cerze; naród sprośny, co niby przyrósł do małego stepowego konia i mięso surowe pod siodłem suszone jadł i podbijał na to tylko, by pustoszyć. Powiadano o nim, że stawiał piramidy ze ściętych głów i że murował twierdze z żywych ciał ludzkich, oblepionych gliną i polanych wapnem; powiadano o nim, że gdy przeszedł tam, kędy był niegdyś wielki gród: Samarkanda, lub Bagdad, lub Pekin, lub Kijów, po grodzie zostało tylko rumowisko, a z narodu, co gród zamieszkał, same trupy zostały i powiadano, że radzono u Chana Wielkiego nad tém, czy nie najlepiéj będzie z całéj Persyi jedno uczynić pastwisko dla koni? I powiadano, że jedno z książąt ruskich utonęło we krwi, gdy Tatarzy gród jego zdobyli. Teraz na Chrześciaństwo zachodnie ciągnęli Mongołowie, a Polska pierwsza była Mongołom po drodze.

Książęta ruscy, którzy utrzymywali wprawdzie podówczas z Rzymem stosunki, ale zawsze luźnie tylko byli powiązani z Zachodem, poszli za rozsądną rachubą, a nie za rycerskim honorem i uderzyli czołem przed Chanem i nawet gdy kazano królowi na Haliczu i Włodzimierzu własne spalić stołeczne grody, by Chanowi drogę łuną rozświecić, usłuchał książę, bo i nacóż było bezużytecznym oporem mnożyć i swoje i poddanych swoich klęski? Bolesław Wstydliwy, świątobliwy pan Sandomierza, ukrył się gdzieś aż pod ziemię przed pohańską nawałą i w ucieczce spotkał się z Belą, królem Węgier. Z książąt okolicznych sam jeden Henryk II okazał się rycerzem naprawdę.

Nie przeliczył nikt roju ludzi na małych konikach, co spalili Sandomierz i Kraków i wiedziano, że ludzie ci czary jakieś posiedli, że nieśli z sobą ptaki, zwierzęta i ludzkie poczwary, buchające ogniem; zwyciężyć w walce z nimi na czele garstki polskiego rycerstwa niepodobieństwem było, ale rycerzom niegodziło się uchodzić; w bój, w bój trzeba było pociągnąć, by nie skalać szlacheckiéj tarczy i by krwią męczeńską pozłocić rycerskie ostrogi. I nie zawahał się Henryk Pobożny, jeno poszedł do matki do klasztoru i klął przed kratą, poza którą stanęła święta Jadwiga i prosił o błogosławieństwo na śmierć. I zza kraty błogosławiła zakonnica święta, nie przestąpiwszy progu grobu swego synowi i prorokowała mu, że męczennikiem będzie, że wraz z rycerstwem zginie i zginie daremnie, że po trupach rycerzy pogoni daléj dzicz w kraje chrześciański i że bitwa, którą stoczy, klęską będzie i klęską być musi nieodwołalnie. A Henryk słuchając, wiedział na pewno, że matka prawdę mówiła, a jednak ruszył w bój. Bo zginąć mógł rycerz prawy, uchodzić nie mógł bez boju.

Garść mężów żelaznych stanęła naprzeciw ogromnego roju mongolskiéj, drobnéj konnicy. Gdzieś spojrzał, Mongołowie byli. Ale z pieśnią nabożną, z pieśnią konających natarli chrześcianie na ruchomy piasek ludzki i konie pancerne, pancerni mężowie, wywracali dzicz impetem; o cudo! mimo przemocy dzicz ustępowała, dzicz rozwierała swoje szeregi: było to już zwycięztwo!

Za rozwartemi szeregami konnicy zjawił się wróg drugi, gorszy, nieprzezwyciężony; zjawiły się owe poczwary żelazne, co z ust swych ciskały żelazne pociski. I czyż rycerz miał walczyć z nadludzką siłą? I czyż niedość mu było, gdy mężów szyk przełamie?

Nie cofnie się prawy rycerz chrześciański przed poczwarą żadną, ni przed czarami, ani przed Szatanem samym, jeno z pieśnią do Bogarodzicy na uściech, pogoni między żelazne gadziny, po śmierć, pośmiertną chwałę i niebieską koronę. Naprzód, naprzód w bój popędzono; działa ryknęły, pociski ogniste zasypały rycerstwo i ani jeden z rycerzy nie zdradził honoru, ani jeden nie uszedł żyw z pobojowiska; wszyscy z księciem na czele poszli śpiewać hymny radosne przed tronem Chrystusa w niebiesiech.

A teraz biskup, czy spowiednik, zwolnił ksienią od klauzury; matka wyszła na pobojowisko i płacząc gorzko, po nocy szukała poka-

leczonego ciała syna męczennika. I stało się zadość Kościołowi i stało się zadość rycerstwu i Polska nigdy nie zapłaciła Mongołom dani. Krwawiła się, męczyła się, nieshańbiła się nigdy, nie straciła nadziei i dzicz i ucisk przetrwała.

Ale trudno było nad miarę iścić cały ideał rycerstwa. Mógł człowiek świecki, co ubóstwiał idealną i niedostępną panią, w chwilowym zapale pogonić po śmierć męczeńską; mógł nawet na kilka miesięcy, albo rok cały popłynąć do Palestyny, by koło grobu Pańskiego odbywać święte harce, ale wtedy porzucał służbę ideału wcielonego w niewieście, zaniechał domowego ogniska i dworskiego obyczaju i rycerskiéj pieśni. Obydwie strony rycerskiego życia niepodobna było łączyć z sobą stale. Postanowiono tedy na jednych rycerzy barki stoczyć orężną służbę Bożą, drugim rycerzom przykazać nieustraszoną służbę niewiasty.

Gdy Konrad, książę mazowiecki, co roku widział dzicz najeżdżającą z Prus i Litwy kraj ochrzczony, ostatni kraj chrześciański od pogan, co jemu padł w udziale, zwątpił o tém, by z rycerstwem swém świeckiém mógł kraj swój obronić. Choć byłto pan gwałtowny i niedobry, byłby może przecież potrafił w imię honoru raz jeden wyjechać na czele hufców na śmierć pewną, jak to uczynił pod Lignicą krewniak jego Henryk II. Ale nad ziemian siłę było rok w rok ciągnąć w pole, zostawiając żonę i dom i dobytek; nad ziemian siłę było zamieszkać na pogańskiéj granicy, a doma być gościem. Więc Konrad służbę ową Chrystusową powierzył zakonowi Krzyżaków, jednemu z wielu rycerskich zakonów w Chrześciaństwie.

Po wszystkich zamkach i dworach w zachodniém Chrześciaństwie, od Famagusty na Cyprze, po ponury zamek Holyrood, co zwisł na czarném urwisku nad Edymburgiem, wśród mgły Północy i od czat portugalskich na arabskich kresach po Płock mazowiecki, śpiewano podówczas w trzech językach: prowensalskim, frankońskim i „najśliczniejszym" czeskim, o królu bajecznym Arturze, co niegdyś władł wyspą Brytanią, i przed Saracenami ją obronił; o królu, przy którego boku żył czarodziej Merlin i żyła najlepsza z niewiast hrabina Gryzelda; o królu, co założył pierwszy dwór rycerski w Chrześciaństwie. Na dworze tym był stół sławny, okrągły, przy którym dzień w dzień zasiadało dwunastu rycerzy, równych sobie cnotą i odwagą; a na to okrągłym był stół, aby nie robiono między dzielnymi mężami różnicy i aby żaden przed innymi niémiał pierwszeństwa.

A jednak dwu najgłośniéj zasłynęło: Trystram świat napełnił sławą miłości swéj dla czarodziejki Izoldy. Persywal wzgardził zalotną miłością i poszedł po świecie szukać San Graalu, Boskiéj czary, cudownéj czary, w któréj kipiała wiecznie najświętsza relikwia w Chrześciaństwie, prawdziwa krew Pańska, co ściekła z siedmiu ran na Golgocie i długą służbą orężną i rycerską cnotą wszelką zasłużył Persiwal na to, że krew tę odnalazł i że posiadł czarę San Graalu.

Oto rycerze krzyżowi, mnisi mieczowi i niemieccy, mnisi rycerze świętego Jana i templaryusze, obrali sobie zawód Persywala i duchowną połowę rycerskiego żywota. Zadaniem ich, celem ich jedynym, było mieczem bronić wiary. Były to wojska stałe Kościoła,—załogi, co u granic Chrześciaństwa w srogiéj karności pierś swoję nieustannie nastawiały na pohańców pociski. Mnichami się zwali, a naprawdę rycerzami byli, nie pokorni, jedno dumni; z osobna ubodzy, a razem od królów bogatsi; nie pokojowi, jedno wiecznie wojenni. A pośród zakonów rycerskich najgłośniéj zasłynął ów zakon niemiecki, co osiadł w Polsce i co założył królestwo potężne.

Nie każdy, co chciał, mógł wstąpić do zakonu. Trzeba było na to mieć przodków rycerzy i trzeba było być z prawego łoża, by módz dumnie zasiąść pośród dumnéj braci i wysoko nosić szczyt swój szlachecki. I trzeba było być Niemcem z rodu, by na ziemi polskiéj gardzić Polakami i w kraju pruskim deptać po karku Prusakom. Tylko szlachty niemieckiéj młodsi synowie szli do Królewca i potém do Malborga, zapisywać się między panującą brać zakonną. Ale raz przyjąwszy na się zadanie straży, musieli do śmierci żyć w twardéj służbie, ze strzyżoną głową, bez mienia innego nad płaszcz swój rycerski, bez woli innéj nad rozkaz komtura. Razem jedli, razem spali, razem wojowali, rodziny nie znali i tępili pogan bez miłosierdzia. Miasta chrześciańskie powstawały na ziemi wydartéj Prusakom, kraj się bogacił, skarbiec zakonu wzrastał, na trupach wznosiła się potęga nowa nad brzegami Baltyku, a po wyborze wielkiego mistrza można było wiedzieć, jak zakon ufał w prawdomówność i w sumienie rycerzy. Gdy mistrz umarł, szedł do kapitulnéj sali w Malborgu najstarszy komtur i głośno wołał do sali tego, którego mienił być najgodniejszym. Trzeciego przywoływał powołany i szło taką koleją, aż stanęło w sali rycerzy dwunastu. I wtedy nie było tajnego skrutynium, nie było kartek i tajemnic. Rycerze pisać często nie umieli, ale nigdy się nie wstydzili zdania, nigdy się nie lękali wypowiedzieć śmiałe słowo. Więc każdy mówił głośno, wszem, wobec—którego z przytomnych braci uważa za najgodniejszego. I który najwięcéj głosów otrzymał, ten został wielkim mistrzem. Choć wrogami naszymi byli rycerze niemieccy, jednak przyznać trzeba, że było coś wielkiego i szlachetnego w takim wyborze mistrza.

Ale trudno było mężom wojennym długo wytrwać w niełakomej cnocie. Każdy rycerz z Chrześciaństwa miał to sobie czas długi za obowiązek, przybyć do Królewca i Malborga w gościnę, aby na karkach Litwy zdobyć sobie złote ostrogi i zakon stał się niebawem bogatym gospodarzem, co sprawiał dla królów najwspanialsze gonitwy. Przybywali tu z koronami na głowie młodzi królowie; tu się mieli nauczyć najświętszych praw honoru; tu ich mistrz witał, jako król rycerzy i miał okazać, że jest szczodrym, jak na rycerza przystoi; więc pląsy sprawiali po zamkach zakonnicy i przypominali sobie miłość rycerską przy winie, i szlachetnym panienkom zaglądali zalotnie w oczy. A potém w Królewcu, na samém pograniczu dziczy, zastawiali biesiady i odbywali tur-

nieje, na których rycerz udawał, że z rycerzem walczy, a potém jechali w bory i bagna wraz z gościem królewskim na polowanie na pogan. Palono wtedy wsie, zabierano łupy, znieważano niewiasty i gdzieś na zgliszczu litewskiéj wsi pasowano królewskiego gościa na rycerza. I wywołując hasło, że od giermka zawsze więcéj rycerz wart, wracano do domu po nowe uczty.

Wielką chwałę, wielki rozgłos w Chrześciaństwie, niosły dla zakonu takie wyprawy. Więc trzeba było na Litwie zaszanować zwierzynę i na to, by co roku módz miéć wojnę, nigdy nie prowadzić wojny naprawdę; a szczodrość rzeczą kosztowną, więc trzeba było uciskać kupców i szlachtę i księży, by módz zastawiać sute biesiady; a pląsy i wino głowę zawracały, więc choć zakon nie przestał być srogim i krwi chciwym, stał się rozpustnym i odstąpił od drogi Persywalowéj.

Ulrich von Lichtenstein, rycerz niemiecki, o wiele wierniéj i prawdziwiéj poszedł w ślady wzoru rycerskiéj miłości Trystrama. I nigdzie nie znajdziemy tak pełnego i ciekawego obrazu, czém była miłość rycerska, jak w wierszowanym pamiętniku tego staroniemieckiego poety. Jużto przyroda nie dała mu nadto ozdobnego oblicza, miał rycerz ten prawy, gdy jeszcze giermkiem był, jakąś narość na uściech, co była powodem, że piękne niewiasty odwracały od niego swoje oblicza; mimo to, że byłto młodzian i dzielny i rozumny i szlachetnego rodu. A to, że nań nie patrzano chętnie, tylko wzmagało w nim ambicyą i żądzę przypodobania się kobiétom szlachetnym. A męczyło się szczerze pacholę, gdy je ówczesnym obyczajem na dwór oddano, do jakiegoś księcia; bo w romantycznym zapale postąpiło sobie tak, jak winno było postąpić w bajce i zakochało się w saméjże księżnéj pani—idealnie. Dla niéj zrywało kwiatki, do niéj pisało wiersze i choć pani ani nie zważała na nie, postanowiło okryć się wszelką pochwałą, aby od niéj wymusić uznanie.

Najpierw tedy trzeba było zostać rycerzem. Na turnieju, a nie na wojnie, zdobył sobie Ulrych złote ostrogi, jako téż jako żyw na wojnie nie bywał i tak, jak poświęcał się przeróżnym trudom dla urojonéj miłości, tak najczęściéj zaglądał w oczy urojonym tylko niebezpieczeństwom. Wyjechał tedy konno, w pancerzu, z kopią w ręku, na miejsce otoczone trybunami dla dam i starców, i przez herolda wyzywał do boju, i wedle przepisu kruszył kopie, aż jednego rycerza o ziemię powalił, i aż mu kazał przyznać że jego, Ulrycha, pani, któréj imienia nie wymienił, najpiękniejsza z niewiast. Potém dał się na rycerza pasować, i mógł odtąd po prawie wzdychać fantastycznie, głupiec żelazny.

Napisał tedy, czyli raczéj podyktował swemu skrybie, książeczkę z wierszami i przesłał ją w podarunku pani swego serca, i dostał w odpowiedzi oznajmienie, że daremne jego westchnienia i że księżna nie może go przyjąć za rycerza swego, a to z dwu przyczyn: najpierw dlatego, że nie jest z książęcego rodu; a powtóre i co najważniejsza dlatego, że przez narość na uściech jest szpetnym, i że na niego nie może się patrzeć pani, którą sobie obrał.

Niedługo namyślał się Ulrych. Udał się do sławnego lekarza i zażądał tego, by mu ową narość wycięto, witając z uniesieniem sposobność pokazania pani swéj, że da sobie rad dla niéj ciało krajać. I jak sam utrzymuje, cierpiał straszliwie pod nożem, a potém gorzéj jeszcze, gdy mu ranę smarowano jakąś okropnie cuchnącą maścią. Ale gdy się męka skończyła, mógł się pokazać pani swéj; i doczekał się tego, że nań spojrzała łaskawszém okiem i że dała mu znać, przez jednę ze swoich dam honorowych, że teraz znajduje, że Ulrych wygląda wcale przyzwoicie. Nie szło jednak bynajmniéj za tém, by go już teraz rycerzem swoim widzieć chciała. Na to bynajmniéj jeszcze poeta nie zasłużył i niejeden miał trud jeszcze podjąć, niejednę piosnkę wymyślić, zanim dostanie od pani swego serca wstęgę i pochwałę. Rozumiał to zresztą Ulrich, że do celu tak łatwo nie dopłynie, i już tém się cieszył, że wolno mu było się ubiegać otwarcie o łaskawsze względy obranéj „imperatorowéj swego serca," jak mawiano w bombastycznym języku rozkochanego rycerstwa.

Ale zanim się podjął fantastycznych zadań, postanowił sobie zapewnić prawdziwe szczęście ludzkie, a że teraz był wcale przystojny i niemniéj, jak dawniéj, dowcipny, znalazł z łatwością kobiétę, co zechciała być jego żoną. I kochał ją bardzo i był jéj wiernym małżonkiem, i miał w niéj powiernicę, co słuchała cierpliwie, gdy się skarżył lub chełpił, prawiąc o trudach i przygodach, których doznał, służąc platonicznéj kochance. Naprawdę i po ludzku i chrześciańsku kochał Ulrych żonę swoję; a poświęcał życie swoje dla kobiéty, o którą naprawdę nie dbał, a którą wyidealizował konwencyonalnie, chcąc w niéj miéć najbardziéj wymagającego sędziego swojéj rycerskiéj cnoty.

Nie potrafimy powtórzyć wszystkich dziwactw, które Ulrych wyprawiał dla zdobycia upragnionéj pochwały. Dość powiedziéć, że raz palec sobie uciął i ucięty palec przesłał pani swego serca, na pamiątkę, w książeczce z wierszami; naprawdę dziwny podarek dla czułéj kochanki, choćby dla urojonéj tylko pani serca! A w dodatku nie możemy tego pominąć, że Ulrych wyprawiał po Włoszech, Niemczech i Czechach harce, jako pani Wenera.

Gdy bawił w świetnéj już wówczas Wenecyi, wyprawił po przed siebie przez Fryul, Krainę, Styryą i Rakuzy do Czech gońca z doniesieniem i ogłoszeniem, że wielce miłościwa Pani Wenera, wyjdzie napowrót z fali morskiéj, nieopodal od Adryatyckiéj stolicy i że z orszakiem giermków lubych przejedzie przez wyż wymienione kraje, by dowieść wszystkim, z kopią rycerską w ręku, że księżna, którą ukochał rycerz Ulrych von Lichtenstein, najpiękniejszą i najcnotliwszą niewiastą z całéj ziemskiéj kuli; niechże każdy rycerz prawy, co zamieszkał po drodze bogini, przyjdzie pogonić na ostrze w obronie swéj duszy.

Taki uniwersał wydał Ulrych i po niejakim czasie wyruszył w ślad za uniwersałem. I dziwna maskarada jechała ku Czechom, z rycerzem na czele, przebranym za grubą, brzydką, średniowieczną

damę, którą giermkowie tytułowali najmiłościwszą panią Wenus. I szpetny ten rycerz-dama miał na sobie, pod suknią, pancerz i odbywał udane pojedynki z innymi junakami, o cześć i chwałę damy, któréj nazwiska i imienia, przez dyskrecyą, nie wypowiadał.

Powiedźcież czytelnicy moi, zrodzeni w tym rozsądnym XIX wieku, czy może być coś śmieszniejszego nad tę wyprawę rycerza Ulrycha, o przestrzelonéj głowie, pociętéj chirurgicznie twarzy i odrąbanym palcu.

Wyprawa się powiodła. Najczęściéj we wszystkiem tylko udane pojedynki były rozegrane, ale dwanaście razy zwyciężył Ulrych, ani razu nie zwyciężony. Prócz tego bywał wielki śmiech i rumor, gdy wielce miłościwa pani Wenus przychodziła się modlić pomiędzy kumoszki. I wszystkie te arcyważne sukcesa były przyczyną tego, że gdy Ulrych już odpoczywał u wielce ukochanéj żony swéj, otrzymał radosną wiadomość, że pani jego serca dała się wzruszyć i że domaga się tego, by się przebrał za trędowatego, by sobie twarz *ad hoc* zeszpecił; i by między trędowatymi czekał na jałmużnę u bram zamkowych, w dzień oznaczony. By z nimi jadł i pił i spał, a dostąpi szczęścia tego, że go wpuszczą nocą i pokryjomu przed oblicze wreszcie przebłaganéj księżnéj.

A jeśli jaka próba na świecie była straszną i ohydną, była nią niezawodnie próba, któréj uległ teraz rycerz-poeta dla służby niewieściéj. Trędowaty w średnich wiekach byłto umarły i gorzéj jak umarły. Przez długie lata gnił dosłownie za życia, przechodząc najstraszliwsze a powolne męczarnie, i był zupełnie nie do uleczenia, a mógł nadzwyczaj łatwo zarazić tych, coby się z nim spotkali. Gnano ich tedy z pomiędzy ludzi i klątwa kościoła i groźba sądowa broniły im zarówno przystępu do żywych i zdrowych. Wśród puszcz średniowiecznych wznosiły się ich przysiołki, i gdy kto na trąd zapadł, kładziono nań całun, odśpiewano nad nim *requiem* i jako umarłego już wyprawiano w taką trędowatych osadę. I co najokropniejsza mnożyli się i żenili tam owi potępieńce, przekazując swoję klątwę nowym pokoleniom. Kto się tam dostał, tracił przywileje stanu i mienie, tracił prawie przystęp do sakramentów, tracił wszelką nadzieję.

Oto fantastyczna pani serca Ulrychowego, przypuszczała w dzień pewny, ku pokucie i umartwieniu swemu, takich nieszczęśliwych pod jednę ustronną basztę zamku, i z okna na piętrze rzucała im ostrożnie jałmużnę. I teraz zażądała, by rycerz Ulrych naraził się dla niéj na trąd i klątwę, i honor rycerski zmusił Ulrycha do tego, by uczynił zadość życzeniom swéj pani. Zażył zioło jakieś, w skutek którego twarz mu spuchła, ubrał się w całun i poszedł z ohydnym tłumem przed zamek: przebywał z nimi, jadł i spał, i zaiste, trudno pojąć takie szaleństwo.

Zato w dni kilka wreszcie otrzymał nagrodę. W nocy przystąpił do muru zamkowego, tajemniczo, romantycznie, idąc pod okno księżnéj. I księżna wraz z damami dworskiemi swemi spuściła ku nie-

mu kilka związanych prześcieradeł. Chwycił się ich rycerz, panie ciągnęły, lecz niestety pociągnąć nie mogły, bo rycerz był nadto ciężki. Więc Ulrych wysłał po prześcieradłach giermka swego, na górę paniom ku pomocy, i zniósł przykrość nielada, bo księżna i pani jego serca, udając, że myśli że to on już przybył na górę, giermka przywitała gorącym całusem. Dopiéro potém rozpoczęły się śmiechy i eksplikacye, niekoniecznie miłe dla biédnego Ulrycha i po eksplikacyach zaczęto rycerza windować na górę. A gdy już był wysoko, puszczono ręczniki tak, że się rycerz, wśród śmiechu dam, potłukł srodze.

I powiedźcież mi, ludzie; czy warto po rycersku służyć ideałowi? I czy długo jeszcze żyć mogło rycerstwo takie?

Gdy król wielki teraz nastał, niemiał to już być mąż z żelaza, zasiadający wśród dwunastu wojewodów, jak Artur bajeczny, jak Karol o wielkiéj stopie i świetnéj brodzie, cesarz Zachodu, i jak miłośnik biesiad, niewiast i bitew Bolesław Chrobry. Turnieje bywały na dworze u Kazimierza Wielkiego, ale zabawą były już tylko i nie na rycerstwie opierał się król, co nie dbał o klątwy kościelne. Prawników miał przy sobie i kupców, uczonych gromadził i wierzył już w nową świecką cnotę, która miała kwitnąć na wszechnicy w urzędzie i rzemiośle, gotując drogi dla czasów nowszych. Z świecką już księgą w ręku miał profesor i doktor w todze zajrzéć pytająco w oko biskupa i papieża, rzemieślnik pieszy miał, sparty o wielką arkebuzę, nieść strzałami ogromnemi zniszczenie między chełpliwych, konnych, żelaznych rycerzy, a urzędnik króla jegomości, łamiąc wszędzie pańską butę, miał po całym Zachodzie prawić głośno o króla najwyższym majestacie, i o rzeczypospolitéj zbawieniu, wbrew pretensyom, starzejącym się powszechnéj władzy cesarzy rzymskich z niemieckiego rodu. Do grobu, do grobu szły średnie wieki, nic ich po téj drodze powstrzymać nie mogło. I jeśli miał czasem jeszcze król czeski, albo arcyksiążę Rakuski jechać do Rzymu po to, by od papieża otrzymać koronę Wielkiego Karola, czynił tylko zadość czczéj formie, o któréj wiedział, że jest czczą formą, i wcale nie wierzył w swoje *imperium mundi* i nazywał królów ościennych braćmi swymi i najmiłościwszymi panami. I gdy Władysław Biały Piast i rycerz prawy nad innych rycerzy, wyciągnął dłoń po polską koronę, po śmierci Kazimierza, którego przezywał pogardliwie królem kmiotków, mógł tylko zrobić bezsilną awanturę i nie zdołał przełamać zapory, które zewsząd postawili trzeźwi ludzie, doktorowie praw i teologi, mieszczanie i urzędnicy. A przecie świat nie widział dzielniejszego rycerza. I nietylko w kłamanéj służbie urojonéj kochanki, i nietylko na czczym turnieju odznaczał się Władysław Biały, zsadzając z konia Kastylian, Francuzów i Anglików wszędzie, gdzie się tylko zjawił. Władysław znał prawdziwe bitwy i prawdziwe niebezpieczeństwo, i zaglądał przeciwnikowi w oczy, i jechał konno po całém Chrześciaństwie, by po rycersku prostować krzywe drogi, i bronić słabszych przed przemocą. I wreszcie, chcąc dopiąć niebieskiéj łaski i w klasztorze bywał Władysław, i mnichem bywał, aby walkę ducho-

wą toczyć ze złemi mocy. W nim się ześrodkowały niejako całe średnie wieki, i rycerska poezya wyniosła go zasłużenie na wysoki piedestał. We Francyi, w Anglii i Hiszpanii wspominano jeszcze przez trzy wieki króla Lansetota, póty, póki go nie wyśmiał nieubłagany Cerwantes. Wyobrażała go sobie ludzkość, jako skrzydlatego rycerza, któremu była dana dziwna moc, że mógł się niesłychanie prędko przenieść choćby z Indyi do Szkocyi, na koniu, z giermkiem i w pełnéj zbroi. Powiadano o nim, że ze smokami się spotykał i z czarownikami i ludożercami, co nie zwykli chodzić po świecie. Różne cuda prawiono o księżniczkach, które wydobył z zaklętych zamków i o hipogryfach, na które dosiadał. Sto lat pierwéj, byłby niejedno królestwo obce otrzymał ten rycerz prawy. A teraz miał dolę, podobną do doli owego spóźnionego republikanina Katona młodszego. Chwalono go, ale zawsze zwyciężano.

Bywało jeszcze, że cesarz tytularny Zachodu potrzymał w Rzymie, albo w Pizie, albo we Florencyi na soborze strzemię papieża, i nawet równie, albo bardziéj jeszcze bezsilny cesarz Wschodu zasiadał na soborze u schyłku średnich wieków, wypierając się błędów Focyusza i korząc się przed biskupem rzymskim i następcą Piotra, co pierwéj nie bywało. I w sto pięćdziesiąt lat po Kazimierzu Wielkim, mógł najgorszy z papieży Aleksander Bordżya kreślić na kuli ziemskiéj idealną linią przez nieodkryte jeszcze morza i lądy i wypowiedzieć i zawyrokować, że co po jednéj stronie téj linii leży, należy do królów Portugalii, a co się po drugiéj stronie znajduje, jest wieczną własnością królów Kastylii i Aragonu. A jednak świecka wszechwładza Kościoła kończyła się niepowrotnie i nie starczyło już Kościołowi siły do tego, by zgnieść coraz częstsze na Zachodzie herezye. I zacierała się coraz bardziéj granica między kacerstwem a prawowiernością. Przez długi czas w XIV i XV wieku nie wiedziano który z dwu, a wreszcie z trzech papieży naprawdę papieżem i naprawdę nieomylnym, a potém sto lat spierano się o to, czy w ogóle papież jaki nieomylnym być może i czy nie dopiéro sobór duchem świętym natchniony, bywa prawdomównym nauczycielem ludzkości. Mnogie uniwersytety, wychowane na łonie Kościoła; mnogie narody, ochrzczone na Zachodzie i Północy dowodziły nieustannie papieżowi, że on tylko najwyższym soboru urzędnikiem i wykonawcą jego woli; i trudno było się obronić papieżom u końca i zgonu wieków średnich.

Gdy patrzymy na olbrzymie budowy późniejszego gotycyzmu, co strzeliły w niebo właśnie wtedy, gdy średnie wieki konały; gdy patrzymy na misterne zbroje i kopie i dzidy po starych zbrojowniach, na owe stroje koni i rycerzy XV stulecia, myślimy że i Kościół i rycerstwo wtedy najświetniéj panowały. A to tymczasem średnie wieki wystawiły sobie tylko grobowiec kamienny dziergany misternie, lotny i ogromny, i przystroiły się tylko na mary w owe wspaniałe zbroice.

Na uniwersytecie, powiadam, rosło życie nowe i przy warsztacie. I dziś uniwersytet rzeczą ważną, przybytkiem nauki, i piastunką no-

wych pokoleń. Ale nie jest już tém, czém był za młodocianych swych lat, wtedy, gdy walczył z papieżami o władzę nad Kościołem, a z rycerstwem o władzę nad państwem. Nie sądzi, nie rządzi, nie króluje już i rektor nie dzierży już prawa miecza nad niesforną i hulaszczą zgrają studentów. Wiek złoty uniwersytetów przeminął niepowrotnie.

Chrześciańskim był uniwersytet, i mienił się być katolickim, choć wciąż z papieżami toczył spory. Jeśli nie żądał tytułu *majestatis* dla siebie i urzędników, sięgał przecie po zaledwo mniéj szumny tutuł *magnificentia*, i niewiele mniéj myślał o sobie jak senat rządzący Wenecyi. A kto doń weszedł, ten choć poczęści należał doń całe życie, ten miał dla uniwersytetu obowiązki rycerskie, i szczycił się tym związkiem, będąc ministrem albo kardynałem, jeśli nie wolał pozostać całe życie wśród grubych i ciężkich ksiąg i gotyckich murów wszechnicy. Na uniwersytet przychodziło dziecko, żaczek mały, i na uniwersytecie konał starzec wielce czesny, co od dziecka myślał i czuł gotycką zrazu a potém klasyczną łaciną.

Dziwnychbo wyrabiała ludzi, dziwne rodziła myśli owa łacina gotycka, ów język powszechny, którym nie już tylko uczony, ale prawie rycerz każdy władał. Na szczęście dla siebie, zyskała królewskość w roju „kleryków," czyli piśmiennych nowych sprzymierzeńców dla siebie; bo gdyby ci klerycy byli się jak dawniéj garnęli pod sztandar Kościoła wojującego, byliby nazawsze przepadli królowie.

W odosobnieniu od świata, choć żonaty, gardząc tłumem, choć najczęściéj nie szlachcic, już strojem od innych różny, przybrany w togę i biret, w Terencyuszu zakochany, tak jakgdyby Terencyusz nowożytne opisywał obyczaje, żył bakałarz, magister lub doktor średniowieczny. O teologii nie rozprawiał, mając słowo *distinguo* ciągle na uściech, i chciał koniecznie wmówić w Ojców i w Pismo, że tak jak on myśleli. Prawo rzymskie ukochał, i uwierzył że każdy udzielny książę feodalny ma *jus principis*, dawne prawo bizantyjskiego imperatora. Jużto świątobliwym nie był koniecznie, nie był bynajmniéj. Nie było większéj w mieście plagi jak żak. Od lat dwunastu gardził już mieszczuchem nieuczonym, i bezpieczny, obroniony od wszelkiéj napaści przez ogromne przywileje uniwersytetu, stanowiące, że tylko rektor i jego senat przyboczny mogą karać studentów, wyrabiał wszystkie zbytki, które mu na myśl przyszły. Nie mówię o tém już, że rozpusta i pijaństwo zawsze u studentów kwitły, że profesorów nie raziły, i że u schyłku średnich wieków widać było po miastach uniwersyteckich jakby powtórzenie pogańskich uroczystości przedwiecznych, wśród których niewiasty stawały wśród ulic i ludnych rynków bez innego stroju, nad włosy długie i wianek kwiatów na głowie. I mieniu, i pokojowi i życiu mieszczan grozili, nieraz nadto butni studenci. Bez wstydu i strachu, w płaszcze otuleni, kryli się po portykach średniowiecznych miast, i wypadali nocą z krzykiem z poza słupa, i ze sztyletem w ręku okradali, zabijali często przechodnia spóźnionego, a zwłaszcza żyda,

spodziewając się, że w panu rektorze znajdą łaskawego sędziego, co zważywszy ich młodość i wielką ich ubóstwa potrzebę, na gardle nie ukarze, a co najwięcéj skaże na *carceres*.

A i pan profesor czynił rzeczy zakazane. Choć wierzył święcie w Arystotelesa, w Ojców Kościoła i w Justyniana, miewał przekonanie, że są rzeczy niezawarte w księgach tych mężów, a których znajomość dałaby ludziom anielską prawie moc na ziemi. Była wprawdzie nadzieja, że człowiek nabożny, kiedyś się dostanie do nieba i że tam mądrzy serafini będą mu tłómaczyć wszystkie cuda stworzenia i wszelką ciekawość jego zaspokoją do syta. Będzie wiedział czemu każda gwiazda to a nie inne zajmuje miejsce na kryształowym sklepie niebieskim, i zkąd się biorą ziół wszystkich moce. Ale jakżeż to długo na to czekać, jakiż cel wędrówki dla uczonego profesora nie pewny! Czy spory z papieżem, czy mnogie grzechy młodości, czy sama zbytnia nauka nie przeważą szali sądu na niekorzyść męża w todze i birecie? Czy prostacy wypadkiem nie dostaną się do nieba, a do piekła niewpadną uczeni? tam gdzie ciemność zewnętrzna i zgrzytanie zębów?

A skoro zbawienie nie pewne, a zbawionych największą rozkoszą wiedza, czemuż niepróbować czy się wbrew woli Boga i na złość stróżom Kościoła nieda osiągnąć za życia doczesnego wiedza nadludzka, wezwawszy wpierw do pomocy przeklęte demony? Przecież oneto niegdyś pogan uczyły ich dziwnéj mądrości? I czyż się i dziś przywołać nie dadzą?

Więc Rajmund Lullus, Faust, Roger Bacon i Twardowski, zamykali się po nocy w niedostępnym pokoiku, i budzili przy świetle lampy, w obecności zasuszonych mumii niedobre duchy natury. Nastawiali cierpliwie retorty, ciekawi czy w nich nie powstanie wypadkiem złoto? czy się nieda wytworzyć kamień filozoficzny, eliksyr życia tajemniczy, co człowieka nieśmiertelnym czyni, i tak go wyrwie na złość Bogu z pod ręki Bożego sądu? Albo czy pośród alchemicznych ogni nie wstanie człowieczek, *homunculus*, stworzony z woli innego człowieka, i czy tak profesor niepowtórzy największego cudu Bożego?

Albo znowu magister spragniony wiedzy, lazł w nocy na dach, lub kościelną wieżę, i patrzał i patrzał na gwiazdy nieustannie, pytając się tych świateł jaśniejących o przyszłą dolę królestw i ludzi? I daremne było zabronione uczonych oczekiwanie, jak mówią dziś. A wtedy mówiono, że niejeden z nich posiadł pożądane tajemnice, niejeden z nich do czasu więził piekło, i cudownie przedłużał życie, i nawet z grobu wywoływał umarłych, i zmuszał ich by po nocy wśród błękitnych płomyków mówili o tém, co na tamtym świecie widzieli. Bądź cobądź, gdy magister taką polubił naukę, chodził do kościoła na to chyba tylko, by od siebie odwrócić podejrzenie, i wiedział że kiedy sakramenta przyjmuje, przyjmuje je tylko ku wiecznemu potępieniu, i nie myślał, by warto było pracować na zbawienie, trapiąc ciało; więc magister taki, czy ksiądz, czy człowiek świecki, w jawnéj żył rozpuście.

Więc czy o występku tylko, o świadomym występku przyjdzie mówić, prawiąc o uczonych uniwersytetach? Nie! Miały i one właściwą sobie cnotę, miały wiarę, miały obowiązek, do którego dążyły często jeszcze niezgodne same z sobą, ale zawsze swojego nowego, wielkiego celu świadome. Jak niegdyś Kościół, tak dziś uniwersytety świat przerabiały.

Świat się wydał uczonemu pokoleniu bezładnym i dzikim. Wstyd mu było, że narody, z których ono wyszło nie posiadły tego prawa, téj nauki i ładu, o których czytało po starych księgach, i tak się wżyło w jakiś urojony i niebyły nigdy świat podług myśli Arystotelesa, Augustyna i Justyniana, że nie spoczął, aż po części przynajmniéj świata takiego nie urzeczywistniło. Doktor średniowieczny działał pędzony jakimś estetycznym popędem i świat przerabiał nie na to, by zarobić na zbawienie, bo często wierzył że na siebie ściągnął wieczne potępienie, i nie na to by drugich uszczęśliwić, bo gardził niedouczonym motłochem i nie dbał o motłoch ten, ale na to, by się nie potrzebował wstydzić wobec pamięci ludzi starożytnych. Chciał uczony mąż, by jego naród mógł stanąć godnie obok Greków i Rzymian, nie rumieniąc się. Chciał by przyszli świata uczeni, jedyni ludzie o których dbał, i jego pamięć, a przynajmniéj pamięć jego pokolenia mieli w zachowaniu; chciał, by kiedyś, choćby tam w piekle, czy w raju, w którym cnotliwi i mądry niedowiarkowie przebywają daleko od Boga, aby tam Platon i Wergiliusz przywitali łaskawie późno zmarłych ludzi i raczyli z nimi mówić nie jak z barbarzyńcami; i może pragnął w tajemnicy serca by się motłoch czy to szlachecki, czy nieszlachecki, nauczył szanować filozofa i prawnika, by się infuła i hełm pochyliły przed biretem, i by jedyny człowiek ludzkości godny, doktor uniwersytetu, stanąwszy przy królu jegomości, rozkazywał.

A najpierw i przedewszystkiém, chodziło o uznanie w rzeczypospolitéj uczonych. Na to, by je zyskać, trzeba było długiéj, usilnéj pracy i niezmiennéj dyscypliny. Żak swawolił czasem, lecz jak żołnierz był karny w szkole, i zawczasu pragnął szkolnego odznaczenia. Być pierwszym pośród uczniów, dostać nagrodę lub odznakę, i jak niegdyś Greczyn zwycięzca w Olimpii w wawrzynowym wieńcu poprzed kolegów stąpać, wyrecytować im wiersz z Marona, grać główną rolę w komedyi Plauta, o tém marzył żak i we śnie i na jawie, i o tém marząc, przyuczał się nowego uczonych honoru. Aby być znacznym w uczonéj rzeczypospolitéj, nie trzeba już było kopii kruszyć, dotrzymywać junacko danego słowa, choć to było słowo nierozsądne, i bronić do śmierci choćby straconéj sprawy. Inne męztwo, inna prawdomówność, inna wytrwałość tu były potrzebne. Stanąć wśród rady w obliczu kardynałów i królów w koronach, choćby w obliczu samego Sługi sług Pańskich ściskającego w ręku bulę z klątwą, i wobec nich wszystkich bronić ze spokojem niemiłéj dla nich tezy: oto męztwo nowe; wytrzymać stale nacisk zdań cudzych, cudzéj ironii i cudzego oburzenia:

oto zadanie, do którego niemniéj trzeba odwagi jak do boju. A kto temu nie wierzy, niech sprobuje!

I kto chciał posiąść uczoną cnotę, ten musiał postawić straż u ust swoich. Uczonemu nie wolno było niebacznie dać słowo, nie wolno było zmienić kréski w przepisanym tekscie, i opowiadając, nie wolno było odmienić odcienia myśli. Rycerz kłamał dla własnéj chwały, i mówił prawdę na to chyba, by na siebie samowolnie ściągnął niebezpieczeństwo. Uczony często milczał ostrożnie, ale gdy mówił o nauce swéj, musiał z największą pilnością strzedz tego, by nie wypowiedział choćby tylko niebacznego zdania.

A nową wytrwałością była wytrwałość w szperaniu, była wytrwałość w zdobywaniu obcéj mowy. By osiągnąć honor uczony, trzeba było bieg gwiazd obliczać jak Arab, albo jak łacinnik władnąć Cycerońskim peryodem.

Królowie ludzi takich lubili. Królom dali się weznaki papieże, biskupi i panowie; miłymi im byli przeto uczeni. Gdy papież cisnął na króla bulę, przeglądali ją uważnie prawnicy królewscy i znajdywali, że jest w niéj wada formy, i że przeto jest jako klątwa, czy jako rozkaz nieważną; albo odwoływali się *a papa male informato ad papam melius informandum*, albo apelowali do soboru przyszłego, albo od papieża w Rzymie, udawali się do papieża w Awinionie. A tymczasem król jegomość mógł z czystém sumieniem w Wiśle utopić księdza, co przyszedł do niego z ekskomuniką, i dawać kapitułom rozkazy, i odbierać od opactw podatki, i mieszać się do księżego sądownictwa, a wreszcie późniéj mianować biskupów, nie oglądając się na nikogo, choćby na papieża albo antychrystę.

Rycerz każdy, czy możny, czy ubogi, żartował sobie z królewskiego sądownictwa, podobnie jak i ksiądz i zakonnik. Tylko równy na świecie sądził równego, więc rycerz był bezpieczny, bo gdzież go rycerz drugi za lada co zasądzi! I dla króla ztąd wyrastał kłopot nie lada, i nie było na to rady, jak chyba u uczonego i prawnika. Ten na wszystko miał pod ręką teoryą gotową, z którą wyjeżdżał z czystém sumieniem, i głębokiém przekonaniem. Dowodził tedy, że królewski majestat wszelkiéj sprawiedliwości i wszelkiego sądu źródłem najwyższém i jedyném, że wszelkie obyczaje, które się zdają sprzeciwiać królewskiéj wszechwładzy, są tylko przywilejami, które jeden z królewskich przodków raczył dać piśmiennie czy też ustnie i które król jegomość może odwołać gdy zechce. I teraz pewniejszy siebie, wstawał król w poczuciu majestatu. Wojewoda Maciek Borkowic szedł do lochu na śmierć głodową z wiązką siana i dzbankiem wody; późniéj na prostéj szubienicy jak złodziéj wisiała pani Rusanowska, hrabia Alençon ścięty leżał na żelaznéj klatce, a w klatce synowie jego, pańskie pacholęta, ani wstać nie mogły, ani siąść i nie mogły się położyć, tylko skulone straszliwie znosiły okropne męki, pokutując za swój ród i nie miłą królowi przodków potęgę, a krew ojca przez kratę kapała na ich głowy. Bo rozum mieli prawnicy a nie mieli serca, i wymyślili okrop-

ne kary, szubienicami najeżyli królestwa, i gdy się winy dopytać chcieli, na męki subtelne obwinionego brali; i silną, stałą, żelazną ręką kruszyli zamki pańskie. I nawet kwiat rycerstwa najwspanialszy, zbrojne zakony templaryuszów i krzyżaków nieostały się przed nimi. We Francyi wynaleźli na templaryuszów prawnicy oskarżenie: że to czarodzieje i bezbożniki, i wymusili od papieża, królowi g'woli rozkaz, mocą którego rycerze na stos się dostali, a majątki ich poszły do królewskiéj skarbnicy. Biało na czarném dowiedli prawnicy krzyżakom, że królestwo bogate, którém władną ponad Baltyckiém morzem, winno być własnością króla jegomości; i choć zrazu zakonnicy zbrojni zaśmieli się pogardliwie z prawnych dekretów i historycznych wywodów, i o miecz uderzywszy, mieli sobie za nic uniwersytecką i królewską *gentem togatam*, dekret padał po dekrecie i dowód szedł po dowodzie, aż świat przestał wierzyć w krzyżaków sprawę. Urzędnicy królewscy, nie zakonni rycerze Litwę ochrzcili; urzędnicy królewscy wojska postawili liczne, zbuntowali poddanych zakonu, i wreszcie zgruchotali dumny i potężny zakon. Już podówczas nie dobrze było walczyć z książką.

Nareszcie prawnik sławny i przyboczny urzędnik króla Jegomości, Jan Ostroróg, spisał niedościgły ideał urzędniczéj uczonéj duszy. Samowola wszelka, nieład wszelki, miały być ukrócone; minister miał przejść się po kraju, jak ogrodnik po szpalerze z nożycami i król, idąc między swoich poddanych, miał się cieszyć widokiem narodu, w którym wszystko było po myśli uczonych i w którym nic a nic nie zostało na malownicze świadectwo przeszłości. Ludzie i stany niemiały być porównanemi, jak tego zażądał późniéj dogmat rewolucyjny, ale miały być ukartowanemi i ułożonemi, jakby na półkach księgi w gotyckiéj uczonego izbie. Wszystko miało tylko służyć Rzeczypospolitéj, to jest królowi, Rzeczypospolitéj uosobistnieniu, otoczonemu przez ciało uczonych i myślącego tylko tak, jak chcieli magistrowie i doktorowie. Biskupi i księża nie od Rzymu zawiśli, jedno od króla Jegomości; mieli lud napomnieniem prowadzić do obyczajnego, spokojnego i pracowitego żywota i obietnicą nagród i groźbą kar pośmiertnych powstrzymywać wiernych od bójek, buntów i wszelakich nieporządków, szkodzących dobru ogółu. Uczeni przyobleczeni w birety swoje i togi, mieli, jako sędziowie i urzędnicy, piastować władzę i strzedz, by wszystko się działo w Rzeczypospolitéj wedle ich myśli własnéj i wedle uniwersyteckiego ideału. Szlachta miała orężnie bronić całości państwa, a w tym celu było pożądaném, by wydzierżawiła włości swoje, albo lepiéj jeszcze wyprzedała je i żyła tylko z danin i dziesięcin, oderwana od rolnictwa, w wielkich obozach w pobliżu zamków królewskich; przemysł miał spoczywać w ręku mieszczan, podzielonych na rozmaite cechy, a rolnictwo miało być wreszcie wyłączném zajęciem kmieci. Słowem, królestwo całe miało się rozłożyć schematycznie, jak systemat uczonego scholastyka; miało stanąć w sztywne fałdy, jak złotogłowie na szacie średniowiecznéj pani.

I jakby odzwierciedleniem politycznych marzeń owéj wielce uczonéj, a przecież podówczas wcale praktycznéj urzędowéj głowy, jest księga miasta Krakowa, prześliczne owe arcydzieło sztuki miniaturzysty, przechowane w bibliotece Jagiellońskiéj. Widzimy tam na każdéj kartce odmalowany już za pomocą wytworniejszéj sztuki odrodzenia, osobno, jeden ze stanów Rzeczypospolitéj polskiéj z czasów króla Aleksandra Jagiellończyka. Więc jest na czele król w majestacie, są senatorowie, rycerze, kapłani i uczeni, a potém rozmaici, a rozmaici mieszczanie, przystrojeni w rozmaite cechów swoich stroje, a oddający się robotom swoim wśród gotyckiego, słonecznego Krakowa dni owych. I jako księga ta podobna do urzędniczego ideału, tak samo podobna do rzeczywistości ówczesnéj miejskiéj. Bo wszędzie w Chrześciaństwie bywał urzędnika sprzymierzeńcem mieszczanin, uzbrojony czyto w młot, czyto w szydło, niezmordowany średnich wieków grabarz, czasów nowszych pan przyszły.

Ze wszystkiém inny średniowiecznego, a starożytnego miasta początek. Gród starożytny zakładali bogowie. Z niego wyszły wszystkie Rzeczypospolitéj władze, on był początkiem narodu i siedliskiem starodawnéj szlachty i tylko to, co w niém urodzoném było, dobrze urodzoném było i zasługiwało na cześć u bogów i u ludzi. Przeciwnie miasto średniowieczne było przypadkową prawie osadą, podrzędną rzeczą wśród rolniczego narodu, pracownią tylko i warsztatem, a mieszczaninem być, znaczyło to być robotnikiem trochę szanowniejszym, człowiekiem napoły tylko i od niedawna wolnym, posiadającym połowiczne prawa i nie mogącym się wcale równać z szlachcicem zbrojnym w miecz a gardzącym wagą i miarą.

Książę, biskup, lub opat, gromadził dokoła kościoła, lub zamku przemyślniejszego niewolnika i wiedząc, że do misterniejszych dzieł sam przymus nie wystarczy, zachęcał do pracy datkiem rozmaitych swobód i przywilejów: niewolników i osadników zamieniał w wyzwoleńców, pozwalał im handel prowadzić na własną rękę, własne spory rozsądzać, własną starszyznę obierać i własnemi sprawami rządzić, aż do pewnéj miary. Nie porównał ich bynajmniéj ze szlachtą, nie oddał im w własne ręce władzy wszelkiéj, przełożył nad miastem starostę z prawem miecza, ale zawsze uczynił z nich ludzi lepszego stanu, jakto mawiano; a przyczyną owego wywyższenia była przemyślność rzemieślnicza, albo obrotność kupiecka. Wiedział o tém rzemieślnik i kupiec i przeto właśnie w doskonałości wyroków i w kupieckiéj pomyślności, szukał i nadal źródła zaszczytów. W tém, a nie w czém inném widział swój honor.

A przeto dostarczać słownie towaru dobrego i taniego stało się nowym rodzajem cnoty. Pracować dla siebie, a pracować sumiennie, było nowym obowiązkiem. A w dodatku wiedziano, że napaść rycerstwa miastu zawsze grozi; wiedziano aż nadto dobrze, że starosta pański dokuczyć potrafi i wiedziano, że trzymając się kupy, można się obronić przed starostą i przed rycerzem. A że niedawną i zaszczytną zdo-

byczą były prawa korporacyjne, które mieszczan odróżniały od kmieci i że prawa te dawały im właśnie ową pożądaną możność obrony, więc i do nich lgnęli mieszczanie, więc i niemi się szczycili i zaczęli ich obronę uważać za nowy, a święty obowiązek, za polityczną cnotę, co dla nich była równie ważną, jak dla rycerzy służba królewska, a dla mnichów posłuszeństwo wobec papieża. Król groził, papież wyklinał, a jeśli tylko miasto dość bogatém, a ludném było, jeśli zdołało się wczas opasać murami, nie dbało o groźby i klątwy, z księżmi i rycerstwem prowadziło wojnę i często zwyciężyło.

Ponad miłość dla miasta górowała tylko miłość dla cechu. Nie cech dla miasta istniał, istniało miasto dla cechu. Wszak obywatele dlatego tylko obywatelami się stali, że wpierw byli rzemieślnikami, a cech był rzemiosła uwidocznieniem. W nim żył mieszczanin średniowieczny i dlań był gotów umrzéć. Czém uniwersytet dla uczonego, tém był dla rzemieślnika i kupca cech i powoli przyzwyczajono się widzieć w uniwersytecie nic innego, jak tylko najsławetniejszy cech miasta i nawet stan rycerski i duchowny i stan ów najwyższy królewski, stawały się niejako cechami w wyobraźni rzemieślniczéj. I bodaj, czy mieszczanin krakowski, co kazał na ostatniéj kartce swojéj przepięknéj księgi odmalować mękę pańską, nie myślał w duchu i pokorze o jakimś cechu niebieskim i o Boskim stanie i o drugim stanie dyabelskim, co zresztą miał coś wspólnego z bisurmaństwem.

Już o tém nie wiem na pewno, ale to wiem, że człowiek w mieście życie zaczynał naprawdę, gdy zostawał czeladnikiem. Niezbyt spore było pacholę, gdy je oddano do majstra na służbę i odtąd pracowało dzień cały za darmo i nie obchodziło się bez reprymendy i kija częstego, bez głodu i rozmaitéj biédy, zanim się przeszło przez całą czeladną hierarchią, zanim się odbyło wender po obcych miastach i zanim się otrzymało wreszcie zazdrosnie strzeżony dyplom majstra. A w tych latach utrapionych, w których się uczono krawieckiéj, czy piekarskiéj „cnoty," bywały chłopaka pociechą trzy rzeczy różne, a zwykle z sobą niezgodne: modlitwa, bójka i rozpusta.

Modlitwa zajmowała wiele miejsca i w życiu mieszczanina średniowiecznego. Obok cechu istniało bractwo i do bractwa należało, co żyło tylko w mieście, czy mężczyzna, czy białogłowa. Głod czeladnika był mniéj przykrym, gdy był postem dobrowolnym; praca koronkarki była mniéj ciężką, gdy mogła w komórce swéj wilgotnéj śpiewać pieśni nabożne i na sienniku twardym śnić o Matce Boskiéj z prześliczném Dzieciątkiem. Zresztą ubóstwo to całe cieszyło się myślą, że jeśli się w tém życiu nie doczeka godności sołtysa, lub ławnika, otrzyma przynajmniéj miejsce złociste obok Matki Boskiéj w niebie. Przecież i Matka Boska bywała ubogą panienką i o tém tylko wspominał robotnik, podczas, gdy rycerz pamiętał raczéj, że z Dawidowego była rodu.

I jako pociechą ubogich była religijność, tak była powszechną w średnich wiekach wszędzie poza pracownią alchemika, że niepodobna było zwyczajnemu człowiekowi pomyśléć o cnocie, coby się cała nie

przyodziała w obrzędy i formy religijne, że nawet buntowano się przeciw Kościołowi, przytaczając ustępy z Pisma Świętego i że wtedy, gdy się mieszczanie opierali biskupowi, lub papieżowi, żądali od mężów uczonych w uniwersytecie teologicznych wywodów na swoje poparcie.

Bawiono się nawet nabożnie po miastach średniowiecznych. W święto, lub niedzielę, szedł majster z majstrową i szła czeladź cała do kościoła, nietyle dla skruchy i pokuty, jak dla widowiska. Najpierw każdy mieszczanin, a zwłaszcza mieszczka każda, występywał w najbogatszéj szacie i z siebie samego czynił przedewszystkiém dla własnéj próżności miłe widowisko. Potém było na co patrzéć, było co słuchać, gdy ksiądz biskup wystąpił w pontyfikaliach i gdy chór kościelny zaintonował *Credo*, albo *Gloria*. A wreszcie po mszy i po łacińskiéj czytanéj ewangelii, któréj lud nie rozumiał, następowała ewangelia widziana, misteryum odegrane w makaronicznym języku, w którém słowa łacińskie miały dodawać powagi, a słowa potoczne miały sens naprawdę wytłómaczyć. Więc Adam i Ewa, albo Daniel i Nabuhodonozor, albo Chrystus i Marya, przychodzili w naiwnych średniowiecznych kostiumach (albo czasem zupełnie bez kostiumu), na rynek miejski i mnóstwo dzieci ze skrzydłami figurowało, jako aniołki, a chłopaki na czarno nasmarowani, brali na siebie rolę dyablą i nie brakło faryzeuszów i przekupniów i w przerwach scen uroczystych, lub bolesnych, trafiały się sceny takie, że trzeba było pękać ze śmiechu i wreszcie takie, co podrażniały zmysły czeladzi i niestety i na chrześciańskiéj uroczystości średniowiecznéj bywało, jak podczas starożytnego święta Bakcha, Wenery, lub Cybeli i wrzekome nabożeństwo wiodło wprost do najgrubszéj rozpusty, do zuchwałéj rozpusty, co wszystko święte z błotem zmieszała, o któréj szczegółach zamilczéć musimy, a o któréj bajeczki Bokacyusza i niektóre koncepta Szekspira, lub fraszki Kochanowskiego, słabe tylko i arcywstydliwe dają wyobrażenie.

A po nabożeństwie i rozpuście, zajmowała w życiu czeladnika pierwsze miejsce bójka. Gdy już miód i piwo zaszumiały w głowie, wtedy zaczynał się spór cechu z cechem; najpierw leciały przez rynek słówka uszczypliwe, potém padło kilka policzków, potém leciały kamienie—a potém wzięto się do noża i sztyletu i przez całą noc z niedzieli na poniedziałek i przez poniedziałek cały, bili się krwawo i żwawo panowie szewcy z panami krawcami, lub panami rzeźnikami. Wyrywano bruki, stawiano barykady, podpalano żydów na żydowskiém mieście i wreszcie strona zwycięzka wpadała na dziedziniec rajców i ławników zwyciężonego cechu, wyłamywała drzwi mieszkania, zadawała srom pannom rajczankom i zabrawszy z towarów, co się zabrać dało, zwaliła wreszcie często mur taranami, a ścianę drewnianą z dymem puściła. I jeśli nie co tydzień, to przynajmniéj raz na rok musiał być eksces taki w każdém wesołém średniowiecznem mieście, czyto we Florencyi, czy w Gdańsku, czyto w Barcelonie, czy w Nowogrodzie.

A czasem po pijanemu brała wszystkich chęć tańca niepowściągniona; chłopcy i dziewczęta i nawet majstrowie poważni i żony ich

w czepce przybrane, brali się za ręce i pląsali wkoło i wkoło, aż wreszcie sił im niestało i padali nieżywi na ziemię. Bo ten taniec był karą Bożą, bo ten taniec, to taniec świętego Wita. I nieraz nieboszczyka wlekli daléj za sobą po mieście w łańcuch związani śmierci tanecznicy. I śmiech nieprzytomny, pijany, łączył się z chrapaniem konania.

A czasem na wesołą czeladź przyszła śmierć czarna. Nie chowane trupy zalegały opustoszałe miasto, syn odbiegł rodziców, matka dziecko odbiegła. I wśród trwogi możniejsza wstawała rozpusta, bezład wzrastał w mieście, był bunt, był rabunek, zabójstw było sporo, kradziono nawet w kościele złotą monstrancyą, w któréj przechowywano Przenajświętszy Sakrament.

Bez władzy tedy, bez silnéj władzy nie obeszło się w mieście, a u pana rajcy była władza. Za pieniądze pożyczone, za poparcie dam, a czasem buntem, zdobywała sobie starszyzna miejska u króla coraz nową moc i prawo, aż wreszcie otrzymała prawo miecza i aż monety biła—aż miasto stało się Rzecząpospolitą. Miasta polskie, niemieckie i szwedzkie, tworzyły na Baltyku, bez względu na królów, jakby rzeszę samodzielną, słynną Hanzę, któréj ostatki dogorywają marnie w nowém cesarstwie niemieckiém. Łowiąc śledzie, toczono bitwy i zwyciężano, a doma pan rajca, pan sołtys i miejscy konsulowie, we wszystkiém i wszędzie karność srogą przestrzegali. I doma słuchała niewiasta i synbał się dyscypliny i czeladź przed panem truchlała. I w sądzie nie było miłosierdzia. Szubienica stała się znamieniem władzy. Za lada co wieszano, a aby zbadać winę, brano na srogie tortury. Zamarło gdzieś w ludziach tych miłosierdzie.

Starszyzna kupców weneckich postawiła sobie wśród morza marmurowe pałace i zwaliła gmach tysiącletni cesarstwa Wschodu, a wewnątrz utrzymywała ład głuchy, topiąc cicho, gubiąc bez krzyku. I wszyscy ci mieszczanie byli królów sprzymierzeńcami i prawników prawicą i wraz z nimi średnie wieki zabijali.

Od szkolnéj ławy.

OPOWIADANIE Z LAT 1798—1813 *).

PRZEZ

Kajetana Kraszewskiego.

Dnia 19 października, w noc ciemną, wilgotną i zimną wyruszyła armia ze stolicy; w awangardzie szedł Murat z księciem Józefem. Pochód naznaczono ku Kałudze. Ruszyły wojska, obładowane i obciążone łupami, oficerowie i żołnierze o nich tylko myśleli; starszyzna oddzielała znaczne komendy do strzeżenia ciężko opakowanych furgonów, z których powyrzucano amunicyą, zapasy i przybory wojenne, aby je obładować zdobyczą. Piechota ledwie dźwigać zdołała swoje tornistry, konie znużone i źle karmione, chwiały się pod ciężarem sreber, któremi wypchane były mantelzaki. Jednym z najchciwszych łupieżców był generał Claperède, pod którego rozkazami, na nieszczęście, były i nadwiślańskie legiony, ten chciał i naszych żołnierzy objuczyć swemi łupami, ale generał Chłopicki, z oburzeniem dowiedziawszy się o tém, zawczasu potrafił od podobnéj hańby ochronić naszych żołnierzy.

Droga na Kaługę dawała nadzieję, że armia pójdzie tą częścią kraju, która przechodem wojsk nie zniszczona, zapewnić może dostatek żywności dla ludzi i koni; okazało się jednak, że nieprzyjaciel, doskonale rozumiejąc następstwa, zagrodził ,odwrót z téj strony na to właśnie, aby armia cała zmuszoną była powracać okolicą, przez oba wojska pierwszym pochodem do szczętu już ze wszystkiego ogołoconą. Po bitwie przeto pod Jarosławem, Napoleon nakazał zwrot na Wereje, Możajsk do Smoleńska. Nietylko żołnierze, ale większa część oficerów nawet francuzkich, tak dalece nie pojmowała gdzie się znajduje, ani zastanawiała się nad położeniem kraju i nad tém, co ich w ogłodzonéj

*) Dokończenie – patrz zeszyt za czerwiec r. b.

okolicy czekać może, że tę zmianę frontu armii całéj, która ostatnią klęskę nieuchronnie wróżyła, przyjęli z radością i największym zapałem. Zwróciwszy się ku Zachodowi, ku Francyi, zdawało się im, że cel został dopięty i że już spokojnie a bezpiecznie powracają do własnego kraju. Rozlegały się wokoło wesołe śmiechy i rozmowy, obrachowywano, „czy podążą w sam czas na karnawał do Paryża," a chcąc sobie ulżyć w pochodzie, rzucano broń nawet po rowach i drogach.

Co do nas, nietylko starszyzna nasza, ale i my wszyscy i żołnierze prości, przewidywaliśmy najgorsze skutki odwrotu tą stroną, a jak podczas całéj kampanii, tak i teraz kazano nam po skrzydłach, jako eklererom, osłaniać armią główną; na to przeznaczono korpus V i resztki naszéj jazdy, rozrzuconéj pod generałami Lefebvre, który zajął miejsce Sebastianiego i Bessiéres'a, co nasze niedobitki ułanów prowadził. Kawalerya francuzka już natenczas mało nie cała pozbawioną była koni, my jednak, zamiłowani w naszych poczciwych szkapach, chociaż zdziesiątkowani, jeszcześmy się jakotako trzymali, a gdyby nie sławny szwadron Kozietulskiego, sam Napoleon, jak Bóg na niebie, dostałby się był w ręce kozaków. Gdy bowiem korpus awangardy znajdował się o kilka mil od głównéj kwatery, pod Małym Jarosławcem i dały się słyszeć w téj stronie wystrzały, Napoleon dodnia jeszcze wyjechał konno wraz z generałami: Bessiéres'em, Colincourt'em i Rapp'em, mając przy sobie na służbie jeden tylko szwadron szefa Kozietulskiego, gdzie byli również generał Pac i pułkownik Klicki; mgła gęsta i ciężka o trzy kroki stała już jak biała ściana, nic widzieć nie było podobna; wtém, potężny tentent dał się słyszeć z boku i od czoła, Bessières żywo posunął się naprzód, a dostrzegłszy chmury kozaków, którzy już ich prawie otaczali, pędem powrócił do cesarza z oznajmieniem o grożącém niebezpieczeństwie; Napoleon, nie strwożony bynajmniéj, w mgnieniu oka kazał Kozietulskiemu sformować szwadron i atak przypuścić, chciał nawet sam postępować daléj, ale go generałowie wstrzymali. Nasi dzielni ułani, nic widząc prawie nieprzyjaciela przed sobą, przypuścili szarżę szaloną, przed którą pierzchnęli kozacy, wysłane zaś natychmiast w sukurs dwa pułki huzarów do reszty oczyściły drogę.

My wszyscy trzej ze szwadronem, lubo zmniejszonym, a z nami i Michaś Kruszyński, trzymaliśmy się jeszcze, z łaski Bożéj nieźle, a dzięki radności Iwasia, nawet cesarskie konie lepiéj od naszych utrzymane nie były; Iwaś téż jechał w trzy dobre konie, szerokiemi saniami, gdzieśmy wprawdzie sreber ani klejnotów nie wieźli, ale były: obrok, żywność i kożuchy, a kierował się téż Iwaś tak wybornie, że nas zawsze odszukać potrafił, co nie każdemu się udawało. Na pierwszym etapie, po wyruszeniu z pod Jarosławca, kiedyśmy na nocleg stanęli, spostrzegliśmy na saniach naszych dwa wielkie wory, których przed tém nie było.

— Coto tam masz?—spytałem.

— A to cebula, proszę pana.

— Zkąd? na co?

— To, z Jarosławca—odrzekł Iwaś, uśmiechając się wesoło—mówili, że tam była moc wielka cebuli, Francuzi nachwytali z początku; ale już chcieli rzucać, to ja od nich wziąłem.

— Do czego ten ciężar bez potrzeby—przerwał podkomorzyc—lepiéjby się obrok przydał.

— No, jakby się trafił—odparł Iwaś—to pewno, ale kiedy miejsce jest, niechaj panowie pozwolą, żeby została, at, może się i przyda na co.

— Będziesz jadł?—spytał śmiejąc się Michaś.

— Oj, oj, oj, czemu nie?—odrzekł Iwaś—albo to Hiszpanie nie jedzą; oni bez cebuli żyć nie mogą: to dobra rzecz, a zapas biédy nie czyni.

Śmieliśmy się z przesadzonéj przezorności Iwasia, ani przypuszczając nawet, żeby owa cebula mogła nam się przydać na co.

Jeszcze dni kilka szliśmy w jakim takim ładzie, nagle jednak z dnia 6 na 7 listopada w nocy, wiatr pociągnął od wschodnio-północnéj strony i nad ranem ścisnął odrazu mróz ośmnastostopniowy.

Od téj chwili rozpoczyna się ów historyczny odwrót, dramat nigdy w dziejach niezapomniany.

Włosi, Neapolitańczycy, Hiszpanie i Portugalczyki najpierwsi, bez liczby padają ofiarą klimatu; następują sceny niedające się żadném piórem opisać. Większa część armii, rzucając resztki broni, przestaje być wojskiem, zmieniona w bezładnie wlokące się tłumy, przyodziane i okrywające się najróżnorodniejszém, wszelkiego rodzaju rupieciem, począwszy od salop i strojów damskich, aż do kap i złotolitych ornatów cerkiewnych. Żołnierze z południowych krajów, nieznający kożuchów, wdziewają je rękawami na nogi, poły obwiązując koło szyi; żadne nasze uwagi nie pomagają, dowodzą, że najbardziéj nogi ochraniać potrzeba: źle osłonięci w ten sposób, jak muchy padają po drodze. Śnieg i deszcz, mróz i błoto naprzemiany, zimno i wiatr lodowaty coraz dokuczliwsze, żywności brak powszechny; w grobowém milczeniu, w osłupieniu rozpaczy, z zamarzłemi na policzkach łzami, ciągną się niezliczone, ale co krok zmniejszające się tłumy; żywią się świeżo zmarzłemi resztkami dawno zdechłych koni, porzuconych jeszcze w pochodzie ku Moskwie, których psy i wilcy jeszcze nie dogryzły; ostatni kęs chleba towarzysz umierającemu towarzyszowi wydziera. Po każdéj nocy, gdzie spojrzéć, liczne wygasłe ogniska, otoczone wieńcem ofiar pomarzłych i wpół popalonych; towarzysze, nie zważając na tych, którzy jeszcze dyszą, odzież z nich obdzierają i ciągną się do drugiego noclegu, gdzie i ich, jeśli dojdą, los oczekuje podobny. Podpalane budynki i wsie całe służą do chwilowego ogrzania niedobitków, które cisnąc się i popychając, wpadają w płomienie i giną.

— Giń rybo!—mówią ze smutnym uśmiechem nasi żołnierze—to było ich powiedzenie wtenczas, powtarzane co chwila; ale oni, więcéj niż inni, do mrozów i niedostatków przyzwyczajeni, najbardziéj zahar-

towani, trzymają się najlepiéj, również jak ulubiona i dobrze żywiona cesarska piesza gwardya grenadyerów.

Najstraszliwsze sceny żałobnego pochodu armii w całéj swéj grozie rozwijają się dopiéro po przeprawie przez Berezynę. Waleczny i nieustraszony Ney, anioł stróż armii Napoleona, który cały odwrót zasłania, również jak Dąbrowski, Kniaziewicz, Zajączek, Izydor Krasiński, Tomasz Łubieński i Małachowski, okrywają się chwałą; tu, armia mogąca się bić jeszcze, liczy zaledwie około pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy, których z każdym dniem niemała liczba ubywa. Nam, pod Orszą jeszcze przyłączonym do V korpusu, w którym już nie więcéj było nad trzy tysiące ludzi, kazano najpierwszym most na Berezynie przechodzić, aby, złączywszy się z legiami i dywizyą Dąbrowskiego, przeprawę reszty wojska osłonić. Od owéj chwili mieliśmy największą pracę, a jako trzymający się najlepiéj, musieliśmy wszystko robić za wszystkich, drogi oczyszczać, przejść wyszukiwać, rozkazy wozić i osłaniać i zasilać. O téj krwawéj przeprawie przez Berezynę, różnie u nas nawet w obozie mówiono; zdawało się bowiem, iż był czas daleko więcéj mostów postawić, czego że nie uczyniono, miał być jakoby na to rozkaz wyraźny; rzecz bowiem łatwa była do przewidzenia, iż tłumy bezbronne, które resztkom armii w jéj pochodzie ciężyły, w większéj części grób swój tam albo niewolę znaleźć musiały, tém więcéj, że wojskom kazano wyraźnie najprzód się przeprawiać, a w tłoku „bagnetami sobie drogę torować." Kto więc nie zginął od nieprzyjacielskiéj kuli, kogo nie zgnieciono i nie zmiażdżono, kto się wreszcie od bagneta lub szabli własnych współbraci uchronił, tego zepchnięto w błotnistą rzekę, która, mimo silnych mrozów, po nieprzystępnych błotach, oparzeliskach i grzęzawinach płynąc, leniwo toczyła mętne i ponure wały zagęszczone śniegiem, lekką tylko i cienką błoną lodu, gdzieniegdzie była pokrytą.

Drogo nas to przejście Berezyny kosztowało; korpus nasz, najpierwszy na drugą stronę rzeki przeprowadzony, połączywszy się z dywizyą generała Dąbrowskiego, przeznaczonym był do bronienia przeprawy reszty armii, tyraliery, rozrzuceni na grobli, od rana do późnéj nocy harcowali bezustannie, ale i z drugiéj strony prochu na nas nie oszczędzano; kule sypały się jak deszcz rzęsisty. Podkomorzyca, mnie, Łukaszka i konie nasze pokaleczyły nieco odłamy granatu, lubo nieszkodliwie, ale Michaś nasz nieszczęśliwy, w samą skroń ugodzony kulą, na miejscu ducha wyzionął. W strasznéj i krwawéj téj chwili, nie mogąc się z miejsca ruszyć, nie byliśmy w stanie nawet oddać mu ostatniéj posługi.

Nadeszła noc, prawdziwie piekielna! nie pióro, ale pędzel chyba mógłby dać o niéj niejakie wyobrażenie, a każdy z nas, którzy tych scen byliśmy świadkami, jeszcze na łożu śmiertelném będzie miał ten obraz przed oczyma. Wśród najczarniejszéj nocy, przy podmuchach zimnego a przenikającego wichru, krwawa łuna ogromnych ognisk oświecała oba brzegi i most na Berezynie; dym i iskry, wichrem skrę-

cane i porywane, kłębiły się chwilami, zasypując oczy i oddech w piersiach tamując; przeprawiały się oddziały i główne tabory korpusu Oudinot'a; jednocześnie tłumy bezbronne, aby nie zostały opuszczone, pchają się bezładnie; idą na przebój bagaże, kantoniery, kobiéty, chorzy, ranni, pokaleczeni, każdy myśląc tylko o sobie; żołnierze kolbami, bagnetami i dyszlami wozów torują sobie drogę. Jedni spadają z mostu, spychani i kaleczeni, inni pod końskie kopyta i koła ciężkich armat i kiesonów wpadłszy, giną, wgnieceni razem z drobną faszyną w nadbrzeżne, bezdenne torfowisko i błoto; trzask łamiących się wozów, rozpaczliwe wołania i jęki tonących, spychanych, zabijanych i tratowanych; przejmują nas niemém przerażeniem i zgrozą.

Ile tam padło niewinnych ofiar dumy jednego człowieka? Bóg chyba tylko policzy.

Podawano na trzydzieści tysięcy liczbę tych, co zginęli w czasie przeprawy przez trzy dni i dwie noce.

Napoleon jednak, jak się zdawało, na to wszystko dość obojętném spoglądał okiem. Postępował on wraz z wojskiem, otoczony gwardyą, która zawsze widziała w nim jeszcze pół-boga. Sześć dużych, karych, pięknych, ale wychudzonych koni, ciągnęło powoli ciężką karetę. Cesarz siedział odziany w pyszne sobole, pokryte ciemno-zielonym aksamitem, ze złotemi pętlicami; towarzyszyli mu Berthier i Murat, równie kosztownemi szubami okryci, rozmawiając swobodnie o szczęśliwém wydostaniu się z matni. Tymczasem śniegi coraz większe, zasypują drogi, mrozy codzień silniejsze, tłumy, ciągnące za wojskiem, padają bez liku, setkami i tysiącami trupów znacząc szlak swego pochodu, ale i armia napastowana bezustanku z dniem każdym szczupleje.

Na pierwszym noclegu, po przejściu przez Berezynę i myśmy się również znaleźli w położeniu przykrém; z sani Iwasia, pomimo pilności jego, skradziono prawie wszystkie nasze zapasy; dla siebie ledwieśmy dostali po kawałku chleba, dla koni naszych nie mieliśmy nic, prócz staréj jakiéjś słomianéj strzechy, którą dostawiono nam, obdarłszy z budynków małéj wioseczki, gdy drzewo z chałup i nędznych stodółek, w oka mgnieniu rozebrane, poszło na obozowe ogniska. Zmęczeni, smutni i znękani zaczęliśmy się posilać tym suchym kawałkiem chleba, garścią śniegu gasząc pragnienie, gdy Iwaś, ustawiwszy konie przy saniach, podszedł do nas nieśmiało, tłómacząc się jeszcze z poniesionéj straty. Że od rabunków podobnych ustrzedz się w owym czasie nie mógł nikt prawie, a rzecz nie była już do naprawienia, żadnych téż nie czyniliśmy Iwasiowi wymówek; ale im bardziéj myśmy byli pobożliwi, tém więcéj Iwasiowi dolegała strata.

— Już niech panowie wybaczą—rzekł wreszcie—kiedyśmy się z tego piekła wyrwali, ja sam nie wiedziałem, co się dzieje, obsiedli mnie w tym tłumie, nie tyle skradli co zrabowali, nie mogłem się sam obronić; ale nim Pan Bóg da dobić się do jakiego miejsca, żeby cokolwiek zapasów porobić, niech panowie nie gardzą, to ja dam co jeść.

— Co tam dla nas—przerwał podkomorzyc—jest choć chléb, ale koniska to nam pozdychają z głodu.

— Ee, o konie niéma turbacyi—odrzekł uśmiechając się Iwaś—już ja im obroku zasypał.

— Jakiego obroku?—zapytaliśmy ciekawi.

— A téj cebuli, proszę panów, cośmy z Jarosławca dostali.

— I jedzą?

— Oj, oj, aż za uszami trzeszczy; gdyby przez urazy, i panowie poprobowali, to doskonała rzecz! jak ja zjadłem przygarść, to tak, jakbym kwartę wódki wypił.

— Dawaj!—zawołaliśmy—trzeba poprobować.

Iwaś skoczył do sanek i za chwilę przyniósł pełną czapkę cebuli. Zaczęliśmy jeść z chlebem i bez chleba skwapliwie, bośmy byli jak wilcy zgłodniali.

Żebrowski, jak zwykle, jadł za dwu, milcząc poważnie i nie wdając się w żadne uwagi; w jakiś czas jednak, gdyśmy nasz skromny posiłek skończyli—rzekł zapalając swoją krótką fajeczkę:

— No, ten Iwaś ma rozum, bo po téj cebuli ja czuję wyraźnie, że mi i cieplej i sił przybyło.

Uwaga była słuszną, wszyscy czuliśmy się dziwnie pokrzepieni; nazajutrz w marszu, z niemniejszém zdziwieniem spostrzegliśmy, że i konie nasze znacznie odzyskały żywość, ogień i siłę. Tak aż do Smorgoń samych żywiliśmy się głównie ową cebulą, a konie nasze najdzielniéj się ze wszystkich trzymały, i rzec można bez przesady, że ocalenie nasze winniśmy byli jedynie téj jarosławskiéj zdobyczy. Tu odkryła się nam tajemnica owego ubogiego żydostwa, co o kilku cebulkach na dzień utrzymuje życie; jestto bowiem pokarm, który lubo nie pachnący, w małéj ilości nawet użyty, nie obciąża, ale rozgrzewa i siły podtrzymuje znacznie. Okazało się późniéj, że nie my jedni, ale i wielu innych jeszcze uniknęło śmierci niechybnéj, żywiąc się głównie jarosławską cebulą.

Wojska wyborowego, po przeprawie przez Berezynę, zostało tylko czternaście tysięcy... oskrzydlało ono i broniło jedynie osoby Napoleona, ale niebezpieczeństwo wzrastało cokrok, i zbyt się już groźnie zaczęło przedstawiać. W Smorgoniach przeto stanąwszy na noc z najpoufalszymi swymi towarzyszami złożył cesarz naradę, jakim sposobem wyślizgnąć się może z rąk nieprzyjaciela, który mu już zewsząd zastępuje drogę. Stanęło na tém, że cesarz ma dowództwo nielicznéj armii zdać na Murata, sam zaś, w towarzystwie Duroc'a i Colincourt'a z ulubieńcem swoim mamelukiem Rustanem, niepostrzeżenie wymykać się z zastawionych sieci i dążąc przez pruskie prowincye, do Paryża pośpieszać. Że jednak bez żadnéj straży puszczać się tak na los szczęścia nie było bezpiecznie, należało z owego wyborowego wojska, które tyle trudów przetrwać zdołało, uczynić jeszcze jeden wybór, samego czoła, ludzi najdzielniejszych, ku obronie cesarskiéj osoby.

Jest to chwila najwyższéj wojska naszego chwały; kogóż dla ubezpieczenia własnéj osoby wybiera ów geniusz wojenny i ci doświadczeni w boju generałowie? Oto przeznaczają na eskortę cesarską dwa oddziały ułanów polskich: jeden z gwardyi Krasińskiego, drugi nasz, z pułku Konopki, pod mężnym dowódzcą Stokowskim, który nas jeszcze w Hiszpanii, nieraz do boju prowadził. Byliśmy prawdziwie dumni z tego wyboru; wieczorem oznajmiono nam rozkaz, nazajutrz przededniem, mimo 28-io stopniowego mrozu, staliśmy już w gotowości.

Wyszedł cesarz i powitawszy nas uprzejmie, zwrócił się do Stokowskiego:

— Pułkowniku—rzekł—gdybym miał się w ręce nieprzyjaciół dostać, proszę was i nakazuję, abym z waszych rąk raczéj zginął.

— Najjaśniejszy Panie!—odparł śmiało Stokowski—gdyby do tego nieszczęścia przyjść miało, już z nas natenczas żyw ani jeden nie będzie.

Rzecz prawdziwie niepojęta, jaki ten człowiek na nas wszystkich urok wywierał; z odpowiedzią pułkownika wszyscy zawołaliśmy jednym głosem:

— *Vive l'Empereur!*

Sanie ruszyły, popędziliśmy cwałem.

Lecieliśmy tak dzień cały, z małemi tylko odpoczynkami, ale drugiego dnia z nocy, w Równopolu okazało się, że ledwo dwadzieścia kilka koni i ludzi byłoby w stanie, może jeszcze czas jakiś daléj eskortować cesarza; reszta koni albo padła na miejscu, albo na nogach stać wcale nie mogła: ludzie mieli poodmrażane ręce, nogi, twarze, albo uszy. Cesarz przeto na obronę żadną liczyć już nie mógł, pozostawała jedna tylko rada, rzucić się w bok gościńca głównego i manowcami... uchodzić.

Miejscowy obywatel Falkowski, u którego cesarz odpoczywał, podjął się przeprowadzić Napoleona; własne doskonałe konie zaprzęgłszy do sani, w których cesarz z Colincourt'em jechał, powoził sam, w prostym kożuchu, przebrawszy się za furmana, na koźle obok niego siadł Stanisław Wąsowicz, dzielny oficer z pułku Krasińskiego; w drugich saniach z rzeczami jechał Duroc z Rustanem. Tak, przez Miedniki, zatrzymawszy się krótko na przedmieściu w Wilnie, ztąd na Kowno dojechali do Maryampola. Tu pocztmistrz Mikulicz, który nieźle po francuzku mówił, zwrócił uwagę cesarza, że kierunek podróży przez Prusy, lubo drogę skraca, ale bezpiecznym nie jest.

— Dlaczego?—spytał Napoleon żywo.

— Najjaśniejszy Panie—odrzekł Mikulicz—tam każdy czyhać teraz będzie na życie lub na osobę W. C. Mości, tu u nas, w Polsce, każdy życie w jego obronie położy.

Napoleon uznał słuszność uwagi, zgodzono się na to, że lepiéj drogę na Księztwo obrócić. Mikulicz przeto, wziąwszy naprędce starą karetę od pana Węgierskiego, w kilka godzin osadził ją na płozy i własnemi końmi również jak Falkowski, powożąc sam, z nieodstęp-

nym obok Wąsowiczem, szczęśliwie i bez żadnego przypadku dowiózł cesarza aż do saméj Warszawy.

Za tę przysługę dostał trzysta napoleonów, które cesarz mu własnemi rękoma do czapki nasypał.

Pomimo klęski i porażki strasznéj, Napoleon, jak zapewniają ci, co natenczas mieli przystęp do jego osoby, rad był widocznie, że się osobiście z tak ciasnéj matni wyśliznął, dało mu to humor niezwykły, wesoły, w dziwnéj będący z okolicznościami sprzeczności. Wówczas to pokilkakroć powtarzał owe historyczne słowa: *du sublime au ridicule il n'y à qu'un pas.*

IV.

Zaszczytem było niemałym i niezaprzeczonym towarzyszenie cesarzowi i osłanianie jego osoby, gdy mu widoczne już groziło niebezpieczeństwo; ale że na świecie, prócz krzywdy i niesprawiedliwości, nic darmo nabytém być nie może, i ów zaszczyt więc przypłaciliśmy drogo. Niedość żeśmy potracili nasze poczciwe koniska, ale żaden z nas trzech, towarzyszów nierozdzielnych w złéj i dobréj doli, nie wyszedł z téj wyprawy bez szwanku. Podkomorzyc, gdyśmy się w kilka dni późniéj do Wilna dostali, mocno był nawet cierpiącym i osłabionym, Łukaszek nogę miał przemrożoną, ja palce i uszy; a i ran jeszcze nie mieliśmy pogojonych; o Iwasiu naszym nie wiedzieliśmy nic, zjawił się dopiéro w dni kilka po naszém do Wilna przybyciu.

Litewska nasza stolica przepełnioną była natenczas tysiącami nieszczęśliwych rozbitków, chorych, znędzniałych i umierających. Zbrodnicza chciwość ludzka korzystała z téj klęski, każdego ranku znajdowano na ulicach liczne zmarzłe i skostniałe trupy poobdzierane do naga. Słabych, znękanych i znużonych, gdy się do ciepłych izb dostali i zasnęli snem kamiennym, dusili i zabijali żydzi, dla nowego rabunku, rabunkiem zdobytych łupów; sami oni, podając te z chciwości popełniane zbrodnie za czyn niby patryotyczny, chlubili się przed władzami, że do dziewięciu tysięcy Francuzów tym sposobem zgładzili.

Znalazłszy z wielką biedą zaledwie jakąś ciasną izdebkę na tymczasowe pomieszczenie nasze, a chcąc dla wypoczynku czas dłuższy zabawić, tém bardziéj, że i chorego podkomorzyca odstąpić nam nie należało, nazajutrz zaraz po przybyciu, wyszedłem dla znalezienia wygodniejszego mieszkania. Za najpierwszy jednak obowiązek poczytywałem sobie udać się do *Ostréj-bramy*, aby Świętéj Orędowniczce i opiekunce naszéj złożyć hołd dziękczynny za ocalenie i zachowanie nas wśród niezliczonych niebezpieczeństw, na jakieśmy przez lat pięć prawie narażeni byli co dnia i co godziny. Bo gdy setki tysięcy ludzi przy boku naszym przez ten czas zginęły, nie byłoż istnym cudem, żeśmy my jeszcze po tym świecie chodzili? tyle razy, wśród tylu przygód, wystawieni na śmierć niechybną i oczywistą.

Prawdziwie anielski wyraz tego oblicza cudownego obrazu, tłum w kornéj a cichéj modlitwie zalegający całą ulicę, głębokiém, niewymownem przejmują wrażeniem; słusznie też powiadają, że kto się nie pomodlił u Ostréj-bramy, ten się już nigdy i nigdzie modlić nie potrafi. Nie wiem, kiedy ukląkłem i jak długo na modlitwie trwałem, poruszenie ogólne przy benedykcyi kapłańskiéj, przywołując mnie do rzeczywistości przypomniało, gdzie jestem. Rzuciłem okiem wkoło siebie: co za tłum różnorodny, zebrany tu duchem modlitwy i wiary! Obok wykwintnych strojów, licha odzież wyrobnika i wieśniaka, obok świetnych mundurów, łachmany żebraka. Ze wszech krajów, ze wszech krańców świata prawie, ludzie, którzy się nie widzieli i nie znali nigdy, jednym i tym samym tchną duchem, też same powtarzają słowa! Jakaż to potęga prawdy, która świat cały w jednę kojarzy rodzinę!

Przejęty skruchą i uwielbieniem, jeszczem się zaledwie opamiętywać poczynał, kiedym spostrzegł, o kilka kroków odemnie, stojącego Imć pana Jurkowskiego, starego regenta, któregom znał z dawnych czasów, a obok niego ze zdziwieniem ujrzałem... piękną pannę Dorotę Jurkowską, znajomą moję z Horbowa. Pośpieszyłem więc z powitaniem; oboje spojrzeli jednak na mnie tak, jakbym ich pierwszy raz w życiu spotykał.

— Państwo mnie nie poznajecie?—spytałem.

Panna Dorota zwróciła się żywo, popatrzyła chwilę.

— A!... chyba—zawahała się—może... pan Antoni Kulesza—dokończyła rumieniąc się lekko—pan żyjesz?!

— Pan Antoni?!—powtórzył regent—w Imię Ojca... i Syna... a cóż się z waszmość zrobiło! czy cię gdzie przehandlowali—dodał z uśmiechem.—Byłeś szczupły, biały, mleko miałeś pod nosem, kiedyś wychodził do wojska; dziś jesteś spalony, z przeproszeniem, jak cygan, wąsy jak u suma; toćby cię i rodzona matka nie poznała.

— Pięć lat—odrzekłem—i słońce hiszpańskie i mrozy północne i obozowe trudy, mogłem się odmienić.

— Prawda to jest—mówił regent—ależ bo z waszmości zgoła inny człowiek się zrobił; z takiego chuchra, chłop jak dąb... no! to osobliwość!

— Okropne tu do nas dochodziły nowiny—przerwała panna Dorota—tak dawno nie wiedzieliśmy nic, co się z panami działo,

Rozmawiając i wzajemnie wiadomości sobie udzielając, poszliśmy do mieszkania regenta; dowiedziałem się tu dopiéro, że panna Jurkowska była jego krewną, że od pół roku przeszło bawi już w Wilnie i że o śmierci Michasia doszła już była wiadomość do rodziny, przyczém też mnie, podkomorzyca i Żebrowskiego, również za zginionych podano. Stary regent, który z ojcem moim był dawno znajomy, przyjmował mię w swoim domu dość serdecznie; korzystając z tego, prosiłem, aby mi dopomógł do wyszukania dla nas trzechwy godniejszego nieco pomieszczenia.

— Albożto ci u rodziców ciasno?—spytał rejent.

— Jabym tu rad jakiś czas zabawić—odrzekłem—przynajmniéj póki nam podkomorzyc nie pozdrowieje; przyjaciela odstąpić nie mogę, późniéj on do siebie, a ja do rodziców pojadę; bo choć mi pilno ich uściskać, ale tu, obowiązek braterski...

— Jakto!—przerwała panna Dorota—pan się nie widziałeś z rodzicami?

— Jesteśmy w drodze—odparłem—w domu jeszcze nie byłem.

— Ależ rodzice tutaj są!—zawołał żywo rejent.

— Tu, w Wilnie?—zapytałem zdziwiony.

— Bawią już od kilku miesięcy z całym domem, bo tu połowa kraju się zjechała, bojąc się rabunków i postojów.

— Gdzież mieszkają? zlitujcie się państwo!—zawołałem.

Z otrzymaném objaśnieniem o ulicy i numerze domu, już miałem wybiegać, kiedy mnie rejent za rękę pochwycił.

— Czekajże, czekaj—mówił przytrzymując mnie w progu—otóż to młodość! Pędzisz do rodziców, to bardzo chwalebnie, a nie pomyślałeś waszmość o tém, że cię tam już prawie opłakano; jeśli tak wpadniesz obcesowo, to z saméj radości... z aprehensyi mogą na zdrowiu szwankować; jeszcze ojciec, no... ale matka... słabowita osoba, trzeba do tego jakoś przystąpić powoli, zrobić niejakie anticipando przygotowania...

Uznałem słuszność uwagi rejenta; alem ja pięć lat prawie, pięć długich i ciężkich lat nikogo z rodziny nie widział, tak mi już pilno było ujrzeć, powitać, uściskać ojca, matkę, siostry moje, że chcąc się sam nacieszyć myślą, że ich mam wszystkich tak blizko, a zarazem ułożyć plan jakiś, aby rodzicom zbytecznego nie dopuścić wzruszenia, pożegnałem się szybko i natychmiast wybiegłem na ulicę.

Uradowany wiadomością tak miłą i niespodziewaną nie spostrzegłem prawie, kiedym się znalazł przed wskazaném rodziców mieszkaniem; mówiłem sobie, że należy ten dom zobaczyć, żeby już wiedzieć, gdzie iść napewno.

Zbliżyłem się... choćby chwilkę postać na progu; zresztą byłem zmęczony... dla odpoczynku.

U drzwi samych, przypomniawszy sobie rozsądną przestrogę rejenta, wstrzymałem się; myślałem sobie, że istotnie lepiéjby było wyprawić pierwéj... Żebrowskiego naprzykład, niby w poszukiwaniu mieszkania, a tenby mógł naprzód napomknąć coś rodzicom o moim powrocie...

Tak: tak zrobić najlepiéj.

Ręka leżała na klamce.

No, trzeba wracać, a byłem już tak blizko!

Tam oni są wszyscy... mój Boże!

W żadnéj najgorętszéj bitwie, serce mi tak gwałtownie nie kołatało. Ręka popchnęła drzwi bez mojéj woli i wiedzy prawie... wszedłem.

Źle się stało, pomyślałem, no... ale dowiem się tylko od służących, czy tu rodzice mieszkają istotnie.

W ciasnym przedpokoju, który był razem i kredensem, krzątał się stary sługa Jędrzej, co mi niegdyś, przed laty, strugał drewniane pałasze; żeby się na jotę przez pięć lat odmienił: ten sam na nim kubrak nawet, szaraczkowy i kraciasta chustka, z tabakierą w ręku.

Podszedł suwając nogami.

— A co pan sobie życzy?—spytał patrząc mi w oczy i nie poznając wcale.

Dobrze, pomyślałem sobie; już kiedy tak, to może mógłbym i ojca zobaczć niepoznany, a potém... zobaczymy...

Postąpiłem kilka kroków odważnie.

— Czy tu mieszka pan sędzia Kulesza?—spytałem.

— A tutaj, tutaj, ale jeśli pan oficer za kwaterunkiem, to się, z przeproszeniem, na nic nie zdało; my tu sami w komornem, ciasno tu, panie, niech Bóg uchowa! niéma gdzie się obrócić, w tém mieścisku, panie, to ludzie jak śledzie w baryłce.

— Chciałem...

Zawahałem się.

— Czy jest pan w domu?—rzekłem nabierając odwagi.

— Hm!—mruknął stary, spoglądając niedowierzająco i zażywając powoli tabakę—pan bo, proszę pana oficera, zajęty jest.

— Ale ja mam pilny interes.

— Może pan wié co o naszym paniczu?—przerwał mi żywo poczciwy Jędrzej—bo on był także w ułanach... biedaczysko! Oj! ta wojna, panie...

— A właśnie, wiem.

Drzwi boczne uchyliły się zlekka i wyjrzała ciekawie młodsza siostra moja Anusia, poznałem ją odrazu po figlarnym uśmiechu i wesołych oczętach, chociaż z niezgrabnego i chudego dzieciaka, jak motyl z robaczka, zrobiła się z méj wcale ładna panienka; cofnęła się szybko i téjże chwili wszedł ojciec do przedpokoju, Nie poznał mnie również, jak Jędrzej stary, ale ja tak się jakoś zapomniałem na moment, że już się rzucić miałem do powitania; w czas jednak opamiętałem się jeszcze, a ojciec, widząc, że stoję w milczeniu, i musiałem miéć minę zakłopotaną, sam mnie pierwszy powitał, zapraszając do pokoju.

Tu, gdyśmy weszli, zwrócił się ku mnie zapytując, w jakim interesie przychodzę.

Coś mię w gardle ściskało, mówić nie mogłem, ale... przezwyciężyłem się przecie.

— Jest nas trzech kolegów—rzekłem nieśmiało—zmęczeni, chorzy, zgłodzeni, chcielibyśmy jaki taki kąt znaleźć dla odpoczynku... szukam pomieszczenia.

— Mój drogi panie—odrzekł ojciec—z duszy, z serca radzibyśmy wam dopomódz, ale u nas ciasnota, my sami jak na popasie; trudnoby nam miejsca znaleźć choćby dla... własnego syna...

Słowa te ostatnie wybiegły mu snać bezwiednie; umilkł, westchnął ciężko i odwrócił się w okno, niby spoglądając: widziałem, że mu się łzy w oczach zaszkliły.

Po chwili, ciszéj, i jakby wahając się, dodał:

— A... w którym-że pan pułku służyłeś?

— W pierwszym: pod Konopką w Hiszpanii i pod Stokowskim w obecnéj kampanii.

— Pod Konopką?—powtórzył ojciec żywo, postępując ku mnie— w pierwszym pułku? to... musiałeś znać mego syna Antoniego Kuleszę... biédak... może co wiesz o nim?

I z trwogą a niepokojem patrzył mi w oczy.

— O! znam—odrzekłem—chwała Bogu wyszedł cało.

— Co? doprawdy?!—przerwał ojciec zrywając się z krzesła—żyje? pewno?

— Żyje, zdrów, widziałem go już tutaj... w Wilnie.

— Tu? jest w Wilnie? tu? A niechże ci Bóg płaci za tę nowinę!—zawołał i rzucił się, aby mię uściskać.

Nie mogłem się już w téj ciężkiéj roli dłużéj utrzymać, począłem go w ręce całować i tak się rozpłakałem, jak dziecko...

Głośniejsze wyrazy ojca i moje, musiały być w dalszych posłyszane pokojach; w téj chwili bowiem otwarły się drzwi i ukazała się w nich matka moja, a widząc, jak się z ojcem ściskamy, przeczuciem chyba macierzyńskiego serca wiedziona, zawołała podbiegając:

— Antoś nasz! Antoś!!

Ojciec, wsparłszy ręce na moich ramionach, odchylił się nieco i spojrzał mi w oczy.

— Mamo droga!—zawołałem w uniesieniu.

— Antoś!—wykrzyknął ojciec—a dalibóg ja go nie poznałem! Boże łaskawy! toż-to on!

Krzyżyk mi nad głową zakreślił i pocałował w czoło.

Wybiegły i siostry, nastąpiły powitania bez końca; najszczęśliwsza, najmilsza, nigdy w życiu mojém niezapomniana chwila. Wszyscyśmy i płakali i śmieli się razem.

Tak w życiu ludzkiém i chwila szczęścia, i radość najwyższa, jeszcze ze łzami się miesza.

Stary Jędrzej nawet, który z przedpokoju na powitanie pośpieszył, nie mógł się obejść bez swéj kraciastéj, sążnistéj chustki czerwonéj. A gdyśmy już nieco z pierwszych ochłonęli uniesień, rzekł zażywając tabakę:

— Ja, bo odrazu coś tak, panie, miarkowałem, że panicz do naszego panicza podobny... bo to, panie, i ułan... tylko ze wszystkiém inny; jakoś bo panicz wyrosł, poczerniał, nieprzymierzając jak kominiarz, i wąsiska okrutne!

Wśród szczęścia, które mię tak niespodziewanie spotkało, zapomniałem na chwilę i o poczciwych towarzyszach moich. Wnet jednak, gdy umysł do równowagi powracać zaczął, zwróciłem się do ojca, pro-

sząc, czyby mi istotnie nie mógł dopomódz do wyszukania dla nas trzech pomieszczenia, jeśli można w blizkości mieszkania rodziców. Matka i siostry wielkim chórem zawołały, że mnie od siebie nie puszczą, ale załatwiliśmy wszystko zgodnie, gdyż udało się nam odnająć od jakiéjś pani dwa pokoje w téjże samej kamienicy, i przed wieczorem jużeśmy się do nowéj kwatery przenieśli. Lekarz, wezwany do podkomorzyca, lubo niebezpieczeństwem nie groził, zapowiedział jednak, że choroba kilka tygodni przeciągnąć się może, o czém téż natychmiast napisałem do Hlinnego, dając znać staremu Zarębie.

W kilka dni, po przybyciu naszém do Wilna, zjawił się i mój Iwaś, głodny i wynędzniały wprawdzie, ale zawsze z dobrą miną; przywitaliśmy go, jakgdyby z tamtego świata powracał, ubrany był jednak po magnacku, w sobolowym kołpaku i niedźwiedziéj szubie.

— Zkąd-że to wziąłeś?—spytałem.

— Ze zmarzłego, proszę pana; leżał nieborak niedaleko gościńca, tom się z nim na mój kożuch pohandlował: jemu to tam pewno wszystko jedno.

— A nasze konie i sanki?

— Jeden padł, z drugim się dowlókłem, ale i temu się już niewiele należało; żeby jeszcze tak mil kilka, jużby i po nim i po mnie było; dwa dni żyliśmy tylko śniegiem. Dopiéro tu, pod Wilnem, cośmy się trochę pożywili, ale niech pan daruje—dodał całując mię w rękę—wydałem z pańskich pieniędzy dwa dukaty.

— Z jakich pieniędzy?—spytałem zdziwiony.

— A z tych co mnie pan oddał pod Smoleńskiem.

To mówiąc rozpiął się i dobył trzos z dukatami, który na sobie nosił.

Dopiérom sobie przypomniał, żem go był dał Iwasiowi, bo mi zbyt ciężył na koniu i biodra namulał.

Chcąc tak przychylną służbę i wierność jego nagrodzić, rozplotłem trzos natychmiast i nie licząc nawet, podałem mu garść dukatów.

Iwaś uśmiechnął się wesoło.

— E, proszę pana—rzekł—a mnie na co tyle pieniędzy! Żyliśmy razem z panem i przebyli tyle, przecież mnie pan od siebie nie odgoni; a jak wrócim do domu, a da mnie pan jaki zagon, to i dalej będziem Pana Boga razem chwalić. Niechaj to pan kapitan schowa, teraz ciężkie czasy, przyda się nam na czarną godzinę.

Uścisnąłem poczciwego towarzysza broni i zmusiłem przecie, że wziął kilka dukatów. Był z niego prawdziwie i człowiek i żołnierz wyborny; wspomniałem sobie, że za dawnych czasów, byłby pewnie na sejmie, za przedstawieniem posłów, indygenat pozyskał, boć nie z innych żywiołów, przy krwawych a uczciwych zasługach rycerskich, rozrastała się wielka szlachty naszéj rodzina.

Tak więc, po niesłychanych trudach, znojach i niebezpieczeństwach szczęśliwie przebytych, znowuśmy się znaleźli wszyscy razem,

prócz biédnego naszego Michasia, którego śmiertelne szczątki zasypały gdzieś śniegi nad brzegiem groźnéj Berezyny.

Dziwne, niepojęte są zrządzenia Opatrzności; z tych wszystkich nieszczęśliwych Francuzów, którzy w swéj lekkomyślności zakładali się, że na karnawał zdążą do Paryża, nie wiem, czy który ojczyznę zobaczył. Nam, cośmy, nie myśląc o jutrze, na śmierć się już zdawali, dozwolił Bóg w domowe progi powrócić i wczas jeszcze, aby solenny dzień wigilii Narodzenia Pańskiego w kole ukochanéj rodziny obchodzić. Po kilku latach, spędzonych za granicami ojczystéj ziemi, pozbawieni uczestnictwa w obchodach, uświęconych narodową tradycyą i obyczajem, z jakąż rozkoszą zasiedliśmy do wspólnego stołu i przełamaliśmy się białym opłatkiem, symbolem braterstwa i wiary, gościnności i rolniczéj pracy naszego kraju. Miłe to dla nas były owe święta i ostatnie dni tego pamiętnego roku, tém bardziéj, że i niespokojność, wynikająca z niepewnego naszego położenia osobistego, trwała niedługo; albowiem w same święta właśnie ogłoszoną została na Wołyniu i Litwie ogólna amnestya dla Polaków, którzy we francuzkiém wojsku służyli. Tym więc sposobem wszyscy, którzy, jak my właśnie, z powodu nadwerężonego zdrowia zniewoleni byli, lubo z żalem bratnie szeregi opuścić, nie będąc znów do wychodztwa lub bezcelowéj tułaczki zmuszeni, mogli bezpiecznie już pozostać w kraju i do rodziny lub własnych zagród powrócić.

Szybko przebiegły pierwsze chwile po przybyciu naszém do Wilna. Podkomorzyc, lubo mu z pokoju jeszcze wychodzić nie było wolno, a w prawéj ręce niewiele miał władzy, pokrzepił się już nieco po Nowym Roku i marzył tylko, aby do Horbowa i swojéj narzeczonéj pospieszyć. Nie chciałem ja przedwcześnie przyjacielowi zamącać pokoju, z niektórych jednak napomknień panny Doroty wnioskować mogłem, że mimo błogosławieństwa, udzielonego młodéj parze przez ojca panny Ludwiki, podczaszyna po śmierci męża mogłaby małżeństwu temu stawić niejakie przeszkody. Przewidywania moje aż nadto prędko się sprawdziły; panna Dorota bowiem, wkrótce otrzymała list od podczaszanki, pełen rozpaczy z dochodzących ją wiadomości o mniemanéj śmierci narzeczonego, o którym zapewniano, że wraz z Michasiem zginął, z czego korzystając matka, zniewalała ją do oddania ręki Czetwertyńskiemu, gdy ten, odnowiwszy dawne zaloty, niemal codziennym bywał już gościem w ich domu.

Zdziwiło nas to pismo podczaszanki, tém bardziéj, że panna Dorota oddawna już była o powrocie naszym przyjaciółce doniosła. Wnosić więc należało, że albo list na poczcie zaginął, albo umyślnie przez kogoś przejętym został. Nic przeto Józiowi nie mówiąc, prosiłem najprzód panny Jurkowskiéj, aby raz jeszcze do przyjaciółki pisała, sam zaś postanowiłem naradzić się z Żebrowskim nad tém, coby nam czynić należało, aby przyjść w pomoc koledze, który sam ruszyć się jeszcze nie mogąc, zagrożony był ciężkim zawodem i zwichnieniem może całéj swojéj, przez tyle lat marzonéj przyszłości.

Kiedym Łukaszkowi opowiedział z czém przychodzę, nie zdziwił się wcale i smutnie tylko potrząsnął głową.

— Wiedziałem ja—odrzekł—że po śmierci pana podczaszego rzeczy się odmienią i kiedy panna Ludwika pierwszy raz odmówiła Czetwertyńskiemu, długo później pani i mówić do niéj nie chciała; żeby nie ojciec, byłaby ją i wtenczas do tego małżeństwa zmusiła; a teraz.... Bóg wié co będzie.

— Jak panna nie zechce—rzekłem—jużci poniewoli ślubu nie dadzą.

— A! tak się to mówi—odparł Żebrowski—a jak zacznie stara nudzić, grozić, kwasić się, dokuczać, to i życie zbrzydnie: gotowa się panna zgodzić dla świętego spokoju. Alboż to nieraz tak na świecie nie bywa? Jeszcze jak powiedzą że narzeczony zginął, nie mając na kogo czekać, może się i pocieszy rychło.

— Panna Dorota pisała już o naszym powrocie, ale list nie doszedł; prosiłem żeby drugi raz doniosła.

— Ja ręczę—zawołał Łukaszek—że podczaszyna list przejęła i drugi tak samo przejąć potrafi. Tu innéj rady niéma—dodał po chwili—tylko mnie wypada natychmiast jechać do Horbowa, jeśli panna Ludwika o narzeczonym nie zapomniała, będzie mogła się opierać czas jakiś, a daléj, pan Józef sam pospieszy.

Rada była dobrą, ale trudną do wykonania z tego względu, że Łukaszek lepiéj niż ja umiał w chorobie doglądać podkomorzyca, i odjazd téż Żebrowskiego nie dałby się łatwo wytłómaczyć przed chorym, któremu ze względu powracającéj jeszcze niekiedy gorączki, niechcieliśmy niepokojących wieści udzielać. Po długim namyśle i naradach, postanowiliśmy wreszcie, że Łukaszek zostanie, a ja pojadę pod pozorem odwiezienia części pieniędzy ze wspólnéj kasy i kilku drobiazgów po nieszczęśliwym towarzyszu, które się w rękach naszych zostały.

Wyjazd ten jednak z Wilna nie był mi wcale, jak to powiadają, na rękę, ale dla przyjaciela i brata, bośmy się tak nazywali wszyscy i miłowali jak bracia, musiałem w cichości swoję sprawę poświęcić i na bok odłożyć, lubo ona była dla mnie najważniejszą i miała znaczenie największe. Przebywszy obozowych trudów i biedy a wojennych niebezpieczeństw bez liku, sterawszy się po szerokim świecie, uśmiechała mi się myśl spokojniejszego życia w kółku własnéj rodziny, dla któréj mógłbym pracę moję poświęcić. Zazdrościłem przyszłego szczęścia, które zdawało się oczekiwać podkomorzyca, a kiedym znowu ujrzał po powrocie owe cudne szafirowe oczy panny Doroty, już mi one ani na chwilę nie dawały spokoju. Zaraz téż nazajutrz po umieszczeniu się obok rodziców, pobiegłem odwiedzić starego rejenta. Przyjęto mnie cale serdecznie, panna zaś stokroć mi się jeszcze powabniejszą niż pierwéj wydała; zmieniła się bowiem znacznie, a w oczach moich, natenczas notabene, zmiana to była zewszech miar korzystna, i co dziśbym sądził zapewne inaczéj, wtedy zdało mi się saméj doskonałości szczytem. Więc w miejscu dawnéj dobrodusznéj a niewinnéj prostoty, zna-

lazłem w niéj ułożenie pełne wyuczonéj gracyi, omdlewające a pociągające wejrzenia, wdzięczną jakąś trwożliwość, eksklamacye i tęskne westchnienia, lub kapryśne minki; cudownie jéj z tém wszystkiém było! Najbardziéj jednak zdziwiła mnie mowa... francuźczyzna najczystsza, któréj nigdy przedtém z ust panny Doroty nie słyszałem; bo gdym ją u Kruszyńskich poznał, język ten był jéj obcym prawie, a jeśli się zdarzyło, że po francuzku wymówiła słów kilka, mimo najpiękniejszego dźwięku jéj głosu, nikt powątpiewać nie mógł, że wyszły one z powabnych ust... Litwinki. Nie zadawałem sobie pytania wcale, zkąd owa zmiana pochodzić mogła; a znalazłszy w niéj, prócz tysiąca wdzięków, damę ukształconą na podobieństwo osób zajmujących najwyższe niemal w społeczeństwie naszém szczeble, do reszty prawie straciłem głowę, zachwycony nietylko jéj czarodziejskim urokiem, ale i owym wielkoświatowym a zagranicznym polorem, który na owe czasy za nieodbity warunek dobrego wychowania był uważany. Mimo bowiem wszelkich narodowych wad Francuzów, któreśmy najdokładniéj poznali z codziennych przez ostatnich lat kilka z nimi stosunków, dziwny oni jednak i prawdziwie nie dający się nawet wytłómaczyć, a raczéj usprawiedliwić, wywierali od wieków wpływ na cały kraj i społeczeństwo nasze. Obecnie zaś, urok wielkiego imienia wojownika, niezachwiana dotychczas sława oręża Francuzów, lekki, wesoły, ujmujący i gładki sposób obejścia się ich w towarzystwie, nadewszystko pociągającemi były dla kobiét; one zaś i na mężczyzn przeważnie wpływając, najbardziéj przyczyniały się do powszechnego uwielbiania i przyswajania sobie wszystkiego, co treść i cechę obyczajów francuzkich stanowić mogło. Dodać należy i to jeszcze, że lubo sami Francuzi ze swoich Gaskończyków żarty stroić lubią, są oni sami właśnie Gaskończykami narodów, uważając się za jakichś wybranych, najdoskonalszych ludzi; niezmordowani we własnych pochwałach, do najwyższego stopnia chełpliwi, rezolutni i wygadani, tém samém już wygrywają na świecie. Bo i stare nasze przysłowie uczy, że: *kot łowny, a chłop mowny, zawsze syt.* Więc téż i ludzie nasłuchawszy się bez miary jak oni sami o sobie prawią, zrazu mniéj, późniéj więcéj, a na końcu mało bacząc, i całkiem już w ich doskonałość wierzą. Jak u nich zaś głównym grzechem jest to zbyt dobre rozumienie o sobie, tak u nas naśladownictwo; szkoda tylko, żeśmy się od nich nie nauczyli sami o sobie lepiéj trzymać, toćby i nas może ludzie więcéj szanowali. Bo jeśli my sami siebie, jak to dziś w modzie, błotem obrzucać będziemy, pewno nas nikt cudzy ani oskrobywać, ani cnót prawdziwych i zasług wskazywać nie zechce. A ludzie jednak są ludźmi wszędzie, i poszukawszy uważnie możeby się po sąsiedzku, za domem, nie jedno stokroć gorsze niż u nas znalazło. Ale i naówczas, co francuzkie, było już wzorem dla nas i doskonałością samą.

Stary rejent Jurkowski wielki Francuzów zwolennik, najpierwszy téż był i synowicy swojéj wielbicielem. W oczy, szanując jéj skromność, uśmiechał się tylko, brwiami, oczami i mimiką zwracając na nią

uwagę przytomnych, admirując postawę, zachowanie się, i ową francuzczyznę, z któréj ani słowa jednak nie rozumiał, ale skoro się oddaliła z pokoju, nie mógł się już od głośnych pochwał powstrzymać.

— A co? panie dobrodzieju—mówił z miną tryumfującą—moja panna Dorota? hę? to panie dama komilfo! ze świecą poszukać; na całe Wilno drugiéj takiéj niéma, a jak panie po francuzku *expedyte* rżnie, hę? to klękajcie narody!

Podzielałem i ja zachwyt starego rejenta, a w gorącości pochwał bynajmniéj mu się nie dawałem prześcignąć; to téż z wielkiém mojém zadowoleniem uważałem, że stryjaszek coraz łaskawszém okiem na mnie spoglądał: przyjmował mnie w swym domu nadzwyczaj serdecznie, i skoro nas widział zajętych rozmową, pod rozmaitemi pozorami z pokoju się nawet usuwał.

Inaczéj jednak było z panną Dorotą: zmiana bowiem, jaką w niéj znalazłem, lubo w mych oczach natenczas zdawała się o wiele jeszcze podwyższać jéj wdzięki, nie była wszelako powierzchowną tylko, ale i na charakter a przynajmniéj obejście się wpływała znacznie. Gdy ja nieraz bywałem nieśmiały i małomówny, ona, śmiejąca się, wesoła, żartobliwa, stawała się niemal wyzywającą, lubo często i złośliwą; kiedy zaś ja byłem wesołym i śmielszym, ona znów zachmurzała się, usuwała i szyderczemi półsłówkami, albo chłodną zbywała mnie obojętnością. Byłem więc bezustannie między ogniem i lodem, w ciągłém podrażnieniu, coraz nowe w niéj upatrując wdzięki; szamocząc się z mém uczuciem, coraz bardziéj oplątywałem się w tę sieć zdradliwą nie wiedząc wcale, czym był ciągniony czy odpychany, ani z dnia jednego nie mogąc nic wróżyć, co mię w następnym czeka. Była to więc jakaś rozkoszna męczarnia, z któréj i wyrwać się i żyć w niéj, zdaje się nad siły człowieka. Odpychany, gdym miał na ustach wyznanie, pociągany, gdym się chciał obojętnym okazać, sam nie wiedziałem już co się ze mną dzieje, ani co mam czynić.

W tym stanie umysłu i ducha, wypadło mi właśnie opuścić Wilno, śpiesząc na Wołyń w sprawie podkomorzyca; obowiązki jednak przyjaźni i koleżeństwa nie pozwalały mi się wahać ani chwili, a lubo dzień przed tém, panna Dorota małomówna i zachmurzona, przyjęła mnie ledwie obojętném skinieniem głowy, pobiegłem z pożegnaniem.

Rejent był w mieście, stara ciotka panna Czyżówna, otulona dywdykową chustką, w czepcu z ogromnemi szlarkami, w wielkich, w ciężkie srebro oprawnych okularach, siedziała, jak zwykle przy oknie z nieodstępną robótką.

Kiedym wchodził, drzwi od drugiego pokoju przymknęła właśnie jakaś niewidzialna ręka, niebawem jednak ukazała się w nich piękna moja znajoma, a witając mię równie zimnym jak wczoraj ukłonem, rzekła z kwaśną i prześlicznie grymaśną minką spoglądając w okno.

— Stryja niéma w domu, wyszedł do miasta.

Równało się to powiedzeniu, że jeśli nie do stryja, to nie miałem poco przychodzić; zmieszałem się, serce mi się ścisnęło, ale biorąc już rzeczy jak są, spytałem:

— Czy prędko powróci?

— Nie wiem—odparła krótko panna.

— Bardzo mi przykro—rzekłem—że nie zastałem stryja pani, bo... chciałem państwa pożegnać.

Pana Dorota zwróciła się ku mnie żywo.

— Pan odjeżdżasz? dokąd? kiedy?

— Do Horbowa, w interesie podkomorzyca jadę; trzeba śpieszyć póki czas i w domu być muszę, bo się rodzice moi wybierają niebawem.

— Pan zostaniesz w domu?—spytała.

— Nie wiem... chciałbym tu jeszcze powrócić przed odjazdem rodziców...

Na tę moję odpowiedź niepewną, zdało mi się, że twarz panny Doroty nieco się wypogodziła, i ujrzałem, ten znany mi uśmiech, pełen nieopisanego wdzięku, a oczy moje spotkały się z jéj wejrzeniem tak czarującém, że gdyby nie obecność cioci, byłbym przed nią upadł na kolana. I ona téż zdawała się myśli moje odgadywać, wyciągnęła więc ku mnie rączkę z pożegnaniem.

Pochwyciłem ją tysiącznemi okrywając pocałunkami; lekko jeszcze uścisnęła moję dłoń i szepnęła zcicha:

— Proszę o nas... nie zapominać.

Nie wiem, czy się ze starą ciocią pożegnałem, wybiegłem na ulicę jakby upojony szczęściem i wpół nieprzytomny; czułem dotknięcie téj rączki, w uszach dźwięczał mi ten głos nieporównany, z jéj łaskawym uśmiechem, już mi się uśmiechał i wypiękniał świat cały.

Śpieszyłem się chcąc natychmiast jechać, aby conajprędzéj powrócić. Nie wiem jaką magnetyczną siłę posiadała ona w tych cudnych oczach, w ustach, w uśmiechu, w całéj osobie; to pewna jednak, że za nią byłbym chyba w przepaść poleciał.

Wyjechałem pełen złotych marzeń i różowych nadziei.

W dni kilka późniéj, zbliżałem się już do Horbowa i żywo w pamięci mojéj stanęła podróż poprzednia, także w porze zimowéj, kiedym na zaręczyny podkomorzyca pośpieszał. Pięć lat zaledwie ubiegło od owego czasu, a jakież tu zaszły zmiany!

Wkrótce po śmierci ukochanego przez wszystkich gospodarza, podczaszyna przeniosła się do Nowosiółek, czyli do tego pożądanego oddawna pałacu, wystawionego w folwarku o pół mili od Horbowa odległym, który przez lat dziesięć prawie od czasu założenia, nie był wcale zamieszkany. Horbów, dawniéj tak wesoły, ludny i gwarny, martwy był teraz i opuszczony; pustkami stały obszerne pokoje i sale, lało się przez dachy i pułapy, w większéj części domu okna bez szyb i drzwi bez klamek; niezamieszkane a zatęchłe izby objęły w posiadanie szczury, tchórze, łasice i nietoperze; grzyby i pleśń zielona rozrastały się po ciemnych a wilgotnych kątach. Zaledwie duch uleciał, już martwe ciało oblegały pasożyty. Kilka izb na prawo z sieni, nieco porządniéj utrzymanych, zajmował nowy rządzca pan Piskorski; na lewo w opustoszałéj części domu, gdzie najmniéj przez dach zaciekało,

w dawnéj kancelaryi podczaszego, mieścił się stary rotmistrz Dobrowolski. Kiedym przyjechał i spojrzał na to opustoszenie, nie mogłem się wstrzymać od ciężkiego westchnienia; zdawało mi się że nie pięć lat, ale pół wieku chyba upłynęło od czasu mojéj ostatniéj w Horbowie bytności. Ledwiem się dopytał o mieszkanie rotmistrza; przeszedłszy dwie puste i zimne sale, zastukałem do drzwi, które mi wskazano.

— A kto tam u dziaska stuka?—ozwał się głos ze środka—pchaj, kiedy chcesz wejść.

Uchyliłem drzwi powoli.

W długich butach, łosiowym, starym, grubo naszywanym kaftanie, z mycką na głowie, a fajeczką w zębach, siedział na długim zydlu nieopodal od komina JWPan Dobrowolski, dzierzgając z szarych sznurków sieć, któréj spora już kupa koło niego leżała.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus—rzekłem na próg wstępując.

— Na wieki wieków—odrzekł stary podnosząc głowę i przypatrując mi się uważnie.

— A proszę drzwi dobrze zamykać—dodał—bo tam na sali zimno, choć psy ganiać.

Kogóż mam honor witać?—dorzucił po chwili.

Wymieniłem nazwisko.

Ruszył się żywo z zydla, witając mię po ojcowsku prawie, ale wzruszony widać wspomnieniem Michasia i podczaszego, słowa z początku przemówić nie mógł i łzy tylko, co mu się do oczu cisnęły, to jedną, to drugą ręką obcierał.

— Jakże zdrowie szanownego rotmistrza?—spytałem, chcąc zacząć rozmowę.

— At! cotam moje zdrowie—odparł, rzuciwszy ręką—czekam śmierci, jeśli mię pierwéj i zpod tego dziurawego dachu nowy pan rządzca, albo nowy dziedzic nie wyrzuci.

— Pani podczaszyna się wyniosła?

— A tak, zaraz w kilka tygodni po śmierci naszego dobrodzieja. Teraz—dodał ciszéj—w Nowosiółeckim pałacu, mosanie, splendory; niéma już dawnych hajduków i kozaków na służbie: kamerdurnie, mosanie, w rękawiczkach i w niemieckich pludrach, sami tylko książęta i hrabiowie na placu. No... ale tu wieść rozpuszczono—mówił—że waćpan z Michasiem razem i podkomorzycem i z Żebrowskim zginąłeś.

— Podkomorzyc w Wilnie—odrzekłem—chory trochę, Łukasz jest przy nim.

— Jakto? żyje? nie zginął?—zawołał rotmistrz zdziwiony.

— Żyje i wybiera się tu wkrótce na wesele.

Dobrowolski z wpółotwartemi ze zdziwienia ustami, milcząc, głową kiwać począł, wreszcie obejrzał się, widać ze zwyczaju i przybliżając się, rzekł zcicha:

— Ot! mosanie! co to babskie intrygi! A tu na pewno ogłoszono śmierć podkomorzyca i Czetwertyński już po słowie.

— Jakto?—rzekłem—przecież panna zaręczona z Józiem i ojciec pobłogosławił.

— O! racya! — odparł rotmistrz — ale podczaszyna forytowała Czetwertyńskiego oddawna, a teraz po śmierci męża ani chce słyszéć o podkomorzycu.

— Ależ panna Ludwika?—zawołałem.

— No, panna Ludwika desperowała mocno po narzeczonym, to prawda, ale powiadają, lubo ja tam na pewno nie wiem, że jakoby, jak ją matka zaczęła nękać, dała wreszcie słowo i ślub ma być w zapustną niedzielę; wyprawa już gotowa, furami, mosanie, nabrali towarów od Beszona i Ekelta w Dubnie.

— Zobaczymy—rzekłem—może to się odmieni, jak się dowiedzą o naszym powrocie.

Stary rotmistrz ucieszony, ale zaniepokojony mocno, zdawał się przewidywać trudności i zawikłania; zaczęliśmy się naradzać, jak mam postąpić w oddaniu rzeczy po Michasiu i pisma podkomorzyca do panny Ludwiki i do matki. Po namyśle stanęło na tém, żem ułożył list do podczaszyny, przesyłając rzeczy i pieniądze i prosząc o pozwolenie złożenia uszanowania mego tegoż dnia wieczorem, lub nazajutrz rano. Co do listu do panny Ludwiki, postanowiłem go jéj oddać sam osobiście.

Posłaniec konny, wyprawiony około południa, powinien był najdaléj w godzinę powrócić; myśmy i obiad u państwa Piskorskich zjedli i parę godzin jeszcze minęło, nim się odpowiedzi doczekałem. Już to samo opóźnienie naprowadziło nas na rozmaite domysły; kartka wszelako pani podczaszyny rozwiązywała zagadkę w sposób wcale niespodziewany, dziękując bowiem ceremonialnie i sucho za odesłanie pieniędzy i rzeczy, przepraszała, że mnie nie zaprasza, ponieważ jest chorą i widziećby się zemną nie mogła.

Po odczytaniu téj repliki, spojrzeliśmy sobie w oczy z rotmistrzem.

— No—rzekł stary, podnosząc brwi do góry—dostałeś waćpan odprawę krótką, a co teraz będzie z listem podkomorzyca?

Zadanie było niełatwe do rozwiązania.

— Ha!—rzekłem wreszcie po chwili namysłu—jużci ja tu sam bez szanownego rotmistrza nie będę robił nic, ale spodziewam się, że w takiéj sprawie pomocy swojéj przecież nie odmówisz.

— No i pewno—odparł prostując się rotmistrz—aby tylko skutecznie; już ja o tém, mosanie i myślę, boć to była wola nieboszczyka podczaszego. Ale ja tu i u jejmości nie w wielkich łaskach zostaję i jeśli do téj pory pod tym dachem siedzę, to chyba ztąd jedynie, że mam do tego może i niejakie prawo.

— Ale powiedz-że mi pan—spytałem—czy podczaszy przed zgonem nie zostawił jakiego rozporządzenia względem tego małżeństwa, choćby ustnie tylko.

— Ba, mówił i powtarzał, ale w tém sęk, że nie napisał nic, bo to wiadoma rzecz, mosanie, *verba volant*, *scripta manent;* interes i bab-

ska intryga wszystko to odmienia, bo podczaszyna jedynie na Nowosiółkach ma dożywocie posagu; prócz buzi i nózi nie wniosła nic: cała fortuna panny to z ojca i z nieboszki ciotecznéj siostry mojéj, a matki Michasia i panny Ludwiki.

— Jakto?—zawołałem zdziwiony—to podczaszyna jest macochą?

— Alboś to waćpan tego nie wiedział?

— Pierwszy raz słyszę.

— Ano, to ci powtarzam, że w tém jest sztuka macochy, żeby pasierbicę albo jak najdłużéj miéć przy sobie i z jéj dochodów pański dom trzymać, albo forytowany konkurent mógł jakieś obietnice poczynić względem dożywocia, przyczém i mitra u jejmości ma niemałe znaczenie.

— Te wszystkie stosunki—rzekłem—wcale mi były nieznane, ale kiedy rotmistrz jesteś tak blizkim krewnym, radź-że, zmiłuj się, jakbyśmy tę parę pożenili przecież, bo kiedy jest błogosławieństwo ojca, a panna się zgadza, to już macoszyne słowo nie znaczy nic.

— Tak, według sprawiedliwości; a choć mnie podczaszy i opiekunem naznaczył, baba o nic się nie pyta i tysiączne może stawić przeszkody: jużto sobie widać ukartowała.

Zaczął chodzić po izbie, a po chwili ozwał się żywo:

— I nieboszczykowi i nam wszystkim dosyć ona swemi humorami zalała za skórę... niedoczekanie jéj, siedziałem ja do téj pory cicho, bo i nie było co robić; teraz, mosanie, trzeba się dobrze rozmyśléć, zrobimy po swojemu... choćby nawet pannę przyszło wykradać.

Ożywił się stary rotmistrz do niepoznania, nabrałem dobréj otuchy.

— Wybornie!—zawołałem wesoło—ot, tak to lubię; jeśli przyjdzie wykradać pannę, to i ja posłużę, bo już raz w Hiszpanii pomagałem koledze do wykradania jednéj... mniszki.

— Cha! cha!—zaśmiał się Dobrowolski—otóżto młodość! jak do rady, niéma nic, jak do awantury, zaraz gotowy.

— Przecież szanowny rotmistrz sam ten projekt podajesz.

— Ba, mosanie, ależ to przecie nie mniszka.

Kiedy tak rozmawiamy, a już się miało ku wieczorowi, ktoś kręcić począł klamką u drzwi wchodowych; że zaś zamek był zepsuty i dla otworzenia go należało być w pewne wyjątkowe subtelności mechanizmu wtajemniczonym, mieliśmy czas przeto zwrócić uwagę na wchodzącego. Drzwi się wreszcie otworzyły i ujrzałem w nich ze zdziwieniem bardzo piękną i strojną czarnooką damę. Zdziwiłem się więcéj jeszcze, gdy ją rotmistrz z poufałym uśmiechem powitał.

— Aa! panna Karolina! co za niespodziewane odwiedziny.

— Przyjechałam tu do pani Piskorskiéj w gościnę, na chwilę— odrzekła dygając pięknie przybyła.

— Tak?—mówił rotmistrz z uśmiechem—i zaszłaś do mnie przypadkiem pewno, nie wiedząc, że tu jest jakiś ułan młody...

— Owszem—przerwała z rezolutną minką panna Karolina—wiedziałam, bo właśnie do pana Kuleszy—tu zwróciła się do mnie—mam kartkę od mojéj pani.

To mówiąc, z za gorsu wyjęła bilecik, który mi podała.

Rozerwałem pieczątkę: była to kartka od podczaszanki.

Panna Ludwika w wyrazach gorących i rzuconych widać pośpiesznie, prosiła mię o wiadomości o podkomorzycu, dodając, że je mogę na piśmie, lub ustnie, z całém zaufaniem powierzyć przysłanéj przez nią osobie.

Już tedy pewni byliśmy wygranéj, skoro nam druga strona z tak dzielną przychodziła pomocą. Dowiedziałem się przytém, że ślub z Czetwertyńskim istotnie naznaczony był przez podczaszynę na 28 lutego, czyli niedzielę zapustną. Czyniło się to mimo woli panny, a macocha, nie zaniedbując wszelkich środków do jéj zniewolenia, miała nadzieję, że zamiary swoje do skutku doprowadzić potrafi.

Należało nam przeto zawczasu obmyśléć drogi do zniweczenia całéj intrygi, lubo teraz już i na pannę mogliśmy rachować. Po oddaniu więc listu Józia i udzieleniu ustnych objaśnień pannie Karolinie, stanęło na tém, że unikając śledzczych oczu pana Piskorskiego, który zaprzedany był z duszą i ciałem podczaszynie, ja miałem wyjechać nazajutrz, a poczciwy rotmistrz w dni kilka późniéj porozumiawszy się sam z panną Ludwiką, donieść nam miał, co ostatecznie przedsięwziąć wypadnie.

Po odejściu pięknego i wielce domyślnego posłańca panny Ludwiki, stary Dobrowolski pykając fajeczkę, bezmyślnym wzrokiem zapatrzywszy się w obmarzłe szyby okna, długo stał zadumany i milczący. Nieśmiałem myśli jego przerywać, pewnym będąc, że jako wódz naczelny, musi plany wojenne układać.

W istocie, po niejakim czasie nagle odwrócił się ku mnie z pytaniem:

— Waćpan pomagałeś wykradać mniszkę?

— Pomagałem.

— No, to teraz będziesz drugi raz do wykradzenia pomagał.

— Jakto? naprawdę?—spytałem.

— A nieinaczéj— odparł rotmistrz seryo i z pewną nawet goryczą.—Mnie opiekunem Ludwisi naznaczył nieboszczyk podczaszy, a ta baba o nic się nawet nie pytając, robi po swojemu; no, skwitujemy się teraz: zrobię i ja po mojemu. Bo gdybyśmy chcieli iść na przebój, choćbyśmy zrobili swoje, ale i dla panny i dla nas zbyt wiele kłopotów, scen, sprzeczek i nieprzyjemności. Poco nam to wszystko? Niech się sobie cieszą i podczaszyna i Czetwertyński i cała ich klika pięknemi nadziejami aż do ostatka; a my ułożymy, jak należy, wszystko: w przeddzień ślubu zabierzemy pannę i trzymając się ich własnego terminu, w niedzielę zapustną pożenimy naszych narzeczonych.

— A dyspensa?—spytałem.

— To już moja rzecz—odparł Dobrowolski—dyspensę wyrobię na pewno, a gdyby nawet na czas nie nadeszła, nasz proboszcz da ślub

na moje słowo. Cha! cha! cha!—zaśmiał się stary wesoło—jeśli to, jak waćpan mówisz, bywa w Hiszpanii, to i u nas także nie nowina i gorzéj niedawno było, bo memu znajomemu, będzie temu lat czternaście, pop unicki dał ślub za... podorożną!

— Jakto? za podorożną?—zawołałem.

— Ano, tak: za podorożną. Dyspensy nie było, uciekali, wykradłszy się, pocztą. Panna desperowała, rychło wczas, że jedzie bez ślubu; po drodze wpadli do znajomego unickiego parocha, który wprawdzie znał kirylicę *expedyte*, ale rosyjskiéj azbuki ani w *dens*, a podorożnéj w życiu swojém nie widział, boć to i zgoła nowa rzecz była u nas. Jak mu tedy pokazali drukowany papier z ogromnym orłem, pieczęcią i nazwiskiem pana młodego, pewnym był, że to jest dyspensa według nowego porządku i nie wahał się ani chwili.

Ale—dodał kończąc—żart żartem, a niech się tylko zdecyduje Ludwisia, zawieziemy ją cichutko wieczorem do poczciwéj pani Izdebskiéj; była ona przyjaciółką jéj matki, więc i zastąpi ją chętnie w potrzebie, a nazajutrz ślub, krzyżyk na drogę i bywajcie zdrowi!

Stary rotmistrz śmiał się uradowany pomysłem.

— Będąż tam w Nowosiółkach i fochy i sceny, dałbym konia z rzędem, żebym to mógł widzieć!

Stosując się tedy do planu Dobrowolskiego, który jako wuj i opiekun, brał całą sprawę na siebie i nie mając już daléj co robić w Horbowie, przenocowawszy, nazajutrz rano puściłem się w podróż z powrotem; drogę zaś moją stosownie do rozkazu ojca obróciłem na naszę starą siedzibę, dla zobaczenia, w jakim jest stanie po przejściu wojennéj nawałnicy. Nadspodziewanie jednak, prócz wypróżnionych spichrzów i magazynów, prawie wszystko zresztą zastałem w jakim takim porządku, co zawdzięczać nam wypadało temu jedynie, że w stronach naszych gościł spokojny, między dwoma wodami lawirujący, austryacki korpus Schwarcenberga; brano więc magazyny i furaże, ale wojsko trzymane w karności, rabunków się dopuścić nie mogło. Ojciec zaś nasz wyjeżdżając z domu, miał tę przezorność, że wszystkie kosztowniejsze rzeczy i sprzęty zamurował w lochach, sam, z pomocą jedynie starego Jędrzeja; ci domownicy przeto, którzy pozostali na miejscu, schowania nie znając, ani sami szkody żadnéj uczynić, ani zagrożeni nawet przez kogokolwiek, zdradzićby ukrycia nie mogli. Szczęśliwie przeto wyszliśmy na tém, że majątek nasz nie leżał na drodze wielkiéj armii Napoleona, która przez wszystkie ziemie nasze ciągnęła na podobieństwo szarańczy, a przestąpiwszy Niemen, rabunkiem i pożogą znaczyła swe szlaki. Tysiące rodzin, wieśniaków, szlachty i dostojników nawet, pozbawione przytułku i osobistego bezpieczeństwa, szukać musiało schronienia wśród błot i niedostępnych kniei.

Dzień jeden zabawiwszy w domu, z dobremi i dla ojca i dla przyjaciela nowinami, wyruszyłem w dalszą drogę. Ale zaspokojony w głównych przedmiotach mojego poselstwa, przez ciąg dość długiéj podróży, zacząłem też przemyślać i o własnéj przyszłości. Przypomi-

nając sobie postępowanie ze mną panny Doroty, jéj względem mnie zachowanie się, pełne niewytłómaczonych sprzeczności; raz zimne i odstręczające, gdy oczy jéj zdawały się mnie szukać i pociągać, to znów niby uprzejme, a szyderczemi słowami lub spojrzeniem odpychające, gubiłem się w myślach, nie mogąc wcale pojąć, co to wszystko znaczy. Że stary rejent domyślał się, co mię do jego domu ciągnęło, byłem najpewniejszym, a po serdeczności coraz większéj, z jaką mnie przyjmował, widziałem jasno, że zamiary moje popierać będzie. Nie wielka to była jednak pociecha, skoro uczuć panny odgadnąć nie mogłem; łaskawe pożegnanie, kiedym się w podróż na Wołyń wybierał, dodawało mi wszelako otuchy; pocieszając się więc tém wspomnieniem, rad że powracam, z dobrą myślą i nadzieją przybyłem do Wilna.

Zastałem podkomorzyca już prawie całkiem zdrowego, który niecierpliwie oczekiwał mego przyjazdu i już się prawie rwał w drogę; otrzymawszy jednak wiadomości, przywiezione przezemnie, postanowił czekać listu i oznajmienia Dobrowolskiego.

Zmęczony drogą, późnym wieczorem dojechawsszy do Wilna, chociaż mi pilno było zajrzeć do dworku rejenta, po trzech prawie tygodniach niewidzenia mojéj bogini, musiałem jednak odwiedziny do następnego dnia odłożyć. W różowych więc marzeniach zasnąłem, postanawiając sobie nazajutrz, bądźcobądź, los swój wyjaśnić i oświadczyć się o rękę panny Doroty.

Około południa więc drugiego dnia, z biciem serca znalazłem się przed domkiem rejenta; pocisnąłem klamkę, ale drzwi stojące otworem, na ten raz okazały się zamknięte. Muszę też dodać, że na owe czasy dzwonki, u drzwi wchodowych w małych dworkach w Wilnie, były osobliwością niepraktykowaną i nikt się tak ostrożnie, jak dziś, nie zawierał przed światem. Poruszyłem klamką i drzwiami kilka razy, i po niejakim dopiéro czasie odryglowała mi wejście stara służąca.

— Jest pan rejent?—spytałem.

— A jest—odparła chmurno i wskazała drzwi na lewo.

Wszedłem.

JMpan Jurkowski, zwykle żwawy, czerstwy i od piątéj rano ubrany, siedział teraz przed kantorkiem, w długim robdeszanie, z głową obwiązaną chustką, żółty i zmieniony do niepoznania.

Spostrzegłszy mnie wchodzącego, wstał i w milczeniu powitał.

— Pan dobrodziej słaby?—spytałem.

Rejent machnął tylko ręką, postąpił kroków kilka, a zwracając się stanął i popatrzył mi w oczy.

— Dawno waćpan wróciłeś?—zapytał.

— Wczoraj wieczorem.

— I nic nie wiesz?

— Nic: cóż się stało?

Rejent żywym krokiem chodzić począł po izbie.

— Otóż-to—mówił urywając—te łajdaki Francuzy! bezbożniki, libertyny! farmazony! ale tu, i waszmość sam, panie Antoni, dużo winieneś.

— Cóż-to jest? — rzekłem — nie wiem o niczém, nie poczuwam się....

— Jakto, nie wiesz?—przerwał mi Jurkowski—bywałeś, bywałeś, koperczaki stroiłeś: czemuż się nie oświadczyć.

Widziałem wielkie rozdrażnienie rejenta, ale nie mogłem wcale zrozumieć, o co mu chodziło; korzystając jednak z tego, że sam rozmowę na pożądany dla mnie tór wprowadził, rad z tak dobréj okoliczności, rzekłem już śmiało:

— Właśnie, przychodzę teraz w zamiarze...

— Aha!—zawołał rejent—rychło w czas w dziewosłęby!

— Albo co?—spytałem—co się stało?

— To nic nie wiesz?—rzekł znowu rejent.

— Ależ nic, słucham i nie rozumiem: na miłość Boga, co to jest?

— Co jest? co jest?—powtórzył żywo Jurkowski, i niby, kłaniając się ku mnie dodał—ot co jest... Panna Dorota wczoraj w nocy świsnęła w świat... z Francuzem!

I zimno i gorąco mi się zrobiło, oparłem się o stolik, uczułem, jakby się podłoga podemną chwiała.

— Niepodobna!—zawołałem wreszcie—z jakim Francuzem?

— A, z tym gagatkiem z ambasady, Brissakiem, co z nim komedye francuzkie grywała, dla zabawy szanownego posła, księcia Bassano i całéj téj kliki; ot, masz waćpan i komedye i tragedye. Już ja przeczuwałem, czém to pachnie, dlatego zabroniłem mu wstępu do mego domu. Ale—dodał żywo—co to wszystko pomoże, jak się dziewce we łbie przewróci.

Nie wiem już, co daléj mówił rozżalony rejent, stałem jak osłupiały, przypomniało mi się dziwne postępowanie panny i owa francuzczyzna nieszczęsna, z któréj nabyciem przyszedł widać i nowomodny francuzki obyczaj.

Co się zemną działo... opisywać nie myślę.

W dni kilka późniéj, ochłonąwszy nieco z pierwszego wrażenia, dowiedziałem się, że to, czegom ja w zaślepieniu mojém wcale nie widział, ani się domyślał nawet, wszystkim było mniéj więcéj znane i wiadome.

Okazało się więc, że ów Brissac, byłto ten sam komedyant i awanturnik Vicomte, który węże zajadając u Kruszyńskich siedział jako emigrant niby, a tu w Wilnie znalazł się, jako najlepiéj widziany i ulubiony przez księcia Bassano. W amatorskich przedstawieniach teatralnych u ambasadora, które Brissac urządzał, uczestniczyła nieraz i panna Dorota z krewną swoją, bawiącą w jakimś wielce pańskim domu. Roje się tam tych Francuzow różnych kręciło wraz z wielu naszymi panami, którzy również po połowie byli zfrancuzieni. Całe więc to również ucywilizowanie panny Jurkowskiéj przyszło od owego

Vicomta, a że on był dobrym nauczycielem, świadczyły i układ i piękna mowa panny Doroty, dla któréj widać douczenia się gruntowniejszego, nie wahała się wyrzec ojczyzny, domu i własnéj rodziny.

Nie pierwszy to był przykład skutków owéj cywilizacyi, którą nam przynosili... nasi przyjaciele; ale my łatwowierni i zaślepieni wszystkośmy brali za dobrą monetę. Prawda, że jak mawiają: „toncy i brzytwy się chwyta;" owoż, myśmy sobie i palce porżnęli i w uszy nam się nalało.

W dziesięć dni dopiéro, po moim powrocie, nadszedł list od starego rotmistrza, w którym jednak, jak on sam pisał, „było i złe i dobre;" panna Ludwika bowiem, chociaż stanowczo oświadczyła macosze, że za Czetwertyńskiego nie pójdzie, z drugiéj strony jednak niemniéj stale zapewniła Dobrowolskieego, iż o żadnym wyjeździe z domu i ślubie bez upoważnienia macochy, ani słyszeć nie chce. W końcu więc listu, rotmistrz wzywał podkomorzyca, aby przyjechał do miasteczka, w blizkości Horbowa położonego, gdzieby się zobaczyć i obmyśleć coś względem dalszego działania mogli.

Ja byłem natenczas w takim stanie umysłu i serca, żem prawie nie wiedział co się wkoło mnie działo; chciałbym był być o sto mil od Wilna, tak mi tu było pusto i tęskno, tak każdy dzień jak wiek długi, trudny do przebycia. Gdy mnie więc podkomorzyc zaprosił, abym mu towarzyszył, jadącemu na wezwanie Dobrowolskiego, zgodziłem się chętnie i nazajutrz rano, pożegnawszy się z rodziną, ruszyłem z nim w drogę. Żebrowski tymczasem, z niektóremi poleceniami Józia, udał się do Hlinnego, gdzie i stary Zaręba młodego dziedzica niecierpliwie wyglądał.

Po kilku dniach męczącéj drogi, przybywszy w nocy już do miasteczka, gdzie nas rotmistrz miał oczekiwać, zastaliśmy tam tylko postawionego dworskiego kozaka z listem od Dobrowolskiego, w którym lakonicznie donosił, abyśmy wprost do Nowosiółek jechali.

Było to wróżbą dobrą, z któréj się wielce podkomorzyc ucieszył.

Z noclegu na miejsce mieliśmy zaledwie pół godziny drogi; był więc czas wyspać się i wypocząć po podróży, gdyż zbyt rano przyjeżdżać nie wypadało.

Nazajutrz więc, wyświeżeni, z dobrą otuchą pośpieszyliśmy na wezwanie rotmistrza.

W Nowosiółkach, gdyśmy w bramę wjeżdżali, spostrzegliśmy już starego Dobrowolskiego, który nas oczekiwał w ganku przed oficyną: tameśmy więc zajechali.

Po przywitaniu serdecznem, ledwieśmy do pokoju weszli, podkomorzyc żywo zwrócił się do rotmistrza.

No, i cóż?—spytał.

— At!—odparł zapytany—z babami sprawa, mosanie, to ostatnia rzecz.

— Jakto?

— Już z zaproszenia do Nowosiółek mogłeś zmiarkować—ciągnął stary—żeśmy sprawę wygrali; podczaszyna, chąc nie chcąc, zgodzić się musiała, bo cóż miała robić? powiedziała mi, że możesz przyjechać, a dziś... znowu muchy w nosie!

— Cóż to jest?

— No, nie wiem, mosanie, ale dowiaduję się, że leży w łóżku i skarży się na te swoje wapory, czy mdłości, co jéj zawsze przychodzą... na zawołanie...

— Może istotnie chora—przerwałem.

— At! wierzysz asindziej—odparł Dobrowolski—u niéj to zawsze tak: jak tylko chce dać jakiego kominka, oho, już... wapory, larendogrą się oblewa, a to wszystko komedya.

Rotmistrz niekontent, zrzędził chodząc po pokoju; podkomorzyc jednak znalazłszy się już w Nowosiołkach, miał dobrą nadzieję i humoru nie tracił. Przegawędziliśmy tak do godziny pierwszéj, ale gdy wszedł służący, oznajmując, że już obiad podany i proszą nas do pałacu, mój poczciwy Józio tak się zarumienił, jakgdyby był młodziuchną dzieweczką, nie zaś wiarusem z 7-go pułku ułanów.

W salonie podkomorzynéj nie było, zastaliśmy tylko oczekującą na nas pannę Ludwikę.

Było to pierwsze spotkanie się narzeczonych, po czterech przeszło latach niewidzenia. Mamże je opisywać? nie; kusić się o to nie będę: zresztą, nie przemówili do siebie z początku ani jednego słowa. Co tam mówiły ich drżące dłonie w długim, nierozerwanym splecione uścisku? co wzajemnie wyczytali w swych oczach? oni to już tylko jedni wiedzieć mogli. Odeszli wreszcie ku oknu, cichą zajęci rozmową i nie uważali z pewnością, że my z rotmistrzem już od pół godziny przeszło dreptaliśmy niecierpliwie wzdłuż salonu, oczekując, rychło-li nas poproszą do stołu. Jużeśmy się i umęczyli chodzeniem, kiedy przecież uchyliły się drzwi, weszła z jednéj strony chmurna i skrzywiona, jak zwykle, pani podczaszyna, a jednocześnie prawie otwarły się na ścieżaj przeciwległe podwoje i, po krótkiém powitaniu, przeszliśmy do jadalni.

Powitanie gospodyni było tak obrachowane, żeby ani szczypty grzeczności nie znalazło się w niém więcéj niż ściśle na bieżące okoliczności było potrzeba. Rozmowa jednak przy stole, podtrzymywana przez nas, szła jako tako, a pod koniec obiadu opowiadania nasze o Hiszpanii, a szczególnie o przeróżnych zabawnych, romantycznych przygodach towarzyszów naszych, dobierane umyślnie, zrobiły skutek nadspodziewany; podczaszyna zapomniała się widocznie, rozchmurzyła czoło, stała się rozmowniejszą i, o dziwo! nawet się czasami śmiała.

Była to chwila przełomu, odtąd do wieczora zmieniło się wszystko do niepoznania. Jak tam sobie w duszy rozumowała pani Kruszyńska, jakie snuła w myślach plany, niewiadomo; rzeczy jednak daléj poszły już jak z płatka. Ślub odbył się w tydzień, po naszém przy-

byciu, a we dwa tygodnie potém witali już państwa młodych w Hlinnem, z chlebem i solą domownicy, stary pan Zaręba i Łukasz Żebrowski, który już się ze swym kolegą „od szkolnéj ławy" na całe życie pozostał.

O pannie Dorocie zapewniano, że we dwa lata potém, znalazła się w Wilnie, gdzie do klasztoru karmelitanek bosych wstąpiła.

Otóż i koniec historyi towarzyszów i kolegów staréj daty; z opowiadań kapitana Kuleszy, z zapisanych dat i nazwisk, które mi udzielił wieczorem, w dzień przyjazdu owego młodego inżyniera, złożyła mi się ona w to pasmo podanych wyżéj wypadków, o których marzyłem przez noc całą.

Nazajutrz, kiedym się zbudził, spał jeszcze i mój noclegowy towarzysz i pan inżynier w pierwszym pokoju. Mając zamiar odjechać rano, zacząłem się ubierać śpiesznie; niebawem zbudził się i młody gość; przez drzwi niedomknięte słyszałem głośne ziewnięcie, jedno i drugie; daléj, chrząkanie, aż nareszcie zaczęło się... gwizdanie, z małemi przerwami, powtarzane bez końca. A pomyślałem sobie:

Kiedy ranne wstają zorze...
....Chwali Boga jak kto...

Dla rymu należało postawić *może*, ale właściwiéj było użyć *umie*. Ten drugi wiersz wszelako, do któregoby się Karpiński zapewne nie przyznał, nawinął mi się jakoś od niechcenia, do okoliczności. I nic dziwnego, boć przecie i ptaszęta niewinne wschodzący dzień nowy gwizdaniem witają.

Oznajmiono o podaném śniadaniu; przeszliśmy wszyscy na przeciwną stronę domu. Powitał nas uprzejmie gospodarz, którego twarz, lubo wypogodzona już i pełna spokoju, zdawała się jednak zdradzać noc strawioną bezsennie: milczącym był i poważniejszym niż zwykle.

Nimeśmy herbatę wypili, pozaprzęgane bryczki nasze stały już na dziedzińcu. Pan inżynier, pożegnawszy się żwawo, odjechał najpierwszy; staliśmy jeszcze w ganku, kiedy z największém zdziwieniem mojém spostrzegłem zajeżdżający stary koczobryk pana Kuleszy, a tuż i tłomoki i przybory podróżne gospodarza wynosić poczęto.

Nie mogłem pojąć, co to się znaczy, wiedząc, że od lat dwudziestu, nasz zacny kapitan nigdy i nigdzie na krok, prócz do kościoła, nie jeździł i w żadne się dalsze nie puszczał podróże.

— Jakto?—zawołałem—i pan w drogę? cóż się to stało? dokąd?

— Ha, w świat—odparł gospodarz z tęsknym uśmiechem—pierwsza to dalsza podróż od lat bardzo wielu, i zapewne ostatnia...

nim mnie do „apelu zawołają," ale co gorsza, że jadę nie wiedząc, gdzie się oprę i kiedy powrócę.

— Cóż tak nagłego? — spytałem — wczoraj o tém i mowy nie było.

— A no, tak—odrzekł pan Kulesza—bom sam nie wiedział, co mnie czeka, ale człowiek powinien być zawsze gotów, jak na alarm zatrąbią. Jadę, żeby wynaleźć i zabrać do siebie naszego poczciwego Łukasza, brata i towarzysza; nam niedobitkom, prostaczkom starego świata, razem już trzeba żyć i umierać, bo nowy dla nas... za rozumny.

Romanów, 29 października 1879 r.

KONIEC.

PIEŚNI
BULGARÓW MACEDOŃSKICH
W RODOPIE.

ZEBRANE PRZEZ

Stefana Werkowicza.

Zarys kwestyi ich autentyczności *).

PRZEZ

Bronisława Grabowskiego.

Baczniejszą jeszcze niż W. Miller uwagę zbiorom Werkowicza, poświęcił Leopold Geitler, profesor filologii porównawczéj w uniwersytecie Zagrzebskim, Czech rodem. Obeznany z piśmiennictwém ludowém, nie znajdując w Wedzie Werkowiczowéj, prócz języka i miary wierszowéj nic, coby mu inne pieśni ludowe przypominało, Geitler przystępował do rozpatrywania zbiorów owych z należytą dozą sceptytycyzmu. W roku 1875 odwiedził środkową i zachodnią Macedonią, był w Serezie u Werkowicza, ale bliżéj kwestyi zbadać nie mógł, gdyż choroba zniewoliła go do odjazdu. Niezadługo dostał do rąk zeszyt pieśni, obejmujący 16,000 wierszy, który to zeszyt Werkowicz przysłał był Akademii południowo-słowiańskiéj do rozpatrzenia.

Profesor Geitler zabrał się do drukowanéj już Wedy i do nowego zeszytu, miotany naprzemian uczuciami powątpiewania na każdym kroku, skoro spotykał coś, co zdawało się krzyczącém przeciwieństwem i niezgodnością z ustalonemi faktami i pewnikami naukowemi; z drugiéj strony jednak, jako sumienny badacz, nie dał się uwieść i zrazić pierwszemi wrażeniami i usiłował dotrzéć do jądra rzeczy i sprawdzić, czy to przeciwieństwo i niezgodność nie były czasem pozornemi mamidłami. Badacz nasz postawił sobie następujące di-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za maj r. b.

lemma: „albo rzecz ta jest fałszerstwem tego rodzaju, iż ogromem materyału i śmiałą, głęboko obmyślaną doskonałością kompozycyi, przechodzi wszystkie mistyfikacye, wszystkie podrabiania, których dopuścił się egoizm lub patryotyzm w jakiejkolwiek literaturze, albo mimowoli natrafiliśmy na nowy cywilizacyjnohistoryczny i językowy materyał, który znacznie przekracza ciasne granice interesu dla slawistyki, który rozszerza naszę wiedzę o narodach, że tak powiemy, napół znanych, o Getach, Trakach, rzuca nowe światło na obraz i pojmowanie mitologii słowiańskiéj, a wreszcie może i porównawczéj nauce języków indoeuropejskich, o których sądziliśmy, że już wszystko ogarnęła, że wraca poniekąd jednego straconego członka i nowe nastręcza dane....“ [1]). Teorya Geitlera jest następująca: „albo cała ta rzecz jest niesłychanym falsyfikatem, całym słownikiem encyklopedycznym wiedzy mitologicznéj i historycznéj, którego wypracowaniu po dokładnych studyach rzeczowych, ręka mistrzowskiego poety poświęciła ze dwa dziesiątki lat, albo też szczególniejsza łaska losów w zielonych lasach Rodopy, zachowała nam cały wysoko rozwinięty system religijny i narodową ustną wiedzę starych Traków i Bessów, zmieniony wszakże w skutek niesłychanéj dalekości czasów. *A nań legła również interesująca warstwa starego pogańskiego, słowiańskiego żywota duchowego*“ [2]).

Przejęty poczuciem wielkiéj odpowiedzialności naukowéj, profesor Geitler przez dwa lata rozczytywał się w materyale jużto drukowanym, jużto rękopiśmiennym, który miał pod ręką i dopiéro w roku 1878 uwagi swoje ogłosił drukiem w piśmie tygodniowém chorwackiém p. t.: *Vienac* (nr. 8—11) p. t.: *O pjesniczkich tradicijach traczko macedonskih plemena Mrvaka i Pomaka*, a późniéj w tymże roku wydał tęż samą rozprawkę w obszerniejszych rozmiarach po czesku p. t.: *Poetické tradice Thrâkó i Bulharó* (Praga, nakładem Teodora Mourka).

Geitler rozpoczyna od wykazania błahości zarzutów, na podstawie których Józef Iireczek zbiory Werkowicza uznał za falsyfikat, nie tai jednak, że jemu samemu nastręczył się cały szereg miejsc, które mocno wstrząsały wiarę w autentyczność takowych. Sumienny uczony nie poprzestaje jednakże na przyrodzoném zresztą uczuciu podejrzenia, ale każdy podejrzany szczegół poddaje ścisłéj rozwadze i zwykle znajduje mniéj więcéj szczęśliwe wyjaśnienie, któremu jednakże z rzadką przezornością barwy pewnika ani myśli nadawać.

Tak wyjaśnia przedewszystkiém używanie wyrazu *juda* w dwojakiém znaczeniu. Juda znaczy nimfę wodną, wilę, rusałkę; i jestto rodzaj dziewy obłocznéj, dobrze znanéj i w innych zbiorach pieśni np. u Dozona i braci Miladinowów. W pieśniach tych podobnie jak u Werkowicza wyraz ów łączy się nieraz z innemi nazwami nimf obłocznych,

---

[1]) *Poetické tradické Thrakó i Bulharó*, str. 3.

[2]) Tamże, str. 9.

ztąd mamy np. *judy samowile* (Juda samuila w pieśni o urodzeniu Orfeusza). Wyraz juda, który Geitler zbliża z litewskiém *undu*, wedyckiém *âpas* (wody), a Hilferding objaśnia przez sanskryckie *jâdas* (wodne zwierzę), wydaje nam się jedynie modyfikacyą wyrazu *woda;* zamiast przydechowego *w*, jest tu przydech *j*, a *juda* każe przypuszczać pierwotną formę *joda* zamiast *woda*, w narzeczu macedońskiém bowiem *o*, jak to już widzieliśmy byli, przechodzi w *u*. Obok téj nazwy nadziemskiéj dziewy spotykamy etnograficzny termin, naród *Judów*, przybyły przez zamarzły Dunaj do „téj ziemi," jak mówią pieśni; Geitler przypuszcza, że *Judi* (l. p. *Judin*, od tego przymiotnik *judinska*) są to Antowie, Wendowie; (od pierwiastku *and*, *jąd* poszło Jądin, a potém przez zatracenie nosowego dźwięku *Judin*). Nazwą Antów, Wendów chrzciły Słowian obce narody.

Jasna rzecz, że prof. Geitler nie przykłada żadnéj wiary do marzeń Werkowicza co do indyjskości bogów jego Wedy słowiańskiéj, mimo to jednak nie uważa ani Wisznu, ani Siwę, ani Agne-boga za dowód podrobienia, tylko stara się owe bóstwa do właściwéj sprowadzić dziedziny. Wisznu przechodzi w jego rękach, jak to już widzieliśmy byli wyżéj, na Wiszne-boga, to jest Najwyższego boga, Siwę zaś wyprowadza od przymiotnika *siwy*. „Ma on według pieśni dwojaki charakter: niekiedy jest dobry, jako niebieski błękit, niekiedy groźny i wściekły jako zachmurzone niebo. *Agne-bog* występuje w pieśniach i pod zrozumialszą formą *Ogne*, *Ogne-boga*, co każe widzieć w nim bóstwo, czczone i u innych Słowian pod tą pospolitą nazwą, czego dowodem są dziś jeszcze używane wyrażenia ludowe, jak np. na Rusi Cerwonéj: „ohoń swiatyj mstitsia, jak ho ne szanujesz" i temu podobne [1]).

Bogini *Durga* mimowoli przypomina indyjską Durgę, a jednakże nie dowodzi to wcale podrabiania z powziętą z góry myślą wtłoczenia w poezyą słowiańską indyjskich żywiołów; Geitler znalazł obok tego formę Dorga Juda, i Durgę poczytuje tylko za jeden z tysiąca epitetów *Jud*, a wyprowadza go od przymiotnika *droga* (dobra, piękna), z którego w skutek przestawki przekładni i zamiany *o* na *u*, powstało *durga*, obok *dorga*.

Nie małym podziwem napełnił Geitlera Ima-krale: zkąd w słowiańskim tekscie wziął się indyjski Jama, a baktryjski Jima?" pyta uczony profesor. Wprawdzie nietrudno wyprowadzić nazwę tę od słowiańskiego pierwiastku *im* w czasowniku *imać*, ale stokroć trudniejszém do wytłómaczenia będzie to, że w pieśni o wynalezieniu pługa (*na iznamerenie na oralo-to*) król Jma ma wszelkie znamiona baktryjskiego Jimy, a Dżemszyda w Firduzego *Księdze królów* (Szah-nameh). Miał on być pradziadem Pomaków, który, gdy przodkowie ich mieszkali jeszcze w jakiéjś dalekiéj ziemi, miał takowych wyprowadzić do innéj żyzniejszéj, a nadto zaprowadził żywot na zasadach obywatelskich, nauczył

[1]) Afanasiew, *Poetyczne poglądy Słowian na przyrodę*, t. II, str. 10.

siać zboże, nawadniać pole i pług wymyślił. Wiek Jimy jest jakimś wiekiem złotym (*zlatni godiny*). Zaiste pieśń ta i ów król zagadkowy, stanowią może najtwardszy orzech do zgryzienia w całéj zawiłéj sprawie. A gdy w innych pieśniach Geitler znalazł nazwę *Arjanagrada* i jakiś naród *Arijcy* lub *Arici*, który glossa objaśnia jako „oraczów," podziwienie jego doszło do szczytu. Jednakże nazwa *Aria* nie jest bynajmniéj obcą półwyspowi bałkańskiemu, według świadectw dawnych pisarzy, Tracya nazywała się bardzo dawno „Aryą," ale nazwa ta już w starożytności poszła była w zapomnienie. Znowu uczony zapytuje: „czy możliwą jest rzeczą, aby dawno zapomniane stare imię Tracyi znowu w tych pieśniach wynurzyło się z tylu wiekowych gruzów?" Te i tym podobne wątpliwości podkopują niewątpliwie wiarę w autentyczność pieśni, naprowadzają nawet może na myśl jakiegoś podrobienia z planem z góry powziętym, ale czy mogą same przez się stanowić dowód falsyfikatu i mistyfikacyi? Sumienny badacz odpowié z pewnością, że nie; wyzna jedynie, że obecnie nauka zadawalniająco kwestyi zawiłéj rozwiązać nie zdoła, ale aby w skutek czegoś podobnego napiętnować rzecz całą znamieniem apokryficznem, na to potrzeba lekkomyślności francuzkiéj p. Legera, albo téż niezbyt krytycznego sceptycyzmu, zaprzeczającego wszelkim faktom niejasnym, dlatego jedynie, że ich ktoś należycie zrozumiéć i wytłómaczyć sobie niezdolen.

W dalszym ciągu Geitler powiada: „zaledwie czytając tę ogromną masę, obejdziemy podobną skałę, znowu znajdziemy się w spokojnym, bezpiecznym prądzie epiki ludowéj. Wiersze płyną jeden za drugim z zadziwiającą lekkością ludową i z nieoględną pewnością... Zbiór Werkowicza podobien jest zresztą do wszelkiéj iście ludowéj epiki; powtarzanie mowy wprost i apostrof, splatanie i zlewanie osobnych tematów, nieoględne zmienianie i psucie imion własnych w nader oryginalny sposób, pewien określony zasób frazesów i epitetów, zawsze jednakowy w danym wypadku mechanizm poetyczny: wszystko to okazuje widocznie wypracowaną w toku stuleci, ustaloną, niekiedy nawet z ujmą poetycznéj wartości rozwiniętą technikę epiczną." Geitler przechodzi daléj do widnokręgu geograficznego tych tradycyi.

Biorąc pod uwagę dawniejszą pracę Werkowicza, wydaną w 1868 r. w Moskwie p. t.: *Opisanie bytu Bulgarów mieszkających w Macedonii*," Geitler widzi w niektórych nazwach miejscowych plemion, dziś, rozumié się, już po bulgarsku mówiących, ślady dawnych, zaginionych plemion trackich. I tak w Pijancach, mieszkających u źródeł Strymonu, widzi trackich Peonów (Paiones), w Szopach w górach Rylskich Herodotowych Sapów (Sapai), Darzilcy zaś, mieszkający pomiędzy Wodenem i Ostrowem, przypominają mu Derseów (Dersaioi) Herodota, czyli Darsiów. Te i tym podobne znane imiona, które postęp nauki ustawicznie pomnaża, wskazują, że w tradycyach południowo-słowiańskich mogły zachować się nader starożytne etnograficzne i geograficzne nazwy. Rzeczywiście przy całéj fantastyczności i chaotyczności geografii pieśni ludowych, która pod tym względem przypomina dziwa-

cznie naiwną geografią Szekspirowskich dramatów, niewątpliwie najbardziéj zagadkowe nawet imiona są śladem jakiegoś w toku wieków zetknięcia się danego ludu z innym, którego nazwa pozostała w pamięci pierwszego, w formie częstokroć nader bałamutnéj i przekręconéj, przywodzącéj uczonych badaczów nieraz do istotnéj rozpaczy. Terminami temi nadto dziecięca fantazya ludu samowolną wyprawia sobie igraszkę; miesza jedne ludy z drugiemi, przerzuca je z północy na południe, z południa na północ, nazwy ziem przenosi na grody lub na odwrót i t. d. Przykładów tego z poezyi ludowéj południowo-słowiańskiéj można czerpać garściami; przywiedziemy choćby tylko owę arabską lub harapską ziemię, odnoszącą się w ogóle do Azyi i pomieszanie Arabów z Murzynami, które w dalszym ciągu nawet u wielkoruskiego ludu się odbiło. Niedawno uczeni chorwaccy i serbscy, a między tymi ostatnimi Stojan Nowakowicz, pamiątkę zetknięcia z Polakami, w czasie pobytu na półwyspie Bałkańskim hufców Władysława Warneńczyka, odnaleźli w nazwie Ledzian-grad; która ma pochodzić od madżarskiego Lengyel, jakiémto mianem chrzcili Węgrzy Polaków [1]). Na téj zasadzie w Sitach (u Werkowicza Sitska-krale, Sitska-zemle) domyśla się Geitler starożytnych Sintów, którzy według Strabona mieszkali nad Strymonem w okolicach miasta Heraclea-Sintica; dziś w tém miejscu znajdujemy bulgarskie plemię Syrakowców. Pieśni, które nasz profesor zagrzebski miał w ręku, mówią o narodzie i ziemi Trelijskiéj, do któréj przyszli byli praojcowie Pomaków po długiéj wędrówce; są to zapewnie Tralijczykowie, wspominani u Hezychiosa. Byli oni pochodzenia trackiego i służyli w wojsku macedońskiém jako żołdacy najgorszego rodzaju. W ziemi Fejskiéj Geitler dopatruje Frygii, tłómacząc sobie etymologicznie nazwę tę wypuszczeniem spółgłoski *r*. Zagadkową *Janska-zeme*, Geitler chciałby objaśnić przz Jonię i t. d. Śmiałą bardzo hypotezą wydaje nam się wyprowadzenie nazwy etnograficznéj *Jurci* od Illirów. Już u Nestora znajduje się wyraz *Iljurci;* nasz lingwista więc przypuszcza, że w skutek zwykłego w południowo-słowiańskich narzeczach i w języku albańskim wypuszczania *l* przed *j*, powstało *Ijurci*, *Jurci*.

Pewna ilość pieśni rodopskich opiewa przyjście jakiegoś ludu z ziemi krańcowéj (*krajna-ta-zeme*), pomiędzy dwoma białemi Dunajami do ziemi *judinskiéj* (judinska-zeme) i potém po przejściu Dunaju (zwykle zamarzłego) do „téj ziemi" (*u taie zeme*). W „ziemi téj" Judowie znaleźli naród niesłychanie dziki, zowiący się *Jurci*, który nie znał jeszcze zboża, a trawę jadł niby zwierzęta. Judowie mieli sami siebie za naród rolniczy i to przeciwieństwo pomiędzy nimi a innym ludem, co orać nie umié, powtarza się w mnóstwie waryantów. Co do nas, odtrącamy wprawdzie dziwaczne twierdzenie Werkowicza, by tu miała być mowa o wędrówce Słowian aż ze wschodniéj Azyi lub pół-

[1]) Zobacz rozprawkę Aleksandra Jabłonowskiego p. t.: *Polacy w Pieśniach ludów zadunajskich*, w Ateneum, w zeszycie marcowym z r. b.

wyspu Indyjskiego i żeby Biały Dunaj miał być rzeką azyatycką, może Indem lub Gangesem, jeśli nie Oksusem lub Jaksartesem. Jednakże nie wahamy się przypuszczać, że w podobnych pieśniach zachowało się echo wędrówek narodów, których widownią był półwysep Bałkański. Między innemi może być tu mowa i o przybyciu różnych plemion słowiańskich na półwysep. Podobneż podania, jak np. o Czechu, Lechu i Rusie, lub o pięciu braciach: Klukasie, Lobetosie, Kosencu, Muchlu i Chrowacie, którzy wraz z dwiema siostrami Tugą i Wugą, przywiedli byli Chorwatów z za Karpat do dzisiejszych siedzib, istniały w podaniach i pieśniach ludowych; nie zkądinąd bowiem, tylko ze źródła ludowego figury owe dostały się do kronik. Że dziś już o wszystkich tych praojcach lud zapomniał, to jeszcze nie dowód, by coś podobnego nie mogło zostać w pamięci ludowéj gdzieś w zakonserwowanym świata słowiańskiego zakątku. U Werkowicza znajduje się klechda dość do powyższych podań podobna. Relia, czyli Hrelia, wnuk słońca, pożycza od matki (zapewne od Judy) skrzydeł, zlatuje na ziemię i zakochawszy się w córce króla judińskiego, poślubia takową po przezwyciężeniu niejakich przeszkód. Owocem małżeństwa było trzech synów: Charwan, Balgarin i Rujen, praojcowie widocznie trzech narodów. Geitler przypuszcza, że może baśń tego kształtowała się na podobieństwo podania trackiego, zapisanego u Herodota (IV, 9, 10), które powiada, że Herakles w podróży do ziemi scytyjskiéj, stał się ojcem trzech synów: Gelona, Skytha i Agathyrsa, a ci byli praojcami Gelonów, Scytów i plemienia trackiego Agatyrsów. Nawiasem wspomnimy, że Relia z przydomkiem „skrzydlaty (krilatowicz)" znany jest jako junak w pieśniach południowo-słowiańskich, a w cyklu *Królewicza Marka*, wynurza się często jako wierny Marka pobratym, obok drugiego pobratyma Miłosza.

W innych pieśniach, będących widocznie już późniejszego pochodzenia, występują przed oczyma naszemi Bizantyjczykowie i cesarzowie wschodni pod ogólną nazwą „car Rzymian (*car na urume ta*, rumnika care)." Królowie i carowie przybyłego już narodu, który rzadko tylko nosi nazwę Bulgarów, walczą z Ubricami, mającymi miasto Waradina-grada; w tych Geitler dopatruje Obrów, t. j. Awarów. Między carami wzmiankują króla „Kubratica." Daléj idzie Krum (*Krumica care*), który miał być największym i najpotężniejszym carem, oblegał i zdobył Carogród (*Stambol-grada*) i panuje w *Prislawa-grada;* rzeczywiście Prieslaw (dzisiejsze Eski Stambul) był pierwotną carów bulgarskich stolicą. Inne pieśni opiewają cara Burila albo Burcza, t. j. Borysa (*Burila*, *Burczu care*) i syna jego Symeona (*Simina care*). Borys, jak wiadomo, przyjął był pierwszy z carów bulgarskich chrzest święty z rąk Metodyuszowych. Ciekawe są pieśni, odnoszące się do tego ostatniego faktu. Judy-Samowile i starzy bogowie zjawiają się Borysowi, grożąc mu odebraniem swéj boskiéj pomocy, jeśli od wiary ojców odstąpi, ale zjawia się i święty Dymitr, który carowi we śnie pokazuje „złotą księgę Ewangelii," poczém następuje chrzest Borysa, ro-

kosz bojarów, wiernych pogaństwu. Za odstępstwo od wiary pogańskiéj pieśni lżą cara Borysa i Symeona, oryginalnym dość przydomkiem, który u nas, odnosząc się do rozpustnéj niewiasty, w druku niéma prawa obywatelstwa; mimo to carom owym dostaje się pochwała, jako wielkim monarchom. Gdy Chrześciaństwo zapanowało w kraju, car Borys oblega świątynią, w któréj zamknęli się zbuntowani bojarowie, potém, przy pomocy świętego Dymitra, zdobywa takową, a zwolennicy wiary dziadów (*deduwa-ta wera*), z naczelnikiem kapłanów pogańskich, starym Żerewiną, ze wszystkiemi księgami i złotemi ofiarnemi nożami, uciekają przez Dunaj do ziemi wołoskiéj (*wlaszka zeme*).

Inne pieśni mają stanowczo chrześciański charakter. W nich występuje niby *deus ex machina*, święty Dymitr, podobnie jak dawniéj Juda lub Defa; mowa tu jest o złotéj księdze *wangelie*, o chrzcie, nawróceniu, budowaniu bogatych klasztorów i cerkwi, co wszystko opiewają zbisurmanieni Pomacy, bez żadnych ceremonii, a niekiedy tylko zdradzą swój islamizm tém, że zamiast *pop* powiedzą *hodża*, zamiast *mnich—derwisz*. Nawiasem mówiąc, to przechowanie tradycyi pogańskich i chrześciańskich obok siebie, przez lud wyznający urzędowo islamizm, zgadza się najzupełniéj z uznanym w Pomakach indyferentyzmem religijnym, który zresztą na Bałkańskim półwyspie nie tak rzadkiém jest zjawiskiem.

W téj warstwie chrześciańskiego pochodzenia jest wiele pieśni historycznych; zjawia się tu i nieodzowny królewicz Marko, ale bez téj szczególniejszéj sympatyi, jakiéj nie szczędzą mu inni południowi Słowianie.

Mitologiczną budowę pieśni rodopskich Geitler dzieli na część niesłowiańską i słowiańską, przypuszczając przytém wpływ poglądów staro i nowogreckich. Znalazł on tu rzecz nader ciekawą, mianowicie całkowite, nader misternie zaokrąglone hymny, na cześć osobnych bóstw; hymny te, według niego pod względem zasobu mitologicznego materyałn, mogą równać się z wedyjskiemi. Na tle owych pieśni występuje nader skomplikowany system religijny i obrzędowy. „Wszystkie główniejsze dnie i ważne obroty roku słonecznego, miały osobne swoje uroczystości, swoje osobne pieśni. Owego kalendarza pogańskiego żaden inny, pod względem bogactwa, nie przewyższa. Skomplikowane ceremonie, ofiary, składane w jakiéjś skalnéj jaskini, wzywanie bogów, wszelkie możliwe obrzędy narodu widocznie rolniczego, ściśle określone, wielostronne funkcye ofiarne, kapłanowie, ofiarnicy, zapalacze świętego ognia, ofiarni śpiewacy i śpiewaczki, księgi i prawidła religijne, wieszczbiarze, prorokinie, kapłanki delfickie [1]), wszystko to łączy się tutaj w prostéj, niepodejrzanéj, rzeczywiście ludowéj, a w dodatku pięknéj kompozycyi. To wprawdzie nie zgadza się z naszemi pojęciami o sposobie, w jaki dawny Słowianin, żyjący na łonie przyrody,

[1]) To jest właściwie na sposób delfickich.

składał ofiary u źródeł, w gajach świętych, gdzie bez osobnéj asystencyi ojciec za całą rodzinę pokarm bogom kładł pod drzewami [1])." Pieśni wspominają o świątyniach z płotami, z przedsionkami, z wewnętrznem sanktuaryum, ze złotemi księgami (*złatna kniga*), złotemi nożami. Ta pozorna sprzeczność niezbyt nas zadziwia; wszystko to nie sprzeciwia się ani temu, co wiemy o religii trackiéj, ani téż temu, co gdzieindziéj u Słowian bywało; podania kronikarskie, świadectwa geografów arabskich, przedstawiają nam różne fazy rozwoju obrzędowości pogańskiéj jednocześnie w różnych miejscach, a nawet obok siebie istniejące, począwszy od ofiar na łonie przyrody składanych, aż do świątyń, budowanych z pewną wytwornością, o których mówi już Massudi w swojéj *Łące złotéj*.

Dozon podaje nazwy kilkunastu bóstw, które spotkał w zbiorze Werkowicza; poczet ich, według Geitlerca, ma dochodzić do kilkuset. Między nimi są imiona widocznie słowiańskie, zkądinąd już znane, a zarazem cudze bóstwa, zagadkowe poniekąd, które mogą być resztkami mitologii ludów trackich, poprzedników Słowian na półwyspie.

Rozczytując się w materyale mitologicznym pieśni rodopskich takim, jakim go Geitler przedstawia, widzimy niejakie usiłowanie usystematyzowania dawnych mitów, a nawet dalszy ich rozwój, pod wpływem już pojęć chrześciańskich. Każe nam to domyślać się egzystencyi pogaństwa, nawet pod pokrywą chrześciańską, co nas bynajmniéj nie zadziwia, bo wiemy, że i gdzieindziéj, pomimo urzędowego zaprowadzenia wiary Chrystusowéj, pogaństwo długo jeszcze miało gorliwych, choć tajemnych zwolenników i tlało czas jakiś krótszy lub dłuższy przytłumionym ogniem, przechodząc nawet w tym stanie nową fazę rozwoju, aż póki prąd innych pojęć ostatecznie i tego skrytego płomyczka nie zadmuchnął. Niemamy tu na myśli owego naiwnego, bezświadomego przechowywania pogańskich poglądów i tradycyi w postaci uświęconych wiekami przesądów i zabobonów, zwyczajów dorocznych i przygodnych (jak sobótki, uczty wigilijne, wielkanocne i w. i.), ani téż przytulenia pewnéj cząstki istot nadprzyrodzonych w świecie klechd i baśni, ale owo świadome trzymanie się wiary praojców pogańskich, odrzucanie w głębi serca zasad, wpajanych przez chrześciańskie duchowieństwo, słowem stan trwania w istotném pogaństwie, pomimo chrześciańskich pozorów, stan, który, jak to zobaczymy poniżéj, robi możliwém nawet tworzenie się nowych mitów.

Sądząc z pieśni, możemy do pewnego stopnia przypuszczać, że w takim stanie żyli do niedawna, a może i dotąd żyją jeszcze Pomacy; że chrześciaństwo nigdy u nich głęboko nie zapuściło było korzeni, co także zdaje się potwierdzać łatwe przejście na muzułmańską wiarę; że ta ostatnia nawet jest raczéj zewnętrznym pokostem, aniżeli szcze-

[1]) Str. 4 i 5.

rze wyznawaném przekonaniem. „Ludzie ci żyją całkiem w starożytnéj atmosferze," powiada Geitler [1]).

Jest jedno najwyższe bóstwo Wisznu-bog, czy też Wiszne-bog, który, jak widzieliśmy już, niéma, wbrew fantastycznemu wywodowi Werkowicza, żadnego związku z indyjskim Wisznu, ale poprostu odpowiada południowo-słowiańskiemu Wiszni-bog, Bóg Najwyższy; zdaje się on potwierdzać teoryą, opartą na świadectwie Prokopiusza i Helmolda *de deo deorum*, o bóstwie najwyższém, wyniesioném nad resztę słowiańskiego panteonu. Jego działalność w pieśniach rodopskich nosi na sobie całkiem ogólnikowy charakter, jednakże w pewnych funkcyach zastępują go nickiedy i inni bogowie, którzy nawet jego naczelne zajmują nieraz miejsce. Tenże Wisznu-bog w pieśniach późniejszego pochodzenia bez zmiany imienia staje się Bogiem chrześciańskim. Obok niego występuje trójca: Ogne (w rękopismach zwykle bywa Agne), Siwa i Bela bog, a czasami i w innéj kombinacyi, jak to Dozon powiada [2]). Trójcę tę wyraźnie oznaczają pieśni terminem *trimna boga*, w czém widzimy niewątpliwy wpływ chrześciaństwa na rozwój wielobóstwa, istniejącego jeszcze po chrzcie narodu. Ogne-bog, jak powiada komentarz z ust dyktującego pieśń Pomaka, *sădel na kăszchite*, t. j. „siedział w domu," co najzupełniéj odpowiada stanowisku bóstwa ognia w mitologii pogańskiéj.

Ciekawą bardzo jest *Złota matka* (*zlatna majka*), rodzicielka „młodego boga Koledy," która w pewnéj pieśni, zostawionéj przez Werkowicza w Serezie, miała porodzić nawet Wisznu-Boga. Geitler to ostatnie poczytuje za ważną okoliczność, na podstawie któréj sądzi, że Wisznu-bog jest przejęty przez Bułgarów i zesłowiańszczony tracko-frygijski Attis, najwyższe bóstwo męzkie, które porodziła Cybele. Co do nas, sądzimy, że uciekać się do podobnego zapożyczenia nie potrzeba wcale i że postać tak ważna, jak Wisznu-bog, bynajmniéj od nikogo przejmowaną być nie mogła.

Nader ciekawym jest mit rodopski o narodzeniu się młodego słońca, boga Koledy, ubarwiony pojęciami chrześciańskiemi o Zbawicielu świata. Mit ów potwierdza to, cośmy kilkakrotnie o dalszym rozwoju pogaństwa już w chrześciańskich czasach mówili. Wisznu-bog rozgniewał się na występki ludzkie. Młode dziewczęta chodzą po wodę do Dunaju (albo też do źródełka), a zamiast z pełnym dzbankiem wracać do niecierpliwie czekających na nie matek, swawolą z młodzieżą. Rozgniewany bóg pobudza *Grămma-boga*, t. j. boga gromu, aby ziemię zniszczył strzałą ognistą (lub potopem). Trójca bogów schodzi się na naradę. Wisznu daje się ubłagać i rozkazuje Złotéj Matce, ażeby zstąpiła na ziemię i porodziła Koledę. Bogini sama przez się zachodzi w ciążę i nowonarodzony Koleda naucza ludzi lepszych obyczajów.

---

[1]) Str. 34.

[2]) Dozon: *Rapports* etc. str. 62.

W dalszym ciągu tych pieśni kolędowych płyną pełnym prądem pojęcia chrześciańskie. Zdaje nam się, jak gdybyśmy widzieli jakiegoś kapłana lub piewcę pogańskiego, który usiłował przyjmującą się już w ludzie naukę o zbawieniu świata na swój wytłómaczyć sposób i wciągnąć w zakres pogański, a przez to zobojętnić zgubny dla tego ostatniego wpływ nowo głoszonéj nauki.

Gdyby zbiory Werkowicza nie były niczém innem, tylko olbrzymim falsyfikatem, to już ten sam jeden cykl kolędowy, świadczyłby o niesłychanéj nauce, śmiałości i trafności pomysłów, o niemal genialności podrabiacza. Słusznie téż powiada Geitler: „Przypuśćmy, że to wszystko ma sztuczny, literacki początek; w takim razie twierdzę, że była w tém ręka mistrzowska, nadzwyczaj zdolnego poety, który tym materyałem chrześciańskim i pogańskim tak owładnął, że wytworzył najnaturalniejsze poezye, wyśledził najsubtelniejszą pomiędzy obu materyałami analogią i połączył niémi niewidzialnemi, a nad tém wszystkiém rozlał taki powab dziecięcy i takowę od rozmyślnego tworzenia różną, prawdziwą niewykończoność ludowéj liryki. że mu podziwienia naszego odmówić nie możemy. A nim się pokusił o to, odłożył na bok lirę, oddał się nader suchym studyom, aby zbadać tysiące najsubtelniejszych spornych rzeczy i stron mitologii słowiańskiéj, a co jeszcze jest rzeczą śmielszą i trudniejszą, złożył w jednę całość wszystkie okruszyny o starój kulturze trackiéj, a potém znów zepsuł ją, wszystkie te imiona według jednego skaził planu, aby zatrzeć poszlaki i budowę oszustwa wzniósł do takiéj wysokości, na jakiéj takowa już nie różni się od wielkiego dzieła; rzeczywiście, dodaje ironicznie Geitler, zgadzamy się z przeciwnikami tych poezyi i radzimy nieznanemu poecie, aby takowych nie wydawał pod tytułem *Stare poezye*, ale jako utwór swego ducha, przez co wzbogaciłby skromną literaturę nowobulgarską i w obecnych bulgarskich czasach dorobiłby się trochy pewnych pieniędzy i wielkiéj sławy [1])."

Rok Pomaków przedstawia ogromny kalendarz uroczystości i ofiar, a głównemi jego osiami są, jak się samo przez się rozumié, dwa zwroty słoneczne, przesilenia zimowe i letnie. Obie te uroczystości poświęcone są słońcu i ogniu, przy obu wspominają Koledę, co zdaje się potwierdzać przypuszczenie, że był bogiem słońca i że nazwiska jego nie należy wywodzić od łacińskiego *calendae*, ale z czysto słowiańskiego źródła, najprędzéj od wyrazu *koło*, koło bowiem było jedną z licznych przenośni i symbolów *okrągłego* słońca. W kwietniu jest uroczystość na cześć bogini Łady (*laduwane-to*), znanéj i innym Słowianom; do niéj odnoszą się nader piękne hymny, opiekuje się ona dziećmi młodych matek i rzeczywiście jest boginią miłości. Geitler powiada, że wyraz *Lada* znają i języki trackie, a w pokrewnym im języku licyjskim oznaczał *kobiétę*, wszelako przez oględność nie wyciąga ztąd żadnego wniosku i bardzo słusznie Ladę bowiem znają i inni

[1]) Str. 24.

Słowianie, czczono ją i nad Wisłą, a tak daleko wpływ tracki z pewnością nie sięgał.

Geitler, dopatrując wszędzie trackich resztek w pieśniach rodopskich, sądzi, że okoliczność ta iż obrzędy w obu uroczystościach kolędowych, prawie wyłącznie wykonywają kobiéty zamężne i dziewczęta, przypomina zwyczaje trackie i powołuje się na słowa Rösslera.

„Kobiéty trackie uchodziły za gorliwe pod względem religijnym i w dwu głównych dniach roku obchodziły święta, które nosiły dytyrambiczno-menadyjski charakter [1])." Według naszego uczonego, starsza mitologiczna warstwa pieśni u Werkowicza przypomina kulturę Traków i Gotów. Występuje tu cześć wina i jakiegoś boga, który przypomina Dyonyza; u Werkowicza jest on synem starego cara (np. Kubratica), który już w kolebce czyni cuda, rośnie z przerażającą szybkością; nad jego głową winny krzew wyrasta. W Orfenie Geitler widzi trackiego, nie greckiego Orfeusza.

„Wyrocznie i świątynia Traków na górze Zielmisse, znajdują analogią w tych pieśniach; mamy przed sobą stare trackie lamenty nad umarłymi i uczty, o których już zkądinąd wiedzieliśmy, że zachowały się do dziś dnia we swéj iście trackiéj postaci [2])..... przypomnienie nader dawnéj i wysokiéj kultury, ważność poezyi i muzyki: wszystko to przypomina nie dzisiejszego ani dawniejszego Bułgara, ale starożytnego Traka [3])."

Sąsiedztwo Greków z Bułgarami w Macedonii zbyt jest blizkie, aby nowogreckie poglądy i zabobony niemiały wywrzeć silnego wpływu. Od Greków zapewne zostały przejęte straszliwe a wstrętne lamie, które znają i Albańczykowie pod nazwą *ljubia*. U Nowogreków są one czarownicami, u Bułgarów zaś smokami. Zachowany w pieśniach nowogreckich jako złośliwy starzec klasyczny Charon, występuje w pieśniach rodopskich jako bohater całych hymnów i to nie powinno nikogo zadziwiać, bo już w pieśniach niewieścich, zebranych przez Werkowicza w Macedonii, o których autentyczności nikt nie powątpiewa, na stronie 372 zjawia się Charo [4]). Ważną rzeczą byłoby to, co zakomunikował Geitlerowi Werkowicz, a mianowicie, że agent jego zyskał pieśń o dziewięciu Judach-Muzach (*dewet Judi*, *dewet Muzini*). Według Fligiera imię *Muza* ma być tracko-frygijskiego pochodzenia i oznaczać *kobiétę* [5]).

Charakteryzując mitologią w pieśniach Werkowicza, Geitler powiada: „Wogóle muszę ponownie wytknąć skomplikowany stan tego systematu. W tém morzu obcych żywiołów pogrążyła się cała mitologia

---

[1]) *Romänische Studien*, str. 62.

[2]) *Tomaschek-Rosalia und Brumalia*, *Sitzungsb. d. w. acad.* 1869 r., str. 351.

[3]) Str. 25 i 26.

[4]) Pieśni te wyszły w Belgradzie r. 1860.

[5]) Fligier: *Balkanhalbinsel*, str. 35.

słowiańska, a właściwie południowo-słowiańska. Nie znalazłem tu niczego, co według wszelkiego prawdopodobieństwa musielibyśmy poczytywać za specyficzną część jakiéjś północno-słowiańskiéj mitologii, choćby to tyczyło się najmniejszego nawet obyczaju [1]). Cała ta mitologia, o ile jest słowiańską, nie będzie niczém inném tylko tém, co oko nauki przewidywać może poza wszystkiemi temi judami-samowilami, smokami ognistemi, aždajami, ognistemi Iliami i Maryami, lamiami, które znamy z Dozona, Miladinowów, Wuka Karadžicza. Za niemi, jak sądzę, kryje się dawna mitologiczna, dla nas w większéj części stracona całość: gdybyśmy na te resztki mogli spojrzeć przez jakieś czarodziejskie szkło powiększające, ujrzelibyśmy tę całość pierwotną, do któréj odnowienia dążą wszystkie nasze badania... Częstokroć dziwiłem się, że dla całkiem zwyczajnych, pozbawionych wszelkiéj wagi i wszelkiego znaczenia słów w pieśniach Miladinowów i Dozona, na które nie zwróciłby uwagi najgorliwszy przeobraziciel wszelkich możliwych rzeczy na stare mity, znalazłem w owym właśnie zbiorze, niespodziewane wytłómaczenie, oraz głębokie, ważne aluzye. Wiele ciemnych i odosobnionych wyrazów, imion, przedmiotów mitycznych w pieśniach, serbskich i chorwackich, Roksanda, Grozdana, woda kaladzińska, koń jaskółczy i skrzydlaty, Diw, wiele frazesów i t. d. zyskuje w tych pieśniach albo niespodziane wytłómaczenie, albo też tło wspaniałe [2])."

Z mitologicznéj strony nasuwa się jedna poważna wątpliwość, na którą Geitler nie zwraca uwagi, a raczéj pomija ją milczeniem. Między imionami bogów (u Dozona str. 62), spotykamy kilka indyjskich, jak: *Brahme*, *Surwa*, co wydaje się nam wielce podejrzaném, odrzucamy bowiem możliwość wszelkich indyjskich reminiscencyi. Wszelako nie daje nam to podstawy do zaprzeczania autentyczności zbiorów Werkowicza, podejrzywamy tylko, że grało tu rolę dobroduszne złudzenie archeologa, które kazało mu w nazwach podobnych nieco dźwiękowo dopatrzéć bogów znad Gangesu. Z ust poważnéj osoby słyszeliśmy, że Werkowicz z dobroduszną otwartością przyznawał się, że w kilku miejscach poprawiał pojedyńcze wyrazy w rękopiśmie Gologanowa, gdyż te wydawały się mu mylnie zapisanemi. Idea tradycyi indyjskich tkwiła ćwiekiem w głowie zbieracza, poprawiał więc niewątpliwie pewne słowa w duchu swéj teoryi, ani domyślając się, że dopuszcza się skażenia. Jeśli nie uda się pozyskać od samego Werkowicza dobrowolnego wskazania miejsc, w których porobił był rzekome poprawki, nauka, pod-

[1]) Charakterystyczną wielce jest rzeczą, że Milojowicz Serb, który wydał w r. 1869 w Belgradzie zbiór pieśni p. t.: *Pesme i obiczai ukupnog naroda serbskog.*, będący niewątpliwym i uznanym falsyfikatem, popakował do niego Porewita, Daworę, Żywę i w. i., jakich mitologia południowo-słowiańska nie znała, a jakie były wyłączną własnością innych zachodnich (połabskich) i północnych Słowian. U Werkowicza niczego podobnego nie znajdzie.

[2]) Str. 26 i 27.

dając nieznane imiona bogów ściślejszemu badaniu, okoliczność powyższą będzie musiała mieć na baczeniu.

Geitler przechodzi daléj do języka pieśni rodopskich i uważa go za czysto ludowy, niewymuszony, prosty, szlachetny i rzeczywiście słowiański; pieśni te pisane są w dwu dotąd filologom absolutnie nieznanych podrzeczach, pomackiém i marwackiém. Charakteryzują te podrzecza w stosunku do języka literackiego okruszyny deklinacyi, niejakie resztki infinitiwu, ograniczone używanie artykułu (nie możemy powiedzieć przedimka, gdyż artykuł w bułgarskim języku kładzie się po rzeczowniku, nie zaś przed nim). Marwackie podrzecze (gwara) różni się widocznie od pomackiego, są tu pewne ślady dźwięków nosowych, osobliwsze wyrazy, mnogość aorystów i t. d.

Bardzo ważną rzeczą są w tych pieśniach ślady jakiegoś starego, dotąd nieznanego języka, pojedyńcze wyrazy, zwroty, a nawet całe wiersze. Te ostatnie „wydają się jakiemiś stereotypowemi wyrazami i refrenami, przejętemi z pewnych dawniejszych hymnów, śpiewanych i komponowanych w owym obcym języku, z którego obecne poezye powstały wskutek powolnego recypowania i zesłowiańszczenia" [1]).

Gologanow zwykle zapytywał Pomaków, co znaczą podobnego rodzaju słowa i wyrażenia; ci mu w takim razie podawali albo dosłowny przekład, albo komentowali jakąś glosą, albo wreszcie wyznawali otwarcie, że to są stare słowa i niewiadomo co oznaczają. Geitler przypuszcza, że owe nieznane słowa są resztkami języków trackich i powiada: „Po dwakroć absorbowali Słowianie bałkańscy obcą warstwę językową: tracką od IV do VII wieku, wołgańsko-bułgarską od VII do IX stulecia; z téj młodszéj warstwy w języku ich nie zachowało się nic, ze starszéj zaś, o ile dotąd już widzę, zostało tyle słów, ile znamy ze staropruskiego języka..." [2]).

Geitler przechodząc daléj znane nam już szczegóły o sposobie zapisywania pieśni, roztrząsając niemożliwość, by Werkowicz i Gologanow mogli być ich podrabiaczami, porównywa pieśni rodopskie z falsyfikatami Milojewicza i Rakowskiego i wykazuje niesłychaną między niemi różnicę. Na zakończenie swéj rozprawy, należycie w czytaniu ciężkiéj, jużto wskutek pewnéj chaotyczności, jużto z łaski niezbyt szczęśliwego zaprawienia polemiczną ironią, uczony profesor zagrzebski powiada:

„Fantazya jednego, choćby najbardziéj utalentowanego człowieka nie zdołałaby wytworzyć wszystkich owych pieśni. Wszelako możemy przypuścić, że około napisania ich pracowało wiele rąk, a może nawet całe stowarzyszenie. W zupełności przeczę temu. Cały zbiór tchnie jednym duchem, z jednego kruszcu jest odlany, z jednéj wyciosany sztuki. Jest on na wskroś ludowy, nawet pomimo tych Aryjców i Orfenów; podobien jest do tego, co jeden naród może stworzyć przez całe

[1]) Str. 29.
[2]) Str. 31.

stulecia. Nosi na sobie charakter niewykończenia, widać, że nie jest całkowitym, że wiele zaginęło, a jeszcze wiele nie zostało zebraném; podobne wrażenie czyni każdy zbiór poezyi ludowéj w porównaniu z dziełem sztuki" [1]).

Rzeczywiście, lubo podejrzenia i wątpliwości uznajemy tutaj za rzecz całkiem naturalną, nie możemy jednak wydziwić się lekkomyślności, czy arogancyi takich panów, jak: Leger, Makuszew, Konstantyn Iireczek i t. d., którzy o nieautentyczności i podrobieniu z dziwną prawią stanowczością. Przeciw falsyfikatowi mówi tyle poważnych okoliczności, iż, zdaniem naszém, w obecnéj chwili przeważają one wątpliwości, rodzące się przy sumienném czytaniu zbiorów Werkowicza. Przedewszystkiém nastręcza się pytanie, kto mógłby był dokonać podobnie ogromnego, a zarazem mistrzowskiego dzieła, jakie można było podsunąć za utwór dawno minionych stuleci. Obejrzawszy się dokoła pomiędzy pisarzami nowobulgarskimi, możemy śmiało powiedzieć, że nikt. Niewątpliwie są pomiędzy nimi ludzie z talentem, z pewną, choć nie zanadto wysoką nauką (z wyjątkiem Drinowa, profesora uniwersytetu w Charkowie, byłego ministra oświecenia), ale żadnego z nich nie można podejrzewać o taki zapas talentu i nauki, jaki byłby niezbędny dla wytworzenia dzieła tak ogromnych rozmiarów, wymagającego takiéj wiedzy archeologicznéj, intuicyi, konsekwencyi, a przytém, co najważniejsza, przerażająco bogatéj fantazyi. Geniuszem musiałby być człowiek, coby zdołał wżyć się tak w atmosferę przeszłości, coby odgadywał ducha zamierzchłych czasów, a niczém nie zdradził swego nowoczesnego pochodzenia. Czegoś podobnego dzieje literatury świata nie znają. Niech nam nikt nie przytacza tutaj za dowód Makfersona, z którego łaski jeszcze dziś w umysłach niektórych ludzi kołacze się Homer kaledoński, Ossyan. Ani pod względem rozmiarów, ani pod względem charakteru, dzieło Makfersonowe w porównanie ze zbiorami Werkowicza iść nie może. Trzeba było tylko owoczesnéj naiwności i słabéj wiedzy archeologicznéj, kiedy studya nad ludem i jego podaniową literaturą były jeszcze w powijakach, żeby nie poznać się na zbyt widocznéj modernizacyi, a przedewszystkiém na mglistym sentymentalizmie, jaki w owym pseudo-Ossyanie napotykamy na każdym kroku, a jaki, zgodny zapewne z duchem XVIII wieku, najzupełniéj obcy był zamierzchłym wiekom. Makferson przez życie całe wypracował zaledwie jeden tomik, okruszynę w porównaniu z ogromem, zebranym przez Werkowicza. Zresztą Makfersonowego dzieła, jak to mówią, z palca nie wyssał; niéma wątpliwości, że użył do niego rzeczywiście szczątków poezyi prastarych bardów, szczątków, które może jeszcze i do dziś dnia po górach szkockich się kołaczą. Gdyby pieśni rodopskie miały być podrobione, zadanie podrabiacza byłoby nieporównanie trudniejszém od Makfersonowego. Pieśni te bowiem okazują tak wielką oryginalność, tak mało treściowego mają podobieństwa do znanych z innych zbiorów, że na

[1]) Str. 37.

wymyślenie ich potrzebaby tyle twórczéj fantazyi, iż przy niéj blednie nawet kompozytorska zdolność Dumasa i spółki. Coś podobnego u dzisiejszych Bułgarów poczytujemy za rzecz prawie nie podobną do wiary, niemożliwą.

Ani cząstkowe podrabianie nie trafia nam do przekonania. Rzecz inna z czynioném w dobréj wierze, lubo pod wpływem złudnego przekonania, poprawianiem pojedyńczych słów, o czém wspominaliśmy już wyżéj. Można przypuścić w ostateczności nawet błędy, pochodzące ztąd, że zapisywacz Gologanow nie mógł mieć odpowiedniego naukowego przygotowania do swéj pracy.

Ta okoliczność, a co ważniejsza, konieczność usunięcia wszelkich wątpliwości, zanim nauka ze zbiorów Werkowicza należyty pocznie robić użytek, czynią potrzebném, nawet nieodzowném sprawdzenie, dotykalne, że tak powiem, samego faktu znalezienia tak starożytnych pieśni. Sam Werkowicz uprasza, by jakaś komisya uczonych zjechała na miejsce i przekonała się naocznie, iż rzeczywiście pieśni owe żyją w ludzie pomackim i marwackim. Wprawdzie w obecnéj chwili z łaski stosunków politycznych, zbliżenie się ze strony ucywilizowanego Europejczyka do rozfanatyzowanych, a podejrzliwych poturczeńców, byłoby rzeczą bardzo trudną, a nawet niebezpieczną, ale kto wié, czy i na to nie znalazłby się jaki sposób. Przecież ludzie ci muszą przychodzić na rynki miast, a zresztą możeby znalazł się jaki wiarogodny pośrednik z pomiędzy miejscowych, któryby podjął się tego sprawdzenia. Kilka pieśni, poraz wtóry zyskanych w sposób nie budzący już podejrzeń, byłoby już niezbitym dowodem i dałoby uczonym zachętę i pewność w pracy nad tyle ciekawym i obiecującym materyałem. Zadanie to powinni wziąć do serca członkowie naukowéj ekspedycyi, którą Towarzystwo geograficzne petersburgskie wyprawia w roku obecnym do Bułgaryi. W notatce prof. Pypina, rozesłanéj w charakterze przygotowawczego programu, znajdujemy następujące słowa (str. 8): „Pieśni serbskie wydane są w wielu, po części znakomicie ułożonych zbiorach. Nie można powiedzieć tego o bułgarskich, które wymagają jeszcze prawidłowego, a nie przypadkowego zbierania i szczególniejszéj krytyki, tém więcéj, że fałszywy patryotyzm w niedawnym czasie doprowadził do rozległego podrobienia pseudo-starożytnych pieśni (*Weda słowiańska* Werkowicza), które zresztą wymagałoby wyjaśnienia."

Słowa te nie dziwią nas w ustach prof. Pypina, który należy do dość krańcowych niedowiarków (między innemi nie wierzy w staroczeską poezyą). W każdym razie pragnienie sprawdzenia wskazuje, że to niedowiarstwo nie jest tak stanowczém, jak się napozór wydaje. Tego sprawdzenia pragną i mniéj sceptycznie usposobieni ludzie, pragnie cały świat naukowy; dlatego ekspedycya, wyprawić się mająca do Bułgaryi, dobrze zasłuży się nauce, jeśli do rozjaśnienia téj kwestyi choć

w części się przyłoży. Tymczasem gazety donoszą, że Werkowicz drukuje w Petersburgu tom drugi swojéj *Wedy*.

Jeśli kwestya autentyczności pomyślnie rozwiązaną zostanie, rozpoczną się studya i badania naukowe, a punktem wyjścia będzie niewątpliwie teorya, czyli raczéj hipoteza prof. Geitlera. Ma ona za sobą wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Narody nigdy nie giną całkowicie, jak słusznie Dozon powiedział (str. 5). W toku wieków, w burzach, wstrząsających po tylekroć półwyspem Bałkańskim, utonęło imię pierwotnych jego mieszkańców Traków i Illirów, ale narody owe przetrwały do dziś dnia, Illirowie w Albańczykach, Trakowie w Rumunach, tak mieszkających we właściwéj Rumunii, jak i rozrzuconych pod nazwą Kucowałachów, lub Cyncarów po całym półwyspie. Kiedy Słowianie przyszli na półwysep, zastali już Traków zromanizowanymi zupełnie; jedynie tylko niektóre górskie plemiona zachowały język ojczysty i znamiona narodowe. Szczątki owe wsiąkły z czasem w ludność słowiańską, ale zesłowiańszczenie to odbywać się musiało nader powoli. Dziś jeszcze istnieją dawni Sapowie (Sapajowie) pod nazwą Szopów, mówią oni wprawdzie już po bulgarsku, ale od innych Bulgarów różnią się charakterem, podrzeczem, ubiorem i obyczajami. Ci ostatni poglądają na Szopów, jakby na obcych: szydzą z nich, jako z ludu głupiego, nieokrzesanego. Innych Traków, mianowicie Noropów, imię długo brzmiało w średnich wiekach; *meropchami*, *neropchami* nazywano u Serbów pewną klasę niewolników. Najważniejszém z tych zachowanych Traków było kapłańskie plemię Bessów, czcicieli Dyonyzosa, którzy mieli kapłanów, wieszczbiarzy i prorokinie takie, jak w Delfach. Miano *Bessów*, pierwotnie oznaczające stan kapłański, przeszło z czasem na całe plemię Satrów, o których już Herodot wspomina. Bessowie długo utrzymywali się w swéj pierwotnéj narodowości, nie ulegając romanizacyi. Jeszcze po nawróceniu na Chrześciaństwo w V wieku odprawiali nabożeństwo w języku narodowym. Mieszkali oni właśnie w owych okolicach Rodopy, gdzie dziś żyją Pomacy. Czyż to więc jest nieprawdopodobném, iż, zesłowiańszczywszy się w toku wieków, cały zasób podań swych i pojęć mitologicznych mogli tym ostatnim przekazać?

Na zakończenie niech nam wolno będzie wytłómaczyć się z pobudek, które skłoniły nas do napisania obecnego artykułu. Nie mieliśmy wcale myśli kuszenia się o rozwiązanie kwestyi autentyczności tylekroć podawanych w wątpliwość i nawet potępianych stanowczo zbiorów Werkowicza, gdyż czuliśmy dobrze, że w dzisiejszym jéj stanie jest to rzeczą niemożliwą. Chcieliśmy tylko wykazać, że, lubo sprawa bynajmniéj nie stoi tak, jak ją chciał sam Werkowicz przedstawić, jednakże za autentycznością daleko więcéj przemawia dowodów, aniżeli przeciwko niéj. Nadto chcieliśmy obeznać publiczność naszę z rzeczywistym przebiegiem kwestyi, gdyż to należy się jéj z powodu, że tak niekry-

tyczna wiara w twierdzenia Werkowicza ze strony Chodźki, jak i lekkomyślne potępienie ze strony Legera, Makuszewa, *e tutti quanti*, znajdują nieświadome w naszéj prasie i pomiędzy publicznością odbicie. W toku pisania obecnego artykułu, szanowny Jubilat J. I. Kraszewski w liście swym, umieszczonym w *Kłosach*, w nr. 770 z r. b., wspominając o pracy Geitlera, skarży się na głuche u nas o téj sprawie milczenie. Jestto dowodem, że artykuł w rodzaju obecnego był poniekąd potrzebą naszéj literatury naukowéj; czuć się będziemy szczęśliwi, jeżeli udało się nam owéj potrzebie w niejakiéj cząstce zaradzić.

Kronika poznańska.

8 czerwca 1880 roku.

Że o losie społeczeństwa tutejszego, chociaż systematycznie niemczyzną naciskanego i osaczanego, rozstrzyga nietylko ów nacisk i owo osaczanie, ale i zasoby odporne nasze, nasza siła moralna i materyalna, to rzecz jasna. Dlatego też sprawozdania, jakie wam przesyłam z bieżącego życia w Poznańskiém, bezustannie tętno moralne i materyalny byt mieć muszą na oku, a jeśli spytacie, jak się obecnie, po półrocznéj przerwie, miewamy, czy zaszły jakie zmiany ku lepszemu, lub czy się rzeczy obróciły ku gorszemu, winienem odpowiedzieć, że, z pewnemi wyjątkami, tak samo się miewamy, jak przed półrokiem. Włościanom, aczkolwiek się powoli konsolidować zaczynają, daleko jeszcze do téj samodzielności, jakiéj twarde warunki istnienia wymagają; przemysł nasz, chociaż tu i owdzie świetne daje dowody swéj dojrzałości, w regule sprostać nie może, lub nie umié Niemcom i żydom; urzędowanie albo nader utrudnione, albo wręcz niemożebne; inne zawody walczyć zmuszone z spotykającemi je zewsząd mozołami, zaś liczba duchownych coraz mniejsza, bo już 127 parafii z 221000 dusz, pozbawionych jest pasterzy, a ubytek ziemi, tak ze względu na większą, jak i na małą własność, idzie daléj swym trybem. Nieopatrzność i zbytek, które nas jadły, ustają wprawdzie; ograniczać zaczynamy wprawdzie potrzeby nasze, ale dzieje się to zwykle raczéj z konieczności, aniżeli z wyrobionego przekonania w społeczeństwie, aniżeli z moralnego poczucia. Wola wybitna większości zdrowéj nie objawia się jeszcze, ale nie trzeba tracić nadziei, że to się stanie, że to się stać powinno. Streszczając mianowicie usposobienie większych właścicieli ziemi, stwierdzić nam sumiennie przychodzi, że prócz pewnéj liczby, błądzącéj po dawnemu, wzmaga się liczba tych, co się opamiętują, a są i takie rody, które służą, nie od dzisiaj, za wzór rządności i pracy, a służą nie z konieczności, ale z zasady.

Naszkicowanie usposobienia naszego nie przychodzi łatwo, wszelako popróbuję chociaż kilku słowami takowe oznaczyć, aby wam uprzytomnić lepiéj stosunki. Podniesiona ogólna skala życia, nie przyczyniła

się do podniesienia moralnego nastroju; zrodziła raczéj pewien rodzaj *sortowania* towarzyskiego, oddziaływającego, jak naturalnie, niekorzystnie na solidarność, na wzajemne pożycie. Dawniejsze życie obywatelskie, sąsiedzka komitywa, maleją coraz bardziéj, różnice majątkowe i rodowe wybijają coraz mocniéj na wierzch, pewien rodzaj ciągłego przeceniania się, wzajemnego taksowania, odgrywa rolę i nie pozwala wyrobić się *opinii*, jak należy; chociaż opinia, to siła dziś większa, aniżeli kiedykolwiek. W walnych publicznych kwestyach, np.: w wyborach, trzymamy się wprawdzie razem, ale w zwykłego życia kolejach rozdrabniamy się, luźniejemy, odstrychujemy się jedni od drugich tą nieujętą jakąś granicą, którą nazwiemy, w braku lepszego wyrażenia, *tonem*. Zakwaszani bezustannie *pruskim kwasem*, zakwaszamy jeszcze własnemi wypocinami życie. Może to tak zawsze się dzieje, gdy się żyje w takich, jak my warunkach czas dłuższy, ale to nie dobrze, a już z pewnością nie prowadzi ku lepszemu. Ciągle zawodzone nadzieje, bezustanny ubytek funduszu narodowego, nie dający się zakryć, a rodzący zwątpienie, nadają wprawdzie życiu jakąś szarą barwę; ale niech Bóg broni, aby ta szara mgła przeniknąć miała do wnętrza. To téż tego nie przypuszczamy, a mamy prawo do nieprzypuszczania tak długo, jak długo ofiarność nietylko nie wygluzowana w naszych sercach, ale owszem, za każdym razem nowe na ołtarzu dobra publicznego składa datki, jak długo nie brak mężów, którzy wytrwale stoją przy sztandarze.

Rachować, bo nie nauczyliśmy się jeszcze i to stanowi różnicę walną między Niemcami, a nami w sprawach ekonomicznych. My jakoś zawsze jeszcze w znacznéj części *na pokaz* występować nie przestali, lubimy zawsze jeszcze w czémś imponować; Niemiec na pokaz nic w ogóle nie robi, począwszy od ulepszeń gospodarczych, skończywszy na kuchni. Zaspokajanie wykwintniejszych wymagań żołądka, zbyt często jeszcze uchodzi za oznakę pewnéj wyższości, podczas gdy to, co życie duchowe podtrzymuje, ma niejeden z nas za zbytek. Nastaje¢ i w tém już dziś zmiana, przestaje już dziś coraz bardziéj grasować wśród niektórych kółek dawniejsze afiszowanie nieznajomości rzeczy rodzimych; ale jeszcze do tyla nie ustało, aby o niém nie należało wspomnieć, choćby tylko nawiasem.

Pisząc niniejszą charakterystykę, przypominają nam się słowa Kraszewskiego, który wspominając o nas i karcąc wykwint kulinarny, powiedział, wsparty na historyi, iż narody, które wymyślniéj od drugich jedzą, zagrożone są zwykle przez tych, którzy mniéj do utrzymania życia potrzebują.

Z ogólnego tego poglądu, który aczkolwiek pobieżny, dać może wyobrażenie jakieś o naszym tutaj żywocie, przechodzimy do specyalnych spostrzeżeń i dat, między któremi nasamprzód wybierzemy daty dotyczące *ubytku większéj własności*. Dwa lata właśnie minęły od czasu, kiedy praca statystyczna o ubytku majątków polskich p. Ludwika Żychlińskiego wyszła na widok publiczny w osobnéj broszurze. Nie

trudno już dziś każdemu, kto ma dobrą wolę, uzupełnić ową pracę smutną. Otóż od dwu lat utraciliśmy znów sporo ziemi, a mianowicie:

w powiecie	Bukowskim	— mórg —	3148
„	Krobskim	„	6206
„	Obornickim	„	7818
„	Pleszewskim	„	17927
„	Poznańskim	„	1046
„	Średzkim	„	6158
„	Wrzesińskim	„	7400
„	Wschowskim	„	4178
„	Gnieznieńskim	„	3496
„	Inowrocławskim	„	6845
„	Mogilnickim	„	998
„	Wągrowieckim	„	6070
„	Wyrzyskim	„	4000
		Razem morgów	75256

Że przecież z drugiéj strony odkupili Polacy od Niemców w tym i owym powiecie niektóre majątki, razem morgów 23002

Przeto straciliśmy morgów 52254

Do tego doliczyć powinniśmy kilka dóbr, których zapowiedziana subhasta, lub które mają być z wolnéj ręki sprzedane i kupione prawdopodobnie zostaną przez Niemców, a przybędzie znów *in minus*, mniéj, lub więcéj, w przybliżeniu, morgów 10000, przezco otrzymamy morgów 62254 ponownego ubytku większéj własności w przeciągu ostatnich dwu lat.

Co do mniejszéj, czyli chłopskiéj własności, trudno jest nader wyrachować jéj *ubytek*, wierzyć wszelako można skrzętnemu w tym względzie badaczowi, który jest zarazem patronem kółek włościańskich, p. Jackowskiemu z Pomarzanowic, w powiecie Średzkim. Obliczył on, że w przybliżeniu oznaczyć można ubytek 10000 gospodarstw chłopskich w przeciągu lat ostatnich 30, co, jeśli przeciętnie weźmiemy 40 morgów na gospodarstwo, wyniosłoby już 400000 morgów.

Interes, jaki słusznie do rozwoju *kółek włościańskich* przywiązujecie, powoduje mię do udzielenia wam dat i podzielenia się z wami spostrzeżeniami, jakich dostarczyło sprawozdanie roczne patrona, wzwyż wymienionego p. Jackowskiego. Ogólna liczba kółek wynosi 128, ale chociaż są powiaty, gdzie kółka i wzmagają się i przybywają, to są znów takie, w których zaledwie się pojawiają, a jest nawet jeden, w którym żadnego kółka założyć się nie udało. Z wymienionych 128, wegetuje, lub śpi całkiem z jakie czterdzieści i kilka. Przyczyna tego leży, jak patron wyłuszczyć się nie wahał, nietylko w obojętności członków, ale i w obojętności dyrekcyi szczegółowych Towarzystwa rolniczego. Na walnych zgromadzeniach kółek jednego powiatu stawia się kilkuset włościan, na takichże zgromadzeniach innego znów powiatu

mało kto się stawia; jedne kółka nadsyłają patronowi sprawozdania regularne z swych czynności, drugie albo reguły téj nie zachowują, lub też wcale się nie odzywają. Są znów kółka, które służyły za wzór gorliwości przed kilku laty, a dziś, jak się wyraża progresywnie patron, „chromieją," „upadają," „śpią," „zamarły." Do kółek wzorowych należy np.: kółko w Środzie i w Śremie, a kółko w Żninie, jedno z najstarszych, wydaje bezustannie jaknajzbawienniejsze owoce, tak rolnicze, jak i obyczajowe. Członkowie tego kółka z wsi licznie zaludnionych tamecznéj okolicy, zdobyli się na zamknięcie karczm, z uszczerbkiem własnych dochodów, aby położyć tamę pijaństwu. Więksi właściciele dotąd wyjątkowo tylko kółkami się interesują; nie tak proboszczowie, którzy w wielu miejscach są prawdziwym *spiritus movens* kółek. Już to opinia dotąd, najmniéj ze wszystkich spraw społecznych, wzięła do serca kółka włościańskie, a gdybyśmy powodów śledzili, wykryłoby się, że jedne z tych powodów mają pewną racyą, drugie natomiast żadnéj, a do téj ostatniéj kategoryi zaliczamy taką np.: racyą, jak brak czasu. Są światłe i gorliwe zresztą wśród nas osoby, które twierdzą, że ruch ten około kółek włościańskich zbyt sztucznie jest podtrzymywany i dlatego nie może przynieść należnych owoców, ale na to odpowiedzieć należy: że każdy początek wydaje się sztucznym o tyle, o ile na nowe wiedzie tory.

Towarzystwo centralne rolnicze, o ile to w jego mocy, przychodzi kółkom w pomoc. Dzięki jego subwencyi, udało się patronowi wykształcić szesnastu pszczelarzy.

Ubolewać trzeba, że społeczność nasza, zkądinąd tak skora do zasilania zakładów różnych naukowych, lub z nauką styczność mających, tak mało jeszcze pamięta o kółkach włościańskich, które już z góry stanowią rodzaj szkoły, nietylko w rolnictwie kształcącéj, ale i w obyczajach. Dość spojrzéć na okolice, w których kółka prosperują, aby się przekonać, że i uprawa pól jest dokładniejszą i ziarno lepsze i hodowla inwentarza staranniejsza i węzeł moralny mniéj luźny.

Mówiąc już o kółkach włościańskich, nie możemy pominąć *walnego zebrania delegatów z tychże kółek*, odbytego w połowie marca. Zależy nam bowiem na tém, aby wam dać całkowity obraz ruchu tego. Na tegoroczne walne zebranie stawiło się około 400 osób, z których przynajmniéj 300 należało do stanu włościańskiego. Azaliż to nie pocieszający był widok, gdy zważymy, że wielu z tych włościan z dalekich przybyło stron, aby tylko zaczerpnąć rady, oświecić się, pokrzepić ducha i tym sposobem dać dowód, że się myśli o lepszéj przyszłości? Przedewszystkiém podnieść przecież tutaj wypada istotnie wielkie zasługi patrona kółek, p. Jackowskiego, którego niezmordowana czynność nie ustaje, jako też dać należny dank tym przewodniczącym mniejszych kółek, którzy przychodzą p. Jackowskiemu w pomoc w tak mozolnéj jego pracy. Nie będziemy przemówienia szanownego patrona powtarzać, powiemy tylko tyle, że obrany ponownie został przez aklamacyą, ale że zarazem nie wahał się oświadczyć, że tylko z tym warun-

kiem wybór przyjmuje, jeżeli włościanie przyrzekną mu gorliwy współudział. Na wzmiankę zasługuje okrzyk zgromadzonego wieśniactwa, obiecujący gorliwość żądaną. Przy téj sposobności zaznaczamy z prawdziwą radością, że urząd sekretarza sprawował wieśniak, a ci, co mieli łatwość przypatrzenia się protokułowi posiedzenia, przyznali, że nie pozostawił nic do życzenia, tak pod względem rzeczy, jak i powiązania przedmiotów, traktowanych na posiedzeniu.

Z uwagi na zagrożoną własność włościańską u nas, zastanowić nam się z kolei wypada nad sposobami, jakiemi staramy się obudzić tak interes publiczności całéj jak i najbliżéj klęską tą dotkniętych kół. Jak się w téj mierze krzątano w łonie Towarzystwa centralnego rolniczego, następnie pomówimy; teraz zaznaczymy tylko jeszcze, iż na walném zgromadzeniu delegatów od Kółek włościańskich, odezwał się ksiądz Wartenberg i w jasnym wykładzie roztoczył przed zgromadzonymi, obraz licznych stron ciemnych w gospodarstwach włościańskich. Zwrócił nasamprzód uwagę, że wprawdzie przyczyniło się do smutnego położenia tych gospodarstw prawodawstwo, które, mianowicie w ostatnich latach, traktowało po macoszemu rolniczy zawód, ale że zawinili sami rolnicy, nie otrząsając się z błędów, w jakie zabrnęli. Główną przywarą wieśniaka jest brak skrzętności, marnowanie czasu, niedostateczna uprawa roli i brak stosownego inwentarza, wreszcie zaciąganie nierozważne długów; położył zarazem nacisk na tak zwane wysady i wyderki, które nietylko niszczą gospodarzy, ale nadto pobudzają nieraz do przestępstw, a nawet zbrodni. Daléj zwrócił prelegent uwagę na to, że przy obejmowaniu lub kupnie gospodarstwa, nie rozlicza się wieśniak z kapitałem jaki posiada. Dlatego traci tylu gospodarzy swą własność. Dla utrzymania gospodarstw należałoby tak rzecz urządzić, aby dziecko, obejmujące po ojcu zagrodę, otrzymało dział większy i nie było zbytnio obciążone spłatą rodzeństwa.

Sprawą utrwalenia własności włościańskiéj, zatrudniało się i walne zebranie Towarzystwa centralnego rolniczego, odbyte w marcu. Podstawę do uregulowania stosunków włościańskich podało było już prawodawstwo francuzkie. Ustawa pruska z r. 1822 uregulowała daléj te stosunki przez tak zwaną separacyą gruntów, a regulacya sama dopiéro przed 40 laty ostatecznie przeprowadzoną została w Poznańskiém. Obyczaj rodziny przyczynił się przecież do wyrodzenia szkodliwych téj regulacyi skutków, a mianowicie przez tak zwane wymiary i wyderki, które tak się rozpowszechniły i takie sprowadziły nadużycia, że obecnie do ruiny prowadzą gospodarzy. Zaprowadzenie ponowne ustawy przeciw lichwie, ograniczenie wolności wystawiania weksli, oraz ograniczenie dzielenia ról włościańskich uznało walne zgromadzenie Towarzystwa, po wysłuchaniu znakomitego przemówienia prezesa swego, d-ra Henryka Szumana, za nieodzowne środki, mające zapobiedz dalszemu upadkowi gospodarstw chłopskich, a zarazem pomódz do utrzymania stanu włościańskiego w dobrym bycie. (Ustawa przeciw lichwie, właśnie gdy to piszę, sankcyowaną została stanowczo). Towa-

rzystwo wezwało tak towarzystwa swe filialne, jak i Kółka włościańskie, do zajęcia się gorliwego i spiesznego tą sprawą i zdania w końcu sprawozdań z rezultatów swych badań, mianowicie zaś poleciło wysłuchanie opinii Kółek włościańskich. Sformułowanie dokładne punktów, o które chodzi i wniesienie kwestyi na sejmy, jest dalszym krokiem, jaki stawić należy.

Spojrzawszy poza siebie na jakie lat trzydzieści i kilka, przyznać musimy, że fundusz rodzimy w ziemi ciągle się zmniejsza, coby przecież jeszcze samo przez się nie dowodziło, że fundusz rodzimy wogóle się zmniejsza. Tego zmniejszania dowodzi natomiast ten fakt, że tego co tracimy w ziemi, nie zyskujemy w ruchomym majątku. Przemysł nasz nie podnosi się bynajmniéj tak, aby równoważył swym funduszem ubytek ziemi.

Handel zbożem, drzewem i t. d., spoczywa w rękach nieswojskich. I dlategoto ubożejemy i ubożejemy. Są, jak już nadmieniliśmy poprzednio, firmy nasze pewne, które kwitną lub które się podnoszą, są kupcy a i rzemieślnicy, którym się powodzi, ale wziąwszy rzecz w całości, ubywa naszego funduszu i ubywa.

Kiedy już tyle mówimy o sprawach materyalnych, zawiadomić was należy o działalności Nowego Towarzystwa kredytowego ziemskiego w roku ubiegłym. Przypominamy nasamprzód, że Towarzystwo to jest jedyném, a nazwa jego *nowe* pochodzi ztąd, że kiedy je rząd zakładał w r. 1857, istniało stare ziemstwo, które koniecznie na śmierć skazano, nie dlatego przecież, że chorowało na niemoc, ale dlatego że miało silną autonomią. Na Nowe Towarzystwo zrazu z ukosa patrzeliśmy, i mieliśmy pewną w tém racyą, skoro miało być jego przeznaczeniem pogrzebać nasze wyborne *stare;* teraz przecież, gdy już pogrzebione tamto zostało, a *nowe* towarzystwo funkcyonuje prawidłowo i nie kieruje się uprzedzeniem, gdy nadto Listy jego zastawne stoją *al pari*, a suma pożyczek już dwieście kilkadziesiąt milionów marek wynosi, teraz odgrywa Towarzystwo pomienione ważną bardzo rolę w naszém ekonomiczném - finansowém życiu. Sprawozdanie dyrekcyi za rok ubiegły zawiera interesujące daty, któremi się z wami dzielimy.

Zakres działalności Towarzystwa rozszerzył się, jak już zapewne wam wiadomo, dodatkiem do statutu, potwierdzonym w końcu kwietnia 1879 r., na mocy którego otworzony został wstęp do Towarzystwa i własności mniejszéj aż do 6000 marek minimalnéj wartości, czyli utworzone zostało tak zwane chłopskie ziemstwo. Jak bardzo ono odpowiadało potrzebie, najlepszy w tém dowód, że zaraz po ogłoszeniu owego dodatku do statutu, zgłosiło się wielu małych właścicieli o pożyczkę, a liczba ich wynosiła pod koniec roku już 206. Najwięcéj gospodarzy rolnych wzięło dotąd pożyczkę z powiatów trzech: Wągrowieckiego, Szamotulskiego i Sredzkiego.

Obrót interesów wykazuje następujące rezultaty:

Emisya Listów zastawnych w roku 1879 wynosiła	16919300	marek
Wogóle zaś wydano Listów zastawn. aż do końca 1879 roku.	222159000	„
Abluowano z nich, to jest zwrócono poza zwykłą amortyzacyą	8891760	„
Do oprocentowania pozostało w końcu 1879 roku.	213268000	„
Amortyzowanych zostało.	22833000	„
W Listach zastawnych jest więc jeszcze. . . .	190434000	„
Fundusz rezerwowy zawiera Listy zastawne. . .	18490000	„

Kwota amortyzacyjna wynosi dla Towarzystwa głównego 25% i $22/_{100}$.

Dla Towarzystw rocznych, a mianowicie:

z roku 1867	—	14,91
„ 1868	—	12,97
„ 1869	—	10,86
„ 1870	—	8,86
„ 1871	—	6,84
„ 1872	—	4,75
„ 1873	—	4,8
„ 1874	—	3,44
„ 1875	—	2,82
„ 1876	—	2,22
„ 1877	—	1,56
„ 1878	—	1,02
„ 1879	—	0,20

Nie zapłaconych procentów było w lutym r. b. z 50 majątków, w sumie 88,164 marek.

Na subhastę jeden tylko wystawiony był majątek.

Taks sporządzono w r. 1879 aż 389.

Listy zastawne wystawiono dla 248 majątków.

Oto ogólne dane, mogące zająć tych, którzy chcą mieć obraz jakiś działalności Ziemstwa kredytowego i w przybliżeniu powziąć wyobrażenie o sytuacyi obywateli, będących właścicielami dóbr.

Takich dóbr, które dotąd nie zaciągnęły pożyczki w Towarzystwie, jest nie wiele i możnaby je podobno na palcach policzyć.

Dziś łatwo już u nas dostać pożyczkę na dobra po 4½%, podczas gdy ziemstwo kredytowe pobiera 5%; ale mało korzystamy z téj łatwości dostania innych, niż ziemskich pożyczek, a to dlatego, że amortyzacya ma wielkie swe korzyści. Znamy takich obywateli, których np. amortyzowana kwota uratowała od konieczności sprzedaży majątku, a wreszcie, któż z nas nie zważa na to, że po tylu a po tylu latach dysponować będzie mógł zamortyzowaną kwotą, którejby przez inną manipulacyą z pewnością nie był uciułał? Pożyczka z Ziem-

stwa kredytowego obecnie mianowicie dlatego jest tak korzystną, że Listy zastawne jego stoją, jak już nadmieniłem, *al pari*.

Lat temu 40 nadeszła chwila pomyślna, w któréj odetchnęło Poznańskie. Wtenczasto mężowie, inteligencyą i pozycyą towarzyską wzniesieni nad innych, krzątać się zaczęli około nadania siłom naszym społecznym nowego popędu. Ś. p. Libelt wypracował był całkowity plan organizacyjny, dotyczący podźwignięcia zasobów rodzimych wspólnemi rodaków tutejszych siłami. Dr. Marcinkowski, mąż wielkiego serca, a dziwnie bystrego poglądu praktycznego, dyskutując plan ten, twierdził, że w życie wprowadzić da się tylko ta część projektu, która ma na celu wydobywanie na wierzch talentów i uzdolnień z wszystkich warstw niezamożnych społeczeństwa. Oto jak weszło w życie, lat temu 40 niemal, Towarzystwo naukowéj pomocy (nazwane późniéj na wieczną pamiątkę) imienia Marcinkowskiego. Za jego to dzielną i niezmordowaną inicyatywą, zawiązała się pierwsza dyrekcya, pierwsze składki popłynęły. Pomoc walna przyszła od kilkudziesięciu właścicieli ziemskich i pewnéj liczby duchownych, oraz profesorów niektórych i urzędników. Początkowo popierane Towarzystwo to było i przez władzę, a rozwijało się szybko i błogie niosło owoce. Późniéj gorsze nadeszły czasy a nawet była chwila, w któréj aż miecz Damoklesa zawisł nad niém, ale wszystkie te niepowodzenia i groźby przeszły jakoś szczęśliwie i oto trwa ono ciągle. Ale smutne nasze stosunki nie pozostają bez wpływu i na tę instytucyą, któréj żywot staje się także kłopotliwszym. Wszakże, dzięki zacnéj ofiarności, rozumiejącéj wyższe cele ogólnego dobra, nie złamały trudne okoliczności energii, nie pozbawiły chęci popierania Towarzystwa. I tak, jeśli kwota zwykła roczna nie zmniejszyła się, jeśli nawet o kilka tysięcy marek zwiększyła się, to i czemuż to zawdzięczyć, jeśli nie zacnéj gorliwości obywatelskiéj? Niektóre komitety powiatowe Towarzystwa, uwzględniając coraz większe potrzeby uczącéj się młodzieży, a zarazem zmniejszającą się, niestety, coraz bardziéj liczbę zamożniejszych obywateli, starały się zyskiwać składkujących wśród małomożnego mieszczaństwa i wśród stanu wiejskiego, ale usiłowania te maleńki tylko przyniosły owoc na razie, bo warstwy te nie poznały jeszcze, jak bardzo w ich jest właśnie interesie popierać Towarzystwo, z którego wyłącznie niemal korzystają.

Liczba korzystającéj z funduszów Towarzystwa młodzieży, o wiele znaczniejszą jest w ostatnim roku niż w latach poprzednich. Dyrekcya Towarzystwa zmuszoną tedy została aż przekroczyć etat wobec gwałtownéj potrzeby. Zarzucają Dyrekcyi, że nadto uwzględnia wyższe zawody naukowe, które są kosztowne, a zaniedbuje innych kierunków. Zarzut ten nie jest niesłuszny, ale go trzeba brać *cum grano salis*, albowiem mimo nawoływań i przedstawień, bardzo mała tylko liczba młodzieży garnie się do przemysłu, handlu, lub rzemiosł.

Datków nadzwyczajnych otrzymało Towarzystwo w ostatnim roku 6500 marek, nie licząc w to składki ze Lwowa nadeszłéj, w ilości 160 marek, oraz sumy 600 marek, przeznaczonéj dla Towarzystwa z odczytów zeszłorocznych prof. Tarnowskiego i Bobrzyńskiego. Dyrekcya Spółki bazarowéj dała tak jak i innych lat, 3000 m. z swych funduszów.

Przychód wynosił w papierach proc. 3000 marek
„ w gotówce. . . . 44340 „
Razem. . . 47340 „

Rozchód w gotówce przewyższył dochód, że jednak w końcu roku 1878 było remanentu 15000 marek, ztąd w końcu roku 1879, po pokryciu niedoboru, pozostało 18000 marek papierów procentow., od których darodawcy pobierają aż do śmierci odsetki, daléj 124000 marek w papierach procentowych i 14600 m. w gotówce.

Największe składki wpłynęły z miasta Poznania.

Stypendystów po uniwersytetach i akademiach, było 54.

W bieżącym roku ma być także oddany do dyspozycyi Dyrekcyi fundusz zebrany na stypendyum imienia ś. p. Libelta, a zostający dotąd w Towarzystwie pożyczkowém dla tego, aby mógł do pewnéj urość liczby.

Dyrekcya, jak zawsze, składała się z 15 osób, z pomiędzy których 4 profesorów, 3 duchownych, 5 właścicieli ziemskich, 1 lekarz, 1 rzeźnik. Ksiądz pełnił nadto obowiązki podskarbiego. Dyrekcya odbyła 25 posiedzeń i załatwiła 1012 korrespondencyi.

Młodzież garnąca się ku górze, niewiedzieć istotnie czemu, koniecznie po wyższe naukowe sięgać chce stanowiska. Ażali one więcéj przedstawiają widoków powodzenia aniżeli przemysł, handel, proceder? Bynajmniéj. W zawodzie lekarskim i inżynierskim, zupełne przepełnienie, w wyższym nauczycielskim stanie narażeni jesteśmy na opuszczenie rodzinnego kraju i to bez polepszenia bytu; w zawodzie prawniczym zaś narażeni jesteśmy nie tylko na emigracyą, ale nadto i na niemożność utrzymania się przez lat 5, skoro niémamy funduszów własnych.

Między onymi stypendystami 54, poświęca się 42 wyższym zawodom naukowym; reszta aptekarstwu, leśnictwu, weterynaryi, rolnictwu. Jeden sztukom pięknym, trzech górnictwu, trzech budownictwu.

Idąc daléj w naszym przeglądzie kronikarskim, umieszczamy tuż obok Towarzystwa nauk. pomocy, *Towarzystwo Przyjaciół nauk.* Upośledzeni jesteśmy w dzielnicy pruskiéj przez brak ogniska naukowego urzędowego. Długoletnie starania o uniwersytet spełzły na niczém, trzeba się więc obywać instytucyą, która znów tylko ofiarnością społeczeństwa wzniesiona, nią się też tylko trzymać może, ale która dla tego właśnie podlega fluktuacyom różnym, a były nawet czasy, w których zdawała się aż gasnąć. Dziś zabezpieczoną jest już materyalnie, dzięki hojności Mielżyńskich; chodzi teraz tylko o to, aby wybitniejsze

niż dotąd zajęła stanowisko, aby przyjaciele nauk istotnie czuli się z instytucyą związani, aby jedném słowem Towarzystwo Przyjaciół Nauk stało się ożywicielem społeczeństwa i nie pozostało tak, jak dotąd pozostawać nieraz musiało, ugrupowaniem pewnéj liczby osób, których prace w *Rocznikach*, w znaczniejszéj części przez nich tylko samych są czytane w Poznańskiém, podczas gdy inne prace samiż autorowie umieszczać wolą w pismach czasowych, poza granicą Poznańskiego wychodzących.

Gdy gmach muzealny naprawiony i urządzony całkowicie zostanie, gdy ukończone będzie rozpoczęte przenoszenie licznéj biblioteki, obejmującéj już 50,000 książek, zbioru rycin i studyów, wynoszącego 14,000 numerów, obrazów licznych i medali, oraz okazów archeologicznych, wtenczasto nastąpić winna nietylko reorganizacya strony naukowéj taka, aby publiczność zainteresować się istotnie mogła instytucyą, podczas gdy instytucya sama nie potrzebowałaby tracić ściśléj naukowego, w *Rocznikach* swych, kierunku, ale wtenczas nastąpić też winna i reorganizacya wewnętrzna co do urzędników właściwych Towarzystwa. Jedno i drugie jest też już obecnie, gdy to piszemy, nietylko w planie, ale i poczynione są już kroki do osiągnięcia zamierzonego celu.

Na pierwszém walném zgromadzeniu tegoroczném dał był prezes Towarzystwa wyraz przekonania, że należałoby *obok*, a w ostatecznym razie, *zamiast* Roczników, wydawać miesięczne poszyty, któreby zawierały treść czynności wydziałów, treść odczytów, wykazy darów, i wogóle obejmowały szczegóły, tak dotyczące Towarzystwa, jako też mające związek z pracami i przeznaczeniem instytucyi. Rocznikom przypadłoby w takim razie umieszczanie naukowych rozpraw, druk dokumentów i t. p. treść.

Na drugiém walném zebraniu, w maju, odczytał jeden z członków zarządu projekt reorganizacyi administracynéj, odpowiadający nowemu położeniu, a mający być na przyszłych walnych zebraniach *ad hoc*, stanowczo roztrząśnięty i sformułowany, tak, aby mógł z początkiem roku 1881 wejść w życie. Cel Towarzystwa, przy zawiązaniu takowego postawiony, miał każdorazowy dotąd zarząd na oku, dziś wszelako otworzył się nowy zakres czynności, wytworzony wielkiém nagromadzeniem darów w książkach, obrazach, medalach, sztychach, starożytnościach. Chodzi teraz więc o pielęgnowanie mnożących się skarbów, o ubezpieczenie ich i o regulaminem ścisłym objętą możność oglądania ich ze strony publiczności, o przypuszczanie i zachęcanie członków do rozciągłego korzystania z nagromadzonych zbiorów. Projekt téj zmiany jest zbyt ważny, aby nie został, jak należy, uwzględniony i spodziewać się należy, że to zastąpi na walnych zgromadzeniach, których zwołanie w bieżącym roku zapowiedziane zostało.

Na pierwszém z dwu dopiéro co wymienionych walnych zgromadzeń, odczytał prezes sprawozdanie zwykłe z rocznych czynności Towarzystwa, z którego wyjmujemy następujące daty: 1. Dzięki szczodrobliwości (obecnie już zmarłego) hr. Jana Działyńskiego, a wytrwa-

łéj pracy pułkownika Zakrzewskiego, wyszły już 3 tomy *Kodeksu Wielkopolskiego*, czwarty zaś jest na ukończeniu. Odpisy i korrekta kosztowały Towarzystwo 2,815 marek.

2. Uzupełnienie odpisu *Libri beneficiorum Łaskiego*, wymagało nie lada zachodów, z powodu, iż część rękopisu, dotycząca dekanatów w Królestwie położonych, spoczywała w tamecznych archiwach. Księdzu Dr. Łukowskiemu udało się zwalczyć istnące przeszkody. Finanse Towarzystwa starczyły wprawdzie na sporządzenie odpisów, ale nie na wydawnictwo. Tutaj przyszli Towarzystwu w pomoc ks. Łukowski i ks. kanonik Korytkowski i umożebnili już wydanie tomu I, w którym mieści się żywot bardzo obszerny arcybiskupa Łaskiego, oparty na nieznanych dobrze dotąd źródłach, pióra ks. kanonika Korytkowskiego, a oprócz tego tekst łaciński archidekanatów: gnieźnieńskiego, uniejowskiego i kurzelowskiego, opatrzony dopiskami obszernemi tegoż ks. kanonika. Tom II ma wyjść niezadługo i to w bieżącym jeszcze roku.

Nadmieniliśmy, że dziś zabezpieczony już jest materyalnie byt Towarzystwa.

Otóż rzecz tak się ma. Ugoda, zawarta w Grudniu r. 1878 z hr. Józefom Mielżyńskim, zabezpieczyła zbiory Towarzystwa, został bowiem Towarzystwu oddany przez p. Mielżyńskiego gotowy budynek muzealny, do kosztów wzniesienia którego potrzebowało Towarzystwo dodać tylko 18,358 marek. P. Józef Mielżyński wykonał więc sumiennie zapis, uczyniony Towarzystwu przez stryja swego ś. p. Seweryna Mielżyńskiego, zabezpieczył byt instytucyi i lokal potrzebny dla zbiorów.

Przybyło 17 nowych członków, ubyło przez śmierć 7, między którymi K. W. Wojcicki. Na członków honorowych przyjęto prof. hr. Tarnowskiego i prof. Bobrzyńskiego. Wydział historyczno-literacki odbył 17 posiedzeń, pod przewodnictwem prezesa St. Koźmiana. Wydział lekarski posiedzeń 14, pod przewodnictwem dr. Małeckiego. Wydział przyrodniczy odbył posiedzeń 9, pod przewodnictwem prof. Szafarkiewicza.

Strata, jaką ubiegły rok przyniósł w instytucyach naszych przez ubytek *Towarzystwa oświaty ludowéj*, zniesionego wyrokiem sądowym, nie jest, zdaniem naszém, tak wielką znów, jak chcą niektórzy. Siedm lat ono istniało, a chociaż było tam wiele dobréj woli, wiele bezstronności, Towarzystwo nie odpowiadało oczekiwaniom początkowym, a nie odpowiedziało dlatego, dla czego niejedno u nas przedsięwzięcie marnieje, otóż z przyczyny zbyt szeroko zakreślonego programu. *Qui trop embrasse mal étreint*, nie dość można napowtarzać. Jest nadzieja, że nauczeni doświadczeniami tylolicznemi, postaramy się teraz o zawiązanie takiego Towarzystwa oświaty ludowéj, które skromny, a ściśle oznaczony postawi program, działać będzie w jednym tylko i to najpotrzebniejszym kierunku, dostarczania warstwom ludowym książek pożytecznych i nauczających, czyli, innemi słowy, zajmie się zakładaniem bibliotek małych po miasteczkach i wsiach.

Kiedy już mówimy o naukowém Towarzystwie, o oświacie ludowéj, niechże nam będzie wolno wspomnieć i o szczególniejszéj manii tutejszéj zakładania coraz nowych pisemek, zamiast popierania i doskonalenia wspólnemi siłami pism wybitniejszych, już od dość dawna z korzyścią istniejących. Mieliśmy niedawno temu aż 11 pism, teraz znów przybył od 1 kwietnia *Sztandar*, pisemko polityczno-ekonomiczne, wychodzące raz na tydzień w małym formacie. Zawiera ono nieraz ciekawe daty. Wogóle wygląda przecież to nieustane mnożenie się pism dla tych, co znają nasze stosunki, na oczywisty zbytek; wskazuje zarazem, jak bardzo rozstrzeliwamy się, skoro rwiemy się zbyt często, dobrawszy sobie grono towarzyszy, *z swoją imaginacyą na koronacyą* i wszelkich dobywamy sił, aby zadaniu sprostać. Wielkim dwum prądom, na które rozpada się nasze tutaj społeczeństwo, odpowiadają *Kuryer* i *Dziennik*.

Innych kilka pisemek uwija się raczéj na ochotnika, tnie i bojuje bez wytchnienia; czasem udaje się im wyświecić to i owo w pochodzie, nieraz zbyt stronniczym matadorów, ale częściéj jeszcze gmatwają rzecz, w imię zasad szermując dla osób, lub robiąc z muchy chociażby i wołu, dla zyskania rozgłosu.

Słyszymy, że od Ś. Jana nowe znów pismo ujrzeć ma światło dzienne; ma to być dwutygodnik, zapewne nakształt *Klosów* lub *Bluszczu*. Siły, nielada podobno, już są uproszone do współpracownictwa. Myśli saméj podobnego pisma nie wolno zgóry źle krytykować, bo potrzeba jego, mianowicie dla kobiét naszych, da się zrozumiéć, ale chodzi o to, jak wykonać da się ta myśl, przy tylu pisemkach, z których niejedno na gwałt zwerbowało sobie, lub téż werbuje bezustannie jeszcze abonentów i wobec faktu, że przyzwyczajono się już u nas do podobnych, jak zapowiedziane pismo, pism warszawskich, które nas zadawalają.

Pisaliśmy na wstępie, że opinia u nas, pod względem pewnym, maleje, rozstrzeliwa się. Na to nie mogłem lepszego dostarczyć dowodu, jak wskazując właśnie na jedno i drugie z tych różnych pisemek, jakie tu istnieją, a mają niekoniecznie na celu zadosyćuczynienie uczuwanéj potrzebie publiczności. Marnuje się i zużywa w nich niejeden istotny talent. Przyzwyczajenie się do szermierki bądź cobądź, albo wyradza coraz daléj sięgającą chęć obrabiania, chociażby i pierwszorzędnych, a często tak bardzo zawiłych kwestyi „sztuką krzyżową," albo téż prowadzi aż do używania oskarżeń i insynuacyi, nietylko niezgodnych całkiem z zakresem pisma, ale nawet bardzo szkodliwych, co w znacznéj części pochodzi i z rozdrażnionéj ambicyi.

Gdy chodzi o to: jaką istotną korzyść odnieść może społeczeństwo z tych często tutaj ryzykownych, tam podejrzenia siejących występów; czy „kategorycznym," nieraz „imperatiwem" pouczani, nauczymy się doprawdy czegoś, czy téż oskarżeniami i insynuacyami drażnieni, dojrzymy snadniéj prawdy; na to odpowiedź śmiało pozostawić możemy zdrowemu sądowi nieuprzedzonych.

Do instytucyi, wysiłkiem wielkim społeczeństwa naszego do życia powołanych, należy mianowicie *teatr*. W ciągu dwu lat starała się dyrekcya własność téj spółki utrzymać w dobrym stanie, ściągać zaległe raty od akcyonaryuszów, załatwiać pretensye z budowy teatru roszczone, zbierać wreszcie dalsze fundusze dla podtrzymania téj instytucyi. Z zaległych rat wpłynęło w przeciągu ostatnich dwu lat 3,400 marek, zalega zaś jeszcze 28,000 marek, z których bodaj ¼ da się zrealizować. Pod koniec r. 1877 dłużna była spółka przedsiębiorcom budowli 17,000 m., spłaciła z tego w ciągu ostatnich dwu lat 11,800 m. Niewiele już tedy długu bieżącego pozostało, wszelako wytoczone procesy, jużto przez cieślę, jużto przez murarza, nie dają jeszcze przewidzieć, czy dług ten znów nie urośnie, jeśli spółka procesa przegra. Wobec takiego stanu rzeczy, wobec zaległości w spłaceniu rat, wobec wreszcie wydatków, o których zaraz powiemy, położenie spółki byłoby zagrożone na seryo, gdyby nie pomoc, na jaką znów zdobyło się towarzystwo nasze. Pomoc ta wynosiła 16,800 m., w którąto sumę wliczyć należy dochód, jaki przyniosła wystawa obrazu *Pochodnie Nerona*, w ilości 4,773 m. Pod koniec roku ubiegłego dał Jubilat Kraszewski nowy impuls do składek. Ruszono się zaraz, poczęto za jego przykładem składać datki i to na t. z. *fundusz Kraszewskiego*, mający przeznaczenie zasilania regularnego sceny polskiéj. Fundusz ten nie należy więc do majątku spółki, wynosił zaś do dnia 24 marca r. b. 24,030 m. Pani Modrzejowska przekazała swą gażę za występy gościnne w Poznaniu temuż funduszowi. Chodzi o wzrost funduszu taki, aby odsetki od niego służyć mogły na regularne subwencyonowanie sceny, bez czego instytucya sama wiecznie się chwiać musi.

Budżet nie szczególnie się przedstawia, albowiem dochód spółki wynosi tylko 9,750 m., podczas gdy rozchód dosięga liczby 14,163 m. Widać ztąd, że jeszcze nie wybrnął *teatr* nasz z interesów tak dalece, aby jego przyszłość mogła być miana za ustaloną. Sama prowizya i amortyzacya od długu hipotecznego wynosi 8,360 m., asekuracya od ognia 2,700 m., a reparacye, a podatki, a inne ciężary!

W żadnym podobno roku pokojowym nie zabrała śmierć tyle ofiar, co w obecnym. Padali pod jéj ciosem i znakomitsi i mniéj znani; zaledwieś z jednego wrócił pogrzebu późnym wieczorem, musiałeś już nazajutrz znów na drugi jechać, a zdarzało się, że w obu obchodach żałobnych oddawałeś dwum przyjaciołom ostatnią przysługę. Świat nasz poniósł wielką stratę przez śmierć ostatniego z Działyńskich, prawdziwego mecenasa nauki, tak jak był jego ojciec, gorliwego rzecznika praw naszych, dla uzyskania których nie wahał się ważyć i życia. Umarł z niemałym bliższych żalem i Żółtowski, długoletni poseł na sejmach, gdzie bystrością sądu i niezależnością zdania wyrobił był sobie poważne stanowisko. Umarł i Dąbrowski, nad którego grobem, gdy łamano tarczę herbową, jako nad ostatnim z swego rodu, odzywała się

w głębi piersi przytomnych, ojca generała pamięć wraz z puścizną, jaką wszyscy po nim chowamy. Umarły matrony zacne i młode kobiéty, umarł szereg liczny duchownych, pozostawiając osierocone parafie, umarło i wielu jeszcze obywateli starszych, którzy dużo dobrego w swych okolicach zdziałali, a z których jeden zawsze był skorym do działania dla dobra ogółu, drugi, acz w małém kole, potrafił sobie pozyskać prawdziwe przywiązanie otoczenia bliższego i dalszego: umarli i młodzi ludzie, którzy rokowali zastąpić godnie ubytek starszych obywateli.

Śmierć mianowicie kapłanów jaknajsmutniejsze przynosi owoce. Parafie osierocone, często z przyczyny osierocenia, niekorzystnym ulegają wpływom, że na tém miejscu wymienimy tylko coraz liczniejsze wychodźtwo ludu do Ameryki. A udaje się tam nietylko lud zwykły roboczy, t. j. wyrobniczy, ale i gospodarze rolni, którzy sprzedają ze stratą puściznę swą, bądź kilkunasto, bądź kilkudziesięcio-morgową i wynoszą się za ocean. Pytasz o przyczynę, a odbierzesz odpowiedź, że albo idą *za chlebem*, albo aby *szczęścia poszukać*. Znam majątki większe, z których aż po kilkanaście familii się wynosi. Badając głębiéj przyczynę tego ruchu, przychodzimy do przekonania, że ludowi dokucza przedewszystkiém brak moralnego oparcia, jaki znajdować przywykł u sług ołtarza; że zaś przykład jest zaraźliwym, dzieje się, że za danym przykładem przez parafie osierocone, idą i parafie nieosierocone.

Wspomnieliśmy wyżéj, że pisemko *Sztandar*, nieraz ciekawych dostarcza danych. Otóż jedno z takich wpada nam w téj chwili pod oczy, a że dotyczy szkolnictwa wyższego, które dla nas coraz bardziéj staje się tu utrudnioném przez zaprowadzenie wyłączne niemieckiego języka, już od najniższych klas, udzielamy wam tego wypisu. Otóż uczęszczało do 15 gimnazyów i progimnazyów w naszém Księztwie:

			katolików	protest.	żydów
1. w Poznaniu	na 1118	uczniów:	376	371	373
2. w Bydgoszczy	„ 700	„	56	500	135
3. w Inowrocławiu	„ 304	„	84	139	81
4. w Kępnie	„ 161	„	33	52	76
5. w Krotoszynie	„ 255	„	34	122	99
6. w Lesznie	„ 250	„	45	120	85
7. w Międzyrzeczu	„ 167	„	15	133	19
8. w Nakle	„ 262	„	22	158	80
9. w Pile	„ 275	„	20	195	59
10. w Rogoźnie	„ 276	„	47	141	88
11. w Śremie	„ 225	„	88	70	67
12. w Trzemesznie	„ 102	„	48	30	24
13. w Wągrówcu	„ 230	„	98	75	57
14. w Ostrowie	„ 257	„	100	92	65
Razem. . .	4582	uczniów	1066	2198	1308

Księztwo Poznańskie liczy 1,582,000 mieszkańców; z téj liczby przypada na nas 1,009,000; na Niemców 512,000; na żydów 61,982. Powinno więc być, przy równych zkądinąd warunkach, uczni gimnazyalnych i progimnazyalnych polskich, choćby z jakie kilkanaście razy więcéj, aniżeli liczby odpowiednie wykazują. Jeśli zaś tak nie jest, czemuż to przypisać w znacznéj części, jeśli nie smutnym nader okolicznościom, jeśli nie dresurze niemieckiéj, która odstrasza i zniechęca? Cyfry powyższe dość przytoczyć, aby wymownie świadczyły o upośledzeniu, które żadnemi, zkądinąd płynącemi w państwie korzyściami cywilizacyjnemi, zatrzeć się nie da.

A jeśli ta dresura od szkólnictwa wyższego odstrasza, to już w szkołach elementarnych *ogłupia*, jak się dosadnie, ale prawdziwie wyraził był poseł dr. Niegolewski na sejmie. To téż owoce nauk elementarnych o wiele gorsze, niż lat dawniejszych, o czém już raz wam pisałem, przytaczając na poparcie, odnośne rezultaty z różnych okolic Księztwa zaczerpane.

W parze z tém wypchnięciem języka naszego z całego obrębu szkólnictwa, idzie wypchnięcie go z sądownictwa i administracyi. Wspomnę tu tylko ponownie o ciągle naprzód postępujących zmianach w nazwach wsi. Lud, gdy mu już przychodzi te nowe nazwy niemieckie dawnych wsi wymówić, znów je do niepoznania przekształca i robi się z tego istna wieża Babel. Tam np. przezwano wieś polską na *Amsee*, lud zrobił z tego *Jamżę*, ówdzie przechrzczono wieś inną na *Katharinensitz*, lud odechrzcił na *Kaczyniec*, tu przechrzczono osadę na *Aleksanderau*, lud zaś mówi *Laksandrowo*. Czyż to sprawa nie smutna, a zarazem śmieszna?

Co dla nas, a i dla tych, którzy się nie powodują chwilowemi zapędami, wygląda smutnie, Niemcom zda się szczytem konsekwencyi. Raz wmówiwszy w siebie, że wyłącznie swą inteligencyą i kapitałami podnieśli stan *prowincyi poznańskiéj*, nie wahają się dopominać u rządu o ciągłą pomoc, która téż aż nadto skwapliwie jest im udzielaną we wszelkich kierunkach, podczas gdy my sami sobie pozostawieni, ostatnich dobywamy sił, aby utrzymać w jakimtakim stanie te zapory i groble, które nas chronią od zalewu. Niemcy otrzymują ciągłe zapomogi, to na teatr, to na towarzystwa rolnicze, to na wystawy przemysłowo-rolnicze: my na nic. W tych właśnie dniach odbyła się wielka wystawa przemysłowo-rolnicza w Bydgoszczy, a charakter jéj i zakrój były tak dalece niemieckiemi, że ktoby nie wiedział, że Bydgoszcz w Księztwie Poznańskiém, mógł się przestraszyć, że się zabłąkał gdzieś w Brandeburgią, w któréj jedyny ślad Słowian pozostał w przekręconych nazwach miejscowości. Miasto Bydgoszcz jest wprawdzie dziś już całkiem niemieckiém, ale nie okolica; tymczasem mowa polska odzywała się na tym obchodzie tylko jak echo nieśmiałe dalekiego głosu, podczas gdy niemiecki język

brzmiał i huczał na całym przestworze jak pan wszechwładny, a uwijający się dygnitarze pruscy z naczelnym prezesem Księztwa na czele, zdawali się wyrażać pewność nieodwołalną, że stąpają po ziemi swego *Vaterland'u.*

KSIĄŻKA JUBILEUSZOWA

dla uczczenia pięćdziesięcioletniéj działalności literackiéj

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Warszawa.—Drukiem Józefa Ungra.—r. 1880) *).

Zaraz po powieściach z pierwotnych dziejów Polski znajdujemy w *Książce Jubileuszowéj* przegląd powieści z wieku XVI i XVII, przez p. Władysława Nehringa. Nie wiemy, dlaczego powieść z XV wieku: *Krzyżacy*, pominiętą została.

Pan Nehring rozpatruje powieści historyczne Kraszewskiego na tle całéj jego powieściopisarskiéj działalności, a mówiąc o najdawniejszych, powtarza to, co już z *Literatury i krytyki* M. Grabowskiego znaném było.

Rzecz dziwna, że *Mistrz Twardowski*, chociaż mało ma z historyą wspólnego, znalazł przecież miejsce w przeglądzie p. Nehringa, kiedy prześliczna powieść: *O Janaszu Korczaku i pięknéj miecznikównie*, pełna cudownych scen z życia kresowego, z wiedeńskiéj wyprawy i niewoli tureckiéj, zapomnianą, czy rozmyślnie pominiętą została.

Pan Nehring streszcza każdą z wymienionych powieści mniéj więcéj szczegółowo i dodaje swój sąd w jednem, lub kilku ogólnikowych zdaniach.

Pan Kazimierz Jarochowski poświęcił kilka pięknych kart powieściom z epoki saskiéj. Należą tu: *Hrabina Kosel*, *Brühl*, *Z wojny siedmioletniéj*, *Starosta Warszawski* i *Skrypt Flemminga.*

Na wstępie p. Jarochowski wskazuje wielkie zadanie powieści historycznéj, szczególniéj u nas, a mianowicie w tych stronach kraju, gdzie niéma zakładów publicznych, z którychby światło znajomości

*) Dokończenie—patrz zeszyt za czerwiec r. b.

dziejów spływało na ogół, czy choćby tylko na łaknących nauki wybrańców...

Cyklowi powieści historycznych z epoki saskiéj należy się, według p. Jarochowskiego, miejsce osobne: są to bowiem powieści więcéj *saskie*, niż nasze. Grunt polski dotknięty w nich z daleka i zlekka tylko; przedmiotem ich i widownią przeważnie: Saksonia, osobistości historyczne i stosunki saskie. *Starosta Warszawski* tylko i *Skrypt Flemminga* przekraczają granicę saską i połowicznie przynajmniéj toczą się na ziemi polskiéj.

Szereg powieści z epoki saskiéj rozpoczyna *Hrabina Kosel*. Sławna to kochanka Mocnego, była niewątpliwą przyczyną zaniedbania spraw polskich przez Augusta w pierwszéj połowie 1705 roku i zawieszenia akcyi Augustowéj przeciw Szwedom. Taką ją przedstawiły p. Jarochowskiemu archiwalne badania. Jest to więc postać, któréj obraz mógł i powinienby w powieści historycznéj świecić pierwszorzędnie na tle tego właśnie ustępu przeszłości sasko-polskiéj. Kraszewski wolał przedstawić bohaterkę swojéj powieści z innéj strony. Kosel jego, to jedynie tylko, czém niezaprzeczenie była, namiętna, przywiązana do króla częścią uczuciem, częścią ambicyą kobieta, ale w obrębie téż tego tylko stosunku, bez ukazania się na szerszéj widowni. Cała o niéj powieść jest pięknym w obrębie prawdy historycznéj zamkniętym, artystycznie wykończonym, psychologicznie usprawiedliwionym, główną bohatérkę idealizującym obrazem miłosnego jéj stosunku z Augustem. Z Polską i polskiemi stosunkami niéma ta powieść żadnego związku. Jedyny węzeł z krajem i ziomkami autora stanowi biédny szlachcic Zaklika, dworzanin Koseli, sługa jéj i nieudarowany wzajemnością kochanek, którego ostateczną, długo poszukiwaną nagrodą było dać się zabić w niefortunnie podjętém dziele oswobodzenia hrabiny zpod klauzury stolpeńskiéj. Postać, dodaje p. Jarochowski, historyczno-moralnie prawdziwa, istny symbol rezygnacyi, prawdziwéj cnoty, czy wady, która wielkiemu ogółowi polskiemu owéj epoki pozostała na spodzie zewnętrznego oblicza, zeszpeconego intrygą, zeszkaradzonego spekulacyą, stępiałego obojętnością na ojczyste losy... *Hrabina Kosel* pozostanie tedy, choćby w takich tylko ramach, w jakie autor przedmiot swój ujął, wiernym historycznie, wykonanym artystycznie obrazem epoki nie polskiéj, na którym przecież, dzięki osobie skromnego, a nieszczęśliwego Zakliki i współczesnéj Polsce, rzut światła prawdy się dostaje.

Druga powieść: *Brühl*, jest znowu specyficznie saską, nie mającą nic prawie wspólnego z historyą współczesną i stosunkami polskiemi, ale według sprawozdawcy, góruje nad poprzednią rozległością horyzontu, charakterystyką historycznych pierwszorzędnych postaci, znajomością dworskich, politycznych i społecznych stosunków Saksonii, wreszcie znakomitém psychologicznem cieniowaniem występujących w powieści osób. Z niezrównaną prawdą przedstawione tu są postacie dwulicowego, ambitnego, a nikczemnego Brühla i Augusta III, z całą

jego chwiejnością, zamiłowaniem w wygodzie, lenistwem i niedołęztwem. Niemniéj trafnie pomyślaną i artystycznie wyrzeźbioną jest charakterystyka osób, występujących na drugim planie powieści, czyto królowéj Maryi Józefy, czy Ojca Guariniego, czy pokątnych doradzców i agentów Sułkowskiego i Brühla, czy śpiewaczki Faustyny Hasse, czy choćby błaznów królewskich Storcha i Froscha. Dwór, teatr, kancelarya i ulica pierwszéj połowy XVIII wieku na gruncie Saksonii, na bruku jéj stolicy, oddane tu są z prawdą i wiernością, którejby rodowity syn téj krainy we własnym jakim utworze z pewnością prześcignąć nie był zdolny. Polskę przypomina tu bardzo odlegle Sułkowski.

Odprowadziwszy Brühla do granic polskich, autor sam wraca do Saksonii i przedstawia w nowéj powieści: *Z siedmioletniéj wojny*, jéj obraz w przededniu i w pierwszéj chwili inwazyi pruskiéj. I w téj powieści znajdujemy się wyłącznie na gruncie niemieckim. Jedyną polską postacią jest tu Masłowski, rodzaj Porthosa z *Trzech Muszkieterów* Dumasowych, człowiek poczciwego serca, wielkiéj odwagi, silnéj ręki, nie szczególnie daleko sięgającéj, ale praktycznéj głowy. I to „opowiadanie historyczne, jak poprzedzające, sięga śmiało w wysokie sfery ówczesnéj wojny i polityki, zachowując przecież niemniéj szczęśliwy i prawdziwy pędzel dla niższych, dla owego ogółu, na którego ciele, jako *in anima vili*, eksperymenta owéj wielkiéj polityki i wojny się odbywają... Światło-cień między cyniczną, ale matematycznie środki swe obliczającą i praktycznie do celu zmierzającą polityką Fryderyka, a owym optymizmem Augustowo-Brühlowym, który niebezpieczeństwa do ostatniéj chwili widzieć nie chce i nieprzyjaciela lekceważy, jest mistrzowsko uchwycony; występujące na tle jego osobistości z uderzającą scharakteryzowane są prawdą.

W *Staroście Warszawskim* autor skreślił jakby dalszy ciąg *Brühla*, ale już na ziemi polskiéj. Bohatérem powieści jest Aloizy Brühl, zacny syn niegodnego ministra. Stanowisko generała artyleryi, związek z rodziną Potockich, wprowadzają go na polityczną wyżynę, z którejby się dało spoglądać na bieg współczesnéj wielkiéj polityki polskiéj, rozpatrzéć w szczegółach ówczesnéj walki między *familią*, a *dworem*, okazać na scenie bohatérów i wodzów téj często krwawéj rywalizacyi. Autor trzymał się jednakże w przeprowadzeniu swéj powieści innéj drogi. Z wyjątkiem kilku ustępów, nie widzimy w *Staroście Warszawskim* wielkiéj widowni politycznéj, ani bohatéra powieści w stosunkach, czy w zapasach z głównemi jéj postaciami. Przeciwnie, opowiadanie usuwa się z podstawy dziejowo-politycznéj na stanowisko powieści historyczno-obyczajowéj, obraca się w sferze drobnéj, zstępuje na poziom zwyczajnego romansu.

Ostatnim owego cyklu powieści historycznych z epoki saskiéj utworem jest *Skrypt Flemminga*. Rzecz się dzieje jużto w Saksonii, już w Polsce. I ta jednakże powieść wychodzi raczéj na wspaniały prawdą i życiem występujących w niéj czynników, obraz obyczajowy

drugiéj połowy epoki Augustowéj, aniżeli jest właściwie powieścią historyczną, którąby w formie artystycznéj przedstawiała wielkie i stanowcze narodowego życia chwile. Pod koniec wszakże powieści odsłania się wielka widownia dworska w Warszawie, by ukazać na swém tle zorzę nowo wschodzącego słońca, ową Annę Orzelską, kochankę-córkę starego Sybaryty na tronie, amazonkę jego rewii warszawskich z lat 1730, 1731 i 1732, przedmiot zabiegów dyplomacyi zagranicznéj i panów polskich.

Taką jest w ogólnym zarysie charakterystyka powieści z epoki saskiéj, skreślona sympatycznem piórem p. Jarochowskiego.

Pan Smoleński nazwał artykuł swój: *Czasy Stanisława Augusta w powieściach J. I. Kraszewskiego.* Jestto galerya rozmaitych portretów, skreślonych przez Jubilata w powieściach: *Maleparta*, *Dyabel*, *Staropolska miłość*, *Dola i niedola*, *Papiery po Glince*, *Macocha*, *Boża opieka*, *Ostatnie chwile księcia wojewody*, *Kawał literata* i *Syn marnotrawny*. P. Smoleński przepisuje charakterystykę tych postaci zarówno męzkich, jak kobiecych, z samych powieści, nie dodając nic swego. Po największéj części owe starościny, kasztelanowa, wojewodziny i t. d., jako téż ich mężowie i kochankowie, przedstawieni są u Kraszewskiego w świetle niekorzystném, często potwornem, ale prawdziwém. Daje to jednak p. Smoleńskiemu pochop do oskarżenia autora o pesymizm i jednostronność, o sfałszowanie niektórych charakterów (Stanisława Augusta, Naruszewicza, Kazimierza Sapiehy, Jacka Jezierskiego), o usuwanie dodatnich postaci na plan drugi, a nadto o ignorowanie dobroczynnego wpływu obcego na zwrót polityczno-społeczny epoki, o pominięcie ruchów socyalnych wśród mieszczaństwa i kmieci, tudzież sprawy kleru i żydów i t. d. Łatwo jest przecież zrozumiéć, że wina w téj mierze spada nie na autora, ale na przedmiot i stanowisko, z którego podobało się autorowi zapatrywać na fizyognomią społeczności w danéj chwili. Pod względem artystycznym, zarzuty p. Smoleńskiego ściągają się do słabego zarysowywania się charakterów, nieprawdopodobieństwa niektórych postaci, braku prostoty i jednolitości, sztuczności efektów i powtarzania się motywów; przyznaje on tylko autorowi mistrzowstwo w kreśleniu postaci bez względu na ich stosunek do czasu. Nie widzimy potrzeby zbijania tego nawału zarzutów. Choćby i była w nich cząstka słuszności, toć i Homerowi przecież zdarzało się zdrzémnąć. Pod względem pomysłu i wykonania, *Ostatnie chwile księcia wojewody*, p. Smoleński uważa za najprzedniejszą perłę pomiędzy utworami Kraszewskiego.

Kto chciałby przypomnieć sobie wydatniejsze z ujemnych postaci, przesuwających się w powieściach Kraszewskiego z epoki Stanisławowskiéj, ten znajdzie w artykule p. Smoleńskiego zbiór ich dosyć liczny i rozmaity.

Z działu poezyi, o dramacie mamy artykuł p. Władysława Bogusławskiego; epos i lirykę roztrząsnął p. Wincenty Korotyński.

Pan Bogusławski słuszną czyni na wstępie uwagę, że wszystkie wycieczki Kraszewskiego w sfery teatralne, czyto w formie komedyi, czy obrazka, lub udramatyzowanéj anegdoty, albo dyalogowanéj przypowiastki, mają cechę czysto przygodną, okolicznościową. Rozmowa o zadaniu i zakresie komedyi, gorąco odczuty przełom w stosunkach społecznych, chęć zasilenia repertuaru dźwigającéj się sceny, bogdaj nawet dobrotliwe przychylenie się do prośby jakiegoś amatorskiego teatru: oto bodźce, pod działaniem których Kraszewski ubierał swoje pomysły w dramatyczną sukienkę.

Niecierpliwość—powiada p. Bogusławski—zdaje się być matką dramatycznéj dziatwy Kraszewskiego... Autor uczuwa widocznie od czasu do czasu potrzebę szybszego rozprawienia się z postaciami, urodzonemi pod wpływem okoliczności, mniéj więcéj pilnych i doniosłych. Wtedy od ogniska jakiéjś palącéj kwestyi odpada drobna iskierka, ażeby rozniecić naprędce akcyą sceniczną tendencyjnego utworu, zanim z silniejszego płomienia wyjdzie dzieło z jednego odlewu; lub zabłąkany rys szlacheckich obyczajów daje początek obrazkowi kontuszowemu, albo wreszcie okruszyna z epoki dziejowéj tradycyi, wypryskująca z pod dłuta bądź dziejopisarza, bądź artysty, przybiera kształty anegdoty historycznéj... Tło pozostawia Kraszewski dekoratorowi, o budowę sztuki zbytecznie się nie troszczy, w dobieraniu sytuacyi nie jest wymyślnym, akcya popycha często powieściowym szlakiem, a postacie swoje charakteryzuje mową więcéj, aniżeli czynem; i wynikają ztąd utwory, według wskazań techniki dramatycznéj niezupełnie może zdolne do życia, w których jednak żyją wszystkie postacie jedynie siłą dyalogu, prowadzonego z dziwnym darem indywidualizowania każdéj, najmniéj nawet znaczącéj figurki... Charakterów między nimi nie wiele, typów niéma wcale. Postaci zato i figur obfitość, przedstawiających wierne odbicie bądź przeszłości karmazynowéj lub kapotowéj, bądź teraźniejszości surdutowéj albo siermiężnéj. Otacza je atmosfera jakiegoś spokoju, który znów spływa na dramaturga z powieściopisarza, zbyt różnostronnie rozglądającego się w życiu, aby mu się jego kontrasty dramatyczne czy komiczne, w jaskrawych uprzytomniały zestawieniach. Kraszewski niéma temperamentu teatralnego. Ztąd zapewne ów spokój, który go w najdramatyczniejszych nie opuszcza sytuacyach. Nastrój taki, nieoceniony w dziejopisarzu, jest pewną zawadą dla dramaturga. W dziele swojém może on nagromadzić wiele materyału dramatycznego, a nie stworzy dramatu. Przykład takiego dzieła, według p. Bogusławskiego, przedstawia obraz dramatyczny *Równy wojewodzie*. Nie brak tam żywiołów do dramatu: jest tragiczne tło XVIII wieku: szamotanie się całego narodu między sceptyczną filozofią a szlachetnemi wysiłkami uratowania choćby honoru, gdy już nic więcéj wyratować się nie da; występują na tém tle przedstawiciele dwu prądów życia publicznego, ale w chwili wzajemnego ich starcia

się, w punkcie kulminacyjnym akcyi, widz nie jest tak silnie zainteresowanym, jakby tego natura sytuacyi wymagała. W rzeczywistości wszystko mogło się stać tak a nieinaczéj, ale z téj prawdy, bardzo przedmiotowéj, autor nie wydobył całéj poezyi, któraby sytuacyi, dość w gruncie rzeczy powszedniéj, nadała dramatyczne natężenie. Całość przedstawia się, jako obraz o barwach posępnych, których Kraszewski nie szczędzi, ilekroć w XVIII wieku szuka do twórczości natchnienia. W dramacie: *Dzień 3 maja*, spokój przedmiotowy Kraszewskiego staje się surową bezstronnością dziejową, pod wpływem któréj powstało przykre, przytłaczające malowidło obyczajów politycznych z r. 1791. Tu znowu bezstronnością, stanowiącą siłę historyka, osłabia się niezbędny czynnik wszelkiego, a szczególniéj historycznego dramatu—namiętność.

Taki atoli a nie inny sposób zużytkowania na scenie materyału historycznego, zdaje się odpowiadać ideałowi dramatu dziejowego, postawionemu przez Kraszewskiego jeszcze w 1842 roku w *Studyach literackich*.

W ramy komedyi kontuszowéj ujmuje Kraszewski anegdotę historyczną, która w takiéj całości tworzyć ma *komedyą historyczną*, formę, zdaniem autora, możliwą u nas i godną uprawiania. Że tam, gdzie przeważa anegdota, nie może być mowy o komedyi właściwéj, ze stopniowaną akcyą, z rozwijającemi się charakterami, to pewna. Ale anegdota ma w takim razie nieocenioną właściwość wydobywania zpośród świateł i cieni historyi takich rysów postaci dziejowéj, które jéj prawie dotykalną nadają wypukłość. Spójrzmy na księcia Karola Radziwiłła. Fantazya przejawiająca się w słynnych kłamstwach *Panie Kochanku*, w mistyfikacyach i teatralnych przyborach życia, traktowaną była rozmaicie, jak zresztą cała jego osoba. U Kraszewskiego Radziwiłł wierzy w połowie własnym zmyśleniom, dykteryjkom, konceptom i kto wié, czy ta wiara nie wyjaśnia nam lepiéj mnóstwa sprzeczności, niż wiele innych wywodów. Widzimy przed sobą indywidualność, któréj wola jednostkowa, upojona swobodą bez hamulca, potrzebuje tworzyć sobie w życiu nadzwyczajne okoliczności, sztuczne przeszkody, zmyślone niebezpieczeństwa, aby wyjść ze stanu bierności, na którą skazaną jest zawsze, ilekroć jéj upór do czynu nie budzi. Za wiarą w bredzenia własnéj wyobraźni, idzie łatwowierność w cudze mistyfikacye; na tym właśnie rysie psychologicznym opiera się akcya anegdoty dramatycznéj p. t.: *Panie Kochanku*.

O dramatycznych utworach Kraszewskiego poświęconych teraźniejszości (*Kosa i kamień*, *Stare dzieje*, *Portret* i *Łatwiéj popsuć niż naprawić*), p. Bogusławski nadmienia tylko pobieżnie.

Ponieważ rozprawę p. Bogusławskiego streściliśmy własnemi jego słowami, nietrudno więc będzie czytelnikowi ocenić jéj niepoślednie zalety.

Piękną kartę w historyi literatury naszéj mógłby stanowić artykuł p. Korotyńskiego, mający za przedmiot dwa tomiki *Poezyi* Kraszewskiego, trzy wielkie poemata objęte wspólnym tytułem: *Anafielas*, fantazyą dramatyczną: *Szatan i kobieta*, *Hymny boleści*, sielankę *Wioska* i ustępy *Staréj baśni*.

Na początku p. Korotyński zaznacza, że poetą „pojmowanym jako malarz, ubierający swe myśli w obrazy, przemawiający raczéj do uczucia, niż do rozwagi, „przez oczy wchodzący do duszy," jak powiada stara piosenka, takim poetą Kraszewski jest wszędzie, nawet w dziełach z pozoru niedostępnych dla twórczości poetyckiéj. Cóż dopiéro mówić o powieściach, które pod względem pomysłu, układu części, krajobrazów i wizerunków osób działających, wszystkie należą niepodzielnie do poezyi.

W zawodzie rymotwórczym Kraszewskiego, upatruje p. Korotyński cztery dość odosobnione zwroty. Pierwszy, od lat młodzieńczych ciągnie się prawie do roku 1840; cechuje go zwykła młodości gorączka, rozpraszanie się na drobnostki, walka z formą zewnętrzną; to jednak nie przeszkadza szczeremu poczuciu piękna i plastyki, bez czego najpiękniejsze nawet wiersze nie będą poezyą. Drugi zwrot znacznie krótszy, sięgający do roku 1844, odznacza się swobodą wyrobionéj już formy, tudzież nierównie większém, niż pierwéj, skupieniem i dojrzałym spokojem artysty; zawarł Kraszewski w tym okresie trzy wielkie poemata z dziejów Litwy i jednę obszerną fantazyą obyczajową. Trzeci zwrot po czternastoletniém milczeniu, płynie przez chwilę bystrym potokiem liryzmu; należy do niego jeden poemat opisowy i *Hymny boleści*. Czwarty zwrot, po siedmnastoletniéj przerwie, rozpoczyna się pieśniami ślepego Słowana w *Staréj baśni*, niby kartkami wyciętemi z Królodworskiego rękopismu, lub słowa o *Pułku Igora*.

Nuta rozczarowania i rozpaczy, która zabrzmiała w pierwszych drukowanych poezyach lirycznych Kraszewskiego, nie była właściwie tém, co się przyzwyczajono nazywać „bajronizmem," poeta nasz tam nawet, gdzie widocznie ulega wpływowi Byrona, ma cechy obce czystemu bajronizmowi. Nigdy się on nie mógł przejąć rozpaczą wyrosłą na gruncie wzgardy dla ludzkości, ani też długo pozostawać w oderwniu od świata, w zamknięciu się z samym sobą na pustyni, „w otoczeniu duchów." Dla niego, jak powiada, przespać całe życie na „łożu dumań" jest to samo, co „być dla świata, jak kawał kamienia urodzony na Alp szczycie." Gardzi on rozkoszą zmysłową, wierzy w miłość szlachetną, widzi ją nawet w Maryi Magdalenie. Jego rozpacz, znużenie, żądza spoczynku „na dębowéj pościeli" jest zupełnie nasza rodzinna; jest, jak powiada p. Korotyński, „polskim bajronizmem." Rozpacz bez granic, niewiara bez zastrzeżenia, odzywa się u niego wtedy jedynie, gdy zamyka się w stosunkach wyłącznie ziemskich, jak np. w improwizacyi: *Do moich przyjaciół*, kończącéj się głębokiém szyderstwem:

Kto z was przyjaciel, moi przyjaciele?"

Skoro jednakże wyżéj nad chwilę obecną wzleci, zaraz do nuty polskiéj powraca, jak np. w wierszu *Do nowonarodzonego*, najpiękniejszym pono w całéj pierwszéj wiązance. Nie obcą mu też jest rzewna skarga cichéj boleści, jak to widzimy np. w wierszu p. n.: *Pogrzeb rybaka*, a jeszcze udatniéj w innym, noszącym miano: *Biedny chłopiec*. W miarę postępu czasu—powiada sprawozdawca—wypogadzało się coraz bardziéj na niebie duszy poety. Wprawdzie nazawsze pozostać miało gorczyczne ziarnko niesmaku w jego patrzeniu na rzeczy tego świata, pozostała odrobina lekkiego przekąsu pod dobrodusznym uśmiechem, ale z rozpaczą i żądzą śmierci, poeta wkrótce dozgonny uczynił rozbrat.

Więcéj może czystego bajronizmu znaleźć można w młodzieńczych utworach epickich Kraszewskiego, aniżeli w jego pieśniach lirycznych. Przynajmniéj „powieść wenecka" *Paolo*, z potwornéj namiętności i formy ciągle w liryzm przechodzącéj, należy do wnucząt *Don Juana* i *Giaura*. Prawdziwym upałem poetyckim już nie weneckiego nieba, ale afrykańskiéj pustyni, wieje od poemaciku *Azarad*, stanowiącego piękną przypowieść, nawskroś przejętą wybuchami lirycznemi. Na tém jednakże kończy się u Kraszewskiego szukanie wątku do pieśni poza granicami własnego kraju. Oddanie się studyom nad dziejami Wilna i Litwy, zwróciło też w tamtą stronę jego natchnienia poetyckie, lubo jeszcze nie uwolniło ich od lubowania się w gwałtownych dramatach i bohatérach napiętnowanych zbrodnią. Taką jest osnowa poemacików: *Gerhard Ruda*, *Biruta*, *Kiejstut* i *Ryngala*. Wyjątek od tego bajronicznego nastroju znajdujemy tylko w niewielkim utworze: *Dziewięć pokoleń Litwy*. W ogóle, we wszystkich tych utworach, pomimo wielu pięknych ustępów, brak wybitnego kolorytu epoki.

Kilka ballad i bajek mocno zaprawnych satyrą i wybornym dowcipem, uzupełnia pierwszą wiązankę epicką Kraszewskiego. Celniejsze pomiędzy nimi: *Dziad i baba*, *Pan i człowiek*, *Monomachia wiatru z chmurą*, *Branka* i *Panna Barbara*.

Do formy dramatycznéj w poezyi, bardzo wcześnie uciekać się począł Kraszewski. Oprócz *Halszki*, inne niby dramatyczne utwory jego wierszowane są poprostu pieśniami lirycznemi, satyrami lub scenami opisowemi, pociętemi na dyalogi. Urywek: *W świat!* jest ostrą satyrą wiejskich stosunków, przeniesioną w drugą połowę XVIII wieku. W *Ślepéj babce* chodziło autorowi o wypowiedzenie reprymandy głupcom, wietrznikom, rozczarowanym małżonkom, a nareszcie o to, by dać tryumf nad wszystkimi poecie. Szerokie miejsce w tych kartkach dyalogowanych zawiera fantastyczność. W *Burzy*, Szubienica i Piorun rozmawiają z matką wisielca. Podobnież się dzieje w *Barbarze*, obrazku skreślonym na tle nibyto historycznem. Rzecz to słaba, podobnie jak *Rapsod 1252*, wystawiający spór między Czarnym Duchem i Archaniołem o posiadanie Litwy. Czuć w nim brak Miltonowego lub Dantejskiego polotu wyobraźni, bez którego podobne dzieła szwankować muszą.

Trzy wielkie poemata z przeszłości Litwy, najznakomitsze dzieła Kraszewskiego, który też najwięcéj włożył w nie pracy, związane są jedną myślą przewodnią i jednym wspólnym tytułem: *Anafielas*. Sześcioletni przeciąg czasu zabrały autorowi studya nad językiem, podaniami, pieśniami i dziejami Litwy, które posłużyły za wątek tego utworu. Osnową pierwszéj części poematu, jest „pieśń o Witolu", z litewska: *Witolorauda*, właściwie zaś pieśń o Litwie przedchrześciańskiéj, o ile pozostały o niéj wzmianki w księgach i pamięci ludu. Opowiadanie toczy się wierszem białym, znakomicie wyrobionym, szczególniéj w drugiém wydaniu, mocno przeoranem przez autora. Część druga, mająca za bohatéra *Mindowsa* czyli Mendoga, wkracza już w czasy historyczne, lubo jeszcze nadzwyczaj ciemne. Jestto doba pierwszego bezpośredniego zetknięcia się napół dzikiego ludu z chrześciańską cywilizacyą Zachodu. Chwila więc do poematu bohaterskiego bardzo szczęśliwie wybrana; Kraszewski jednak zamało nieco korzystał z napraszających się pod pióro kontrastów obyczajowych, więcéj się zamykając w obrębie wielkich przewag orężnych swojego bohatéra. Nakoniec część trzecia poświęcona jest Witoldowi.

„Wojownik pierwszéj siły (słowa sprawozdawcy), administrator ogromnego talentu, żelazny władzca ogromnych obszarów od Krymu do Nowogrodu; wielki umysł, bystrém okiem ogarniający pożytki cywilizacyi, był i jest Witold, pomimo swéj przewrotności, ulubieńcem dziejopisów.

Praca nad poematem *Anafielas* tak dalece wyczerpywała całą twórczość poetyczną Kraszewskiego, że w ciągu tego czasu, kiedy poemata litewskie ogłaszał, ledwo się zdobył na jeden nieco obszerniejszy utwór fantastyczny, zapewne wcześniéj poczęty, a o wiele wyższy od wszystkiego, co w tym rodzaju napisał poeta do r. 1838. Jestto „fantazya dramatyczna" *Szatan i kobiéta*.

Rozbrat swój z bajronizmem, z rozczarowaniem i rozpaczą, stwierdził już sam Kraszewski w r. 1842, kiedy wzmiankując o dawniejszych płodach swéj muzy, powiedział: „Pisma są jak owoce, na każdą porę inne dojrzewają." Lecz ostateczne wyprzysiężenie się bezwładnéj rozpaczy, znajdujemy pomiędzy poezyami Kraszewskiego, drukowanemi w r. 1846 w *Ondynie druskienickich źródeł*.

Data dnia 11 listopada 1844 r., położona w *Ondynie* pod sześciu utworami, które zawierają powyższe wyznanie, stanowi słup graniczny w nastroju lirycznym Kraszewskiego.

Od napisania *Witoldowych bojów* upłynęło lat niemal czternaście, w których nie spotykamy się z żadnym donioślejszym utworem Kraszewskiego. Dopiéro w r. 1857 zjawiają się *Hymny boleści*, których wzniosłą zasadniczą myślą jest: że boleść nie powinna przytłaczać ku ziemi, ale podnosić, oczyszczać, ubłogosławiać. Pod względem zewnętrznéj szaty poetyckiéj, jest to, według sprawozdawcy, najpiękniejsze dzieło Kraszewskiego. Zwykły szarawy koloryt jego mowy wierszowanéj, ustępujący bronzowemu w pieśniach *Anafielas*, tu,

jak w inicyałach i miniaturach pobożnych rękopismów średniowiecznych, jaśnieje najczystszemi kolorami cynobru, ultramaryny i złota. Skupienie uczucia i myśli, skupienie promieni słonecznych, które przechodząc nawet przez lodową soczewkę duszy obojętnego, płomień wzniecają, zupełnie dorównywa w *Hymnach boleści* zewnętrznemu poetyckiemu w nich malowidłu. Przeszedłszy wszakże szczeble cierpienia i pociechy w cierpieniu, płynącéj z nadmiaru boleści, dusza w hymnie ostatnim (siódmym) zwraca się do najwyższego źródła pociechy. Ostatni ten hymn tchnie najwyższym wyrazem rezygnacyi, którego znamiona znajdujemy na kartach martyrologium pierwszych wieków chrześciaństwa.

W rok po *Hymnach boleści* ukazała się *Wioska*, obrazek niepospolitéj piękności o dwoistém tle: starożytném i współczesném. „Któż odrazu nie pozna w śpiewaku *Wioski* (mówi p. Korotyński), że to członek rozmaitych towarzystw archeologicznych, rozkopywacz kurhanów i dobywca popielnic, zbieracz młotków kamiennych i zbroic stalowych, autor *Sztuki u Słowian*, w któréj, na mistrzowski opis chaty w potoku dziejowym, składali się po wierszyku i Priscus i Jornandes i Helmold i Thietmar i Ziegler i tylu nam współczesnych.

I znowu siedmnaście lat przeszło od czasu ostatniego odezwania się lutni Kraszewskiego, aż oto w r. 1876 ukazała się *Stara Baśń*. Cała ta powieść jest z końca w koniec jednym wielkim poematem niezrównanéj piękności i siły, ale ponieważ do sprawozdawcy należały tylko ustępy wierszowane, ukryte w prozie, łatwe jednakże do wydobycia, o nich więc tylko mówi. Są tam piosenki obrzędowe, żywcem prawie przeniesione z ust ludu wiejskiego, który przechował je w pamięci od czasów pogańskich i po dziś dzień jeszcze śpiewa na weselach, koladach i kupałach. Są daléj urywki, zgrabnie na malowidło ludowe nawijane z własnéj przędzy autora, jak np. piosenki Dziwy i staréj wiedźmy Jaruby. Najważniejsze jednak są pienia siwego Słowana, gęślarza wędrownego, snującego się w lasach między plemionami polańskiemi. Słowan był oślepiony, ażeby nie widząc świata, wciąż czytał w duchu własnym, pieśń zaś tak cenił wysoko, że natychmiast ją urywał, skoro poczuł przytomność obcego. Głęboko téż sięga pamięcią, a wysoko wzlata ku bogom, gdy opowiada gromadzie przedwieczne wędrówki swojego ludu, znad brzegów Gangesu nad Dunaj, nim poszedł daléj na Karpaty ku Wiśle i Warcie.

Po przytoczeniu jednego z urywków, p. Korotyński robi uwagę, że, obok daru poetyckiego, dwa bardzo różne żywioły złożyły się na te pieśni Słowana w *Staréj Baśni*. Jednym żywiołem jest gruntowna znajomość wyników badań naukowych, drugim żywiołem jest również gruntowna znajomość literatury ludowéj, któréj skarby dotychczas nagromadzone są bardzo już wielkie, ale na wydobycie z nich treści, czekamy jeszcze myśliciela i poety.

Liczne wyjątki z poezyi Kraszewskiego zbogacają studyum pana Korotyńskiego, dostarczając czytelnikowi wątku do wyrobienia własnego sądu.

Dział „filozofii" w *Książce Jubileuszowéj*, zajęła na niepodzielną własność rozprawa prof. Henryka Struvego, p. n.: *J. I. Kraszewski w stosunku do filozoficznych dążności swego czasu.*

Przystępując do ogólnéj charakterystyki udziału Kraszewskiego w filozoficznych dążnościach czasu, p. Struve zaznacza, iż żaden systemat znakomitszy, żaden objaw głębszéj myśli w tym pół-wiekowym okresie nie uszedł jego uwagi. Kraszewski nie jest i nie był rzecznikiem żadnego z nowszych systematów filozoficznych, nie przyłączył się stale do téj lub owéj szkoły. Ale w dziedzinie filozoficznych poglądów zawsze skłania się do teoryi idealistycznych, zawsze z niemi sympatyzował, a wszelkie poniżenie ducha, wszelkie zaprzeczenie rozumowego pierwiastku świata i wyższego przeznaczenia człowieka potępiał. Oto jedna z najwydatniejszych cech filozoficznych poglądów Kraszewskiego.

Druga cecha wypływa z zewnętrznych warunków rozwoju i działalności naszego pisarza. Warunki te skupiają się w ogólném położeniu kraju, w jego stosunkach społecznych, w jego potrzebach i dążnościach. On zawsze pragnął podnieść ogół we wszystkich jego warstwach, kierunkach i stronnictwach i dlatego nie mógł lekceważyć żadnéj ze składowych jego części.

Oto jest, według p. Struvego, ogólna charakterystyka udziału Kraszewskiego w filozoficznych dążnościach czasu. Daléj idzie przedstawienie w ogólnych zarysach zasadniczych poglądów naszego pisarza na tle historycznego rozwoju filozofii u obcych i u nas w przeciągu ostatnich lat pięćdziesięciu. My poprzestaniemy jedynie na wskazaniu główniejszych punktów, rozwiniętych obszernie w rozprawie pana Struvego.

Rzut oka na dążności filozoficzne, po ukołysaniu rewolucyi francuzkiéj, poprzedza zapatrywania Kraszewskiego. W dążnościach tych autor wskazuje dwa główne kierunki, pozostające w ścisłym związku z potrzebami i duchem czasu. Jeden z nich ma na celu obronę religii i wierzeń dogmatycznych, i znajduje swój najdobitniejszy wyraz w tak zwanéj filozofii katolickiéj. Drugi, rozumny, spekulacyjny, rozwija się na tle niemieckiego idealizmu, doprowadzonego przez Hegla do ostatecznych wyników. Oba te kierunki wywarły silny wpływ, jak na całą naszą społeczność, tak i szczególniéj na Kraszewskiego.

U nas, pod wpływem filozofii Hegla, już od r. 1835 zaczynają się ukazywać pisma Kremera, Cieszkowskiego, Trętowskiego, naresz-

cie Libelta. Stojąc na stanowisku filozofii katolickiéj, Kraszewski początkowo, bez rozbioru i głębszéj krytyki, nie widział w filozofii Hegla nic innego, prócz tylko czczéj spekulacyi, doprowadzającéj do panteizmu, do negacyi Boga i ubóstwienia człowieka. Wolny jednak od wszelkiego fanatyzmu, nie potępiał nowego kierunku bezwarunkowo, lecz zachowywał się względem niego wyczekująco, ganiąc głównie tylko niedojrzałe wyskoki spekulacyi w ówczesnéj młodéj prasie warszawskiéj. Od chwili zaś, gdy filozofia spekulacyjna w Trętowskim przyjęła formę swojską, gdy dobijała się powszechnego uznania pod nazwą filozofii narodowéj, Kraszewski, baczny na wszystkie wybitniejsze objawy czasu, zmuszony był zapoznać się bliżéj z heglizmem, jako z myślą, która zawładnęła prawie całą młodszą generacyą. Okoliczność ta zachęciła go do coraz rozleglejszych studyów filozoficznych, które wreszcie wpłynęły na ukształtowanie jego własnych pojęć i poglądów. Rok 1844 stanowi pod tym względem epokę w rozwoju umysłowym naszego pisarza. Głębsze studya złagodziły zbyt szorstki sąd jego o filozofii rozumowéj, wypowiadany poprzednio ze stanowiska dogmatycznego.

Zapoznawszy się bliżéj z dążnościami filozoficznemi Schellinga i Hegla, wniknąwszy głębiéj w ducha naszych myślicieli, Kraszewski przejął się szacunkiem dla filozofii i jéj pracy nad wytworzeniem ogólnego na świat poglądu. Prawda, nie podziela on bynajmniéj ostatecznych wyników spekulacyi filozoficznéj, o ile się one nie schodzą z jego zasadniczemi przekonaniami religijnemi, a mianowicie z jego wiarą w Boga osobistego. Nadto obawia się zgóry wszelkiego panteizmu i materyalizmu, bez szczegółowego rozbioru ich zasad i argumentów. Wreszcie zdrowy rozsądek jego zżyma się niejednokrotnie zarówno przeciw dziwactwom Trętowskiego, jak i przeciwko owéj dyalektyce Heglowskiéj, która wyłączające się nawzajem sprzeczności, jak np. pojęcia bytu i niebytu, dla doktrynerskiéj konsekwencyi ze sobą zlewa, wytwarzając syntezę pozorną, pozbawioną prawdy rzeczywistéj. Ale pomimo tego wszystkiego, widzimy (z listów do Placyda Jankowskiego i Konst. Podwysockiego), spożytkowanych w tym celu przez p. Struvego, że Kraszewski interesuje się jaknajżywiéj dążnościami ducha ludzkiego na polu filozofii i pojmuje wysoką ich doniosłość, tak ze stanowiska postępu społecznego i historyi, jak ze stanowiska twórczości umysłowéj. Jaka nauka moralna, jakie prawa da się wyprowadzić z téj nowéj filozofii? jaką przyszłość zgotuje ona społeczeństwu. Oto pytania, które go przedewszystkiém zajmują i do samodzielnéj krytycznéj pracy nad tym przedmiotem zachęcają. Do tego przyczynia się téż niemało urok artystyczny, jaki na wrażliwéj, poetyckiéj duszy naszego pisarza wywierać musiał jednolity pogląd na świat, przeprowadzony w subtelnych zarysach według zasad symetryi i proporcyi logicznéj. Przy takim ogólnym poglądzie nie razi nas już nielogiczność

szczegółów, ich ustrój wymuszony, a widzimy tylko przed sobą wspaniały całokształt architektoniczny, domagający się uznania, bez względu na krytykę jego części składowych. To też nie dziw, że z tego stanowiska zapatrując się na filozofią Hegla, Kraszewski, bez zgody na jéj szczegółowe wypadki, mógł jednak zawołać: „cóż to za piękny gmach! co za śliczny wyrób umysłu ludzkiego! jaki nowy pogląd na świat!" Z filozofią katolicką nastąpił stanowczy rozbrat.

Owoce powyższych studyów filozoficznych Kraszewskiego przedstawiają się nam naprzód w szeregu artykułów o filozofii Hegla, zamieszczonych w *Atheneum* na r. 1845, następnie w dziele osobném o systemie Trętowskiego, wreszcie w tendencyach kilku ówczesnych powieści.

W *Athenaeum* wydrukował Kraszewski *Ideę systematu Hegla.* Jesto tłómaczenie obszernego wyjątku z dzieła A. Otta: *Hegel et la philosophie allemande.* Następnie ogłosił streszczenie *Historyi filozofii Hegla* i jego *Filozofii natury.* Pierwsza z tych prac jest znowu przekładem z Otta, druga zaś, jak się zdaje, jest streszczeniem zrobioném przez samego Kraszewskiego, według *Encyklopedyi filozofii* Hegla, wydanéj przez Micheleta.

Obszerny rozbiór *Systemu Trętowskiego* najwybitniéj wykazuje wpływ Hegla. Kraszewski oddaje prawie wszędzie pierwszeństwo Heglowi przed Trętowskim, tak co do metody filozoficznego rozwoju myśli, konsekwencyi i ścisłości logicznéj, jak i co do saméj treści poglądów. Teorya rzeczywistości Trętowskiego, w któréj duch, jako przeczenie, odegrywa rolę podrzędną w porównaniu z materyą, doprowadza, zdaniem krytyka, do materyalizmu. „Hegel, mówi Kraszewski, nie jest materyalistą, nie bierze materyi za twierdzenie, ma ją za ułomny objaw ducha, nie poniża duszy do uznania jéj za jakieś tam *soma pneumatikon.*" On rozumie, że wszelka przyczynowość jest w duchu, że wyprowadzanie ducha z materyi, z natury bezwiednéj, jest niedorzecznością, jest wyprowadzaniem przyczyny ze skutku. Ztąd „Hegel, według słów Kraszewskiego, z całym swym idealizmem daleko był bliżéj prawdy, wywodząc materyą z ducha. Codziennie widzim twórczość ducha, a nie pojmujemy twórczości materyi bez niego. Gdzie materya tworzy ducha?.. Hegel spiritualizuje materyą: Trętowski, wszędzie go nicujący, somatyzuje, materyalizuje ducha i niszczy go całkiem." Również nieprzychylnie ocenia Kraszewski nibyto pojednawczy stosunek Trętowskiego do religii i chrześciaństwa. Na szczególną jeszcze zasługują wzmiankę dwa ustępy téj pracy, traktujące o *ideach wrodzonych* i uznaniu powszechném, *consensus gentium.*

O dodatnim wpływie filozofii przekonywają nas jaknajwymowniéj powieści Kraszewskiego z owego czasu, wielce obfite w tendencye filozoficzne. Tendencye te występują na jaw z należytą wyrazistością dopiéro po r. 1844 i wykazują jaknajwyraźniéj wpływ idea-

lizmu Platona i Hegla. Od tego czasu, idea natury, wszechświata, ogólnego bytu, panteistycznéj substancyi, ciśnie się coraz bardziéj do myśli Kraszewskiego i znajduje swój wyraz w rozległych nieraz medytacyach nad losami człowieka i jego stosunkiem do reszty bytu. Jako istotę zaś tego powszechnego bytu, jego życia, ruchu, postępu, przedstawiają nam zwykle ówczesne powieści Kr. *sprzeczność*, walkę przeciwieństw, z któréj się, zupełnie w duchu filozofii Hegla, rodzi życie i postęp. Co zaś do stosunku jednostki do ogólnego bytu, to wyrzeczenie się swego *ja* dla ogółu, dla dobra powszechnego, przejęcie się jego dążnościami staje się coraz bardziéj dogmatem moralnych tendencyi Kraszewskiego. Jednostka ustępuje na plan drugi, przed bytem ogólnym, którego prawo i porządek muszą być przedewszystkiém uznawane i szanowane. Tylko wymaganie nieśmiertelności duszy i wiara w jéj postęp wieczny zaznaczają różnicę ówczesnych przekonań Kraszewskiego od bezwzględnego panteizmu.

Określony powyżéj kierunek, upatruje p. Struve szczególniéj w czterech powieściach, które, według niego, powieściami filozoficznemi nazwaćby można. Temi są: *Pod włoskiém niebem* z r. 1845, *Pamiętniki Nieznajomego* z r. 1846, *Sfinks* z r. 1847 i *Tomko Prawdzic*, napisany w r. 1849. Z nich dwie pierwsze wykazują cały urok, jaki wywarł idealizm Platona i Hegla na wrażliwy umysł Kraszewskiego, podczas gdy *Sfinks* i *Tomko Prawdzic* napisane już są pod wpływem spokojniejszéj, dojrzalszéj rozwagi. Dla potwierdzenia swéj myśli, p. Struve roztrząsa wymienione powieści ze stanowiska filozoficznego i przytacza odpowiednie wyjątki. Wszystkie są dziwnie piękne i bardzo szczęśliwie wybrane.

Po pierwszém, silném wrażeniu, spowodowaném przez wzniosły polot myśli idealistycznéj, następuje chwila refleksyi, zastanowienia. Skutkiem tego jest większa dojrzałość sądu, krytyczniejsze zrównoważenie nowonabytéj treści z dawnemi zasobami ducha. Kraszewski już teraz nie oddaje się bezwarunkowo owym tendencyom panteistycznym, które go w pierwszéj chwili tak żywo i głęboko zajęły, nie jest już bezwzględnym platonikiem, szybującym po niebie ogólnych idei. Przypominając sobie znowu ziemię, wraca do niéj, bierze na uwagę to wszystko, co go z nią łączy, a do tego należą przedewszystkiém jego własne, dawniejsze kierunki myśli, jego przekonania religijne, odziedziczone po ojcach, jego dążności piśmiennicze wśród realnych stosunków życia. Z niemi znowu pogodzić się musiał, aby stać się znowu sobą, aby nowe myśli, poglądy filozoficzne przeistoczyć na własną krew duchową, bo tylko wtedy mógł powrócić do wewnętrznéj harmonii i kroczyć niezachwianie naprzód w kierunku raz wytkniętym. Ten proces amalgamacyi idealizmu Platona z życiowemi dążnościami Kraszewskiego, z jego dawnemi zasobami w zakresie wierzeń religijnych, tendencyi literacko-estetycznych, przedstawia nam *Sfinks*. Nie widzimy tu już ani dogmatyzmu, ani wybujałości myśli oderwanéj od

życia: Chrześciaństwo i filozofia podają sobie ręce na gruncie etyczno-socyalnym.

Epokę studyów filozoficznych Kraszewskiego zamyka *Tomko Prawdzic*. Zasadniczą jéj myśl wypowiada stary Dołęga: „Czyn jest wyższy od wiedzy, bo czyn tworzy, czyn żywot daje, gdy wiedza jest tylko spojrzeniem w jego tajniki."

Po roku 1848, ze zwrotem społeczeństw europejskich do pracy nad utrwaleniem dobrobytu materyalnego, zmienił się i cały kierunek myśli nowszych czasów, wszystkie niemal dążności w zakresie nauki i filozofii, sztuki i poezyi, moralności i religii. Wszędzie idealizm, romantyzm, wiara, przestały być głównemi czynnikami życia i rozwoju, zstąpiły na plan drugi, zmuszone poruszyć kierownictwo duchem czasu prądem realistycznym różnych odcieni.

P. Struve bardzo wymownie charakteryzuje poglądy realistyczne epoki na wszystkich polach działalności ludzkiéj, zatrzymując się nieco dłużéj nad losami filozofii po upadku systematu Hegla, i zaznacza zwrot chwili obecnéj ku dążnościom idealistycznym w zakresie życia społecznego, a nawet przyrodoznawstwa.

Następnie p. Struve określa zwrot Kraszewskiego od idealizmu Hegla do coraz szerszego uwzględniania realnych stosunków społeczeństwa.

Ten zwrot dokonywa się w Kraszewskim nie nagle, lecz jest wynikiem pewnego wewnętrznego rozwoju i zaznacza się w kilku wydatnych momentach.

Pierwszym charakterystycznym objawem tego zwrotu do rzeczywistości jest pesymistyczne zapatrywanie się na wszystkie prawie stosunki doczesnego życia, głęboki smutek z powodu fizycznéj i moralnéj nędzy człowieka, potępienie wszystkiego, co nie jest ideałem, lub do niego nie dąży.

Drugim momentem jest wiara w wyższe przeznaczenie i lepszą przyszłość ducha.

Trzecim wreszcie momentem jest wymaganie sumiennéj i wytrwałéj pracy organicznéj, jako niezbędnego środka, zarówno moralnego udoskonalenia człowieka, jak i polepszenia stosunków społecznych.

Momenta powyższe niemają u Kraszewskiego znaczenia jakichś bezwzględnie samodzielnych epok lub zwrotów jego życia umysłowego, następujących po sobie w porządku ściśle chronologicznym; bynajmniéj: działają one jakby równolegle, składając się wspólnie na myśl zasadniczą główniejszych jego utworów od r. 1850 do chwili obecnéj. Ale w różnych chwilach tego czasu ta lub owa z powyższych tendencyi góruje nad innemi, a w każdym razie punkt wyjścia i ostateczny wynik umysłowego postępu naszego pisarza w całéj téj epoce, odpo-

wiada owym zasadniczym momentom rozwoju idealizmu w zetknięciu z rzeczywistością.

Z pomiędzy utworów Kraszewskiego, nawskroś przejęta jest pesymizmem znakomita *Powieść bez tytułu.* We fragmencie *Abracadabra* toż samo uczucie pesymistyczne znalazło najgłębszy, najbardziéj filozoficzny wyraz, chociaż zawsze ogranicza się tylko na kwestyach praktycznego życia i nigdzie prawie nie wkracza w dziedzinę ogólnych metafizycznych zasad. W *Hymnach boleści* i *Wiosce* pesymistyczny nastrój autora przybiera coraz łagodniejszą formę. Najwyższym jednak, choć bynajmniéj nie najgłębszym objawem niechęci Kraszewskiego do surowéj rzeczywistości i do wszystkich, którzy swe idealne potrzeby i dążności poddają realistycznym prądom czasu: są *Choroby wieku.* Przesadę, cechującą ten utwór, p. Struve usprawiedliwia reakcyą przeciwko jednostronnym teoryom materyalistycznym, sprowadzającym całą działalność człowieka do egoizmu, a które w owym czasie budziły powszechne zajęcie. Poglądy swe uzasadnia p. Struve rozbiorem każdego z wymienionych utworów.

Zaznaczywszy ogólną treść moralnych poglądów Kraszewskiego, p. Struve dodaje, że ich doniosłość ocenioną być winna głównie w porównaniu z tendencyami innych współczesnych powieściopisarzy. W takim razie okaże się, że Kraszewski duchem prawdziwie etycznym, szczerą miłością prawdy i dobra powszechnego przewyższa większość najgłośniejszych nawet pracowników na tém polu piśmiennictwa. A to odsłania nam w Kraszewskim nietylko człowieka serca i znawcę duszy ludzkiéj, lecz i dobrego obywatela i pisarza rzadkiéj sumienności, który szczepienie zasad moralnych i pracę dla dobra powszechnego stawia wyżéj nad schlebianie ogółowi i chwilowym zachciankom czasu.

Zresztą liczny szereg powieści najnowszych dowodzi, że Kraszewski nie poprzestaje na owéj etyce sentymentalnéj, która rezygnując z życia doczesnego, ograniczając potrzeby człowieka do minimum, biorąc za ideał prostotę i patryarchalność, myśli tylko o wieczności i o przygotowaniu się do niéj. I sprawy powszednie zajmują go żywo; myśl o przyszłém życiu i wymagania moralne, łączące się z tą myślą, stanowią tylko idealne tło, na którém Kraszewski zarysowywa swoje poglądy na kwestye realnego życia, na wzajemny do siebie stosunek różnych warstw społeczeństwa, na obowiązki tak arystokracyi rodowéj i pieniężnéj, jak inteligencyi krajowéj, mieszczan, ludu i w ogóle każdego dobrego obywatela. Całe grupy utworów powieściowych mają za przedmiot wszystkie te kwestye społeczne i starają się je rozwiązać nietylko ze stanowiska oderwanych ideałów etycznych, lecz i w imię realnego położenia i realnych potrzeb kraju. Cały znowu szereg powieści historycznych, z nowszych i dawnych czasów, daje nam poznać Kraszewskiego, jako historyozofa, oceniającego wartość moralną przeszłości w celu naprowadzenia teraźniejszości na lepszą drogę. Wreszcie działalność jego na polu publicystyki, tak w *Gazecie Polskiéj*, jak

i później w *Tygodniu*, *Omnibusie*, oraz korrespondencye do wielu innych pism, dotykają bezpośrednio najważniejszych kwestyi chwili i rozjaśniają poglądy jego na ruch bieżący w zakresie ekonomii, polityki i życia społecznego.

W końcu podaje p. Struve najistotniejszą treść, jakby filozoficzną kwintesencyą wszystkich poglądów społecznych Kraszewskiego. „Jest nią wymaganie *pracy*. W niéj Kraszewski widzi niezbędny warunek postępu i dobrobytu zarówno każdéj jednostki z osobna, jak i całego społeczeństwa. Tylko w pracy sumiennéj dla dobra powszechnego spoczywa, według niego, przyszłość arystokracyi rodowéj; przez nią tylko uszlachetnioną być może arystokracya pieniężna. Bez pracy najwyższa inteligencya, genialne nawet uzdolnienie, nie przynosi żadnéj korzyści nikomu; przeciwnie, staje się tylko źródłem wewnętrznego niezadowolenia i rozpaczy, zamiast popchnąć społeczność naprzód na drodze prawdy, piękna i dobra. Praca też tylko i sumienne pełnienie najskromniejszych obowiązków, ocalić może społeczność od groźnych zawikłań socyalnych i doprowadzić jéj składowe czynniki do należytéj równowagi. W tém też wymaganiu pracy wytrwałéj, sumiennéj, budującéj, znajduje Kraszewski najwyższy wyraz pojednania idealizmu z rzeczywistością. Praca przeistacza rzeczywistość według wymagań idealnych, przezwycięża złe, przewrotność, usuwa przeszkody do prawdziwego postępu, toruje drogę do doskonałości. Zachowując czerstwość ducha i ciała, podnosi i uszlachetnia człowieka, uwalnia go od samolubstwa, przyucza do poświęceń, ale i uszczęśliwia zarazem błogiém poczuciem godności osobistéj i spełnionych obowiązków obywatelskich. To też nie dziw, że Kraszewski, który te wymagania pracy urzeczywistnia w sposób jedyny, wyjątkowy, budzący podziw wszystkich, streszcza całą swoją filozofią życiową, nabytą przez półwiekowe doświadczenie i wszechstronną znajomość świata i ludzi, w tych słowach, pełnych mądrości i prawdy: „*Życie chorobą—lekarstwem praca.*"

Taką jest w ogólnym zarysie treść studyum p. Struvego. Sumienne zużytkowanie materyałów, pomiędzy któremi niemało było listów prywatnych Kraszewskiego; zebranie porozrzucanych tu i owdzie rysów w jeden wizerunek pełen wyrazistości i życia, łączność logiczna myśli: oto są zalety pracy, którą usiłowaliśmy wtłoczyć w zbyt ciasne ramy obecnego ustępu sprawozdawczego. Już nie zaletą, ale prawdziwą zasługą p. Struvego jest skupienie światła, rozstrzelonego w rozmaitych pismach Kraszewskiego na pojedyńcze promienie, w jedno ognisko, a przez to i spotęgowanie doniosłości jego moralnéj. Dopomogło do tego usposobienie samego autora, studyum niezmiernie sympatyzujące z przedmiotem, który się podjął opracować. Skutkiem tego wszystkiego otrzymaliśmy piękny duchowo-biograficzny obraz Kraszewskiego i zarazem wspaniały traktat filozoficzno-moralny.

Co do ujemnych stron rozprawy p. Struvego, można byłoby zarzucić mu powtarzanie pokilkakrotne jednéj i téjże saméj rzeczy, tudzież pewne niepoprawności języka, jak np.: używanie przyimka *o* do

połączenia wyrazu *zasada* z drugim rzeczownikiem (zasada *o bycie*, zasada *o nieśmiertelności* i t. p.), zbyt często i nie zawsze właściwe przymiotnikami *wewnętrzny* i *blizki*, używanie *dla* zamiast *do* i tym podobne usterki.

Część *Książki Jubileuszowéj*, obejmująca dziejopisarską działalność Kraszewskiego, składa się z trzech artykułów.

O czterotomowém dziele: *Wilno od początków jego do r. 1750*, napisał A. H. Kirkor, który sam wiele pracował nad dziejami i zabytkami litewskiéj stolicy. Kraszewskiego kosztowało to dzieło, jak sam wyznaje, dziesięć lat życia. P. Kirkor podziwia ogrom pracy młodego autora w przejrzeniu, wczytaniu się i porobieniu wypisów ze źródeł przed nim przez nikogo pewno nie tkniętych. Następnie podaje krótką treść całego dzieła, aby okazać, jak wielki jest zakres téj pracy. Niéma prawie kwestyi w życiu społeczném miasta, któréjby nie dotknął autor. W części historycznéj są to raczéj dzieje całego kraju, a nie samego tylko Wilna. We wszystkich działach autor celuje przed wielu innymi nietylko sumiennością, ale i bezstronnością swoją w kwestyach nawet najdrażliwszych. Nie zawahał się on ozdobić aureolą zasłużonéj wielkości tych bohatérów Litwy i Wilna, których inni, przez całe wieki, idąc za przykładem Długosza, starali się przyćmić. Jako wielka bohatérska postać występuje u niego sławny Witold, który właśnie u Długosza tak niékorzystnie wygląda. Oddaje również należną sprawiedliwość Zygmuntowi Augustowi, dobroczyńcy Wilna, tak ganionemu przez Orzechowskich, Warszewickich i innych. Nie należy do chwalców Zygmunta III, który nic nie zrobił dla Wilna, oprocz obdarzenia miasta kilku błahemi pamiątkami (ornatami, dzwonami, obrazami), „lecz ileż, za tych kilka dowodów łaski i pamięci, zostało po nim złego, z podżeganéj wojny religijnéj, ile ziarna niezgód na przyszłość!"

Są w *Historyi Wilna* usterki, nawet grube, lecz kto temu winien? Kraszewski najtroskliwiéj zużytkował wszelkie źródła, jakie mu były przystępne, a jeśli nie uniknął błędów, winni są ci, którzy, jak on sam powiada, w przedmowie do IV tomu, uśmiechali się, patrząc na pracę i zamiast dopomódz jéj, cieszyli się myślą: a! z naszemi materyałami, jakąż to napiszemy recenzyą!

Ciekawym rysem pamiętniczym owych lat jest to, co p. Kirkor opowiada o tajemnicy, w jakiéj archiwum kapitulne wileńskie trzymało swe skarby, z których jeden tylko Michał Homolicki, profesor, emeryt, w uniwersytecie wileńskim korzystał i onto właśnie ani rad, ani uwag, a tém mniéj materyałów Kraszewskiemu nie chciał udzielić, a dopiéro gdy wyszła *Historya Wilna*, zaczął ogłaszać swe spostrzeżenia w *Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych*.

Pierwszemu tomowi *Litwy* Kraszewskiego poświęcił kilka uwag p. Jan Karłowicz. Zdaniem jego, o ile *Wilno* dość samodzielnie i starannie, jak na powieściopisarza z powołania wydaje się być opracowa-

ném, o tyle *Litwa* nosi na sobie ślady lekkiego przemykania się po trudnościach i w ogóle jest kompilacyą Voigta i Narbuta, a głównie tego ostatniego. Autor niemało przyczynił się przez to do rozpowszechnienia mitycznych urojeń o wierze i mowie Litwinów, ale o tyle tylko zawinił w tym względzie, ile przyłożył ręki do spopularyzowania wywodów Narbuta. Jednakże, aby było inaczéj, trzebaby, aby sam go sprawdził krytycznie, to jest, ni mniéj, ni więcéj, aby został znakomitym językoznawcą, znakomitym ludoznawcą i znakomitym mitologiem, co oczywiście być nie mogło. Drobiazgowe, a fachowe badania nie leżały w naturze Kraszewskiego, a prac przygotowawczych, któreby mógł spożytkować, jeszcze nie było.

Z największém lekceważeniem traktuje p. Karłowicz rozdziały: *O wierze, kapłanach i religii litewskiéj*, w których autor bez żadnego protestu poszedł za Narbutem. Szczęściem, czy na nieszczęście dodaje, że „i my młodzi niedaleko poszliśmy naprzód i nie wiele mamy do pochwalenia się w tym kierunku, chyba może szczyptę wyrobienia krytycznego i metodologicznego, które nam postęp ogólny nauki mitologicznéj ułatwiło." Za najlepsze dziś jeszcze rozdziały pierwszego tomu *Litwy* p. Karłowicz uznaje te, które zawierają pieśni, przysłowia i podania litewskie, komentowane przez autora. Przekład pieśni i przysłów największą jest zaletą dzieła i dzisiaj dla nieznających języka litewskiego, bardzo użytecznym jest materyałem. Rozdział o podaniach dostarcza pewnéj ilości legend ludowych i kronikarskich; tu już trzeba ostrożnie i krytycznie słuchać autora, bo przyjmuje on zbyt często z dobrą wiarą to, co Stryjkowski i Narbut, nie oglądając się na pewność, lub niepewność źródła, za podania ludowe mieli.

Streszczając sąd swój o pierwszym tomie *Litwy*, p. Karłowicz powiada, że „praca ta Kraszewskiego, jak i wszystkie jego dzieła naukowe, nie tyle jest zgłębiającéj, ile uogólniającéj, popularyzującéj natury: skutek tedy musiała wywrzéć i wywarła nie tyle posuwający naukę naprzód, ile podniecający innych badaczy, a szczególnie ogół, do bliższego rzeczy poznania."

Panna Konstancya Skirmuntówna. energiczném piórem streściła drugi tom *Litwy*, oraz *Litwę za Witolda*. Znajomość i gorące umiłowanie przedmiotu, obok pięknéj formy, zaleca nader chlubnie tę pracę i zjednywa serdeczne uznanie czytelnika dla jéj autorki.

W obszernéj, wyczerpującéj, na gruntownych studyach źródeł opartéj rozprawie, p. Roman Plenkiewicz rozpatrzył działalność Kraszewskiego na polu krytyki literackiéj. Bogactwo i różnostronność przedmiotu nie pozwala nam choćby pobieżnie streścić téj poważnéj i nauczającéj pracy, obejmującéj cały zawód krytyczny jubilata, zaczynając od *Studyów literackich*, aż do ostatniéj pracy o *Życiu i dziełach Krasickiego*. P. Plenkiewicz rozważa zasady Kraszewskiego, jako pisarza, poglądy jego na literaturę, na powieść, dramat, dziennikarstwo,

krytykę, historyą, podania gminne, heraldyczne legendy, na filozofią dziejów, na język, na pojedyńczych pisarzy i t. d. Podnosi on wszystko to, co i dziś jeszcze jakąkolwiek wartość przedstawia, lub dostarcza charakterystycznych rysów do obrazu ówczesnego stanu społeczeństwa; ale nie pomija też prac, które przedstawiają tę ujemną stronę, że to, co ówcześnie mogło być dla historyi literatury nabytkiem, dziś przy nowo wykrytych faktach ma dla nas jedynie pamiątkowe znaczenie, jak np.: *Rys dziejów języka polskiego*. Bezstronnie wykazuje nieścisłość w niektórych sądach Kraszewskiego, prostuje zdania jego, (np.: zdanie, jakoby romantyzm wyemancypował narodowość i jakoby ta pod jego dopiéro osłoną weszła z prawem obywatelstwa do literatury), uzupełnia poglądy, wytyka sprzeczności i objaśnia je, skoro źródłem ich było odmienne stanowisko zapatrywania się, jak np.: w zdaniach o znaczeniu i wpływie dziennikarstwa, albo naturalny postęp myśli autora. Za przykład tego postępu może posłużyć pogląd Kraszewskiego na dzieje, wypowiedziany z powodu monografii Szajnochy: *O Bolesławie Chrobrym*, w porównaniu z artykułem *Nowych studyów literackich*, noszącym napis: *Trzy doby w historyi postępów umysłu ludzkiego*. Inne znowu sprzeczności i niedokładności tłómaczy p. Plenkiewicz pośpiechem, tą powszechnie zarzucaną Kraszewskiemu wadą.

Pan Plenkiewicz streszcza mniéj, lub więcéj obszernie studya Kraszewskiego nad Klonowiczem, Janem Kochanowskim, Sępem Szarzyńskim, Rejem (*Dziś i lat temu trzysta*), Naruszewiczem, Krasickim, Syrokomlą, a z obcych nad Dantem. W wielu punktach nie zgadza się z autorem, uzasadniając sąd swój w sposób, nakazujący przyznać sobie słuszność (np.: w obronie Naruszewicza), ale czasami robi zarzuty drobiazgowe i błahe, ujmując się np., za *Monomachią* Krasickiego i dziełem tegoż pisarza: *O rymotwórstwie i rymotwórcach*.

Nadmienia pokrótce o licznych recenzyach, ogłaszanych w *Tygodniku Petersburskim*, w *Gazecie Warszawskiéj* i wielu innych czasopismach.

Bezstronność, głębokie wniknięcie w istotę rzeczy, jasność i systematyczność wykładu, zalecają pracę p. Plenkiewicza. Ze zbioru uwag krytycznych, powyjmowanych z rozmaitych pism Kraszewskiego, a wzbogaconych objaśnieniami i sprostowaniami p. Plenkiewicza, dałoby się ułożyć wyborne *Vade mecum* dla każdego pisarza i czytelnika.

Podróżopisarski zawód Kraszewskiego znalazł sprawozdawcę w p. Antonim Bądzkiewiczu. Mówi on jednak tylko o podróżach w granicach kraju i... fantazyi. Dlaczego pominął podróże zagraniczne, nie wiemy.

Po rozklasyfikowaniu rozmaitych rodzajów podróży, stosownie do celów, które im przewodniczą; po oddaniu należnego hołdu Niemcewiczowi, rozpoczynającemu u nas epokę historycznych kraju opisów, tudzież Hoffmanowéj, która podobnie jak i Niemcewicz, usiłowała obudzić w czytelnikach zamiłowanie i znajomość swéj ziemi, sprawozdawca

poświęca wymowny ustęp ogólnéj charakterystyce Kraszewskiego, jako pisarza, człowieka i obywatela, podziwiając jego miłość tradycyi, solidarność z życiem powszechném, zdumiewającą wszechstronność, postępowość, rozrzucanie pomiędzy tłumy myśli wzniosłych, ogrzewanie i oświecanie klas mniéj oświeconych i t. p. Piękne to są wylewy uczucia, ale z rzeczą samą nie wiele mają związku. Jaka myśl się ukrywa w twierdzeniu p. Bądzkiewicza, że po kongresie wiedeńskim społeczność polska wyraźnie demokratyzować się zaczyna, że odtąd „zaczynamy należycie oceniać z jednéj strony popularyzowanie wszelkiéj wiedzy, rozlewanie jéj na masy, dotąd ciemne i bezwiedne, z drugiéj zaś zaczynamy odczuwać *artyzm* literacki, głębiéj pojęty, niż to miało miejsce u klasyków ówczesnych, a co najważniejsza dla nas: *mamy poczucie potrzeby dziejopisarstwa* (sic), *jako wyłącznego, odrębnego, a dotąd nieznanego* (sic) *kształtu utworów literackich;*" co to wszystko ma do podróżopisarstwa, prawdziwie nie rozumiemy. W ogóle, cały ten ustęp nie dodaje rozprawie, zkądinąd bardzo szacownéj, ani odrobiny wartości.

Kraszewski stworzył w literaturze naszéj podróż *artystyczną*. Sam to przyznaje w drugiém wydaniu *Wspomnień Polesia, Wołynia i Litwy*, że jemu należy pierwszeństwo w artystyczném odtwarzaniu obrazów kraju. We *Wspomnieniach Odessy, Jedyssanu i Budziaku* kreśli on wszystkie sposoby opisywania miejscowości i przemawia za tym, jakiego się sam trzymał, to jest swobody artystycznéj, poufałego zwierzania się czytelnikom ze wszelkich wrażeń i myśli, znajduje bowiem, że „dawne opisy wędrówek, były to tylko sprawozdania z kraju, miejsc, dziejów, ale wyjątkowo malowały człowieka, co je pisał." Obecnie zaś, podług Kraszewskiego, musi występować głównie indywidualność pisarza. „Lepiéj to, czy gorzéj, badać nie myślimy, nie chcemy jednak ze swego wieku, czasu i obyczajów jego wystąpić." Gdzieindziéj (w opisie *Białéj na Podlasiu*) mówi: „gdyby każdy znanych sobie okolic starał się poznać szczegółowo choćby nie bardzo odległą przeszłość, a zwłaszcza tę, któréj szczątki tkwią w niéj jeszcze; gdyby każdy opisywał dzieje takie, złożyłaby się wprędce zajmująca bardzo historya wewnętrznego życia kraju. Nie potrzebaby nic omijać, nic z niéj usuwać; wszystko bez wyboru, co tylko pod najrozmaitszemi względy zająć może, mieścić w ten wielki skład, z którego później surowszy nawet dziejopisarz czerpaćby musiał." W takito sposób Kraszewski określił zadanie podróżopisarstwa i własne swe stanowisko na tém polu twórczości literackiéj.

P. Bądzkiewicz rozpatruje w ważniejszych pismach Kraszewskiego rozmaite kierunki i żywioły jego podróżopisarstwa.

Właściwy żywioł podróżopisarski występuje dopiéro w *Obrazach z życia i podróży*. Są to obrazki miejscowości (Romanowa, Białéj na Podlasiu, Lublina i Świsłoczy), z przeważnym odcieniem autobiograficznym. Wyobraźnia, owładnięta osobistością pisarza, pochłaniając szczegóły życia człowieka, tak dla nas miłego, nie widzi wad artystycznych, do których sprawozdawca zalicza: szkicowanie pobieżne, cza-

sem zbyt powierzchowne, brak głębszéj analizy, przerwy w ciągu myśli lub powtarzanie jednéj myśli po dwakroć i niejednostajność stylu. „W ogólności, powiada p. Bądzkiewicz, cały ten niewielki cykl obrazków autobiograficznych, pomimo ujemnych stron, o których nadmieniliśmy wyżéj, stanowi tak piękną, pełną prostoty i wdzięku, i zamkniętą w sobie całość, tyle ma powabu w swojéj bezpretensyonalności, tyle żywiołów swojskich i wysoce kształcących, że powinien każdemu Polakowi być znanym, a zwłaszcza miéć jak największe rozpowszechnienie wśród młodzieży naszéj."

Szkice ogólne i charakterystyki osób i miejsc w *Obrazach z życia i podróży*, zawierają, według p. Bądzkiewicza, istotę przeobrażania i dojrzewania talentu Kraszewskiego i to co w nich było lepszego, wyższego pod względem estetycznym, autor zatrzymuje, a następnie rozwija i doskonali w późniejszéj dobie twórczości swojéj, tak, że ostatecznie w sztuce obrazowania miejscowości i charakteryzowania ludzi, dochodzi do artyzmu nieznanego w literaturze naszéj, usuwa zaś to, co się przeżyło, usuwa „zupełną swobodę formy" i pisanie rzeczy „bez wyboru." Do tych szkiców ogólnych w drugim tomie *Obrazów z życia i podróży*, należą takie ustępy jak: *Dorożkarze*, najsłabszy może ze wszystkich; *Faktor*, nie wiele lepszy; *Teatr na strychu*, szkic wielce karykaturalny; następnie szkic humorystyczny, ale także przesadny p. t.: *Maskarada* i najudatniejszy ustęp p. t.: *Akademik*, dający wcale dobre wyobrażenie o ówczesnych studentach.

Takiż sam sposób ogólnego szkicowania, chociaż z większym daleko talentem pisarskim, spotykamy we *Wspomnieniach Polesia*, *Wołynia i Litwy*. Należy tu mianowicie ustęp p. t.: *Osada sernicka*, obrazek p. t.: *Żydzi, karczmy i drogi* i szkic: *Włościanie*. Do właściwych zaś typów i charakterystyk p. Bądzkiewicz zalicza w tém dziele ustęp: *Gospodarstwo* i mistrzowski szkic: *Jarmark w Janówce*, a w *Obrazach z życia i podróży* ustępy: *Panowie*, *Chory na pana*, *Dorobkowicze*, wszyscy pod względem artyzmu literackiego; szkic p. t.: *Dubno w czasie kontraktów* i przedziwny ustęp p. t.: *Domyślni ludzie*.

Do ustępów opisowych z przeważnym żywiołem historycznym należą między innemi *Kodeń nad Bugiem*, *Prużana, Zamek i starostwo kobryńskie*, *Osowa* Felińskiego, *Stepań*, *Czartorysk*, *Pińsk*, *Krzemieniec*, *Żytomierz* (w *Wieczorach wołyńskich*) i najobszerniejsze studyum historyczne Odessy we *Wspomnieniach Odessy*, *Jedysjanu i Budżanu*. Notatki te historyczne nie jednéj są barwy i bardzo rozmaitéj wartości naukowéj. P. Bądzkiewicz pobieżnie przegląda ich treść, zatrzymując się nieco dłużéj nad ostatnią z prac wymienionych. Uważa on ją za niższą od poprzednio wydanych szkiców podróżnych; rzeczy krajowe bardzo tu lekko uwzględnione, a opisy przyrody w niewielu tylko ustępach mają wyższe, artystyczniejsze wykończenie.

Dziennik kilkomiesięcznéj podróży do wód druskiennickich odznacza się różnobarwną i mistrzowską charakterystyką gości, gromadzących się z różnych stron kraju u tego ogniska leczniczego. Humor,

trafna satyra, poważne spostrzeżenia, wszystko to łączy się w nader udatną całość.

W *Wieczorach wołyńskich* do sprawozdawcy należał właściwie tylko Żytomierz; ale p. Bądzkiewicz nie poprzestając na tém, zastanawia się nad całym utworem i robi uwagę, że satyra podnosi się tu do potęgi, jakiéj ani przedtém, ani potém nie spotykamy w pismach Kraszewskiego.

Do stałych cech podróżniczych opisów Kraszewskiego, p. Bądzkiewicz zalicza słusznie pilne zwracanie uwagi i ocenianie zabytków sztuki, dowodzące wielkiego w niéj zamiłowania i znawstwa.

Ze wszystkich tych żywiołów, napotykanych w podróżach Kraszewskiego, sztuka malowania krajobrazów rodzinnych bez wątpienia najwyższéj jest wartości. Sztuka ta, równie jak inne strony jego talentu, stopniowo wzrasta i doskonali się. W obrazach pierwotnych widzimy ogólne, grube zarysy przyrody; we *Wspomnieniach Polesia*, *Wołynia i Litwy*, nabierają one wyrazistości, barwy i wdzięku, ale cała olbrzymia skala sztuki obrazowania przyrody, rozwinęła się dopiéro w licznych powieściach jego. Przytém p. Bądzkiewicz robi trafną uwagę, że we wszystkich utworach podróżniczych naszego autora, największém mistrzowstem malowania krajobrazów nacechowane są te głównie ustępy, w których szczęśliwie się kojarzy żywioł właściwie opisowy z uczuciem, z wrażeniem, jakie on w danéj chwili na autora wywiera.

Był także Kraszewski i „pątnikiem w XIX wieku." Dwa razy odbył on podróż do Częstochowy, a owocem téj pobożnéj pielgrzymki był znakomity *Kordecki* jego. Daje to powód panu Bądzkiewiczowi do zakończenia rozprawy swojéj pięknym, religijnego nastroju ustępem.

W dziale archeologii na czele spotykamy artykuł p. Wojciecha Gersona p. n.: *Sztuki piękne w dziełach J. I. Kraszewskiego.*

Cztery dzieła Kraszewskiego: *Sztuka u Słowian*, *Ikonotheka*, *Kartki z podróży* i *Sfinks*, uważa p. Gerson za wykład o sztukach plastycznych, stanowiący całość jednolitą pod względem założeń duchowych. Porządek chronologiczny zastąpionym został systematycznym, albowiem *Sztuka u Słowian* stanowi właściwie wstęp do *Ikonotheki*, a *Sfinks* jest niby streszczeniem wrażeń i pojęć estetycznych, zawartych w *Kartkach z podróży.*

Że *Sfinks* poprzedził *Kartki z podróży* o jaki dziesiątek lat, dowodzi to tylko, „że autor tych dzieł obudwu, wprzód nim pierwsze z nich na świat wydał, był estetycznie już tak wyrobiony i z historyą sztuki tak głęboko obeznany, że podróż stała się tylko sprawdzeniem na miejscu tego, co już dawno znał teoretycznie, utwierdzeniem pojęć, mocą talentu przeczutych, lub zasad, których zręby religia, nauka,

historya i poezya, dawno już w duszy i sercu autora były położyły, a które ogrzane gorącą miłością piękna, w słowo się zamieniły."

P. Gerson zaczyna od rozbioru dzieła: *Sztuka u Słowian, szczególnie w Polsce i Litwie przedchrześciańskiéj.* Punkt wyjścia stanowi tu myśl, że „historya sztuki jest tylko jedną stronnicą powszechnych dziejów myśli ludzkiéj;" estetyczny zaś pierwiastek sztuki tych epok przedhistorycznych, mamy tu podniesiony i powołany do świadczenia o sobie twierdzeniem, że „gdzie tylko jest myśl odtworzenia piękna pojętego w duszy, już jest zaród sztuki." Największą atoli wagę przywiązuje p. Gerson do zasady, że „cała sztuka rodzi się z myśli, ducha i na nich spoczywa. Duch ten, gdy ma się cieleśnie objawić, zależy i od usposobienia indywidualnego artysty, przez którego dłoń na świat wychodzi, i od charakteru narodowości, któréj on jest cząstką, i od ducha czasu, wśród którego żyć mu dano." Zasada ta jest prawie identyczną z zasadą znakomitego filozofa sztuki Taine'a, ogłoszoną w pięć lat po wyjściu *Sztuki u Słowian.*

P. Gerson przebiega pokrótce treść *Sztuki u Słowian.* Pierwszy raz w języku polskim dzieło to głosiło takie zdania np. jak to: że *mogiła* usypana, jako pomnik, jest dziełem sztuki na równi z piramidą, ponieważ nie powstała z jakiéjś potrzeby, ale w celu zaspokojenia popędu duchowego. Pierwszy też raz o liniach ornamentacyjnych na starożytnych wyrobach kamiennych, bronzowych i żelaznych tak szerokie i wyczerpujące, jak tu, wypowiedziano wywody. Poczynając wyszukiwać śladów budownictwa w izbach grobowych z głazów i belek, Kraszewski nie pomija i trwalszych pomników: jak kamienne groty *Uryeza* i *Polanieckich bołdów*, aby wrócić znowu do gontyn i opisanych obszernie przez kronikarzów ościennych, świątyń Słowian nadbałtyckich: Pomorzan, Lutyków i Polan. Dowiódłszy, iż nie brakowało kamiennych i murowanych świątyń na téj starą cywilizacyą kwitnącéj ziemi, przechodzi do badania, jakiemi mogły być zamczyska, dwory i chaty w owych wiekach odległych.

Rzeźba stanowi dział osobny. Popielnice i wykopaliska, sprzęty, oręż i ozdoby strojów, stanowią dalsze grupy rozbieranych przedmiotów. Badania te doprowadzają Kraszewskiego do wniosku, iż co do utworów sztuki, Słowianin stał na równi z otaczającemi go ludami współczesnemi. Ogólném zaś piętnem téj epoki sztuki słowiańskiéj, zwłaszcza w przedstawieniach bóstw, jest obok wyobraźni, pełnéj bogactwa a skromnéj i trzeźwéj, wyraz potęgi i siły raczéj, niż wdzięku.

P. Gerson ubolewa nad nieukończeniem *Ikonotheki*, zbioru notat o sztuce i artystach, bądź Polakach, bądź dla Polski pracujących cudzoziemcach. Miała to być monografia zupełna, mieszcząca w sobie wszystko, co nie tylko zewnętrznego pozoru Polski dotyka, ale co i w jéj wewnętrzne sięga życie. Już w pierwszych dwu niedokończonych literach poznajemy autora, przeniknionego we wszystkiém, co czyni, wyższemi zasadami piękna i prawdy duchowéj. Przytoczywszy dla przykładu sąd Kraszewskiego o Bacciarellim i Aignerze, p. Ger-

son dodaje: „idea, duch, uczucie szczere, niekłamane, prawda w życiu i sztuce: oto zasady, na których niewzruszenie stoi Kraszewski. Prostą szczerotę bogdaj dzikich lub nawpół ucywilizowanych ukochać jest w stanie, do serca przycisnąć gotów; wypieszczoną zaś obłudą światową brzydzi się, rzemieślnicze naśladownictwo, pokrywające się płaszczem artyzmu, piętnuje cechą, na jaką zasługuje."

W kilkunastu wierszach *Sfinksa* zawarte jest wszystko, co Kraszewski o stosunku artysty do świata wypowiedzieć pragnął. „*Sfinks*, mówi on, to artysta. Głowa ludzka, to duch wielki, to cząstka bóstwa w piersi jego; ciało bydlęcia, to zwierzęcéj natury więzy, co was pętają. Rozwite skrzydła, to zapał, który przecież nie uniesie kamiennego potworu od ziemi obrzydłéj. Kamienny, żelazny, nigdy żywy; to artysta, którego nie stworzyła natura, ale potrzeby cywilizacyi, ale ręka i umysł ludzki! dlatego zawsze w świecie nie dla świata, pogodzić się z nim nie umié i dobrze mu być nie może. Artysta potrzebuje podniesionéj cywilizacyi, szczęśliwego czasu i kraju, a u nas! u nas!..." P. Gerson komentuje to „u nas" bardzo wymownie.

Oprócz tego, sprawozdawca upatruje w *Sfinksie* całą teoryą sztuki, jako idei, wcielającéj się za pośrednictwem wybranych a obdarzonych zdolnościami szczególnemi jednostek. Do wszystkich wybornych pojęć o sztuce i zasad wyrażonych w téj znakomitéj powieści, dołączył jeszcze autor spostrzeżenia, dotyczące badania arcydzieł sztuki metodą powolnego a głębokiego wnikania w to, co jest istotnie głębokie a płytkim poglądem ująć się nie da.

Po stoczeniu lekkiéj utarczki z autorem *Sfinksa* ze stanowiska społecznego, p. Gerson przyznaje, że bezsporną a wielką téj książki wartość stanowią teoretyczne o sztuce w ogólności, a o malarstwie w szczególności pojęcia, obficie rozrzucone po całém dziele. Wypisuje on z nich najważniejsze i układa w całość mniéj więcéj systematyczną.

Sfinks był „wielkim dzwonem, nawołującym do czci piękna plastycznego," ale na tém nie poprzestał autor. Uzupełnieniem téj powieści są *Kartki z podróży*, stanowiące dzieje sztuki, poprzedzone opisem historycznym każdéj miejscowości ważniejszéj, każdego ogniska, które w wiekach odrodzenia ważniejszy jakiś wpływ na rozwój plastyki wywarło.

Kompetentny, bezstronny, a współczuciem serdecznem tchnący sąd swój, zamyka p. Gerson słowami: „od młodości aż do wieku sędziwego wytrwał ten rycerz ducha na stanowisku, na straży piękna i dobra, zawsze okiem jego zapatrzony w idee i ideały; trzyma on na wodzy umysły i serca narodu swego, trzyma ukochaniem samém wszystkiego, co podniosłe, co oczyszcza, co oświeca i ogrzewa."

Ś. p. K. Wł. Wójcicki podniósł zasługę Kraszewskiego, jako archeologa, w króciutkim artykuliku p. n.: *Projekt encyklopedyi starożytności polskich J. I. Kraszewskiego.* Zatrzymywać się nad temi

sympatycznemi kartkami nie widzimy potrzeby. Jestto sparafrazowanie rzeczy, o któréj mowa.

Zawód publicystyczny Kraszewskiego bardzo skąpo i niedokładnie odwzorowywują artykuły pp. Spasowicza i Sulickiego.

P. Włodzimierz Spasowicz poświęcił kilka kart wydawnictwu wileńskiego *Athenaeum* i słusznie nazwał artykuł swój: *Ustępem z życia J. I. Kraszewskiego od roku 1841 do 1852.*

Po wykazaniu trudności, jakie towarzyszyły w owym czasie każdemu przedsięwzięciu literackiemu, p. Spasowicz, jak się tego spodziewać należało, zarzuca redakcyi *Athenaeum* stanowisko arcyprawowierne, prawie kościelne, zaściankową wyłączność, wyrozumowane unikanie wszelkiéj obczyzny i odpowiednie téj dążności wyegzaltowanie uczucia własnéj odrębności narodowéj, z wiarą w niewyczerpane zasoby, ukryte wyłącznie w tém jedyném źródle. Przebiegając następnie wszystkie działy wydawnictwa, pochwala, chociaż nie bez licznych zastrzeżeń, wprowadzenie słowiańszczyzny do pisma (w przekładach Marlińskiego, Lermontowa, Gogola i kilkad wielko-rossyjskich według przeróbek pośledniejszych pisarzy); nieśmiałe, ale gorące podejmowanie sprawy kmiecéj (np.: w rozprawie A. E. z Królestwa, a późniéj w całym szeregu powieściowych obrazków, jak: *Sawka* samego redaktora, *Dzieciobójca*, Pługa, w *Karpackich góralach*, Korzeniowskiego, w ustępach z *Parafiańszczyzny*, Leszka Borkowskiego, w przekładzie dzieła Czecha Zapa: *O Galicyi* i t. d.). Zaznacza także uwzględnienie filozofii (w rozprawach Szczeniowskiego, w streszczaniu Hegla), obszerność działu przeznaczonego dla sztuki; chwali utwory mieszanego rodzaju, stawiając przed oczy walkę upostaciowanych idei filozoficznych w alegorycznych obrazach (*Frenolesty i Frenofagiusz*, Sztyrmera; *Sen w Podhorcach*, X. Chołoniewskiego); z wielkiém uznaniem odzywa się o walce *Athenaeum* z koteryą *Tygodnika Petersburskiego*, nie zaprzeczając bynajmniéj wielkiego talentu obrazowania przeszłości Rzewuskiemu; podnosi zasługę Kraszewskiego w drukowaniu surowych materyałów historycznych niepośledniéj wartości, w wyprowadzeniu na szerszą widownię Syrokomli i t. d. W taki sposób towarzyszy p. Spasowicz redaktorowi *Athenaeum* aż do chwili, kiedy ten ostatni, zrażony długoletnim, a daremnym mozołem, zamykając swe wydawnictwo w r. 1852, pożegnał czytelników słowami: „Są koleje nieprzebłagane, losy nieprzemodlone — wola Boża, wola Boża i koniec. Pismo, które żyć nie może o swych siłach, już żyć nie potrzebuje. Smutny to wyrok, ale cóż robić—tak jest."

Poświęciwszy kilka słów gorącego uznania olbrzymowi, ktory, choć zniechęcony, niebawem „potoczył znów ciężki kamień pod górę;" który, jako „rozbitek, po chwili znów klecił tratwę i puszczał się na wielkie wody," p. Spasowicz streszcza swój sąd o *Athenaeum*, przepi-

sując prawie dosłownie zwięzły, a ściśle, aż do surowości sprawiedliwy wyrok, podpisany przez samegoż wydawcę w Zamknięciu: „*Athenaeum* wywiodło na pole pisarskie wielu a wielu ludzi. Wieluśmy zaprosili i niepotrzebnych tu gości, ale zasługa przechodzi winę. Każda niemal myśl bieżąca, każde zaprzątnienie, każdy kierunek odbiły się w tym zbiorku słabiéj albo mocniéj, nie namiętnie i fałszywie, ale poważnie i naukowo, wstrzemięźliwie.

Zwrot szczególny ku literaturze i sztuce winniśmy potrzebie przeciwważenia wpływu literatury francuzkiéj i niemieckiéj, ważnéj drugiéj potrzebie rozwinięcia smaku artystycznego. Naukę musieliśmy stroić, ubierać i maskować niemal, by ją przypuszczano, bo nauki, jak pracy nie miłujemy wcale." Do tego zaś dodaje sam sprawozdawca: „W zbiorku maluje się, jak w zwierciadle, obraz naszego piśmiennictwa krajowego, pochwycony w pewnéj chwili, która minęła już bez powrotu. Z całego *Athenaeum* wyziera jeszcze wyraziście wielka, wszystkiemu współczująca, a przez to niesłychanie sympatyczna, ujmująca prostotą i skromnością postać samegoż wydawcy." Kończy zaś p. Spasowicz zajmującą swoję rozprawę wymownemi następującemi słowy: „Ponieważ Kraszewski jest człowiekiem oświaty wogóle, ale nie człowiekiem jakiegokolwiekbądź stronnictwa, więc ani w tym wczesnym okresie jego działalności, ani późniéj sądzić go niepodobna z kolorów i godeł na wywieszonym przezeń sztandarze. Wogóle o tych sztandarach rzec można toż samo, co o każdéj religii: poznasz ją z owoców, ocenisz w zastosowaniu. Sztandar był wypróbowany, stary; pod nim kupiła się wiara od wieków, a stały na nim napisane dwie rzeczy: *religia* (i to pewna określona religia, a nie podmiotowa religijność), i to, co nazywamy *swojskością;* ale pod tym sztandarem, pod którymby stanąć nie zawahali się i obskuranci, znajdowała miejsce i użytek wszelka myśl, nawet bardzo daleko w nowatorstwie sięgająca, byle wypowiedziana z godnością, byle oddana nie jaskrawo, lecz w formie poważnéj dyskusyi. Same kolory sztandaru i godła pasowały do chwili, odpowiadały usposobieniu społeczeństwa, wyrażały ówczesny stan sumienia narodowego. Kraszewski tak wtedy, jako i potém, był w tym względzie wysoce narodowym człowiekiem i zasługiwał na to, by o nim powiedziano: *On i sumienie publiczne—to jedno.*

P. Edward Sulicki skreślił kilka kart o działalności Kraszewskiego, jako redaktora *Gazety Polskiéj.* Sam będąc od dawien dawna współpracownikiem rzeczonéj gazety, p. Sulicki mógł lepiéj niż kto inny świadczyć o zasługach położonych przez Kraszewskiego na polu tego wydawnictwa. Twierdzi on, że ś. p. Edward Dembowski, jako całkiem bezinteresowny redaktor *Przeglądu Naukowego,* mający wyłącznie zdrowy postęp społeczny na celu, jedynym był poprzednikiem naszego Jubilata w tym względzie. Zdanie to, cokolwiek zaśmiałe, łago-

dzi sprawozdawca stosownem omówieniem. Następnie podnosi on niezmierną pracowitość redaktora, szczęśliwy i umiejętny wybór współpracowników, bezinteresowność, zasady obywatelskie, charakter jego jako moralisty i t. d. Liczne wyjątki z artykułów wstępnych zdobią nader udatnie rozprawę p. Sulickiego, owianą wielką serdecznością, przypominającą zapał starego wiarusa na wspomnienie sławnego wodza. Zasługi Kraszewskiego, jako redaktora *Gazety Polskiéj*, zanadto są jeszcze w świeżéj wszystkich pamięci, ażebyśmy je przypominać tu mieli.

Zasłużony historyk J. K. Plebański wzbogacił *Książkę Jubileuszową* niezmiernie cenną rozprawą: *O pamiętnikach historycznych*, wydanych przez J. I. Kraszewskiego. Zagaja on ją pięknym, prawdziwie wzniosłym wstępem o znaczeniu historyi, jako nauki śledzącéj prawideł organicznego rozwoju faktów, „wznoszącéj badanie przeszłości na stanowisko namaszczonego kapłaństwa, które, odsłaniając zdrożności w ich groźnych zawsze skutkach, prostuje ścieżki teraźniejszości," i zestawia pojęcie to ze stanowiskiem polityka, według którego „inkwizytor podnosi bicz politycznych doktryn chwili i karci nim bez miłosierdzia przeszłość, przez co może wstrząsnąć umysłami, może podrażnić namiętności, może powiększyć zastęp już i tak nadto wielki krótkowidzących polityków; ale nie wyjaśni dokładnie przyczyn teraźniejszego politycznego położenia, o co właśnie historykowi przeważnie chodzić powinno, ponieważ na tém polega cywilizacyjne znaczenie nauk historycznych."

Autor wskazuje daléj przyczyny upadku u nas dziejopisarstwa w ostatnich czasach, a następnie przechodzi do znakomitych zasług Kraszewskiego w gałęzi literatury historyczno-pamiętniczéj, dzieląc prace jego w nagromadzeniu materyału historycznego na cztery klasy, mianowicie:

I. Różnorodne dokumenta, listy, oraz dyaryusze familijne w języku polskim, łacińskim, ruskim, w rozmaitych epokach pisane, zawierające wiadomości urzędowe lub prywatne, pojedyńcze wypadki historyczne objaśniające, i po czasopismach, bez żadnego związku od czasu do czasu drukowane. Tu przedewszystkiém należą regestra materyałów historycznych w *Athenaeum* ogłaszane.

II. Listy wpływowych osób do jednéj sfery wypadków ściśle ograniczonych się odnoszące. Tu zaliczone są np.: *Notatki Waleryana Puchalskiego* z lat 1696 i 1718.

III. Opowiadania historyczne, przemawiające przeważnie usty i świadectwami samych uczestników przedstawionego wypadku, gdzie Kraszewski tylko dla utrzymania koniecznego związku wplata niektóre

swojéj roboty ogniwa, z innego materyału źródłowego sumiennie wyrobione. Należą tu np.: *Starościna Bełzka, Dyaryusz podróży Stanisława Augusta króla na Ukrainę* w r. 1787, według opisu Naruszewicza; *Podróż króla Stanisława Augusta do Kaniowa*, podług listów *Kazimierza Konstantego hr. de Broehl Platera* i uzupełniające to dziełko listy króla do Piusa Kicińskiego.

IV. Pamiętniki, t. j. dzienniki i relacye współczesnych wypadków, pisane w formie obszernéj opowieści współczesnéj pisarzowi epoki, z szerszym poglądem na wypadki powszechne, prowincyonalne, familijne, niemniéj i na przygody osobiste. Do téj klasy należą np.: *Pamiętnik Hansa Szwejnichena do dziejów Polski i Szlązka* (1552—1602 r.); *Podróż i poselstwo polskie do Turcyi; Podróż Erazma Otwinowskiego* 1557 r.; *Jędrzeja Taranowskiego* 1569 r. i *Poselstwo Piotra Zborowskiego* 1568 r.; *Pamiętnik Poczobuta Odlanickiego* (1658—1684 r.). Część *Pamiętników* młodego *St. Aug. Poniatowskiego*, jeszcze przed wstąpieniem na tron pisanych; *Pamiętnik Jana Lipskiego, generała brygady w-kopolskiéj kawaleryi narodowéj z lat 1775—1778; Polska w r. 1793, według podróży Fryderyka Szulca; Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego; Pamiętnik Seweryna Bukara;* wyjątki z *Pamiętników Chrząszczewskiego* i *Anonyma Podolanina;* opisy i memoryały *Kościuszki, ks. Poniatowskiego, gen. Zajączka, Zenowicza, Dziewanowskiego, Dąbrowskiego;* nareszcie *Pamiętnik szefa Józefa Drzewieckiego*.

Większą część tych materyałów, autor rozprawy streszcza, ocenia i charakteryzuje. Najobszerniéj traktuje właściwe pamiętniki. Oczywiście niepodobna jest nam pobieżnie nawet dotknąć wszystkich skarbów nauki i krytyki historycznéj, roztoczonych tu przez p. Plebańskiego. Poprzestajemy na zwróceniu uwagi czytelników na takie np. ustępy, jak wyjaśnienie polityki Polski względem Wschodu, genezy *liberum veto*, widoków *Familii*, stanu społeczeństwa w epoce sejmu czteroletniego i t. p. Wszędzie zaś Kraszewskiemu, jako wydawcy, przyznaje p. Plebański rzadką staranność, dokładność i pracowitość.

W artykule p. n.: *Kartka z niedawnéj przeszłości*, p. Aleksander Kraushar opowiada historyą chwili, która uprzedziła wprowadzenie w czyn prawnéj i społecznéj emancypacyi żydów polskich, a zarazem uwydatnia ważną zasługę, położoną przez Kraszewskiego w téj sprawie. Myślą jego, jako publicysty, wspólną mu z właścicielem *Gazety Polskiéj* Kronenbergiem, było: „przejednać wszystkich i połączyć do wspólnéj pracy około dobra ogólnego.” Jako powieściopisarz, Kraszewski pierwszy zaczął malować żydów z nadzwyczajną wiernością charakterystyki, pomimo to bez szczypty owéj ironii lub żółci, jaką w postaciach żydów u innych pisarzy przed laty napotykamy. Stosuje

się to i do typów dodatnich, postępowych, jak Jonasz Palmer w *Sfinksie*, artysta i marzyciel, lub Jakób, ideał obywatela kraju, i do zacofanych, zacząwszy od małomiasteczkowego arendarza, aż do uczonego talmudysty, najbardziéj zbliżonego do typu, jaki nam przekazała tradycya.

Dobiegliśmy do kresu sprawozdania naszego. Ujawniło ono zarówno dodatnie jak i ujemne strony *Książki Jubileuszowéj*. Te ostatnie na nieszczęście nieuniknione, a zresztą i przewidziane były przez komitet redakcyjny. W każdym razie książka, obejmująca 50-cio letnią działalność tak wszechstronnego, płodnego i wpływowego pisarza jak Kraszewski, książka, na którą złożyło się 28 prac źródłowych, pozostanie nazawsze jednym z cenniejszych klejnotów w skarbcu historyi piśmiennictwa naszego.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA *)

Z żywém zaciekawieniem wyglądaliśmy w tym roku wystawy rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich. Od miesiąca już dzienniki zajmowały nią publiczność, głosiły niesłychaną dotąd liczbę 7280 dzieł sztuki, przyjętych do salonu. Kto wié, myśleliśmy, czy wpośród tylu pracowników nie zabłyśnie jakiś nieznany geniusz, któremu daném będzie poprowadzić sztukę na nowe tory? czyli nowy jakiś Herkules nie powali maczugą Hydry naturalizmu, co cieniem czarnych skrzydeł usiłuje przyćmić promień ideału przed okiem artystów dzisiejszych? Przyznajemy jednak, że głównym powodem zaciekawienia naszego była sławna *Bitwa pod Grunwaldem*. Zobaczymy nowe arcydzieło Matejki! mówiliśmy do siebie, będziemy świadkami nowych tryumfów słynnego mistrza, tak świetnie przedstawiającego naród nasz na polu sztuki, odczujemy drgnienie w sercu Francuzów, na widok upokorzonego Zakonu, z którego pnia miała wyjść tak złowroga dla nich potęga.

W dniu otwarcia wystawy stanęliśmy wreszcie przed obrazem i z uczuciem poszanowania skłoniliśmy głowę przed genialném dziełem, w którém mistrz cudem pędzla odtworzył wspaniałą kartę dziejów naszych, ukazał nam w całym blasku chwały, w pełnym szale tryumfu, drogie nam postacie Witolda, Zyndrama, Skarbka, Zawiszy i tylu innych bohaterów, którzy pogromem Zakonu przygotowali dla Polski przyszłą zorzę epoki Zygmuntowskiéj.

Nie będziemy tu opisywać obrazu znanego całéj Warszawie, tylokrotnie już ocenianego piórem krytyków naszych, powiemy tylko, że jeśli ten pyszny utwór nie zawiódł oczekiwania naszego, w smutny zato sposób zawiodła nas obojętność, z jaką zrazu przyjęty został. Składamy ją szczególniéj na karb nieznajomości przedmiotu, a poniekąd na karb zawiści dla cudzoziemca, który poważył się wystąpić z dziełem olbrzymiego znaczenia w sztuce.

*) Dokończenie—patrz zeszyt za czerwiec r. b.

Pierwszą bombę rzucił Figaro. „Malarz austryacki, mówi sprawozdawca, wystawił zapasy Polaków z zakonem Teutońskim. Czytamy w katalogu, że 180,000 ludzi spotkało się w téj walnéj bitwie; malarz wystawił 179,000, na płótnie zagmatwaném i zapchaném, podobniejszém do tapicerskiéj roboty, stoczonéj przez robactwo, niźli do malowidła. Niech sobie Kraków oblizuje na to paluszki, w Paryżu sztukato spóźniona o jakie lat pięćdziesiąt."

Lat pięćdziesiąt byłażby to nagana? Pięćdziesiąt lat temu paryzka wystawa szczyciła się arcydziełami Gericault'a Leopolda Roberta, Ary Scheffera, Pawła Delacroix, owych tytanów, obok których zająć miejsce byłoby raczéj chlubą, a nie upokorzeniem!

Na hasło Figara, rozpoczął się ogień z dział rozmaitego kalibru. „Wielka machina, bez wielkiéj wartości artystycznéj!" wołają jedni; „jajecznica!" mówią drudzy z pogardą; „straszliwa mięszanina Polaków, Litwinów, Czechów i rycerzy Teutońskich!" odzywają się inni; „wszystko to grozi *oftalmią*, nie patrzmy długo na ten obraz; jaskrawe rzuty światła rozdzierają nam oczy, gotowe nas oślepić!"

Inne zarzuty stokroć jeszcze niedorzeczniejsze. Krytyk jeden gorszy się, że poeta wydobywa przedmiot z głębi XV wieku. Tłómaczy to okolicznością, że Polska nie miała nigdy znakomitego malarza, a zatém może sięgać daleko w dziejową przeszłość. A dlaczegóż, pytamy, Francya, która miała tylu znakomitych malarzy, pozwala artystom swoim wydobywać z przeszłości Joannę d'Arc, współczesną naszego Jagiełły, lub wywłóczyć z pomroku dziejowego zbrodnie Klodoweuszów i Chilperyków, jak to widzimy w tegorocznym salonie. Odpowiemy tu słowy Getego: „wszystkie idee były już obmyślone, o to idzie jedynie, aby *odmyślić* je na nowo."

Ale posłuchajmy, co krytyk mówi daléj: „Matejko pokazuje nam bitwę pod Grunwaldem, między zakonem Krzyżowym, a Polakami. Wyznaję, że nie myślę badać, czy się rzeczy w ten sposób odbyły? przy kim wina, przy Polakach, czy przy rycerzach Teutońskich? Mój przyjaciel, który badał historyą, zapewnia mnie, że Krzyżacy zawinili; ale mniejsza o to..." i t. d.

Dziwna zaprawdę naiwność! nie każdy tak śmiało przyzna się do nieuctwa! Godziż się Francuzom nie wiedzieć nic o przeszłości tego olbrzymiego polipa, który wyrosły z serca teutońskiego zakonu, wyciągnął ramiona tak szeroko, że zagarnął niemi Metz i Strasburg?

Łaskawszy znów krytyk zarzuca najniesłuszniéj brak ruchu na obrazie; widzi tylko sztywno wyciągnięte ręce i nogi. „Draperya, mówi on, tak sztucznie ułożona, iżby jéj najsilniejszy huragan nie poruszył; wszystkie osoby skamieniałe, jak żona Lota. Ale jeśli kompozycya rozłamana na tysiące kawałków, trzeba wyznać, że te kawałki bardzo dobre. Ileżto starania w szczegółach, jak sumienna obserwacya. Zapominamy prawie o wadach, wobec wysokich zalet!"

Rzecz prosta, że krytyk nie wié nic o historycznym wietrze, jaki wiał w dzień Grunwaldu; ale pytamy, jakim sposobem nie odgadł go

z tych rozwianych płaszczów wielkiego mistrza i księcia Szczecińskiego, którymby raczéj zarzucić można zbytek, niż niedostatek ruchu.

Jeśli takie niedorzeczności czytamy po dziennikach, jakież dopiéro zdania potrącają nam ucho wobec obrazu? Jedno tylko z nich powtórzymy.

„To walka Wenecyan z Polakami, rzekł ktoś do sąsiadki, a ten w pośrodku, to papież!" dodał wskazując na Witolda.

Ktokolwiek śledzi ruch dziennikarski, ten wié, że prócz małych wyjątków, każdy sprawozdawca musi bądźcobądź stać się echem organu swego, że pod naciskiem téj nowéj tyranii, musi wyrzec się własnych przekonań i palić kadzidła cudzym bożyszczom. Konwencyonalizm ten doszedł dziś tak daleko, że nie otworzywszy nawet dziennika znanéj barwy, wiemy naprzód, co powié o tym, lub owym obrazie. Pisma konserwatywne sypią gradem kamieni na wszelki nowy objaw, wołają rozpaczliwie, że sztuka upada, gdyż zerwała z dawną rutyną; organa przeciwne potępiają znów wszystko, co przypomina jakąśkolwiek tradycyą i przyklaskują wszelkim wybrykom wyobraźni, skoro te burzą dawne ideały. Formuły doktrynerskie stanowią, rzec można, jedyną modłę, do któréj krytycy naciągają dziś swoje sądy. Otóż utwór Matejki z saméj natury swojéj poplątał wszystkie pojęcia. Konserwatyści nie śmieją wyrażać się przychylnie o nim, bo jakże tu pochwalać walkę przeciw ostatnim przedstawicielom krucyat, których płaszcze i proporce oznaczone krzyżem; walkę, w któréj obok neofitów litewskich, szermierzy tak zawzięcie Jan Zyska. Wyznawcy zasad przeciwnych muszą ze swéj strony potępić obraz odtwarzający wstrętne im średnie wieki, w których widzą jedynie barbarzyństwo i siłę pięści, panującą nad prawem. Dodajmy do tego wspomnioną wyżéj zawiść i zupełną nieznajomość przedmiotu, a pojmiemy, że obraz Matejki nie mógł być łatwo ocenionym.

Zbyt krótki opis w katalogu nie mógł téż rozwikłać rzeczy, przeciwnie, do reszty ją zagmatwał. „Władysław Jagiełło z bratem *Hitoldem*, księciem litewskim, mówi katalog, zebrali stotysięczną armią, złożoną z Litwinów, Rusinów, Czechów i Tatarów." O Polakach niéma nawet wzmianki, Tatarzy tymczasem grają w opisie takąż rolę, jak Litwini i Rusini. Byli oni tam niewątpliwie, lecz nie jako reprezentanci plemienia swego, raczéj jako najemnicy, lub jeńcy. Dziwne pojęcie będzie miał cudzoziemiec o bitwie, w któréj obok innych wymienieni Tatarzy, jako osobny naród, walczący z Krzyżakami.

Lekkomyślne sądy pseudo-krytyków, którzy w ślad za Figarem jęli na wyścigi szydzić z wielkiego dzieła, ubodły do żywego samychże Francuzów. Silnie wystąpił przeciw nim Henryk Cochin, sprawozdawca poważnego przeglądu: *Correspondent*. „Pragnąłbym, mówi on, więcéj poszanowania, więcéj sprawiedliwości, dla znakomitego obrazu Matejki: *Bitwy pod Grunwaldem*. Jestto przedstawienie wielkiego faktu historycznego, chlubnego dla narodu, który zawsze w nas budził najżywsze współczucie."

Tu przypomina krytyk, jak przed dwoma laty był właśnie w Krakowie, w chwili, kiedy poraz pierwszy wystawiono piękny obraz na widok publiczny; jak na wszystkich gmachach i rogach ulic widział porozlepiane afisze, z oznajmieniem tak ważnego wypadku; jak tłumy Krakowian wszelkich stanów, obległy gmach ratuszowy, aby napaść oczy i nakarmić serce widokiem wspaniałego dzieła. „Musi być, dodaje on, coś wielkiego w obrazie, który tak odpowiada uczuciom całego ludu. Iluż, pyta, z malarzy naszych mogłoby poszczycić się tak wielkiém powodzeniem?"

W końcu p. Cochin określa postać samego artysty. „Mały, śniady, pochylony, mówi on, z wielką brodą i okiem błyszczącém zpod okularów, przedstawia się odrazu, jako niepospolity człowiek. Znam ja, dodaje, wszystkie jego wady i niedostatki, mimo to w dziele jego uderza mnie ta rzutność, ta potęga, świadczące o czémś więcéj niż o prostym talencie."

Z równém uznaniem wyraża się o wielkim utworze sprawozdawca przeglądu *Art*, poświęconego wyłącznie sztukom pięknym. Sąd ten pozostanie w archiwach sztuki, jako świadectwo, przeciw dziennikarskiéj wrzawie, która przebrzmi bez wieści. Przytaczamy ten krótki, ale wymowny ustęp.

„Jan Matejko, mówi sprawozdawca, zajmujący tak zaszczytne miejsce wśród nowożytnych malarzy historycznych, wystawia w tym roku ustęp z krwawych zapasów, jakie w XV wieku bohaterscy królowie polscy staczali z zakonem rycerzy teutońskich.

„Obraz to ogromnych rozmiarów, ale nie w rozmiarach, w samémże raczéj wykonaniu spoczywa jego wartość."

Tu następuje najdokładniejszy opis kompozycyi, poczém krytyk przychodzi do ocenienia.

„Tu pobieżny zarys, dodaje on, wskazuje wielki charakter utworu. Wykonanie pełne życia i potęgi. Dramat, jak go pojął artysta, przedstawiał niesłychaną trudność w rysunku i ugrupowaniu osób. Matejko pokonał je najszczęśliwiéj. Nie zaniedbał nic, aby urzeczywistnić swój pomysł, zgodnie ze ścisłością historyczną, jak niemniéj z artystyczném natchnieniem. Widział i zdjął z natury krajobraz, służący za tło kompozycyi; badał kroniki, zwiedzał muzea, zbierał dokumenta wszelkiego rodzaju. *Bitwa pod Grunwaldem* godną jest dawnych utworów mistrza, znanych zaszczytnie na wystawach naszych: *Unii lubelskiéj*, *Stefana Batorego* i innych wielkich kart historyi narodowéj."

Ale świetniéj nad wszystkich uczcił mistrza naszego p. Fourcaud w popularnym dzienniku: *Gaulois*. Poświęcił on Matejce osobną rozprawę, pomieszczoną w trzech wielkich kolumnach; przypomina w niéj wszystkie poprzednie jego prace, znane na wystawach paryzkich. Same pomyłki historyczne sprawozdawcy świadczą, że słuchał tylko własnych wrażeń, nie powodowany żadną inicyatywą. Polak nie wziąłby przecież Witolda za Jagiełłę, ani Radziwiłła za Zygmunta Augusta

w *Unii*. Pomyłki te łatwo przebaczyć cudzoziemcowi, zwłaszcza gdy ten pojął tak doskonale ducha dziejów naszych i zrozumiał geniusz wielkiego artysty.

„Jan Matejko z Krakowa, mówi p. Fourcaud, nie da się łączyć z nikiem, nie należy on do żadnéj szkoły, chyba do szkoły własnéj, a to wystarcza dla człowieka takiéj doniosłości. Stoję z poszanowaniem przed tą przerażającą *Bitwą Grunwaldzką*, którój olśniewający zgiełk, w przepysznéj oryginalności swojéj, tak jaskrawo odbija wśród naszego mieszczańskiego salonu. Jeśli kiedykolwiek artysta zasłużył na to, aby ziomkowie zwali go narodowym, to niewątpliwie Matejko. Ten polski mistrz poświęcał talent swój wielkim dziejom polskiego narodu. Jest on czémś więcéj niż malarzem; nazwę go historykiem, ale ta niezwykła pochwała, usprawiedliwiona zarówno charakterem jego obrazów, jak i wyborem każdego przedmiotu. Przypomnijmy tu wspaniałe utwory, które dały go poznać u nas, i zjednały mu naprzód uwielbienie znawców, następnie zaszczytny krzyż Legii honorowéj, nakoniec tytuł członka Akademii sztuk pięknych."

Tu krytyk ocenia kolejno piękne utwory Matejki: *Sejm*, *Batorego*, *Unią*, *Chrzest domu Zygmuntowskiego;* o każdym z tych obrazów, wyraża się z najwyższym zapałem, ukazuje nić złotą, wiążącą razem te dzieła, pełne blasku, życia i niezrównanéj twórczości. Przystępuje wreszcie do Grunwaldu.

„Te krańcowe zalety, uderzające już w poprzednich utworach, mówi krytyk, te furye kolorytu, ta potrzeba scharakteryzowania drobnych szczegółów, ten rozpaczliwy ruch, jednoczesny we wszystkich częściach obrazu, wydadzą nam się posunięte do egzaltacyi, przechodzącéj za obręb prawdopodobieństwa w *Bitwie Grunwaldzkiéj*. Kompozycya to wielka, prawie nad miarę, wysoka pięć, szeroka dziesięć metrów. W pierwszéj chwili olśniewa cię, przeraża, zmusza do spuszczenia powiek przed płomienistą jéj łuną. Wyobraź sobie wściekłą potyczkę, bezład, konieczny w tego rodzaju zapasach, gdy rycerstwo ścierało się nawzajem; straszliwy nawał stojących dębem koni, rąk w górę podniesionych, roziskrzonych pancerzy, błyszczących szabel, tratowanych trupów, wichrem szamotanych proporców i draperyi. Walka ta, rozpoczęta między Polakami a rycerstwem zakonu teutońskiego, o pogwałcone przezeń prawa.

„Kto ten mąż w koronie i purpurze, obrócon wprost obliczem, przyrosły do konia, co tak dzielnie rąbie szablicą, w pośród zawziętéj bitwy? *To król polski Władysław Jagiello*. W pobliżu ztąd, rycerz biały na koniu białym, wspiętym na tylnych nogach, broni się szerokim mieczem, od tłumu nacierających nań szermierzy. To wielki mistrz zakonu krzyżackiego.

„Na pierwszym planie biją się bez miłosierdzia, na drugim planie rąbią bez pardonu. Trzaski z oszczepów lecą w górę z kłębami dymu i kurzawy, jeżą się włócznie; gdzie rzucisz okiem szalona bitwa.

„Pod końskiemi kopyty, zdruzgotane hełmy, strojne pióropuszem; konający jęczą, ranni błagają łaski, zwyciężeni miotają klątwy rozpaczliwe. W pień powaleni rycerze, zaścielają ziemię stosem zbroic i pysznych makat. Na lewo nadbiega cwałem hufiec jezdnych; na prawo, zpoza wietrznego młyna, bucha płomień pożaru. W głębi ciągnie się dolina, ciszą swoją urągająca rozżartym tłumom ludzkim; a w górze, w kłębach obłoku, ponad lasem dzid i proporców, ponad szczękiem i wrzawą, unosi się Stanisław święty, postać bizantyjska, uwieńczona złotą aureolą.

„Zaprawdę, potrzeba czasu i skupionéj uwagi, aby rozwikłać to wielkie rojowisko. Obraz ten zbija z tropu, zdumiewa, oślepia, odpycha i przyciąga, staje w oku jako wielki problemat. Dziki on, szalony, bohaterski, a zarazem piekielny. Nie jestto, zważmy dobrze, dzieło ducha łacińskiego, tém mniéj dzieło germańskiego geniuszu. Nie szukać w nim spokojności; koloryt kipi, wre; bogactw aż do zbytku, barwy zielone, czerwone, błękitne, żółte, dzwonią wściekle pobudkę bojową. Malarz uderza źrenice widzów tak silnemi pociskami kolorytu, jak bohaterowie jego uderzają szablą o szablę; olśnieni, błagamy zmiłowania! ale opanujmy ten pierwszy obłęd; wszystko wnet się przemieni Uderzy nas niesłychana potęga życia, trafność każdego ruchu, z najwyższym podziwem, rozróżnimy charaktery typów polskich. litewskich, niemieckich, czeskich, ruskich, tatarskich; porwani siłą kompozycyi, podziwiać musimy nadzwyczajną śmiałość rysunku, odkryjemy w szczegółach zdumiewającą harmonią.

„Pragnęlibyśmy zapewne więcéj powietrza i przestrzeni; chcielibyśmy, aby ci walczący szermierze mogli swobodniejszą odetchnąć piersią, ale mamyż prawo żądać od artysty, czegoś innego, niż to co sam chciał oddać? Celem jego widocznie, pokazać nam całą wściekłość walki w obronie kraju: cel ten osiągnął bezwątpienia. Jeśli gwałtowna ta scena, ma znaczenie symbolu, tém lepiéj! nigdy bowiem nie wzbroniono artystom sięgnąć w głąb dokonanych faktów, aż do wydobycia z nich symbolicznego światła!

„Nie zgadzam się z tymi, co mówią, że to jest dzieło przestarzałéj sztuki; nikt mi nie wskaże w żadnéj szkole, utworu tak odrębnego smakiem, tak piorunującego jak utwór Matejki. Zresztą, radbym wiedzieć, któryby z malarzy naszych podjął się urzeczywistnić godnie pomysł tak wielkiego znaczenia? Ten chyba sam byłby w stanie ocenić według wartości, ogromną zasługę mistrza krakowskiego."

Z równém uznaniem sprawozdawca określa inny obraz Matejki, wystawiony w tegorocznym salonie, ukazujący w prześlicznéj grupie, czworo własnych dzieci. Przychodzi wreszcie do konkluzyi:

„Sztuka Matejki, mówi on, ma odrębny charakter; to sztuka samotnego myśliciela, człowieka głębokiéj wiary. Spostrzegamy w artyście niejaką cechę dumy barbarzyńskiéj. Nie szukać w nim tego rozkosznego spokoju, téj miękkości, właściwéj temperamentom zachodnim. Gwałtowny jest, przejmuje do żywego, uczucia jego kipią; wy-

raża je, o ile można najostrzéj. Niekiedy miesza mnie, lecz zawsze mnie porusza. Takich mistrzów wypada przyjmować jakimi są i wielbić ich za to, co nam dają.

„P. Matejko tłómaczy dzieje, ręką tak potężną, że nikt przed nim nie ukazał scen historycznych, w tak rzeczywistém świetle!"

W chwili, gdy to piszemy, dochodzi nas ostatni numer angielskiego *Atheneum*. Sprawozdawca z wystawy paryzkiéj, w tenże sam sposób, jak p. Fourcaud, wysławia obraz naszego mistrza. „Rycerze, mówi on, którzy cywilizowali ludy, depcząc po nich, jak Cezar cywilizował Galią, napotkali w Polakach nieprzebłaganą Nemezys. Śledząc pilnie każdą osobną grupę, podziwiamy siłę malarza, który z tak dzielną *brawurą* spełnił godnie wielki swój pomysł. *The picture is a masculine and genuine production.* Utwór to, pełen męzkiéj i genialnéj siły, kończy krytyk angielski, odmienny pod tym względem od błyszczącego *Wjazdu Karola V do Antwerpii*, pędzla Makarta."

Obok imienia mistrza, tak świetnie przedstawiającego naród nasz w dziedzinie sztuki, wyliczymy imiona ziomków naszych, którzy wzięli udział w salonie tegorocznym. Nim przystąpimy do tego, rzućmy tu pobieżną uwagę. Biorąc rzecz z bezwzględnego stanowiska, nie wolno nam zapytywać artystów, dlaczego obrali ten, a nie inny przedmiot, zwłaszcza, jeśli ów przedmiot, jak słynne *Pochodnie Nerona* Siemiradzkiego, wyraża myśl, odnoszącą się do całéj ludzkości. W drobnych rodzajowych obrazach, rzecz, według nas, ma się całkiem inaczéj. Obraz taki o wielekroć zyskuje na wartości, jeśli odtwarza scenę swojską. Tę myśl wyraził dobitnie Karol Bigot, w sprawozdaniu z francuzkich utworów. Powtórzymy własne jego słowa, na dowód że pytanie to jest na czasie i porusza dziś wszystkie poważniejsze umysły. „W tém, co nas otacza, co rusza się i żyje wkoło nas, mówi krytyk, sztuka francuzka musi znaleźć oparcie, w tém niech ukrzepia siły. Pragniemy gorąco, aby z każdym rokiem wzrastał zastęp tych dzielnych patryotów, którzy w swojskim żywiole szukają coraz nowych pobudek. Czém były Włochy dla Wenecyan, Niderlandy dla Holendrów XVIII wieku, tém Francya musi być dla Francuzów!" Tém kraj nasz niech będzie dla nas, dodajmy z naszéj strony.

Coby na tém stracił, pytamy, tryskający życiem obraz p. Chełmońskiego, gdyby, zamiast tych dziarskich biegunów, w obcéj uprzęży, przedstawił rozpędzoną czwórkę naszą? Coby straciły dwa śliczne obrazy p. Piotrowskiego, pełne powietrza, wyborne pod względem perspektywy, gdyby zamiast obcych, wyobrażały swojskie typy?

Pan Kowalewski, uczeń Brandta, z wielkim także talentem, przedstawił obcy przedmiot, ale usprawiedliwia go przynajmniéj malownicza postawa konnych górali kaukazkich. *Polowanie na dzika w okolicach Warszawy* p. Rosena, biegle wykonane; nasz to las i myśliwcy nasi, i czemuż w pośród nich zaplątał się jakiś typ obcy? Ależ pytamy, zkąd się wzięły te dziki pod Warszawą?

P. Cetner, według zwyczaju, wystawił na ogromném płótnie tryumfalny pochód nowo-obranego doży weneckiego; wolimy to przecież, niż tryumfy Habsburgów, pamiętne nam z zaprzeszłéj wystawy.

P. Szyndler daléj jeszcze szukał natchnienia: wystawia dramatyczną scenę haremową. Swojskie tchnienie powiewa od obrazu p. Konopackiego, ucznia p. Gersona; żałujemy tylko, że obraz ten nazbyt wysoko zawieszony; drugi, bardzo wymowny tegoż artysty, przedstawia ubogą szwaczkę, w izdebce na poddaszu: siedzi smutno, z założonemi rękoma. *Brak pracy!* taki tytuł obrazu.

Mimo że śniegiem przypruszony, krajobraz pędzla p. Karola Brochockiego, roztacza jakieś żywotne ciepło. Niebo szare cięży ołowiem nad doliną; grudzień otrząsnął liście z rozrzuconych tu i owdzie drzewek. Nizko, przy ziemi krążą wrony, jakby zapowiadając nową zamieć. Na pierwszym planie stoi chata wieśniacza, wklęsła w ziemię, pokryta prostą strzechą; skulona kobiéta niesie wodę ze studni; daléj ciągnie parokonny wóz z sianem. Charakter wioski naszéj wybornie pochwycony.

Cudzoziemcy wogólności, doznali w tym roku mniéj gościnnego, niż w innych latach przyjęcia. Przeznaczono dla nich cztery osobne sale; że zaś miejsca w nich nie starczyło, resztę obrazów zamieszczono w zewnętrznéj galeryi, wychodzącéj na pokryty szkłem ogród. Taki los spotkał wielki portret pędzla p. Kossaka. Młody artysta, któremu przyrzeczono miejsce odpowiedniejsze, gorzko uczuł doznany zawód. Gdy protestacye nie pomogły, sam sobie wymierzył sprawiedliwość: wykroił płótno, pozostawiając próżne ramy. Nie widzieliśmy tego portretu; zapewniano nas jednak, że z prawdziwym wykonany talentem.

Wielki portret p. Merwarta, przedstawiający matkę artysty, ściąga powszechną uwagę i ogólne zyskuje pochwały. Układ spokojny, karnacya piękna, draperye biegłym wykonane pędzlem; wszystko to razem tchnie miłą dla oka harmonią i niepospolitą przyszłość zapewnia artyście naszemu.

Pociąga niemniéj oczy *Popiersie Persa*, praca panny Anieli Wisłockiéj, uczennicy p. Tony Roberta Fleury. W rzutach pędzla uderza siła i wielka śmiałość, a co więcéj czuć w nich samoistny talent, rokujący najpiękniejsze nadzieje dla młodéj artystki naszéj.

Pan Bakałowicz wystawia portret młodéj kobiéty w całkowitéj postaci. Draperya atłasowa biała, wytwornie wykonana.

Portret doktora Obryckiego, pędzla panny Eufrozyny Rakowskiéj, uczennicy p. Barriasa, świadczy o wytrwałych studyach. Układ pełen swobody; charakter rysów pochwycony z talentem. Pracowita artystka wystawiła koszyczek z owocami.

P. Ciesielski, pod tytułem: *Le Nid d'Amour*, wykonał ładny widok, wzięty z lasu Fontainebleau. P. Słomczyński: *Poranek nad Lemanem*. P. Gąsowski dwa krajobrazy z okolic Dordogne. PP. Sie-

radzki i Krabański wystąpili z portretami, równie jak i panna Kunicka.

Już to samo, że powyższe obrazy przyjęte zostały do salonu, świadczy o ich wartości, sędziowie bowiem, zapewne dla braku miejsca, nie okazali w tym roku względów należnych cudzoziemcom.

Spłaciwszy dług ziomkom naszym, słusznie należny za ich wytrwałą pracę, przystąpmy teraz do obrazów francuzkich. Zadanie to trudniejsze dziś, niż bywało w poprzednich latach, z powodu ogromnéj liczby dzieł, mieszczących się w trzydziestu sześciu salach i długiéj galeryi zewnętrznéj. W liczbie téj są zapewne i miernoty, ale téż nie brak i utworów pierwszorzędnego znaczenia, odznaczających się nietylko biegłém wykonaniem, ale co więcéj prawdziwą oryginalnością.

Ta sama walka materyalizmu z idealizmem, jaka od kilku lat porusza umysły na literackiém polu, z równą zaciętością toczy się i w malarstwie. Dwie szkoły wystąpiły groźno naprzeciw siebie: jedna pod przewodnictwem Cabanela i Bouguereau, trzyma silnie klasyczny sztandar, druga dzielnie wsparta przez nowe pokolenie artystów, usiłuje wprowadzić sztukę malarską na całkiem nową drogę. Nigdy jeszcze zwycięztwo szkoły nowéj nie objawiło się silnie jak w tym roku; ale powiedzmy tu zgóry, że realizm malarzy francuzkich, umie trzymać się w karbach i nie poświęca piękna dla prawdy, ale stopami wsparłszy się krzepko o ziemię, wybiega przecież duchem ku idealnym wyżynom. Mówiąc to, mamy na uwadze przewodników szkoły, umiejących pogodzić rzeczywiste piękno z prawdą, nie zaś krańcowych jéj przedstawicieli. Nie brak tu bowiem i tak zwanych *naturalistów*, którzy, jak Zola, na literackiém polu, wyszukują w przyrodzie strou wyłącznie ujemnych i wszelki ideał odtrącają z pogardą. Dla tych niéma przyszłości; usiłowania ich rozbiją się o estetyczny smak, wrodzony narodowi francuzkiemu.

Każdy dział malarstwa, w obudwu ma obozach przedstawicieli swoich; w religijnych nawet obrazach, dość licznych w tegorocznym salonie, uderza ten podwójny kierunek.

Przedstawiciel szkoły klasycznéj Bouguereau, wykonał *Chrystusa wśród biczujących go zbirów.* Obraz ten stał się przedmiotem zaciętych sporów pomiędzy krytykami; podczas, gdy jedni widzą w nim arcydzieło, inni odmawiają mu wszelkich zalet. Trudno nie przyznać artyście, wielkiéj wytworności w władaniu pędzlem, ale Zbawiciel, przywiązany do słupa, zanadto upada pod chłostą. W obliczu, zwróconém ku niebu, widzimy raczéj sentymentalizm, nie boleść podniesioną do najwyższéj ofiary. Kształty ciała miękkie, wiotkie, jak trzcina, nie odpowiadają bynajmniéj znanym słowom Piłata: *Ecce Homo!*

W przeciwną ostateczność wpadł zdolny malarz Becker w swéj *Męczennicy chrześciańskiéj.* Realiście nie szło bynajmniéj o tryumf świętéj, ale raczéj o własny tryumf w sztucznem ułożeniu ciała, przy najtrudniejszych warunkach. Święta przeszyta strzałami, strącona z szerokich schodów marmurowych, leży w znak, z głową osuniętą na

najniższy stopień, podczas gdy nogi w górze pozostały. Dwaj zbirowie biegną ku niéj, snać przerażeni własnym czynem.

Lepiéj nad innych pojął religijnego ducha, młody, nieznany dotąd malarz Ravaut. Przedstawił on *ś. Benedykta, wskrzeszającego dziecię*. Do furty klasztornéj wieśniak włoski, ze starym synem, przyniósł na tragach tylko co zmarłego chłopczynę. Brat podniósł trupa, święty pochyla się nad nim, dotyka ręką martwéj piersi, i życie powraca do niéj cudem. Widać to z ust półotwartych, jakby chwytających powietrze. Ojciec padł na kolana; w obliczu jego trwoga pomieszana z nadzieją. Trzej Benedyktyni poglądają w milczeniu na cud, spełniony przed ich okiem. Młody malarz otrzymał srebrny medal.

Nad wszystkiemi z tego działu, panuje wielki obraz, przedstawiający *Dobrego Samarytanina*, zaszczycony medalem honorowym. Twórcą jego młody Adryan Morot, kilka lat temu uczeń szkoły rzymskiéj, dziś policzony już między mistrzów.

Grupa składa się z dwu figur: ubogi samarytanin spotkawszy w drodze rannego człowieka, posadził go na ośle, sam idzie piechotą obok niego, wspiera krzepkiém ramieniem jego omdlałą głowę. Droga ciągnie się wpośród skał; nigdzie śladu roślinności: ziemia spalona na popiół. Słońce pada pełnym blaskiem na obnażone ciało rannego, wymodelowane z doskonałą znajomością anatomii: krew zdaje się krążyć w żyłach. Oblicze samarytanina tchnie siłą, dobrocią i spokojem. Umiał artysta zidealizować ziemską rzeczywistość.

Inaczéj całkiem Bonnat przedstawił *Hioba na śmietniku*. I tu formy ciała wymodelowane dokładnie, ale ten pół-żywy trup z obwisłą, przyschłą do kości skórą, z oczyma zagasłemi, z wyrazem twarzy dziwnie szpetnym, budzi raczéj obrzydzenie niż litość. Nędza ludzka wyrażona tu w całéj ochydzie, bez promyka nadziei!

Inny zawzięty realista Cormon, ognistym pendzlem w obrazie wielkich rozmiarów, odtworzył *Pochód Kaina* z gromadą synów, uciekającego przed gniewem Bożym, przez dziki, najeżony skałami obszar. Czterowiersz Wiktora Hugo z *Legendy wieków* czytamy pod obrazem:

Ludzka ta karawana po wydmach Sahary,
Koleją lat, co w przeszłość cofnąć się nie zdoła:
Wciąż idzie, słonecznemi przepalona skwary,
I pije w krwawym znoju pot własnego czoła.

Pochód otwiera stuletni Kain, przyciśnięty klątwą Bożą, pół-nagi, z rozczochranym włosem, z brodą siwą, długą do pasa. Za nim synowie niosą na tragach ćwierci mięsiwa ściekające krwią świeżą. Wśród téj jatki rzeźniczéj siedzi kobieta ogorzała, kudłata, straszna; z trojgiem zarówno szpetnych dziatek. Daléj idzie gromada wnuków Kainowych, odrażającéj postawy; niosą na barkach ubite jelenie i dzi-

ki. Jeden z nich dźwiga młodą żonę czy narzeczoną, urodziwszą nieco od potwornéj rzeszy.

Słusznie uczyniono uwagę, że artysta należy do szkoły Darwinistów, że chciał przedstawić na obrazie grupę ludzi z epoki przedhistorycznéj, blizkiéj czasów spełnionéj ewolucyi, skutkiem któréj pojawił się na ziemi pierwszy człowiek; ztąd rysy tych ludzi tak podobne do małpich typów. Jeżeli taka była w rzeczy saméj myśl artysty, dlaczego, pytamy, nazwał Kainem tego strasznego starca? To połączenie tradycyi biblijnéj z hypotezami dzisiejszych antropologów, według nas całkiem niewłaściwe. W obrazie widzimy poprostu walkę o byt pierwszych przedstawicieli rodu ludzkiego, oddaną energicznym pendzlem.

Podwójny prąd odbija zarówno w dziale historycznych obrazów. Wśród klasycznych góruje *Fedra* Cabanela. Trawiona wyrzutem i boleścią, wiarołomna małżonka Tezeusza, postanowiła zamorzyć się głodem; artysta ukazuje ją na łożu śmierci, piękną jeszcze, z wyrazem niezłomnéj woli na obliczu; u stóp łoża klęczą dwie zrozpaczone powiernice. Pendzel miękki, wytworny, koloryt spokojny, układ harmonijny, wszystko to zachwyca licznych jeszcze miłośników konwencyonalnéj formy, a i tych nawet, którzy bez względu na szkolne prawidła, oceniają piękno gdziekolwiek je znachodzą. Realiści tymczasem potępiają stanowczo utwór, pełen idealnego piękna, lecz daleki od rzeczywistéj prawdy.

Wprost przeciwne sprawia wrażenie *Joanna d'Arc* pendzla Bastien Lepage, znanego realisty. Od kilku miesięcy dzienniki prawiły istne dziwy o tym obrazie, podczas gdy artysta pracował jeszcze nad nim. Wyznajemy, że idealna bohaterka Francyi, oddana pendzlem malarza, tak dotąd przyrosłego do ziemi jak Lepage, była prawdziwą dla nas zagadką. Żal nam było téj ofiary, niedosyć że spalonéj na stosie, że znieważonéj ohydnym poematem Woltera, ale i dziś wystawionéj na nowe obelgi materyalistów! Z uprzedzeniem przystępowaliśmy do obrazu... otóż wyznać musimy że artysta zawiódł zupełnie nasze domysły. Stworzył on dzieło pełne zalet, pojęte w sposób całkiem oryginalny. Przekonani jesteśmy, iż wielki przedmiot porwał młodego mistrza i pociągnął go w świat ideału, jakiego się dotąd nie domyślał.

Tło obrazu przedstawia ogródek wiejski w pełni wiosennéj zieloności; na lewo bieleje ściana chaty poszytéj słomą; przed progiem widać motowidło i przewrócony stołek. Na prawo pod jabłonią stoi Joanna, bosa, w wyblakłéj spódniczce i szarym gorseciku. Oko jéj wyraża najwyższy zachwyt: słyszy głosy święte powołujące ją do cudownego dzieła.

Czyżby i Bastien Lepage posłyszéć miał te głosy? Wprawdzie postacie świętych inicyatorów niezbyt szczęśliwie oddane. Święty Michał w zbroi, ukazuje się zpoza drzew jakby senne widziadło. W obrazie brak perspektywy: wszystko jakby na jednym namalowane pla-

nie, ale przed tą dziewicą tak promienistą przy całéj swéj prostocie, zapomina się o wszelkich niedostatkach.

Tłumy otaczają obraz, uderzone nadzwyczajną jego oryginalnością. Krytycy jednak obu przeciwnych obozów dość surowo wyrażają się o nim: dla klasyków zanadto realistyczny, dla realistów zanadto idealny. Co do nas, nie wątpimy o przyszłości malarza, w którym Francya powita niewątpliwie godnego przewodnika nowéj szkoły.

Paul Laurent, słynny malarz historyczny, w postaci ukoronowanego dziecka zcharakteryzował całą epokę dziejową. Obraz jego przedstawia w dziesięcioletnim *Honoryuszu* upadek państwa rzymskiego. Mały cezar, blady, chorobliwy, z twarzą równie szpetną jak niedołężną, siedzi na złotym tronie; w prawéj ręce trzyma miecz, nazbyt ciężki na jego siły, w lewéj cięższą jeszcze kulę ziemską, skrzydlatém uwieńczoną zwycięztwem. Ta karłowata postać dziwnie odbija przy purpurowym płaszczu i złotéj opasce, otaczającéj wklęsłe czoło.

Pomijamy szereg okrutnych Klodoweuszów i Chilperyków, w których malarze republikańscy wzięli sobie za cel zbezcześcić całą epokę feudalno-monarchiczną; historya dla nich rozpoczyna się od wielkiéj rewolucyi, zwrócił ją z drogi prąd Napoleońskiego cezaryzmu; dziś rzeka powróciła do łożyska, przyszła chwila apoteozy. Sam oto *Marat* padający pod sztyletem Karoliny Corday, przedstawiony w sześciu czy siedmiu obrazach. Zostawmy te tendencyjne utwory, wykonane z większym lub mniejszym talentem, a przystąpmy do karty z dziejów spółczesnych, oddanéj biegłym pendzlem Rolla.

Wielki ten obraz pod tytułem *La greve des mineurs*, przedstawia zmowę górników, domagających się wyższéj płacy. Zmowa ta groźny przybrała już charakter; wśród wyprzężonych już wózków wywieszono czarną chorągiew. Na czarnym stosie węgli, siedzi przewódzca z roziskrzoném okiem; wsparł głowę o pięść zaciśniętą, znać knuje groźny zamach. Inny pochwycił z ziemi wielki węgiel, zamierzył się, gotów ugodzić stojących opodal zwierzchników. Żona z dzieckiem u piersi, usiłuje powstrzymać go w zapędzie. Dwu żandarmów konnych wcisnęło się pomiędzy tłum; jeden zsiadł z konia, pochwycił za kark któregoś z burzliwszych górników: błysły kajdany; żony i matki patrzą na nie z przerażeniem. Smutny dramat oddany z wielką siłą; zimny dreszcz przebiega nam po żyłach. W całości wielka panuje harmonia: niebo pokryte grubą chmurą, w głębi sterczą wielkie kominy buchające kłębami dymu; bliżéj oka baraki rozrzucone bezładnie.

Obraz ten przeprowadza nas do utworów wysnutych z życia ludu; liczba ich w tym roku nadzwyczaj wielka: tak wielka, że przeraziła zwolenników akademickiéj szkoły. Krytyk jeden z tego obozu, woła w dziwnie patetyczny sposób: „kiedy artyści zwracają się razem do przedmiotów ludowych, to znak że szkoła akademicka stanęła na drodze rozprzężenia!"

Że tak jest, trudno temu zaprzeczyć; ależ na zwaliskach téj szkoły powstaje nowa, pełna przyszłości, szukająca ideałów nie w zużytéj

rutynie, ale w żywych źródłach prawdy i piękna, w sercu ludzkiém i nieśmiertelnéj księdze przyrody. Zostawiwszy na boku szkołę naturalistyczną, która wzięła za cel, brać z przyrody ujemną i trywialną stronę; mówimy o szkole zrodzonéj pod twórczém tchnieniem Mitela i Juliusza Bretona, dwu mistrzów którzy odczuli w pełni, poezyą ukrytą w cieniu strzechy wieśniaczéj, przyrosłą do roli i pługa, wykarmioną ziarnem domowych podań, skąpaną w ożywczym zdroju wiary.

Z dwu mistrzów pozostał dziś sam Breton. Dzielnie on trzyma swój sztandar i pociąga ku niemu całe roje młodych malarzy. Obraz tegoroczny Bretona prawdziwém jest arcydziełem: krytycy wszystkich barw i odcieni, skłonili przed nim głowę. Wyobraźmy sobie szeroki łan ozłocony promieniem zachodzącego słońca, które jak kula ognista owiana rąbkiem mgły, spuszcza się z widnokręgu. Zboże, zielone jeszcze, faluje na zagonach, grupa kobiet wyrywa zielsko zpośród wiążących się zaledwie kłosów. Na pierwszym planie widzimy trzy dzieweczki: jedna wyciąga do góry omdlałą z pracy rękę; druga rzuciła się na ziemię zmordowana, trzecia siedzi na miedzy, patrzy z radością na słonko zachodzące tak pogodnie. Całość pełna harmonii, oddana z niezrównanym wdziękiem i prostotą: cudna apoteoza wiejskiéj pracy.

Szkoła Bretona, jak powiedzieliśmy wyżéj, licznych ma zwolenników między młodymi malarzami. Mówić nam o wszystkich niepodobna; poprzestańmy na wyliczeniu kilku najcelniejszych utworów w tym rodzaju.

Dziwnie miłe wrażenie sprawia obraz *Ex voto* p. Butin, nagrodzony medalem. Widzimy tu rodzinę majtka wywiązującą się z uczynionego ślubu. Gromadka wieśniaków zbliża się do wiejskiego kościołka; przez drzwi rozwarte na oścież widać ołtarz oświecony jarzącém światłem. Otwiera pochód zgrzybiały ojciec z zapaloną świecą w ręku, obok staréj pochylonéj matki, za nimi dorodna dzieweczka niesie w ręku maleńki statek, z rozwiniętym żaglem i pękiem wstążek powiewających z masztu. Daléj stąpa krzepko ów ocalony majtek, piastuje na ręku małe dziecię; obok niego czteroletnia dziewczynka zgina się pod ciężarem ogromnéj wiązki polnych kwiatów. Żona z gronem druhów i dziewcząt zamyka ów radosny a uroczysty orszak.

Smutniejszy, ale niemniéj piękny obraz malarza Benouf przedstawia dziwnie żałosną scenę. Na cmentarzu wiejskim klęczy wdowa po majtku, patrzy na grób z głęboką lecz spokojną boleścią, przy niéj klęczy ośmioletni synek. Opodal ciągnie się szeroka przestrzeń morza, ciemna jak chmury jesienne kłębiące się po niebie, jak żałoba w sercu kobiety! Młody malarz otrzymał srebrny medal.

Inny obraz Poirsona nadzwyczaj dramatyczny, pokazuje okręt zwracający do brzegu, wściekłą szamotany burzą. Brzeg najeżony skałami, okręt zginie, już niéma nadziei ocalenia; widać to z postawy przerażonych wieśniaków, przyglądających się katastrofie. Kapłan w komży, stoi na czele tłumu, podniósł krzyż, zasyła rozgrzeszenie

biednym rozbitkom. Wszyscyż skazani na śmierć? bynajmniéj! Oto na pierwszym planie krzepki jak dąb młodzian, wydziera się z objęć staréj matki, żegna siwego ojca, gotów rzucić się z łodzią w rozhukane fale, na pomoc nieszczęśliwym. Obraz to tém rzewniejszy, że nie jest poetyczną tylko fikcyą. Towarzystwo ratunku dla rozbitków, zawiązane lat dwadzieścia temu, ocaliło w ten sposób tysiąc ośmset ludzi, jak wiemy z tegorocznego sprawozdania.

Sceny z życia rolniczego nie ustępują wcale marynarskim. Młody malarz Duprè nagrodzony medalem, przedstawił w żywotny sposób kosiarzy tnących w polu rozkwitłą koniczynę i grupę dziewcząt wracających z pokłosia. Destrem równą zaszczycony nagrodą, ukazuje wieśniaka stąpającego za pługiem; młoda żona przynosi mu obiad w dwojakach, na ręku piastuje małe dziecię. Oracz odwraca się ku niéj, całuje dzieciątko z wyrazem głębokiego uczucia.

Do najpiękniejszych w tym rodzaju należy wielki obraz p. Lerolle. Przedstawia on skraj bukowego lasu. Na pierwszym planie wiejska dziewczyna pasie gromadkę owiec, jednéj podaje garstkę trawy. Już po żniwach, słońce pobladło. Zpoza drzew widać sterty zboża rozrzucone na szerokiéj dolinie. Pługi orzą ziemię na nowy posiew; zielona koniczyna dobywająca się zpod rżyska, ożywia jesienny krajobraz. Malarz otrzymał złoty medal za tę piękną kompozycyą.

Wspomnijmy jeszcze znakomity obraz p. Dagnan-Bouveret p. t.: *L'accident.* W wiejskiéj chacie, chirurg opatruje zranioną rękę dziesięcioletniego chłopczyka. Biedna matka siedzi na ziemi, przysłoniła oczy fartuchem. Ojciec pochylony nad dzieckiem dodaje mu otuchy, jakoż chłopczyk zacisnął usta, znosi ból z odwagą, godną starszego wieku. Świetna nagroda jaką otrzymał artysta, da mu pohop do dalszéj pracy. Niedość że dostał złoty medal: bogaty Amerykanin kupił obraz jego za 40,000 franków.

Pomijamy inne utwory w tym rodzaju: na wyliczenie ich za szczupłe ramy nasze. O krajobrazach powiemy tylko, że młodzi malarze, Pelouze, Bornier, Françaís, utrzymują godnie sławę pejzażystów francuzkich. Liczne portrety, wykonane mistrzowskim pendzlem Bonnata, Carolusa Duran, Cota, Fayen-Perina, Bodrego, że pominiemy tylu innych, są prawdziwą ozdobą tegoroczněj wystawy. Wśród tych pociąga oczy cudnie piękna głowa spiącéj dziewczynki, wykonana wytwornym pendzlem Hennera. Obraz ten ma własną legendę. W gorący dzień czerwcowy, artysta malował w pracowni swojéj; za model służyła mu śliczna dwunastoletnia dzieweczka z jasnym włosem. Skwar letni zbezwładnił malarza, paleta wypadła mu z ręki. Zniecierpliwiony wstaje od stalug, wielkim krokiem chodzi po sali. Model tymczasem również znużony, zasnął smacznie na soñe. Głowa dziecka opadła nizko, lica zakwitły rumieńcem, koralowe usteczka napół się otworzyły.

Malarz spostrzega nagle śpiącą: patrzy chwilę, uniesiony radością idzie na palcach do stalugi, zakłada nowe płótno. We dwie godziny potém obraz był niemal wykończony. Nim się maleńka obudziła, mistrz stworzył arcydzieło.

Do najfantastyczniejszych, a zarazem najoryginalniejszych utworów należą dwa śliczne obrazy Gustawa Moreau. Jeden przedstawia *Galateę* na dnie oceanu, spoczywającą wśród korali i różnobarwnych muszel; piękny symbol dziewiczéj niewinności. Do półsennéj przybliża głowę olbrzymi potwór, geniusz złego, w postaci jednookiego Polifema.

Na innym obrazie widzimy znów *Helenę*, któréj złowroga piękność obróciła w perzynę mury Troi. Czarodziejka stoi na szańcach palącego się miasta; strojna w złotogłów, z różą w ręku, patrzy tryumfującém okiem na tłum poległych u stóp jéj bohatérów. Niebo krwawą pokryte łuną; na błękitnych falach kołyszą się w oddali okręta, unoszące niedobitków trojańskich.

Powiédzmy nakoniec o kompozycyach, przeznaczonych do ozdoby gmachów publicznych. Tony Robert Fleury wystawia piękny sufit do muzeum w Luksemburgu: *Apoteozę rzeźby francuzkiéj*. Uosobiona w postaci niewieściéj, unosi się w obłoku, napół osłonięta fijołkową i żółtą draperyą; sława w powiewnym rąbku różowym, kładzie na czoło jéj koronę, przy poklasku skrzydlatych geniuszów. Obraz cały z wytwornym wykonany smakiem. Odpowiada mu godnie piękna rama, mieszcząca w sobie popiersia najsłynniejszych rzeźbiarzy.

Povis de Chavanne wystawił ogromny szkic, narysowany czarno; jestto długa na szesnaście metrów fryza do muzeum w Amiens. Artysta rodem z Pikardyi pracuje od lat dwudziestu dla rodzinnego miasta. Piękny ten obraz p. t.: *Ludus pro patria*, przedstawia igrzyska Gallów pikardzkich. Wspaniałą tę kompozycyą składają cztery grupy, wszystkie połączone myślą wspólną. W pośrodku kilku krzepkich Gallów, czeka, rychło przyjdzie na nich kolej; oczy mając utkwione w pień suchego drzewa, który służy za cel do rzucania oszczepów, rozmawiają swobodnie. Bliżéj na pierwszym planie siedzą dziewczęta pod topolami, trzymają wieńce w ręku.

Po prawéj stronie odbywa się główna akcya: Gallowie rzucają oszczepy. Starzec, otoczony gronem sędziów, przyznaje nagrody zwycięzcom. Po lewéj ręce grupa niewiast przysposabia ucztę; jedna wyjmuje chléb z pieca, dwie inne układają go w wielkim koszu. Daléj stara babka pilnuje trojga wnucząt, z tych jedno płacze nad rozbitą czarką, drugie bałykuje na czworaku. Chłopiec przygrywa na fujarce, dzieweczka słucha pieśni. Na dalszym planie Somma roztacza szeroko wody swoje; łódki przypływają do brzegu, za rzeką krajobraz niknie w mgle oddalenia. Bliżéj oka rysują się rozrzucone chaty galskie, okrągłe, jak stogi siana, zakończone ostrą wieżyczką.

Śliczna to scena, wysoko-idealna w rzeczywistości swojéj.

A teraz przejdźmy do dzieł rzeźby, nagromadzonych w ogrodzie oszklonym, wśród rozkwitłych rododendronów i azalii. Najprzód ude-

rza oczy ogromny *Lew* panujący w pośrodku; przy nim skruszone kajdany; olbrzym ten bowiem przeznaczony do miasta Belfort, oswobodzonego z więzów niemieckich. Dzieło to wykonał Bartoldi, uprzywilejowany twórca olbrzymów, którego *Wolność* amerykańska górowała na wielkiéj wystawie.

Mistrze dłuta godnie i w tym roku utrzymali sławę, jaką świat przyznał rzeźbie francuzkiéj. Honorowy medal otrzymał Thomas za wspaniały grobowiec arcybiskupa Landriot, przeznaczony do kościoła katedralnego w Rochelli. Pasterz kolosalnych rozmiarów klęczy na kamieniu grobowym. Oblicze pełne wyrazu, tchnie wiarą i głębokim spokojem; fałdy kapy oddane po mistrzowsku.

Chapu wystawił dwa wielkie dzieła: figurę wyobrażającą *geniusz nieśmiertelności*, wzlatujący z ziemi na skrzydłach. Jestto część grobowca Jana Rainaud, słynnego ideologa i badacza mythów celtyckich; wystawił również kolosalny pomnik Le Verriera, który ozdobi plac przed obserwatoryum paryzkiém. Wielki astronom wskazuje na globie miejsce planety, niedojrzanéj jeszcze ludzkiém okiem, w chwili, gdy ją odgadł, na mocy matematycznego obliczenia. Tryumf nauki dzielnie oddany dłutem.

Falguiere wykonał piękną postać *Ewy pod jabłonią*, jak słucha głosu obwiniętego o pień kusiciela. Matka rodu ludzkiego wyciąga już rękę po owoc, na obliczu jéj odgrywa się cały dramat: ciekawość przemaga nad trwogą.

Dopełnieniem tego ślicznego utworu jest inny, jeśli wykonany mniéj biegłém dłutem, cudniejszy zato pomysłem prawdziwie genialnym. Mówimy o *Madonnie* Gustawa Dorego. Bogarodzica tuli do łona Dzieciątko Boże. Obie rączki maleńkiego Jezusa wyciągnięte do góry, główka schylona nieco na bok, nóżki skupione razem, przedstawiają kształt Chrystusa Ukrzyżowanego. Cudny ten krzyżyk spoczywa na piersi matczynéj; niewysłowiona boleść odbija na słodkiém jéj obliczu, snać duchem proroczym odgadła tajemnicę przyszłości.

Młody zupełnie, dotąd nieznany rzeźbiarz p. Suchenet, w pogański sposób, ale z wielkiém mistrzowstwem usymbolizował téż boleść ludzką, w postaci mytycznéj *Biblos*, rozpłyniętéj w strumień. Z obu jéj źrenic toczą się łzy, pod któremi znikły już rysy oblicza. Młodzian otrzymał srebrny medal, a zarazem trzyletnie stypendyum rzymskie.

Znakomity nasz rzeźbiarz p. Cypryan Godebski wystawił śpiżową grupę dwojga dzieci, zdobiącą dziedziniec szkoły w Batignolles. Jeden chłopczyk kreśli na tablicy słowa wdzięczności dla dobroczyńców, drugi siedzi przyglądając się piszącemu. Kształty ciała oddane po mistrzowsku.

Pan Gujski wykonał pięknie marmurowe popiersie pani Boulard. Pani Walentyna Legendre, z domu Dąbrowska, wystawia klacz ze źrebięciem, udatnie wykonaną.

Zmuszeni jesteśmy pominąć pastele, akwarele i rysunki, ale nie wolno nam przemilczéć imion ziomków naszych, którzy wzięli udział

w téj gałęzi prac artystycznych. Pani Konstancya Boulard wystawiła piękny portret męzki na porcelanie; panna Kownacka miluchny obrazek wiosny; panna Ossowska dwa portreciki; panna Stryjeńska miniaturę emaliowaną na miedzi.

W akwarelach spostrzegamy krajobraz pana Krasnopolskiego, ale tak wysoko pomieszczony, że trudno rozpatrzyć się w przedmiocie. Akwarela pana Szyndlera odznacza się życiem i śmiałością.

Z rysunków wspomnimy tu konia p. Ostrowskiego i *Fastuszka grającego na fujarce*, pani Przepiórskiéj. P. Konarski wystawił kilka architektonicznych rysunków. Reprodukcya *Unii Lubelskiéj* Matejki, oddana rylcem p. Redlicha, odznacza się prześliczném wykonaniem, jak wszystkie prace tego znakomitego artysty.

KORRESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Przewodnik heraldyczny p. Adama-Amilkara Kosińskiego, t. II, str. 698, zawiera co następuje: „Pan Kazimierz Stadnicki w *Przyczynku do heraldyki polskiéj w średnich wiekach* utrzymuje, że jednocześnie za czasów Bolesława Krzywoustego żyło dwu Piotrów; jeden *syn Wlasta*, *Polak* urodzeniem, drugi przybysz z Danii, czyli Duńczyk, *vel Dunin*, protoplasta Duninów," etc. etc.

Otóż autor *Przyczynku* przeciw temu protest założyć musi. W ustępie bowiem *Przyczynku:* „Piotr syn Wlasta i Piotr Duńczyk," mówi str. 174—5 najwyraźniéj, że syn Wlasta *nie* był Polakiem, tylko *Czechem*, a na str. 26 i 185, że ród *Dunin-Donin* z Piotrem *Duńczykiem* najmniejszéj styczności niéma.

Nie pojmuje więc niżéj podpisany, co autora *Przewodnika* do owego prawdzie wręcz przeciwnego podania spowodować mogło.

Kazimierz Stadnicki.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Psałterz Puławski. Z Kodeksu pergaminowego księcia Władysława Czartoryskiego, przedruk homograficzny wykonali Adam i Stanisław Pilińscy. Nakładem Biblioteki kórnickiéj 1880 r.

Wydanie *Psałterza Puławskiego* w podobiźnie, któremu te kilka słów poświęcamy, uważać można za upominek ostatni człowieka, który gorąco zajęty, w ciągu całego swego życia, opieką nad współczesném piśmiennictwem narodowém, z tradycyjną czcią miłował przeszłość tego piśmiennictwa, jako drogą puściznę po dawno ubiegłych chlubnych wiekach, a zarazem jako podstawę naszego obecnego i przyszłego życia umysłowego. Owocem téj czci dla przeszłości, jest cały szereg drogocennych wydań najdawniejszych pomników naszego piśmiennictwa, a szereg ten godnie zamyka niniejsze wydanie *Psałterza*. Jestto upominek, zostawiony przez Jana hr. Działyńskiego całemu narodowi, w sercu téż całego narodu pozostanie czuła wdzięczność dla hojnego dawcy i rzewne wspomnienie dla zacnéj jego duszy.

Źródła historyczne, jak *Akty Tomickiego*, *Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski*, daléj *Pamiętnik nauk ścisłych*, przekłady pisarzów starożytnych, ogłaszane przez zgasłego opiekuna nauk, mają niezaprzeczenie wysoką wartość naukową; ale podobizny rękopisów, obejmujących najdawniejsze prawodawstwo polskie, a w końcu podobizna *Psałterza*, są jednocześnie i skarbami naukowemi, i dla sposobu wykonania istnemi perłami, służącemi za ozdobę każdéj bibliotece. Zapewne nie wielebyśmy naliczyli przykładów, nawet śród najoświeceńszych i najzamożniejszych narodów, aby jeden obywatel, i to niezbyt zamożny, tyle poświęcił nie dla własnéj chluby, bo od tego był daleki, ale dla chluby nauki i dla pożytku ogółu. Wdzięczność za to poświęcenie wkłada na nas miły obowiązek wyrzec słów kilka o naukowém znaczeniu ostatniego jego wydawnictwa. Nie kusimy się tu o wyczerpujące rozważenie tego pomnika, bo i siły nasze może nie po temu, i czasu więcéj potrzeba na wyczerpujący rozbiór tak ważnego pomni-

ka: ale chcielibyśmy zwrócić pokrótce uwagę na znamiona jego wydatniejsze i zachęcić do szczérego zajęcia się nim.

Rękopis pergaminowy, którego podobiznę mamy przed sobą, składa się z 312 kartek w 12-ce; pisany był w końcu XV lub na samym początku XVI wieku, niewiadomo przez kogo i dla kogo. Z kilku słów, zamieszczonych na piérwszéj stronnicy rękopisu, dowiadujemy się, że w r. 1533 był darowany bratu przez Jana Komorowskiego, może tego samego, którego prace wychodziły między r. 1512 a 1519 w Krakowie. Może być, że przez tegoż Jana Komorowskiego był pisany, chociaż na to dowodów niémamy i może nigdy mieć nie będziemy; na końcu rękopisu czytamy tylko słowa: „Niegdy we zdrowiu jest pisan i w wielikiéj chorobie dokonan." Dalsze koleje rękopisu aż do wieku XIX nie są wiadome; mamy powody mniemać, że dopiéro w piérwszych latach naszego wieku dostał się w godne ręce Tadeusza Czackiego, bo niémasz o nim jeszcze wzmianki w pismach tego uczonego, wydanych w Warszawie w r. 1800, a wspomniany przez niego dopiéro w rozprawie *Czy prawo rzymskie było zasadą praw litewskich i polskich* str. 56, rozprawa zaś ta była czytana w Krzemieńcu w roku 1808, a wyszła z druku w Wilnie w r. 1809. W Porycku przebywał *Psałterz* Komorowskiego, zapewne do r. 1819, bo w tym roku rodzina, pozostała po Czackim, odstąpiła bibliotekę wraz z rękopismami bibliotece puławskiéj; tu przebywał *Psałterz* ten do r. 1831, wywieziono go następnie do Paryża i obecnie jest w Krakowie, w bibliotece księcia Władysława Czartoryskiego.

Pod trzema nazwiskami znany dotychczas ten *Psałterz*, a mając ochotę nadać mu czwarte, musimy o powodach do tego kilka słów powiedzieć. Na przytoczoném wyżéj miejscu rozprawy Czackiego, czytamy: *Psałterz* królowéj Jadwigi, w poryckiéj bibliotece będący, ma podobną składnią," do przysiąg sądowych z końca XIV wieku. Z słów tych pokazuje się, że sam Czacki piérwszy nazwał rękopis ten psałterzem królowéj Jadwigi. Odtąd we wszystkich podręcznikach historyi literatury pomnik ten, z tą nazwą, był pomieszczany między zabytkami okresu Jagiellońskiego. Co sądzić o téj nazwie i czém ją wytłómaczyć?

Czackiemu wydarzyło się coś podobnego, co się dość często miłośnikom starożytności wydarza; gorąca miłość przeszłości skłania ich do czepiania swych skarbów do najznakomitszych imion; ma kto piękną karabelę, to już niezawodnie Batorego, choćby nie zdążono jeszcze dorobić odpowiednich ozdób, a dostała mu się buława, to już niewątpliwie Zamoyskiego lub Czarnieckiego, nie zważając na to, czy okoliczności do takiéj nazwy upoważniają. Téj saméj wartości były złudzenia miłośników literatury ojczystéj, co bezimienne pomniki piśmiennictwa chrzcili znakomitemi imionami historycznemi. A więc starożytną książeczkę do nabożeństwa z końca wieku XV przypisano ś. Jadwidze, choć zamiłowanie téj niemieckiego pochodzenia księżniczki do polskiego języka, jeszcze nie jest dowiedzione. Dziś pomnik ten na-

zywamy książeczką Nawojki, bo Nawojka było imię niewiasty, dla któréj rękopis ten był przeznaczony. A *Psałterz* znów z wieku XIV, zachowywany w rękopisie w klasztorze św. Floryana pod Lincem, nanazwano Psałterzem królowéj Małgorzaty. Ponieważ dostatecznych powodów do nadania téj nazwy nie dostarczono dotąd, nazywamy go dziś *Psałterzem Floryańskim* od miejsca jego pobytu. Te same, jak sądzę, chwiejne pobudki zniewoliły Tadeusza Czackiego do nadania nazwy królowéj Jadwigi *Psałterzowi*, który między znakomitemi pomnikami piśmiennictwa przechowywał w Porycku. Dawno już zwrócono uwagę na niezgodność języka tego Psałterza z pomnikami piśmiennemi z czasów królowéj Jadwigi, bo język *Psałterza* tego jest niewątpliwie o sto lat późniejszy od królowéj Jadwigi. Na nic się téż nie przyda wykręt, że pomnik ten, jeśli nie należał do królowéj Jadwigi, to mógł przynajmniéj być przepisany z innego Psałterza do téj królowéj należącego, przez coby zyskał niejakie prawo do téj nazwy. Domysł taki niczem nie poparty, a nawet w sprzeczności stojący z pochodzeniem Psałterza, jak niżéj okażemy, nie dozwala nam utrzymywać nadal tego związku, między królową a psałterzem, luboby był pochlebny i dla królowéj i dla Psałterza. Słusznie więc postąpił wydawca, odrzucając w wydaniu tę bałamucącą nazwę. Lecz pozbywszy się tego kłopotu jednego, nabawiliśmy się drugiego kłopotu o nowe, odpowiedniejsze miano. Wydawca nazwał ten poważny pomnik *Psałterzem Puławskim*, na mocy pobytu jego w Puławach od r. 1819 do 1831.

Nie chciałbym występować przeciwko nowemu temu mianu, zwłaszcza że przemianowanie stało się już czynem dokonanym; a jednakże nie zbywa na powodach przeciwnych temu nazwaniu, bo tém samém prawem możnaby go nazwać *Psałterzem Poryckim*, zwłaszcza że w Porycku dłużéj był zachowywany niż w Puławach, a nawet i Paryskim go można było nazwać, gdyż od r. 1831 do 1870, jeśli się nie mylę, przebywał w Paryżu. Jakoż rzeczywiście prof. Władysław Nehring w pięknéj swéj pracy o *Psałterzu Floryańskim*, wydanéj p. t.: *Iter Florianense* nazwał ten pomnik *Psałterzem Paryskim*. Obecnie rękopis ten jest ozdobą cennych zbiorów księcia Władysława Czartoryskiego w Krakowie; mógłby więc kto nazwać go *Psałterzem Krakowskim*. Nazwa od miejsca jest dobra w braku lepszéj, ale jeśli jest wzięta z miejscowości, w któréj pomnik został znaleziony, jak np. *Codex Suprasliensis*, albo téż jeśli pomnik nie zmienia miejsca swego pobytu, jak *Psałterz Floryański*. Gdzie zaś pomnik nie należy do mieszkańców stałych, ale narażony jest na ciągłe przesiedlanie, tam nazwa taka okazuje się mniéj właściwą, bo w końcu spór wyniknie między miejscowościami o ojcowstwo, jak niegdyś o Homera. Dla tego nie wiem, czy nie lepiejby był zrobił wydawca, gdyby pomnik był nazwał od piérwszego znanego właściciela *Psałterzem Komorowskiego*, zwłaszcza że nie jest niepodobieństwem, że Psałterz ten przez Komorowskiego był pisanym.

Psałterz Puławski wymieniony jest we wszystkich historyach literatury, zacząwszy od Bentkowskiego (t. I, str. 190). Dowodzi to, że wiedziano o jego istnieniu, ale nie dowodzi, że go znano. Znaliśmy bowiem do niniejszego wydania tylko dwa piérwsze psalmy z odpisu Lelewela, ogłoszone niedokładnie w *Prawdzie ruskiéj* Rakowieckiego (t. II, str. 212).

Dwa te psalmy nie dają wyobrażenia o pomniku samym, zwłaszcza że przedruk ich dokonany z pomyłkami: wydrukowano *szyę, polug, wyszlyły, wstrzymanye, zyemye*, choć w rękopisie jest *szyę, podług, myszlyły, w trzymanyę, zyemyę;* nadto w ostatnim wiérszu psalmu drugiego w słowach: błogosławieni wszyscy, którzy w nim pwają, opuszczono w druku zaimek *którzy*, przez co wiérsz ten pozbawiony myśli.

Prócz tego znany był psalm 50, ogłoszony przez prof. Władysława Nehringa w *Iter Florianense*. Poznań, 1871 r., str. 39.

Dziś dopiéro, mając pod ręką cały Psałterz Puławski w najwierniejszéj podobiźnie, rozważyć możemy jego znaczenie dla historyi naszego piśmiennictwa, dla historyi języka.

Znaczenie każdego większego zabytku językowego zależy od czasu, w którym powstał, i od stosunku jego do innych zabytków czasem i treścią najwięcéj zbliżonych. Porównanie z innemi zabytkami staje się rzeczą niezbędną. We względzie na *Psałterz Puławski*, mimowolnie nastręcza się porównanie jego z *Psałterzem Floryańskim*, pochodzącym, jak jest powszechne mniemanie, z drugiéj połowy XIV wieku. Praca ta zapewne nie jedno pióro zaprzątnie; nim głębsze poznanie wzajemnego stosunku dwu tych pomników nastąpi, chciałbym zdać sprawę z piérwszego wrażenia doznanego przy porównywaniu.

Łatwo się każdy domyśli, że między jednym Psałterzem a drugim zachodzić będzie pod pewnemi względami znaczne podobieństwo. Przekłady Pisma Świętego dokonywają się pospolicie z uwzględnieniem przekładów dawniejszych; to téż nie można przypuścić, żeby *Psałterz Puławski* nie stał w związku z poprzedzającemi przekładami, a w szczególności z *Psałterzem Floryańskim*. Dokonane porównanie stwierdza to przypuszczenie i pokazuje, że tok przekładu w *Psałterzu Puławskim* prawie wszędzie bardzo jest zbliżony do przekładu *Psałterza Floryańskiego*, a różni się od niego tylko zmianami, które spowodowało albo lepsze wyrozumienie tekstu, albo też konieczność zastąpienia przestarzałych form językowych przez formy nowsze. Aby dać jakiekolwiek pojęcie o stosunku jednego Psałterza do drugiego, podajemy w zestawieniu dwa psalmy do siebie bardzo zbliżone, a podajemy w nowszéj pisowni, bo obawiamy się, że między czytelnikami może będą i tacy, którzyby sobie nie umieli radzić z prawidłowém odczytaniem staropolskiego pisma.

Floryański, psalm 19.

Wysłuszaj cię gospodzin w dzień zamętka, uchowaj cię imię Boga Jakob.

Pośli tobie pomoc s swiętego, i od Sion uchowaj cię.

Pamięcien bądź wszem obietam twojim, a obiata twoja tuczna bądź.

Daj ci podług serca twego, i wszytkę radę twoję stwiérdzi.

Weselić się będziem we zbawieniu twojem i w imieniu Boga naszego wieliczyć się będziem.

Napełni gospodzin wszystki prośby twoje, nynie poznał jeśm, bo zbawiona uczynił gospodzin pomazańca swego.

Wysłusza onego z nieba świętego swego w mocach, zbawienie prawice jego.

Ci na wozoch, a ci na konioch, ale my w imieniu gospodnowie wzowiemy.

Oni obwiązali są się i padli, ale my wstali jeśmy i wskłoniliśmy się.

Gospodnie zbawiona uczyń Króla, i wysłuszaj nas w dzień, w jenże wzowiem cie.

Puławski, psalm 19.

Wysłuchaj cię gospodzin w dzień zamętka, uchowaj cię imię Boga Jakob.

Pośli tobie pomoc s świętego, i od Sion uchowaj cię.

Na pamięci miéj wszytki obiety twoje i obieta twoja cudna bądź.

Daj ci podług sierca twego i wszystkę radę twoję stwierdzi.

Radować się będziem we zbawieniu twojem i w imieniu Boga naszego wielbić się będziem.

Napelni Bóg wszytki prośby twoje, nynie poznał jeśm, iż zbawił gospodzin pomazańca swego.

Usłyszy ji z nieba świętego swego w mocach, zbawienie prawicy jego.

Ci na woziech, a ci na koniech, ale my w imieniu gospodna Boga naszego wzowiem.

Oni obwiązani są i padli, ale my wstali i podniesieniśmy.

Gospodnie zbawionym uczyń Krola i usłysz nas w dzień, w jenże cie wzowiem.

Podobieństwo w toku przekładu jest w całym Psałterzu równie widoczne, jak w przytoczonym jednym psalmie. Nie dziwiłbym się przeto wcale, gdyby kto wystąpił z twierdzeniem, że Psałterz Puławski jest poprostu przepisany z Floryańskiego z zaprowadzeniem zmian, jakich się domagał język współczesny, o sto lat późniejszy. Jednakże podobieństwo dwu tych zabytków, tyczy się tylko ogólnego toku przekładu, bo w szczegółach widoczna wszędzie różnica późniejszego Puławskiego od wcześniejszego Floryańskiego. Różnice widzimy w użyciu pojedyńczych wyrazów; różnica leksykalna, i w użyciu form wyrazów: różnica gramatyczna.

Dobór wyrazów, ogólnie biorąc, okazuje w Psałterzu Puławskim dążenie do zrozumiałości i jasności myśli, a przytem chęć zastąpienia przestarzałych słów nowszemi. Oto kilka przykładów: „Odwiódł mię po stdzach sprawiedlności" psalm 22 Psałterza Floryańskiego „deducit me super semitas justitiae," przekłada twórca Psałterza Puławskiego zrozumialéj i zgodniéj z wulgatą: „dowiodł mię na chodniki sprawiedlności," bo słowo *stdza*, w starosłowiańskiém *stza* zaczęło wycho-

dzić z użycia. Podobnie słowo *lichota* używane w starosłowiańskiém w znaczeniu *malitia*, nie wiem czy nie wszędzie, oddane przez *złość*, jak np. psalmach 50, 70, 93, gdzie Psałterz Floryański jeszcze ma lichotę. W ostatnim wierszu psalmu 25 czytamy w Psałterzu Floryańskim: „w cerekwiach chwalić ciebie będę gospodnie," a w Puławskim: „w kościelech chwalić ciebie będę." Że wyraz *cerkiew* w staropolskiém był powszechnie znany, dowodzą nazwy miejsc: Cerekiew jedna w radomskim, druga w bocheńskim powiecie; Cerekwica jedna w poznańskim powiecie, druga w pleszewskim, trzecia w wągrowieckim. Kiedy później uwydatniła się różnica między wschodnim a zachodnim kościołem, cerkiew pozostała wschodniemu obrządkowi, a zachodni przyswoił sobie nazwę kościół. Oba wyrazy nie swojskie, ale przyswojone; jeden z greckiego *kyriake* (dom Pański), drugi z łacińskiego *castellum*. „Wywodzi siano *skotu*, a ziele służbie ludzkiej" czytamy w Psałterzu Floryańskim psalm 103, w. 15; a w Puławskim: „dając siano *wardęgam*, a ziele służbie ludzkie" (*producens foenum jumentis, et herbam servituti hominum*); natomiast w psalmie 106 (107) oba mają: „i wardęgi ich." Starożytne wyrażenie: *nie Boga*, tyle co *nie masz Boga*, zamiast *nie je*, jak u naszego ludu, a to zamiast *nie jest*, starano się z Psałterza Puławskiego wyrzucić; w Floryańskim czytamy : *nie Boga* psalm 9, w. 13; *nie mołw* psalm 18 w. 3; *nie bojaźni Bożej* psalm 35 w. 1, a na miejscach tych w Psałterzu Puławskim napisano, *nie jest Bóg*, *nie są mołwy*, *nie jest bojaźń Boża*. Snadź dawniejsze wyrażenie wyszło z użycia i przestało być zrozumiałém, a godło Marcina Bielskiego: *przeciw prawdzie rozumu nie* (zamiast nie masz) sięga widać dawniejszych od Bielskiego czasów, bo pewnie za jego dni równie było niezrozumiałe jak dziś, chociaż bynajmniéj nie jest obce naszemu dawniejszemu językowi.

W psalmie 108 w. 21 w zdaniu: *bo biednik i ubogi ja jeśm* (quia egenus et pauper sum ego); słowo Psałterza Floryańskiego *biednik*, znane w téj formie z starosłowiańskiego języka (Mikłosicz, *Lexicon*, str. 52) zastąpiono w Psałterzu Puławskim słowem *stradnik*, gdyż tak zapewne czytać należy zamiast mylnego *stranik;* słowo *stradnik* odpowiada starosłowiańskiemu *stradn* miser (Mikł. *Lexicon*, str. 887); poprawce na *strannik* sprzeciwia się znaczenie tego wyrazu nieodpowiadające łacińskiemu *egenus* w wulgacie. Na inném miejscu Psałterza Puławskiego (psalm 140, w. 13) czytamy podobnie: „poznał jeśm, iż uczyni gospodzin sąd *stradnym* i pomstę ubogim (*cognovi quia faciet dominus judicium inopis et vindictam pauperum*.

Bardzo widoczną różnicę czyni łacińskie *virtus*, inaczéj przez obu tłumaczów rozumiane; przekład Floryański trzyma się dalszego znaczenia słowa *virtus* i oddaje przez *cześć* w znaczeniu cnoty; przekład zaś Puławski uwzględnia piérwotne znaczenie (moc, męstwo), i tłómaczy przez *moc*, np. psalm 64, w. 7: „gotują góry we *czci* swojej" (praeparans montes in virtute tua) we Floryańskim, a w Puławskim: „gotując gory w *mocy* twojej;" ps. 73, w. 14 „Ty jeś poćwierdził we *czci*

twojej morze" (tu confirmasti in virtute tua mare), we Floryańskim: „Ty jeś potwiérdził *mocą* twoją morze. W obu razach przekład Puławski oddaje wierniéj myśl oryginału, bo nie o cnocie mowa, ale o mocy, potędze. Podobną poprawkę znajdujemy w ps. 138, w. 14, gdzie tłómacz Psałterza Floryańskiego, łacińskie *os* wziął w znaczeniu ust (*os*, *oris*) i przetłómaczył: „nie jest się utajiła usta moja od ciebie." Tłómacz Puławskiego psałterza wyrozumiał, że *os* znaczy na tém miejscu kość (*os*, *ossis*) i przetłumaczył: „nie jest utajona *kość* moja od ciebie;" tak téż powinno się tłómaczyć, bo w hebrajskim oryginale na tém miejscu czytamy *hacmi*, co znaczy: *kość moja*, od *hecem* kość. Zobacz *Gesenius Handwörterbuch*, II, kol. 289.

Poprawki te nie zawsze jednakże miały powodzenie; w piérwszym wierszu ps. 17 czytamy, w Psałterzu Floryańskim: „gospodzin ścwierdzenie moje i utoka moja." Zapewne i w tym dawniejszym przekładzie, na którym polegał tłómacz Psałterza Puławskiego, był użyty wyraz *utoka* (refugium); tłómacza raził ten przestarzały wyraz, chciał zamiast niego napisać *ucieczka*, lecz przez pomyłkę, napisał *uciecha*.

Znacznie nowsze jest także wyrażenie *dla* moich wrogów w ps. 5, wobec Floryańskiego „prze moje wrogi," chociaż *prze* w tém połączeniu jeszcze w drugiéj połowie wieku XVI nie całkiem wyszło z użycia.

Nie zbywa oczywiście i na pomyłkach, których tutaj wymieniać nie możemy; zadziwiające są te, które wspólne są obu Psałterzom, lubo nie na tém samém miejscu popełnione. Za pomyłkę bowiem uważam użycie słowa *brzemię* w ps. 118 (119) w wyrażeniu: „we wszelikie brzemię," zamiast czego w Psałterzu Floryańskim jest: „we wszelkiem czasie." Natomiast ten sam wyraz użyty we Floryańskim w ps. 20, w. 9 „w brzemię oblicza twego," gdzie przekład Puławski ma: „czasu oblicza twego." Powodem pomyłki było jak w jednym tak w drugim razie starosłowiańskie *wremię* (tempus).

Te kilka przykładów, mojém zdaniem, dostatecznie wyjaśnia różnicę między obu psałterzami pod względem leksykalnym.

Ważniejsze są różnice w formach gramatycznych, bo na nich szczególnie pokazują się przeobrażenia, jakim ulega każdy żyjący język z postępem czasu.

Tu najprzód zwraca na siebie uwagę w pisowni rozróżnienie ścisłe nosowéj *ę* od *ą*, co dopiéro w samym końcu wieku XV i na początku XVI nastąpiło. Gdzieby w Psałterzu Floryańskim była wątpliwość, jak czytać, wątpliwość tę usuwa dziś Psałterz Puławski.

W odmianie rzeczowników spostrzegamy, że w *Psałterzu Puławskim* nikną po większéj części formy z przedłużonym tematem w liczbie mnogiéj imion męskich. Zamiast mianowników: *sądowie*, *krajowie*, *zamętkowie*, *padołowie*, *pagorkowie*, *ołtarzowie*, *wrobłowie*, które znamy z Psałterza Floryańskiego, czytamy w Puławskim: *sądy*, *kraje*, *zamętki*, *padoły*, *ołtarze*, *wroble*. Niebrak jednakże przykładów odwrotnego stosunku, lubo tylko na dwu miejscach, a mianowicie w psalmie

56, gdzie Floryański ma *zęby*, w Psałterzu Puławskim znajdujemy *zębowie* i w psalmie 143, w. 5, zamiast *dni jego* Psałterza Floryańskiego, znajdujemy *dniowie* w Puławskim.

Użycie liczby podwójnéj zaczyna się ograniczać: *w ręku swoju* czytamy w Psałterzu Floryańskim, psalmie 76, a na témże miejscu w Puławskim: *w swoich ręku;* podobnie w Puławskim czytamy: *mych rąk*, tam gdzie we Floryańskim było: *moju ręku* (psalm 17). To samo ograniczenie liczby podwójnéj ukazuje się w formach słownych, urobionych z imiesłowów; przykładu dostarcza psalm 81: *ręce jego w koszu służyle jesta* w Floryańskim, a w Puławskim: ręce jego w koszu *służyły* jesta.

Forma nieokreślna przymiotników, używana prawie wyłącznie w przymiotnikach dzierżawczych, zaczyna ustępować miejsca formie urobionéj podług deklinacyi zaimkowéj. I tak: zamiast dopełniacza Boga Jakubowa w psalmie 23 Floryańskiego, znajdujemy w Puławskim formę Boga Jakubowego. *Zbawiona* mię uczyń, pisze Floryański w ps. 7, wierszu 1, a Puławski żeby tego uniknąć, kładzie: zbaw mię. Nie *mołwiła* usta, pisze Floryański w psalmie 16, a Puławski zamiast tego: nie mołwiły usta. Mimo to zachował Psałterz Puławski miejscownik podług deklinacyi rzeczownikowéj w wyrażeniu: *na domu Dawidowie*, gdzie i Psałterz Floryański (psalm 121, wiersz 5) pisze *na* (mylnie nad) *domu Dawidowie.*

W Psałterzu Puławskim niknie prawie wszędzie różnica między szóstym a siódmym przypadkiem rodzaju męzkiego i nijakiego przymiotników w liczbie pojedyńczéj, która do połowy wieku XV była dość ściśle przestrzegana. Tu już czytamy: *w gniewie swoim*, zamiast pierwotnego i prawidłowego: w gniewie swojem, jak jest w psalmie 2 Psałterza Floryańskiego.

W odmianie czasowników unika tłómacz Psałterza Puławskiego form nie ściąganych i zamiast *znaje* Psałterza Floryańskiego, kładzie ściągniętą formę *zna*, a z téj saméj zapewne przyczyny zamiast Floryańskiego *znaje* (psalm 36), kładzie słowo *wie.* Jednakże w psalmie 50 pozostało: *bo złość moję ja znaję*, choć w Floryańskim jest *poznawam.*

W czasie przeszłym, który jak wiadomo, powstał ze zlania się słowa posiłkowego z imiesłowem, zlanie to po większéj części nastąpiło w Psałterzu Puławskim tam, gdzie go jeszcze nie było w Psałterzu Floryańskim. I tak: w Psałterzu Floryańskim czytamy: naspał jeśm (psalm 2), postarzał jeśm się (psalm 6), chodziła jeśwa (psalm 54), zamiast czego na tych miejscach w Puławskim znajdujemy: naspałeśm, postarzałeśm się, chodziłaśwa. Nader zajmujące nastręcza się tu spostrzeżenie, że zlanie nie zupełnie się jeszcze dokonało, tak jak je dziś widzimy w języku, bo jeszcze pokutuje *ś* z słowa posiłkowego, przezco ono jeszcze nie zeszło do rzędu prostéj końcówki.

Najwcześniéj znikło słowo posiłkowe w trzeciéj osobie obu liczb; zamiast *zastąpiły są mię sidła* (psalm 17) Psałterza Floryańskiego, czytamy w Puławskim: *zastąpiły mię sidła.* Podobnie zamiast: *nacią-*

gnęli są łączysko (psalm 63 Floryański), czytamy w Puławskim: *naciągnęli łączyszcze*. Wszakże i w Puławskim napotykamy niekiedy formy niezłączone, jak np.: *żdał jeśm* tam, gdzie w Psałterzu Floryańskim czytamy: *czakał jeśm* (psalm 54). A nawet niekiedy w Psałterzu Puławskim ukazuje się forma dawniejsza, niezrosła, np.: *jen jest Boga nie położył* tam, gdzie w Psałterzu Floryańskim mamy nowszą formę, bez słowa posiłkowego: *jenże nie położył* (psalm 51).

Kilka przykładów w Psałterzu Floryańskim starożytnego czasu przeszłego niedokonanego, który dziś całkiem zaginął, w Psałterzu Puławskim już zastąpiono nowszemi formami. Zamiast: usty swymi *błogosławiachą*, a sercem swym *poklinachą*, w psalmie 61 czytamy w Puławskim: usty swymi *błogosławili*, a sercem swym *poklinali*. Podobnie zamiast *śpiewachą* (psalm 68) i *szukachą* (psalm 78), znajdujemy w Psałterzu Puławskim nowsze formy: *śpiewali*, *szukali*. Lecz i w Psałterzu Puławskim jest bardzo zajmujący przykład tego czasu, o którym będzie niżéj.

Imiesłów czasu teraźniejszego w staropolskim języku kończył się na *ą*, jak się domyślam, lubo znak nosowy w końcówce użyty równie *ę*, jak *ą* czytać można. Mógłby nas w téj wątpliwości pouczyć Psałterz Puławski, ale na jedyném miejscu, na którém ta najdawniejsza forma w nim ocalała (psalm 134, 135), napisano dawniejszy znak nosowy, to jest kółko przekreślone, które w Psałterzu Puławskim często stoi zamiast *ą*. Na wszystkich innych miejscach Psałterza Puławskiego imiesłów ten ma dziś używaną formę na *ąc*, np.: badając, psalm 7, czyniący, psalm 9, czekając, psalm 39, odejmując, psalm 45, rozciągając, ps. 103, gdzie w Psałterzu Floryańskim czytamy: *badają*, czynią, czakają, odejmują, rozciągają.

W trybie rozkazującym niknie w Psałterzu Puławskim spójka łącząca końcówkę z tematem słowa i czytamy tutaj: *pojdźcie i słyszcie* zamiast dawniejszych form: *pojdźcie i słyszycie*, jakie są w psalmie 65 Psałterza Floryańskiego. Wszakże i tutaj na inném miejscu Puławski ma dawniejszą formę: *pokaży lice twoje*, a Floryański nowszą: pokaż, w psalmie 80.

Te są wybitniejsze różnice gramatyczne między dwiema różnych czasów redakcyami Psałterza.

Dla historyi języka ogłoszenie *Psałterza Puławskiego* jest niesłychanie ważne, bo na oczy pokazuje, jakim przeobrażeniom ulega w ciągu lat stu język żyjący. Przeobrażenie to, szczególnie na pomniku téj saméj treści najwidoczniéj się okazuje i najłatwiéj da się śledzić. Orzeczenie to czynię jednakże z pewném zastrzeżeniem, bo tyczy się ono tylko całości, a nie na każdém miejscu Psałterza da się dowieść, co ztąd pochodzi, że przekład Puławski nie jest zupełnie nowym przekładem, ale przekładem opartym widocznie na jakimś dawniejszym przekładzie. Tłómacz nowszy modernizował język przekładu, poprawiał go pod względem słów pojedyńczych i zwrotów mowy, a dawne formy deklinacyjne i konjugacyjne zastępował nowszemi,

ale z drugiéj strony często, mianowicie w trzeciéj części końcowéj Psałterza zatrzymywał formy starożytne takie, jakie widzimy w *Psałterzu Floryańskim*. Nawet nieściągane formy słów, już w Floryańskim nie często używane, napotykamy ku końcowi *Psałterza Puławskiego* np. w psalmie 142 wierszu 2: „Wylewaję przed oczyma jego modlitwę i zamęt mój przed nim powiadaję, zupełnie tak samo, jak w *Psałterzu Floryańskim*. Mógłby kto sądzić, że przerabiacz przekładu zwolniał pod koniec w gorliwości odnawiania języka, i brał bez zastanowienia starożytne formy, jakie miał przed sobą w dawnym przekładzie. Odpowiedzi na pytanie o przyczynę tego zaniedbania szukać może należy w słowach położonych na końcu rękopisu: „Niegdy we zdrowiu jest pisan i w wielikiéj chorobie dokonan."

Wobec niezaprzeczonego podobieństwa, zachodzącego między obu przekładami, nastręcza się pytanie, czy dawniejszym przekładem, na którym opiera się *Psałterz Puławski*, nie jest przypadkiem *Floryański Psałterz?* Uważne porównanie jednego z drugim zniewala do oświadczenia, że *Psałterz Puławski* nie polega na Floryańskim, lecz na przekładzie dawnjejszym znacznie od Floryańskiego, który prawdopodobnie służył za podstawę i Floryańskiemu i Puławskiemu. Do tego samego wniosku doprowadziło prof. Nehringa porównanie psalmu 50 w *Iter Florianense* str. 38.

Przeciwko przyjęciu Floryańskiego za podstawę, mówią bardzo wyraźnie starożytne formy, znajdujące się w Puławskim na takich miejscach, na których we Floryańskim, lubo dawniejszym, stoją formy nowsze. W pobieżném tém rozważeniu *Psałterza Puławskiego* nie mogę przytaczać wszystkich miejsc, na których język jego starożytniejszym jest od języka przekładu Floryańskiego, bo nie chciałbym zbyt nużyć czytelnika szczegółami. Niektóre widzieliśmy już przy porównaniu form gramatycznych. Tu poprzestać mogę na wskazaniu kilku wydatniejszych miejsc, okazujących, że źródło przekładu Puławskiego było znacznie starsze od przekładu znanego z rękopisu Floryańskiego.

Do najosobliwszych pod tym względem, wypadnie zaliczyć wiérsz 7 psalmu 40, który w *Psałterzu Floryańskim* tak napisano: „Wyszedw (mylnie zamiast wyszedł) na dwor i mołwił też iste, egrediebatur foras et loquebatur in id ipsum." Miejsce to w *Psałterzu Puławskim* tak brzmi: „Wychadzasze na dwór i mołwiasze też iste." Formy *wychadzasze* i *mołwiasze* są trzecią osobą liczby pojedyńczéj, zaginionego czasu przeszłego niedokonanego (imperfectum) i co do czasu ściśle odpowiadają łacińskiemu tekstowi.

Starożytne to bardzo formy i niewiele ich naliczymy w najdawniejszych naszych pomnikach. Nie można mniemać, żeby nowszy tłómacz Psałterza, żyjący około r. 1500 miał używać jeszcze takich form; z przekładu Floryańskiego nie wziął ich, bo ich tam niemasz na tém miejscu, a przeciwnie są formy stosunkowo bardzo nowe; wziął więc zapewne z innego przekładu, w którym język równie był starożytny,

jak i przytoczone dwie formy. Już to jedno miejsce okazuje dowodnie, że tłómacz *Psalterza Puławskiego* miał pod ręką bardzo starożytny inny przekład, może znów o lat sto starszy od *Psalterza Floryańskiego*.

Ostatni wiersz ps. 89 w *Psalterzu Floryańskim* tak napisany: „I bądź światłość gospodna Boga naszego nad nami, a działa *rąk naszych* spraw nad nami, a działo *rąk naszych* spraw; w *Psalterzu Puławskim:* a działa *ręku* naszych spraw na nas, a działo *ręku naszu* spraw. Nie przeczę, że forma *ręku naszu* mogła być w użyciu jeszcze w wieku XVI, lecz przytaczam ją na dowód, że nie była wzięta z *Psalterza Floryańskiego*, bo ten na tém miejscu ma już liczbę mnogą zamiast podwójnéj.

Mimo te starożytne formy, przejęte zapewne z dawnego wzoru, napisanie *Psałterza Puławskiego* ze względu na inne formy gramatyczne i ze względu na pisownią odnieść należy do końca wieku XV, a nawet może do samego początku XVI.

W końcu winienem zwrócić uwagę na korzyści płynące z ogłoszenia *Psałterza Puławskiego* dla przyszłéj redakcyi obu naszych najdawniejszych Psałterzów. W rękopisach obu Psałterzów znajdują się opuszczenia całych wiérszów i pojedyńczych wyrazów. W *Psałterzu Puławskim* znajdujemy opuszczone wiérsze w psalmach: 95, 102, 116, 129; w *Psałterzu Floryańskim* w psalmach 80, 104. Ponieważ przekład obu bardzo podobny, będzie można dopełnić brakujące wyrazy z drugiego. Są wyrazy tak w jednym jak w drugim błędnie pisane; zmiana jednéj litery czasami niemało sprawia trudności, co dziś, przy pomocy drugiego przekładu, z łatwością można poprawić. W psalmie 93 *Psałterza Floryańskiego* napisano: *Juczachą w duszę prawego* i było niemało łamania głowy z wyrozumieniem słowa juczachą. Teraz mając w Puławskim na tém miejscu Łuczają w duszę prawego, przekonywamy się, że i we Floryańskim należy poprawić na *łuczachą* od słowa *łuczyć* t. j. strzelać z łuku, a potém wogóle godzić w kogo; łuczachą w duszę prawego znaczy: godzili w duszę prawego, w zupełnéj zgodzie z wulgatą *captabant in animam justi*, i w zgodzie ze słownikiem Lindego, któremu słowo *łuczyć* jest znane.

W psalmie 126 wierszu 2 frustra vigilat przekłada *Psałterz Floryański: we prożność czynią*, oczywiście przez pomyłkę zamiast *czują*, jak jest w *Psałterzu Puławskim*. W psalmie 103 *Psałterza Floryańskiego* czytamy *i stworzona będą* et creabuntur, a w *Puławskim* mylnie *i otworzona* będą. Mylne *na pokuszenie* w psalmie 120 z *Floryańskiego*, poprawił już prof. Nehring w *Iter Florianense*.

Niekiedy rzecz zdaje się być wątpliwą; słowa wulgaty psalmu 124: *quia non relinquet dominus virgam peccatorum super sortem justorum* przekłada tłómacz *Psałterza Floryańskiego:* „Bo nie zostawi gospodzin pręta grzesznych *na części* prawych." A w *Puławskim* przełożono: „Bo nie zostawi (gospodzin) pręt grzesznych *nad szczęściem* prawych. Sors między innemi ma rzeczywiście znaczenie

część, ale i *szczęście;* chodzi o to, w jakiém znaczeniu użyte w wulgacie *super sortem?* Tu tylko tekst hebrajski rozstrzygać może, w którym słowom *super sortem* odpowiadają *al goral.* Ponieważ zaś *goral* znaczy los, a następnie to, co komu losem przypadło, mianowicie część, dział dziedzictwa (Chiarini: *Słownik hebrajski*, Warsz. 1829 r., str. 35), przeto *sortem* niewłaściwie oddał tłómacz *Psałterza Puławskiego* przez *szczęście*, bo *goral* oryginału niema znaczenia *szczęście.*

Mając teraz, dzięki ś. p. Janowi hr. Działyńskiemu, wierną podobiznę *Psałterza Puławskiego* i korzystając z sumiennéj pracy prof. Nehringa o *Psałterzu Floryańskim*, moglibyśmy się pokusić o krytyczne wydanie dwu tych nader ważnych pomników. Gdyby im dano tytuł książki do nabożeństwa, możeby się nawet i nakładca znalazł.

Józef Przyborowski.

Złota księgą szlachty polskiéj. Przez Teodora Żychlińskiego. Rocznik drugi. Poznań, 1880 r.

Autor *Złotéj księgi szlachty polskiéj*, w przedmowie do pierwszego rocznika tego dzieła, o którém w miesiącu sierpniu r. z. daliśmy czytelnikom *Biblioteki* sprawozdanie, zapowiedział, że wydawnictwo to prowadzić będzie na wzór *Almanachu gotajskiego*, w poszytach rocznych.

I rzeczywiście, w pierwszych miesiącach roku bieżącego, pojawił się rocznik drugi, który, podobnie pierwszemu, zawiera kilkadziesiąt monografii historyczno-genealogicznych rodzin szlacheckich polskich, poprzedzonych przedmową, zwróconą do czcigodnego Jubilata naszego, Józefa Ignacego Kraszewskiego, któremu tę swoję pracę autor poświęca.

W przedmowie téj p. Żychliński powiada: „że w pracach heraldyczno-genealogicznych ścisłość zupełna jest nadzwyczaj trudną, gdyż co chwila odkrywające się źródła i zamierzchłéj przeszłości skarbnice, obalają wyniki dawniejszych badań, albo rzucają nowe na nią światło."

Ze zdaniem tém w całości, zgodzić się nie możemy, bo chociaż kreśląc dzisiaj monografią pewnéj rodziny, nie możemy o niéj zamieścić wszystkich szczegółów, ukrytych dotychczas w tysiącach ksiąg, tak po archiwach prywatnych, jako téż publicznych, i chociaż wydobywane na jaw przez uczonych badaczy akta, dotyczące przeszłości naszéj dziejowéj, przynoszą nam z każdym rokiem nowe źródła, nowe wiadomości o rodzinach polskich; to jednak skreślony rodowód pewnéj rodziny, na podstawie autentycznych dokumentów, nie ulegnie zmianie z powodu tych nowo odkrytych źródeł. Mogą one wzbogacić niezna-

nemi szczegółami, poprzednio przez nas podane wiadomości i odkryć nowych członków rodziny, dotychczas nieznanych; mogą nawet zmienić sąd, wydany o któréj z wybitnych osobistości przeszłości naszéj dziejowéj, ale podstawy monografii, którą jest rodowód, zmienić nie powinny.

U nas niéma towarzystw heraldycznych: któreby się zajmowały układaniem dokładnych tablic genealogicznych rodzin szlacheckich; któreby czuwały nad tém, ażeby jedne rody nie podszywały się pod drugie i nie przybierały obcego herbu. Ztąd wielka odpowiedzialność spada na autorów heraldycznych, którzyby się prawdy w swéj pracy nie trzymali i zamiast rozjaśniać liczne już dzisiaj kwestye heraldyczne, następcom swoim na tém polu, jeszcze większe zagmatwanie w spadku zostawili.

Z przyjemnością zaznaczyć nam wypada, że jeżeli p. Żychliński w roczniku drugim *Księgi Złotéj*, nie doszedł jeszcze do téj dokładności, którąbyśmy radzi widzieć w pracach heraldycznych, to jednak na téj drodze duże zrobił postępy i że między pierwszym a drugim rocznikiem wielka zachodzi różnica.

Jeżeli jeszcze autor *Złotéj Księgi* zwraca swe oczy, od czasu do czasu, ku legendom herbowym, tak starannie zbieranym przez poprzednich heraldyków i szuka w nich pierwszych pokoleń rodów naszych, czyni to z wielką oględnością, przytacza źródła, z których wiadomości te czerpał, podaje je nie jako prawdę historyczną, ale zachowuje im to miejsce w monografiach, które, jako podania rodowe, zajmować winny. Raz tylko jeden kreśląc monografią domu Wiesiołowskich, odbiegł autor od téj zasady i zamieścił cały szereg urojonych przodków tego domu, poczynając od XIII stulecia.

W całém dziele, wogóle, przebija się większa staranność, a może i wyrobienie w opracowaniu materyałów, z których autor korzystał przy kreśleniu monografii, tak że niektóre z nich znakomicie są napisane. Niemałą jest także jego zasługą, że zamieszcza w swoich rocznikach, nietylko rodziny głośne, czyto w przeszłości czy w teraźniejszości, ale i rodziny zupełnie dotychczas nieznane.

Zwrócić nam jednak należy uwagę autora *Złotéj Księgi*, ażeby, opisując pewne zdarzenia, lub oceniając wybitniejsze postacie rodzin, których monografie kreślił, starał się o ile możności być zwięzłym, streszczał to, co w innych autorach o nich znalazł i bezpotrzebnie nie rozszerzał się nad przedmiotem, nużąc uwagę czytelnika powtarzaniem całych ustępów z dzieł obcych.

Na usprawiedliwienie tego zarzutu przytaczamy, że kiedy Bartoszewicz w przypisach do historycznych pamiątek Święckiego, w kilkunastu wierszach potrafił dokładnie odmalować, znaną postać Franciszka Ryxa, starosty piaseczyńskiego, autor *Złotéj Księgi* aż dziesięć stronnic jéj poświęcił, powtarzając dosłownie to wszystko, co Wojcicki, Schmitt, Kraszewski i Kalinka o sprawie Dogrumowéj powiedzieli.

Jeżeli o Ryxie, kamerdynerze królewskim, p. Żychliński tyle potrafił napisać, zapytujemy się, do jakich rozmiarów dojdą następne roczniki, jeżeli w nich autor będzie chciał pomieścić monografie prawdziwie wielkich i zasłużonych krajowi rodzin, w których nie jednostki, ale całe pokolenia jedne po drugich, nie królowi, ale krajowi wiernie służyły.

Tym większy nacisk kładziemy na zbyteczną obszerność niektórych szczegółów, zamieszczonych w monografiach, że autor w przedmowie powiedział: że z układu tego rocznika przekona się każdy o zakresie i formie, jakie da Bóg szczęśliwie doczekać, zamierza dalszym nadać rocznikom.

O ile w dziele heraldyczném, za konieczne uważamy, przytaczanie źródeł zkąd autor czerpał wiadomości, a to dla łatwiejszego sprawdzenia ich wiarogodności, o tyle znów uważamy za zbyteczne i niemające żadnego celu, zamieszczanie w całości takich dokumentów, które żadnéj wartości historycznéj niemają. Nominacye na szambelanów, konsensa na cedowanie starostw, cesye takowych, nadania królewszczyzn, są to wszystko akta tak pospolite i każdemu znane, że w dziele przeznaczoném nie wyłącznie dla rodziny, ale dla szerszego koła czytelników, pomieszczenia znaleźć nie powinny.

Również anegdotek w rodzaju tych, jakie autor o pięknym i znakomicie tańczącym Maurycym Dębskim, lub o pobycie pana Piotra Dębskiego w Tulczynie przytoczył, nie powinien p. Żychliński w monografiach historyczno-genealogicznych zamieszczać, gdyż ani z historyą, ani z genealogią niemają nic wspólnego, a dzieło jego mogłoby zczasem na powadze ucierpieć. Właściwe jest dla nich miejsce w pamiętnikach lub opowiadaniach.

Te są, podług nas, ogólne zalety i wady rocznika drugiego *Złotéj Księgi;* obecnie przystępujemy do sprostowania mylnie podanych wiadomości w monografiach, o ile je przy przejrzeniu *Złotéj Księgi* dostrzegliśmy i o ile na to, posiadane przez nas materyały heraldyczne pozwalają. Idziemy porządkiem alfabetycznym.

Bojanowski Stefan nie mógł być podkomorzym poznańskim w latach 1624—1664. W 1624 roku został podkomorzym poznańskim Andrzej Opaliński (*Metr.* ks. 169 f. 476), po nim w tymże roku został Maniecki (*Metr.* ks. 172, f. 233), o którym jest jeszcze wzmianka, pod r. 1637 w *Voluminach Legum.* W latach 1641—1649 piastuje ten urząd Łukasz Opaliński (*Vol. Leg.*) w 1652 r. Władysław Leszczyński (*Vol. Leg.*), a w latach 1659—1662 Jan Opaliński.

Tenże Stefan Bojanowski nie mógł założyć miasta Bojanowa w 1638 r., gdyż jak nas Baliński w *Starożytnéj Polsce* naucza, jeszcze Stefan Batory przywilejem z r. 1583 dozwolił Stanisławowi Bojanowskiemu wieś tę podnieść na stopień miasta, nadając mu prawo niemieckie; przyczém ustanowione w niém zostały tygodniowe targi i cztery jarmarki.

Borkowski Maciej h. Junosza miał brata Wojciecha, którego córka Małgorzata, rezygnuje mu w 1445 r. część Borkowa (*Metr.* ks. 3,

f. 317). Tenże Maciej nie czterech a pięciu zostawił synów: Jakusza, Marcina, Pawła, Jana i Zygmunta, o czém świadczy nadanie im w roku 1450 przez księcia Bolesława mazowieckiego, dwu łanów w Borkowie (*Metr.* ks. 4, f. 136).

Do szczupłych wiadomości, podanych o rodzinie Chlebowskich, dodajemy następujące. *Akta grodzkie i ziemskie czerskie perpetuitatis* wspominają w końcu XVII i w początkach XVIII stulecia o Mikołaju Ignacym Chlebowskim, chorążym chełmińskim, który z Katarzyny Pogorzelskiéj pozostawił synów: Franciszka, chorążego owruckiego, żonatego z Franciszką Kloczewską, Kazimierza, starostę liwskiego, żonatego z Teresą Załuską, Antoniego i córki: Zofią 1-o voto za Kazimierzem Ślubniewskim, 2-do voto za Michałem Szumskim, cześnikiem dobrzyńskim, Elżbietę, żonę Tomasza Prackiego i Annę, żonę Kazimierza Oborskiego. Drugą żoną Mikołaja Ignacego była Rozalia Wierzbowska, córka Mikołaja, kasztelana kowalskiego.

Garwaski Stanisław, sekretarz królewski i starosta gostyński, został nie w 1587 r., lecz w 1600 r. kasztelanem płockim (*Metr.* ks. 145, f. 13). Paweł, starosta wyszogrodzki i pisarz ziemski płocki, w 1613 roku kasztelan sierpski, a w 1616 r. kasztelan płocki, umarł w 1618 r. (*Metr.* ks. 161, f. 214). Inny Paweł został w 1553 r. kasztelanem sierpskim, umarł 1560 r. (*Metr.* ks. 83, f. 310).

Kęszycki Seweryn miał być starostą obornickim, ale kiedy? Podług przewodnika heraldycznego, w którym monografia téj rodziny także zamieszczona, miał je otrzymać po wstąpieniu na tron Jana-Kazimierza; tymczasem starostwo to trzymali małżonkowie Skórzewscy w latach 1640—1655, po nich otrzymał je Chryzostom Skórzewski, a w 1660 r. miał je już Aleksander Ludwik Wolff (*Metr.* ks. 186, f. 230; ks. 196, f. 103; sig. 3, f. 56 i *Vol. Leg.* r. 1669).

Mylnie autor *Złotéj Księgi* we wstępie do monografii Koszarskich, zaliczył do niéj członków rodziny Bogackich, piszących się pierwotnie z Dobrzankowa, noszących przydomek „Wąż," lecz do herbu tego nienależących. Bogaccy są herbu Prawdzic, o których bezzasadnie Niesiecki pisał pod h. Wąż, gdyż ich już pod Bogackimi zamieścił: „Bogaccy h. Prawdzic w mazowieckiém województwie kwitną. Stanisław, kasztelan ciechanowski, córka jego za Brzeskim; Mikołaj, brat Stanisława, wojewoda mazowiecki 1478 r." etc. Również i Paprocki herb Prawdzic im przypisuje.

Krasicki Jakób II, żyjący w pierwszéj połowie XVI st., nie mógł być starostą przemyskim, gdyż starostwo to, przez cały ten przeciąg czasu, pozostawało w rękach Kmitów. W 1502 r. otrzymał je Stanisław Kmita, wojewoda bełzki, po Mikołaju z Bobolic (*Metr.* ks. 17, f. 292); Stanisław um. 1511 r., a po nim wziął to starostwo Piotr Kmita, po śmierci którego, zaszłéj w 1553 r., otrzymał je Spytek z Zakliczyna Jordan, kasztelan sandecki (*Metr.* ks. 30, f. 84 i ks. 84, f. 354). Podług przewodnika heraldycznego miał ten Jakób piastować urząd wojskiego, a następnie sędziego ziemsk. przemyskiego.

Krasicki Jan z Zuzanny Pieniążkównéj nie trzech, lecz czterech zostawił synów; przekonywa o tém akt z r. 1607, którym ustanawia opiekę nad Janem, Marcinem i Mikołajem synami, Elżbietą i Anną córkami (*Metr.* ks. 152, f. 75). Wojciech, najstarszy, mógł być już pełnoletnim i dlatego w akcie tym opuszczony.

Córka Marcina Krasickiego N. nie mogła być żoną Krzysztofa Koniecpolskiego, wojewody bełzkiego, gdyż, podług rodowodu Koniecpolskich, Krzysztof miał dwie żony: *a*) Zofią, księżniczkę porycką i *b*) Konstancyę Stanisławską. W 1665 r. ustanowioną została opieka nad dziećmi tegoż Krzysztofa, zrodzonemi ze Stanisławskiéj (*sig.* 9, f. 76).

Podług *Złotéj Księgi* Stanisław Krasicki, kasztelan przemyski, miał trzy żony: Żórawińską, Jakubowską i z Wysokiego Kurzańską. W metryce koronnéj o Jakubowskiéj wzmianki niéma, a tylko o pierwszéj jego żonie, Katarzynie Żórawińskiéj i o Annie, córce Jerzego Pietkowicza Jodki z Wysokiego, wojskiego brzeskiego. Téj ostatniéj Jerzy i Marcin, synowie kasztelana, zapisują w 1596 r. dożywocie na dobrach otrzymanych w dziale od ojca (*Metr. ks.* 140, f. 3, 6 i 8). Prawdopodobnie więc Kurzańska, z monografii, jest ową Anną, córką Jerzego z Wysokiego, o któréj wzmiankuje metryka koronna.

Jerzy, syn Stanisława, zmarł nie podkomorzym sanockim w roku 1689, ale stolnikiem przemyskim w 1687 r. (*sig.* 14).

Adam-Władysław Krasicki umarł podług monografiii w 1677 r. kasztelanem przemyskim, który to urząd miał otrzymać po Wiktorynie Stadnickim. Tak nie jest i albo Adam Krasicki wcale nie był kasztelanem, lub téż data jego śmierci podana jest mylnie. Wiktoryn Stadnicki został dopiéro kasztelanem przemyskim w 1678 r., więc w rok po śmierci Adama Krasickiego. Znani nam są wszyscy kasztelanowie przemyscy, którzy w latach 1661—1684 ten urząd piastowali, lecz między nimi niéma Adama Krasickiego. Pod r. 1661 wspominają *Volumina Legum* o Jacku Lanckorońskim, kasztelanie przemyskim, po śmierci którego w 1672 r. otrzymuje ten urząd Marcin Krasicki (*sig.* 11), po Krasickim w tymże 1672 r. zostaje kasztelanem Andrzej Stadnicki, a po nim w 1678 r. Wiktoryn Stadnicki, który umarł w roku 1684. W tymże więc dopiéro czasie mógł zostać Adam Krasicki kasztelanem i być nim po rok 1687, w którym otrzymał ten urząd Mikołaj Ustrzycki.

Wielka szkoda, że *Autor Złotéj Księgi*, w miejsce przytoczenia niemających żadnego znaczenia aktów, o rodzinie Miączyńskich, nie podał nam w całości dokumentów udowodniających, że Jan Tworzyański h. Habdank, nabywszy w 1473 r. część Miaskowa, nietylko że przezwał się Miaskowskim, ale zamieniwszy herb swój własny na Bończę, stał się protoplastą rodziny Miaskowskich. Byłoby to ważnym przyczynkiem do heraldyki krajowéj, stwierdzającym zdanie niektórych heraldyków, którego zresztą nie podzielamy, że jeszcze w końcu

XV st., szlachta łatwo herby zmieniała, nawet dla tak błahego powodu, jakim było kupno części wioski.

Z Leliwitów-Miaskowskich Łukasz-Kazimierz, podsędek, a następnie sędzia podolski, z Kalińskiéj nie dwu, lecz czterech zostawił synów: Stanisława, Wojciecha, chorążego nowogrodzkiego, a następnie podolskiego, Seweryna i Łukasza, o czém przekonywa konsens królewski, dany w 1638 r. temuż Łukaszowi, na zcedowanie dóbr Kopajgrodu wymienionym wyżéj synom (*Metr.* ks. 183, f. 163). Wojciech dwa razy ponawiał śluby małżeńskie; pierwszą jego żoną była Anna Krzeczowska, a drugą dopiéro wymieniona w monografii Jordanówna (sig. 3, f. 176; sig. 12. f. 11).

Miączyński Atanazy mylnie przy akcie nr. 2 nazwany podkomorzym nadwornym. Podług aktu tego, jest starostą krzepickim, pułkownikiem i dworzaninem pokojowym.

Nie jasny jest wywód pierwszych pokoleń rodziny Morykonich, osiadłych w kraju naszym. Podług *Złotéj księgi*, synowie Marka-Antoniego: Ferdynand i Bartłomiej, mieli pierwsi do kraju naszego przybyć. Tymczasem akta autentyczne przekonywają, że jednocześnie z Ferdynandem był w kraju naszym i Marek-Antoni. Pod r. 1656 Friedanus Morykoni jest urzędnikiem skarbu litewskiego (*Metr. ks.*, 199, f. 57); wspominają o nim i konstytucye z r. 1659 i 1661.

Daléj pod r. 1658, 59 i 68 znajdujemy wzmianki o Marku-Antonim, administratorze akcyzy w powiatach krakowskim i bieckim, sekretarzu królewskim (*Metr. ks.*, 201, f. 138, *sig.* 1, f. 134 i *sig.* 10, f. 95). Indygenat zaś dany Scypionowi, Janowi i Karolowi w 1673 roku, zupełnie nas nie objaśnia, czyimi byli synami.

Spis dygnitarzy rodziny Niszczyckich, podany podług Paprockiego i Niesieckiego, jest niedokładny, jeżeli nie co do samych urzędów, to przynajmniéj co do daty, w któréj takowe piastowali. Andrzej nie mógł być wojewodą bełzkim w 1480 r., gdyż na tym urzędzie był Dobiesław z Byszowa w latach 1479—1485 (*Akta grodzkie i ziemskie*, t. III). Krzysztof nie w 1620 r., lecz przed r. 1617 był wojewodą bełzkim, gdyż w nominacyi Prusinowskiego z tegoż 1617 r., powiedziano, że obejmuje ten urząd po śmierci Niszczyckiego.

W monografii Piegłowskich muszą być pewne niedokładności, których dla braku odpowiednich dokumentów, nie jesteśmy w stanie usunąć.

Stanisław, syn Bartłomieja, będąc starostą ujskim, został w 1691 r. chorążym zatorskim i oświecimskim, a w 1694 r. (nie zaś w 1697 r.) kasztelanem oświecimskim (Sig. 15). Umarł w 1700 r., a po nim kasztelanem został Jan Piegłowski, skarbnik krakowski (Sig. 15), który umarł w 1714 roku.

Błeszczyński opuściwszy Jana Piegłowskiego, w swoim spisie kasztelanów oświecimskich, mylnie podał datę śmierci Stanisława na r. 1714, a to z powodu, że w następnych nominacyach powtarzano, że ka-

sztelaństwo to oddaje się po śmierci Piegłowskiego, bez wymienienia imienia Jana.

Powyżéj wymieniony Stanisław otrzymał w 1688 r., konsens, na zcedowanie starostwa ujskiego synowi Józefowi (Sig. 14), lecz kiedy je zcedował, niewiadomo. To tylko pewna, że Józef nie żył już w 1701 r., w którym wdowa po nim Marya Franciszka Niszczycka trzymała sama to starostwo, na zcedowanie którego Rybińskiemu, otrzymała konsens w 1703 r.

Wobec więc powołanych dokumentów, oraz téj okoliczności, że podług monografii, synowie Stanisława kasztelana mieli zawrzéć układ działowy w 1730 r., to jest w trzydzieści lat po śmierci ojca, fakt niezmiernie rzadki między rodzeństwem w XVIII stuleciu, oraz że syn jego Józef, który podług metryki koronnéj nie żył już w 1701 r., miał zostać aż w 1775 r. kasztelanem słońskim; zdaje się prawdopodobniejszém, że Jan, drugi kasztelan oświecimski, był synem Stanisława i że wymienieni czterej synowie, którzy w 1730 r., działu dopełnili, byli jego synami, a ztąd w akcie działowym nazwani kasztelanicami oświecimskimi.

Pięknie skreślona monografia Rozdrażewskich zgodną jest zupełnie co do linii na Ponsdorfie i Krotoszynie, z posiadanym przez nas rodowodem téj rodziny, sporządzonym z akt urzędowych jeszcze w zeszłém stuleciu. Z rodowodu tego uzupełniamy i prostujemy monografią w niektórych szczegółach. Wacław, syn Jana, kasztelana międzyrzeckiego, nie z Orzelskiéj, lecz z Barbary Rychwalskiéj zostawił syna Wacława, zmarłego w 1621 r. Ten zaś z dwu żon: Katarzyny Pierzchlińskiéj i Anny Orzelskiéj, zostawił synów: Władysława i Stanisława, na których ta linia wygasła i córek cztery: Dorotę Gostyńską, Annę Cielecką, Maryannę Mielińską i Elżbietę Złotkowską. Że nie pierwszy Wacław, zmarły w drugiéj połowie XVI stulecia, lecz syn jego dopiéro żonaty był z Anną Orzelską, dowodzi także notatka jéj matki Elżbiety Orzelskiéj, zamieszczona w *Annales domus Orzelsciae.* Roku 1608 wesele córki mojéj Anny trzy niedziele przed zapusty, która poszła za pana Rozrażewskiego z wielkim moim żalem, za podeszłego bardzo w wieku człowieka, etc... Stanisław Rozdrażewski, syn Wacława, urodził się podług tych notatek w 1610 r.

Anna, druga córka Jana, kasztelana poznańskiego, była żoną Wacława Leszczyńskiego, kanclerza wielkiego koronnego. Tenże Leszczyński w 1623 r., będąc jeszcze podkanclerzem, wyznacza opiekunów dzieciom swoim, z téjże Rozdrażewskiéj zrodzonym (*Metr. ks.*, str 170, f. 57).

Z linii na Nowém-mieście, z synów Hieronima, Piotr zostawił jednę córkę Urszulę, żonę Marcina Zborowskiego. kasztelana krzywińskiego, a Jan miał trzech synów: Hieronima, Jana biskupa sufragana kujawskiego i Wojciecha. Ten ostatni z niewiadoméj nam małżonki, zostawił czterech synów: Jana, Wojciecha, Stanisława i Hieronima, kasztelana międzyrzeckiego, na których linia ta wygasła.

Co do monografii Wiesiołowskich, to tylko zapytać się musimy autora *Złotéj księgi*, gdzie napotkał protoplastę tego domu Macieja Ogończyka z Wiesiołowa, żyjącego w 1247 r., syna jego aż dwojga imion Jana Jakóba (1270 r.) i wnuka Jana, zmarłego około 1340 roku. Podług nas, są te osoby zupełnie zmyślone, jak są zmyślone daty urodzeń i śmierci Stanisława, siostry jego Maryi i dalszych ich pokoleń. Metryk wówczas nie znano, a Wiesiołowscy zamało znaczącą byli rodziną, ażeby roczniki ówczesne przechowały potomności daty ich urodzeń, a spominki, lub kalendarze datę ich śmierci.

Wiesiołowski Mikołaj, krajczy W. Ks. Lit., a nie koronny (*Metr. ks.*, 176, f. 245, *Metr. ks.*, 179, f. 91; r. 1628 i 1630). Jan, ze stolnika podlaskiego, nie w 1621 r., lecz w 1623 r., został podkomorzym pomorskim (*Metr. ks.*, 170, f. 301); umarł kasztelanem elblągskim nie w 1639 r., lecz w 1642 r. i po nim nie Stanisław Działyński, ale Jan Koss, chorąży chełmiński, kasztelaństwo to w 1643 roku otrzymał (*Metr. ks.*, 185, f. 476). Działyński Stanisław z kasztelana gdańskiego, jeszcze w 1637 r., został kasztelanem chełmińskim (*Metr. ks.*, 182, f. 251).

Wybranowski Zygmunt podług metryki koronnéj miał dwie żony. Pierwszą Katarzynę Tinnaglin, któréj w 1627 r., zapisuje 3000 fl. (*Metr. ks.*, 176, f. 290). Był on wówczas piwniczym królewskim. Drugą jego żoną była Maryanna z Radzanowa Żabicka, która w 1661 roku, różne królewszczyzny ustępuje synowi Janowi (*Metr. ks.*, 202, f. 246). Córka jego Teresa wyszła za Walentego Sobolewskiego.

Zygmunt ze stolnika warszawskiego, nie podczaszy, ale cześnik koronny, otrzymał w 1657 r., województwo derpskie, nie po Andrzeju Leszczyńskim, lecz po dobrowolném zrzeczeniu się Aleksandra Ludwika z Ludinghausenu Wolffa (*Metr. ks.*, 196, f. 121).

W monografii Żelechowskich prostujemy mylnie podane pierwsze pokolenia rodziny Ciołków, któréj jedna gałąź dziedzicząc na Żelechowie, od dóbr tych przyjęła nazwisko.

Znanym protoplastą tego domu jest Andrzej, dziedzic Powsina, wojewoda mazowiecki, który podług spominków o Ciołkach (*Monumenta*, t. III, f. 267), umarł otruty 1396 r. Podług tychże spominków nie Jan, lecz jego właśnie brat Stanisław, był owym sławnym siłaczem.

W 1425 r. córka tegoż wojewody Anna, zrzeka się dóbr ojczystych i macierzystych na rzecz braci swoich rodzonych: księdza Stanisława Ciołka, podkanclerzego koronnego, Andrzeja, podkomorzego sandomirskiego, Viganda, chorążego czerskiego (następnie kasztelana) i Klemensa z Bielan.

Andrzéj Ciołek, podkomorzy sandomirski, pisał się z Żelechowa (*Akta grodzkie i ziemskie*, t. V, r. 1427; Rzyszczewski i Muczkowski, r. 1434 i *Vol. Leg.*, r. 1436) i pozostawił dwu synów: Mikołaja i Andrzeja, dziedziców Żelechowa, na prośbę których w 1447 r. Kazimierz Jagiellończyk ustanawia jarmark w tém mieście i uwalnia mieszczan

od opłat myt i ceł (Baliński: *Starożytna Polska*). Od tychże dwu braci idą Ciołkowie Żelechowscy.

Na tém kończymy sprawozdanie nasze o drugim roczniku *Złotéj księgi*.

Powtarzamy to, cośmy wyżéj powiedzieli, że rocznik ten o wiele przewyższa pierwszy; mamy więc nadzieję, że p. Żychliński doskonaląc się w tak umiłowanéj przez siebie nauce heraldycznéj i powoli zapoznając się ze źródłami, z których głównie winien czerpać wiadomości do swéj pracy, z czasem sam najlepiéj pozna błędy, których się poprzednio dopuścił, uniknie ich w następnych rocznikach i dziełem swém prawdziwy pożytek krajowi przyniesie.

Adam Boniecki.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Czerwiec 1880.—Uroczystość jubileuszowa Jana Długosza oddziałała tak dobroczynnie na umysły, że pobudziła niektórych przyjaciół nauk do czynów prawdziwie obywatelskich. Za przykładem Tow. historyczno-literackiego w Paryżu, znalazło się więcéj miłośników dziejów, którzy złożyli na ręce Akademii krakowskiéj odpowiedni fundusz, przeznaczony na nagrody za napisanie najlepszych prac historycznych. Akademia wywiązując się z poruczonego sobie zadania, ogłasza następujące dwa konkursa:

I. Dr. Udalryk Heyzman, profesor prawa kanonicznego w Uniwersytecie krakowskim, członek Akademii umiejętności w Krakowie, przeznaczył dla uczczenia czterechsetnéj rocznicy śmierci Jana Długosza, założyciela bursy ubogich kanonistów przy Uniwersytecie krakowskim, 300 złr. na nagrodę za pracę z pamięcią jubilata w związku będącą, któréj w przeciągu trzechlecia dostarczyć mają uczniowie Uniwersytetu krakowskiego. Bliższe określenie warunków pozostawił ofiarodawca zarządowi Akademii w porozumieniu z komisyą historyczną téjże.

W skutek téj szlachetnéj ofiary rozpisuje się konkurs do dnia 1 czerwca 1884 roku, jako ostatniego terminu złożenia prac do rąk prezesa Akademii. Prace te pochodzić mogą tylko od zapisanych na Uniwersytet krakowski zwyczajnych uczniów, lub tych, którzy do końca kursu letniego roku 1881 jako zwyczajni uczniowie tegoż Uniwersytetu byli zapisanymi. Z sumy 300 złr. ustanawia się nagród dwie: 200 złr. za pracę najlepszą, 100 złr. za pracę do najlepszych zaletami się zbliżającą. Aby uniknąć kolizyi pracujących w użytkowaniu ze źródłowych książek w bibliotekach, ustanawia się cztery równorzędne tematy z epoki Długosza (1415—1480) wzięte, a mianowicie: 1) *Stosunek Polski do soboru bazylejskiego, podług dziejów Jana Długosza i innych źródeł;* 2) *Sprawy węgiersko-polskie od śmierci Władysława Warneńczyka do r. 1458;* 3) *Jana Długosza służba publiczna od roku 1466—1480;* 4) *Zatarg i wojna Kazimierza Jagiellończyka z Mikołajem Tungenem, biskupem warmińskim.*

Nagrody przysądzone będą na posiedzeniu pełném prywatném Akademii w październiku roku 1884. Manuskrypta pozostaną własnością autorów.

W Krakowie, dnia 7 czerwca 1880 r.

Dr. Józef Szujski, sek. gen. Ak.

II. W. Józef Ulanowski przesłał na ręce podpisanego 100 rubli z przeznaczeniem na wynagrodzenie pracy historycznéj z czasów Jana Długosza (1415—1480), opartéj na jego dziejach, z uwzględnieniem innych odnoszących się do téjże epoki źródeł historycznych.

Akademia umiejętności w Krakowie, któréj ofiarodawca przysądzenie nagrody powierzył, ogłasza niniejszém, że w październiku 1881 roku na pełném posiedzeniu swojém przyzna nagrodę pomienioną najlepszéj pracy z zakresu życia Długosza (1415—1480), opartéj na jego dziejach z uwzględnieniem innych, odnoszących się do tego czasu źródeł historycznych z pomiędzy tych, które jéj przesłane będą w druku lub rękopiśmie do dnia 30 lipca 1881 r. Przedmiot może być w zakresie pomienionego czasu dowolnie obranym, a o ile na Długoszu, jako źródle opartym być musi, nie potrzebuje zostawać w styczności z jego biografią.

Wykluczone są prace, odnoszące się do wieku Długosza, ogłoszone w czasie zjazdu historycznego i na tymże zjeździe zapowiedziane.

W Krakowie, dnia 7 czerwca 1880 r.

Dr. Józef Szujski, sek. gen. Ak.

— Na posiedzeniu wydziału historycznego Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu w dniu 10 maja, odczytał prezes Towarzystwa, p. Stanisław Koźmian, przekład z trzech rozdziałów *Wspomnień podróży misyonarza X. Cabero, Hiszpana*, wydanych w r. 1682. Ks. Cabero pisze w tém dziele także o Polsce, w któréj bawił wkrótce po śmierci króla Michała Wiśniowieckiego i w czasie elekcyi Jana Sobieskiego. Między innemi podaje także szczegóły o posłuchaniach swych u Jana III, od którego otrzymał list do szacha perskiego; daléj daje opisy podróży swéj po Litwie i przytacza niektóre szczegóły rokowań w owym czasie o pokoju między Polakami a Rossyą. Z naszéj strony prowadzili te układy Bniński i Brzostowski.

— *Ziarno*, pismo zbiorowe illustrowane, do którego powzięto myśl z podobnego wydawnictwa francuzkiego p. t.: *Paris-Murcie*, znacznie wcześniej, niźli się ukazały: *Milan-Milan*, *Vindobona*, *Narod sobie* i inne, z powodów od redakcyi niezależnych, dopiéro pierwszych dni czerwca opuściło prasę drukarską. Publikacya ta filantropijna, z któréj dochód przeznaczonym jest na Szlązaków i Sandomierzan, składa się przeszło z trzechset artykulików literackich najrozmaitszéj treści, drobnych obrazków, opowiadań, urywków dramatycznych, sentencyi moralnych, aforyzmów i t. p., wypowiedzianych jużto prozą, już wierszem, a wpośród autorów którzy ich dostarczyli, spotykamy imiona prawie wszystkich najcelniejszych pisarzy polskich, równie jak mię-

dzy malarzami, którzy w liczbie 46, rysunkami swemi *Ziarno* przyozdobili, żadnego z pierwszorzędnych nie braknie; nadto zaś, znaleźli się tutaj i muzycy nasi ze swojemi kompozycyami, oraz artyści dramatyczni. Wszystkie artykuły podznaczone są *facsimilami*, wszystkie rysunki, z wyjątkiem naczelnego, który po ołówku Andriollego wyrytował na drzewie bezinteresownie pan Józef Holewiński, zostały wykonane podług oryginałów przeniesionych na cynkowe blachy fotograficznie. Druk ofiarowali bezpłatnie panowie: Lewental, Orgelbranda Synowie, Unger i Noskowski, z których dwaj pierwsi dostarczyli po dwa arkusze tekstu i rysunków; ostatni zaś okładkę. Zewnętrznie uważane, *Ziarno* nie wygląda tak świetnie jak *Paris-Murcie*, albo jak *Narod sobie*, ustępując im pod względem typograficznym, a jeszcze bardziéj pod względem wytworności papieru; lecz bogactwem i charakterem treści stanowczo je przewyższa. Nie wątpimy więc, że publiczność nasza, tak z uwagi na cel szlachetny, jak i na wartość rzeczywistą téj publikacyi, da jéj należyte poparcie i że się w każdym domu polskim znajdzie ten miniaturowy obrazek współczesnego życia umysłowego u nas.

— W Tarnowie pan Adam Kaczurba rozpoczął od stycznia r. b. nowe wydawnictwo p. t.: *Biblioteka uniwersalna arcydzieł polskich i obcych*. Co miesiąc wychodzi jeden tom dziesięciu arkuszy objętości druku. W wydanych dotychczas sześciu tomach pojawiły się Słowackiego: *Hymn Boga Rodzica*, *Ojciec zadżumionych*, *Anhelli*, *W Szwajcaryi*, *Książę niezłomny* i początek *Maryi Stuart;* A. Bełcikowskiego: *Mieczysław II*; Gaszyńskiego: *Sielanka młodości;* Skargi: *Kazania o miłości ku ojczyznie*, *O mądrości potrzebnéj do rady i o zgodzie domowéj*, Czajkowskiego: *Hetman Ukrainy;* Goethego: *Ifigenia w Tauris* w nowym przekładzie p. Maryi Kurtzmanowéj; Malczewskiego: *Marya*. O ile nam wiadomo, *Biblioteka uniwersalna* zamierza dać całkowity przekład poetycznych dzieł Goethego w nieznaném dotąd a od pewnego czasu gotowém już tłómaczeniu X. C. Również i rozproszone przekłady Byrona mają wejść w jéj skład, a pożądaną byłoby rzeczą, gdyby wydawca mógł się postarać o uzupełnienie przekładu tego wielkiego poety, który pomimo ogromnego swego wpływu na naszą literaturę, do téj pory w całości nie jest naszemu językowi przyswojony. *Biblioteka uniwersalna* odznacza się niezwykłą na nasze stosunki taniością, chociaż zewnętrzna jéj forma jest przytem wcale pokaźna: prenumerata na rok wynosi 4 złr., na kwartał 1 złr. Tym sposobem wszystkie powyżéj w dotychczasowych sześciu tomach wyliczone dzieła, kosztują tylko 2 złr. Jak też słyszeliśmy, znalazło to wydawnictwo bardzo dobre przyjęcie w Galicyi i W. X. Poznańskiém i znaczną, bo aż do tysięcy sięgającą liczbę prenumeratorów, zachęconych tak nadzwyczaj przystępną ceną.

— *Gazette des beaux Arts*, zeszyt kwietniowy 1880 r., zamieściła artykuł: *O Erazmie z Rotterdamu*, przez p. Beniamina Fillon, napisany z powodu nabycia przez niego autografu Erazma z r. 1534. Erazm zapisuje w owym rękopisie stan swoich funduszów, tudzież inwentarz

kosztowności. Pomiędzy monetami znajdujemy w spisie: „dwa duże medale złote króla polskiego Zygmunta, dar od Seweryna Bonara." Pomiędzy pierścieniami, ulubionemi Erazma ozdobami palców, znajdujemy: „pierścień duży z szafirem, dar od biskupa gnieznieńskiego, Polaka; pierścień z opalem, dar Andrzeja Critiusa, biskupa płockiego." Autor artykułu p. Fillon dodaje od siebie uwagę, że arcybiskupem gnieznieńskim był Jan Łaski, wielki prawnik i kanclerz koronny za Zygmunta I. Dodamy, że gdy każdy w Europie starał się miéć stosunki ze sławnym filozofem i filologiem swojego wieku, aby mógł się poszczycić korrespondencyą ze sławnym filozofem, napastowano go różnemi darami. Nisard w dziele swojém p. t.: *Etudes sur la Renaissance*, zapisał np. wiadomość, że pewien klasztor żeński w Polsce posyłał Erazmowi konfitury. *K. P.*

— Zbierając świadectwa o szlachetnych czynach przodków naszych po różnych zakątkach Europy, spotykamy ich bardzo wiele przy rozmaitych zakładach naukowych. W dziele uczonego Teissier (*Eloges des hommes célebres*, Leyde, 1715, t. II, pag. 127) znajdujemy wiadomość, że w kościele katedralnym w Bazylei znajduje się nagrobek, który postawiło trzech młodych Polaków swojemu nauczycielowi Castalio'nowi, z następującym napisem:

Tumulus Castalionis
Jovae opt. max.
Seb. Castalioni Allobrogi
Graecorum Litt. in Acad.
Bas. Professori Celeb.
ob multifariam Eruditionem
et vitae innocentiam
doctis piisque viris
perclaro
praeceptori opt. ac fideliss.
Stanislaus Starzechowski
Joannes Ostrorog et
Georg Niemeta
Poloni
ut et... suorum qui eum
audierunt voto
et privatae pietati
satisfacerent
Ad pub. luctus solatium
H: M: B: M: p.
Obdormivit in Domino
Anno Christi Sal.
M. D. LXIII
IIII Kal. Januarii.
Aetatis suae XLVIII. *K. P.*

— Akademia francuzka przyznała, jak donoszą telegramy paryzkie z dnia 20 czerwca, nagrodę Monthyona Edmundowi Chojeckiemu za jego powieść p. t.: *Zephyrin Cazavau en Egypte*, drukowaną pierwotnie w felietonach dziennika *Temps*.

— W Kołomyi zawiązał się komitet, którego celem jest wzniesienie pomnika poecie Franciszkowi Karpińskiemu w stuletnią rocznicę wydania pierwotnego zbioru jego poezyi. Pomnik ma być wykonany z kamienia pińczowskiego i przedstawi postać Fr. Karpińskiego w 7-stopowéj wielkości. Podstawę tworzyć będzie postument z kamienia szarego, czworoboczny, 11 stóp wysoki. Na jednéj jego stronie imię i nazwisko poety, a na drugiéj pierwsza zwrotka pieśni: *Kiedy ranne wstają zorze*. Wykonania pomnika podjął się rzeźbiarz Gadomski. Odsłonienie nastąpi we wrześniu r. b., podczas wystawy etnograficznéj w Kołomyi.

— Wilhelm Friedrich, nakładzca znanego bibliograficzno-krytycznego organu: *Magazin fuer die Litteratur des Auslandes*, zamierza wydać w Lipsku historyą literatury powszechnéj p. t.: *Geschichte der Weltlitteratur in Einzeldarstellungen*. Literatura każdego narodu stanowić będzie osobną całość, tak jednak, aby wszystkie czyniły zadość ogólnemu celowi. Przewodnią ideą całego przedsięwzięcia jest dążność aby przedstawić w przyjemnéj, żadną wyłączną doktryną nie zamglonéj opowieści—wierny obraz najznakomitszych dzieł każdego narodu. Wyborowe ustępy dzieł najlepszych, w doskonałém tłómaczeniu, często w formie poetycznéj, stanowić mają pożądaną ilustracyą wartości cywilizacyjnéj danego narodu. Z ogromnéj masy pośledniejszych nazwisk i dzieł wskaże się tylko tyle, ile będzie potrzeba dla zachowania pomienionemu dziełu charakteru książki podręcznéj do poinformowania się o najważniejszych szczegółach. Zwrócono przedewszystkiém uwagę na literaturę polską, którą pisze znany chlubnie tłómacz poetów naszych p. Henryk Nitschmann w Elblągu; daléj ma iść *Historya literatury węgierskiéj*, przez prof. G. Heinricha w Peszcie; *Historya literatury francuzkiéj*, przez dr. Edwarda Engla w Berlinie i t. d. Mamy nadzieję, że p. Nitschmann złożywszy piękne dowody gruntownéj znajomości w tłómaczeniu poetów naszych na język niemiecki (*Polnischer Parnass*. Lipsk, 1875, tudzież: *Iris*, *Dichterstimmen aus Polen*. Lipsk, 1880), wywiąże się godnie z ważnego nader dla literatury powszechnéj zadania.

— Wydział prawny Uniwersytetu warszawskiego przyznał w roku bieżącym nagrody za następujące prace studentów: 1) Mieczysława Bieżyńskiego: „Upadek miast polskich, wywołany przez środki prawne.“ 2) Franciszka Olszewskiego: „Policya lekarska w dawnéj Polsce. 3) Antoniego Rembielińskiego: „O znaczeniu *jus gentium*.“ 4) Włodzimierza Diaczana: „O wiecach serbskich.“

Wydział zaś filologiczno-historyczny ogłosił następujące zadania do rozpraw dla uzyskania medali w przyszłym roku akademickim:

1) „Charakterystyka osób, występujących w komedyach Terencyusza. 2) „Rys działalności politycznéj i naukowéj Andrzeja Frycza Modrzewskiego i rozbiór jego *Commentariorum de republica emendanda*" (1551 r.). Przy rozbiorze tego dzieła trzeba wskazać, jakie idee przejął prawdopodobnie Frycz od swoich poprzedników (Kalimacha i Ostroroga) i od luteranów niemieckich, z którymi pozostawał w stosunkach, i jakie nakoniec są oryginalne jego poglądy i zasady. 3) „Tatiszczew, jako źródło oryginalne do dziejów Nowogrodu.

Oprócz tego ogłosił wydział filologiczno historyczny następujące zadania do rozpraw rocznych: 1) „Wpływ Byrona na Malczewskiego" (*Porównanie Dziewicy z Abydos z Maryą*). 2) „Rozbiór historyczny i estetyczny powieści Juliusza Słowackiego: *Lambro*." 3) „Porównanie poglądów Tomasza Szczytnego z poglądami Reja z Nagłowic." 4) „Najnowsze spory uczonych o oryginalność *Sądu Libuszy*." 5) Misterya czeskie XIV stulecia, a szczególniéj krytykowane przez Szemberę misteryum: *Mastickarz*.

— Wyszła w osobnéj odbitce z *Gazety Sądowéj* rozprawa adwokata p. Juliusza Bema p. t.: *Kilka słów o powodach niewprowadzenia do naszego kraju instytucyi sądów przysięgłych*. Warszawa 1880 r., str. 64. Autor przedstawia najprzód stan téj kwestyi w naszym kraju za dawniejszych czasów, rozbiera daléj motywa, które spowodowały Komisyą prawną do tymczasowego wyłączenia sądów przysięgłych z projektu reformy sądowéj w Królestwie Polskiém. Z gruntownego rozbioru kwestyi pokazuje się, że motywa te płynęły wyłącznie z pobudek politycznych i to pod wrażeniem chwili i że są wymownym nader dowodem powierzchownéj znajomości naszego społeczeństwa. Jednostronne, na uprzedzeniach oparte widzenie rzeczy, nie wytrzymuje żadnéj krytyki. Rozpowszechnienie téj sumiennéj, przystępnie dla ogółu napisanéj pracy jest bardzo pożyteczném przy budzącém się zajęciu kwestyami prawno-społecznemi.

— Pan Wojciech Górski, utrzymujący Szkołę realną sześcioklasową męzką, ogłosił z końcem roku szkolnego *Sprawozdanie z trzechletniéj działalności* swojéj szkoły, w którém prócz wiadomości o założeniu szkoły, o programie wykładanych nauk, o podręcznikach szkolnych, znajdujemy wiadomości, odnoszące się do zarządu szkoły i nauczycieli, do statystyki uczniów, do warunków przyjęcia i wysokości opłaty. W końcu przedstawiony jest obraz zwyczajów szkoły, i objawione uwagi pedagogiczne, odnoszące się mianowicie do złych skutków, wynikających ze słabości rodziców i opiekunów, przepychających nieusposobionych dostatecznie synów i pupilów do klas wyższych. Wzmiankę o téj publikacyi czynimy w téj nadziei, że może tak chwalebny przykład wskrzesi znowu dawny naszych szkół zwyczaj drukowania z końcem roku szkolnego programatów, mieszczących w sobie poważne rozprawy członków ciała nauczycielskiego i tworzących pewien łącznik szkoły z krajem. Ubolewać trzeba nad tém, iż tak prędko zaciera się zupełnie w stanie nauczycielskim charakter

obywatelski, co jest ogromnego znaczenia pod względem moralnym i pedagogicznym.

— Według petersburskiego *Herolda* polecił minister Oświecenia Saburow wypracować statut dla *Towarzystw niesienia pomocy niezamożnym uczniom*. Ponieważ była chwila, gdzie w Warszawie był niemały zapał dla takiéj instytucyi, skoroby odpowiednio do potrzeb młodzieży naszéj utworzyć się mogła, przeto należy się spodziewać, że rozporządzenie powyższe nastręczy ludziom dobréj woli sposobność, że będą mogli szczerą swoję intencyą w czyn zamienić. Do takiéj nadziei upoważnia nas ten fakt, że pod dniem 18 (30 maja) p. towarzysz ministra spraw wewnętrznych zatwierdził pięć takich stowarzyszeń do niesienia pomocy ubogiéj młodzieży szkolnéj. Pierwsze z nich ma się opiekować biednymi uczniami progimnazyum Jegorjewskiego, drugie uczniami średnich zakładów naukowych w Kałudze; trzecie uczniami szkół libawskich; czwarte uczniami szkół ekaterynosławskich; piąte uczniami szkoły realnéj w Melitopolu.

— Dnia 18 czerwca odbyła się w Moskwie uroczysta inauguracya pomnika dla Puszkina, pod przewodnictwem Jego Wysokości księcia Piotra Oldenburskiego, w obecności ministra wychowania publicznego p. Saburowa, tudzież około stu deputacyi, wysłanych przez ciała naukowe rossyjskie i inne instytucye z różnych stron Rossyi. Z zagranicy przybył Ludwik Leger, uczony francuzki, zajmujący się powierzchownie sprawą dziejów i literatury ludów słowiańskich. Adresów i telegramów, nadesłanych z zagranicy w dowód hołdu dla znakomitego poety narodu rossyjskiego, przez ciała naukowe i osoby, zajmujące wysokie stanowisko w świecie naukowym lub literackim był szereg niemały. Między innymi znajdowały się listy od Tennysona, Wiktora Hugona, Bertolda Auerbach'a, prof. Jagicza, adres Akademii Nauk w Zagrzebiu, telegram Akademii Umiejętności w Krakowie. Telegram Akademii krakowskiéj jest wedle dzienników rossyjskich następującéj treści: „Dziękując serdecznie za doniesienie o odsłonieniu pomnika Aleksandra Puszkina, Akademia Umiejętności w Krakowie zawiadamia, że w uroczystym tym dniu złączy ona swoje myśli i uczucia ze wspomnieniem o znakomitym poecie, współczesnym naszemu Adamowi Mickiewiczowi, podobnie jak w dążności do ideału piękna, dobra i prawdy łączyły się niegdyś dusze obu poetów. Przez tego rodzaju dążności, poeci stoją na czele swych współczesnych, rozwijają indywidualną samodzielność narodu, mają niezaprzeczone i święte prawo do czci i uwielbienia ogólnego. Oby Bóg dał, żeby ten idealny rozwój pojęć i indywidualnéj samodzielności narodów zbliżył chwilę, w któréj na poznaniu i poważaniu téj indywidualności, oprą się wzajemne stosunki narodów!"

Wedle relacyi dzienników rossyjskich, ma być pomnik Puszkina w Moskwie dziełem prawdziwie wspaniałém, odpowiadającém godnie wzniosłemu celowi, dla którego wzniesioném zostało.

— *Istoriczeskij Wiestnik*, miesięcznik, wychodzący w Petersburgu, w ostatnim zeszycie za miesiąc maj, pomieścił dokończenie

ciekawéj pracy p. Niesłuchowskiego p. t.: *Mickiewicz w Rossyi*, tudzież udatne tłómaczenie *Pamiętników Kwestarza* Chodźki.

— W czasopiśmie niemieckiém *Neues Archiv* tom V, zeszyt 2, znajdujemy pracę p. Gilberta p. t.: *Rękopisma łacińskie w bibliotece st. petersburskiéj* (pochodzące 1-o ze zbioru hr. Załuskiego, 2-do ze zbioru Dubrowskiego, urzędnika w ambasadzie rosyjskiéj w Paryżu, który podczas rewolucyi francuzkiéj zgromadził bardzo wiele rękopisów i dzieł, pochodzących z rozproszonego archiwum Bastylii, z bibliotek klasztornych i w. i. P. Gilbert rozpoczyna przeglądem rękopismów, pochodzących z Saint-Germain-des-Prés).

— W Tylży zawiązało się towarzystwo literackie litewskie, które położyło sobie za zadanie badać historyą i uprawiać literaturę litewską. W tym celu Towarzystwo wydawać będzie w języku niemieckim trzy publikacye, które, jako organa towarzystwa, łączyć będą prace jego członków, nietylko z uczonymi lingwistami i archeologami, ale i z czytającą publicznością, mianowicie: 1) Sprawozdania z prac naukowych i badań archeologicznych zabytków litewskich p. t.: *Mittheilungen.* 2) Zabytki języka staro-litewskiego, podania, pieśni i t. d. pod tytułem: *Thesaurus linguae Lithuanicae.* 3) Wykaz dzieł odnoszących się do Litwy p. t.: *Bibliotheca Lithuanica.*

— W czasopiśmie: *Mittheilungen der K. K. geographischen Gesellschaft in Wien*, nowéj seryi t. XII, nr. 12 z r. 1879 znajdujemy studyum p. Vlach: *O stosunkach etnograficznych południowéj Rusi w główniejszych epokach, od czasów najdawniejszych aż do pojawienia się Słowian w tych okolicach.*

— Pomiędzy rozprawami, które, dla pozyskania stopni naukowych w roku zeszłym drukowano, ma dla nas niemały interes praca p. Wendt: *O narodowości ludów wschodnich marchii niemieckich przed rozpoczęciem germanizacyi tych okolic* (*Die Nationalitaet der Bevoelkerung der deutschen Ostmarken vor dem Beginne der Germanisirung*), Goetynga, 1879 r.

— Pod tytułem: *Slovensky letopis pro historiu topografiu, archeologiu a ethnografiu* wydaje zasłużony a uczony historyk O. Sasinek, były nauczyciel teologii w seminaryum w Bańskiéj Bystrzycy i b. sekretarz rozwiązanéj *Matice Słowackiéj*, już od czterech lat *Kronikę Słowacką*, w któréj mieszczą się bardzo cenne i ciekawe przyczynki do dziejów Słowacyi i Górnych Węgier z ubiegłych wieków. Są w tém wydawnictwie roztrząsane z gruntowną znajomością rzeczy, z przytoczeniem mnóstwa źródeł (także polskich: Lelewela, Bielowskiego i i.), różne kwestye z zamierzchłych dziejów Słowacyi, daléj zebrane są bardzo pracowicie przyczynki do monografii niektórych miast i zamków słowackich i węgierskich, zwyczaje cechowe, różne dawne przywileje w języku słowackim lub łacińskim i t. p. Nie brak także wielu zajmujących szczegółów, odnoszących się do dziejów polskich, któreby snadnie mogły być wyzyskane przez naszych badaczów i dzie-

jopisarzów. *Slovensky Letopis* wychodzi rocznie w czterech zeszytach własnym nakładem wydawcy Sasinka w Węgierskich Skalicach.

— Ojciec Ś-ty Leon XIII pomnożył skarby watykańskiéj biblioteki kilku znakomitemi nabytkami. Między innemi nabyto kilka pergaminowych rękopismów z wieku XII, zawierających Justyniana *Corpus juris* z glosami szkoły bolońskiéj; dwa starożytne egzemplarze dekretów papieża Grzegorza IX z glosami téjże szkoły; daléj kodeks decyzyi roty rzymskiéj z wieku XIV, tudzież obfity szereg ważnych dokumentów z wieku XIV.

— Kontynuator Roczników Baroniusza, O. Generoso Calenzio, przygotował do druku sześć foliantów swojego dzieła, obejmujących peryod sześciu lat i część pontyfikatu Sykstusa V, Urbana VII, Grzegorza XIV i Innocentego IX. W dziele tém znachodzi się bardzo wiele nieznanych dotychczas dokumentów, mianowicie 200 brewów Sykstusa V, Pontyfikaty Klemensa VIII i Leona XI, zapełnią następnych sześć foliantow.

— J. Stevenson przygotowuje wydanie ciekawego nader pamiętnika, pisanego przez Nau, sekretarza Maryi Stuart, który może rzucić nowe światło na charakter i przygody nieszczęśliwéj królowéj szkockiéj.

— Dosyć często powtarza się w literaturze historycznéj to zjawisko, że bez żadnéj zewnętrznéj przyczyny odzywa się chęć rehabilitowania osób historycznych, potępianych przez dotychczasową opinią. Poważni uczeni, zebrawszy nowe dokumenty i wiarogodne świadectwa, rozbierają wartość moralną i historyczną dotychczasowego sądu; a znajdując go często nie zupełnie usprawiedliwionym, starają się oczyścić pamięć osobistości okrytych infamią lub grozą. Zdarza się jednak najczęściéj, że zapał owego *furor apologeticus* przecenia łatwo wartość tych nowych świadectw, a nie rachując się z istotą ogólnego położenia dziejów, zadaleko się zapędza. Nie przeczymy, że sądy potomności mogą być niedokładne; lecz aby je sprostować, na to trzeba faktów nie podejrzanych, trzeba dowodów stanowczych, jasnych jak słońce, ponieważ same dyalektyczne wywody nie mogą tu osiągnąć zamierzonego celu. Uwagę tę nastręczają nam dwa dzieła poświęcone rehabilitacyi dwu Borgiów, a mianowicie:

1) Cesare Borgia, duca di Romagna. Notizie e documenti raccolti et publicati da Edwardo Alvisi. Imola, 1878.

2) Papa Alessandro VI, secondo documentie carteggi del tempo (per A. Leonetti, dr. S. P.; vol 3); Bologna, 1880.

— Trzechwiekową uroczystość Camoënsa i Vasco de Gamy, obchodzono w Lizbonie, trzechdniowemi uroczystościami (10, 11 i 12 czerwca). Żywy a serdeczny nadzwyczaj udział, jaki w uroczystości

téj przyjął król portugalski wraz z całym swoim dworem, pochodził z wielkiego zamiłowania literata-króla do dzieł literackich, przez co przybyło całéj uroczystości bardzo wiele niezwykłego blasku. Rok śmierci autora *Luzyad* będących narodową epopeą Portugalczyków, nie jest dokładnie znany, lubo w kościele, który trzęsienie ziemi w roku 1755 zniszczyło, położono na nagrobku rok 1580. Biedny ten prześladowany śpiewak i waleczny żołnierz w Maroku, Indyach i Chinach, umarł w nędzy; lecz geniusz poetyczny Camoënsa, natchnął ziomków jego szlachetną myślą uczczenia w trzechsetletnią rocznicę śmierci, pamięci narodowego wieszcza. Szczęśliwszym od poety był admirał Gama, który pierwszy opłynął Afrykę i dotarł do Indyi, z któremi zawiązał stosunki handlowe.

— Z otwarcia archiwum ministerstwa spraw zagranicznych rzeczypospolitéj francuzkiéj cieszy się już literatura historyczna bardzo drogocennym nabytkiem, jakim jest nieznany dotychczas rękopis Saint-Simona pod tytułem: *Henri IV*, *Louis XIII et Louis XIV*, zawierający krytyczną paralelę tych trzech panowań.

— Minister rolnictwa i handlu królestwa włoskiego, postanowił wydać bibliografią rzymską od wieku XVI aż do naszych czasów. Publikacyą tę zamierzono ukończyć w przeciągu pięciu lat i zawrzeć ją w pięciu woluminach. Ogromny wpływ cywilizacyjny Rzymu na rozwój wszystkich stosunków ludzkości każe się spodziewać, że dzieło to odda badaczom dziejów wielkie usługi.

— Akademia paryzka stara się o otworzenie dla użytku świata uczonego i dla publiczności, Biblioteki sułtańskiéj w Konstantynopolu, która zawiera wiele skarbów historycznych i literackich z czasów cesarzów greckich. Strata manuskryptów z owéj epoki byłaby dla nauki nadzwyczaj dotkliwą. Generał Sebastiani, będąc posłem francuzkim w Konstantynopolu w r. 1806, prosił napróżno sułtana o pozwolenie zwiedzenia téj biblioteki, ponieważ znajdujące się tamże księgi koranu zostałyby sprofanowane przez odwiedziny giaura. Aby tedy nie drażnić fanatycznych Turków i nie obrazić Napoleona I, podarował mu sułtan kilka kosztownych ksiąg, które przechowane są w „Bibliotheque nationale.” Profesor Sorbony dr. Egger zamierza teraz udać się do rządu z prośbą, aby podjął ponownie rokowania dyplomatyczne z Portą o *skatalogowanie* téj biblioteki. W ten sposób mnóstwo dzieł klasycznych z literatury bizantyńskiéj ujrzałoby światło dzienne i to, co dla Turków martwym jest kapitałem, stałoby się dla świata uczonego nieocenionym skarbem. Według raportu dr. D. H. Müller, dozwolił już sułtan Abdul-Hamid otworzyć bogate skarby księgozbioru sułtańskiego i innych bibliotek konstantynopolitańskich. Mianowana w tym celu komisya zajmuje się skatalogowaniem rękopisów główniejszych bibliotek w Konstantynopolu.

— Księgarnia Siegfried'a i Mittlera w Berlinie wydała I-szy tom *Rocznika nauk historycznych* (*Jahresbericht der Geschichtswissenschaft*), który powinien się znajdować w ręku każdego badacza dziejów, zawiera bowiem nietylko tytuły, ale i szczegółowy rozbiór ważniejszych dzieł historycznych, wydanych w r. 1878. Przegląd ten dzieli się na 3 części, mianowicie: 1) wieki starożytne; 2) średnie i 3) nowsze. W każdym z tych działów podane są dzieła podług pojedyńczych krajów w porządku chronologicznym. Uczeni: Abraham, Hermann i Edm. Meyer, zajmowali się tą publikacyą, która nie pozostawia nic do życzenia tak pod względem dokładności naukowéj, jako i praktyczności.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **Feliks Jezierski.**

Wydawca *Józef Berger.*

Od Redakcyi.

Przypominamy uczonym polskim o dwu konkursach, ogłoszonych przez Bibliotekę Warszawską, mianowicie: 1-szy na temat, mający za treść **Przedstawienie obrazu obywatela wieku współczesnego**, z terminem do 30 grudnia 1880 r.; 2-gi na temat: **Historya języka polskiego**, z terminem do 30 czerwca 1881 r., których bliższe szczegóły ogłoszone w zeszycie lipcowym 1879 r.

Nadmieniamy przytém, że Redakcya Bibl. Warsz. przygotowuje trzeci konkurs imienia J. I. Kraszewskiego, z dziedziny oświaty ludowéj, którego szczegóły niebawem ogłoszone będą. Konkurs ten utworzony został z funduszu, jaki złożyło na ten cel miasto Kalisz w r. zeszłym, z okoliczności jubileuszu Kraszewskiego, dla uczczenia zasług Jubilata.

OBRAZ HISTORYCZNY

CYWILIZACYI SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

W WIEKU XII *).

PRZEZ

Dr. Stanisława Smolkę.

Gospodarstwo. Rybołówstwo. Budownictwo. Hodowla bydła. Rolnictwo.—Ludność nieswobodna. Niewola. Jeńcy wojenni. Handel niewolnikami. Zubożenie: drogą do niewoli i do osiadania na cudzym gruncie. Czynszownicy.—Chłopi przywiązani do gruntu. Osady chłopskie: rolnicze, rybackie, bobrownicy, skotniki, koniarze. Osady służebne: rzemieślnicze i dworskie. Narocznicy i dziesiętnicy.—Ludność swobodna. Znaczenie posiadłości ziemskiéj. Dziedzictwo.—Dziedzice małego gruntu. Władyczęta. Władyki, rycerze. Polskie władyctwo, a rycerski romantyzm. Dwór i włości władyki.—Panowie, magnaci. Prandota. Wojsław. Piotr Włostowic. Posiadłości z daru książęcego. Zbilut obdarzony kasztelanią. Pierwszy pokwit możnowładztwa.—Posiadłości kościelne. Miasta przy stolicach biskupich. Handel. Żydzi. Ludność, obwarowanie, fizyognomia miast.—Uobyczajenie społeczeństwa. Polska pogańska, a Polska Krzywoustego.—Rzut oka w przyszłość.

Społeczeństwo.

Gallus chwali sobie w lesistéj Polsce „obfitość chleba i mięsa, ryby i miodu.” Niejedno, czego sama ziemia nie dała, przyniosły zwycięzkie wojny z bogatszém sąsiedztwem, a choć ludność kraju, na swojém poprzestając, nie skorą była do handlowych zabiegów, to już kupcy postronni dla własnego zysku zostawiali jéj obcy towar w zamian za to, czego naród z produktów własnéj ziemi zużyć nie potrzebował,

*) Drukując ten ustęp dzieła: *Mieszko stary i jego wiek*, któremu Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu przyznało nagrodę konkursową,

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

tak, że według słów przybyłego z dalekich stron historyografa, ani srebra ni złota w Polsce nie brakło. Bujna przyroda, na tak znacznéj przestrzeni odosobnionego kraju pierwotną jeszcze dziewiczością tchnąca, zaspokajała sama wielką część potrzeb narodu, z małym tylko pracy ludzkiéj wysiłkiem. Przy obfitości zwierzyny i leśnego miodu, przy słynnéj rybności rzek i jezior, dość było wyciągnąć tylko rękę po te surowe produkta ojczystych wód i lasów, by głodu nie zaznać. Ale od wieków już ludność ziem polskich, jak wszyscy Słowianie, wyszła była ze stanu plemion łowieckich i rybackich, a wziąwszy sobie lemiesz za godło pracy i życia, związała się nim tém ściśléj z glebą rodzinną, która tyle poprzednich już wyżywiła pokoleń. W całém téż swém pierwiastkowém jeszcze wprawdzie, lecz zdolném do dalszego rozwoju stanie życia doznawał naród od niepamiętnych czasów cywilizacyjnych dobrodziejstw rolnictwa.

Nie była jednak Polska jeszcze tym krajem nawskroś rolniczym, jakim ją dopiéro późniejsze uczyniły wieki. Nie mogąc ani nie potrzebując zapełniać spichrzów dalekiego Zachodu obfitym plonem swojéj gleby, wydobywała z niéj tyle zboża tylko, ile jéj własne potrzeby wymagały. Niemało wprawdzie statków kupieckich snuło się po wodach Baltyku, aż na daleki Wschód, do portów czudzkich, do handlowych emporyi północnéj Rusi zmierzając; ale nie zbożem jeszcze naładowane były ich barki, lecz bursztyn wybrzeży pruskich i pomorskich, wosk, bogate futra i skóry zwierzęce były głównym artykułem baltyckiego handlu. Odkąd przedsiębiorcze miasta niemieckie rozsiadły się na Baltyckiém wybrzeżu, wówczas dopiéro otwarły się Polsce wrota zbożowego handlu z Zachodem, podniecając bujny rozwój krajowego rolnictwa. Pod koniec rządów Krzywoustego nie było jednak poco szkutom zbożowym zdążać Wisłą lub Odrą, wśród puszcz leśnych, ku Baltykowi. Od lat kilku dopiéro ujścia Odry i Wisły należały do Polski; nad przystanią wiślnéj delty, która późniéj jeżyła się lasem masztów,

---

wyrażamy wdzięczność szan. profesorowi za to, że nastręczył *Bibliotece Warszawskiéj* sposobność zaznajomienia publiczności naszéj z przedmiotem, odnoszącym się wprawdzie do dalekiéj przeszłości; ale żywotnym przez ściśle naukowe jego przedstawienie dla pożytku dzisiejszych pokoleń. Żywotność bowiem pracy w piśmie peryodycznem nie polega wyłącznie na tém, aby koniecznie płynęła z dzisiejszych wypadków codziennych, ale zależy także w znacznéj części od tego, aby każdy przedmiot wyłożony był w świetle i ze stanowiska *dzisiejszéj* nauki. Ponieważ praca sz. profesora czyni zadość temu warunkowi, przeto tuszymy sobie, że czytelnicy *Bibl. Warsz.*, dbający o jasny pogląd na wszystkie żywotne momenta przeszłości narodu, z przyjemnością spojrzą na ten ustęp obrazu życia przodków swoich, nim go ogół ujrzy w całości w odpowiedniém dziele, z całym uczonym aparatem bibliograficzno-krytycznym. Za zgodą bowiem autora opuszczamy wszystkie cytaty źródłowe, zachowując z licznych objaśnień autora tylko te, które w formie relacyi samą treść objaśniają. *Przyp. Red.*

po zboże polskie tutaj przybywających, sterczał tylko samotny zamek gdański, broniąc wybrzeża od korsarzy baltyckich, a choć nad ujściem Odry oddawna już Julin i Szczecin słynęły handlem, to nie po zboże zawijali do ich przystani kupcy z Zachodu. Boć na Pomorzu mniéj jeszcze, niż w Polsce, kwitło rolnictwo. „Ludzie ci," mówi biograf św. Ottona o Pomorzanach, „trudnią się łowami, rybołówstwem, albo wypasem bydła i na tém ich całe bogactwo polega, rzadka jest bowiem jeszcze uprawa ziemi."

Skoro zatém nie było jeszcze pola do wywozu płodów rolniczych, a zdobywanie nowéj ziemi pod orkę, tyle trudności w lesistym kraju nastręczało, nie dziw, że siewano tyle zboża tylko, ile było potrzeba na chleb i piwo, tyle lnu lub konopi, żeby wystarczyły na płótno do ubrania. Tém bardziéj za to kwitło jeszcze, obok rolnictwa, pierwiastkowe gospodarstwo wodne i leśne, nie tyle rąk ludzkich, nie tyle pracy wymagające. Gdzieniegdzie stawiano już w rzekach sztuczne przyrządy, by wygodniejszy i obfitszy połów ryb sobie zapewnić; gdzieindziéj jeszcze po staremu wędki i sieci żywiły ludność nadbrzeżną; na niektórych jeziorach już tylko książę mógł ciągnąć wielki niewód przez całe wód zwierciadło, a okolicznym mieszkańcom wolno było jedynie na brzegu sieci zapuszczać. I łowy na grubego zwierza księciu tylko były zostawione; biedni ludzie niemieli ztąd braku, bo któż z nich, domowéj zagrody i roli zniewolony pilnować, byłby się mógł zapędzać w głębokie ostępy puszcz leśnych na walki z turem, żubrem lub łosiem; niemałéj zresztą od dzieciństwa potrzeba było na to wprawy, by tak grubego zwierza oszczepem położyć. Ale na krańcach lasów, w pobliżu osad, nikt nie bronił biedactwu zastawiać sieci i łapek, w które mniejsza zwierzyna się chwytała, z futra swego i mięsa składając ludziom daninę. Prawdziwém jednak bogactwem dla wszystkich, borami objętych okolic, było bartnictwo leśne, w całéj Polsce z wielką troskliwością pielęgnowane; zwłaszcza, gdzie większe obszary lasu zarastała lipa, tam wszystkie osady dokoła miodem płynęły. Każdy był wówczas bartnikiem [1]) i każdy od dziecka, jak chodzenia lub mowy ojczystéj, tak i sztuki pielęgnowania rojów leśnych uczył się od rodziców. To téż każdy, do tego gospodarstwa leśnego nawykły, umiał się z barcią obchodzić; wiedział, na jakich drzewach ją żłobić, z któréj strony, w jak dalekich odstępach, w jakiéj wysokości od ziemi, by się pszczoły dobrze roiły; wiedział, jak ją wymazać przynętą i od chciwego słodyczy ptactwa ochronić, umiał wreszcie w stosownym czasie obfite plastry podebrać [2]). A choć go przytém nieraz dobrze

[1]) Wnosić to można ztąd, że daniny w miodzie, wszędzie były rozpowszechnione, „mellificia" pojawiają się zresztą we wszystkich niemal dokumentach, od najstarszych począwszy, pomiędzy najpospolitszemi użytkami.

[2]) *O bartnictwie leśném* por. pouczający artykuł w *Obrazach z życia i natury* W. Pola t. II, str. 237 p. n.: *Puszczaki Mazowsza*. Charakterysty-

pszczoły pociągły, to nie żal było bólu, bo nazbierało się podostatkiem przysmaku do omasty suchego chleba i napić się było czego w długich wieczorach zimowych, przy rozpaloném ognisku. Wytrawny miód pomorski i „piwo jaknajstaranniéj przyrządzone," tak połechtały podniebienia bawarskich mnichów, towarzyszy św. Ottona, że nie wydały się lepszym napojem od win falerneńskich, o których sławie z czytania starożytnych poetów zasłyszeli. Wosk wreszcie, jeśli go bartnik nie potrzebował do oświecenia izby, na smolném poprzestając łuczywie, opłacał mu się lepiéj jeszcze od miodu, bo wiele tylko krągów wytopił wśród lata, zawsze znalazł na nie kupca na targu. Na całym świecie bowiem o wosk się dopytywano, tyle go było potrzeba po kościołach i na zamkach pańskich, a mało który kraj w takiéj go miał obfitości, co bartnicza Polska. Nie zwierzyną samą wreszcie i barciami służyły lasy rozsiadłéj na swych brzegach ludności; nie mówić już o użytku z drzewa na opał i budulec, naczynia i wozy, łodzie i korabie, które dla bezpieczeństwa smołą z lasów śpilkowych wylewano. Największém obok barci dobrodziejstwem gospodarstwa leśnego były blizkie osad dębiny, gdzie na obfitéj żołędzi, bez żadnych kosztów, bez żadnego prawie nadzoru wypasały się tuczne trzody wieprzów. One to głównie bez pracy i zachodu dostarczały ówczesnéj ludności pożywienia mięsnego, bydła bowiem niewiele w tych czasach bito, na inny szanując je użytek.

Hodowla bydła łączyła się ściśle z rolnictwem, jako nieoddzielna gałąź gospodarstwa ziemskiego. Pasterstwo w właściwém, etnograficznem znaczeniu tego słowa, nieznane było ówczesnéj Polsce, bo téż cały jéj obszar niemiał do tego przyrodzonych warunków. Życie pasterskie rozwinąć się może tylko na stepie, którego lesista Polska niemiała, albo na halach i połoninach, a grzbiety gór zbyt odległe były wówczas jeszcze od osad ludzkich. To téż tyle bydła tylko wypasano, ile go do uprawy roli i do zaspokojenia niezbędnych potrzeb codziennego życia było potrzeba. Koń służył do pociągu i jazdy, w pokoju i na wojnie; woły w jarzmie chodziły lub u biedniejszych zastępowały w gospodarstwie konia; krowa żywiła rodzinę właściciela mlekiem, masłem i serem; owca, prócz mleka dawała wełnę, z któréj przemysł domowy tkał grube sukna na odzienie: czasem i ona wreszcie ginęła pod nożem, by obok trzód żołędzią leśną wypasanych, mięsem pana nakarmić, a wtedy i skóra przydała się w zimie na kożuch; wszystkim zresztą gatunkom bydła oddaje Gallus sowite pochwały. Ale o przemyśle pasterskim, o wypasie tucznego bydła na sprzedaż, o handlu serem lub wełną pewno mało kto myślał. Obok każdéj osady rozlegało

---

czna organizacya osad bartniczych, w artykule tym opisana, która w tak późne przetrwała wieki, pochodzi niezawodnie w swych głównych zarysach z najodleglejszych czasów.

się pastwisko, którego część zwykle i za łąkę służyła [1]), albo wśród boru na polanach, w pobliżu ról uprawnych albo wraz z rolą mozolnie na pustkowiu leśném zdobyte. Więcéj bydła znajdowało się niezawodnie w rozległych posiadłościach książęcych, biskupich lub niektórych panów bogatych; nie mówić już o licznych stadninach, których wybór pod siodłem rycerskiém na wojnę wyruszał, ale i bydła rogatego większa tam była potrzeba, bo stół pański nie obchodził się bez mięsa wołowego. Łatwiéj też było bogaczom wypasać bydło na rozległych obszarach pastwisk leśnych, o których nie marzyło się ubogim osadom wiejskim, to też i przemysłu pasterskiego może tam już niekiedy próbowano. Niewiele zapewne zmieniły się pod tym względem stosunki w ciągu jednego wieku, a właśnie w sto lat po śmierci Krzywoustego mamy dokładną wiadomość o zdumiewającém bogactwie, jakie biskup włocławski w bydle posiadał: 475 koni bowiem, 575 wołów, 1176 krów, 3174 owiec i 1260 świń pasło się w jego kujawskich i mazowieckich włościach, które co najwięcéj stanowiły dopiéro trzecią część całego uposażenia biskupiego stołu. Takiego mnóstwa bydła nie potrzeba mu było przecież ani do uprawy roli, ani na własny użytek.

Rolę wszyscy niemal uprawiali, znaczna część ludności jéj była wyłącznie oddana, ale i rybak i bartnik i rzemieślnik, każdy miał koło kurnéj chaty, choćby mały ornéj ziemi kawałek, który zasiewał zbożem, lnem lub konopiami. O stanie ówczesnego rolnictwa napróżnobyśmy bliższych szczegółów w źródłach szukali. W czarnych barwach przedstawiają nam go utyskiwania mnichów lubiąskich, którzy w drugiéj połowie XII wieku z ojczyzny swojéj niemieckich kolonistów zaczęli na Szlązk sprowadzać. Przybysze zastawali gospodarstwo ludności miejscowéj w opłakanym stanie: kilkoma kawałkami drewna, niezgrabnie, bez żelaziwa w sochę zbitemi, którą dwie krowy lub dwa woły ciągnęły, poruszano z wierzchu piaszczystą glebę pod zasiew lichego ziarna; o włóczeniu, o nawozie pewno nikt nie myślał i lichy musiał być plon z takiéj uprawy. Ale choć w niejednym zakącie kraju, jak właśnie w niektórych opustoszałych okolicach Szlązka, w istocie nie lepiéj szło gospodarstwo, nie można ztąd wnosić, żeby w całéj Polsce ówczesnéj tak zaniedbana była uprawa roli. Wcześnie już odróżniano dokładnie role orne, łąki, pastwiska, a nawet ogrody, co już dostatecznym jest dowodem, że rolnictwo dawno wyszło było ze stanu pierwotnéj dzikości, a ziemie uprawne stale były oddane pod panowa-

[1]) Pascua i prata rzadko są odróżniane w dokumentach ówczesnych. Por. pod tym względem *O stosunkach francuzkich XI wieku* Lamprecht (*Beiträge zur geschichte des französischen Wirtschaftlebens im XI Jahrhundert*, Leipzig, 1878 r., str. 16). „Man bewahrte wohl eine Weide im Frühjahr eine Zeit lang vor der Hütung und machte sie dadurch zur halben Wiese, oder man eröffnete nach Einbringen des Heus die Wiesen dem Vieh, wie es noch heute häufig geschieht. Damit war bei einigem Sinne für Melioration der Uebergang von Weide in Wiese gesichert."

nie pługa i motyki. Na Zachodzie tymczasem, w wielu nawet lesistych okolicach Francyi, kwitło wówczas jeszcze pierwiastkowe rolnictwo leśne: wypalano część lasu i zasiewano lekko poruszoną ziemię takiego pogorzeliska, pomiędzy resztkami osmolonych pniów, dopóki nowy porost świeżego zalesienia nie zmusił koczującego po borze rolnika do wypalenia innego obszaru [1]). W lesistéj Polsce o takiém leśném, koczowniczém rolnictwie nie słychać; broniła tego może władza książęca, nad staremi borami rozciągając swoję opiekę; inna to bowiem rzecz wykarczowaniem jakiejś części czasu stale przysporzyć ornéj ziemi, a inna trzebić i niepokoić ostępy leśne, przerzucając z miejsca na miejsce lichą uprawę pogorzelin. Chyba na podgórzach było pole do takiego rolnictwa, gdzie tak rzadkie były osady i mało kto dbał o lasy, ciągnące się bez końca grzbietem gór i dolinami [2]); w nizinach, w pobliżu grodów książęcych, były księciu lasy do łowów potrzebne. Na obszarach uprawnych zdawałoby się, że najbardziéj rozpowszechnione mogło być pierwiastkowe gospodarstwo, na corocznéj przemianie ról ornych i pastwisk polegające, za tém przynajmniéj przemawiałaby analogia stanu rolnictwa w podobném stadyum cywilizacyjném narodów zachodnich. Zdaje się jednak, że pastwiska nigdy nie szły pod uprawę, skoro je tak pospolicie od ról ornych stale odróżniano; kto wié zatém, czy już wówczas trójpolowe gospodarsto nie było w Polsce rozpowszechnione. O zasiewie oziminy i jarzyny wczesne w każdym razie napotyka się w źródłach wzmianki.

Z rozmaitych gatunków zboża, najwięcéj uprawiano pszenicy, owsa i jęczmienia; owies szczególnie najbardziéj był rozpowszechniony. Wypiekano z nich chleb i warzono piwo, a byłto napój tak smaczny i umiejętnie przyrządzony, że Polakowi trudno było obejść się bez niego. Wszak Leszek Biały nie mógł dopełnić ślubu krucyaty, w obawie, że mu w gorących krajach piwa zabraknie. Nie dbali téż Pomorzanie o wino, mówi biograf św. Ottona, mając w piwie i miodzie tak

[1]) O rolnictwie na pogorzeliskach leśnych por. Inama-Sternegg: *Deutsche Wirtschaftsgeschichte bis zum Schluss der Karolingerperiode.* 164 n., 405 n. (*O epoce Karolingów i czasach wcześniejszych*). Jak pospolity był ten system gospodarstwa, zwany exartoria we Francyi XI wieku ob. Lamprecht l. c. 21. Por. wogóle o tym rodzaju gospodarstwa rolnego Roscher: *Nationalökonomik des Ackerbaues und der verwandten Urproductionem*, 5 wyd., str. 71.

[2]) Tak np. między Bochnią a Szczyrzycami ciągnął się jeszcze w roku 1262 na przestrzeni 4 mil □ las, który Bolesław Wstydliwy dziedzicom Biegowca cum omnibus utilitatibus tam in arboribus, in terris, in pratis, in agris... pascuis. *Kod. Kapit.* nr. 86. To role wśród tak rozległego lasu, to były może właśnie takie pogorzeliska chwilowo uprawiane. Takie gospodarstwo prowadził może na Podgórzu szlązkiém ów Kołacz, który por multa nemora in circuitu et silvas dominabatur i inni rustici ducis wśród lasów osiedli, o których mówi w *Liber fundationis claustri Heinricho* str. 17, 42 i t. d.

wyborne napoje. Ale jak św. Otton zasadził na Pomorzu winną latorośl, żeby przynajmniéj do Mszy św. było zkąd o wino się postarać, tak i w Polsce ówczesnéj ku temu samemu zapewne celowi służyły głównie dość rozpowszechnione nawet winnice; szczególniéj w Sandomierskiém nie rzadko można się było z niemi spotkać. Dziwna to rzecz wprawdzie, że to wino udawało się w klimacie, który pewno od dzisiejszego nie był łagodniejszym, ale téż niezawodnie i podniebienia ówczesne mniéj drażliwe były na cierpkość napoju, a zresztą do Mszy św. nie potrzeba było wytwornego wina. Zawsze jednak winnice były taką rzadkością, że mało kto umiał się z niemi obchodzić; sprowadzano téż z dalekich stron, z włoskiéj lub francuzkiéj lepszego wina ojczyzny, świadomych téj sztuki mistrzów, od których zczasem i miejscowi ludzie w niéj się poduczali. Do nich téż i wyrób wina należał, jak wogóle przerabianiem surowych płodów ziemi zajmował się ten sam rolnik który je z gleby wydobył, własna rodzina i mąkę mu zmełła i piwo uwarzyła i płótno sporządziła. Kobieca to zwłaszcza była rzecz prząść na wrzecionach, czego się nawet bogate panie nie leniły i, co już cięższą było robotą, zboże mléć na żarnach, przyczém nieraz siła męzka niewieście musiała pomagać. Rzadkością bowiem wielką były jeszcze młyny, choć wody do poruszania kamieni nigdzie nie brakło; snać dlatego, że od wieków wszyscy przywykli, plon własnéj ziemi własnemi w swojéj chacie obrabiać rękami, a do podziału pracy nie przyszła była jeszcze pora. Wszystkie potrzeby codziennego życia zaspokajał przeważnie pierwotny przemysł domowy.

Niemała część narodu składała się z takich ludzi, którzy na małém poprzestając, żyli sami i rodzinę wyżywiali z tego, co ich własna dłoń wraz z rękoma żony i dzieci wydobyć zdołała z małego kawałka dziedzicznéj ziemi ornéj, z wód, nad któremi się urodzili i z lasów, które drobną ich posiadłość okalały. Jeśli posiadłość takiego człowieka zdala od innych osad, leżała odosobniona wśród lasu, choćby mu nikt był nie bronił karczowaniem leśnego pustkowia przysparzać sobie roli pod zasiew, na nicby mu się to nie przydało; gdyż właśnie stać go tylko było wraz z całą rodziną na tyle siły roboczéj, by uprawić ten drobny kawał gruntu, który po ojcu otrzymał w spuściźnie, zebrać zeń plon i dla własnych potrzeb go zużytkować, bo pochodzić koło bydła potrzebnego do uprawy roli, by dopilnować barci w lasach i ryb poddostatkiem w rzekach nałowić. Gdyby mu kto dozwolił na stokroć rozleglejszych gospodarzyć obszarach z tą siłą roboczą, nie zdołałby z nich więcéj wydobyć; dopiéro kiedy rodzina w dalszych pokoleniach szeroko się rozrosła, jeśli jéj nie zdziesiątkowały jakie nadzwyczajne zdarzenia, trzeba było myśleć o czémś nowém. Wszędzie bowiem i na polach uprawnych i w wodach lub lasach więcéj jeszcze nierównie na wpół dziewicza ziemia dawała, niźli naród miał rąk i siły roboczéj, by te dary zgarnąć i na korzyść swą obrócić.

Były jednak w Polsce ówczesnéj rozległe ziemi obszary, do jednego należące pana, który nieraz znacznéj ich części przez całe życie

nie widział, a lemiesza, rok w rok prującego ich powierzchnię, tknąć się nawet nie umiał. Takim panem był książę, jego własnością był cały niemal obszar kraju z nielicznemi, w stosunku do tego ogromu, płatami posiadłości prywatnych. Biskupi wreszcie, zdawna przez szczodrych książąt obfitemi nadaniami wyposażeni i możni panowie świeccy żyli dostatnio z bogatego plonu rozległych włości, po który nigdy sami nie wyciągnęli ręki. Za nich i dla nich pracować tam musiała liczna ludność nieswobodna, która, obok téj ziemi, połowę ich bogactwa stanowiła; bo bez niéj tyle mieliby z nich korzyści, co z zamków zaczarowanych, znanych paniętom z opowiadań piastunki. A że im ziemi nie brakło, że ziemia zawsze więcéj przynosiła, niż dłoń ludzka zebrać zdołała, tém więcéj każdy z nich miał użytków z swych włości, im liczniejsze téj ludności osady roiły się w ich obrębie. Niczém była bez téj ludności włość, dopiero przez nią i z nią razem nabywała wartości ekonomicznéj; to téż niewolno było jéj ruszyć się z pańskich włości i ztąd zwano ją „ludźmi przywiązanymi do gleby" (glebae ascripti, ascripticii), „ludźmi" w ogóle lub „chłopami" [1]), albo poprostu, „niewolnikami" (servi, mancipia) od niewoli, w któréj panom służyć musieli.

Znaczna część zresztą téj ludności nieswobodnéj składała się z niewolników, z jeńców wojennych, lub w dalszych pokoleniach od nich pochodziła; wojna zawsze była głównem tego bogactwa źródłem. Od niepamiętnych czasów to trwało, od tych prastarych wieków przed powstaniem historycznéj Polski, kiedy odrębne plemiona lechickie, żyjąc w odosobnieniu, nieraz w najazdach na ziemię sąsiednich współplemieńców, wraz z innym dobytkiem i ludzi do swoich osad wprowadzały, używając późniéj ich pracowitéj ręki do dalszego wyzyskiwania swéj własnéj ziemi, do któréj uprawy dość siły roboczéj nie było. Tak późniéj ruskie wojny Chrobrego przysporzyły Polsce kilkuset głów roboczéj ludności znad Dniestru, któréj pewnie nie dano jeść chleba darmo; w ćwierć wieku potém, kiedy na ziemi polskiéj całe nowe pokolenie z tych jeńców się rozrodziło, ośmiuset z nich odesłał na Ruś wnuk Chrobrego Kazimierz, dając ich za wiano na godach weselnych z siostrą Jarosławową. Rzadko jednak zdarzyło się jeńcom w ten sposób

[1]) Wyraz „chłop" odpowiada w pierwotném znaczeniu ściśle łacińskiemu „vir, homo," ztąd „chłopi" oznaczało to samo co „homines" w łacinie średniowiecznéj, t. j. ludzie nieswobodni, pańską będący własnością. Dzisiejsze wyrażenia „tęgi chłop," „chłop jak dąb" są jeszcze pozostałością pierwotnego, właściwego znaczenia tego słowa. Można jednak napewno przypuszczać, że już w XII wieku albo i wcześniéj używano tego wyrazu w dzisiejszém znaczeniu, tak samo, jak w łacinie „homo, homines." Niejaką wskazówką w tym względzie jest czeskie słowo „chłop." Nie odważyłbym się natomiast używać w tém znaczeniu słowa „kmieć:" ob. niżéj; słowo to pojawia się w naszych pomnikach zresztą dopiéro w XIII wieku i oznacza włościan lokowanych na prawie niemieckiém. „Chłopi" wreszcie odpowiadając ściśle łacińskiemu „homines," oznaczać może wszystkie rodzaje ludności włościańskiéj nieswobodnéj i nawpół swobodnéj.

do ojczyzny powrócić; wiano Kazimierzowéj Dobrogniewy było może jedynym w tym rodzaju wypadkiem; tysiące pozostawały w kraju, „przywiązane do gleby," na któréj je ręka pańska osadziła, a wzrastając się z pokolenia w pokolenie, o dawnéj ojczyznie i lepszym losie swych przodków zapomniawszy, jednę tylko tradycyą pozostawiały dzieciom i wnukom, tradycyą ciężkiéj pracy na korzyść panów.

Za Krzywoustego czasów, każdy rok niemal przynosił nową wyprawę na Pomorze, a każda wycieczka na drugą stronę nadnoteckiéj puszczy opłacała się sowitym łupem i chmarami jeńców, których szczęśliwi zwycięzcy na smyczy przyprowadzali [1]). Przy zdobyciu każdego grodu lub miasta na Pomorzu, z równą chciwością jak na dziwy „morskich bogactw" rzucali się Bolesławowi wojownicy na samych mieszkańców, „biorąc w więzy chłopców i dziewczęta," boć to był łup nieoceniony, który w domu więcéj się przydał, niż wszystkie inne skarby, wodami Baltyku na Pomorze zwiezione; mniejsza o płacz i lament, który za każdym razem rozlegał się przy podziale jeńców, kiedy inny pan żonę zabierał, a inny męża, kiedy dzieciom z rodzicami nazawsze przyszło się rozstawać [2]). Skoro każdy z rycerzy zabrał swoich do domu i w dziedzicznéj osadził włości, to ojciec gdzieś w Sandomierskiém, a syn pod Płockiem lub na Szlązku do gleby przykuci, przy ciężkiéj pracy radzi nieradzi zapomnieć o sobie musieli.

Pomorze było aż do ostatecznego zawojowania istną kopalnią jeńców dla Krzywoustego; w ostatnich tylko walkach 18000 wojowników pomorskich legło pod jego orężem, a 8000 z żonami i dziećmi poszło w niewolę do Polski. To téż nie dziw, że wylękła ludność nieustannemi napadami trapionego kraju chroniła się na wyspy bałtyckie, a biédny jakiś Pomorzanin, aż o lutyckie oparłszy się jeziora w ucieczce przed Polakami, wołał tam w samotném pustkowiu przez lat siedm samą rybą się żywić, niźli wracać do domu, by przy najbliższéj wyprawie Krzywoustego w pętach do Polski podążyć. Po tak obfitym połowie jeńca, jak w czasie ostatnich wypraw pomorskich, można było liczniejsze partye poosadzać na pustych, niezaludnionych kresach od granic

[1]) Gallus l. c. str. 436, 447, 448, 455, 473, 478. W XIII wieku istniały już dawno te połowy większych rozmiarów, mimo jeszcze w dokumencie Przemysława II z r. 1288 nazwani są chłopi „pruteni nostri;" byli to znać jeńcy wojenni z Prus w włościach książęcych osadzeni, *Kodeks Wielkopolski*, nr. 632.

[2]) Obraz taki kreśli Herbord, t. III, str. 2, *Mon. Pol. hist.* t. II, str. 102, mówiąc o wojnie Pomorzan (już ochrzczonych) z Lutykami. „Nobis inspicientibus dividebant spolia, vestes, pecuniam, pecora et aliam diversi generis substantiam; homines quoque, quos captivaverant, inter se distribuebant. Ibi vero fletus et gemitus et dolores innumeri, cum ad diversos dominos pro ratione divisionis, vir ab uxore et uxor a viro et filii a parentibus et parentes a filiis discedebant." Nieinaczéj bywało na pomorskich wyprawach Krzywoustego.

Rusi, lub Podlasia, gdzie w oddaleniu od swoich stron ojczystych, w własnéj i w nowych swych siedzib obronie, mogli daléj kosztować wojowniczego rzemiosła, które ich od niewoli nie ochroniło. Rzecz jasna tylko, że wszystkim tym jeńcom nie dozwalano pozostawać w starém pogaństwie, a choć to przymusowe nawrócenie w pierwszém pokoleniu nieraz było jeszcze tylko płaszczykiem, pod którym kryły się stare wyobrażenia religijne i obrządki, to dzieci ich i wnuki, rozsiadłszy się wśród chrześciańskiéj ludności, rychło o dawnéj wierze zapominały. Nietylko zresztą z Pomorza miała Polska niewolników; jeśli bagna pruskie ścięły się lodem, to i za ich obronną granicą próbował Krzywousty szczęścia, a i tam opłacał się połów „niezliczoném mnóstwem mężów i niewiast, chłopców i dziewcząt, jeńców i niewolnic." Nawet Połowcy, choć ci dalecy goście z rzadka tylko odważali się ruskimi szlakami po zdobycz wpadać do Polski, jeśli udało się zastawić na nich sieci, musieli późniéj tę śmiałość ciężką pracą odpokutowywać na Kujawach, w osadzie, która do dziś dnia od nich zachowała nazwę. Wogóle wszystkie Prusy, Pomorzany, Rusie, Czechy, Węgrzce, Wilki i tyle innych osad podobnych nazwisk, których znaczenia dziś nieraz niepodobna odgadnąć, są odwieczną pamiątką tych czasów, kiedy cała Polska zaludniała się jeńcami w szczęśliwych wojnach z całém sąsiedztwem, dokoła w niewolę branymi. Nikt się zapewne dziwić nie będzie, że w języku naszéj ludności włościańskiéj nie znajdzie śladów tego różnorodnego, obcego pochodzenia. Wieki tu swoje zdziałały, a jeśli niemieckie kolonie XIII i XIV wieku, w zwartych masach na ziemi polskiéj osadzane, rychło zatraciły wszelki ślad niemieckiego pochodzenia; to cóż się dziwić, że nawet Węgier, lub Prusak, przed VII-u, lub VIII-u wiekami, wśród polskiéj, albo dawno spolszczonéj ludności osiadły, w drugiém, lub trzeciém pokoleniu stał się już Polakiem. Zawiązkiem ludności nieswobodnéj byli zresztą jeńcy wojenni z zamierzchłéj epoki walk między lechickiemi plemionami; niewolników zatém mazurskich sadowiono wśród Polan, a Ślązaków nad Wisłą; późniéj zaś lechiccy Pomorzanie, którzy językiem tak mało różnili się od polskich plemion, za kilka lat dziesiątków stapiali się nie do rozpoznania z miejscową ludnością. W wielu jednak chłopskich nazwiskach, które w dokumentach tego czasu spotykamy, przechowały się widoczne ślady obcego pochodzenia i napróżnoby się kto silił z polskich, lub wogóle słowiańskich wytłómaczyć je pierwiastków.

Drugiém źródłem niewoli był handel ludźmi, który dobrze jeszcze kwitł w owych czasach. Tak cenna rzecz, jak siła robocza niewolników, należała do najwybitniejszych artykułów handlu w tych stronach. Potrzebowano jéj wszędzie i na Zachodzie łatwo było znaléźć kupca na ten towar, gdyż utarczki między panami feudalnymi, lub wyprawy cesarzy do Włoch, nie dostarczały niewolnika. Słowiańszczyzna więc na wpół jeszcze pogańska, lub z poganami sąsiadująca, była głównem tego artykułu targowiskiem. Najhojniejszym klientem kupców handlujących niewolnikiem jednak był cały świat muzułmański, zarówno w Ba-

gdadzie, jak w Kordubie i w Andaluzyi [1]) nie żałowano złota na rosłych chłopców słowiańskich i w pysznéj zresztą stolicy bizantyńskich cesarzy niemało można było za nich dostać kosztownych materyi i misternych tkanin. Żydzi, którzy głównie trudnili się tém zyskownem przedsiębiorstwem znali dobrze Polskę, jako jeden z ważniejszych targów, gdzie za tanią cenę dobry towar był do nabycia. Pod koniec X wieku naprożno starał się św. Wojciech odwrócić Czechów od sprzedawania chrześcian w ręce żydowskich spekulantów. Późniéj pod wpływem Kościoła, z postępem cywilizacyi, ogładziły się wprawdzie uczucia i obyczaje, ale nikt nie wahał się jeńców wojennych, zwłaszcza pogan, za rzadki pieniądz żydom sprzedawać. Matka Krzywoustego Judyta, znana z dobroci i z tkliwości sławiona, nie żałowała wprawdzie swych bogactw na wykupywanie chrześcian z żydowskiéj niewoli, ale na tyle miłosierdzia niestać ją było, by miała myśléć o niewolnikach pomorskich, lub lutyckich.

Polska więcéj niezawodnie sprzedawała w tym handlu, niźli potrzebowała kupować; nie miała bowiem tyle zasobów, żeby drogie pieniądze na to wydawać, co jéj wojenne rzemiosło samo przynosiło. Jeśli więc połów jeńca nadspodziewanie się udał, spadała na razie wartość siły roboczéj wobec potrzeb danéj chwili i liczniejsze partye niewolników szły w ręce żydowskich kupców w zamian za kosztowne wyroby dalekich krajów, lub za żelazo i zbroję, niezbędne narzędzia do nowych wypraw wojennych. Tylko chłop, raz już do gleby przywiązany, nigdy nie szedł na targ, bo jakążby wartość miała ziemia bez niego? Różne zresztą bywały lata; niekiedy taka obfitość jeńca zalewała Polskę, że nie wiedziano, co z nim począć; w czasach pokoju natomiast, lub niepomyślnych wypraw wojennych, niejeden grosz w lepszych czasach zapracowany, powracał znów do rąk kupców żydowskich, z których był wyszedł. Zdarzały się takie czasy, że nawet tak słynny wojownik, jak Piotr Włostowic, który tyle pewno jeńców nałowił w swém życiu, nie żałował pieniędzy na zakupno niewolnika, by w dostateczną siłę roboczą wyposażyć posiadłości swych fundacyi kościelnych [2]).

I wolny człowiek mógł zresztą popaść w niewolę. W Czechach złoczyńca skazany na śmierć, a ułaskawiony, stawał się niewolnikiem i starganie węzłów małżeńskich tąż samą w pierwotych czasach zagrożone było karą. W Polsce niéma na to przykładów, to pewna jednak, że i u nas dłużnik, który się nie mógł wypłacić, szedł w niewolę do wierzyciela; niejednego zwłaszcza biédaka ten los spotykał, jeśli przyciśnięty ciężarami publicznemi, zadłużył się u skarbu książęcego. Tak kiedy Zbilut nie zdołał wypłacić się poborcy książęcemu z długu, pół-

[1]) Porównaj: Szajnocha, Słowianie w Andaluzyi, w III tomie *Szkiców historycznych.*

[2]) Obacz fragment zapiski z końca XII wieku o posiadłościach klasztoru N. P. Maryi na Piasku w Wrocławiu; *Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski*, nr. 2022.

tora grzywny wynoszącego, przyjął ten dług na siebie bogaty Włodzimierz, ojciec sławnego Piotra, dobrze nam znanego, a mogąc do woli rozporządzać osobą biédnego dłużnika, darował go wraz z synami kościołowi Najświętszéj Panny na Sobótce, do którego rodzina jego oddawna miała szczególną dewocyą.

Nieraz zdarzały się takie wypadki, a rzadko tylko źródła, skąpe z tego rodzaju wskazówki, przechowały o nich wiadomość. Choć bowiem w dobrych latach, spokojnych i urodzajnych, nie trudno było wyżywić siebie i rodzinę z drobnego kawałka dziedziczonéj ziemi, z jéj wód i lasów okolicznych; to co chwila nieprzewidziane klęski mogły zachwiać ekonomiczną równowagę dziedzica takiéj drobnéj posiadłości i wyzuć go z całego dobytku. Już częste wojny wielkim były ciężarem; można było wprawdzie na nich się obłowić, ale zwykle korzystali z nich tylko możni panowie, bo im łupy i jeniec dostawał się w udziale, a kto z biédniejszych ludzi nie umiał zakrzątnąć się koło zdobyczy, wracał do domu z próżnemi rękami, zwłaszcza, jeśli wyprawa wojenna nie dobrze wypadła. Wychodząc zaś z domu, nieraz musiał się zapożyczyć na dopełnienie zrujnowanego rynsztunku; wróciwszy, zastawał gospodarstwo zaniedbane, jeśli dzieci były małe i niebyło go czyjéj pieczy powierzyć. Wszystkich sił gospodarza trzeba na to było, by w swojéj porze użytki ziemi i lasu na potrzeby rodziny wyzyskać; jeśli go w najgorętszéj chwili nie było w domu, cały plon nieraz zmarniał pod ręką nieświadomych rzeczy niewiast i z pierwszą chwilą zimy, nędza zajrzała do wrót biédnéj chaty. A niechże się zdarzyło słotne lato, niech tylko pomór zabrał bydło, niech wreszcie Czech, Rusin, Prusak, czy Pomorzanin, w zbrojnym najeździe poprobował szczęścia, to zanim się rycerstwo zebrało, cały dobytek poszedł z ogniem, lub na wozach najeźdźców powędrował w ich kraje, a biédni ludzie, wyszedłszy nieśmiało z schronienia lasów, zastawali tylko zgliszcza dziedzicznego domostwa i ani źdźbła jednego z całorocznego plonu nie znajdowali. Przyszło się zapożyczyć na zasiew— to musiał nadejść bardzo dobry rok następny, żeby przywrócić równowagę i spłatę długu umożebnić. Jeśli zaś nowe spadły klęski i jeść co nie było i sromota niewoli za dług niezapłacony szybkim zbliżała się krokiem. Rzadko było znaléźć kupca na zrujnowaną dziedzinę, bo co miał kto począć z opustoszałym kawałkiem ziemi, bez sił roboczych do jéj uprawy; zdarzyło się wreszcie ją sprzedać, to wyzuty z niéj dziedzic, szybko spożył lichą cenę kupna i na niedługo uchronił się od głodu [1]).

Cóż miał wtedy poczynać? Życie zawsze człowiekowi miłe, komu więc głód dobrze dokuczył, a znikąd nie było nadziei ratunku, ten sam musiał się sprzedać i bogatszemu oddać w niewolą, byle mógł przy uprawie cudzéj roli pożywić się lichą strawą. Niejeden tak osiadłszy

[1]) Takim to sposobem dostała się włość szlązka, Tyniec, na własność żydom, od których ją Piotr Włostowicz odkupił; obacz wyżéj przytoczony fragment, *Kodeks Wielkopolski*, nr. 2022.

na cudzéj włości, między chłopami możnego pana, w wspólnéj pracy rychło z nimi się zrównał, a jeśli syn jego sobie przypominał, że od swobodnych pochodził przodków, to pan już w drugiém pokoleniu nie miał zwykle ochoty o tém pamiętać i jako „chłopa do ziemi przywiązanego," nie puszczał go od siebie. Bywało jednak także inaczéj. Zubożali dziedzice, nie mogąc wyżyć na ojcowiźnie, udawali się zwykle pod opiekę Kościoła, boć jego to było przedewszystkiém rzeczą głodnych nakarmić i nagich przyodziać. Biskup zatrzymywał ich niekiedy na swoim dworze, gdyż i przy sobie potrzebował ludzi służebnych, od których za strawę i odzież wszelkich posług mógł wymagać; nieraz biédak taki, który właśnie w skutek ciężarów wojny dziedzinę postradał, miał przynajmniéj tę pociechę, że jako człowiek rycerskiego rzemiosła świadomy, chociaż mu przyszło służyć, wszedł w liczbę „biskupich wojaków." Najczęściéj jednak potrzebował biskup ludzi do uprawy rozległych włości kościelnych; przy pierwotném zadaniu otrzymali je wprawdzie byli jego poprzednicy od księcia, wraz z całą ludnością na ich obszarze osiadłą, bo bez niéj małoby im przyszło z tych bogactw, ale przez kilka pokoleń nie tak się rozrodzili chłopi, żeby do lepszego ziemi wyzyskania nie potrzeba było więcéj siły roboczéj. Kiedy zaś dla książąt i możnych panów wojny były nieustającą kopalnią nieswobodnéj ludności; biskupi nie mieli czém swoich włości zaludniać, choć bowiem Kościół nie bronił wyraźnie handlu niewolnikami, to nie wypadało mu jednak zakupywać ich dla siebie na targu. Chętnie więc osadzał biskup na swych posiadłościach zubożałego dziedzica, nie nastając na to, żeby go „przywiązać" do ziemi i osobistéj wolności pozbawić; wydzielał mu tylko „źreb" gruntu, parę łanów ziemi, z których osadnik obowiązywał się składać pewne daniny, zwykle w naturze, w surowych płodach ziemi, w każdéj chwili mogąc cudzy grunt opuścić. Wcale wysokie nawet bywały nieraz te daniny, bo biédni ludzie, przyciśnięci potrzebą, musieli obiecywać, czego tylko od nich żądano, byle z głodu nie zginąć i nie popaść w osobistą niewolę. Wszędzie zachowywał wreszcie Kościół ten zwyczaj, że jeśli mu kto ziemię swoję darował, mógł pozostać w jéj używaniu, płacąc mierny czynsz Kościołowi, lub daninę w naturze; zwykle nawet prawo użytkowania przechodziło dziedzicznie z ojca na synów.

Niémamy u nas wprawdzie wyraźnych przykładów takiego postępowania, ale trudno wątpić, żeby Kościół polski wyjątek w tym względzie stanowił. Jeśli więc zubożały dziedzic nie zdołał się na ojcowiźnie utrzymać, mógł ją ofiarować Kościołowi, a biskup, lub opat chętnie go na niéj zostawił i dał mu nawet parę sztuk bydła, lub trochę zboża na zasiew, żeby w ten sposób przysporzyć Kościołowi posiadłości i zapewnić mu na przyszłość stały dochód z corocznych czynszów. Dość, że w ten, czy w ów sposób, posiadłości kościelne rychło zaludniły się liczną klasą „chłopów swobodnych," którzy przyciskani czynszami i rozlicznemi ciężarami, w gorszém byli nieraz położeniu od ludności nie swobodnéj, „przywiązanéj do ziemi," tę tylko mając wolność, że mogli rozporządzać swoją osobą i nikt im nie bronił gruntu opuszczać, jeśli mieli

ochotę. I na obszarach książęcych osiadali niekiedy na takich warunkach zubożali dziedzice, „gośćmi" zwykle nazywani, gdyż cudzą uprawiali rolę i opuszczać ją musieli, jeśli się księciu ich rugować podobało, lub gdy nie mieli zkąd czynszu zapłacić. Później dopiéro, kiedy coraz więcéj kolonistów z Niemiec przybywać zaczęło, przeniosła się na nich ta nazwa, jako na gości ze stron dalekich, témbardziéj, że warunki ich osiedlenia nie wiele się różniły od stanowiska dawnych, rodzimych „gości" [1]).

Z chłopem „do gleby przywiązanym" nie o wiele lepiéj się obchodzono, jak z bydłem. Był on panu niemniéj potrzebny, jak bydlę w jarzmie, a kiedy każdy dbał o to, by mu wół nie zdechł z głodu, to i chłopu musiał tyle dać pożywienia, żeby był zdolny do pracy. Tylko co najwięcéj, sprzedawać chłopów może nie było wolno, ale nikomu to nawet na myśl nie przychodziło, bo ich nigdy nie miał zawiele; z ziemią jednak i chłop przywiązany do niéj dostawał się przez sprzedaż, lub darowiznę w obce ręce, cóż bowiem była warta ziemia bez niego. Nie ginął chłop pod nożem, jak bydlę, ale téż i wołu nikt nie zabijał z wybryku, tylko dla mięsa. Jeśli kto zaś był tak nieoględny, że w gniewie zabił swego chłopa, to go pewnie w dawnych czasach żadna kara za to nie czekała, tylko Kościół zabraniał targać się na życie bliźniego. Inna rzecz, jeśli to był chłop innego pana, w takim razie trzeba było karę zapłacić, boć i za cudze bydlę zabite należało się odszkodowanie. Jasna rzecz zresztą, że jak osobę chłopa, tak wszystkie jego siły i wszystko, na co go stać tylko było, pan za własność swoję uważał. To téż

[1]) O stanowisku wolnych czynszowników na posiadłościach kościelnych, t. z. *homines liberi*, w przeciwstawieniu do *homines ascripticii*; porównaj Hube: *Prawo polskie w wieku XIII*, str. 47—52 i recenzyą tego dzieła przez Fr. P(iekosińskiego), w *Przeglądzie krytycznym* z r. 1875, str. 306—314. Nad początkiem téj klasy ludności nie zastanawia się jednak Hube już z powodu zakresu swego działu ograniczonego na wiek XIII. Niéma jednak wątpliwości, że prócz rzadkich i wyjątkowych wypadków manumisyi, klasa ta rekrutowała się z zubożałych dziedziców, O *„homines liberi"* w posiadłościach kościelnych obacz rok 1231: *Kod. dypl. Ks. Mazowieckiego*, nr. 78 rok 1234; *Kodeks Wielkopolski* nr. 174 rok 1237, tamże nr. 203 rok 1239; *Kodeks Ks. Maz.*, nr. 13 rok 1241, tamże nr. 15 rok 1242; *Kodeks Wielkopolski*, nr. 234 rok 1252; *Cod. dipl. Pol.*, t. II, str. 445 lata 1252, 1254 i 1255; *Kod. Kapit. Krak.*, nr. 41, 42, 43 rok 1257; *Kod. Ks. Maz.*, nr. 28—1278; *Kod. Wielk.*, nr. 477—1288; *Cod. dipl. Pol.*, t. III, nr. 63. Nie dostrzegł jednak Hube, że to samo stanowisko społeczne, co *homines liberi* w włościach kościelnych, zajmowali t. z. *„hospites"* (w technicznem tego słowa znaczeniu) w posiadłościach książęcych. Stosunki ich objaśnia zaś najdokładniéj dokument Henryka Brodatego dla klasztoru trzebnickiego, z r. 1204, drukowany w *Jahresberichte der schlesischen Gesellschaft für vaterländische kultur*, z r. 1841, str. 167, główne źródło do poznania stanowiska społecznego książęcych *„hospites,"* a tém samém i kościelnych *homines liberi*.

ciężka była niewola tych ludzi i choć chłop swobodny nie wiele lepiéj miał się od nich, wzdychali biédacy choć do takiéj wolności. W uroczystych dokumentach spisywanę zatém niekiedy ich imiona, wraz z nazwiskami przodków, od których ich niewola się datowała na wieczną rzeczy pamiątkę, „żeby z czasem do wolności nie poważyli się rościć sobie prawa." Nieraz przychodziła im ochota z gruntu uciekać. Mogli wprawdzie w takim razie udawać zubożałych dziedziców i jako „chłopi swobodni," lub „goście," w dalekich stronach lepszéj szukać doli; rzadko to im jednak wyszło na korzyść, boć przecież chłopa niewolnika nie tak trudno było rozpoznać, choćby od najuboższego dziedzica, a nie tłómacząc się dobrze, zkąd pochodzą i gdzie mieszkali, łatwo mogli się wydać i w dawną popaść niewolę. Tak za czasów Krzywoustego dostał się z książęcego daru klasztorowi czerwińskiemu między innymi niewolnikami Radosta z trzema synami: Żelistryjem, Miłoszką i Szmatką. Miłoszce szczególnie tęskno było do wolności, po pewnym więc czasie, już za panowania Bolesława Kędzierzawego, zbiegł z posiadłości klasztornych i rzucił się do nóg księcia, w jego wpraszając się służbę. Kędzierzawy go przyjął, ale niedługo mu przyszło cieszyć się tą swobodą, bo opat Wido, dbały o majątek klasztoru, rychło wpadł na trop zbiega i dowiódłszy praw swoich, napowrót go w włościach klasztornych osadził. Nieodstraszony tém Miłoszka, jeszcze raz poprobował szczęścia i umknąwszy w dalekie strony, ukrywał się przez czas jakiś aż w Sandomierskiém, w Sieklukach, pod Radomiem, w służbie księcia Kazimierza. I tym razem go jednak wytropiono, niemniéj bowiem dbał, jak widać, następca Widonów, Fulkold o utrzymanie czeladzi klasztornéj w całości. Wogóle nie sprawdzało się wówczas w Polsce bynajmniéj stare przysłowie średniowieczne, że „święte życie pod pastorałem," w włościach kościelnych. Jeśli przyciśniony nędzą dziedzic chętnie tam jako „gość" przebywał, by się od głodu ochronić, to kościelni chłopi, „do ziemi przywiązani," z lada jakiéj sposobności ucieczki radzi korzystali.

Tak np.: i później, na początku XIII w., kiedy biskupem kujawskim był Ogeryus, chłopi katedry włocławskiéj, Bielejewicami zwani od dziada swego Bieleja, „nie mogąc znieść ucisku i nękania wszelakiego rodzaju, a żadnéj ulgi, żadnéj nadziei lepszego losu nie mając," umknęli z kasztelanii wolborskiéj za Pilicę i pod opieką Leszka Białego, weszli do jego służby łowieckiéj. Dopiéro po dłuższym czasie, na słynnym zjeździe gąsawskim, upomniał się o nich biskup Michał i Leszek musiał życzeniom jego zadość uczynić. Nic nie pomogła im śmierć Leszka w Gąsawie; księżnie Grzymisławie śpiesznie bowiem było wypełnić zobowiązania zmarłego męża względem Kościoła i niebawem musieli Bielejewice zamienić swobodną służbę łowiecką na ciężką pracę przy pługu w kasztelanii biskupiéj. Rzadko mieli zbiegli chłopi tyle obrotności i odwagi, by chronić się zagranicę, do cudzych krajów, łatwiéj tam bowiem było wprawdzie się ukryć, ale nie każdy dał sobie radę w obczyźnie. Prześladowani i nękani, przez włodarzy pańskich tropieni, wiedzieli, że i dla złoczyńców było schronienie w kościele, przed ołtarzami

Pańskiemi, ale nawet ta ucieczka im nie pomagała; skoro ich odkryto, „wyprowadzano zbiegów z kościoła" bez skrupułu i napowrót dostawali się w moc pana. I chłopom jednak dane było niekiedy doczekać się końca niewoli; jeśli ich pan chciał wynagrodzić za wierność i nadzwyczajne usługi, mógł im darować wolność, a wtedy albo pozostawali na dawnym gruncie, jako „wolni ludzie" za czynszem, albo osiadali „gośćmi" na ziemi innego pana.

Każdy chłop, „przywiązany do gleby," budował sobie chałupę w pańskiéj włości, gdzie mu na nią miejsce wyznaczono i uprawiał grunta wkoło niéj położone, wyzyskując wszystkie użytki ziemi dla pana według jego rozkazu. Stała robocizna na pańskich gruntach nie była znaną, gdyż nikt jeszcze nie zakładał odrębnego folwarku, odosobnionego od chłopskich łanów. Rzecz jasna, że nowo osadzonego chłopa trzeba było zaopatrzyć w bydło potrzebne do uprawy roli, do wyżywienia siebie i rodziny. Była to jednak własność pańska i jeśli bydło rozmnożyło się więcéj nad konieczną potrzebę chłopa, zabierano mu niezawodnie ten nadmiar na pański użytek. Co rola wydała, zbierali chłopi i zwozili do pańskich spichrzów, a włodarz tyle im tylko zostawiał, żeby do przyszłego roku mieli z czego się wyżywić. Wszystko zależało zresztą od tego, o ile pan miał zmiłowanie nad swoimi ludźmi i jak się z nimi obchodził; niekiedy w własnym, dobrze zrozumianym interesie układał się z chłopami o stałe coroczne daniny, zostawiając im resztę plonu, którą ponad umówioną ilość zdołali zebrać. Wtedy los ich tém tylko się różnił od położenia wolnych czynszowników, że byli przywiązani do gleby i nie mogli jéj opuszczać. Z ojca wreszcie na syna przechodziła ziemia, którą im kazano uprawiać i ztąd nazywano ich niewłaściwie jéj dziedzicami, choć nietylko ziemia, ale i oni sami byli pańską własnością. To téż jeśli się tylko panu podobało, jeśli grunta chłopu do uprawy oddane na inny przeznaczał użytek, jeśli uważał, że włość jakaś była już więcéj zaludniona, niźli potrzeba uprawy tego wymagała, rugował ich bez przeszkody z tego dziedzictwa i w inne przenosił miejsce.

Kto miał znaczniejsze nieuprawne obszary do zaludnienia, osadzał każdego chłopa nowego, którym go los obdarzył, z osobna, na takiéj rozległości gruntu, jakiéj siła robocza jednego osadnika mogła podołać. Rzecz jasna zresztą, że jeśli chłop miał żonę i dzieci, które tego samego pana były własnością, osiadał wraz z niemi na pańskim gruncie; jeśli zaś nie był żonaty, to interes pański wymagał tego przedewszystkiém, żeby wszedł w związki małżeńskie i w jaknajliczniejszéj rodzinie rychło doczekał się pomocy w uprawie roli i wyzyskiwaniu innych użytków. Tak rozradzało się potomstwo samotnego pierwotnie osadnika w coraz liczniejszą *osadę*, z każdém pokoleniem pomnażając jéj siłę roboczą a tém samém i pański majątek; po kilku lat dziesiątkach pokrywało się niedawne pustkowie coraz liczniejszemi chałupami, w których mieszkało chłopstwo blizkiém pokrewieństwem ze sobą związane, bo od tego samego pochodzące pradziada. Jeśli kto przy-

był do takiéj osady i pytał o jéj nazwę, odpowiadano mu, że tu siedzą Biezdochowice, Mikluszowice lub Sobolice, długo bowiem przechowywała się w całéj osadzie pamięć wspólnego przodka Biezdocha, Miklusza albo Sobola, który jéj dał początek, samotnie w tém miejscu osiedlony przed laty [1]). W miarę wzrostu osady coraz więcéj ziemi dokoła brano pod uprawę, bo większa była siła robocza; z czasem niektórzy chłopi przenosili się na rozkaz pański w sąsiedztwo lub w dalsze strony, by tam w pustkowiach nowe osady zakładać. Tak różna była liczba osiedlenia według starości osad; 8—14 dorosłych chłopów, z których każdy w osobnéj mieszkał chałupie, uważała się za dość silną, choć zwykłą osadę; gdzieniegdzie dochodzi ich liczba nawet do trzydziestu, choć młode osady o trzech, czterech, pięciu chłopach a nawet o jednym osadniku, były jeszcze bardzo pospolite w wielu okolicach najwięcéj rozpowszechnioném zjawiskiem. Nie tak szybko bowiem, jakby się mogło zdawać, rozradzały się te chłopskie osady i często przez długie lata nie było potrzeby wyprowadzać z nich nowe roje z powodu przeludnienia. Bieda, różne klęski i choroby, głód na przednówku i częste wojny nie dozwalały im szybko się rozrastać [2]). Nieraz je-

[1]) Niespożytą zasługę zdobył sobie Wojciechowski w swém znakomitém dziele p. t.: *Chrobacya, rozbiór starożytności słowiańskich*, Kraków, 1873, zwróceniem uwagi na znaczenie nazw miejscowych, mianowicie patronymicznych i wyczerpującém wyjaśnieniem téj materyi. Wnioskom Wojciechowskiego to tylko można zarzucić, że są niekiedy zanadto bezwzględne i za mało zwracają uwagi na zmianę nazw miejscowych, które, jak to z tylu widać przykładów, jak to zresztą sam Wojciechowski trafnie wykazuje, tak często dokonywała się w ciągu XII i XIII w.

[2]) Nad jeziorem choczuiskiém (w Wielkopolsce w pobliżu Wągrowca), darował w roku 1216 Laskonogi klasztorowi tekneńskiemu osadę, którą składali: Stefan, Cis, Neprebis, Łobota, Kurask, Wróbel, Nicrad, Wawrzyniec i Bertold z synami, a więc dziewięciu chłopów z potomstwem. W ciągu lat 72, to jest do roku 1287, a więc przez trzy generacye, wzmogło się osiedlenie téj osady tylko w trójnasób: liczyła bowiem tylko 27 chłopów osobne mających chałupy. Każdy z nich miał wprawdzie synów, tak jak ich przodkowie w roku 1216, ale musieli to być jeszcze chłopcy niedorośli, skoro nie są po imieniu nazwani. Wszyscy pochodzili w trzeciém pokoleniu od Stefana, Cisa, Neprebisa, Łoboty i Kuraska, z wyjątkiem jednego, którego dziadem był nieznany w osiedleniu z roku 1216 Radosz. Potomstwo Wróbla, Nierada, Wawrzyńca i Bertolda, wyginęło zatém do szczętu w ciągu tych 72 lat, lub też przeniosło się może gdzieindziéj, nowym osadom dając początek. Ob. *Kodeks wielkopolski* nr. 87 i 617. W jakiéjś wsi katedry poznańskiéj (bez nazwy) siedział około roku 1180 samotny osadnik, który zostawił tylko dwu synów: Goszczuja i Czechosława; pierwszy z nich spłodził sześciu: Czechosława, Gosława, Dobrosława, Trojana, Tetricha i Dominika; drugi dwu tylko: Gościmira i Bezducha; w roku 1250 składała się zatém ta osada z dziewięciu chłopów; pierwotny osadnik bowiem i syn jego Czechosław już nie żyli. *Kodeks*

dnak zdarzało się, że ktoś już przy pierwotném osiedleniu pustkowia, kilku chłopów naraz w jedném miejscu osadzał, by łatwiéj podołali uprawie obszerniejszego obszaru; niekiedy wymagała tego nawet rozmaitość użytków okolicy, do których wyzyskiwania potrzeba było wprawy i osobnych wiadomości. W takim razie szybciéj wzrastała osada, z kilku pniów się rozgałęziając a nazywano ją zwykle od jakiéjś góry, rzeczki, jeziora lub lasu, jeśli i tu nie przeważyła patronymiczna nazwa od imienia którego z pierwszych osadników, największéj pomiędzy towarzyszami zażywającego powagi. Wszystkie osady tego rodzaju powstawały przeważnie na posiadłościach książęcych i kościelnych, mniéj ich zaś było w włościach panów świeckich, którzy zwykle przy swoim dworze trzymali czeladź, pomni przysłowia, że pańskie oko konia tuczy.

Nigdzie prawie ludność włościańska nie zajmowała się wyłącznie rolnictwem, mając bowiem w pobliżu każdéj osady las, jezioro lub rzeki, poświęcała ich użytkom choćby cząstkę sił roboczych od uprawy roli zbywających a przytém, zwłaszcza w zimie, najprostszy przemysł domowy służył ku zaspokojeniu codziennych potrzeb życia i gospodarstwa: boć i płótna trzeba było wyrobić na ubranie, konewki i cebry pozbijać, pługi lub wozy przysposobić na lato. W zręczności do najpotrzebniejszego w codziennem życiu rzemiosła, nie różnili się zapewne ówcześni chłopi od naszych włościan, témbardziéj, że trudność zaspokojenia tych potrzeb w inny sposób musiała w nich jeszcze więcéj ten przymiot wyrabiać. Jak zaś uprawa ziemi nie zajmowała wszystkich sił roboczych ludności rolniczéj, tak znów chłopi, innym przeważnie zatrudnieniom oddani, mieli zwykle koło chałupy choćby mały kęs gruntu ornego, który na własną uprawiali potrzebę. Pewien podział pracy mógł zresztą istnieć tylko w rozległych posiadłościach książęcych, biskupich lub bogatszych klasztorów, gdzie tego wymagały większe potrzeby pańskiego dworu. Tam obok osad rolniczych [1]) spotykamy się już wcześnie, odkąd nam tylko źródła pomrokę dziejów odkrywają, z odrębnemi osadami, które się trudniły nie rolnictwem, lecz bądźto wyzyskiwaniem innych surowych płodów, bądź rzemiosłem, albo

wielk., nr. 282. Brak nazwy przy téj osadzie nie jest również bez znaczenia; w dokumencie bowiem, który jej losy opiewa, Bolesław Wielkopolski dokonywa zamiany z kapitułą poznańską, otrzymując za winnice z osiadłymi przy nich robotnikami: Goszczuja, jego synów i synowców, pozostawia jednak ich wieś kapitule. Wieś zatém z usunięciem mieszkańców straciła swą nazwę; było to bowiem zapewne ich imie patronymiczne.

[1]) Chłopi-rolnicy nazywają się zwykle *rustici*, w dawniejszych pomnikach *servi*, *mancipia*, *servi glebe*, w późniejszych *ascripti*, *ascripticii* bez ściślejszego oznaczenia zajęciu. Jeszcze w uposażeniu kościoła sandomierskiego z r. 1191, *Kod. małop.*, 5, czytamy: *Sedlete cum servis*, *Ostron cum servis*, *Zadusnici cum servis*. O znaczeniu zaduszników, por. Ireczek: *Das Recht in Böhmen und Mähren*, cz. II, str. 35.

też przeznaczone były do pewnych wyłącznych usług na pańskim dworze.

Jedna gałąź rolnictwa, którą właśnie tylko posiadłości książęce i biskupie mogły się szczycić, była tak rzadką, tak ją wreszcie utrudniały klimatyczne warunki kraju, że do niéj potrzeba było przedewszystkiém ludzi wyłącznie jéj oddanych, u któréj obce polskim chłopom fachowe wiadomości, z ojca przechodziły na syna. Kto chciał w swych włościach posiadać winnicę, ten do jéj uprawy potrzebował winiarzy, choćby ich z dalekich stron musiał sprowadzić, jeśli niémiał swoich ludzi, którzyby się już od obcych przybyszów téj sztuki nauczyli. Rzecz jasna, że tacy winiarze, jako rzadki klejnot szczególnéj zażywali powagi wśród reszty chłopstwa, bo bez nich przepadała kosztowna roślina na niewdzięcznym zaszczepiona gruncie.

Woleli jednak wówczas Polacy rodzimy miód od cierpkiego soku obcéj jagody, a jeśli każdy niemal sam był bartnikiem i na swoją potrzebę dość miał smacznego napoju z pielęgnowania leśnych rojów, jeśli w ogóle chłopi znaczną część danin w miodzie składali, to w rozległych posiadłościach książęcych i kościelnych znajdowały się nadto odrębne osady, bartnictwu wyłącznie oddane, których zadaniem było piwnicę pańską w miód zaopatrywać. Osady takie zakładano wśród lasów, gdzie ziemi ornéj ani pastwisk nie było, ale pszczoły zato roiły się obficie, lipowego kwiatu mając podostatkiem. Tak znów w pustkowiach nad brzegami rzek i jezior mieszkały osady rybackie, których pracą codzienną świeża ryba na stół pański przychodziła a soloną lub suszoną zapełniały się dworskie spiżarnie. W ich sąsiedztwie świeciły po nadbrzeżach chaty bobrowników. Kiedy bowiem łowy na grubego zwierza dla samego księcia były rozrywką i szlachetném zajęciem, kiedy na lichszą zwierzynę lada chłop z brzegu lasów sieci zastawiał, nie panów to rzecz była bobry z nór nawodnych wypłaszać a nietylko chłopstwu lecz każdemu, kto na to nie miał osobnego przywileju, surowo wzbronione było polować na płochliwe zwierzęta o kosztownem futrze. Nie każdy zresztą znał się na tém polowaniu, nie każdy umiał zaczajać się w wodzie, by ostrożnego mieszkańca rzecznych zamków oszukać, znaleźć go w nieprzystępnéj kryjówce i obronić się przed ostrym zębem bobrowym, z którym nie było co żartować, skoro młode drzewka nadbrzeżne upadały pod jego cięciem; mądrego wreszcie trzeba było bobrownika, żeby oględném polowaniem w rozmaitych miejscach swego obszaru nie wytępiał do szczętu cennéj zwierzyny. Z ojca zatém na syna przechodziła w spuściznie ta sztuka w bobrowniczych osadach, którym roboty nigdy nie zabrakło, choć ich dość było po całym kraju, bo gdzie tylko wśród lasu woda się świeciła, wszędzie lęgły się bobry. Jakkolwiek ich zaś co niemiara tępiono, nigdy połów nie był zanadto obfity, jeśli bowiem sam pan miał futer do zbytku, zawsze znalazł na nie chętnego kupca.

Kto w włościach swoich posiadał rozległe pastwiska i nie oddawał ich pod pług lecz utrzymywał na nich liczne stada koni, trzody,

krów wołów i owiec, musiał mieć do pielęgnowania bydła pasterskie osady skotników. Jeśli kto nawet mało dbał o bydło rogate i żałował dla niego pastwisk, dość mając nabiału, wełny i mięsa z chłopskich danin, to o stadninę liczną a pokaźną każdy z panów dbać musiał, a cóż dopiéro sam książę. Gdzie więc tylko wśród dostępniejszych lasów błyszczały łąki, zdatne do hodowli stad końskich, wszędzie niemal można było się spotkać z osadami koniarzy, którzy paśli stadninę i ujeżdżali źrebięta, zanim je do stajni pańskiéj oddano.

Rzemieślnicze osady gnieździły się w pobliżu zamków książęcych i biskupich, lub przy bogatych klasztorach. Chłop bowiem, albo biedny dziedzic zagonowy sam sobie zbijał drewniane naczynia, sam ciosał belki do naprawy chałupy i chodaki umiał sobie uszyć z bydlęcéj skóry. Książę jednak i biskup, lub nieraz może i który z możniejszych panów musiał mieć gromadami osobnych ludzi, którzy mu dwór w te potrzeby zaopatrywali, a nieustanną wprawą doszli do takiéj biegłości w swém rzemiośle, że ich wyrobu sam pan nie potrzebował się powstydzić. Łagiewnicy robili wszelkie naczynia drewniane, zduny lepili je z gliny, cieśle nietylko dwory pańskie stawiali z modrzewiowych tramów, ale z stolarskiém zarazem obeznani rzemiosłem, dostarczali sprzętów do zapełnienia izbic, kołodzieje wyrabiali wozy, których co niemiara każdy gród książęcy do zwożenia danin i plonów potrzebował, korabnicy zbijali okręty do przewozu na rzekach, szewcy również w osobnych osadach trzymali się w pobliżu dworów. Wszystko to jednak były rzemiosła pospolite, którym lada chłop mógł podołać, choć może nie tak dobrze, jak pański rzemieślnik. Bardziéj cenieni już byli kowale, z pod których młota wychodził oręż i szyszak, którzy pancerzem i tarczą osłaniali rycerstwo na wojnę. Nieraz wprawdzie wytworniejszą zbroję przywozili zagraniczni kupcy, nie jeden jednak kowal książęcy znał się niezawodnie dosyć na swojém rzemiośle, żeby misterny nawet wykuć rynsztunek, boć że w posiadłościach naszych nie brakło zręcznych i wprawionych mistrzów pomiędzy rzemieślnikami, o tém świadczą całe osady złotników, którzy do skarbca dostarczali kosztownych robót z drogiego kruszcu. To też i z tokarzami można było się spotkać między chłopami księcia i mularzy nie brakło, choć jeszcze wszystkie niemal zamki z drzewa były budowane.

Tuż przy zamkach, w większém jeszcze niż rzemieślnicy pobliżu, przytykała do mieszkania pańskiego ostatnia grupa osad służebnych, składająca służbę kuchenną, która i w zamku spełniała swoje zadanie i towarzyszyła zarazem orszakowi księcia lub biskupa w podróżach po kraju, bo panowie świeccy, tak licznym dworem nie otoczeni, na domowéj poprzestając czeladzi, nie potrzebowali utrzymywać osobnych osad piekarzy, kucharzy, piwowarów i miodosytników. W osadach takich, po których przyćmione wspomnienie zachowały w rozmaitych okolicach kraju rozliczne nazwy miejscowości jak Kuchary, Piekary i t. p., z pokolenia w pokolenie przechowywała się tradycya wypróbowanéj

biegłości w sporządzaniu smacznego pieczywa, wytworniejszych potraw i dobrych napojów, do których podniebienie dworskie zdawna przywykło.

Wszystkie te służebne osady z natury rzeczy nie tak musiały być liczne jak rolnicze. I im dawał zrazu początek jakiś niewolnik świadomy kowalskiego rzemiosła, lub piekarz samotnie osadzony w chałupie opodal zamku, którego dzieci i wnuki tę samę przez całe życie służbę pełniły. Ale rzecz jasna, że nie dawano tym osadom bardziéj się rozrastać, niźli tego potrzeba dworu pańskiego wymagała, a że zwłaszcza biegłość w wytworniejszych rzemiosłach rzadką była i szczególnie cenioną, przenoszono niechybnie w inne strony część osady złotniczéj lub tokarskiéj, jeśli jéj ludność wzmogła się przez kilka pokoleń. Bo choć taki rzemieślnik, czém był zręczniejszym, tém więcéj łask u pana mógł sobie zaskarbić, zawsze był jego własnością i każdemu skinieniu musiał być powolny, dopóki go dobrodziejstwem wolności nie obdarzono.

W stosunku do pana, niczém bowiem osady służebne nie różniły się od rolniczych. I względem nich miał pan nieograniczone prawo do całéj siły roboczéj, na jaką je tylko stać było, mogąc cały plon ich pracy na swój użytek obracać a musiał im w własnym interesie tyle zostawić, by im na żywność i odzienie starczyło. Na to miał każdy bartnik, rybak i rzemieślnik choćby drobny kawałek gruntu przy chałupie, któremu zbędny od głównych zajęć czas mógł poświęcić, wolno mu było zresztą korzystać z użytków wody i lasu, wszystko jednak, co jego właściwe zatrudnienie wydało, odstawiać musiał do dworu. Ale jak z rolniczemi osadami wchodził nieraz pan w układy, ustanawiając stałe daniny w naturze, po których sumiennem uiszczeniu resztę plonu mógł rolnik dla siebie zachować, tak i w stosunkach do osad służebnych oznaczano niekiedy stale ich obowiązki. Prócz danin z właściwego zatrudnienia osady wynikających, wymawiano sobie przytém inne dodatki w surowych płodach, jeśli użytki okolicy dawały ludności sposobność do ich zbioru. Tak np. w Domniku pod Przemętem, osada rybacka składała się w r. 1210 z sześciu chłopów; z nich czterej, t. j. Radoch, Świętosz, Plewna i Nudasza, obowiązani byli przez trzy dni w tygodniu składać księciu daninę po 12 ryb długości łokcia i prócz tego po trzy garnce miodu co roku, gdyż w lesistéj okolicy łatwo było bez wielkiéj pracy kilka barci utrzymywać; Nowosz i Racław jednak musieli z synami co dzień na połów ryb wychodzić i wszystko, co nałowili, zabierał im włódarz książęcy. I rzemieślnikowi oznaczano nieraz w ten sposób stale ich obowiązki: w Trzebnicy np., każdy z łagiewników dawał co roku na Wielkanoc po beczce, łagwi i kadzi, a nadto przez cały rok obowiązany był naprawiać wszelkie naczynia drewniane; w Szczytkowicach tokarze wyrabiali w roku po 15 pięknie wytoczonych garncy do mierzenia płynów, z ściśle odmierzoną objętością i oprócz tego na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i na ś. Bartłomiéj, musieli dostarczać po sto kubków. Rzecz jasna, że jak dla rolnika

lub rybaka, tak tém więcéj dla rzemieślnika dobrodziejstwem było takie stałe oznaczenie obowiązków poddańczych, gdyż odbywszy robotę dla pana, mógł resztę czasu obrócić na pracę, która mu nieraz na poblizkim targu sowicie się opłaciła. Przez pracę swobodną dla siebie samego, podnosiła się godność takiego człowieka i więcéj téż dbać musiał o wyćwiczeniu się w swojém rzemiośle, jeśli mu wyrób na targu sprzedany miał przynieść dobry zarobek. Był więc materyał na klasę przemysłową w narodzie, boć i w zachodnich krajach pracą tylko mozolną i nieustanném przez nią wzbijaniem się ku zamożności, stargał rzemieślnik pęta pierwotnéj niewoli. I w Polsce bowiem zaczynała się objawiać, choć bardzo jeszcze nieznacznie, niejaka skłonność ku zamianie tych ciężarów realnych na pieniężne opłaty, które na Zachodzie były w dziejach ludności przemysłowéj stopniem przejściowym od pierwotnéj niewoli do wyswobodzenia.

Takie były rozmaite kategorye osad chłopskich. Tylko inne zatrudnienia, a tém samém odmienne obowiązki względem pana, stanowiły jedyną między niemi różnicę, stanowisko ich społeczne było bowiem jednakie. Między ludnością chłopską, osiadłą na włościach książęcych spotykamy nadto jeszcze osady, których znaczenia i obowiązków nie tak łatwo wytłómaczyć. Tak we wszystkich częściach kraju posiadał książę komorników, którzy prawdopobobnie odprawiali kolejno służbę pokojową na zamkach i do posług pospolitych wszelkiego rodzaju byli przeznaczeni. Nie rzadkie też były osady naroczników i dziesiętników. Jeśli pierwszych znaczenie niewyjaśnioną pozostać musi zagadką, to dziesiętnicy byli zapewne uschłą już wcześnie pozostałością dawnéj organizacyi, kiedy nad każdą dziesiątką świeżo osadzonych chłopów, jednemu z nich oddawano nadzór i obowiązek zbierania plonów. Było to może pierwotne urządzenie, kto wié czy jeszcze nie w czasach lechickich księztw plemiennych rozkwitłe, któremu czas i instytucye wykształceńszego ustroju państwowego śmiertelny cios zadały. Bo jeśli dziesiętnicy byli zbyteczną już instytucyą w państwie Chrobrego, to również zacierał się właściwy ich charakter w skutek rozrostu liczniejszéj osady w miejscu niegdyś przez nadzorcę dziesiątki zajętém, wskutek rozmnożenia się dziesięciu lub więcéj osad na obszarze, który pierwotnie ta dziesiątka chłopów zamieszkiwała. Długo jednak pozostała pierwotna nazwa osadom, które od dawnych dziesiętników wywodziły pochodzenie a z nią może i jakieś głuche echo niektórych atrybucyi i obowiązków obumarłéj instytucyi, obok zwykłych ciężarów, które ta kategorya chłopskiéj ludności wspólnie z innemi osadami ponosiła.

Praca téj ludności, ciężką niewolą przygniecionéj, żywiła księcia, bogate duchowieństwo i znaczną część społeczeństw, którego najniższa tylko warstwa z rąk własnych wyżyć musiała. Dla wszystkich bowiem odcieni wolnéj ludności świeckiéj dla możnego pana, dla rycerza, lub władyki i dla biednego dziedzica na małym kawałku gruntu; własność ziemska była podstawą stanowiska społecznego i jak jedni mieli w niéj źródło wysokiego znaczenia i bogactw nieprzebranych, tak drudzy

trzymali się jéj jako jedynéj kotwicy, od któréj zawisł najdroższy dla człowieka klejnot osobistéj wolności. To téż strzeżono jéj jak oka w głowie i ztąd zasada dziedzictwa tak ważną była sprężyną wszystkich społecznych stosunków. Inne to było zgoła dziedzictwo niż u chłopów: jeśli bowiem chłop zostawiał synom ten kawał gruntu na którym się w niewoli urodził i całe życie przepędził przywiązany do niego, w pracy dla cudzéj korzyści, na to tylko dostawała im się ta spuścizna, aby pan nadal miał z niéj ten sam pożytek, ale upomnieć się o nią nie mieli prawa i na skinienie pana tam iść musieli, gdzie im nowe wskazano siedlisko. Prawdziwe dziedzictwo dawało własność zupełną, przechodzącą bez żadnych ograniczeń z pokolenia w pokolenie na wszystkich zstępnych pierwszego właściciela. Tylko kto sam się jakiéjś włości dosłużył, czy kupném, czy z daru książęcego, mógł nią rozporządzać do woli, ale téż, jeśli mu Bóg dzieci nie dał a śmierć go nagle zaskoczyła, zabierał ją książę jako puściznę, do któréj dalsi krewni zmarłego nie mieli prawa. Każda jednak ojcowizna, każda włość po przodkach odziedziczona, przechodziła po bezpotomnéj śmierci właściciela, na najbliższych krewnych po mieczu a potomków wspólnego ze zmarłym dziada, który w prastarych czasach pierwszy ją posiadał. Wszyscy zatem potomkowie męzcy wspólnego przodka uważali się za dziedziców całego obszaru, który niegdyś do niego należał, a że interes osobisty najczujniejszym bywa stróżem starych instytucyi, nic tak uparcie się nie utrzymywało, jak świadomość i żywe poczucie téj polskiéj wspólności rodowéj, która dla obcych przybyszów zakupujących w Polsce włości takim była postrachem. Nietylko magnat każdy wiedział kto mu był w rodzie najdalszym nawet bratem lub stryjem, ale i najuboższy dziedzic zagonowy, choć go los w dalekie strony od pierwotnéj siedziby przodków przerzucił, właśnie dlatego, że mu biéda dokuczała, tém bardziéj uważał, żeby go w razie śmierci dalekiego krewniaka, choćby najskromniejsze dziedzictwo nie minęło [1]).

Dziedzic małego gruntu, niegdyś przeważający typ w budowie społecznéj lechickich plemion, stawał się z każdym dziesiątkiem lat coraz rzadszém zjawiskiem; w czasach Krzywoustego stanowił jednak bezwątpienia liczniejszą jeszcze klasę od bogatszéj braci w hierarchii społeczeństwa świeckiego. Setki jednostek z téj klasy wzniosły się już były i ciągle jeszcze wstępowały po szczeblach zasług wojennych, służby dworskiéj i łask książęcych na wyżyny lepszéj doli władyków lub nawet magnatów; większa jednak nierównie liczba, ciężarem biedy przygnieciona, spadała nieustannie w szeregi chłopów swobodnych, je-

[1]) O dziedzictwie traktuje wyczerpująco Hube: *Prawo polskie w wieku XIII*, Warszawa, 1874, str. 79—88, rozróżniając jak należy, stanowczo: 1) Spadek w dobrach kmiecych (chłopskich); 2) Spadek w dobrach nadanych i 3) Spadek w dobrach dziedzicznych. Są tam zestawione wszystkie ważniejsze świadectwa źródeł, między niemi i ów *locus classicus* o polskiém dziedzictwie *Liber fundationis claustri Heinrichow*, str. 41.

śli nie do stanu osobistéj niewoli. Różne też były i w téj klasie odcienia według dostatku, przedsiębierczości i szczęśliwéj gwiazdy, pod którą się kto urodził. Jeśli komu przyszło podzielić ojcowiznę pomiędzy synów na pomniejsze *źrebia*, cięższy był już los jego dzieci, a cóż dopiéro wnuków i prawnuków, chyba że któremu z nich udało się w górę wydźwignąć, a wtedy i sam biédy nie zaznał i o dalszych krewniakach pamiętał. Wpośród źrebiów dziedzicznych szeroko rozgałęzionéj braci jednego rodu wchodziły nieraz klinem role sąsiadów, od innego pochodzących przodka, lub grunta książęce i kościelne, na których chłopi siedzieli, choć w dawnych czasach cały obszar dokoła do jednego należał dziedzica, pradziada przeważnéj części późniejszych jego właścicieli. Jakkolwiek bowiem wspólność rodowa broniła przejścia ojcowizny w cudze ręce, to przecież nieraz wszyscy bracia *i stryjce* zgodzić się musieli, by który z nich obcemu zięciowi oddał kawał swego źrebia, kościołowi zapisał albo księciu odprzedał. Niekiedy jakiś pan możny, wspólnego rodu z dziedzicami niewielkiéj włości, zgłosił się po dział, który nań przypadł po śmierci którego z biedniejszych braci, i tak późniéj swoim gruntem z ich źrebiami graniczył, choć sam siedział daleko w obszernym dworze, a tylko chłop, osadzony na nowo nabytém dziedzictwie, składał mu plony na niém zebrane. Skoro wreszcie włość taka, od samego początku niezbyt obszerna, rozprysła się na kilka lub nawet kilkanaście pomniejszych źrebi, każdy dziedzic musiał mieć w obrębie swojéj drobnéj posiadłości wszystko, co do gospodarstwa należało, a więc i rolę orną i płot i pastwiska, które zwykle zarazem za łąkę służyło i nieraz nawet, choćby mały kawałek osobnego lasu; nie dziw więc, że takie miniaturowe gospodarstwo skąpy bardzo plon przynosiło, a zubożały dziedzic, zmuszony z niego wyżywić siebie i rodzinę, mało się różnił w sposobie życia od sąsiada chłopa, z którym go nędza niebawem mogła zupełnie zrównać.

Byli jednak w téj klasie i zamożniejsi ludzie. Spory kawał gruntu nigdy im biedy zaznać nie dawał, a że sami niewiele nawet tykali się pługa, mając kilku czeladzi, która im rolę uprawiała, więc i do wojaczki więcéj się garnęli i radzi wydawali się za rycerzy władyków. To też władyczątkami zwano żartobliwie takich pyszałków. Ale kiedy przyszło dziedzinę między synów podzielić, a w drugiém lub trzeciém pokoleniu kilkanaście już głów z niego wyżyć musiało, prawnuki takiego władyczątka zapominali o tych zachciankach swego przodka i nieraz, przy dziedzictwie nie mogąc się utrzymać, w chłopskim znaleźli się stanie. Nie było też właściwie ścisłéj granicy między władyką a mniejszéj włości dziedzicem, całe bowiem bogatsze „rycerstwo" z téj chudzizny przed laty wyrosło i ciągle jeszcze z niéj się wydobywało; z tém wszystkiém, choć wielu było takich, którzy na rozgraniczu obydwu klas stali, w pojęciach narodu tkwiło głębokie poczucie społecznéj różnicy, między pospólstwem a władykami, rycerstwem. Jeszcze za czasów ojca Krzywoustego nie mogło tego darować Sieciechowi, że li-

chych chudopachołków wynosił nad władyków. I dawniéj dobrze znana była ta różnica. Już bowiem w wojnie Kazimierza Odnowiciela z Masławem, mamy najdawniejszy znany przykład pierwiastkowéj „nobilitacyi." Wtedy to książę ocalony wśród krwawego boju, tylko bohaterskiém poświęceniem jakiegoś wojownika, który „nie pochodził z szlachetnego rodu," lecz był pospolitym „szeregowcem," wspaniałomyślnie mu tę przysługę wynagrodził, bo i dobra znaczne mu nadał i dostojeństwem wyniósł go między pierwszych władyków.

Z szlachetnego więc rodu pochodzili władycy. Jeśli zaś ten wzgląd wszędzie i zawsze był przeważnym czynnikiem w stanowisku wyższych warstw społeczeństwa, to cóż dopiéro w Polsce ówczesnéj, gdzie wobec zasady dziedzictwa, tak rozległe pojmowanéj i zastosowywanéj, w pełnéj żywości utrzymywała się u wszystkich świadomość, od jakiego przodka kto wynieść się zdołał. Za czasów Krzywoustego dobrze jeszcze mógł dźwigać ciężką zbroję ten rycerz, którego ojciec pamiętał panowanie Chrobrego, a dziad z tym wielkim królem dobywał Kijowa i dosłużywszy się na jego dworze zaszczytów i majątku, potomkom obok niejednéj włości, sławę zacnego rodu zostawił. Kiedy zaś Kazimierz swego obrońcę wynosił między władyki, znaczna część rycerstwa pochodziła jeszcze z pułków Chrobrego, a jeśli kto do szlachetnego rodu rościł sobie prawo, toć musiał przynajmniéj przez trzy pokolenia znakomitych miéć przodków, którzy jeszcze w pogańskich czasach, za odrębności plemion lechickich słynęli niepospolitém znaczeniem. Jakoż trudno sobie wyobrazić, żeby wpośród ówczesnego rycerstwa niemiało być potomków szczepowych, książąt z doby pogańskiéj lechickich plemion. Choćby nawet niejeden ród książęcy, w walce z Piastami, prześladowany przez nich, ze szczętem wyginął; choćby przygnębieni wnukowie starych władców lechickich, przez długie wieki stronili od majestatu nowych monarchów; to przecież niejeden potomek książęcego rodu, jeśli nie chciał zmarnieć w zapomnieniu, musiał się zgodzić z nowym rzeczy porządkiem i pod znakami Chrobrego, Mieszka czy Kazimierza, dobijał się chwały przed wszystkimi innymi, szczycąc się sławą starego a znakomitego rodu i szlachetnego pochodzenia [1]). Z tych książęcych zatém prawnuków i z potomków znakomitych rycerzy, którzy w służbie u pierwszych chrześciańskich monarchów doszli do znaczenia, wyrósł w czasach Krzywoustego liczny zastęp władyków, i rodu zacnością i dostatkiem wysoko wzniesiony ponad rojowisko ubogich dziedziców na małéj włości.

[1]) Myśl tę, o ile mi wiadomo, poruszył po raz pierwszy Bobrzyński (*Dzieje Polski w zarysie*. Warszawa, 1879 r., str. 79). Jestto hipoteza bardzo prawdopodobna, jakkolwiek nikt jéj udowodnić ściśle nie zdoła. Przemawia zatém analogia czeskich stosunków por. Ireczek: *Das Recht in Böhmen und Mähren* cz. II, str. 31. Nie darmo téż wkłada Gallus Bolesławowi Chrobremu karcącemu magnatów te słowa w usta: „Vos tanta prosapia exortos talia committere non duebat" t. I, str. 13.

Do tych wyżyn wynieść jednak mogła każdego chudopachołka wdzięczność i łaska monarsza, jak tego przykład obrońcy Kazimierza najlepiéj dowodzi. Niezawodnie téż co rok prawie, wśród nieustannych wojen, wzmagał się zastęp władyków takimi przybytkami z niższéj klasy. Co więcéj, nawet chłopa mógł ten zaszczyt spotkać, jeśli w wojennéj potrzebie oddał księciu wielką jaką przysługę, godną takiego dobrodziejstwa. Tak ów chłop, który w wojnie węgierskiéj Krzywoustemu życie ocalił, dając mu swego konia, skoro padł rumak książęcy, nie próżno błagał go, wśród wrzawy bojowéj, by o nim książę po powrocie do kraju pamiętał, bo nietylko zdjęto zeń pęta chłopskiéj niewoli, ale i włości bogate otrzymał z monarszego nadania i w poczet rycerzy go zaliczono, za rycerską na wojnie zasługę. Właściwéj nobilitacyi, w późniejszém tego słowa znaczeniu, nie znały owe czasy; jeśli kto bowiem, w skutek łaski książęcéj, został panem obszerniejszéj posiadłości i urząd jakiś na dworze otrzymał, to już przez to samo liczył się do władyków, a choć zacnego rodu rycerze może nań nieraz jeszcze krzywo patrzeli, to synom jego i wnukom już nikt nie mógł zarzucić pospolitego pochodzenia. Czasami jednak uroczysty akt rycerskiego pasowania, dopełniał miary względów książęcych; w takim zaś razie, choć kto niemiał ojca władyką, śmiało mógł się nazwać rycerzem, skoro go sam monarcha „pasem rycerskim" zaszczycił. Wcześnie już ten zwyczaj z Zachodu do Polski zawitał. Już Władysław Herman, po pierwszém zwycięztwie Krzywoustego nad Pomorzanami, wspaniałą na zamku płockim wyprawiwszy uroczystość, wraz z synem wielu rówieśników jego pasował na rycerzy. Niejednemu bowiem polskiemu władyce przyszło się otrzéć o zwyczaje rycerstwa zachodniego, którém przez to zwolna do kraju przystęp się otwierał. Wyjątkiem to wprawdzie było, jeśli kogo żyłka awanturnicza pociągnęła na jakiś czas za granicę, w służbę obcych panów , ale wyjątki takie zdarzały się niezawodnie, a w legendzie heraldycznéj o praojcu Zaprzańców kryje się zapewne wspomnienie jakiegoś prawdziwego faktu z tych starych czasów. Choć zresztą Polska nie garnęła się do wypraw krzyżowych, mimo to ten lub ów władyka zapędził się czasem z towarzyszami z Francyi lub Niemiec aż do Palestyny. Jaksa z Miechowa, fundator Bożogrobców, z Jerozolimy sprowadzonych, nie był jedynym tego rodzaju przykładem, nieraz bowiem zdarzało się spotkać i mniéj znacznego rycerza, którego z czcią dla niezwykłych przygód „Jeruzalemczykiem nazywano." Z Henrykiem Sandomierskim zresztą niemało rycerstwa musiało Ziemię świętą oglądać; w drugiéj zaś wielkiéj krucyacie pośpieszył za Konradem III cały oddział Polaków.

Zawsze jednak białymi krukami byli ci rycerze, którzy gniazda ojczystego odbiegali, by po awanturniczéj tułaczce w obcych krajach na starość do domu powrócić. Więcéj tradycyi rycerskiego Zachodu dostawało się Polsce przez obcych przybyszów wojennego rzemiosła. Jeśli bowiem żądza przygód i pragnienie sławy niejednego polskiego rycerza gnały w świat szeroki, to nierównie więcéj awanturników

z Niemiec, a może i z Francyi przybywało do gościnnéj Polski, gdzie każdego dzielnego wojownika dobre przyjęcie na dworze książęcym czekało. Już za czasów Chrobrego otwarły się w Polsce gościnne podwoje dla wszystkich „gości." Kto z nich zaś w pierwszym boju dał dowody męztwa i zręczności, tego „nie jak rycerza, ale jak królewicza jakiego" na dworze szanowano, a jeśli mu tylko czego zbywało, król wspaniałomyślny obsypywał go niezliczonemi bogactwy. „Gdyby mi tak dane było, mawiał Chrobry, dzielnego rycerza od śmierci wykupić, jak go darami z niedostatku mogę wydobyć, przygniótłbym śmierć samą brzemieniem mych bogactw, byle tylko taki kwiat męztwa i odwagi rycerstwu mojemu zachować." Było to zresztą zupełnie w duchu czasu, boć i rówieśnik Chrobrego, św. Szczepan węgierski prześcigał go może jeszcze w przynęcaniu obcych rycerzy do kraju i nawet w upomnieniach dla syna swego opisanych przekazał mu to postępowanie między złotemi panowania regułami, wyraźnie go przestrzegając, „że źle jest państwu, w którém tylko jednym mówią językiem." To też od czasów Chrobrego przez dwa wieki następne niemało tego różnojęzycznego rycerstwa przybywało do Polski i z tego źródła nieustannie zasilał się zastęp naszych władyków napływem obcego żywiołu. Dość przejrzéć szeregi rycerzy Krzywoustego, a znajdzie się między nimi niemało Azzonów, Rykoldów, Rudolfów, Oldbrandów, Arnulfów, Odonów, Wilhelmów, nawet Hektor był w ich gronie, jako żywy ślad zagnieżdżenia się reminiscencyi z rycerskich poematów o wojnie trojańskiéj w jakimś nadreńskim może zamku. Za synów Krzywoustego miał już Tuto, niedawno z Niemiec przybyły rycerz, tyle posiadłości, że mógł bez uszczerbku włość swoją pod Rudą klasztorowi miechowskiemu darować. Słynął też w swych czasach Hugon, Bukrem zwany, Saksończyk może z rodu, który w wojnie domowéj po śmierci Krzywoustego tyle usług rycerskich oddał młodszym jego synom, że w dalekim klasztorze poldeńskim jemu głównie przypisywano zasługę ich zwycięztwa. Byłto dług wdzięczności, który należało się spłacić krwi starego księcia za jego szczodre dobrodziejstwa, bo z gołym mieczem do Polski przybywszy, otrzymał Hugo od Krzywoustego niemało ziemi na Kujawach i chłopów książęcych, „spudowników" do jéj uprawy. Rychło też przywykali ci obcy rycerze do gościnnéj nowéj ojczyzny i w potomkach ich niedługo znikał wszelki ślad obcego pochodzenia. Już syn Hugonów, Paweł niewiele się zapewne różnił od innych władyków, z których posiadłościami jego włość pod Radziejowem sąsiadowała, wnukowi zaś Marcinowi dostał się nawet polski przydomek Grabichy. Pod polskiéj matki okiem spędzali bowiem dziecinne lata synowie obcego rycerza, dopóki ich ojciec, już tymczasem i w mowie polskiéj wyćwiczony, nie zaczął zaprawiać do łowów lub wojennego rzemiosła [1]).

[1]) Na początku XIII wieku żył na Szlązku rycerz Albert, zwany Brodaczem lub Łyką, włość jego zwała się Ciepłowoda. Pochodził z rodu nie-

Z tak różnorodnych żywiołów składała się w Polsce ówczesna społeczność rycerska. Obcy przybysze przynosili jéj cośkolwiek z zakroju rycerstwa niemieckiego i francuzkiego, nieustanny zaś przybytek chudopacholskich dziedziców, odświeżał natomiast równocześnie siłę rodzimego pierwiastku. Tak więc na gruncie równowagi pomiędzy temi dwoma przeciwnemi prądami utrzymywał się jednolity mniéjwięcéj tradycyjny tego polskiego władyki, oraz z dziedzicznymi dobrami przeszczepiający się z ojca na syna, typ, którego własnościami rychło przesiąkały nieliczne objawy zboczenia ku jednemu lub drugiemu kierunkowi, jeśli nie w pierwszém, to w następnych pokoleniach. Nie można przytém zapominać, że epoką najobfitszego przypływu obcych pierwiastków były czasy trzech Bolesławów, i że prąd ten znacznie się zmniejszył, jeśli nie ustał prawie zupełnie, od śmierci Krzywoustego, odkąd Polsce zabrakło królów bohaterów, na których wojowniczym a słynnym ze szczodrości dworze tak świetna przyszłość śmiałych rycerzy czekała. Kiedy więc pod wpływem krucyat na Zachodzie zaświtał złoty wiek średniowiecznéj szwaleryi; kiedy w rycerstwie francuzkiém i niemieckiém zapanowała atmosfera romansów z cyklu podań o królu Artusie; kiedy mianowicie kult damy stał się godłem i hasłem rycerskiego życia: już wówczas społeczność polskich władyków nie odżywiała się napływem zachodniego pierwiastku; stary natomiast, swojski żywioł stanowczo wziął górę i obcym dla niego pozostał cały świat czarodziejski uczuć i pojęć, zachodniemu rycerstwu właściwych. Nie szamotało się młode pisklę władyczego gniazdka po wszystkich krajach świata, jak synowie rycerskich rodzin w Niemczech i we Francyi, którzy giermkami ćwicząc się w rzemiośle, pod skrzydłem słynnych bohaterów, rozkołysawszy wyobraźnią odurzającym napojem różnorodnych wrażeń życia, pełnego przygód, na starość dopiéro w dziedzicznym osiadali zamku. Ale i zamków rycerskich, tych gniazd i ognisk romantyki średniowiecznéj brakło „drewnianéj" Polsce. Niemiał co robić w włości dziedzicznéj nasz władyka, bo go ciągnął ku sobie magnes książęcego dworu, bo koło słońca monarszego majestatu wszystko jeszcze w najgłębszéj obracało się pokorze, z niego jedynie czerpiąc ciepło życia, jego tylko oświecane blaskiem.

Gościem téż tylko bywał władyka w swym dworze na dziedzicznéj włości, w którego modrzewiowych ścianach, pod okiem żony i niewiast służebnych, rosły mu dziatki. Jeśli nie wypadło być z księciem na wojnie, to milszy mu był zawsze ruchliwy gwar książęcego dworu, niźli pisk dzieci i jednostajny klekot kołowrotka w własnym domu. Zdarzało się spotkać dwory władyków, które przez całe lata stały pustką i tylko czeladź pańska w nich się kręciła, pod nadzorem wypróbowanego z wierności włodarza, bo pan z całą rodziną bawił przy

---

mieckiego Churbanów. Jego ojciec jednak osiadł już w Polsce i ożenił się z Wallonką z Wrocławia. Pierwszą żoną Alberta była Polka, córka władyki Dzierżka, po jéj śmierci jednak ożenił się z Niemką.

księciu; żony takich władyków księżnie były towarzyszkami i do wspólnych z całym dworem zasiadały biesiad, a dzieci w igraszkach z przyszłymi władcami kraju zaskarbiały sobie wcześnie ich łaskę i przyjaźń. Ale to były tylko wyjątki. Zwykle żona władyki pilnowała domu, czekając samotnie, rychło mąż, trudów bojowych i dworskiego życia syty, na czas jakiś przy niéj wypocząć przybędzie. Kiedy bowiem wojny nie było, a książę gdzieś w dalekich stronach przebywał, dłużéj nieraz wypadło władyce zabawić u domowego ogniska, a chleb z własnéj roli i zwierzyna z własnego boru, choć na drewnianych lub glinianych podane misach, lepiéj mu nieraz smakowały, niż najwytworniejsze potrawy książęcego stołu na srebrnéj lub złotéj zastawie. Rychło mu jednak przykrzyły się ciche rozkosze domowego spokoju i choć o wojnie nic nie było słychać, jeśli książę tylko w swych pochodach po kraju zbliżył się do jego siedliska, co rychléj doń pośpieszał, żeby znów, zaczerpnąwszy innego powietrza i przypomniawszy się miłościwemu panu, napowrót, po pewnym czasie w swoje progi zawitać.

Rzadko zajaśniał samotny dwór władyki jakąś uroczystością wspaniałą, którąby sam nawet książę odwiedzinami swojemi zaszczycił. Skoro jednak zdarzyła się do tego sposobność, to wtedy niczego nie żałował i wszystkie zasoby zdawna nagromadzone pękały, byle dostojnym gościom nie zbywało na niczém. Żaden dwór nie starczył na pomieszczenie książęce orszaku i licznych gości sproszonych, więc setki namiotów, jak w obozie, rozbijano dokoła [1]). Nie lada też to musiała być uroczystość, żeby kto w swojéj dziedzicznéj siedzibie takie gody wyprawiał, chyba wesele albo poświęcenie kościoła, który sobie jaki władyka wybudował w swych włościach. Czasem jedno z drugiém razem łączono, jak przy pamiętném poświęceniu rudzkiego kościoła, choć księża krzywo na to patrzyli, jeśli kto, „boskie zaślubiny z cielesnemi jednoczył.” To też temu niewłaściwemu połączeniu obudwu uroczystości przypisywano nieszczęśliwe wypadki, które zamąciły wesołość rudzkich godów. Mniejsza o to, że w zwadzie jeden z gości drugiego trupem położył, bo to nieraz się wydarzało przy większém zbiegowisku, ale kiedy Krzywousty z częścią swego orszaku podążył w lasy zabawić się łowami, a resztę gości weselnych przy uczcie zostawił, nagle przyszło rozbawionym biesiadnikom do głowy, przypasać miecze i na koniu za księciem pośpieszyć, bo rozeszła się pogłoska, że w głębi lasów wpadł w zasadzkę Pomorzan; na szczęście wczas jeszcze zdążyły

[1]) Jak liczne to bywały zjazdy, świadczy niżéj przytoczony ustęp Galla. Krzywousty bowiem wyruszył na łowy z 80 towarzyszami, większa zaś część biesiadników musiała pozostać przy uczcie, skoro dopiéro z ich przybyciem minęło niebezpieczeństwo w walce z zasadzką pomorską. Namioty rozbijano zwykle przy większych zjazdach nawet na Zachodzie (ob. Falke: *Die Gastlichkeit im Mittelalter* w Raumera *Hist. Taschenbuch* 1862 r., str. 162), a cóż dopiéro w Polsce, gdzie wogóle nierównie więcéj używano namiotów.

posiłki, ale już trzecią część orszaku przy księciu zastały, reszta legła pod mieczem przeważnéj siły podstępnych najezdców.

Głuchy spokój i jednostajna cisza panowały po dworach władyków, od imienia pana, który je pobudował, zwykle nazywanych Żegocinem czy Odolanowem, Klimuntowem, Otłoczynem lub Wojsławiem. Niewytworne, nizkie i małe było pańskie mieszkanie, z prostych lecz silnych tranów modrzewiowych stawiane, boć mało kto dbał o wspaniałość siedziby, w któréj niewiele miejsca zagrzewał. Kto był bogatszy lub komu z łupem wojennym dostały się cudzoziemskie makaty, wyścielał niemi ściany swoich komnat, choć pewnie taki skarb częściéj w zamkniętych skrzyniach ukrywano, by go zaszanować na wypadek jakiéj uroczystości, kiedy skromny dwór przystroić wypadło. Zimową porą jasny płomień buchał na kominie, ciepłem i światłem zarazem darząc komnatę, jeśli woskowych świec nie zapalono, bo kiedy z nadejściem mrozów zasunięto drewniane okiennice, choć kto w nich miał nawet szyby z pęcherza lub z rogu cienko rżniętego, mało światła słonecznego przez nie wpadało. Do pańskiego mieszkania przypierały izbice służby dworskiéj i czeladzi, z osobna budowane, wraz ze spichrzem i stajniami. Cały obszar domostwa obwarowany był zwykle choćby częstokołem lub wałem ziemnym i fosą. Jakkolwiek bowiem rzadko komu przyszło bronić się w swoim dworze, gdyż na pierwszą wieść o nieprzyjacielskim napadzie, sam pośpieszał do księcia, a rodzinę chronił w poblizkim grodzie książęcym, to niejakie środki obrony były każdemu dworowi potrzebne na wypadek zbójeckiéj zaczepki jakich łotrów, którzy na dobytek we dworze złożony, łatwo mogli się złakomić.

(*Dokończenie nastąpi*).

LUIZ CAMOENS

I JEGO DZIEŁO.

(Notatka biograficzno-literacka).

PRZEZ

Kazimierza Kaszewskiego.

Jak dla nas z powodu Długosza, tak dla Portugalczyków z powodu Kamoensa, pamiątkowym jest rok bieżący, w którym i jeden naród i drugi obchodził trzechsetną rocznicę śmierci swych znakomitych mężów.

Stolica Portugalii cześć i wdzięczność dla narodowego wieszcza objawia uroczystościami, którym sam król przewodniczył. Składały się one z odczytów o poecie, z widowisk teatralnych i igrzysk ludowych; a ponieważ na tenże sam czas zwołanym został międzynarodowy zjazd literacki, również pod przewodnictwem króla-literata, przeto u stóp pomnika największego z poetów Luzytanii, zebrali się przedstawiciele inteligencyi, ażeby godnie i zgodnie uczcić pamięć zasłużonego członka jednéj rodziny ludzkiéj, tak jak w roku zeszłym składano hołd żyjącemu Jubilatowi w Krakowie.

Jakie są tytuły Camoensa do tego zainteresowania się nim ogółu ludzi myślących, jakie stanowisko zajmuje on w Panteonie poezyi wszechnarodowéj, staraliśmy się wyjaśnić w niniejszéj pracy, zespalając się przez nią z chórem uczestniczących na miejscu.

* * *

I.

Półwysep Iberyjski, zaludniony wątłém plemieniem Celtów, przeszedłszy przez wpływy, osadnictwa, lub zdobycze Greków, Kartagów, Rzymian, Wissygotów, Arabów, z całéj téj mieszaniny krwi, obyczajów, praw, kultury, wyszedł w średnich wiekach chrześciańskim co do

religii, romańskim co do języka, feodalnym co do ustaw. Na ruinach Kalifatu tworzyły się w różnych punktach, pod osłoną gór i rzek, drobne dzielnice szczęśliwych wodzów chrześciańskich, sprzymierzających się przeciwko wspólnemu wrogowi muzułmańskiemu, aż wiek za wiekiem, doba za dobą, półksiężyc zagasł zupełnie na całéj przestrzeni pomiędzy Pirenejami i Gibraltarem.

Iberyjczykom wielką pomocą w tém wywłaszczaniu najazdu muzułmańskiego byli sąsiedzi Frankowie, a gdyby nie wielkie zwycięztwo Karola Martela, pomiędzy Poitiers i Tours, nie tak łatwo byłoby chrześcianom zapirenejskim krzyż na cięciwie półksiężyca zasadzić. Pierwszą, która do życia niepodległego wyłania się zpod krwawéj kurzawy wojennéj, jest Kastylia, ona téż nadaje ton na całym półwyspie; koło niéj, jak koło wielkiéj planety, obracają się satellici: ona ich przyciąga i chłonie. Kastylia, to dzisiejsza Hiszpania.

Był téż na krawędzi zachodniéj tego półwyspu, zakątek, za Rzymian zwany Luzytanią, od mitycznego zapewne Luzusa, a sławny dzielném usiłowaniem Sestoryusza, skierowaném do założenia osobnéj potęgi państwowéj, niezależnéj od władztwa rzymskiego. Zakątek ten uległ, wraz ze wszystkiemi, zdobyczy innoplemieńców, i długo po upadku Zachodniego państwa rzymskiego, nie dawał żadnego znaku jakiegoś odrębnego życia. W danéj téż chwili, zarówno z innemi poruszał się, probując siły ciążących na nim okowów; korzystał z czasu, i kiedy się dało, przepiłowywał, tak, iż w wieku XII tworzył on już pewną oddzielną całość, zwaną hrabstwem Portugalii [1]), zostającém pod bezpośrednią władzą potężnego już wówczas króla Kastylii, Alfonsa VI. Jakkolwiek potężny był to pan, musiał się on miéć jednak ciągle na baczności przeciwko Arabom, nigdy ognia na zamkach nie gasić, nigdy miecza do pochwy nie chować, i wnukom jeszcze a prawnukom tęż samą baczność a czujność przekazać, iżby każdą krwawo zdobytą piędź ziemi utrzymać i nadto panowanie Krzyża rozprzestrzeniać. W tych harcach ustawicznych z Arabem, dzielnie Alfonsowi Kastylijskiemu dopomagali dwaj panowie francuzcy, książęta Kapetowicze burgundzcy, Rajmund i Henryk. Czém tu, w owych zwłaszcza czasach, wynagrodzić waleczność i znakomitą zasługę rycerzy, jeśli nie ręką dorodnych córek? Małożto tego rodzaju wywzajemnień mamy w pieśniach, balladach i legendach, tworzących historyę wprzód, nim do niéj powołano archeologów i statystów? Otóż tak samo uczynił i Alfons VI: Rajmundowi dał Urrakę, następczynię tronu kastylijskiego; a córkę poboczną, Teresę, zaślubił Henrykowi, przydając tym ostatnim na dorobek maleńkie hrabstwo portugalskie. Tym sposobem, wbrew wszystkim, którzy pierwotnych panujących wyprowadzali jużto z Węgier, już z Lotaryngii, pierwszym władcą portugalskim był

[1]) Od *Portus Cale*, pierwotnéj nazwy miasta Porto, oraz jeszcze dawniejszéj osady *Cale*, na lewym brzegu rzeki Duero.

w prostéj linii prawnuk Roberta Świętego, a praprawnuk Hugona Kapeta [1]).

Byłto sobie podówczas szczupły kraik na zachodnio-północném wybrzeżu półwyspu, zakreślony mniéj więcéj położeniem miast: Porto, Koimbra, Viseu i Guimarens, tak że téż i w tém ostatniém, Henryk pierwotnie założył sobie stolicę, nim przyszła kolej na zdobycie Lizbony.

Jakie tam były warunki zależności hrabstwa od senioratu kastylijskiego, nie wiemy, ale to pewna, że choćby one istniały w umowie przedślubnéj, fakta musiały je rozluźnić wobec ciągłych zapasów ze wspólnym nieprzyjacielem. Władcy Portugalii wojowali Maurów na własną rękę, na półwyspie i w Afryce, ponosili trudy i ofiary ciężkie, tak dobrze, jak i Kastylia; wątpić więc wypada, czyby im się tak chciało ciągle pracować *pour le roi de Prusse*. To wszakże pewna, że już i sam Henryk, po zwycięztwie nad Kastyllanami, oraz po pobiciu Maurów w siedmnastu bitwach i zajęciu ich kraju, aż prawie po Lizbonę, bo do Cintry, pisał się „z łaski Bożéj hrabią i panem wszech Portugalii." Wreszcie do historyi specyalnéj należy wyświetlenie biegu rzeczy, który sprawił, że z tego zamętu średniowiecznego, gdzie utonęło tyle różnych hrabstw, księztw i innych feodalnych dzielnic, tylko dwa królestwa: Hiszpania i Portugalia, wypłynęły jako dwie osobne niepodległości. My zaznaczymy to tylko, że od pierwszych chwil autonomicznych, Portugalia rozwijać się poczyna samodzielnie, z pewną nawet wojowniczą zazdrością o swą samodzielność względnie do Kastylii; ma ona osobne swe prawa, instytucye, literaturę, osobne swe kierunki polityczne, i taką ją téż spotykamy w wieku, który nas bliżéj interesuje obecnie ze względu na sam przedmiot naszego pisma.

Państwo to, dzięki szczęśliwym nad Maurami zwycięztwom, rozszerzając się i prędko i rozlegle, nie poprzestawało na gnuśném spożywaniu owoców zdobyczy: energia duchowa, nabyta szeregiem tylu pokoleń przez ustawiczne stawianie czoła niebezpieczeństwom, nie mogła zasnąć tak łatwo. Ona to Portugalczykom wskazała cele chwalebne, doniosłe a niemniéj niebezpieczne, nawet i wtedy, kiedy już nie było bić kogo pod ręką. Ta Afryka sąsiednia, ów sfinks zamorski, nęcił nieustannie przedsiębierczość dawnych Luzów. Niedość im było łamać nieprzyjaciela za bramami Ceuty, nękać, ażeby kiedyś wzmocniony znowu na ich ląd nie wrócił; wabiła ich nowość, krew gorąca parła gdzieś naprzód: objawiła się na nich stara historya o Jazonie. Kiedy okręt wypłynął na morze, załoga widziała przed sobą nieskończoność, i niejednemu przyszło na myśl zapytać się o granice téj nieskończoności.

---

[1]) Rękopism z XII wieku, według którego w r. 1624 Teodor Godefroy ogłosił swój *Traktat o królach Portugalii*. Zobacz: *Camoens* przez Clovisa Lamarre, 1878 r., str. 134.

Nic wreszcie dziwnego, że ludność nadmorska nabierać zwykła pochopu do dalekich wypraw i odkryć; to tak samo, jak ludność zamieszkała wśród borów, nabiera pochopu do myśliwstwa; to wpływy nieuniknione otoczenia, telluryczne, jak mówi Ritter. Wpływy te wyzyskać można na mniejszą lub większą skalę: Portugalczycy wyzyskali je w swoim czasie na najwyższą, bo byli to jeszcze bezpośredni synowie bohaterów, nie zaś kupców, i tém zapisali się na wieki w złotéj księdze postępu cywilizacyi europejskiéj.

Ten pochop do odkryć przyszedł do widocznego objawu i rezultatu, już za panowania Jana I, pomiędzy rokiem 1385 i 1433, a więc przy zmierzchu średniowieczności, pod jutrzenką nowéj epoki, która miała wkrótce użyznić niwę umysłową rzęsistym deszczem wynalazków, pomysłów, spekulacyi. Panowanie Jana I, przedstawiało się świetnie pod każdym względem, ale największy jego ornament stanowił podobno infant don Henryk, trzeci syn królewski, zawołany admirał i żeglarz naukowy.

W jego epoce Afryka znaną była w obszerności niewiele co większéj, niż za czasów starożytnych, czyli cała znajomość wybrzeży kończyła się na przylądku Bojador, poza którym uważano tę wielką część globu za niezamieszkałą, pustą, bezpłodną. Nie tak to się jednak wydawało umysłowi infanta Henryka, który téż wciąż nosił się z myślą sprawdzenia swoich przewidywań. Od myśli przyszło niebawem do czynu. Wysłał on nasamprzód na okręcie dwóch swoich koniuszych, biegłych żeglarzy, ze stosownemi instrukcyami, których zrazu wiatr przeciwny napędził na wysepkę nieznaną, a przez nich nazwaną Porto-Santo. Było to już coś, przybyło pole do osadnictwa, nowa wedetta, przydatna do dalszych poszukiwań; ale infanta to nie zaspokoiło. Nakazał im nową z tego punktu wyprawę. Przy dniu pogodnym postrzegali oni ztamtąd, na krańcu widnokręgu, jakąś linię długą i tajemniczą: a nużby się dowiedzieć, co to takiego. Wyruszywszy, przekonali się, że to już wyspa rozległa: wzięli więc ją w posiadanie d. 3 lipca 1419 roku i nazwali Maderą. O niéj to mówi w tych słowach Camoens:

„Madera, duma Oceanu, który ją obejmuje w uścisku swym, duma Luzów, którzy ją zaludnili. Imię zawdzięcza swym lasom. Umieszczona na krańcach starożytnego świata, niéma ona rozgłosu Cytery ani Pafosu, ale im dorównywa w piękności; a gdyby los oddał ją był pod władzę Wenery, bogini przeniosłaby ją nad gaje Cytery i Pafosu [1])."

Po tak dobrym początku don Henryk nie ustawał w wyprawach. W ciągu trzech panowań wysyłał wciąż jednego żeglarza po drugim, którzy mając już zapewnione stacye morskie w coraz większéj liczbie, a razem z niemi i żywność, posuwali się w odkryciach coraz dalej, tak, że opłynęli i ów koniec znanego świata, przylądek Bojador, i wylądo-

[1]) *Luzyada*, t. V, str. 5.

wywali na brzegi Gwinei, przywożąc ztamtąd rozmaite płody i ludzi czarnéj barwy, a tym sposobem dotarli aż do przylądku Zielonego (Dyonizy Fernandez w r. 1446).

Niesnaski domowe, rozterki z zagranicą, których dotąd dla celów kolonizacyjnych starannie unikano, wreszcie ściganie Maurów, którzy podnieśli głowę skutkiem zdobycia Konstantynopola przez Turków, wszystko to powstrzymało na czas pewien nieprzerywalność wypraw. Dopiéro, kiedy Jan II, niby Ludwik XI swojego kraju, silną ręką ujął ster rządów i ład nowy zaprowadził, żeglarstwo wystąpiło znowu na pierwszy plan. Korzystając z bulli papieża, Eugeniusza IV, który władcom portugalskim udzielił prawo posiadania wszystkich ziem nowoodkrytych i mających się odkryć poza przylądkiem Bojador, Jan II ogłosił się *panem* Gwinei. Nie królem, bo jak powiada dawny pisarz Vasconcellos, cytowany przez Clovisa Lamarre, „niemiał on żadnéj juryzdykcyi nad ludami tych stron, gdyż zajął je raczéj za zgodą mieszkańców, niżeli siłą zbrojną." Rzeczywiście, odkrycia Portugalczyków, innym zgoła idą trybem, niżeli Hiszpanów, i dlatego téż imiona mężów, którzy je bezpośrednio dokonywali, mniéj głośne są od imion Kortezów i Pizarrów, którzy gęstemi śladami krwi postępy swoje znaczyli.

Jak don Henryk miał myśl, że poza przylądkiem Bojador znajduje się kraj zamieszkały, tak Janowi II ciągle snuło się po głowie, że gdzieś na przedłużeniu téj linii i w tamtych okolicach, musi być jakiś szlak morski, prowadzący na Wschód i docierający do Indyi. Znaleźć tę drogę byłoby ogromnym dla Portugalii tryumfem, nietylko pod względem chwały, ale i pod względem korzyści materyalnych. Jakoż, dotąd drogę do Indyi znano jedynie przez Egipt, a więc przez morze Śródziemne, gdzie Suez zatrzymywał okręty, a więc do najwyższego stopnia utrudniał handel, z którego korzystali tylko Genuończycy i Wenecyanie, i to po większéj części z drugiéj już ręki przejmując płody i wytwory przez tranzakcye w Egipcie. Ale bezpośrednio z Lizbony dostać się nad Indus i Ganges, założyć tam faktorye, czerpać z pierwszéj ręki, mieć przed sobą cały obszar ziem nowych: oto dzieło, któreby pierwszego inicyatora okryło niespożytą chwałą! Tego zapragnął Jan II. Wiadomości otrzymywane o Indyach od podróżnych i kupców, komunikujących się z tym krajem przez wschodnie brzegi Afryki, kombinując z rezultatami wypraw dotychczasowych i odkryć poczynionych przez jego poprzedników na jéj wybrzeżach zachodnich, utwierdził się on w przekonaniu, że gdyby udało się opłynąć Afrykę od jéj strony południowéj, to niezawodnie znaleźć się tam musi jakaś droga morska, prowadząca bezpośrednio do Indyi.

W tym celu, kiedy jego dzielni żeglarze posunęli się w odkryciach już aż do Kongo, wyprawił on w r. 1486 Bartłomieja Diaz z poleceniem, ażeby się starał posunąć jaknajdaléj i miejscowość rozpoznać. Diaz ściśle spełniając instrukcye, pchał się coraz daléj ku południowi Afryki, aż raz burze zapędziły go tak daleko na południe, że dostał się do całkiem nowych klimatów, a załoga przerażona ogromem wód

oceanu, zażądała powrotu. Wracając, Diaz poznał miejsce, gdzie go ta sroga napotkała burza, korzystając z pogody wylądował, i przez pamięć przebytego tam niebezpieczeństwa, nazwał tę miejscowość przylądkiem Burz. Ale gdy, po siedmnasto miesięcznéj podróży powrócił do domu i zdał sprawę królowi, ten uradowany ztąd, że już droga zachodnia, do ostatniego krańca Afryki została wytkniętą, nie mógł dość nazawdzięczać się Diazowi, i zamiast przylądkiem Burz, kazał miejscowość tę nazwać przylądkiem Dobréj Nadziei.

Rzeczywiście była to uzasadniona nadzieja przedostania się na wschodnie wybrzeże Afryki, a ztamtąd ukazania drogi do tajemniczego świata, o którym dotąd nader słabe miano wyobrażenie, skoro droga lądowa nawet Cyrusom, Aleksandrom i wodzom rzymskim okazywała się niedostępną.

Pod ten téż czas właśnie, kiedy Jan II bawił w Santarem, dnia 6 marca 1493 r. dano mu znać, że do Lizbony zawinął po drodze, z flotą, niejaki Krzysztof Kolumb, awanturnik genueński, ten sam, którego on przed kilku laty, jako cudzoziemca, odprawił z niczém, gdy mu proponował swe usługi żeglarskie. Obecnie, awanturnik ten powracał ze zdobyczą nowéj półkuli ziemskiéj; a co gorsza, awanturnik ten zdobycz ową zadziwiającą składał u nóg króla Kastylii. Cóż to za despekt dla współzawodnika! Opowiadanie Kolumba tak rozogniło ambitnego monarchę, że natychmiast jął się nowych przygotowań, ażeby korzystając z odkrycia ostatniego cyplu Afryki, posunąć wyprawę daléj na Wschód, i zdobyć posterunek w Indyach. Już miał się porozumiéć z nieulękłym żeglarzem Vasco de Gama, kiedy śmierć go zaskoczyła.

Ale projekt nie zasnął. Następca jego, Emmanuel, człowiek zarówno zdolny jak światły, miał być tym szczęśliwym, który przyłożył ostatnią cegiełkę, wieńczącą dzieło poprzedników. Za jego to panowania, a mianowicie dnia 8 lipca 1497 roku, wypłynęły te trzy okręty, pod wodzą Vasca de Gama, które urzeczywistniły legendę Argonautów.

Ci, którzy historyi powszechnéj uczą się z oper, a mamy już kilka takich popularnych podręczników, jak: *Żydówka*, *Hugonoci*, *Jan z Leydy*, *Afrykanka*, z téj właśnie ostatniéj mogą się dowiedzić, że ten biédny Vasco de Gama, przechodził męki czyszcowe z klerem portugalskim, nim wyjednał u niego pozwolenie dla swéj genialnéj myśli. Nieuk librecista nie wiedział o tém, że Vasco niémiał żadnéj genialnéj myśli odkrywczéj, że był to tylko dzielny i bohaterski wykonawca téj myśli, która od lat ośmdziesięciu stanowiła chlubę i zasługę domu panującego, a właściwie infanta don Henryka i regenta don Pedra; nie wiedział zwłaszcza, że Portugalia nie nakładała, wzorem swojéj sąsiadki kastylijskiéj, takich srogich cenzur na myśl i sumienie ludzkie. Kiedy król Emmanuel starał się o rękę córki Izabelli II, księżniczka ta odpowiedziała mu, że się nigdy nie połączy z monarchą, „który w państwie swém daje przytułek zbiegom muzułmańskim, a zwłaszcza ży-

dom.“ A lubo Emmanuel przyjął nareszcie ten nieszczęsny warunek, stało się to skutkiem miłości, nie zaś zasady politycznéj, i co jest ważném do zanotowania, „wbrew potępieniu najwyraźniejszemu jego rozumnych doradców” [1]). Portugalia zatém niémiała w naturze swych instytucyi zasad nietolerancyi, i nie duchowni tam rządzili oświatą, jak w Hiszpanii.

Udział duchowieństwa w wyprawie Vasca był tylko ten, że ono go procesyonalnie przeprowadzało do okrętu z kościoła Panny Maryi, w pośród niezliczonego tłumu, żegnając i błogosławiąc, co Camoens, za kroniką spółczesną powtórzył w tych słowach: „Krewni nasi, przyjaciele, tłumy ludu śpieszą na wybrzeże. Smutek maluje się we wszystkich oczach. A my, w towarzystwie cichych zakonników, których pobożne pienia wznosiły się w niebo, zwolna postępowaliśmy ku statkowi” [2]).

Jaki był przebieg wyprawy, jakich trudów zażyli żeglarze, „straszni w bitwach, cierpliwi w pracach,” jak ich określa Camoens, jakie zdolności żeglarskie i rycerskie rozwinął Vasco, nim nareszcie, prawie po roku włoczęgi morskiéj (d. 10 maja 1498 r., w niedzielę), zarzucił kotwicę pod Kalikut, na wybrzeżu Malabaru, tego w krótkich słowach opowiedzieć niepodobna. Powrót jego, jak łatwo się domyśleć, był jednym szeregiem tryumfu: król się nie posiadał z radości, naród okrył się niespożytą chwałą. Bo istotnie téż, od téj chwili, aż do przekopania kanału Suezkiego, ktokolwiek przedsiębrał podróż do Indyi, mógł tylko iść śladami Vasca, a więc, wspominając jego imię, a przy imieniu nazwę narodu, który go wydał, i tak wciąż, przez cztery wieki, dopóki z tém imieniem nie skrzyżowało się nazwisko Lessepsa.

Bądźcobądź, odkrycie drogi nieprzerywalnéj do Indyi Wschodnich, „do krain Jutrzenki,” jak je nazywa Camoens, było jednym z największych wypadków dziejowych; tém szczęśliwszym jeszcze dla narodu, że wiekopomny ten fakt niebawem znalazł swojego poetę, przez co dzieło narodu unieśmiertelniło się podwójnie. Każdy wiek ma swój obyczaj.

Dzisiaj fakta podobne, ściśle mówiąc, podobnych już niéma, zapisują się w rocznikach Petermana; dawniéj rozgłaszali je poeci. Dziś gdyby poeta przedsięwziął epos o Liwingstonie lub Stanleyu, pomyślanoby, że zwaryował, bo dziś poezya, albo trzyma się reguły Getego i budzi w pieśni to, co zamarło w życiu; albo téż, szukając natchnień spółczesnych, odstępuje od krynic kastylskich i siada z upodobaniem częstokroć nad rynsztokiem, którym żeglują zgrzęzy społeczne. Ciekawa tylko rzecz, co dłużéj potrwa z téj żeglugi po dwu odmiennych prądach, czy *Luzyada*, czy *Assomoir*.

---

[1]) Zob.: *Clovis Lamarre*, str. 224, 225.

[2]) *Luzyady*, t. IV, str. 86.

II.

Przytoczyliśmy powyższe szczegóły, uważając je za konieczne do wskazania, gdzie jest właściwie źródło pierwotne i geneza wielkiego poematu *Luzyady*, stanowiącego główną chwałę Camoensa: jak zaś ten zaczynek, tkwiący w otaczającéj go atmosferze rycerstwa i poezyi dojrzewał w jego duchu i nabierał kształtów tych a nie innych, zobaczymy w rozwoju życia poety.

Kiedy syt lat i chwały, w pośród nieustannych trudów, zasług i uwielbień, Vasco de Gama kończył swój świetny zawód, jako wicekról Indyi i umarł w Kochinie r. 1524, wtedy właśnie w Lizbonie przyszedł na świat przyszły illustrator jego trudów: Luiz de Camoens. Pochodził on z rodziny rycerskiéj, biorącéj początek z Galicyi, i która w wieku XV połączyła się przez związek małżeński jednego z jéj członków, z rodziną Gama. Tak więc i bohater i poeta połączeni byli węzłem niejako podwójnym: krwi i usposobień. Syn wojskowego, niewiadomo gdzie odbywał naukę początkową, prawdopodobnie w szkole Santa-Cruz, ale w trzynastym roku życia widzimy go na uniwersytecie w Koimbrze, wielce protegowanym przez króla Jana III, który instytucye naukowe postawił sobie za jeden z najgłówniejszych celów panowania, i wogóle sam osobiście w sprawy szkół wglądał, do tego stopnia, że znał z pamięci nazwiska uczniów, jak świadczy Diogo Barbosa [1]). Cóż wtedy nauczyć się było można w takim uniwersytecie? Oczywiście, języków starożytnych, a z niemi literatury greckiéj i rzymskiéj, historyi, zasmakować w poezyi, krasomówstwie: starożytność była wówczas jedną z głównych ambicyi naukowych. Uczono też po szkołach portugalskich z wielkiém zamiłowaniem historyi narodowéj, a była to historya świetna: tworzenie się państwa niesłychanym trudem obywateli, pod tchnieniem wiary i wolności, przy modlitwie i szczęku oręża, z zapałem, zaparciem i poświęceniem bez granic. Jak zatém w łacinie i greczyznie, tak i we własnym języku uczniowi nie zbrakło środków i wzorów do wykształcenia nietylko umysłu, ale i charakteru: i to się scholastycznie nazywało *humaniora*. Mógł wtedy już młody Luiz czytać starożytne dzieje Luzów, spisane przez uczonego Andrzeja de Resenda [2]), dzieło Fernanda Lopeza de Castanheda o odkryciu i zdobyciu Indyi, dla ważności swéj tłómaczone na kilka języków; i inne pisma wtajemniczające w sprawy narodowe. A co rzecz, jako dla przyszłego poety niemniéj ważna, Luiz od dziecka wykarmić mógł uczucie i fantazye, ducha swego nastroić płodami muzy czysto narodowéj, która od niepamiętnych czasów do snu tuliła niemowlęta rycerskie pieśniami trubadurów, stanowiącemi nieprzebraną skarbnicę wszechżywio-

[1]) *Bibliotheca Lusitana*, t II, str. 569, cytata Lamarre'a.

[2]) Pisarz z XVI wieku. Szanowne dzieła jego są: *Deliciae Lusitanorum* i *De antiquitatibus Lusitaniae*.

łu rodzimego, na który składają się i skłonności plemienne i uczucia, religia i obyczaj, wspomnienia przeszłości i aspiracye dalekie. W księgach młodzieniec zaglądał w oczy rzeczywistości, z pieśni uzupełniał ją sobie ideałem. Szczęśliwa młodzież, która razem z mlekiem macierzyńskiém wysysa z podań sok ich najżywotniejszy. Już w r. 1516, a więc we dwadzieścia kilka lat po wynalezieniu druku, ukazał się drukowany zbiór tych popularnych pieśni, sonetów, elegii, sielanek, śpiewów miłosnych i rycerskich, na który złożyło się ze dwustu poetów. Umysł pochwytny i poetycznie nastrojony, mógł się iście oczarować temi falami poezyi, tryskającemi w tyle strumieni rozmaitych. To też Luiz jeszcze przed skończeniem uniwersytetu, natchnienia swe wierszem uzewnętrzniać probował.

Dwadzieścia lat niespełna miał Luiz, kiedy ukończywszy studya uniwersyteckie, powrócił do Lizbony. Jego pochodzenie, ukształcenie i powierzchowność przyjemna, zjednały mu niebawem gościnność i życzliwość znakomitszych domów, a w uczuciach tych i kobiety nie ostatni przyjęły udział. Nie byłby poetą Luiz, gdyby uczucia te zastały go obojętnym; objawy też nastroju erotycznego nie omieszkały wystąpić pod protekcyą muzy. Stałość nie była zrazu jego zapałów wybitnym przymiotem: bo jak sam siebie oskarża w jednym z sonetów, „w czasie kiedy miał zwyczaj żyć miłością, nie zawsze przywiązywał się do jednéj królowéj, ale jużto wolny, jużto niewolnik, zmieniał płomienie i płonął rozmaicie."

Trwało to jednak nie długo. Jak na Petrarkę i Tassa, przyszła i na niego kolej miłości idealnéj, niewyczerpanéj. Kto była właściwie ta jego ukochana, niewiadomo; Camoens zachował pod tym względem milczenie aż do grobu. Raz ją mianuje Dinameną, to Violantą, a najczęściéj Natercyą. Domyślają się tylko, że była to najprawdopodobniéj Katarzyna de Atayde, panna wysokiego rodu, błyszcząca na dworze pięknością i dystynkcyą. „Miała ona, jak mi się zdawało, opiewa poeta w kanzonie 11, postać ludzką; ale promieniała blaskiem niebiańskim. Jéj kibić i postawa były tak urocze, iż na jéj widok wszystko złe przemieniało się w dobre. W niéj cień i światło, wszystko, przewyższało potęgę ludzką... Twarz jasna i przejrzysta, dla któréj wyrazy: piękność i wdzięk, lichą stanowią pochwałę; spojrzenie czułe i pociągające duszę: oto były te czarowne zioła, które niebo dało mi do picia i które przez długie lata przeistaczały mnie w inną istotę, a tak szczęśliwym z téj przemiany czyniły, że w ułudach mych znajdowałem na cierpienia lekarstwo." W uczuciu, jakiém zapłonął dla swéj pani, maluje się ten zapał organizmów południowych, które nie zwykły traktować ze swemi namiętnościami, ale dziką rozkosz znajdując w téj niewoli umysłu i zmysłów, oddają się całkowicie na pożarcie płomieniowi, który ich ogarnął. Zapał taki, rozdmuchany tchnieniem poezyi, wydaje strofy o barwach czarujących siłą ekspresyi. Zimny rozsądek widziałby przesadę w tym sonecie (IX) Camoensa, gdzie on w sposób bardzo malowniczy uczucie swe opisał; człowiek gorętszego serca treścią zachwycać

się będzie: „Popadłem w stan nie do opisania, powiada. Drżę i płonę jednocześnie; płaczę i śmieję się w jednéj chwili, sam niewiedząc przyczyny. Ogarniam cały świat, a nic nie mogę uścisnąć. Wszystkie władze moje wzburzone; dusza zieje ogniem straszliwym, potoki łez leją się z mych oczu. Raz mam nadzieję, to znów się zniechęcam; niekiedy wpadam w szał, to znowu rozum mi powraca. Chodzę po ziemi, a myśl moja przebija przestrzeń. W godzinie żyję rok; w tysiącu latach nie mogę znaleźć ani jednego, któryby mnie zadowolnił. Gdyby mnie kto zapytał, dlaczego jestem takim, odpowiedziałbym że nie wiem. Przypuszczam jednak że dlatego, pani, iż zobaczyłem ciebie."

Upojenie takie, prawdopodobnie odwzajemnianém było w jakiéjś cząstce, gdyż rodzina dziewicy zabezpieczając ją od możliwych następstw szału, który ze względu na nierówność położenia nie mógł się zakończyć małżeństwem, postarała się o rozkaz wygnania dla zakochanego. Dwuletnie rekolekcye, które skutkiem tego Luiz odbywał, jak się domyślają w Santarem, bynajmniéj nie ostudziły w nim zapału. Pannę, zdaje się, wydano przez ten czas zamąż, o czém dowiedzieć się niebawem musiał opuszczony, o ile wnosić można z pierwszego listu poetyckiego, datowanego już z Indyi, gdzie między innemi powiada: „że widział jak jego bluszcz ukochany oddzielił się od niego i inne opasał drzewo." Przedtém zaś jeszcze, w jednym z sonetów datujących zapewne z wygnania, gdzie dużo napisał lirycznych zwrotek, tak opisuje wrażenie jakiém go przejęła niewiara kochanki: „czując zbliżenie się chwili stanowiącéj kres jego życia, łabędź na samotném wybrzeżu żałośniejszy wydaje głos i pienia wznosi piękniejsze. Chciałby przedłużyć byt swój, opłakuje przykry jego odwrót; boleśnie głosi koniec swéj smutnéj podróży. Tak i ja, pani, widząc miłości méj koniec i czując się blizkim ostatniego przesilenia, rzewniejszą harmonią opłakiwałem surowość twą, brak wiary twéj i koniec mojego kochania."

Byłże to istotnie koniec? Bynajmniéj. Dla serca czułego i kochającego nie dla pretekstu rymowania, ale szczerze, po ludzku, przygotowywał się cios jeszcze boleśniejszy. Snadź Camoens, wbrew opuszczeniu, nie oderwał nigdy myśli od przedmiotu swéj miłości, i we wszystkich, bodaj najcięższych okolicznościach życia, nie przestawał zajmować się losami utraconéj, zblizka czy zdaleka. Rzucony na fale oceanu, wśród burz i walk to z żywiołem, to z ludźmi, wołał wyciągając ręce w strony rodzinne:

„Ach! gdybym z takiego umęczenia tę wyniósł przynajmniéj korzyść, ażebym mógł wiedzieć z pewnością iż przyjdzie chwila, gdy oczy w którem się wpatrywał, przypomną sobie o mnie... Gdybyż ona choć późno, zlitowawszy się, doznała nieco żalu i sama się przyznała do okrucieństwa! To jedno, gdybym wiedział, byłoby mi spoczynkiem na resztę życia, osłodziłoby cierpienia moje" (Canzon, X).

Ale nie tak się stało. Miał już lat około trzydziestu trzech, kiedy bawiąc w Indyach, na drugim końcu świata, dowiedział się o śmierci ukochanéj. Sam jeden na świecie, muzę tylko pożądał za jedyną po-

wiernicę i przed nią też wynurzył boleść, w jaką go ten wypadek pogrążył (sonet XIX); odzywając się w te słowa do zmarłéj: „Jeżeli tam, powiada, w przybytku niebieskim do którego wstąpiłaś, wolno zachowywać pamięć tutejszego świata, nie zapominaj o gorącéj miłości, którą tak czystym ogniem widziałaś płonącą w mych oczach. A jeżeli uważasz, że zgryzota jaka mi pozostała po tém nieszczęściu niecofnioném, którém mnie utrata twoja dotknęła, zasługuje na jakąś z twéj strony wzajemność, proś Boga który skrócił twe dni, ażeby mnie ztąd zabrał, iżbym się zobaczył z tobą tak prędko jak On zabrał ciebie."

Jest coś dziwnie rzewnego w téj miłości Camoensa. Przedstawia się w niéj człowiek gorących uczuć, daleki od wszelkiego egoizmu, który kochając bez nadziei, rozstaje się z głębokim żalem, z rezygnacyą, ale bez hałaśliwych wyrzutów, zaledwie jedném słówkiem zaznaczając niewierność ukochanéj, gdy sam aż poza jéj grób dochowuje wierności; i owszem, wyrywa się do niéj czemprędzéj w sfery pozaświatowe.

Istotnie, pomimo wielkiego osamotnienia, Camoens, przy tak żywych uczuciach serca, nigdy już nie zapragnął zawiązać jakiegoś trwałego, serdecznego stosunku; pozostał samotnym i bezżennym do końca życia. Szkoda, że chwalebna zkądinąd dyskrecya poety, utaiła nietylko bliższe szczegóły tego romansu, ale i osobę samą która obudziła tak wielką i wytrwałą miłość. Nietylko w poezyi publikowanéj niéma śladu i wskazówki żadnéj któraby naprowadzała na to zjawisko z jego strony realnéj, ale żaden nawet list prywatny, żadna notatka nie daje objaśnienia pozytywnego. Ciekawém byłoby jednakże poznać jakim był istotnie w duszy i ciele ideał erotyczny poety XVI wieku i czy go poeta sam stworzył dla własnego użytku, jak Dante Beatryczę, Petrarka Laurę, czy też to była istotnie kobieta odpowiadająca swemu wizerunkowi i godna zająć tak niepospolity umysł wyłącznie.

Wprawdzie, w jakie sześć lub siedm lat po śmierci téj bezimiennéj, Camoens daje poznać, że nie był nieczułym na wdzięki kobiet; jego sonety, począwszy od 23 i daléj, głoszą piękność pewnéj pani portugalskiéj bawiącéj czasowo w Indyach, ale jestto widocznie rozterka chwilowa, która żadnego głębszego wrażenia nie wywarła na duszy poety, równie jak ta co go skłoniła do wygłoszenia w odzie wdzięków jakiéjś pięknéj niewolnicy murzynki.

Miłość wreszcie, czy jéj surrogaty, nie wyczerpywały życia poety, ani przyprawiły go o zgnuśnienie: zawód mężczyzny nie ucierpiał nic na tych sercowych perypetyach. Camoens, syn ubogiego oficera marynarki, który znał prawdopodobnie osobiście Vasca de Gama i świadkiem mógł być jego tryumfów; Camoens, powiadamy, musiał pracować i dbać o siebie, ażeby żyć i nie dać się biedzie, a to jest lekarstwem wielce skutecznem przeciwko dolegliwościom miłosnym. Jeżeli kto umiera z miłości, niech tylko sprobuje umierać z głodu, a będzie żył sto lat.

Nie wiemy wprawdzie z czego poeta żył podczas pierwszego swego wygnania dwuletniego w Santarem, ale lubo poezya nie dawała

chleba, pisał on tam wiele; między innemi: wiersze ulotne które nazwał *Rimas;* trzy komedye które mu się wcale nie udały; a co większa, tam to on powziął już myśl utworzenia swego wielkiego poematu.

Kiedy powrócił z wygnania do Lizbony w roku 1548, miał lat 24. Dotknięty głęboko w serce, nie mógł czy nie chciał pozostawać w miejscu, gdzie co chwila miał sposobność do rozżarzania bólu, oddychając jedném powietrzem z kochanką, która cudzą już była żoną. Wreszcie i potrzeby materyalne zmuszały go zapewne do wynalezienia sobie stałego zawodu. Na wzór więc starożytnych poetów greckich, wreszcie jako w prostéj linii potomek rycerzy, Camoens wszedł w szeregi wojowników portugalskich, ciągnących podówczas przeciwko Maurom do Afryki i na statku dowodzonym przez własnego ojca odpłynął z Lizbony.

Odtąd otworzył się dlań szeroki gościniec, po którym od ośmiu wieków ziomkowie jego chodzili po znaczenie i sławę; nie pomyślał pewnie, że on tym samym szlakiem dojdzie do szpitala! Trzyletni pobyt w szeregach wojsk afrykańskich pozbawił go jednego oka przy wzięciu Ceuty, tém samém okrył go zasługą rycerską; ale co większa, wtajemniczył go w te szczegóły bojowe, pod wrażeniem których rzeczywistém, mógł następnie odwzorowywać walki w swym wielkim poemacie z większą prawdą niż ci poeci, którzy bój znali tylko z reputacyi. A kiedy Horacy powiada o sobie:

„Spiritum Phoebus mihi, Phoebus artem
Carminis, nomenque dédit poetae [1]);

Camoens z równą słusznością, na jego sposób, mógł więcéj jeszcze o sobie powiedzieć do króla: „Ja, ku twéj usłudze, mam ramię zdolne do broni; ku wysławieniu ciebie mam głos ulubiony Muzom" [2]).

Jakoż, odgłos wrzawy wojennéj, nie tłumi w nim głosu Muz, jak nawzajem zamiar poetycki powzięty na wielką skalę nie odciąga go od trudów i niebezpieczeństw mogących w jednéj chwili razem z życiem przerwać wykonanie dzieła. Nie sądził Camoens ażeby godném było mężczyzny i obywatela zasłaniać się potrzebą pracy umysłowéj, wówczas gdy ojczyzna wymagała ręki i czynu narażającego życie. Ale téż wobec niebezpieczeństw spieszył się z wykonaniem myśli, i, jak udowodnili biografowie, ze dwie lub trzy pieśni Luzyad napisał w Afryce, co z poprzednio napisanemi uczyniło ze sześć. Nie była to zapewne praca we wszystkich szczegółach wykończona, któréj téż obrabianiu i udoskonaleniu poświęcił całe życie, ale główne tła i zarysy pozostać musiały.

Za bohatéra swéj przyszłéj epopei wziąwszy Vasca de Gama a za przedmiot zdobycie Indyi; uważał, że jak przed przystąpieniem do opi-

[1]) Ducha Febus mi dał, Febus zdolność twórczą i imię poety. Oda IV, strofa 29.

[2]) *Luzyady*, X, strofa 154.

su scen bojowych dobrą mu propedeutyką była kampania afrykańska, tak do opisu podróży morskiéj, scen marynarskich, bitew morskich, miejscowości i ludzi mających figurować w jego poemacie, dobrze będzie się osobiście z tém wszystkiém zapoznać i żywy przyjąć udział, ażeby nie tworzyć z samych tylko książek, z nasłychu, z domniemania, lecz wprost i bezpośrednio z życia.

Lubo Portugalczycy już od lat przeszło pięćdziesięciu posiadali kolonie swe po różnych wybrzeżach Indyi, nie było to jednak posiadanie spokojne i beztroskliwe. Potrzeba było ustawicznie czuwać nad niém, wzmacniać, strzedz i walczyć, tak przeciwko trudnościom tu i owdzie nieprzychylnym, jakotéż przeciwko Wenecyanom i Genueńczykom, którzy mając dotąd w swych ręku niejako monopol handlu indyjskiego przez Egipt, teraz tracąc korzyści, starali się wszelkiemi sposoby, łącznie z Egiptem i Arabią, działania Portugalczyków utrudniać i szkodzić im na każdym kroku; ba, nawet statki korsarskie wysyłać. Marynarka więc portugalska ciągle była czynną, a stanowisko namiestnika Indyi wymagało wielkiego taktu, zdolności i patryotyzmu.

W takiéj tedy czynności przyjmuje udział Camoens i za powrotem z Afryki, puszcza się w roku 1553, mając lat 29, z eskadrą dowodzoną przez Alvareza Cabral, do Indyi. Los nie szczędził mu wrażeń. Burza pod przylądkiem Dobréj Nadziei rozproszyła eskadrę, tak, że jeden tylko okręt, ten mianowicie który unosił Camoensa i jego Luzyadę, ocalał i przybył tego roku do Indyi, gdzie niebawem poeta-żołnierz miał sposobność odznaczyć się w zwycięztwie odniesioném przez wicekróla nad władzcami nieprzyjaznemi Portugalii, i fakt ten zanotował skromnie w pierwszéj ze swych Elegii. Niedługo potém, w roku 1555, przeznaczony został do eskadry krążącéj po wodach oceanu aż do wybrzeży morza Czerwonego, dla poskramiana nieprzyjaciół czatujących na statki handlowe portugalskie. Nudna to była podróż, pozbawiona uroku niebezpieczeństwa, bo nieprzyjaciela w ciągu czterech miesięcy nigdzie nie spostrzeżono; monotonność życia okrętowego przerywał też sobie Camoens częstém obcowaniem z Muzą, zbieraniem notatek na korzyść przedsięwziętego dzieła.

Trudnoby nam tu było szesnastoletni jego pobyt w Indyach opisywać dzień za dniem, témbardziéj, że cały ten przebieg nie obfituje w wielką rozmaitość. Wskażemy tylko główne przejścia, idąc za najpełniejszą z jego biografii, Lamarre'a.

Podczas pobytu w Goa, głównéj rezydencyi rządu indyjskiego, gdzie bawił krótki czas za powrotem z ostatniéj wyprawy, Camoens zauważył pewną niekorzystną zmianę w charakterze własnego społeczeństwa. Blaknąć zaczęła ta jasność cnoty, którą widział roztoczoną na kartach dziejów. Złoto wywarło swój skutek: miejsce rycerzy zajęli kupcy, bohatérów, spekulanci; patryotyzm ustąpił intrydze. Azya odkryta i zdobyta ofiarą trudów i krwi szlachetnéj, stała się łupem kramarzy i grabieżców Zabolał ciężko nad taką zmianą prawy i obywatelski umysł poety, boleść swą wynurzył w satyrze: *Disperatas da In-*

dia, zgromił surowo ziomków, i za tę przysługę wtrącony został do więzienia a następnie wygnany na wyspy Moluckie, przez wicekróla Bareto, który czuł się dotknięty w satyrze, choćby tém przynajmniéj, że pod jego zarządem dzieją się nadużycia ogłoszone przez poetę.

Ten to zapewne wzgląd na obecny stan rzeczy, tak różny od ideału społecznego, jaki natchnął poetę, skłonił go do pewnych zwrotów moralno tendencyjnych w epopei, niekoniecznie zgodnych z duchem eposu, ale zręcznie w wątek jego wplecionych. Bo oto jakby w przeciwstawieniu do treści *Disparatas*, opiewającéj spodlenie charakterów, poeta w *Luzyadach* mówi (t. VI, str. 95, sq.):

„Na takie ona straszne naraża was próby, kochankowie Sławy! Nie na łożach to złocistych, nie pod miękkiém runem moskiewskiém, nie w cieniu wawrzynów przekazanych wam przez szlachetnych przodków, osiągniecie wy jéj nieśmiertelne łaski. Ona ucieka zdala od uczt, zamożności, zdala od chłodnych gajów, gdzie błąka się rozkosz tak złowroga duszom wspaniałym. Wzrok jéj pada z pogardą na niewolników Fortuny. Daremnie wzywałaby ich do siebie. Wycieńczeni miękkością, niezdolni byliby zerwać więzów kwiecistych, które ich krępują. Jesteście wielcy przez przodków waszych, usiłujcież być wielkimi sami przez się. Ażeby się podobać Nieśmiertelnéj, potrzeba przypasać miecz, znosić bezsenność, drwić sobie z burz, trwać bez schronienia na lodach biegunowych i pod ogniami równika, grubym żywić się chlebem, który głód pożera, a trud zaprawia smakiem. Umiejcie w boju zachować czoło pogodne naprzeciw morderczego ołowiu, który świszcząc, przerzyna powietrze i uderza przy boku waszym towarzysza walki. Cóż mogą na duszę tak przygotowaną ułudy, bogactwa i wielkości? Wielkości! Bogactwa! wyście darami przypadku; mój bohatér nie zawdzięcza nic, tylko jedynéj cnocie. Ona to, ta jego siła boska, wynosi go ponad pospolitości ludzkie!"

Tak mówi rycerz i obywatel, który życiem niesioném na ofiarę społeczeństwu, uświęcił rzetelność słów swoich i takiego téż rycerza i obywatela uznał za właściwe wtrącić do więzienia i skazać na wygnanie Bareto. Znać, że się zmieniły okoliczności w jego ojczyznie i że Bareto nie był Albukierkiem. Niebawem téż miała Portugalia boleśnie odczuć skutki téj zmiany, które wieszczym duchem przewidział Camoens, kiedy w samym prawie końcu swéj epopei (X, str. 143) mówi:

„Dosyć już, Muzo, dosyć! Lira moja niéma już akordów, głosowi zabrakło dźwięku. I dla kogoż miałbym śpiewać jeszcze? Ojczyzna nie słucha mnie. Kwef smutku okrył jéj szlachetne czoło. Nieczuła na wdzięki sztuk, ponura i milcząca, za całą namiętność posiada miłość złota. Cóżto za wpływ złośliwy wydarł nam w czasie pokoju ten wyraz pogody, który nie opuszczał nas nigdy podczas trudów wojennych?"

Poeta nie rozwiązuje daléj tego pytania, na które dał sobie odpowiedź w *Disperatas*, ale odwołuje się tylko do króla, ażeby temu złemu mądremi rozporządzeniami zaradził. Nic to jednak nie pomogło. Os-

tatni wyraz odkryć portugalskich i zdobycie posterunku w Indyach, był jakby punktem kulminacyjnym tego kraju chwały i potęgi, któréj słońce wschodzić poczęło w wieku XI: odtąd przechodzi ono na drugą stronę ku zachodowi. Portugalia, malejąc moralnie, traci stopniowo zdobycze swe materyalne we wszystkich częściach świata i pozostaje aż dotąd kraikiem drugorzędnym.

Dobrze to powiedziano kiedyś, że biada ludowi, który kamienuje swe proroki! Camoens, wygnany za prawdę, miał nowy dać tego na sobie dowód. Niewiadomo dokładnie, co on porabiał przez trzy pierwsze lata tego wygnania wśród pustyń morskich, aż nowy namiestnik, jego osobisty przyjaciel, odwołał go w r. 1558 i umieścił na posadzie finansowéj, tak mało zgodnéj z jego usposobieniem wojskowém, w miasteczku Makao, świeżo założoném przez Portugalczyków i stanowiącém ich przystań handlową w stosunkach z Chinami. Tam to bawił on lat dwa, czas wolny od zajęć urzędowych poświęcając poematowi, nad którym lubił pracować za miastem, przy szumie oceanu, w grocie zwanéj Patane, którą dotąd ukazują mieszkańcy, jako grotę Camoensa.

Kiedy nareszcie otrzymał pozwolenie powrotu do Goa i wyruszył z całém swojém mieniem, uzbieraném z ciężkością na urzędzie, o mało nie utracił życia, gdy okręt, na którym płynął, rozbił się o skałę przy ujściu rzeki Mekom do morza. Rzuciwszy się wpław, z jedną tylko *Luzyadą* pod pachą, przy pomocy wiernego sługi Antonija, który go już nie odstępował aż do śmierci, na lichéj desce uniósł siebie i swój skarb, resztę zasobów pozostawiając oceanowi. Do tego to pamiętnego wypadku czyni on aluzyę w pieśni X *Luzyad*, mówiąc:

Rzeko opiekuńcza! Kiedyś twe brzegi gościnne ocalą z rozbicia skarb poetyczny, już falą gorzką oblany. Jedyny to szczątek, wydarty skałom podstępnego oceanu, burzom, niebezpieczeństwom niezliczonym, wszelakim klęskom, jakie obarczą tego wygnańca, którego lira harmonijna więcéj miéć będzie sławy, niż szczęścia."

Utraciwszy całe mienie, ruszyć się nie mógł z miejsca przytułku i korzystał z gościnności osiadłych nad tą rzeką Chińczyków. Tam to pisał on owe sławne redondille, które Lopez de Vega nazywa cudownemi, a w których poeta parafrazuje psalm: *Super flumina Babylonis.* Do Goa przybył dopiéro na początku r. 1561.

Sześcioletni jego pobyt w Goa, lubo względnie dosyć spokojny, nie obył się jednak bez przykrości. Dopóki zarząd osad pozostawał w ręku przyjaciela jego, don Constantina, szczęście mu się uśmiechało, co wyjaśniać zdaje się wiersz jego *Estancias a D. Constanzio de Bragança*, w którym poeta wymienia niektóre nadużycia rządu poprzedniego, bez przytaczania nazwisk i zarazem sławi zwierzchnika za to, że ujął w karby swawolę i zaprowadził uczciwy ład w zarządzie, na co wreszcie ze wszech miar don Constanzio zasługiwał. Ale zaledwie ten się od steru usunął, gdy wrogowie poety, zwłaszcza dotknięci jego aluzyami w *Disperatas* i *Estancias*, usiłowali mu wszelkiemi sposobami dokuczać. To oskarżali go o nadużycia pieniężne na dawnéj posadzie

w Macao, z czego łatwo się usprawiedliwił; to wtrącili go do więzienia za jakiś dawny, nędzny dług pieniężny, z czego znowu Camoens wyswobodził się, napisawszy wierszyk humorystyczny do wicekróla przeciwko swemu wierzycielowi, który zwał się Michał Rodriguez Coutinho; pierwszy to i jedyny raz poeta w satyrze swéj wymienił nazwisko.

Jakkolwiek osobiste zajścia mogły na jego duszę oddziaływać w sposób nieprzyjemny, więcéj go jednak bolał widok ogólnego zepsucia, którego podobne wypadki były tylko drobnemi objawami. Zrazu więc w Goa towarzyski i wesoły po tylu przedtém doznanych trudach i przykrościach, późniéj smutniał coraz bardziéj i obrzydzał sobie pobyt w tém mieście. Opuszczał je, ilekroć zdarzyła się sposobność jakiéjś niebezpiecznéj wyprawy wojenno-morskiéj w okolice dalsze, czém zbogacał i tak już ustaloną wziętość dzielnego żołnierza; aż nareszcie postanowił wydalić się z osad i powrócić na ziemię ojczystą, gdzie zamierzał opublikować nareszcie swój wielki poemat, wypełniony bogatym materyałem wrażeń bezpośrednich i będący na ukończeniu.

Kiedy wsiadł na okręt odchodzący do Afryki, w końcu r. 1567, nieporozumienia zaszłe z dowódzcą statku sprawiły, że wysadzony w Sofali na wschodniém wybrzeżu afrykańskiém, musiał tam przebywać długi czas w nędzy i jakoby w zastawie u tegoż dowódzcy, nim go nareszcie wykupiło za dwadzieścia tysięcy reisów (około 30 rubli) kilku przyjaciół świeżo do Sofali przybyłych, którzy pomiędzy sobą zrobili na niego składkę.

Dopiéro więc, za tą pomocą przyjaciół, po latach siedmnastu nieobecności, przybył Camoens w r. 1570 z powrotem do Lizbony, smutny, znękany, ubogi, jak Hiob. I w jakiémże opłakaném położeniu zastał on stolicę tego świetnego państwa?... Długo srożące się morowe powietrze wytępiło znaczną część ludności, domy i rodziny okryły się żałobą. Na tronie siedział król Sebastyan, młodzieniec zrazu wielkich nadziei, ale po śmierci ojca, oddany pod wpływ dwóch Jezuitów, braci Camara, którzy razem z głęboką czcią dla przodków, zaszczepili w nim ducha nietolerancyi, myślał więcéj o krucyatach i nawracaniu pogan afrykańskich, niż o istotnych sprawach kraju. Smutno było na dworze i w mieście i w całém państwie: wszędzie objawiało się przeczucie rozstroju i nieszczęścia.

Daremnie zacny biskup Hieronim Osorio, widząc na co się zanosi, gromił tych dwóch doradzców królewskich, potępiając nietolerancyę, któréj byli pierwszymi w Portugalii apostołami; daremnie wołał: „Odkądżeto religia miłości stała się religią mieczów?" Daremnie pisał osobiście do króla, przedstawiając, ażeby raczéj zajął się wewnętrzną opieką nad poddanymi, którzy czują się opuszczeni, zamiast czynić projekta wojenne. Król podawał ucho tylko swym dwom zausznikom.

Gdyby Camoens chciał poprawić swoje interesa materyalne, zyskać stanowisko, zgwałcić niejako oporną dotychczas Fortunę, dosyć mu było przyłączyć się do kamaryli dworskiéj, napisać wierszyk na pochwałę braci Camara, przypodchlebić się. Ale on pozostał wierny uczci-

wym i patryotycznym zasadom życia. Oburzony widokiem bezprawi, odbywających się w imieniu króla, chciał on połączyć głos swój, jako poeta, z głosem obywatelskim kapłana. Nie napisał on w tym celu żadnego osobnego wiersza, ale radę swą z nizkiego punktu, na jakim stał wobec społeczności, chciał oddać pod powagę swego wielkiego poematu. Do ukończonéj już tedy *Luzyady* powtrącał myśli potępiające wybór księży do sprawowania rzeczy politycznych.

Do tego to właśnie stosunku dworskiego czyni poeta aluzyą w ks. IX (str. 26—8). Król Sebastyan zamiłowany w polowaniu, nie myślał o małżeństwie, a kiedy nareszcie poprosił o rękę Małgorzaty francuzkiéj, odmówiono mu, skutkiem intryg Filipa II hiszpańskiego. Otóż, jak mu to przypomina Camoens:

Niezmordowany łowiec (Akteon) zaniedbuje trudów państwowych, lekceważy Miłość i Gracye. Poniesie za to karę. Kiedyś, mniéj dziki i dumny, spotka boginię lasów: ujrzy ją w całym blasku piękności, ale bogini odepchnie jego hołdy. Szczęśliwy, jeżeli jeszcze zdoła umknąć przed tą sforą ulubieńców (psów), która pędzi w jego ślady. Miłość przeczytała w sercu dworzan. Dobro publiczne dalekiém jest od ich myśli; oni zakochani są tylko w sobie. Jeżeli zalewają dworzec królewski, jeżeli głoszą miłość swą dla panującego, jeżeli cisną się koło niego, to dlatego, ażeby wyniszczyć cnoty kiełkujące w jego duszy. Młody kłos zaczął kwitnąć; zagłuszył go kąkol. Słudzy miłosierdzia, ludzie niebiańscy, którzy pieczołowitość swą winni zwrócić ku nieszczęściu, a troskliwość pobożną ku nędzy, goreją tylko miłością złota i władzy. Surowość ich jest tylko larwą, ich sprawiedliwość podłém ciemiężtwem."

Pokory i godności apostrofę do króla, w któréj błaga go o reformy państwowe, o odwołanie się do stanu rycerskiego, o zaniechanie narad z Jezuitami, wprawdzie już ogólnikowo i oględnie, ponieważ nie mówi figurycznie, jak poprzednio, ale bezpośrednio, niemniéj jednak wyraziście:

„Niech nasi starzy wojacy mogą widywać się z tobą, mówić, posłuchać ciebie. Oni posiwieli w rzemiośle wojenném; oni jedni mogą ci wskazać czas, miejsce i środki podatne do spełnienia zamiarów twoich. Wynagradzaj wszystkie przysługi, zachęcaj wszystkie zdolności; ale niech każdy z twych poddanych zamknie się w cnotach swego stanu. Niech synowie klasztoru modlą się za pomyślność twego panowania; niech ich świątobliwe umartwienia odpokutują za grzechy ludu. Prawdziwy sługa nieba nie wzdycha do wielkości ludzkich; złoto, sława i jéj uroki, wszystko to jest w jego oczach nędzném."

Ale byłto groch na ścianę. Camoens poświęcił swój interes materyalny, jak powinien był uczynić obywatel, ale źle na tém wyszedł, jako autor. *Luzyady* wyszły w r. 1572; zrobiły wielkie wrażenie na ogóle, tylko nie na królu i jego dwóch dworzanach. Nie prześladowano go jawnie, owszem, wyznaczono mu pensyą dożywotnią szesnaście tysięcy reisów (około 25 rubli) rocznie, ale nie jako poecie, tylko jako żoł

nierzowi za zasługi wojskowe i to trzeba oddać sprawiedliwość ministrom, pensya ta, w stosunku do cen dzisiejszych zboża, wynosząca około 120 rubli, dochodziła go bardzo nieregularnie.

To też na wstyd ówczesnéj społeczności stało się, że poeta ostatnie swe lata przepędził w nędzy straszliwéj, a to do tego stopnia, że ów sługa jego, Jawańczyk, Antonijo, który mu dopomógł niegdyś uratować się z rozbicia, teraz często żebrał dla niego jałmużny na ulicy, a w pomoc przychodziła mu przekupka Barbara, obdarowując czasem jakimś wiktuałem. Do ubóstwa przyłączyły się jeszcze dolegliwości fizyczne, nabyte zapewne w skutek trudów wojennych i podróżniczych, a wszystko to razem wzięte, wpłynęło także na osłabienie sił jego umysłowych. Pracował on jeszcze, chodząc o kiju, ale twórczość go opuściła; cofając się w dni różane młodości, lubił zasiadać, jak student na ławie szkolnéj, pomiędzy młodzieżą uczęszczającą na prelekcye, odbywające się w klasztorze św. Dominika. Rozrywka ta umysłowa, oraz stosunek bliższy z proboszczem, nazwiskiem Corea, zasłużonym pisarzem, oto były jedyne pociechy jego utrapionego życia. Jak ono ku schyłkowi musiało być ciężkiém, wskazuje ułamek jego listu, przytoczony przez bijografa Lamarre, gdzie powiada:

„Czyż widział kto kiedy, ażeby nędzny tapczan był widownią tak wielkiéj niedoli? Ale ja, bynajmniéj nie oskarżając surowości losu, przyjmuję jego wyzwanie przeciwko sobie, pozostawiam mu jego ofiarę. Byłoby zbyteczną dumą chcieć opierać się tylu przeciwnościom."

Kiedy nareszcie istotnie opierać się nie mógł, kiedy śmierć zabrała mu wiernego Antonija, a kij nie starczył na podtrzymanie upadającego ciała, tyle się jeszcze znalazło serca w jego ziomkach, że podjęto rycerza i poetę z tapczana, z którego już o własnéj sile powstać nie mógł i odwieziono do szpitala.

Wtedy też nadszedł czas, w którym miały się sprawdzić jego obawy i złe przeczucia, co do losu ojczyzny. I ona miała razem z nim zaniemódz tak, iżby nigdy już do dawnéj bujności i świetności nie wrócić. W sam czas uwinął się Camoens ze swą pieśnią łabędzią; za chwilę nie miałby kto pieniem nieśmiertelném dawnéj jéj sławy rozgłosić. I na Portugalii sprawdziło się to, że źle dzieje się w kraju, gdzie sprawie publicznéj i wojskowéj przewodzi łacina i dziecina. Młody król Sebastyan nie usłuchał tego, co mu radził Camoens w *Luzyadach*, kiedy przez aluzyą mówił (t. VIII, str. 54):

„Cicha cnota anachoretów nie powinna być cnotą twoich ministrów; jeżeli sam nawet geniusz, oświecony doświadczeniem, zbłąkał się niekiedy w prowadzeniu spraw, czyż ty powierzysz je człowiekowi pobożnemu, który spokojnie w cieniu świątyni myślał tylko o sprawach niebieskich?"

Nie poszedł też panujący młodzieniaszek za tém, co mu wreszcie radzili wszyscy w języku ojczystym, nie po łacinie. Nastrojony do nietolerancyi przez dwóch przybocznych fanatyków, marząc o krucyatach, zamiast o poprawie rządu wewnątrz, udał się przeciw Saracenom do

Afryki i tam w dolinie Alkazar-Kebir (w dzisiejszém Marocco), dnia 4 sierpnia 1578 roku, w ciągu czterech godzin utracił całą armię i życie. Korzystając z téj klęski Filip II hiszpański, wyciągnął nad Portugalią swą drapieżną rękę, szarpnął i pozostawił z tego pięknego państwa tyle, ile niemal jest go dzisiaj.

Klęska ojczyzny boleśnie odbiła się w sercu Camoensa, leżącego podówczas w szpitalu, w oczekiwaniu śmierci. W chwili, gdy się o niéj dowiedział, napisał on list, gdzie w urywku, tekstualnie przytoczonym przez biografa Lamarre'a, bez wskazania atoli źródła, pisze: „Nareszcie przestaję żyć; dowiedzą się, iż ja tak kochałem ojczyznę, że miło mi umierać na jéj łonie i do tego z nią razem." Szczęściem, obawa jego była przedwczesną i przesadzoną; ojczyzna jego zaniemogła, ale nie umarła: silne drzewo nie upada od jednego cięcia siekiery.

Cóżkolwiekbądź, niedługo Camoens przeżył katastrofę pod Alkazar-Kebir; i tu zachodzi wątpliwość co do daty jego śmierci. Datę tę podają powszechnie na czerwiec 1580 roku, gdy niektórzy biografowie, a mianowicie Lamarre, z którego, jako ostatniego i najobfitszego, czerpiemy głównie szczegóły jego życia, podaje datę śmierci Camoensa na początek roku 1579 i zaraz powiemy na czém twierdzenie swe opiera. Camoens, jak wiadomo, pochowany był w kościele świętéj Anny, ale bez nagrobka i bez żadnego znaku. Dopiéro w szesnaście lat po śmierci poety, don Gonzales Coutinho położył tamże kamień z napisem: „Tu leży Luiz de Camoens, książe poetów swego czasu; żył ubogi i nieszczęśliwy i umarł podobnież, w roku 1579." Ale trzebaż, że nieszczęście to przywiązane do życia Camoensa, ścigało go i po śmierci. Podczas pamiętnego trzęsienia ziemi w Lizbonie, kościół ś. Anny zawalił się od szczytu do fundamentów, a ruina pochłonęła i nagrobek poety. Otóż, przypuszczając że don Coutinho, który z miłością zajął się pamięcią Camoensa, znał datę jego śmierci dokładnie, zachodzi jeszcze pytanie, zkąd o napisie na nagrobku wié jego dzisiejszy biograf, gdy nie przytoczył źródła wiadomości.

Nietyle nas wreszcie obchodzi ta różnica kilkunastu miesięcy w dacie śmierci Camoensa: spadek po nim w niczém się przez to nie zmienia, odziedziczyliśmy go zarówno wszyscy. Już wówczas, kiedy mu fundowano kamień grobowy, to jest w lat szesnaście po śmierci, jest ślad, że Luzyady przetłómaczono na język włoski, francuzki i hiszpański [1]); i nam go téż probował przyswoić nasz niefortunny Jacek Przybylski. To raczéj godne zastanowienia, że właśni jego ziomkowie współcześni nie zainteresowali się tyle jednym ze swych największych luminarzy, ażeby wiedzieć z dokładnością choćby datę jego przyjścia i zejścia ze świata; gdyż i co do jego urodzenia podobnaż zachodzi wątpliwość, a długi czas datę podawano zgoła błędnie.

Śmierć Camoensa w szpitalu, przez naocznego świadka, Joze Indio, na marginesie jednego z egzemplarzy Luzyad poświadczona, nale-

[1]) Wiersz professora uniwersytetu w Evora, jezuity Mat. Cardoso: „Huno Itali, Galli, Hispani vertere poetam..."

ży do rysów charakterystycznych epoki, przedstawiającéj jeszcze podówczas literaturę w fazie wojującéj, która musiała miéć swoich męczenników, wywalczających dla niéj prawo bytu i godności. I trzeba chyba cieszyć się z dzisiejszego postępu, który bez podejrzeń i obojętności dla swoich wieszczów, powiada razem z Szyllerem:

„Drum soll der Sänger mit dem König gehen:
Sie beide wohnen auf der Menschheit Höhen;"

czyli, jak to po polsku wyraził Odyniec:

„Poeta z królem idą razem śmiele;
Obadwaj stoją na ludzkości czele."

III.

Z przebiegu życia Camoensa można już mniéj więcéj widziéć jakiemi obrazami ono odbije się w jego utworach. Uczucia miłości, przyjaźni, widoki natury, wrażenia otrzymywane od stosunków ludzkich, cześć dla Stwórcy, poświęcenie dla kraju; oto są główne temata w rozmaity sposób parafrazowane w jego stanzach, sonetach, elegiach, listach, redondillach i innych formach spółczesnéj liryki, częścią zapożyczonych od starożytnych, częścią przejętych z romantyzmu średniowiecznego, a ustalonych przez Włochów. Ta subjektywność Camoensa, jaka wcieliła się w jego drobne poezye, czyli w lirykę, nie odznacza się bynajmniéj ową siłą Dantejską, która wreszcie niéma sobie równéj aż do czasów Goetego i Bajrona; jestto melodya cicha, czuła, chwytająca za serce prawdą i jakąś lubą obrazowością. Najczęściéj pobrzmiewa tam nuta tęskna i smutna, nie iżby usposobienie poety smutném było z natury, lecz widzieliśmy dostatecznie jak życie powoli wyrabiało w nim ten nastrój, który nigdzie tak dobrze uwydatnić się nie mógł jak w chwilach tworzenia. Chociaż często różny tematem, stylem i obrazowaniem, zbliża się on najwięcéj do Petrarki, ustępując mu atoli w melodyjności słowa, przewyższając go czasami wszechstronnością myśli. Gdyby Camoens nie był zostawił nic innego, oprócz swych liryków, byłby w każdym razie zasłynął i stanął w pośród celniejszych, obok Petrarki i Kochanowskiego; ale jego wielka symfonia zagłuszyła te ciche odgłosy fletni pojedyńczéj i Camoens zasłynął głównie jako epik.

O! bo téż jeżeli on w swych drobnych poezyach zostawił po cząsteczce duszy, tutaj oddał ją całą. *Luzyada* mieści w swych strofach wszystkie żywioły tamtych, tylko inaczéj uporządkowane.

Pod względem powierzchownym, epopea ta dzieli się na dziesięć ksiąg, czyli pieśni i napisana jest wrotkami ośmiowierszowemi, zwanemi oktawy, których liczba nie jest równą w każdéj pieśni. Cała epopea zawiera takich wrotek 1089, a zatém wierszy 8712. W osnowie, *Luzyada* to nie powieść o jednym wyłącznie bohatérze, lubo jest tu bohatér główny. Luzyada, to dzieje Luzów, a więc całéj społeczności rycerskiéj, ożywionéj jakoby jednym duchem pobożności, wolności i sła-

wy, dobijającéj się do bytu i świetniejącéj życiem wspaniałém. To dwa wieki walk ustawicznych, prowadzonych jednocześnie przeciwko dumie kastyllańskiéj i potędze Maurów; walk, w których nigdzie może rycerstwo chrześciańskie nie dało tyle świetnych dowodów męztwa i poświęcenia zarazem. To następnie, po ustaleniu potęgi nad Minho, przerzucenie się do Afryki, opłynięcie jéj olbrzymich brzegów nieznanych, zdobycie Indostanu, utorowanie wielkiéj drogi dla cywilizacyi, oraz dla religii chrześciańskiéj. Jako cała przeszłość rycerskiego społeczeństwa Luzów stała na dwu filarach: na Krzyżu i na mieczu, tak i dziś jeszcze, w uczuciach i wyobrażeniach poety, przeszłość ta żyje, i w imię téż Krzyża a z mieczem ku jego obronie i wywyższeniu, działają jego bohaterowie. Wszystkiego tego, co pieśń jego ma wyśpiewać, nie dokonał jeden człowiek, ale dokonali ludzie: każdy téż mniéj lub więcéj zasłużony mąż, znajduje dla siebie miejsce w tym wielkim obrazie historycznym; w stosowném świetle ustawia go poeta. Pobożność więc i rycerskość, to dwa uczucia, dwa żywioły główne jego epopei.

Jakie miał pobudki Camoens do utworzenia tego poematu? Jużeśmy je w części wskazali; dlaczego mamy wyszukiwać daléj, albo się domyślać? Powtórzmy raczéj słowami samego poety (ks. V, od strofy 92). Opowiedziawszy on przez usta Vasca królowi Melindy w głównych zarysach świetne dotychczasowe dzieje Portugalii, skupia się sam w sobie i zastanawia. Widzi, że w całéj starożytności rapsod rycerski wszędzie był uzupełnieniem i unieśmiertelnieniem rycerskiego czynu: wszyscy znakomici bohatérowie mieli swoich bardów. Otóż „trudy Gamy, mówi poeta, przewyższyły działalność Eneasza... Luzytania wydaje Scypionów, Cezarów, Aleksandrów, wydaje także Augustów: ale u nas bohatérowie są tylko hartownymi wojownikami. Rzymianie, Grecy, a nawet Barbarzyńcy, wszyscy wielcy wodzowie znali cześć dla Muz; zaniedbane one są tylko przez wojowników Luzytanii. Powiadano to z boleścią: jeżeli uczone siostry niememi są dla nich, to dlatego, iż oni głuchymi są dla uczonych siostr, że nie znają téj boskiéj sztuki, którą lekceważą; tylko umysły ukształcone czują urok pięknego wiersza."

Poeta powstaje wciąż daléj w ten sposób na swych ziomków za ich obojętność dla wszech objawów piękna, chociaż tylko „przy opowiadaniu czynów wielkich, przy brzmieniu liry bohaterskiéj zapalają się dusze szlachetne." Grozi, że jeśli dłużéj potrwa takie lekceważenie, to wkrótce nie stanie już ani pobożnych Eneaszów, ani walecznych Achillów w jego ojczyznie, gdzie z pomiędzy wszystkich bogów uśmiechliwéj starożytności, „znanym jest jeden tylko Plutus," za co, na domiar wstydu, nawet nie wstydzą się jego ziomkowie. Kiedy więc ani sam nawet znakomity Gama, ani jego potomkowie, nic nie uczynili dla Muz i lubo przezto nie zasługują, by gwoli ich nimfy Tagu porzuciły złociste wrzeciono dla liry, on chwyta jednak bezinteresownie tę lirę—w imię ojczyzny. Tak powiada:

„Tylko miłość ojczyzny, tylko radość z wysławienia bohatérów natchnęły me pieśni. Synowie Luza! nie dopuśćcież, ażeby w was za-

gasł zapał do rzeczy wielkich. Czyny wasze nie zaginą: zgromadzi je do siebie historya, a Kalliope wyśpiewa."

Powód więc utworzenia téj epopei jasno jest określony. A ponieważ autor chce w niéj mieć przedstawioną całą ojczyznę z jéj najświetniejszéj strony, nie poprzestaje więc na opisie jednego wielkiego wypadku, przywiązanego do imienia głównego bohatéra Vasco de Gama, którym jest zdobycie przezeń Indyi, ale sytuacye urządza tak, ażeby z ust tegoż bohatéra świat dowiedział się o wszystkich wielkich czynach jego narodu i o wszystkich zasługach jego bohatérów dziejowych. Znać, że wielkość ojczyzny bardzo leżała na sercu poecie.

Z takiego téż założenia wynikło, że epopea rozkłada się niejako na dwie części, powierzchownie tylko z sobą pod względem formy spojone. Pierwszą stanowi wypadek najświeższy, zamykający szereg wielkich czynów narodowych i onto utrzymuje jedność poematu; druga część odnosi się do wspomnień, które wypadek ten, że tak powiem, przygotowały. I téj drugiéj osnowy nie można wcale brać za epizod pierwszéj, lubo w formie zewnętrznéj jest on istotnie epizodem. Przeciwi się temu nasamprzód rozmiar, gdyż poeta, na dziesięć ksiąg całości, tym wspomnieniom historycznym poświęca około czterech środkowych; przeciwi się temu powtóre i sam sposób traktowania rzeczy, gdyż Camoens faktów tych nie zbywa sposobem potocznym, ale poświęca im może najpiękniejsze swoje natchnienia, przedstawiając je niby łańcuch nierozerwany ogniw ewolucyjnych, którego utworzeniu przewodniczy jedna idea, dopóki ona nie wystrzeli swym najświetniejszym kwiatem, wieńczącym całe dzieło geniuszów, usiłowań i trudów. Jeżeli zatém, ze względu na formę, rozszarpuje się nieco jedność poematu, skutkiem przerywania go rzeczą obcą wypadkowi głównemu, w duchu przecież jedność na téj przerwie zyskuje, jeżeli weźmiemy na uwagę to, że poecie chodziło o wyprowadzenie tego wypadku, sposobem rozwoju, z całego szeregu faktów poprzednich, stanowiących całość życia narodowego.

Jakkolwiekbądź, w użyciu tych wspomnień historycznych za czynnik składowy poematu, to słusznieby można zarzucić przecie, że się powtarza. Bo kiedy całe prawie księgi, trzecią, czwartą i piątą, poświęcił tenu przedmiotowi, wówczas kiedy Gama, za przybyciem do Melindy, chce królowi jéj z dobréj strony zaprezentować Luzów, tenże sam Gama za przybyciem do nowego portu Kalikut, znowu połowę większą księgi ósméj na tenże sam cel przeznacza. Wprawdzie dzieje się to w inny sposób: Katual przybywa na okręty Gamy i spostrzega rozmaite malowidła na jego okrętach; Gama zatém tłómaczy mu każdy szczegółowo obraz, przedstawiający jakiś epizod z dziejów Luzytanii. Wprawdzie podziwiać trzeba bogactwo fantazyi autora, który tę samą rzecz zdołał, bez powtórzenia się co do formy, w innym obrazie przedstawić, ale niemniéj powtórzenie téj saméj treści stanowi wadę kompozycyjną. Przyjąwszy jednak tę rzecz tak jak jest i wczytawszy się w tekst, zgodzić się musimy, że opis każdego szczegółu dziejowego, wprost wyjęty z całości i wzięty odrębnie, stanowi wdzięczną całostkę, a całostki te,

zebrane razem, przedstawią nam mniéj więcéj to, co w naszéj literaturze z mniejszą tylko artystycznością uskutecznił Niemcewicz, pod nazwą *Śpiewów historycznych:* nie zapomniany tam jest żaden król, żaden bohater znaczący w dziejach.

Jeżeli przeto treść tę, z powodów wyżéj przytoczonych, uznamy za część organiczną całości w duchu kompozycyi, to i tak dosyć jeszcze miejsca pozostanie na właściwie tak zwane epizody. Do takich zwłaszcza zaliczamy częste reflekcye moralne poety, pełne podniosłości i patryotyzmu, które mu prawdziwą chlubę przynoszą; zwroty egotyczne do siebie samego, tu i owdzie rozrzucone; rzut oka na Europę spółczesną wypadkowi głównemu, epizod znakomity trafnością obserwacyi (początek ks. VII); nareszcie proroctwa Tetydy (ks. X), dotyczące rezultatów wyprawy Vasca de Gama. Ale podobne epizody, jako zgodne z estetyczną formą opowiadania, które się zowie epopeą, stanowią właśnie jéj okrasę i urozmaicenie. Możeż być rzeczywiście coś piękniejszego, ze stanowiska czasu i wyobrażeń poety, jak określenie tego właśnie stosunku jego ojczyzny do innych państw Europy? Rozumié on ten stosunek tak, że kiedy inne narody chrześciańskie, silne i wielkie, zajęte tylko zdobyczą, drą się między sobą, walczą i zabijają, wciąż poróżnieni wobec Islamizmu, który karny i jednolity uderza na nich przez Hellespont, wtedy jedna tylko mała Portugalia idzie z nim w zapasy, zadając mu cios skuteczny przez oderwanie Indyi i zaprowadzenie tam żywiołu chrześciańskiego. I jakżeż on to wyraża?

„Spojrzyj na Germanów tak dumnych ze swych obszernych dzielnic. Oni przeciwko następcy Piotrowemu podnoszą sztandar buntu. Na głos nowego przywódzcy, występuje nowa sekta: pycha wyradza błąd, a błąd wyradza wojnę; ramię, któreby powinno powalić Ottomana, uzbraja się przeciwko powadze boskiéj."

Podobnąż apostrofę rzuca poeta „tyranowi albiońskiemu" (Henryk VIII) i karci „monarchę Gallów, króla arcy-chrześciańskiego," za jego obojętność dla sprawy chrześcian, tudzież wszystkie narody za opuszczenie cesarstwa wschodniego.

„Ale kiedy was, wykrzykuje, szał krwiożerczy ogarnia, słaba Luzytania poświęca swych pobożnych rycerzy dla sprawy nieba. Już oni zasiadają brzeg afrykański. Azya uznaje ich za panów. Nowy świat patrzy, jak zaorują jego równiny. Niech się jeszcze powiększy przestrzeń ziemi, a oni dosięgną jéj granic. Biorę na świadków Gamę i jego nieustraszonych towarzyszów."

Ten okrzyk, zakrawający na przechwałkę, jest jednak usprawiedliwiony: bo jużciż przyznać trzeba, że rzucenie się na świat mahometański wówczas, gdy Islamizm zatknął już półksiężyc na bazylice ś. Zofii, było dowodem wielkiego animuszu ze strony szczupłego społeczeństwa. Śmiało téż do swoich mógł wyrzec Camoens, w téjże saméj pieśni:

„Synowie Luza! wy mały tylko punkcik zajmujecie na globie... (ale) wy liczby uzupełniacie męztwem, potęgę bohatérstwem; wy nara-

żacie się na tysiące śmierci, by rozszerzyć panowanie wiary. Niebo chciało, ażeby w sprawie tak pięknéj, najmniejszy z ludów okazał się największym; taką to chlubę niebo zachowuje dla cnoty pokornéj i mężnéj."

Osnowa wreszcie samego faktu jest wcale nie skomplikowaną. Flota, która wypłynęła pod przewodnictwem Gamy, dąży ku Indyom etapami nowych odkryć, wytrzymuje burze, wpośród miejscowości nieznanych, albo doznaje gościnności uprzejméj, albo zmuszoną jest walczyć. Męztwo i roztropność wodza, wytrwałość i poświęcenie towarzyszów, przezwyciężają wszystkie przeszkody. Flota powraca okryta chwałą odkryć i wawrzynami zwycięztw. Na téj drodze powrotnéj, jakby w nagrodę niezmiernych trudów, los gotuje bohatérom niespodziankę. Zawadzają o zaczarowaną wyspę Tetydy, gdzie rozkosze natury w połączeniu z rozkoszami miłości upajają ich chwilę, a sama bogini na czele nimf, przed wyjazdem prorokuje im wielką dolę ojczyzny, która tak dzielnych wychowuje synów. Potém wracają szczęśliwie do Lizbony, by zdać sprawę ze swych działań królowi Emanuelowi i koniec.

W rozszczególnieniu téj osnowy, jak zwykle w epopei, rzeczywistość łączy się z fantazyą, świat zmysłowy z nadzmysłowym, prawda z fikcyą. Tylko, że co do *Luzyady*, połączenie to wymaga osobnego zastanowienia.

Fantazya jest tym czynnikiem, który, stosownie do indywidualności twórcy, żywioł realny okrywa żywiołem idealnym i skielet prozaiczny przystraja w poetyczne szaty: ona to kronikę przemienia na powieść, katastrofę rodzinną, lub społeczną na dramat. Ale iżby to uskutecznić mogła, potrzebuje spełnić pewne warunki. Nietylko obrazowanie jéj tchnąć musi poetycznością, ale i te zmyślenia jéj powinny zachować względną prawdziwość w odniesieniu do wiary i wyobrażeń téj saméj grupy społecznéj, z któréj łona wychodzi poeta. Otóż, pod tym względem ideał epicki, oprócz wielkich epopei Wschodu, mało jeszcze u nas upowszechnionych, urzeczywistniają w starożytności z całą doskonałością *Iliada* i *Odysea*, w średnich wiekach *Komedya Boska*.

Jak Homer, tak i Dante, wierzyli mocno w te zjawiska niesprawdzalne środkami doświadczalnemi, które obrazowali w swych poematach i wierzyła w nie cała ich społeczność; jeżeli ktoś słuchający ich pieśni mógł się domyślać, że czasem poeta pewne szczegóły pojedyńcze kreślił z własnéj fantazyi, ogół był jednak silnie przekonanym, że te szczegóły tak się odbyły ze względu na prawdę i istotę zasady powszechnéj, w grupie społecznéj panującéj.

Jestto warunek konieczny, ażeby epopea była istotnym kwiatem żyjącym, który wyrosł z ziarna rzuconego przez Stwórcę na niwie społecznéj, nie zaś sztucznym wyrobem; ażeby był zwierciadłem, w którém się przeglądają idee społeczne, przez poetę do życia rzeczywistego powołane i w ciało piękne przyobleczone, nie zaś trupy idei na chwilę do ruchu zgalwanizowane.

Jeżeli warunek ten uznamy za istotną zasadę w poezyi, to z wielkich jéj objawów rzeczywiście tylko Homer i Dante utworzyli epopee prawdziwe, mające za sobą powagę wierzeń powszechności i których zmyślenia, względnie do tych wierzeń, stanowią prawdę naturalną. Wszystkie inne epopee są mniéj więcéj robione, w których fikcya może wprawdzie posiadać obrazowość poetyczną, ale obrazowość ta jest czysto formalną i nie okrywa idei powszechnéj.

Ten to ogólny zarzut uczynić można epopei Camoensa. Jużeśmy w przebiegu jego życia powiedzieli, że był on uczniem dwóch szkół: narodowéj, która go wykołysała pieśniami ludu, rapsodami trubadurów i minstrelów, oraz uczniem szkoły klasycznéj, która przejęła umysł jego wdziękami poezyi starożytnéj. Inne pytanie: czy mógł Camoens uczynić wybór między temi dwiema szkołami, występując samodzielnie, jako poeta. Jużciż mógł, tak, jak uczynił to Dante. I ten wprawdzie na ramieniu Wirgiliusza, którego i Rafael wprowadził do swéj *Dysputy o Przenajświętszym Sakramencie*, opiera się w swéj przechadzce po sferach zaziemskich, zaznacza lekkie ślady zespolenia się z mitologią starożytną i to tylko w pierwszéj części poematu. Ale ma on mistrzynię drugą, prawdziwą mistyczną Beatryx i twórczość téż jego, razem z całą kompozycyą, idą w tym tylko drugim kierunku; dlatego téż poemat jego jest tak oryginalnie nowym, tak niebywałym i dlatego to taką istotną stanowi zdobycz literacką nieporównaną ten olbrzymi wyraz wieku, niby katedra Kolońska, rozpłyniona w melodyę słowa. I Camoens jest tym wyrazem wieku w swoich poezyach drobnych, z których możnaby ułożyć bardzo piękną mozajkę, charakteryzującą to, co jest właściwością sfery, w któréj żył i myślał razem ze swém społeczeństwem. Ale w téj chwili mówimy o jego epopei, nad którą pracował lat dwadzieścia i stawiliśmy sobie pytanie, czy jako uczeń dwóch szkół, mógł według jednéj tylko z nich przystąpić do wykonania swego poematu.

Przed rozwiązaniem tego pytania, winniśmy zwrócić uwagę, że poezya jako jeden z objawów umysłowych, nie może istnieć w oderwaniu od innych objawów spółczesnych, ale jako pewne uzewnętrznienie się ducha społecznego, pozostaje w zawiązku z całością żywiołów składających się na atmosferę duchową pewnego wieku i jéj ciążeniu ulega. Otóż, doba twórczości Camoensa przypada na dobę upadku scholastyki, która mając niegdyś chwile swoje świetne, obecnie zasypiała w nudnych i suchych formułach rozumowawczych, nic innego światu nie dając prócz rozumowania, tak, iż umysły wychowane w téj atmosferze zimnéj, uwzględniającéj jednę tylko stronę ducha ludzkiego, pomimo Danta i trubadurów, musiały być srodze spragnione jakiegoś orzeźwienia i rozmaitości. To orzeźwienie i tę rozmaitość przyniósł im geniusz starożytności, wyparty z Konstantynopola, przyjęty przez Włochy a przez nie przekazany reszcie Europy. Wstrząsnął on ludzkością, która w naturze swéj nietylko ma zdolność rozumowania, ale uczucie i namiętność. Tę to część żywą i dramatyczną człowieka, Renessans miał przejąć od starożytnych, nietylko przez ich filozofią, ale przede-

wszystkiem przez poezyą. Dla umysłów młodych, gorących, scholastyka ze swym ciasnym dogmatyzmem, ze swym językiem abstrakcyjnym i bezdusznym, przedstawiała świat stary blizki rozpadnięcia się; przeciwnie, starożytność, ukazywała świat nowy i pociągający w sposób nieprzezwyciężony. Pierwsza ta rewelacya starożytności, do upowszechnienia skarbów której tak czynną i skuteczną rękę przyłożył Erazm z Rotterdamu, sprawiła zrazu rodzaj olśnienia, szału i naprowadziła na wiele zboczeń. Włochy zwłaszcza popadły w mnóstwo nadużyć schlebiających ich wyobraźni ruchliwéj oraz skłonnościom ciągnącym ku rozkoszy. Obyczaje, filozofia i poezya, stały się tam pogańskiemi. Renessans stawił się niejako w postaci wyzywającéj, niby groźba nieoczekiwanego odwetu pogaństwa nad chrześciaństwem. Powstał ztąd wielki zamęt w wyobrażeniach, na dnie którego odszukać było można tę interesującą kwestyę: w jakiéj mierze myśl starożytna ma posłużyć do wychowania myśli nowoczesnéj? Kwestyę tę rozwiązywano próbami i faktami w rozmaity sposób, a ostateczne słowo zagadki dziś jeszcze nawet stanowczo nie zostało wypowiedzianém.

Pomiędzy tę walkę Scholastyki z Renessansem, dostała się naturalnie i poezya. Umysły oczarowane wdziękami i wytwornością Muzy starożytnéj, uderzyły przed nią czołem, zaprzęgły się do jéj wozu, stały się jéj bałwochwalcami. Przejmowano z niéj ryczałtem treść i formy, myślano jéj myślami, wyrzekano się dla niéj swojego *ja* narodowego; a popęd taki, nie ujęty w karby zastanowienia groził zapanowaniem nareszcie bezmyślnego formalizmu i naśladownictwa nad samodzielnością i nawet w części zagrożenie to spełnił.

Camoens postawiony w ogniu téj walki, czyż nie mógł być uniesiony prądem powszechnym? Rzecz łatwa do wytłómaczenia. Ale z drugiéj strony, wykarmił się on, jak widzieliśmy, żywiołami poezyi narodowéj; i niby mu nie przeszkadzało utwór swój oprzeć na tych żywiołach wyłącznie, przy całéj admiracyi dla antyku, a nawet w stosownéj mierze z jego piękności skorzystać. Mógł on i powinien był wybrać szkołę czysto narodową; ale snadź albo zamało do tego posiadał wiary w siebie, iżby zdołał zdobyć się na formę nową, odpowiednią wiekowi, a godnie przyoblekającą myśl wielkiego poematu, albo też tak mu imponowała epopea starożytna, że bez względu na różnicę wieku i żywiołów społecznych, nie śmiał się od niéj zbytecznie oddalać i zapożyczył u niéj form, nie tak jednak, ażeby one pochłonęły w nim w zupełności ucznia szkoły narodowéj. W *Luzyadach* też kłócą się obie te szkoły, z wielką rozumie się szkodą harmonii; poprzez strofy układane w rytm wirgiliuszowski, nieraz tak od serca wrzaśnie patryota i zabity Portugalczyk, że choćbyś nie chciał, widzisz tam pasujących się dwóch ludzi dla pogodzenia w jednéj formie rzeczy treścią niepogodzonych. To też poeta w pewnych momentach i sam nawet nie stara się o to pogodzenie. Upatrzyliśmy przecie pewne rozpołowienie w jego utworze. Cztery księgi, stanowiące jakby roczniki historyczne jego kraju, to forma oddzielna, w któréj naprzekór wpływom poezyi starożytnéj, jest on

trubadurem, po mieczu i arfie godnym swoich poprzedników; wpływ zaś szkoły starożytnéj dotyczy raczéj opisu saméj wyprawy do Indyi, oraz powrotu z kampanii.

Gdyby Camoens fikcye swe chciał był uczynić zgodnemi z duchem i wierzeniami swojego wieku, byłby istotnie w wielkim kłopocie, bo był to wiek przejściowy, a pamiętajmy, że i epoka, do któréj się treść jego poematu odnosi, także nie o wiele uprzedziła tworzenie i sam nawet fakt główny poematu należał właśnie do czynników wieku zabijających ducha legendy. Dantemu łatwo było czerpać żywioły, bo za jego czasów panowała wszędzie jedność i jednolitość pojęć. Zgoła inaczéj było w epoce Gamy i Camoensa. Skończyły się na dobre wieki średnie, a wiek nowy jeszcze nie wyrobił sobie fizyognomii stałéj. Nierozstrzygnięte walki religii z nauką, Kościoła z państwem, tradycyi z wynalazkiem, wstrząsnęły wierzeniami, zrodziły próżnie niezapełnione jeszcze niczém, przejęły sceptycyzmem. Był to wiek Hamleta i Falstaffa, równie jak Kopernika i Guttenberga. Odrodzenie powołało do nowego życia literaturę i sztukę starożytną, o formach okrągłych i wykończonych, ale zgoła nieodpowiednich nowemu duchowi czasu. Słowem, nic ustalonego i tylko pole obszerne dla geniuszów do zaprowadzenia porządku w tym chaosie, który nareszcie, co do poezyi, głoszony przez Lessynga, zaprowadzony został dopiéro w XIX wieku przez Getego i Bajrona.

Jeżeli więc, z wyjątkiem objawów bardzo sporadycznych, wszędzie panował wpływ poezyi starożytnéj jeszcze pod świeżemi jej wrażeniami, nic dziwnego, że nie uniknął go i Camoens, tylko użył go w sposób zanadto surowy. Nie mogąc, bez obrażenia logiki traktować swego tematu na sposób zupełnie starożytny, a niémając snadź tyle zasobów twórczości aby dlań wynaleźć formę w łonie żywiołów spółczesnych, zmiészał on razem, bez żadnéj chemicznéj kohezyi wyobrażenia pogańskie z chrześciańskiemi; obok Gamy, w chwili kiedy nikt temu nie wierzył, zasiał lądy i morza i sfery empirejskie bogami i boginiami wziętemi na gorąco z mitologii greckiéj, które dziwnie odbijają od całego tonu chrześciańskiego, jaki panuje w poemacie i jakim przemawiają jego bohatérowie, jak również od współczesności faktu tak wielce oddalonego od epoki, w któréj pojęcia mitologiczne miały rzeczywisty obieg.

Nie czynilibyśmy żadnego zarzutu Camoensowi, gdyby mu podobało się przez zamiłowanie do szkoły starożytnéj kreślić obrazy mitologiczne, ale z odniesieniem do właściwéj epoki, jak to przez podobnąż predylekcyą czynili nowocześni: Szyller, Goete i Ponsard; zarzucamy mu tylko, iż idee umarłe przywiązał do faktu żyjącego, wcielił we współczesność to co było tamtoczesnością, i co zamiast attrakcyi, stanowiło repulsyą, mieszaninę bez związku naturalnego.

Ten wpływ szkoły starożytnéj objawia się w *Luzyadach* nietylko odnośnie do cech ogólnych poezyi, ale i odnośnie do całego planu

poematu, o czém łatwo się przekonać porównywając go z Eneidą, ulubioną epopeą Camoensa z czasów uniwersyteckich.

Samo zaczęcie świadczy już, że poeta działać zamierza według pewnego wzoru, ale że ten wzór nie będzie mu wskazówką niewolniczą. Dla niego na pierwszym punkcie stoi kraj własny, którym się pyszni przed sobą i światem; bierze pióro do ręki nie dlatego ażeby bawić się w poezyą, ale że dusza jego poetycka do głębi poruszoną jest wielkościami narodowemi, które budzą w niéj zapał. Takiém przejęty uczuciem, uszanuje on wzory mistrzów swych w poezyi, ale nie przestanie być sobą, rycerzem i bardem swojego kraju, poza którym nie widzi nic wyższego i piękniejszego ani dziś, ani w starożytności; w naśladownictwie więc nie zatraci istoty swojéj, nie utonie: ma on zawiele energii własnéj, ażeby przez nią nie wypłynąć na wierzch. „*Arma virumque cano* (broń i *męża* opiewam)" począł Wirgiliusz; Camoens idąc za nim w formie porządku, już odróżnia się treścią, mówiąc: „walki opiewam i tych *mężów* dzielnych" i t. d. Jestto wielka różnica. Poeta rzymski do tego ciągnie w swéj epopei, ażeby przypomnieć, iż obecnie panujący August jest potomkiem tego samego *męża* co przybył z Troi, by założyć osadę z któréj powstał Rzym: „*inde genus Latinum.*" Camoens ciągnie znowu do tego, ażeby przypomnienie jego *mężów* stanowiło wzór dla obecnie panującego króla Sebastyana, stojącego na bardzo złych drogach. „Młody dziedzicu tylu królów... słuchaj: imię portugalskie zadźwięczy w mych pieniach. Ucz się poznawać ludzi, których niebo poddało twemu panowaniu, i powiedz mi czy nie piękniéj królować nad niemi niż rozkazywać reszcie świata" (I, 6, 10). Prześliczną wreszcie duchem patryotycznym i obywatelskim, w swéj cudnie wdzięcznéj formie poetycznéj, jest cała ta introdukcya, złożona ze strof ośmnastu, po któréj poeta bezpośrednio wprowadza nas na ocean, unoszący synów Luza ku Indyom.

Ale jak Wirgiliusz za Homerem, tak za Wirgiliuszem Camoens dolę ich i losy wyprawy czyni zależnemi od złéj lub dobréj woli bogów olimpijskich. Mars opiekuje się niemi, jako wojownikami; Wenus oddana im jest całém sercem: ale Bachus, pomny na swe pochodzenie indyjskie i uważający tę krainę za swe wyłączne królestwo, nierad jest wyprawie Luzów, którą ma za wdzierstwo w swe prawa, i postanawia przeszkadzać im wszelkiemi sposobami. Intryguje więc na dworach władzców wszystkich ziem, dokąd przybijają Luzowie, podburza Neptuna, otacza ich czarami, tak, iż niejednokrotnie życie żeglarzy wisi na włosku, a tylko opieka bóstw przyjaznych, wytaczających sprawę aż przed samego Jowisza, ratuje znękanych lecz nieugiętych. Co większa, jednocześnie z tém nie zbywa im i na pomocy Świętych chrześciańskich.

Prawda, że w fikcyi téj autor porusza się o własnych siłach co do wytworzenia sytuacyi i wyrobienia szczegółów poetycznych, ależ samo wprowadzenie téj fikcyi, tak żywcem wyjętéj z *Eneidy*, pomiędzy części składowe planu, świadczy o wielkiéj jego abnegacyi ze względu na oryginalność. Oprócz tego, środek ten daje pierwszy donioślejszego

znaczenia przykład konwencyonalności w poezyi, niebawem tak zagęszczony, że aż z tego zagęszczenia powstały iście poetyczne stajnie Augiaszowe, które ledwie dopiéro Lessyng rozpoczął wymiatać; wprowadza do świata nowożytnego pierwiastek zgoła zużyty, uczuciom i wyobrażeniom obcy, a więc nie mogący sprawiać rzetelnie duchowego wrażenia; a nadto jeszcze miesza, co już żadnéj krytyki wytrzymać nie może, rzeczy tak heterogeniczne, jak mity pogańskie z wierzeniami chrześciańskiemi, pod względem wpływów i jednoczesności działań. Poprzednicy jego, trubadurowie, jeżeli chcieli determinować jakieś potęgi człowiekowi szkodliwe, udawali się do kreacyi gminnych, do upiorów, strzyg, wieszczek i czarnoksiężników; wreszcie, przy jakichś wypadkach szerszego zakroju, do złych duchów i samego Szatana. Dziwna więc rzecz, iż Camoens tak blizki jeszcze powszechności tych wierzeń, zwłaszcza téż, gdy czarna magia nie przestała podówczas zajmować umysłów, nie w tém źródle, tak naturalném, szukał żywiołu dla swéj fikcyi, potrzebującéj użyć potęg złowrogich, ale zapożyczył się u żywiołu, który sztucznie tylko, a więc i *niekrytycznie* i nie efektownie mógł być wprowadzonym. Protestuje on sam w jedném miejscu (I, str. 11): „Czcze wymysły nie będą zdobić mych opowiadań; pozostawiam muzom obcym te ambitne kłamstwa."

Stosuje on to do rapsodów narodowych, jak o Rodomoncie, Rogerze, Rolandzie i t. p., które uważa za przesadzające wartość swych bohatérów i doniosłość ich przygód. Ale gorzéj podobno uczynił, wymysły swe opierając na gruncie zgoła nieodpowiednim całemu nastrojowi społecznemu. Zdawało mu się, że ubliżyłby może powadze swego poematu, gdyby doń wprowadził płody imaginacyi gminnéj i wolał je, pod powagą wielkich mistrzów, zastąpić potęgami olimpijskiemi; nie spostrzegł się, że pożyczka nie stanowi prawdziwego bogactwa i wspaniałości, témbardziéj, gdy przedmiot pożyczony nie stosuje się do materyału posiadanego.

Wyrodziło się téż ztąd pewne rozdwojenie pomiędzy samym twórcą, a jego kreacyami; bohatérowie Camoensa, to najgorliwsi i najpobożniejsi katolicy, w sercu i na ustach wciąż mają objawy swéj wiary gorącéj, kiedy poeta naodwrót wciąż trzyma ich w zależności od bóstw pogańskich i sam koniecznie chce uchodzić za poganina.

Oprócz tego żywiołu mitologicznego, panującego w całéj epopei, z wyjątkiem opowiadań historycznych, bo i cały pobyt na wyspie Tetydy (księga przedostatnia), jest tylko prześlicznym obrazkiem czysto mitologicznym, mamy jeszcze do zanotowania pewne szczegółowe zbliżenia z epopeą Wergiliusza albo Homera. I tak: opowiadanie Gamy u króla Melindy, to moment kompozycyi z konieczności przypominający opowiadanie Eneasza u królowéj Kartaginy; opisy malowideł wyobrażonych na chorągwiach, toż to tarcza Achillesa, na któréj Wulkan powykuwał rozmaite ustępy z dziejów boskich i ludzkich; burza, zamykająca księgę szóstą, epizod misternéj roboty artystycznéj, idzie krok w krok za burzą z pierwszéj księgi *Eneidy*, z temiż samemi nawet bo-

gami, wiatrami i nimfami wodnemi, a Gama zupełnie kopiowany jest w swych ruchach z Eneasza; pobyt na pływającéj wyspie Tetydy, to coś nakształt pobytu Ulissesa u bogini Kalypso, kiedy owe wróżby bogini tak gościnnie przyjmującéj Gamę i jego towarzyszów, nasuwają na myśl scenę Eneasza z Sybillą. Częste wreszcie zabieranie głosu przez bohaterów, repliki, żywioł krasomówczy formą poetyczną osłoniony, i uczuciem poetycznem przejęty, to także jedno z upodobań epopei homerowskiéj. Słowem, żywiołów dużo zapożyczonych wprost z poezyi starożytnéj.

Dodać jeszcze musimy i to, że Camoens taką kanwę rozłożywszy przed sobą, nie wahał się nawet przyswajać sobie pewnych odcieni obrazowych, pewnych zwrotów szczęśliwych, jakie napotkał u poetów starożytnych, począwszy od Homera aż do Lukana. Francuzkie wydanie *Luzyad* Lamarre'a, zasypane jest cytatami wykazującemi w tekście epopei powinowactwa z rozmaitemi zwrotami poetów starożytnych. Camoens, niemiał potrzeby wstydzić się tych zbliżeń ani kryć się z niemi. Europa tak była podówczas pełną zachwytu dla klasyków, *Eneida* uchodziła za tak *divinum opus*, zaczątki natchnień narodowych tak jakoś wówczas biednie wyglądały przy tych nowych a ledwie poznawanych arcydziełach skończonéj cywilizacyi starożytnéj, że każdy poeta miał sobie za zaszczyt i jemu to uważano za zaszczyt, jeżeli w pieśń swoją zdołał wcielić echo z gór Pindu, albo z Auzonii i uczcił nieśmiertelne ślady.

Z tém wszystkiém, lubo my inaczéj dziś się na to zapatrujemy, i lubośmy tyle naśladowniczego ducha zaznaczyli w dziele Camoensa, naśladownictwo to jego nie jest bynajmniéj bierném i nie stanowi martwéj reprodukcyi, ale raczéj bogatą w samodzielność reminiscencyę. Camoens, to nie niewolnik, to uczeń sprytny, pojętny, mający dużo miłości własnéj, ale i geniuszu samoistnego niemało. Zapomnijmy na chwilę, że Gamę przedziela kilkanaście wieków od czasu gdy Chrystyanizm zdetronizował bóstwa olimpijskie, siłą umyślnéj abstrakcyi oderwijmy go od jego środkowiska i zbliżmy tego dzielnego żeglarza Luzytanii do epoki Argonautów, usuńmy te przeszkody chronologiczne i imiona własne zastąpmy greckiemi, by nic nie osłaniało poezyi wziętéj saméj w sobie, w zupełném oderwaniu od tematu głównego, a wtedy obrazy jego wydadzą się nam w zgoła inném świetle. Uczujemy w nim poganina natchnionego pięknością kształtów swojego przedmiotu, poetę o wyobraźni gorącéj, który z łatwością snuje z siebie obrazy nowe, albo téż znane pod nowém oświetleniem przedstawia, a umiejętném użyciem rozmaitości barw zachwyca oko; zobaczymy stylistę o słowie łatwém, natchnioném i niespodziewaném, któremu czas jeszcze dodaje wdzięku młodości. Camoens wtedy, w téj części *Luzyady*, która odbywa się pod natchnieniem mitologii, ze swą naiwnością, ze swą swobodą i spokojem nawet w chwili utrapień bohatérów, ze swym uśmiechem, który towarzyszy opisom zjawisk natury, wyda się nam ostatnim z piewców pogańskich, tak jak Rafael, zażywający żywiołów mitologicznych

do niektórych swoich fresk, a nawet przy tworzeniu niektórych figur, wydaje się nam ostatnim z malarzy pogan. Gdyby *Burza* Camoensa napisaną była po łacinie i ujętą w mistrzowski wiersz Wirgiliusza, albo gdyby Wirgiliusz swojego czasu mógł ją przeczytać i zrozumieć w języku tekstu, powiedziałby z pewnością: ano, znalazłem mistrza równego sobie; chociaż epizod ten *Eneidy* należy do najpiękniejszych urywków wszelkiéj poezyi opisowéj. Cała zaś księga IX *Luzyad,* czyli pobyt wpośród rozkochanych nimf Tetydy, epizod przeciwny nawet zgoła surowéj etyce chrześciańskiéj, jest tak charakterystycznie pogańskim ze względu i na wiarę i na poezyę, tyle ma w sobie południowego słońca i erotyzmu naturalnego, że odrębnie od całości wzięty, stanowi jednę z najpoetyczniejszych kartek, jakie kiedykolwiek śpiewacy Grecyi poświęcili bogini miłości i Gracyom.

Tak więc Camoens, przejęty szkołą poezyi starożytnéj, przenosi ją do swojego dzieła w duchu i w formie. Nietylko losy swych bohaterów czyni on zależnemi od rady i skłonności bogów, ale i działania ich tłómaczy figurycznie, takiego lub innego bóstwa tajemną insynuacyą, dobrą lub złośliwą. Jeżeli np. Gama w położeniu trudném, przedsiębierze jakieś postanowienie roztropne, to jest tam z pewnością przy nim opiekunka Wenus, albo jéj jaki dobroczynny goniec, który poszeptuje mu pewne myśli i odsłania kombinacye, zarówno jak ułatwia faktycznie przezwyciężenie przeszkód. Rozumie się, że takież same figury stosują się i do zjawisk naturalnych. Kiedy dzień zbliża się do końca, to „Febus, znużony biegiem, udaje się spocząć na łonie Amfitryty, siostrze pozostawiając pieczę nad oświetleniem świata; Hebe odtąd króluje w powietrzu i jasnemi promieńmi osrebrza przestrzenie wód; niebo, wysadzone gwiazdami, przedstawia obraz pola osypanego kwieciem; Wiatry śpią w swych głębokich więzieniach: ale niebawem Jutrzenka, rozpraszając po niebie złoto i róże swych warkoczy, oznajmia, że zbudził się bóg dnia."

Ale czyż Camoens nie śmie już wcale wykroczyć poza te formy poezyi skończonéj, czyż nie wysnuje nic z siebie samego wyłącznie i z żywiołów bliższych swojéj epoce? Przeciwnie, znajdzie się tam miejsce i na to, lubo na tém właśnie utracić musi jedność i harmonia formy. Niepodobnaż wiecznie pozostawiać chrześcian pod protekcyą bogów pogańskich, tak jakby nie mieli swoich własnych; niepodobna nieuwzględnić pierwiastków realnych, jakie wchodzą w skład poematu. Przychodzi zatém kolej i na niepodległość, tylko że tu szczuplejsze zajmuje miejsce, wypełnione wszakże pomysłami nader szczęśliwemi.

Ten charakter czysto chrześciański, że tak powiem, trubadurski, mają przedewszystkiém dziejowe opowiadania Gamy, ale te, jak już wiemy, nie stanowią integralnéj części wątku powieściowego, jestto tylko przy arfie złotostrunnéj poetycznie wyśpiewana kronika, wiernie trzymająca się prawdy. Tutaj téż należą wszystkie subjektywne, a dosyć częste odzywania się poety, jak np. sam początek i zakończe-

nie; ustępy zwracane to bezpośrednio do króla, to rozwijające pewne względy polityczne i moralne. W samym zaś wątku powieściowym moglibyśmy sporo zacytować donioślejszych ustępów takich, które mogą służyć za przykład poezyi nowoczesnéj. A lubo i te ustępy nie są wolne od przyprawy mitologicznéj, ale przyprawa ta nie psuje smaku, bo jest umiarkowaną i spływając po wierzchu, nie dotyka jądra rzeczy.

Sam wprawdzie bohatér główny, Vasco de Gama, nie jest to postać o kształtach wydatnych i imponujących, o charakterze szeroko rozwiniętym, to nie Achilles, Agamemnon albo Ulisses, z którego życia i czynów możnaby z łatwością wyciąć jakąś kartę podatną do dramatu. Więcéj on mówi niż działa, a działania jego skierowane wyłącznie w stronę patryotyzmu, walki i żeglugi, nie dopuszczają wszechstronniejszego rozwinięcia szczegółów psychiczno-ludzkich, jak to widzimy wśród rozmaitych bohaterów epopei starożytnéj, oczarowującéj właśnie rozmaitością szczegółów psychicznie charakterystycznych. Pomiędzy towarzyszami Gamy również trudno dostrzedz jakąś figurę o wydatniejszych konturach: tak, iż stronę malowniczą poematu nietyle stanowią ludzie, ile ich myśli, ideje, oraz wypadki, sceny, krajobrazy. Pod tym względem, poezya Camoensa obfituje w piękności liryczne i plastyczne; a zkądkolwiek wzięlibyśmy jaki wyjątek, każdy z nich stanowić będzie prawdziwy kwiat poezyi; miejsca słabe, o słowie wymuszoném i naciąganém, prawie że nie istnieją, chyba w ilości tak drobnéj, że nawet nie zwróciły uwagi naszéj; Camoens nigdzie nie mówi, wszędzie śpiewa on czy to głosem starożytnego poganina, czy nowoczesnego chrześcianina. Nigdzie nie widać sadzenia się na poezyą, dbałości o kunszt faktyczny; wszędzie owszem widnieje prostota i naturalność, Muza jego zdaje się bez żadnego wysilenia snuć z siebie barwy i dobierać akordy.

Weźmy na los szczęścia jeden z takich opisów, np. śmierć Inezy, kochanki Don Pedra, następcy tronu, scenę mieszczącą się ku końcowi księgi trzeciéj, a podobną z treści do *Maryi* Malczewskiego, która, jest także niczém inném tylko dalszą odmianą tematu *Ifigenii*, ekspiacyi tak często powtarzającego się w dramatycznych dziejach państw i rodzin, tych drugich państw w miniaturze. „Ty żyłaś, piękna Inez, samotna i spokojna, duszę oddając tym złudzeniom, przebóg! tak przelotnym, które upiększają wiosnę życia. Brzegi strumienia Mondego kwieciły się pod twojemi stopy. Jego przezroczyste fale nieustannie chłonęły łzy twych pięknych oczu, a echa doliny powtarzały imię drogie któregoś je wyuczyła. Słodkiemu marzeniu odpowiadały słodkie myśli zakochanego don Pedra. W godzinach nieobecności, jeszcze on umiał cię odnaleźć: nocą, w pierzchliwym obłędzie snu; dniem, w czułych wspomnieniach, które z serca twojego wzlatywały ku niemu. Wszystko co widział, wszystko co słyszał, przypominało mu Inez i szczęście... Ale stary król niepokoi się i gniewa. Lud szemrze; żąda on dla dziedzica tronu, jednego z tych dostojnych ślubów, które

wzmacniają potęgę królów i zapewniają dolę państw... Król Alfons wydał wyrok. On we krwi nieszczęśliwéj dziewicy zagasić chce ogień, płonący w sercu don Pedra. Ach! cóżto za szał nakazuje świetnéj szabli, będącéj postrachem Maura, wznieść się przeciwko piękności słabéj i trwożnéj. Katowie ją wloką do stóp Alfonsa... Inez płacze i jęczy. Nie życia najbardziéj żałuje ona: płacze na wspomnienie księcia, którego uwielbia, dzieci, które opuścić ma nazawsze. W boleści swéj wznosi do nieba oczy zalane łzami, oczy, bo węzły okrutne ścisnęły jéj ręce obezwładnione [1]). Monarcha rozczulony ustępował przed jéj żałosnym głosem. Chciał ją ułaskawić, ale lud i Losy nie przebaczają. Okrutni doradcy Alfonsa przyśpieszają chwilę złowrogą. Dobywają mieczów. Rycerze! jakąż to krwią zabarwicie swą broń? Obrońcy piękności, staniecież się jéj oprawcami?.. Wymierzają ciosy: fale krwi zalewają to łono alabastrowe, na którém spoczywały geniusze wdzięków, te lilie tak czyste, które ona łez tylą skropiła, tę głowę śliczną, którą don Pedro ozdobi kiedyś koroną. Potwory, w ślepéj swéj wściekłości, nie myślą o męczarni, jaka ich za to czeka. O! słońce, któreś odmówiło swego swiatła okropnéj uczcie Atreja, czyżeś ty się ośmieliło oświecić widok niemniéj przerażający? Głębokie doliny, któreście słyszały ostatnie słowa Inezy, ostatni głos jéj ust zamierających, imię wiernego don Pedra, wyście je powtórzyły w przeciągłych echach! Jako kwiat polny, który zaledwie wystrzelił, więdnie i traci zapach, pod swawolną ręką pasterki, zbytecznie kwapiącéj się ozdobić nim swój wieniec, tak blednie i traci cerę umierająca Inez. Jéj rysy zacierają się, oczy gasną, róże z jéj lica znikają razem z życiem. Na wieść jéj śmierci, boleść przeszywa nimfy strumienia Mondego. Potoki łez popłynęły z jéj oczu, i utworzyły przezroczyste źródło, wiekuisty pomnik ich żalu. Zasmucone nimfy nadały mu miano, które nosi dotąd słodkie miano Miłości Inezy. Przechodniu, spojrzyj na tę czystą krynicę: ona skrapia kwiaty, a wody jéj są łzami... To krynica *Miłości* [2])."

---

[1]) Ostatni ten ustęp żywcem przypomina dwuwiersz *Eneidy* (t. II, str. 405—406):

Ad coelum tendens ardentia lumina frustra,
Lumina, nam teneras arcebant vincula palmas.

(Daremnie pałające oczy wznosząc do nieba; oczy, gdyż wątłe ręce węzły uciskały).

[2]) I dziś jeszcze, podróżny idący do miasta Koimbry, zwiedza strumień, który przenosił na swych falach listy, jakie pisała Inez de Castro, do swego królewskiego kochanka: to krynica Miłości, *quinta das lagrymas*. Źródło dziwnie przezroczyste płynie po szarych kamieniach o czerwonych żyłach. Żyła na jednym z nich przedstawia wielką plamę, która, według legendy, ma być krwią ofiary, a długie sploty roślin wodnych jéj włosami płowemi. Źródło ocieniają dotąd też same wspaniałe cedry, które znajdowały się

Ustęp ten, z którego, ażeby nie przedłużać cytaty, usunęliśmy rzewną, przedśmiertną mowę Inezy, daje nam wyborną próbkę opisowości Camoensa. Wszak to proste, a jak pełne treści i uczucia, jak świadczy o prawdziwém i głębokiém przejęciu się autora przedmiotem. Pod względem artystycznym, lubo przekład nasz pozbawiony jest melodyi wiersza oktawowego i naiwności pierwowzoru, czyż może być coś wdzięczniejszego, jak ten ton współczucia, i ta sylwetka osoby, przystrojona w żałobne girlandy kwiatów poetycznych? Inne przedmioty, odmiennéj natury temata, sceny zwłaszcza żeglarskie i bojowe, tak dobrze znane autorowi z doświadczenia osobistego, nie ustępują w odpowiedniéj malowniczości powyższemu obrazkowi, i moglibyśmy dużo kart zapełnić przykładami, bo niewiadomo co wybrać, gdybyśmy chcieli wykazywać, że mu na inwencyi poetyckiéj wcale nie zbywało.

Jak każda epopeja, tak i epopeja Camoensa używa cudowności, albo lepiéj, żywiołu fantastycznego. I wolno to jéj, tak jak i każdemu rodzajowi poezyi, ale pod jednym warunkiem: ażeby cudowność ta nie była wymysłem czczym i luźnym, rzuconym na wiatr w pozaświaty, lecz ażeby stanowiła malowniczą szatę, figurę, interesów ziemskich. Figur takich, jak już mówiliśmy, dużo używał Camoens zapożyczonych od mitologii; tworzył zatém tylko nowe parafrazy dawnego tematu: był tylko półtwórcą. Teraz należałoby zobaczyć go w tym rodzaju, jako całego twórcę. W tym celu musimy znowu podać choć jeden przykład jego opisowości.

Wiadomo nam z pierwotnéj notatki historycznéj, że Gama wtedy otrzymał od króla Emmanuela misyę do prowadzenia daléj odkryć na Oceanie, kiedy już poprzednik jego rozpoznał wzdłuż całe lewe wybrzeże Afryki aż do ostatniego cypla, i teraz należało przerzucić się na drugą stronę ku Wschodowi. Gama z Luzyady płynie więc naprzód drogą utorowaną przez poprzedników, ale nie jest to jeszcze droga tak gładka i dogodna, żeby na niéj nie napotykał przeszkód. Ocean pełen jest bożyszcz zazdrosnych o swe panowanie, które co chwila wyrządzają jakieś psoty, albo i zgubę zaprzysięgają. Ziemie, przy których zarzuca kotwicę, pełne są ludzi podstępnych i nienawistnych, którzy wymyślają zasadzki. Ale wszystko to Gama, przy pomocy swych duchów opiekuńczych, przezwycięża szczęśliwie, i zbliża się pod ten ostatni cypel, na ten ostatni punkt, gdzie poprzednik jego omal życia i floty nie stracił: to przylądek Burz, albo Dobréj-Nadziei, jak go przezwał król. Dotąd więc Gama, pomimo tylu trudności, nie zrobił nic; trzeba przerzucić się daléj. Staje przed nim tajemnica groźna, świat nieznany: nad sobą ma głębię niebios, pod sobą głębię wód; żadnego oparcia, żadnego schronienia, żadnéj świadomości, a tu

tam za czasów Inezy. Po obu stronach ustawione są ławy kamienne, a na głazie, przypartym do jednego z cedrów, wyrżnięty jest napis, zawierający ostatnią strofę opowiadania Camoensa, od słów: „Na wieść o jéj śmierci" i t. d. (Notatka z francuzkiego przekładu *Luzyad*, Lamarre'a str. 394).

trzeba iść naprzód, tam, gdzie żadna istota ludzka nigdy jeszcze dotąd nie postała; zapuszczać się naoślep tam, zkąd może niema powrotu. To chwila najważniejsza, ten pierwszy krok to śmierć albo życie, jedno od drugiego oddzielone włoskiem. Przed nim noc pełna strachów i niebezpieczeństw, w których głowa się zawraca, ale za nim oczekiwanie króla, który mu zaufał, ojczyzny, która mu powierzyła swe dzieci i honor, Europy, która ciekawie wygląda skutków wyprawy: za nim, słowem, zasługa i chwała. Trzeba więc zrobić ten stanowczy krok i rzucić się na głowę w otchłań. Kiedy Gama, jak przypuszczać można postawiwszy się w jego położeniu, waży w sobie myśli podobne, stojąc z flotyllą swą pod przylądkiem Burz, i zwolna przechodzi za jego granice, nagle na Oceanie dzieje się coś dziwnego.

„Morze ponure, opowiada sam Gama (V, str. 38), wydało zdala szelest podobny temu, jaki wydają bałwany rozbijające się o skały. Potężny Boże! zawołałem, jakież to nowe grozi nam nieszczęście? Jakiż dziw przerażający odsłoni nam ten klimat i to morze? To coś więcéj jest, niż burza! Zaledwiem skończył, aliści wychyla się zwolna przed nami widmo straszliwe. Postawa jego jest groźną, wyraz dziki, cera blada, broda gęsta i namulona. Czupryna jego pełna jest ziemi i żwiru; wargi czarne, zęby sine: pod czarnemi brwiami oczy kołują iskrząc. Wzrost jego wysokością dorównywał temu cudownemu kolosowi, który niegdyś stanowił dumę Rodosu a podziw świata. Przemawia: straszliwy głos jego zdaje się wychodzić z otchłani Neptunowych. Na jego widok, na jego dźwięki straszliwe, jeżą się nam włosy, dreszcz zgrozy przejmuje nas i mrozi. „O ludu! woła, najzuchwalszy ze wszystkich ludów! czyż to już niéma żadnéj zagrody, którąby was zatrzymała? Niezmożeni wojownicy, żeglarze niestrudzeni, wy śmiecie zapuszczać się na te niezmierzone morza, których ja jestem wiekuistym stróżem, na te morza święte, których nawa obca nie pokalała nigdy, i do których wnijście wzbronione jest mnie samemu? Wy wydzieracie naturze tajemnice, których dotąd ani nauka, ani geniusz nie mogły z niéj wydobyć! Dobrze więc, odważni śmiertelnicy, dowiedzcież się klęsk, jakie was czekają na téj równinie burzliwéj i na ziemiach dalekich, gdzie zaniesiecie swój szał. Przekleństwo świętokradzkiemu statkowi, który będzie tak śmiałym, by pójść w wasze ślady! Spuszczę z łańcucha przeciwko niemu, uzbroję wiatry i burze!"

I w dalszym ciągu, w podobnym tonie, olbrzym Adamastor w swych groźnych klątwach i przepowiedniach wygłasza wszystkie klęski, jakie istotnie ponosili Portugalczycy w kolei osadnictwa Indyjskiego, aż do czasów Camoensa; a następnie opisuje własne swoje dzieje, w których mitologia z romantyzmem średniowiecznym tak jest splecioną, że przedstawia jednolitą całość. Jestto zatém znowu rzeczywistość dziejowa połączona z fikcyą w opisie nader zajmującym i malowniczym.

Ale nie sama opisowość stanowi tego ustępu zaletę. Zwróćmy uwagę na pomysł, a ten jeden przykład odsłoni nam manierę twór-

czości Camoensa. Jakoż, biorąc rzeczy prozaicznie, by przekroczyć granice drogi mniéj więcéj znanéj z wypraw poprzednich, przerzucić się na wschodni brzeg Afryki, w sfery zupełnie nieznane, nie gotował się Vasco na tę podróż tak, jak na bal dworski. Tysiączne możebności przechodziły mu przez głowę, a on i jego towarzysze, pomimo całéj odwagi, nieraz musieli otrząsać z siebie dreszcz przerażenia, na myśl, co to będzie. Otóż, poeta nie może wszystkich tych prawdopodobnych obaw, postrachów, wątpliwości, jakich każdy człowiek doznaje w podobném położeniu, opisywać według regestru realnego, ale musi je uobrazować. Miałże Camoens, tak jak Wolter w *Henryadzie*, wydobywać szablonowe figury alegoryczne Bojaźni, Ambicyi, Sławy i t. p., które stawają przed bohaterem i prawią mu swoje argumenta? Nie, bo byłaby to nowa proza, zwana abstrakcyą; takich figur może sobie każdy obstalować na urząd, ile mu się podoba. Ale z tém wszystkiém trzebaż przecie koniecznie chwilę tę uwydatnić jakoś odpowiednio do jéj znaczenia, zwrócić na nią uwagę; bo to chwila najważniejsza w życiu i posłannictwie Gamy, tak samo jak w poemacie. Camoens więc ucieleśnia w postaci żywéj, lubo fantastycznéj, wszystko to, co stanowiło wewnętrzne myśli i wzruszenia jego bohatera. Olbrzym Adamastor jest tém wcieleniem, dziwnie zastosowaném do okoliczności: on, istota morska, żeglującym po morzu, staje wobec i z własnego doświadczenia wypowiada perypetye morskie. Postać ta rzuca oświetlenie psychiczne na całą scenę wewnętrzną, jaka niewidzialnie dla oka prostego widza odbywa się w sercach i umysłach działaczów. Gama czuje w sercu wszystko to, co objawia postać i mowa olbrzyma, ale mimo to idzie tam, gdzie go powołuje obowiązek i sława.

Taki sposób ucieleśniania pewnych ważniejszych wzruszeń, *stanowiących* epokę w życiu ludzkiém, *stanowi* właściwość inwencyi Camoensa. W podobnyż sposób uobrazował on owo *nurtowanie*, jakie odbywać się musiało w piersi króla Emmanuela, któremu przodkowie przekazali misyę dalszego prowadzenia odkryć, zostawiwszy je na pół drogi. Waży się on, a skutkiem tego ważenia przychodzi chwila determinacyi. Chwila ta również nie może przejść niepostrzeżenie, bo to chwila, która wyrodziła wszystkie inne w poemacie, ona to powołała Gamę na czoło wyprawy. Poezya nie może powiedzieć poprostu, że król się zdecydował: ona musi wynaleźć to ostatnie podbudzenie, które decyzyę sprowadziło. Otóż, na oczy króla Emmanuela, zstępuje sen nieprzerywający biegu jego myśli i niebawem obrazy prorocze rozwijają się przed nim. Wzrok jego zatapia się w światy nieznane, spogląda na wielkie państwa tajemnicze. Nieopodal od miejsc, kędy powstaje jutrzenka, widzi on z długiego łańcucha gór wytryskujące dwa źródła żywe i obfite, które zdala zdają się zbliżać ku sobie i łączyć. Ptaki drapieżne, zwierzęta dzikie, to jedyne mieszkańce tych gór opustoszałych; lasy nieprzebyte nie dozwalają dostępu ludziom. Dzikość tych miejsc zdaje się świadczyć, że od czasu grzechu Adamowego noga ludzka tam nie postała. Z łona tych wód występują ku

Emmanuelowi dwaj starce, czcigodnéj, ale nieco dzikiéj powierzchowności. Woda opływa po nich, twarz poorana, brody gęste i namulone, głowy uwieńczone dziwnemi gałęźmi, roślinami nieznanemi w Europie. Jeden z nich, z powagą na czole przemawia głosem majestatycznym: „O! ty, któremu niebo przeznaczyło władzę nad Wschodem, panowanie twoje nadeszło. Wkrótce my obaj schylimy przed tobą to czoło, któregośmy nie ugięli pod niczyjém jarzmem. Rozkaż swym wojom, by przybyli odebrać dań od nas. Jam jest Ganges: kolebka moja dotyka nieba, i była ona kolebką pierwszego człowieka; a ten towarzyszący mi starzec, to Indus." Czemże jest ta figura, jeśli nie wiarą króla w powodzenie, która przyśpieszyła chwilę determinacyi.

Gdybyż był Camoens, puściwszy się raz na drogę fikcyi naiwnéj, mniéj zgodnéj już z pojęciami wieku, niż za czasów Danta, poprzestał na tego rodzaju obrazach, wysnutych z fantazyi własnéj lub opartych na spółczesnych wierzeniach ludu, nie udając się wcale o pomoc do mitologii, dzieło jego posiadałoby, oprócz zupełnéj oryginalności, zupełną jedność. Pomimo wszakże braku téj jedności i pewnych uchybień w budowie epickiéj, dzieło Camoensa nie przestaje być znakomitém. Stoi ono w uznaniu świata na równi z *Jerozolimą Wyzwoloną* Tassa, a w uznaniu ściślejszéj krytyki wyżéj od tego poematu, tak pod względem myśli przewodniéj, jako i pod względem inwencyi; w każdym zaś razie ma pierwszeństwo nad *Jerozolimą*, co do czasu. Obie epopeje podobne są do siebie szlachetnością przedmiotu; jak tam tak i tu, cel wielki stanowi ich osnowę. *Jerozolima* jednak przedstawia chwilę zapału, który był zarówno nadzwyczajnym jak jednostronnym. Tasso, prócz tego, używający dużo cudowności i nadzwyczajności, czyni to w części daremnie; jego sceny fantastyczne pisane są same dla siebie i częstokroć niemają znaczenia innego nad prostą awanturę w ładny sposób opowiedzianą, i tylko do scen zaczarowanych z *Tysiąca i jednéj nocy* podobną. Nie będąc sam wreszcie wojakiem, Tasso, mający za główne zadanie opisywać boje, wiodące do zdobycia Grobu Świętego, czyni to w sposób komunalny, domyśla się albo improwizuje, przez co opisy jego nie posiadają téj jędrności konkretnéj, jaka cechuje opisy świadka naocznego, a tém bardziéj uczestnika. Wszystko to naodwrót dzieje się w *Luzyadzie*. Treść jéj, nasamprzód, jest wszystkim epokom wspólną: to sprawa chwały narodowéj i trudów odkrywczych, a zdaje się, że dopóki ludzkość zachowa swój charakter zacny, dopóty dwie te sprawy nie przestaną wzruszać serc i umysłów. Ztąd też z epopei Camoensa nietylko Portugalczyk ma coś do wzięcia; każda natura szlachetna może wyciągnąć z niéj dla siebie karm' ożywczą i wzmacniającą. Z drugiéj strony, co do samego wykonania, jeżeli *Luzyady* nie posiadają takiéj jedności planu jak *Jerozolima* i nie trzymają się tak ściśle w warunkach budowy, jeżeli niemają tyle ruchu i urozmaicenia, jeżeli żywioł niewieści, aż do epizodu wyspy pływającéj, nie upromienia ich tym wdziękiem, który cechuje romantyczne nawskroś dzieło Tassa, zato interes historyczny, szero-

kość idei społeczno-ludzkich, ekspresya istnie męzka w całéj formie poematu, daleko za sobą pozostawiają eleganckie wrotki mistrza włoskiego. Cudowność wprowadzona przez Camoensa, nigdy nie jest luźną, ale zawsze tłómaczy coś ze świata natury lub ducha, jestto poetyczny komentarz lub illustracya; a jego sceny żeglarskie, to istne obrazy, które Francuzi nazywają *genre*, posiadające tyle charakterystycznego wyrazu, że możnaby je z wielkim efektem odrazu przenieść na płótno, gdy z tego rodzaju scen *Jerozolimy*, żaden malarz nicby wyrazistego dla siebie wziąść nie mógł.

Jeżeli *Luzyada* nie stanowi jakiéjś ery poetyckiéj w literaturze powszechnéj, to nietylko dlatego, iż autor ich nie jest geniuszem na równi z Homerem, Dantem lub Getem, ale że i sam rodzaj poezyi nie mieścił żadnego nowego zwrotu. Epopeja renesansowa, była tylko przypomnieniem, nie zaś stwarzaniem, i długo świat czekał, zanim w rodzaj ten nowe życie tchnęli Gete i Mickiewicz, jeden w sielance *Herman i Dorota*, drugi na wyższą skalę w powieści *Pan Tadeusz*, idącéj torem *Odyssei*, a jednak różnéj od niéj o całe niebo i ziemię. Taką epopeję rycerską i obyczajową snuli z siebie częściowo romantycy średniowieczni, tylko nie było między niemi geniusza, któryby te cząstkowe rapsody ogarnął jedném wielkiém natchnieniem i oddał w postaci jednolitego gmachu, jak to uczynił ten, kogo w Grecyi nazywają Homerem. W każdym razie, epopeja Camoensa jest dziełem poetyczném i wysoko narodowém: stanowi ona wielkie archiwum sławy jego ojczyzny, świetności rodów, które na kartach swych dźwignęły gmach społeczny, a całemu światu pozostawia niezapomniany upominek natchnień szlachetnych i trwałych. Mógł téż śmiało o sobie powiedzieć rycerz i bard (t. I, str. 10): „Tak, ja ojczyźnie poświęcam mą lirę. Nie pokaże się to po mnie, ażebym u losu dopominał się za mą pracę nagrody; śmiem oczekiwać jéj od potomności. Chwała temu, rzeknie ona, kto opiewał kolebkę swych ojców!"

SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Emila Castelara [1]).

(Przekład z oryginału hiszpańskiego).

Tom I.

I.

Piękny a poetyczny dzień kwietniowy zaświtał nad przecudną okolicą południowéj krainy. Mgła lekka, pozłocona promieniem pierwszych brzasków jutrzenki, rozpraszała się po szczytach gór okolicznych; rzekłbyś, kadzideł białawy obłok unoszący się pod sklepienia świątyni przyrody. Zpoza tych powiewnych obsłon ukazywało się lazurowe niebo, jasne, przezroczyste; blednące na niém gwiazdy kryły się za różowe obłoczki, jak gdyby za nadejściem dnia ulatywały do Boga,

---

[1]) Nie jestto powszedniém zjawiskiem, aby ludzie systematycznéj nauki, lub mężowie stanu, szukający środków najodpowiedniejszych do sprawiedliwego uregulowania stosunku między prawami władzy a prawami obywateli kraju, poświęcali prace swoje pisaniu powieści. Jakkolwiek bowiem w téj formie pracy literackiéj, wszechwładnéj prawie w naszéj epoce, można i dla tych interesów przedstawić fakta nadzwyczaj wymowne i nauczające, donioślejsze nieraz od uczonych traktatów i „memoryałów" kompetentnych polityków; to z pomiędzy znakomitszych mężów stanu w nowszych czasach odznaczył się najwybitniéj na tém polu tylko lord Beaconsfield, w czasach, kiedy się jeszcze zwał tylko Disraelim.

by nowego zaczerpnąć światła. Błonie pokryte kwieciem strojném w krople rosy, zasiane mnóstwem drzew, których świeżo rozwijające się listeczki zionęły z siebie jakby woń życia; ptaszęta roztwierające skrzydełka ku pierwszym światła promieniom i napełniające powietrze wdzięczném świegotaniem, które tak uroczo rozbrzmiewa po gaju z towarzyszeniem szmeru strumienia, co tysiącami wstęg malowni-

---

Obok niego może zająć poczesne miejsce Emil Castelar, jeden z gorliwszych apostołów formy rządu republikańskiego w Hiszpanii. Castelar urodził się w 1832 r., w Kadyksie. Od r. 1857 wykładał w Uniwersytecie madryckim naukę filozofii i historyi i dał się poznać na katedrze profesorskiéj, jako znakomity estetyk i pełen zapału mówca. Pracę swoję na polu literatury beletrystycznéj rozpoczął Castelar od napisania kilku udatnych noweli, które powszechną na autora zwróciły uwagę. Równocześnie zaś drukował Castelar poważne studya w czasopismach demokratycznych, w których, jak również i w broszurze: *O prawidłach postępu* (*Formula del progresso*), bronił dosyć skutecznie zasad republikańskich, do czego w Hiszpanii niemałéj potrzeba zdolności. Od r. 1864—66 redagował dziennik polityczny: *La democracia*. Po chybioném powstaniu 22 lipca 1866 r., schronił się przed skutkami zapadłego nań wyroku śmierci do Francyi, zkąd po rewolucyi wrześniowéj 1868 r., do Madrytu wróciwszy, doznał nader zaszczytnego przez swoich rodaków przyjęcia. Otoczony powagą tak głośnego i serdecznego zaufania, zwiedzał różne miejscowości Hiszpanii, głosząc wszędzie zasady federalistycznéj Rzeczypospolitéj, jako najodpowiedniejszéj formy rządu dla Hiszpanii. Wybrany deputowanym do Kortezów prawodawczych, zasłynął i na mównicy sejmu narodowego, jako najznakomitszy mówca, pełen wzniosłych idei dobra, prawa, piękna i jako mąż stałych przekonań politycznych. Do zwycięztwa idei równouprawnienia wyznań w Hiszpanii, Castelar może najwięcéj się przyczynił; a że prócz tego chłostał niemiłosiernie egoistyczną politykę generała Prima i zwalczał wszystkie kandydatury do tronu hiszpańskiego bronią przeszywającéj ironii i satyry, pracując zawsze w widokach republikańskich, przeto nie cieszył się sympatyą stronnictw zachowawczych, które, w urazach swoich do Castelara, zadaleko nieraz dochodziły i postać jego zanadto czarno malowały. Znaczenie Castelara dla społeczności hiszpańskiéj na tém głównie polega, że on nietylko zorganizował stronnictwo republikańskie w Hiszpanii, ale potrafił dla niego wywalczyć szacunek w narodzie. Castelar musiał jednak zrobić sam to doświadczenie, że w Hiszpanii niéma jeszcze gruntu dla Rzeczypospolitéj, ponieważ po krótkich dniach jéj panowania, zasiadł znowu król Alfons na tronie Burbonów, a stronnictwo republikańskie zeszło w Kortezach do stronnictwa mniéj wpływowego opozycyi, któréj Castelar jest poważnym, przezornym, jak na temperament hiszpański, umiarkowanym reprezentantem. Powieść niniejsza napisana przez męża bez zaprzeczenia postępowych wyobrażeń, a przedstawiająca nietylko tryumf religii, ale i dobroczynne skutki wiary, może posłużyć za jeden dowód więcéj, że głęboka wiara i religia, pozostaną drogiemi ideałami każdéj podniosłéj duszy i umysłów prawdziwie postępowych.

Redakcya.

czych, roznoszą bez miary i ładu obfite zdrojów zasoby, życie pulsujące we wszelkiém stworzeniu jak krew w namiętném sercu młodzieńca: wszystko to w wiosennéj dobie nadaje przyrodzie podobieństwo do motyla, co budząc się ze snu i więżącą go rozrywając larwę, rozpościera białe skrzydełka upstrzone mnóstwem mieniących się kolorów. A w tém półświetle, w téj woni upajającéj jaką z siebie wydają róże, kwiat pomarańczowy i jaśminy, w tych kwiecistych łożach utworzonych przez drzew gałęzie, w tym muzykalnym koncercie wszechistot, w tém życiu co dyszy w malutkim pączku, w rozwijającym się listku, tkwi dusza niewidzialna, co niby więzień kryje się w każdym szczeblu całéj skali życia; dusza nieświadoma siebie, co jęczy w szumie spadającego deszczu, w łoskocie fali rozbijającéj się na piasku, co zdaje się pragnąć swobody, miłości i błagać człowieka o wyzwolenie: dusza ta jest naszą towarzyszką w samotności na polach. A jeżeli serce które kocha, które marzy o szczęściu, które snuje z siebie czarowną nić złudzeń, które pragnie miłości nie chwilowéj i przemijającéj, lecz miłości wielkiéj, nieskończonéj, nadziemskiéj: jeżeli to serce w podobny poranek bawi się przerabianiem na myśli rozmaitych wrażeń, jakie na niém sprawia przyroda, z niéj ono wysysa słodycz namiętności.

W poranku o którym mowa, na pięknem błoniu, nie było widać żadnéj ludzkiéj istoty prócz młodego dziewczęcia, w stroju wieśniaczek z Sorrentu: ubiór ten zdaje się że od pstrego kwiecia zapożyczył barwy, blasku od fali Śródziemnego morza. Dziewczyna miała płeć śniadą, oczy duże i czarne z wyrazem niewymownéj słodyczy, twarz owalną, któréj wdzięk podwyższały dwa długie sploty kruczych włosów z aksamitnym połyskiem, spływające niedbale z jéj główki, przypominającéj greckie Rafaelowskich dziewic głowy, na spadziste ramiona; stała z rękoma w dół opuszczonemi, snać pogrążona w zachwycie tego rodzaju, co to nawet uderzenia serca powstrzymuje.

Na wzgórku pod rozłożystą lipą, przy zdroju, drobnemi stopkami depcząc młodą trawkę, wśród któréj już się kryły fiołki, dziewczyna z rozkoszą patrzała to na gołąbki które już zaczynały szybować w powietrzu, to na polne lilie wokoło niéj rosnące, to na drżące światło co przedzierało się przez gęstwinę liści rozpraszając mgłę białawą, to znów na morze kołyszące się pod lekkim powiewem, a w srebrnych falach odzwierciadlające miękki blask zorzy porannéj.

Mogliżbyśmy zajrzéć aż w głąb jéj myśli? O czémże myśleć można mając w sercu nadmiar życia, fantazyi, złudzeń? O czém marzy się wobec kwitnącéj przyrody w pięknym i ciepłym poranku wiosennym? Spiew ptastwa zdaje się być miłości hymnem. Gruchanie gołąbków albo turkawek słodką tęsknotę w serce wlewa: ową lubą smętność rozkoszniejszą od szałów radości. Lekka mgła wygląda niby białe rąbki dziewiczéj przyrody, co się strojnie przysłoniła do odebrania najpierwszego pocałunku od swego kochanka—słońca. Białe kwiaty drzew cytrynowych i mirtów, to ślubne wieńce młodéj oblubienicy. Krople rosy co drżąc wiszą na liściach, to są łzy miłości, a balsamiczne zefiry, to

tchnienie ust ukochanych, szepczących słowa wiary, zapału: słowa, co nas jakby na skrzydłach ku lepszym unoszą światom i upajają szczęściem. O! przyrodo! Ten duch rozlany po wszechprzestrzeniach, jestto duch miłości co się odzywa w twoich mistycznych niebiańskich dźwiękach, co światłem swojém ubarwia czarujące twe obrazy!

Miłosne marzenia snujące się po myśli Anieli (takie było imię dziewczyny) rozproszyły się z uderzeniem dzwonu w pobliskiéj kapliczce, podobnie jak ptastwo rozlatuje się spłoszone odgłosem ludzkiéj mowy. Dzwon ten obwieszczał iż rybacy wracali na wybrzeże z sąsiednich wysepek. Niezliczony tłum dzieci i kobiet wyroił się z chatek, z domów rozrzuconych po polu. Wszyscy się radowali. Była to godzina, w któréj widzimy zgromadzone razem wszystkie owoce całotygodniowéj pracy. Prawdziwa zatém radość okraszała ten obraz.

Ileż uroków ma w sobie morze! Kiedy wzrok tonie w nieskończonych jego horyzontach, zdaje się że duch nasz z cielesnych wyzwolony więzów, przebywa w jego falach, zwieńczony w morskie trawy, własném swém tchnieniem marszczy błękitną powierzchnię, a sam się odmładza i pięknieje, jakby przypominając sobie, iż woda od najpierwszych dni stworzenia jest jednym z pierwiastków życia, a była nim bardziéj jeszcze, gdy nowonarodzona ziemia na rozpalone i puste łono swoje przyjmowała ocean, niby chrzest olbrzymi! Oh! morze! tyś dla wszystkich rozkoszne, a tém więcéj dla tych, co od niemowlęctwa na twoich brzegach igrali, i w głosie swym mają coś z twego brzmienia, twoje barwy w swojéj fantazyi, a w myśli coś z twoich ogromów! Niebo przeglądające się w twych wodach, nieskończoność przedstawiająca się w twoich przestworach, światło które oddajesz napowrót słońcu upiększone w twych kryształach, harmonia jaką splatasz z jednotonnego szumu twoich wiatrów wraz z burzliwym fal swoich chórem, gwiazdy które odzwierciedlasz, ciemne lasy które w twoich kryjesz głębiach, dźwięczne echo twoich pieczar chłostanych bezustanném twojém drganiem, wilgotny pocałunek który pieszczone twoje powiewy składają na czole: wszystko to jest w życiu przyrody najbardziéj zbliżoném do duchowego życia, do barw uczucia, do snów wyobraźni, do głębokości myśli, do naszéj nieskończonéj miłości i naszych nieograniczonych nadziei. Kto tylko zbliży się do twoich brzegów, patrzy na bezprzestanne falowanie się wód twoich i słucha głosu, co się podnosi jakby jeden zgodny akord z licznych a przeróżnych twoich tonów; ten niezawodnie zadrży w całém swém jestestwie, i duchem utonie w nieskończoności. Gdy żagiel szeleszcze, gdy fale obijają się o statek, gdy lekki szemrze powiew i pianą okrywa morze; gdy świeci srebrny szlak za łódką, gdy fosfor w wodzie zawarty podrzeźnia bladych gwiazd migotanie: wtedy wśród nocnéj ciszy, człowiek nad niezgłębioną zawieszon otchłanią, od któréj go dzielą kruche tylko deski, musi koniecznie zdawać się sam sobie kapłanem w najogromniejszéj i najgodniejszéj Boga świątyni, jaka na kuli ziemskiéj istnieje.

Jeżeli zawsze tak piękném jest morze, cudniejszém wszakże bywa w téj chwili gdy je ubarwi jutrzenka, gdy tarcza słoneczna wypłynie nad fale, zawieszona pomiędzy dwiema otchłaniami bez granic. O téjto właśnie godzinie przedstawia nam się najpierwsza scena niniejszéj opowieści.

Słońce już zaczynało szkarłatną barwą swoją i czerwonym ogniem rozpłomieniać widnokręgi. Aniela wesoło zbiegła na pobrzeże, a wtém zbliżył się ku niéj urodziwy młodzieniec w schludném ubraniu, jakiego używają marynarze Śródziemnego morza.

— Cóż to się stało że cię tu widzę?—rzekł do niéj—tak rzadko schodzisz na pobrzeże.

— Przyszłam, bo lubię słyszéć szum fali i gwary ludzkie i okrzyki radości.

— Zapewne. Po to tylko mogłaś tu przyjść. Wiadomo że nikt, zgoła nikt nie może zwrócić na siebie twoich oczów, ani poruszyć twego serca.

Na te słowa Aniela łagodnym odpowiedziała uśmiechem.

— Ileżto ja razy—mówił daléj marynarz—zbierałem najpiękniejsze na błoniu kwiaty, najcudniejsze konchy łowiłem siecią w morzu, chcąc je tobie ofiarować; aleś ty o moje upominki nie dbała..... Wszyscy téż powiadają że ty wysoko patrzysz, żeś ambitna.

— Ach! mój dobry Genaro, jakże źle o mnie sądzicie! Nie moja wina że sercu rozkazywać nie mogę.

— Wiesz co, Anielo? powiedz raczéj: nie chcę.

— To prawda, tak, nie chcę; masz słuszność: nie chcę.

Kilka łez stoczyło się po licach dziewczyny.

Łzy te co wbrew jéj woli z oczu jéj się wydobyły, z ogromnego może wytrysły źródła boleści, którego zgłębić myśl ludzka nie byłaby w stanie. Tak sobie wyobraził Genaro i zamilkł.

Po kilku chwilach Aniela podniosła głowę, dumnie nią potrząsnęła, długiém westchnieniem ulżyła piersi, powiodła wzrokiem dokoła, jak gdyby chciała ogarnąć niém wszystko co tam było miłe i piękne. Potém przyjacielskim gestem przywołała ku sobie młode dziewczęta snujące się po brzegu i zaczęła wraz z niemi biegać i bawić się jak one, urągając swoją zwinnością miękkim ruchom fali, która zdawało się, iż zdąża do ucałowania białych ich nóżek.

W téj chwili niktby nie powiedział, iżby w tém sercu gościł choćby cień smutku. Kiedy młoda dziewczyna czatując na chwilkę, gdy fala odpłynęła, lekką stopą deptała po mokrym piasku, a potém uciekała, widząc ją powracającą w stroju z białéj piany na złociste brzegi; rozkoszny to był widok dla patrzącego, albowiem na pobrzeżach Śródziemnego morza jasna niebios pogoda, piękność okolicy i niezrównana krasa uroczych jéj mieszkanek, ten cud sprawiają, iż tam dotąd nie zamarły wspomnienia starożytnego poganizmu, tego święta bez przerwy, i pewien jesteś, iż ci się napowrót zjawiły najady i nereidy odzia-

ne w przezrocze rąbki, strojne w perły świeżo powtykane w miękkie ich warkocze.

Niebawem sprzykrzyła się dziewczętom ta zabawa, bo dusza ich jest jak motyl; niektóre posiadały na aksamitnym kobiercu zielonéj łączki; poranna cisza przy nadchodzącym już upale zdawała się dopraszać o jednę z tych południowych piosenek, rzewnych a tęsknych, które rzekłbyś na to są przeznaczone, by do snu ukołysać przyrodę.

— Zaśpiewaj nam, Anielo—odezwał się jeden głos, a natychmiast za nim wszystkie powtórzyły: „zaśpiewaj! zaśpiewaj!"

Aniela podniosła się jakby natchniona, rękami przesunęła po czole, jak gdyby chciała spędzić z niego czarną smutku chmurę i zaczęła śpiewać. Smętna to była piosenka: niby plusk fali konającéj na piasku, ale tak tkliwa, jak melodyjne tony słowika w gaju. Drżący jéj głos, lecz donośny i czysty, wydawał tony które padały, rzekłbyś jak łzy na serce. Ta pieśń tak rzewna, głos ten srebrny lecz taki smętny, przebijające się w nim boleść bez granic, łzy które napowrót cisnęły się do oczu Anieli: wszystko jawnie wskazywało iż śpiew ten był skargą serca kochającego, cierpiącego i serca które nie znało sztuki, lecz zato posiadało skarb uczucia, to niewyczerpane źródło natchnienia i życia. Jednakże światły badacz byłby coś więcéj odkrył w tym śpiewie: zaprawdę, byłby w tych nieuczonych tonach dostrzegł iskrę duszy znakomitéj artystki.

Aniela śpiewała jak ptaszę w obłokach, bez samopoznania; lecz Bóg w serce jéj złożył tę niebieską arfę co się zwie natchnieniem i która zaczynała pierwsze swoje wydawać dźwięki. Trzeba ją było słyszéć śpiewającą z towarzyszeniem szumu wód, szelestu liści. W pieśniach jéj mieścił się czar tajemniczy, niepojęte harmonie; były to słodkie dźwięki, tony pełne rzewności, wylewy duszy pałającéj miłością. Aniela w istocie była artystką. Pod różowemi skrzydełkami jéj duszy krył się geniusz. Śpiewała nie wiedząc o tém, iż miała w sobie tajemnicze źródła natchnienia i życia. Geniusz zazwyczaj nie miewa świadomości sił swoich. Ztąd téż Grecy, którzy tak przedziwnie umieli kształty ludzkie nadawać ideom, przedstawiali Homera, ten geniusz swojéj ojczyzny, słabym i niewidomym.

II.

Jeszcze powietrze drgało echem tych pełnych uczucia tonów, kiedy małe grono zaczęło się powoli rozchodzić, a oddalając się każda z dziewcząt nuciła sobie rzewną piosnkę Anieli. Ona wróciła do zdroju i usiadła u stóp drzew rozłożystych, chroniąc się w miłym ich cieniu przed coraz większym upałem.

W miarę jak się zwiększało milczenie przyrody, w miarę jak groty słoneczne uciszały morskie tonie i szum wiatru, Anielę ogarniała chęć do śpiewania: zanuciła sobie tęskną dumkę.

Niezwykły szelest przerwał jéj śpiew. Były to szybkie kroki, jak gdyby ktoś biegł w największym pośpiechu.

— A! Edward!—krzyknęła Aniela.

— Ja sam, ja, biegnę do ciebie—odrzekł młodzieniec, po którego ubraniu i całym układzie, poznać można było człowieka należącego do wyższych sfer społeczeństwa.

— A! nie spodziewałam się ciebie!

— Więc zwątpiłaś o mnie?

— Ja? jabym miała zwątpić o tobie? Widzisz że żyję i pytasz mię o to?

— Anielo!...

— Nie, nic nie mów. Ja poprzestaję na tém że o mnie pamiętasz, że raz w tydzień przychodzisz ze mną się zobaczyć. Szczęśliwą jestem kiedy cię widzę, gdyż boleść bez miary jaka mię nawiedza, powiada mi ile cię kocham.

— A ja cię ubóstwiam, Anielo!

— Słuchaj Edwardzie. Przez ciebie ja żyję, przez ciebie śpiewam. Wspomnienie twoje jaśniéj od słońca mi przyświeca. Gdy noc zapada, ja mam światło w oczach, mam światło w duszy, bo w niéj przebywa twoje wspomnienie. A gdyby mi ciebie zabrakło, najjaśniejszy dzień zamieniłby się dla mnie w noc czarną.

— Tyś moją miłością!

— Mnie miłość całą ogarnęła. Mocno w to wierzę, iż jest moją duszą. Przez to uczucie ja na świat patrzę i widzę mnóstwo cudnych mamideł, niby te oto kwiaty, których wonią upajają się motyle... Prawda, Edwardzie, że cię tu głos mój sprowadził? Wszak usłyszałeś moje piosenki?

— Słyszałem już tu dochodząc.

— To dusza moja rozwodziła skargi miłości; to byłam ja sama: ciasno mi było wewnątrz, musiałam wydostać się, lecieć gdzieś w nieskończone przestwory, śpiewać jak skowronek, natchnieniem wzbić się w niebiosy.

— Kochanie moje!

— Twoje kochanie! Powtórz mi to, powtórz! Wiem że jestem kochaniem twojém, lecz potrzebuję usłyszéć to znowu z ust twoich... Czasem gdy zbliżam się do zdroju i słyszę jak tryskające krople miłą tworzą harmonię, zdaje mi się iż powtarzają ton słodki i niebiański wyraz. Ach! kochaj mnie Edwardzie!

— Zawsze... a! zawsze!

— Gdybyś mię przestał kochać... umarłabym. Nie powiadaj mi o tém, oszukuj mię... ach! nie, nie! przebacz mi, nie chcę żebyś mię oszukiwał!

— Na Boga! Anielo!—rzekł wzruszony Edward.

— Masz słuszność. Jestto małoważenie sobie szczęścia! Sama sobie przebaczyć tego nie mogę. Jakaż może mię dręczyć wątpliwość? Mamże jaki powód do cierpienia? Jestem szczęśliwą, najzupełniéj

szczęśliwą. Edwardzie! nie widzę ani jednéj chmurki na mojém niebie.

Edward westchnął i zabierał się do odejścia.

— Już idziesz... odchodzisz tak prędko!... Pojmuję że za wiele wymagam... sama się na siebie za to gniewam, ale...

Po odejściu Edwarda upadła na kolana tonąc we łzach. Aniela kochała całém sercem. Czuła w swém łonie tę namiętność, która jest jakby świtaniem duszy. Kto kocha i wstecznym rzutem oka w przeszłość spojrzy, zdaje mu się niepodobném do wiary, iżby mógł kiedyś żyć, nie kochając. W tych wrzących namiętnościach wiele cierpi, lecz milsze mu to cierpienie aniżeli chłód obojętności. Bo też miłość jakby atmosfera duch nasz wypełnia i jakby słońce rozświeca nasz umysł. Zza przezrocza jéj promieni dusza świat widzi i odgaduje niebo. Czysta miłość jest źródłem cnót wielkich. Życie płynie jak strumień szemrzący, jasny, który daje wzrost kwiatom i w swoich kryształach odbija błękit niebios. I jakżeż można zamącić lub przyćmić czyste zwierciadło, w którém się przegląda droga nam istota? Dusza rozmiłowana upiększa siebie, aby na łonie swojém jakby w świątyni przyjąć istotę którą kocha, którą czci, w któréj wszelkie upatruje doskonałości.

Choćby tylko przez egoizm dusza kochająca będzie miłować dobro. Albowiem dobro ma w sobie siłę uświęcającą. Nietylko upiększa ono ducha, lecz także prześwieca i na zewnątrz ciała. Jestto jakby światło wzrok ożywiające, namaszczające czoło nigdy niezamąconą pogodą. Więc dusza kochająca miłuje dobro jak życie.

Nadto, miłość wielka wyciska na duszy piętno głębokiéj smętności. Zdaje się niemożliwém, aby tyle miłości mogło się pomieścić na ziemi i duch podnosi skrzydła i przebywając przestwory wzlata ku niebu. Zaiste, nieszczęśliwi są ci którzy nigdy nie kochali. Oni zrozumiéć nie potrafią jak słodką jest poezya boleści. Oni się nie zrodzili do szczęścia. Łzy gorące, tłumione westchnienia, godziny smutku, powątpiewania, obawy, wszelka troska i żałość jakie miłość sprawia: wszystko to jest świętém i dobrém, albowiem uczucie zarówno jak myśl są dla nas świadectwem iż żyjemy. A możesz być coś boleśniejszego jak żyć w martwocie? O! to jest zaprawdę największa i najstraszniejsza ze wszystkich katuszy!

III.

Aniela przepędzała dni na marzeniu o swojéj miłości, Patrzéć na spokojne morze, na niebo, na gwiazdy, iść w dzień do zdroju i do ulubionéj groty, w pięknych dumkach wynucić swoje uczucia: oto jakiém było jéj życie.

Dopóki Edward przychodził ją odwiedzać, wszystko dla niéj było miłém. Czas z upodobaniem dzieliła sobie na wspomnienie przeszłych odwiedzin i na przeczuwanie przyszłych. Żadna boleść nie za-

gnieździła się na długo w jéj duszy. Widziała go wszędzie, głos jego jéj towarzyszył, a spojrzenie jego wydawało się jéj gwiazdą jéj życia.

Lecz to co było całém jéj szczęściem, rychło przeminęło. Po jednych odwiedzinach, podczas których wydawał się czulszym niż kiedy, Edward przestał się ukazywać na zwykłém miejscu i o zwykłéj porze. Biedna dziewczyna bezustannie badała wzrokiem widnokrąg. Zrana wstając otwierała okno, aby zobaczyć czy się na morzu nie ukaże oczekiwana łódka ukochanego. Noce przepędzała bezsenne. Szelest liści, szum fali, chód wieśniaka lub marynarza, brzęk owadu albo krzyk nocnego ptaka, wszystkie głosy przyrodzenia, wydawały się jéj złowrogiemi zwiastunami smutnych wiadomości o jéj ukochanym. O świcie szła do zdroju. Suche jéj źrenice dopytywały się u wszystkich przedmiotów o przyczynę nieobecności ukochanego. Wierzyła, iż te nieżywotne istoty które widywały obok niéj Edwarda, biorą teraz udział w jéj trosce. W mniemaniu Anieli, strumyk nie nucił jak dawniéj, ale jęczał; krople rosy zdawały się jéj gorzkiemi łzami; i tak w całéj przyrodzie napotykała dusze współczujące jéj niedolę.

Lecz w miarę upływu czasu, smutek jéj stawał się coraz to głębszym i czuła się bardziéj osamotnioną. We wszelkich naszych pierwszych cierpieniach, wyobrażamy sobie, iż ludzie i natura są z nami; lecz gdy przeminie dzień jeden i drugi, gdy pasmo cierpień snuje się bez końca, a spostrzegamy, iż ludzie obojętnie nas mijają, iż natura swoim trybem odradza się bezprzestannie i zawsze tchnie weselem: wtenczasto boleść do głębi dojmuje i żółcią gorzknie i wpada w smutne osamotnienie rozpaczy.

Aniela, jak bezprzytomna, błąkała się po morskim brzegu. Wieśniaczki plotły sobie tysiące baśni o przyczynach jéj boleści. Czoło jéj i policzki więdły.

Mimo to dziwną jakąś i szczególniejszą własność posiadało nieszczęście, iż w głos jéj większy jeszcze czar wlewało. Gdy w jednéj z owych chwil, kiedy to serce we łzy się roztapia i boleść przybiera pewien odcień tęsknéj rzewności, Aniela śpiewała; wtenczas brzmiała w jéj głosie słodycz niewymowna, jakby smutek jéj był żalem anioła wygnanego z nieba.

Rodzice Anieli pragnęli koniecznie uleczyć ją z tego smutku, który ich niepokoił, martwił i dręczył. A więc matka, z ową macierzyńską umiejętnością wnikania w serca dzieci, zszedłszy ją raz płaczącą przy oknie, zawołała:

— Anielo! czy ty sądzisz, że cię matka twoja nie kocha?

— Oh! nie, moja matko, nie! sądzić, że ty mnie nie kochasz, toby było okropném!

— A więc słuchaj: ja mam przekonanie, że ty mnie nie kochasz. A to nie jest-że okropném? dla mnie? dla matki?

— Ach! jeszcze tę nową boleść niebo na mnie zsyła.

— Tę nową boleść, powiadasz. A więc przyznajesz teraz to, czegoś się zawsze zapierała. Ty cierpisz... a cierpień twoich nie powierzasz matce.

— Ach! jam winna, bardzo winna, ukarz mię... alem ja bardzo nieszczęśliwa!

— A więc opowiedz mi twoje nieszczęście, moje dziecko, opowiedz. Wszakże matki są najwierniejszemi przyjaciółkami swoich córek.

— Nie mogę... słów mi braknie.

— Braknie ci miłości dla matki.

Dziewczyna upadła w objęcia matki, która pocałunkami okrywała blade jéj czoło.

— Anielo, słuchaj mię. Ja wiem, co to jest serce, wszystko, co w pewnym wieku może ono przeboléć. Ale mnie téż boli mocno twój brak zaufania. Alboż nie byłam dla ciebie zawsze kochającą cię nad wszystko matką?

— O, droga matko! to prawda... a więc słuchaj.

Aniela starała się uspokoić i zaczęła swoje opowiadanie:

— Tobie, matko, pamiętne są wydarzenia, które nas z dawnych dostatków i wielkości strąciły w ten smutny upadek, w jakim dziś żyjemy. Ale ja zaledwo sobie coś niecoś przypominam z owych dni pomyślnych; tu mi życie płynęło w słodkim pokoju i w błogiéj ciszy. Lecz niestety! pewnego dnia spotkałam młodego człowieka, który przybył tu z Neapolu. Spojrzał na mnie, ja na niego i wkrótce straciłam go z oczu. Lecz spojrzenie jego dojęło mię aż do głębi serca. Powoli przestawałam o nim myśléć, a jednakże obraz jego snuł mi się przed oczami, jakby widmo nadziei. Niedługo potém znów go zobaczyłam. I odtąd w sercu mojém... oh! matko! w sercu mojém powstało to uczucie, bez którego życie wydaje się jałową pustynią. Mówił zemną... powiedział, że mię kocha... i odtąd ja go pokochałam. Uczucie moje było czyste, lecz wielkie, bez granic... Ostatniego dnia, kiedy go widziałam, wydał mi się bardzo smutnym. Przemówił do mnie słów niewiele, przerywanym głosem. Pragnęłam przeniknąć powód jego smutku, lecz on milczał, nic mi nie powiedział. Spytałam go, czy mię może już nie kocha? On popatrzał na mnie z rozrzewnieniem i wzrok podniósł ku niebu. Oczy moje także tonęły w tych przestworzach, gdzie tkwiło jego spojrzenie. „Patrz, rzekł do mnie, niebo jest błękitne i słońce jasne; jednakże bardzo często niebo się zasępi, przyćmią je czarne chmury, a mimo to słońce świeci tak jasno, tak ogniście, jak wtenczas, kiedy chmur niéma na niebieskiém sklepieniu." Powstał, zabierając się do odejścia. „Powrócisz"? pytałam go. „Powrócę", odrzekł. Lecz mówiąc mi „bądź zdrowa," głos mu uwiązł w gardle, jak gdyby go łzy dławiły.

Od téj chwili zostałam jakby bezprzytomna, pochłonięta smutnemi myślami. Czas jakiś przeminął, on się nie ukazał. Serce mi się rozdzierało. Znowu czas płynął i zawsze to samo, jego jak niéma, tak niéma. O! dopytuję się u wszystkich istot, które były obecne mojemu szczęściu, jaka jest przyczyna jego nieobecności! Oczy mi teraz służą tylko do wylewania łez i do wypatrywania w daleką przestrzeń. W no-

cy snu nie znam. Wszystko, co mię otacza, smutkiem mię przejmuje. Ten zdrój, który był moją rozkoszą, wydaje mi się teraz, że wysechł. Kwiaty nie mają dla mnie zapachu, ani niebo błękitu, ani powietrze świeżości. Boleść wielka, niezmierna, rozpaczliwa, zagnieździła się w mojéj duszy, gdzie przedtém mieścić się mogło tylko uszczęśliwienie i radość. Są chwile, w których pragnęłabym umrzéć. Wczoraj zeszłam w dolinę i wstąpiłam na cmentarz. Widziałam ziemię świeżo skopaną w miejscu, gdzie pochowano moję przyjaciółkę Maryą. Ziemia była wilgotną od rosy, na niéj rosło kilka krzaczków fiołków, a małe ptaszyny zlatywały z wierzb i cyprysów dla spijania kropelek rosy drżących na listkach kwiatków. Ach! powiedziałam sobie, z tych popiołów większy pożytek, aniżeli z mego życia. Dają one wzrost kwiatom, przyjmują w siebie łzę spadłą z nieba, a moje serce oschłe, umysł mój zakrzepły i martwy.

— Ach, Anielo! zabijasz mię!—mówiła matka płacząc gorzkiemi łzami.

— Okrutną jestem—dodała Aniela—uznaję to, lecz nie potrafię rozkazywać moim uczuciom.

— On cię zapomniał. Powiédz to sobie i poddaj się...

— Zapomniał? O nie, nie! gdyby o mnie zapomniał, tobym ja już nie żyła.

— Biédne dziecko! Ty nie wiész, jak silném jest życie, jak bezsilną boleść. Zdaje ci się, że pierwsza kropla połknięta z kielicha goryczy odbierze ci życie. O! do dna go wychylisz i mimo to żyć będziesz!

— Czyż to być może? matko! możnaż żyć z taką boleścią okropną, bez miary, bez końca?

— Boleść hartuje charakter. Podczas gdy pomyślność, uciechy, mają własność osłabiania nas: ból, troska, ukrzepiają nas do życia. Ale posłuchaj mię Anielo. Jam śledziła twoje kroki, wiedziałam o twoich uczuciach, ja czuwałam zawsze nad tobą. Bo matka jest jak Opatrzność, wszędzie i zawsze czuwa nad skarbem swojego serca. Jeżeli ów człowiek, którego pokochałaś, zapomniał o tobie...

— Matko, przez litość, nie mów tego! To byłoby tak okropne!... wolałabym, żeby umarł... Ale nie, nie! niech on żyje! Jeśli o mnie zapomniał, jeśli dobrowolnie odemnie się usunął, jeżeli odrzucił krzyżyk, który mu darowałam, wzgardził kwiatami, które pielęgnowałam dla niego; jeżeli innéj kobiecie powtarza to, co dawniéj mnie mówił, za całą karę niech będzie szczęśliwym, bardzo szczęśliwym: tego pragnę. Ach! jednakże na samą tę myśl rozdziera mi się dusza, serce mi pęka. O! biédna ja, biédna!... Nie, Edward nie żyje! A ja mówiłam mu, że go kocham, przysięgałam mu wieczną miłość! A więc jestem wiarołomną, ja mu się przeniewierzyłam! Edward umarł, a ja żyję!

Biedne dziewczę tonęło we łzach.

— Powiédz mi, Anielo—mówiła znów matka—a gdyby ten człowiek był niegodnym twego przywiązania i gdyby żył? Gdyby zamiast

być wzorem wszelkich doskonałości, jakie w nim uwielbiałaś, był nikczemnikiem?

— I tak kochałabym go. Cóż z tego? Alboż to Bóg odwraca swoje tchnienie od człowieka, który przeciw Bogu zawinił? Miałażby miłość być interesowaném uczuciem? Jabym wszystko w świecie robiła, żeby wlać w niego człowieczą godność, naprowadzić go na drogę cnoty, podźwignąć go z upadku; alebym go kochała: o, tak, kochałabym go do końca życia. Możebym umiała w głębi mego serca ukryć tę miłość, lecz przestać kochać, nigdy! Czy on żyje, czy nie, godnym jest, albo niegodnym, czy mię kocha, lub o miłości swojéj zapomniał, w moich oczach zawsze on pozostanie jedyną istotą, która mi dała poznać ciernie i róże życia.

— Ach! Anielo, kochać w taki sposób jest niedorzecznością, szaleństwem. Kiedyś uznasz to sama. Zdaj się na wolę Bożą. Jestto przestroga, jaką ci daje Opatrzność, abyś nie podnosiła oczu zanadto wysoko dla ciebie.

— Zanadto wysoko dla mnie? co mówisz, matko? Alboż mężczyzna poniża się, kochając kobiétę? Alboż miłość może miéć jaką inną pobudkę, jak popęd uczucia i inny cel, jak szczęście być kochanym?

— Ty nie znasz świata, moje dziecko. Zasłona twojéj niewinności kryje przed tobą jego ułomności. Ja ci powinnam je objawić, ja, com użyła wszystkich wielkości i wszystkich nędz ziemskich. W świecie istnieją dla miłości kategorye. Nie kochają się tam ludzie z popędu serca, lecz ze względów towarzyskiego położenia. Ci wielcy panowie, do których należy twój ukochany, wyobrażają sobie, iż biédna wieśniaczka powinna sobie miéć za największy zaszczyt zostać nie małżonką, lecz ich kochanką.

— Ach! matko! na Boga, nie mów tego!

— Matka twoja zna niebezpieczeństwa, jakie cię otaczają. Wié ona, jak dalece bolesném jest rozdarcie złocistych osłon, które kryją przed nami utrapienia tego świata. Lecz powinność mię do tego zmusza, obowiązek święty. Bóg postawił starość obok młodości, jako księgę doświadczenia, zawsze przed jéj oczyma otwartą.

— Czy to podobna, aby świat był takim!

— Ach! moje dziecię! dla tego, że się niektórym zachciało go naprawiać, żyjesz dziś w téj chatce, dlategośmy biédni.

— Ale zato, matko moja, mamy w sercu prawe uczucia, co więcéj warte od bogactw.

— To prawda. Kiedy słyszę o świtaniu pienie ptasząt, towarzyszące pierwszéj mojéj modlitwie, cieszę się, iż mogę ofiarować Stwórcy moję duszę tak czystą, jak dźwięki przyrody. Gdy się zabieram do moich biédnych zajęć, także się cieszę, iż obrałam prawą drogę, poddając się ubóstwu; bo ileżto niebezpieczeństw na nas czyhało i jak błogo jest dojść do lat dojrzałych, pokonawszy te różnorodne pokusy! Jasność nieba, gwiazdy, fale roztrącające się na piasku, zdrój szemrzą-

cy, woń napełniająca powietrze, starczą na zapełnienie duszy takiém światłem, iż się nie pomni na żadne inne uciechy.

— Lecz zrozumiesz to, matko, iż w moim wieku bardzo smutno widzieć świat pustym, przyrodę bez głosu i bez duszy. Ja jego widziałam w pierwszéj wieczornéj gwiazdce. Jego słyszałam w szeleście listków, wietrzykiem poruszanych. Oddychałam jego tchnieniem w morskich powiewach. Jam we wszelkich dźwiękach przyrody głos jego słyszała. A dziś, osamotniona, oddana na pastwę mojéj boleści, niémam już innego pragnienia, innéj nadziei, jak umrzéć.

IV.

W saméj rzeczy boleść dziewczęcia wzrastała w miarę, jak się przedłużała nieobecność Edwarda. Śniada jéj cera pobladła, blask czarnych oczu zasępiał się i gasł... Z jéj wyobraźni tak żywéj, iż zdawała się miéć więcéj od przyrody barw i światła, opadały listki, jakby z kwiatu przez robactwo toczonego. Z wiązanką zeschłych fijołków w ręku, z oczyma w dal wlepionemi, siedzącą pod drzewem na skale nadmorskiéj, widywano ją każdego popołudnia, smętną, zapłakaną, jakby rozstającą się z życiem, zmartwiałą od bólu, sprawionego przez nieobecność tego, którego kochała.

Ze wszystkich jéj pięknych zdolności pozostał tylko głos, w którym zawsze brzmiały dźwięki téj dziewiczéj przeczystéj duszy. W głosie jéj pozostał czar słodki. Boleść jakoś szczytnie w nim drgała. Tony jego wydawały się niby ostatnie nuty pękającéj lutni, wydającéj jęk smętny i żałosny. I gdy niekiedy w lecie nad wieczorem, przy słabym zaledwie fal szumie, podniosła swój głos rzewny, dźwięki przyrody towarzyszyły do taktu jéj boleściom.

Lecz stopniowo jéj zdrowie się nadwątliło; pulsujące w niéj tak silnie życie zaczynało gasnąć, niby dogorywająca lampa.

Wreszcie pewnego dnia zrozumieli rodzice, iż Aniela może paść ofiarą téj okropnéj boleści i postanowili probować wszelkich sposobów ratunku. Wiedzieli, jak gorąco pragnęła udać się do Neapolu, w przekonaniu, iż tam z pewnością dowié się coś o Edwardzie. Nie było więc innéj rady, jak zgodzić się już na tę wycieczkę. Ażeby w stolicy wyżyć, nie mieli żadnych środków, chyba tylko jałmużną poczciwych ludzi i niezrównany głos Anieli, istnie z niebios płynący. Nakłonili się w końcu do téj ofiary, z wielką boleścią ze strony matki, przeczuwającéj ciężkie dla córki zmartwienia.

Było poranek wrześniowy. Pierwsze brzaski złociły gór szczyty, dalekie krańce widnokręgu i ostatnie linie morza. Rybacy schodzili na pobrzeże, odmawiając Pozdrowienie Anielskie, na które właśnie przedzwaniały kościelne dzwony. Otwarły się drzwi nizkiego domku i ukazała się w nich rozrzewniająca grupa osób. Aniela w szaréj odzieży, z włosami zebranemi pod pewien rodzaj białego czepca, z laseczką w jednéj ręce, z zawiniątkiem w drugiéj, klęczała u stóp matki, która

z załzawionym wzrokiem, z sercem przepełnioném boleścią, składała błogosławieństwo na głowę swego dziecięcia, a tymczasem starzec szlachetnéj postawy, z obliczem wzbudzającém poszanowanie, zabierał podróżne zapasy, a potém ze smutkiem uścisnął małżonkę.

Przeszedłszy pomiędzy skałami, stanęli nad brzegiem morza. Tam czekała na nich łódka z jednym tylko wioślarzem. Byłto Gennaro, ów biédny rybak, który Anielę kochał nad życie. Wsiedli do łodzi: Aniela uklękła i ze złożonemi rękami modliła się, dopóki tylko mogła dojrzéć matkę. Potém jęknęła i głowę opuściła na piersi.

V.

Neapol! A znacież wy brzegi Tyrreńskiego morza? To morze, któremu Grecya powierzała skarby swoich idei, aby je powiewy jego zaniosły na italską ziemię; to morze, w którego falach kąpały się starożytne Italii bóstwa; morze to, które na kwitnące pobrzeże przynosiło echa głosu mistrzów i poetów Aleksandryi: to morze tak cudnie piękne, zachowało dotąd niezakłóconą swoję pogodę, wiekuistą wesołość oblicza i dotąd jeszcze jego przybrzeża zasiane laurami i grobowcami wielkich wieszczów, jak Wergili, Tasso, Petrarka, święcą bez przerwy godowe uroczystości starożytnego poganizmu.

Zatoka Neapolitańska, w kształt amfiteatru wygięta, wygląda jak starożytna świątynia, jak olbrzymie kolizeum, kędy sztuka i natura na wyścigi świąteczne wyprawiają igrzyska. Morze szafirowe, pogodne, lekko się kołysząc pomiędzy kończynami, które jakby się wyciągały w celu utworzenia dlań miękkiego łoża, w swoich cichych falach odbija urocze niebo, śmiejące się wieczném weselem. Ze stoków Wezuwiusza zbiegają wszystkie najpiękniejsze arcydzieła królestwa roślinnego i rozsypują się, wieńcząc pobrzeża: winna latorośl, dźwigająca złociste grona, pomarańczowe i cytrynowe drzewa, balsamiczną wonią buchające z białych kielichów, niby z kadzielnic Wschodu, wierzba, cyprys, mirt, oliwne drzewo, wszystkie te rośliny, które smętną swoją poezyą przypominają niebo, cierpienia geniuszu, a wśród wszystkich tych cudów, otoczon bogactwy życia, niby sułtan w swoim seraju, Neapolitańczyk, miękki, słaby, z piętnem rozkoszy na czole, z obojętnością w oku, jakby jakiś niezmienny bożek, który czując w sobie brak siły twórczéj, rozkoszuje się swojém wiecznotrwałém odrętwieniem, lub szafowaniem tego zdroju życia, który u stóp jego płynie tak czystym i tak obfitym strumieniem.

Otóż w przecudném tém mieście, na tych polach, pokrytych lawą i ruinami, zroszonych krwią tylu pokoleń, polach, które słyszały pieśni Tybullów i Propercyuszów, które dostarczyły wszystkim poetom kwiatów do uwieńczenia swoich kochanek; na tych szczęśliwych i błogosławionych polach, pod cieniem cyprysu lub mirtu, usłyszéć miłosną piosnkę, jest rozkoszą czystą, niewymowną; jestto jakby się kosztowało puharu życia, z którego przyroda swoje pije istnienie. A jeżeli śpiew

ten jest słodkim, jak głos anioła, tchnącym miłością, rzewnym, jeśli wychodzi z ust niezwykłéj kobiéty; jeśli się wznosi ku niebu łzami zroszony, z oddźwiękiem głębokiéj, wielkiéj żałości: głos ten wyda się skargą duszy téj przyrody, lub wspomnieniem owych czasów, kiedy boginie z Olimpu zstępowały na ziemię, rozkochane w jakim szczęsnym śmiertelniku, kiedy Dyanna całowała czoło śpiącego Endymiona i w ślad za nim przez gęste biegała lasy, czuwając nad jego wędrówką.

I otóż właśnie na tém morskiém pobrzeżu, pod gęstemi drzew koronami, Aniela prowadząc za rękę ojca nawpół ociemniałego, rzewną pieśń zaśpiewała. Gromadzili się w około niéj lazaroni i w zachwycie, gdy śpiew się skończył, rzucali po sztuce monety w dłoń biédaka.

Zebrawszy nieco grosza, młoda dziewczyna pogrążyła się w głębokiéj zadumie.

— Dziecko—mówił sędziwy ojciec—trzeba nam wracać! Nic się nie dowiedzieliśmy. Jego tu niéma.

— O! nie, nie wracajmy. Przeczucie mi mówi, że on z pewnością jest w Neapolu.

— Tak prędko zapomniałaś o naszéj miłéj i cichéj zagrodzie?

— Posłuchaj mię drogi ojcze. Ty zanadto tam pracujesz, czas już, abyś zaprzestał téj ciężkiéj pracy. Wy oboje z matką robiliście wszelkie wysilenia, aby dać utrzymanie waszéj córce; teraz ona powinna wypłacić się sowicie. Serce mi powiada, że powinnam zostać w Neapolu.

— Alboż się spodziewasz jeszcze, że jego tu znajdziemy? Gdyby tu był, jużbyśmy go byli napotkali. Wszakże stawaliśmy u bram wszystkich teatrów, byliśmy we wszystkich miejscach przechadzek; wszyscy znajomi lazaroni mają od nas jego rysopis: a nikt, zgoła nikt nie mógł dać nam o nim najmniejszéj wiadomości. Wróćmy! Poco się narażać na większe jeszcze cierpienia?

— Prawda to, prawda. Nie wiemy jego nazwiska. Niéma sposobu, żeby się coś pewnego o nim dowiedzieć. Gdyby przynajmniéj należał do takich, jak my biédaków, szukalibyśmy go po chatkach, w łodziach rybackich, na wybrzeżu i musielibyśmy go znaleźć; lecz on z wielkiego świata, może chorobą złożony w jakim pałacu: jakżebyśmy mogli o nim wiedzieć? O, Boże mój! Boże!

— Drogie dziecko, zapomnij o tém strapieniu, bądź przekonaną, iż jeden jakiś człowiek nie wart tylu łez, które wylewasz. Możeto niewdzięcznik...

— Ja tak myśléć nie mogę. Krzywdziłabym go, a tém samém ubliżałabym saméj sobie. Ja dla tego człowieka zbudowałam świątynią w mojém sercu. I chcesz, abym się tak łatwo skłoniła do uwierzenia, iż on niegodzien mojéj miłości? O! co to, to nie: nigdy, nigdy!

Zaledwie słów tych domówiła Aniela, jeszcze brzmiały w powietrzu, gdy przed jéj oczami przeleciał, jakby zjawisko, powóz odkryty,

a w nim elegancki młodzieniec... bez żadnéj wątpliwości byłto Edward.

Aniela krzyknęła i z otwartemi ramiony poskoczyła ku powozowi, lecz młody człowiek nie widział jéj i jakby na skrzydłach wiatru niesiony, znikł w tumanie kurzawy i straciła go z oczu.

— To on—mówiła Aniela w myśli.—Więc chyba o mnie zapomniał? Dlaczegoż mię nie odwiedził?... Boże mój, Boże, co się zemną dzieje!... Pocóż go ujrzałam?... To był on. Nie omamiło mię złudzenie... Żyje i bawi się! O mnie nie pamięta... Oh nie! on mię zawsze kocha. Gdyby mię nie kochał, jabym nie żyła... Lecz dlaczegoż nie przyszedł?... Ach! jakżem ja samolubna! On żyje, żyje... co za radość! Dzięki Ci Boże, dzięki!

Wtém Aniela gorzkim załkała płaczem i pochyliła głowę na pierś ojca, który łzami zalany, czule ją przyciskał do serca.

Dusza do miłości zrodzona, czysta, jak twórcze tchnienie, promienista, jak światło przedwieczne, dusza, która pamięta o swojéj niebieskiéj ojczyznie, a przychodzi żyć na ziemi ze swoją pierwotną czystością i anielskiemi skłonnościami, na ziemi, wśród ludzi, kędy w brudnym kale najczystsza zagasłaby gwiazda! Kochać idealnie, bez szału zmysłów, kochać z całą mocą, do jakiéj jest zdolną dusza, w któréj się mieści nieskończoność; poświęcać miłości cały ogień młodzieńczego życia, wszystkie myśli i uczucia, które stanowią istność; uważać ukochane serce za jedyny przybytek, w którym się może przytulić dusza w swojém tu pustém wygnaniu; nie widzieć przyrody inaczéj, jak tylko opromienioną jedną myślą; nie pojmować, aby uczucie mogło zagasnąć inaczéj, jak tylko pod tchnieniem śmierci; nie przypuszczać szczęśliwości możliwéj bez téj miłości: jestto bezwątpienia wielkiém szczęściem, bowiem dowodzi, iż dusza, która tak czuć potrafi, należy do wybrańców Bożych.

Lecz z tém uczuciem tak wielkiém chodzić po tak maluczkiéj ziemi, w tym zimnym świecie zatopić ten ogień, od słonecznych gorętszy promieni; w ogniwa czasu zakuć przywiązanie, które jest wiekuistém: to nieszczęście bardzo wielkie—i nieszczęście to stało się udziałem Anieli.

W sercu jéj było coś niebiańskiego. Tylko dusza wyższa mogła czuć namiętność tak czystą, tak tkliwą, tak piękną. Lecz niestety! wielką tę namiętność nosiła po ziemi; sama jéj wielkość musiała być dla niéj udręczeniem; sama jéj idealność czyniła ją niemożliwą. Nie inaczéj poeta śni, wytwarza swoje zmyślenia, a gdy im dał życie i ubrał je w ciało, wnet w oczach jego stają się bezbarwne, bledną i tracą duszę, którą on tchnął w te kształty. Jesteśmy wygnańcami, a pamięć o naszéj ojczyznie jest nam największą katuszą. Lecz doskonalmy nasz żywot, upiększajmy duszę, a wtedy łatwo nam będzie napowrót odnaleźć urocze nieskończoności przystanie, których utratę i oddalenie opłakujemy.

VI.

Powóz Edwarda zapędził się w długi drzew labirynt, skręcił w stronę Neapolu, potoczył się po ulicach miasta i w chwil niewiele stanął przed bramą ustronnego, lecz prześlicznego pałacu.

Edward wysiadł z powozu, jakiś smętny, czy pomieszany, przeszedł przez ogród i natychmiast wszystkie drzwi stawały przed nim otworem, dowolne mu dając wejście, istnie jak gdyby przed dawnym panem domu.

W końcu zatrzymał się w pięknéj komnacie, świccącéj wschodnim przepychem. Ściany pokryte bogatemi makatami, posadzka marmurowa, złocone sufity, liczne tafle zwierciadlane, które stroiąc, przedłużały pokój do nieskończoności; mnóstwo różnobarwnych kwiatów w kosztownych wazonach porcelanowych, zwiastowały, iż było to mieszkanie zamożnéj damy.

W istocie drzwi się otwarły i ukazała się młoda blondynka, omdlewająca, w strojnym białym negliżu i podała młodemu człowiekowi rękę z elegancką wyniosłością, a przenikliwe i dumne spojrzenie utkwiła w jego wzroku.

Po téj niemej scenie nastąpiło milczenie długie, burzą brzemienne. Mówimy o burzy, albowiem po postawie Edwarda, po oddychaniu młodéj kobiéty znać było, iż rozmowa między niemi miała być czémś ważném, uroczystém, stanowczém, lecz przytém może i bolesném.

Wreszcie piękna pani osunęła się na sofę i dała znak Edwardowi, aby zajął miejsce obok niéj. Młodzieniec, jakby nie widział tego gestu, odwrócił się, przysunął krzesło i z uszanowaniem usiadł opodal.

— Pamiętasz pan, coś mi powiedział ostatnią razą?—zaczęła młoda kobiéta.

Edward pochylił głowę na znak potwierdzenia, jakby jakaś ważna myśl odjęła mu mowę.

— Czy pamiętasz pan?—powtórzyła.

— Pamiętam i zawsze to mówię. Kobiéta lepszą jest od mężczyzny, kiedy jest dobrą, lecz jest od niego gorszą, jeżeli jest złą. Kiedy człowiek upadł, mógł być jeszcze dla niego ratunek; kiedy upadł anioł, nic go już podźwignąć nie zdoła z upadku: gdyby Bóg mógł upaść, byłoby to nieszczęściem bez miary.

— Podobają mi się pańskie teologiczne wywody. Cóżem temu winna, że mam gust do tych niezrozumiałych scholastycznych frazesów?

— Bardzo żałuję, żeś pani nie zrozumiała, mimo, że już dwa tygodnie upłynęło od téj ostatniéj chwili, w któréj ten gorzki frazes wyrzekłem.

— Jeżeli gorzki, to pocóżeś pan mnie nim częstował?

— Dla tego, żeś mię pani uczyniła nader nieszczęśliwym.

— Ja? pana? jedynego człowieka, którego ja... wolę nie kończyć.

— A tak! jedynego człowieka, który nie doznał wzgardy od pani —dorzucił Edward z naciskiem pełnym goryczy.

— Panie!—zawołała, zrywając się z siedzenia—panie, pojmuję całą doniosłość pańskich wyrażeń. Wiem, jaką myśl w sobie zawierają. Jesteś niegodziwym, tak, jesteś podłym!... Idź precz ztąd!... O! gdybym nie była kobiétą!

I twarz sobie zakryła rękami.

— Margarito!—zawołał Edward z rozdzierającym jękiem—sądzisz mię więc tak nikczemnym? O! gdyby ta myśl, jaką mi przypisujesz, przemknęła mi się przez głowę, jabym w téj chwili własnemi rękami rozdarł sobie piersi i wyrwał z nich serce i rzuciłbym ci je pod stopy, abyś je zdeptała!

Margarita uspokoiła się.

— Może być, że mylnie sobie wytłómaczyłam pańskie wyrazy, bo...

— Nie miéj mi pani za złe skarg moich i żalów; muszę niemi ulżyć mojéj boleści.

— W istocie, nie rozumiem pana.

— Nie rozumiész pani, że cię kocham?

— Tak?... a!... żegnam pana.

Wstała, drzwi szybko otworzyła i zamknęła je z trzaskiem za sobą. Edward podniósł się, chwiejąc się na nogach, postąpił kilka kroków i upadł na kolana przed zamkniętemi drzwiami.

VII.

Edwarda obłąkał szał zmysłów. Serce jego zaślepione i w obłędzie, staczało się po pochyłości, która go wkrótce miała doprowadzić na dno ciemnéj przepaści. Nie cierpiał on łatwych zdobyczy i dla tego właśnie ubiegał się uparcie o względy téj kobiéty, która nawet mówiąc o kochaniu, nie pomijała wszakże żadnéj sposobności upokorzenia go we własnych jego oczach.

Margarita, dama światowa, pozwalająca sobie wszelkiego rodzaju szaleństw, dla Edwarda powzięła pewien rodzaj skłonności, któréj sama sobie nie mogła nigdy dostatecznie wytłómaczyć. Ona, która lubiła patrzéć na szereg swoich wielbicieli przemijających, jak cienie fantasmagoryi, zmiennych, jak jéj chwilowe miłostki, zatrzymała myśl swoją na tém młodzieńczém czole. Ona, która goniła tylko za uciechami, nie mając najmniejszego poczucia tego co wielkie, trwałe, żadnéj z tych namiętności, które karm dla siebie znajdują w ideach, w duchu, w wewnętrznéj istocie; ona, która się naśmiewała z tych, którzy wymawiali wyraz *miłość*, zaczynała naprawdę kochać Edwarda, jak gdyby słowa młodzieńca otworzyły przed nią świat jakiś nowy, cudowny.

Jednakże była to dusza tak do gruntu skażona, iż nawet godziwe namiętności chciała oddać na posługę swoim fantazyom, lub intrygom. Upadła tak nizko, iż się już podnieść nie mogła z téj kałuży,

chybaby siłą jakiegoś niebiańskiego tchnienia, które na nią natenczas nie wionęło, jakiegoś wielkich cnót przykładu, który w tym razie nie stanął jéj przed oczy.

A nadto Margarita doznała była od pewnego człowieka ciężkiéj wzgardy; rana ta nie mogła się zabliźnić w jéj łonie, a więc na cudzém sercu lubiła mścić się za ból jéj własnemu zadany. W milczeniu trawiła sobie żółć gorzką i gotowała drogi do swojéj pomsty nad tym, który jéj wyrządził zniewagę.

Tymczasem to się stało z Edwardem, iż w myśli jego i sercu zacierały się stopniowo pierwszéj miłości urocze blaski. Pierwsza miłość jest podobnie jak niewinność, błogi stan duszy, który raz stracony, już się nie odzyska; i choć go opłakujemy i pragnęlibyśmy doń powrócić, jednakże gdybyśmy ujrzeli otwartą drogę, cofnęlibyśmy się z trwogą.

Edward bolał nad utratą pierwszych swoich uczuć dla Anieli, a bolał nietyle dla saméj miłości, ile dla udręczeń, jakie dotknęły młodą dziewczynę, przedmiot dawniejszych jego pragnień i marzeń. Lecz kiedy i on podobnież cierpiał, nie odbierając wzajemności od kobiety, którą teraz pokochał, kiedy brnąc przez bagnisko zepsucia nie dostrzegł, aby się gdzie w niém ukrywał, choćby jeden kwiatek, a tylko mnóstwo dotykał cierni, własne jego udręczenia nie zostawiały miejsca na użalanie się nad niedolą Anieli.

O! jakże długą, jak ciężką walkę staczał sam z sobą! To też upadłszy na progu pokoju, w którym się zamknęła Margarita, tak się przeniósł w inne światy, tak głęboko w myślach zatonął, że się nie spostrzegł jak czas upływał, i jak Margarita, wszedłszy innemi drzwiami, przyglądała mu się z szyderczém politowaniem. Lecz tragiczna ta postawa tak była dziwną, iż Margarita nie mogła się powstrzymać i parsknęła głośnym śmiechem.

Młodzieniec wstrząsł się i szybko zerwał się na nogi.

— Cieszysz się pani z mego upokorzenia.

— Doskonałym pan jesteś aktorem.

— To prawda: przyzwyczajasz mię pani do udawania.

— Czyś pan nigdy nie był zakochanym?

— Poco mi pani przypominasz! Jam nikczemny. Kochałem anioła, dziewczę prześliczne, czyste jak niebiosa, żyjące w wiejskiém zaciszu z jedyną myślą o mnie; i ja o niéj zapomniałem, a zapomniałem przez panią!

— Nic mi się w panu tak niepodoba, jak ten sielankowy zachwyt, ta gorączkowa egzaltacya, te wspomnienia miłości podobniejszéj do sennych marzeń, aniżeli do rzeczywistości.

— Tak, było to marzenie, szczęście, któreś mi pani wydarła; sen rozkoszny, z którego bodajbym się nie był obudził, w którym życie przeszłoby mi po kwiatach, a ocknąłbym się z niego w niebie.

— *Per omnia saecula saeculorum*—dodała Margarita.—Lubię w panu ten mistycyzm.

— Margarito!—zawołał Edward ujmując ją silnie za ramię— pastwisz się nademną: dla ciebie to uciechą, że mi się serce krwawi... Margarito! przestań mię nienawidzieć, przestań mię odtrącać... Ja żyć nie mogę bez twojéj miłości! Ja nie jestem już sobą. tyś mi duszę zabrała; gdziekolwiek się obrócę, wszędzie widzę ciebie... Kochaj mię, Margarito! chociażby przez litość: kochaj mię.

— Nie mogę zaprzeczyć, iż są chwile, że muszę uwierzyć panu.

— Wierzysz mi, wierzysz!... a więc odgadujesz ile cierpię! nieprawdaż? Wszakże słyszysz bicie mego serca! Wszak w oku mojém widzisz ogień gorejący w mojéj duszy? Oh, Margarito! gdybyś wiedziała jak cię kocham, nie byłabyś tak okrutną.

— Kochasz mię pan!... Usiądź więc tu obok mnie: proszę.

Edward usiadł i głowę opuścił na piersi, jakby znużony walką. Ożywiło go tchnienie młodéj kobiety, powiewające na jego czoło.

— Kochasz mię pan... chcę wierzyć, potrzebuję w to uwierzyć.

A nie dosyćże pani na moich słowach?

— Nie. Słowa!... Ileżto ich i jak pięknych słyszałam! wierzyłam, że są stałe, niezmienne, a za dotknięciem przemieniły się w dym, w nicość.

— Chcesz pani czynów?

— Tak jest.!

— A więc żądaj po mnie największych ofiar, żebym się wyzuł z majątku i rozdał go biédnym; abym się zaciągnął do wojsk afrykańskich, dla zdobycia nowych krain, w imię Chrześciaństwa; abym wyrzekł się świata, żył na ustroniu... tylko mi przyrzecz, że kiedyś... zasłużę sobie...

Gdy Edward prawił z takiém uniesieniem, Margarita śmiała się do rozpuku.

— Szczerze panu wierzę, że jesteś na złéj drodze. Naczytałeś się romansów do zbytku, i marzysz o rzeczach niepodobnych, a perorujesz tak śmiesznie...

— Pani! dosyć tych bolących sarkazmów!

— A powiadał że mię kocha!—zawołała słodkim i tkliwym głosem.

— A tak, nie kocham, to prawda; nie kocham kiedym jeszcze nie umarł—odrzekł Edward z goryczą.

— Jeżeli mię pan kochasz, to wierzaj mi, że kochasz w sposób nader pospolity.

— To, co ja czuję, nie jest pospolitém: nie może niém być.

— Ale pospolitém jest, okropnie pospolitém, to co pan mówisz.

— Ja nie wiem co mówię, ale wiem jak czuję.

— Aby mi dowieść, jak mię kochasz, ofiarowałeś mi się pan, z praktykowaniem cnót bez liku, miłosierdzia, patryotyzmu, zaparcia się, ofiary... wszystko to są wyrażenia z romansów wzięte. Ja innych chcę dowodów.

— Cóż pani chcesz? mów!

— Czémże jest dla pana zacne postępowanie? wrodzonym popędem. Będąc dobrym, zupełnie dobrym, stać się lepszym nic nie dowodzi. Prawdziwa miłość powinna przeobrazić wszelkie warunki naszego jestestwa, przenieść nas w sferę, z którą zetknięcie się nie przeszło przez głowę. Ofiara z wszystkich rozkoszy ziemskich niéma tu żadnéj wagi. Cóż za wartość mają rozkosze dla tego, który o jednéj tylko marzy, o zatopieniu się w miłości ubóstwianéj kobiéty? Pełnienie cnót nic nie znaczy. Kto posiada czystą i piękną duszę, dla tego dobro jest prawem życia, warunkiem istnienia. Dla dowiedzenia swego zapału trzeba więcéj, nieskończenie więcéj, panie Edwardzie. Zerwać wszystkie warunki, wszystkie prawa życia: to jedyny sposób ujawnienia, iż miłość głębokie korzenie zapuściła w nasze serce.

— Nie rozumiem pani.

— Zaprawdę, nie rozumiesz mię pan, i dlatego mię nie kochasz. Można kochać tylko to, co jest dobrze nam znaném. Otóż więc pan sam utwierdzasz mię w powątpiewaniu, ukazujesz zasadność moich słów. Pan może kochasz we mnie tę zewnętrzną powłokę, te wdzięki mniejsze lub większe, o które ja niewiele dbam; lecz nie kochasz we mnie tego, co jest istotném, niezmiennem, mojego wewnętrznego *ja*; a w niém nie kochasz, nie już dobrych jego zalet, bo te są zawsze godne kochania, ale tego, co najwięcéj pragnę, aby było pokochaném, t. j. moich wad i przywar.

— Panil wad twoich i przywar? ależ ja nie dostrzegam żadnéj.

— Alboż nie mówiłam? Pan sobie zamierzyłeś pobudzać mię bezustannie do śmiechu, i udaje ci się to nad podziw. Właśnie dawałam panu nieoceniony dowód mojéj przychylności, a pan nim pomiatasz bez najmniejszego uwzględnienia. Ja nigdy nie spowiadam się z win moich, jak tylko przed tymi, o których mam przekonanie, iż mię pokochają, pomimo moich wad; lecz pragnę, nie już abyś mię pan kochał pomimo złego, jakie jest we mnie, lecz wraz z tém złem, a nawet dla niego: oto co jest mojém gorącém pragnieniem.

— Będę panią tak kochał, jak sama zechcesz.

— Otóż mówiłam przed chwilą, iż pan winieneś dać mi dowód téj miłości, z którą codziennie tak się przechwalasz, i to nie idąc za dobremi serca popędami, lecz właśnie gwałt im zadając.

— A więc cóż ma być tym dowodem?

— Zbrodnia.

Edward struchlały zakrył sobie twarz rękami. Namiętność jego była silna, gwałtowna, burzliwa; lecz wyraz ten zmroził ją na chwilę, jak gdyby krwi w sercu zabrakło.

Margarita popatrzała nań przez jakiś czas swoim wzrokiem ironicznym, szyderskim, a potém rzekła:

— To rzecz oczywista, iż pan Edward może kochać tylko owe piękności spokojne, ciche, słodkie, poczciwe małżonki, dobre matki rodziny, które są rozkoszą serca dla ludzi z klasy mieszczańskiéj lub

robotniczéj. Oczywiście, nie jesteś pan stworzonym do miłości wielkiéj, namiętnéj, dla któréj miejsce znajduje się tu, w wyższych sferach życia. Nieprawdaż? My nie możemy się zrozumieć? A więc rozstańmy się nazawsze.

Powstała i z dumną postawą zabierała się do odejścia.

— Co? mamy się rozstać? Ach, nie! jam twój niewolnik, rozkazuj! Jam oszalały... nie znam już sam siebie... tyś mi zmysły odebrała.

— Ta groźba natychmiastowéj rozłąki, rozpaliła na nowo w sercu młodzieńca wrzącą namiętność. Margarita ujęła go za rękę: drgnął cały jakby elektrycznem wstrząśnieniem. Niestety! już zdolnym był odbiedz od prawéj drogi, któréj mu zaledwie słabe widniały błyski, i coraz głębiéj grzązł w kałuży złego.

— Mógłbyś się przekonać, Edwardzie—mówiła—iż piękność bardziéj jest olśniewającą, kiedy ją namiętności, walki, niepewność i obawy opromieniają czerwonym blaskiem piekielnych płomieni. I wierz mi, iż tylko wtenczas, gdy zdobędziem hart duszy, dostateczny do spełnienia największych ofiar dla téj, którą kochasz, wtenczas dopiéro usta moje stopią się z twojemi, i miłość bez granic nas zjednoczy.

Edward drżał, jakby pod zaklęciem czarów, ścigał wzrokiem jéj spojrzenie, słuchał uderzeń jéj serca i ślepł od blasku jéj oczów.

— Pani wiesz—rzekł w końcu—iż nie należę do siebie. Wstyd to wyznać, ale ja już niémam mojéj woli, tylko twoją. Przepisuj mi warunki, rozkazuj, a ja będę posłusznym; rozporządzaj mną, bo jestem już bezwiedną machiną... ale Margarito! nie nakazuj mi zbrodni!

— Dziecko jesteś. Ja wiem, że dla mnie radbyś życie oddał.

— Wiesz o tém? i nie masz nademną litości!

— Wiem, iż byłbyś zdolnym do najhazardowniejszych czynów.

— A więc pocóż mię jeszcze dręczysz?

— Ale tego nie wiem, czybyś zdolnym był dla mnie dopuścić się przestępstwa. Nie wiem, czy w dniu, kiedybym ujrzała człowieka, który mię znieważył, który mię zranił, który mię zdeptał, czybym ci mogła powiedzieć: patrz, ten oto człowiek powinien zginąć: ugódź go tym sztyletem w piersi.

I szybko odwróciła się do stolika, otworzyła futeralik, i pokazała sztylet, którego rękojeść wysadzana drogiemi kamieniami, połyskiwała jakby łuska węża przy blasku słonecznych promieni.

— Słuchaj Margarito! Temu człowiekowi, o jakim mówisz, plunąłbym w twarz, a potém biłbym się z nim w śmiertelnym pojedynku, nie dbając, jaki będzie koniec téj walki; bo gdybym zwyciężył, byłabyś pomszczoną; a gdybym został pokonany, ginąłbym dla ciebie: w obu razach byłoby to szczęściem dla mnie.

— Otóż ja ani mogę, ani powinnam, ani chcę się na to zgodzić. Po pierwsze, że taka jest moja fantazya; po drugie, że niemiłoby mi było, gdyby tamten zginął śmiercią honorowego człowieka; a potrzecie, gdyby on pana zabił?... jabym została sama!... Edwardzie!

Wyrazy te wyrzekła takim głosem, tak wymowny wzrok utopiła w oczach Edwarda, iż młodzieńcowi wydało się, że go Margarita naprawdę kocha, i rozkosz niewysławiona uniosła go poza światy, jakby umysł jego popadł w szczególniejsze jakieś obłąkanie.

— Margarito!—zawołał—dla ciebie zdolny jestem do wszystkiego. Jedno jest tylko dobro na świecie, twoja miłość; jedno zło tylko: być odepchniętym przez ciebie. Ach, kochaj mię, Margarito!

— Będę cię kochać, jeżeli uczynisz co powiem. Jutro wydaję bal świetny. Przyjdzie tu ów... ja ci go wskażę, i również wskażę ci miejsce i chwilę, a wtenczas ty mu utopisz w sercu ten sztylet.

— Margarito! o! nie, nie: tego nie żądaj!

Margarita spojrzała nań pogardliwie, z dumą odwróciła głowę i rzekła:

— Ja powiedziałam. Pan słyszałeś! Tu oto masz pan ten sztylet. Albo uczynisz to co mówię, lub od następnego dnia drzwi mego domu będą nazawsze dla pana zamknięte.

Zamilkła i szybko wyszła z pokoju.

VIII.

Nazajutrz wieczorem piękny pałac Margarity czarodziejski przedstawił widok. Zapowiedziany bal odbywał się w obszernych ogrodach téj wspaniałéj posiadłości. Niebo było pogodne, księżyc srebrzystém swém i smętném światłem powlekał drobne obłoczki. Drzewa okryte świeżym kwiatem, jaśniały tysiącem różnokolorowych świateł, ukrytych wśród gęstego liścia, i rozlewających tajemnicze jakieś odblaski. Wodotryski srebrnemi kolumnami biły ku niebiosom, a opadając rozdrabniały tych przeróżnych świateł promienie, pochwycone w miliony płynnych perełek. Piękne wazony, zawierające najrzadszy dobór kwiatów, ujęte w złociste sieci ptaszki, które biorąc za dzienne światło tę jasność i piękność owego wieczoru, słodkiém świegotaniem wtórowały muzyce, rozlewającéj fale harmonii w przestrzeni, wszystko to dodawało czaru edeńskim tym ogrodom.

Wśród tylu kwiatów i fontan, wokoło tych pięknych świateł, brakowało motylów: i wkrótce téż ogród napełnił się pięknościami, które na téj pogańskiéj ziemicy zawsze urokiem swoim przypominać będą wdzięki olimpijskich bogiń.

Skoro tylko zaczęli się schodzić goście, ukazała się Margarita. Wyglądała prześlicznie. W kosztownéj sukni białéj, na głowie miała kilka róż świeżych, pomieszanych z drobnemi brylancikami, wydającemi się jakby krople rosy, tkwiące w jedwabnych jéj warkoczach; ręce obnażone do ramion, równie jak utoczone popiersie i szyję: w całym stroju potrafiła połączyć przepych ze smakowną elegancyą.

Witała wszystkich, miłe słówko rzuciła każdemu. Między innymi przybliżył się młody człowiek, bardzo przystojny, dystyngowa-

néj postawy i wytwornego obejścia. Margarita przystanęła i dłuższą chwilę z nim rozmawiała.

— Przekonywam się, iż pani zawsze masz w sercu do mnie urazę—mówił ujmując ją za rękę. To niesłusznie, nie moja wina, że...

Margarita pobladła jak śmierć, silnie ścisnęła dłoń jego i rzekła:

— A, pan jesteś okrutny... po co budzić te wspomnienie... żem ja była słabą, a pan bez serca... chcesz mię zawsze tylko upokarzać!

— Nie, pani, ja chciałem panią uczynić dobrą, chciałem, byś prawdziwą miłość pojęła... lecz widzę, że już nie czas na to.

Na te słowa Margarita wzdrygnęła się i głosem słumionym, przerywanym od silnego wzruszenia, odrzekła:

— Tak, już nie czas... Może wkrótce wieczność rozdzieli nas przepaścią.

— Cóżto? czy pani masz zamiar umrzéć niebawem?

Zbliżenie się kilku zaproszonych gości przerwało wątek dalszéj rozmowy. Znajdował się pomiędzy nimi i Edward. Były to jedne z najprzykrzejszych chwil w jego życiu. Ta, którą uwielbiał, o któréj śnił, dla któréj oddychał, chodziła od jednego grona do drugiego, zbierając obfite pochlebstw plony, słuchając wyznań mniéj lub więcéj czułych, królując nad sercami wszystkich, i rozmarzona zabawą, upojona pychą, ani sobie przypomniała o kochanku, który śledził za nią smętném okiem, tłumiąc w sercu żal gorzki.

Kiedy już wiele upłynęło czasu, kiedy bal znajdował się już w tym peryodzie, w którym nikt o nikim nie pamięta, bo każdy zatopił całą uwagę albo w zabawie, albo w osobie, która mu myśl zaprzątała, lub téż w swojéj parze, z którą rozmawiał albo tańczył; Edward mocno rozżalony usunął się w kąt ogrodu, i usiadł pod grupą akacyi, których splątane gałęzie tworzyły rodzaj altany. Na czoło mu spadały kwiaty z drzew, otrząsane wiaterkiem powiewającym od morza, które widniało wdali, lśniące od księżycowych promieni.

Edward smutnie rozmyślał nad szczęśliwością stworzeń nieżywotnych. O ileż szczęśliwszém, mówił sobie, jest życie ulegające bezwiednie nieznanemu sobie prawu! kwiat ten, spadający z gałęzi, na któréj tkwił, nic nie cierpi; a nawet ten błyszczący robaczek, żyjący tu bezmyślnie pod listkiem; i wszystko, a wszystko, co na tym świecie nie obdarzone wolną wolą, ani samopoznaniem, o ileż szczęśliwszém jest od człowieka, którego sumienie służy mu tylko do wykazania jego nędzoty, którego wolna wola jest wieczném a okropném bojowaniem.

Wśród tych rozmyślań uczuł na ramieniu dotknięcie lekkiéj dłoni. Szybko się odwrócił i w zachwycie, jak odurzony, patrzał na stojącą przed nim Margaritę. Zapachy kwiatów, powiew wietrzyku, głosy i szepty napełniające atmosferę, zamęt balowy, melodyjne brzmienie muzyki, szał ogarniający wszystkie serca, niezliczone mary, niby rój motylów, przelatające mu po myśli, wszystko co mu się snuło przed oczyma i w głowie: obałamucało go do reszty i rozżarzało jego namiętność.

— Zapomniałeś o mnie, Edwardzie?—mówiła Margarita słodkim głosem i z miękką czułością.

— Pani mię o to pytasz? Ja tam ciągle byłem, goniąc wzrokiem za tobą, gdziekolwiek się obróciłaś. Patrzałem, jak się pani bawiłaś, liczyłem ile rąk trzymało cię w objęciu do ochoczych tańców, słyszałem wyrazy, które ci mówiono i te, któremi odpowiadałaś, wyrazy straszne, spadające mi na serce, jak krople roztopionego ołowiu.

— Edwardzie, muszę ci już wszystko powiedzieć, gdyż widzę, iż zanadto cierpisz, a ja chcę żebyś był szczęśliwym. A musisz być szczęśliwym ze mną, bo ja cię kochać będę całą moją ognistą duszą, zdala od światowego zgiełku, na ustroniu, w samotności, gdzie sobie będziemy żyć tylko sami, we dwoje, gdzie wszystko będzie uciechą, miłością, rozkoszą; gdzie złączeni uściskiem, patrzéć będziemy na czas upływający jak cichy strumień, niepomni na wczoraj ani na jutro, a tylko na obecną chwilę szczęścia, która się może przedłużyć do nieskończoności...

Gdy to mówiła, z oczu jéj tryskał na Edwarda ogień namiętny, drobne jéj rączki drżąc tuliły się w jego dłoni, a oddech jéj, niby upajająca woń świeżo rozkwitłéj róży, wionął aż na usta biédaka, który onieprzytomniony, pożerany żądzą, przesuwał sobie rękę po czole, jakby dla przekonania się, iż nie jest snu igraszką, albowiem podobnych wyrazów nie słyszał nigdy z ust Margarity, téj właśnie kobiety, za któréj miłość oddałby życie.

— Nic mi nie mówisz?—zawołała po kilku chwilach, puszczając jego rękę, jakby w uczuciu żalu i zwątpienia.

— Nic ci nie mówię! Alboż ci nie mówi do ciebie to serce, które mi chce wyskoczyć z piersi, wzburzone niewypowiedzianą radością?

Gorąco pochwycił jéj rękę i położył ją na swojém sercu, jakby odchodząc od zmysłów i szalejący tém szczęściem, które go ogarnęło, szczęściem tak niespodziewaném, iż mu się wydawało snem czy złudą.

— Ale, Edwardzie, jak ci już nieraz mówiłam, nie mogę wierzyć w twoję miłość, w to uczucie, które mi przedstawiasz tak potężném i tkliwém, jeżeli dowód stanowczy, nadzwyczajny nie utwierdzi we mnie téj wiary.

— Jakiegoż jeszcze chcesz dowodu?

— Patrz na te drzwi otwarte; widzisz tego mężczyznę czarno ubranego, który wszedł niemi i idzie po wschodach? On uczuł potrzebę snu, wejdzie na górę do salonu i wnet uśnie. Ja wracam do gości, a zanim prześpiewam aryą z *Lukrecyi*, człowiek ten powinien zginąć z twojéj ręki.

— Margarito!—wykrzyknął z rozdzierającym jękiem—chcesz-że wprowadzić szatana zbrodni i hańby do raju naszéj miłości?

— Ha! poznałam pana!—odparła ze złością kobieta.—Idź pan sobie precz. Nie chcę już znać pana, idź: precz ztąd!... Zbrodniał hańbał... Ten oto człowiek popełnił zbrodnię, a jam jéj ofiarą. On mię zhańbił, cześć mi wydarł, a potém mną wzgardził. On nikczem-

nie wyłudził ze mnie pierwsze wrażenie miłości, które dla ciebie były przeznaczone... a potém pogardę cisnął mi w oczy! A teraz, kiedy ja domagam się pomsty, kiedy pragnę byś mu ten sztylet, niegdyś dar jego, utopił w zdradzieckiém jego sercu, ty mię odbiegasz, i zostawiasz mię niepomszczoną!

— Margarito! przez litość!—wołał Edward.

— A ja już wszystko miałam przygotowane do ucieczki i dlatego tylko nie jestem już w téj chwili wraz z tobą, daleko od Neapolu, iż spodziewałam się, że dzisiejszéj nocy przyświecać mi będzie krwawa pomsty łuna; a potém, myślałam sobie, że popłyniemy zatoką przy świetle księżyca, sami tylko z naszą miłością, a gdy nas wiatr zapędzi na pobrzeża Sycylii, ztamtąd ujdziemy w dalsze jeszcze strony; myślałam o tém, jak ci wszystko powiem co czuję, jak oddam ci całe moje serce, poprzysięgnę ci wiekuistą bez granic miłość, źródło niepojętych rozkoszy...

Edward przystąpił do Margarity, przycisnął ją do serca, gorący pocałunek złożył na jéj ustach, wziął sztylet błyszczący w jéj ręku, i szybkim krokiem biegł ku marmurowym wschodom, które z ogrodu prowadziły do górnych apartamentów pałacu.

Młoda kobiéta stała patrząc za nim, potém rozśmiała się szatańskim śmiechem i wyrzekła te słowa:

— Ha! przecież więc jestem pomszczoną!

I wolno, ze szczególniejszym chłodem, wracała do swoich gości, i rozmawiała ze wszystkiemi tak obojętnie i spokojnie, jak gdyby nie czuła najmniejszego wzruszenia.

Pomówiwszy z tym i z owym, poszła usiąść obok dwu młodych panien, gawędzących na osobności, i tak z niemi rozpoczęła rozmowę:

— Nie jestem w stanie zachować zupełnéj tajemnicy. Cięży mi na sercu, i chociaż przez to osłabię wrażenie, o jakie mi chodziło, muszę jednak wam powiedzieć, jaką przygotowałam niespodziankę... wszakże pod warunkiem, iż ze mnie nie weźmiecie przykładu i nie powtórzycie przed nikiem, ale to zgoła przed nikim tego, co ja wam powiem pod wielkim sekretem. Czy nie słyszałyście przypadkiem o pewnéj młodéj dziewczynie, która ma głos przecudowny i śpiewa jak aniołowie w niebie?

— O, tak—odpowiedziała jedna z panien—mówiono nam, że to dziw nad dziwy, że w zachwyt wprawia wszystkich, którzy ją słyszą; że chodzi z biednym staruszkiem po ulicach, i śpiewa tylko raz na dzień, żeby zebrać grosz potrzebny do wyżywienia się. Oh! żeby to ją można usłyszéć.

— Otóż z opisu tego widzę, że to z pewnością ta sama—odrzekła Margarita. A do tego jest prześliczna. Ona będzie tu dziś śpiewać. Ale koniecznie chciała żeby ją samą z ojcem zostawić w którym kiosku i że ztamtąd da nam usłyszéć swój śpiew, gdyż nie życzy sobie prezentować się w towarzystwie: a że to jeszcze doda uroku niespodziance, przeto nie wahałam się z przyrzeczeniem zastosowania się do jéj woli w tym względzie.

— A toś wybornie uczyniła — ozwały się razem obie panny.

— Jak tylko ja skończę moję aryą z *Lukrecyi Borgia*, natychmiast ona zacznie swoję pieśń: tak zostało umówioném między nami.

Gdy to się dzieje w ogrodzie, cóż się tymczasem stało z Edwardem? Skoro miłość nie trzymając się pewnéj miary zaczyna krew rozpłomieniać, wtedy zwykła ona upajać jak wino. W Edwardzie dwukrotnie już zbudziło się uczucie miłości dla dwu całkiem różnych przedmiotów. Stojąc jeszcze na progu niewinności pokochał Anielę uczuciem czystém, niewymownem. Była to miłość duszy bez żadnéj przymieszki skażenia; piękną była i niewinną jak motyl, jak kwiat, jak kropla rosy, albowiem niewinność jest wiosną życia i jak wiosna przedstawia życie w kwitnieniu, z całą pierwotną czystością, jaką w nie wlał Stwórca. Miłość ta była aniołem stróżem, który białemi skrzydły osłaniał marzenia jego, i cnoty, i ułudy, i wszystko co jest duchowém, boskiem. To też dopóki to uczucie w piersi Edwarda gościło, dopóty życie płynęło mu jak strumień wśród kwiecia, z odbiciem nieba na dnie.

Lecz przyszedł dzień w którym obudziły się zmysły, a gdy życie straciło właściwą równowagę, zmysły porwały za sobą duszę. Edward poznał Margaritę i pokochał ją, lecz miłością gwałtowną, burzliwą, gorączkową, miłością zmysłową. Trafił na opór, a opór zacięty, wytrwały; napotkał także niedowierzania, obawy w sercu Margarity, do którego jednak inni łatwy znajdowali przystęp i szał żądzy wprowadził go w obłęd, zacierając w nim poczucie własnéj duszy i pamięć o dawnéj miłości.

Przy téj namiętności serce paliło się jak ogień, lecz właśnie dlatego samego, lada chwila mogło się rozsypać w popiół, rozwiać dymem. Zato uczucie jakiego doznał dla Anieli, pomimo tak długiego zapomnienia, świeciło tak jak słońce świeci nawet wtenczas, kiedy noc zapadnie.

Ale to światło przeczyste skryło przed nim swe promienie. W duszy więc jego była tylko noc ciemna i posępna burza. Miłość szalona, dzika, wiodła go jakby za rękę do zguby. Dobre namiętności łagodnie kierują krokami człowieka na drodze jego żywota, albowiem dusza bez namiętności byłaby jak gwiazda bez światła. Lecz namiętności niegodne muszą zwichnąć życie, zamącić i zbrudzić jasne i czyste jego źródła.

W Edwarda uszach brzmiały jeszcze namiętne słowa Margarity, głowę mu zawracał odmalowany przez nią obraz rozkosznéj przyszłości, któréj on tak gorączkowo pożądał; rozpłomieniał go otrzymany pocałunek za którym gonił od tak dawna, bodły go żądze i pragnienia i w chwilach tych nie słyszał nic oprócz szturmu wewnętrznéj burzy, i nic nie czuł oprócz palącego krwi wrzenia.

A więc biegł do salonu gdzie się znajdował ów młody człowiek, przez Margaritę mu wskazany. Ten wszedłszy, rzucił się na sofę, mówiąc do siebie: „nie pojmuję co mi się stało? sen mię tak moży, nogi się podemną chwieją, muszę spocząć.” I po krótkiéj chwili, chociaż

mężnie walczył ze snem, silił się powstać i przecierał oczy, jednakże zasnął głęboko.

Wtenczas wszedł Edward i stanął patrząc nań milczący, jak gdyby rozważał następstwa niegodnego czynu, do którego parły go rozhukane i szalone namiętności.

Mam zabić człowieka—mówił sobie.—Zabiję go z zimną krwią. Cóż się ze mną stało? czybym to był dawniéj potrafił...? Ha! ta kobieta, ta kobieta przeobraziła we mnie całą istotę. Pod jéj wpływem jedynie dziś żyję, czuję, patrzę; dla jéj pocałunku byłbym oddał wszystko czém jestem; dlaczegóż otrzymawszy go, niémam jéj poświęcić mojéj duszy? Więc popełnię zbrodnię... a tak, przecież to zbrodnia... a więc w mojém sumieniu zatarły się pojęcia tego co jest sprawiedliwém i godziwém? Niestety! w duszy mojéj rozwielmożniła się jedna tylko myśl, jedna ją tylko zajmuje żądza: odnieść zwycięztwo nad tą kobietą. Widzieć ją rozkochaną w moich objęciach, to jedyny cel moich pragnień, jedyna myśl która aż do głębi nurtuje całą moję istotę. Zdaje się jak gdyby ta miłość serce mi wydzierała, rozszarpywała mi wnętrzności paląc je piekielnemi kleszczami. Wszystkie te katusze, wszystkie te bóle mogą się uspokoić tylko w dniu, kiedy ta kobieta będzie do mnie należéć; kiedy ta kobieta chodząc za mną, będzie żebrać mego spojrzenia, jak dziś ja, niby pijany za nią się włóczę i cierpiéć tę niewypowiedzianą męczarnię, jakiéj ja dziś doznaję. Dla dojścia do tego celu nie wolnoż mi zdeptać na mojéj drodze człowieka? Wszakże najmniejsze nasze zachcenie kosztuje życie tysiąca istot. Karmimy się śmiercią. Okrywamy ciało nasze kosztem wszelkiego rodzaju stworzeń. W kropli wody którą gasimy nasze pragnienie, niszczymy miryady istotek. Jeżeli więc na wszystkie strony zostawiamy ślady zniszczenia, zaguby, śmierci, nie wolnoż nam uprzątnąć z drogi człowieka, który nam zawadza? Ach! ależ ja go nie znam.. czyż on mi co zawinił?...

Podczas gdy te myśli krzyżowały się z sobą w głowie Edwarda, z ogrodu rozległy się namiętne tony *Lukrecyi Borgia*, śpiewanéj przez Margaritę. Zadrżał, a potém długo, długo stał jak odurzony... wreszcie jakby się ocknął ze snu:

— Ha! to sygnał! to hasło do zbrodni!... Wszakże człowiek ten posiadł miłość kobiéty, która mnie do obłędu doprowadza; on osiągnął ten ogrom szczęścia, którego ja pożądam i teraz jeszcze może mi urąga we śnie! Niech więc ginie; tak, niech ginie, skoro mi jest zawadą do szczęścia!

Kończąc te słowa wzniósł sztylet do góry i szedł ku sofie gdzie ofiara jego spoczywała snem ujęta.

Lecz w téjże chwili śpiew ustał i natychmiast dał się słyszéć głos słodki, rzewny, jakby pienie anielskie, płynące z niebiańskiéj krainy, muzyka nieznana uszom śmiertelników, która pochłania duszę, myśl porywa. Tony te padały na serce jak rosa na kwiaty i rozlewały słodką tęsknotę, tęsknotę, jaką tylko sprawiedliwym dano jest uczuć, a którą jeden z poetów nazwał *nostalgią nieba*...

Na pierwsze dźwięki tego głosu Edward chwilkę przystanął, lecz wnet się cofnął skoro się pieśń rozbrzmiała w przestrzeni. Potém cisnął sztylet i machinalnie otwarłszy okno, z upojeniem wdychał w siebie wionące nań powietrze namaszczone tym cudownym śpiewem. Cała jego istota, przed niewielą chwil wzburzona jak morze rozkołysane i zmącone wichrem, zaczynała się uspokajać i powoli stawała się jak morze w ciszy, odbijające w sobie gwiazdy na niebie. Nie śmiał oddychać, tak był oczarowany i zachwycony. Zaiste, dusza ma skrzydła, a ma je na to, by do Stwórcy wzlatać. Kiedy na te skrzydła spadnie ziemskie błoto, stają się one tak ociężałe, iż niezdolne są podźwignąć się a tém mniéj szybować górnie; lecz uniesione niebiańskim podmuchem, znowuż na szlak swój trafiają i niosą nas w nieskończoność, która jest naszą ojczyzną, która jest ogniskiem dusz naszych. Tak téż w stanowczéj owéj chwili dźwignęła się dusza Edwarda, i otrząsając z siebie pył ziemski, ulatywała ku przewodniéj gwiaździe życia, stałéj i wiekuistéj. Któż z nas nie doznał kiedy, choćby raz w życiu, tych tajemniczych a dziwnych zachwytów?

Już nawet zamilkł ten śpiew czarujący, a Edward stał jeszcze u okna, tonąc w głębokiéj zadumie. Lecz nagle nowa myśl w nim się ocknęła: „ten głos mi znajomy! o! tak, ja już go kiedyś słyszałem!"

I stanęło mu przed oczyma wyobraźni wspomnienie owych dni błogich czystéj miłości, obok obrazu Anieli. I widział morze spokojne, pogodne niebo, pobrzeże drzewami strojne a kwiaty motylami; wieżyczkę wiejskiéj dzwonnicy rysującą się na tle błękitów i białe żagle wzdęte wietrzykiem jak jego serce radością, i rozkoszne wierzby, które lekko się kołysząc, jęczały jak gdyby w nich tkwiła jaka uwięziona dusza i u stóp ich zdrój ukryty, a obok zdroju i pod wierzb cieniem białe gołębie, dziobiące ziarnka złociste, które w stulonéj dłoni trzyma jasny anioł najpierwszéj jego miłości.

I wtenczas gorąco zapragnął ujrzéć Anielę, dopytać się zkąd głos ten wychodził i upaść na kolana przed tą istotą, która go odwiodła od zbrodni, któréj zawdzięczał widzenie raju niewinności...

Schodząc na dół spostrzegł iż ostątni goście już się rozchodzili, że już dogorywały światła w ogrodzie... a wtém Margarita ujęła go za rękę, mówiąc:

— Uchodźmy! uchodźmy!

— A dokądże to mamy uchodzić?—odrzekł Edward.

— Tam gdzie nas szczęście czeka.

— Szczęście! O! ja tylko wtedy nazwę się szczęśliwym, gdy ujrzę błogosławioną istotę któréj pieśń usłyszałem: tę pieśń co mnie odwiodła od zbrodni, tę pieśń przypominającą mi...

Nie domówił tych wyrazów, gdy na marmurowych wschodach ukazał się ów młody człowiek; w ręku niósł sztylet i obracając się do Margarity, zawołał:

— Zwracam pani ten sztylet; budząc się znalazłem go przy moich nogach. Zachowaj go pani; to jest ten sam który niegdyś pani ofiarowałem, jako wierny symbol jéj błyskotliwéj miłości.

Następnie skłonił się Edwardowi i wyszedł z ogrodu, gdzie już się zrobiło pusto; oświecały go już tylko mdłe promienie księżyca zagasające przy pierwszych brzaskach rannego świtania.

— Edwardzie! więc mną pogardziłeś! nieskazitelność twoją przeniosłeś nad moję miłość? O! ja nieszczęśliwa!

— Gdzie jest ta kobiéta która tu śpiewała, a raczéj ten anioł? gdzie?

— Już odeszła.

— Ach! to ona!

— Jaka ona? Czy przez sen mówisz?

— Dokąd poszła?

— Nie wiem.

— Dawno?

— Niezbyt dawno.

— W którą stronę?

— Ku wybrzeżom.

Edward nie żegnając się z Margaritą, odurzony nawałem tłoczących się uczuć i myśli, wypadł na ulicę i biegł przez miasto, nie zastanawiając się nad niedokładnością danych mu przez Margaritę wskazówek, ani nad niepodobieństwem napotkania młodéj dziewczyny o téj godzinie.

IX.

Widok wrażenia jakie głos młodéj śpiewaczki sprawił na Edwardzie, otworzył Margaricie ozy na stan jéj serca. Fantastyczka, niedbale wychowana a obdarzona wielkiemi zdolnościami, nawykła do walk namiętnych, moralnie skażona do gruntu, bystra, mściwa, przyzwyczajona do zwycięztw nad nieprzyjaciołmi, chciała rękami najuleglejszego ze swych niewolników pomścić się za zniewagę wyrządzoną jéj miłości przez najwynioślejszego z jéj wielbicieli.

Lecz widząc iż nie miała nad sercem tego niewolnika władzy wystarczającéj do nakłonienia go do zbrodni, widząc iż ta jego miłość tak gorąca, wytrwała i uległa, w jednéj chwili przygasła na dźwięk czyjegoś głosu, Margarita uczuła w sercu ostre żądło wielkiéj namiętności: uczuła, iż kocha Edwarda. Nie wątpiąc bynajmniéj, iż miała pod ręką przedmiot jego pierwszéj miłości, zwróciła swe kroki do kiosku, położonego na samym końcu ogrodu.

— Pozwólcie mi, staruszku—rzekła do ojca Anieli—pomówić kilka chwil na osobności z waszą córką.

I zabrała ją z sobą w inną stronę ogrodu. Księżyc oświecając blade lica Anieli, zwiększał jéj bladość i urok jéj wdzięku. Patrząc

na nią Margarita płonęła straszną zazdrością; tak, zazdrością o człowieka, którym niedawno pogardzała i wyśmiewała się z jego uczuć.

Pod altaną z różnokolorowych powojów, obok szumiącego wodotrysku, przy którym dopalała się reszta lamp niedogasłych, usiadły obie i Margarita w ten sposób zagaiła rozmowę:

— Ślicznie śpiewasz, moja kochanko, bardzo pięknie. Dlaczego nie pomyślisz o wstąpieniu do teatru?

— Bo mi matka zawsze powiada, iż prosta droga życia najeżona jest szkopułami. Jeżeli więc na téj ustronnéj ścieżce którą ja idę, na każdym kroku ciernie napotykam, cóżby to było, gdybym się puściła na szersze gościńce?

— Pochwalam maksymy twojéj matki; wszelako zrobię ci tu pewną uwagę. Jeżeli oprócz szkopułów przywiązanych do ubóstwa, namnożysz ich sobie jeszcze więcéj przez twoje skrupuły: na cóż ci się przydadzą talenta jakiemi cię niebo obdarzyło? Przepędzisz życie nieznana i biédna.

— To mię nie trapi. Ja w polu śpiewam dla siebie, dla Boga; w teatrze zaś śpiewałabym dla ludzi. Spytaj pani szczygiełka, czy woli złoconą klatkę aniżeli swój lichy krzaczek? czy miléj mu kiedy śpiew jego zabawia książęce ucho, lub kiedy się gubi w ogromie przestworów?

— Roztropną jesteś, moja panienko. A nie mogłabym się téż dowiedzieć, zkąd i dla jakich powodów przybyłaś do Neapolu?

— I owszem, powiem pani. Z tém się nie kryję. Wiem że nie powinnam mówić ani robić nic takiego, czegobym nie mogła powiedzieć wobec całego świata. Kochałam bardzo pewnego młodego człowieka, który potém znikł mi z oczu. Przyszłam więc do Neapolu, ażeby się wywiedzieć czy on żyje lub nie. Dotąd nic się nie dowiedziałam. I dlatego wchodzę do pałaców i śpiewam, a głos mój jest gońcem mojéj miłości.

— A zkądże wieśz iż ten młodzieniec dochował ci wiary?

— Serce mi powiada, iż on zapomnieć o mnie nie mógł.

— Jakże on się zowie?

— Nazwiska jego nie wiem: na imię mu Edward.

Margarita słysząc wymówione to imię, tak głębokiego doznała wzruszenia, iż nagle porwała się z siedzenia; lecz również nagle zastanowiła się, w jednéj z tych chwil, kiedy zastanowienie działa wespół z instynktem: usiadła napowrót, blada, zmieniona i z kłamaną serdecznością ujęła obie ręce Anieli.

— Jesteś bardzo nieszczęśliwa!

— Zapewne, jestem nieszczęśliwa i bardzo, ale dlatego iż mam to wewnętrzne przekonanie, iż Edward jest nieszczęśliwym.

Margarita rozśmiała się po swojemu, gorzko i sarkastycznie.

— On nieszczęśliwy! o tak, masz słuszność i bardzo nieszczęśliwy.

— Więc go znasz pani? znasz go? Oh! tyś taka dobra, tyś moja zbawczyni! Będziesz moją gwiazdą przewodnią! To on żyje, żyje!

— Tak, żyje.

— Niezmierna radość odmalowała się na twarzy Anieli. Dwie bujne łzy stoczyły się po jéj policzkach, a głębokie westchnienie świadczyło o ogromie strapienia, które zrzuciła z uciśnionego serca.

— Widzę, moja panienko, że go bardzo kochasz.

— O! to się nie da wypowiedzieć żadném słowem.

— Ale on tu zakochany.

— Co? w kim? w kim?

— We mnie—odrzekła Margarita silnie uderzając się w piersi i dumnie spoglądając na biédną Anielę, która w osłupieniu wpatrywała się w swoję rywalkę.

— Tak jest, on mnie kocha, mnie tylko jednę—mówiła znów Margarita.—Ale nie tą miłością która się zadawalnia westchnieniem, spojrzeniem, wspomnieniem; która rozprawia o niebie, o aniołach, o Bogu. On mię kocha namiętnością potężną, która wzburza wszystkie zmysły, bucha ogniem i kipiącą lawą; kocha mię tym szałem pijanym który znajduje uciechę nawet w zbrodni, nawet w bezcześci, a szydzi sobie z owéj fałszywéj monety, którą podobało się światu nazwać cnotą, a która jest tylko nieczułością, chłodem, niczém.

Słuchając tych wyrazów natchnionych ślepą zaciekłością, Aniela miasto się przerazić, podniosła spokojnie czoło do góry i razporaz rzucała okiem na mówiącą. W końcu rzekła:

— Nie unoś się tak pani. W ten sposób nie nadasz złemu pozorów wielkości. Żal mi pani, jesteś chora. Okropny rak toczy ci i krwawi serce. Powinnaś się pani leczyć i to jak najrychléj, bo ci wielkie zagraża niebezpieczeństwo: mogłabyś w samym rozkwicie utracić duszę, która stworzoną była dla nieba.

— A, moja panienko, zupełnie cię nie rozumiem. Ty kochasz tego samego człowieka którego ja kocham. Lękałaś się czy nie jest nieszczęśliwy, czy może cię już nie kocha. Teraz dowiadujesz się iż zapomniał o tobie i zamiast okazać boleść lub zmartwienie, ty mi prawisz kazanie, istnie jaki misyonarz. I to nazywasz miłością? to uczuciem? Cha! cha! cha!—dodała śmiejąc się do rozpuku właściwym sobie konwulsyjnym śmiechem—toć to najzimniejsza obojętność!

— Pani—odparła Aniela—widzę iż na szczęście nie wiesz zupełnie, co to są tajniki boleści. W tym waszym świecie tak pięknym dla zmysłów, wszystko jest gwałtownėm a przemijającém. Uciechy są ogromne lecz krótkotrwałe, boleść wielka, lecz szybko przechodzi. Uczucia wzrastają aż do rozmiarów burzy moralnéj, lecz jak burza są krótkie i przelatują przez duszę jak gwałtowny szturm wichru. I otóż dlaczego boleść moja cicha, spokojna, trwać będzie do końca życia, a wasza ta rzekoma miłość przeminie jak meteor, jak trąba powietrzna, nie zostawiając nic po sobie, tylko gruzy.

— Cóżto za dziwna mowa! Osobliwsze na mnie sprawia wrażenie! Wyznaję, iż nowość jéj wielki ma dla mnie powab, zajmuje mię jéj niezwykłość. A powiédz-że mi, czy nie zazdrościsz przepychu tych ogrodów, tych salonów? Nie pragnęłabyś oklasków i hołdów towarzystwa? Nie chciałabyś żyć w tym świecie?

Pokazuje się, iż dusza Margarity była także wrażliwą. Patrząc na tę boleść cichą, bez szlochów, ani rąk łamania, starannie kryjącą się w głębi duszy, budził się w niéj pewien rodzaj podziwu, jakby wobec najwspanialszych widoków natury.

— Nie miło mi mówić o wszystkiém, com dostrzegła w tym świecie—odrzekła Aniela.—Tam w naszych stronach, pod rybackiéj chatki strzechą, widziałam matkę otoczoną dziećmi; widziałam, z jakiém zadowoleniem, z jaką uciechą dzieliła pomiędzy nie kęs czarnego chleba i miskę mléka; jak ją bawiły wyciągnięte ich rączęta, niby piskląt gromadka, co kwilą i trzepią skrzydełkami w gniazdku, gdy im Opatrzność zsyła drobne ziarnko zboża. Lecz wszedłszy do tych tu pałaców, do tych salonów, widziałam, iż tam według praw etykiety, mąż i żona są zdaleka od siebie, dzieci odsunięte od matki i oddane na łaskę wychowawczyń, lub obojętnych ochmistrzów, którzy im nie rozwiną serca; nawet przyrodę, która odżywia i odświeża ducha, ztąd wyrugowano, albo co najmniéj, pod przymusem wykoślawiono w tych ogrodach, gdzie drzewa wydają się jak w pętach, a w miejscu serdecznéj miłości widziałam smutną nieufność.

— A jednakże nieszczęście wdarło się aż do wnętrza twéj ustronnéj chatki, ugodziło w twe serce i zgnębiło cię.

— Za pozwoleniem. Koniec końców, jam nie tyle nieszczęśliwa, co pani. Ja we wnętrzu mojéj ustronnéj chatki zachowałam niewinność duszy, którą pani postradałaś w ogniu tych sztucznych świateł, w przepychu tych salonów. Ja nikomu nic złego nie wyrządziłam, a pani jak chmura złowroga, zaćmiłaś mi niebo mojéj miłości. Ja potrafię cierpiéć, potrafię płakać, a pani nawet żalu uczuć nie jesteś zdolną. I mogę mimo wszystko wznieść serce do Boga i prosić Go o twoje szczęście, a pani możesz tylko kołatać do piekła, wołając o zemstę.

— Aniélo!—zakrzyknęła Margarita przerażona tym obrazem, tak pełnym prawdy i tém tak okropném porównaniem.

— Wspomnienie moje—mówiła daléj Aniela—będzie zawsze dla pani zgryzotą sumienia, dla mnie zaś myśl o pani stanie się pobudką do politowania. Ja w wiejskiéj samotności zawsze będę czuła Boga obecnym w mojéj duszy; pani w zgiełku orgii będzie zawsze miała przed oczyma czyny i dzieła swoje. Ja mogę kochać i bez wzajemności, mogę wbrew niewdzięczności i zapomnienia zachować w sercu i w pamięci imię tego, którego raz pokochałam; pani nawet w uścisku jego nie będziesz szczęśliwa, ani jego uszczęśliwić nie zdołasz, bowiem szczęśliwym może być tylko ten, kto ma moc żyć spokojném życiem i nadzieją oczekiwać końca bez trwogi.

— A! jakżeż się nie mieli pokochać?—zawołała Margarita, zrywając się z ławki, na której siedziała i krocząc to w tę, to w ową stronę, jak gdyby się chciała pozbyć duszącéj ją zmory.—Jak oni nie mieli kochać się szalenie? Dwie dusze czyste spotkały się z sobą na tym świecie, dwa serca dostrojone do siebie, jak struny jednéj liry. Miłość ta musiała być pieśnią, księżycowém światłem, rosą, jak wszystko, co jest najczyściejszego i najidealniejszego na ziemi. Pierwszy raz kochali miłością tkliwą, słodką, która nie poważyła się nawet jednym pocałunkiem skazić dziewiczości ich ust...

— A pani jak wąż wśliznęłaś się do tego raju i przerwałaś ten błogi sen niewinności!—zawołała Aniela.

Słysząc te słowa, Margarita oprzytomniała. To roztkliwienie, które na chwilę owładnęło jéj sercem, nagle gdzieś się podziało, ustąpiło, jakby przemijający atak nerwowy.

— Ha! to ci nie dosyć było mojego przyznania? Zachciało ci się jeszcze nacieszyć widokiem mego upokorzenia? Może ci się wydaje, żem ja się zrzekła miłości Edwarda? Otóż wyrzeknę się jéj, a wyrzeknę się tylko dla tego, żeby się zemścić za twoją pychę.

— Ach! masz pani słuszność! Ból mi chwilowo odebrał przytomność i pycha mię opanowała. Przebacz mi pani, o przebacz! Niekiedy w kolących ostach zawiera się uzdrowienie, a w róży zabójczy jad żmii. Wszyscy, wszyscyśmy jednacy. Wszystkie motyle, choćby miały najpiękniejsze barwy skrzydeł, zawsze są nędznym robakiem. Lecz przyznaj to pani, iż bardzo smutno ujrzéć się opuszczoną i samotną, kiedy on, on zapełniał mi świat cały swoją miłością; ujrzéć się wtedy zapomnianą, gdy go najmocniéj kochałam, kiedy od jego dla mnie uczucia nic więcéj nie wymagałam, jak tylko aby niekiedy wspomniał, westchnął, aby od czasu do czasu przyszedł posłuchać miłosnéj piosenki przy szemraniu tego zdroju, który był jedynym świadkiem naszego szczęścia i naszéj miłości.

— Biédnaś ty!—zawołała Margarita.—Ale nie! nie powinnam litować się nad tobą. Nie, ty tutaj zostać nie możesz. Idź sobie! Masz słuszność: jesteś dla mnie udręczeniem. Płaczesz, kochasz; skoro tylko poczuwasz się do jakiéj winy, natychmiast się do niéj przyznajesz. Wracaj sobie do swego wiejskiego kąta! Nienawidzę twojéj doskonałości, bo inaczéj musiałabym sama siebie znienawidzieć.

— Nie wrócę do domu—odparła Aniela—mam zamiar tu pozostać.

Na te słowa opanowała Margaritę zazdrość niepohamowana. Wszystkie jéj złe popędy, przed chwilą uśpione, nagle się rozbudziły w ogromnéj wrzawie. Dreszcze konwulsyjne zbiegły ją całą. Oczy zdawało się, że wyskakują z oprawy. Patrzała na Anielę takim wzrokiem, jakim wąż patrzy na biedną ptaszynę, chcąc ją zaczarować.

Aniela, która nigdy podobnych walk nie zaznała, która nie znalazła się nigdy w tak drażliwych okolicznościach, uczuła się jakby pod władzą jakiéjś potężnéj siły magnetycznéj i okropnie cierpiała.

— Chcesz tu zostać?—mówiła Margarita głosem przerywanym wściekłością. Nie chcesz mi odstąpić swego kochanka? Jam ci go już z serca wydarła. Jeśli pozostaniesz, będziesz widziała nasze uściski, usłyszysz miłosne nasze pocałunki. A dla mnie będzie to uciechą widzieć cię bladą, drżącą, patrzeć, jak od bólu i zazdrości gaśnie blask twoich wdzięków. I radować się także będę moim tryumfem nad tobą; dla mnie obfity plon uciech, dla ciebie czcza twoich cnót bezowocność. A najwięcéj się uraduję, kiedy jego zobaczę zawstydzonym, upokorzonym, smutnym, zbiedzonym w twojéj obecności, z resztkami swojéj miłości w pamięci, z piętnem winy na czole, cierpiącym niewymownie...

— Dosyć, dosyć! na Boga!—zawołała Aniela, rzucając się na kolana u stóp Margarity—przestań pani tak mówić! Ja go już więcéj nie zobaczę. Nie dam mu wychylać aż do samego dna kielicha goryczy. Nie chcę, ażeby widząc mię wierną, ze słowem miłości w ustach, on umierał ze wstydu. Powiédz mu pani, żem ja mu także wiarę złamała, żem przez zemstę poszła za mąż... aby tylko on nie cierpiał. Ja, umierająca z miłości, opuszczająca dla niego moję matkę, śpiewająca po ulicach Neapolu, jedynie dla tego, aby pochwycić choć jeden promyk z jego wejrzenia, musiałabym bardzo przykrym być dla niego widokiem i serce jego napawać bardzo dotkliwą boleścią.

Aniela płakała, a płakała tak rzewliwie, jak gdyby jéj serce pękało. Po chwili jeszcze dodała:

— A więc pójdę, pójdę. Nie chcę przysparzać mu umartwień, uczynię tę ofiarę dla mojéj miłości. Ach, pani! pani! Kiedy go znów ujrzysz, kiedy rozmawiać z sobą będziecie zachwyconym wzrokiem i słowem pełném tkliwéj czułości, kiedy połączywszy wasze serca, przysięgać sobie będziecie miłość dozgonną, o! mój Boże! niechaj w tych błogich chwilach widmo téj nieszczęsnéj nie pojawia się nigdy przed oczyma Edwarda!

Domawiając tych słów podniosła się, łzy otarła i poszła tam, gdzie czekał na nią jéj ojciec; pocałowała go w czoło i oboje wyszli z ogrodu. Jutrzenka już najwspanialszemi blaski rozjaśniła widnokrąg.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Trzechsetletni jubileusz Camoensa w Paryżu.—Salon literacki pani Julietty Adam (Lamber).—Powieść *Greczynka.* Dramat *Galatea.*—Rozprawa o literaturze naturalistycznéj.—*Chrzestny syn śmierci*, poemat p. Bouchard, ze staréj baśni lotaryńskiéj.—Dzieło p. d'Arbois Jubainville o społecznéj organizacyi w Irlandyi, w początkach ery naszéj.—*Dwie maski*, historya sztuki dramatycznéj. *Teatr grecki*, przez Pawła de St. Victor.—*Historya Stanów Zjednoczonych Ameryki*, przez Fryderyka Nolte.—*Dykcyonarz dawnego języka francuzkiego* p. Godefroy.—*Studya krytyczne nad historyą i literaturą francuzką*, p. Brunettiere.—Turysta niemiecki w Paryżu.

Wielka uroczystość, urządzona niedawno w Lizbonie na cześć Camoensa i Vasco de Gamy, znalazła i w Paryżu silne odbicie. Towarzystwo międzynarodowe literackie, pod prezydencyą Wiktora Hugo, uczciło godnie słynnego piewcę *Luzyad;* żaden poeta więcéj zapewne nie przebolał, ale téż żaden, w trzysta lat po śmierci, nie odebrał wyższego uznania, tak w własnym narodzie, jak i między obcymi. Cała kolonia portugalska wzięła udział w paryzkiéj uroczystości. Poseł portugalski Don Joze da Silva Mendez Leal, napisał poemat z przygód Camoensa; odczytano go przy ogólnym poklasku. Artysta dramatyczny Sully-Monny, wydeklamował następnie prześliczny ustęp z *Luzyad,* o skamieniałym oblrzymie Adamastorze, w którym Camoens uosobił wszystkie zapory, jakie Vasco de Gama spotkał na drodze do Indyi Wschodnich, a pokonał siłą wytrwałości i potęgą geniuszu.

W końcu uwieńczono marmurowe popiersie Camoensa. Jedna z pierwszych artystek wypowiedziała sonet Ludwika Ratisbonna, na cześć poety; dajemy go w przekładzie:

O, wieszczu! tyś przebolał tułactwa męczarnie!
Ileż zmogła pocisków twa rycerska dusza!
Dziś twój naród z miłością do ciebie się garnie,
Już dźwięków złotéj lutni zawiść nie przygłusza;

Ziemio, coś mu pod stopy słała głóg i tarnie,
Potężny głos trzech wieków do hołdu cię zmusza:
Oto syn twój, w dni życia znieważon bezkarnie,
A dziś, serc miliony jego pieśń porusza.
Szczęśliwy ten, kto uczcił wiekuiste piękno,
Przed blaskiem jego czoła narody poklękną,
Przebrnie przez rozhukane oceanu wały,
Potomność na świeczniku pomieści go sama.
Kraj Indów dla ojczyzny zdobył wielki Gama:
Camoens geniuszem zwyciężył świat cały.

Ze wszystkich pomysłów, zrodzonych w bujnéj wyobraźni narodu portugalskiego dla uczczenia poety, jeden szczególniéj nas uderzył. Obmyślono mu pomnik wspanialszy, według nas, i oryginalniejszy nad marmur grobowca, rzeźbiony mistrza dłutem, bo składa się na niego rąk tysiące. Przypomina on te mogiły krakowskie, na które lud wszystek znosił po garstce ziemi. Nie ziemię przecież znoszono na pomnik Camoensa, bo dar taki byłby urąganiem temu, który dziecięcą tylko i zgrzybiałą stopą dotknął ziemi ojczystéj, wiek zaś męzki przeżył miotany burzami oceanu, lub depcząc strome ścieżki wygnania! Urządzono autograficzną księgę *Luzyad*. Znakomici pisarze wszystkich narodów, powołani zostali do zapisania w niéj po jednéj strofie nieśmiertelnego dzieła. Król wezwany do rozpoczęcia pierwszéj stronnicy, pozostawił innym ten zaszczyt, lepiéj bowiem odpowiadała uczuciom jego dziesiąta strofa epopei. Oto w przekładzie wiersze nakreślone królewską ręką:

Miłość ziemi ojczystéj poi mnie dosyta.
Nie ta, co żądzą zysków źrenice nam ślepi,
Lecz w rąbek nieśmiertelnéj nadziei spowita,
Co wdzięczność w sercu królów na wieki zaszczepi
Ku ludom, których sławą jego cześć rozkwita.
Nakłońcież sami ucha, i sądźcie co lepiéj,
Gdy szmer tak dla was chlubny zewsząd mnie dolata,
Czy rządzić takim ludem, czy być władzcą świata?

Łatwo pojąć, jak król ujął serca Portugalczyków, wyborem tak zaszczytnego dla nich ustępu.

Za lat kilka mamy obchodzić trzechsetletnią rocznicę Jana Kochanowskiego. Czyżby nie warto urządzić na cześć jego takiéj księgi autograficznéj, jaką Portugalczycy uczcili Camoensa?

Salony literackie od XVII-go wieku, odgrywały w Paryżu bardzo znaczącą rolę; pomimo tylu przewrotów politycznych, tradycya ich nigdy się nie przerwała. Każde z tych ognisk miało swoję królową, która przez szereg lat trzymała w ręku berło mody i nadawała ton społeczeństwu. Wielokrotnie téż kreślono historyą salonów paryz-

kich; nieraz wskazywano wpływ ich na literaturę. Wpływ ten wogólności dodatni, miał także i ujemne, częstokroć śmieszne strony. Uwydatnił je w swoim czasie Moliere, w słynnéj komedyi *Les femmes savantes*, w któréj szydzi z owych *sawantek*, wyrażających się w przesadny i napuszysty sposób o rzeczach najprostszych w świecie. Chłosta wielkiego komika okazała się zbawienną, wygnała bowiem z literatury przesadzony *gorgonizm*, wprowadzony przez poetę hiszpańskiego Gorgona, ulubieńca modnych salonów. Później idee *encyklopedystów* znalazły silne poparcie w salonach pani de Tencin, de Lespinasse, Geoffrin i innych. Owe tak zwane *wirtuozki*, gromadziły całą inteligencyą i sprowadzały idee kiełkujące wówczas z wyżyn akademickich, rozszerzając je między prostymi śmiertelnikami.

Wiadomo, jak silnie salon pani Geoffrin oddziałał na Warszawę, obiady bowiem czwartkowe u króla Stanisława Augusta, niegdyś jéj wychowanka, były prostém odbiciem literacko-artystycznych jéj wieczorów.

Następnie w sam przeddzień rewolucyi, zabłysnął w Paryżu salon pani Necker, przyjaciółki Buffona, matki słynnéj pani de Staël. Gwałtowna burza zgasiła to ognisko wraz z innemi, lecz zaledwie że oschła na bruku paryzkim krew stoczona pod gilotyną, nowém ogniskiem inteligencyi, stał się salon pani Recamier, w którym autorka *Korynny*, główne trzymała berło. Zburzył je niebawem Napoleon, widząc w nim niebezpieczne gniazdo opozycyi. Salony umilkły, przygłuszone wrzawą obozową; otworzyły się dopiéro po powrocie Burbonów, a szczególnie za monarchii lipcowéj. Świetniéj nad inne zabłysnął wtedy salon pani Delfiny Girardin, znanéj poetki i publicystki. Za drugiego cesarstwa podniosła berło pani d'Agout, znana pod pseudonimem Daniela Sterna.

Dziś berło to przeszło w ręce pani Julietty Adam. Autorka ta od lat kilku wyrobiła sobie niejakie stanowisko w literaturze powieściowéj. Znaczny majątek, odziedziczony po mężu, pozwolił jéj otworzyć literacki salon, a zasady, zgodne z duchem rządu dzisiejszego, ściągają w jéj progi całą falangę mężów stanu. Zręczna ta kobiéta, aby tém większą zdobyć wziętość i rozszerzyć koło swéj działalności, założyła dwutygodniowy przegląd: *Revue Nouvelle*, organ idei śmielszych i silniéj zarysowanych, niż konserwatywna *Revue de Deux Mondes*.

Celem pani Julietty Adam, pokazać światu, że dyabeł nie tak czarny jak go malują, t. j. że republikańska Francya, któréj Zola mieni się jednym z głównych przedstawicieli, znalazła w niéj wytworniejsze uosobienie. Salon jéj w ciągu roku, zyskał w Paryżu niesłychaną wziętość. Wszystka sól dziennikarska, cały kwiat literatury, wszystko złoto nauki, gromadzi się w nim raz na tydzień. Poeci odczytują tu swoje najświeższe utwory, uczeni odbywają konferencye, artyści dramatyczni odgrywają dobre komedyjki i monologi; śpiewaczki popisują się z sopranem, śpiewacy z barytonem; słowem, salon pani Juliet-

ty Adam błyszczy dzisiaj w Paryżu, a jeśli nie wywiera tak cywilizacyjnego wpływu jak niegdyś salon pani Geoffrin, to przecież, dzięki dzwonkom dziennikarskim, nierównie od tamtego szerszy znajduje rozgłos.

Literackie utwory pani Julietty Adam, znanéj pod pseudonimem Lamber, nacechowane są heleńsko-pogańskim spirytualizmem, wprost przeciwnym grubemu naturalizmowi Zoli i jego szkoły. W parze ze czcią dla starożytnych Greków, idzie u niéj żywe uczucie patryotyczne. Podwójny ten kierunek najsilniéj odbija w powieści wydanéj przed rokiem, p. t.: *Greczynka* (*Grecque*). Powieść ta, jakkolwiek oparta na fikcyjnych zdarzeniach, jest przecież wiernym obrazem pojęć i przekonań autorki, istną autobiografią jéj ducha. Przytaczamy treść w kilku słowach.

Bohaterka powieści Ida, córką jest bogatego Kreteńczyka, wygnanego z kraju, w skutek powstania z roku 1767. Zamieszkała z ojcem w Neapolu. Tu oboje słodzą chwile wygnania, badając pilnie starożytnych pisarzów greckich, karmią się wspomnieniami Leonidasa, Temistoklesa, Filopoemona i innych bohatérów. Willa ich zapełniona posągami bożyszcz olimpijskich, wygląda raczéj na świątynią, niż na zwykłe muzeum: cześć ich bowiem dla Apolina i Zeusa przechodzi miarę artystycznego zachwytu, a przybiera charakter religijny.

Ida prawdziwą jest Greczynką, nieodrodną siostrą dawnych spartańskich dziewic. Narzeczony jéj Hellen, przeciwnie, odziedziczył tylko piękność Apolina po swych bohaterskich naddziadach. Mars nie tchnął w serce jego najdrobniejszéj nawet iskierki. Zakochany w pięknéj Idzie, Hellen nie chce słyszéć że Kreta powstaje, że krew strumieniami toczy się w Tessalii. „Ojczyzna moja tam, gdzie ty!" mówi do narzeczonéj.

Nowa Spartanka z boleścią i wstydem słyszy to nikczemne wyznanie. Pogarda głuszy miłość w jéj sercu. Hellen był dla niéj wymarzonym bohaterem: ideał pierzchł, przed oczyma jéj staje najsmutniejsza rzeczywistość. Uczucie jednak nie zgasło w niéj do reszty. Greczynka przyrzeka rękę Hellenowi, z warunkiem, że on pośpieszy wprzód na pole zapasów, że powróci do niéj zwycięzcą. Rad nie rad, piękny młodzian płynie do Tessalii; ale odgłos trąb bojowych nie porusza go wcale. Rankiem, przed bitwą, zbiega ze stanowiska, śpieszy do Neapolu. W chwili gdy przybył, Ida klęczy u stóp Apolina, składa mu hołd ofiarny, błaga o zwycięztwo dla Greków. Uniesiony gniewem Hellen, strąca posąg z piedestału, i pada przytłoczony jego ciężarem. W ten sposób rozwiązuje się dramat.

Strona obrazowa skreślona udatnie. Autorka śmiałym pędzlem maluje zatokę Neapolitańską; płomień Wezuwiuszu, na tle głębokiéj nocy, jaskrawo harmonizuje z ostatnią katastrofą.

Grecya stanowi tu przezroczystą ledwie osłonę: Hellen, to wierny typ młodzieży bezmyślnéj, rozmiłowanéj w grze i koniach, jaką wi-

dzimy niestety, nie w samym tylko Paryżu. Ida wyobraża myśl patryotyczną, przyrosłą do narodowych tradycyi.

Wpadłszy raz na trop poetycznych przenośni greckich, pani Lamber snuje z nich wątek, odpowiedni do talentu swego. Ostatnim jéj utworem jest trzyaktowy dramat *Galatea*, odczytany niedawno w świetnym jéj salonie, przez słynnego artystę Monny-Sully, w obecności króla greckiego i całéj inteligencyi paryzkiéj. Nie jestto utwór oryginalny, ale też nie można zwać go prostym przekładem; to tak zwana *adoptacya*, wprowadzona dziś w modę przez Anglików, którzy bez skrupułu przerabiają sztuki francuzkie, zmieniając tylko nazwy osób i usuwając jaskrawe ustępy, określone w Anglii jednym wyrazem *shocking*.

Wzorem dla pani Lamber był dramat nowogreckiego poety Bazyliadisa, zmarłego właśnie w tych czasach. Ów dramat tłómaczony był już na język francuzki; autorka przerobiła go po swojemu, jak niegdyś Aryost przerobił poemat Brunettego o Rolandzie szalonym; rozjaśniła ustępy zbyt ciemne dla Francuzów, ożywiła rzecz obcą mnóstwem aluzyi, stosownych do miejsca i czasu, i utworzyła dramat, który z jéj salonu przejdzie, jak mówią, na deski teatru francuzkiego.

W tradycyach greckich przechowała się pamięć dwu Pigmalionów. Jeden był królem Tyru, drugi sławnym rzeźbiarzem w Cyprze, zakochanym w wykutéj i ożywionéj przez siebie Galatei. Obie tradycye połączono tu w jedną.

Król Tyru stał się tu królem cypryjskim. Posiada on cudownie piękną statuę. Rozmiłowany w niéj, do szału, błaga wielkiego kapłana, Eumelesa, aby, za pośrednictwem jego, Apollo tchnął iskrę życia w martwy kamień i ożywił czarodziejską Galateę.

Zrazu Eumeles stanowczy stawia opór. Przekłada królowi, że nie brak pięknych dziewic na jego szczęśliwéj wyspie, że miłość do martwéj bryły prawdziwém jest szaleństwem. Pigmalion odpowiada na to, iż Cypryjki oddane czci pięknéj bogini swojéj, nie mogą dać szczęścia małżonkom.

— Wina w tém królów—odrzecze wielki kapłan—obowiązkiem ich podnosić obyczaje ludu, zostającego pod ich berłem; na to władza dana im z woli bogów.

— Aby przemienić obyczaje i odrodzić z gruntu społeczeństwo —rzecze król—wiele czasu potrzeba. Co do mnie, pracować będę w tym kierunku; następcy moi zbiorą kiedyś owoce z tych posiewów, lecz ja nie widzę dziś w kraju godnej siebie małżonki. Niechże Apollo ożywi Galateę!

— Królu! urągasz nieśmiertelnym bogom—zawoła kapłan—wielbiąc nad miarę dzieło wykute ludzką ręką!

— Cześć moja dla Galatei—odpowie Pigmalion— nie jest wcale zniewagą bogów. Uwielbiłem w niéj idealną ich doskonałość. I któż daje natchnienie mistrzom, gdy tworzą arcydzieła, jeżeli nie boski Apollo?

Życie pełném jest zdrady!—odrzecze kapłan.—Niebaczny śmiertelniku! zkąd ta pewność, że ukocha cię Galatea? że zbudzona do życia, przyjmie je w warunkach przez ciebie narzuconych? że myśl jéj nie zapragnie wolności, nie obróci się w inną stronę? Jeśli Apollo wysłucha prośby twojéj, będzie to dla ciebie źródłem niewysłowionych cierpień. Ileż ty przebolejesz, królu, obok kobiéty twardszéj i zimniejszéj od martwego kamienia!

Zakochany Pigmalion nie zważa na nic; Apollo czyni wreszcie zadosyć jego woli. Krew zakipiała w żyłach Galatei: z posągu została kobiétą.

„Olimp się pomścił!" rzecze zbudzona zaledwie do życia.

Pierwsze te słowa, wybiegłe z jéj ust, smutną są zapowiedzią. Pigmalion nie pojął ich znaczenia.

— Głos twój—rzecze—brzmi w uchu mojém jak dźwięk eolskiéj liry!

Po tym prologu akcya postępuje żywo. Rennos, brat Pigmaliona, wygnany z Cypru, powraca do ojczyzny. Obaj bracia przepominają dawnych uraz, żywa miłość łączy ich serca.

Nowo przybyły spędził długie lata na dalekich wędrówkach. Wziął udział w wyprawie Argonautów do Kolchidy; opowiada liczne przygody swoje.

— Mów mi o Medei—zagadnie Galatea, siadając na ławie obok niego.

— Medea ocaliła Argonautów—odrzecze Rennos—miłość jéj dla małżonka ułatwiła zdobycie skarbu. Okrucieństwo téj kobiety równe było jéj wdziękom. Chcesz, opowiem ci, królowo, jak zamordowała brata własnego, przez miłość dla Jazona.

— Czémże uczucie bratnie wobec miłości?—zawoła Galatea, zakochana w Rennosie.

Pigmalion nie rozumie tego wykrzyku, widzi w nim dowód jéj miłości małżeńskiéj.

Eumeles tymczasem oznajmia, że korsarze wylądowali na brzegach Cypru, że przebiegają wyspę z ogniem i mieczem. Rennos, kipiący żarem jak Achiles, gotuje się do walki. Galatea wyznaje mu uczucia swoje. Wyprawia téż króla na piratów, zostaje sama w domu, szarpana niepokojem i trwogą. Rennos powraca wreszcie jako zwycięzca. Galatea obejmuje głowę jego.

— Daj mi—zawoła—oczy twoje, niech wypiję ich płomień.

Rennos nie może oprzéć się wdziękom czarodziejki, ale wyrzut szarpie jego serce. Myśl, że zdradza Pigmaliona, doprowadza go do rozpaczy. Tu przewrotne instynkta rozwijają się coraz gwałtowniéj w Galatei. Nie dość, że zdradza małżonka, śmierć jego tylko uszczęśliwić ją może.

W tym celu, z piekielną sztuką, rozdmuchuje zawiść w sercu Rennosa. Przypomina mu dawne zatargi z bratem, doświadczone od niego krzywdy.

— Miłość bratnia—rzecze—to kwiat hodowany sztucznie, staraniem przezornych rodziców. Azaliż uprawiał go Pigmalion? Nie on-że pierwszy stargał braterskie węzły? Czyż serce twego brata płonie takim żarem jak serce Galatei? Jeden z was musi umrzéć. Jam gotowa oddać życie za ciebie... On-że spełni ofiarę taką? Podczas gdy ty błądziłeś po szerokim świecie, wystawiony na burze i paszcze dzikich zwierząt, król trawił dni na szalonych biesiadach. Kiedy zdala od kraju, przekleństwo bratnie ciężyło nad głową Rennosa, czoło Pigmaliona świeciło pod koroną. Gdy ugodzisz w pierś króla Cypru, pod którym-że fałdem chlamidy znajdziesz braterskie serce?

Przewrotna Galatea wskazuje potém, w jaki sposób Rennes ma odnowić dawne zatargi z królem.

— Powróć—rzecze—do brata, żądaj od niego połowy Cypru. On nie przystanie na podział; gdyby jednak się zgodził, wymagaj najżyzniejszych obszarów. Wtedy Pigmalion wybuchnie gniewem. Ty rzuć mu w oczy dawne krzywdy twoje; chociażby ukorzył się i błagał, bądź głuchy na wszystko... uderz!... Galatea cię czeka.

Rennos napół szalony biegnie do Pigmaliona, spełnia wiernie przepisany programat. Ale z wielkim podziwem jego, król czyni zadosyć wszelkim żądaniom, im więcéj domaga się Rennos, tém brat skorszy do ustępstw: gotów nawet zrzec się tronu na jego korzyść.

— Miłość Galatei—mówi Pigmalion—wystarczy mi do szczęścia; pokój zapełni duszę moję: reszta dla mnie jest niczém!

Zniewolony taką miłością Rennos, rzuca się w objęcia brata, płacze gorzkiemi łzami; w piersi jego wstyd i palący wyrzut. Ucieka wreszcie, nie odwróciwszy głowy.

— Opuszczasz mnie jak winowajca! — zawoła zdziwiony Pigmalion.

Galatea tymczasem czeka w pałacu, drży... I jakże, pyta, skończył się spór pomiędzy braćmi? Wszystko ją przeraża. Uroczysta cisza zwiększa jeszcze jéj przestrach.

Nagle przybiega Rennos. Aby ją lepiéj zbadać, udaje, że zabił Pigmaliona. Galatea przyjmuje tę wieść chłodno; w kamiennem sercu nie drgnęło uczucie litości.

— Kto wié—rzecze z zimném okrucieństwem—może ta śmierć i niepotrzebna... Mogliśmy zachować go przy życiu, służyłby nam za niewolnika.

Przynosi potém naczynie pełne wody, aby obmyć ze krwi miecz Rennosa. Nie śpieszy się z tém wcale.

— Jutro—rzecze—dość będzie na to czasu: pochwa ukryje krwawe ostrze.

Rennos, przejęty zgrozą, wydobywa miecz.

— Jowiszu! — zawoła — ugodź tę nikczemną, ręką moją! Giń wiarołomna. I topi oręż w sercu Galatei.

Wbiega Pigmalion, patrzy na konającą żonę. Za królem wchodzi Eumeles.

— Królu!—wyrzecze wielki kapłan—dusza Galatei, nie zrodzona z duszy ludzkiéj, lecz z marmuru, musiała być twardą jak marmur. To kobiéta... to nie żona wiarołomna króla Cypru, zabita bratnią ręką... to rozbity posąg, nic więcéj...

I zasłona zapada.

Pani Lamber rozwinęła tu temat Aleksandra Dumasa, sławne *Tue-la*, powtarzane i w broszurach i w dramatach, przez *pseudo-moralistę*, który, aby uwolnić społeczeństwo od zbrodni, koniecznéj w jego mniemaniu, popiera tak zawzięcie ideę rozwodową.

Świetne audytoryum w salonie autorki przyjęło dramat z najżywszym poklaskiem. W jesieni zapewne *Galatea* ukaże się na scenie jednego z teatrów paryzkich. Czy równy będzie zapał mniéj wytwornych słuchaczów, trudno dziś o tém wyrokować. Powiedzmy tylko, że ogół nie smakuje tu w greckich utworach. Dramat *Erynnie*, przerobiony z Eurypidesa, mistrzowskim wierszem Le comte de Lille, upadł po kilkunastu przedstawieniach. Tenże sam los spotkał *Deidamią*, skreśloną klasyczném piórem Teodora Bauville. Wątpimy, aby świetna proza pani Lamber miała być szczęśliwszą od wytworniejszych wierszy dwu zawołanych *parnasistów*.

Rozszerzyliśmy się nad utworami pani Lamber, aby pokazać, jaki *antydot* wpływowa dziś helenistka stawia przeciwko rozmagającéj się szkole naturalistycznéj. Co do nas, nie sądzimy, aby starożytny klasycyzm grecki, mimo całéj wytworności swojéj, mógł powstrzymać prąd grubego realizmu, tak ubliżający pięknéj literaturze. Innéj na to potrzeba siły; tę naród musi prędzéj czy późniéj, wydobyć z łona swego, nie zaś z obcych, choćby najestetyczniejszych wzorów!

Zajrzyjmy teraz do przeciwnego obozu, na chwilę tylko, trudno bowiem wytrwać w jego duszącéj atmosferze. Przewodnikiem naszym będzie bezimienny autor, świeżo ogłoszonéj rozprawy p. t.: *Petit traité de literature naturaliste, d'après les maitres*. Ów krytyk, zerwał, rzeklibyśmy kwiat literatury naturalistycznéj, gdyby kwiaty rosły na tym śmietniku. Bierze za podstawę dzieła Zoli, Goncour'a, Richepin i innych koryfeuszów szkoły, wyprowadzając z nich nowe estetyczne prawidła. Powtarza nasamprzód definicyą mistrza. Literatura naturalistyczna, według Zoli, to wierne odbicie prawdy, ukazane w świetle, odpowiedniém do temperamentu pisarza.

Autor rozprawy loicznie wykłada swój traktat; na wzór dawnych retorów, rozbiera ściśle prace pisarzy naturalistycznych, klasyfikuje ich styl, określa różne jego cechy, popierając rzecz ustępami z dzieł mistrzów. Ustępów tych bardzo wybitnych powtarzać niepodobna. Dość nam podjąć kilka aforystycznych rysów, cechujących dzisiejszą szkołę.

Wyraz *twórczość*, wstrętnym jest Zoli i jego adeptom. Poeta nie może nic tworzyć: pokazywać przyrodę jedyném dla niego zadaniem.

Idealizowanie charakterów krzywdzi przyrodę, ubliża bowiem prawdzie.

Język poetyczny całkiem niepotrzebny, gdyż wkłada na myśl pęta konwencyonalizmu.

Powieść naturalistyczna niéma być wcale ciągiem wymarzonych przygód, w których rzeczywistość tonie, pochłonięta fikcyą. Niech raczéj będzie wiernem malowidłem życia rzeczywistego, odbiciem codziennych zdarzeń, obrazem najzwyczajniejszych osobistości. Zola określił tę myśl w samym tytule jednéj z powieści swoich. Oto ciekawy ów tytuł: *Rougon Macquart, Historya naturalna i społeczna jednéj rodziny za czasów drugiego cesarstwa.*

„Dzieło to, mówi autor w przedmowie, jest kolejnym ciągiem fenomenów nerwowych i krwistych, objawiających się w danéj rodzinie, skutkiem pierwszego wstrząśnienia organicznego, które stosownie do okoliczności, budzi w każdéj jednostce tegoż rodu, uczucia; pragnienia, namiętności, słowem wszelkie manifestacye ludzkie, naturalne i instynktowe; wyniki ich przybierają kouwencyonalną nazwę cnót i występków."

„Powieść naturalistyczna, ciągnie Zola, powinna być jedynie zapisaniem faktów w porządku fizycznym, moralnym, to po prostu fizyologiczno-anatomiczne studyum. Frazeologia wcale tu niepotrzebna; celem powieści nie jest bynajmniéj zabawiać czytelników, ale uczyć ich i umoralniać. To hygieniczny kordyał dla zdrowia umysłowego. Powieściopisarz ma tylko pośredniczyć między czytelnikiem a przyrodą; pokazywać mu rzeczywiste postacie, nie żadne ideały, rzucać mu w oczy fakta i tylko fakta. Powinien raz nazawsze uwolnić się od wszelkich skrupułów, nazwać każdą rzecz po imieniu. Niech pamięta, że pisze dla ludu, a więc niech przemawia językiem ludowym."

„Prototypem powieści naturalistycznéj *Assomoir;* tak utrzymuje autor nowych prawideł estetycznych.

Od powieści przechodzi on do teatru. Tu znów przytacza słowa Zoli:

„Powieściopisarze, którzy są książętami literackimi téj epoki, uzacniają sponiewierane deski teatru, ilekroć zechcą postawić na nich stopę."

Cóż sprawia, zapytuje krytyk, że umysły oświecone podziwiają dziś jeszcze idealne pomysły klasycznéj i romantycznéj literatury, uważane za arcydzieła rozumu ludzkiego; tragedye Kornela, Rasyna, Woltera, dramata Szekspira, Wiktora Hugo, Dumasa i tylu innych? rutyna i zastarzały przesąd, odpowiada w myśl nowatorów.

„Jeżeli dziś jeszcze, dodaje, konwencyonalizm nie pozwala przedstawiać wszystkiego na deskach teatralnych, niechże autorowie będą cierpliwi; blizka już chwila, że będzie można pokazać w całéj prawdzie rany ludzkie, trupa ludzkiego, rozkrawanego na części anatomicznym nożem, na wielki tryumf prawdy!"

Według Zoli i jego adeptów, pokazać życie ludzkie w szeregu akcyi komicznych lub tragicznych, to jedyne zadanie teatru; wszelkie podziały ustąpić muszą: nie będzie już tragedyi ani komedyi, będzie jedynie dramat.

Do końca książki autor nie objawił własnego poglądu. Tak go zręcznie utaił, że czytając rozprawę, wzięliśmy go za żartobliwego adepta nowéj szkoły. W epilogu dopiéro zrzucił maskę z oblicza.

Cóż go spowodowało do skreślenia tych uwag? oto głębokie obrzydzenie, z jakiém czytał ostatnie utwory szkoły naturalistycznéj. Pokazując absurda i bezeceństwa w całéj ohydzie, używa sposobu, przyjętego niegdyś przez Spartanów, kiedy upajali niewolnika wobec młodych obywateli Lacedemonu, aby im pokazać całą obrzydliwość pijaństwa.

„Romantyzm, mówi w końcu krytyk, pokruszył pęta klasycyzmu, stworzył nieporównaną poezyą, rozbudził wiarę i miłość piękna, usiłował wyrwać duszę z nędz i marności świata rzeczywistego. Naturalizm przeciwnie, czyni nas niewolnikami przyrody i rzeczywistości, brudzi język, biorąc go za narzędzie trywialnych myśli i cynicznych obrazów, niszczy poezyą, zabija wiarę, budzi grubiańskie instynkta: słowem, gdyby mógł się utrzymać, byłby śmiercią, unicestwieniem sztuki!"

W zeszłéj Kronice, mówiąc o obrazach, pokazaliśmy wyraźny zwrot artystów ku przedmiotom ludowym. Tenże sam kierunek daje się spostrzegać i w poezyi. Jeden z pierwszorzędnych malarzy, Juljusz Breton, silnie zbratany z ludem wiejskim, z którym przebywa od lat trzydziestu, wydał w tych czasach piękny poemat *Jeanne;* powiemy o nim w innym czasie: dziś rozbierzemy inny poemacik p. de Rouchaud, osnuty żywcem na baśni lotaryńskiéj, p. t.: *Chrzestny syn śmierci* (Le fileul de la Mort).

Odwieczna ta baśń, sięga zapewne owéj epoki, kiedy Orcagna na murach *Campo Santo* w Pizie, odmalował śmierć z kosą, wyzywającą tryumfalnie do tańca królów i panów, rycerzy i kapłanów, mieszczan i lud wieśniaczy. Włoski mistrz powtórzył wiernie to co widział; za jego bowiem czasów, w w. XIV, *Taniec śmierci* (Danse macabre), odbywał się we wszystkich krajach europejskich, tak we Włoszech jak w Niemczech, w Hiszpanii i Anglii. I my nie pozostaliśmy téż za innymi; świadczy o tém pozostały ułamek z jakiéjś odwiecznéj pieśni: *„Smierć się wije po płotu."* Z tegoż samego źródła wypłynął bezwątpienia znany poemacik księdza Baki, tak dowcipnie dopełniany przez Korsaka, Borowskiego i Syrokomlę.

Baśń lotaryńska, nacechowana satyrycznym humorem galskim, w oryginalny rozwija się sposób—powtórzymy treść jéj szczegółowo:

Kmieć Lotaryńczyk, szuka w kumy człowieka nieposzlakowanéj uczciwości. Zarzeka się że ten tylko trzymać będzie do chrztu, jego nowonarodzonego syna, kto nieprzebłagany żadnym względem ziem-

skim, wszędzie i zawsze spełniał powinność swoję. W tym celu wybiera się w świat:

Kładzie na barki gunię włochatą,
Wziął kij do ręki, żegna się z chatą;
Idzie przez pole: z boku wysoki
Zamek wieżycą sięga w obłoki.
Wtém dziedzic konną przetnie mu drogę:
— Wiem po co idziesz, słodko doń rzeczę;
Wracaj do domu, biedny człowiecze:
Ja twoim kumem przecież być mogę!
Kmieć się zasępił i chwilę duma:
— Prawdaż to, panie?
— Tak, nieinaczéj;
Dobrego ze mnie będziesz miał kuma.
— Wiem, wyście, panie, bogacz z bogaczy,
W złocistych rzędach bieguny wasze,
Macie moc zboża i żyzną paszę;
Złota i srebra ogromne wory,
Dobytku pełne wasze obory,
A lochy pełne miodu i wina.
Wielki to zaszczyt dla mnie, a przecie
Ktoś inny do chrztu poda me dziecię!
Pan brwi namarszczył:
— Jakaż przyczyna?
— Jam przysiągł Bogu, więc jakem żywy,
Mym kumem będzie człek sprawiedliwy!
Dziedzic zakipiał cały od złości,
A kmiotek cichą zagadnie mową:
— Panie! chcę takiéj sprawiedliwości,
Co to nie patrzy na to lub owo:
Jednako wszędy, o każdéj dobie...
Wy sprawiedliwy w swoim sposobie!
Spiął dziedzic konia twardą ostrogą,
Prostą do zamku popędził drogą;
Kmieć siadł na miedzy i smutno duma,
Sprawiedliwego gdzie znaleźć kuma?

Zatętniły kopyta, nadbiega wcwał zamaszysty rycerz: na głowie ma hełm, u butów złociste ostrogi. Rycerz gotów trzymać do chrztu kmiecego syna, lecz kmieć nie pragnie tego zaszczytu.

Przeciągają drogą ci i owi; nasz kmiotek wykręca się jak może. Ukazuje się wreszcie straszliwa postać:

Wtém jakieś widmo dróżyną sunie,
Z ogromną kosą, w białym całunie;

Wolnym do kmiecia krokiem się zbliża:
Kmiotek ją poznał, skreślił znak krzyża;
Jak lisć na wietrze zatrząsł się cały:
Od trwogi usta mu zaniemiały,
Czoło kroplistą zabiegło rosą:
Czyż głowa jego padnie pod kosą?
Szkielet przystąpił, zębami dzwoni,
Kościstą ręką dotknął mu dłoni:
— Kmieciu, ja tobie krzywdy nie czynię,
Widzisz przed sobą świata władczynię;
Możesz mnie w kumy zaprosić śmiało.
Jam sprawiedliwa, nie wątpisz o tém:
Mnie nie przekupić srebrem ni złotem!
Serce wieśniaka dziwnie zadrżało.
— Tyś sprawiedliwa, nieprzebłagana,
Ścigasz zarówno króla i pana,
I lud ubogi, jak w polu kłosy,
Młodzież i starce walisz w pokosy:
Wszystko co żyje ulega tobie.
Ciebie nie zmogły ludzkie rozumy,
Każdemu łoże uścielasz w grobie.
Tyś sprawiedliwa: proszę cię w kumy!
Kmiotek ze śmiercią wchodzi w przymierze,
Sprasza na chrzciny ze wsi lud wszystek;
Chata przybrana w choinki świeże,
A każdy z gości drżący jak listek;
Każdy powieki spuścił ku ziemi,
Bo widmo śmierci stoi ponure:
Wokół owiana płachty białemi,
Z kosą wysoko sterczącą w górę.
Tym się widokiem sam pleban zraża:
Cicho bełkocze coś z brewiarza.
Każde tam serce gad na wskroś wierci,
I czarny smutek myśli przenika;
Nareszcie pleban ochrzcił chłopczyka:
Ojciec go nazwał chrześniakiem śmierci.
Przecież po jednéj i drugiéj czarze,
Chmura z każdego odbiegła czoła;
Zerwie się młodzież, przyklasną starce,
Kmieć ze swą kumą staje wśród koła:
Rzempolą skrzypki, otucha rośnie,
Gawiedź pod lipą pląsa radośnie.

Mijają dnie i lata, z dziecka wyrosło pacholę; matka chrzestna raz poraz zagląda w progi chaty, czuwa pilnie nad swym chrzestniakiem.

Radość przybyciem sprawia mu wielką,
Dary jéj godne książęcych dziatek:
To go obdarzy piękną szabelką,
Co tnie jak brzytwa; raz naostatek
Niesie kolędę dziecku wspaniałą:
Na szubieniczce wisielca ciało.

Pacholę wyrosło na krzepkiego młodzieńca. Gdy dobiegło lat męzkich, śmierć przychodzi znów, zasiada ze starym kmieciem pod lipą na podwórku; radzi z nim o przyszłości chrześniaka. Stan żołnierski nie przypada im do smaku: kto mieczem wojuje, łatwo temu od miecza zginąć.

— Niech lepiéj będzie doktorem—zagadnie śmierć—to pewniéj i bezpieczniéj.

— Zgoda—odrzecze ojciec.

— Dobry to pomysł, trwoży mnie jedno,
Że mu przy księgach lica pobledną;
Ja mu na szkoły starczyć nie mogę,
Zaczém pozyska biret i togę.
Śmierć się zaśmiała.
— Nie trwóż się, kumie,
Chłopcu od nauk nie pęknie głowa:
Jam mu dopomódz zawsze gotowa;
Wnet wielki rozgłos pozyska w tłumie,
Niech tylko mojéj posłucha rady.

Ta rada łatwa do spełnienia. Śmierć ukryta przed ludzkim wzrokiem, w każdéj chwili stanowczéj ukaże oblicze swoje miłemu chrzestniakowi. Jeśli ten ujrzy ją u wezgłowia chorego, to znak że żadne leki nie pomogą; przeciwnie zaś, jeśli śmierć stanie w nogach, wtedy i łyżka wody pożądany odniesie skutek.

Ojciec posłuchał rady, czyni syna doktorem, nad drzwiami domu wywiesza wielki napis; ależ doktor bez togi ni biretu, nie budzi jakoś zaufania. Wtém rozbiega się wieść że córka księcia Lotaryngii zaniemogła ciężko; zrozpaczony ojciec powołuje całe chmary doktorów, rozrzuca złoto pełną garścią... próżno... księżniczka musi umrzéć! Słyszy o tém nasz doktor, śmiało rusza do Nancy.

Wziął kij sękaty, idzie, nareszcie
Staje porankiem w książęcém mieście:
Ku bramom zamku swobodnie kroczy,
Lecz zbrojna gawiedź stoi u proga,
Gradem pocisków sypnie mu w oczy,
Bo na doktorze świta uboga.
— Precz ztąd, żebraku! wołają czaty.
Książę posłyszał wrzawę z komnaty:

— Puścić go zaraz! krzyknie na straże:
Słudzy tak czynią jak pan rozkaże.
Doktor przed księciem ugiął kolana:
— Do córy twojéj prowadź mnie, panie,
Lekarska sztuka dobrze mi znana!
W progu księżniczki wnet z księciem stanie.
Serce ojcowskie bije otuchą,
Serce doktora cięży ołowiem;
W sypialni ciemno jakoś i głucho:
Powiódł oczyma ponad wezgłowiem,
Nic tam nie dostrzegł; spojrzy na nogi,
Tu śmierć stanęła z kosą szeroką:
Odetchnął doktor, ochłonął z trwogi;
Wielką radością błysło mu oko.
Nad łożem głowę pochyli zcicha,
Senna księżniczka ledwie oddycha.
Zgasł jéj na licach rumieniec świeży,
Niby lilijka bieluchna leży.
I pot kroplisty płynie z jéj czoła,
Jakby w skonania chwili straszliwéj;
Książę na wyrok czeka pół żywy,
A doktor powstał, na głos zawoła:
„Nie trwoż się, panie, ujrzysz ją zdrową.
Jeśli się kłamstwem zmażą me usta,
Niechże mi topór błyśnie nad głową."
„Amen! rzekł książę, groźba nie pusta,
Gdyby mi umrzéć miała, broń Boże!
Twa głowa z karku spadnie, doktorze."
W komnacie duszno, wkoło mrok czarny,
Przyćmione okna, zwarte podwoje,
Chwyta za płuca wyziew cmentarny,
Gdzie rzucić okiem, flasze i słoje.
Tu cuchną maście, tam zioła mokną,
Doktor przemienił wszystko inaczéj,
Całą aptekę rzucił za okno,
Niechże księżniczka słonko zobaczy!
Wpadł do komnaty bieluchny dzionek,
Z jakąż radością chora go wita,
Strzepnie się w gniazdku istny skowronek,
Balsam powietrzny pije do syta.
Topi oczęta w niebios błękicie,
Wiły usteczka wodą kryniczną,
W żyłach jéj krąży zbudzone życie,
Jagody barwą rozkwitły śliczną.
I szept po całym rozległ się dworze,
O tym nieznanym światu doktorze.

Jeden nagani, drugi pochwali:
„Ha, zobaczymy, co będzie daléj.”
Książę przepisy spełnia do słowa,
„W nagrodę, rzecze, sypnę mu krocie,
A gdyby zmarła, ulżę zgryzocie,
Gdy spadnie z karku doktora głowa!”

Księżniczka wyzdrowiała. Doktor obsypany złotem, zamieszkał na książęcym dworze: tu sprowadził starych rodziców. Sława jego rozległa się na szerokiéj przestrzeni, tłumy ludu zbiegały doń po radę. Przeżył długie dni w szczęściu, znaczeniu i dostatkach.

Śmierć nieprzebłagana dla miłego nawet chrześniaka, odwiedzała dom jego od czasu do czasu. Zamknęła naprzód oczy staréj matce, potém stuletniemu już ojcu, siadła wreszcie przy wezgłowiu doktora.

Zmarszczył brwi starzec, uczuł dreszcz trwogi,
Rozkazał sługom obrócić łoże,
Przenieść wezgłowie, gdzie były nogi:
Daremna zmiana... nic nie pomoże.
Gdziebądź mu głowę słudzy przeniosą,
Tuż u wezgłowia staje śmierć z kosą.
Słodkiemi słowy próżno ją wzywa:
„Ukorz się, synu, śmierć mu odpowié:
Mnie nie przebłagasz, jam sprawiedliwa:
Pójdziesz, gdzie poszli starzy ojcowie.”
Poddał się doktor, wzywa kapłana,
I obmył duszę łzy gorącemi;
Zbiegła na skrzydłach z pęt rozwiązana:
Ciało wróciło prochem do ziemi.

Tak się kończy legenda ludowa, pełna prostéj filozofii, nacechowana prawdziwie galskim duchem.

Na miesięcznem posiedzeniu Akademii napisów i literatury, podniesiono niedawno dwie bardzo ważne sprawy.

Pan Geffroy, dyrektor szkoły archeologicznéj francuzkiéj w Rzymie, oznajmił, że członek téjże szkoły Thomas, odkrył w starym manuskrypcie z XII wieku, zamieszczone w nim obszerne ustępy z księgi starożytnego historyka łacińskiego, epoki klasycznéj, odnoszące się do Aleksandra Wielkiego. Wynalazca przekonany silnie, że tym historykiem jest Trogus Pompeus. Wkrótce odpis tych ułamków przedstawiony będzie Akademii, wraz z wypracowanym komentarzem.

Kto wié, czy te obszerne ustępy z historyka, na którym Augustyn Bielowski oparł swoje hipotezy, co do początku starożytnych Lechitów, nie przyczynią się w jakiéjś cząstce do rozjaśnienia pomroku pierwotnych dziejów naszych?

Inny członek Akademii Henri Martin, odczytał sprawozdanie z nowéj pracy p. d'Arbois de Jubainvillle, o społecznéj organizacyi w Irlandyi, w pierwszych wiekach ery chrześciańskiéj. Dowiadujemy się tu, że na wyspie Zielonéj nie było wcale rodowéj szlachty, lecz arystokracya składała się z ludzi najbogatszych. Wśród tych istniała niejaka hierarchia, odpowiednia liczbie posiadanego bydła. Ci bogacze trzymali lud w poddaństwie, za pomocą najmowanych *czeptelsów*. Była oprócz tego inna arystokracya, oparta na umysłowéj zdolności.

W téj epoce Irlandya dzieliła się na pięć prowincyi: każda z nich miała osobnego króla. Owe prowincye dzieliły się jeszcze na okręgi i kantony, rządzone przez własnych królów swoich, których władza odpowiednią była do ilości posiadanéj ziemi. Dwa starożytne kodeksa irlandzkie, *Chritu gablach* i *Senchus Mor*, opisują szczegółowo honory oddawane tym władzom. Naczelny król Irlandyi był obieralnym, orszak jego składał się z trzydziestu osób; królowie prowincyi mieli po dwadzieścia pięć osób na swych dworach. Autor nadmienia cud wydarzony podczas jednego obioru.

Ale nie sam majątek stanowił potęgę arystokracyi. Niektóre profesye, przynoszące znaczny dochód, jak: lekarzy, kowalów i t. d. dawały do niéj prawo. Składało ją niemniéj duchowieństwo pogańskie, a późniéj chrześciańskie i stan tak zwanych *file*, czyli mistrzów nauki świeckiéj. Ci *file* szli w parze z królami odpowiedniego im stopnia.

Naczelny *file*, który nosił tytuł *Ollam*, równym był naczelnemu królowi, ustępował mu przecież kroku. Uczony drugiego rzędu *Auruth*, równał się znaczeniem prowincyonalnemu królowi. W nauce istniało dziesięć stopni; klasyfikacya czynioną była według liczby historyi, *scel*, które uczony umiał na pamięć, a które obowiązany był opowiadać w ważnych okolicznościach. *Ollam* powinien był umieć 350 historyi, *Auruth* 175, *Cli* 80 i t. p.

Co najwięcéj zadziwia w tém obliczeniu, to, że Irlandya w epoce tak głębokiéj starożytności czciła naukę na równi z posiadaném bogactwem.

Starożytne kroniki i statuta irlandzkie mówią o trzech wielkich uroczystościach, obchodzonych corocznie w kraju, połączonych z jarmarkiem. Ten jarmark *Oenach* ułatwiał handel wewnętrzny i stanowił dla ludu rozrywkę po uciążliwéj pracy. W tymże czasie zgromadzona starszyzna radziła nad sprawami publicznemi i wymierzała sprawiedliwość. Pierwsze coroczne święto przypadało w miesiącu maju. Byłto tradycyjny obchód z czasów pogańskich na cześć słońca, czyli bóstwa *Belltene*. Druga uroczystość odbywała się w początku sierpnia, na uczczenie bożka *Lug*; trzecia ostatniego października, poświęcona bóstwu *Samhain*.

Obszerny ustęp w dziele swojém poświęca autor opisowi tych świąt i jarmarków, porównywa je ze zwyczajami galskiemi, jak niemniéj pokazuje wyraźne wpływy mitologii greckiéj.

Belltene odpowiada bóstwu galskiemu Bellunes, którego porównać można do Apolina. W obrzędach na cześć tych bóstw, tak w Galii, jak w Grecyi i Irlandyi, widoczne uderza podobieństwo. W święto Belltene, Druidowie odśpiewawszy zaklęcia magiczne, rozpalali dwa wielkie ogniska, między któremi przeganiali bydło, aby je uchronić od zarazy. Wyraz *Bell* znaczył to samo, co *szczęśliwy*, *tene* oznaczał ogień.

Rzymianie obchodzili 21 kwietnia odpowiednią uroczystość, zwaną *Palilia*. Palono ogień, przez który przeskakiwało bydło, nawet i ludzie; „*Per flama saluisse pecus, saluisse colonos*," mówi Owidyusz (Fastes lib. IV, v. 805).

Myty połączone w Irlandyi z tą uroczystością, pokazują wyraźnie, że miała związek ze czcią słońca. Obchodzono ją w grodzie zwanym *Uisnech*, w samym środku wyspy, przy pałacu najwyższego króla.

To święto, zarówno obchodzone u wszystkich aryjskich ludów, świadczy o ich plemiennéj jedności. Germanie mieli także swoje majowe święta. Nasze Sobótki przypadały cokolwiek późniéj, zapewne dla różnicy klimatu, ale mieliśmy także Maiki na cześć ziemi rozbudzonéj z zimowego uśpienia. Szczątkiem ich ów zielony gaik, obnoszony do dziś dnia po wioskach naszych.

Podczas jarmarku w Uisnech, zwyczaj jeden na szczególną zasługuje uwagę. Korzystając z wielkiego napływu ludu, ojcowie sprzedawali córki w małżeństwo na rok jeden. Zamężne od roku niewiasty wybierały też sobie nowych mężów, którzy dobijali targu z ojcami. Gdy z jednéj strony układano gody weselne, król z drugiéj strony werbował młódź do milicyi narodowéj. Zwano ją *fiant;* wyraz ten przypomina dzisiejszych *fenianów.*

Drugi jarmark przypadał 1-go sierpnia, w święto bożka *Lug.* W tymże dniu Gallowie obchodzili takąż uroczystość na cześć tego samego bóstwa, w mieście swojém Lugdunie. To święto obchodzono corocznie w centralném królestwie Irlandyi, w grodzie Taellitia; w królestwie zaś Lejster, w mieście Corman, przypadało raz na trzy lata. Rzymianie porównywali bożka Lug do Merkurego. W mniemaniu Irlandczyków był on wynalazcą wszystkich rzemiosł i sztuk wyzwolonych. Lug był zarówno cieślą, kowalem, muzykiem, poetą, rycerzem, czarownikiem, jak to opowiada ciekawa opowieść mytyczna. Na tymże sierpniowym jarmarku odbywały się konne gonitwy; przedstawiały one taniec żałobny na cześć zmarłych. Takie *memento mori* nie przeszkadzało wszakże jarmarcznym zabawom, ani interesom handlowym. Starszyzna odbywała też swoje sądy.

Trzecia uroczystość osobny miała charakter. Obchodzono ją 31 października, w dniu bożka *Samhain*, po rozmaitych miejscach. Rozpoczynał ją zwykle choralny śpiew uczonych *file.* Co lat siedm w dniu Samhainu lud zbierał się tłumnie w Tara, stołeczném mieście Irlandyi. Ostatnie zgromadzenie zapisano w roku 560 ery naszéj.

Pan Jubainville tak zakończa ciekawą swoję pracę: „Wielkie zgromadzenia ludowe, mówi on, miały niesłychaną doniosłość w życiu starożytnych Irlandczyków. Wszystkie potrzeby, wszystkie pragnienia człowieka znajdowały tam odpowiednie zadowolenie. Dla pobożnych były religijne obrzędy, pogańskie za czasów bałwochwalskich, chrześciańskie od epoki ś. Patrycego. Pieniacze mieli tam rzeczników i sędziów, lubownicy muzyki śpiewaków i gędźbiarzy. Dla ludzi rozmiłowanych w naukach i historyi, poeci deklamowali z pamięci nowo utworzone wiersze, uczeni powtarzali starożytne rapsody, genealogie królów i zasłużonych rodzin; niestałe kobiéty wybierały nowych mężów; królowie rekrutowali żołnierzy; handlarze załatwiali interesa; mężowie polityczni radzili nad potrzebami kraju; młodzież oddawała się pląsom i zabawom. Słowem, jarmark taki dostarczał wszelkiego rodzaju wygód i przyjemności, ztąd w starodawnych pieśniach życie hulaszcze, trawione wśród gry i pijatyki, zwano *jarmarkiem królewicza.*

Te ślady odwiecznéj cywilizacyi, jak niemniéj ustroju społecznego, świadczą, jak silnie oddziałały na tubylców celtyckich w Irlandyi, wpływy kolonistów fenickich. Jak wiadomo, Fenicyanie byli gałęzią szczepu semickiego. Tym sposobem daje się tłómaczyć zjawisko, które bardzo uderza antropologów: podobieństwo typu Irlandczyków dzisiejszych z Izraelitami. Na to zbliżenie szczególną uwagę zwrócił w ostatnich czasach uczony antropolog Quatrefages.

Znany krytyk francuzki Paul de St. Victor, godny następca Juliusza Janin i St. Beuve'a, przedsięwziął bardzo ważne wydawnictwo p. t.: *Dwie maski.* „Teatr ma dwie maski, mówi autor w przedmowie: jedna płacze, druga się śmieje. Zbadanie tak jednéj jak drugiéj, wykazanie ich w dziełach pierwszych geniuszów świata, na tle różnych epok historycznych, jest celem rozpoczętéj pracy. Będzie to nowa karta, dorzucona do dziejów cywilizacyi, o ile ta objawiała się w rozwoju sztuki dramatycznéj."

Pierwszy tom, tylko co ogłoszony drukiem, obejmuje wyłącznie utwory Eschilesa. Po kolei ukażą się inni mistrze greccy: Sofokles, Eurypides, Arystofanes; od nich krytyk przejdzie do indyjskiego Kalidasy, następnie do Szekspira, wreszcie do tragików i komedyopisarzy francuzkich z XVII wieku: Kornela, Rasyna, Moliera; szereg ich zakończy Beaumarchais. Wśród tych zapowiedzianych masęk greckich i indyjskich, angielskich i francuzkich, autor nie wspomina wcale maski łacińskiéj; wiadomo przecież, iż Rzymianie mieli Terencyusza i Plauta.

Olbrzymia postać Eschilesa poraz pierwszy dziś wystąpiła w literaturze francuzkiéj, odmalowana w sposób żywotny i popularny. Dotąd twórca teatru klasycznego, znany był tylko erudytom. Zmarły niedawno helenista Patin, poświęcił mu wprawdzie szczegółowe studyum, ale St. Victor pierwszy zbudował na cześć jego pyszną świątynię i złote jéj podwoje rozemknął dla profanów.

Studya nad literaturą grecką, pod piórem Pawła de St. Victor, mają cały urok nowości. Świetny krytyk bowiem opiera się na ostatnich wynikach nauki mytologii porównawczéj, nauki, która od lat trzydziestu, odnowiła zupełnie pojęcia o politeizmie heleńskim. Ostatnie badania uczonych, szczególniéj Max-Müllera, rzuciły światło na mythy ludów pierwotnych. Odkryte niedawno pieśni Wedy, wykazały pokrewieństwo mytologii greckiéj, z pierwotnemi wierzeniami Aryów, tych ojców Indyi i Persyi, a naddziadów europejskich plemion. Czas dziś ukazać dzieła greckie na tle im odpowiedniém, czas zdjąć maskę z oblicza bożków i bohaterów, uwydatnić ich oryginalne rysy, ich legendowy charakter; słowem, pod klasyczną ich formą wyśledzić nieraz grę słonecznych i atmosferycznych fenomenów.

Opierając się zatém ściśle na nowych badaniach naukowych i tłómacząc niemi potrzebę nowego dzieła o literaturze greckiéj, Paweł St. Victor zbudował, rzec można, wspaniały panteon, zgromadził w nim wszystkie bóstwa starożytności. Estetyczne poglądy poprzeplatał historyą, zmieszaną z wątkiem najpoetyczniejszych podań. Przy rozbiorze np. tragedyi Eschylesa *Persowie*, skreślił cudny obraz dwu wojen medyjskich, w których nietylko wrogie plemiona ścierają się na ziemi, ale i bogowie Azyi walczą przeciw bogom europejskim, w nadsłonecznych wyżynach.

Z nieporównaném życiem autor maluje dziejowo-legendyczną przeszłość Hellady. Miłośnik sztuki umie czytać na starożytnych amforach hieroglificzne godła, i dopełniać je bogatą wyobraźnią. Idąc w ślad za nim, widzimy, jak Bachus zdobywa Indye, jak Satyry cwałują na dzikich buhajach, jak dwunastoramienne Tytany, Cyklopy i Centaury, wyzywają Olimp do zapasów.

Praca Pawła de St. Victor znalazła w Paryżu niemały rozgłos i rozmaite wywołała sądy. Zagrzebani w księgach rutyniści, nie zupełnie dowierzają tym poetycznym wywodom; akademicki komentarz Patona, większą ma powagę w ich oczach; ogół jednak chwyta z zapałem nowe dzieło, a pociągnięty urokiem poezyi, lepiéj zapewne pojmie dziś Eschylesa, niż go pojmowały przeszłe pokolenia zimną wykarmione erudycyą.

Ciekawi jesteśmy co powié o téj pracy nowa szkoła fizyologów niemieckich, która w organizmie starożytnych Greków chcie widziéć jakiś niedostatek, jakiś brak doskonałéj ewolucyi, do jakiéj ludzkość nie przyszła niby za ich czasów.

Młody Amerykanin, który przyjął narodowość francuzką i stale przebywa we Francyi, p. Fryderyk Nolte, napisał historyą pierwotnéj swéj ojczyzny i wydał ją w dwu tomach p. t.: *Histoire des Etats Unis d'Amerique, depuis les temps les plus réculés jusqu'a nos jours.* Literatura francuzka posiada już w tym przedmiocie znakomite dzieło profesora Laboullaya, przełożone świeżo na język polski. Dzieło to jest zbiorem prelekcyi, głoszonych przez lat trzy w kolegium francuz-

kiém. Wymowny profesor dał w niém analizę konstytucyi amerykańskiéj, wykazał pierwotne żywioły tego demokratycznego społeczeństwa, mniéj uwagi zwracając na fakta historyczne. Zresztą dociągnął tylko obraz dziejów do r. 1789, t. j. do chwili zawotowania konstytucyi. Do téjże daty pociągnął obszerną pracę swoję Bankroft, historyk narodowy. Stuletni blizko przebieg czasu, odkąd Ameryka żyje własném życiem, poraz pierwszy dopiéro ujęty został w jeden obraz, treściwém piórem p. Nolte.

W pierwszym tomie autor idzie w ślady za Bankroftem i Laboulayem. Nieodrodny Amerykanin, unika wszelkich krasomówczych ozdób, wszelkich dramatycznych efektów, wstrzymuje się nawet od własnych uwag, a pokazuje tylko wypadki, tak wymowne w swojéj prostocie. Mimo całéj treściwości poglądu, głęboko jednak porusza, zwłaszcza gdy maluje wielki przewrot w końcu XVIII wieku. Wspaniała też to epoka historyczna! Lud amerykański w chwili stanowczéj okazał najwyższe zalety: głęboką miłość prawa, niezachwianą wiarę w przyszłą niepodległość, niezłomną siłę woli, gorący zapał obok chłodnéj rozwagi, gotowość do wszelkich ofiar, posuniętą do bohaterstwa. Wszystkie te cnoty połączyły się w jednym mężu. Washington błyszczy w dziejach, jako godny przedstawiciel narodu swego: postać to prawdziwie typowa.

Amerykanie byli wówczas jednolitym niemal narodem; mieli własne tradycye, własną wiarę, własne wspomnienia i dążności. Potomkowie pierwszych kolonistów nie utonęli jeszcze w powodzi przybyszów niemieckich, irlandzkich i szwajcarskich; chciwość złota nie porwała jeszcze umysłów; szał spekulacyi nie zburzył ludzkich sumień; huk młotów i świst pary nie zmącił jeszcze ciszy domowych ognisk; słowem, Ameryka nie była jeszcze tym olbrzymim warsztatem, jakim dziś ją widzimy.

W tomie drugim p. Nolte opowiada historyą XIX-go stulecia. Obraz to z saméj natury rzeczy mniéj urozmaicony, a tém samém mniéj zajmujący. Ludzie szczęśliwi, jak narody szczęśliwe niémają historyi, mówi przysłowie. Angielski historyk Carlysle jednym rzutem pióra określił dzieje owych stu lat ostatnich. „Przeczytałem, mówi on, mnóstwo książek w Ameryce; i cóż mnie najwięcéj zajęło? oto że robotnik Jankes, może jeść indyka na obiad.” Nużącą tę jednostajność, przerwał jedyny, lecz olbrzymi epizod: wojna o rozdzielenie (*war of secession*), co w morzu krwi zatopiła niewolnictwo. Po wielkim przełomie społecznym, dzieje poszły znów jednostajną koleją: umilkł huk armat, zaturkotały koła, i maszyna potoczyła się znów, gniotąc w biegu wszystko, coby śmiało zatrzymywać jéj pochód.

Autor opowiada dzieje lat stu w ośmnastu rozdziałach, poświęconych ośmnastu prezydentom, od Washingtona do Hayesa. Jednostajny bieg rzeczy, przerywa od czasu do czasu krytyką literacką, ukazując w szeregu lat postacie znakomitych pisarzy i oceniając oryginalne a tak wpływowe ich dzieła. Występują tu po kolei: Fenimore

Cooper, malarz wielkich jezior i lasów dziewiczych; Edgar Poe, pełen dzikiéj fantazyi i werwy ekscentrycznéj, prawdziwy Jankes literacki; pani Beecher Stowe, dzielna szermierka w sprawie pokrzywdzonych niewolników; słodki i rzewny poeta Longfellow, pastor Channing, Washington Irwing, Tienot i tylu innych, których imiona zasłynęły na obrazach dwu światów. Te krytyczne zarysy w szczególny sposób ożywiają dzieło amerykańskiego historyka.

Wiadomo, jak Niemcy szydzą niemiłosiernie z literatury francuzkiéj, zarzucając jéj lekkość i blagę. Ciekawi téż jesteśmy, co powiedzą zareńscy erudyci na wychodzące właśnie pomnikowe dzieło lingwisty francuzkiego p. Godefroy; olbrzymie dzieło, któremu ten uczony poświęcił dwadzieścia pięć lat najmozolniejszéj pracy.

Mówimy tu o pierwszym zeszycie słownika p. t.: *Dictionnaire de l'ancienne langue française.* Cała publikacya obejmie dziesięć tomów w 4-ce. Autor zebrał tu wyłącznie wyrazy, zatracone w dzisiejszéj mowie. Źródeł do tego dostarczyły mu liczne archiwa, jak niemniéj bogate zbiory kronik i średniowiecznych poematów, przechowane tak w bibliotekach francuzkich, jak i w *British Muzeum.*

Obok uczonego lingwisty Godefroy, widzimy całą grupę erudytów, pracujących wytrwale nad wyjaśnieniem tekstów średniowiecznych i uczynieniem ich dostępnemi dla ogółu. Ruch ten zbudził się przed pięćdziesięciu laty, w czasach, kiedy romantyzm odniósł zwycięztwo nad klasycyzmem. Owocem tych półwiekowych trudów, jest wydanie starych kronik Villehardouin'a i Joinvilla z obszernemi komentarzami, jak niemniéj znakomita publikacya pieśni o Rolandzie z krytycznym rozbiorem Leona Gauthier.

Te prace erudytów, podjęte w celu wykazania bogactwa starodawnéj literatury francuzkiéj, obudziły w tych czasach silną protestacyą ze strony realistów, którzy przed tak zwaną epoką odrodzenia chcą widzieć tylko barbarzyństwo i grubą ciemnotę. Zwolennik nowéj szkoły p. Brunettiere rzucił pierwszy rękawicę, wbrew tym wytrwałym pracownikom, w rozprawie p t.: *Studya krytyczne nad historyą i literaturą francuzką*, drukowanéj w *Revue de Deux Mondes.* Szydzi on z Leona Gauthier, iż w komentarzu nad pieśnią o Rolandzie, śmie porównywać ten utwór do *Iliady.*

Przeciw rozprawie Brunettiera wystąpiło kilku filologów, mianowicie Boncherie, profesor fakultetu literatury w Montpellier. Najsilniéj przecież zaprotestował uczony niemiecki Koerting w *Zeitschrift für neufranzoesische Sprache und Litteratur.* Przytaczamy tu pełne znaczenia słowa erudyty niemieckiego, który ostro chłoszcze nową szkołę, zarzucając jéj brak patryotyzmu.

„P.Brunettiére, mówi Koerting, potępia surowo starożytny język i starożytną literaturę francuzką, potępia w zasadzie naukowe prace nad niemi, a szczególniéj gani prace, podjęte w celu rozpowszechnienia dzieł literatury średniowiecznéj, dotąd wyłącznie dostępnéj erudytom.

Widzi w tém rozpowszechnieniu groźbę i niebezpieczeństwo dla narodowości francuzkiéj. Przedstawia dawną literaturę jako zbiór grubiańskich utworów, bez smaku i wszelkiéj wartości. Sam nawet Roland niewyłączony zpod tak ostrego sądu!... Do takiegoż to stopnia francuz śmie, nietylko wyrzec się chlubnéj przeszłości literackiéj narodu swego, ale jeszcze bluzgać ją błotem!"

Konkluzya krytyka niemieckiego na szczególną zasługuje uwagę. „Dziś, mówi on, kiedy Francya tak szarpana zaciętą walką stronnictw, celem wszystkich ludzi światłych powinno być rozpowszechnienie badań historycznych, języka i literatury narodowéj, szczególniéj w pierwszych epokach ich rozwoju, a to, aby pokazać grunt stały i niezachwiany, na którym wszyscy Francuzi, bez względu na spory stronnicze, mogliby spotkać się razem, jako synowie wspólnéj matki i złączonemi siłami pracować dla dobra i szczęścia „pięknéj Francyi." Niechże Francuzi nie zapominają, jak dalece w Niemczech nauka starożytnego języka i starożytnéj literatury germanskiéj przyczyniła się do utrzymania i wzmocnienia sumienia narodowego; niech pamiętają w jak wielkiéj części Włochy winni odrodzenie swoje, wielkiéj gorliwości w przechowaniu swych lingwistycznych i literackich tradycyi."

Miejmy nadzieję, że ta lekcya patryotyzmu, dana przez Niemców, przywiedzie do upamiętania nową szkołę francuzką. Przestroga ta tém większe ma znaczenie, że erudyta niemiecki wyraża się z wysokiém poszanowaniem o francuzkiéj literaturze, a chłostę wymierza tylko przeciw zawziętym materyalistom.

W ogólności sądy Niemców o Francuzach coraz bardziéj stają się umiarkowane, a nawet nacechowane dobrą wolą. Wpadła nam właśnie w rękę kartka z podróży Juliana Rodenberga, drukowana w jednym z ostatnich numerów: *Deutsche Rundshau.* Autor opowiada wrażenia swoje z ostatniéj przejażdżki do Paryża, po trzynastoletniéj niebytności. Wrażenia to bardzo miłe; na pierwszéj zaraz stacyi owiała go ciepła atmosfera, zaprawna wonią róż i fiołków. Paryż oczarował turystę. Z przyjemnością przebiega bulwary i skwery, pełne kwiatów. „Za pierwszym rzutem oka, mówi on, uderza nas tu niesłychane, niewyczerpane bogactwo. Gdzie spojrzysz, obfitość najwyborniejszych rzeczy, jakie istnieją w świecie: kwiaty i warzywa, książki i obrazy, srebro i złoto, bronzy i porcelana, a jakież to życie, dla tych, co świeżo rozstali się z Berlinem!

Przeciwieństwo obu miast uderza podróżnika na każdym kroku. „Dlaczego, pyta sam siebie, Berlin nie posiada towarzystwa literackiego, któreby miało powagę Akademii francuzkiéj, Ileżby język zyskał na tém!" Dobrobyt niższéj warstwy mieszczaństwa paryzkiego, ten owoc stałéj oszczędności, nasuwa mu porównanie z tąż samą warstwą społeczną w Prusiech. „Rzadko się zdarza, mówi, aby mieszczanin niemiecki mógł wycofać się z handlu i żyć z procentu od uzbieranéj sumy. Pracuje całe życie, gdyż zapóźno począł myśléć o zaoszczędzeniu

grosza. Zwyczaje nasze inne, potrzeby nasze większe; nie idzie zatém żeby Niemiec żył lepiéj od Francuza: przeciwnie... ale Francuz poprzestając na małém, umié lepiéj spożytkować tę małą cząstkę, jaką przeznacza na codzienne potrzeby.

Autor dziwi się, że Francuzi nie znają bieżącéj literatury niemieckiéj. „We Francyi, mówi on, badają wyłącznie politykę, militaryzm i naukę niemiecką. Czyja w tém wina, czy nasza, czy Francuzów?"

Na to pytanie tak odpowiadają Francuzi.

„Jeśli Niemcy poszukują zagranicznych książek w dziale pięknéj literatury, to dlatego, że dział ten nie kwitnie dziś w ich kraju. Czynność intellektualna obróciła się w inną stronę. Z pomiędzy książek cudzoziemskich, francuzkie szczególniéj przypadają Niemcom do smaku; przyczyną tego: zwięzłość i jasność ułatwiająca czytanie. Francuz średniéj uprawy umysłowéj, nie szuka dzieł w obcym języku, bo ma pod ręką więcéj powieści, pamiętników, wierszy i rozpraw krytycznych, niż przeczytać ich może. Jeśli chce nakarmić umysł u sąsiadów, szuka raczéj książek angielskich, gdyż książka niemiecka przestrasza go w dziwny sposób. Zadługa dla niego, zatrudna do czytania, zaniedbana częstokroć w formie. Chciałby znaleźć w niéj więcéj idei ogólnych, zrażony trudnościami, porzuca ją, zaczém zdoła ocenić jéj wysokie i gruntowne zalety!"

KORRESPONDENCYA

REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

(SPÓŹNIONA).

Zjazd historyczny imienia Długosza w Krakowie, w dniach 18—21 Maja 1880 r.

Chwila, w któréj Towarzystwo Naukowe Krakowskie, do nowego życia powołaném zostało przekształceniem go na Akademią Umiejętności, stanowić będzie epokę w dziejach rozwoju naukowego, nietylko kraju, którego siłami Akademia powstała, ale zarazem wszystkich ziem języka polskiego i sąsiednich krajów słowiańskich. Jakkolwiek wielkiemu imieniowi Akademii, początkowo środki któremi instytucya rozporządzała nie zdawały się odpowiadać, jakkolwiek siły do zakresu prac mogły się wydawać za małe; duch który ożywiał i ożywia stojących u steru, chętna ofiarność i współczucie gorące ogółu, w krótkim czasu przeciągu, niemal cudami dowiodły, że miłość i wola są najpotężniejszemi dźwigniami czynu. Policzyć to, co Akademia Umiejętności w ciągu trwania swojego, stosunkowo krótkiego dokonała, rozpoczęła, do czego dała inicyatywę, w jak zbawienny ruch wprawiła umysły — byłoby zbytecznem i — nie jest zadaniem naszém. Chcielibyśmy tylko, mając mówić o zjeździe historycznym, połączonym z przeniesieniem i uczczeniem zwłok Długosza, oddać cześć należną instytucyi, która myśl jego powzięła i tak szczęśliwie urzeczywistniła.

Dnia 15 marca 1880 r. rozesłana odezwa, zwiastowała że w Krakowie dnia 19 maja odbędzie się przeniesienie popiołów Jana Długosza z urny, w któréj się dotąd pod kościołem św. Stanisława, na Skałce przechowywały, do nowego sarkofagu w świeżo odrestaurowanéj krypcie pod tymże kościołem. Doroczne posiedzenie Akademii Umiejętności, naznaczono w tym roku wyjątkowo w wigilią dnia uroczystości, powołując na zjazd historyczny imienia Długoszowego członków Akademii krajowych i zagranicznych, członków komisyi i wszystkich na polu dziejów w jakiéjkolwiek dzielnicy ich pracujących.

Zjazdy tego rodzaju, o ile się przyczyniają do zapoznania z sobą pracowników, do żywéj wymiany myśli i wiadomości, ludzi różnych

krajów i ognisk pojedynczych; żywe mamy dowody szczególniéj w czasach naszych, które w całéj Europie kongresami po sobie następującemi i mnożącemi się anthropologów, archeologów, etnografów, przyrodników nacechowane zostały. Wielkie płynące z nich korzyści nietylko sprawozdaniami i rocznikami udowodnione zostały, lecz w pracach podjętych przez uczestniczących w nich, w zawiązanych stosunkach, w spotęgowanéj energii objawiają się codzień. Urzędowe korzyści kongresów małe są, obok tych żywych prądów, które zetknięcie się bratniego ducha każdemu z członków przynosi. Niegodzi się téż pominąć korzyści jakie płyną ze zbliżenia się do siebie żywiołów międzynarodowych na neutralném polu nauki, na którém nietylko poznać się lepiéj, ale sprawiedliwiéj ocenić i przejednać mogą.

Myśl więc zjazdu w imię pracy około dziejów, pod zawołaniem historyka, który w swoim czasie równego sobie nie miał—i w europejskiéj literaturze toż samo, co w naszéj ma prawo zająć stanowisko— była nadzwyczaj szczęśliwą. Nigdzie téż właściwiéj jak u tego grobu i w téj staréj stolicy odbyć się on nie mógł.

Podnosić tu znaczenie męża takiéj zasługi jak Jan Długosz byłoby, po tylu innych wymownych głosach, które go oceniły, zbytniém i niemal śmiesznem. Imię jego i olbrzymia pozostałość najpracowitszego żywota, znanemi były nietylko u nas, lecz u obcych; do bliższego jednak rozpatrzenia się w téj spuściźnie trochę rozproszonéj i zaniedbanéj, pierwszy pono powołał niezmordowany pracownik, niedawno zgasły przedwcześnie ś. p. Aleksander hr. Przezdziecki. Rękopisma historyka długie wieki spoczywały w odpisach różnych, a wydania ich częściowe wymaganiom dzisiejszym wcale nie odpowiadały, część ich znaczna całkiem ogłoszoną nie była. Wielką ważność dzieł Długosza uznawszy ś. p. Aleksander hr. Przezdziecki podjął ogromny trud i nakład wydawnictwa ich, przewodniczył mu, kierował, łożył na nie siły i fundusze, a niedano mu było dożyć téj chwili, w któréj się ono dokonać miało. Pobożne ręce synów, dopiero pomnik Długoszowi zarazem i zgasłemu ojcu wzniosły i ukoronowały. Jakikolwiek był udział innych współpracowników, Przezdzieckiemu należy zasługa pierwszéj myśli i założenia podwalin dzieła. Bez środków naukowych i materyalnych, jakiemi on rozporządzał, bez téj odwagi, jaką miał do przedsiębrania olbrzymiego trudu — długobyśmy pewnie oczekiwali na wydanie pism historyka.

Na tle tego XV-go wieku, tak mało jeszcze stosunkowo zbadanego u nas a tak poznania godnego, obfitującego w postacie wielkie a nieocenione należycie, obok posągu Zbigniewa Oleśnickiego tuż stoi Jan Długosz.

W pamiętnym dniu bitwy Grünwaldzkiéj, gdy Zbigniew, rycersko jeszcze służący ocalił Władysława Jagiełłę od napadającego nań krzyżaka Dypolda Kikeritz, ojciec historyka naszego, odznaczył się także wzięciem w niewolą jednego z komturów zakonu. Długoszowie z Nie-

dzielska, zawołania Wieniawy, stare rycerstwo ziemi Wieluńskiéj służyli krajowi czynnie; ojciec Jana, po bitwie w któréj się męztwem odznaczył i któréj opis, jak się zdaje, synowi zostawił—burgrabia Breznicki, starosta grodowy miasta Nowego Korczyna, dorobił się mienia dla licznéj rodziny, którą po sobie miał zostawić. Rozrodzona familia, powtórne ożenienie, było powodem że Jan, jeden z najstarszych synów starosty, wcześnie musiał sam myśleć o własném wychowaniu i o chlebie, obierając sobie stan duchowny. Wychowanie poczęło się w małéj szkółce kościelnéj, skończyło w Krakowie na studyach uniwersyteckich, albo raczéj z żywotem dopiero człowieka, który sam sobie winien był wszystko; niespętany żadną formą i metodą współczesną, własną drogą i duchem dobijając się stanowiska, jakie pozyskał. Żywot to nauczający a dowodzący raz jeszcze ile może człowiek, gdy wielka wola da mu żelazną wytrwałość. Stosunki dawne zapewne, może z pod Grunwaldu datujące, wiązały Długoszów ze Zbigniewem Oleśnickiem, który tak przeważne stanowisko zajmował w Rzeczypospolitéj iż sam prawie epoce swéj panuje. U boku tego męża stanu, przodującego losom kraju, wyrobił się nasz historyk. Jemu był winien pierwsze swe kościelne dostojeństwa, z jego natchnienia podjął się olbrzymiego zadania dziejów krajowych, na dotąd niebywałą skalę osnutych. Żywot Długosza jest jedném pasmem nieustającego trudu. Zarząd ogromnych dóbr krakowskiego biskupstwa, dyplomatyczne misye, podróże, które go aż do Jerozolimy zawiodły, poselstwa w sprawach krajowych, chwilowe prześladowanie, nauczycielstwo synów królewskich, gromadzenie materyału historycznego, aktów historyi kościoła i wyposażenia jego tyczących, budowanie kościołów i burs dla młodzieży, składają się na obraz tego niezmiernie czynnego pasma dni bez spoczynku.

Aby ocenić pracę Długosza, tę tylko, która po nim jako główny pomnik została, trzeba się przenieść w czasy owe, przypomnieć, że oprócz roczników, kronik i lóżnych aktów nic obrobioném i przygotowaném nie było, że tu budowniczy sam znosić głazy, ciosać kamień, plan rysować, rzeźbić i gładzić był zmuszony. Ci co zarzucają dziś Długoszowi pracy jego usterki, winniby pomnieć raczéj, iż cudu niemal dokonał, materyał tak różnorodny, tak rozliczny, sprowadzając do téj jedności i całości jaką stworzył z niego. Prace dzisiejszych historyków, po tylu przygotowawczych co je poprzedziły, szafunkiem sił i potęgą ducha równać się nie mogą, z tém, co ów pierwotny dziejopis dokonał. Poprawić go łatwo, zrównać mu niepodobna. Duch który ożywia dzieło jego, wszędzie jeden, miłością kraju promieniejący, namaszczony wiarą głęboką, przeświadczony o sprawiedliwości Bożéj. Takiego-to dziejopisarza, kapłana, dyplomaty i świętobliwego męża kości, zaledwie w części zachowane, uczcić miano pogrzebem nowym, u grobu jego zwołując ludzi do nowego trudu, na polu, na którém on pracował.

„Umocnić się w obowiązku skrzętnéj opieki nad spuścizną dziejów, rozbudzić w szerszych kołach jak najgorętsze téjże zamiłowanie,

objąć za pomocą wspólnego porozumienia zadania najbliższe naukowéj pracy około téj spuścizny, poruszyć strony jéj zaniedbane, a przecież pierwszorzędnéj ważności, ogrzać się wspólnie przy tém ognisku domowém, którém jest dla każdego narodu miłość jego przeszłości, połączona z sumienną służbą prawdzie: oto czego się spodziewamy po zjeździe zamierzonym" — powiada odezwa wzywająca na obchód Długoszowy — a co, dodać możemy, w zupełności przez zjazd ten osiągniętém zostało.

Program uroczystości zapowiadał w dniu 18 maja posiedzenie publiczne Akademii Umiejętności, w dniu 19 złożenie popiołów w nowym sarkofagu na Skałce, tegoż dnia zagajenie zjazdu, wieczorem w teatrze obraz historyczny prof. J. Szujskiego: *Długosz i Kallimach* a na dwa dni następne ranne i południowe posiedzenia, z bardzo urozmaiconemi zadaniami i kwestyami do roztrząsania. Można było przewidywać zawczasu, iż bogaty ten program, w małéj zaledwie cząstce da się, dla niewielu godzin przeznaczonych — wypełnić.

Spodziewano się iż zjazd będzie licznym, oprócz Członków Akademii miejscowych, zapowiedzianém było przybycie d-ra Roeppel, d-ra Caro, d-ra Nehringa z Wrocławia, d-ra Zeissberga z Wiednia, historyka Tomka z Pragi, członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk z Poznania, z Gniezna, uczonych i literatów z Warszawy.

Już dnia 17 z południa zapowiedziani goście przybywać zaczęli, przyjęci uprzejmie przez znajomych i życzliwych na dworcu kolei żelaznéj. Jeden tylko z pożądanych i spodziewanych gości, prof. Zeissberg z Wiednia, wymówił się stanem zdrowia, który mu przybyć niedozwolił. Wspomnim tu główniejszych tylko biorących czynny udział w kongresie: z Wrocławia trzech wymienionych wyżéj, z Pragi Tomka, z Poznańskiego pp. Kazim. Jarochowskiego, Szulca, ks. prof. Likowskiego, ks. Chotkowskiego, Węclewskiego, prof. Rymarkiewicza, z Warszawy Konstantego hr. Przezdzieckiego, Swieżawskiego, Aleksandra Lessera, dr. Benni, redak. *Kłosów* Antoniego Pietkiewicza, Wacława Szymanowskiego; z Rygi barona Manteuffla de Schoege, autora *Inflant Polskich*, z Galicyi i Lwowa prof. A. Małeckiego, rektora Ks. Liske, pp. Klem. Kanteckiego, Łozińskiego, Karola Rogawskiego, Bronisława Trzaskowskiego, ks. Stanisława Załęskiego z Tarnopola, i ks. Kalinkę. Spis ten niepełny, urzędowe sprawozdania które Akademia ogłosi, dadzą w całości.

W dniu naznaczonym na publiczne posiedzenie (d. 18 maja) sala w Sukiennicach przystrojona ozdobnie w chorągwie cechów i uwieńczone popiersie Długosza, zawczasu napełniła się gośćmi płci obojéj. Na estradzie ukazał się o godzinie dwunastéj wice-protektor Akademii namiestnik Alfred hr. Potocki, zagajając piękną przemową posiedzenie w imieniu arcyksięcia Karola Ludwika.

„Oddając cześć—wyraził się w niéj — wielkiéj pracy i wielkiéj nauce, która imię Długosza otoczyła wiekopomną sławą, nie można było zaiste obrać sposobu godniejszego nad ową inicyatywę (zwołania zjazdu)

która gromadząc pod egidą Akademii mężów wiedzy i badaczy do wspólnego roztrząsania poważnych i doniosłych kwestyi naukowych, tak świetném jest spełnieniem owéj wzruszającéj prośby wielkiego dziejopisarza, w któréj to „zaklina on mężów duchownych i świeckich, doktorów, profesorów, magistrów, kollegiatów, studentów, pisarzów fakultetów matki naszéj Uniwersytetu krakowskiego, aby dzieło przezeń rozpoczęte, daléj prowadzili."

Odpowiadając na przemówienie hr. namiestnika, prezes Akademii zasłużony dr. Majer, wedle dorocznego zwyczaju zdał szczegółową sprawę ze stanu i z czynności instytucyi, któréj przewodniczy i powitał gości przybyłych, a mianowicie dr. Roeppla, który w języku niemieckim odpowiedział wymownie, podnosząc tę uznaną prawdę, iż uprawa umiejętności nie dzieli ale zbliża i łączy narody, bo jéj zadaniem jest beznamiętne poszukiwanie prawdy. Podajemy słowa dr. Roeppla w całości tak jak miejscowy dziennik je wydrukował: „Wielce szanowny panie prezesie! Pozwól mi pan w dniu, w którym po raz pierwszy między członkami téj czcigodnéj Akademii zająłem krzesło moje, przedewszystkiem i nasamprzód wynurzyć najgorętszą podziękę za wysoki zaszczyt, któryście mi okazali, wybierając mnie na członka. Umiejętność nie dzieli narodów, lecz owszem łączy je i zespala; albowiem jakkolwiekby dalece rozchodziły się interesa w innych dziedzinach życia, co jest rzeczą naturalną, a nawet jakkolwiekby z sobą były sprzeczne, na polu i na gruncie umiejętności wszystkie one jeden i ten sam mają interes, jeden i ten sam cel na oku: zbadać i głosić prawdę. Takiém owiane przekonaniem i w tym duchu Towarzystwa historyczne i archeologiczne na Szlązku poleciły mi podziękować wam za łaskawe zaproszenie do udziału i złożyć w ich imieniu najszczersze życzenia na ten dzień uroczysty i wynurzyły je w adresie, który... odczytam" i t. d.

Nastąpiło odczytanie znakomitéj rozprawy: *O Długoszu, jako historyografie* prof. J. Szujskiego, w któréj podniósł znaczenie prac jego, przywiódł zdania o nim współczesnych uczonych, kończąc ogólnym poglądem na obowiązki dziejopisa względem narodu, jako powołanego do karmienia go nie tém, co mu pochlebiać może, ale co go uzdrawiać i oświecać powinno. Odczyt ten zapewne w całości ukaże się w sprawozdaniu urzędowém; my z niego, wedle dzienników, przytaczamy tylko ustęp końcowy, który nam daje poznać najlepiéj stanowisko autora, przekonania jego i kierunek, jakiby był rad nadać pracom Akademii i który téż w niéj przeważa:

„Ojciec historyi naszéj (Długosz), to ojciec jednéj z tych stron umysłowego życia, któréj ważność mierzy się położeniem naszém w historyi. Narodom, na szczycie potęgi stojącym, może chwilowo, póki trwa wątek politycznéj dzielności, wyniesiony z twardego z dziejami własnemi obrachunku, nie szkodzi historyografia, lubująca się w podziwie dokonanych dzieł i rządząca wszystko inne z wyżyny téj chwały; narodom zachwianym politycznie i społecznie byłaby już bezpośrednio niebezpieczną; ratować je może, oprzytomniać i hamować na ślizkich

drogach bezwzględnych teoryi, tylko upominający głos doświadczenia wieków i spokojnego przejść podobnych rozbioru; narodom, które politycznie nie żyją, a nie wyrzekły się Boga, co dźwiga upadłe—i własnéj szlachetnéj dumy, która Bogu wytężeniem wszystkich sił dopomódz gotowa; historya używana tylko jako pobudka narodowych uczuć, jako plaster obwijający zaskrzepłe rany, jako łachman chwały dawnéj, pozostałéj po żywych politycznie, byłaby zabójczą. Lekarka ona upadłego na ziemię rycerza, nie piastunka zepsutego dziecka, wieszczka wołająca do ekspiacyi win dawnych, nie rzemieślniczka malująca domowe i narodowe chwały; myślicielka namiętna i nieustająca, nietylko nad tém, co się stało śmiercią, ale i nad tém, co było życiem. Surową była zawsze i jako taka odtrącaną; gniewano się na to, co podawała, jako przyczyny upadku i nie chciano tego, co podawała, jako kordyał życia. Wiek XVI poterał Długoszem, chociaż na większego historyka się nie zdobył, chociaż jak on, o pomniki dziejów z pyłu przeszłości wydobyte się nie starał, owszem je zaniedbał... Śmiem twierdzić, kończy prof. Szujski, że dotąd jesteśmy w epoce przejścia od metody do metody, że szarpiemy się i wydzieramy temu największemu z obowiązków, jakim jest wcielenie w każdy krok i ruch naszego życia tego ścisłego obrachunku z obowiązkami, którym w entuzyazmu chwili przynosiliśmy całopalenie z siebie samych. Siebie samych i dziś musimy dać, zupełnie doskonaléj, bo z poświęceniem tego, z czém się człowiek najpóźniéj rozstaje, próżności téj szlachetnéj, ale próżności zawsze, co szepcze: jesteś bohatérem! Historya w najgłębszych tajnikach swoich zna tylko jednę miarę najwyższéj cnoty i poświęcenia, tę, która gubi siebie aż do najrzetelniejszych gatunków miłości własnéj (?) wobec tego, co się kochać powinno. Zna téż chwile, gdzie tylko taka pomaga miłość i zna narody, które i na taką miłość stać powinno, najtrudniejszą ze wszystkich, bo jakiekolwiek miały błędy, kochały i kochają bardzo, idą, gdzie przedmiot miłości z koła blizkiego, czy dalekich wieków się odsłania; potrzebują kochać. Niechże kochają tak, jak kochał przed czterema wiekami zmarły ten, którego każdy tryumf ojczyzny wiódł do Boga, a każda klęska i nieszczęście do surowego obrachunku z sumieniem, którego cechą najgłębszą i najpiękniejszą było to właśnie, że nie żałował siebie, aby powiedzieć prawdę tym, których kocha."

Wymowny ten ustęp, którego stężonych piękności zaprzeczyć niepodobna, do kilku uwag, zwłaszcza jako wygłoszony na zjeździe historyków, w sposobie programu prac przyszłych,—skłonić musi. Prof. Szujski zapatruje się w nim na dziejopisarstwo nie ze stanowiska czysto naukowego, ale raczéj utylitarnego. Chce on historyi zastosowanéj do potrzeb narodu, do jego stanu i usposobień. My sądzimy, że celem historyi jest poszukiwanie prawdy zawsze i wszędzie, a podawanie jéj zarówno zdrowym i chorym. Przyprawiać ją wedle temperamentów i wymagań chwili, jestto już historyą robić służką, a nie panią i mistrzynią.

W tém, co tu głosi prof. Szujski, główną myślą i wyrzutem jest, żeśmy dotąd nadto strony jasne dziejów naszych podnosili, zbyt pochlebnie własną sądzili przeszłość, zaćmiewali przezto uznanie potrzeby poprawy, moralnego podźwignięcia się i trzeźwego o sobie sądu. Jestto w części prawdziwém, a jednak wielce, jak się nam zda, zwiększoném. Nie zbywało nam na reformatorach, na dziejopisach, podnoszących wady i winy, na karcących grzechy, na głoszących prawdę surową. Nie od dziś poczynamy kajać się i poznawać słabości nasze. Szkoła ta, która w interesie narodu ciemne strony przeszłości chce uwydatnić, nie jest nową. Pierwsi obcy, nieprzyjaźni nam, rany te odsłaniać poczęli, szyderstwem je jątrząc bezlitośném. Wierzymy w to, że szkoła, co się nową mieni, cel ma poczciwy i dobra pragnie, nie sądzimy jednak, aby go na téj krańcowéj drodze znalazła i celu dopięła.

Narodom politycznie i społecznie żywym, prawda gorzka—jest może potrzebniejszą jeszcze, niż upadłym i obezwładnionym, którym wspomnienia jasne są jedyną w niedoli pociechą, a często do podniesienia na duchu skuteczną pobudką. Ale tak jednym, jak drugim, wielka mistrzyni z chłodem i beznamiętnie powinna ukazywać całą prawdę, zarówno jasną, jak ciemną, a potrzeby czasu i lekarstwa na choroby, z drogi ją nigdy zbijać nie mogą. Powtarzamy jeszcze: sługą narodowych marzeń, cierpień i zachcianek czynić się historyi nie godzi, powinna być życia mistrzynią.

Nie zgadza się z jéj wysokiém kapłaństwem być lekarką upadłego rycerza. Słowo to, które ma na ustach namaszczonych dla wszystkich zarówno, mieści w sobie siłę uzdrawiającą; lecz ona głosząc go, nie potrzebuje oglądać się, czy je wyrzecze na cmentarzu, na pobojowisku, czy wśród uroczystych blasków chwały.

W pięknem zakończeniu tego ustępu historyi nakazaną jest miłość; lecz ona (historya), o ile siły ludzkie zdobyć się na to mogą, beznamiętną być jest obowiązaną i ani kochać, ani nienawidzieć prawa nie ma. Jest sędzią, a od sędziego wymagamy, aby w niczém z podsądnym związanym nie był, słuchając tylko głosu wielkiego prawa Bożego—sprawiedliwości.

Po odczycie prof. Szujskiego, prof. hr. Tarnowski, wierszem sędziwego poety A. E. Odyńca, na cześć Długosza, zakończył posiedzenie:

...I takim sędzią sprawiedliwym, czystym,
Był Długosz, prawy dziejopisarz polski,
On w niéj proroka wzrokiem promienistym,
Odgadł duch Boży i cel apostolski.
I z cnót naukę i z błędów przestrogę,
Czerpiąc z przeszłości radami świętemi,
Ukazał ziomkom Bożéj woli drogę,
I cel im przez nią wytknięty na ziemi.
A jak niepłonną była ta przestroga,
Wieki dowiodły i wieki dowiodą,

Jak krzyż pokuty z wiarą w pomoc Boga,
Łaski się Jego uwieńcza nagrodą i t. d.

Z ogłoszonych nowych konkursów, o których ma Akademia rozstrzygać, najważniejszym jest przez prof. Heitzmana, z nagrodą 300 złotych austryackich, wyznaczony za rozprawę o Długoszu i dziełach jego.

Wieczorem dnia tego prezes Akademii D. Majer, przyjmował u siebie niemal wszystkich przybyłych gości z tą serdeczną gościnnością polską, któréj tradycyą Kraków zachował.

Dnia 19 z rana, zapowiedziane przeniesienie kości Długoszowych do nowego sarkofagu w krypcie odnowionéj kościoła ś. Stanisława na Skałce, z wielką odbyło się uroczystością.

Opis jéj niech nam wolno będzie poprzedzić kilku słowy, co do wyboru miejsca, w którém śmiertelne szczątki dziejopisa złożono i co do odnowionego podziemia na Skałce, jak się zdaje, w myśli tych, co o restauracyą jego się starali, przeznaczonéj dla pracowników pióra, dla bohatérów myśli, dla zasłużonych pismem i słowem.

Wiekopomną będzie zasługa prof. J. Łepkowskiego, znakomite uporządkowanie, można powiedzieć stworzenie grobów królewskich na Wawelu, w tym Panteonie polskim, w którym oprócz królów i wodzów—dlaczegóżby, choć w oddzielnéj, bocznéj krypcie, Długosz i inni zasłużeni pracownicy spoczywać nie mieli? z tego sobie sprawy zdać nie umiemy. Dlaczego tych biédnych, jakby proletaryat jaki, niegodzien spoczywać przy dostojniejszych, do krypty na Skałkę wygnano? Czemu z katedry nie chciano zrobić Westminsteru polskiego?

Myśl wyłączania, klasyfikacyi i podziału zasług na kategorye różnych stopni, przyznajemy się, nie widzi się nam zupełnie właściwą, ani szczęśliwą. Godziło się takim jak Długosz, dać choć po zgonie przytułek obok innych mężów zasługi, na równi z ludźmi oręża i dostojnikami. A jeśli szczupłość miejsca nie dozwalała, bodaj kryptę stworzyć nową, nie wysyłając ich na wygnanie, nie skazując na odłączenie, na które wprawdzie skazuje ich życie, ale śmierć wyzwolić powinna.

Być bardzo może, iż w myśli nie miano tego co się myśli mimowolnie nastręcza. Jeżeli komu, to Długoszowi należał sarkofag na Wawelu, obok Kmitów i Załuskich, u stóp tych królów którym służył, których dzieje unieśmiertelnił; obok wodzów i hetmanów, gdyż był także i jest wielkim hetmanem i wodzem... Lecz, rzecz jest dokonana i, choć się to rzekło, profesorowi Łepkowskiemu winniśmy wdzięczność za niezmordowaną gorliwość i serdeczną miłość, z jaką spełnił ten obowiązek czci dla wielkiego dziejopisa.

O godzinie dziewiątéj rano, liczny zastęp otaczał już wnijście do podziemia. Prezes Akademii, profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego w uroczystych strojach: togach i biretach, prezydent miasta, członkowie Akademii i kongresu oczekiwali na przeora księży Pauli-

nów, któremu prof. Łepkowski wręczył klucze od podziemia przy stosownem, krótkiém ale rzewném i gorącém przemówieniu, wyrażając w niém myśl tę, że krypta kosztem kraju na grób zasłużonych mężów otwartą zostaje „o których przyszłość orzecze, że do miary Długosza dorośli." Na tym progu, dodał, napisaćby się godziło, że przezeń tylko trumna cnotliwego przejść może do chwały, którą darzy ojczyzna."

Pięknie odpowiedziawszy podziękowaniem za to, że zakonowi jego „skarb taki powierzono," Przeor, wręczonym mu kluczem otworzył kryptę, u któréj drzwi ochotnicy straży pożarnéj, z uczniów Uniwersytetu składający się, ustawieni zostali i porządek wzorowy utrzymali.

Zdaje się, że opis najlepiéj tu zastąpi sam protokół czynności, który na miejscu zredagowany został przez notaryusza kapituły JMX. J. Polkowskiego, jak następuje:

„W Imię Trójcy Przenajświętszéj. Działo się w Krakowie, w krypcie kościoła na Skałce, w obecności pana konserwatora Łepkowskiego, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, konserwatora zabytków pomnikowych, W. Ojca Przeora XX. Paulinów i wielu dostojnych gości; ja notaryusz kapituły delegowany do téj czynności od Najprzewielebniejszego JMX. biskupa, przystąpiłem do następującéj czynności:

„Prof. Łepkowski powziąwszy myśl uczczenia krypty na Skałce grobem dla zasłużonych w narodzie mężów, poczet których miał otworzyć sarkofag księdza Jana Długosza historyka polskiego, funduszem na ten cel wyznaczonym przez wysoki sejm krajowy; dokonawszy tego dzieła, w dniu dzisiejszym oddał klucze od krypty W. Ojcu Przeorowi i przystąpił do wyjęcia zwłok z katakumby Długosza, ustawionéj na podstęplowaniu, z napisem następującym:

Ossa
Illmi Joannis
Dlugossi
Nominati Archi-Episcopi Leopoliensis
Historici Reg. Poloniae
Defuncti A. D. 1480 die 29 Mai

Pan konserwator uderzywszy młotkiem w cegły, rozbił węgieł zamurowania katakumby i wydobył z niéj garnek wielki o dwu uszach z napisem ołówkiem:

Ossa
piae memoriae
P. D. M. Joannis
Dlugossy
in Alma Universitate Cracoviensi
Patris Senioris Decretorum Doctoris
rerum memorabilium scriptoris
meritorum et doctrinae gloria
viri clarissimi

hujus quondam loci praepositi
qui tandem amplissima gratia
Gloriae divinae patres ordinis
Sancti Pauli primi Eremitae ad hacce rupellam
. . . . . condidit asceterium
Eis jus suum loci et curandi animas conferendo
sui
Renumerator bonorum
Coronam Angelicam et lucem tribuat
Sempiternam.

Następnie wyjmował kości, które, wedle determinacyi dr. Majera prezesa Akademii Umiejętności, były następujące: kość biodrowa (os ilium), 14 żeber, 16 kręgów szyjnych i grzbietowych (vertebrae), łopatka lewa (scapula), kości udowe prawa i lewa (ossa femoris), kość goleniowa (tibia), przykostki goleniowe, piszczele, inaczéj kości łydkowe (parvae fucilae, majus fibula), kości ramieniowe, prawa i lewa (ossa brachii, vel humeri), kość łokciowa (ulva, vel cubitus), prawa i lewa, kostka śródręczna i kilka ułamków niezdeterminowanych; po wyjęciu których pokazała się na dnie garnka flaszeczka, mieszcząca w sobie widocznie papier jakiś; po rozbiciu tejże, znaleźliśmy nadpleśniałą kartkę papieru pismem zeszłego wieku, napisaną w tych słowach: „W tymtu garku znajdują się kości Długosza kanonika y historyka Królestwa Polskiego. Stały te kości bardzo długo w garku w grobie tutejszym. Tandem R. P. 1792, 10 augusti w święto Świętego Wawrzeńca w imieniny natenczas O. Przeora tuteyszego, Definitora Prowincyi, Ś. Theologii Doktora, gdy te katakumby zostały skończone, kości wspomnionego Długosza zamurował mularz niejaki Marcin Ławecki przy mnie natenczas subpryorze tuteyszym y oraz prefektem teyże Fabryki katakumbow Imieniem X. Andrzey Czechowicz. Gdy tedy dowiedziałeś się, czyje to są kości, pobożny czytelniku, bądź łaskaw za duszę tę, która niegdyś ożywiała te kości, zmówić jedno Pozdrowienie, tudzież za Przeora imieniem Wawrzyńca Szultcza jedno Zdrowaś Marya, nakoniec za subpriora niegdyś, także proszę o jedno Zdrowaś Marya. Łatwo to uczynisz gdy będziesz pamiętał na to, iż co ty czynisz dla innych, inni także za ciebie w czasie uczynią. Vale." Po odczytaniu tey karty W. O. Przeor XX. Paulinów wezwał obecnych do modlitwy, a pan konserwator przełożywszy kości do trumienki ołowianéj, mającéj na wierzchu wyryty herb Wieniawa i głoski:

J. D. C C C.
A. L. E.

majstrowi blacharskiemu p. Pinkalskiemu brzegi trumienki zalutować polecił. Trumienkę ołowianą z kośćmi Długosza wynosimy teraz do ustawienia jéj na katafalku w kościele."

Nabożeństwo żałobne odprawiał najprzewielebniejszy JMX biskup krakowski Albin Dunajewski. Trumnę na ramionach nieśli: rektor i profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kondukt prowadził sam pasterz, przemawiając przy złożeniu kości i oddaniu ich pod straż i opiekę księży Paulinów. Po przełożeniu zwłok do nowéj trumny, orszak cały udał się do górnego kościoła na uroczyste nabożeństwo, które biskup celebrował. W czasie jego ks. kanonik Polkowski w obszernéj mowie podniósł zasługi dziejopisa, świątobliwość jego, cechy charakteru jakie go odznaczały, wreszcie znaczenie obchodu.

W czasie obrzędu trumienka ze zwłokami Długosza, uwieńczona, spoczywała na katafalku, który otaczała, licznie bardzo zebrana na nabożeństwo ludność Krakowa i przybyli goście. Ztąd przenieśli ją znowu na ramionach profesorowie Uniwersytetu do krypty. Sznury trzymali: prezes Akademii Majer, prezydent miasta dr. Zyblikiewicz i dwaj rektorowie uniwersytetów krakowskiego i lwowskiego, Dunajewski i Biliński. Po skończoném nabożeństwie wezwano przytomnych do podpisania pargaminowego aktu pamiątkowego, który do grobu został włożony.

Nie potrzebujemy zapisywać tu, jak wielkie wrażenie na przytomnych wywarł cały ten obchód uroczysty. Mimowolnie, na widok szczątków zasłużonego męża, których część się tylko zachowała od zagłady, bo czaszki w nich nawet brakło, przychodziła smutna myśl znikomości rzeczy ludzkich. Podania jakie krążyły o losach, którym podlegały zwłoki, o zaniedbaniu w jakiém być musiały, nie mają w sobie nic tak oznaczonego i pewnego aby je powtarzać warto było.

Na dzień ten, program zapowiadał w teatrze wieczór akademicki (paré), urządzony przez młodzież na cześć Jana Długosza, składający się z obrazu historycznego we trzech aktach, J. Szujskiego, pod tytułem: *Długosz i Kallimach* (przedstawionego przez amatorów), z obrazu z żywych osób (apoteozy) i chóru (*Pieśń Filaretów*).

Jakoż o godzinie wpół do ósméj, w przepełnionym teatrze, młodzież odegrała zapowiedziany utwór prof. Szujskiego, który żywo zajął widzów i mnogiemi oklaskami, a wywołaniem autora kilkakrotném został przyjęty. Jak wszystkie dramata dziejopisa-poety, *Długosz i Kallimach*, znany już czytelnikom naszym, bo ogłoszony przez jeden z tygodników warszawskich (*Tygodnik Illustrowany*), pięknym bardzo i dźwięcznym napisany wierszem, odznacza się myślą poważną i majestatycznym pokrojem. Długosz i Kallimach występują w nim jako wcieleni reprezentanci dwu skrajnie przeciwnych idei. Z jednéj strony, Długosz jako mąż wierny kościołowi, powagę jego szanujący, z drugiéj, Kallimach pragnący oswobodzenia myśli z pod wszelkiego przymusu, a władzy świeckiéj zpod zwierzchnictwa Rzymu. Nie wchodząc w to, czy istotnie za tak krańcowych przekonań przedstawicieli dwu tych znakomitych ludzi uważać można, myśl główna bardzo jasno uwydatniona, ubarwiona poetycznie, służyła autorowi do wygłoszenia własnego jego poglądu na dzieje ludzkie i dzieje kraju. Nie tajno niko-

mu, że zasłużony pracownik stoi w rzędzie tych, którzy bronią zachowawczych zasad, i idą po stronie powagi i tradycyi przeciw swobodzie bezmiernéj i prądowi samowolnemu, niczém nieokiełznanych idei postępu. My ze stanowiska naszego, przyznając potrzebę hamulca, jako jednego z czynników ważnych w rozwoju ducha ludzkiego, nie zaprzeczym téż racyi bytu śmielszym pokuszeniom i szlachetnym porywom ku światłu, które tu Kallimach przedstawia. Prawda jest może, ani na tym krańcu co bieg powstrzymuje, ani na tym co w bieg wprawia bez świadomości jasnéj celu jego, ale w wyniku samego starcia się tych dwu sił i ich równowadze. Dla nas zarówno Długosz jak Kallimach, widzą się pożytecznemi w swém miejscu i czasie. Osierocenie z jednéj z tych sił byłoby równie zgubném dla ludzkości, jak wyłączna któréjkolwiek przewaga. W dziejach i w życiu widzimy je ciągle i widzieć będziemy w walce, któréj owocem właśnie jest postęp powolny, stopniowy, na przeszłości oparty, a wierzący w przyszłość. Zadanie poety wcielenia myśli tak trudnéj do ucieleśnienia w postacie historyczne XV wieku: w Kazimierza Jagiellończyka, dwu jego doradzców i synów, głównie w Kazimierza, w mierze możności zostało rozwiązaném szczęśliwie. Lecz dramat to tendencyjny, w którym na scenie idee nie żywych widzimy ludzi, i akcya téż jakkolwiek bardzo dobrze zastosowana do wymagań założenia, nie starczyła na uwydatnienie idei, a dopełnioną być musiała długiemi rozmowy i dyskusyami dwu głównych postaci. Interwencya Opatrzności, która łamie zuchwałe zachcianki Kazimierza Jagiellończyka, wskazując mu zapóźno prawdziwe jego posłannictwo na Wschodzie, równie jak cała budowa jest bardzo zręcznie ułożoną. Całość jednak ze swemi typami, zamiast żywych ludzi, z uosobieniami idei, dla wybranych tylko słuchaczów mogła być dostępną. Z młodych amatorów, którzy odegrali dramat, występujący w roli królewicza Kazimierza, szczególniéj się talentem odznaczył. Śpiewy chóralne i piękny obraz, zajmującego widowiska dopełniły szczęśliwie.

(*Dok. nast.*).

J. I. Kraszewski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego. Przez dr. Antoniego Małeckiego. Lwów, 1879 r. 2 tomy, w 8-ce (str. XII, 490 i 546).

Nie należy to wcale do tajemnic umysłowego rozwoju naszego, że zdobycze wiedzy i naukowego światła, jakie u zachodnich narodów systematycznie w nieprzerwanym ciągu pracowitych badań się gromadziły, nie doznawały u nas przez długi czas należytego uznania i rozpowszechnienia. Zdarzało się, że zaledwie po upływie kilku dziesiątków lat, postrzegaliśmy wynikający ztąd pośród siebie zastój, i wtedy dopiéro nabieraliśmy przeświadczenia o potrzebie wydobycia się z takiego zaniedbania, i staraliśmy się podążyć za światłem, które innym oddawna już dobroczynnie przyświecało.

W rozwoju każdéj niemal u nas gałęzi nauki, można rysy powyższe zauważyć i wykazać. Nie rozbieramy przyczyn, w znacznéj części nietrudnych do odgadnienia, nie myślimy przez to lekceważyć i dawniejszych usiłowań naukowych, nie łudzimy siebie i czytelnika, jakgdyby dopiéro dzisiejsze badania w każdéj gałęzi wiedzy, rozpoczynać miały postęp naukowy, ale zaznaczamy tylko sam fakt. I lingwistyka porównawcza będąca owocem przeważnie niemieckiéj pracy bieżącego stulecia, nie odrazu przychylnego doznała u nas przyjęcia, bo nie znalazła dostatecznie przygotowanych do tego umysłów. Zbyteczna dodawać, ile opóźnienie téj nauki przyczyniło szkód w badaniach nad ojczystym językiem i ile prac w najlepszéj intencyi podejmowanych, przepadło bez najmniejszéj istotnéj a trwałéj dla tych badań korzyści.

Kiedy H. Cegielski, uczeń Boppa, w r. 1842 wydał w Poznaniu rozprawę *O słowie polskiém*, podług systemu Dobrowskiego, praca ta gramatyczna pierwsza na podstawach naukowych oparta, nie zwróciła uwagi większości naszych uczonych, którzy, obok systemu gramatyki dawniejszych filologów, tylko w „duchu języka" jedyną, niczem niezmąconą krynicę lingwistycznéj mądrości upatrywali: przez długi bowiem przeciąg czasu nie mogła gramatyka porównawcza wyrobić sobie prawa obywatelstwa w literaturze szkolnéj, nietylko u nas, ale i w Niemczech. We Francyi i Anglii także dopiéro w nowszych czasach dobiła

się należnego sobie uznania. Nie odmawiano tym studyom wartości naukowéj; ale uważano je za niewłaściwe, co mówię, prawie za szkodliwe w szkole. Reprezentanci filologii klasycznéj na katedrach uniwersyteckich (Aug. Boeckh, Haase, Schnaider i w. i.), traktowali aż po rok mniéjwięcéj 1856, tylko z pewną ironią badania gramatyki porównawczéj. Nie dziwimy się zatém, że i między naszymi „glossofilami," piszącymi bez należytego przygotowania nietylko gramatyki, ale i „filozofie języka polskiego" i t. p., nauka gramatyki porównawczéj prawie była zupełną *terra incognita*. Rozprawa Cegielskiego spoczywała sobie zatém zupełnie spokojnie w *Orędowniku* od 1842—1854 r. Dopiéro Ks. Fr. Malinowski podniósł jéj stronę naukową w rozprawie, drukowanéj w *Bibliotece Warsz.* 1854 r.

Czujność zaś aż nadto licznego zastępu gramatyków bez systematycznéj, filologicznéj nawet nauki, zaniepokojona szerzącemi się posłuchami o nowéj niemieckiéj mądrości, rozbrzmiała donośnym głosem ostrzeżeń o zgubnych skutkach, jakie „lingwistyka porównawcza, jako płód germańskiego ducha," na nasz język sprowadzić miała." I, dziwna losu ironio, w tym samym czasie cudzoziemiec C. W. Smith, duńczyk, wydaje w języku niemieckim, w Berlinie, gramatykę języka polskiego [1]), pierwszą na zasadach naukowych opartą, a Fr. Miklosić, słowiniec, we Wiedniu, obok innych języków słowiańskich, naukowo opracowuje głosownią języka polskiego, zarzucając przytém literaturze polskiéj powierzchowność i brak naukowego kierunku w badaniach gramatycznych [2]).

Wkrótce potém z pomniejszemi pracami swemi występuje ks. Fr. Malinowski; ukazuje się w Poznaniu naukowa rozprawa Józefa Przyborowskiego *Kilka słów o języku Jana Kochanowskiego* (1857 r.), tudzież rozprawa *O deklinacyi przymiotników w staropolszczyznie* (1861 r.), obie przez długi czas u nas nieznane.

W téj téż dobie zjawiają się na polu naszego językoznawstwa i monografie naukowe Sucheckiego i Trzaskowskiego [3]). W roku zaś 1863 wydał we Lwowie *Gramatykę języka polskiego*, w całkowitém opracowaniu Małecki, trzymając się w niéj w pewnych częściach (głosowni w nauce o formach), przeważnie systemu i zasad Miklosića, w innych zaś dając owoc pracy samodzielnéj.

---

[1]) C. W. Smith: *Grammatik der polnischen Sprache.* Berlin, 1845 r. 2-gie wydanie, Berlin, 1864.

[2]) „Das polnische, durch seine reiche, originelle literatur unter den slavischen sprachen einen der ersten plätze einnehmend, hat sich bisher einer mehr extensiven als intensiven pflege seiner grammatik zu erfreuen gehabt." Fr. Miklosich: *Vergleichende Lautlehre der slavischen Sprachen.* Wien, 1852 r., str. 10.

[3]) Suchecki: *Przegląd form staropolskiego języka*, 1857 r. przy *Wypisach dla szkół galicyjskich.* Trzaskowski: *Nauka o pierwiastkach i źrzódłosłowach jęz. pol. ze stanowiska porównawczéj gramatyki.* Kraków, 1865 r.

Po wydaniu téj książki, a bardziéj jeszcze, a nawet u nas przeważnie pod wpływem pożytecznéj działalności w tym kierunku, rozpoczętéj w Kursach przygotowawczych i prowadzonéj, mimo upartych przeszkód ze strony zwolenników dawnéj rutyny, gorliwie przez kilku profesorów b. Szkoły głównéj, (Przyborowski, Kwiet)—zaczęło się coraz więcéj rozpowszechniać i ustalać przekonanie, że bez uwzględnienia zasad i wyników nowszych badań lingwistycznych, bez wskazówek, jakich dostarcza porównawcze badanie pobratymczych języków słowiańskich, niepodobna myśléć o jakimkolwiek umiejętnym, naukowym wykładzie prawd języka ojczystego. Samo się przez się rozumié, że pojęcia te nie wszędzie przeniknęły tam, dokąd przeniknąć były powinny: i do dziś dnia znajdują się twórcy gramatyk i wydawcy, obywający się bardzo wygodnie bez tych porównawczych „nowatorstw," i dziś jeszcze Sierocińskiego gramatyka w Warszawie, w dwudziestém drugiém ukazuje się wydaniu!

Mimo to, przyznać trzeba, sprawa naszéj umiejętności bez zaprzeczenia postąpiła naprzód. I kiedy Schleicher w r. 1868, dając recenzyę pracy Trzaskowskiego i gram. Małeckiego orzekł, że z pojawieniem się prac tych u Polaków tama dla ściśle naukowego kierunku badań językowych, zdaje się, zostanie przełamaną [1]), to dziś, rzuciwszy okiem na dwunastoletni przebieg czasu, w którym się pojawiły prace językoznawcze: Baudouina de Courtenay, Lucyana Malinowskiego, Małeckiego, Franc. Malinowskiego, Władysł. Nehringa, Brücknera, Kaliny, Pilata, Karłowicza, Kruszewskiego, Appela tudzież najnowsze prace dyalektologiczne świeżo wydane w Krakowie, zaznaczyć możemy, że przepowiednie Schleichera zawodu bynajmniéj nie doznały: kierunek naukowy w zakresie badań językowych stanowczo zapanował.

W krótkim czasie po wyjściu gramatyki Małeckiego, ukazało się w Poznaniu (1865—1869 r.) dzieło p. n.: *Krytyczno-porównawcza gramatyka języka polskiego, z dzisiejszego stanowiska lingwistyki porównawczéj napisana*, przez ks. Fr. Ksaw. Malinowskiego, będąca owocem długoletniéj mozolnéj pracy i zamiłowania autora w badaniach nad ojczystym językiem, nie wolne jednak od wad i wielu niedokładności, zawierające głównie wykład głosowni, i morfologii, tudzież niektórych zasad z zakresu etymologii (stron blizko 700 w wielkiéj 8-ce). W bezpośrednim związku z tém dziełem, zostaje praca tegoż autora, wydana także w Poznaniu 1873 r. p. t.: *Dodatek do gramatyki języka polskiego, obejmujący uzupełnienia i sprostowania* etc. (str. 73, w wielk. 8-ce). Stanowisko autora w tych dziełach tak pod względem

[1]) Die nüchterne, strenge methode der glottik scheint bei den Polen nicht leicht eingang gefunden zu haben, doch beweisen zwei mir vorligende bücher, dass der damm gebrochen, und der strom im gange ist." *Beiträge zur vergleichenden sprachforschung*, 1868 r., t. V, str. 249, przywiedzione w artykule Wł. Nehringa: *Die philologischen Arbeiten bei den Polen in neuerer Zeit* w I-szym tomie *Archiv für slavische Philologie*. Berlin, 1876 r. str. 254.

niektórych zasad lingwistycznych, jakotéż zapatrywania się i tłómaczenia wielu zjawisk języka polskiego, różniące się wybitnie od stanowiska Małeckiego, spowodowało niemniéj wyraźną różnicę w szczegółowém obu tych gramatyk opracowaniu.

Obecnie najnowszą pracą, przedstawiającą nam całość umiejętności naszego języka, jest gramatyka historyczno-porównawcza Małeckiego, wydana pod tytułem w nagłówku niniejszego przeglądu przywiedzionym. W dziele tém zawarte są następujące części: 1) *Głosownia*, czyli nauka o istocie dźwięków i ich właściwościach; 2) *morfologia*, czyli nauka o formach (deklinacya i konjugacya); 3) *etymologia*, czyli nauka o tworzeniu się wyrazów; 4) nauka *o partykułach*, czyli częściach mowy nieodmiennych; 5) *składnia*, czyli nauka o zdaniu; i część 6-ta dodatkowa, *ortografia*, będąca zbiorem w jednę całość tych wszystkich „orzeczeń, które nas uczą, jak się co w polskim języku pisać powinno."

Jako całość dzieło obecne nie jest bynajmniéj wydaniem poprawionym gramatyki, przed 16-tu laty przez autora napisanéj. Odnosi się to szczególniéj do części 1-éj i 3-iéj; głosownia bowiem i etymologia zostały teraz na innych podstawach i w szerszych nierównie rozmiarach opracowane; pozostałe zaś części, jedne uzupełnione w nieznacznéj tylko mierze, drugie więcéj przerobione (np. konjugacya) weszły w skład obecnego dzieła podług pierwotnego planu i dawniejsze wydanie w swym obrobieniu przypominają. Prócz tego autor w obecném wydaniu opuścił w części 6-téj, traktującéj o pisowni, poprzednio wyłożone uwagi o znakach przestankowych, jako téż cały „dodatek o wierszowaniu," zawierający naukę o rytmie, o budowie wiersza polskiego, o średniówce, rymie i zwrotkach.

Natomiast wykład głosowni, a zwłaszcza etymologii, która sama jedna połowę całego dzieła stanowi (str. 480), podane tu w nowém opracowaniu objętość tego dzieła do dwu sporych tomów powiększyły. Już z tego widać, że wykład na tak obszerną skalę podjęty i z niemałym trudem dokonany, nie ma charakteru podręcznika szkolnego. Autor téż przy układzie jego, jak sam oznajmia, nie liczył się z celami nauki szkolnéj, „z tą bowiem, jak mówi, dzieło niniejsze niéma mieć żadnéj styczności," ale inne, rozleglejsze przedsięwziętéj pracy zakreślił widoki. Zamiarem jego było: wykład prawd i zjawisk języka ojczystego oprzéć na nowych zasadach, rozjaśnić go nowém światłem lingwistycznéj wiedzy, „dając rzecz niemal każdą" w porównaniu z dotychczasowym stanem nauki „w wręcz odwrotnéj genezie." Wprawdzie, przedsiębiorąc wykonanie téj nowéj i trudnéj nader pracy, autor nie przepowiadał ani oczekiwał dla niéj „pochwały w najbliższych latach," wié nawet o tém zgóry (jak sam mówi) i jest na to „zupełnie przygotowany." Oceniając równie bliżéj stanowisko swoje w dzisiejszych badaniach, zwłaszcza w opracowaniu głosowni i etymologii, mówi wprost: „Kiedyś jednak, i o tém równie nie wątpię, zasady i odmienności wzięte za podstawę w téj książce, będą musiały nietylko

w słowiańskiéj lingwistyce znaleść uznanie, ale sprawią maleńką zmianę frontu i w nierównie dalszych kręgach téj naszéj umiejętności. Poszczególnych wprawdzie twierdzeń, które się nie utrzymają, będzie tu pewnie szereg niemały; niejedna kombinacya moja może zupełnie upadnie jako zbyt śmiała: lecz główne podwaliny metody, mianowicie jéj genetyczność, zamiast panującego po dziś dzień w mownictwie dogmatyzmu porównawczego, i zasada tu wszędzie przeprowadzona, zasada, mówię, traktowania *wszystkich* szczepowych języków indo-europejskich zarówno, z *równém* uwzględnieniem tego, co one nam o przeszłości swéj świadczą, zamiast żeby sam tylko sanskryt miał być tém, czém on dzisiaj w lingwistycznéj praktyce de facto *jest* (choć w teoryi czynią się zastrzeżenia w duchu przeciwnym), to wszystko musi kiedyś prędzéj, czy późniéj wziąć górę nad tegoczesném, jak same fakta już uczą, niedostatecznem i pomimo całéj swojéj nibyto pozytywności na bezdroża prowadzącém postępowaniem."

Zanim przyjdzie nam, w samym wykładzie pracy autora, zapoznać się dokładniéj z metodą genetyczną badania, już tu zauważyć musimy, że głównym lingwistyki porównawczéj znamieniem jest właśnie owa genetyczność badania; nie czyim bowiem innym, tylko téj metody jest dziełem wykazanie pierwotnego stanu tak pojedyńczych dźwięków, jak i form językowych, wykrycie odpowiedniości dźwiękowych w językach pokrewnych szczepu aryjskiego, określenie praw, wedle których dźwięki te w rozwoju każdego języka pewnym ulegają zmianom, jak również sił i czynników stale działających w życiu języka i z biegiem czasu formy jego przeobrażających, słowem cały szereg prawd, dotyczących *rozwoju* każdego z języków aryjskich, wzajemnego pokrewieństwa tychże języków, zarówno jak i narodów, jakie się z jednego pierwotnego pnia aryjskiego w ciągu długiego szeregu wieków rozrosły.

Lingwistyka porównawcza w badaniach swych posiłkuje się wszelkimi znanymi faktami językowymi całéj rodziny aryjskiéj, żadnego z jéj członków nie wyłączając. Że w wielu razach w dochodzeniach tych badacze chętniéj uciekają się do pomocy sanskrytu, oddając mu niejako pierwszeństwo przed innymi, powód tego postępowania zrozumiały i poniekąd usprawiedliwiony, przemawia bowiem za tym językiem większa jego, aniżeli innych, starożytność i rola, jako języka podstawowego dla całéj odnogi języków indyjskich i pośród nich najdawniejszego. Nie zupełnie zaś słuszném byłoby twierdzenie, że pozostałe szczepowe języki nie są w badaniach porównawczych odpowiednio zużytkowane. Nie potrzeba przywoływać na świadectwo całego szeregu poważnych prac niemieckich lingwistów, począwszy od Bopp'a, by przeciwny stan rzeczy wykazać; wystarczy wzmianka choćby o jednéj tylko pracy Schleichera p. t.: *Compendium der vergleichenden Grammatik der indogermanischen Sprachen*, które naocznie może przekonać każdego, że w porównawczém systematyczném badaniu zarówno zjawiska sanskrytu, jak zendu, greckiego, łacińskiego, celtyckiego, starosłowiańskiego, litewskiego i gockiego należnym cieszą się

tam uwzględnieniem. Że przy badaniu pojedyńczych języków przez niektórych gramatyków uciekanie się do porównań ze sanskrytem bywa nieraz zupełnie niewłaściwe i zbyteczne, a nawet prowadzące na bezdroża, nie winien temu sanskryt ze swojém znaczeniem, jakie posiada w lingwistyce, lecz poprostu nieumiejętne z nim obchodzenie się. Niekiedy też i naukowy przesąd w połączeniu z uporem bez zupełnego przyczynienia się sanskrytu, niejednego ostrożnego badacza „na bezdroża" wywiodły.

Przejdźmy jednak do rozpatrzenia treści samego wykładu gramatyki.

W części I-éj dzieła zawarł autor *głosownią*. Mamy tu przedstawione wiadomości o naturze, pochodzeniu i przemianach dźwięków języka polskiego w ich genetycznym rozwoju. W dziale o samogłoskach obecnego języka, autor wykazuje ich początek, stopniowe zmiany i przekształcenia aż do chwili obecnéj, objaśnia znaczenie dźwięków, dziś nie istniejących w języku polskim, a oddawanych w starosłowiańskim znakami *ѣ*, *ъ*, *ь*, oraz znaczenie i rozwój samogłosek nosowych: *ę*, *ą*, *an*.

Ponieważ orzeczenia, dotyczące stanu pierwotnego języka w epoce przedpiśmiennéj, w braku pozytywnego materyału, snują się w wielu razach na mniéj lub więcéj prawdopodobnych przypuszczeniach, dlatego badaniom, zwłaszcza w zakresie wokalizmu, zbywa zwykle na dokładności i ścisłości naukowéj.

W wykładzie znaczenia samogłosek *ъ*, *ь*, spotykamy rzeczy zasadnicze, przedstawione należycie. Niesłusznie tylko może za cechę specyficzną tych samogłosek uważa autor to, co jest właściwością innych także dźwięków języka polskiego. Mówi bowiem: „Uważam w ogólności całe istnienie tych dwu samogłosek w mowie szczepu naszego za przywiązane do pewnéj tylko i to przejściowéj epoki." Nie śmiemy bynajmniéj prawdzie téj przeczyć. Jest ona jasną i powszechnie znaną; skoro samogłoski półtonowe *ъ*, *ь*, powstały na miejscu pierwotnych pełnych, a potém same zastąpione zostały innemi, oczywiście żywot ich rozciągał się w granicach pewnéj epoki. To jednak przejściowe ich istnienie nie może być uważane za szczególną, wyłączną ich właściwość. O wielu bowiem innych dźwiękach, o każdym nawet dźwięku, który w języku nie pozostaje nieruchomym, ale wskutek pewnych przyczyn przechodzi w inny, można z równą słusznością powiedzieć, że byt jego „przywiązany jest do pewnéj tylko i to przejściowéj epoki." Między innemi np., istnienie samogłosek nosowych w starosłowiańskim i we wszystkich językach słowiańskich (z wyjątkiem polskiego i kaszubskiego), zanim przerodziły się w samogłoski czyste, stanowiło właściwość pewnych tylko, ograniczonych epok życia tych języków; albo np., spółgłoski: *r'*, *d'*, *t'* w polskim istniały przez pewien tylko czas, miały swoję „epokę przejściową," skoro potém uległy zmianom na *rz*, *dź*, *ć*.

Że „doba jerowa" istniała w życiu każdego języka słowiańskiego, nie podlega żadnéj wątpliwości. Odgadywanie jednak przyczyn, które

ją wywołały, w ten sposób, że „mowy słowiańskie w rozwoju swoim dążyły przedewszystkiém widocznie ku jędrności (?), ku temu, by wyrazy swoje o ile możności skrócić," zdaje się już wkraczać w sferę nieujętą zaciekań metafizycznych.

Dla poparcia słusznego przypuszczenia, że brzmienie głosek *ъ*, *ь*, które zastąpiły miejsce pierwotnych samogłosek, było jakieś nieokreślone, niedomawiane, półtonowe, słowem, że były to „substytutowe pomruki," autor przyzywa na świadectwo co do téj kwestyi dzisiejszy stan języka bulgarskiego i słoweńskiego, w porównaniu ze starosłowiańskim. W bulgarskim znak *ъ* używa się w piśmie dla oddania dawnéj samogłoski *ą*, dziś w tym języku zatraconéj, a raczéj przeobrażonéj w krótką półsamogłoskę, albo, jak autor nazywa, w „półtonowy pomruk" [1]). To jednak użycie graficzne znaku *ъ* na miejscu zaginionego *ą* jest czysto przypadkowe, konwenansowe i niéma najmniejszego związku z etymologią starosłowiańskich jerów *ъ*, *ь*, a tém samém do opierania na tém wniosków o naturze samogłoskowych brzmień *ъ*, *ь*, w języku polskim nieodpowiednie i najzupełniéj nieprzydatne.

Nowością w głosowni obecnéj, wprowadzoną przy tłómaczeniu przeobrażeń fonetycznych naszego języka, jest pogląd autora na naturę i rolę diftongów, czyli dwugłosek w pierwotnéj polszczyznie. Przez nazwę dwugłoski rozumiemy w gramatyce połączenie dwu samogłosek w jedno, np.: *ai*, *ei*, *ia*, *ie*... Istnienie ich w dobie początkowéj życia naszego języka zdaje się być niewątpliwe. Były one czas jakiś w języku, odegrały pewną rolę w budowie wyrazów, a następnie przerodziły się, dawszy z kolei początek innym żywiołom. Tym to diftongom przypisuje autor najważniejszą rolę miękczenia przed nimi stojących spółgłosek. Po dokonaniu zaś tego przeznaczenia, „wyszły one z używania," jak się niewłaściwie autor wyraża (str. 27) i zastępujemy je obecnie albo: 1) przez jotowe sylaby: *ja*, *ją*, *je*, *je*... i t. d.; 2) przez samogłoski wytworzone z dwugłosek, jak: *ê* zamiast *ai* i *ia*; „albo wreszcie zastępujemy owe dwugłoski podziś dzień 3) przez jakąkolwiek samogłoskę pojedyńczo użytą, jeśli takowa np.: w władz*a*, bani*a*, kul*a* i t. p., następuje po jakiéj miękkiéj spółgłosce i stanowiła dawniéj w dwugłoskach, od *i* się zaczynających, drugi składnik tychże dwugłosek; w kul*a*, kul*ę*, kul*ą*, kul*o*, mamy samo *a*, *ę*, *ą*, *o*, zamiast *ia*, *ię*, *ią*, *io*, te *i* zostały tu bowiem poodrzucane" (str. 28). Krótko mówiąc, niegdyś było: *ia*, *ie*, *ią*, a że dziś zostało *a*, *ę*, *ą*, więc *i* musiało być „odrzucone." Autor nawet w dalszym ciągu głosowni nadaje owemu „wyrzuceniu diftongowego *i* ze wszystkich zgłosek," znaczenie osobnego stadyum w procesie kolejnych przeobrażeń fonetycznych (str. 119).

[1]) Uważane przez autora (str. 14) końcowe *ъ* w wyrazach bulgarskich takich jak wod*ъ*, g*ъb*ъ... nie zastępuje tu *a* nieakcentowanego (zamiast woda, g*ъba*), lecz również nosowe *ą*; nie są to bowiem właściwie formy nominativu, który w języku zaginął, lecz accusativu, który miejsce tamtego zajął z własną swoją końcówką *ъ*, wytworzoną z poprzedniéj *ą* (*wodą*, *gъbą*).

Teorya, jak widzimy, bardzo prosta i jasna, dopóki będziemy mieli do czynienia... z literami na papierze, w oderwaniu od języka żywego. Okaże się jednak niewystarczającą, wprost zejdzie do wartości mechanicznego objaśnienia, gdy się zwrócimy do mowy żywéj, a w szczególności rozpatrzymy zgłoski (np.: *mia*, *nia*, *sza*, *dza* ..), w składzie których pierwotne te dwugłoski tak ważne miały znaczenie.

Zapoznajmy się jednak bliżéj z samym wykładem autora. Autor naucza, że dwugłoski *ia*, *io*, *ie*... wskutek wchodzącego do ich składu *i* (Schlejcherowskie *i* silbebildend), posiadały własność miękczenia spółgłosek; takie „diftongowe *i* czasu swego miękczyło każdą poprzedzającą spółgłoskę. Tak np.: obracać (obrót), słodzę (słód), pasza (pasę), bania, skupiam i t. p., dlatego tylko mają *c*, *dz*, *sz*, *ń* i *p'*, zamiast *t*, *d*, *s*, *n*, *p*, ponieważ pierwotnie były wyrazy te wymawiane z *i* diftongowém: *obratiać*, *słodię*, *pasia*, *baniu* i *skupiam*, potém *obraciać*, *słodzię* (wymawiaj, jak gdyby było *obracyać*, *słodzyę* [!?]), *paszia*, *bania*, nakoniec po odrzuceniu tego *i:* obracać i t. d. A zatém *i* diftongowe jedynie sprawiło to w tych wyrazach, co do spółgłoski tu widoczne przeobrażenie" (str. 47).

Zjawiska téż fonetyczne, podobne jak starosłowiańskie: *rozsądati*, polskie *rozsądzać*, według autora miały powstać z poprzedniego starosłowiańskiego rozsądiati, polskiego rozsądziati, „przez odrzucenie *i*." Oświadcza przytém autor wyraźnie, że „z gruntu mylnym zaś jest błędem rozumiéć, że takie *i* były jotami i że te joty w to *ź*, albo polskie *dz* wnikły" (str. 49). Jota bowiem, jako spółgłoska, jest „późniejszym wytworem z takiego *i* diftongowego," mianowicie w epoce, kiedy już *i* diftongowe zmiękczeń wszelakich dokonało. Dodać jednak należy, że podług autora, nie każdy pierwotny diftong *ia*, *ie*, przerodził się w dwugłoskę: *ja*, *je*, *ję*... Liczne z nich, jak tylko co czytaliśmy, straciły swoje *i* diftongowe przez zwyczajne „odrzucenie." O pozostałych zaś autor powiada: „sylaby jotowe, t. j. praejotowane, np.: *ja*, *je*, *ju*... zamiast dawnéj dwugłoski, spotykamy *tylko na początku zgłosek* (zgłoski na początku zgłosek?), a więc albo na samém czele całkowitych wyrazów, albo w ich środku po *samogłosce*, np.: jadę, dojadę, za-jadł, dziś zjadł, nigdy zaś po spółgłosce" (str. 28). Zastrzeżenie to niemożliwości wytworzenia się joty *po spółgłosce* (t. j. *ja* z pierwotnego *ia*), wydaje się nam wprost dogmatyczném, fizyologiczne bowiem warunki nie stały temu bynajmniéj na przeszkodzie. Zastrzeżenie takie autora zostaje w bezpośrednim związku ze sposobem tłómaczenia zmiękczeń spółgłoskowych.

W wyrazach takich, jak: *władza*, *obracać*, *pasza* i t. p., dotychczas przypisujemy powstanie spółgłosek *dz*, *c*, *sz*... z pierwotnych *d*, *t*, *ch*... wpływowi, jaki wywarła miękka podniebienna *j*, wymawiana łącznie po tych twardych spółgłoskach, t. j., z pierwotnych form przejściowych *władja*, *obratjać*, *suchja*, utworzyło się: *władza*, *obracać* *susza* i t. p. Podobnie formy: nodze, matce... powstały z poprzednich

nogje (= nogъ) = nog'e = nodze; matkje = matk'e = matce i t. p.; obecność *j* po spółgłosce twardéj *g*, *k*... t. j. *gj*, *kj*, łącznie z nią wywołuje dźwięk, którego wartość fizyologiczna równa się *g'*, *k'*; w dalszym zaś rozwoju języka, gdy dźwięki *g'*, *k'* dla organów żywéj mowy stały się trudne, lub niemożliwe do wymawiania, przerodziły się one ostatecznie w *dz*, *c;* w innych znowu razach w *dź*, *cz*, podobnie zupełnie jak *t'*, *d'* wydały *ć*, *dź*, lub téż *c*, *dz* i t. d., dźwięki fizyologicznie złożone z dwu elementów.

Autor w gramatyce swojéj, tłómaczenia takiego nie przyjmuje, nazywając je „doktryną," która „w tegoczesnéj lingwistyce popłaca," i czyni jéj zarzut, że „nie zdaje sobie z tego wcale sprawy, jakie koleje przechodziły takie wyrazy jak *sadzać*, *władza* i t. p."

Nie należymy bynajmniéj do pielęgnujących wiarę we wszechmocność joty, ani do wyznawców jednostronnego „zetacyzmu" Schlejcherowskiego; liczne bowiem zjawiska fonetyczne języka polskiego uczą nas, że miękczenie spółgłosek odbywa się zarówno i pod wpływem następujących po nich samogłosek wąskich *e* i *i*. Okrom tego jednak, nie możemy zamykać oczu na tę prostą fizyologiczną prawdę, że własność miękczenia poprzedzających spółgłosek w naszym języku, posiadała również najmiększa ze spółgłosek podniebiennych *j*, znajdująca się w każdéj ze spółgłosek *ja*, *je*, *ji*, *ją*..., bezpośrednio po spółgłoskach i łącznie z niemi wymówiona.

Rozpatrywana powyżéj teorya autora może być bliska prawdy do pewnego tylko stopnia, można powiedzieć, w połowie przedstawionéj genezy; w drugiéj zaś swojéj części wyraźna dowolność i brak ścisłości w objaśnieniu ostatecznie odejmują jéj wszelką cechę naukową.

Prawda mianowicie poglądu rzeczonego leżeć może w tém, że pierwotne połączenia samogłosek *ia*, *ie* (jeżeli nb. w słowiańskim możliwe było takie wymawianie) miękczyć mogły poprzednie spółgłoski, przez swoję miękką samogłoskę *i;* chociaż bliższe prawdy będzie tłómaczenie, że pierwotne *ia*, *ie*, wymawiane z poprzedzającą spółgłoską twardą dawało zgłoskę *ja*, a takie dopiéro połączenie wskutek podniebiennéj *j* wywoływało kolejno dalsze przeobrażenia poprzednich spółgłosek, jak to wyżéj przedstawiliśmy.

Na zasadzie tegoż samego tłómaczenia, możemy objaśnić i proces powstania dzisiejszéj samogłoski *e*, odpowiadającéj starosłowiańskiemu ѣ. Pochodzenie jego dwugłoskowe, czyli diftongowe nie ulega wątpliwości. Piérwotne na gruncie słowiańskim połączenie dwu samogłosek w postaci *ie* długiego, postawione po spółgłosce fizyologicznie twardéj, przeobraziło się w *je*, a następnie w takiż sam sposób w naszym języku dało początek zgłoskom miękkim, wywołując kolejne zmiany: *r* na *r'*, potém na *rz;* *t* na *t'*, potém na *ć;* *d* na *d'*, potém na *dz* i *dź* i t. d. Lecz u autora „jota nigdy żadnéj spółgłoski nie miękczy." Z tego powodu autor stwarza formy takie, jak: rozsądziati, paszia, obraciać, słodzię, które nigdy w polskim nie istniały i nawet nie

były możliwe do wymówienia, zwłaszcza, gdybyśmy je chcieli wygłosić podług podanego przez autora przepisu: „wymawiaj jak gdyby było *obracyać*, *słodzyę*"!? Z takichto dopiéro form powstać miały, według autora, dzisiejsze *obracać*, *słodzę* „po odrzuceniu *i*." Teorya, która w taki sposób mechaniczny zdaje sprawę z kolei, jakie przechodziły dzisiejsze wyrazy, traci tém samém charakter naukowy.

Niekiedy zdawałoby się, że autor blizkim jest uznania zmiany w tych razach dwugłoski *ia*, *ie*, na zgłoski *ja*, *je;* w tłómaczeniu jednak szczegółów zasadniczo różni się od „doktryny" jotacyjnéj, przypisującéj jocie miękczenie spółgłosek. Tak np. w § 20 gramatyki czytamy: „dzisiejsze nasze *ja*, *je*, *jo* i t. d., wymawiają się wprawdzie w sposob bardzo zbliżony do brzmienia, jakie mieć mogły dwugłoski *ia*, *ie*, *io*, jednakże zawsze z pewną różnicą. Wymówienie dwugłoski *ia* leży wpośrodku między *ia* a *ija;* jestto *ija* wymówione jako *jedna* sylaba. Praktykujemy obecnie wymawianie takie codziennie w owych cudzoziemskich wyrazach, o które tyle zawsze sporu, jak się właściwie pisać powinny np. czy *manija*, czy *manja*, czy *mania*. W tym wyrazie jest *ia jednosylabną dwugłoską*, dlatego tylko do dziś dnia zakonserwowaną, że to wyraz cudzoziemski, który już w łacinie, zkądeśmy ostatecznie go wzięli, wymawiał się z takiém w téj zgłosce *nia* diftongiem" (str. 28). Z tego widać, że tak w tym razie w powołaniu się na łacinę, jak i na wielu innych miejscach w swojéj gramatyce, autor między znakiem na papierze, między symbolem widocznym, a istotą rzeczy, nie upatruje zgoła różnicy i jedno bierze za drugie. Konsekwentnie też dla autora i „w dzisiejszym stanie języka polskiego," istnieją jeszcze dwugłoski we wszystkich wyrazach przejętych z obcych języków, takich jak „autono*mia*, lini*a*" i t. p. (str. 24).

Dopóki jednak liter na papierze w niedokładnéj pisowni łacińskiéj niemożna utożsamiać z dźwiękami żywéj mowy polskiéj, napróżno usiłowalibyśmy wmówić w siebie, że sufiksy (*nia*) w podobnych łacińskich, greckich i wogóle obcych wyrazach przyjętych do polskiego i po polsku wymawianych stanowią „jednosyllabną dwugłoskę." Mowa ludu, język żywy nie jednostek, ale milionów przeczy temu stanowczo. Dla nas pozostaje rzeczą jasną, że zbieg pierwotnych samogłosek *ia* w obcych wyrazach rozwija się w wymowie polskiéj w dwie zgłoski *ija*, z których pierwsza *i* wymawia się krótko z powodu akcentu w wyrazie na trzeciéj zgłosce od końca; że więc wyrazy podobne, przyjęte do polskiego, zatrzymują tu zarówno przedkońcowe obce *i* jako też końcówkę samogłoskową *a*, poprzedzając ją spółgłoską *j*, akcent tylko przypada wówczas na trzeciéj zgłosce od końca, zupełnie tak samo jak to ma miejsce i w innych obcych wyrazach np. *o*ptyka, *fi*zyka, l*o*gika, gram*a*tyka, mech*a*nika i t. p. Wskutek tego, jeżeli już mowa o sposobie pisania powyższych wyrazów, to nie może być sporu, czy pisać *manija*, czy *manja*, czyli też *mania*. W pierwszym razie piszemy obok obcego i zgłoskę *ja*, w wymowie każdego polaka i przez każde ucho polskie *najwyraźniéj* słyszaną; w wymowie nawet ludowéj akcent tych wyra-

zów upodabnia się do akcentu czysto polskich, t j. pada na przedostatniéj *i* t. j. manïja, lilïja..., tak samo jak i w innych obcych: fizyka, lojika, gramatyka, mechanika i t. p. Przy wygłaszaniu drugiéj postaci: *manja*, musimy wymówić oderwaną zgłoskę *man* z twardém *n* na końcu, a po nim *ja*, lub téż *ma-nja* (z twardém *n*, jeżeli *j* ma być wymówione!), a więc niezgodnie z prawdą. W trzecim zaś razie: jeżeli formy *mania* nie zechcemy przeczytać *mańa*, (t. j. identycznie z pieszczotliwym od *màryja*), a więc fałszywie, musimy, skoro niéma środkowéj *j*, wymówić: *mani-a* i, chcąc niechcąc, przyznać się znowu do okaleczenia wyrazu. A przecie sam autor na inném miejscu naucza, że „pisowni zadaniem być to nie może, żeby zgodę między uchem i okiem umyślnie kłóciła i dawała nie wizerunek języka, ale jego karykaturę" (str. 79).

Te główne różnice pomiędzy poglądami autora, a panującą dotychczas „doktryną" w lingwistyce uwydatniły się i w objawieniu innych zjawisk języka polskiego. Tak np. poucza nas autor o „dwóch samoistnych" obok siebie samogłoskach *i* t. j. *ii*, jako prawdzie rzeczywistéj naszego języka. W przeszłości języka widzi je we formach *bii*, *gnii*..., z których się rozwinęło *bij*, *gnij*, w dzisiejszych: *linii*, *batalii*, lub w dawnych formach moi-i, swoi i, tych powoi-i, z których „po zarzuceniu (?) dwugłosek" wyrobiło się dzisiejsze *moi*, *swoi*, *powoi*, t. j. „*i* diftongowe (przy *o*) złączyło się z drugiém *i* i wydało jedno *i*." Przeczy daléj autor wymawianiu polskiego *i* ze spółgłoską *j* i usuwa zgłoskę *ji* z szeregu: *ja*, *je*, *jo*..., twierdząc najdogmatyczniéj, że „przed polskiém *i* joty niesłychać" (str. 50), że „w tych wszystkich wyrazach *i* wsiąknęło w siebie *j*" (str. 85), na przekór akustyce i fizyjologii, która takiego *i* gębczastego wcale nie zna. Sposób zaś pisania: mo*ji*, two*ji*, lin*ji*, kole*ji*, nadzie*j'*, oswo*jić*, *ji*stota i t. p. nazywa „przesadną akuratnością, pedanteryą, z *historyzmem języka* niezgodną, zresztą (jak dodaje) nikomu nieszkodliwą," nie bacząc, że właśnie orzeczeniem takiém daje świadectwo przeciwko samemu sobie; historyczna bowiem przeszłość języka polskiego we wszystkich bez wyjątku pomnikach piśmiennych z wieku XIV i XV obraca w niwecz twierdzenie autora, gdyż przy tak niedokładnéj nawet jak ówczesna grafice, w każdym z tych pomników owo *j* przed *i* jako *zasada* stale jest zachowywane i pozostaje w zupełnéj zgodzie z dzisiejszym żywym językiem milionów na całym etnograficznym obszarze mowy polskiéj; bynajmniéj zaś nie jest jakąś „powiatowszczyzną," pospólstwu tylko w niektórych okolicach właściwą.

Nie chodzi mi w téj chwili bynajmniéj o popieranie w praktyce podobnéj pisowni, która jest rzeczywiście historyczną i fizyjologiczną. Ogół piszący w téj sprawie konwencyonalnéj, zależnéj od wzajemnego porozumienia się i ugody, nie potrzebuje powodować się wskazówkami nauki, a nawet, obok ich uwzględnienia, mocen jest tworzyć sobie przeróżne choćby najkunsztowniejsze, stenograficzne skrócenia i dla własnéj dogodności lub innych jakichkolwiek pobudek w praktyce nie-

mi się posługiwać. Na tém miejscu chodzi mi tylko o sam wykład prawdy tkwiącéj w naszym żywym języku, téj mianowicie prawdy, że w każdym z wyrazów: jinny, jistota, moji, koleji, nadzieji, poji i t. p., wymawiamy zgłoskę *ji*, zbliżając naprzód ściśle powierzchnią przedniéj części języka do przedniéj części podniebienia. Głos, będący akustycznym rezultatem takiéj artykulacyi języka i podniebienia, jest właśnie spółgłoską *j*, wymawianą i słyszaną w każdéj zarówno zgłosce: *ja, je, ji, je*, i t. d. (np. w wyrazach: *j*asny, *j*estestwo, *j*istota, *j*inny, nadzie*j*a, nadzie*j*i, po*j*ę, po*j*isz, po*j*i, i t. p.).

Dla każdego bezstronnego badacza, dla każdego wogóle człowieka nieuprzedzonego, którego umysł, albo ściśléj mówiąc, władza postrzegania i sądzenia nie znajduje się w zależności od wpływu fałszywéj grafiki dzisiejszéj, jest to *prawdą oczywistą*, któréj Małecki w swojéj gramatyce historyczno-porównawczéj nie uznaje i czytelnikowi w świetle ją fałszywém przedstawia.

Z okazyi pisowni owego *ji*, zalecanéj między innemi przez Fr. Malinowskiego, wzmiankuje także Małecki i o *á* pochyloném (=*o*). Wiadomo, że Fr. Malinowski, któremu fonetyka polska zawdzięcza zbadanie gruntowne natury i znaczenia téj samogłoski *á*, pragnąłby nadaremnie owo *á* pochylone przywrócić do życia, z pobudek wyłuszczonych przez Małeckiego w ten sposób, jakoby w tém miało „tkwieć jądro narodowości i Zygmuntowskiego klasycyzmu języka" (str. 82). Małecki oczywiście w swoim sposobie widzenia, stojąc na stanowisku wręcz przeciwnym nauce Fr. Malinowskiego, i tutaj nie waha się dwu rzeczy zupełnie różnych podciągać pod jednę kategoryę zjawisk i jednako ich oceniać. Dźwięk *j* przed samogłoską *i*, jako zjawisko fizyologiczne, jest faktem pewnym, stanowiącym rzeczywistą właściwość języka żywego wszystkich warstw narodu, która, jako taka, znaleść winna w naukowym wykładzie gramatyki rzetelne przedstawienie. Inna rzecz z samogłoską *á* pochylone; jako jeden z wielu fonetycznych archaizmów języka, pozostała ona dotychczas tylko w ustach konserwatywnego ludu, w języku zaś ogólnym najzupełniéj zamarła i miejsce jéj zajęło czyste *a*, tak dalece, że warstwy ukształcone nie mają wcale poczucia jéj dawnego w języku istnienia; słowem, *á* pochylone, jako żywioł w języku ogólnym zamarły, żadną mocą wskrzeszony być nie może. Sądzę, że taki argument *qd rem* w gramatyce jest stanowczym i bardziéj z czysto naukowéj strony przekonywającym, aniżeli następująca patetyczna eksklamacya autora: „Ubierzmy się wszyscy w kożuchy i buty po kolana, sadłem wysmarowane (sic), a może i to do odzyskania złotego wieku pomoże" (str. 82). Zwroty krasomówcze wogóle, miasto ścisłych i rzetelnych dowodów używane, w nauce nie od dziś podobno są anachronizmem. Tém samém i powyższemu w wykładzie „gramatyki historyczno-porównawczéj" autor nie nader właściwe przytulisko wyznaczył.

Jakże wielka zachodzi różnica między przywiedzioną tu argumentacyą, a wyjaśnieniem na inném miejscu (str. 156), gdzie autor

mówi o składzie wyrazów takich, jak: *męstwo*, *bóstwo*, *papiestwo; męski*, *boski*, *papieski*, oraz wykazuje bezzasadność pisania ich końcówek przez *z;* lub téż udowadnia, że w formacyach słów *móc*, *biec*, *strzec*.... niéma wcale *dz* ani etymologicznie ani fonetycznie, że zatém sposób pisania słów tych przez *dz* (módz, biedz...) jest tylko zwyczajem błędnym, zamiast sposobu właściwego przez *c*, który téż nie jest obcy i dawnym pomnikom języka [1]). Dowody naukowe, przez autora przytoczone, mówią tu same przez się dostatecznie i uwalniają go zupełnie od uciekania się do argumentów, jak powyższy, zgoła nienaukowych.

Podział spółgłosek wedle organów urabiania wiele pozostawia do życzenia. Pod kategoryą np.: *zębowych* podciąga autor spółgłoski: *cz*, *dż*, *sz*, *ż*, odejmując im nazwę podniebiennych, bo „się podniebieniem nie wymawiają," a nie spostrzega się wcale, że i nazwa *zębowych* dla téj saméj przyczyny jest również niedokładną i nie przysłuża im wcale; tak bowiem *zęby* jak i *podniebienie* pozostają zawsze częściami nieruchomemi, głównym zaś sprawcą wytwarzania dźwięków przy współudziale powietrza jest ruchomy język. Z tego punktu widzenia i poprawka autora nie jest trafną; tablicy, zaś, w któréj autor uporządkował wszystkie spółgłoski w pewne szeregi, zbywa na jednéj wspólnéj zasadzie podziału (*principium divisionis*). Szereg np. 7 i 8-y zawierają w sobie „*wargowe* twarde" i odpowiednie im „*wargowe* miękkie," 9-ty zaś i 10-ty „*płynne* twarde" i *płynne* miękkie." Główną zasadę przy fizyologicznym podziale spółgłosek stanowić powinny: język i wargi, jako części najważniejsze, bo jedynie ruchome przy urabianiu spółgłosek w jamie ustnéj; współudział zaś, jaki przytém mają różne części powierzchni podniebienia i zębów, uwzględniony być winien przy dokładném opisaniu każdéj spółgłoski i ustanowieniu systematycznego ich podziału.

W opisie szczegółowym natury spółgłosek jest autor bardziéj krytycznym i dokładnym; chociaż i tu niektóre określenia przywiedzione podawnemu bez wniknięcia w istotę rzeczy. Przyznając np. wargowym spółgłoskom naturę słowiańską, spółgłosce *f* téj nazwy odmawia. Słuszne to być może do pewnego tylko stopnia, pod względem genetycznym; pod względem zaś fonetycznym jest poprostu przesądem. Pominąwszy bowiem wyrazy czystopolskie, jak *obfity* (=opływity=opływity), *ufać* (=upować=upwać), gdzie mamy wyraźne *f*, w każdym z takich wyrazów, jak: *w*chodzić, *w*taczać, gł*ów*ka, s*w*ój, ot*w*ierać, pan*ów*, dom*ów* i t. p. dźwięk, który z etymologicznych przyczyn oddajemy na

[1]) Zarówno w pomnikach rękopiśmiennych, jak i w drukach polskich napotykamy słowa powyższe, pisane przez *c*. U Opecia np. 1522 r. mamy: wspomoc, dopomoc, dosiąc, strzec. Podobnie u Wujka: *Postylle* t. I, 1579 r. i t. II 1584: strzec się, pomoc, zapomoc... U Skargi *Kaz. sejm.* 1600 r.: pomoc; u Kochanowskiego: *Fraszki*, 1612 r.: wspomoc; u Petrycego: *Polit. Aryst.*: postrzec; u Gwaguina: rozniemoc, wymoc; u Garczyńskiego: *Anatom. Rzplitéj.*: przestrzec i w. i.

piśmie prze *w*, *fonetycznie* jest czystą spółgłoską *f* we wszystkich językach słowiańskich; wobec czego nie można twierdzić, że „tylko *f* nie jest polskie i słowiańskie."

W tém, co autor mówi o rozziewie (§ 61) znajdujemy objaśnienia utarte wprawdzie, ale z istotném rzeczy wyjaśnieniem nic wspólnego nie mające. W ustępie np., gdzie mowa o uchylaniu rozziewu za pomocą spółgłosek *j*, *w*, *n*, między innemi czytamy: „tu należą także zaimkowe formy *doń* (do-n-ъ), *weń* (wъ-n-ъ), *przezeń*, dla *nich*, w *nich*, do *nich*, ku *nim*, o *niego*, z *nim* i t. d., w które *n* dlatego wstawiamy, ponieważ np. *do* i *ich* za jeden niejako wyraz bierzemy (przeciwnie w takich zwrotach, jak *dla ich matki*, *w ich domu* i t. d. czujemy wszyscy, że *dla* i *ich* tworzą dwa odrębne słówka, i ztąd ich też przez takie *n* nie spajamy ze sobą)." To prawda, że tak nas od niepamiętnych czasów uczono. Gdzie jest jednak *causa movens*, dla której *rzeczywiście* to *n* się zjawiło, nikt nas w tém nie oświecił. Objaśnienie, że „*dla* i *ich* za jeden niejako wyraz bierzemy" wcale nie wystarcza. Naprzód w obu razach rozziew wcale tu miejsca niéma, bo po przyimku *dla* następuje wyraz zaczynający się od spółgłoski *j* (*jego*, *jéj*, *jich*); a powtóre, choćbyśmy nawet wmówili w kogo, że tu rozziew (dla *i*ch) istnieje, to jednak, z uwagi, że język posiada go w jednych wyrażeniach (np. dla *i*ch matki), nie słuszne będzie przypuszczenie, ażeby w innych wyrażeniach, wśród tychże samych warunków fizyologicznych, co i w pierwszym razie dążył do usunięcia go (w wyrażeniu np. dla *n*ich). Nie rozziew więc, ani dążność jego zniesienia, ale inna musi być zjawiska tego przyczyna. Na tém miejscu przedstawić ją mogę w bardzo tylko zwięzłym zarysie. Przedewszystkiém przyczyna pojawienia się owego *ń* spoczywa w obecności pierwotnych słowiańskich przyimków *sъn* (sъn), *vъn* (vъn), z których każdy rozwinął się następnie we dwie formy: *s*=*sъ*, *v*=*vъ*, oraz: *sę*, *vę*. Z tychto przyimków *sъn* i *vъn*, wymawianych często w połączeniu ze skłonnikami zależnemi zaimka *ji*, *ja*, *je* (np. sъn—jim) końcowe *n* oderwane zostało od części 1-széj *sъ*, *vъ* i bezwiednie przyłączone do tematu samego zaimka, tak, że dzięki téj absorbcyi dźwięk *n* we formach: sъ *n*im, vъ *n*im stał się nową częścią zaimka (vъ n+jim=vъ ńim; vъ n+jéj=vъ ńéj...); reszty, t. j. przeniesienia téj części nowonabytéj *ń* i do innych skłonników tego zaimka (np. *do* négo...) dokonała bezwiedna asymilacya morfologiczna [1]).

W § 64, gdzie mowa o wyrazach cudzoziemskich: *faeton*, *izrael*, *idea*... tudzież d*y*ogenes, h*y*ena, d*y*abeł, d*y*ament, fiołek... oraz takich, jak: poezya, kurya, filozofia, mania i t. p. zaleca autor pisać te ostatnie „zawsze przez *ia* albo *ya*, a nie przez *ija*, *yja*, ani też przez *ja*."

---

[1]) Szczegółowy wykład tego podaje Baudouin de Courtenay w rozprawie: *Głottołogiczeskija zamietki*, ogłoszonéj w czasopiśmie: *Fiłołogiczeskija zapiski*, Woroneż, 1877 r. Osobna odbitka str. 17 i nast.

Wybrany przez autora jeden z tych trzech sposobów pisania, a bardziéj jeszcze powody, dla których pisownią taką przyjmuje pod swoję obronę. z nauką samą, otwarcie mówiąc, nic wspólnego niémają. Powody bowiem pisania *ia*, *ya:* 1-szy, jakoby język nie uchylał tu rozziewu podczas wymawiania *ia*, *ya* (pomimo że słyszymy tu wyraźne *ja!*) i 2 gi upatrywanie dyftongów w wyrazach tych do polskiego przyjętych, są czysto fikcyjnéj natury. Mnie się zdaje, że zdjąwszy z tych motywów pozornie naukowe obsłonki, istotnemi powodami pisowni tak autora, jak i tych, którzy się jéj trzymają, okażą się: 1) hołdowanie wzorcowi łacińskiemu i 2) proste przyzwyczajenie. I przeciwko nim nie mielibyśmy nic do powiedzenia, gdyby dla pisowni, którą podtrzymują, nie starano się o pozyskanie przywileju wyłącznéj doskonałości i gdyby ona w szkole nie była taką zawadą nauki deklinacyi. Wszelkie bowiem uzasadnienie jéj naukowe bez kunsztownych omówień i naciągań zgoła jest niemożliwe; chyba że damy zgóry uprzedzającą zapowiedź, że odnośnie do pisowni *ia*, *ya*, symbol na papierze, a mowa żywa nie są jedno i to samo.

W nauce o spółgłoskach (§ 87) wykłada autor, że „spółgłoska *c* nie cierpi poprzedzającego *rz*, ale je stwardza na *r*; np. *korzec*, *marzec*, *proporzec* i t. d. mają *korca*, *marca*, *proporca*, zamiast pierwotnego *korzeca*, *marzeca*, *proporzeca [!]*; po wyrzuceniu z tych form *e* (a raczéj *ъ*), *korzca* zamieniło się na *korca* i t. d. Dziś tematem tych wyrazów jest *korc*, *marc*, *proporc;* ale pierwotnie było natomiast *korzьc*, *marzьc*, *proporzьc*" (str. 150).

Wobec choćby tylko znanego faktu, że dźwięk *rz* w języku polskim jest stosunkowo dość późném zjawiskiem, bo powstanie jego nie sięga epoki wcześniejszéj nad wiek XII-ty (w czeskim zaś najwyżéj da się odnieść do wieku X-go), formy takie, jak: *korzьc*, *korzeca*, *marzeca* i t. p. w pierwotnym polskim i w żadnym ze słowiańskich są niemożliwe. Pierwotnym tematem jest tu *korc*, który posłużył do utworzenia się form: korc-a, korc-em i t. d.; z drugiéj zaś strony z téjże formy powstał mianownik *kor-e-c*, następnie *kor'ec*, w końcu *korzec*. Objaśnienia więc autora pozostają wprost w niezgodzie z pozytywnemi faktami, znanemi z historyi języka. Autor jednak, stosując to samo błędne mniemanie do wyrazów ze spółgłoską *l*, zdaje się podpierać je nowym dowodem, gdy mówi: „Zdrobniałe *kocielek*, *orzełek*, *kurzełek* dowodzą (?), że dawniéj mówiono : *orzeli* (?); *orzeła*, *kocieła* i t. d.; po wyrzuceniu (!) atoli z tych form *e*, a raczéj *ъ*, przeszły *rz*, *ć* na *r*, *ł*" [1]).

[1]) Mówiąc na téjże str. 150, że „w formie tylko przez lud używanéj *urzła się* (od *urznąć*), dlatego się *rz* wyjątkowo przed *ł* ostało, ponieważ słowo to brzmiało właściwie *urzzła się* (*urzezła się*) od *rzьz*(*nąć*), *rześć*," podaje autor przyczynę, która nic nam nie tłómaczy. Forma *urzła* od słowa *urznąć* powstała zupełnie w ten sam sposób, jak wiele innych form skróconych: *stukła*, *zamkła*, *trzasła*, *skubła*..., które, nawiasem dodamy, są właściwością nie saméj tylko mowy ludu, ale nie obce były i językowi piśmiennemu. Tak np. u Pe-

Tak przywiedzione tu, jak i wiele innych podobnych objaśnień, wobec dzisiejszych pojęć lingwistycznych zasługują, ażeby je w całości między bajki włożyć.

Przed podaniem ogólnych cech, jakie wykład gramatyki Małeckiego charakteryzują, wspomnimy tu jeszcze o kilku terminach nowych, poraz pierwszy przez autora wprowadzonych; są mianowicie niemi: *pokrok postępowy* i *pokrok wsteczny*, które mają tłómaczyć niemieckie „lautsteigerung" i „lautschwächung, a zamieniać utarte polskie stopniowanie v. postąpienie, albo też wzmocnienie i osłabienie lub wreszcie natężenie i zwątlenie samogłosek. Podług terminologii też autora samogłoski „mogą pokraczać, „wykonywają pokroki" lub „zdolne są postępowych pokroków;" obok czego przychodzi się nieraz samogłosce „w całéj pełni brzmienia rozeprzéć," niekiedy znów „*i* nabrzmiewało," czyli miało miejsce „na własną swoję rękę niejako pęcznienie samogłosek" (str. 26 i 27). Jeżeli tylko powód wprowadzenia czeskiego „pokroku" i „pokraczania" spoczywa w tym, by powszechnie znanemu terminowi „natężenie" nadać znaczenie nieco odmienne (str. 129 i 133), to, zdaniem naszém reforma ta zupełnie jest zbyteczna, zarówno jak i plastyka innych wyrażeń przy naukowém opisaniu zmian, jakim samogłoski w budowie wyrazów ulegają.

W przeglądzie dotychczasowym dotknęliśmy małéj tylko części poglądów i objaśnień autora, w obszernym jego wykładzie „głosowni" zawartych. Rozbierać szczegółowo wszystkich niepodobna, nie mogąc ram tego przeglądu zanadto rozszerzać.

Zaznaczamy tylko jako ogólną charakterystykę wykładu: systematyczność w przedstawieniu całego obszaru treści, wchodzącéj w zakres głosowni, oraz szczegółowy rozbiór zjawisk fonetycznych języka polskiego z porównawczém uwzględnieniem w wielu razach odpowiednich zjawisk języka starosłowiańskiego, łacińskiego, greckiego, a niekiedy i litewskiego przy pomocy właściwéj autorowi metody. Historyczną stronę badania uwydatnił autor najwybitniéj przy wykładzie procesu miękczeń spółgłoskowych (strona 97 do 127). Część ta (pomijając owo „wyrzucanie diftongowego *i*" str. 119), oraz przedstawienie szczegółowe właściwości spółgłosek języka polskiego (str. 143 i nast.), a także rzecz o samogłoskach nosowych, przedstawiona treściwie i jasno, choć w szczegółach nie zupełnie faktami stwierdzić się dająca (str. 16 i n.), pozostaną wymownem świadectwem niepospolitego nakładu pracy i szerszego na rozwój języka poglądu. W innych rozdziałach pokonywał już autor trudności, jakie wykład głosowni języka polskiego dla każdego badacza przedstawia, z mniejszém powodzeniem. Wina główna—w niedokładnéj metodzie postępowania. Autor w zapatrywaniach swoich na fonetyczne zjawiska zamało uwzględnia różne znane czynniki psychiczne i wpływ ich

---

trycego w *Polityce Arystot.* czytamy: „Pospólstwo szczupłą màiąc màiętność będźie skubło rzeczpospolitą" cz. I, 1604 r., str. 175.

niezaprzeczony na dźwięki języka, uważane nie jako żywioły same w sobie, ale jako pewne części morfologicznych całości. Z tego powodu tłómaczenie autora, zamiast wyświecać wewnętrzną istotę zjawisk, w związku z przyczynami stale w języku działającemi, często staje się objaśnieniem czysto zewnętrznem, mechanicznem, dla nauki niewystarczającém. Wogóle w głosowni obecnéj nie znajdujemy zastosowania ani nowszych pojęć, ani tych ściśle umiejętnych środków, jakiemi postęp lingwistyki w ciągu kilku lat ostatnich tak się wyraźnie odznaczył. Wykład głosowni języka polskiego, na ściśle naukowych podstawach oparty, jest bezzaprzeczenia pracą mozolną i trudną, ale też dotychczas niewykonaną.

(*Dokończenie nastąpi*).

Ad. Ant. Kryński.

Archiwum spraw zagranicznych francuzkie do dziejów Jana III. Tom I; opracował Dr. Kazimierz Waliszewski. Kraków. 1879.

Nieustająca a różnostronna czynność Akademii krakowskiéj umiejętności, w roku zeszłym wzbogaciła naszę literaturę historyczną trzema, nader cennéj treści publikacyami. Są niemi (jak to w części było już wzmiankowaném w tém piśmie) *Kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa* (od połowy XIII do początku XVI stulecia); *Korrespondencya kardynała Hozyusza* (obejmująca przeciąg od r. 1525—1550) i wreszcie wyżéj pomieniony wyciąg z archiwum francuzkiego spraw zagranicznych, zawierający korrespondencyą dyplomatyczną z pierwszych lat panowania Jana Sobieskiego. Każda z tych publikacyi wielką garścią dorzuca bogatych szczegółów do obrazu naszéj przeszłości: tą razą zwrócimy tu kilką słowy uwagę bliższą na treść ostatniéj z nich.

Za lat trzy, to jest w r. 1883 obchodzoną być ma dwusetletnia rocznica zwycięztwa Jana III pod Wiedniem. Akademia Krakowska (jak się dowiadujemy ze wstępu do obecnego wydania) myśląc wcześnie o sposobach uczczenia téj rocznicy, powzięła między innemi zamiar ogłoszenia na ów czas korrespondencyi dyplomatycznych, odnoszących się do panowania tego króla. Jakoż na przedstawienie Akademii, a za pośrednictwem księcia Władysława Czartoryskiego, jeszcze w r. 1875 były minister spraw zagranicznych Decazes, a po nim jego następcy, zezwolili na uczynienie w tym celu użytku z archiwum spraw zagranicznych, a pracą tą z poruczenia Akademii, zajął się jeden z członków komisyi jéj historycznéj, dr. Waliszewski.

Praca którą przyjął na siebie p. Kazimierz Waliszewski jest olbrzymią. Korrespondencya dyplomatyczna francuzka z czasów Jana III, obejmuje tomów 55 in folio, każdy o 400 kartach; przedruk całéj był

niepodobieństwem, należało więc robić wyciąg, a dla uczynienia wyciągu, co najmniéj odczytać te wszystkie skrypta, skrypta zapewne nieraz nieczytelne, kreślone starém pismem, starą ortografią i w znacznéj części cyframi. Praca ta jednak, jak widzimy, już w części wykonaną została, a tom obecnie wydany obejmujący w formacie ćwiartki stronic 545, mieści korrespondencyą z lat trzech, to jest od roku 1674, do początku 1678.

Metoda jakiéj się trzyma w obecném wydaniu p. Waliszewski, według nas jest najtrafniejsza; umieścił on w tekscie korrespondencye, które uznał za główne, w całéj ich rozciągłości, przeplatając je historycznym poglądem i objaśnieniem treści, przy końcu zaś dołączył kolejny spis wszystkich aktów znajdujących się w archiwum ze wskazówką ich dat, numerów i treści (nieumieszczonych). Metoda ta z jednéj strony daje nam widzieć przeszłość dyplomatyczną z jéj odcieniami, a z drugiéj, chcącemu w danéj kwestyi bliżéj korzystać, ułatwia ku temu drogi.

Nie do nas może należéć sąd i ocenianie czy? i o ile? wybór uczyniony w obecnym wyciągu przez d-ra Waliszewskiego jest trafnym, i czy jest w szczegółach wierny: sędzią w téj mierze mógłby tylko być chyba drugi znawca archiwum o którém mowa; możemy jednak poświadczyć, iż wybór jest uczynionym szykownie, charakterystycznie i ile wnieść można ze szczegółów, wiernie; obraz bowiem który kreśli Korrespondencya, tyle obok dodatnich mieści i ujemnych rysów z naszéj przeszłości, iż wątpić nie można, że przewodnikiem w pracy obecnéj był jeden tylko przeważnie wzgląd, to jest wzgląd na prawdę.

Przyczynek, który do obrazu dziejów przeszłości dodaje taki materyał, to jest tego rodzaju korrespondencya, z saméj istoty swojéj musi być przyczynkiem wartości nieocenionéj. Raporta posłów, są to z zadania swego, raporta dotyczące najgłówniejszych postaci i wypadków danego czasu i kraju, z którego są pisane, a są pisane przez osoby światłe, blizkiemu poznaniu i ocenianiu owych postaci i wypadków głównie poświęcone, i wyrażane z całą otwartością, swobodą, bez dopuszczania, iżby to co się kreśli kiedy ogłoszoném być miało. Obok tych raportów posłów, znajdują się téż tu zabłąkane do archiwum z różnych powodów i pisma niektórych bohatérów głównych, jak to oprócz listów samego Ludwika XIV do króla polskiego, do królowéj, do ambasadorów, króla tego i tej królowéj do króla Ludwika i t. p.

Jedyném prawie u nas poważném dziełem źródłowém do dziejów króla Jana, są listy poufało-historyczne (*Epistolae historico-familiares*), niegdyś kanclerza Maryi Kazimiery, Jędrzeja Załuskiego (pierwsze ich tomy); z listów tych czerpał głównie historyk Coyer, a z tego, jak równie z pism i anegdot spółczesnych Sobieskiemu pisarzy: Bernarda Connor i Daleyraca wszyscy następni nasi i zagraniczni historycy. Otóż materyał, który obecnie nam przybył, jest nowym, poważnym, źródłowym a modyfikuje nie pod jednym względem ustalone obrazy o charakterze i dziejach tego króla.

Przeciąg który obejmuje tom obecny Korrespondencyi, jest, jak wspomnieliśmy, od r. 1674 do 1678: obejmuje więc czas elekcyi króla, jego turecko-tatarską wyprawę przedkoronacyjną, koronacyą, wyprawę po koronacyi zakończoną pokojem w Żurawnie i wreszcie lat kilka pokoju wewnętrznego, w czasie którego przedłużały się wojna sąsiedniego elektora brandeburskiego ze Szwecyą i sąsiedniego cesarstwa z Francyą. Czyny wojenne króla Jana z czasu tych wypraw, kreślone bywają wogóle jako dwuznacznéj sławy, jego następne postępowanie jako zagadkowe, jego postępowanie domowe jako kierowane zawsze rozumem i wolą żony i t. p. Otóż obraz, czyli materyał który otrzymujemu, wiele pod każdym z tych względów przynosi nam objaśnień.

Dramat zaczyna się w czasie bezkrólewia po królu Michale. Autor słusznie nie umieścił na czele aktu, który otwiera ten dramat: t. j., zawiadomienia dworu francuzkiego przez prymasa Floryana Czartoryskiego o śmierci króla, bo treść jest bardzo domyślna, ale zbiór otwierają listy stronników partyi francuzkiéj, z niepokojem dobijające się o instrukcye. Śmierć króla nastąpiła przy końcu roku 1673, sejm elekcyjny naznaczony na dzień 3 kwietnia 1674 r., a listy ze stycznia tegoż roku użalają się, iż dotąd nie otrzymano jeszcze w Warszawie żadnéj instrukcyi. Morsztyn w liście, pisanym, jak się domyśla wydawca do p. de Pomponne (t. j. ówczesnego ministra spraw zagranicznych), objaśnia przytém szczerze, iż kandydat francuzki nim tron obejmie, będzie musiał stoczyć pierwéj dwie wojny: z Turkiem i domową, i przymawia się przytém o należne mu za usługi dawne zaległości; Marya Kazimiera nieotrzymując odpowiedzi, wyprawia list po liście, i zapytuje czy już Polska upadła tak nizko, że wielki król (Ludwik XIV) niedba już wcale o tron jéj i swoich stronników?

Król Ludwik wcale jednak nie pogardzał tym osierociałym tronem: i owszem, ogłoszona elekcya najsilniéj go zajmowała. Francya prowadziła wojnę z cesarstwem i było to właśnie dla niéj najżywotniejszą kwestyą chwili: kto zasiądzie na tronie polskim? stronnik Francyi czy téż cesarstwa. Za Michała, męża Eleonory (siostry cesarza), partya francuzka była martwą i w Warszawie zamieszkiwał tylko rezydent francuzki (p. de Baluze); teraz Ludwik XIV wyprawiał tu nadzwyczajnego ambasadora (biskupa marsylskiego Forbin-Janson) opatrując go w obszerną i szczegółową instrukcyą i spory trzos, który miał wypłacić zalegające od trzech lat pensye stronnikom francuzkim i jednać nowych. Wydawca nie umieścił wzmiankowanych w spisie listów Ludwika XIV do królowéj wdowy, stanów i senatu polskiego, prymasa, podkanclerzego i t. p., gdyż obejmowały tylko zapewne zwykłe formuły kondolencyi, życzeń, rekomendacyi ambasadora, podziękowania i t. p. Wspomina jednak, że w listach do stronników Francyi, Sobieskiego i Morsztyna polecał na kandydata księcia neuburskiego, dziękował osobnym listem Lubomirskiemu za ofiarowane usługi i t. p., zamieścił zaś w całéj rozciągłości instrukcyą udzieloną ambasadorowi (str. 7—18), a ta tłómaczyła najjaśniéj zamiary króla. Byłoto świeżo po skompromito-

waniu się Francyi przy elekcyi króla Michała, instrukcya więc zabraniała przedewszystkiem polecać na tron polski kogokolwiekbądź z familii królewskiéj (króla Ludwika) a protegować tylko otwartego stronnika Francyi księcia Neuburg (wnuka Zygmunta III); dodawała jednak instrukcya, iż przewidywać można, że z powodów takich a takich (bardzo dobitnie wskazywanych), Polacy sami mogą życzyć Kondeusza, a w tym razie, rzecz jasna, iż obrót taki byłby najpożądańszym dla króla (ztąd też może właśnie był polecany najmniéj niebezpieczny kandydat) i wreszcie, iż gdyby Polacy nie życzyli Kondeusza a obierali Piasta i na to przystać może, ale za najkonieczniejszy obowiązek stawiło się ambasadorowi, aby nie dopuścił elekcyi księcia Karola lotaryńskiego, zwłaszcza że obowiązkiem nowego elekta być miało poślubić królowę wdowę.

Tron polski mimo trudności jakie oczekiwały wtedy nowego króla, był przedmiotem nader licznego spółubiegania się: nie było prawie domu królewskiego w Europie, któryby nie polecał swego kandydata, między innymi był w liczbie pretendentów Wilhelm, książę Oranii (następnie król Anglii); wkrótce jednak dwie tylko pozostały kandydatury, jako mające najsilniejsze poparcie: książę Karol i książę Neuburski. Sobieski, pomimo świeżo odniesione zwycięztwo chocimskie, nie śpieszył do Warszawy, a znając dobrze liczbę osobistych swych nieprzyjaciół, oraz potrzebę silnéj zewnątrz pomocy, zdaje się iż nie myślał wcale o sobie, ale najszczerzéj o Kondeuszu; już jednak w pierwszéj depeszy przesłanéj z Warszawy przez ambasadora królowi o obrocie elekcyi, biskup marsylski określiwszy w niéj szczegółowie stanowiska partyi, przy końcu wyraził: „winienem wszakże wyznać WKMci, że pani marszałkowa wielka (Sobieska) oświadczyła mi stanowczo, że jeśli niepodobném będzie zapewnić wygranéj księciu neuburskiemu, ani też Jego Wysokości (Kondeuszowi), ona sądzi, że możnaby zaproponować kandydaturę jéj męża;" przyczém dodał: „pan wielki marszałek, jest jeszcze pod tym względem bardzo wahający się, ale pani wielka marszałkowa bardzo stanowcza (fort ardante)." Znany jest prędki przebieg téj elekcyi. Przeciw księciu lotaryńskiemu była silna partya wielkiego marszałka. Poseł księcia neuburskiego był bez pieniędzy i nie życzyła go królowa wdowa. Przeciw Kondeuszowi była partya cesarska i szlachta snać powtarzała zawsze za przeszłéj elekcyi tak znany (a może jeszcze od czasów Frondy przetrwał) frazes: *Non est cum Deo qui est cum Condeo.* Świeży przytém tryumf chocimski tak był wielbiony, że pierwsze napomknienie (przez Jabłonowskiego) o ukoronowaniu zwycięzcy, wywołało entuzyazm jedności, przed którym nawet opozycya Litwy (Paców) ustąpić musiała, zwłaszcza że znaczną część Litwy wcześnie już pociągnął za sobą Radziwiłł (mąż Katarzyny Sobieskiéj, siostry króla Jana).

Częste a długie i szczegółowe depesze tak biskupa marsylskiego, jako też dodanego mu wkrótce drugiego nadzwyczajnego ambasadora, margrabiego de Béthune, tak do ministra Pomponne, jak i do samego

Ludwika XIV, które nastąpiły i następowały daléj bez przerwy, już po dopełnionym obiorze, są nam z jednéj strony dowodem, jak żywo interesowano się wtedy na dworze francuzkim tém wszystkiém co działo się w Polsce, a z drugiéj przyczynia się i do dania owych bliższych objaśnień do dziejów naszych.

Razem prawie z obiorem nowego króla, rozbiegła się po Warszawie wieść zatrważająca, iż sułtan Mahomet IV, mszcząc się przegranéj chocimskiéj, z całą siłą swéj potęgi i pomocą Tatarów zmierzał ku Polsce, iż odebrał już Chocim, zbliżał się do Lwowa, grożąc iż zagarnie cały kraj polski po Gdańsk. Król Jan lubo przyjął obiór, nie chciał włożyć korony i złożyć swego urzędu hetmana wielkiego, dopókiby nie wypełnił obowiązkó w tego urzędu, to jest nie usunął nieprzyjaciela za granicę kraju. Przedsięwzięcie takie z tą małą siłą którą mógł zebrać, zdało się wprost niemożliwe; lecz taką już była ufność którą ku sobie wzbudził, iż jak w następnych wyprawach przemagające siły Turków albo Tatarów, pierzchały nieraz na samą wiadomość iż zbliża się przeciw nim Sobieski, tak teraz nie wahali się nawet towarzyszyć królowi w wyprawie Marya Kazimiera (różna pod tym względem od Maryi Ludwiki), brat jéj hr. Maligni i sam ambasador biskup marsylski na koniu. Dwie te wyprawy turecko-tatarskie jedna przedkoronacyjna, druga następnie pokoronacyjna do zawarcia pokoju w Żurawnie, byłyto wyprawy które ostatecznie, oprócz pokoju nie przyniosłybyły dla kraju żadnéj korzyści, ale które okrywały kraj a zwłaszcza króla jego, wobec całéj Europy blaskiem szczególnéj chwały, a odblask téj, oglądamy właśnie i w obecnéj Korrespondencyi.

Że Ludwik XIV, jak już wspomnieliśmy, nader był zainteresowany przebiegiem téj kampanii, że niecierpliwie wyglądał jéj końca, było naturalném. Były to, wypada przypomnieć, pierwsze lata pełnoletnich rządów tego króla. Samolubna a szczęśliwa polityka jego: zajęcie Flandryi, najazd niewinnéj Holandyi, wywołały były przeciw niemu koalicyą cesarza, Hiszpanii i elektora brandeburskiego. Wojska cesarskie w liczbie 60,000 przeszły były Ren, żywotną więc teraz było kwestyą dla króla Ludwika zjednanie dla siebie przymierza króla polskiego. Instrukcye ambasadorów jasne w tym celu miały określenia, a staranność o wykonanie ich, mniejsze lub większe powodzenie w téj mierze, stanowią właśnie treść główną obecnych korrespondencyj. Przeciwnikami Francyi byli cesarz i elektor brandeburski, głównym więc celem ambasadorów było wyjednanie czynnego wystąpienia króla polskiego tak przeciw jednemu jak przeciw drugiemu. Uważać można, iż na tę ostatnią czynność, król Ludwik najnatarczywiéj nastawał, znajdując ją bowiem zgodną z żywotnym interesem Rzeczypospolitéj, najprędzéj oczywiście spodziewał się widzieć ją urzeczywistnioną. Jak był jasny i jak był logiczny pogląd tego króla na tę kwestyą dowodem jest dotyczący jéj ustęp w instrukcyi daléj ambasadorowi margr. de Bethune. Pod dniem 14 kwietnia 1676, instrukcya ta umieszczoną jest na str. 267—273 a ustęp w niéj dotyczący téj kwestyi, tak brzmi: „Prusy

stanowiły zawsze znakomitą cząstkę Królestwa Polskiego i można uważać za jedno z największych nieszczęść téj korony, które ją spotkały za Jana Kazimierza, iż konieczność zmusiła tego księcia do ustąpienia nad nią zwierzchnictwa Elektorowi brandeburskiemu. Jestto prawie jedyna rana która pozostała Polsce z téj ostateczności, do któréj doprowadzoną była przez Karola Gustawa, i ta również o zagojenie któréj iść jéj winno najwięcéj, Okazya ku temu zdarza się dziś najpomyślniejsza. Elektor brandeburski zajęty wojną ze Szwecyą, nie będzie mógł biedz na pomoc Prusom bez narażenia się na stratę Pomorza, marchii brandeburskiéj, i reszty swoich krain w cesarstwie, a król polski mógłby rozpocząć kampanią z nadzieją tym pewniejszego skutku, iż kraj cały z niecierpliwością znosi stratę tak pięknéj prowincyi" str. 269. I dotykanie téj kwestyi snać było nader miłe królowi francuzkiemu, w raportach bowiem obu ambasadorów po kilkakroć spotykamy wtrącane z różnych okoliczności wzmianki (które tym więcéj nie są bez interesu i dla nas), iż i sami mieszkańcy Prus gotowi byli dopomódz najchętniéj do przejścia zpod uciskających ich rządów elektora pod rządy królewskie. Przytoczymy tu parę z tych wzmianek słowami tekstu: „La Prusse Electorale et la Livonie (pisze biskup marsylski w *Pamiętniku* przesłanym Ludwikowi XIV, pod d. 1 czerwca 1674 r.) sont dans une disposition de se soulever et dans un grand désir de retourner sous le gouvernement de la Pologne, *surtout la Prusse* ou l'on se plaint hautement de l'oppression" str. 64 i w innéj depeszy: „Car il est trés certain que la Prusse Ducale n'attend que l'occasion de se soulever et quand Votre Majesté voudra il n'y a rien de si facile que d'en chasser l'Electeur de Brandebourg et d'en obliger la Pologne sous la domination de la quelle les Prussiens souhaitent immpatiament de rétourner" str. 91. Podobnie na str. 159, 171, 446 i i. Pogląd wyrażony wyżéj w ustępie, obcy ambasadorowie nie przestawali kommunikować królowi polskiemu, zaraz od swego przybycia i już pod dniem 11 czerwca 1675 roku zawarty został w Jaworowie traktat tajemny, podpisany z jednéj strony przez króla Jana, z drugiéj przez obu ambasadorów, mocą którego król Jan obowiązywał się po ukończeniu wojny z Turcyą rozpocząć kroki przeciw elektorowi, zaś Ludwik XIV od dnia rozpoczęcia kampanii, dodawać ze swéj strony na koszta jéj po 100,000 dukatów na każde półrocze. (Traktat ten umieszczony w całości na str. 210).

Dywersya od strony Węgier również nader pożądaną była Ludwikowi XIV, podanie Węgrom pomocy polskiéj co najmniéj zmusiłoby wojska cesarskie do powrotu znad Renu. Jakoż dowiadujemy się z korrespondencyi ciekawego szczegółu, że Stanisł. Herakl. Lubomirski (znany w literaturze naszéj z przydomku Salomona polskiego), zakomunikował ambasadorowi francuzkiemu, że otrzymał z Węgier wezwanie do zajęcia tronu węgierskiego, i że gotów to uskutecznić w razie gdyby miał zaręczoną pomoc od Ludwika XIV. Ludwik XIV odpisał iż nie ufa w skuteczność projektu Lubomirskiego, polecał jednak ambasadorowi nie zrażać go a zarazem zachęcać do podobnego projektu

króla Jana. Król Jan i tego nie odmawiał. Równie więc i w téj kwestyi jak brandeburskiéj szło przedewszystkiem o zawarcie pokoju z Turkiem. I ztąd téż dojściem tego pokoju do skutku tyleż się interesowała Francya jak Polska.

Raporta ambasadorów z czasu tych kampanii były wysyłane więc, jak wyrzekliśmy, częste i szczegółowe; z tych które są umieszczone nie dowiadujemy się wprawdzie o przebiegu wypadków, wielu szczegółów nowych, dlatego zapewne, iż jak objaśnia wydawca depesze w tym czasie były bardzo często zatrzymywane przez elektora brandeburskiego, tak iż np. o owym sławnym zwycięztwie króla Jana pod Lwowem (z d .24 sierpnia 1675 r.), o którym spółczesny historyk Bernard Connor w swéj *History of Poland* (1698) wyraził, iż było może najznakomitszém ze znanych w jakimbądź wieku, dowiedziano się w Paryżu dopiero przez Anglią. Jakie jednak było ostateczne wrażenie z tych wypraw, objaśnić może parę wyjątków z korrespondencyi, które tu powtórzymy równie słowami tekstu.

Ludwik XIV pod dniem 7 lutego 1675 pisał do ambasadora. Monsieur l'Eveque de Marseille! La lettre que vous m'avez écrite le 4 du mois *continue* a me faire voir *les progrès* de Roi de Pologne qui ne pouvaient reçevoir un accroissement plus notable que par la soumission de Dorosensko qui achéve de lui assurer la conquete de l'Ukraine. L'on ne peut sans doute regarder *les succès si grands* et *si surprénans* qu'il a remporté dans la fin de cette campagne que comme le pas qui le méne a une paix aventageuse avec le Turc" str. 189. Zaś w liście pisanym przez tegoż pod dniem 15 lipca (o różnych kombinacyach politycznych), znajdujemy między innemi takie zdanie: „Je craindrais de tirer peu de fruit de toutes ces mesures, à moins que la paix faite, *un Roi Puissant comme le Roi de Pologne* se mit lui-même à la téte d'une ligue contre l'Empereur" str. 227. Po zawartym traktacie w Żurawnie margrabia de Béthune pisał z obozu żurawińskiego, w którym i sam się znajdował pod dniem 26 października 1676 do Ludwika XIV te słowa: „Votre Majesté verra par le plan de camps que je lui envoie et par la rélation çi-jointe combien le danger était grand pour le Roi de Pologne lequel par *sa seule fermeté* et par *l'extrême valeur de ses troupes* aprés avoir soutenu trois septemaines (tygodnie) l'effort de prés de trois-cent-mille hommes, a enfin obligé ses ennemis a descendre à des conditions de paix raisonable" str. 311. P. de Pomponne w odpowiedzi ambasadorom wyraził, iż trudno mu nawet uwierzyć w szczegóły i dodał: „Vous jugez aisement combien de telles choses nous paraissent içi peu praticables et combien ils élevent encore l'opinion que nous avons du Roi de Pologne" str. 314.

Powtórzymy tu jeszcze również słowami tekstu zdania, jakie znajdujemy w obecnéj korrespondencyi o samym pozorze ówczesnego wojska polskiego; korrespondencye te dla obrazu naszéj przeszłości mają nie jeden rys smutny (jak np. o przedajności, o niezgodach jednostek i t. p.) nie przepomnijmy więc i tego, co się w niéj z drugiéj strony spo-

tyka pochlebniejszém dla kraju. Margrabia de Bethune w jednéj z depeszy swych pisał: „Le roi de Pologne vit hier une partie de ses troupes et assurément *rien n'est plus beaux* et plus en état de servir *que les dragons, les huzards, et la cavalerie Polonaise*" str. 153. Podobnie biskup marsylski w raporcie do samego króla: „L'infanterie Ukrainienne... jointe à la cavalerie Polonaise *qui est la meilleure du monde*, pourra etc" str. 174. Musiał biskup bardzo być pewnym tego zdania, kiedy się je ośmielał wyrażać przed Ludwikiem XIV.

Pó zawartym pokoju z Turcyą, nalegania ambasadorów na wykonanie traktatu Jaworowskiego i uskutecznienie dawanych obietnic stały się jeszcze natarczywsze, król Jan nie ośmielał się jednak występować jawnie przeciw cesarzowi i elektorowi, zobowiązania się więc dopełniane były pośrednio. Ochotnicy polscy pod przewodnictwem Hieronima Lubomirskiego udali się byli do Węgier, a powodzenia ich były głośne i dla podania pomocy Francyi dostateczne; dla działania zaś przeciw elektorowi zawartym został pod d. 21 sierpnia 1677 traktat tajemny ze Szwecyą, mocą którego król polski obowiązał się do udzielenia pomocy Szwecyi ilością 6 do 7,000 wojsk, pieniędzmi i ułatwieniem przejścia armii szwedzkiéj przez terytoryum Rzeczypospolitéj, zaś Szwecya obowiązała się po zajęciu Prus książęcych zwrócić je po skończonéj wojnie królowi polskiemu. Ludwik XIV był poręczycielem traktatu (tekst umieszczony na str. 424).

Takie są ramy tych rysów, które nam przynosi wydana korrespondencya pod względem politycznym; wspomnijmy teraz o tych, jakie dodaje do obrazu głównego bohatera korrespondencyi króla Jana. Wydawca który w umieszczonym do obecnego wydania wstępie wyraził trafny i odznaczony pogląd na charakter historyczny krajowéj epoki, do któréj się odnosi korrespondencya, wyraził téż i trafną charakterystykę tego króla, kiedy rzekł: iż „obok objawiającéj się nietylko na polu bitwy energii, wszystkie przymioty znakomitego sternika i niepospolitego gracza politycznego jego są przymiotami;" wszakże nie podzielamy zupełnie uwagi kończącéj wstęp a wyrażającéj żal, iż „stosunek tego króla do autokraty wersalskiego polegał od początku do końca na ledwo że nie z wazalstwem graniczącéj zależności." Nie wiemy naturalnie jaki, co do swych szczegółów, przedstawią nam obraz dalsze tomy korrespondencyi; w tym dalszym ciągu jednak ma właśnie nastąpić epoka wyprawy do Wiednia, a w téj Jan III jak najdalszym się oczywiście okazał od przypisanego mu wazalstwa, ale i w obecnéj korrespondencyi, jeżeli odrzucimy dwuznaczne kwestye pieniężne (o czém niżéj) nie Jan III względem Ludwika XIV, ale przeciwnie Ludwik XIV względem Jana III okazuje się od początku do końca nadskakującym, starającym się o względy i czyniącym ustępstwa żądane.

Ambasador Forbin-Janson miał snadź instrukcyą jednania sobie wszelkiemi możliwemi środkami względów Jana III, kiedy sam autor wspomina, iż ten zdawał się więcéj pełnić interesa króla polskiego, jak własnego; w wyznaczeniu drugiego ambasadora tém więcéj dawała się

widzieć chęć Ludwika XIV przypodobania się Sobieskiemu, na urząd ten bowiem został obrany mąż rodzonéj siostry królowéj (margrabia de Béthune); cała wreszcie treść dalszéj korrespondencyi jest odbiciem zabiegów, starań Ludwika o wyjednanie zawarcia traktatów: pruskiego, szwedzkiego i przystąpienia do ich wykonania. Przeciwnie, ze strony króla Jana ani zapobiegliwości, ani tém więcéj wazalskiego uniżania się wcale nie widać. Kiedy przesyłając Janowi III order Ducha ś., Ludwik XIV żądał, aby to doręczenie nastąpiło solennie, w czasie koronacyi (dla okazania przed sąsiadami blizkiego związku królów), król Jan przeciwnie, dopełnił go najprywatniéj, w Żółkwi; kiedy po pewnym czasie odwołując pierwszego ambasadora, naglił go ponawianemi rozkazami o śpieszny wyjazd, król Jan przeciwnie nie chciał go uwalniać i zwłóczył długo, nie udzielając mu audyencyi pożegnalnéj. Stosownie do życzeń Ludwika, zawarł był wprawdzie Jan III traktaty w Jaworowie i szwedzki—do wykonania ich jednak nietylko nie przystępował, ale nawet (jak objaśniali ambasadorowie), nie okazywał chęci do przystąpienia. Listy wreszcie króla Jana do Ludwika, które znajdujemy w korrespondencyi, zaczynające się od Monsieur mon Frère, są wszystkie krótkie, poważne; jakie zaś bywały Ludwika do króla Jana, przytoczymy tu dla przykładu ten, który był pisany przed zamierzoną koronacyą. Nie jest to wcale list pana do swego wazala. Przytaczamy tu prawie cały, z zachowaniem i ówczesnéj pisowni:

Trèz-hault, trèz-excellent et trèz-puissant Prince, notre trèz-cher et trèz-aimé bon frère et cousin. Si nous avons vëu Vostre Eslevation sur le throsne avec toute la joye, que vous deviez attendre de nostre amitié, nous ne pouvons apprendre sans un extresme plaisir que vous soyez sur le point de recevoir avec les cérémonies accoustumées la mésme couronne, qui vous a esté déférée par le consentement et l'applaudissement unanime de tous les peuples, qui vous sont soumis. Cette occasion qui va achever de faire esclater en vostre personne les marques, les plus glorieuses du rang sy eslevé où votre vertue, vos grandes qualités, et tant d'important services rendus non moin à la chrestienté entière qu'à vostre Patrie, vous ont faict monter, nous en ouvre une bien favorable de vous temoigner de nouveau par cette lettre, combien nous sommes servibles à tout ce qui vous touche, l'interest que nous prendrons tous jours à votre gloire et le soing que nous apporterons à affermir de plus en plus l'alliance, qui nous unit. Mais dans ces sentimens, que nous inspire l'amitié, que nous avons pour vous, celle que nous avons tousjours eue sy particulière pour nostre très chére et très aimée *soeur* la Reyne de Pologne votre Espouze faict voir avec mésme satisfaction qu'elle soit avec vous sur le point d'éstre courronnée. Elle a desjá l'avantage de porter sur le throsne avec des qualités dignes d'un sy haut rang la distinction d'une naissence illustre dans nostre Royaume, et qui luy faict conter dans sa race divers officiers de notre Couronne, mais nous sommes bien aise qu'elle en tire un nouveau du tesmoignage, que nous vous donnons, que nostre éstime est tel pour elle,

que nous la régardons avec la même consideration, et la même affection que sy elle estait *notre fille...* Sur ce nous prions Dieu qu'il vous ayt, Trèz-Hault, Trèz-Excellent, et Trèz-Puissant Prince, nostre très-cher et très-aimé bon frère, et cousin en sa sainte et digne garde.

Escrit à Saint-Gérmain en Laye, le neuf jour de Novembre 1674.

Z korrespondencyi obecnéj dowiadujemy się wprawdzie, iż toczyła się kwestya o używanie tytułu *Majesté* i że poseł polski w Paryżu Załuski, pod dniem 4 września 1674 r., upraszał ministra Pomponne o poparcie uczynionego już pod tym względem przedstawienia do króla Ludwika, z wyjaśnieniem, iż „tytułu tego używają pisząc do króla, cesarz, król hiszpański i wszyscy inni monarchowie" (str. 262). Etykieta była to główna słabość i wielkość Ludwika Wielkiego. Etykieta zaraz po objęciu władzy, poróżniła go była z papieżem, z Hiszpanią; nie wiemy, czy odstępując od wzoru swych poprzedników, używał następnie do elekcyjnego króla należnego mu tytułu; zdaje się jednak, iż żądaniu temu, przynajmniéj w prywatnéj decyzyi, stało się zadosyć: obaj bowiem ambasadorowie, uważać można w raportach swych, przesyłanych tak ministrowi, jak i do samego Ludwika XIV, przy wzmiankach o królu polskim, wyrażają się zawsze: „Sa Majesté Polonaise," albo prosto „Sa Majesté," a formę tę zachowywaną widzimy i przy publicznych obrzędach; jakoż po odbytéj np., przez króla Jana w dniu 18 lutego 1676 r. koronacyi, biskup marsylski w te między innemi przemówił do niego słowa:

„Sire, j'ai ordre du Roi mon Maistre de temoigner à *Votre Majesté* la part sensible qu'il prend à la gloire de Votre couronnement... Sire, tous les princes de la terre regardent aujourd'hui *Votre Majesté* au milieu de la gloire qui l'environne" (str. 252).

Jest także powszechnie powtarzana przez historyków wieść, że Marya Kazimiera powziąwszy w owym czasie zamiar odwiedzenia Francyi, powstrzymała się następnie od téj podróży, będąc uprzedzoną, że królowa elekcyjna nie będzie mogła odbierać w Paryżu tych honorów, jakie się zachowują dla królowéj dziedzicznéj; objaśnia wszakże wydawca, iż szczegółu tego z korrespondencyi dyplomatycznéj nigdzie nie widać i że chociaż istotnie było interesem dworu francuzkiego, aby Marya Kazimiera nie oddalała się od boku męża, o którego liczne decyzye chodziło w tym czasie, to jednak wnosi także, iż środek do tego był użyty jedynie skuteczny u Maryi Kazimiery, t. j., jakaś kombinacya pieniężna.

Nie w charakterze wazala, ale równego przedstawia się nam zawsze król Jan w stosunku do króla Ludwika, a jeżeli poważnym i energicznym daje się tu widzieć na zewnątrz, tém więcéj widzimy go téż takim i w domu. Listy obu ambasadorów, pisywane do swych zwierzchników, były to listy urzędowe, sekretne, a jednak widać z nich, jak zostawali zawsze pod urokiem majestatu i powagi Sobieskiego. Słowa ich były pełne admiracyi dla jego męztwa, dla jego osoby, dla każdéj

jego czynności. Żądania jego bywały dla nich nie prośbą, nie rekomendacyą, ale rozkazem. Margrabia de Bethune np.: w liście do ministra Pomponne z dnia 14 lutego 1677 r., tak pisał: „A Varsovie je trouvai *un ordre* de Roi de Pologne de me rendre incessament a Joulkieuf... et ensuite une lettre par ou il *m'ordonnait* de voir M. Paëtz (Pac)" (str. 352). Po przybyciu pierwszém do Warszawy, tenże tak króla określał: „On ne peut assurément trouver dans un même prince tant de *grandes qualités*. Je vous peut dire qu'il est universel" (str. 110). Niektóre korrespondencye (jak to zaraz wspomnimy) przedstawiały go nawet, jako przedmiot bojaźni powszechnéj, jako tyrana, ale i w jednéj z korrespondencyi samego margrabiego Bethune czytamy np., taką wzmiankę:

„Wieść o intrygach posłów cesarskiego i elektorskiego (o powstrzymanie sejmu od ratyfikacyi traktatu szwedzkiego), tak rozgniewała króla, iż posłał do pierwszego rządzcę swéj kancelaryi z oznajmieniem, iż cofnie wypłatę pensyi siostrze cesarskiéj, a posłowi brandeburskiemu Overbekowi zapowiedział, iż jeśli się sprawdzi, że jest autorem tych pism buntowczych, o które jest obwiniany, rozkaże go aresztować, bez względu na nic" (str. 355).

Nawet powszechna opinia o stosunku króla Jana do żony uledz musi pewnéj modyfikacyi. Król ten, który się nie bał Turka, zdaniem dotąd powszechném, tracił całą odwagę przed małżonką, jéj rozumem i wolą rządził się tylko. Jeden z historyków naszych pisał: „Mówią o sławnych miłościach Hery i Leandra, Abelarda i Heloizy, Laury i Petrarki, ale znamy jednę tylko *historyczną*, szaloną, przechodzącą wszystko na świecie miłość, to miłość Jana Sobieskiego do „Marysieńki." Lata, obozy, służba ku ojczyznie, tego uczucia w nim nie stłumiły, nie umiarkowały. Obywatel niknął zawsze w Sobieskim przed „kochankiem." Korrespondencya obecna nie potwierdza w zupełności tego obrazu. Marya Kazimiera, która w listach swych mianowała zawsze męża: „Król, mój pan" (Roi Monseigneur), widzieć można, iż nieraz zmuszoną bywała słuchać go mimo woli, iż nieraz wcale nie bywała pewną jego miłości, iż przychodziło nawet nieraz między małżonkami do poróżnień stanowczych. Ciekawe mianowicie pod tym względem szczegóły mieszczą listy jednego z półurzędowych korrespondentów, znajdujące się w zbiorze obecnym, pana de Baluze. Pan de Baluze byłto, jak wspominaliśmy, rezydent francuzki przy dworze króla Michała. Dziś malkontent, a ztąd pesymista, w listach swych do dawnego zwierzchnika swego ministra Pomponne, starał się zrazu dawać do zrozumienia, iż jako znający oddawna kraj i jego język, byłby użyteczniejszym królowi, niż jego następcy; gdy jednak to skutku nie miało, usiłował to wszystko, co posłowie kreślili biało, malować czarno; w listach jego mogła więc być niejedna stronność, przesada, wszakże i w każdéj bajce, jak się to słusznie powtarza, bywa zawsze i jakaś część prawdy, a listy p. Baluze snadź nie były uważane za bajki, skoro, jak to widzimy, zachowane zostały w archiwum państwa. Listy te zwracając się z na-

tury swojéj więcéj do szczegółów prywatnych, jak urzędowych, a dotykając dworu, zwracały się tém samém do stosunków prywatnych króla, stanowiska królowéj, kreśliły ich charakter, ich stosunki wzajemne i t. p.; bywały one, być może, nieraz odbiciem plotek, lecz widzieć można, jaki kolor miewały te plotki.

Przytoczymy z nich kilka wyjątków.

W liście z dnia 27 września 1675 r., w czasie pierwszéj kampanii przedelekcyjnéj p. Baluze tak pisał między innemi.

„Król polski zawsze jest w najgorszym humorze. Wyjechał on ze Lwowa wbrew zdaniu wszystkich *i nie zważając na łzy* i przedstawienia królowéj. Nikt nie śmié mu się sprzeciwiać, bo wszystkich łaje bez różnicy." Następnie w jednéj z swych korrrespondencyi z Warszawy pisze te słowa: „Zazdrość królowéj pochodzi z dwu źródeł: z miłości króla i miłości władzy; nie więzi już ona króla przez pierwszą, a druga umyka jéj z rąk. Stosunki wzajemne ich królewskich mości bardzo wiele pozostawiają do życzenia. Siostra królewska (Katarz. Radziwiłłowa) nienawidzi śmiertelnie królowéj, a ta z swéj strony sądzi, iż ją złapała odkrywszy, iż lubi się *rozrywać*" etc. Zaś w liście z dnia 5 czerwca 1676 r. obszerniéj pisze o tém wszystkiém, w tych słowach między innemi: „Król ma sobie za prawidło nie czynić tego, czego chce królowa; objawia głośno, że każdy, mając interes, ma się udawać wprost do niego, a nie do królowéj albo do kogobądź. Królowa wié o tém i widzi że się już nie udają do niéj. Co najmniéj, zdolne to jest wywołać melancholią. Jedna z jéj pokojówek opowiada, że ostatni jéj wybuch był gwałtowniejszy nad inne, i że jeżeli tak daléj potrwa, nie wytrzyma. Napróżno królowa pani cztery godziny codnia trawi przy toalecie i do wszelkich ucieka się środków, aby się przypodobać królowi: on nią gardzi i poniewiera okrutnie. Jest téż on takim dla wszystkich, to téż wszyscy go nie nawidzą i poczytują za tyrana i dzikie zwierzę. Jego chciwość i jego zły humor są bezprzykładne. Bierze on obu rękoma, nic daje nic, i bije lub rozkazuje obijać za rzecz najmniejszą; ztąd téż niéma nigdy nikogo w jego komnacie, prócz 8-iu do 10-ciu małych chłopców, kozaczków, Wołoszynów i Tatarczuków. Sądzą tu powszechnie, że jego królewska mość radby bardzo owdowieć, aby następnie zostać szwagrem cesarskim, oszczędziłoby mu to 200,000 dukatów rocznie, które teraz wypłaca Eleonorze" (str. 263).

Byłyto szczegóły, powtarzamy, może trochę przesadne, nie musiały być jednak całkiem bezzasadne, znajdują bowiem w części potwierdzenie i w listach szwagra królowéj, margrabiego de Bethune. Ambasador ten, pisząc jeszcze pod dniem 12 sierpnia 1674 r. do króla, a wspominając o Maryi Kazimierze, wyraził między innemi: „Nie jest ona zawsze panią umysłu swego męża, jednak..." etc. A w liście z d. 14 listopada 1677 do P. de Pomponne: „Przybywszy do Gdańska, dowiedziałem się, że królowa polska *nader się poróżniła* z mężem (*estait extresmement brouillée avec son mary*). Chociaż królowa jest osobą nader oświeconą, jest ona kobiétą, panią, i z urodzenia zawisna

i zazdrosna" etc. (str. 351). Wyrażenia o gwałtownym humorze króla w depeszach p. de Baluze bardzo często się spotykają: jak np. w liście z d. 30 kwietnia 1677 r.: „L'humeur du Roi de Pologne est avare et emporté sans exemple; tout tremble etpersonne n'ose lui parler" (str. 386). Podobnie pod d. 21 maja tegoż roku: „L'humeur du Roi de Pologne empire tellement que tout le monde en tremble; la violence succéde à l'emportement."

Cóż było powodem głównym owych zajść pary królewskiéj? P. de Baluze objaśnił, że ze strony królewskiéj był wstręt, ze strony królowéj zazdrość. Margr. de Bethune także wzmiankuje o zazdrości; patrząc jednak na długą następną i zdaje się najszczerszą zgodę małżonków (listy króla, Załuski), a z drugiéj strony na główne źródło wszystkich czynności i namiętności Maryi Kazimiery, zdaje się, że jak źródłem stanowczego poróżnienia się jéj z siostrą (margrabiną B.), tak i powodem jéj zajść z mężem być musiały jakieś porachunki pieniężne. Jan III, nim wstąpił na tron, a przynajmniéj nim pojął Maryą Kazimierę, był rozrzutnym. Szajnocha wykrył, że ciążyły na nim nawet trzy wyroki sądowe, skazujące go na banicyą za niewypłatność. Małżonka nauczyła go namiętności przeciwnéj, oszczędności i zbiorów. Kasę osobną miał król, osobną królowa, przy zwiększonych na tronie źródłach dochodów i źródłach wpływów, kollizye mogły nastąpić łatwo, a namiętność wieść musiała do namiętności. Sobieska, będąc jeszcze wielką marszałkową, pobierała od rządu francuzkiego pensyą, równie jak inni rządu tego stronnicy (Jabłonowski, Morsztyn, Pac i i.), nie chciała jéj odstąpić, i owszem dopominała się o nią i teraz, gdy była królową. Dobra sława Maryi Kazimiery, w jéj stosunku pieniężnym do dworu francuzkiego, według dzisiejszych wyobrażeń naszych, wcale nie była czystą. Być może, iż mąż jéj, co do tego stosunku, wpoprzek z nią stawał, być może, iż chciał w nim mieć udział. Lecz ta kwestya datków od obcych rządów, praktykująca się w kraju od kilku wieków, a wyjaśniająca się dzisiaj, zbyt jest dziwaczna i smutna, iżbyśmy przy dotknieniu jéj kilku zarazem słów i uwag bliższych nie poświęcili.

W kronikach, pamiętnikach i innych źródłach, znajdywaliśmy wprawdzie nieraz wzmianki o przedajności i przekupstwie partyi, zwłaszcza w czasie bezkrólewia i elekcyi; te jednak, jako ogólne, mniéj były rażące: lecz oto rozjaśnianie dziejów w ostatnich czasach z czerpaniem szczegółów z ministeryów spraw zagranicznych, z korrespondencyi ambasadorów, a mianowicie: rossyjskich, z końca ostatniego stulecia, cesarskich z czasów elekcyi w wieku XVI i obecnie francuzkich, powykrywało całe imienne listy osób płatnych. Wiele wprawdzie zapewne w podobnych raportach odnieść się musi do sumienia samych ambasadorów, dla których te potrzeby i konieczności ofiar, o których donosili, mogły zapewne bywać źródłem i korzyści ich własnych. Kiedy np. margrabia de Bethune w jednéj ze swych korrespondencyi, o których tu mówimy, tłómaczy się, iż dla przeszkodzenia, aby

sejm nie był przewleczony do Zielonych Świątek, zmuszony był ofiarować trzem członkom po dukatów 600, a stolnikowi koronnemu, który rozporządzał 50-ciu głosami 1000 duk., kto zaręczy, iż nie zaspokajał z tego źródła i własnych potrzeb, na które co chwila użalał się w tychże raportach. Raz wyraziwszy: *la nation etant accoutumée comme elle est à prendre des gratifications de qui elle peut en avoir* (str. 124); frazesem tym zastawił się jak kwitem od wszelkiéj odpowiedzialności za rachunki, które kłaść życzył. Lecz nie przecząc możności nadużyć, niepodobna zaprzeczyć i faktom, któremi były jawne działania partyzantów. Okazuje się z tych, iż jak nie było prawie w kraju magnata i dygnitarza, którzyby w ciągu trzech wieków nie pobierali już stałych pensyi, już darów jednorazowych, od obcych rządów, tak z drugiéj i prawie żadnego szlachetki, któryby nie korzystał już z większych już mniejszych datków. Obraz taki, istotnie, był wyjątkowym w *Historyi Powszechnéj*, a był on skutkiem wyjątkowych śród kraju urządzeń. W kwestyach elekcyi króla, pokoju i wojny, w każdéj owszem większéj wagi politycznéj, wyrzekał u nas sejm, czyli reprezentacya szlachty krajowéj. Ambasadorowie obcych rządów w tych wszystkich kwestyach udawali się nie do króla, nie do kanclerza (ministra), ale miewali posłuchanie i czekali decyzyi od sejmu. Każdy możniejszy szlachcic, w każdéj sprawie, mógł znaczną przynosić pomoc, a każdy bez wyjątku, mógł szkodzić (samém zerwaniem sejmu). Pensye, prezenta, przejednania i t. p., które w innych krajach zwracały się tylko do najsilniejszych ministrów, tu spadały kolejno, ledwo nie na każdego ze szlachty. Ztąd też wziątków podobnych nietylko nikt nie żenował się w kraju, lecz owszem przechwalał się niemi.

Trafną jest pod tym względem uwaga wydawcy obecnéj pracy: „Od króla przez sejm, od sejmu przez *liberum veto* niepodległym uczyniony, był on (t. j. każdy szlachcic) królikiem udzielnym. Kondotyerem był w gruncie rzeczy politycznym, ale do tych najemnych stosunków nie przywiązywał żadnego sromu. Zaszczycały go one owszem w jego rozumieniu, podnosząc go do stanowiska *potencyi politycznéj*. (*Wstęp*). Jakie były następstwa dla kraju upowszechnienia takich zwyczajów, takich poglądów? okazały to fakta. Dlaczegóż np. w latach, o których mówimy, nie doszedł był do skutku traktat przeciw elektorowi? Oto, iż, jak objaśniał Sobieski ambasadorom, większość senatu składała się ze stronników cesarza i pobierających płacę od elektora. Interes własny łatwo kazał zapominać na krajowy, kazał oceniać ten ostatni z własnego, a więc fałszywego stanowiska, psuł punkt widzenia jednostek, a jakie ztąd ostatecznie wyniknąć musiały skutki, to objaśniło ostatnie rozwiązanie. Wszakże potępiając najsilniéj stronę ujemną tego stanu rzeczy, równie silnie zarazem wypada zaprzeczyć, iżby ten stan był jakąś stanowczą plamą charakteru narodowego, iżby go poniżał wobec innych. Łaknienie zysku i nagród jestto rys nader znany i jest spólny wszystkim jednostkom ludzkim. Jeżeli nie widzimy przy-

kładu, iżby w innych krajach prywatne jednostki przyjmowały datki od obcych rządów, to dlatego, iż nie widzimy zarazem, iżby w tych wszystkich krajach obce rządy dawały co prywatnym jednostkom. Wiemy przeciwnie o pobieraniu przez ministrów najpotężniejszych krajów w czasie wielkiego znaczenia wojen, pensyi obcych. Znane są równie przekupstwa elektorów niemieckich przy obiorze cesarzy; jawne np. targi każdego z nich przy obiorze Karola V, a Ludwik XIV nie gorszył się zapewne, gdy, wysyłając do Polski biskupa marsylskiego, musiał go zaopatrzyć w trzos, dla zjednywania marszałków i hetmanów, gdy świeżo podając się sam do elekcyi cesarskiéj (1658 r. po Ferdynandzie III) miał już zjednanego dla siebie złotem palatyna Renu i wogóle trzech elektorów.

Instytucye podobne naszym wywoływały téż i w innych krajach podobne skutki. Wydawca obecnego zbioru dotykając téj kwestyi przypomina we wstępie, iż „w Anglii Karol II i Jakób II byli pensyonarzami Ludwika XIV; a przesiadujący w Londynie ministrowie francuzcy jawnie rozporządzali większością w obu izbach; przytacza téż zdania Macauleya i Buckla, iż królowi Wilhelmowi (księciu Oranii)," z trudnością byłoby przyszło między krajowcami znaleźć jednego męża, na którymby mógł polegać, iż nie zaprzeda więcéj ofiarującemu powierzonych mu interesów" (str. 20).

Górnicki w *Dziejach Korony polskiéj* wspomina, iż gdy raz królowa Bona rozgniewana o coś na Zebrzydowskiego zawołała: „Ty, ty, który biskupstwo kupiłeś;" ten odrzekł: „bo było *sprzedawane*." Marya Kazimiera (naśladowniczka we względzie sprzedaży urzędów Maryi Ludwiki swéj niegdyś pani), rzekła do Małachowskiego biskupa chełmińskiego: „Księżę biskupie, załóżmy się, że będziesz biskupem krakowskim." Zakład stanął o 50,000 talarów. W kilka dni Małachowski otrzymał nominacyą, a królowa wygrany zakład. U Brühla była taksa na wszystkie urzędy i starostwa i ogłaszały się targi. Włosi, Francuzi, Niemcy, bezpośrednio nauczali nas przedajności, będąc przedajni sami. Charakter narodowy popsutym się stawał, lecz tylko w pewnéj mierze. Dzieje nasze, w przeciągu kilku wieków, składały się prawie wyłącznie z szeregu bitew, obrony fortec, a niéma śladu, iżby która bitwa, która forteca była kupiona złotem. Złoto cesarskie i złoto francuzkie nie zapobiegło, aby na królów nie byli obierani ci, dla których imienia kraj miał wdzięczność lub podziw, chociaż ci nic nie dawali (Wiśniowiecki, Sobieski, dawniéj Batory), nie zapobiegli, iżby do skutku nie dochodziły obrady, nawet za ostatnich dni kraju i. t. p. Klęską jednak było spaczenie wyobrażeń moralnych, sądu jednostek, jednostek równie w zagrodach jak i na tronie: fakta to także. Marcin Matuszewicz, szlachcic drobny, wzmiankując w swych pamiętnikach, iż dostał był datek od jakiegoś agenta ambasady francuzkiéj, iżby stać przy partyi Zabiełły, dodaje: „Niektórzy takie wziątki poczytują za zbrodnią, cóż za zbrodnia? jeżeli biorę nagrodę od kogoś za usługi, które mu oddaję? a które narażają mię nawet zkądinąd na straty."

Tak słowo w słowo rozumowała właśnie i Marya Kazimiera. W archiwum francuzkiém przechował się jeden z jéj listów (przedstawiony przez marg. de Bethune jako anneks), który obejmuje właśnie to jéj ciekawe rozumowanie i którego tu treść powtórzymy. Marya Kazimiera, jak dopiéro wspomnieliśmy, będąc marszałkową wielką, pobierała pensyą francuzką 20,000 fr. W r. 1677 szło mocno Francyi o zawarcie traktatu szwedzkiego, wyżéj wzmiankowanego; margrabia de Béthune wziął więc, dla przypomnienia się, za pretekst dzień imienin królowéj i w wigilią, t. j. 14 sierpnia przesłał jéj piękny prezent, dołączając do tegoż i całkowitą pensyą roczną 20,000. Jakżeż mu podziękowała królowa? Ambasador zaraz nazajutrz otrzymał od niéj liścik, w którym z góry dziękowała mu z gracyą za pamięć i prezent, lecz daléj zwróciwszy uwagę, iż summa, którą otrzymała, jest w dukatach, według kursu jaki mają w Paryżu, więc właściwie jest mniejszą o kilkaset franków i że stanowi zaległość z jednego roku nie trzech, dodała: iż widzi się zmuszoną odesłać i otrzymaną pensyą i dyplom na pensyą, gdyż byłoby dla niéj *wstydem* (cóż?), gdyby się kiedy dowiedział świat, i „małżonek, pan jéj," iż będąc królową, przyjęła pensyą, która i dla wielkiéj marszałkowéj nie była wielką, i to jeszcze w zmniejszonym walorze." W końcu dodała jednak: że mimo to uczucia jéj dla dworu francuzkiego zostają niezmienne, i prosi ambasadora, aby przyszedł przekonać się o tém osobiście, a czekać go będzie z traktatem szwedzkim w ręku. Ambasador zrozumiał list, za obaczeniem się, jak objaśnia w raporcie, królowa dołączyła wyrzuty, jak niewdzięcznym jest rząd francuzki, gdy ona dla interesów jego naraziła siebie i los swych dzieci na nienawiść partyi. W rezultacie więc otrzymała dwuletnią pensyą z poprawką według kursu, a traktat szwedzki został podpisany.

Powiedzieliśmy, iż zdaniem naszém, poróżnienie się pary królewskiéj, najprędzéj mogło być z powodu rachunków wzajemnych; była to bowiem jedyna namiętność Maryi Kazimiery, a wyrażenia margrabiego de Béthune o zazdrości, są ciemne, i gdy miesza do tego i siostrę królowéj i brata i biskupa marsylskiego, tedy wnieść można: iż mowa tu jest o zazdrości w korzyściach, nie osób. Zdaje się jednak także, że co do stosunku kasy żony do dworu francuzkiego, król podzielił następnie jéj punkt widzenia, a jakkolwiek zwyczaj prezentów między monarchami trwa w części, w różny sposób i dotąd, jednak z punktu widzenia dzisiejszego, król Jan nie zawsze całkiem był bezwinnym; np. gdy razem z królową przesyłał osobny memoryał, wyliczający przysługi, jakie uczynił dworowi francuzkiemu (str. 469). Interesa podobne nieraz się spotykają w korrespondencyi; i to właśnie było może powodem, iż wydawca widział w nim rodzaj wazalstwa. Sobieski jednak, jakkolwiek miłośnik zbiorów, pewném jest, iż dobrze wyżéj kładł zawsze miłość kraju nad miłość zbiorów. Ileż razy zastępował swoją szkatułą potrzeby wojska. Jakichże nie skąpił prezentów dla Tatarów i Turków. A jak w początkach elekcyi wielkie ofiary cesarskie nie odwróciły go od partyi francuzkiéj, którą uważał za korzystniejszą dla kraju, tak

następnie wielkie ofiary francuzkie (przez posła Vitry, szczegóły czego poznamy zapewne bliżéj z następnych tomów), nie odwróciły go od przymierza z cesarzem, gdy raz je za korzystne dla kraju uznał. Nie widzimy więc, powtórzmy raz jeszcze w obrazie, który otrzymaliśmy, obrazu wazalstwa, i owszem przedstawia się on nam jako kierowany ręką możnego króla, samodzielnie i świetnie. „Donosicie mi, pisał z jawną radością Ludwik XIV pod d. 17 grudnia 1676 r. do margrabiego de Bethune, że król polski trwa stale w obietnicy wykonywania traktatu naszego, że nie dał się zachwiać przez ofiary, które mu czynią cesarz i elektor, zaręczając mu powrócenie trzech województw inflanckich" (str. 346). Francya, Cesarstwo, Brandeburg, Dania i Szwecya, dobijały się, jak widzimy, w tym czasie o przyjaźń i przymierze z królem Polski; były to zapewne ostatnie już czasy blasku, ale jednak istotnego jeszcze blasku w jéj dziejach. Znikł on stanowczo dopiéro od Augusta II.

Takie są główne rysy, które wydana obecnie korrespondencya podaje do pierwszych lat panowania Sobieskiego, pod względem polityki; mieści ona naturalnie i inne liczne szczegóły, pośrednio tylko do polityki należące, a które nie mogą nie zajmować. Do takich np. odnieść się może drażliwość Jana III, z powodu nieudzielenia przez Innocentego XI godności kardynalskiéj biskupowi marsylskiemu, pomimo kilkakrotne przedstawienia królewskie, i dobitne w końcu jéj wyrażenie w liście do kardynała Orsini (str. 235—239). (Dodajmy tu, że przy końcu panowania swego, Jan III oglądał 4-ch kardynałów z swéj ręki, i w swym kraju; byli niemi: tenże biskup marsylski, teść królewski margrabia d'Arquien, Denhoff i Radziejowski). Sprawa kawalera Brisacier, któréj autor obszerny ustęp poświęca; kawalera tego, dla którego Jan III na instancyą Maryi Teressy chciał wyjednać tytuł duca, a którego Ludwik XIV wydalił z kraju, pisarze francuzcy (Coyer, Salvandi), podają domyślnie za syna naturalnego króla Jana. Autor zaś (i sądzimy zasadniéj, tak z powodu urazy Ludwika, jak i *inicyatywy*, idącéj od jego żony) za faworyta Maryi Teressy. Projekt traktatu handlowego z Polską ciekawy, z powodu wyliczenia licznych produktów polskich, które, zdaniem ambasadora, staćby się wtedy były mogły przedmiotem handlu zamiennego (str. 318) i t. p.

Wydawca obecnéj publikacyi, p. Kazimierz Waliszewski, jest jednym z reprezentantów młodéj naszéj szkoły historycznéj. Przyjaciel dokładności faktów, pracowitości, przyjaciel téj przeszłości, któréj dotyka, jest téż zarazem nieprzyjacielem optymizmu w kreśleniu jéj. Im bardziéj były świetne te chwile, o których miał w swéj pracy wzmiankować, tém więcéj lękał się szkodliwego ich wpływu na wyobraźnią, ztąd mówi między innemi: „Takie na wielką miarę zakrojone postacie, jak niedawno Czarniecki, jak teraz Sobieski, zawsze wyjątkowo się przedstawiają. Ich zaś pojawienie się w epoce, w któréj napróżnobyśmy szukali podobnych u wielu sąsiadów, to najczystsze źródło ówczesnéj chwały naszéj, ale także źródło dzisiejszych najszko-

dliwszych iluzyi. Jednostkami są te postacie, i to jednostkami wyjątkowemi tylko, a nadto dodaje: „Naród poza dynastyą (monarchą) był tu tylko piramidą monstrualną kilkunastu milionów chłopstwa, pracującego dla kilkukroć stu tysięcy szlachty, hołdującéj kilkudziesiątkom magnatów, nie hołdujących pospolicie niczemu, jak tylko własnemu interesowi." Obraz to naturalnie przesadny, lecz z wielu względów wierny, a lekcya, lubo gorzka, z wdzięcznością słuchać się może, skoro autor oddaje też zarazem *suum cuique*.

Z zajęciem wyglądamy ukazania się dalszych tomów *Archiwum*, t. j. zaczętéj *Korrespondencyi*, a to tém więcéj, iż z jednéj strony zawarty wkrótce traktat w Nimwedze, który przywrócił pokój Francyi, a z drugiéj przymierze króla Jana z cesarzem Leopoldem, wpłynąć musiały z gruntu na zmianę charakteru stosunków obu dworów.

T.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Sierpień 1880 r.— Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, w zastosowaniu się do ustawy Towarzysta, na posiedzeniu swojém dnia 5 czerwca r. b. odbytém, uchwalił następujące konkursy: malarski, rzeźbiarski i architektoniczny.

Temata: *a*) Na konkurs malarski: obraz olejny, przedstawiający ostatnie chwile Długosza, wykończony według wymagań sztuki; wysokość figur pierwszoplanowych wynosić ma 18 cali, obraz zostaje własnością autora. *b*) Na konkurs rzeźbiarski: statuetka w gipsie, przedstawiająca księdza Kordeckiego; wysokość figury cali 24. *c*) Na konkurs architektoniczny: Szkic do projektu urządzenia oddziału cmentarza miejskiego na sposób „Campo Santo." Budowa składać się ma: 1) z katakumb do chowania ciał; 2) z podcieni czyli galeryi, w którychby można było umieszczać pomniki zmarłych; 3) z kaplicy cmentarnéj; 4) z odpowiedniego ogrodzenia z wjazdem i wejściami, tudzież mieszkaniem dla dozorcy. Styl: obszerność budowy i rodzaj materyału, pozostawiają się uznaniu projektujących. Skala: do planu ogólnego, 14 łokci na cal, do fasad, przecięć, tudzież planów szczegółowych, 7 łokci na cal.

Nagrody za dzieła, uznane przez komitet Towarzystwa za najlepsze z liczby przyjętych do konkursu, jako odpowiadających podanym warunkom, wynoszą po rubli dwieście na każdy z powyższych trzech konkursów.

Termin złożenia prac konkursowych na powyżéj wyrażone temata, wyznaczonym zostaje na dzień 31 grudnia r. b.

Koszta przesyłki i zwrotu dzieł konkursowych należą do autorów. Fotograficzne kopie dzieł nagrodzonych winny być przez autorów dostarczone do zbiorów Towarzystwa.

Wszystkie dzieła konkursowe mają zostawać na wystawie Towarzystwa dwa tygodnie. Dzieła nieodebrane z wystawy, po upływie sześciu miesięcy, przechodzą na własność Towarzystwa.

Do dzieła konkursowego dołączony być winien dokładny adres autora w kopercie zapieczętowanéj, opatrzonéj tym samym, co i dzieło konkursowe, znakiem lub dewizą.

Pokwitowanie z odbioru dzieł konkursowych wydaje kustosz wystawy Towarzystwa.

w zast. vice-prezesa Towarzystwa,
członek komitetu: *F. Sobański.*
p. o. sekretarza komitetu: *Ignacy Kosmowski.*

— Towarzystwo Ś-go Łukasza w Krakowie ogłosiło powtórny konkurs (gdyż na pierwszy nie nadesłano żadnéj odpowiedniéj pracy) na wykonanie wizerunków św. Stanisława i św. Mikołaja, jako wzorów chromolitografii. Rysunki najlepsze, wykonane na kartonie ołówkiem lub kredką i kolorowane wodnemi farbami, otrzymają nagrody po 50 złr. Format 50 centim. wysokości, na 38 szerokości. Św. Stanisław ma być przedstawiony z Piotrowinem, w duchu i charakterze sztuki średniowiecznéj; św. Mikołaj z dziećmi, w stylu bizantyńskim. Adres do prezesa Towarzystwa ś-go Łukasza: Lasocki, Kraków, rynek główny; dom Bankugala. Termin do 15 października r. b.

Towarzystwo św. Łukasza zamierza między innemi wypłoszyć u nas z handlu i ze ścian chat włościańskich fabrykaty niemieckie, rażące często tak formą, jak i treścią, nietylko smak estetyczny, ale i uczucia religijne. Nie wątpimy zatém, że i nasi miejscowi artyści w konkursie tym liczny wezmą udział, bo idea piękna, a cel wzniosły i obywatelski.

— W Akademii Umiejętności w Krakowie odbyło się dnia 1 b. m. posiedzenie komisyi fizyograficznéj pod przewodnictwem prof. d-ra Kuczyńskiego. Przewodniczący zawiadamiając o sprawach bieżących od ostatniego posiedzenia, odczytał prośbę redakcyi pisma *Botanisches Centralblatt*, o przesyłanie jéj botanicznych publikacyj komisyi. Następnie przedstawił budżet i program prac komisyi na rok bieżący.

Według tego programu w r. b. badać będą z polecenia komisyi Tatry pod względem geologicznym pr. d-ra Alth i Bieniasz; p. Jelski zajmować się będzie zbieraniem skamielin w okolicach Szczawnicy; badań florystycznych podjęli się w r. b. p. A. Ślędziński na Pokuciu, pr. B. Kotula w porzeczu Strwiąża, oprócz tego zawiadomił komisyą dr. H. Zapałowicz, iż w tym roku zamierza rozpocząć badanie roślinności na Czarnéj Horze w sposób podobny, jak tego już dla Babiéj Góry dokonał. Badania faunistyczne poleciła komisya prof. Łomnickiemu w górach stryjskich, p. Wł. Kulczyńskiemu w okolicach Krakowa, p. J. Bąkowskiemu na Podolu, p. Stobieckiemu na Babiéj Górze i w Chełmku. Prof. dr. Alth zdał sprawę z pracy nadesłanéj przez d-ra Trejdosiewicza o porfirze w Królestwie Polskiém, a przewodniczący wspomniał o pracach nadesłanych od ostatniego posiedzenia, jako to: p. Bąkowskiego: *Mięczaki zebrane w r. 1879 w okolicy Rzeszowa*, d-ra Jachny: *Chrząszcz z Kotowéj Woli*, prof. Kotuli: *Wykaz roślin z okolic Przemyśla.* Wszystkie te prace będą umieszczone w sprawozdaniach ko-

misyi. Przewodniczący podał następnie wiadomość o darach otrzymanych od ostatniego posiedzenia, t. j. od p. Bieniasza rośliny z okolic Łańcuta; od p. Rembielińskiego, za pośrednictwem prof. Wagi, rośliny obcokrajowe, nabyte w Kairze; od d-ra A. Wierzejskiego mszywioły z ogrodu botanicznego i Dębników, ryby i pasożyty rybie i ptasie z Janowa; od zarządu kopalń w Bochni, Wieliczce i Jaworzniu okazy geologiczne z tych kopalń; od p. Żeleńskiego skamieniałości z Kotlic w okolicy Kielc; od p. Pająka, za pośrednictwem d-ra Wierzejskiego, skamieliny z Brodeł; od p. Tekielskiego minerały i skamieliny ze Szczakowy; od ks. Mudraka 24 okazów łupku ze Skopowa z rybami skamieniałemi; od p. Schreitera szyszka i drzewo skamieniałe w soli spiżowéj z Komory Keller w Wieliczce; od d-ra Wł. Ściborowskiego ząb mamuta, wykopany w Krakowie; od p. Libana ammonit z Krzemionek, za pośrednictwem p. G. Ossowskiego ammonit z Mnikowa, od p. Szybalskiego, czaszka skamieniała wołu i minerały z Krzeszowic od zarządu dóbr krzeszowickich; tudzież meteoryty spadłe koło Pułtuska w r. 1868, od p. Czaputowicza. Od badaczów, którzy z polecenia komisyi zajmowali się fauną i florą krajową w r. 1879, otrzymała komisya: rośliny przemyskie od prof. Kotuli; zbiór błonkówek i chrząszczów od p. Stobieckiego. Następnie odczytał przewodniczący prośbę p. A. Knappa o zasiłek na podróż do Kijowa, w celu zebrania materyałów potrzebnych do wydania pozostałego w rękopiśmie po Antonim Andrzejowskim dzieła: *Enumeratio plantarum in Ukraina*, etc. Komisya na wniosek dra Rehmana wybrała komitet, składający się z przewodniczącego prof. dra Kuczyńskiego, dra Rostafińskiego i dra Rehmana, któremu poleciła przeprowadzenie korrespondencyi z panem Knappem, w celu umożebnienia wydania wspomnionego dzieła przez Akademią Umiejętności. Dr. Wierzejski zdał sprawę z badań, przeprowadzonych przez siebie w roku zeszłym nad chorobą ryb w stawie Janowskim.

— Dnia 15 lipca r. b. odbyło się posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego pod przewodnictwem prof. Teichmanna. Sekretarz Wydziału prof. Kuczyński przedstawił rozprawę, nadesłaną przez pana Bronisława Lachowicza p. t.: *Badania nad węglowodorami naftowemi*, odczytał nadesłaną przez autora treść téj rozprawy i sprawozdanie z niéj przedłożone przez członka Akademii d-ra Radziszewskiego. Następnie p. Szyszyłowicz wyłożył treść swéj rozprawy: *O zbiornikach olejków lotnych w królestwie roślinném*. Prof. dr. Janczewski wyraził chlubne o téj pracy zdanie. Obydwie pomienione rozprawy odesłano do komitetu redakcyjnego. Nakoniec dr. Kadyl wyłożył rzecz: *O kilku rzadszych zboczeniach układu naczyniowego*, spostrzeżonych w pracowni anatomicznéj, zostającéj pod kierownictwem prof. d-ra Teichmanna i objaśnił ją na przedstawionych preparatach i rysunkach. Wykład ten spowodował dyskusyą, w któréj udział brali oprócz autora dr. Warschauer i dr. Teichmann. W dalszym ciągu odbyło się posiedzenie administracyjne, na którém zatwierdzono dwu przez komisyę fizyograficz-

ną nowo przybranych członków: prof. d-ra Jana Trejdosiewicza i pana Konstantego Jelskiego.

— Zasłużony miłośnik i zbieracz zabytków krajowych Napoleon Orda, wydał piątą seryą swojego *Albumu widoków*, składającą się z trzydziestu rysunków, zdjętych z różnych miejscowości pamiątkowych w W. Księztwie Poznańskiém i Prusach zachodnich. Pomiędzy niemi zwracają na siebie uwagę: starożytna *Kruszwica* z legendową Myszą wieżą nad Gopłem; *Gniezno*, najstarsza stolica Wielkopolski; *Trzemeszno*, z kościołem wzniesionym na fundamentach jednéj z najstarszych świątyń, bo założonéj jeszcze przez Mieczysława I, gdzie czas jakiś spoczywały zwłoki ś. Wojciecha, a dotąd znajduje się jego kielich mszalny i drugi ofiarowany kościołowi przez Dąbrówkę; *Rogoźno*, gdzie r. 1295 margrabiowie brandeburscy Otton i Konrad, zamordowali króla polskiego Przemysława I; *Wenecya*, (w okolicy Gąsowy), gdzie według podania, miał być zamordowany Leszek Biały przez księcia pomorskiego Światopełka, a któréj nazwa żyje w przysłowiowym *Dyable weneckim*, odnoszącym się do wspomnień łotrostw mieszkającego niegdyś w tutejszym zamku Jaśka z Poznania; *Szamotuły*, gdzie w wieży zamkowéj w *baszcie czarnéj księżniczki* miał Łukasz Górka więzić Halszkę z Ostroga; prócz tego miejsce urodzenia głośnego w XVI w. matematyka Mateusza ze Szamotuł; *Żnin*, miejsce urodzenia Śniadeckich; *Piła*, miejsce urodzenia Staszica; *Toruń*, kolebka Kopernika i Lindego; *Wągrowiec*, miejsce urodzenia ks. Jakuba Wujka; *Radzyń*, z pięknie dochowanemi szczątkami zamku krzyżackiego; *Rogalin*, miejsce urodzenia Arciszewskiego, oraz Ed. Raczyńskiego; *Kórnik*, wsławiony naukowemi zbiorami i zasługami obywatelskiemi ostatnich dwu Działyńskich, ojca i syna: *Miłosław*, miejsce śmierci (1872) Seweryna Mielżyńskiego, dobroczyńcy Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego i wiele innych. Rysunki wszystkie pięknie wykonane; lecz litografia nie sprostała w téj seryi swojemu wielkiemu zadaniu. Serya szósta i siódma obejmą Galicyą i Królestwo Polskie. Tym sposobem przedstawi nam *Album* Napoleona Ordy obszerny obraz kultury polskiéj we wszystkich dzielnicach dawnéj Rzplitéj: a jako taki zaszczytny pomnik dla narodu i dla autora, zasługuje na szczere poparcie. Każda serya sprzedaje się osobno po rs. 10 (z wyjątkiem pierwszéj, jako najobszerniejszéj, kosztującéj rs. 15). Zamówienia przyjmuje autor w Pińsku gub. Mińska, oraz w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa.

— Po długich rokowaniach przyszło do ostatecznego porozumienia się Towarzystwa lekarzy galicyjskich z Towarzystwem lekarzy krakowskich, tak, że odtąd *Przegląd Lekarski* stanowić będzie wspólny organ obu Towarzystw. Nadto Towarzystwo lekarskie krakowskie przystępuje do kasy zaopatrzenia wdów i sierot po lekarzach pozostałych. Głównie staraniom protomedyka dra Biesiadeckiego i prof. Domańskiego należy się uznanie za przyprowadzenie do skutku tego pożądanego połączenia.

— Towarzystwo Linneusza w Londynie na posiedzeniu z dnia 6 maja r. b., zaszczyciło godnością członków zagranicznych, następujących uczonych Polaków: Maksimowicza, dyrektora muzeum i herbaryum w Petersburgu, autora wielu ważnych rozpraw z dziedziny systematyki botanicznéj i dra Edwarda Strassburgera, profesora botaniki w uniwersytecie Jenajskim, znanego i w naszéj literaturze z badań morfologicznych i fizyologicznych nad różnemi rodzinami roślinnemi.

— W *Tygodniku Illustrowanym* z dnia 10 lipca 1880 r., nr. 237 czytamy szczegółowe sprawozdanie z dorocznego uroczystego posiedzenia akademii Adama Mickiewicza w Bolonii, odbytego dnia 30 maja r. b., w wielkiéj sali uniwersytetu Bolońskiego, na które zwracamy uwagę czytelników *Biblioteki*, jako na fakt bardzo pocieszający, z powodu żywego interesowania się uczonych i poetów włoskich literaturą polską. Ogłoszone tamże statuta Akademii Mickiewicza wskazują poważne zadanie téj, że tak powiem, międzynarodowéj naukowéj instytucyi.

— Drugi zeszyt tomu I-go *Encyklopedyi Wychowawczéj*, wydawanéj pod redakcyą J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przystańskiego i J. K. Plebańskiego, wyszedł z druku już w ostatnich dniach czerwca. Znajdujemy w nim dokończenie artykułu *O Agrykoli młodszym*, daléj obszerny artykuł *O Akademiach*, rozpadający się na kilka ustępów, jakoto: 1) gruntowny artykuł o Akademii u starożytnych, mianowicie Platona, przez J. K. P.; 2) o Akademiach, jako ciałach uczonych, tudzież o Towarzystwach naukowych, przez J. Sz.; 3) Akademie duchowne; 4) Akademie sztuk pięknych, przez W. G. i Ant. Zaleskiego. Zalety pierwszego zeszytu téj poważnéj publikacyi znachodzimy także w drugim zeszycie. Jest tu materyał dla nauki nietylko ojców rodzin, ale i dla młodzieży kształcącéj się, dla nauczycieli i dla wszystkich tych, którzy pracują na polu nauk pedagogicznych. Redakcya trzyma się tedy sumiennie zadania, które sobie zakreśliła w *Objaśnieniach* (str. IX, X, XI i XII), uzupełnionego spisu wyrazów, mających wejść w skład *Encyklopedyi Wychowawczéj*. *K. Sz.*

— Pierwszy tom materyałów, dotyczących *obowiązkowego* uczęszczania do szkoły w Rossyi, wydany przez Ministeryum oświaty, zawiera zbiór opinii dyrektorów i inspektorów szkolnych. Między innemi pokazuje się z tego dzieła, jak wielkich kosztów sprawa ta wymaga. I tak np.: w gubernii Petersburskiéj potrzebaby 1000 szkół założyć, coby pociągnęło jednorazowo 1,000,000 a corocznie 500,000 rubli wydatku. W gub. Włodzimierskiéj trzebaby 2,000 szkół, 1,500,000 od razu i 1,200,000 rubli rocznie. Z tego już widać, jak wielkie finansowe trudności napotkałoby wprowadzenie obowiązkowéj edukacyi.

— Ze zbioru powieści historycznych J. I. Kraszewskiego, wyszła z druku nowa powieść (XI) w 2-ch tomach (29 i 30 ogólnego zbioru) p. t.: *Pogrobek*, z czasów Przemysławowskich.

— *Wielka rodzina w wielkim narodzie* przez Ludwika Piotra Leliwę (pseudonim). Kraków, 1879 r. Pod tym szumno-panegirycznym tytułem, wydana w r. z. książka, doszła w miesiącu bieżącym

do redakcyi. Wielką ową rodziną jest rodzina Rzewuskich, w linii hetmańskiéj, któréj dzieje, jak wiadomo, nie zawsze zaszczytne, obfitują w wiele dosyć oryginalnych typów. Zanadto deklamacyjny i ckliwy ton zdradza modulacyą swoją nastrój serca kobiecego, przejętego czcią dla wielkości hetmańskiego rodu. Umiemy cenić szlachetność takich uczuć w autorze, ale uważamy je w rozbiorze czynów np. Seweryna Rzewuskiego za bardzo szkodliwe, ponieważ one mieszają zupełnie zdrowe i jasne pojęcia o zasłudze i moralnéj wartości postępków ludzkich, i czynią najdroższe interesa dobra publicznego igraszką fantazyi jaknajsamolubniejszych umysłów. W sprawach politycznych zbrodnią jest *chcieć* jaknajlepiéj, a postępować tak, że w skutkach działa się *jaknajgorzéj!* Nowych wiadomości historycznych nie znaleźliśmy w tém dziełku apologetycznem, styl i język nie może się poszczycić poprawnością wysłowienia, a tém mniéj potoczystością zwrotów polskich, ponieważ częste rusycyzmy zaćmiewają nawet niekiedy myśl autora.

— Po ukończeniu czterotomowego komentarza dawnéj procedury cywilnéj przez Wł. Nowakowskiego, b. członka senatu, wyszły z druku następujące trzy zeszyty (42, 43 i 44-ty) *Biblioteki Umiejętności Prawnych* p. t.: *Miscellanea* i zesz. 45-ty rozpoczynający dzieło Ant. Okolskiego, p. t.: *Wykład prawa administracyjnego, oraz prawa administracyjnego, obowiązującego w Królestwie Polskiém. Miscellanea* poświęcone są drobniejszym rozprawom i przeglądom naukowym. Znajdujemy w tych zeszytach następujące prace:

1. *Najwyższa Izba obrachunkowa Królestwa Polskiego od 1808—1866 r.* napisał Antoni Pujanowski.

2. *Prawo pocztowe i zarząd poczty,* napisał dr. J. B. Oczapowski.

3. *Rozwój historyczny służebności pastwiskowych i leśnych w Królestwie Polskiém, w związku z położeniem osobistém i majątkowém ludności miejskiéj,* napisał dr. Witold Załęski.

4. *Przegląd obowiązujących prawodawstw notaryalnych,* napisał Adam Niemirowski.

Dzieło p. Okolskiego jest pierwszą pracą, przedstawiającą prawo administracyjne w systematycznym obrazie całości. Dawniejsza książka Stawiarskiego (*Listy o administracyi, rządzie i sprawiedliwości w Królestwie Polskiém*, 1830 r.), jak i nowszy *Alfabetyczny skorowidz dla zarządów gminnych, miejskich, powiatowych i gubernialnych w guberniach Królestwa Polskiego*, 1874 r., ułożony przez Felknera, nie odpowiadają dzisiejszéj potrzebie obznajmiania się z prawem obowiązującém administracyjném, ponieważ są niekompletne i niejasno ułożone. Systematyczny zatém wykład téj gałęzi prawa obowiązującego, jest bardzo pożądany, zwłaszcza gdy jest w ręku takim, jak profesora Okolskiego.

— Powzięty przez p. Gwiaździca w Płocku zamiar wydawania tanich książeczek ludowych, zastosowanych do istotnych jego warun-

ków i wymagań myślącego ogółu doszedł do skutku. Mamy pierwszą taką książeczkę przed sobą, p. t.: *Opowiadania pana Jacentego.* Szanowny autor na 44 stronnicach opowiedział tu w sposób przystępny i zajmujący żywoty św. Stanisława biskupa, św. Jadwigi i św. Stanisława Kostki. Książeczka ta posiada wszystkie zalety, wymagane od dobrego wydawnictwa ludowego, dlatego polecamy ją jako godną rozpowszechnienia pomiędzy ludem. Cena książki groszy polskich 12.

— Dnia 1 lipca wyszedł z druku VII zeszyt *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego* i innych krajów słowiańskich, wydawanego pod redakcyą Filipa Sulimirskiego, Bronisława Chlebowskiego i Władysława Walewskiego i zawiera opis miejscowości od artykułu *Busk* do *Chełmno.*

— Dr. Celestyn Wolfsgruber, benedyktyn ze szkockiego opactwa w Wiedniu, wydał książkę pod tyt.: *Jan Grzegorz, jego życie i dzieło „De imitatione Christi";* Augsburg, u Histlera, 1880 r. Zgodnie za Ducisem, Vercellim i Schwabem, uczony zakonnik daje dowody, że autorstwo znanego pobożnego dzieła, przypisywane Tomaszowi à Kempis, należy się rzeczywiście opatowi benedyktyńskiemu, którego biografią skreślił.

— We Wrocławiu u Schlezingera wyszło dzieło bardzo ważne dla badaczów przeszłości naszéj, a mianowicie dla poznania stosunków miejskich w dawnéj Polsce pod tytułem: *Die alten Urkunden und Privilegien der Staedte Adelnau, Sulmierzyce und Ostrowo* (Starożytne dokumenty i przywileje miast Odolanowa, Sulmierzyc i Ostrowa), 1880.

— Dr. Sohmeyer wydał w Gotha u Perthesa *Historyą Prus wschodnich i zachodnich* (Geschichte von Ost- und West-Preussen); 1880 r.

— H. Adamy wydał opis Szlązka pod tytułem: *Schlesien.* Wrocław u Trewendt'a, 1880 r.

— Altman we Wrocławiu zapowiedział wydanie *Psałterza Kochanowskiego* (z melodyami dla użytku protestantów polskich), oraz zapowiedział wydanie: *Wypisy z Reja* i książkę do nabożeństwa: *Lekarstwo duszne*, przez Samuela Dąbrowskiego (protestanckie).

— Pisma codzienne doniosły smutną dla nauki wiadomość o stracie, jaką poniósł zasłużony badacz starożytności i głośny autor historyi rzymskiéj Theodor Mommsen przez pożar, który 12 lipca o godzinie 3 rano zniszczył jego trzypiętrową willę w Charlottenburgu, tudzież bogatą bibliotekę, zawierającą około 40,000 tomów, wiele dokumentów i przygotowanych do druku rękopisów. Profesor Mommsen, widząc w niebezpieczeństwie najdroższe skarby swoje, drogocenne stare manuskrypta i własne rękopisma do dzieł jeszcze nie wydanych, chciał śród płomieni sam ratować to, coby się ratować dało; wpadł więc do jasnym płomieniem palących się już pokoi bibliotecznych i poparzył się bardzo na twarzy i lewéj ręce, tak, że rodzina dążąca za nim musiała go wy-

nieść. Mimo całych wysileń straży ogniowéj, nie dało się ocalić biblioteki. Wielkości straty, jaką poniosła przez to nauka, nie można dokładnie obliczyć, gdyż z biblioteki uratowano zaledwie szczątki: czego ogień nie pochłonął, zniszczyła woda sikawek ogniowych. Prócz dotkliwéj straty jaką poniósł sam profesor Mommsen, ucierpiały także niemało biblioteki publiczne. Profesor Mommsen miał bowiem u siebie wiele szacownych dzieł rękopismów pożyczonych z archiwum watykańskiego, z biblioteki wiedeńskiéj, heidelberskiéj, lejdejskiéj i berlińskiéj, z których prawie nic nie uratowano.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **Feliks Jezierski.**

Wydawca *Józef Berger.*

Druk J. Bergera,
w Warszawie, Elektoralna Nr. 14.

Дозволено Цензурою
Варшава, 21 Іюля 1880 года.

PSYCHOLOGIA
W ANGLII I NIEMCZECH.

La Psychologie anglaise contemporaine par Th. Ribot. Paris, 1875 r. (2 wydanie), str. 432, w 8-ce.—*La Psychologie allemande contemporaine* (*École expérimentale*) par Th. Ribot. Paris, 1879 r., str. XXXIV i 368 w 8-ce.

O postępie lub stagnacyi pewnéj umiejętności lub sztuki, daje świadectwo jéj historya. Otóż, jeżeli się poradzimy historyi filozofii wogóle, a historyi psychologii w szczególności czy, i o ile ta ostatnia postąpiła naprzód, przekonamy się, że w istocie studya psychologiczne zrobiły krok postępowy. Dla stwierdzenia tego, co mówimy, dość jest porównać obecny stan badań psychologicznych ze stanem ich, choćby z przed lat trzydziestu, mianowicie, porównać przedmiot, zakres, metodę i rezultaty dzisiejszéj psychologii z dawniejszą. Jakoż, dzisiejsza psychologia bierze za przedmiot badań swoich tylko fakta, czyli zjawiska umysłowe, dochodzi jakim ulegają prawom, nie pytając o to, jak dusza wygląda, i gdzie jest jéj siedziba w ciele ludzkiém. Dawniejszą, przeciwnie, zajmowało głównie pytanie, co jest dusza, jaka jéj natura i gdzie mieszka. Dzisiejsza psychologia różni się od dawnéj zakresem, rozważa ona bowiem nietylko czucie, rozum, pamięć, wolą, sąd, wyobraźnią i t. d., lecz wciąga w ramy swoje objawy najniższe, tak zwane ruchy reflexyjne (odruchy), i zjawiska psychiczne podobne do ludzkich, a spotykane w szeregach zwierząt, jak np. instynkta. Nadto, zakres dzisiejszéj psychologii rozszerzył się jeszcze i przez to, że do badań wprowadzono objawy patologiczne umysłu i zaczęto probować porównawczéj drogi, w celu zbliżenia do siebie na tém polu plemion zarówno najbardziéj upośledzonych, jak i najwyżéj stojących. Dawna psychologia bardzo zdaleka, lub wcale pytań tych nie dotykała. Co zaś do metody badań, to i ta w psychologii uległa ważnym zmianom. Dzisiaj stosują do objawów umysłowych przeważnie metodę opisową, bardzo podobną do téj, jakiéj się trzymają nauki

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

przyrodzone. Uczeni analizują czucie, świadomość, wolą; opisują je, grupują fenomena, badają ich wzajemność zależną, wpływ na urabianie się charakteru indywidualnego i zbiorowego, na rozwój wychowania, sztuk pięknych i t. p. Słowem, trzymają się *przeważnie* metody *przedmiotowéj*, indukcyjnéj, gromadzą fakta psychologiczne, obserwują je jak można najstaranniéj, probują, gdzie to możebne, doświadczenia (*experimentum*); i bardzo nieśmiało czynią wnioski, przekonawszy się, jak w téj sferze umiejętności zjawiska są zwikłane, jak hipotezy trudne do sprawdzenia. Nie tak postępowała dawniejsza psychologia. Jéj metoda była *przeważnie podmiotową*, intuicyjną. Psycholog powinien był, zamknąwszy oczy, cofnąć się niejako w siebie, do swojego *ja*, do podmiotu, i opisać potém to, czego w tém *ja* dostrzegł. Zapominał o tém, że objawy psychiczne są dwustronne, dwutwarzowe niejako, że zatém nie można skutecznie badać umysłu, jeżeli pominiemy nieodłącznego towarzysza jego, t. j. ciało. Ztąd się okazała potrzeba rozpoczynania psychologii od fizyologii, od zmysłów, nerwów i mózgu, ażeby następnie można było lepiéj rozumiéć objawy umysłowe. Nareszcie i rezultaty tą metodą osiągnięte, różnią się od rezultatów dawnéj psychologii. Rezultaty zaś, o których mówimy, są te: że porzucono bezowocne pytania i metafizyczne hipotezy, dotyczące duszy uważanéj w sobie, czyli samnasam, a ograniczono się do badania fenomenów duchowych; że osiągnięto mocne przekonanie o ścisłym związku objawów umysłowych z cielesnemi procesami organizmu; że poznano lepiéj naturę samych faktów umysłowych, a przezto zmieniono wiele poglądów na sprawy edukacyjne, etyczne, karne i t. p.

Na tę odnowę psychologii spółczesnéj, złożyły się bardzo liczne obserwacye i doświadczenia wielu uczonych, nietylko psychologów, ale fizyologów, naturalistów, fizyków, etnografów i t. d. W artykule niniejszym mamy się zastanowić nad stanem badań psychologicznych w Anglii i Niemczech, ku czemu za przewodnika posłużą nam wymienione na początku dzieła Th. Ribot'a, bardzo dobrze zasłużonego około filozofii we Francyi, autora, którego studyum o psychologii angielskiéj przełożyli Anglicy na swój język, a na polski tłómaczył p. J. Ochorowicz [1]).

I.

Ażeby udowodnić szczegółowo to, co powyżéj ogólnie powiedziano o obecnym stanie psychologii, należałoby rozebrać celniejsze dzieła, poświęcone téj nauce, a wydane w ostatnich mniéjwięcéj trzydziestu latach. I takbyśmy postąpili, gdybyśmy pisali sprawozdanie z rozwoju psychologii; ale obecnie mamy cel bliżéj określony, t. j. sprawozdanie z kilku dzieł cudzych: a zatém do nich tylko musimy się ograniczyć. Nadto, zauważmy zaraz z początku, że Ribot wziął za przedmiot swoich

[1]) *Współczesna psychologia w Anglii* i t. d. Warszawa, 1877 r.

studyów jedynie psychologią empiryczną, czyli doświadczalną tak w Anglii jak i w Niemczech; pominął zaś psychologią tak zwaną intuicyjną, czyli metafizyczną dlatego, że ta ostatnia, pomimo subtelnéj analizy zjawisk umysłowych, nie porzuciła dawnéj metody i nie zdobyła się na żadną oryginalną pracę. Ale chociaż przedmiot swoich badań autor francuzki tak ograniczył, pozostało mu jeszcze dużo materyału do przejrzenia i ocenienia. Jakoż, w książce jego przesuwają się przed oczami czytelnika dobrze znani w literaturze angielskiéj w ogóle, a szczególniéj w psychologii nazwiska takie, jak Hartley, obaj Millowie, Herbert Spencer, A. Bain, Jerzy Lewes, Samuel Bailey, których zaliczają do psychologów empirycznych, czyli jak Anglicy ich nazywają, assocyacyonistów, dlatego, że assocyacyą, inaczéj kojarzenie pojęć i stanów umysłowych, uważają za naczelne prawo psychologii.

Psychologia w Anglii, podobnie jak i w innych krajach europejskich, była na początku bieżącego wieku nauką nadzwyczaj suchą, ograniczoną do opisu i słownéj analizy tak zwanych władz, czyli zdolności umysłowych. Psychologowie rozważali umysł *in abstracto*, dzielili go na pewną liczbę władz, naznaczali dla każdéj z nich pewne zajęcie, inne dla rozumu, inne dla woli, inne dla uczucia, pamięci, wyobraźni, mało lub wcale nie biorąc w rachubę fizycznéj, czyli cielesnéj strony człowieka. Pierwszym, co na tę stronę zwrócił uwagę, był Dawid Hartley († 1757 r.), z powołania fizyolog i lekarz, którego Stuart Mill nazywa „ojcem assocyacyi.” Hartley tylko pośrednio należy do przedmiotu, który nas tu zajmuje. W dziełach swoich, dotyczących fizyologii, a w części i psychologii, wypowiedział przekonanie, że zjawiska nerwowe i fizyczne wogóle powstają w skutek drgań, czyli ruchu materyi, a zaś zjawiska umysłowe i psychologiczne wogóle, tworzą się mocą assocyacyi czyli kojarzenia, które wystarcza do wytłómaczenia mechanizmu umysłowego. Hartley przyznaje się, że teoryą drgań wziął od Newtona, a teoryą assocyacyi od Locke'a. Zresztą, fizyologia Hartley'a była bardzo błędną, a co do psychologii jego, oto jéj treść: „Zwierzę (a więc i człowiek) nie może ani czuć, ani się ruszać, jeżeli nie powstaną drgania w jego nerwach, rdzeniu kręgowym i mózgu. Czucia, czyli wrażenia, mają tę własność, że trwają przez pewien czas nawet wtenczas, gdy powodująca je przyczyna zewnętrzna znikła. Gdy często były powtarzane, mówi Hartley, zostawiają po sobie niejakie ślady czyli obrazy, które możnaby nazwać wyobrażeniami (ideami) prostemi. Niedość na tém: drganie, t. j. fakt czysto fizyologiczny, powtarzając się częściéj, zostawia w mózgu pewną skłonność, dążność do ponowienia się w formie drgań daleko słabszych od pierwotnych, które autor nazywa miniaturowemi drganiami (*vibratiunculae*).”

Tak więc drganie daje początek czuciu, inaczéj wrażeniu, a następnie mniejsze drganie, które nazwijmy drganko, rodzi obrazy (*imagines*). Z tych prostych pierwiastków powstają mocą assocyacyi wszystkie inne, najbardziéj złożone objawy umysłowe. Jestto więc psychologia jeszcze bardzo prosta, ale téż bardzo dużo jéj brakuje; i jeżeli

o Hartleyu w historyi nowszéj psychologii jest mowa, to dlatego, że późniéj Jakób Mill, a w części i syn jego Stuart Mill, do podobnych na działanie umysłu poglądów doszli i wraz z Hartley'em stanowią pierwszy niejako peryod w rozwoju psychologii *assocyacyjnéj* [1]).

Jakób Mill († 1836 r.) także nie należy do spółczesnych psychologów angielskich; nie można go jednak pominąć w przeglądzie szkoły empirycznéj, gdyż z ducha pism swoich z nią się łączy i stanowi ogniwo przejściowe do nowszéj psychologii. Wydał on jeszcze w r. 1829 *Analizę zjawisk umysłu ludzkiego*, którą syn jego Stuart Mill, wraz z Bain'em, Findlater'em i Grot'em opatrzyli różnostronnemi przypiskami i wydali powtórnie w r. 1869. Jakób Mill w poglądach swoich stoi bliżéj Hartley'a, niż *Szkoły Szkockiéj*. Zjawiska umysłowe tłómaczy on bardzo prosto: redukuje bowiem wszystkie do wrażeń, idei i kojarzenia się idei, czyli wyobrażeń. W świecie psychicznym widział tylko jeden fakt, a tym jest czucie, inaczéj wrażenie; i jedno prawo, a tém jest assocyacya, czyli kojarzenie. Co do metody, trzymał się staréj, subjektywnéj, i przez nią łączy się z psychologami XVIII wieku; był do nich podobny i z tego, że zastanawiał się nad umysłem dojrzałym, jaki widzimy u ludzi dorosłych i cywilizowanych. Jeszcze niémasz u niego śladu psychologii porównawczéj, ani téż roztrząsania zjawisk umysłowych od chwili ich ukazywania się w dzieciach.

Psychologia J. Mill'a rozważa najprzód wrażenia i wyobrażenia (idee); wrażenia klasyfikuje na ośm grup, mianowicie, wrażenia: słuchu, powonienia, wzroku, smaku, dotykania, nieładu, w jakiéjś części ciała, wrażenia mięśniowego wysiłku i kanału pokarmowego. Trzy ostatnie grupy redukują dzisiejsi psychologowie do dwu, mianowicie do wrażeń mięśniowych i organicznych: pierwsze z nich dają nam wyobrażenie o natężeniu czyli wysiłku mięśni, i pozwalają zrozumiéć tworzenie się wyobrażeń o świecie zewnętrznym; drugie uczą nas, jaki jest stan naszych organów. Otóż J. Mill zaniechał zupełnie analizy wrażeń mięśniowych, a ztąd nie mógł objaśnić powstania w umyśle wyobrażeń o świecie zewnętrznym, który, stawiąc opór mięśniom naszym, daje nam znać o sobie. Po załatwieniu się z wrażeniami, przechodzi do wyobrażeń czyli idei.

Jestto, powiada, właściwością naszéj konstytucyi, że gdy doznamy jakiego wrażenia, zostaje po niém jakby ślad pewien, chociaż znikł przedmiot, który wywarł wrażenie. Gdyśmy np. patrzyli na słońce, potém, zamknąwszy oczy, mamy jego obraz w sobie; ten obraz nazywa Mill kopią, reprezentacyą pierwszego wrażenia; innemi słowy, jestto wyobrażenie, idea, a zdolność umysłu do tworzenia takich idei, mianuje *ideacyą*. Ponieważ wyobrażenie jest kopią wrażenia, a wrażeń jest ośm grup, więc i wyobrażeń tyleż grup będzie. Mamy tedy wrażenia

[1]) Dzieła Hartley'a są następujące: *Conjecturae quaedam de sensu, motus et idearum generatione*, 1731 r.; *Observations on man, his frame, his duty, his expectations*, 1749 r.

proste i ich kopie, czyli wyobrażenia, obie zaś te klasy stanowią dwa pierwotne stany świadomości. Z kombinacyi tych elementów pierwotnych powstają wszystkie zjawiska umysłowe; sprężyną, wprawiającą w ruch owe pierwiastki i powodującą niemi, jest assocyacya idei, czyli po naszemu kojarzenie się wyobrażeń.

Kojarzenie się wyobrażeń uważają wszyscy psychologowie szkoły empirycznéj za prawo najogólniejsze, za fakt zasadniczy, do którego starają się zredukować wszystkie zjawiska życia umysłowego. Pogląd ten widoczny u Hartley'a i Hume'a, spotykamy również i u J. Milla. Według niego, to kojarzenie się wyobrażeń zachodzi między wrażeniami i między wyobrażeniami. Kojarzenie się wrażeń idzie za porządkiem istniejącym między przedmiotami natury otaczającéj człowieka, czyli odbywa się według porządku *synchronicznego*, lub *następczego*. Porządek synchroniczny wyobraża nam rzeczy i zjawiska istniejące obok siebie w przestrzeni; porządek następczy przedstawia je jako istniejące w czasie. I tak: smak jabłka, opór jaki stawi ustom, ziemia, która nas dźwiga, są przykładem tego, co rozumieć przez kojarzenie się synchroniczne. Ale oto widzę wystrzeloną kulę, ścigam ją wzrokiem, dostrzegam, że pada i sprawia spustoszenie: szereg tych wrażeń następujących po sobie uczy, jak rozumieć kojarzenie się następcze.

Ponieważ wyobrażenia nasze pochodzą nie od przedmiotów samych, lecz od wrażeń, zatém i kojarzenie się ich będzie podobne do kojarzenia się wrażeń; tak też najczęściéj się dzieje. „Wyobrażenia nasze, powiada Mill, powstają, lub istnieją w takim porządku, w jakim istniały wrażenia, których tamte są kopiami." Jeżeli wrażenia powstawały spółcześnie, wyobrażenia o nich także budzą się spółcześnie, gdy zaś następowały po sobie kolejno, wyobrażenia o nich również kolejno się rodzą.

Z kolei następuje wyjaśnienie wyobraźni, pamięci, wiary (*belief*), uczuć, woli, przyczyny i wogóle tych fenomenów, które stanowiły długo i dziś jeszcze stanowią treść zwykłych podręczników psychologii. Wykład Jakóba Milla jest wogóle abstrakcyjny, suchy i bardziéj czuć w nim logika, niż psychologa.

Syn jego, Jan Stuart Mill, nie zostawił po sobie oddzielnego wykładu psychologii, tylko tu i owdzie, jak np.: w *Rozprawach* swoich, w *Logice* i *Krytyce filozofii Hamilton'a*, dał nam poznać, jakie były jego poglądy na zjawiska psychiczne.

Stuart Mill († 1873), był stanowczym stronnikiem psychologii assocyacyjnéj. Psychologii zadaniem jest, według niego, badanie jednostajności (praw) następczych, czyli praw tak pierwotnych, jak i pochodnych, podług których jeden stan umysłu następuje po drugim, jest przyczyną tego drugiego. Walczył on przeciw A. Comte'owi, który nie uznawał psychologii, redukując ją do biologii, a chociaż zgadzał się na to, że psychologia nie jest umiejętnością *ścisłą*, tak jak np.: matematyka, lub astronomia, niemniéj jednakże widział w niéj naukę nieodzowną

w badaniach filozoficznych i nie lekceważył obserwacyi wewnętrznéj. „Nauka ta, powiada, ma za przedmiot myśli, uczucia i czyny ludzkie," innemi słowy, fenomena umysłu. Nie trzeba jednakże nigdy tracić z uwagi, ani lekceważyć fizyologicznéj strony pytania, albowiem prawa, którym ulegają zjawiska umysłowe, mogą być pochodnemi od praw życia zwierzęcego, a zatém w ostatecznéj analizie mogą zależéć od warunków fizycznych. Z drugiéj strony przecież byłoby błędem wyrzekać się analizy psychologicznéj, i budować całą teoryą umysłu na wiadomościach fizyologicznych. Chociaż bowiem psychologia jest jeszcze nauką niedoskonałą, Mill jednak sądził, że odpowiadająca jéj część fizyologii jest jeszcze niedoskonalszą. A tak widzimy, że autor pod względem metody psychologicznéj, uznawał wartość analizy podmiotowéj, oraz potrzebę uzupełnienia jéj przedmiotową i dążył do pogodzenia tak zwanéj psychologii *à priori*, z psychologią *à posteriori*.

Przechodząc następnie od metody do treści, Stuart Mill rozważał w rozmaitych swoich dziełach fenomena umysłowe takie, jak świadomość, pojmowanie świata zewnętrznego, kojarzenie się wyobrażeń, pojęcie przyczyny, prawdy konieczne, rozumowanie, wolą. Umysł definiował, jako to, „co czuje." Objawami umysłu są: wrażenia, wyobrażenia (idee), wzruszenia i pożądania. Wszystkie one ulegają prawu assocyacyi, które „tém jest w psychologii, czém prawo powszechnego ciążenia w astronomii, a własności elementarne tkanek w fizyologii." Według tego prawa, wyobrażenia podobne budzą się wzajemnie; wrażenia, lub wyobrażenia doznane spółcześnie, lub tuż po sobie, także wywołują jedno drugie. Prawa zjawisk umysłowych podobne są w części do praw mechanicznych, w części do chemicznych. Jako przykład *kombinacyi* umysłowéj, może służyć kolor biały, powstający z szybkiego przesuwania się przed oczyma siedmiu kolorów widma. A znów wyobrażenie pomarańczy powstaje z wyobrażeń prostych koloru, kształtu, smaku i t. d. Pytając świadomości, możemy odróżnić wszystkie te wrażenia w naszém wyobrażeniu o pomarańczy. Mamy tu więc coś nakształt chemii umysłowéj, pokazującéj nam, jak wyobrażenia proste *tworzą* wyobrażenia złożone.

Pojęcie przyczyny Stuart Mill wyraża jak następuje: przyczyną jest zjawisko, fakt, lub ich połączenie poprzedzające inny fakt, który niezmiennie i bezwarunkowo po nich następuje. Do pojęcia przyczyny dochodzimy przez doświadczenie, a zatém nie jest ono wrodzone. Ono to jest podstawą wszelkiéj umiejętności, „ukrytym korzeniem" wszelkiéj indukcyi i rozumowania, tkwiącym zarówno w najpospolitszych czynnościach naszych, jak i w najwyższéj umiejętności.

A jak pojęcie przyczyny wynikło z doświadczenia, tak i prawdy zwane *koniecznemi*, z tegoż źródła pochodzą. Metafizycy twierdzą, że niektóre prawdy, jak np.: pewniki matematyczne, są w umyśle gotowe, czyli *à priori*, i że są konieczne. Stuart Mill zwycięzko mniemanie to zbija, dowodząc, że i te prawdy są przez doświadczenie zdobyte, że są uogólnieniem obserwacyi. Gdy mówimy, że dwie linie proste nie mogą

zamknąć przestrzeni, czynimy indukcyą opartą na zmysłowém postrzeżeniu; trzeba je było przynajmniéj raz widzieć nakreślone. Doświadczenie więc to, które na ten jeden raz wyrażało prawdę, potém uzupełnia imaginacya i powiadamy, że nietylko *te dwie* linie proste, ale *wszelkie* dwie linie proste nie zamkną przestrzeni: tym sposobem zdanie ogólne zamieniamy na pewnik, czyli jak nazywają, prawdę konieczną. Doświadczenie zmysłowe, będące na początku aktu umysłowego, uzupełniamy potém wewnętrznie, ciągniemy je niejako daléj sami w sobie: na niém więc opierają się prawdy, zwane *à priori*.

Czy prawdy te są *konieczne*, jak chcą metafizycy? A najprzód, co to jest prawda konieczna? Jestto, powiadają, sąd, czyli zdanie ogólne, którego zaprzeczenie byłoby nietylko fałszem, ale nadto nie dałoby się pojąć. Otóż Mill kryteryum to odrzuca. Dlatego, że pewnéj rzeczy pojąć nie można, z tego nie wynika jeszcze, że ona nie istnieje. Dość zajrzéć do historyi nauk, ażeby się przekonać, iż niejedno ze zdań uważanych niegdyś za niepojęte, teraz uchodzi za niezaprzeczone, jak np.: istnienie antypodów, albo ciążenie powszechne, które odrzucali Kartezyanie, gdyż nie mogli pojąć ruchu bez zetknięcia się ciał bezpośrednio. Niemożność pojęcia zdania przeciwnego pochodzi ze skojarzenia; z początku doznajemy wielkiéj trudności, gdy mamy pierwszy raz związać ze sobą dwa wyobrażenia; potém, dzięki ciągłemu powtarzaniu i nałogowi uważania ich razem, kojarzą się one ze sobą tak silnie, że rozłączenie uchodzi za niepojęte nawet dla umysłów oświeconych.

Co do natury rozumowania, Mill także różnił się w jego pojmowaniu od idealistów. Kiedy bowiem ci rozumowanie sylogistyczne, czyli dedukcyjne, uważają za typ doskonały i do niego redukują indukcyą; empirycy przeciwnie, indukcyą biorą za fundament, dlatego, że rozpoczyna od faktów i doświadczenia. Najogólniejsze prawdy, które w sylogizmie służą za podstawę, wynikły ze szczegółowych obserwacyi i na nie dają się rozłożyć; ztąd, podług Milla, rozumowanie, wnioskowanie, odbywa się właściwie ze szczegółu o szczególe. I nietylko możemy wnioskować ze szczegółu o szczególe, nie opierając się na ogóle (na zdaniu ogólném), ale nigdy prawie inaczéj nie postępujemy. Wszystkie nasze początkowe, pierwotne wnioski są takiéj saméj natury. Dziecko np.: sparzywszy sobie palec, strzeże się potém zbliżać go do ognia. Rozumowało ono w tym razie, a jednak nie zdołało sobie jeszcze utworzyć zdania ogólnego, że „ogień parzy."

Dwu nadto przedmiotów z zakresu psychologii dotykał Mill w dziełach swoich: natury woli i pojmowania świata zewnętrznego. Oba te przedmioty należą do najtrudniejszych w filozofii i najwięcéj się przyczyniły do wytworzenia rozmaitych sekt zarówno w etyce, jak i w psychologii, czyli raczéj w metafizyce. Co do woli i jéj wolności, Mill nie podziela ani zdania tych, którzy sądzą, że wola nasza działa tak sobie według widzimisię, bez pobudek; ani tych, którzy prawią o konieczności wszystkich naszych czynów. O konieczności w czynach ludzkich takiéj, jak np.: że kto się urodził, umrzéć *musi*, nie może być mowy; przeciw-

nie, zachodzi w działaniach naszych przyczynowość, któréj jeżeli coś nie stanie na przeszkodzie, np.: przeciwdziałanie z naszéj strony, przyczyna wyda skutek; trucizna zabije organizm, *jeżeli* skutku jéj nie powstrzymamy za pomocą antydotu. Mamy zatém możność przeciwdziałania pobudkom, wpływającym na wolą, a tém samém jesteśmy w części odpowiedzialni za czyny nasze, możemy się przykładać do urabiania własnego charakteru. Słowem, w pytaniu dotyczącém woli, dla uniknienia nieporozumień, należałoby zupełnie zaniechać rozprawiania o jéj wolności, lub konieczności, a rozważać jedynie przyczynowość czynów ludzkich.

Najzawikłańszém pytaniem w filozofii jest to, jakim sposobem pojmujemy świat zewnętrzny, czyli innemi słowy, co to jest materya, a co umysł, albo, jak inaczéj jeszcze nazywają, co jest przedmiot, a co podmiot? Odpowiedź na to pytanie wkracza w granice metafizyki; Mill wierny empiryzmowi, nie wchodzi w te mgliste okolice, lecz stara się *psychologicznie* wytłómaczyć, co rozumiéć przez materyą i umysł. Definicya jego nieco zawiła, tak się przedstawia: „Materya, powiada, jestto nieustająca możność czucia." Mamy czucia chwilowe, np.: widzimy kawałek białego papieru: opuściwszy to miejsce, wiemy, że gdybyśmy na nie wrócili, znajdziemy tenże kawałek papieru, który obudzi w nas takie same wrażenia, czucia, jak poprzednio. Tak się rzecz ma z tém wszystkiém, co nazywamy światem zewnętrznym: wiemy, że gdy się rzeczy z nami zetkną, będziemy *mogli* czuć je, czyli, że nosimy w sobie stale możność czucia. Do tego się redukuje pytanie, czém jest materya. A znów umysł, znaczy możność czucia, pamiętania, chcenia, czyli możność ukazywania się tych stanów, gdy się okoliczności nadarzą. Zresztą Mill wyznaje, że jego teorya umysłu dużo pozostawia do życzenia, zwłaszcza co do powiązania owych stanów, co do nici, na którą nawleczono perły. Streszczając jego pogląd na materyą i pojmowanie świata zewnętrznego, można powiedzieć, że stał na tym samym gruncie, co i Berkeley, a co się tyczy pojmowania umysłu, podmiotu, zbliżał się nieco do Hume'a, którego teoryą nazywają czystym *fenomenizmem*.

Zachodzi jednak między nimi pod tym względem ważna różnica. Kiedy bowiem Hume dla wytłómaczenia harmonii istniejącéj między biegiem natury a naszemi wyobrażeniami, przypuszczał bądź jakiś porządek naprzód i z góry ustanowiony, lub ją objaśniał „przyzwyczajeniem, wiarą, instynktem;" Mill tłómaczy łączność fenomenów umysłowych „związkiem organicznym." Bądźcobądź, rzecz pozostawia nie rozstrzygniętą i mówi ogólnie, że węzeł łączący stany świadomości, jest tak rzeczywistym, jak i same te stany: nauka jego, wszystko zważywszy, zawiera *stalszy* element, aniżeli czysty fenomenizm Hume'a.

Wymienieni powyżéj filozofowie, o ile dotykali zagadnień psychologicznych, stanowią ogniwo przejściowe w rozwoju nowszéj psychologii: jeszcze się oni nie otrząsnęli zupełnie z dawnego metafizycznego

tłómaczenia objawów umysłowych. Ten, do którego obecnie przechodzimy, jest nietylko wyobrazicielem najnowszych poglądów w psychologii, ale razem i najgenialniejszym przedstawicielem myśli filozoficznéj w ogóle. Herbert Spencer, bo o nim to mowa, należy do szeregu rzadkich zresztą, umysłów encyklopedycznych, które jak niegdyś Arystoteles, a w nowszych czasach Leibnitz z ogromną wiedzą faktów, łączą wielki dar uogólniania tychże, i organizowania ich w powiązany nie sztucznie lecz naturalnie, systemat. On jeden ze spółczesnych filozofów angielskich buduje w istocie systemat filozoficzny, będący uogólnieniem obszernego działu wiadomości, ogarniającego wszystko, oprócz nauk fizyko-matematycznych.

Systemat swój rozpoczął Herbert Spencer od dzieła: *Pierwsze zasady*, będącego metafizyką niejako i fundamentem dalszych części, jako to: *Biologii*, *Psychologii*, *Socyologii* i *Etyki*. Dla dobrego rozumienia jednéj części, należałoby poznać wszystkie pozostałe; że jednak w tém miejscu mamy tylko zdać sprawę z jego *Psychologii*, ograniczymy się do niéj.

Zauważmy najprzód, że H. Spencer przeprowadza w całym swoim systemacie filozoficznym zasadę, albo lepiéj mówiąc, hypotezę *rozwoju*, *ewolucyi*, według któréj wszystkie zjawiska tak fizyczne, jak umysłowe i społeczne, łączą się nierozerwanym węzłem. W łańcuchu tym każde ogniwo następne zaczepia się o poprzedzające, a to znów służy za oparcie następnemu, wyższemu. Jest więc wśród zjawisk składających wszechświat nieustający postęp, rozwój od rzeczy prostych do coraz bardziéj złożonych, od jednorodnych do różnorodnych, od homogenum do heterogenum, czyli innemi słowy, coraz większe różnicowanie (dyfferencyacya). Toż samo prawo, jeżeli ono jest powszechne, powinniśmy dostrzedz i w rozwoju zjawisk psychicznych, któremi się zatrudnia psychologia.

Rozpoczyna tedy H. Spencer wykład psychologii od *danych* (data) czyli faktów psychologicznych, których szuka najprzód w budowie i czynnościach układu nerwowego. Jako biegły znawca histologii, anatomii opisowéj i fizyologii, zebrał H. Spencer wszystko, coby mogło być potrzebne psychologowi. Dane, czyli fakta służą za podstawę do naczelnych *indukcyi* psychologicznych. A najprzód, czém jest umysł? Analiza psychologiczna odpowiada na to pytanie rozbiorem stanów świadomości i dochodzi do wniosku, że pierwotnym elementem czucia, jest stopienie się niejako uderzeń, czyli wstrząśnień nerwowych. Zastanawiając się zaś nad objawami umysłowemi, spotykamy ich dwie grupy: czucia i stosunki między niemi. Czucia zaś dzielą się na takie, które biorą początek od wewnątrz (są to wzruszenia) i na takie, które idą od zewnątrz (są to wrażenia, sensacye). Stany świadomości wzbudzone od zewnątrz mogą być albo zewnętrzne, albo wewnętrzne, czyli krótko mówiąc, czucia, są to albo wzruszenia, albo wrażenia odśrodkowe, albo wrażenia dośrodkowe. Autor nazywa je technicznie *centralne*, *epiperyferyczne* i *entoperyferyczne*. Każda z tych grup zjawia się

albo w formie pierwotnéj, żywéj i rzeczywistéj, albo w formie wtórnéj, słabéj, czyli idealnéj. Co się tyczy stosunków zachodzących między stanami świadomości, Spencer redukuje one do trzech: *spółbytności*, *następstwa* czyli kolejności i *różnicy*. Dwa pierwsze polegają na trzecim. Pierwotne te stany świadomości stanowią materyał, z którego się tworzą idee, wyobrażenia. A jako czucie jest skombinowanym szeregiem drgań nerwowych, tak wyobrażenie jest skombinowanym, albo jak autor nazywa *zintegrowanym* szeregiem czuć, inaczéj wrażeń podobnych. Już z tego widać, jak stany umysłowe stają się coraz złożeńsze, jak się w nich przejawia zasada rozwoju. Pierwszym rezultatem téj zasady jest postrzeżenie, że między faktami fizyologicznemi i psychologicznemi, niémasz *wyraźnéj* linii granicznéj; mianowicie, wrażenia, czucia, instynkta, rozum, wszystko to stanowi wprawdzie świat odrębny, który jednak opiera się na żyjącym organizmie i jest niby jego kwiatem. „Życie ciała i życie umysłu są gatunkami, których rodzajem, jest życie w ogóle uważane."

Nie możemy wdawać się w szczegółowy a bardzo subtelny wykład rozmaitych procesów umysłowych, ciągnących się przez dwa wielkie tomy. Kto chce nabrać wyobrażenia, czém jest psychologia pod piórem Spencera, musi cierpliwie przestudyować conajmniéj owe dwa tomy: dodajemy tu tylko zajmującą hypotezę autora, o początku tak zwanych prawd *koniecznych*. Jedni uważają je za wrodzone, drudzy za nabyte przez doświadczenie; Spencer zaś tłómaczy je *dziedzicznością*, to znaczy, że w jego mniemaniu, prawdy te są odziedziczone po przodkach całego rodu ludzkiego, niejako zsumowaném, streszczoném doświadczeniem poprzednich pokoleń.

Nadto, Spencer równie jak Stuart Mill i A. Bain, należy do psychologów associacyonistów z tą różnicą, że prawu associacyi wyobrażeń naznacza podstawę fizyologiczną. Kojarzenie się stanów świadomości jest, według niego, procesem automatycznym. Każdy stan świadomości, gdy się zjawi, natychmiast wchodzi do klassy, rzędu, rodzaju, gatunku, odmiany dawniejszych, a podobnych mu stanów świadomości. Tak np. wrażenie barwy czerwonéj, gdy się zjawi, wchodzi do swojéj klassy wrażeń (a więc do klassy wrażeń epiperyferycznych), do swojego rzędu (t. j. wrażeń wzrokowych), do swojego rodzaju (t. j. barwa czerwona) i t. d. Słowem, jest tylko jedno prawo associacyi, mianowicie, że każde zjawisko umysłowe zespala się i szereguje z inném, podobném sobie.

W psychologii zatém Spencera objawy umysłowe szeregują się takim porządkiem: odruchy, instynkt, pamięć, rozum, jako działania *poznawcze;* a z drugiéj strony uczucia, wzruszenia, wola, jako objawy *uczuciowe*. Nareszcie, każdemu ze stanów świadomości, czyli każdemu objawowi umysłowemu towarzyszy pewna zmiana w układzie nerwowym całym, lub jakiéjś jego części.

H. Spencer'a chcieli niektórzy historycy zaliczyć do pozytywistów, ale od tego zaszczytu jaknajwyraźniéj się wymówił i ogłosił osobny traktat, w którym wyłożył powody niezgadzania się swojego na

filozofią A. Comte'a. „Jestto pospolitym błędem, powiada, że tych, którzy się trzymają metody naukowéj, zaliczają do pozytywistów i uczniów A. Comte'a. Zarówno nieprzyjaciele jak i przyjaciele tego filozofa, sami przyłożyli się do pomieszania tych dwu terminów „uczeni" i „pozytywiści." " Dlatego, że ktoś bada fakta, wyciąga z nich prawa lub wskazuje bezpośrednie ich przyczyny, czyli, że postępuje metodą naukową, nie można go zaliczać do pozytywistów, ani metody brać za jedno z filozofią pozytywną. Metoda taka dawniejsza jest od A. Comte'a, trzymali się jéj prawdziwie uczeni zawsze, bo ona jedna prowadzi do ścisłych rezultatów w nauce.

Należałoby pamiętać o tém zastrzeżeniu, gdyż i u nas często popełnia się ten błąd, i bez ceremonii klassyfikuje uczonych zagranicznych, nie zajrzawszy do dzieł ich, nie bacząc na to, że oni sami protestują przeciw podobnéj klassyfikacyi. W tém położeniu są najgłośniejsi filozofowie angielscy, mianowicie Stuart Mill, H. Spencer, A. Bain. Tymczasem znającym rzecz wiadomo, że żaden z nich do pozytywizmu Comte'a nie przystał, że przeciwnie krytykowali liczne słabe strony téj doktryny. Najwyraźniéj zaś zaprzeczyli swojéj z nią solidarności, uznając potrzebę i pisząc dzieła poświęcone wykładowi psychologii, któréj Comte nie uznawał i wliczał ją jako cząstkę, jako naukę o „procesach nerwowych," do biologii.

Mniej śmiałym w hypotezach i nadużyciu zbyt naciąganych analogii, ale niemniéj słynnym od Spencera jest Aleksander Bain, znany głównie w spółczesnéj literaturze filozoficznéj jako psycholog. Nie utworzył on żadnego systematu, jakkolwiek w pismach swoich dotykał rozmaitych przedmiotów stanowiących zakres filozofii. Ogólna jego charakterystyka nie byłaby daleką od prawdy, gdyby go nazwano empirykiem czystéj krwi, który najmniéj się posługuje uczuciem i wyobraźnią, a najbardziéj ceni rozum i doświadczenie. W psychologii, któréj poświęcił największe swoje dzieła, mianowicie dzieło zatytułowane *Zmysły i rozum*, oraz *Wzruszenia i wola*, Bain łączy się pod pewnym względem ze *Szkołą szkocką*, a z drugiéj strony, z dzisiejszym prądem naukowym. Od poprzedników swoich, takich jak Reid i Dugald Stewart, przejął zamiłowanie w badaniu drobnych, zwyczajnych zjawisk psychologicznych, porzuciwszy ich uniwersalne *kryteryum* zwane *zmysłem pospolitym*, i tak jak szkoccy filozofowie zalecali w traktowaniu psychologii używać metody nauk *fizycznych*, tak on zastosował w niéj metodę nauk przyrodzonych, *metodę opisową* i klasyfikacyjną. Z drugiéj strony, wiąże się Bain z cały nowym ruchem umysłowym, i na pożytek psychologii zbiera to wszystko, co fizyologia i fizyka oraz nauki przyrodzone dla rozjaśnienia zagadnień psychologicznych zdobyły.

Zgodnie z tym gustem naukowym, a także i dlatego, że fenomena psychiczne zjawiają się nieodłącznie od procesów fizyologicznych, Bain rozpoczyna wykład psychologii od opisu i funkcyi układu nerwowego. Przejęty sam głęboko tą myślą, że każde zjawisko psychiczne ma dwie strony do rozważania, fizyczną i umysłową, przeprowdza ją

systematycznie przez cały szereg objawów stanowiących życie umysłowe. Jako nowość niespotykaną w dawniejszych psychologicznych dziełach, widzimy u Bain'a przy wykładzie działania zmysłów, wprowadzony nowy zmysł, zwany *czuciem mięśniowém*, który z jednéj strony uczy nas, jaki jest stan naszych organów cielesnych, a z drugiéj pokazuje, czém jest *opór* (gdy poruszamy jakie ciało), *natężenie* (gdy dźwigamy jakiś ciężar i do niego nowy ciężar dokładamy), *ruch* (gdy członki ciała naszego poruszamy), słowem, ten szósty niejako zmysł mięśniowy daje początek w nas pojęciom najważniejszym o świecie zewnętrznym. Tu właściwie rozpoczyna się życie świadome, świadomość, bo ażeby mógł nastąpić stan świadomy, potrzeba, by nas coś uderzyło, byśmy zauważyli różnicę między wrażeniami, a o téj różnicy właśnie dają nam znać mięśnie poruszone lub wytężone.

Drugim faktem psychologicznym podniesionym przez Bain'a, jest *samorzutność* woli. Kiedy bowiem dawniejsi psychologowie widzieli w umyśle przedewszystkiém bierne niejako naczynie, przyjmujące w siebie wrażenia idące od świata zewnętrznego, Bain wykazał, że umysł ma w sobie inicyatywę do działania, jak o tém świadczą między innemi: sprężystość mięśni (la tonicité) lub nadzwyczajna ruchliwość dzieci, gdy są zdrowe i dobrze karmione.

Z kolei autor opisuje czucia, czyli wrażenia, których sześć grup naznacza, jakoto: wrażenia życia organicznego, smaku, powonienia, dotyku, słuchu i wzroku. Trzy ostatnie nazywa przeważnie umysłowemi, a między temi najwyżéj wzrokowe kładzie. Szczególniéj starannie wyłożony jest zmysł życia organicznego, oraz pytanie, jakim sposobem pojmujemy świat zewnętrzny, w czém głównie udział biorą: dotykanie i wzrok. Następnie przechodzi do traktowania surowego, że tak nazwiemy, materyału, z którego rozum i wola wyrastają, a materyałem tym są żądze i instynkta. Instynkt, definiuje jako przeciwieństwo tego, co jest nabyte przez ukształcenie, jako zdolność *niewyuczoną* do wykonywania rozmaitych czynności, zwłaszcza użytecznych zwierzęciu. „W traktowaniu tego, co nazywamy umysłem (*intellect*), mówi Bain, zaniechałem dzielenia go na zdolności, czyli władze i oparłem się całkowicie na prawach assocyacyi wyobrażeń." Mamy więc kojarzenie się wyobrażeń, uczuć, wrażeń, pożądań, słowem, wszystkich objawów umysłowych, tak, że u psychologów doświadczalnych, nietylko w Anglii, ale we Francyi i Niemczech kojarzenie się, czyli assocyacya, stanowi prawo naczelne i tymczasem przynajmniéj tłómaczy fenomena życia wewnętrznego.

Wyłożywszy naturę rozumu, autor w osobném dziele rozważa naturę woli i uczuć. Część ta jest nieco słabsza od poprzedniéj, bo téż uczucia, czyli wzruszenia są daleko trudniejsze do rozklasyfikowania, niż objawy rozumowe. Strona opisowa każdego ze wzruszeń nie pozostawia nic do życzenia; jedynie klasyfikacyą ich uważa Ribot za chybioną: chwali jednak utrzymanie do końca przewodniéj myśli, to jest rozbiór uczuć zawsze dwustronny, pod względem umysłowym i fizycznym

prowadzony. Co do woli, początek jéj widzi Bain w samorzutnych i instynktowych ruchach żyjącéj istoty, opisuje pierwsze próby i mocowanie się niejako téj przyrodzonéj energii organizmu, rozważa pobudki działające na wolą, ich kollizye i nareszcie sporną kwestyą o wolności woli. Nie pójdziemy daléj za autorem, gdyż trzebaby znów podawać treść potężnych dwu tomów, w których mieści się jego psychologia, lub streszczać obszerne studyum o niéj Ribot'a, coby przekraczało granice zakreślone dla niniejszego sprawozdania. Zresztą, najlepsze streszczenie nie zastąpi osobistego studyowania, któremu poddać się musi każdy, kto chce mieć dobre wyobrażenie o dzisiejszéj psychologii doświadczalnéj.

Oprócz wymienionych dzieł głównych, wykładających psychologią, Bain ogłosił dwie mniejsze zakresem prace, odnoszące się jednak do tego samego przedmiotu. Należą tu mianowicie: *Studyum o charakterze*, oraz *Umysł i Ciało*, czyli teorye o wzajemnym ich stosunku [1]). Ani co do zasad, ani co do metody, dziełka te nie różnią się od zasad i metody przyjętych w obszerniejszym wykładzie psychologii. Toż samo daje się powiedzieć o skróconym wykładzie psychologii i etyki zatytułowanym: *Umiejętność umysłu i moralności.* Nareszcie trzeba dodać, że Bain wydał oprócz powyżéj wymienionych dzieł, jeszcze obszerną, dwutomową *Logikę* i *Naukę Wychowania* [2]). O ile w dziełach tych trzeba było dotknąć psychologii, co zwłaszcza jest nieodzowne w teoryi wychowania, autor pozostał wiernym pod względem pojęć psychologicznych poglądom wypowiedzianym w głównych swoich dziełach.

Do rzędu znakomitych filozofów angielskich należy Jerzy Lewes († 1878), znany i u nas z tłómaczonych na język polski prac swoich takich, jak: *Życie Goethe'go*, *Fizyologia życia codziennego.* Dzieła te jednak nie dają wyobrażenia o nim, jako o filozofie: pierwsze z nich bowiem jest natury literackiéj, drugie przeważnie fizyologicznéj. Tytuł jego do sławy filozoficznéj stanowią inne dzieła, mianowicie: *Historya Filozofii* (dwa tomy), *Problemata życia i umysłu* (pięć woluminów). Z tych dwa szczególniéj wchodzą treścią swoją do niniejszego sprawozdania, te mianowicie, które autor zatytułował: *Fizyczna podstawa umysłu*, oraz *Studyum o Psychologii.* I w tych jednakże tomach nie masz systematycznego wykładu psychologii, lecz szereg rozpraw częścią fizyologicznych, a częścią psychologicznych. Kiedy Ribot pisał swoje dzieło: *O psychologii angielskiéj* (drugie wydanie, 1875), wyszło dopiéro dwa tomy *Problematów* Lewes'a, nie mógł zatém mówić o reszcie, która w części dopiéro po śmierci autora została ogłoszona. Pomimo tego, Ribot doskonale streścił psychologiczne poglądy Lewes'a, rozproszone po rozmaitych jego dziełach, tak, że gdyby nawet mógł był mieć pod ręką ostatnie prace autora, studyum swoje prawdopodobnie po-

[1]) *Umysł i Ciało*, tłómaczenie z angielskiego. Warszawa, 1874.

[2]) *Logika* (dwa tomy). Warszawa, 1878. *Nauka Wychowania.* Warszawa, 1880.

większyłby szczegółami, ale nie potrzebowałby zmieniać opinii. Zdając sprawę z pracy francuzkiego autora i my także powtórzymy tylko główniejsze jéj punkta i rezultaty.

Jerzy Lewes był z zamiłowania fizyologiem, ale do oddania się fizyologii skłoniła go potrzeba. Gdy bowiem będąc jeszcze bardzo młodym, zamierzał napisać psychologią, przekonał się, że nie mógłby tego dokonać bez znajomości systematu nerwowego. Zabrał się więc do poznania anatomii i fizyologii, a to nietylko z książek, lecz przez własne doświadczenia w gabinecie. Ztąd w dziełach jego, dotykających psychologii, przeważa strona fizyologiczna nad czysto psychologiczną.

Człowiek, mówi Lewes, jest nietylko organizmem zwierzęcym; jest on także jednostką w organizmie społecznym: ztąd działają na niego dwojakiego rodzaju pobudki, osobiste, egoistyczne, zwierzęce, oraz sympatyczne, ludzkie. Psychologia zatém, czyli nauka o zjawiskach umysłowych, powinna szukać potrzebnych dla siebie wiadomości w biologii i w socyologii. Błędem więc było, gdy wiadomości tych szukano tylko w obserwacyi wewnętrznéj, jak czynili metafizycy, lub gdy się ograniczano, jak biologowie postępowali, na kombinacyi danych, wziętych z obserwacyi wewnętrznéj, z objawami procesów nerwowych. Podobnie jak biolog powinien uważać życie za fakt ostateczny i badać tylko warunki i prawa, którym objawy jego ulegają, tak i psycholog musi uznać *świadomość*, czyli ściśléj mówiąc *czucie*, za fakt ostateczny i badać jego warunki i prawa. Długi czas filozofowie myśleli, że można badać umysł nie zwracając uwagi wcale, lub bardzo mało, na organizm, od którego zależy. Psychologowie uważali „metodę wewnętrzną" za wystarczającą, a chociaż fizyologia już zdobyła pewne wskazówki, co do zależności faktów umysłowych od procesów nerwowych, oni jednak zapewniali, że świadomość nic nam o téj zależności nie mówi i dlatego twierdzili, że ich fizyologia nie obchodzi. Ale psychologia nie oświecona biologią, podobną jest do astronomii Chaldejczyków, nieopartéj na matematyce. Z tego wszystkiego wynika dla psychologa konieczność oparcia się na fizyologii.

Długo uważano mózg, jako główne sensorium, czyli siedlisko czucia, jako organ, do którego powinno dojść po nerwach wszelkie wrażenie, czyto od zewnątrz odebrane, czy biorące początek w stanie wewnętrznym organizmu. Otóż, doświadczenia Lewes'a przekonały go, że „system nerwowy *cały* (a więc nietylko mózg), ma jednakowe własności i jednakową budowę." Z tego wynika, że fenomena psychiczne należy odnosić nietylko do mózgu, ale do całego układu tkanki nerwowéj. Każdy ośrodek nerwowy stanowi niby całość w sobie, a jako *życie* jest harmonijném spółdziałaniem procesów, odbywających się w ośrodkach nerwowych, tak *świadomość*, inaczéj czucie, jest harmonijném zgrupowaniem się czuć pojedyńczych. Objaw więc ten, który uważany ze strony fizyologicznéj, jest procesem nerwowym, uważany ze strony psychologicznéj, jest procesem czuciowym. Jedność zaś tych czuć pojedyńczych opiera się na jedności organizmu, który przedstawia nam syste-

mat rozmaitych organów żyjących niejako odrębném życiem, a połączonych w życiu w ogóle uważaném.

Z powyższéj definicyi życia i świadomości widać, że Lewes znacznie różni się w ich pojmowaniu od dotychczasowych fizyologów i psychologów. O ile pojęcia te znajdą uznanie w dalszych doświadczeniach nad organizmem ludzkim, czas pokaże. Autor zresztą nie jest dogmatykiem i sam nie uważa ich za ostateczne.

Z kolei następują uwagi nad odruchami. Czynności odruchowe uważają pospolicie za takie objawy, którym nie towarzyszy świadome czucie. Lewes nie zgadza się na taki pogląd, co znów wynika z jego zapatrywania się na cały układ nerwowy, w którym mózg jest tylko jakby „naczelnym wodzem," a ośrodki spełniają przeznaczenie pułkowników, kapitanów, sierżantów i kapralów. Chociaż naczelny wódz polegnie, jeszcze pułki mają swoich dowódzców. Tak wygląda zwierzę, któremu mózg wyjęto; każda część organizmu ma swego pułkownika, lub kaprala. Innemi słowy, czucie koncentruje się nietylko w mózgu, lecz i w innych ośrodkach nerwowych. Szczególniéj ważne jest znaczenie rdzenia kręgowego i odruchy, które od niego zależą. Otóż, ażeby dowieść, że odruchy są niezależne od czucia, należałoby wprzód okazać, że czynności rdzenia kręgowego są niezależne od czucia, a tego niedowiedziono. Tak więc, zdaniem Lewesa, odruch jest procesem grupowania się czynności nerwowych, stanowiącym fundament wszystkich objawów psychicznych.

Co do pojmowania instynktu, autor zbliża się do Spencer'a w tłómaczeniu objawów instynktowych, uważając je za doświadczenie odziedziczone po przodkach zwierzęcia i za fakt popierający hipotezę ewolucyi. Jużto wogóle filozofowie angielscy ze szczególném zamiłowaniem badają najniższe objawy życia psychicznego i analizę rozpoczynają od czynności, na które dawniejsza psychologia nie zwracała uwagi, chociaż bez ich rozumienia, nie można zrozumieć najwyższych zjawisk umysłowych, jakiemi są: rozumowanie dyskursywne i czynności woli.

W końcu swojego studyum o Lewes'ie, zastanawia się Ribot nad jego teoryą sennych marzeń i dziedziczności. Co do marzeń, bacząc na ciągle odbywające się procesa nerwowe, póki organizm żyje, należy przypuścić, że i paralelne z niemi objawy czucia raz świadomego, drugi raz nieświadomego, także ciągle istnieją: gdy czucie jest świadome, nazywamy je myśleniem, gdy nieświadome, marzeniem. Pytanie o dziedziczności pewnych dążeń, czyli pewnéj dyspozycyi organizmu, tak pod względem somatycznym, jak i psychicznym, Lewes rozwiązuje twierdząco, to jest, łączy się z hipotezą, według któréj potomstwo odziedzicza po rodzicach pewne skłonności, tak cielesne, jak i umysłowe. Wynika to ze związku krwi między rodzicami a potomstwem. Zresztą autor zna i słabe strony hipotezy; wié, że niejeden mądry ojciec zostawił po sobie syna idyotę, ale większość przeciwnych wypadków zdaje mu się przemawiać za uznaniem dziedziczności, jako prawa pozwalającego wy-

tłómaczyć wiele zjawisk psychicznych, niepodobnych do zrozumienia bez tego czynnika.

Ostatnim z psychologów angielskich, któremu Ribot, któtką poświęca wzmiankę, jest Samuel Bailey. Nie jestto pisarz młody, pierwsza bowiem jego praca, zatytułowana *Jednostajność przyczynowości*, sięga r. 1826. Znacznie późniéj, bo już po r. 1855 ogłosił: *Listy o filozofii umysłu ludzkiego*, *Teoryą rozumowania*, *Przegląd Berkeleyowskiéj teoryi widzenia* i inne. Bailey, jako psycholog, stoi na granicy między starą psychologią a nową. Jeszcze po staremu dzieli umysł na rozmaite władze i podaje słowną ich analizę. Do fizyologii niéma zaufania i nie wierzy, ażeby znajomość procesów fizyologicznych miała się w czémś przyczynić do lepszego poznania zjawisk umysłowych. Za to łączy się z nowszą psychologią w pojmowaniu wolności woli, redukując cały spór w téj sprawie do obrony przyczynowości czynów ludzkich. Czyny wolne wynikają z pobudek, i jako takie, mogą być z pewném prawdopodobieństwem przewidziane naprzód. Spełniając takie czyny, nie powodujemy się jednak swawolą czy kaprysem: idziemy za pobudkami, co nie znaczy stracenia woli. Wciskanie między wolą a pobudki jakiéjś konieczności, zamiast mówienia, że pobudki wprost skłaniają wolą do działania, tylko gmatwa całą tę sprawę.

Ażeby powyższy przegląd psychologii angielskiéj mógł być zupełny, należałoby doń wciągnąć sprawozdanie z dzieł Carpenter'a, d-ra Laycock'a, d-ra Maudsley'a, Darwina, Sully'ego, Morell'ego, Murphy'ego i innych, które się ukazały po wyjściu książki Ribot'a. Sam on zaledwie po kilka lub kilkanaście wierszy na wzmianki o tych autorach przeznaczył, tłómacząc się tém, że lubo w dziełach ich znajduje się po kilka rozdziałów z zakresu psychologii, przeważnie jednak traktowali oni fizyologią i patologią lub nauki przyrodzone. Nadto, dla całości obrazu, trzebaby się rozprawić z przeciwnikami psychologii doświadczalnéj, i podać krytykę samych empiryków, o ile ich tłómaczenie faktów psychologicznych na krytykę dozwala. Ribot jednakże ograniczył się do wykładu i streszczenia dzieł głównych pisarzy filozoficznych angielskich. Wykład ten, co do wierności i zgodności z tekstem rozbieranych dzieł, nie pozostawia nic do życzenia, i dla każdego, kto niéma czasu na studyowanie kilkunastu grubych woluminów, może służyć za doskonałą introdukcyą do psychologii. Na ostatku, autor zebrał w kilkunastu propozycyach rezultaty spółczesnéj psychologii angielskiéj. Powtarzamy je tu dosłownie, gdyż dobrze charakteryzują cały empiryczny kierunek filozofii wogóle, a w szczególności psychologii.

Oto są te propozycye:

Zadaniem i przedmiotem psychologii są zjawiska świadomości, ich prawa, przyczyny bezpośrednie i warunki. Zakłada ona sobie

bądź analizę faktów złożonych, bądź okazanie jak się tworzą przez syntezę, z faktów prostych. Zajmuje się ona tylko zjawiskami. Czém jest dusza lub umysł, nie wié. Pytanie to leży poza jéj sferą, i dlatego odsyła je do metafizyki. Nie jest ona ani spirytualistyczną ani materyalistyczną: jest zaś doświadczalną.

Metoda jéj dwojaka: bada zjawiska psychologiczne podmiotowo, przy pomocy świadomości, pamięci i rozumowania; przedmiotowo zaś, przy pomocy faktów, znaków, mniemań i czynów, które je wyrażają.

Psychologia nie ogranicza się do badania faktów świadomości tylko dojrzałéj, lecz usiłuje wykryć jéj rozwój. Zawiera tedy niby embryologią świadomości.

Posługuje się téż metodą porównawczą. Nie gardzi najniższemi nawet objawami życia psychicznego, pamiętając o tém, że i dla fizyologii porównawczéj badanie niższych organizmów było bardzo użyteczne.

Świadomość, jestto wyraz, który oznacza jaknajogólniéj rozmaite objawy życia psychicznego. Składa ją nieustający bieg wrażeń, wyobrażeń, pożądań, uczuć i t. d.

Pierwszym faktem zasadniczym, stanowiącym świadomość, jest postrzeżenie różnicy. Drugim takimże faktem jest postrzeżenie podobieństwa.

Jedynym faktem psychologicznym, pierwotnym i niedającym się zredukować, jest: *czucie*.

Rozmaite nasze czucia, czyli wrażenia można rozklasyfikować na siedm grup naczelnych: 1) czucia mięśniowe; uczą nas one, jaka jest natura i stopień wysiłku naszych mięśni; 2) czucia organiczne, które nas uczą o dobrym lub złym stanie naszych organów wewnętrznych; 3) smak; 4) węch; 5) dotyk; 6) słuch; 7) wzrok. Czucia ostatniéj grupy są najwyższe i najważnjejsze; one jedynie wraz z czuciami słuchowemi mają charakter estetyczny.

Prawem najogólniejszém, któremu ulegają zjawiska psychiczne, jest assocyacya, czyli kojarzenie. Dzięki swojéj ogólności, może ono być porównane z prawem ciążenia powszechnego w świecie fizycznym. Kojarzenie odbywa się bądź między faktami téj saméj natury np.: wrażenia kojarzą się z wrażeniami, wyobrażenia z wyobrażeniami, pożądania z pożądaniami i t. d.; bądź między faktami odmiennéj natury, np. uczucia kojarzą się z wyobrażeniami, wrażenia z pożądaniami i t. d.

Dwa fakta naczelne, służące za podstawę kojarzeniu, są: podobieństwo i przyległość (*la contiguité*).

Kojarzenie tworzy bądź kolejne następstwa, bądź spółbytności (*simultanéités*).

Przedmioty, które nazywamy zewnętrznemi (np. człowiek, dom), są to aggregata, czyli skupienia utworzone przez skojarzenie spółbytności (t. j. spółbytnych własności każdego przedmiotu). Jakim sposobem rodzi się w umyśle pojęcie o nich?

Pojmowanie świata zewnętrznego nie jest stanem czysto biernym, w którymby umysł, na kształ zwierciadła, z konieczności odbijał

przedmioty. Jestto dzieło wspólne i podmiotu czującego i przedmiotu uczuwanego (Ostateczna odpowiedź na to pytanie, przekracza za sferę psychologii doświadczalnéj: Stuart Mill i Bain przechylają się pod tym względem do idealizmu, Spencer do realizmu).

Mniemanie, że świat materyalny, uważany sam na sam, nie jest wcale podobny do postrzeżeń, jakie o nim mamy; mniemanie to zgadza się z danemi naukowemi.

Nasze zatém postrzeżenia, czyli pojęcia, są to stany wewnętrzne umysłu, które *odpowiadają* rzeczom zewnętrznym, ale nie są do nich *podobne*. Gdy np. postrzegam dąb, postrzeżenie moje odpowiada szczegółowemu przedmiotowi zewnętrznemu, *ale nie jest jego kopią*.

Postrzeganie jest więc rezultatem, który się różni od swoich spółczynników (t. j. podmiotu i przedmiotu), tak jak woda różni się od tlenu i wodoru, z których się składa.

Spółrzędne wyrazy „podmiot" i „przedmiot," są dwoma terminami najmniéj jeszcze ułomnemi do wyrażenia zasadniczego przeciwieństwa, jakie zachodzi między poznaniem a bytem. Materya i Umysł, świat Zewnętrzny i Wewnętrzny, są synonimami przedmiotu i podmiotu, ale prowadzą za sobą dwuznaczność.

Doświadczeniem zasadniczém, niedającém się zredukować, a z którego powstaje w nas pojęcie o świecie zewnętrznym, jest *opór*.

Ponieważ zjawiska umysłowe mają tę własność, że trwają pewien czas, zostawiają ślad po sobie, i znów się ukazują, powstaje z tego pamięć i wyobraźnia. Kojarzenie jest fundamentem tych zjawisk, chociaż nie tłómaczy wszystkich całkowicie.

Pytanie co do natury wiary (*belief*), twierdzenia czegoś, niejednakowo rozwiązują psychologowie tego kierunku. Jedni (jak starszy Mill i Spencer) tłómaczą wiarę przez skojarzenie nierozerwalne; drudzy (Bain i młodszy Mill) widzą w niéj pewną formę naszéj natury czynnéj, t. j. naszéj woli.

Rozumowanie, uważane w pierwotnéj swojéj formie, postępuje od szczegółu do szczegółu. Z nagromadzonych prawd szczegółowych tworzą się sądy, propozycye ogólne; rozumowanie nazywa się wtedy indukcyą. Sąd ogólny jest jakby *regestrem pro memoria*, w którym zanotowano szczegółowe dane, i służy za punkt wyjścia dla dedukcyi.

Wogóle, rozumowanie uważane w swojéj całości, rozpoczyna się od szczegółu i prowadzi do szczegółu za pośrednictwem ogółu (sądu ogólnego), będącego zbiorem szczegółów.

Syllogizm nie jest wcale typem rozumowania, ale właściwie procesem sprawdzania.

Co do początku wyobrażeń (idei) filozofowie, o których była mowa, nie łączą się ani z sensualistami (Locke, Condillac), ani z racyonalistami (Kartezyusz i Leibnitz), ani z krytycyzmem (Kant).

Mówią oni do sensualistów: wasza hipoteza, jakoby umysł był „niezapisaną tablicą," jest fałszywa i przeczy faktom. Zapomina ona, że umysł w akcie poznania, tyle co najmniéj zostawia swego, ile przyj-

muje. Zkąd bowiem pochodzi, że dwaj ludzie, którzy przeszli tę samę edukacyą, doznawali jednakowych wrażeń, żyli w tém samém otoczeniu, a jednak różnią się zupełnie od siebie? Sam ten fakt jużby zachwiał waszę teoryą.

Do racyonalistów mówią zaś tak: Słusznie twierdzicie, że w akcie poznania jest coś, co od umysłu idzie; ale wasza hipoteza o ideach wrodzonych, tkwiących jako możebność w umyśle, nie może się ostać. Cóżto bowiem za idea, która istnieje w stanie ukrytym, o któréj się nie myśli? Zresztą, jeżeli te wyobrażenia są pierwotne i gotowe w umyśle, dlaczego się tak późno zjawiają, zamiast coby miały być najpierwsze w porządku chronologicznym?

Do Kantystów nareszcie mówią: Wasza doktryna transcendentalna o *formach* myślenia, przydatna w logice, nic nie warta w psychologii. Prawda, że te formy znajdują się na dnie naszych wiadomości, gdyż można je z nich wydobyć; ale jakim sposobem one się tam dostały? Chodzi tu o ich genezę, czego nie roztrząsacie, ponieważ rozumujecie zawsze w tém przypuszczeniu, że macie przed sobą umysł dojrzały i zupełnie rozwinięty.

Porzuciwszy więc te rozwiązania, szkoła empiryczna podaje swoje. Przyznaje ona umysłowi samorzutność, dzięki któréj tenże przerabia, i przekształca materyały przychodzące doń zewnątrz; ale ta samorzutność jego ma swoje źródło w organizmie, a szczególniéj w konstytucyi układu nerwowego. Niektóre właściwości tłómaczą się przez odziedziczanie.

Słowem, rozwiązanie to, jest fizyologiczną przemianą doktryny Kantowskiéj o formach myślenia.

Dwa najogólniejsze stosunki, które umysł ludzki pojąć może, są: kolejne następstwo (lub wprost kolejność) i spółbytność. Stosunek, wyrażający kolejność, jest wielce prosty i stanowi pierwotny fakt świadomości.

Stosunek, wyrażający spółbytność, jest zdwojeniem poprzedniego; polega on na kolejności, która może być odwróconą, t. j. że można o niéj myśléć najprzód w pewnym porządku, a następnie w porządku odwrotnym, np. od A idąc do C, lub od C do A.

Ze stosunkiem kolejności łączy się bardzo ważne pojęcie przyczyny, czyli jak ta szkoła nazywa, pojęcie następniczości (*la séquence*); stanowi ono jeden z przypadków kolejności.

Przyczynowość jest kolejnością stałą i jednostajną.

Niezmienny poprzednik nazywamy przyczyną; niezmienny następnik, skutkiem. Przypuszczenie jakiéjś siły, która tajemniczo łączy oba terminy, jest płodem imaginacyi i wikła niepotrzebnie stosunek przyczyny ze skutkiem. Mowa tu o przyczynach, które same są także zjawiskami.

Ogół stosunków, wyrażających kolejność, stanowi *czas*. Ogół stosunków wyrażających spółbytność, nazywa się *przestrzenią*.

Charakter nieskończoności, przywiązany do wyobrażeń czasu i przestrzeni, t. j. niemożność z naszéj strony pojęcia ich granicy, wy-

nika z prawa kojarzenia. Nie możemy myśleć o jednéj chwili czasu, żeby się zaraz nie budziło wyobrażenie następnéj, i tak daléj. Tak samo rzecz się ma z przestrzenią. Kojarzenie takie jest nieuniknione, ponieważ dane, wzięte z doświadczenia, a służące wyobrażeniom tym za podstawę, zawsze były takie same, bez wyjątku.

Rezultaty badań czynionych przez szkołę empiryczną angielską nad zjawiskami uczuciowemi, t. j. nad wzruszeniami, są mniéj zadawalniające. Oto kilka punktów, co do których panuje zgoda.

Dwa fakta zasadnicze w tym porządku są: przyjemność i przykrość

Wzruszenia są dwojakiego rodzaju: proste i złożone.

Niémasz zgody ani co do nazwy, ani co do liczby wzruszeń prostych. Uczucia estetyczne i moralne zgodnie uważają za złożone wzruszenia.

Wola ma swoje źródło bądź w energii organizmu, bądź w instynktach, żądzach i namiętnościach. Wola, gdy dojrzeje, jest siłą kierowniczą. Nim jednak dojrzeje, przebywa wiele prób, usiłowań, przegranych i zwycięztw. Wola, która z pozoru wygląda na siłę prostą, jest machiną bardzo skomplikowaną. Czyny dowolne ulegają prawu powszechnéj przyczynowości. Sąż one naszém dziełem? Niewątpliwie; gdyż są rezultatem wszystkich stanów świadomości poprzedzających zdecydowanie się, czyli postanowienie; a zaś ogół tych stanów świadomości, stanowi nasze *Ja*. Sąż one wolne? Pytanie to bez potrzeby i znaczenia, a więc nie dające się rozwiązać. Właściwie pytanie owo, tak jak je metafizycy czynią, znaczy w gruncie: sąż czyny nasze bez przyczyn, pobudek, motywów? Oczywiście, że nie! Ale dlatego nie przestają być wolnemi i naszemi.

Psychologia tak rozumiana może i *powinna* być umiejętnością odrębną. Ale nie może i nie powinna się odosabniać od umiejętności sąsiednich, mianowicie od fizyologii; a nawet, ściśle rzecz biorąc, trudno między niemi poprowadzić wyraźniéj linii granicznéj, gdyż niektóre zjawiska należą tak do jednéj, jak i do drugiéj.

Psychologia opierając się na fizyologii, sama służy za podstawę naukom moralnym, społecznym i politycznym. Należy ją więc uzupełnić nauką praktyczną: *Ethologią*, czyli umiejętnością o tworzeniu się charakterów bądź indywidualnych, bądź narodowych.

Jakkolwiek, sformułowane w ten sposób rezultaty badań psychologicznych, dokonanych przez szkołę doświadczalną angielską, nie znajdują się *dosłownie* w roztrząsanych dziełach; i chociaż może nie każdy z autorów, o których była tu mowa, wszystkie te propozycye uznałby za swoje: niemniéj jednak wszystkie dają się z prac ich wyciągnąć i stanowią ogólną charakterystykę ich kierunku naukowego.

(*Dokończenie nastąpi*).

RZUT OKA

na rozwój sztuki w ogólności, na jéj dzieje i stan obecny u nas.

PRZEZ

Karola Matuszewskiego.

Zadanie sztuki. — Trzy kierunki w dążeniach ludzkości. — Historyozoficzna strona dziejów sztuki.—Znaczenie starożytnego Wschodu w jéj rozwoju. Okres symboliczny.— Sztuki w Grecyi i Rzymie. Okres klasyczny, kult formy. —Upadek pogańskiéj kultury.—Młodzieńcze społeczeństwa chrześciańskie.— Ich długowiekowa bezwładność umysłowa. Wieki średnie.—Epoka odrodzenia.—Charakter ostatnich stuleci.— Publicystyka wobec sztuki. Niepowodzenia naszych specyalnych organów. — Zaczątki sztuki w Polsce. Panowanie stylu romańskiego.—Powody jego upadku.—Powstanie i szerzenie się stylu ostrołukowego. Jego rozkwit w Polsce.—Ożywiony okres w dziejach sztuki krajowéj. — Dążność do indywidualizowania postaci jest jego znamieniem. — Upadek malarstwa i snycerstwa cechowego.—Napływ artystów cudzoziemskich i odrodzenie w Polsce.—Jego charakter i wpływ na sztukę miejscową. —Okres naśladownictwa.—Dźwiganie się narodu z upadku.—Zwiastuny odrodzenia się sztuki swojskiéj.—Zwątpienie w możność jéj zaszczepienia.—Malarstwo wchodzi na zdrową drogę. January Suchodolski. — Rozkwit sztuki w czasach ostatnich.—Krajowe wystawy dzieł sztuki.

Prawda, dobro i piękno, to jakby trzy punkta wytyczne na odległym widnokręgu ludzkości, ku którym ludy parte potrzebą wewnętrzną, świadomie bądź nieświadomie, dążyły i wiecznie dążyć będą. Te trzy cele musiały téż wytworzyć w działalności umysłowéj człowieka trzy odpowiednie kierunki, trzy różne drogi zaspokojenia jego potrzeb duchowych. Jak bowiem w dziedzinie wiedzy pragnie on przyjść do posiadania stałych dla niéj punktów oparcia, któreby mu pomogły do odkrycia prawa ogólnego, rządzącego zjawiskami otaczającego świata; jak w zakresie swych czynności nie przestaje on dążyć do dobrego,

by przez to spokój swéj moralnéj okupić istoty: tak w sferze zjawisk zmysłowych usiłuje znaleźć kształt, który łącząc w sobie urzeczywistnienie idei ładu i prawidłowości, zadowoliłby go swą doskonałą harmonijnością. Tymto poszukiwanym kształtem jest właśnie piękno, zaś najszczytniejszym tego ostatniego wyrazem—ideał, który jest sztuki zadaniem. Niedołężne próby ludów pierwotnych osiągnięcia piękna kształtowego, owe nieforemne linie, kreślone niepewną jeszcze ręką na popielnicach i wyrobach z kości, są już objawem budzących się pragnień estetycznych.

Z dziejów wiadomo, że dążenia w tych trzech powyżéj zaznaczonych kierunkach, jakkolwiek współrzędne i z jednego płynące źródła, zachowują między sobą różny, względnie do czasu i miejsca stosunek; zkąd znów wynika, że i udział ich w ogólnéj sumie pracy duchowéj, w danym dziejowym momencie, jest nierównéj doniosłości. A jakkolwiek ciągłość ich nie ulega nigdy zupełnéj przerwie, nie zdaje się przecież istnieć między niemi żadna równoległość; owszem, w skutek oddziaływania mnóstwa nieobliczonych czynników, ten lub ów kierunek w danéj chwili przemaga, wszystkie niemal siły absorbując, dopóki z kolei innemu nie ustąpi miejsca. Zauważyć też można, że systemy religijne, filozoficzne, prace prawodawcze i t. p. zdobycze ducha, poprzedzały prawie wszędzie okres rozkwitu sztuk pięknych; i następstwo takie jest niezaprzeczonym wyrazem logiki dziejowéj, uszlachetnione bowiem pragnienia estetyczne, będące nieodzownym warunkiem rozwoju sztuki, wówczas dopiéro wynurzyć się mogą, gdy już ludzie swe naglejsze, bezpośredniejsze zaspokoili potrzeby, i gdy, przez osiągnięcie pewnych rękojmi porządku społecznego i moralnego, dźwignęli się na wyższy cywilizacyi szczebel.

* * *

Dzieje sztuki wogóle, to najwymowniejsza illustracya do dziejów stopniowego wyjarzmiania się ducha ludzkiego z pod władzy materyi; to najplastyczniejszy obraz jego walk, niemocy, zwątpień i tryumfów. Cokolwiek od najdawniejszych czasów ludzkość czuła i myślała, co kochała lub nienawidziła, w co wierzyła i czego pragnęła: wszystko to wyraziło się w sztuce. Z odgrzebanych jéj szczątków, które całe tysiące lat w ziemi spoczywały, odtworzyć się dziś dają z pewną dokładnością dzieje i charakter ludów, po których pozostały. Pokruszone te ręką czasu głazy i marmury, których przed wiekami tknęło się dłuto snycerza; te góry całe granitu i cegieł, z których wyczytać jeszcze możemy myśl budowniczego co je spiętrzył, odgadnąć cele, dla zadośćuczynienia którym zostały dźwignięte; prawią dziś zdumionemu wędrowcowi iście czarodziejskie baśnie o tych odległych wiekach: są jakby skamieniałém echem tego życia, co kipiało niegdyś tam, gdzie dziś głucha zaległa pustynia. Dzieje sztuki, pospołu z dziejami politycznemi, literaturą i umiejętnościami zakreślają w pochodzie wieków wyraźnie tę ścieżkę, którą ludzkość w swym dziejowym rozwoju przebiegła;

a témsamém umożebniają poniekąd odgadnięcie dalszego jéj kierunku. Sięgnijmy myślą w odległe czasy starożytnego Wschodu, gdzie się zawiązały pierwsze społeczne ogniska. Umarły dawno ludy, co zamieszkiwały brzegi Eufratu i Tygru, i niewielebyśmy o ich długiém istnieniu wiedzieli, gdyby nie doszły do nas zabytki ich sztuki: ta kamienna puścizna starego świata. Z niéjto naocznie się przekonywamy, jak w tych odległych, mgłą wieków zasłoniętych czasach, niemowlęca jeszcze myśl ludzka mocowała się bezsilnie z materyą, zmuszając ją do mówienia; a niezdoławszy przeniknąć głazu, w którym się wypowiedzieć pragnęła, zniemożona, bezsilna, zawisła na nim w postaci symbolu; lub rozgorączkowana łączyła z sobą w najdziwaczniejszy sposób kształty roślinnego i zwierzęcego świata i, w oczywistéj z rozsądkiem rozterce, majaczyła wytwarzając niebywałe potwory. Nad Indusem i nad Nilem powtarza się to samo, i ztąd słusznie cały ten długi okres w dziejach sztuki nazwę symbolicznego otrzymał. Myśl nie wzniosła się tu była jeszcze na tyle, by zrównoważyć wpływ materyi, by opanować formę; nastąpiło to dopiéro późniéj, w Grecyi i Rzymie, a postęp ten w dziejach ducha ludzkiego przez cały szereg wieków przygotowanym być musiał. W Grecyi widzimy myśl dźwigającą się z poniżenia i zespalającą z formą, a z tego szczęśliwego zrównoważenia się dwóch czynników powstał ów cudny, pełen młodzieńczego uroku okres klasyczny; okres, w którym rozbujała wyobraźnia przyoblekając myśl każdą w odpowiednie kształty, stworzyła cały szereg obrazowych mytów, wyrażających prawdy bądź duchowego, bądź materyalnego porządku. Dlatego jestto przedewszystkiem okres największego rozkwitu sztuk plastycznych. Wobec mytów, symbole ledwie drugorzędne zajęły miejsce, a mistrze owéj epoki stworzyli dzieła, których świat nigdy podziwiać nie przestanie i które są może ostatnim wyrazem plastyki.

Atoli pogański kult formy nie mógł być ostatecznym celem w umysłowym rozwoju świata: postępująca ciągle ludzkość nie zatrzymała się téż na nim. Niebawem nowa idea zaświtała i wstrząsnęła podwalinami starego świata, którego godzina wybiła. Runęli bogowie z piedestałów, druzgocąc wszystko dokoła; opustoszały ich ołtarze, zachwiała się i rozprysła wiara w Olimp: bo oto w ziemi żydowskiéj powstał „Syn człowieczy" i nową erę świata zapowiedział. Przewrot był burzliwy, straszny; ale z chaosu tego, ze zgliszcz, krwi i gruzów wyłaniał się zwolna świat odnowiony. Skonała światowładna Roma, wypowiedziawszy ostatni wyraz swéj politycznéj mądrości. Młodzieńcze społeczności chrześciańskie, zerwawszy ze starym, pogańskim świata porządkiem, bez tradycyi za sobą, wybrały się niejako bez zasobów w dziejową wędrówkę. Wpadły téż niebawem w stan dziwnéj bezwładności, w którym całe wieki przetrwały. Tak przeszła w dziejach długa owa noc wieków średnich. Mistyczny absolutyzm ducha, pogarda materyi, formy i wszystkiego co z nią w bliższym związku, to główne znamiona umysłowych objawów tego okresu. Nigdzie się téż nie wypiętnowały one wyraźniéj, jak w sztuce. W niéj unaocznia się cały

wstręt do formy, którą myśl ludzka, w poczuciu swéj potęgi, już za niewystarczającą jéj potrzebie, za krępującą jéj swobodę uznała; pasuje się ona z nią, pragnąc z tych więzów wyzwolić i kruszy w końcu ową harmonijną równowagę, będącą staréj, pogańskiéj kultury owocem. Wszystkie sztuki wieków średnich najdowodniéj to poświadczają. Architekci ówcześni zdają się natrząsać z praw materyi; snycerze i malarze, choć im doskonałych wzorów pod ręką nie brakło, ignorowali je zupełnie, a głównie treścią swych dzieł zajęci, to jest tém, co w nich wyrazić chcieli, o formę wcale się troszczyć nie zdają.

Na zrębie nowożytnych czasów, zerwana równowaga między myślą a materyą, treścią a formą, powraca znowu, atoli tym razem niéma już mowy o ich równości, o takiém jak w Grecyi bratniém ich skojarzeniu: wyniosła myśl dyktuje warunki sojuszu sponiewieranéj formie, któréj potrzebę uznać jest zmuszoną; i tak po długowiekowéj waśni staje znów dzieło pokoju, dzieło świadomego tym razem zespolenia dwóch czynników, którego owocem owa bajecznie świetna epoka odrodzenia sztuk i umiejętności: epoka Rafaelów, da Vincich, Fra Bartolomeów, Buonarottich, Tycyanów i całéj plejady niezrównanych mistrzów, którzy potęgą swego twórczego geniuszu dziś jeszcze świat zdumiewają.

Poczynająca się z reformacyą era systematów filozoficznych, doktryn mających ludzkość uszczęśliwić i politycznych przewrotów; idealizm i materyalizm, i wszystkie owe oscylacye myśli ludzkiéj, jakich obraz dają nam ostatnie wieki, znalazły taksamo swych plastycznych interpretatorów i apostołów w dziedzinie sztuki, w któréj odtąd najrozmaitsze krzyżują się i ścierają prądy. Styl odrodzenia w budownictwie, wytworzony na antykowych motywach, paczy się wkrótce i wyradza w różne odmiany kapryśnego baroku; i dopiéro współcześni nam artyści pojęli lepiéj architektoniczne piękno linii, ale i ci ponad eklektyzm wznieść się nie zdołali: nie wystrzeliła żadna oryginalna myśl będąca nowego stylu zapowiedzią, chyba za próby w tym rodzaju uważać zechcemy godny zaiste naszego wieku wynalazek: architekturę ze szkła i żelaza (Pałac Kryształowy w Sydenham, Muzeum Kensyngtońskie i t. p.). Rzeźba waha się między klasyczną tradycyą, z którą jéj zerwać trudno, a narzucanym jéj przez nowatorów realizmem, który się jéj dla miłości niby prawdy idealnych form wyrzec każe, niepewna, którą obrać drogę. Malarstwo dźwignąwszy się z upadku, sprowadzonego przez naśladowców Michała Anioła, zaciera w sobie wybitne cechy pierwotnych szkół włoskich; rzecby nawet można, że od czasów Caraccich, jedna już tylko powszechna istnieje szkoła, która wszystkie inne pochłonęła, usiłując przyswoić sobie ich zalety; dostrzegane zaś różne jéj odcienia, są tylko indywidualności artystów odbiciem. Klasycyzm, romantyzm, naturalizm, naprzemian znajdują zwolenników między artystami, którzy względnie do pierwiastków dominujących w ich talencie, grupują się jeszcze na rysowników i kolorystów, ale to bez względu na czas w którym żyją, i na naród do którego należą; kierunek kolorystyczny, re-

alny, stanowczo jednak bierze górę, z uszczerbkiem rysunku; malarstwo rodzajowe, najbardziéj w guście naszych czasów będące, główne zajmuje miejsce; tradycya dawnego malarstwa historyczno-religijnego, prawie stanowczo niknie. Wspaniałe próby wskrzeszenia wielkiego stylu (Cornelius, Kaulbach) nie znajdują naśladowców; malarstwo krajobrazowe wchodzi także na nowe tory, żywioł uczucia, piękno wyrazowe, stanowczo w jego utworach przeważają i zapewniają mu powodzenie, wśród żyjącéj nerwowo społeczności. Słowem chaos, z którego mimoto od czasu do czasu wyłania się jaka potężna indywidualność, zwracająca na siebie powszechną uwagę. Nie uplastyczniaż się w téj mozaice dążeń i kierunków owa swoboda myśli i ruchu, znamionująca nasz wiek, ów popęd do nowatorstwa i do szukania dróg nowych?

* * *

Z tego pobieżnego rzutu oka na rozwój myśli, z uwzględnieniem jéj stosunku do formy, można osiągnąć tę pewność, że dzieje polityczne, stan piśmiennictwa, same nie dają nam jeszcze wyczerpującego obrazu prac i dążeń danego społeczeństwa; że obraz ten uzupełniają dopiéro dzieje sztuki, uwydatniające niejeden rys, który bez nich pozostałby niezrozumiałym.

Przodujące cywilizacyi narody posiadają cały szereg pism specyalnych, poświęconych sprawom współczesnéj sztuki; notują one wybitniejsze objawy w téj dziedzinie pracy, zwracają na nie publiczną uwagę, usiłują wytworzyć w szerszych kołach zdrowy sąd o nich i wpływać tym sposobem na uszlachetnienie publicznego smaku, któremu, trudno zaprzeczyć, artyści w mniejszym lub większym stopniu zwykli hołdować. Spełniając to zadanie, pisma owe strzegą sztukę, o ile w ich mocy, od wejścia na zdradne manowce. Nasze miejscowe stosunki nie pozwoliły dotąd na wytworzenie się takich specyalnych organów; ożywiający się atoli z każdym rokiem ruch w naszém peryodycznóm piśmiennictwie budzi nadzieję, iż niedługo zapewne na ich ukazanie się czekać będziemy. Muzyka zdobyła się już nawet na swój organ (*Echo muzyczne*). Próby czynione w tym względzie przed laty, snać były jeszcze przedwczesne; wydawany przez Podczaszyńskiego *Pamiętnik sztuk pięknych*, sprawom sztuk plastycznych poświęcony i *Ruch muzyczny* Sikorskiego, mimo usiłowań wydawców, nie utrzymały się. Inne organa naszéj publicystyki, jako z obowiązku śledzące postępy i zwroty w różnych kierunkach społecznéj pracy, starały się wedle możności tę lukę wypełnić; w publikowanych atoli pracach z zakresu sztuki przebijała się najczęściéj dorywczość, brak ładu i systematyczności, od którego to braku, wyznajemy, i nasze pismo niezupełnie było wolne. Atoli jałowość usiłowań stworzenia krajowéj szkoły malarstwa i rzeźby była tak długa, zwątpienie w jéj możebność tak niemal powszechne, a wawrzyny jakie nasi mistrzowie zebrali w ciągu ostatnich lat kilkunastu tak niespodziane, zdumiewające, iż nic zaiste dziwnego, że ogół rzec można nie przygotowany zastały do ocenienia

całéj doniosłości tego nowego, tak wiele obiecującego zwrotu w rozwoju sztuki krajowéj.

* * *

Orły rzymskich legionów nie wdarły się były nigdy w lesiste obszary nad Wisłą i Odrą; ludy zamieszkujące te zapadłe krainy, oddalone o całe dziesiątki mil od najbardziéj na północ wysuniętych granic potężnego imperyum, leżały już poza sferą jego politycznego i cywilizacyjnego wpływu. Dopiéro Chrześciaństwo wniosło do nas potrzeby i pojęcia, będące wytworem rzymskiéj cywilizacyi, a więc i uprawę sztuki w ściślejszém słowa znaczeniu. A lubo dobrodziejstwa te dostały się nam względnie późno, bo dopiéro w X wieku; lubośmy nie czerpali ich bezpośrednio u źródła, jak szczęśliwsze pod tym względem ludy zachodniéj i południowéj Europy, które z téj racyi musiały nas o kilka wieków wyprzedzić: tém niemniéj Polska, przymknąwszy raz do grona chrześciańskich społeczności, brała odtąd żywy i szczery udział w sprawach zaprzątających ówczesny świat cywilizowany, dzieliła jego mniemania i aspiracye, i była pod każdym względem dość wiernem jego powtórzeniem, w zdrobniałéj naturalnie skali. Więc i pierwiastkowe dzieje sztuki krajowéj przedstawiają się w tych samych głównych zarysach, co dzieje sztuki innych współczesnych ludów katolickiego świata. Tak np., w architekturze naszych kościołów murowanych z XI, XII i pierwszéj połowy XIII wieku, występuje na jaw charakter więcéj, lub mniéj rozwiniętego stylu romańskiego, panującego jednocześnie w całéj katolickiéj Europie; podobnie w rzadkich dziś z téj epoki malowidłach polskich uwidocznia się naśladownictwo bizantyjskich wzorów, których niezaprzeczone znamiona noszą wszystkie utwory ówczesnego malarstwa u obcych. Kształtujące się dopiéro młode społeczności, nie skrystalizowały się były jeszcze, nie przyszły do poczucia swych odrębności; w rzeczach sztuki snują one niejako daléj nić rzymskiéj tradycyi, a mimo rzutkości ich młodzieńczéj fantazyi, mimo coraz swobodniejszego jéj polotu, nie mogą się one jeszcze wznieść do oryginalnéj w dziedzinie formy twórczości. Témci bardziéj Polska, najmłodsza córa Kościoła, w téj pierwszéj dobie swéj sztuki, nie mogła na jéj utworach wyryć piętna swéj narodowéj odrębności, na którą zdobyć się nie miała jeszcze czasu. Wielce ciekawe zabytki sztuki z tych czasów noszą więc ogólne cechy sztuki zachodnio-europejskiéj; ale są one dotąd tak nieliczne, poszukiwania zaś w tym względzie tak jeszcze świeże i niedostateczne, że bliższe poznanie tego okresu czynią niemożebném.

W epoce, o któréj tylko co mówiliśmy, idea chrześciańska, która już od kilkunastu wieków światem cywilizowanym rządziła, nie posiadała jeszcze w sztuce właściwéj do swego wcielenia się formy, nie wytworzyła dotąd owéj odrębnéj, oryginalnéj, symbolicznéj mowy architektury. Przekształcana stopniowo i do potrzeb Kościoła naginana stara rzymska bazylika, doprowadziła z biegiem czasu do téj architektonicznéj kombinacyi myśli i motywów, którą stylem romańskim zowiemy. A jakkolwiek jest on niezaprzeczonym wytworem i własnością wieków

średnich, wiąże się przecież wyraźną tradycyą z architekturą pogańskiego Rzymu. Idea chrześciańska owładnęła tu do pewnego stopnia dawnemi formami, podwyższyła ściany, wydłużyła słupy i okna, rozsypała po nagłówkach i drzwiach mnóstwo ornamentów, rozwinęła łukowe sklepienia i całéj budowli nadała wyraz nieznanéj przedtém wysmukłości, lekkości. Ta sama atoli idea, któréj ten styl powstanie swe zawdzięcza, stała się następnie jego wyrodzenia i upadku przyczyną. Nie ustając bowiem w tém dążeniu do wydłużania form, do nadawania im coraz większéj lotności i wzniosłości, w dalszym rozwoju przebija ściany oknami, łamie wydłużone nadmiernie łuki i sklepienia, które skutkiem tego z okrągłych w ostro-łamane przechodzą, i tak zaciera i niweczy jego cechy, dając jednocześnie początek nowéj, nieporównanie smuklejszéj i lotniejszéj architekturze, nie krępowanéj odtąd żadnemi więzami tradycyi.

Średniowieczny świat chrześciański zdobył więc nareszcie formę, w któréj mógł się wypowiedzieć całkowicie duch, co go nawskroś ożywiał: formą tą stał się nowy styl ostro-łukowy. Wyzwolona już z więzów materyi myśl ludzka, w religijném uniesieniu zdaje się chciéć samą teraz materyę ożywić, uduchowić, porywać ją i wraz z sobą w nadziemskie, niebieskie unieść sfery. Gorąca wiara ludów, z któréj się w pierwszych wiekach Chrześciaństwa tak naiwnie wyspowiadały w uroczych, poetycznych legendach, strzela teraz w górę snopami słupów i linii pionowych, gubiących się w tajemniczym pół-mroku pod wyniosłém, ostro-łukowém sklepieniem tumu. Styl ten, którego wynalazek, jak tyle innych rzeczy, Niemcy uzurpują, powstał właściwie w północnéj Francyi, w pierwszéj połowie XIII wieku; ale rozszerzył się on bardzo szybko po wszystkich krajach katolickiéj Europy, wszędzie trafił do przekonania, przyjął się, przyswoił i nie tracąc wyróżniającéj go cechy, wszędzie miejscowy przybrał charakter.

Jak w kilka wieków późniéj odrodzenie przez Polskę dostaje się do Niemiec, tak teraz styl ostro-łukowy przychodzi do nas przez Niemcy, zdaje się przez Zakon Krzyżowy. To tłómaczy nam owo powinowactwo, którego trudno niedopatrzéć między pierwszemi próbami naszych ostro-łukowych budowli, a niemieckim, zwłaszcza krzyżackim gotykiem. Budownictwo ostro-łukowe ukazuje się u nas już w XIII wieku, ale dopiéro późniéj, za Kazimierza Wielkiego i Jagiełły, przypada doba jego rozkwitu. Ze stylem ostro-łukowym poczyna się téż w Polsce większe ożywienie artystycznéj twórczości, pierwszy wydatniejszy okres w dziejach jéj sztuki. Ostro-łuk stał się w zupełności stylem swojskim, zapanował nietylko w budownictwie, lecz odbił się zarówno w snycerstwie i malarstwie, które to sztuki zbudził z uśpienia i do pomocy wezwał. Gotyckie bowiem budowle, zwłaszcza świątynie, bardzo szerokie pole zostawiały dla popisu snycerzy i malarzy, szczególniéj tak zwanych „szklarzy," trudniących się malowaniem na szkle. Wsiąkł on tak głęboko w obyczaj, że i miniatury, któremi rękopismy zdobiono, i dzieła złotników, i tkaniny wzorzyste, i wszelki wyrób rzemiosła, mniéj

lub więcéj z sztuką spokrewnionego, noszą na sobie wyraźne jego piętno.

W XIV już wieku znajdujemy ślady istnienia w Krakowie korporacyi (cechu) malarzy, do któréj téż snycerze i złotnicy należeli; ale dokładniejszych wiadomości o tych pierwszych zawiązkach szkoły krajowéj nie posiadamy: akta radzieckie Krakowa przekazały nam imiona wielu mistrzów cechowych, począwszy od XV wieku, ale na tém kończą się nasze o nich wiadomości. Obrazy z tych czasów zachowały się jeszcze tu i owdzie w kościołach krakowskich: a pewno nie jeden obraz, nie jedna rzeźba, zdobiąca dziś kościoły nasze po wsiach i miastach, pochodzą z pracowni dawnych cechowych mistrzów. Słowem, w sztuce weszliśmy już byli na drogę, która mogła i powinna była jéj rozwój zapewnić. A byłby to zaiste ciekawy obraz tych ożywionych usiłowań, gdybyśmy go mogli w dokładniejszych, szczegółowych nakreślić rysach; niestety, nieliczne i niedość wyjaśnione pomniki, szczupłość, a często i niedokładność wiadomości zebranych przez naszych badaczy, nie dają w tym względzie wystarczających punktów oparcia. Zaznaczyć tu przecież wypada, że jak w całéj ówczesnéj Europie północnéj, tak i w Polsce, wychodząca z dzieciństwa sztuka, zdaleka od klasycznych wzorów starego Rzymu, na których się włoscy mogli wyrabiać artyści, czerpiąc siłę jedynie w uczuciu religijném, w żywéj naturze i indywidualności artystów, poszła zgoła innemi torami. Jak nową i oryginalnalną formą w budownictwie był styl ostro-łukowy, tak z niemniéj samorzutnym kierunkiem spotykamy się w ówczesném snycerstwie. Utwory jego nie mogą się wprawdzie poszczycić tą czystością i szlachetnością kształtów, co współczesne mu dzieła włoskie, nie posiadają tych, co one plastycznych powabów; natomiast, obok prawdziwie nieraz dziecinnéj prostoty, ujawnia się w nich wyraźnie nieznana tamtym (przynajmniéj nie w tym stopniu) dążność do indywidualizowania postaci, do nadawania im charakteru, do wyrażenia w układzie figur ruchu, a w ich obliczach uczuć i namiętności. Artyści oddalają się od ideału antycznego, ale o tyleż się zbliżają do otaczającéj ich natury. Kierunek ten wypowiedział się bardzo wyraźnie w naszéj sztuce, wyraźniéj może, niż gdzieindziéj, a ciekawym jego okazem są snycerskie dzieła słynnego Wita Stwosza (ołtarz w kościele N. M. Panny w Krakowie). Trzeźwy ten realizm, ten nowy zgoła żywioł sztuki, musimy bądź cobądź uważać za jedno z nowożytnych jéj znamion; bo prąd ten, stłumiony na razie przez odrodzenie, nie przestał spodem nurtować i w późniejszych wiekach niejednokrotnie wynurzał się w literaturze i plastyce, z niezwykłą uwydatniając się siłą. Mamy i w naszych czasach tego przykłady.

Z powodów nie dość jeszcze wyjaśnionych, cechowe malarstwo i snycerstwo polskie, tak kwitnące w wiekach XV i XVI, przeminęło bez większego znaczenia, niemal bez wpływu na dalsze losy sztuki krajowéj. Możnaby myśléć, iż fatum jakieś powstrzymało ich dalszy rozwój, i na śmierć bezpotomną skazało. Gdy we Francyi i Niemczech sztuki, pod wpływem włoskiego odrodzenia, wyjarzmiały się zwolna z więzów ce-

chowych i zdobyły w końcu zupełną swobodę wzrostu, nasi mistrzowie cechowi pozostali poza obrębem tego ruchu; owszem, wyjednywanemi u królów przywilejami usiłowali ochronić swe wyodrębnione położenie i zawarować się od niebezpiecznego współzawodnictwa „partaczy," jak nazywano tych, co wyłamywali się z pod ustaw cechowych.

Stosownie do brzmienia tych ostatnich, każdy malarz, jeśli chciał zostać mistrzem (majstrem), zobowiązany był wykonać na próbę (majstersztyk) obraz N. Maryi Panny z Dzieciątkiem Jezus, Zbawiciela, i Ś-go Jerzego na koniu. Wogólności malarze ci w swych pełnych prostoty, naiwnych utworach, trzymali się prawdopodobnie tradycyjnych szablonów, malowali wyłącznie obrazy treści religijnéj, poza czém nie widzieli już godnych swego pędzla przedmiotów. O stanowisku i wartości tego cechowego malarstwa dać mogły najlepsze wyobrażenie utwory licznych dziś w Kijowie malarzy obrazów religijnych, którzy, mówiąc nawiasem, także wzięli początek od kolonii polskich artystów, którzy się tu w XVII wieku z Litwy przeniósłszy, założyli kijowsko-polską szkołę malarstwa; a utwory dwu braci Tarasiewiczów, stojących niegdyś na czele téj szkoły, dziś są jeszcze naśladowane przez tych kijowskich malarzy, którzy całą niemal Rossyą swemi „ikonami" zasypują.

Godniéj, jak widzieliśmy, przedstawiało się snycerstwo i budownictwo, ale i te nie lepszego doznały losu: odrodzenie je zabiło. Przybywający tłumnie na dwory królów i możnowładzców artyści zagraniczni, przedstawiciele sztuki wyzwolonéj i odrodzonéj, malarze, snycerze i architekci, po większéj części Włosi, wznosili kościoły, zamki i pałace, zdobili je malowidłami i dziełami snycerstwa, przez co stawało się zadość wyrafinowanemu smakowi dworu i pewnéj liczby wielkich panów; atoli na rolniczy i rycerski gmin szlachty, osiadłéj po modrzewiowych dworkach, nie wywarło to żadnego wpływu; cudzoziemskie te kwiaty, hodowane sztucznie, nie trafiały mu jakoś do upodobania, nie uczuwał ich potrzeby. Nie posiadamy dotąd opracowanéj wyczerpująco historyi sztuki krajowéj, któraby nam dostatecznie wyjaśniła ciekawy ten okres, i wytłómaczyła przyczyny tego wyosobnienia się z ogólnego ruchu w Europie. Sama organizacya cechowa artystów, bądźcobądź nie tłómaczy jeszcze tego zjawiska, bo ruch odrodzenia spotkał się z nią wszędzie, i wszędzie stawiane mu z téj strony tamy pokonał; powoływanie się na polityczny ustrój społeczeństwa, na charakter, sprawy i tryb życia przodującéj klasy w narodzie—szlachty, nie wyjaśnia również tego objawu w przekonywający sposób. Te i inne znane okoliczności mogły bezwątpienia tamować chwilowo rozwój sztuki, opóźnić go, ale nie tłómaczą dlaczego mianowicie sztuka cechowa nie przyjęła przychodzącéj z Włoch reformy, która się w całéj oświeconéj Europie przyjęła? dlaczego tak obcą okazała się temu ruchowi, i przez to się na zagładę skazała? Nam się zdaje, że właśnie to wczesne i nagłe wkroczenie do nas odrodzenia, które królowa Bona i jej Włosi z sobą sprowadzili, to gwałtowniejsze niż gdziebądźindziéj w Europie jego sze-

rzenie się, ów brak wszelkiego przejściowego momentu; wreszcie obce zgoła pojęcia, jakie przynosili z sobą włoscy artyści, dla których wszystko co na miejscu zastali, było barbarzyńskiém i pogardy godném; ta właśnie wyniosła ich wyłączność, burząca wszystko i przekształcająca, a nie radząca się ani miejscowéj tradycyi, ani wymagań klimatu:—oto co musiało być główną przyczyną, że okres odrodzenia, odwieczném prawem reakcyi, wywołał głuchy opór i przeszedł u nas bez dodatniego wpływu na rozwój sztuki miejscowéj; owszem, wywarł na nią wpływ ujemny, bo zatamowawszy jéj samodzielny polot, zwarzył ją i zgubił.

Malarstwo nasze może najmniéj miało do stracenia; atoli wyszło już dawno z niemowlęctwa snycerstwo, młode, bujne, a osobliwie rozkwitające wnajlepsze podtenczas budownictwo ostrołukowe, najbardziéj od tego przewrotu ucierpiały. Powstrzymany w rozwoju gotyk polski nie miał nawet czasu wypowiedzieć swego ostatniego wyrazu. Taki stan rzeczy stworzył anomalią; dwie sztuki, zasadniczo różne, a istniejące jednocześnie obok siebie: jedna z nich swojska, ale cechowa, w karby rzemieślniczéj rutyny ujęta i pozbawiona poparcia ukształceńszéj cząstki narodu, wiedzie odtąd żywot marny i w końcu zamiera; druga obca, ale uprzywilejowana, modna, stojąca na wysokości wymagań wykwintnego smaku i ciesząca się silném poparciem dworu i możnych. Ta ostatnia stała się prawie wyłącznym cudzoziemców monopolem; zastęp ich musiał być ciągle odświeżany nowym kontyngensem przybyszów; ale usiłowania te nie zaszczepiły sztuki na gruncie, a utwory ich pędzla i dłuta zachowały zawsze charakter obcy. Wykształceni zagranicą artyści polscy, bo byli i tacy, jako obcych wzorów naśladowcy, zmiany sprowadzić nie mogli. Nawet w przecenianéj zazwyczaj pod względem znaczenia dla sztuki epoce Stanisławowskiéj, nie pozbyła się ona tego sztucznego, egzotycznego, obcego dla szerszéj publiczności charakteru, nie wyszła prawie poza dworskie sfery. Szymon Czechowicz i Franciszek Smuglewicz rozwinęli wprawdzie wielką działalność; byli to artyści wysokiego polotu, zaprawieni na najlepszych wzorach włoskich, znakomici kompozytorowie, i mnóstwo się po nich prawdziwie pięknych zostało obrazów; otworzyli nawet szkoły, w których młodzież uczyła się pod ich kierunkiem malarstwa; ale dwór jakoś usiłowań ich nie wspierał, może właśnie dlatego, że nie byli cudzoziemcami: nie odbiły się téż one echem w narodzie. Zresztą, i to byli przedstawiciele włoskiego malarstwa.

Projekt akademii sztuk za Stanisława Augusta nie przyszedł do skutku, a otwarta przezeń szkoła malarstwa nie wydała spodziewanych owoców. Utrata politycznéj niepodległości, upadek życia publicznego, nie mogły rokować i sztuce przyszłości. Ale ograniczona odtąd sfera działalności społecznéj zmusiła obrócić niejako nawewnątrz i ześrodkować rozstrzelone przedtém siły. Wejrzano w siebie i zaczęto myśléć szczerze o moralném i ekonomiczném podźwignieniu upadłego

narodu; usiłowania te nie zostały bezowocnemi: ożywił się ruch przemysłowy i handlowy, zakwitło ponownie i bujniéj niż kiedy piśmiennictwo, a niebawem i na odrodzenie sztuki przyjść miała kolej.

Od początku już bieżącego wieku widać zabiegi instytucyi i ludzi dobréj woli około podźwignienia, a raczéj stworzenia, jak mniemano, sztuki krajowéj; kilka bowiem wieków obcego naśladownictwa, spowodowana niém obojętność ogółu na to, co sztuką nazywano, wreszcie liczne a ciężkie klęski publiczne, tak dalece zatarły w narodzie pamięć jéj bujnego rozkwitu w okresie ostrołukowym, iż wyrobiło się dość powszechne przekonanie, jakobyśmy swojskiéj sztuki nigdy nie mieli. Najważniejszym może do jéj ożywienia krokiem, było otwarcie przy nowozałożonym uniwersytecie Warszawskim (1818 r.) wydziału malarstwa, na którym młodzież sposobiła się w téj sztuce pod okiem zdolnych i sumiennych kierowników, jak: Józefa Brodowskiego, Kokulara i Blanka. Stary uniwersytet Wileński miał także podobny wydział, na którym naukę malarstwa udzielali tacy profesorowie, jak Smuglewicz i Rustem. Otwierali i artyści prywatne szkoły malarstwa u siebie, a lekcye rysunków wchodziły w program edukacyi publicznéj i prywatnéj. Zaczęto urządzać wystawy obrazów w Warszawie, które późniéj inne większe miasta naśladowały; i tak mnożyły się wskazówki, zapowiadające lepsze czasy. Nawet wypadki 1831 r. nie sparaliżowały tych usiłowań, choć może owoce ich opóźniły. Miejsce wydziałów malarstwa przy zwiniętych uniwersytetach w Warszawie i Wilnie, zajęła z kolei warszawska szkoła Sztuk pięknych, a wcześniéj nieco rozwinęła swą działalność szkoła Sztuk pięknych w Krakowie. Młodzi adepci sztuki, wykształceni za granicą: w Rzymie, Monachium i Florencyi, zapoznawszy się z arcydziełami pierwszych mistrzów, powracali w domowe progi, wzbogaceni zasobem techniki i przejęci zamiłowaniem dla swego powołania. Zajęcie się losem sztuki ogarniało coraz większe kręgi, upodobanie do niéj rosło; zczasem powstały stowarzyszenia (w Warszawie, Lwowie, Krakowie), mające na celu zachętę artystów i szerzenie dobrego smaku w publiczności. Światli obywatele, miłośnicy sztuki, zakładali prywatne zbiory jéj zabytków, galerye obrazów, brali czynny udział w wydawaniu artystycznych publikacyi i t. p. Prasa peryodyczna ze swéj strony wspierała ten ruch pożądany: ukazywały się od czasu do czasu artykuły o sztuce i malarstwie w szczególności, zabierali głos J. I. Kraszewski, Ziemięcka, Smokowski (malarz), Michał Grabowski i wielu innych. Ostatni, oddawszy się z zapałem sprawie sztuki, piórem swém niemało się przyczynił do rozbudzenia życia artystycznego. Mimo to wszystko, nie brakło przecież sceptyków, według których sztuka była przywilejem innych narodów, np. Włochów; ci nie wierzyli w utworzenie się szkoły krajowego malarstwa. Taki np. znawca naszéj społeczności, jak hr. Henryk Rzewuski, utrzymywał, że spodziewać się w Polsce malarstwa, tak nielogicznie, jak ekonomii politycznéj u Węgrów, epicznéj poezyi u Ho-

lendrów. Podobnie Klaczko, w wydanéj przez siebie broszurze, stanowczo możności zaszczepienia i rozwinięcia go u nas zaprzeczył; nawet wielki nasz wieszcz wierzył, że sztuki plastyczne nie godziły się z duchem narodu. Każdy z nich, w ustrój społeczny narodu i jego ducha wnikając, w różny sposób jednego chciał dowieść: że sztuki zawsze obcemi nam były, i że obcemi pozostać muszą. Zapomniano, że narody, to nie żadne stężałe, nieruchome masy; że to organizmy, które żyją i w ciągłym są ruchu; że dziś nie są tém, czém były dawniéj, i że z żadnych danych przeszłości nie można wyrokować, jakie w przyszłości, przy zmienionych okolicznościach, przybiorą formy bytu, jakiemi daléj pójdą drogami. Sam tylko rdzeń natury ludzkiéj musi pozostać tém, czém jest, niezmienny. Słusznie téż Michał Grabowski, zbijając jednostronne zapatrywanie autora *Sophicy*, twierdził, że ludy o danym charakterze, mogą się w szkole dziejowéj uzdolnić do zupełnie czego innego, niż są dziś, czém były wczoraj, „bo to zawsze wprzód ludzie, niż Włosi, Holendrzy, Węgrzy." Dziwić się zaiste musimy, jak ci, co własnemi oczyma patrzeli na tak wspaniały rozkwit poezyi, téj rodzonéj sztuk plastycznych siostrzycy, która z tego samego źródła co one, siłę swą czerpie i tylko sposobem wyrażenia treści, formą, materyałem, różni się od nich; jak tacy ludzie, powtarzamy, mogli odmawiać narodowi zdolności do wcielania swych ideałów w rzeźbie i malarstwie?

Same wreszcie fakta zaprzeczyły najdowodniéj tym jednostronnym teoryom. Pod wpływem nieustających usiłowań, budzą się drzemiące instynkta estetyczne, rodzi się potrzeba ich zaspokojenia, ukazuje się coraz więcéj talentów poświęconych uprawie sztuki, wynurzają się już nawet wybitniejsze indywidualności, zwiastujące zbliżanie się nowéj w dziejach sztuki krajowéj ery. Najdzielniejszym, najoryginalniejszym z przodowników na tém polu był niezaprzeczenie zgasły przed kilku laty w sędziwym wieku January Suchodolski. Prawda każe wyznać, że mieliśmy artystów lepiéj technicznie wykształconych, lepszych kolorystów i rysowników; ale żaden z nich nie zyskał takiego uznania, takiéj popularności. Tajemnica powodzenia Suchodolskiego w tém tkwiła właśnie, że czerpał treść do swych obrazów z życia narodu, że życie to rozumiał, odczuwał jego tętno, i to co czuł, oddać na płótnie potrafił. Malował on głównie sceny wojskowe, obozowe, a żywa jeszcze podtenczas legenda wojen Napoleońskich, niedawna a tak obfita w wydarzenia epoka, wreszcie własne jego wspomnienia z życia obozowego, dostarczyły mu niewyczerpanego materyału, a oddziaływając na jego imaginacyą, zrobiły zeń to, czém był. Z artystów on najwięcéj się przyczynił do podźwignienia u nas malarstwa, do zaszczepienia gustu do niego. Rozgłos Suchodolskiego swego czasu był olbrzymi: obrazy jego rozchwytywano, zasypywano go zamówieniami. Trafnie zauważył cytowany już przezemnie kilkakrotnie miłośnik sztuki i krytyk, że Suchodolski był dla odradzającego się malarstwa krajowego tem, czém dla narodowéj poezyi był Brodziński, z którym i to ma wspólnego, że tak jak tamten, był żołnierzem. Zrozumieli wreszcie

malarze (choć może nie wszyscy), że sama technika, choćby najpyszniejsza, nie tworzy jeszcze prawdziwego artysty; że forma domaga się treści; że chcąc trafić do uczucia narodu i sympatyę jego zjednać, należy do niego swojskim, zrozumiałym, serdecznym przemówić językiem; wydrzeć mu tajemnicę z pod duszy i wcielić w estetyczne kształty tak, żeby każdy, patrząc na nie, spotykał się z własnemi myślami i uczuciami, którychby jednak sam nigdy tak wymownie wyrazić nie umiał. Trzeba malować jego życie i dzieje, powaby ziemi, która tyle jego pokoleń wykołysała, a którą on—potem swojego czoła i strugami przelanéj krwi napoił i użyźnił: słowem, trzeba być malarzem narodowym. Tacy będą zawsze zrozumiani i uznanie nigdy ich nie minie. Od chwili, jak artyści polscy pojęli swe zadanie, los malarstwa krajowego jest zapewniony. I oto, po zejściu z pola owéj świetnéj plejady poetów z Adamem na czele, którzy naszę literaturę do ogólnie europejskiego poziomu dźwignęli, po świetnym okresie w rozwoju muzyki krajowéj, wynurza się niemniéj wspaniała plejada malarzy, którzy, stanąwszy odrazu na wysokości dzisiejszych wymagań, zaszczytne swemu krajowi w dziejach sztuki powszechnéj zapewnili miejsce. Wystawa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, prywatna wystawa obrazów Ungra, wreszcie inne czasowo urządzane w naszém mieście wystawy, zapoznają pubblicznośc z płodami odmłodzonego, zdrowo zakwitającego naszego malarstwa i nieco skromniéj występującéj rzeźby, jakotéż z przebijającemi się w nich kierunkami i dążeniami; ale to dopiéro obraz cząstkowy. Lwów i Kraków posiadają bowiem również takie wystawy, a nadto niemała liczba utworów naszych malarzy zdobi wystawy zagraniczne: co wszystko dowodzi niezwykłego w pracy artystów ożywienia i dobrą jest przyszłości wróżbą. W szczegółowych sprawozdaniach z dziedziny malarstwa i rzeźby, którym niniejszy artykuł ma za wstęp służyć, postaramy się zapoznać bliżéj czytelników z wybitniejszemi płodami i cechami naszych talentów.

OBRAZ HISTORYCZNY

CYWILIZACYI SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

W WIEKU XII *).

PRZEZ

Dr. Stanisława Smolkę.

Jeśli włość była obszerniejsza, a tém samém i więcéj czeladzi potrzeba było do jéj uprawy, chaty czeladnie leżały za częstokołem, dwór pański okalającym. Osiadła w nich ludność chłopska, uprawiała panu rolę, pasła bydło, łowiła ryby i barci pilnowała w lesie lub pełniła służbę w kuchni albo w komnatach, wszystko czyniąc według pańskiego upodobania i rozkazów włodarza. Rzecz jasna, że nie mogło tu być takiego podziału pracy, jak w rozległych posiadłościach książęcych lub kościelnych i cała ludność skupiała się zwykle przy dworze, bo na odrębne osady rybackie, bartnicze i służebne nie było ani potrzeby, ani dość miejsca w granicach pańskiéj włości. Niejeden władyka posiadał kilka włości w rozmaitych stronach; gdzie więc niémiał swojego dworu, tam mu włodarz pilnował robót chłopskiéj ludności i wszystkie plony odnosił do spichrza, dopóki synowie pańscy nie dorośli i w każdéj włości nie pobudowali nowych dworów. Choć kto wreszcie, co najczęściéj się zdarzało, na jednéj tylko siedział włości, dosyć miał z niéj zwykle pożytku, by nigdy braku nie zaznać, a ze sprzedaży skór i wosku zawsze się tyle okroiło, że i zbrojownię było z czego nowém kupnem pomnożyć i na ubranie kosztowniejsze starczyło, jeśli szatnię po przodkach odziedziczoną wypadło odświeżyć. Ale kiedy synowie podrośli i między nich jedyną włość wypadło podzielić, już im groziła biéda i nieuchronne stoczenie się z wyżyny społecznéj władyki, jeśli nie gorszy jeszcze los w dalszych pokoleniach. Od tego jednak był władyka rycerzem, żeby temu zapobiedz i w synach jego nie na darmo rycerska krew płynęła; więc choć niewielką odzierżyli ojcowiznę, mogli

*) Dokończenie—patrz zeszyt za sierpień r. b.

się sami czegoś lepszego dosłużyć. Nierównie też rzadziéj synowie władyki spadali w poczet ubogich dziedziców, aniżeli dziedzice na chłopów schodzili lub wznosili się między rycerzy. Trudno było wprawdzie nową włość do dziedzicznéj dokupić, bo choć mimo wspólności rodowych majątków, niejedna posiadłość była do nabycia, to nie każdy miał ze trzydzieści grzywien srebra albo i więcéj gotówki, a tyle zwykle płaciło się za włość rycerską. To też nie sama próżność ciągnęła władyków od rodziny i własnego domu na dwór książęcy, ale zarazem potrzeba i dbałość o los dzieci. Bo jeśli się udało pozyskać względy monarsze, a z niemi jakiś urząd na dworze, czy na którym z zamków książęcych, to ta służba zaszczytna, prócz nadziei dalszego wywyższenia i dochód także przynosiła, z którego zczasem ładny grosz się uzbierał. Nieraz łaska książęca obdarzyła władykę, który umiał się koło tego zawinąć, nowéj jakiéjś włości nadaniem, lub choćby tylko szczodrym darem ze skarbca. A jeśli na wojnie udało się rycerzowi połów niewolnika, to dość było od księcia choćby jakie odludne pustkowie wyprosić, a siła robocza chłopa, w niewoli na niém osadzonego, przemieniała je rychło w nową włość rycerską, która, choć dla zbytniéj nieraz odległości, od dworu władyki, niewiele mu na razie niosła pożytku, niebawem przydać się mogła na początek synowi, dopóki w służbie książęcéj nie dobił się świetniejszego losu. Łup wojenny zresztą, w komorze starannie przechowany, i kosztu niejednemu władyce oszczędził i w złych latach mógł jeszcze od kłopotów ochronić, bo choćby za tanie pieniądze go się zbyło, nie trudno było na targu znaleźć kupca.

Bogactwo, jak zwykle na świecie, szło zawsze w parze z dostojném znaczeniem i z znakomitością rodu. Boć jeśli kto miał włości rozległe, to albo je w nagrodę za wojenne zasługi otrzymał, a w takim razie słynął jako rycerz zawołany, albo też odziedziczył je po przodkach, którzy w całym narodzie wielkiéj zażywali powagi. Możni panowie blaskiem swoich dostatków zdobili dwór książęcy, w wojnie i w radzie pierwsze przy monarsze miejsce im się dostawało, a kto z nich po przodkach ze sławą znakomitego rodu bogate włości odziedziczył, nie odmawiał mu książę dostojeństw i zaszczytów, jeśli tylko do dworskiego życia się garnął. W ich więc ręku były przedewszystkiém znaczniejsze dostojeństwa i urzędy, a że obcy przybysze z krajów zachodnich w swojéj ojczyźnie przywykli byli nazywać hrabiami bogatych i znakomitych panów feudalnych, więc i na polskich panów przeniosła się ta nazwa [1]).

[1]) Gallus używa wyrazu comes w podwójném znaczeniu: 1) jako magnat, pan możny np. t. I, str. 12 ejus namque tempore (za Bolesława Chrobrego) non solum *comites*, verum etiam quoque *nobiles* torques aureas immensi ponderis bajulabant; 2) jako kasztelan, urzędnik książęcy na grodzie ob. rozdz. III. 9. W pierwszém znaczeniu używają tego wyrazu dokumenty wieku XII, a zwłaszcza XIII, dodając, „comes" przy imionach znaczniejszych

Tak nad rycerską społecznością władyków wznosiła się można klasa hrabiów, magnatów, choć ścisłéj granicy niepodobna było między nimi oznaczyć. Nie był to bowiem stan odrębny, kastowym odgrodzony murem; niemiał żadnych przywilejów wyłącznych, któreby dla innych były nieprzystępne; jedyną potęgę magnatów stanowiła społeczna podstawa ich stanowiska. Była to wierzchnia warstwa społeczności władyckiéj, do któréj coraz to więcéj ze spodu wydobywało się jednostek. Kto miał sześć albo dziesięć włości, nie był już pospolitym władyką, a jeśli dzierżył jaki urząd lub coś znaczył na dworze, pospolicie nazywano go hrabią [1]). Niczem jednak nie był jeszcze taki hrabia wobec Prandoty, Wojsława, Piotrka Włostowica lub innych równych im bogactwem panów, których imię nietylko w Polsce, ale nieraz i zagranicą głośno słynęło.

---

panów. W drugiém znaczeniu użyte jest comes κατ' ἐξοχήν, gdyż zwykle kasztelanowie byli możnymi panami. Wprawdzie comes frankoński za Merowingów, za Karola Wielkiego lub Ludwika Pobożnego, był mniéj więcéj tém, czém kasztelan za Bolesława Krzywoustego, ale na początku XII wieku miał już ten wyraz w świecie feudalnym inne zupełnie znaczenie, a Gallus nie nauczył się z dzieł Wajtza lub Rotha zastosowywać nazwy frankońskiego comes do pojęcia polskiego kasztelana. Tak samo najznaczniejszych, najmożniejszych panów nazywa Gallus, „principes" lub „duces" zwłaszcza wobec Bolesława Chrobrego, który jest rex; zresztą dux w tém znaczeniu jest u Gallusa rzadki. Zwykle dux oznacza tylko księcia, t. j. monarchę. T. I, str. 9: Si quando rusticus pauper... de quovis *duce* vel *comite* quereretur... Advenientе vero *principe*, pro quo missum erat... Sicque diligenter rem pauperis ut alicujus magni *principis* pertractabat. T. I, str. 10, w obozie na wyprawie ruskiéj: animalia innumera mactabantur, que sequenti sollemnitate ad mensam regis cum omnibus suis *principibus* comessuri more solito parabantur. t. I, str. 11 si forte aliquis *principum* contra quemlibet clericorum vel pontificum litigii causam inchoabat. *Principes* et populum cum discretione diligebat t. I, str. 13. *Duces* vero suosque *comites* ac *principes* acsi fratres vel filios diligebat, eosque, salva reverentia, sicut sapiens dominus honorabat. Wszystko to o Bolesławie Chrobrym. W rozdziałach o Krzywoustym spotyka się także niekiedy *principes*, ob. str. 433, 434, 438, 439. *Magnates* także Gallus niekiedy używa, np. str. 431: Sieciech i księżna Judyta legatum Magno Wratislaviensisque magnatibus regionis transmiserunt. Terminologią Wincentego zachowujemy na później, gdyż wtedy są już stosunki cokolwiek odmienne.

[1]) Posiadłości dziedziczne zwano *patrimonium*, jakkolwiek niekiedy w terminologii téj nie odróżniano ściśle właściwego *patrimonium* od posiadłości, którą ktoś świeżo obdarzony został przez księcia. Tak Jan arcybiskup gnieźnieński, uposażając w r. 1154 świeżo założony klasztor jędrzejowski, częścią swych włości dziedzicznych, słusznie mówi: patrimonii mei liberam portionem, villas scilicet has: Rakoszyno, Potok, Łątczyno, Kakowo, Tarszawa, Chorzewa (Helcel: *O klasztorze jędrzejowskim*, str. 133). Wszystkie te włości leżą w sąsiedztwie, wpobliżu Jędrzejowa, i zajmują razem około 3 mil □. Tego samego wyrażenia używa jednak w r. 1153 Zbilut, przy założeniu klasz-

Prandota, pradziad, szeroko później rozgałęzionego Odrowążów rodu, należał do najznakomitszych małopolskich panów, za czasów Krzywoustego. Dziedziczne jego włości rozlegały się na północno-zachodniéj połaci Sandomierskiego płaskowzgórza, lesistych stoków pasma świętokrzyskiego, daleko ku północy, na obszarze blizko dwunastu mil kwadratowych. Znaczna część tych posiadłości leżała jeszcze pustką, pokryta lasem. W południowym zakącie, u brzegu rozległych borów, które stokami gór wspinały się ku kieleckim posiadłościom biskupstwa krakowskiego, kryło się na ponurém tle lasów, dziedziczne gniazdo Prandoty, Stary Odrowąż. Trudno dojść, jak się zwał w zamierzchłych czasach ten dziad czy pradziad Prandoty, który pierwszy w tém miejscu dwór sobie wystawił. Ale czcią głęboką otaczali w późne czasy jego potomkowie to gniazdo dziedziczne, *starym* nazywając je Odrowążem i od niego całemu ich rodowi dostało się imię. Długo też samotnie i w odosobnieniu stał dwór w Odrowążu, tylko Gosań dotrzymywał mu o milę sąsiedztwa, również Prandoty dziedziczna posiadłość, najbardziéj ze wszystkich jego włości na południe wysunięta. Już synowi Prandoty Szawłowi miléj było w innym przesiadywać dworze, na drugim krańcu dziedzicznego obszaru, wpobliżu Żarnowa, znacznego książęcego zamku, gdzie weselsze musiało być życie, niż w odrowązkiém pustkowiu. Tu niegdyś, na rozległych pastwiskach rozradzała się stadnina Prandoty, pod okiem koniarskiéj osady, a ztąd włość tę Końskiem nazywano. I długo jeszcze, w późniejsze lata, głośna była sława téj dziedzicznéj Odrowążów stadniny, któréj wychowańce pod siodłem potomków Prandoty w niejednym krwawym boju dzielne usługi oddawały książętom. Tak kiedy któryś z tych panów

toru łekneńskiego, jakkolwiek Łekno w ścisłém tego słowa znaczeniu nie było jego patrimonium (*Kod. Wielkopolski*, t. I, str. 23). Być jednak może, że stylizacya ta jest właściwością tego samego pisarza, notaryusza dworu arcybiskupiego, gdyż przy wystawieniu Zbilutowego dokumentu był także arcybiskup obecny. Później tenże sam arcybiskup Jan, dodaje jeszcze klasztorowi 8 włości, których położenia niepodobna oznaczyć: hereditatem totam, quam habui ex parte cognati mei cui nomen erat Zmyl, filii Rozate (*Cod. dipl. Pol.*, t. III, str. 6). Dokładnie znany majątek Dzierżka, pana małopolskiego z końca XII wieku, składał się z 10-ciu wsi, rozrzuconych w pow. szydłowskim, stopnickim, kieleckim, pod Waśniowem i t. p. w oddaleniu kilku lub kilkunastu mil (ob. testament Dzierżka z r. 1190. *Cod. dipl. Pol.* t. I, str. 15). W wieku XIII miewali comites zwykle po 10—12 wsi, np. 1230. (*Kod. Wielkopolski* nr. 128, 1284, tamże nr. 546, 1294, tamże nr. 718), Klemens jednak, pan małopolski a wojewoda księcia opolskiego, miał na początku XIII wieku tyle gotówki, że mógł wydać 500 grzywien srebra na murowanie opolskiego zamku, za co go książę obdarzył tylomi włościami, że doprowadził do 22 wsi; brat jego Andrzej, biskup płocki, mógł z ojcowizny swojéj darować klasztorowi staniąteckiemu 9 wsi (*Cod. dipl. Pol.*, t. III, nr. 11, 18).

w jednéj z swych włości, oddalonéj od dziedzicznego obszaru, kościół na chwałę Pańską fundował, prócz Szańca, gdzie dom Boży postawiono i przyległych Mikułowic, uposażył go darem wieczystym jednego źrebięcia, które pleban żaniecki co rok miał sobie wybierać ze stadniny w Końskiem. Ale nietylko z stadniny ta włość słynęła, i innych bogactw obfitość zawierał dwór hrabiego Szawła. Onto bowiem obdarzył klasztor trzemeszeński dziesięciną z swojéj piwnicy w Końskiém, któréj „miodopłynne" lasy dziedzicznych posiadłości nielada haracz składać musiały. I spichrze Szawłowego dworu ledwie pomieścić mogły obfitość zboża, jeśli tylko z włości przylegających do Końskiego, z Nieświnia, Modliszewic, Kazanowa, Popowa i Dzibałtowic po żniwach do nich plony zwieziono. Po drugiéj stronie Żarnowa już w tych czasach zapewne nie leżał pustką i północny zakąt dziedzicznego obszaru, gdzie późniéj zasłynął Białaczów, jako siedziba jednego z najznakomitszych potomków Prandoty tego samego imienia. Nie wiadomo jednak zupełnie, czy wschodnia połać tych posiadłości, graniczącą od północy z książęcemi osadami pod Skrzynnem, poddała się była już wówczas pługowi i pracy rąk ludzkich; w cztery stulecia późniéj kwitł tam Szydłowiec, gniazdo najgłówniejszéj latorośli Odrowążów.

Wiele jednak innych jeszcze włości posiadał Prandota, prócz tego dziedzicznego obszaru. Jeśli niejedna posiadłość, którą w najbliższych pokoleniach spotykamy w ręku jego potomków, przez nich dopiéro nabytą została, to do niego już w kazdym razie, może z książęcego daru, należał ów piękny i gęsto już na owe czasy zaludniony jednomilowy obszar czarnoziemu nad Szreniawą, o dwie tylko mile od Krakowa odległy, nad którym panował Prędocin, przez niego właśnie założony. Trudniéj już powiedzieć to napewno o bogatych włościach tego samego mniéjwięcéj obszaru nad górną Pilicą, w zachodnio-północnym zakącie ziemi Krakowskiéj, gdyż być może, że je posiadł dopiéro jeden z synów Prandoty, któremu, jako włość dziedziczna, dostał się był Prędocin w udziale; tam zasłynęły późniéj Szczekociny i Sprowa, które w XV wieku dały imię dwom niemniéj od Szydłowieckich słynnym odnogom rodu Prandoty.

Wojsław, już w czasach Władysława Hermana, magnat głośnego imienia, był krewnym wszechwładnego Sieciecha i niemało zapewne zawdzięczał poparciu, dbałego o swą krew wojewody. W służbie dworskiéj miał podobno urząd krajczego, że jednak nietylko ze smaczną zwierzyną na półmisku umiał się żelazem rozprawić, dawał tego nieraz dowody w wojnach pomorskich. Niemało zaufania musiał w nim Sieciech pokładać, skoro pragnąc najważniejsze stanowiska swojemi obsadzić ludźmi, oddał mu urząd ochmistrza, przy młodym synu monarszym, przez co mógł sobie wcześnie pozyskać względy przyszłego władzcy i bohatera. W czasie wojny domowéj i zaburzeń, intrygami Sieciecha spowodowanych, pokrewieństwo z wojewodą ściągnęło nań nieufność Krzywoustego, nie był jednak Wojsław tak ściśle z swym

krewniakiem związany, żeby upadek Sieciecha miał nazawsze zachwiać jego stanowiskiem. Przeciwnie, skoro burza minęła, należał do grona najbliższych doradzców i dygnitarzy Krzywoustego, bo też mało było panów, którzyby mu bogactwem i znaczeniem mogli dorównać. Około trzydziestu włości, na całym obszarze Kujaw i Mazowsza rozsianych, składało jego majątek. Najwięcéj tych posiadłości skupiło się po obu brzegach Wisły, a zwłaszcza na lewym, w pobliżu dwu zamków książęcych: Przypustu i Słońska, ale i pod Włocławkiem, nad Gopłem i nad jeziorami wielkopolskiemi, w sąsiedztwie trzemeszeńskiego klasztoru, i znów za Wisłą, a nawet pod Ciechanowem, sterczały dwory Wojsławowe. Nie było téż obawy, żeby się ta potęga w drugiém pokoleniu na wiele cząstek rozbiła, bo pierwsze małżeństwo z Kiełczówną pobłogosławił mu Bóg tylko dwoma synami: Januszem i Trojanem, a w drugiém z Dobiechną czyli Dobromiłą Kilianówną, nie doczekał się żadnego potomstwa. Mimo to nie chciał Wojsław, by bezdzietnéj wdowie miało na czém zbywać po jego śmierci i obdarzył Dobiechnę takim majątkiem, że każdy rycerz, gdyby go był posiadł, znacznym mógłby się zwać hrabią. Klejnotem tego majątku były Rochny, nad mazowiecką Skrwią, zdawna od książąt prawem targu wyposażone, które w licznych opłatach targowych niemały przynosiły dochód; prócz tego ośm jeszcze włości na Mazowszu i na Kujawach należało do téj wdowiéj oprawy. Ale Dobiechna, mało o marności światowe dbając, wolała wszystkich tych dóbr użyć na jaką pobożną fundacyą, wiedziała bowiem, że i Wojsławowi miłym byłby taki uczynek, skoro sam za życia nie szczędził swoich bogactw na szczodre dary dla rozmaitych kościołów; tak nawet w skarbcu krakowskiéj katedry, o którą mało kto na Kujawach się troszczył, przechowywano między najdroższemi kosztownościami dwa bogate, zupełne ubrania kapłańskie, które z daru Wojsława pochodziły i wspaniały płaszcz z drogiéj materyi. Za zgodą pasierbów wybudowała zatém Dobiechna, na podzamczu płockiém, świątynię Bogarodzicy, którą w długie późniéj lata Wojsławowym kościołem nazywano, wyposażywszy fundacyą swą wszystkiém, co miała z darowizny męża. Pomni tego potomkowie Wojsława, nie zapominali o tym kościele i nowe świadczyli mu dobrodziejstwa, ale też rościli sobie nad nim prawo patronatu. Między nimi, po Trojanie i Januszu, w trzeciém pokoleniu, zasłynął Żyrosław, sławny wojewoda mazowiecki, późniéj zaś jeszcze, na początku XIII wieku, prawnuk Wojsława Getko, który w Płocku zasiadł na biskupiéj stolicy.

Ani Prandota jednak lub Wojsław, ani Skarbimir nawet, Jaszczółd, Czadryk, ani Michał, wielkim zwany, głośny założyciel lubińskiego klasztoru, ani Degno, Pakosław, Odolan, Wszebor, i jak się tam ci wszyscy magnaci z czasów Krzywoustego nazywali, żaden z nich niemiał takiéj sławy bajecznych bogactw, co hr. Piotrko Włostowic. W późne też jeszcze wieki igrała z jego postacią fantazya ludowa, drażniona echem głuchych wieści o dziwnych przygodach i nieprzeliczonych skarbach Piotrowych. We mgle tradycyi jaśnieje ten bogacz za-

mierzchłych czasów, jako bajeczny stróż jakichś tajemniczych, nieprzebranych skarbów, których najrozrzutniejszéj nawet dłoni nie dane było wyczerpać. W zamorskich, od złota kapiących krajach, rada była fantazya ludu widzieć ich źródło, w złupionym skarbcu królewskim, do którego od wieków zlewały się najkosztowniejsze zdobycze korsarskich okrętów, po całym rozległych mórz obszarze za łupami goniących. Ztąd téż, kiedy czas zatarł w pamięci narodu prawdziwe rysy Piotrowéj postaci, mogła się wylądz o nim tradycya, że pochodził z Danii i duńskich królów skarbiec uwiózł z sobą do Polski. Na Szlązku tymczasem leżały jego włości dziedziczne, a głównem ich jądrem była nawet połowa tych wzgórz, które się dokoła szczytu tajemniczéj góry szlązkiéj wznosiły. Niepospolity to zatém musiał być ród, który z dziada i pradziada miał swoje włości na téj świętéj górze, hołdem całéj ludności szlązkiéj od wieków czczonéj; albo przed wiekami książęta szczepowi szlązkiego plemienia musieli być jego przodkami, boć znów druga połowa góry była monarszą własnością, albo téż co najmniéj jeszcze ze pierwszego brzasku Chrześciaństwa otrzymał te włości z książęcego daru, który z naddziadów Piotrowych, już wówczas mąż jakiś znaczny i dostojny. Wielkiéj jednak rozległości, zdaje się, te ziemie niemiały i w ogóle w najświetniejszych nawet czasach hrabiego Piotra, źródłem jego potęgi były raczéj tajemnicze skarby, niż wielka obfitość włości. To téż właśnie tém bardziéj drażniły fantazyą ludową jego bogactwa, skoro widziano, że nie tak możni panowie na większych i liczniejszych włościach siedzieli; że wreszcie Bogumił Włostowic, brat Piotrów, równy z nim dział ojcowizny otrzymawszy, nawet do znaczniejszych nie zaliczał się hrabiów.

Piotr był zapewne rówieśnikiem Krzywoustego, może z nim razem pasowany był na rycerza, a chrzest wojenny otrzymał niezawodnie w pomorskich wojnach Władysława Hermana. Kto wié nawet, czy w mętnéj tradycyi o duńskim skarbcu niéma jakiegoś ziarnka prawdy. To pewna, że pomorscy korsarze, w odwet za wycieczki Wikingów, zapuszczali się często na duńskie wybrzeża i z niemałym nieraz powracali do domu plonem. Może więc to późniejsze podanie było odgłosem prawdziwéj wieści o jakimś bogatym łupie, który sobie Piotr w początkach rycerskiego zawodu przywiózł był z bojów pomorskich. Dzielnym bowiem bezwątpienia musiał być rycerzem, skoro późniéj, po upadku Skarbimira, został wojewodą i stanął na czele wszystkich hufców Bolesławowych [1]). Ale i to pewna, że nie wszystkie skarby, któ-

[1]) Wyraźnie nazywają Piotra wojewodą tylko późniejsze źródła, mianowicie: *Kronika polska*, *Mon. Pol. hist.* t. III, str. 629 i *Chronica Petri comitis*, tamże str. 766, potwierdza tę wiadomość jednak współczesny Herbord t. II, str. 4. Habebat autem Petrum quendam militie ductorem... qui erat prefectus a duce super viros bellatores. O kronice Piotrowéj por. Smolka, *Pomniki dziejowe* w XII zeszycie *Ateneum* z r. 1879, gdzie zestawiona jest cała literatura polemiczna o téj materyi.

remi później błyszczał, zdobył mu rycerski miecz w krwawym boju. Piotr, nie leniąc się trudów wojennych, innym zostawiał szukanie szczęścia, na samych tylko polach bitew; on piął się w górę nie męztwem tylko, ale zarazem i rzadkim w prostéj naturze ówczesnego rycerza polskiego podstępem: w każdém jego znaczniejszém powodzeniu, prócz niepospolitéj odwagi i dziwnéj przytomności umysłu, była na dnie *graeca fides*. O bizantyńskie wprawdzie stosunki późniéj dopiéro przyszło mu się otrzéć, ale kto wié, czy ruska krew nie płynęła po kądzieli w jego żyłach. Ojciec jego Włodzimierz miał ruskie imię, więc może pomiędzy niewiastami Piotrowogo rodu była jakaś Rusinka, którą naprzykład pradziad jego, niezawodnie Chrobrego rycerski towarzysz, z kijowskiéj mógł sobie przywieść wyprawy. Na Ruś téż nieustannie coś Piotra ciągnęło i ruskie dwory książęce były widownią jego największych powodzeń, którym całą swą potęgę, wszystkie bogactwa zawdzięczał.

Na stolicy wielkoksiążęcéj w Kijowie siedział w pierwszych latach Krzywoustego Świętopełk-Michał Izasławicz, brat cioteczny Władysława Hermana. Lichy to był monarcha i tylko z łaski Włodzimierza Monomacha dostał mu się tron kijowski. Z męztwa nie słynął i nieraz za jego panowania doznała Ruś ciężkich razów od dziczy połowieckiéj; ale za to dobrze umiał jakiego niebezpiecznego krewniaka podstępem złowić w pęta, za nic sobie mając najuroczystsze przysięgi, i świętych praw bezbronnego poselstwa, w pokojowych przybywającego zamiarach, nie wzdrygał się zdradziecko podeptać. To téż nikczemne czyny swoje okupywał czołobitnością bez granic dla świętéj cerkwi; nigdy nie wyruszał na wojnę, zanim go świątobliwy igumen peczerskiéj ławry nie pokropił wodą święconą. Nie stać go téż było na świetne związki małżeńskie, dopóki za życia Wszewołoda panował w Turowie; dość dobrą wtedy dlań żoną była Połowczanka, z którą dwie córki spłodziwszy, dla wzmocnienia sąsiedzkiéj przyjaźni, jednę wydał za królewicza węgierskiego, Kolomanowego syna, drugą za naszego Bolesława. I Polsce bowiem i Rusi zależało na tém spowinowaceniu, choć Krzywousty i Zbisława blizkiemi byli sobie krewnymi; więc aż o Rzym oparła się ta sprawa, a papież Paschalis II łaskawie udzielił im dyspensy. Ale skoro Połowczanka umarła a Świętopełk na kijowskiéj zasiadł stolicy, o świetniejszéj pomyślał małżonce. Prototypem zaś majestatu i blasku był dla Rusi cesarski dwór w Konstantynopolu, ztamtąd zatém udało się Świętopełkowi dostać księżniczkę Barbarę, blizką krewnę cesarza Aleksego Kommena. A cesarz, jeśli dziewicę swego rodu ruskiemu księciu dawał w małżeństwo, dbał już o to, by północnych barbarzyńców olśnić bogactwem i świetnością skarbów posagowych. Było więc czém po sam wierzch napełnić skarbiec kijowski, w niedawnych latach przetrzebiony trochę przez Bolesława Śmiałego, bo nawet już w proch rozsypały się w grobach peczerskiéj ławry ciała Świętopełka i jego małżonki, kiedy jeszcze po całym świecie, w dalekiéj nawet Szwabii

opowiadano sobie o tym bogactw potopie, który z Barbarą Komneną spłynął do Kijowa.

Dopóki żyła Zbisława Świętopełkówna, nietylko sąsiedzka przyjaźń, ale częste i blizkie stosunki łączyły z Kijowem dwór Krzywoustego. Wielki kniaź tak zaś był skory wzmacniać ich węzły, że nie syt powinowactwa z polskim księciem, postanowił córkę swoję z Barbary Komneny urodzoną, wydać za któregoś z paniąt dworu Bolesławowego, co najjaskrawiéj znaczenie i potęgę ówczesnych magnatów polskich objaśnia. Piotr był przyjacielem tego szczęśliwego oblubieńca i podjąwszy się dziewosłębów, z jego upoważnienia pojechał na dwór kijowski. Ale tak pokierował tam całą sprawą, tak umiał się wkraść w łaskę kniazia i miłość księżniczki pozyskać, że zamiast dla przyjaciela, sobie samemu przywiózł żonę z Kijowa. Nic niewiadomo, jak się potém z oszukanym oblubieńcem rozprawił, dość, że mu to małżeństwo zbudowało fundament takiéj potęgi, o jakiéj nikomu z magnatów się nie marzyło. Przez Maryą Świętopełkównę, wnuczkę bizantyńskich cesarzy, był szwagrem własnego swojego pana i węgierskiego królewicza a młodego Władysława, który po Krzywoustym tron miał odziedziczyć, mógł nazywać swoim siostrzeńcem. Tyle zaś złota, kosztowności i najpyszniejszych pawołozów, przywiozła mu w posagu córka bogatéj Komneny, że bez bajki o złupieniu duńskiego króla łatwo można sobie wytłómaczyć obfitość jego skarbca.

Niemało téż zapewne zaważyło na szali powinowactwo z domem książęcym, kiedy mu Krzywousty oddawał najwyższe dostojeństwo wojewody; boć kogóż miał niém obdarzyć, jak nie najbogatszego, a przytém dzielnego i najmędrszego magnata? Świeże zaś doświadczenie ze Skarbimirem zalecało przezorność w wyborze, a na swego krewniaka mógł książę najłatwiéj się spuścić. Kiedy więc Piotr był już wojewodą, a Krzywousty wszystkich dobywał wysileń, by ostatecznie poskromić i zawojować Pomorzan, zagroziło Polsce od Wschodu nowe niebezpieczeństwo. Z Rusią już dawno zerwały się były węzły blizkiéj przyjaźni, od śmierci Zbisławy i odkąd w Kijowie, po zgonie Świętopełka zapanował Monomach. Niewielki kniaź był jednak w téj chwili duszą wrogich przeciw Polsce zamysłów, ale Wołodar Rościsławicz przemyski, najbliższy sąsiad południowo-wschodnich kresów polskiego państwa, władzca téj ziemi nad Sanem rozsiadłéj, do któréj przodkowie Krzywoustego nigdy nie wyrzekli się byli swych pretensyi, odkąd jeszcze za świętego Włodzimierza czasów, Rusini z niéj wyparli ludność lechicką; Wołodar zatém, czy jakiém odnowieniem polskich pretensyi dotknięty, czy w słusznéj może tylko obawie, że oręż Krzywoustego po ujarzmieniu Pomorza, przeciw niemu najrychléj się zwrócił, wciągnął do wrogiéj Polsce koalicyi sąsiednich kniaziów ruskich, dzicz połowiecką, Jadźwingów i Prusaków, a nawet z Pomorzanami wszedł w porozumienie, by wspólnemi siłami na Bolesława uderzyć.

Z panami rady swojéj, między którymi Piotr pierwsze zajmował miejsce, roztrząsał zatém stroskany książę trudność położenia, zasta-

nawiając się tylko nad tém, czy Wołodara uprzedzić i z wszystkiemi nań uderzyć siłami, czy też pozyskać sobie wprzód niektórych sprzymierzeńców przemyskiego kniazia. Piotr zgadzał się z tém, że pewny cios, na Wołodara dobrze wymierzony, zażegna odrazu całą burzę, sam jednak podjął się wywieść z matni księcia i całe państwo. Dobrawszy sobie zatém trzydziestu towarzyszy, pośpieszył znanym szlakiem ruskim do Przemyśla. Boć Wołodar był mu przecież krewnym przez żonę, jak wszyscy ruscy książęta, więc na dworze krewnego mógł się spodziewać dobrego przyjęcia, zwłaszcza jeśli przybywał z wiadomością, że go Bolesław pokrzywdził i odepchnął od siebie. Uwierzył Wołodar, bo dlaczegożby taki pan możny, z wnuczką cesarską ożeniony, nie miał zadrzeć ze swoim szwagrem? z tém większą zatém przyjął go ochotą i gościnnością; niebawem miała już bowiem wyprawa na Polskę wyruszyć a więc można było się spodziewać, że wszyscy przyjaciele Piotra z najezdzcą się połączą. Niedawno syn mu się urodził, którego Piotr dla tém silniejszego wzmocnienia przyjaźni do chrztu musiał trzymać; wśród godów i biesiad rozkołysał się Wołodar nadzieją łatwego zwycięztwa: ucztom i zabawom końca nie było. Raz wyruszyli w lasy na łowy; wtedy Piotr wszystkich towarzyszy zabrał ze sobą a oddaliwszy się z kumem od kniaziowskiego orszaku, porwał go, spętał i w szybkiéj ucieczce wśród lasów, stanął niebawem za polską granicą i za kilka dni odstawił Wołodara na dwór Bolesławów. Nic nie pozostało oszukanemu kniaziowi, jak, gorzko opłakując zdradę chytrego kuma, zaprzysiądz wiarę Krzywoustemu i o sowity okup się postarać. Niemało jednak wozów z ruskiemi skarbami przejechać musiało z Przemyśla krakowskim szlakiem, niemało objuczonych wielbłądów bizantyńskiego pochodzenia dostało się wówczas do Polski, zanim zdjęto z Wołodara więzy. Bogaty to musiał być okup, skoro współczesnemu pisarzowi dał pozór do przesadnych wyrazów, że całą Ruś do niezwykłego przywiódł ubóstwa. Uradowany Bolesław wszystkiemi temi skarbami pragnął Piotra wynagrodzić, jemu cały okup odstępując. Ale wojewoda chciał uniknąć podejrzenia, jakoby dla marnego zysku dopuścił się téj zdrady i tylko część Wołodarowych bogactw, w niéj jednak co najkosztowniejsze klejnoty, jako dar wspaniałomyślności monarszéj, pomnożyły obfitość Piotrowego skarbca.

Być może że niekiedy używał Piotr tych bogactw na dokupywanie jakichś nowych włości, ale do wielkich ziemi obszarów, jak wiadomo, nigdy nie doszedł; bo choć tu i owdzie były czasem jakieś dobra do nabycia, nikt nie miał wówczas na sprzedaż znaczniejszych posiadłości. Lecz i bez takich ziemi obszarów, jak włości Prandoty lub Wojsława, był Piotr najmożniejszym polskim magnatem a córka jego, prawnuczka carogrodzkich cesarzy, za najbogatszą niezawodnie uchodziła dziedziczkę; małżeństwo z nią wyniosło też odrazu do rzędu pierwszych magnatów Jaksę z Miechowa, znakomitego rodu i sławnego rycerza z Krakowskiéj ziemi, który późniéj swą wyprawą krzyżową do Palestyny i fundacyą Bożogrobców, w dziedzicznéj włości głośno za-

słynął. I obcych nawet oczy, przywykłe do świetności dworu zachodnich cesarzy, olśniewał blask bogactw Piotrowych i przepych, którym się lubił otaczać. Tak kiedy przybył raz do Magdeburga po relikwie dla jednéj ze swych fundacyi, mnichy myślały że to jakiś król lub książę udzielny, „żarliwy wiary chrześciańskiéj zwolennik, który około jéj rozszerzenia w swém państwie wielkie położył zasługi." Było go zresztą z kim porównać wtedy w Magdeburgu, bo właśnie na święta Bożego Narodzenia zjechałbył tam dwór Konrada III, z nim zaś kwiat rycerstwa i książąt niemieckich i niemałe musiał mieć Piotr znaczenie na dworze cesarskim, skoro Konrad sam wstawiał się za nim u arcybiskupa o upragnione relikwie. Kiedy wreszcie w kilka miesięcy późniéj ten skarb duchowny przybył do Wrocławia, Piotr, upojony radością, „wszystkich jeńców, których miał w swojéj mocy, wolnością obdarzył;" arcybiskupa zaś i jego dworzan, przybyłych z relikwiami, tyloma kosztownościami obsypał, że pamięć wspaniałomyślności polskiego magnata, w długie jeszcze potém lata utrzymywała się w Magdeburgu. Przeważną bowiem część skarbów Piotrowych pochłaniały pobożne fundacye.

Było to właśnie w duchu owego czasu, że giętkość i zatwardziałość sumienia, często szły w parze z bezgraniczną dewocyą i szczodrością dla kościoła. Typem tego rodzaju był Fulko, hrabia andegaweński, słynny na całą Francyą z zbrodniczych wybryków rycerskiego rzemiosła, pan akwitański, który na kilka zaledwie dziesiątków lat żył przed Piotrem. Onto razu pewnego, zrównawszy z ziemią miasto Saumur, w obawie o gniew ś. Florentego, który był tego miejsca patronem, ślubował mu wystawić w Angers większą i wspanialszą jeszcze świątynię. Nie żałował téż na to skarbów, nieraz krwią niewinną obryzganych, a skoro dzieła dokonał, postanowił do nowego kościoła relikwie świętego sprowadzić. Niepodobna jednak było ruszyć ich z miejsca, co naturalnie za jasny znak uważano, że gniéw ś. Florentego jeszcze nie minął; do wściekłości tém doprowadzony Fulko, naklął się téż przynajmniéj na niego dowoli, przezywając go głupcem i bezbożnikiem. Dwakroć odbył Fulko pielgrzymkę do Jerozolimy; raz, do naga rozebrany, przyczołgał się do grobu Chrystusowego, godzinami całemi zimny głaz jego całował i spory kawał z niego własnymi zębami odkąsił, by go jako drogą relikwię przywieźć do domu. Cóż więc dziwnego, że i Piotr Włostowic, choć nieśmiał tak burzliwego życia jak Fulko d'Anjou za sobą, czuł potrzebę różne grzechy swego żywota pobożnemi fundacyami okupić. Współcześnie już opowiadano sobie w Niemczech, że sam papież nawet, czy téż polscy biskupi, kazali mu za złamanie wiary Wołodarowi, co najmniéj 70 kościołów własnym wybudować kosztem, taką naznaczając pokutę za ten czyn zdradziecki i „inne niegodziwości zbrodnicze." Bądź co bądź, czy te pobożne uczynki z potrzeby własnego sumienia wypływały, czy téż były nakazaną pokutą za grzechy, małoco tak wówczas schlebiało próżności magnata, jak licznemi a bogatemi zasłynąć fundacyami, a nikt w tém Piotrowi nie mógł dorównać, bo nikt nie rozporządzał taką mnogością złota,

kosztowności i gotówki, kiedy wszyscy w ziemi przeważnie mieli swoje bogactwa.

Każdy prawie magnat rad był pozostawić po sobie pobożną pamiątkę, która po śmierci i grzech niejeden zmazać mu miała i na ziemi w długie czasy przechowywała pamięć jego imienia. Mało kogo wprawdzie stać było na założenie nowego klasztoru, bo na dostatnie wyżywienie kilkudziesięciu mnichów i ambitnego a przywykłego do bogactw opata, na wybudowanie okazalszéj świątyni klasztornéj, ledwie cała fortuna magnacka byłaby mogła wystarczyć. Kto jednak w swoich posiadłościach dziedzicznych nie miał jeszcze kościoła, stawiał go z drzewa lub polnych kamieni, dając jednę albo dwie włości na koszta służby Bożéj i uposażenie plebana, którego za to swoim nadwornym kapelanem mógł nazywać. Ale o takich fundacyach, jak Piotra Włostowica, nikomu z panów polskich się nie marzyło. W ich liczbie jaśniały dwa klasztory: jeden w starych dziedzicznych włościach Piotrowych na górze szlązkiéj, dokąd aż z Flandryi, z Arrovaise w hrabstwie Artois, sprowadził kanoników reguły ś. Augustyna; drugi benedyktyński pod samym Wrocławiem, w lesistém ustroniu, na prawym brzegu Odry, koło dawnéj kaplicy ś. Michała. Nie sam wprawdzie Piotr ponosił olbrzymie koszta bogatego uposażenia tych klasztorów, boć skoro tylko o znaczniejszą część jego z własnéj szkatuły się postarał, dopełniała reszty wspaniałomyślność księcia i pobożne dary możnych przyjaciół, których każdy miał sobie za obowiązek jakąś włość do Piotrowéj fundacyi przyrzucić. I przytém wreszcie nie zawodziła Piotra właściwa mu a wypróbowana obrotność. Tak np. umiał sobie poradzić, kiedy mu brakło ziemi do pierwszego uposażenia wrocławskiego klasztoru a trudno było gdziekolwiek nabyć dogodny obszar. Otóż między relikwiami Piotrowego skarbca, znajdowała się cudowna ręka ś. Szczepana pierwszego męczennika, z żywém jeszcze mięsem przy kości tkwiącém; drogocenna relikwia, która z posagiem Barbary Komneny a późniéj z bogactwami Świętopełkówny, przywędrowała z Konstantynopola przez Kijów do Polski. Krzywousty dowiedziawszy się o niéj, nie znał ceny, któréjby za nią nie ofiarował i chętnie zamienił ją u Piotra za Kościan błotny, rozległą a żyzną włość pod Wrocławiem, o 5000 łanach. Bądź co bądź jednak, w fundacyach Piotrowych rozpłynęła się niezawodnie większa część jego bogactw. Prócz tych dwu klasztorów, wypełniały liczbę siedmdziesięciu przeszło fundacyi rozliczne mniejsze i większe kościoły a nadto przytuliska dla pielgrzymów i szpitale, w których osadzeni duchowni szpitalnicy, biednych a schorzałych wędrowców pielęgnowali. Jeśli nie wszystkie zaś kościoły, to przynajmniéj znaczną ich liczbę budował nie z drzewa lecz z kamieni, drogie pieniądze płacąc obcym mistrzom, których w tym celu z zagranicy musiał sprowadzać. Ale téż, skoro tylko w r. 1142 mnisi szwabskiego klasztoru w Zwifalten przybyli do Polski, najsławniejszym całego kraju mężem był w ich mniemaniu sędziwy już wówczas Piotr Włostowic, głośny fundator siedmdziesięciu kościołów, zjawisko w spółczesnych

i późniejszych dziejach jedyne, któremu równego w żadnym kraju nie znano.

Tém bardziéj był Piotr w Polsce wyjątkową postacią, że ani przed nim, ale przez długie wieki po jego czasach nie było w kraju magnata, któryby rzadką u nas obrotnością, sprytem i podstępem doszedł do tak olbrzymiego ruchomego majątku. Częściéj już nieznaczny rycerz prostą zasługą w służbie książęcéj dobijał się wielkiéj fortuny. Czasami przyszedł tak szczęśliwy moment pańskiéj szczodrości, że nawet bez szczególnych zasług, w danéj chwili można było obłowić się niepośledniim nabytkiem, który sam już nieraz stanął kamieniem węgielnym, do późniejszéj potęgi magnackiéj. Jeśli np. w rodzinie książęcéj zdarzył się jakiś radosny wypadek, to wtedy łaska książęca nie znała granic, przelewając się w wyskokach wspaniałomyślności i kto tylko w takim razie bawił przy księciu, pewno nie odchodził z próżnemi rękoma. Dlatego też dobrze było pilnować pańskiego dworu, zwłaszcza w czasie jakich nadzwyczajnych uroczystości. Tak między innemi pierwsze zaślubiny Krzywoustego, dla niejednego pana i rycerza stały się źródłem znacznych dostatków. Przez ośm dni przed ślubem i tyleż potém, „bez odpoczynku" rozrzucał Bolesław naokół bogate dary. Mniejsza o to jeśli komu dostały się złote naczynia i srebrne, drogie futra wspaniałym a rzadkim nastrzępione włosem lub jedwabicą kryte materye i złotogłowiem zdobne: niektórzy dworzanie i rycerze otrzymywali włości i znaczne ziemi obszary, zamki, a nawet całe miasta.

Zwykle wprawdzie po całym kraju rozrzucone były te włości, które ktoś w różnych czasach z książęcego daru otrzymał i nie było z nich takiego pożytku, jak z rozległego obszaru w jedném miejscu zbitego. Ale nieraz i całą kasztelanią, z zamkiem książęcym, wszystkiemi posiadłościami i użytkami, obdarzała za nadzwyczajne zasługi łaska monarsza wiernego rycerza, który przez to odrazu stawał się magnatem. Tak jeszcze za Krzywoustego w r. 1136, było Łekno grodem książęcym, ogniskiem osobnéj kasztelanii, jak Nakło, Ląd, Kalisz czy Ruda. Ale w kilkanaście lat potém, już Zbilut, dzielny Mieszka wojownik, władał na zamku łekneńskim i we wszystkich książęcych niedawno włościach całéj kasztelanii, jako w swojéj własności, bo pewno ten wspaniały dar otrzymał za usługi oddane księciu w czasie ostatnich wojen domowych. Rad był przy téj fortunie o zbawieniu duszy pamiętać i nie zwlekał też długo z fundowaniem klasztoru cysterskiego, do czego mu pomogli sąsiedzi, przydaniem niejednéj włości. Zawsze jednak zostało jeszcze na rozległym obszarze kasztelanii dość ziemi dla synów Zbilutowych, którzy na „dziedzicznych" już siedząc posiadłościach, kilku słynnym później szlacheckim rodzinom dali początek.

Bądź co bądź zresztą, czy dobra magnackie rozrzucone były włościami po kraju, czy w zbitéj masie leżały, czy z monarszego pochodziły nadania, lub też może zawiązkiem ich była dziedziczna posia-

dłość książęcego niegdyś rodu z pogańskich czasów: w każdym razie mieli w nich ówcześni panowie silną i niezachwianą podstawę materyalnéj potęgi, wysoko górującéj nad resztą społeczeństwa. Użytki z ról, pastwisk, lasów, rzek i jezior przynosiły im taką obfitość surowych płodów, że jeśli Polska nie stała się jeszcze wówczas ruchliwym tych produktów targiem, to tylko niedbalstwo tych bogaczów, we wszystko do syta opływających, było tego przyczyną. Boć i gotówki im nie brakło. Jeśli bowiem nawet w sprzedaż zbytnich plonów nie wiele się wdawano, to każdy magnat miał na obszarze swych włości obfitą kopalnię gotówki w mytach przewozowych, którym i obcy kupiec i biedny rolnik na targ spieszący opłacać się musieli, w targach, za przywilejem książęcym w dogodném miejscu ustanowionych, gdzie przy każdem kupnie wysokie opłaty zbierali pańscy włódarze, w karczmach, pełnych napoju z pańskiego lasu, które przy miejscach targowych i szlakach gęściéj uczęszczanych, skwapliwie czyhały na grosz wędrowca. Choć więc mało kto pod tak szczęśliwą był urodzony gwiazdą, jak Piotr Włostowic i tylko on bizantyńskie skarby w swéj komorze ukrywał, nikomu z magnatów złota i srebra nie brakło. I pewnie nie jednemu tylko Piotrowi się to zdarzyło, że go obcy za udzielnego wzięli monarchę.

Pierwszy pokwit polskiego możnowładztwa był wówczas w brzasku swéj złotéj ery. Jeszcze czynniki społeczne, z których ta pierwsza arystokracya polskich dziejów wykwitła, były w nieustannym ruchu i w całéj pełni swéj działalności. Budowa społeczna narodu zaokrąglała się w graniacach architektonicznego planu, który jéj cyrkiel organizacyjnego geniuszu pierwszych władców nakreślił, naród żył atmosferą podbojów i zasług wojennych a dłoń szczodrości książęcéj nie była się jeszcze zamknęła. Zbliżał się dopiéro w dziejach pierwszéj arystokracyi polskiéj punkt kulminacyjny, nacechowany najjaskrawszym blaskiem jéj politycznego stanowiska. Ale jak w ogóle ten objaw tylekroć w dziejach się powtarza, z chwilą punktu kulminacyjnego miał już rozpocząć się okres przekwitu. Niebawem bowiem nastały inne czasy, w całéj atmosferze dziejowéj zaszły ważne przemiany, zwątlała energia czynników społecznych, którym dawne możnowładztwo początek swój, wzrost i byt zawdzięczało i wygasły, lub przynajmniéj przestały tak obficie tryskać źródła książęcéj szczodrości. Zabrakło materyału do pomnażania fortun możnowładczych w dawnym rozmiarze, a rozrastanie się rodzin magnackich pociągało za sobą coraz to nowe działy i coraz większe rozbicie podstaw materyalnych dawnéj potęgi. Po dwu wiekach dopiéro otwarły się w ziemiach ruskich nowe jéj źródła i zaświtał okres drugiego pokwitu polskiéj arystokracyi, który nam w samym początku dał Melsztyńskich, Tarnowskich, Sprowskich, Rytwiańskich, typy tak różne od starych Prandotów, Wojsławów, Piotrów i Zbilutów.

Jeśli jednak rozległe dobra magnatów Krzywoustego coraz większemu w późniejszych czasach ulegały rozdrobnieniu, to natomiast ob-

szerniejsze od nich nieraz kompleksy kościelnych posiadłości, „martwą ręką" silnie skrępowane, tylko pomnażać się mogły, żadnego uszczuplenia nigdy nie doznając. Cały prawie majątek kościelny był w posiadaniu biskupów i klasztorów, gdyż skromne uposażenie nielicznych jeszcze kościołów parafialnych drobną tylko cząstkę jego stanowiło. Kościoły te powstawały przeważnie z fundacyi możnych panów, którzy w obrębie swoich posiadłości pragnęli mieć takie źródło duchowéj pociechy; i biskup przyczyniał się zwykle do ich zakładania, zezwalając fundatorowi należne kościołowi dziesięciny składać temu domowi Bożemu, który własnym wystawili kosztem a ztąd urósł z czasem przywilej tak zwanéj dziesięciny swobodnéj, uważany późniéj za jeden z najkosztowniejszych klejnotów wolności szlacheckiéj. Resztę dziesięcin zbierał z całéj dyecezyi biskup, mając w nich jedno z najważniejszych źródeł uposażenia swego kościoła, oparte na prawie kanonicznem, które się domagało téj ofiary od całéj bez wyjątku chrześciańskiéj ludności.

Dawno już jednak minęły były te czasy, kiedy zbiór dziesięcin stanowił główne źródło kościelnych dochodów. W Polsce od wprowadzenia Chrześciaństwa, szczodrość książęca niemniéj była wylaną dla Kościoła jak dla rycerstwa i świeckich dworaków, więc ogromne obszary ziemi dostały się kościołom katedralnym i klasztorom przy samém założeniu, za czasów Chrobrego i obudwu Mieszków. Sędziwe opactwa benedyktyńskie na Tyńcu, na Łyséj górze i w Mogilnie, miały prawdziwie biskupie uposażenie, wszystkie inne jednak prześcigał klasztor tyniecki, najstarszy a więc nad wszystkiemi późniejszemi fundacyami benedyktyńskiemi przełożony, którego opat nie darmo panem „stu wsi" się nazywał. Nie tak już bogate było opactwo kanoników regularnych w Trzemesznie, choć dawnych, bo jeszcze Mieszkowych podobno sięgało czasów, lub pokrewny mu późniejszy klasztor czerwieński na Mazowszu. I sieciechowscy wreszcie albo lubińscy benedyktyni nie dorównywali dostatkami starszéj braci na Tyńcu lub Łyséj górze, boć i wojewoda Hermana, choć najbogatszym swego czasu był panem, lub wielki hrabia Michał na dworze Krzywoustego, nie mogli się z książętami mierzyć.

Przy pierwotném wyposażeniu kościołów katedralnych i starych opactw książęcéj fundacyi, obdarzał monarcha najczęściéj biskupa lub klasztor całemi kasztelaniami, z grodem książęcym, z całym obszarem ziem uprawnych, wód i lasów, ze wszystkiemi osadami chłopów, do gleby przywiązanych. Te kasztelanie biskupie, które późniéj stanowiły główne jądro posiadłości kościołów katedralnych, były zatém prawie bez wyjątku owocem szczodrości pierwszych monarchów chrześciańskich, choć nieraz i późniéj jeszcze pobożność książęca dorzuciła jakiś mniejszy gród z okręgiem do pierwotnego uposażenia; tak kujawska katedra otrzymała kasztelanią łagowską dopiéro za Władysława Hermana, na wstawienie się księżny Judyty a nawet jeszcze w sto lat późniéj, Leszko Mazowiecki, syn Bolesława Kędzierzawego, obdarzył ją

Płońskiem, starym nadwiślańskim grodem poniżéj Włocławka. Od samego jednak, zdaje się, założenia posiadało arcybiskupstwo gnieźnieńskie kasztelanię żnińską na północnych wówczas kresach Wielkopolski i łowicką w mazowieckiéj ziemi. Kujawskiego biskupa pierwotném uposażeniem była kasztelania wolborska, nad lewym brzegiem Pilicy, do czego późniéj prócz łagowskiéj, po zawojowaniu Pomorza, przybyła kasztelania gdańska. Do bogatéj katedry krakowskiéj należały trzy kasztelanie: sławkowska opodal Krakowa, tarczeska w górach świętokrzyzkich, w sąsiedztwie posiadłości łysogórskiego klasztoru, obszar późniejszych dwu kluczów biskupich, kieleckiego i bodzętyńskiego, wreszcie chropska, czyli piątkowicka w Sieradzkiém. Biskupstwo wrocławskie od dawnych czasów posiadało kasztelanią otmuchowską nad Nisą i część milickiéj nad Baryczą, na wielkopolskiéj granicy. I Tyniec wreszcie był niezawodnie w prastarych czasach grodem książęcym, a kiedy na wzgórzu zamkowém stanęła metropolia polskich opactw benedyktyńskich, cały okręg dawnéj kasztelanii tynieckiéj przeszedł na własność klasztoru.

Prócz tych kasztelanii, należały jeszcze do każdéj katedry rozliczne włości w obrębie jéj dyecezyi a nieraz i poza jéj granicami po całym kraju rozrzucone. Blizko sześćdziesiąt osad na całym obszarze Szlązka, przeważnie dary księcia, choć także i niektórych możnych panów, składało obok dwu kasztelanii, uposażenie biskupstwa wrocławskiego. Nie mniejsza liczba włości arcybiskupa gnieźnieńskiego rozrzucona była po całym kraju: cztery pod samém Gnieznem, dziewięć pod Gąsawą, ośm koło Kalisza, trzy nad Ołobokiem, siedm pod Sieradzem, czternaście nad Wartą pod Spicymierzem, siedm opodal Krakowa, sześć na Kujawach; sama zaś kasztelania żnińska obejmowała 22 osad a między niemi niektóre, jak na ów wiek, bardzo nawet liczne. Około czterdziestu osad miał również klasztor tyniecki w swych posiadłościach za czasów Krzywoustego, późniéj zaś w miarę rozrostu ludności i coraz energiczniejszego trzebienia lasów, z każdym niemal dziesiątkiem lat wzrastała ich liczba, tak, że w istocie nie wiele brakowało bogatemu opactwu do legendarnéj cyfry stu włości. Do majątku kościelnego należały wreszcie także tak zwane wota książęce, które nieraz większą miały wartość, niż darowizna jakiegoś pustkowia, oddalonego od głównych kompleksów posiadłości kościelnych. W dowód szczególnéj mianowicie łaski i dewocyi dla niektórych kościołów lub klasztorów, zobowiązywał się niekiedy książę do corocznego daru, który wypłacano ze skarbu monarszego, lub z pewnych z góry oznaczonych zamków. Tak np. klasztor tyniecki posiadał dwa wota po 12 grzywien srebra a prócz tego otrzymywał co roku ze stadnin książęcych trzy wybrane źrebięta; katedrę kujawską obdarzył Leszko Mazowiecki coroczną ofiarą dziesięciu garncy miodu z piwnicy książęcéj w Włocławku; opactwo zaś mogilnickie otrzymywało po dziesięć, siedm, cztery i dwie grzywny z rozmaitych grodów: z Łęczycy, Spicymierza, Wolborza, Żarnowa i Rozprzy. Skoro zaś dziesięciny były stałym po-

datkiem dla kościoła, który należało składać biskupowi dyecezyi, wolno było księciu dowolnie rozporządać drugą dziesięciną, t. j., dziewiątą częścią ogólnych dochodów, czyli dziewięciną, czy to ze wszystkich użytków jakiegoś terytoryum, czy też wyłącznie z niektórych bliżéj oznaczonych regaliów. Tak np., opactwu mogilnickiemu przyznana była na całym obszarze Mazowsza dziewięcina z opłat targowych, z mennicy, z daniny składanéj do skarbu w wieprzach, z połowu ryb w książęcych osadach rybackich, a nadto każde dziewiąte nowonarodzone źrebię ze stadnin mazowieckich.

Żadna téż fortuna magnacka nie dorównywała uposażeniu arcybiskupstwa gnieznieńskiego, lub krakowskiéj katedry i trudno było nawet o świeckiego bogacza, któryby mógł zmierzyć się dostatkami z któremkolwiek starém opactwem benedyktyńskiém, tembardziéj, że w rozległych posiadłościach kościelnych podział pracy w osadach chłopskich większy przynosił pożytek i wogóle zmysł organizacyjny kościoła przy wyższém ukształceniu duchowieństwa, najwcześniéj w swoich dobrach lepszą gospodarkę zaprowadził. Liczniejsze wprawdzie i większe obowiązki ciążyły na tych możnowładzcach duchownych, bo biskup musiał z dochodów swoich koszta służby Bożéj opędzić i liczne orszaki niższego duchowieństwa utrzymywać, a nadto przepisy kanoniczne nakazywały mu używać bogactw kościelnych na wspieranie ubogich, wdów i sierot, pielęgnowanie chorych, pielgrzymów i wszelkiego rodzaju miłosierne uczynki. W tych czasach wreszcie przychodził prawdopodobnie do skutku w dyecezyach polskich podział kościelnego majątku na dobra biskupiego stołu i posiadłości kapituł. Ale w każdym razie zależało to przeważnie od dobréj woli każdego biskupa, ile z olbrzymich dochodów swojéj stolicy na istotne pomnożenie chwały Bożéj, na cele kościelne i uczynki chrześciańskiego miłosierdzia przeznaczał, czego zaś używał dla siebie samego, dla swych prywatnych widoków i dla wzmocnienia świeckiéj potęgi swego możnowładczego stanowiska.

Stolice biskupie powstały były w czasie wprowadzenia Chrześciaństwa przy głównych grodach książęcych, panujących nad obszarami plemiennemi, z których każdy był odrębną częścią składową świeżo do życia dziejowego powołanéj Polski. Kiedy więc jedyne pierwotnie biskupstwo polskie w Poznaniu nie wystarczało już po trzech dziesiątkach lat potrzebom duchowym rozszerzonego państwa, założono z czasem katedrę wrocławską dla Szlązka, krakowską dla małopolskiéj Chrobacyi, płocką dla zawiślańskiego Mazowsza i poddano je naczelnemu zwierzchnictwu nowéj metropolii gnieznieńskiéj. I Kujawom dostało się wkrótce odrębne biskupstwo z kresowém posłannictwem misyi na Pomorzu, siedziba jego wahała się przez czas jakiś między Kruszwicą, Włocławkiem, aż w końcu powaga nadwiślańskiego grodu przygniotła zbladłe znaczenie starego siedliska nad Gopłem. Równie kresowe posłannictwo względem pogańskich Lutyków miał Lubusz, ostatnie biskupstwo polskie na lewym brzegu Odry. Rzecz jasna, że tym dawnym szczepów lechickich ogniskom, w których najczęściéj świetny dwór książęcy prze-

bywał, stolice biskupie nowego dodały blasku. Zgromadziły się w nich wszystkie bogactwa kraju, w ręku księcia i biskupów skupione; u stóp monarszego grodu i murowanéj katedry rozbijała swoje siedziby liczna czeladź biskupia i książęca, zatrudniona rzemiosłem i misternemi wyrobami; tu wreszcie powstały główne targi wielkiego, przewozowego handlu, gdyż tylko na dworze księcia, wśród przybywających doń magnatów i między wyższém duchowieństwem, mogli znaléźć zagraniczni handlarze kupca na kosztowny towar, z obcych przywieziony krajów. Niedziw więc, że już wcześnie te stolice biskupie, miastami oddawna zwane, przybrały zupełnie odmienną fizyognomią od nędznych osad wiejskich, rolniczych i służebnych, porozrzucanych po całym kraju.

Nie mogły to być jeszcze miasta w właściwém tego słowa znaczeniu, z odrębną, na samorządzie opartą organizacyą, która i w zachodnich krajach od niedawna dopiéro z nieznacznych zrazu zawiązków zaczęła się była rozwijać; nie dorównywały téż współczesnym miastom u sąsiednich narodów słowiańskich, na Rusi i na Pomorzu. Tam bowiem roiły się miasta od rodziméj ludności kupieckiéj, wzbogaconéj ruchliwém wyzyskiwaniem ożywionych stosunków handlowych, która w ustroju społecznym i politycznym narodu ważną odgrywała rolę. Ruś miała w swych spławnych rzekach, ku morzu Czarnemu płynących i w samém daléj morzu, wygodny gościniec handlowy do Carogrodu, tego ogniska handlu oryentalnego, gdzie za surowe produkta ziem ruskich, łatwo było dostać kosztownych wyrobów wydoskonalonéj techniki bizantyńskiéj i muzułmańskiéj. A choć wiele tych artykułów zbytku zostawało na Rusi, kto tylko miał trochę zmysłu handlowego, mógł je z dobrym zyskiem daléj odprzedać, bo z Zachodu przybywali po nie kupcy lądową drogą do Kijowa, a morzem do wybrzeży baltyckich, do których znów drugą siecią rzek ruskich wygodny prowadził gościniec. I Pomorzanom nie trudno zatém było wyzyskać szczęśliwe położenie handlowe swéj ojczyzny, skoro ich los posadził nad tém morzem, które Zachód europejski z przystaniami północnéj Rusi łączyło. Że im zaś w handlu morskim przeszkadzały łupiestwa normańskich mieszkańców południowego wybrzeża Baltyku, więc obok zmysłu handlowego rozbudziła się w nich żyłka korsarska, która nadając kupieckiemu zawodowi pewien zakrój rycerski, wyniosła go nawet na wyżynę przedniejszéj warstwy społecznéj. U nas było inaczéj. Kierunek polskich rzek odsunął ludność od stosunków handlowych z Rusią i kupcami bizantyńskimi, témbardziéj, że Ruś te same miała do zbycia surowe produkta, a wcześniéj nabrawszy zmysłu spekulacyjnego, nie dopuszczała sąsiadów do konkurencyi. Ujścia zaś rzek naszych strzegły właśnie w czasach, w których charakter narodu już pewien ustalony przybierał kierunek, wrogie Polsce i w wojnie tylko stykające się z nią plemiona. Wskutek tego, zmysł handlowy, tak bujnie rozwinięty u sąsiednich współplemieńców, obcym pozostał polskiéj ludności; choć zaś późniéj nastały pomyślniejsze stosunki dla zbycia krajowych produktów, brakło przedsiębiorczości kupieckiéj, brakło inicyatywy i tylko obcym przyby-

szom sprzedawano surowe płody, jeśli się po nie zgłosili po drodze w swych wyprawach handlowych. Cały obszar Polski przerzynały bowiem utarte gościńce kupieckie, które w ogólnym systemie ówczesnego handlu europejskiego ważną odgrywały rolę. Po nich to snuli się przedsiębiorczego ducha cudzoziemcy, wioząc na Zachód bogaty towar wschodni z Kijowa. W przejeździe przez Polskę warto im było naładować wozy polskiemi futrami, skórą, woskiem, a nieraz i zbożem, bo i w miastach niemieckich i w Kijowie nawet, gdzie je obok ruskiego towaru na targ wystawiano, zawsze znalazł się kupiec na te produkta.

Widywano więc w Polsce na szlakach handlowych i Niemców i Rusinów, najbliższych sąsiadów z jednego i drugiego końca, ale jednych i drugich było niewiele, bo Rusinom lepiéj opłacała się podróż do Carogrodu, a kupiec niemiecki, nie ośmielony jeszcze do wielkich przedsiębiorstw, poprzestawał przeważnie w owych czasach na skromniejszym zysku z pośrednictwa handlowego wewnątrz kraju. Najwięcéj zmysłu i sposobności do utrzymywania kosmopolitycznych stosunków handlowych między Rusią a Zachodem, mieli żydzi, to plemię bez ojczyzny, pochodzeniem i wiarą wszystkim narodom chrześciańskim obce, w którego téż ręku zmonopolizował się prawie cały ten handel. Niedawne to zresztą były jeszcze czasy, kiedy i na Zachodzie, w Niemczech, lub we Francyi, tak mało ludności krajowéj garnęło się do spekulacyi handlowych, że pojęcie kupca łączyło się prawie nierozdzielnie z pojęciem żyda. Kosmopolityczne rozproszenie po całym świecie, wskutek którego wszędzie znajdowali żydzi swych współwyznawców, popierało już wielce wszelkie ich stosunki handlowe, a właściwa temu plemieniu semickiemu łączność i solidarność, ułatwiała kupcom żydowskim niezbędne w wielkich spekulacyach gromadzenie znaczniejszych kapitałów. Handel zaś ruski od wieków już żydów ku sobie nęcił, zwłaszcza w IX i X stuleciu, kiedy w sąsiedztwie wschodniém Rusi mieli tak wygodny punkt oparcia u Chazarów, których władzcy na ich wiarę wtedy się nawrócili. W Polsce chętnie widziano i przyjmowano tych przelotnych ptaków, bo od nich tylko można było dostać gotówki, lub bogatych wyrobów za zbędny zasób surowych płodów, lub za świeżego niewolnika. Nie broniono im nawet nabywać włości, jak świadczy przykład Piotra Włostowicza, który od żydów odkupił Tyniec na Szlązku.

Rzadko jednak zajmowali żydzi w Polsce stałe siedziby; gospodarstwa rolnego nie mieli ochoty się tykać, mając w handlu o wiele obfitszy zarobek, a nawet do miast nie garnęli się na mieszkanie, bo i tam do wielkich spekulacyi nie było pola; stosunki ekonomiczne zamało wogóle się rozwinęły, a ludność krajowa była jeszcze albo zanadto bogatą, albo zbyt ubogą, żeby lichwiarskie rzemiosło mogło się dobrze opłacać. Inaczéj było w Czechach, albo na Rusi. W Kijowie tyle żydowstwa się namnożyło, że Włodzimierz Monomach wypędzać je już musiał z swojéj stolicy, Praga zaś także nęciła ich do siebie, bo tam na rozgraniczu Wschodu i Zachodu europejskiego był szczególnie dogodny punkt do kierowania wielkiemi spekulacyami handlowemi. I w polskich zresztą

miastach osiedlało się już wówczas po kilku, lub kilkunastu żydowskich przybyszy, którzy pomagali w interesach owym przejezdnym współwyznawcom. Później z każdym dziesiątkiem lat wzmagała się ich liczba, zwłaszcza odkąd w epoce krucyat coraz większego prześladowania w Niemczech doznawali.

Wskutek wypraw krzyżowych wreszcie, wskutek bliższego zetknięcia między Wschodem muzułmańskim, a chrześciańskim Zachodem, zaszły w następnych czasach ważne zmiany w całym systemie europejskiego handlu, ożywiły się bezpośrednio stosunki handlowych miast włoskich ze Wschodem, a handel ruski coraz bardziéj tracił dawne znaczenie. Dla żydów byłto cios wielki; prześladowania wzmagały się, w zachodnich krajach rodzimy żywioł mieszczański, rozwijający się w coraz większą potęgę, odsuwał ich od konkurencyi w handlu i nic im nie pozostawało, jak lichwa, do któréj już trzeba było stałe zajmować siedziby. Tymczasem zaś i w Polsce ożywiały się ekonomiczne stosunki, wzmógł się obrót pieniężny i dla lichwiarskiego rzemiosła więcéj już było pola, odtąd więc i żydzi gęściéj zaczęli w kraju osiadać.

Zaczęło się to mniéj więcéj od połowy XV wieku. Wtedyto już także i przemysł zachodnich krajów, rozwinąwszy się pod wpływem krucyat, zaczął coraz więcéj zaopatrywać Polskę w swoje produkta, odkąd handel ruski przestawał być dla niéj jedyną kopalnią zbytkowych artykułów, a więc zwolna poczynali się garnąć do kraju kupcy niemieccy. Gdzieniegdzie zakładali sobie po miastach polskich kupieckie kantory, które służyły do utrzymywania stosunków z ogniskami życia handlowego w ojczyznie. Wprzód jeszcze wskazała im tę drogę ludność rzemieślnicza. Bo odkąd w Polsce wzmagały się wytworniejsze potrzeby codziennego życia, nie mogła im nastarczyć nieliczna czeladź rzemieślnicza, która tylko księży i biskupów była własnością. Przedsiębiorczy rzemieślnik niemiecki, osiedliwszy się w którém z miast polskich, mógł zawsze na wyroby swoje znaléźć kupca między możnymi panami, a jeśli się odznaczał zręcznością i szczególne jakieś tajemnice techniki posiadał, zdarzała mu się niebawem sposobność zarobić coś także na dworach książęcych i biskupich, choć tam pospolite zwłaszcza roboty wykonywała zwykle czeladź rzemieślnicza.

Taka to ludność różnorodna skupiała się w ówczesnych miastach polskich. To téż choć zaludnienie nieliczne jeszcze zwykle było i tylko w czasie jarmarków ożywiała się atmosfera napływem obcych handlarzy, niemałe dochody miewał pan miasta, którym prawie zawsze był sam książę. Do niego prócz ceł, myta przewozowego i wszelkich opłat targowych, należało również wyłącznie prawo utrzymywania karczem i jatek, w których ludność miejska przepędzała dni świąteczne i zaopatrywała się w napój i pożywienie. Rzadko wprawdzie pozostawały karczmy i jatki własnością książęcą, zwykle obdarzał niemi monarcha jakiś kościół, lub klasztor, który, wypuszczając je późniéj w dzierżawę, miał przezto zapewniony stały dochód coroczny. Tak np., w Krakowie dwie jatki należały od czasów Bolesława Chrobrego do opactwa na Tyń-

cu, dwie inne zaś, a prócz tego trzy karczmy z przyległemi gruntami, posiadała tam samego założenia kolegiata św. Michała na zamku, mając z nich w XIII wieku około pięciu grzywien srebra rocznego dochodu. Różna jednak bywała wartość takiéj własności, w tym samym bowiem czasie przynosiły klasztorowi trzebnickiemu karczmy i jatki w Wrocławiu przeszło dwadzieścia grzywien. I obcy rzemieślnicy wreszcie, osiedlając się po miastach, musieli składać księciu jakieś stałe opłaty, ale zato doznawali jego opieki i czasem mieli nawet zwierzchnika zpośród siebie wybieranego, a tém samém jakiś zawiązek osobnéj gminy i samorządu.

Przedewszystkiém jednak zależało osadnikom miejskim na obronie i bezpieczeństwie w razie nieprzyjacielskiego napadu. I własny interes zresztą nakazywał księciu dbać o to, by w czasie wojny miasto nie uległo zniszczeniu, bo z każdą klęską, która je spotkała, wysychały źródła skarbowych dochodów. Dlatego też do pojęcia miasta należało obwarowanie całego obszaru, przez różnorodną ludność miejską zamieszkałego. Nie miały jeszcze wprawdzie ówczesne miasta, tak jak późniejsze średniowieczne komuny, warownych murów z mnóstwem baszt obronnych, na których utrzymanie tyle kosztów łożyło bogate mieszczaństwo. Ani gmin bowiem miejskich nie znała wówczas Polska, ani nawet zamki książęce murów nie miały. Ale takiego przynajmniéj obwarowania, na jakie stać było grody ówczesne, nie odmawiano także i miastom; okalał je zatém bezwątpienia częstokół drewniany, wśród którego w należytych odstępach, dla łatwiejszego przeglądu okolicy wznosiły się modrzewiowe wieżyce, a wały ziemne i głębokie fosy wylane wodą i połączone z korytem rzeki, dopełniały pierwiastkowego obwarowania. Wszystko to było zarazem zewnętrzną linią fortyfikacyjną, ku tém bezpieczniejszéj obronie wewnętrznéj cytadeli, w któréj obok zamku książęcego mieścił się kościół katedralny, a przy nim mieszkanie biskupa i duchowieństwa. Jeśli zresztą zamek, jak w Krakowie, wznosił się na wzgórzu nad samym brzegiem rzeki, która z swym zakrętem była dlań główną, naturalną obroną, wtedy podgrodzie, opasane odrębném obwarowaniem, z jednéj tylko strony otwarte, przypierało nią do zamkowego wzgórza, stanowiąc również z swemi fortyfikacyami zewnętrzną linię obronną, po któréj przełamaniu dopiéro nieprzyjaciel mógł przystąpić do oblężenia zamku.

Szczupły w każdym razie był obszar miejskiego podgrodzia, już dla saméj trudności obwarowania rozleglejszéj płaszczyzny; to też ciasno w niém było różnorodnéj ludności, któréj wypadło zamieszkać u stóp zamkowego wzgórza. Dla kogo zatém nie stało miejsca na tym ścieśnionym obszarze, osiadał za drugą linią fortyfikacyjną, na przedmieściach, w sąsiedztwie osad służebnych księcia, lub biskupa i wraz z niemi w czasie napadu nieprzyjacielskiego chronić się musiał za fosę i częstokoły, zostawiając domostwo swoje na pastwę najeźdźców. Miasto samo, czyli podgrodzie, nieokazały miało pozór, wszystkie świetności skupiały się na zamku. W braku gminy, w braku jakiéjkolwiek

organizacyi miejskiéj, nikt nie dbał o utrzymanie czystości i porządku. W każdém mieście musiał być obszerny plac niezabudowany, na którym odbywały się targi; tam przybywała okoliczna ludność włościańska ze swoją chudobą, na którą w mieście najłatwiéj kupiec się znalazł; tam obcy handlarze rozbijali namioty, wystawiając w nich kosztowny towar na sprzedaż, dokoła zaś stały jatki i karczmy, w których wesoło odzywały się dźwięki gęśli, zwłaszcza w dni świąteczne, lub w czasie jarmarku, kiedy cały plac gęsto był zasiany płótnami namiotów. Od placu targowego, aż do częstokołów, ciągnęły się ulice, zabudowane po obu stronach rzędami lichych chałup, nędznie z drzewa ciosanych, lub kleconych z gliny, a w nich osobno mieszkała rzemieślnicza czeladź, osobno żydzi, osobno zwłaszcza cudzoziemcy w mieście osiedli, którzy w obcym kraju chętnie trzymali się razem; tak np., w Wrocławiu, już w XII wieku, była ulica Wallońska, wyłącznie przez przedsiębiorczych przybyszy z Flandryi zamieszkała. Czasem i pan jakiś, lub rycerz, zakupił sobie w mieście kawał gruntu i wystawił na nim dom niewielki, w którym, przybywszy do miasta, miał wygodne schronienie, o niczyją łaskę nie dbając. Na ulicach błoto nigdy prawie nie wysychało, a koła kupieckich wozów tonęły w podmokłéj ziemi; istne bagna rozlewały się pomiędzy rzędami domów i tylko po mostach, lub kładkach, naprędce z drzewa stawianych, dostać się można było z jednéj ulicy na drugą.

Nie lepiéj wyglądały ulice Gniezna, kiedy w sto lat przed czasami Krzywoustego, w połowie marca 1000 roku, cesarz Otto zdążał niemi do grobu św. Wojciecha. Chrobry pragnął osłonić nagą tę nędzę swojéj stolicy wszystkiemi bogactwami, jakie jego własny i przodków jego oręż od wieku w skarbcu nagromadził; wysłał więc cesarzowi błotną drogę aż do samych progów świątyni lśniącemi wspaniałościami kosztownéj purpury, szeleszczących jedwabiów i drogich kobierców złotem przetykanych. Nędzne ulice Gniezna nie raziły panów z niemieckiego orszaku Ottona, boć i w własnéj ojczyznie, choć o tyle starszą szczycili się cywilizacyą, rzadko zdarzało im się coś lepszego widzieć po miastach. Sam cesarz jednak, bizantyńskiéj matki dziecię, przywykły do monumentalnych pozostałości starego Rzymu, czuł pewnie dobrze, że po „barbarzyńskiéj" stąpa ziemi, któréj przed nim żadnego jeszcze Rzymianina stopa nie dotknęła. Ale mało zapewne zważał Otton na kurne chaty gnieźnieńskich ulic: on lubił blask i przepych, bo młodzieńcze jego, marzycielskie oko widziało w nim piętno cywilizacyi, do któréj wzdychał ten najpiękniejszy fantasta w cesarskim dyademie, instynktem szukając dróg, któremiby świat cały mógł do niéj poprowadzić. Olśnił go zatém i upoił przepych, który gospodarz jego rozwinął na przyjęcie cesarza i rozkochał się w Chrobrym tém bardziéj, że ten potężny książę barbarzyńskich Słowian, który wspaniale umiał władzcę świata u siebie przyjmować, tyle zasług położył około rozkrzewienia chrześciańskiéj wiary wśród swoich ludów i takiéj pobożności dał dowody w czci swojéj dla Ottonowego przyjaciela, niedawnego męczennika, apostoła Prusaków. To był człowiek, w którym cesarz spodziewał się znaleźć

godnego wspólnika swoich pięknych imperatorskich marzeń i planów. I nie pomylił się tym razem instynkt fantasty. Niebawem śmierć przerwała tęczową przędzę jego marzeń ale uczczony przezeń władzca Lechitów, któremu Bóg dał jeszcze pożyć ćwierć wieku dla dobra swego państwa i całéj ludzkości, miał czasu dosyć, by rojowisku barbarzyńskich plemion, zbitych w jeden naród żelazną obręczą swéj potęgi królewskiéj, narzucić tak silną organizacyą, napoić choćby gwałtem taką dozą cywilizacyjnego pigmentu, że za wnuków jego już Polska do cywilizowanego należała świata a społeczeństwo jéj, zdolne rozwijać się daléj, dawno już się wyłoniło z dziecięcéj, nawpół sennéj toni przeddziejowego nicestwa.

Przywykliśmy wprawdzie wyobrażać sobie tę dobę przedhistorycznego nicestwa w słonecznych barwach legendowéj sielanki złotego wieku. Choćby jednak w istocie ta epoka miała w sobie tyle idylicznego pierwiastku, ile tylko najżarliwszy obrońca rodziméj cywilizacyi słowiańskiéj może sobie wyobrazić, niepodobna zaprzeczyć, że obok téj sielanki było w niéj dość miejsca na straszną jeszcze surowość obyczajów, prawdziwém barbarzyństwem tchnącą. Wszak zaledwie w trzy, lub cztery dziesiątki lat przed pielgrzymką Ottonową, było to jeszcze w Polsce pospolitą rzeczą, że po śmierci męża jedna z żon jego, wyzionąwszy ducha pod nożem ofiarnym, wraz z jego ciałem płonęła na stosie. Mógłby to kto uważać za surowy wprawdzie, ale dodatni rys małżeńskiéj wierności i w istocie arabski pisarz Al-Bekri, który nam o czasach Mieszkowych ciekawe wiadomości przekazał, oddaje należne pochwały czystości małżeńskiéj lechickich niewiast. Dziewczęta jednak ówczesne, według tego samego pisarza, nigdy nie dostawały się mężom dziewicami, skoro bowiem tylko dorosły i rozkwitły, co nocy wychodziły z domu, by rankiem znów do rodziców powrócić, używszy do syta miłosnych rozkoszy w domu jakiego młodzieńca z sąsiedztwa. Byłto zaś widocznie powszechny zwyczaj, bo gdy mąż przypadkiem dziewicę pojął w małżeństwo, odpychał ją ze wzgardą i cierpkim wyrzutem, że gdyby była coś warta, pewnieby już był się kto na tém poznał do tego czasu. Co się działo z dziećmi, które takim odwiedzinom dziewczęcym życie zawdzięczały, nie mówi pisarz arabski; niemały jednak musiał być dla rodziców kłopot z dziewczętami, skoro o Pomorzanach np., wiadomo, że zabijali nowonarodzone córki, jeśli ich więcéj w rodzinie na świat przychodziło. Późne echo tych stosunków odzywa się jeszcze w edyktach czeskiego Brzetysława, których właśnie zadaniem było stare pogańskie narowy z gruntu wyplenić. Książę naznacza w nich mianowicie karę wygnania na dziewczęta i wdowy, które tracąc wstyd i dobre imię, w nieprawych związkach w ciążę zachodzą. „Boć przecież, dodaje naiwnie dla usprawiedliwienia téj surowości, skoro im nikt nie broni prawowiytch małżeństw zawierać, na cóż łączą się nieprawnie z mężczyznami i późniéj płód z siebie spędzają, co jest największym grzechem ze wszystkich zbrodni."

Cokolwiek jednak działo się z dziećmi tych pogańskich odwiedzin dziewczęcych, choć niewiadomo, jakie stanowisko w społeczeństwie im się dostawało, to pewna, że nawet największa ich liczba nie zdołała nadwątlić znaczenia rodziny, jak o tém świadczy potęga rodowego pierwiastku, który w budowie społecznéj wszystkich szczepów słowiańskich, tak ważną rolę odgrywał. Nietykalna w istocie była świętość związków rodzinnych. W Czechach, gdzie w pierwotnych czasach stosunki społeczne i obyczajowe tak mało od naszych się różniły, mamy w jednym głośnym wypadku z X wieku ciekawą ilustracyą, co znaczyła w rodzinie czystość i wiara małżeńska. Możnemu władyce sprzeniewierzyła się żona, zaszczyciwszy jakiegoś kleryka swojemi względami; skoro zbrodnia się wykryła, jedyném schronieniem dla nieszczęśliwéj niewiasty była opieka Kościoła, bo cały ród oszukanego męża, wszyscy krewni porwali się do noża, by we krwi cudzołożnicy zmazać hańbę swego imienia. Lecz na nic nie przydała się jéj opieka łagodnego biskupa św. Wojciecha: wywleczono ją od ołtarza, którego się chwyciła konwulsyjnie drżącemi rękami i musiała zginąć pod nożem mściwego małżonka. Że zaś cudzołóztwo i porywanie cudzych żon, mimo to nie należało do rzadkich, wyjątkowych wypadków, jak o tém pewne świadczą wskazówki, łatwo sobie wyobrazić, jak krwawe i okropne zajścia zamącały tę pozorną sielankę prastarych czasów słowiańskich. Mimo to wszystko zresztą, mimo świętości i nietykalności związków rodzinnych, czémże była rodzina wobec powszechnego, a głęboko zakorzenionego wielożeństwa, z którém napróżno przez tak długie lata przyszło Kościołowi walczyć. Mąż dbał o wierność małżeńską swych żon i nałożnic, nietylko z instynktu i obyczaju, ale i z obowiązku, gdyż wobec całego rodu był za to odpowiedzialnym, żeby mu nie wkradł się do rodziny cudzy bękart, któryby zarówno z jego własnymi synami miał prawo do wspólnéj własności rodowéj. Ale niewiasta w wielożeństwie czémże innem być mogła, jak sługą w domu, między wieloma sługami i warsztatem do produkcyi nowéj siły roboczéj w przyszłém pokoleniu [1]): o cywilizacyjném posłannictwie kobiéty nie mogło być mowy. Wielożeństwo musiało w Słowiańszczyznie mieć te same złe i rozprzęgające następstwa, co na Wschodzie, bez tych niejakich korzyści, które poligamia przynosiła oryentalnéj naturze wyznawców Islamu, będąc w tamtejszych warunkach klimatycznych złą, lecz nieuniknioną koniecznością.

Bądź co bądź, byłto jednak już wielki postęp w stosunku do dawniejszego stanu cywilizacyjnego tych plemion, którego archeologiczne zabytki przechowały się długo u odgrodzonych od reszty świata ruskich Drewlan, Radzymiczan i Wiatyczan. Ideałem społecznych stosunków było bowiem wielożeństwo wobec komunizmu niewiast, i indywidualna

[1]) Wielożeństwo wspólne wszystkim Słowianom, najdłużéj utrzymało się wraz z pogaństwem u Pomorzan, gdzie je św. Otto w całéj pełni jeszcze zastał. Obacz Ebbona, Herborda i mnicha Prieflingeńskiego.

własność, choć ścisłemi szrankami rodowego dziedzictwa ograniczona w porównaniu z bezwzględnym komunizmem rodowéj własności. Również w dziedzinie rodzinnych pojęć religijnych niepodobna zaprzeczyć Słowianom nieustannego postępu, o którym świadczą niewątpliwie różne fazy w rozwoju mitologicznych wyobrażeń u rozmaitych plemion. I w tém téż jest jedyna odpowiedź na wszelkie deklamacye o bezwzględnéj niezdolności słowiańskiego szczepu do dalszego rozwoju z rodzinnych pierwiastków, bez zetknięcia się z obcemi żywiołami. Jak powolnym jednak musiał być ten rozwój i do jak nieznacznych w nim rezultatów całe wieki doprowadzały, o tém pouczy nas najlepiéj stan cywilizacyjny połabskich Lechitów w połowie XII stulecia, w dwieście lat po nawróceniu ich braci nad Wartą i Wisłą. Nie samych Słowian zresztą było to właściwością, boć i u Saksonów pogańskich spotykamy się po ośmiu wiekach swobodnego i niczém nie krępowanego rozwoju z tym samym ustrojem społecznym i tą samą cywilizacyą, co u plemion germańskich Tacytowego opisu. Ten pewnik bowiem tylekroć już dzieje stwierdziły, że takie ludy pierwotne, tylko gwałtownem zerwaniem z dawnemi, rodzinnemi stosunkami, przesiąknąwszy obcym wpływem cywilizacyjnym, mogą wyjść z pierwiastkowéj nicości, stać się narodem i z resztą świata naprzód podążać, choć im to przychodzi okupić utratą niejednéj powabnéj i sielankowéj cechy rodzinnych stosunków.

To téż inny był nawskróś naród Krzywoustego od ludów Mieszkowych lub pod Chrobrego panowaniem. Kościół zapuścił silne korzenie potęgi i wpływu, wytępił z gruntu wielożeństwo i w ogóle w całéj dziedzinie etycznych stosunków zeszedł był już tak obficie plon Chrześciaństwa, że Polska niewiele się różniła pod względem moralnym od zachodnich sąsiadów. Rozmaite zresztą były owoce téj działalności Kościoła w różnych okolicach kraju, gdyż duchowieństwa parafialnego nie tak liczny jeszcze był zastęp, a wpływ Kościoła rozchodził się przeważnie ze stolic biskupich i klasztorów. Toż samo było z oświatą, przez Kościół krzewioną. Choć zresztą nauka, jak w całym świecie ówczesnym, nie przestawała być wyłącznym prawie monopolem duchowieństwa i niewiele jéj udzielało się całemu społeczeństwu, to już przez wybitną rolę, jaką biskupi w dziejach narodu odgrywali, wpływ jéj widocznie w nich się objawiał. Nietylko wreszcie żaki do służby kościelnéj przeznaczone, uczyły się w szkołach przy krakowskiéj katedrze, która już za Władysława Hermana obcym nawet a wykształconym przybyszom wydawała się niepoślednićm źródłem nauki. Nawet magnaci rycerskiego rzemiosła, niemało dbać musieli o wykształcenie swych dzieci, skoro św. Ottonowi, nauczycielski zawód przyniósł w Polsce znaczne dostatki. Nie na uczonych wprawdzie kierowały się pod jego okiem magnackie dzieci, ale choćby tylko znajomość katechizmu z téj nauki wyniosły, w każdym razie w całém życiu tych późniejszych dostojników Krzywoustego, odbić się musiał wpływ wychowawczy tak niepospolitego człowieka, który później w całym świecie, wobec ce-

sarzy i papieży, zasłynął jako jedna z pierwszych znakomitości swego czasu.

Obce żywioły nie przyniosły Polsce feudalizmu, którego giętkie i podatne formy były w owéj epoce, dla ówczesnych potrzeb najdogodniejszym bezwątpienia i najdoskonalszym typem społecznych stosunków. Niéma czego jednak żałować, gdyż ten skok byłby nadto gwałtownym, a społeczeństwo zakute przemocą w kajdany zupełnie obcych, rodzimemu jego duchowi nieodpowiednich stosunków, byłoby musiało utracić wszelką swobodę indywidualnego rozwoju. Ustrój społeczny, na który złożyły się zarówno obcy wpływ jak i rodzimy pierwiastek, był prosty wprawdzie i pod wieloma względami niedoskonały, ale przystawał dobrze do indywidualności narodu, rozwiniętéj w ciągu dwu wieków dziejowego życia. Jako machina do wyzyskiwania bogatéj przyrody kraju na pożytek narodu i świata, miała organizacya społeczna ówczesnéj Polski rozliczne braki, ale była stokroć wyższą od dawnego stanu przed dwoma wiekami, kiedy rzadko rozsiadła ludność lechickich plemion, niezdolna jeszcze zapanować nad przyrodą, ledwie drobną cząstkę jéj sił dla siebie wyzyskać umiała. Co najważniejsza zaś, ustrój ten, choć młodociany i pierwiastkowy, miał niezaprzeczoną zdolność doskonalenia się i szybkiego rozwoju, a nietrudno nawet wskazać w nim te kiełkujące zawiązki postępu, którym potrzeba było tylko popchnięcia w właściwym kierunku.

Zawsze jeszcze wiele bogactw kraju leżało odłogiem i brak tylko było rąk, brak siły roboczéj, żeby je na pożytek narodu obrócić. Nie starczyła na to niewola ludności chłopskiéj, bo i liczba jéj nie była dostateczna i w pracy niewolnika zamało było energii i ochoczości, skoro wyłącznie dla cudzego musiał się wysilać pożytku. Przestawały wreszcie sączyć źródła niewoli, z każdym bowiem dziesiątkiem lat mniéj było pola do wojen o zakroju dawnych wypraw zdobywczych, a tém samém i do połowu niewolnika. Najskuteczniejsze lekarstwo na ten brak zaczynała jednak społeczność narodu znajdować sama w sobie. Zubożali dziedzice, spadając do klasy czynszowników, na obcych włościach wskazywali drogę, gdzie szukać należało lekarstwa. Z nich mógł się utworzyć stan wolnych kmieci czynszowych, najwłaściwsza siła robocza do zużytkowania tylu pustek i odłogów, tylu nieprzystępnych dla potrzeb narodu bogactw przyrody. Czynszowi kmiecie, nie tracąc osobistéj wolności, inną zupełnie mieli, niż niewolnik podnietę do skrzętniejszéj pracy i intenzywniejszego gospodarstwa, bo co im z plonów zostało ponad wysokość należnego czynszu, to ich wyłączną było własnością, szczeblem do zamożności coraz większéj i do lepszego losu. Potrzeba było tylko silniejszego popchnięcia zzewnątrz, wzorów do intenzywnego gospodarstwa i do organizacyi stanu czynszowników. To téż odkąd tylko niemieckie klasztory w następnych lat dziesiątkach zaczęły sprowadzać kolonistów z swojéj ojczyzny, osadzać ich na czynszu i wolne gminy dla nich zakładać; niebawem i Polacy poszli za niemieckim przykładem, a nietylko obcych sprowa-

dzali przybyszy, ale również i chłopskim osadom poczęli nadawać organizacyą swobodnych niemieckich kolonii.

Drugiém zadaniem, które następne czasy musiały spełnić, było wytworzenie krajowego przemysłu i handlu, a z nim razem miast w właściwém tego słowa znaczeniu i mieszczańskiego żywiołu. W czeladzi rzemieślniczéj księcia i biskupów i w przybyszach, którzy po miastach osiadali, oddając się rzemiosłu, był już pewien ku temu zawiązek, zbyt słaby jednak, żeby bez silniejszego popchnięcia z zewnątrz, mógł się rychło należycie rozwinąć. I na Zachodzie bowiem, nie od rzemieślników wyszedł ten ruch społeczny, którego owocem było powstanie swobodnych komun miejskich, lecz od bogatszéj i obrotniejszéj klasy kupieckiéj, któréj dostatki, nagromadzone przedsiębierczością handlową, rychléj nadały potrzebną do tego siłę, a zarazem i téj siły poczucie. Polacy zaś nietylko nie mieli zmysłu do handlu, ale również w budowie społecznéj narodu, brak było materyału na klasę kupiecką, bo rzemieślnik był zanadto biédny i przygnębiony, żeby mógł dojść do kapitału i przedzierżgnąć się w kupca, a z magnatów i biskupów, w których ręku jedynie skupiała się potęga kapitału, również nie mógł się zrekrutować stan kupiecki. Tylko dla cudzoziemskich zatém, niemieckich zwłaszcza spekulantów, było pole do interesów handlowych. Ale niemieccy kupcy nie radzi byli osiadać jednostkami po miastach polskich, by w drugiém już pokoleniu zrość się z nową ojczyzną i tak dać początek narodowéj klasie kupieckiéj. Potrzeba im było do rozwinięcia interesów handlowych komunalnéj atmosfery, tych wszystkich swobód i przywilejów gminnéj organizacyi, którą miasta zachodnie w powolnym rozwoju, w ciągu wieków sobie zdobyły. Nic téż w następnych czasach nie pozostawało Polsce, jak zaszczepieniem téj saméj organizacyi na swoim gruncie, obcy żywioł handlowy i przemysłowy do siebie przynęcać. Na niemieckie więc tylko miasta stać nas było w średniowiecznéj epoce, niemieckie instytucyami swemi i ludnością, w których nie tak łatwo jak w koloniach wiejskich rodzimy żywioł mógł sobie zdobyć przewagę, bo je stosunki handlowe nieustannie z dawną ojczyzną wiązały.

Takie dwa problemata pozostawił do rozwiązania ustrój społeczny narodu, w czasach Krzywoustego następnym czasom. Rozwiązanie było proste i łatwe, choć co do drugiego problematu niekorzystne dla narodowego pierwiastku. Nim jednak do niego przyszło, musiały wprzód w dziejach politycznych narodu zajść nowe, ważne wypadki, w skutek których ustrój państwa znacznéj uległ przemianie, a w jego zmienionych ramach i na polu stosunków społecznych nowy ruch się obudził.

SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Emila Castelara.

(Przekład z oryginału hiszpańskiego).

PRZEZ

A. Gorajską *).

Tom I.

X.

Margarita pozostała w dziwném osłupieniu. Nie pojmowała co się z nią dzieje. Nawykłą do widzenia zawsze wokoło siebie zepsucia, fałszu, uczuć kłamanych, ta wysoka prawość, te słowa natchnione, to szczytne zaparcie się, dla niéj rzec można całkiem obce, oślepiły ją swojemi nieznanemi a cudnemi blaski. Biedna ta śpiewaczka, jakby mocą jakiegoś czarodziejskiego zaklęcia, wzbudziła w jéj sercu niepokój, zamąciła jéj myśl, utkwiła w jéj pamięci, z któréj zwykle wszystko tak chyżo ulatywało. Margarita uczuła jéj wyższość nad sobą: pani można i bogata widziała na jéj skroni koronę, któréj ona nie mogłaby nabyć dla siebie za wszystkie swoje dyamenty.

Z téj zadumy wyrwało ją nadejście garderobiany, która szukała pani aby ją rozebrać i położyć do łóżka. Margarita roztargniona szła do swojéj sypialni, nie mogąc się jeszcze otrząsnąć z silnego wrażenia.

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za sierpień r. b.

Położywszy się, napróżno starała się usnąć. Rozgorączkowana wyobraźnia przedstawiała jéj ze wszystkiemi odcieniami postać Anieli, jéj miłość, jéj tkliwość, jéj niedolę. A przy tém wszystkiém wspomnienia te rozżarzały w niéj wielką namiętność dla Edwarda. Od chwili gdy go widziała kochanym przez istotę tak wyższą, zaczynała coraz większą cenę przywiązywać do posiadania jego serca.

Nareszcie widząc iż w żaden sposób niepodobna przywołać snu na powieki, wstała a pierwszém jéj staraniem było zapytać się zwierciadła o wdzięki swojéj twarzy.

Jakkolwiek miłość własna zwykła blaskiem piękności powlekać zwierciadła, a mitologiczna słabość Narcyza trafia się bardzo często i bardzo pospolicie na tym świecie; jednakże Margarita widząc swe lica blade, oczy podkrążone siną obwódką, usta spiekłe i zbielałe, jakiegoś przykrego doznała uczucia i z piersi jéj wydarło się przeciągłe westchnienie skrytéj obawy.

Zapomniała już o tém, że Edward nie zadowolnił jéj pragnienia zemsty; zapomniała także o jego przedtém tak uległéj a przez to samo lekceważonéj miłości: od chwili gdy na horyzoncie pojawiła się mała chmurka, płomień namiętności dotąd tak obrachowanéj, roztlił się potężnie w jéj duszy. Ustroiła się bardzo starannie, pilnie studyowała ruchy i wyraz twarzy, jak gdyby bezlitosna hardość jéj ducha przemieniła się w najpospolitszą zalotność.

Edward spóźniał się niezwykle. Margarita bezustanku tylko wstawała, chodziła i znów powracała do okna, to niecierpliwie biegała po swych wspaniałych komnatach, gwałtownie rzucała drzwiami, z wściekłością mięła trzymaną w ręku chusteczkę, a nawet czasem cisnęła o ziemię jakie cacko z chińskiéj porcelany, chcąc aby ten hałas i szczątki po posadzce rozsypane, oderwały choćby na chwilkę jéj uwagę od dotkliwych pocisków burzącego się w niéj niepokoju.

W końcu dał się słyszéć w dali turkot powozu. Margarita roztworzyła okno chcąc zobaczyć czy to będzie powóz jéj kochanka, lecz sama skryła się za firanki, aby Edward nie domyślił się jéj niecierpliwego wyglądania.

Wistocie był to jego powóz. Młodzieniec wysiadł, leniwym krokiem przeszedł pałacowy perystyl, wstąpił na wschody, a wchodząc do pokoju w którym zwykle przesiadywała Margarita, wyciągnął do niéj rękę: lecz nie z tém dawném upojeniem, ale z wyraźną oziębłością.

— Co panu jest?—spytała Margarita—czyś pan chory?

— Nic mi nie jest.

— Oszukujesz mię pan z pewnością: nigdy nie widziałam pana tak smutnym.

— To, to prawda.

— A nie wolno mi się spytać o przyczynę?

— Miałem sen.

— Głębokie musiał ten sen sprawić na panu wrażenie?

— Bardzo głębokie!!! Stawił mi przed oczy dawniejsze moje życie...

— A muszą to być wielce miłe wspomnienia, skoro taki żal w panu obudzają.

— O! bardzo miłe!

— A jednakże w owém życiu, ja żadnéj nie odegrywałam roli, ja, któréj pan tylokrotnie miłość zaprzysięgałeś.

— A! miłość! nie wymawiaj pani tego wyrazu!

— Jakto? Dlaczego?

— Bo mi ból sprawia.

— Przecież nieraz pan w swoim poetycznym języku zwałeś ją nektarem życia!

— A tak, nektar... nie: lepiéj nazwać trucizną zjadliwą, która nam trawi wnętrzności.

— Więc się tak panu dało to uczucie we znaki?

— Słuszna kara niebios!... Nie miałem odwagi poświęcić dla niéj uciech życia i pójść za jéj głosem...

— Co słyszę?—zawołała Margarita—co za odkrycie! Więc to nie ja, nie Margarita jest przedmiotem pańskiéj miłości?

— Oh! są takie chwile, że sam nie wiem co mówię. Przecież pani wiesz dobrze iż panią kocham—odparł chłodno Edward.

— A zapewne: nie mogę miéć najmniejszéj wątpliwości w tym względzie.

— Gdybyś pani wiedziała...

— Ależ powiedz mi pan, o jakim to głosie mówiłeś? Dlaczego wczoraj tak uciekłeś odemnie? Mów pan, mów: chcę wiedzieć.

— Ja z panią nigdy nie mogę być szczerym.

— A to dlaczego?

— Bo pani słów moich na seryo nie bierzesz.

Zmiarkowała Margarita, iż gdyby okazała ile ją Edward obchodzi, możeby miłość jego to ostudziło. Wyrachowana kobieta, nawet tam gdzie chodziło o najgorętsze pragnienia, zaczęła swoje żywe zajęcie pokrywać zasłoną obojętności.

— Jeżeli pan nie dbasz o to, ażebym była wtajemniczoną w jego sekreta, mnie téż na tém nic nie zależy. Wiedz pan, iż cokolwiek byłoby to, o czém mi nie chcesz powiedzieć, nie będę sobie nad tém mózgu suszyć.

— Wiem o tém—odparł Edward, ożywiając się—wiem aż nadto z bolesnego doświadczenia.

Widząc dobre skutki swoich przebiegów, Margarita mówiła daléj udając ziewanie.

— Widzi pan, jak mię bawią pańskie historye, nawet zanim się o nich dowiedziałam. Mówmy o czémś inném. A! nie widziałeś pan mego bukietu z wczorajszego balu. Już prawie usechł.

Postąpiła do konsoli, na któréj stała piękna porcelanowa urna, wyjęła z niéj bukiet i wracając do swojéj ofiary, mówiła:

— Patrz pan. Ta róża jest darem księcia mantuańskiego, który składając ją na mojéj dłoni rzekł: „przyjm to odemnie, piękna różo mojego serca!" Ten jaśmin pochodzi od niemieckiego poety, młodego Ludolfa, który wetknąwszy go w moje warkocze zawołał: „niechaj woń jego tak upaja ciebie, jak mnie upoił widok twoich wdzięków!" A tę gałązkę bazylijki dał mi dojrzały sensat [1]), pan radzca królewski, ten co to pana tak nudzi i przytém mi powiedział: „skoro mię pani kochać nie chcesz, więc ci w darze składam całą moję nienawiść: rób sobie z nią pani co ci się podoba." Fiołek ten dostałam od znakomitego malarza, który się platonicznie we mnie pokochał. Ale co za ten gwoździk, to dłużna jestem pocałunek...

— Margarito!—zawołał Edward, którego twarz ożywiała się coraz bardziéj, w miarę jak słuchał téj złośliwéj gadaniny.—Margarito, wbijasz mi sztylet w serce!

— Nazbyt się kochasz pan w czczych a szumnych i napuszystych frazesach. Przyrzekłeś mi pan opowiedzieć historyą swego życia i byłam gotowa go słuchać. Ponieważ nic nie mówiłeś, przeto ja musiałam mówić w zastępstwie za pana, a że nie umiem przechowywać w pamięci zbyt odległych czasów, więc opowiadam dzieje ostatniego wieczoru, którego każdy z tych kwiatów jest symbolem.

— To prawda. I każdy z tych kwiatów ma tysiące kolców, które się ostro wpijają w moje serce i kaleczą je.

Takim był charakter Edwarda. Niestały i zmienny, zarówno dobre jak złe mogło go porywać tak łatwo jak wiatr unosi słomę. Głos Anieli czarodziejsko nań działał. Mowa Margarity napowrót w nim budziła uśpione przed chwilą wrażenia. Zawsze wahający się, niepewny w pojęciach i uczuciach, nie zasługiwał na tę wielką miłość jaką wzbudzał. Jeden pocałunek Margarity popchnął go do zbrodni: jeden dźwięk głosu Anieli odwrócił go od niéj. Przypominając sobie Anielę, wpadł w zachwyt; kilka słów Margarity wyrwały go z tego zachwytu.

Na dnie jego serca jedno się mieściło prawdziwe uczucie, które najprzeważniéj wpłynęło na dalsze jego losy: była to ambicya, żądza popularności, ubieganie się o poklask świata. Tak więc porzucenie Anieli można sobie było tłomaczyć nędznym losem, jaki był udziałem biednéj dziewczyny, jak również stosunek z Margaritą wielkiém znaczeniem, jakie piękna pani posiadała w wysokich sferach towarzyskich w Neapolu. Wszakże nie idzie zatém, iżby w naturze tych uczuć nie zachodziła wielka różnica i żeby w nich nie było pewnéj dozy prawdy i zapału.

— No—mówiła Margarita—ja opowiedziałam panu moję historyą, teraz już panu koniecznie wypada opowiedzieć mi swoję. Słucham pana.

---

[1]) Roślina uważana jako godło nienawiści.

— Zgodzisz się pani na to—rzekł Edward—że w moim wieku nie można przypuszczać, abyś pani była najpierwszą moją miłością.

— Zapewne: pojmuję to.

— Przedtém kochałem...

— A teraz już pan nie kochasz?

— Teraz kocham panią.

Na te słowa Margarita odpowiedziała głośnym śmiechem; lecz gdyby Edward chciałbył uważać, dostrzegłby w tym objawie wesołości nadzwyczajną gorycz.

— Wracałem z długiéj podróży po Florencyi, a wracałem z tęsknoty za moją włoską ojczyzną. Nie mogłem już dłużéj wytrzymać: dusza moja, jak rybitwa ulatywała na pobrzeże. Przybyłem, ucałowałem ziemię ojczystą i czułem się szczęśliwym. Mimo to morze nęciło mię zawsze do siebie. Przepędzałem dni w łódce rozkosznie kołysanéj przez morskie fale. Wysiadając na ląd, biegałem za uroczemi dziewojami wiejskiemi, których wdzięki i niewinność przypominały mi legendowe pasterki z Sannazaru. W jednéj z moich wycieczek napotkałem młode dziewczę... O! bodajbym jéj nie był nigdy spotkał! Dusza moja przylgnęła do niéj. Było to uczucie czyste, słodkie, tkliwe: miłość dwu serc rozkwitających do życia. Lecz ten miłosny stosunek nie mógł trwać wiecznie bez narażenia mojéj przyszłości i bez przyniesienia wielkiéj krzywdy ukochanemu dziewczęciu. Mogłemże ją poślubić? Nie! Ani moje urodzenie, ani moje widoki nadal, nie pozwalały na to. Miałemże ją uwieść? Wyznaję, iż myśl ta nikczemna nigdy mi nie przeszła przez głowę. Nie mogłem chcieć, by to poświęcone naczynie, zawierające w sobie najpierwsze uroki mojéj duszy, utraciło swą kryształową czystość. A więc zawsze ją utrzymywać w błędzie? I tego nie mógłbym w żaden sposób. Niegodném to było mego charakteru, niewłaściwém mojéj naturze. W takim stanie rzeczy cóż począć? Porzucić ją? Tysiąc razy o tém myślałem, ale nie mogłem, nie!... Aż wtém pewnego wieczoru pani się pojawiłaś oczom moim. Wówczas zrozumiałem, iż w świecie istnieją uczucia potężniejsze od tych, które mię wiązały do tego dziewczęcia. Zrozumiałem, iż istnieją namiętności, które żarem krew palą, mózg przewracają, doprowadzają do obłędu—zabijają. Od téj chwili ofiara przedtém tak ciężka, stała się możliwą, stała się łatwą. Już więcéj do niéj nie wróciłem. Niekiedy staje mi na myśli wspomnienie jéj miłości; lecz wnet odbiega, szybko odlatuje zostawiając zaledwie lekki i niewyraźny ślad na mojéj duszy. A nadewszystko kiedy panią widzę, słyszę, rana się goi, uczucie to zaciera się zupełnie w mojém sercu i w mojéj pamięci.

— Otóż, panie Edwardzie—rzekła Margarita—muszę teraz mówić zupełnie szczerze: nie wierzę w pana miłość ku mnie.

— Czyżto mało jeszcze, że zapomniałem o tamtéj?

— A któż mi zaręczy, że jutro tak samo nie zapomnisz pan o mnie?

— Sprawiedliwa kara za moję winę!

— A mimo to wszystko... Edwardzie... ja...

— Cóż pani miałaś powiedzieć?

— Nie! powinnam ukryć to w głębi serca...

— Pani!—nalegał gorączkowo Edward—jednem słowem możesz mię uczynić szczęśliwym, lub...

— Ja jestem szczęśliwą tém...

— Czém? czém? mów pani! czém?

— Tém, że kocham ciebie Edwardzie.

Edward pochwycił ją w swoje objęcia i w upojeniu tulił do serca.

Margarita, jakby nagle opamiętała się i pożałowała słów wyrzeczonych, wyrwała się z uścisku Edwarda i nakazującym tonem rzekła:

— Nie idź pan za mną! bardzo proszę!

Młodzieniec stał jak skamieniały, widząc jéj dumną postawę, słysząc ten rozkaz stanowczy.

A ona wznosząc oczy i ręce ku niebu, zawołała bolesnym, rozpaczliwym głosem:

— Oh! pocóż mu to powiedziałam!

I znikła w dalszych pokojach.

XI.

Tymczasem Aniela prosiła swojego ojca, aby się znów przygotowywał do drogi z powrotem.

— Opuśćmy Neapol—mówiła—ja tu oddychać nie mogę. Chodźmy do naszéj wioski, do naszego domku: chodźmy coprędzéj do matki.

— Alboż ci nie mówiłem—odparł ojciec—że nie trzebabyło wychodzić z domu? Aleś ty nie chciała zaufać rodzicom.

— Ach! prawda, prawda! Zawiniłam ciężko przeciw rodzicielskiéj miłości, jedynéj jaka jest niezmienną na téj ziemi, i za to mię Bóg karze.

— Moje dziecko, nasze poglądy na życie są ograniczone. My nie możemy ogarnąć je w całości. Mniemamy iż osiągnięcie jednego godziwego pragnienia stanowi nasze szczęście, nasz los. Lecz Bóg, który ma naraz przed oczyma całe pasmo życia od początku do końca, który zna ostateczny cel wszystkich naszych czynności, skutki wszelkich spraw naszych, Bóg z nieszczęścia dzisiejszego wysnuwa jutrzejsze szczęście.

— Dla mnie szczęście bez niego! Sądziszże to, ojcze, możliwem? To uczucie jest krwią mojego serca. Jam temu nie winna że ono wrosło we mnie tak nadzwyczajnie, tak głęboko: czuję że ono mi życie z sobą zabiera.

— Uzbrój się silnie przeciw twojemu sercu. Życie jest walką bez końca. Wszakże wiesz, żem ja spadł ze szczytu wielkości w ten smutny stan poniżenia, w jakim się obecnie znajduję. A jednakże gdy sobie wspomnę, iż w mojéj dzisiejszéj chatce niekiedy uśmiechnęło się

do mnie szczęście nieznane w dawniejszym wspaniałym pałacu, padam na kolana i błogosławię miłosierdzie Boże.

— Ja nie mogę być szczęśliwą. Ta wielka miłość, która jakby czysty zdrój wytryskała z mojéj duszy, wysycha w pustyni zapomnienia. To serce które z taką uderzało siłą, martwieje i usycha: tak żyć, jestto żyć w stanie śmierci.

— Rozumiem cię, moje dziecko. Ty sobie wyobrażasz, iż życie twoje nie może mieć innego celu jak upiększenie życia jakiegoś człowieka; sądzisz iż piękność twoja, głos, wyobraźnia, zalety twoje są powierzonym ci od Boga skarbem, na to, abyś go wkrótce temu człowiekowi oddała.

— A zapewne. Nacóż się przyda życie, jeżeli niéma przyczynić uroku czyjemuś życiu? Na co serce, jeżeli niéma dla siebie celu? Czemże są wszystkie zalety w samotności? témsamém co kwiaty rosnące na pustyni.

— Alboż sądzisz, że kwiat na pustyni nie jest pożyteczniejszym dla wielkiego dzieła Bożego aniżeli kwiat ogrodowy? Ten zwykle służy tylko do zadowolenia swoją pięknością i wonią próżności lub zbytku i najczęściéj usycha na balu. Tamten zaś nieznany, nie widziany, oczyszcza powietrze swojemi zapachy i w spokoju daje ziemi nasiona, z których potém nowe wystrzelą rośliny, na pociechę zbłąkanego wędrowca lub powietrznego ptastwa.

— Ach! ja napróżno oglądam się na wszystkie strony: nic nie widzę, nic, tylko pustkę. Ja z polotem jego myśli wznosiłam się w niebiosa. Dusza jego była niby anioł, który na skrzydłach swoich niesie modlitwę do Boga.

— Anielo! staraj się uleczyć z téj niemocy. Kiedyś sama się jéj powstydzisz. Nie szukaj nigdzie szczęścia, krom w saméj sobie.

— O! mój ojcze! ja sądziłam że Edward dla mnie stworzony. Kiedym go ujrzała raz pierwszy, stanęłam jak wryta. Gdy przemówił, dźwięk jego głosu zawsze mi brzmiał w uszach, milszy niż śpiew ptasząt. Widząc go znów, zaczęłam pojmować iż stworzoną jestem do kochania. Nigdy przyroda nie wydała mi się piękniejszą. Nigdy z większą wiarą nie składałam rąk do modlitwy. Zdawało mi się iż wzrok mój przebija niebiosa i ogląda chwałę niebian. Zdawało mi się iż przeobrażała się istność moja i duszę w sobie czułam uskrzydloną. Wieczorem, z jakąż rozkoszą przyjmowałam na czoło pieszczotę księżycowych promieni! Rankiem, z jakąż radością witałam wschodzące słońce! A teraz, cóż mi po wszystkich pięknościach przyrody? Już mi nic potrzebna ani myśl, ani pamięć, ani serce, ani życie: co mi po wszystkiém bez niego? Oh! tylko umrzéć, umrzéć!

— Anielo! nie bluźnij Bogu! nie przedstawiaj się taką Jego oczom jaką nie jesteś, jaką być nie możesz. Wyjdź z tego ciasnego koła, które cię ugniata. Wznoś się, wzlatuj w wyższe sfery. Pomnij iż na świecie nie jeden człowiek lecz ludzkość istnieje, i że wszyscy mamy obowiązki względem ludzkości.

— Ojcze! nie odrywaj robaczka od małego listka, na którym uczepiony żyje i nie rzucaj go na obszar zieleni, bo tam zmarłby z głodu; nie wydzieraj młodego skowronka z gniazdka i nie pędź go pod obłoki, gdyż w tych górnych przestworach zmarłby z zimna: nie mów o ludzkości mnie, która sobie myślę, iż mi dla jednego tylko człowieka nie starczyło miłości.

— Biedna! A temu człowiekowi nie starczyło jéj dla ciebie.

Aniela zakryła sobie twarz rękami.

— Utraciłaś już tego człowieka, moje dziecko. Ukochałaś go nad miarę; miłość ta pochłaniała ci duszę. Dziękuj Bogu, gdyż teraz wracasz w jéj posiadanie; teraz już należeć będziesz do siebie, do twoich rodziców: podziękuj Bogu, Anielo!

— I nie będę nawet mogła ochronić go od nieszczęścia, w które niechybnie wpadnie? Czyż nic dla niego zdziałać nie potrafię?... Ach! nic, nic!

— Dziecko, wracajmy do naszéj chatki: tam odzyskasz zdrowie duszy.

— Prawda, prawda! Tam zdrój zobaczę i opowiem mu że on mię już nie kocha. Poskarżę się na jego niewdzięczność przed gołąbkami, gdy przyjdą znów dziobać mi ziarno z dłoni. Ach! gdziekolwiek się obrócę, wszędzie napotkam ślady naszéj miłości. Wyobraź sobie, ojcze, iż świat się zapada pod naszemi stopami. Otóż mnie się to przytrafiło. Świat mi się wymknął z pod stóp, a ja zostałam i niémam już na nim gdzie stąpić...

Wszelkie uwagi i rozumowania biédnego starca nie były zdolne uśmierzyć niezmiernéj boleści dziewczęcia.

Nareszcie opuścili Neapol. Udali się w tę drogę sami tylko we dwoje, podążając przez morskie pobrzeże do swojéj wioszczyny. Aniela idąc zawsze sobie nuciła, najczęściéj półgłosem, jakąś piosenkę do Edwarda. Gdy przybyli do jakiéj gospody lub do małéj wioski, tam się zatrzymywali i Aniela śpiewała na wielki podziw wszystkich co ją usłyszeli. Dostawszy nędzną zapłatę za ten śpiew cudowny, kupowali sobie kawałek chleba.

I tak sobie wędrowała ta zajmująca para. Gdyby ich był jaki poeta spotkał na morskim brzegu, pod jedném z tych drzew odwiecznych, wznoszących swe wierzchołki ponad czarów oceanem; gdyby był dostrzegł boleść biednego starca, smutek odmalowany na czole i w oczach pięknéj dziewicy: byłby sobie wyobrażał iż widzi smętną Antygonę, kiedy po drogach i polach wiodła swego ojca, nieszczęśliwego Edypa i w tych dwu postaciach byłby uczcił wskrzeszenie utworów wyobraźni Sofoklesa.

Boleść Anieli zaczynała przybierać cechę rezygnacyi i posępnego smutku, które nie zmniejszając jéj ogromu, przynosiły pewien stopień ukojenia i spokoju. Pierwsza jego gwałtowność przeminęła. Następnie poczucie obowiązku wytworzyło w duszy dziewczęcia jakby drugą naturę i stało się jedném z normalnych praw jéj istnienia. Lecz wszyst-

kie te przemiany, wszystkie wielkie przeobrażenia, zwiększały słodycz, czystość, czar jéj głosu.

W małéj wiosce przybycie jéj stało się powodem nadzwyczajnéj radości. Matka wyszła naprzeciwko niéj, prawie aż na to samo miejsce, gdzie się kiedyś żegnały z sobą. Aniela przystąpiła do niéj i uklękła dla przyjęcia jéj błogosławieństwa; a potém powstawszy drżąca i zalana łzami padła w jéj objęcia. Dziewczęta uradowane skakały wokoło niéj, a Aniela otarłszy łzy, po kolei serdecznie je ściskała. Młodzież uderzyła we dzwony kościelne na uczczenie jéj powrotu, i zielenią a kwieciem posypała drogę, którędy miała przechodzić. I późnym już wieczorem, kiedy Aniela udała się na spoczynek, na ulicy słychać było tamburynę i przy świetle księżyca wszystkie najszykowniejsze dziewczęta z wioski tańcowały *tarantelę* na cześć jéj przybycia.

Zaświtała jutrzenka na niebie, a wraz z nią w duszy Anieli wspomnienie jéj miłości. Ranek był piękny i pogodny. Zdawało się jak gdyby natura stowarzyszyła się z mieszkańcami wioski w uczuciu radości.

Aniela otworzyła okno, i przy pierwszym dnia brzasku patrzała na okolicę tém piękniejszą, kiedy półcieniem świtu oblana, przypomina tajemniczy mrok świątyni. Rybackie łodzie zaczynały się kołysać na falach. Wszędzie otwierały się drzwi małych chatek. Dzwony pozdrawiały Bożą Dziewicę, która zdawała się uśmiechać światu w różanych obłoczkach pojawiających się na krańcach horyzontu.

Był to poranek tak pogodny jak ów, w którym Aniela opuszczała swoję wioskę. Naówczas pasowała się z wątpliwością. Dziś zimna rzeczywistość w swoję moc ujęła jéj duszę. „Więc to prawda że Edward o mnie zapomniał?— myślała sobie Aniela. Jakże to się dzieje że ja żyję? O! chyba go nie kocham, skoro jeszcze żyję, albo chyba że boleść nie zabija!"

Pogrążona w tych myślach zeszła na pobrzeże i patrzała na miejsce, kędy zwykle łódka jego przybijała. W uśpionych falach odbijało się niebo jak w niewinnéj duszyczce niemowlęcia spoczywającego w kolebce... „Pocóż przychodziłeś — zawołała Aniela — jeżeli miałeś mnie porzucić!"

Weszła na mały pagórek zkąd zawsze wyglądała ukazania się łódki. Widok rozpogodzonego morza zatarł chwilowo w myśli Anieli pamięć o nieszczęściu. Morze było tak piękne i jasne, wody jego tak spokojne, lekkie powiewy zaledwie marszczyły ich powierzchnię, słońce które wnet miało wypłynąć w całym swym majestacie, darzyło je tak uroczemi i bogatemi odblaski, iż Aniela wyobrażała sobie przez krótką chwilę iż morze się tak rozweseliło obecnością Edwarda. Rychło pierzchło złudzenie... i poszła daléj.

Jakby ślepym wiedziona instynktem zbliżyła się do jednego drzewa: niestety!... na pniu tego drzewa znajdowały się połączone z sobą imiona Edwarda i Anieli, a u dołu krzyż, którym młodzieniec wieczy-

stą zaprzysięgał miłość!... Przystanęła i popatrzała na ten znak przysięgi. „Dłuższe było trwanie kwiatów na tém drzewie—mówiła—aniżeli mojego szczęścia!...

I znów daléj odprawiała bolesną pielgrzymkę, zwiedzając miejsca które były świadkami tych chwil szczęsnych a niewinnych. Ach! bo człowiek zwykł jak drzewo przywiązywać się do pewnego kątka ziemi i zdaje mu się iż pewne uczucia mogą się wskrzesić za stąpieniem na miejsce, gdzie wzięły swój początek.

Aniela doszła do zdroju. Woda sączyła się jak dawniéj z miłym i harmonijnym szmerem. „Płyną jeszcze te wody—mówiła sobie—w których tyle razy, kiedym niedowierzała jego słowom, mówił mi żebym się przejrzała, dla przekonania się, iż spokój mego oblicza zadaje kłam ustom, wyrażającym obawę.” Zdrój wytryskał, a uczucie wyschło. Któżby pomyślał, iż skała miększą będzie od serca człowieczego?

Na wszystkie strony i w rozmaitych kierunkach przelatywały bieluchne gołębie. Ach! w naturze wszystko pozostaje przy życiu, trwa ciągle. W ludzkim duchu wszystko zamiera, wszystko podlega zmianom! Drzewa wierzchołkami strzelały ku niebu, morze nie cofnęło się ani o cal jeden, niebo zachowało rumiane obłoczki, zdrój swoje miłe mruczenie, szczygiełki swój wdzięczny świegot, swój lot gołębie, a biedna Aniela postradała to, co dla niéj było wszystkiem!

Wśród takich i tym podobnych rozmyślań zaczęła płakać. Wtém usłyszała lekki szelest, odwróciła głowę i ujrzała obok siebie młodego rybaka: byłto Genaro.

— Płaczesz?—mówił—i jam także płakał... a płakałem przez ciebie.

— Nie mów mi tego!—zawołała Aniela, błagalnie składając dłonie.

— Śledziłem śladu stóp twoich, i całowałem miejsca, gdzie sobie przypominałem żeś stąpiła.

— Genaro!

— Chodziłem do kapliczki po to tylko, żeby zobaczyć kwiaty, które składałaś u stóp Boga Rodzicy, chociaż dobrze wiedziałem, że nie na moję intencyą były ofiarowane.

— Biednyś ty!

— Schodziłem także na pobrzeże oglądać miejsce, z którego patrzałaś na morze, podczas gdy ja w twoje oczy patrzałem; a jednakże dobrze wiedziałem, że nie na mnie zwracały się twoje spojrzenia.

— O! jakże boleję nad tobą!

— Wzdychałem przy tym zdroju, tam, gdzie i ty nieraz za swoim ukochanym westchnęłaś. A teraz, kiedy ty po nim płaczesz, ja płaczę po tobie...

Łkania stłumiły głos młodego rybaka.

Aniela blada, drżąca, wobec tego biednego chłopca, tak wzniośle wyrażającego swoje uczucia, wyciągnęła ręce ku niebu wołając:

— O! Panie, Panie! dlaczegóż wszyscy mamy być tak nieszczęśliwi!

Po chwilce zeszła w milczeniu z pagórka, z załzawioném okiem, z sercem miotaném straszną i wielką boleścią.

Lecz już w jéj duszy ból stawał się jakby drugą naturą. A więc i ta rozpacz gwałtowna, przebywając przeobrażenia, zamieniła się w końcu w smętność, łagodną wprawdzie, lecz zawsze bolesną. Zwolna, stopniowo, oswajała się z tém wszystkiém co ją otaczało i stopniowo także cierpienie stawało się jakby duszą jéj duszy, jakby podstawą i prawidłem jéj życia.

XII.

Wielkie, okropne nieszczęście dopełniło miary cierpień Anieli. Ojciec jéj umarł. Wiek daleko więcéj, aniżeli strapienia, położył kres jego życiu. Straszny ten cios ogromem swego ciężaru przybił nieszczęsną Anielę! Łzy jéj płynące, rzekłbyś, z nigdy niewyczerpanego źródła, zatrzymały się. Boleść w tém przejściu w ponurą oschłość okropniejszą jest, zgubniejszą, aniżeli nią bywa w naturalnym swoim stanie.

Biédnéj matce Anieli ciężko było wyżyć w tych stronach, gdzie spoczywały popioły jéj męża, pod tym dachem, który był świadkiem srogich nieszczęść. Mimo to Aniela nie radaby opuszczać téj wioski. Tu były wspomnienia błogich dni dawniejszych, tu miejsca, gdzie jéj zaświtał kiedyś promyk szczęścia. W tym tu zakątku milszém jéj było życie. I nieraz sobie myślała, iż pragnęłaby po śmierci być pochowaną u stóp téj wierzby, która pierwsze jéj przysięgi miłości słyszała.

Lecz czyż wolno jéj było tu pozostać? Nie. Przeznaczenie gnało ją do Neapolu. Biédna matka niémiała sił już pracować. Ojciec umarł. Ona zatém, i to nieodzownie, powinna stać się podporą swojéj rodzicielki. W czasie pobytu w Neapolu, głos jéj, śpiew, przynęcał tłumy ludzi. Drzwi wszystkich neapolitańskich teatrów byłyby stanęły dla niéj otworem. To wszystko teraz sobie przypomniała.

Drżało jéj serce. Uważała to sobie za wielkie nieszczęście być zmuszoną do śpiewania w teatrze; jednakże nakłoniła się do tego w najszlachetniejszym celu, z najświętszych pobudek, dla dobra matki.

A więc pewnego dnia, widząc ją wielce stroskaną i zasmuconą, uklękła przy niéj, i obsypując ją najczulszemi pieszczotami, mówiła:

— Co ci jest, moja jedyna?

— Trapią mię i obecne cierpienia, i smutne przeczucia większych jeszcze nadal. Najwięcéj mię martwi twoje położenie.

— O to się nie kłopocz, najdroższa matko.

— Smutno pomyśléć o dniu, kiedy nie zostanie nam ani kawałka chleba.

— To nas nie spotka.

— Dziecko moje, to nas jutro spotkać może.
— Jutro pójdziemy do Neapolu.
— A cóż w Neapolu?
— Tam los nasz się polepszy; będziesz opływać w dostatkach, kochana matko. Mam zamiar wstąpić do teatru.
— O, nie! droga Anielo! wolę nędzę!... W tém życiu tyle niebezpieczeństw!...
— Nie dla twojéj córki, która na nieszczęście zna już ten świat, chociaż tak krótko w nim żyła.
— Ależ, moje dziecko, to zbyt ciężka dla ciebie ofiara.
— Ciężka? kiedy mi idzie o matkę? nic niéma dla mnie ciężkiego. Tak, tak, wybierajmy się w drogę: to już rzecz postanowiona.

Aniela tyle miała władzy nad sercem matki, iż ta nie śmiała sprzeciwiać się jéj chęciom i zamiarom.

W kilka dni potém Aniela opuszczała wraz z matką, miłą sobie wioseczkę. Poprzedniego wieczora zwiedziła po kolei każde z miejsc, gdzie jaką błogą przeżyła godzinę, jaką chwilkę słodkiéj i czystéj miłości. Zdawało się jéj, że to powtórne rozstawanie się z Edwardem; zdało jéj się, że w miejscach tych duszę swą pozostawia: tak wielkiém było jéj cierpienie.

Genaro znów towarzyszył Anieli w powrocie jéj do Neapolu. Dzień był prześliczny. Niebo płonęło, rozjaśnione żarem słonecznych promieni. Morze lekko się marszczyło pod ożywczém tchnieniem łagodnego wietrzyku. Wszystko było pięknem.

Aniela siedząc w łódce, patrzała na oddalające się brzegi, a nieopodal Genaro w nią się chciwie wpatrywał. Żadna już nadzieja nie zaświtała w sercach tych dwojga młodych istot, żadne złudzenie przez ich duszę nie mignęło. Oboje cierpieli, oboje płakali bez nadziei pociechy.

Wreszcie przybyli do Neapolu. Aniela, żegnając się z Genarem, uczuła żywą boleść, wypływającą z litości, jaką w niéj wzbudzało jego cierpienie, na które nie było lekarstwa...

Genaro powrócił do swojéj cichéj wioszczyny: Aniela z matką zapuściły się w ogromny labirynt ulic Neapolu.

XIII.

Kilka już miesięcy upłynęło od przybycia Anieli do Neapolu, kiedy pewnego dnia nad wieczorem, Edward rozmawiając sam na sam z Margaritą, mówił do niéj:

— A to dziwna rada! zkąd ci to przyszło do głowy?
— Tak, tak!—odrzekła Margarita—musisz się ożenić koniecznie.
— Więc chyba z tobą?
— A jeśli nie zechcesz ze mną... to się ożeń z jaką inną.
— Czy ci to obojętne?
— Tak, prawie.

— Obojętne!

— Zapewne, bo i ja postanowiłam sobie pójść za mąż.

— Ty?.. za kogo?... Margarito! mów!

— Niech cię to nie przestrasza: za ciebie.

— Za mnie? za mnie? Aa!.. jeżeli... bo...

Edward nie wiedział sam co miał powiedzieć, tak go przeraziła ta groźba.

— Widzę że cię to zmieszało.

— Ale cóż znowu?...

— Nie zapieraj się: umiem czytać w twoich oczach.

— Chcesz sobie wszystko na złe tłómaczyć.

— Widzisz, jak mi jakoś znienacka ta myśl przyszła do głowy; ale baczność, żebym czasem w niéj nazbyt nie zasmakowała.

— Byłoby to dopełnieniem mojego szczęścia—wycedził Edward z widocznym przymusem.

— Ślicznie dziękuję panu. Racz tylko pan nadać większy pozór prawdy swoim komplementom.

— Ależ bo, koniec końców, nie mogę odgadnąć powodu tego szczególniejszego zachcenia.

— A ja, koniec końców, z łatwością odgaduję powód twojego przestrachu.

— Mojego przestrachu?.. cóż znów?.. Jak możesz coś podobnego przypuszczać?... ale bo tyle razy czytając Jerzego Sand, deklamowałaś przeciwko małżeństwu...

— Alboż mi niewolno zmienić zdanie? Już mi się naprzykrzył melodramat życia, i zaczynam przyzwyczajać się do prozy.

— Dawniéj byłabyś powiedziała: do tragedyi.

— To wszystko jedno: lubię zmiany, jaknajwięcéj zmian.

— Wiesz dobrze, iż tylko w jednéj rzeczy proszę cię o stałość, to jest w uczuciu jakie masz dla mnie.

— To w gruncie pozostanie jak było, nic się nie zmieni: zgoła nic oprócz formy.

— Ale, Margarito, czy to na seryo mówisz?

— Najzupełniéj na seryo.

Edward zaczął się śmiać bardzo głośno.

— Nie wyzywaj mię twoim śmiechem.

— Nieledwie miałbym ochotę wyzwać...

— Źlebyś zrobił, Edwardzie: bardzo źle. Wiesz, że zawsze wygrywam.

— Jakto? Przecież w końcu wygrana była moja.

— Hm! Przypomnij sobie owe morskie wycieczki, owe miłostki sielankowe.

Chmura smutku przesunęła się po czole Edwarda.

— Otóż widzisz—mówiła daléj Margarita—tam był wielki bój twego życia, wielki cel twoich pragnień, a ja zwyciężyłam i wszystko to ci zabrałam.

Edward zakrył sobie twarz rękoma i zawołał:

— To prawda, prawda!

— Wstydzisz się sam siebie? Otóż więcéj jeszcze będziesz się wstydził, gdy ujrzysz spełnioną tę moję ostatnią fantazyą.

— I mówisz o tém z taką zimną krwią?

— Bo znam cię dobrze, doskonale... Ale zmieńmy przedmiot rozmowy. Ten już wyczerpany. Mówmy o czémkolwiek inném. A! muszę ci coś powiedzieć, o czém może nie wiesz.

— Cóżto takiego?

— O wielkiéj niespodziance, jaką nasz teatr ma nas uraczyć.

— Tak?

— Występuje na scenie młoda osoba, jakiś cud świata, jak powiadają.

— A więc będziemy mieli nadzwyczajne przedstawienie w teatrze? Wcale o tém nie słyszałem.

— W teatrze opery. Jestto śpiewaczka, drogi Edwardzie, ale śpiewaczka jakiéj nie bywało dotąd. Coś nadzwyczajnego, jak utrzymują ogólnie.

— Doprawdy? Jakże się nazywa?

— Na imię ma Aniela.

Margarita złośliwy wzrok utkwiła w twarzy Edwarda, na któréj znać było wielkie wrażenie.

— Tak, Aniela! Aniela!—powtórzała Margarita.—Ale zdaje się, jakby to imię bardzo cię dotknęło? Edwardzie, Edwardzie, ty coś ukrywasz przedemną.

— Ależ nic, nic.

— A więc pójdziemy na operę?

— Pójdziemy.

Edward wstał i wziął za kapelusz; Margarita pożegnała go ceremonialnym ukłonem: tak się zakończyła ta rozmowa.

Jednakże zamiar związków ślubnych nie opuszczał ani na chwilę myśli Margarity, podobnie jak wspomnienie Anieli dręczyło bezprzestannie myśl Edwarda. Margarita postanowiła bądźcobądź aż do tego stopnia rządzić sercem Edwarda, właśnie dlatego, iż okazał się niepewnym, wahającym, usłyszawszy o tym zamiarze. Zresztą, po wielkich zboczeniach w życiu, za które w sumieniu żadnego nie czuła wyrzutu, małżeństwo było w jéj oczach tylko urzeczywistnieniem fantazyi. Zrazu, bez najmniejszego zamiaru dotknęła téj myśli; lecz skoro tylko dostrzegła wstręt do niéj w Edwardzie, rozmiłowała się w niéj, jako w czémś niepodobném do osiągnięcia. I stanowczo rozmyślała nad jéj urzeczywistnieniem. Liczyła tu na coraz bardziéj wzmagającą się słabość charakteru Edwarda.

Prawo sprzeczności, wrodzone człowiekowi, stanowiło, że tak powiemy, całą treść istoty Edwarda. Można powiedzieć, iż jednocześnie kochał on i Margaritę i nieszczęsną Anielę.

Ile razy dusza się w nim budziła, i czuł pragnienie miłości czystéj, nieskażonéj, téj miłości, któréj smutki milszemi są od wszelkich epileptycznych radości towarzyskich i światowych, wtenczas mu w wyobraźni ukazywał się, niby anioł z nieba zstępujący, przeczysty obraz najpierwszéj miłości.

Gdy zaś ponęty rozkoszy doń się uśmiechnęły, gdy go wabiła ta miłość, która polega na zmysłowém upojeniu; wtedy mu przed rozgorączkowanym wzrokiem stawała, we wszystkie swe powaby strojna postać Margarity.

Lecz od chwili, gdy walka ta się rozpoczęła, rozkosz odniosła zwycięztwo nad szczęściem, namiętny pocałunek nad niewinném spojrzeniem, przemijający pociąg zmysłowy nad wieczystą duszy miłością.

Mimo to Edward, w którym miłość czysta, można powiedzieć, usnęła, niby duch opiekuńczy, zamykający oczy, ażeby nie widzieć zbrudzenia duszy, Edward miewał widzenia tego niewysłowionego szczęścia, ilekroć z biegiem czasu lub wydarzeniem trafu doleciało do niego jakieś westchnienie, jakieś wspomnienie, jakieś echo z tego cudnego a nadziemskiego świata, opromienionego różowém światłem tajemniczości i nieskończoności.

Aniela w Neapolu!—myślał sobie.—Najpierwszy urok jego duszy, najpierwsze serca ukochanie, ma się przedstawić w teatrze, i tym cudownym głosem, któremu Edward z zachwytem przysłuchiwał się pod cieniem wierzby, zachwycać tysiące ludzi, i w nagrodę od nich odbierać zimne oklaski, ale nie ten ogień świętéj miłości, który duszę oczyszczał i wyswobadzał ją ze wszystkich ziemskich więzów! A on, dla którego głos ten był stworzony, on go opuścił; on, do którego należała ta artystyczna dusza, on o niéj zapomniał!

Były chwile, iż mu przychodziło na myśl, aby ją odszukać, upaść przed nią na kolana, błagać o przebaczenie, uznać się jéj niewolnikiem, serce swoje w obliczu Boga połączyć z sercem téj anielskiéj istoty, osiąść z nią gdzieś w samotnéj ustroni, na wsi, i tam życie pędzić ciche, błogie, pogodne, zajęte pracą, uszczęśliwianiem swojéj jedynéj, i obowiązkami, jakie podoba się Bogu włożyć na niego.

Lecz w téjże saméj chwili, gdy tworzył te plany, występowały przeciwko nim wrodzone popędy, ukazując mu na wszystkie strony złudne uciech mary: umysł jego rozgorączkowany szałem festynów, orgii, rzucał im na pastwę ową pierwszą miłość, i sam wpadał w błoto poniżenia i zepsucia przez brak sił do stawienia oporu zgubnym pokusom.

Dlatego téż imię Anieli, zamiast być dlań rzeczywistością, było raczéj wspomnieniem i nadzieją innego lepszego świata, cnót ideałem, podnietą do udoskonalenia się, o jakiém dusza jego marzyła, nie mając jednakże mocy stosowania się do tych niebiańskich rad i przestróg.

XIV.

Nadszedł nareszcie dzień, który miał być dla Anieli początkiem jéj artystycznego zawodu. I, rzecz szczególna! w niewiele dni potém miał się odbyć obrzęd ślubny Edwarda z Margaritą.

Ta ostatnia użyła wszelkich sposobów, jakie poddać jéj mógł zmysł niewieści, aby najprzód skłonić, a potém doprowadzić do takiego postanowienia kochanego Edwarda, który w godzinach znużenia zaledwie o niéj pamiętał, a w chwilach gorączkowego rozdrażnienia ulegał wszystkim jéj rozkazom, albowiem najpierwszém następstwem skażenia bywa pozbawienie wolności duchowéj; wolności, tego daru Bożego, któremu tylko nieskazitelność serca ma moc zachować pierwotną jego czystość. Tak więc Edward, który z początku się opierał, w końcu uległ: doszedł już do tego, iż w sumieniu jego poczucie moralne, rzec można, zamarło!

W wysokich sferach towarzystwa w Neapolu o niczém inném nie mówiono, a przedmiotem wszystkich żarcików i plotek była powolność i rezygnacya Edwarda.

Co jeszcze było najdziwniejszém w tym razie, to, że miłość Edwarda i Margarity doszła już do peryodu znudzenia i przesytu. Ale téj kobiecie, która wiedziała jak łatwo przyszłoby jéj, w czasach gdy Edward był u jéj nóg, doprowadzić go do małżeństwa, myśl ta wcale nie przyszła do głowy; aż dopiéro wtenczas, gdy skutkiem odniesionego zwycięztwa ostygł ów pierwszy szał namiętności, i tylko już sztuką mogła wymódz spełnienie swego zamiaru, uważała to za największą chlubę dla swéj żelaznéj woli, która nigdy się nie zawahała, kiedy chodziło o jakieś wielkie a nadzwyczajnie trudne zadanie. Życie jest olbrzymią walką, a świat dla niéj szrankami.

Zwróćmy teraz oczy na Wielki teatr opery w Neapolu. Nie często przedstawiał on widok równie świetny i wspaniały. Przepysznie oświecony, przepełniony widzami, przystrojony mnóstwem pań pięknych, na których twarzach malowała się ciekawość i niecierpliwość, pełen odurzających wonności i dźwięków melodyjnéj muzyki, teatr wyobrażał dosadnie wielkość wypadku w dziejach sztuki, o jakim głosiła wieść publiczna.

Na scenie przedstawianą była *Łucya*, ta przecudowna opera Donizetti'ego, który umiał zespolić głębokość ducha Północy, z świetnością ducha Południa; ten hymn miłości, zatapiający dusze nasze w szczytnym smutku; ta skarga serca rozdartego boleścią, wzbijająca się myślą i pragnieniem w niebiosa, te urocze dźwięki, istne łzy, spadające w ocean życia, westchnienia nadziei i żalu, rozbiegające się w przestworach i zlatające ku Bogu, jak to uczucie, które je wywołało i które się pomieścić nie może w ciasnych granicach stworzenia. Kiedy słyszymy tę czarowną muzykę, smętna jéj żałoba owładnie naszém

sercem, dźwięki jéj zagładzą w umyśle wszelkie inne wyobrażenia i toniemy w myśli, wiejącéj z wszystkich tych melodyi.

Lecz pomimo piękności tego utworu, publiczność pozostawała zimną i obojętną podczas pierwszych scen opery. Wszyscy wyczekiwali téj upragnionéj chwili, kiedy się ukaże Łucya, wszyscy radziby coprędzéj usłyszéć pierwsze tony jéj głosu. A za zbliżeniem się téj wielkiéj chwili zdwoiło się natężenie uwagi, i niecierpliwość wzrosła do największego stopnia.

Otóż właśnie dały się słyszéć owe piękne preludya na arfie, będące wstępem i przygotowaniem do tego cudownego hymnu miłości. I w téj saméj właśnie chwili, Margarita z Edwardem wchodzili do jedynéj loży, która dotąd była niezajętą.

Jednocześnie zza kulisy, w głębi, wychodziła na scenę biédna Aniela.

Najpierwszą twarzą, która jéj nasunęła się przed oczy w teatrze, była twarz Edwarda. W nagłém wstrząśnieniu zdało jéj się że życie ją odbiega, pociemniało jéj w oczach, straciła przytomność, i byłaby padła jak nieżywa na podłogę, gdyby nie bezwiedne oparcie się o kulisę, i gdyby ten zawrót głowy nie przeminął z szybkością błyskawicy.

Publiczność dostrzegła bladość jéj twarzy, jéj wzruszenie, dreszcz nią wstrząsający, lecz bez namysłu przypisała to wrażeniom i obawom téj uroczystéj chwili, i natychmiast ze wszystkich stron sali powitał ją grzmot oklasków, tak gorący a tak jednozgodny, iżby można przypuszczać, że elektryczność jednę myśl rozniosła w powietrzu.

Dowód ten współczucia, otrzymany w tak ważnéj chwili, dodał odwagi Anieli; postąpiła na przód sceny, i pierwsze takty jéj pieśni popłynęły z ust jéj w słowiczych nutach.

Edward drżący, wzburzony, nieprzytomny, rażony do głębi duszy zjawieniem się tego anioła, który tyle kwiatów rozsypał na drogę jego życia, nic nie słyszał, nic nie czuł, nic, krom obecności Anieli, jak gdyby utonął w jéj wzroku, w jéj głosie, w jéj pieśniach, jakby zlał się z jéj duszą w ten sposób, jak kropla deszczu zlewa się z ogromem wód morskich.

Margarita z przestrachem, ze zgrozą, spoglądała na Edwarda. poraz pierwszy wyczytała w jego oczach, iż w sercu jego mogło się mieścić coś więcéj, niż miłość chwilowa, znikoma, coś większego nad płoche i niewolnicze uczucie, jakie miał ku niéj; lecz wyczytując tę prawdę, zamiłowanie jéj w walce dawało jéj przedsmak nowego zwycięztwa nad chwiejną wolą Edwarda.

Podczas gdy się to działo w duszach dwojga narzeczonych, Aniela zaczynała swoją aryę. Głos jéj, nieco przytłumiony cierpieniem, miał dźwięk magiczny, siłę wymowną, porywającą, słodycz przenikającą wszystkie serca, i pobudzającą je mimowolnie do wielkich uczuć, do łez radosnych, pocieszających. O! bo te łzy słodkie, które wyciska mówca, artysta, poeta, to rosa ożywcza dla naszéj duszy, krzepiąca jéj żywotność, oczyszczająca subtelną jéj istotę!

Aniela także płakała. Łzy, któremi zraszała czarowne swoje tony, były chrztem jéj talentu. A publiczność najprzód wzruszona, potém zachwycona, a w końcu porwana tym śpiewem, prawie nieziemskim, objawiła swój zapał w gromie oklasków.

A jednak młoda dziewica nie śpiewała dla publiczności. Jéj głos, wyrazy, gorące uczucie, wszystko odnosiło się do Edwarda. Trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego, coś bardziéj wzruszającego, jak jéj tkliwe wyrazy w duecie pierwszego aktu, kiedy słuchała i sama powtarzała przysięgi wieczystéj miłości. Zdawało się, że na Edwarda się żali, mówiąc doń: „Tam obok zdroju, w ów piękny wieczór, gdy zmierzch łagodnemi barwy malował niebiosa, gdy w niezmiernych obszarach zbłąkane gwiazdeczki ukazywały się tu i owdzie; gdy ostatni śpiew żeglarza konał na pobrzeżu, a od gór odbrzmiewały ostatnie echa dzwonu modlitwy: wtedy ci zaprzysięgłam miłość wieczystą, niezmienną, świętą; miłość, która dotąd żyje w całéj swéj czystości na dnie mojéj duszy.” Myśl ta uwydatniała się na tle tych melodyi śpiewanych z całém natchnieniem myśli. Zdawało się, że ten głos wychodzi wprost z głębi duszy, nie potrzebując bynajmniéj pośrednictwa materyalnych dźwięków; wyrazy bujały w powietrzu, jak gdyby były nie śpiewem ziemskiéj kobiéty, lecz natchnionym głosem jakiegoś wyższego ducha.

Nikt téż w teatrze nie zdawał sobie sprawy ze swoich uczuć. Wszyscy dawali oklaski po skończeniu się każdéj pieśni, lecz nikt ich nie analizował, nikt nie rozumiał ukrytego znaczenia tego wielkiego uczucia, jakie się wyrażało w oczach, w głosie, w słowach Anieli. Podobną była w téj chwili do nadziemskiéj istoty, zbiegającéj z innego, doskonalszego świata; istoty, któréj wyższość więcéj się odgaduje, niż pojmuje, więcéj się poznaje przeczuciem niż rozwagą.

Skończył się pierwszy akt. Zrazu publiczność jakby oniemiała z podziwu. Milczenie panowało, jak gdyby każdy chciał jeszcze uchwycić ostatnie echa dopiéro co słyszanych dźwięków. Po chwili dopiéro wystąpiły wszelkie objawy zachwytu i uniesienia. Wielka to była i wspaniała chwila. Publiczność jednym głosem wynurzyła swoje uwielbienie dla młodéj artystki. Wszyscy pragnęli ujrzéć ją jeszcze. Podniosła się kurtyna, Aniela wyszła—nikogo nie widziała, nikogo oprócz Edwarda... A Edward?..

Bukiet, który trzymała Margarita, wyrwał jéj z rąk, pocałował go z uniesieniem i cisnął pod nogi Anieli... Śpiewaczka krzyknęła, zachwiała się i upadła na ziemię, jakby piorunem rażona.

Natychmiast kto tylko znajdował się za kulisami, śpieszył na jéj ratunek. Biédna staruszka jéj matka, która towarzyszyła córce wszędzie i zawsze, przybiegła zalana łzami.

Tak wielkim był zapał publiczności, iż chociaż wprawdzie bukiet Edwarda najpierwszy upadł u stóp Anieli, ze wszech stron jednocześnie posypały się wieńce i bukiety tak, iż okryły ją całą; nawet kwiaty stro-

jące głowy pięknych pań, także padały na scenę. Anielę wyniesiono do przeznaczonego dla niéj pokoju.

Niebawem przyszedł ktoś z oznajmieniem, iż główna artystka przyszła do siebie i że dalszy ciąg przedstawienia będzie miał miejsce.

Przez ten czas Margarita z tryumfującą miną spoglądała na Edwarda, a w ciągu przerwy między aktami spytała go:

— Co ci jest? Tak pobladłeś? Czy cię ta muzyka tak wzruszyła?

— Nadzwyczajnie!—odrzekł krótko Edward.

— Otóż ci powiem, że odgadłam wszystkie twoje myśli.

— Bardzo wątpię.

— Alboż nie wiesz, Edwardzie, że posiadam sztukę czarnoksięzką, przez którą czytam w twojéj duszy?

— Zdarza się to... ale...

— Ta kobiéta... to twoja najpierwsza kochanka.

— Zkąd to wiesz? Margarito?

Edward zlodowaciał cały, jak kamień.

— Odgadłam—odpowiedziała Margarita.—A cóż? czy nie mam prawa zwać się kapłanką czarów?

— A! nie mówmy o tém. To już minęło, uczucie to pogrzebane.

— Nie minęło i nie pogrzebane; uczucie to bardziéj, niż kiedy, żyje w twojém sercu.

— Zazdrość mówi przez ciebie.

— Nie zazdrość, lecz głębokie przekonanie, wypływające ze znajomości twego charakteru.

— Więc cóż?—wyjąkał pytająco Edward.

— Więc cóż? lękasz się mnie? Biédny chłopczyna! Nie bój się, nie. Czy przypuszczasz, iż może to będzie miało jaki wpływ na moje zamiary? Bynajmniéj: żadnego.

— Bardzo dobra jesteś, Margarito. Przebacz mi: ale to prawda. Cierpię teraz, bardzo cierpię.

— To przeminie. Pokładam w tobie wielkie zaufanie, tak wielkie, Edwardzie, iż chybabym już była zupełnie do niczego, jeżeli za kilka dni nie będziesz patrzał na rzecz nadzwyczajną.

— O czém chcesz mówić?

— Teraz ci tego nie powiem.

Edward, który rozmawiał całkiem machinalnie, wzruszył ramionami.

— Powiedz-no mi, Edwardzie, czy nie pójdziesz zobaczyć się z tą kobiétą?

— O! nigdy, nigdy! Toby mię zbyt wiele kosztowało.

— Mało masz odwagi.

— Jakżebym śmiał stanąć przed nią? Nie, w żaden sposób. Tu siedzę, a wzrok jéj mi dopieka, jéj głos pali mię wstydem i niepokojem.

— Tacy to mężczyzni. Wasza odwaga, to najpiękniejsza z bajek.

— Odwaga! A małoż mi jéj było potrzeba, ażeby zaprzestać z nią się widywać? Czyż nie musiałem zadać gwałtu mojemu sercu?

— O! jakże oszukujesz sam siebie, mój ty biédaku! Wmawiasz w siebie. Wierzaj mi Edwardzie: gdybyś był uczuł ból choćby najlżéjszy, byłbyś pobiegł do niéj. Ale gdzieżby tam dzisiejsza zniewieściała młodzież zdolną była narazić się na wielkie boleści! Jeżeli chcesz, to ci mogę zrobić rozbiór twoich uczuć. Najprzód było to małe cierpienie, maleńkie: ale wynagrodzone wielką przyjemnością; daléj, od czasu do czasu wspomnienie smętne, leciuchne, jak powiew zefiru, a późniéj zupełne zapomnienie.

— I już więcéj nic?

— I owszem, jest jeszcze coś więcéj. Ile razy czytałeś jaki romans, albo jeżeli przypadkiem zaszedłeś do kościoła, kiedy usłyszałeś jaką tęsknę piosnkę, kiedy przechadzałeś się samotnie w noc letnią nad brzegiem morza, osrebrzonego blaskiem księżyca, a do ucha ci dolatywało czułe słowika pienie, lub uciszony szmer fali; w tych chwilach podniosłego nastroju, przyzywałeś jéj wspomnienia i obraz jéj zjawiał ci się przed oczy.

— Ach! prawda, rzeczywiście to prawda!

— Lecz nie łudź się Edwardzie. Postać ta nie była niczém rzeczywistém; tém tylko, czém jest muza dla poety. Tyś jéj nie szukał. Pojawiała się, jak senna mara. Gdyby dla znalezienia jéj potrzeba było pójść o jeden krok daléj, nadeptać jeden cierń kolący, nie byłbyś jéj szukał. Lubowałeś się, jak zwyczajnie, w ułudném rojeniu. Było to uczucie, które wzbudzała w tobie nie tyle twoja wola, jak raczéj poezya sztuki, lub przyrody.

— A jednakże był czas, kiedy często biegłem do niéj.

— I to ci wytłómaczę jaknajdobitniéj. W pewnym wieku wyobraźnia góruje w naszym umyśle, szlachetność uczuć w naszych sercach. W wieku tym gardzisz wszelką rachubą, a dajesz się powodować natchnieniu. Czyż nie tak? Otóż taka miłość nie rodzi się z uczucia, ale raczéj z ekstazy, z uniesień krótkotrwałych, przechodnich, ulotnych. Miłość ta jest marzeniem, nadzieją, szałem; jedném słowem, składają się na nią wszystkie rojenia, ideały, mrzonki, jakie masz w głowie. I zdaje ci się, że ona jest rzeczywistą, prawdziwą, a to tylko złudzenie.

— Złudzenie, powiadasz! A dlaczegóż w téj chwili tak mię ono przygnębia i dręczy?

— Dlaczego? Powiem ci. Bo sobie wyobrażasz, że to ona wiecznotrwała, a to jest tylko skutek olśnienia, muzyki, wspomnień z lat młodocianych...

W téj chwili podniosła się kurtyna i rozpoczął się akt drugi. Stało się to samo, co w pierwszym. Aż do ukazania się Anieli, pomimo doskonałości wszystkich artystów, zupełny chłód panował wśród publiczności.

Nadeszła wreszcie scena, w której powinna wystąpić Aniela. Ubrana była w suknię białą, która postaci jéj nadawała coś eterycznego. Nie powiedziałbyś, że to artystka, lecz że to anioł przemykający po scenie z pieśnią pokoju na ustach, z świetlaną na skroni koroną. Na twarzy jéj malował się smutek słodki, spokojny, lecz głęboki i wielki. Z oczu jéj mimowolnie łezka wymknęła się niekiedy. Lekko się chwiała idąc, jak gdyby dotknięta silném drganiem nerwowém: we wszystkiém znać było po niéj cierpienie.

Ta scena w operze była także wysokiéj doniosłości i nadawała się do jéj talentu i usposobienia. Jestto scena, w któréj brat zmusza Lucyą do poślubienia, wbrew jéj woli; przyjaciele rodziny powiadają jéj, iż Edward złamał przysięgę. W *Allegro* tego duetu Donizetti wlał z wielkiém natchnieniem całą boleść, przepełniającą jego duszę. Niepodobna oddać ani rozpaczy bardziéj wzruszającéj, ani odezwy do nieba rzewniejszéj i wymowniejszéj. Dodawszy jeszcze do tego cudowny głos Anieli, boleść rwącą się z jéj serca, łzy spływające po jéj twarzy, łkania, które nie ujmując ani czystości, ani śpiewności jéj tonom, nadawały im jakąś nieokreśloną wymowność, łatwo pojąć magiczny efekt téj sceny.

Edward nie mógł znieść tego śpiewu: dławił go. Te smętne tony łzami zroszone, co padały, jak rosa niebieska, na duszę łaknącą piękna i dobra i pozostawiały na niéj niewygasłe wrażenie, na duszę Edwarda spuszczały się, jak deszcz ognisty, ogarniały płomieniem i w popiół obracały serce jego i sumienie. Taka była potęga tego głosu, téj postawy, tego spojrzenia, wyrazistego przycisku na każdém słowie, iż Edward machinalnie podniósł się, oblany zimnym, jakby śmiertelnym potem, strwożony wyrzutami sumienia i zabierał się wyjść z loży, sam nie wiedząc co robi, kiedy śmiech szyderczy Margarity przykuł go do miejsca i jakby spiorunował jego serce.

Podczas drugiéj części drugiego aktu, kiedy następuje scena zaślubin Lucyi, znów Margarita bawiła się dręczeniem swego kochanka. Jużto robiła mu uwagi, iż tu położenie było całkiem odmienne od stosunku, w jakim Edward znajdował się względem Anieli. To znów kiedy z piersi młodéj artystki wydobywały się owe tony przenikliwe, co to przeszywają serca słuchaczy, szczytny wyraz szczytu boleści, Margarita szydersko spoglądając na Edwarda, mówiła:

— Jak lamentuje! to na ciebie skargi rozwodzi. A powinna być ci wdzięczną, żeś ją porzucił, bo bez tego może nie zostałaby tak znakomitą artystką.

— W istocie, Margarito, twoja zimna krew zgrozą mię przejmuje!

— A! dziwnaż bo ta młodzież dzisiejsza! Jeżeli cię taką przejmuje zgrozą wizerunek tego, czém jesteś; dlaczegóż dotąd jeszcze nie zniszczyłeś oryginału?

— Bo mię powstrzymuje moje tchórzostwo!—zawołał Edward.

— Mylisz się. To dlatego, że owa namiętność, którą uważasz za rzeczywistą, jest namiętnością czysto artystyczną.

Skończył się akt drugi. Pozostawała jeszcze najtrudniejsza, a zarazem najpiękniejsza część roli podjętéj przez Anielę.

Rzewne te ustępy męczyły Edwarda nad wszelki wyraz. Były momenta, iż go coś ciągnęło, żeby zbiedz na scenę, lecz powstrzymywała go niewypowiedziana obawa. Byłby winowajcą stawającym przed swoim sędzią... Nawet w chwilach, kiedy się najbardziéj chełpił z odwagi, nie mógł wytrzymać wzroku młodéj dziewicy, unikał go, jak gdyby mu przepalał czoło i mózg piekł ogniem.

Gdyby to od niego zależało, byłby uciekł z teatru; lecz Margarita panowała nad nim jeszcze jakąś czarodziejską siłą. Edward nie śmiał sprzeciwiać się jéj woli, témbardziéj, iż Margarita widocznie uparła się, żeby obserwować na Edwardzie skutki wrażeń sprawianych śpiewem Anieli i bystro je przenikając, zamiast się smucić, bawiła się niemi i przyklaskiwała.

Nastąpiła wreszcie scena szału, obłąkania; straszna ta scena, która Boską mocą wymowy, jaką posiada muzyka, daje poznać, jak serce zranione zawodem, dochodzi do pęknięcia; scena, w któréj Donizetti wyczerpał całą potęgę natchnienia, w rodzaju sobie tylko właściwym, wlał w nią, rzec można, całą swą siłę żywotną.

Śpiew ten zdawało się, że mówi do Edwarda: „Patrz, widzisz swoje dzieło. Jam była, jak kwiat na polu wzrosły, na to może, by czystą wonią napawać powietrze, a twoje gorące tchnienie zerwało mię z łodygi i cisnęło na skrzydła światowych uraganów. Ja przez ciebie poznałam miłość, życie ukochałam, a tyś mię oddał na pastwę rozpaczy i okrutnemu zapomnieniu. Byłam szczęśliwą, otworzyłam ci moje serce, wszedłeś do mego nieba, gdyż miałam cię za anioła, a tyś na zawsze schmurzył jasne horyzonty mojego życia.

„Ja o niczém inném nie myślałam, jak tylko o tobie, o twojéj miłości, a tyś jedynie myślał o pozbyciu się natrętnego ci mojego wspomnienia. Podczas, gdy ja we łzach i smutku prosiłam powietrza, morza, gwiazd, aby mi o tobie mówiły; ty zapomniawszy o wszystkiém w objęciach innéj kobiéty, śmiałeś się i może urągałeś mojéj boleści i moim żalom. A więc patrz na twoje dzieło. Boleść sprawiona twojém zobojętnieniem pomieszała mi zmysły, zgubiła mię dzisiaj, jutro mię dobije."

Edward słyszał te wyrzuty w słowach i pieśniach Anieli. To obłąkanie zdawało mu się być rzeczywistém. Przypomnienia dawnéj miłości, tkliwe słowa pociechy i czułości, wyraz żywszéj boleści, szał, obłąkanie, rozpacz; wszystko to rozdzierało serce Edwarda: burzył się, miotał, jakby wzięty na tortury.

Ze swéj strony publiczność, słuchając tak mistrzowskiego wykonania téj wysoko poetycznéj kreacyi, wrzała nieopisanym zapałem. Gdy sztuka się skończyła, wszyscy widzowie powstali, jak jeden, ze swoich miejsc, wyciągnęli ramiona ku scenie i okrzyknęli królową sztu.

ki tę młodą dziewczynę, która wczoraj jeszcze nieznana, śpiewała tylko dla wiejskiego ludu i dla ptastwa w powietrzu, a od téj chwili stawała w szeregu najpierwszych znakomitości, jakiemi się szczyci piękna włoska ziemia.

XV.

Po skończoném przedstawieniu, Edward byłby pragnął rzucić się na kolana u stóp Anieli, prosić o przebaczenie, poprzysiądz jéj miłość, a miłość wieczną, tę miłość przeczystą, która była mu niegdyś życiem i życie rozkoszą, uciec od tego świata ciasnego, poziomego i na czoło swoje przyjąć chrzest nieskazitelnéj zacności, któréj zdroje Aniela w duszy swojéj nosiła.

Lecz jakże stanąć przed nią? Jak nie upaść z przerażenia przed tém anielskiém wejrzeniem? O! gdyby przynajmniéj Edward mógł mieć tę pewność, iż Aniela gniewnie do niego przemówi, nie byłby się wahał ani na chwilę; lecz może w niéj znajdzie zapomnienie przeszłości, uprzejmą dobroć, pogodę na czole... ach! na tę myśl serce mu się krajało!

Odwiózłszy przeto Margaritę do jéj pałacu, wracał do domu pogrążony w myślach, przybity brzemieniem uczuć i wspomnień.

Wtém usłyszał wielką wrzawę głosów i instrumentów. Kazał zatrzymać powóz i wysiadł zaciekawiony, co znaczą te gwary. Wistocie, były to niezliczone tłumy, które dla uczczenia nowéj artystki odprowadzały ją do jéj mieszkania. Wiwaty, muzyka, bukiety, wieńce i wszelkie inne sposoby manifestowania zapału i uwielbienia, jakich bez liku mają ludy południowe, wszystkie na ten raz zostały zastosowane.

Mimo to Aniela była smutną: więcéj, niż kiedykolwiek, czuła się osamotnioną. Cóż jéj po tych owacyach, kiedy one nie zdołają osłodzić ani w najmniejszéj cząstce jéj cierpień?

Przeciwnie: pragnęła samotności. Widziała Edwarda, spotkała się z jego wejrzeniem i radaby sam na sam z sobą rozpamiętywać te chwile, które nawet wśród boleści zdały jéj się wielkiemi.

Przybywszy więc do swego mieszkania, jęła rozmyślać nad swoją niedolą.

— Poco mi sława?—mówiła.—Te listki wawrzynu, zdobiące mi czoło, są dla mnie cierniową koroną. O! kiedy tam w mojéj dolinie, wieczorny powiew przynosił mi zdala dźwięk jego głosu, nutę jego piosenki, wychodzącéj jakby z głębi morza, jakąż to sprawiało rozkosz uszom moim, głuchym dziś na te huczne oklaski!... Ale pocóż narzekam? Nie potrafiłam go uszczęśliwić. Nie jego to wina, ale moja... Ach! widziałam go! mogłam mu się przypatrzéć i zdaje mi się, że widziałam go płaczącym. O! Boże mój, Boże! daj mi jednę łzę jego, daj mi ją, to będzie najpiękniejsza perła w koronie artystki!.. Czy on pojmuje moje nieszczęście? Czy wié, że go kocham?... Kto wié, może nawet imienia mego nie pamięta! Może szczęście zatarło obraz mój w jego pamięci!

Życie jest jak morze, w którém odbija się tysiące twarzy, a po niejakim czasie ani jeden obraz w nim nie pozostaje. Wspomnienia bywają tak ruchome, jak piaski na pustyni. Nowy wiatr powieje, uniesie je, nie zostawiając po nich ani najmniejszego śladu... A jednakże tu, w mojém sercu, on jest zawsze; tak, ja go zawsze ubóstwiam... Gdyby on był kiedy nieszczęśliwym, bardzo nieszczęśliwym, wtenczas mogłabym mu powiedzieć... ach! nie, nie! cóżto ja myślę?... precz z tą myślą!... Nie jest-że to większą ofiarą myśléć o jego szczęściu? a czyż jego szczęście nie sprawia mi największych udręczeń? Więc pokazuje się, Anielo, że go nie kochasz, o! nie! Cóżto za miłość, która polega na własném uszczęśliwieniu? Nie, prawdziwa miłość powinna miéć swoje źródło w pragnieniu szczęścia dla ukochanego przedmiotu.

Bądź więc szczęśliwym z Margaritą!... O! Boże!—wołała Aniela składając ręce—niechaj on będzie szczęśliwym!—i upadła na kolana.

Cała w bieli, z kwiatami na głowie, spadającemi na rozpuszczonych włosach, z załzawioném okiem, z rękami złożonemi, z szeptem pobożnéj modlitwy na ustach, oblana białawém światłem księżyca, zaglądającego przez okno, porwana w ekstazie, zdawała się być aniołem na wygnaniu, błagającym Boga o powrót do nieba.

Zaiste, wyższe te istoty, co przez życie kroczą z ideałem w myśli, z najczystszém uczuciem, poświęcającém wszystko na ołtarzach tego ideału, zdolne ukochać aż do szału i szczęście znaléźć nawet w ofierze; te istoty, co na chwilkę zbiegają na ten padoł, by rozniecić dobro w sercach, światło w umysłach, które swojemi pojęciami, swojemi uczuciami przyozdabiają tę ziemię, ten ołtarz ofiarny, zlany już tyle krwi potoków: istoty te są aniołami. Burza ze szczególniejszém upodobaniem bierze je sobie za igraszkę, szalone jéj wichry siłą się na zagrzebanie ich w kale; one jednakże wznoszą się promieniste ku niebu, niby na białym i pięknym obłoku, który nie dozwala im nawet stopą dotknąć prochu tego świata.

Czémże byłaby ziemia, gdybyśmy nie wierzyli w byt takich istot. Niestety! trafiają się umysły, co w niezgodzie ze światem, zgorzkniałe, chore, wierząc w to, iż nad wszystkiém ciąży fatalizm wiecznego nieszczęścia, uparcie nic nie chcą widziéć, jak tylko serca występkiem skażone, rozumy nurzające się w błędzie; ale kto nie postradał wiary i nadziei, temu się zawsze kwiat jakiś rodzi na jałowym stepie życia.

Jednym z owych kwiatów była Aniela. Dla niéj nie było innéj myśli, jak jéj miłość. A jednakże nie zamykała się w martwém i bezpłodném pustkowiu swojego nieszczęścia. I owszem, ona za jego obręb wychodziła i szła z pociechą do biédnych, do słabych, niosła wdowi grosz sztuki w głębokie otchłanie, kędy się nędza szamocze w naszéj społeczności. Zaledwie ręce dotknęły najpierwszych jéj talentu plonów i już je rozdawały, istnie jak natura swe dary pomiędzy ludzi sumiennie rozdziela. A świadczone dobrodziejstwa głęboką osłaniała tajemnicą, tą świętą zasłoną, pod którą kryjąc się miłosierdzie, staje się jeszcze świętszém i piękniejszém.

Owego wieczoru, po długiéj walce, stoczonéj z własném sercem, szła do łóżka rozmyślając nad tém, iż przed nią jeszcze jedna droga stoi otworem: poświęcić się dla dawnego kochanka, czuwać nad jego szczęściem, życie swoje złożyć mu w ofierze.

Z tą myślą w głowie usnęła głęboko... Śniła, iż anioł przynosił jéj z nieba złotą koronę i że oddechem swoim wlewał w nią natchnienie a w jéj usta pieśń cudną, niebiańską... A potém ujrzała znów anioła niosącego w rękach kielich goryczy i cierniową koronę. Ten ją nie obdarzył ani natchnieniem, ani pieśniami, lecz spuścił na jéj duszę czystą cnót rosę. A w téj wielkiéj chwili głos rozlegający się w przestrzeniach mówił: „Wybieraj, wybieraj!" Aniela upadła na kolana, rzęsiste łzy twarz jéj zalały i obejmując za nogi anioła smutku i boleści, prosiła go, aby jéj dał skosztować téj gorzkiéj żółci; wypiła kielich do dna i zwracając próżny, rzekła: „Otóż wychyliłam mój kielich. Będę się nim poić zawsze. Ta gorycz będzie mojém życiem"... i zbudziła się łzami zalana.

W téj chwili weszła służąca z oznajmieniem, iż jakaś pani czeka chcąc się z nią widzieć. Aniela kazała ją prosić za chwilkę, skoro się tylko ubierze.

Wstawszy, zarzuciła na siebie naprędce biały szlafroczek; lecz tak była osłabioną, iż zaledwie mogła się utrzymać na nogach: osunęła się na fotel. Już prawie nie pamiętała, że jakaś pani ma wejść do jéj pokoju, gdy we drzwiach ukazała się Margarita, niosąc w ręku wieniec z kwiatów.

Na jéj widok Aniela zerwała się, jakby ugodzona w serce nagłym ciosem.

— Cóż panią tak przestrasza?—mówiła Margarita.

— Cóż panią może sprowadzać do mojego domu? — odparła Aniela.

— Pozwoli pani, że usiądę.

— A i owszem, i owszem: proszę.

— Chcę pani powinszować. Panno Anielo, jakżeś szczęśliwa!

— Czy pani sobie żartujesz ze mnie?

— Bynajmniéj. Wszakże masz pani u nóg swoich tłumy publiczności, a na głowie wspaniałe wieńce.

— Żałuję panią, jeżeli w tém tylko upatrujesz szczęście.

— O, nie! Ale ponieważ szczęście zupełne jest niemożliwém, wypada przeto wybierać pomiędzy różnemi jego rodzajami, a jabym ten wybrała.

— Mylisz się pani: to szczęście nigdy, nigdy nie dosięga serca. Całe to szczęście ani jednéj łzy nie wyciśnie, z tych łez słodkich, które łagodzą wszelkie cierpienia; nie, szczęście to płonne, bezowocne.

— Ach! panno Anielo! a ileż to serc gorącoby go pragnęło! I ja téż przychodzę złożyć mój wieniec na skroń pani.

— Bardzo dziękuję. Zachowam go, jako pamiątkę jednego z najsmutniejszych wieczorów w mojém życiu.

— To do mnie dotkliwa przymówka.

— Nie sądź pani, abym miała w sercu zawziętość ku wszystkim tym, którzy byli moich cierpień i łez przyczyną.

— O, nie! Wiem dobrze, iż osobą najwięcéj pani ukochaną jest ktoś, co najwięcéj pani łez wycisnął.

— To prawda, przyznaję. Bynajmniéj się tego nie wstydzę. Bardzo go kocham... I pragnę aby był szczęśliwym... O, tak, pani...— mówiła Aniela, ujmując z wylaniem dłoń swojéj rywalki—uczyń go pani szczęśliwym.

Z taką tkliwością wymówiła te słowa, iż pomimo swéj zimnéj nieczułości, Margarita została niemi aż do głębi poruszoną i łzy zakręciły się w jéj oczach.

Grobowe milczenie zawisło nad temi dwoma kobiétami, przejętemi w téj chwili jedną i tą samą myślą.

Nagle Aniela zawołała:

— On bardzo panią kocha, nieprawdaż?

Na twarzy jéj, ożywionéj nieopisanym wyrazem ciekawości, malowała się obawa odpowiedzi, jaką miała usłyszéć od Margarity.

— On kocha pannę Anielę—odrzekła cierpko Margarita.

— Mnie? mnie, mówisz pani?... oh!.. nie: to być nie może...

Wymawiając te słowa, głos jéj drgał niewypowiedzianą radością i w téj chwili odbiegły z jéj pamięci gorzkie wspomnienia dni tak bolesnych i przed oczyma jéj stanęła pierwsza miłość najczystsza, taka jak wtedy, gdy nie sprawiając jéj cierpień, była światłem jéj życia.

— I otóż w tém właśnie—dodała Margarita—leży tajemnica blizkich naszych zaślubin.

Zimny pot wystąpił na czoło Anieli: tak trudno rozstać się z nadzieją!

— Tak—kończyła Margarita—ja go nie kochałam; lecz od chwili, kiedy przekonałam się iż on kocha kogo innego, już i mnie się zdaje że go kocham.

— Nieszczęśliwa!—zawołała Aniela.

— Zwiesz mię pani nieszczęśliwą. To prawda, jestem nią i bardzo; lecz chociaż odemnie zależałoby zaradzić temu, niémam jednakże dosyć siły do wyzwolenia się z nieszczęścia.

— Ach! myśl pani o Bogu!

— O Bogu! Alboż nie wiesz pani, iż zgiełk światowy, atmosfera salonów, bale, zabawy, zacierają w myśli pamięć o Bogu? Zresztą teraz, gdy zostanę nierozłączną towarzyszką człowieka, którego powinnam uszczęśliwić, może być, że zmienię sposób myślenia.

I złośliwy wzrok utkwiła w Anieli, chcąc zapewne odgadnąć, jakie wrażenie sprawiają jéj słowa.

— Przebacz mi, pani—odezwała się na to Aniela—jeżeli prosić będę, abyś go nie uczyniła nieszczęśliwym.

— Panno Anielo! tyś nie kobiéta!—krzyknęła Margarita, kładąc z wściekłością nacisk na tém słowie.

— Dlaczegóż to pani mówisz?

— Dlatego, że gdybyś ty była Margaritą, a ja Anielą, ach! jabym się zemściła!

— A cóżby pani przyszło z zemsty?

— To, że cierpiałabyś.

— A cóżby pani przyszło z tego, że widziałabyś mię cierpiącą? Tylko złe serca mogą się cieszyć z cierpień i nieszczęścia drugich.

— Alboż miłość, kiedy jest prawdziwą, nie odbiera zastanowienia?

— Nie. Ona żyć będzie zawsze w głębi serca i zrośnie się z naszém życiem. Jeżeli jest nieszczęśliwy, cierpi, ale się nie mści; płacze, ale nie rozpacza. Ja Edwarda kocham całą duszą, a właśnie dlatego, że go kocham, wolę, ażeby z panią był szczęśliwym raczéj, niżby miał być nieszczęśliwym ze mną.

— Nie kochasz go!—zawołała Margarita.

— Ja go nie kocham? Patrz pani! Czy nie widzisz tych oczu wypłakanych, okrążonych sińcami? Niestety! one spochmurniały, i zgasły, bo jego nie widzą! Nie widzisz téj twarzy posępnéj i zwiędłéj? Mogła ona kwitnąć tylko przy promieniach jego wzroku. Przyłóż ucho do mego serca. Posłuchaj jego uderzeń: każde z nich jest zabójczém pchnięciem sztyletu. Patrz, to życie tak młode, gaśnie; to serce pełne siły, pęka; oczy się przymykają, ztąd, że ja go ubóstwiam, a on bez litości porzucił mię i zapomniał!

Taki był wyraz jéj oblicza, taki ogień iskrzył się w jéj oczach, tak boleśnie brzmiał jéj głos, iż Margarita wykrzyknęła:

— To prawda, kochasz go!

— A pani przyszłaś tu po to, aby napaść wzrok widokiem mojego cierpienia?—spytała Aniela.

— Bynajmniéj; ale ponieważ pani sprzyjasz Edwardowi... chciałam... zaprosić panią... na moje wesele.

Aniela z osłupieniem patrzała na Margaritę. W końcu rzekła:

— Życzę pani wszelkiego szczęścia.

— Panno Anielo—zagadnęła znów Margarita—proszę mi powiedzieć, jeżeli on panią kocha, jeżeli się z sobą zobaczycie...

— Bądź pani spokojną. Nie będę się z nim widzieć.

— O! A gdyby on przyszedł prosić o przebaczenie, miałażbyś siłę przebaczyć mu, kochać go, jak dawniéj?...

— Nie, nie! nigdy, przenigdy!

— A mówiłaś, że go kochasz?

— Ten Edward, którego ja kochałam, już nie żyje.

— To są metafizyczne subtelności.

— Tak, opłakałam jego zgon, noszę po nim w sercu ciężką żałobę, a na domiar mojego umartwienia wiem, że on cierpi piekielne męki i bóle.

Margarita wybuchła spazmatycznym śmiechem.

— Widzę żeś pani zazdrosna—rzekła z szyderskiém spojrzeniem.

— Zazdrosna? O! nie, nie! Zazdrosna o panią? Nigdy. Wszak pani powiedziałam, że ten Edward, którego ja kochałam, już nie żyje.

— Ale może zmartwychwstać.

— A, zapewne, mógłby kiedyś powrócić na prawą drogę.

— A wtenczas?

— O! wtenczas powiedziałabym mu żeby panią kochał.

Z tak głębokiém przekonaniem wyrzeczone były te słowa, iż słuchającéj mimowolnie wyrwało się z ust:

— To szczytna wielkość!

— Nie, to poczucie obowiązku—odrzekła z zupełnym spokojem Aniela. Wszak ma zostać małżonkiem pani. Edward powinien być dobrym mężem. Do miłości mojéj niéma już prawa, ale może pozyskać mój szacunek.

— Możesz pani pokochać kogo innego.

— Ja? nigdy, nigdy!—zawołała Aniela w oburzeniu.—Raz w życiu można kochać, raz jeden tylko. Jam stworzona do ofiary. Słyszę głos z nieba powołujący mię do walki... tak słyszę go...

Tu Aniela powstała jakby przemieniona. Wielka jakaś myśl zajaśniała na jéj twarzy. Jak gdyby ocknąwszy się ze snu, miała znów to samo widzenie, jakie jéj się ukazało poprzedzającéj nocy, i widziała je na jawie.

— Co pani jest? panno Anielo!—zawołała Margarita, tknięta tym dziwnym stanem zachwycenia.

— Nic mi nie jest... Postanowiłam sobie wziąć na siebie mój krzyż....

I nagle zwracając się do Margarity, spytała:

— Kiedyż ślub państwa?

— Pojutrze.

— A więc dobrze: będę na pani weselu i będę śpiewać.

— A?.. doprawdy?

— Doprawdy. Jakiż mogłabym zrobić lepszy użytek z mego głosu?

Margarita, która nie w innym celu tu przyszła, po krótkiéj chwili opuściła dom Anieli z zupełném zadowoleniem.

XVI.

W kilka dni po téj rozmowie miały nastąpić zaślubiny Margarity z Edwardem. W sercu tego ostatniego walka toczyła się bezustanna. Bywały chwile, w których zdawał się na wolę losu; lecz także chwilami rozum jego budząc się do podnioślejszych pojęć, protestował przeciw téj niewoli, w jakiéj go więziły niegodne namiętności. Przytrafia się często w młodości to nieszczęście, iż człowiek wewnętrzny, dusza, obumiera. Stało się to i z Edwardem. W pogoni za uciechami

z szału w szał, pogubił tu i owdzie po cząstce swojéj istoty, po iskierce sumienia. I tym sposobem popadł stopniowo w najcięższą chorobę, jaką można sobie wyobrazić, a jaką jest zupełna utrata woli.

Ach, młodość! ten wiek namiętności wielkich, wiek, w którym serce zżyma się na wszelką tyranią, w którym umysł przybiera pewną barwę rycerskości, co go czyni wzniosłym, wiek ofiar i poświęceń!... Młodość jeżeli potyra się w błocie, kiedy straci swoję tęgość, swoje porywy do innego lepszego świata, do innego życia piękniejszego niźli nędzny żywot ziemski, staje się wówczas zgrzybiałością przedwczesną, smutniejszą, rozpaczliwszą, występniejszą stokroć od samobójstwa, jestto albowiem zaprawdę samobójstwo duszy.

Otóż więc i Edward, który się zgubił samochcąc, który tylko cudem, za sprawą jakiegoś nadprzyrodzonego ducha, mógł sobie obiecywać, iż wyjdzie zwycięzko z choroby, co się w nim zagnieździła, po krótkotrwałéj walce, gdy mu nie dopisał hart woli, mocą któréj byłby rad-nie-rad powziął stanowcze postanowienie, pochylił czoło i poddał się losowi, przyjmując go bez skrzywienia, obojętnie, jak ktoś co się już po przyszłości niczego nie spodziewa.

Co innego Margarita: dla niéj życie było dramatem, lubiła nadzwyczaj wielkie efekta zmian nagłych, i naprzód już cieszyła się, że swojém zamężciem zwróci na siebie powszechną uwagę. A tyle się nawyśmiewała z małżeństwa!..

Kobiéta płocha, próżna, zalotna, powodująca się głównie zmiennością wrażeń, urządzała wszelkie przygotowania do wejścia w stan małżeński, ni mniéj ni więcéj, tylko jak gdyby do wielkiéj zabawy. Bogata, tak bogata, że sama nie wiedziała co robić z pieniędzmi, fantastyczna do tego stopnia, iż wszystko jéj się wnet uprzykrzyło, całą siłą wyobraźni uchwyciła się pomysłu pójścia za mąż, który jéj trafem przyszedł do głowy i który natychmiast postanowiła urzeczywistnić, bynajmniéj się nie zastanawiając nad żadném z jego następstw. Ani pomyślała o tém, iż uległy dotąd kochanek, zostawszy raz jéj mężem, mógł ją tyranizować: ufała potędze swego rozumu, a także liczyła i na słabość charakteru Edwarda.

Wesele to było dla Margarity wielką fetą, która miała olśnić dwór neapolitański. Król obiecał w dniu tym zaszczycić jéj dom swoją obecnością; damy najwyższych rodów będą jéj zazdrościć; wszystka arystokracya, trzymająca się dworu, uderzy czołem przed jéj wdziękami.

Nic nie brakowało do upiększenia tego widowiska. Różnokolorowe światła miały być porozwieszane na drzewach w ogrodzie, ażeby pycha Margarity mogła sobie wyobrazić, że gwiazdy zstąpiły, by jéj hołd złożyć. Wszyscy artyści z Neapolu mieli swém świetném gronem otoczyć wszechwładną królowę mody. Neapolitańskie damy wysilały się na pomysły, dla uczczenia jéj podarkami; młodzież ogołociła ogrody z kwiatów; a nawet lud, co zwykł iść zawsze za prądem zmiennych kaprysów mody, zwiększając go swoim przypływem, lud groma-

dził się tłumnie wokół zwycięzkiéj kobiéty, będącéj przedmiotem wszystkich rozmów, i dodajmy, przedmiotem obmów tak zwyczajnych w dworskich sferach.

A jednakże z tego właśnie wieczora wywiązać się miały dla niéj niefortunne wypadki, złamanie świetnego jéj życia.

Przedewszystkiém najmocniéj zaprzątała Margaritę ta myśl, iż Aniela będzie się znajdować u niéj w tym dniu szczęśliwym, acz nie pod względem miłości, lecz z powodu okazałego przepychu, jakim się otoczy, i sposobności zajęcia sobą całego dworu.

Zaprawdę, na pierwszy rzut oka trudném zdaje się do zrozumienia jak mógł taki wypadek, jak wesele Margarity, miéć dla dworu tak bardzo wielkie znaczenie. My dzisiaj tego nie rozumiemy. Lecz trzeba sobie wyobrazić dwór pod panowaniem czysto absolutném, gdzie król jest wszystkiem, gdzie niéma miejsca roztrząsania żadnéj ze spraw publicznych, gdzie działalność nie może sobie obrać żadnego wyższego przedmiotu, a więc dwór stara się zabijać czas plotkami, obmową i widowiskami; wyobraźmy sobie tedy dwór podobnego rodzaju, choćby nam to przyszło z wielką trudnością, a łatwo wówczas pojmiemy, iż zamążpójście młodéj kobiety, głośnéj w swoim czasie ze swych bogactw, miłostek i elegancyi, musiało być najulubieńszym tematem rozmów dla tych bezczynnych umysłów, które przy próżniactwie, a braku wykształcenia i nauki nie umiały wzlatać w wyższe i szersze sfery.

Margarita z właściwém swemu charakterowi trzpiotostwem, odsunęła od siebie myśl o wszystkiém inném, niż weselne uroczystości. Zdaje się niepodobném do wiary, aby krok tak ryzykowny i stanowczy w życiu mógł być traktowanym w sposób równie lekkomyślny. Wszystko, co się odnosiło do tego ważnego aktu, było tylko występem, galą, niczém więcéj. Dowodem tego było nawet przybycie na ten wieczór Anieli, o które się wystarała Margarita. Rozpowiadała ona, iż Aniela była jéj rywalką wzgardzoną, opuszczoną. I tym sposobem chciała ukazać swój tryumf w świetle bardziéj dramatycznym, upoetyzować swoje wesele.

Wszelako obecność Anieli na tym obchodzie weselnym, świadczyła wprost przeciwnie. I tak to zrozumiała biédna artystka, a dla wyprobowania, o ile serce jéj zahartowało się do cierpienia, postanowiła ukazać się w domu Margarity, na téj uroczystości tak dla niéj bolesnéj.

Obrzęd ślubny odbywał się publicznie, w kościele. Chciała Margarita, aby cały świat brał udział w téj uroczystości. Najwłaściwszym środkiem do osiągnięcia tego celu, było wystąpienie z największą jak tylko być może okazałością i wystawą. Najpiękniejsze zaprzęgi, najwspanialsze powozy, służba suto wygalonowana, wszystko wystąpiło w tym poranku i wabiło wzrok próżniaczego ludu neapolitańskiego, rozlegającego się po polach i po ulicach, niby sułtan na miękkiém łożu wpośród wonności swojego haremu.

Lecz w jednym z ciemnych zakątków świątyni, w któréj miał się odbyć ów obrzęd, gdzie dwoje ludzi miało sobie przysiądz miłość dozgonną, jedno przez kaprys, drugie czysto przez niedołęztwo; w jednéj z kaplic kościelnych, przed ołtarzem Najświętszéj Panny, klęczała kobiéta w długiém czarném okryciu, z zakwefioną twarzą, ze złożonemi rękami modliła się i płakała. Była to Aniela, która chcąc doświadczyć swoje serce, nie mówiąc nic nikomu, przyszła tu, aby usłyszéć tę przysięgę wiekuistéj miłości, jaką tylekroć z ust Edwarda słyszała.

Ta świątynia, ten szmer modłów, rozpraszający się po całéj przestrzeni, woń kadzideł, dźwięki organów, obijające się o sklepienia, uroczyste śpiewy w ustach kapłanów: wszystko to nie podziałało na serce Anieli w ten sposób, aby je uśpić, lecz owszem zbudziło je do polotu w nieskończoność.

Biédna Aniela widziała się osamotnioną; opuściła ją ta miłość, która była dla niéj aniołem tulącym ją pod swoje skrzydła. Z głębi ciemnéj kaplicy usłyszała słowa przysięgi tych dwojga ludzi i przypieczętowała je swojemi łzami. Słowa te jak cierń wpiły się w jéj serce... Na jednę chwilę ciemno jéj się zrobiło w oczach, ziemia usuwała się zpod stóp... A gdy wnet przyszła do siebie z téj nieprzytomności, spostrzegła, iż, ratując się od upadku, bezwiednie oburącz objęła krucyfiks.

Oh!—zawołała patrząc nań.—Tyś jedyną ucieczką serc strapionych, tyś jedyne dobro w życiu! Krzyż, krzyż!.. o! ja go poniosę z czołem wzniesioném do góry!

Obtarła oczy, spokojny wzrok utkwiła w krzyżu, a potém zwolna wyszła z kościoła.

Zdala słyszała zgiełk i radosną wrzawę; na wszystkie strony rozpowiadano sobie o przepysznych cugach, o wspaniałych toaletach wszystkich pań: dolatywały do jéj ucha życzenia pomyślności dla nowożeńców... Tyle ciosów godziło w jéj serce tak ostrych i przenikliwych, iż boleści jéj nie miały już liczby ani miary.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

O kwestyi religijnéj w Prusiech,

I.

Wolność religijna w Prusiech, przestrzegana reskryptami i edyktami królewskiemi, a późniéj stwierdzona w konstytucyi 1850 r., polegała, ze stanowiska państwowego, na uznaniu dwu kościołów: katolickiego i ewangelickiego, jako historycznie uprzywilejowanych, oraz na uznaniu innych wyznań nieuprzywilejowanych, jako to: braci morawskich, menonitów, greków, żydów. Kościołom katolickiemu i ewangelickiemu, również jak i innym wyznaniom, zapewniła konstytucya prawo rządzenia sobą i administrowania się niezależnego; oraz dyspozycyą wolną nad swemi majątkami i instytucyami, mającemi na celu kult, wykształcenie i dobroczynność. Stosunki stowarzyszeń religijnych z swymi przełożonymi były dozwolone, a listy pasterskie podlegały tylko tym prawom, jakim podlegały wszelkie publikacye. Prawo mianowania, proponowania, wyboru i potwierdzenia na posady duchowne, służyło, z pewnemi wyjątkami, obu kościołom.

Tymczasem dostał się był na czoło rządu w Prusiech minister Bismarck, którego na szeroką skalę zakreślone plany, miały się dać we znaki religijnéj wolności. Wczorajszy zwycięzca dwu państw pierwszorzędnych jednoczy Niemcy, nie pytając o prawo narodowe, a to jednoczenie oprzéć dąży na podstawie wszechwładzy państwa. Zaledwie ukończył wojnę z Francyą, rozpoczął ją z Kościołem, w którym upatrywał, mianowicie po ogłoszeniu nieomylności papiezkiéj jako dogmatu, zaporę najwalniejszą dla swego celu. Partya tak zwana liberalno-narodowa, w któréj oczach religia o tyle tylko zasługuje na uznanie, o ile jest indywidualną zasadą, nie zaś i asocyacyjną, przyklasnęła Bismarckowi, a poseł dr. Virchow wymyślił zaraz hasło bojowe: *walka za cywilizacyą.* Wszelako zrazu oględnie bardzo wzięto się do rzeczy, nie chciano nagle odsłonić uszykowanych bateryi, aby kół najwyższych nie przestraszyć taką rewolucyą, nieobliczonemi brzemienną następstwami. Projekt partyi liberalnéj, dotyczący zniesienia częściowego zakonów, rozbił się o *veto* ministra wyznań Mühlera, który z téj przyczyny miał doznać wkrótce jaknajniegodniejszych szkalowań od prasy żydowsko-liberalnéj. Bismarck bo czyhał, wedle zwykłéj swojéj taktyki,

na sposobność, którąby nosiła pozory winy ze strony Kościoła. Sposobność wkrótce się nadarzyła. Biskup warmiński widział się spowodowanym do ekskomunikacyi nauczyciela religii przy gimnazyum katolickiém w Brunsberdze, będącém pod dyrekcyą biskupią. Rząd ujął się za profesorem, dowodząc, że ekskomunikacya nie jest ważną wobec państwa, które płaci profesora i niéma mu nic do zarzucenia, że, nadto, nie powinna być dozwoloną, skoro pociąga za sobą skutki pewne cywilne i dotyka ekskomunikowanych na czci. Tak się rozpoczęła kampania w roku 1871; już w lipcu tegoż roku zniesiony został wydział katolicki w ministeryum wyznań, w listopadzie przeszło przez sejm prawo, od ministra bawarskiego Lutz, zwane Lutz'owém, a dotyczące nadużycia ambony w rozumieniu biurokratyczno-politycznem, wreszcie odjęto prawo nauczania Stowarzyszeniu braci i sióstr chrześciańskich.

W roku 1872 walka coraz bardziéj roznamiętniać się zaczynała. W lutym przechodzi prawo, odbierające dozór nad szkołami elementarnemi duchowieństwu; w czerwcu prawo, wydalające jezuitów. Już miesiąc rychléj jęto się środków radykalnych, aby zniweczyć niezawisłość Kościoła. Miesiąc maj miał się odtąd przez całe lat cztery zapisać okrutnemi głoskami w pamięci ludzi religijnych; ponieważ kolejno przeszły przez sejmy prawa, niszczące swobodę i historycznie uprzywilejowaną pozycyą Kościoła. Ku temu celowi nie wahano się nawet zmienić konstytucyi. Do artykułu piętnastego, na mocy którego służyła każdemu wyznaniu swoboda wewnętrzna w rządzeniu się i administrowaniu, dodaną została restrykcya następująca: „wszelako Kościół ulega prawom państwa i jego dozorowi, który prawo normuje." Do artykułu 18 który opiewał, że Kościół ma prawo mianowania i wyboru duchownych, dodano klauzulę, która brzmi: „prawo reguluje atrybucye państwa, dotyczące wychowania seminaryjnego, mianowania i kasacyi duchownych i oznacza zarazem granice władzy dyscyplinarnéj duchownéj." Tym oto sposobem utorowano sobie drogę do praw majowych 1873 r., wypracowanych przez ministra Falk'a.

A gdy biskupi i inni duchowni bronią się, a prasa katolicka wskazuje na fakt zgwałcenia konstytucyi, ministeryum odejmuje pensye duchownym, aby ich zmusić do uległości.

Rząd wchodzi na drogę prześladowania, pod przewodnictwem Bismarcka, którego gwałtowny charakter zastosowywa teraz do Kościoła maksymę: „ogniem i żelazem." Prasa płatna, na rozkaz z góry dany, plwa, nie tylko już na duchownych i prasę niezależną katolicką, ale i na wszystkich tych, którzy przeciwni byli podobnemu postępowaniu rządu: zowie ich złymi obywatelami i nieprzyjaciołmi państwa. A przecież wiadomo każdemu, jak, w roku 1866 i w roku 1870, wypełniali katolicy ciężkie obowiązki wojskowe. Pamiętamy dobrze, jak się np. w roku 1866 odzywał urzędowy organ berliński. Pisał on wówczas: „jeden z najświetniejszych dowodów, że Prusy wypełniają swoje posłannictwo cywilizacyjne, przedstawia nam działalność sfer duchownych.

Członkowie wszelkich wyznań prześcigają się w gorliwości obywatelskiéj, wszędzie, a mianowicie w łonie kościołów: katolickiego i ewangelickiego odznaczają się wszyscy duchem jaknajpiękniejszéj zgody i najwyborniejszego poszanowania wzajemnego." A teraz nie wahano się kazać prasie płatnéj oskarżać biskupów i tych, którzy z nimi trzymali, o sprzyjanie Austryi, w intencyi i w czynach, podczas onéj kampanii 1866 r.

W roku 1870 w końcu listopada, któż pierwszy, jeśli nie taki katolik, jak poseł Reichensperger, wygłosił w uniesieniu życzenie, aby korona cesarsko-niemiecka spoczęła na skroniach Hohenzollernów? Nie przewidywał, że w lat trzy późniéj zawołać z goryczą mu przyjdzie: i toż to żniwo z naszego zasiewu!? Prawa z roku 1873, z datą 11, 12, 13 i 14 maja, nie tylko niweczyły dawną swobodę Kościoła, ale wytwarzały zarazem całkiem nowy stan rzeczy, stawiały wszystkie kościoły, jakie tylko w państwie się znajdują, w zależności od rządu. Żadnego Kościoła niezależność nie ostoi się wobec praw, wkraczających bezustannie w dziedzinę spraw duchownych, dotyczących wykształcenia, mianowania i juryzdykcyonalnéj władzy.

Pierwsze z praw roku 1873, prawo z 11 maja „trudni się wychowaniem duchownych i mianowaniem ich na posady duchowne," a artykuł pierwszy tak brzmi: „posadę duchowną otrzymać może w kościele tak katolickim jak ewangelickim, tylko niemiec taki, który uprzednio odbył swe nauki wedle przepisów obecnego prawa i przeciw którego mianowaniu żadna ze strony państwa nie zaszła opozycya." Artykuł czwarty określa doniosłość tych przepisów w następnych słowach: „aby otrzymać posadę duchowną, trzeba złożyć egzamin dojrzałości w gimnazyum niemieckiém, trzy lata studyować teologią na jednym z uniwersytetów niemieckich, a w końcu zdać egzamin państwowy, którego warunki bliższe zawierają rozporządzenia." Widzimy więc, że państwo wymaga i nakazuje, aby ksiądz każdy przejął się wprzódy duchem wykształcenia i pojęć pruskich, a nie pozwala mu wypełniać funkcyi pasterskich jak tylko wtenczas, gdy go osądzi za dobrego swego urzędnika. W tym samym celu poddaje artykuł dziewiąty nadzorowi państwa „wszystkie instytucye religijne, trudniące się wychowaniem wstępném duchownych." Więc i organizacya wewnętrzna i dyscyplinarne regulamina i plan nauk, winny podlegać decyzyi naczelników pojedynczych prowincyi, czyli tak zwanych naczelnych prezesów. Profesorowie otrzymują swe posady tylko z pozwolenia państwa. Jeżeli zaś tych innych przepisów, które wszystkie nacechowane są nieufnością i wyrażają zarazem zupełną supremacyą państwową, nie wypełni władza duchowna jaknajściśléj, ministrowi wyznań służy prawo odjęcia funduszów udzielanych, albo zamknięcia saméjże instytucyi. Tenże minister wydaje szczegółowe rozporządzenia co do egzaminów. Jedném słowem, wkracza wszędzie władza świecka w wychowanie duchownych i ruguje biskupów, ogłasza siebie za naj-

wyższą instancyą w sprawach dotyczących zdatności i wyboru aspirantów do stanu duchownego.

O mianowaniu na posady duchowne opiewa artykuł piętnasty, „że biskupi i wogóle przełożeni duchowni, zobowiązani są wymienić po imieniu i nazwisku naczelnym przezesom kandydata, któremu chcą poruczyć pasterstwo dusz, lub jakąbądź posadę duchowną i wyszczególnić zarazem rodzaj takowéj. Ten sam obowiązek ciąży na przełożonych duchownych w razach, gdy z jednéj posady przenoszą księży na drugą. W przeciągu dni 30 służy naczelnemu prezesowi *veto* przeciw umieszczeniu lub przemianie duchownych, a to na zasadzie motywów, prawem określonych, między któremi takie np. znajdują się: „jeśli istnieją fakta, które upoważniają do mniemania, że kandydat przekroczy prawa państwa, lub wykroczy przeciw rozporządzeniom, wydanym przez państwo w zakresie jego kompetencyi, lub też zamąci pokój publiczny," naczelny prezes ma prawo niedopuszczenia kandydata.

Przeciw téj dyskrecyonalnéj władzy służy wprawdzie apelacya do trybunału królewskiego *ad hoc* ustanowionego, ale jakiż to skład tego trybunału? Otóż trybunał, ustanowiony prawem z 12 maja tegoż roku składa się z 11 członków, z których prezes i pięciu przynajmniéj członków winno być urzędnikami sądowymi państwowymi. Wszystkich zaś mianuje król na przedstawienie ministra. Ci, którzy już są urzędnikami, pozostaną na swéj posadzie tak długo, jak się to rządowi podobać będzie; drudzy dożywotnio urząd zatrzymują. Koniec więc końców, państwo stawa się tutaj sędzią zarazem i stroną.

Gdyby zaś biskup nie wymienił innego kandydata, po odrzuceniu pierwszego przez naczelnego prezesa? I tę okoliczność przewidziało prawo, stanowiąc: że każda posada pasterza dusz, winna być w przeciągu roku obsadzoną. Z upływem roku służy naczelnemu prezesowi prawo zmuszenia biskupa „przez nałożenie nań kary aż do wysokości tysiąca talarów." Naczelnemu prezesowi tymczasem, nim przystąpi do nałożenia kary owéj, służy prawo zawieszenia wypłaty pensyi biskupiéj.

Samowładność państwa jeszcze oczywiściéj występuje w artykule dziewiętnastym, który brzmi: „tworzenie posad duchownych, których tytularni piastunowie mogą być *pure* odwołani, może tylko nastąpić za zezwoleniem ministra wyznań." I znów ustanawia się kara pieniężna do wysokości tysiąca talarów za wykroczenie biskupa w tym razie. Prawodawstwo majowe nie zapomina i o księżach lub profesorach zagranicznych. Wymaga ono od nich wystarania się, w przeciągu pół roku, o indygenat pruski, względnie cesarsko-niemiecki.

Prawo z 12 maja ustanowiło, jak już powiedzieliśmy, trybunał królewski *ad hoc*, przez co państwo stało się najwyższym sędzią między biskupami a duchowieństwem w sprawach czysto duchownych. Odjęcie wolności księdzu z ramienia biskupa i wysłanie go na odsiedzenie winy, może trwać tylko 3 miesiące. Artykuł 10 mówi, „że przeciw

wyrokom duchownym, skazującym na karę dyscyplinarną, apelować może karany do władz państwa," przyczém prawo reguluje zaraz warunki i procedurę téj apelacyi. Słudzy kościoła wykraczający bądź przeciw przepisom praw państwa, odnośnie do swych funkcyi, bądź przeciw rozporządzeniom, wydanym przez władzę publiczną, mogą być, na wniosek takowéj, odwołani ze swych posad za wyrokiem sądowym. A jeśliby, mimo wyroku, śmieli pełnić daléj swój urząd, skazani być mają na kary pieniężne, aż do wysokości 1000 talarów.

Prawa te z r. 1873 wykazują więc jasno, jak dalece państwo pruskie wtłacza Kościół w ryzę ciasnéj swéj i nieubłaganéj dyscypliny, a zarazem narzuca się na protektora duchownych przeciw biskupom i tym sposobem zupełny w zasadzie uprawnia bunt.

Nie dosyć przecież tego było Bismarckowi, który w dwu następnych latach poszedł jeszcze daléj, coraz to nowe przeprowadzając prawa, bądź prewencyjne, bądź represyjne.

W maju r. 1874 przechodzi prawo dotyczące administrowania opróżnionych biskupstw i stanowi, „że kto chce administrować majątkiem opróżnionego biskupstwa, winien przedstawić naczelnemu prezesowi właściwéj prowincyi tytuł swój legalny, na mocy prawa z r. 1873, 11 maja i oświadczyć swą gotowość do złożenia przysięgi „wierności i posłuszeństwa" koronie i prawom państwa. Zasada przeto zawsze niezmiennie ta sama pozostaje, a nią jest: absolutne poddanie Kościoła państwu. Każdy biskup, sprzeciwiający się takiemu upośledzeniu Kościoła, miał widoki dostania się do więzienia, trwającego od 6 miesięcy aż do 2 lat, utracenia indygenatu i aż wydalenia z państwa. To téż nastąpiło kolejno i przeprowadzone nadto zostało z bezwzględnością, jakiéj szukać w państwach cywilizowanych.

W tym samym niemal czasie przeszło inne jeszcze prawo, uzupełniające dodatkowo prawa z r. 1873, dotyczące wychowania i mianowania duchownych.

Nie na tém przecież koniec. Bismarck jeszcze zupełnie arsenału swego nie wyczerpał. Siódmego maja rozpoczęła się w Izbie deputowanych berlińskich dyskusya nad zniesieniem zakonów. Wniosek o zniesienie przeszedł po kilku posiedzeniach i stał się niebawem prawem. Opiewa ono, „że wszystkie zakony i kongregacye katolickie, wykluczone są z obrębu państwa, a fundacya takowych zakazana. Te, które istnieją, nie mogą nowymi zasilać się członkami i winny być w pół roku rozwiązane. Zakony, trudniące się pielęgnowaniem chorych, nie podpadają grozie powyższych praw, wszelako mogą i one być rozwiązane osobném rozporządzeniem korony, a podlegają bezwarunkowo kontroli rządu."

Kościół więc w Prusiech umundurowano po prusku, wymierzono mu racye chleba i porcye powietrza.

II.

Papież Leon XIII, widząc straszne spustoszenie moralne, sprowadzone przez prawa majowe, uczynił pierwszy krok ku tranzakcyi. W jesieni 1879 r. wystosował list do arcybiskupa kolońskiego, w którym wyrzekł te słowa: „Prośmy Boga, aby natchnął większą łagodnością serca przesławnego cesarza Niemiec i tych mężów wpływowych, którzy go otaczają," a w roku bieżącym pisał do tegoż arcybiskupa pod d. 24 lutego: „ci, którzy kierują nawą państwa, poznają, że nie chcemy wkraczać w dziedzinę praw cudzych, że pokój trwały może istnieć między władzą duchowną a rządem, jeśli tylko obie strony mają rzetelną wolę utrzymania pokoju, lub powrócenia doń w razie potrzeby. Wszyscy wierni przekonani są, że nas ożywia ten duch i ta wola. Tak też jest; żyje w nas tak silnie ta wola, że, mając na uwadze zbawienie dusz, porządek publiczny i korzyści zeń płynące, nie wahamy się oświadczyć, iż dla przyśpieszenia upragnionego porozumienia, pozwolimy, aby nazwiska duchownych, wybranych przez biskupów do pełnienia służby Bożéj, podawane były, przed instytuowaniem kanonicznem, do wiadomości rządu pruskiego."

Wolno wnioskować, że krok ten pojednawczy papieża, ma związek jakiś z negocyacyami, prowadzonemi poufnie w Wiedniu, między wysłannikiem Bismarcka a nuncyuszem i że, gdyby Stolica święta nie była żadnéj dopatrzyła w Bismarcku skłonności do ulg, nie byłby papież drugiego swego listu do arcybiskupa napisał i na ogłoszenie takowego zezwolił.

Ale czyż wnosić można, że zamiana dalsza zdań między Berlinem a Watykanem, sprowadzić potrafi kasacyą praw majowych? Państwo pruskie nie uznaje żadnego pierwiastku wyższego nad swój, nie znosi nawet żadnéj władzy równéj. Ta supremacya władzy pruskiéj centralnéj rośnie ciągle od chwili uformowania się Cesarstwa. Przekroczyła ona już dawno granice Królestwa i rozciąga się coraz dobitniéj na wszystkie kraje zjednoczone w Cesarstwie. Nasamprzód armią, potém cła ogarnęła wszechpotężna centralizacya. Przychodzi teraz kréska na koleje żelazne. Kontyngens wojskowy znów na 7 lat ustalony został. W parze z podkopaniem parlamentaryzmu, idzie dążność do zreformowania konstytucyi Cesarstwa na korzyść przewagi Prus. Przewaga ta ciąży codzień bardziéj na ciele niemieckiém całkowitém, Prusy gotowe są do złamania wszelkich zachętek jakiéjbądź opozycyi w Niemczech. Jakież więc jest prawdopodobieństwo, aby Bismarck, który jest wcieleniem aspiracyi pruskich, chciał właśnie zwolnić pęta, jakiemi skrępował katolicyzm, w którym upatruje potęgę zewnętrzną, nieprzyjazną jego powadze, nieuznającą supremacyi państwa w sprawach duchownych, będącą wreszcie, z natury rzeczy,

nieprzychylną dążeniom rządu protestanckiego, mieniącego się najwyższą we *wszystkich* sprawach instancyą?

Jakże odpowiedział Bismarck na pojednawczy krok papieża? Rezolucyą ministeryalną z 17 marca, w któréj powiedziane jest, że listowi papiezkiemu tak długo „li wartość teoretyczną" przypisać trzeba, jak długo biskupi nie dowiodą swém postępowaniem, że dobre zamiary Stolicy Apostolskiéj zgadzają się z przepisami prawa publicznego pruskiego. Bismarck czeka na praktyczny rezultat pojednawczéj papieża odezwy, a gdy będzie miał dowód widoczny w rękach, będzie się starał takoż krok naprzód uczynić do tranzakcyi. Wezwie wtedy reprezentacyą narodu, „aby mu dała pełnomocnictwo, któreby mu pozwoliło zastosować jaknajłagodniéj istniejące prawa majowe." O zniesieniu praw majowych nie wspomniała ni słówkiem deklaracya ministeryalna.

Jakoż niebawem przekonać się było można, jakiego to rodzaju są koncesye Bismarcka. Co dopiéro ukończona kadencya sejmowa zajmowała się projektem rządowym, mającym na celu uzyskanie od sejmu władzy dyskrecyonalnéj, w zastosowaniu takiém lubo owakiém praw majowych. Bismarck nie odstąpił ani o jotę od zasady, że państwo nie potrzebuje żadnych układów z Watykanem i czynić będzie to, co mu się na razie zdawać będzie pożyteczném dla katolików, bez odwoływania się do głowy kościoła katolickiego.

Jaki dalszy obrót wezmą rzeczy, nie będziem się kusić odgadywać. Jedni mniemają, że prędzéj czy późniéj przyjdzie znów do jakiéjś komplanacyi; drudzy sądzą, że Bismarck zastosuje do całego imperyum prawodawstwo antikościelne pruskie. Przyszłość pokaże, która z tych dwóch opinii lepiéj ocenia politykę Bismarcka.

Dajmy na to, że przyjdzie do jakiegoś znośnego chwilowego pożycia między państwem a Kościołem; do zgody poważniejszéj przyjść nie może. Bismarck nie pójdzie do Kanossy; a papieztwo do Warcynu pójść także nie może. Pozostanie więc, koniec końcem, ciągły stan prowizoryczny, brzemienny w niebezpieczeństwa; niepokój w sumieniach nie ustanie i gotów wytworzyć zgubne dla wolności obustronnéj skutki, które utrudnią jeszcze bardziéj uorganizowanie się sprawiedliwego stosunku między wolnością Kościoła a władzą państwa.

L. Ż.

* * *

Dla tém dokładniejszego określenia istoty, toczącéj się w Niemczech, a mianowicie w Prusiech, walki uciśnionych interesów Kościoła przeciwko zamachom władzy państwowéj, wypada zwrócić jeszcze uwagę na to, że taktyka stronnictwa liberalnego uciekła się w ostatnim czasie do jednéj broni, która na tém polu okazywała się dotychczas zawsze najskuteczniejszą wśród ciemnych mas ludności. Liberalizm niemieckich kosmopolitów starał się podstępnie nadać tym sporom charakter walki katolicyzmu z protestantyzmem. Przeciwko takiéj in-

synuacyi, podniósł bardzo stanowczo głos swój poseł Windhorst w mowie swojéj do wyborców w Kolonii, dnia 20 lipca r. b., w któréj czytamy: „Nie, panowie, to nie jest walka wyznań, o ile wyznania opierają się na wierze Jezusa Chrystusa: jestto walka wiary, objawionéj z niewiarą, pogaństwem, materyalizmem, słowem z bezwyznaniowością; a gdyby materyaliści w Niemczech pragnęli rzeczywiście rozdmuchać walkę między wyznaniami, będziemy ze wszystkich sił pracowali nad tém, aby jéj niedopuścić, aby ją zażegnać." Zaznaczywszy daléj, że ostatnie rozprawy w parlamencie dokazały już tego, że rząd przyznał się do błędu, jaki, idąc zadaleko w prawach majowych, popełnił, że radby był zakończeniu walki—nie wątpi, że pożądany pokój osiągniętym będzie, skoro odpowiednie środki do tego wynaleźć się dadzą. Jak się ta sprawa daléj rozplątywać będzie, nie można kategorycznie jeszcze odpowiedzieć, ponieważ żaden z czynników decydujących w téj sprawie, nie wyjaśnił sobie w zupełności téj kwestyi. Tymczasem zyskano przynajmniéj tyle, że tak rząd jak i stronnictwa parlamentarne poznały dokładniéj stosunki i przekonały się, jak wiele jeszcze trudności przezwyciężyć trzeba, aby dojść do powszechnie upragnionego układu. Po téj zaciętéj walce muszą się umysły zupełnie uspokoić: a jeśli ze wszystkich stron objawi się wówczas dobra wola, to znajdzie się bardzo wiele punktów, za pomocą których można będzie dzieło pokoju daléj poprowadzić, ponieważ w obecném położeniu sprawa ta długo pozostać nie może. Trwały układ dopiéro po usunięciu praw majowych nastąpić może, bo „kiedy budowa jest zachwianą w swych fundamentach, trzeba ją najprzód rozebrać: potém dopiéro można się na tym samym gruncie zająć nową budową." Skoro rząd o tém się przekona, to rokowania nanowo podejmie. Windhorst objawia nadzieję, że to nie długo nastąpi, bo tak zewnętrzne jak i wewnętrzne stosunki dopominają się rychłego załatwienia téj sprawy. „Śmiem twierdzić, że jeżeli się téj walce, prowadzonéj pod sztandarem fałszywéj kultury, końca nie położy, to sobie ze socyalizmem trwale i skutecznie rady nie damy. Nie powinniśmy jednak oczekiwać na to z założonémi rękami, ale we wszystkich kierunkach czynność naszę rozwijać, o ile prawa na to pozwalają. W gminie, na radach prowincyonalnych, w sejmie i w parlamencie rzeszy powinniśmy praw naszych bronić, bo politycy dzisiejszego wieku trzymają się realizmu, który uczy, że kto niéma nic do oddania, ten téż wzajem niczego dostać nie powinien. Starajmy się o taką siłę, abyśmy wobec pewnéj rękojmi sami wiele dać mogli. „Potęgi i skarbów świata tego nie pragniemy, lecz mamy prawo żądać wolności sumienia i niezależności Kościoła katolickiego. Chcemy pokoju z braćmi naszymi, pragniemy stanąć wraz z nimi w obronie ojczyzny; ale żądamy, ażeby nam w ojczyznie naszéj nie przeszkadzali służyć Bogu według zasad naszego Kościoła; bo i my nie przeszkadzamy nikomu chwalić Boga według jego woli, uważając przeciwne postępowanie za niesprawiedliwe i za niegodziwe. Oto

jest cel, panowie, jaki mamy przed sobą, a wobec tego smutném to zaiste jest znakiem chwili, że organa publiczne tak głęboko w bezbożności się pogrążyły, że nie pojmują już nawet potworności takiéj, aby mężowie niemieccy mogli miotać się na rzeczy ku niebu prowadzące, aby mogli potępiać żarliwie to, co człowieka od materyi wyróżnia. Wobec tak smutnego zjawiska, my nie będziemy jednak wyprawiali pląsów około złotego cielca naszéj epoki; lecz będziemy walczyli wobec Krzyża, który choć był na wzgardę skazany, mimo to zwyciężył, i żadna nas potęga ziemska w naszéj wierze nie zachwieje."

KILKA SŁÓW

Z POWODU ZNALEZIONEGO WE FRANCYI POMNIKA JANA SOBIESKIEGO.

PRZEZ

Józefa Łoskiego.

W zeszycie kwietniowym *Biblioteki Warszawskiéj* zamieszczony był w przekładzie z paryzkiego czasopisma: *Gazette des beaux arts*, artykuł pana Maryusza Vachon o znajdującym się we Francyi wspaniałym pomniku Jana Sobieskiego, wykonanym za życia tego monarchy przez Piotra Vaneau. Ponieważ wiadomość o tém odkryciu obudziła u nas pewne zajęcie, podam w tym przedmiocie bliższe szczegóły.

Wkrótce po ukazaniu się w paryzkiéj gazecie sztuk pięknych opisu pomnika Sobieskiego, znany z wytwornych prac rzeźbiarskich pan Bolesław hr. Starzyński zajął się zebraniem fotograficznych kopii tak szacownego zabytku. Rozproszenie składających go części w kilku miejscowościach, znacznie od siebie oddalonych, niemałe w uskutecznieniu tego zamiaru przedstawiło trudności; wszakże umiano je pokonać i owocem tych usiłowań było zebranie przez hr. Starzyńskiego 12 tablic in folio, przedstawiających posągi i płaskorzeźby wchodzące w skład pomnika. Dzięki téj gorliwości prawdziwego miłośnika sztuki i zaufaniu, z jakiém mi zdjęte z oryginału kopie powierzył, byłem w możności dokładnego rozpatrzenia się w tém dziele, co doprowadziło mnie do wniosków niezgodnych z twierdzeniem archeologa francuzkiego.

Pan Maryusz Vachon, który tak ważne dla nas zrobił odkrycie, najzupełniéj się myli, nazywając utwór Piotra Vaneau *projektem pomnika*. Jak malarze pierwsze swe pomysły, nawet do największych obrazów na małe rzucają płótno, bez ostatecznego ich wykończenia, tak się rzecz ma z kompozycyami rzeźbiarskiemi. Rzeźbiarz mający wykonać znakomitsze dzieło sztuki, tworzy projekt małych rozmiarów i podobnie jak malarz go szkicuje. Takie projekty widzieć można nietylko w każdéj rzeźbiarskiéj pracowni, ale i w muzeach, gdzie nie-

które z nich przechowują się z dawnych czasów; dzieło zatém Piotra Vaneau poświęcone pamięci wiedeńskiego zwycięztwa, a odznaczające się wielkością rozmiarów i delikatnością rzeźby, nie jest jak twierdzi pan Vachon *projektem pomnika*, mającego być wyrobionym w marmurze, ale dziełem ostatecznie w drzewie wykończoném, które miało być umieszczone we wnętrzu jednego z pałaców królewskich. Jeżeliby zaś w tym utworze chciano upatrywać model, według którego miał być wykuty téjże wielkości pomnik z marmuru, lub też odlany ze spiżu, to przeczy temu okoliczność, że modele rzeźbiarskie robią się z gliny; przypuściwszy zaś że Piotr Vaneau tworzył pod tym względem wyjątek, to nie używałby na model tak trudnego w obrobieniu materyału, jakim jest drzewo dębowe lub orzechowe.

Wiadomo, że od najdawniejszych czasów rzeźby drewniane miały jaknajszersze w utworach sztuki zastosowanie. Nietylko kościoły zawierają niezliczone z tego materyału wyroby, ale zdobiono też niemi gmachy publiczne i pałace; świadczą o tém rzeźbione stropy, ściany boazeryami pokryte, karyatydy, monumentalne kominy i inne ozdoby, które podziwiamy we wspaniałych ratuszach Holandyi i Belgii, jak również w wielu starożytnych zamkach całéj zachodniéj i środkowéj Europy.

Najokazalsze rozmiarami dzieła snycerskie, składające się nietylko z pojedyńczych posągów ale nawet z grup kolosalnéj wielkości, zwykle odnoszących się do dziejów rodzinnych pana zamku, a niekiedy do wypadków historycznych, stawiano w przedsionkach, które w tym celu bywały dwupiętrowe, nieraz wysokiemi pokryte kopułami. Jedne tego rodzaju dzieła snycerskie stanowiły ozdobę dwurzędowych schodów prowadzących do paradnych komnat pierwszego piętra; inne zaś stawiano w przedsionkach, lub na środku poświęconego na ten cel przybytku.

Takie niewątpliwie było przeznaczenie drewnianego pomnika Jana Sobieskiego, który że nie miał być wykonany w marmurze lub spiżu, świadczy okoliczność, że Piotr Vaneau był wyłącznie snycerzem: wszystkie bowiem jego dzieła znajdujące się w Velay i Auwernii, są według pana Vachon drewniane. Twierdzenie autora francuzkiego, że Vaneau wysłał do Polski swój projekt pomnika, a z nim jednego ze swych uczniów, który miał to dzieło wykonać z marmuru, na niczém nie jest oparte i na wiarę nie zasługuje, podobnie jak i przypuszczenie, że pomnik został napowrót z Polski odwieziony do Francyi. Pominąwszy bowiem trudności jakie w owych czasach powodowały tego rodzaju transporty, trudno przypuścić, aby nie pozostało u nas żadnego podania lub piśmiennego świadectwa o tak niezwykłym wypadku.

Zgadzam się z panem Vachon, że szwagier Maryi Kazimiery margrabia Franciszek de Bethune, który sam będąc znawcą sztuki, przyczynił się w czasie swego długiego na dworze polskim pobytu, do rozwinięcia w Sobieskim uczucia piękna, mógł rozpowiadać o talencie nadwornego snycerza swego brata biskupa Puy, co mogło skłonić kró-

la lub jego małżonkę, do zamówienia u Piotra Vaneau pomnika, mającego przedstawić jeden z najświetniejszych czynów wojennych tego monarchy. Że Vaneau nie był sprowadzony do Polski, mamy dowód w tém, że przedstawił rycerzy polskich z brodami, których naówczas przodkowie nasi nie nosili; do wiernego zaś przedstawienia oblicza króla, mogły mu posłużyć liczne medale i ryciny przedstawiające Sobieskiego, które rozpowszechnione były w całéj Europie.

Pozostanie tego dzieła we Francyi daje się wytłómaczyć nietylko śmiercią artysty przed wykończeniem części architektonicznych pomnika, ale i zniechęceniem, jakie w ostatnich latach życia, skutkiem doznanych zawodów i zgryzot domowych owładnęło Sobieskim, późniéj jego śmiercią i rozproszeniem się rodziny królewskiéj [1]).

Że Sobiescy wiedzieli o istnieniu i wartości tego pomnika, mamy dowód w tém, że najpiękniejsze płaskorzeźby zakupione zostały przez jednego z członków rodziny książąt de Buillon, prawdopodobnie przez wnuczkę Jana III Maryą Elżbietę, małżonkę Karola Godfreda de la Tour d'Auvergne, (syna księcia de Bouillon); dopiéro przed dwudziestu kilku laty nabył je po téj rodzinie ś. p. hr. Ksawery Branicki i umieścił w swoim zamku Montresor w okolicach Tours.

Przechodzę do opisu posągów, którym p. Vachon zbyt krótką poświęcił wzmiankę.

Posąg Jana III. Sobieski w wieńcu laurowym na głowie, ubrany jest po rzymsku. Ramiona jego pokrywa płaszcz podbity futrem, którego fałdy przytrzymuje lewą ręką na boku wspartą, prawą zaś dzierży buławę naczelnego wodza wojsk sprzymierzonych [2]). Klamra u płaszcza spina zarazem bogaty, kamieniami wysadzany naszyjnik. Na jego szerokiéj piersi pokrytéj pancerzem, widać wstęgę orderu ś. Ducha; krótka naszywana tunika i lwiemi głowami zdobne sandały, dopełniają ubioru. Twarz jego pysznie modelowana i odznaczająca się podobieństwem, jak również cała postać tchnąca siłą, pewnością siebie i spokojem, doskonale oddaje bohatérski charakter monarchy.

Posągi niewolników. Są one uosobieniem narodów, z których się składały zastępy Kara-Mustafy. Najwięcéj uderza oko patrzącego postać Turka o dzikim wyrazie twarzy, który zerwawszy z lewéj ręki okowy, prawą wznosi je groźnie w górę, jakby chciał niemi ugodzić wroga; nie mogąc się jednak z więzów uwolnić z wściekłością depcze własny turban. Téj postaci dzikiego barbarzyńcy odpowiada atletycznéj budowy niewolnik, który z poddaniem się, dźwiga krepujące go

[1]) W tém miejscu warto przypomnieć, że posąg Sobieskiego stojący w Łazienkach, był jeszcze za życia tego monarchy rozpoczęty, następnie zaniedbany, pozostał w tym stanie aż do czasu, w którym Stanisław August kazał go z Szydłowca sprowadzić i wykończyć. Okoliczność ta stwierdzająca zobojętnienie jakiemu uległ Sobieski, zdaje się najlepiéj objaśniać, dlaczego pomnik Vaneau zamówiony u tego artysty w szczęśliwych chwilach panowania, później takiegoż samego doznał losu.

[2]) Część téj buławy jest utrącona.

okowy. Dwie następne figury, klasyczną pięknością bardzo różniące się od pierwszych, wyobrażają ludy chrześciańskie, które zmuszone były przez Turków walczyć przeciw swym współwyznawcom. Myśl tę wymownie wyraża, przypominający Laokona, niewolnik, który wznosi oczy do nieba błagając miłosierdzia.

Nie mniéj duchowego wyrazu posiada postać z głową podniesioną, w któréj artysta chciał, jak się zdaje, uosobić jęczącego w jarzmie tureckim Greka. Wszystkich tych piękności, świadczących o wysokim polocie wyobraźni artysty i duchowym nastroju każdéj jego kreacyi, nie dostrzegł p. Vachon, który upatrzył sobie w tych figurach Rosyanina i Węgra, gdy, jak wiadomo, Sobieski żadnych wojen z Rossyą nie prowadził, przeciwnie, zawarł z tém państwem pamiętny pokój Grzymułtowski. Nie był też wrogiem Węgrów i podczas kampanii wiedeńskiéj starał się z nimi porozumieć.

Nie będę się rozszerzać nad pięknością płaskorzeźb, których obszerny opis dał p. Vachon.

Z pełnych, bujnéj fantazyi kompozycyi, zdobiących piedestał pomnika, widzimy, że Vaneau celował także w ornamentyce. Obok tych zalet nie można pominąć tego misternego wykończenia, które we wszystkich szczegółach spotykamy. Co do medalionu, umieszczonego pod medalionem Sobieskiego, w którym p. Vachon upatruje księcia de Soisson, późniejszego księcia Eugéniusza, zrobię uwagę, że gdyby artysta chciał wyjątkowo odznaczyć jednego z książąt, biorących udział w téj rozprawie, umieściłby księcia lotaryńskiego lub Maksymiliana bawarskiego, przyszłego zięcia króla Jana, których popiersia znajdują się na współczesnych bitych w Niemczech medalach, na pamiątkę bitwy pod Wiedniem, nie zaś księcia de Soisson, o którym w téj epoce milczy historya.

Z całego pomnika widzimy, że był on wyłącznie poświęcony Janowi Sobieskiemu, który chcąc się swoją sławą wojenną z ukochanym synem podzielić, kazał artyście pod własném popiersiem umieścić wizerunek królewicza, jakby chciał jego prawa do następstwa po nim przypomnieć narodowi. Nadmieniam, że przy porównaniu wspominanego medalionu, ze znaną ryciną rodziny Sobieskich, sztychowaną przez Henryka Fariat i ofiarowaną kardynałowi de Forbin-Janson, znalazłem w twarzy, uzbrojeniu, aż do laski, którą młodzieniec trzyma w ręku, zupełne z portretem królewicza Jakóba podobieństwo. Miejmy nadzieję, że ten pomnik Sobieskiego, tak niespodziewanie odkryty w chwili zbliżającego się jubileuszowego obchodu wiedeńskiego zwycięztwa, niebawem właściwe otrzyma przeznaczenie. Tę nadzieję umacnia w nas wiadomość o zamierzoném przez księżnę Zuzannę Czartoryską zebraniu w jedno miejsce rozproszonych części tego utworu. Jeżeli piękna myśl księżny przyjdzie do skutku, wtedy można będzie zdjąć kopie z posągów i płaskorzeźb, co przy użyciu galwanoplastyki nie wymagałoby zbyt wielkiego nakładu. Na architektoniczną zaś część pomnika, najwłaściwsze byłoby użycie porfiru, którego piękne

gatunki u nas się znajdują. Kraków, który witał w swych murach powracającego z tylu zwycięzkich wypraw króla Jana, byłby najwłaściwszém miejscem dla téj pamiątki, będącéj czynem sprawiedliwości względem męża, którego współcześni ocenić nie umieli.

W związku, z rzuconym tu projektem, będzie podanie opisu nieznanego a pięknego modelu pomnika Sobieskiego, znajdującego się w gabinecie gipsów w Warszawie, który zasługuje także, aby był wydobyty z zapomnienia.

Model ten, odlany z gipsu i wybornie zachowany, około 1 metra wysoki, pochodzi z czasów Stanisława Augusta. Wiadomo, że król ten, z powodu przypadającéj w r. 1683 pierwszéj rocznicy oswobodzenia Wiednia, postanowił uczcić pomnikiem pamięć wielkiego swego poprzednika. Wezwani w tym celu artyści, przedstawili Poniatowskiemu swoje pomysły, z których pierwszeństwo otrzymał zaprojektowany przez nadwornego rzeźbiarza Lebruna posąg konny Jana III, który w kilka lat późniéj wykonany został przez Franciszka Pinka i z wielką uroczystością inaugurowany w Łazienkach królewskich 1788 r. Otóż jest rzeczą niewątpliwą, że model, o którym mówię, był także naówczas królowi przedstawiony, ale z niewiadomych przyczyn przyjęty nie został.

Ogólny pomysł tego modelu przypomina dzieło Piotra Vaneau. Jak w tém ostatniém Sobieski przedstawiony jest w stojącéj postawie, poniżéj czterech okutych niewolników, wszakże w szczegółach znaczne między temi dwoma artystycznemi dziełami zachodzą różnice. Kiedy rzeźbiarz francuzki pokrył cały monument płaskorzeźbą, w któréj rozwinął bogactwo swéj twórczéj wyobraźni, to artysta Stanisławowskiéj epoki użył płaskorzeźby tylko do piedestału, podstawę zaś, ozdobioną na stronie głównéj herbem państwa, a po bokach armaturą, przeznaczył na umieszczenie odpowiednich napisów. Płaskorzeźby, będące na ścianach bocznych piedestału, w głównych zarysach przedstawiają Jana III na tronie, przyjmującego poselstwo austryackie i bitwę pod Wiedniem; z frontu: wjazd tryumfalny Sobieskiego, ze strony odwrotnéj: spotkanie się króla z cesarzem Leopoldem. Orły i wieńce, zdobiące gzems, przypominają ornamentykę kolumny Zygmunta III w Warszawie. Na czterech rogach podstawy, siedzący więźniowie, chociaż niemają tego potężnego wyrazu, jakim się odznaczają niewolnicy z pomnika Vaneau, są jednak dobrze modelowani, pozy ich są naturalne, i nie zdają się być naśladowaniem antyków. Sobieski ubrany jest po rzymsku, u stóp jego leży sztandar i lwia skóra: godło męztwa. Posąg ten zbyt teatralnie upozowany, nie wytrzymuje żadnego porównania z majestatyczną postacią króla Jana przez Vaneau; pamiętać wszakże należy, że powyższy model jest tylko szkicem, może więc artysta, który w ogólnym planie i w figurach niewolników, dał dowody talentu, byłby przy wykonaniu pomnika zmienił pozę głównéj postaci.

Kto jest twórcą tego projektu, z pewnością nie wiadomo; że jednak prawie wszystkie z czasów Stanisławowskich posągi, zdobiące niegdyś zamek królewski, jakotéż znajdujące się dotąd w Łazienkach, wykonane były przez Lebruna, twórcę konnego posągu Sobieskiego, lub przez Jakóba Monaldego, dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, ztąd wnosić należy, że i powyższy model jednego z nich jest dziełem. Sądząc z maniery, przypisałbym go Lebrunowi, który najwięcéj posągów i biustów dla Stanisława Augusta wykonał, o czém przekonywają nietylko wspomniane statuy w Łazienkach (z których odznaczają się pięknością Satyr i Bachantka), ale i szereg popiersi, znajdujących się w gabinecie gipsów w Warszawie. Byłoby do życzenia, aby powyższy model, odznaczający się pięknością pomysłu, mógł być umieszczony na wstawie zabytków z epoki Sobieskiego, mającéj się odbyć w Krakowie.

Wrcając do wyrażonéj poprzednio myśli wzniesienia w tém mieście pomnika, na cześć króla Jana, zrobię jeszcze następującą uwagę.

Do pierwszych warunków, jakie posiadać winien pomnik, mający stanąć na placu publicznym, zaliczamy piękność architektonicznych linii przy umiarkowaném użyciu ornamentyki, w któréj prostota winna się łączyć z rozmaitością. Otóż, pomimo artystycznéj wartości posągów i płaskorzeźb Piotra Vaneau, przyznać trzeba, że ogólny pomysł jego utworu wspomnianym warunkom nie odpowiada, z powodu, że pomnik ten (jak starałem się dowieść) miał stanąć nie na placu, lecz wewnątrz gmachu. Jeżeli pokrycie całego pomnika płaskorzeźbą zadawalnia w kościele lub pałacu, gdzie dzieło sztuki może być tylko zblizka widziane; inaczéj rzecz się ma z pomnikiem, przeznaczonym do postawienia w miejscu otwartém, w którymto razie cały efekt misternie wykończonych płaskorzeźb jest stracony. Z uwagi przeto, że przeciążenie ozdobami projektowanego pomnika, nie sprawiłoby wcale pożądanego wrażenia, jestem zdania, iż należałoby, zachowując w ornamentyce styl XVII wieku, zbliżyć się, o ile możności, do pięknego modelu Stanisławowskiéj epoki, przy zastosowaniu do niego posągów i czterech najpiękniejszych płaskorzeźb Piotra Vaneau.

Wydając jednocześnie album, obejmujące w fototypach reprodukcyą wszystkich posągów i płaskorzeźb z pomnika Sobieskiego przez Vaneau, oraz model Stanisławowski, rzecz tę oddaję pod opinią artystów i znawców, którzyby do utworzenia właściwego projektu powołani zostali, kończąc życzeniem: aby uroczystościom w dniu dwuwiekowéj rocznicy zwycięztwa pod Wiedniem, towarzyszyć mogło odkrycie pomnika Sobieskiego, według wzoru przed dwoma wiekami wykończonego.

Pomnik ten przed Sukiennicami postawiony, łącząc idealnie wielkie czyny dwóch epok, byłby dla starożytnego grodu Krakusa, ozdobionego już tylu pomnikami sławy naszych dziejów, nie najpośledniejszym klejnotem.

d. 18 sierpnia 1880 r.

WYSTAWA KONI

w Warszawie, w czerwcu roku bieżącego.

PRZEZ

Stanisława Rewieńskiego.

Dwie jednocześnie odbywające się wystawy, tak różne treścią, przedmiotem i celem, nastręczyły jednak sporo uwag; a wyprowadzone z nich wnioski dozwalają zgromadzić pewne dane, z których można utworzyć między obydwoma temi polami popisu niejakie porównanie. Z jednéj strony widzieliśmy wielki przemysł, kierowany biegłą ręką koryfeuszów, przeważnie niemieckiego lub semickiego pochodzenia, jak się obszernie rozsiadł i bujne puścił korzenie na gościnnéj naszéj ziemi; a wziąwszy do pomocy wszystkie zdobycze nowoczesnéj techniki, setkami wysmukłych kominów wystrzelił ponad dachy naszych fabrycznych miasteczek, zaprzągł do swego użytku siłę pary, tysiące warsztatów w ruch puścił, miasteczka zaludnił obcą napływową ludnością, tak że w nich już nie zawsze własną mową rozmówić się możemy, a wsparty pracą, oszczędnością i rozumnie użytym kredytem, nietylko stworzył olbrzymie kapitały, ale dał zachętę rozwojowi krajowego przemysłu. Wystawa przemysłu tkackiego w pałacu Brühlowskim, przekonała nas, że po zagraniczny towar nie koniecznie potrzebujemy jeździć zagranicę, lecz że moglibyśmy go dostać w Łodzi, Zgierzu, Ozorkowie, Pabianicach i t. d., gdyby nas panowie kupcy i składnicy nie uprzedzili i mniemaną opłatą cła i to w złocie, nie podnieśli ceny towaru a zysków swoich w ten sposób nie powiększyli.

Gdy tak sale pałacu Brühlowskiego ściągały liczną publiczność ciekawie przypatrującą się wystawianym okazom, noszącym przeważnie godła firm cudzoziemskiego pochodzenia, równocześnie połowa obszernego placu Ujazdowskiego pokryła się naprędce wzniesionemi, lecz gustownie urządzonemi drewnianemi budowlami, mającemi służyć drugiéj wystawie, na któréj znowu w liczném gronie wystawców, spotykamy przeważnie swojskie imiona.

Interes, jaki w publiczności wystawa koni budziła, uwydatniał się bardzo wyraźnie: ciekawych widzów już nie na setki, lecz na dziesiątki tysięcy liczyć można było, zwłaszcza przy sprzyjającéj pogodzie. Każdy ze stałych lub czasowych mieszkańców naszego miasta, nawet żadnego o chowie koni nie mający wyobrażenia, przychodził z uczuciem ciekawości, odchodził z zadowoleniem. A jednak jeśli postawimy sobie pytanie, czy miniona wystawa koni może nam dać miarę o stanie téj hodowli u nas, jako jednéj z ważnych gałęzi przemysłu rolniczego, odpowiedź wypadnie stanowczo przecząca. Widzieliśmy dużo bardzo pięknych okazów, ale przytém wynieśliśmy z wystawy przekonanie, iż hodowla koni obecnie u nas znajduje się jeszcze w tém stadyum swego rozwoju, w którém mozolnie szuka dróg właściwych, aby po nich krocząc dopiéro w przyszłości, mniéj lub więcéj odległéj, dojść mogła do znaczenia ekonomicznego, jako jednego ze źródeł dobrobytu i bogactwa kraju.

Przedewszystkiém uderzała nas na wystawie bardzo szczupła liczba okazów koni roboczych; o nielicznych okazach kwalifikujących się do tego działu, wspomnimy na właściwém miejscu. Nateraz zaznaczyć tylko musimy zupełny brak wystawców z liczby drobnych właścicieli ziemskich, to jest włościan, którzy przecież, chociaż stadnin hodować nie mogą, stanowią najliczniejszą klasę hodowców, mogących przedstawiać produkta swoje chociażby w pojedynczych tylko okazach. Im większą byłaby liczba podobnych wystawców, tém pewniéj wróżyćby można o stanie obecnym hodowli i o nadziejach przyszłości. Lecz to powstrzymywanie się drobnych właścicieli ziemskich od przyjmowania udziału w wystawie ma uzasadnioną przyczynę: sprowadzenie konia do Warszawy i utrzymanie go w mieście podczas trwania wystawy, wreszcie oderwanie od roli i domu robotnika w czasie najpilniejszych robót około roli, zbyt drogo gospodarza kosztują, aby mógł zgodzić się na ponoszenie takich wydatków, jedynie dla wątpliwéj nadziei pozyskania honorowéj nagrody, lub w najlepszym nawet razie pewnego wynagrodzenia pieniężnego, nie będącego jednak w odpowiednim stosunku do poniesionych kosztów.

Względy te, którym słuszności odmówić nie można, były głównym powodem, dla którego większość drobnych posiadaczy ziemi wstrzymała się od uczestniczenia w wystawie, a nawet znaczna część średnich i większych właścicieli ziemskich, po zrobieniu poprzednio rachunku biorącego w uwagę wszelkie materyalne i niematerialne zyski i straty, uważała za stosowne produkta swéj hodowli pozostawić w domu.

Nie brakło wszakże hodowców, którzy uwzględniając cel i znaczenie obecnéj wystawy, nie cofnęli się przed materyalnemi ofiarami, aby tylko złożyć dowód, iż tradycyjne nasze zamiłowanie konia i jego hodowli, nie wygasło dotąd pomiędzy nami. Jakkolwiek, sądząc z przedstawionych okazów, nie mogliśmy dojść do przekonania, aby otrzymane już rezultaty zdolne były usprawiedliwić starodawne nasze przysło-

wie o klaczce, pszczółce i pszenicy, niemniéj przeto czujemy się w obowiązku wyrzec, iż starania w celu podniesienia hodowli koni w kraju są widoczne i że ludzie którym fortuna darów swoich nie poskąpiła, usilnie się krzątają około wprowadzenia téj hodowli na właściwe tory, to jest o nadanie jéj charakteru ekonomicznego, jako jednéj z intratnych gałęzi gospodarstwa wiejskiego.

Na pierwszém miejscu postawić tu musimy stadninę Ludwika hr. Krasińskiego: możny właściciel nie szczędzi starań i kosztów w celu wynalezienia właściwéj drogi, którąby stać się mogła wskazówką dla krajowéj hodowli. Na pierwszy rzut oka, stadnina ta zdaje się być pozbawioną pewnego stale określonego planu w jéj prowadzeniu; widzimy tu bowiem równolegle prowadzoną hodowlę kilku, jeżeli nie kilkunastu ras oddzielnych i produkta z rozmaitego ich krzyżowania powstałe. Stadnina ta hoduje konie angielskie pełnéj krwi, szlachetne konie czystéj krwi arabskiéj, ciężkie, olbrzymiéj budowy i siły pociągowe suffolki, kuce korsykańskie i t. d. i t. d. O pierwszych nic powiedzieć nie możemy, bośmy ich na wystawie nie widzieli; właściciel bowiem uznał za stosowne odpowiednie osobniki zaprodukować tylko na wyścigowym torze. O tém zaś, aby koń biegający w wyścigu, był razem jako okaz przedstawiony na wystawie, ani mowy być nie może. Ścisłe międzynarodowe przepisy, rządzące najdrobniejszemi szczegółami wyścigów, wymagają po zapisanym do biegu koniu, pewnego przygotowania, będącego rezultatem właściwéj dyety i systematycznie przeprowadzanych gimnastycznych ćwiczeń, które sprawiają iż koń taki, znajdujący się podług technicznego wyrażenia „w kondycyi," przedstawia się nam jako biegun; lecz w popularném znaczeniu konia przeznaczonego na wystawę, niemógłby pozyskać ogólnego znaczenia. Jakkolwiek konie pełnéj krwi hr. L. Krasińskiego, nie zasłynęły dotąd jako pierwszorzędne bieguny i produktom innych znakomitych w kraju stadnin ustąpić musiały pierwszeństwa, niemniéj przeto posiadają niezaprzeczoną wysoką wartość rozpłodową, jak o tém świadczą niektóre znane nam okazy; między innemi gniady hunter, w którym cała publiczność warszawska na wyścigach przed kilku laty na polu mokotowskiém odbytych, mogła podziwiać potężną budowę, stalowe muskuły i ścięgna i ową piorunową, że tak powiemy, energią i siłę w skoku, czyniącą z angielskiego pół-krwi konia, niezrównany ideał wierzchowca, w jedynie racyonalnéj, polowéj jeździe.

Jedna z pierwszorzędnych stadnin w kraju, hodująca konie pełnéj krwi angielskiéj, mianowicie pana Ludwika Grabowskiego z Sernik, przedstawioną była na wystawie przez trzy tylko okazy; ale niewielka ta liczba dostateczną była do wykazania wysokich zalet téj stadniny, z gruntowną znajomością rzeczy i z wielkiém powodzeniem prowadzonéj. Widzieliśmy tu dwa reproduktory: jednego jasno kasztanowatego, nazwiskiem *Grand Daniel*, drugiego gniadego *Dark Blue*, przedstawiające typy tego wszystkiego, czego pod względem budowy i cech rasie właściwych od reproduktora żądać można. Trzecim z ko-

lei był ogier brudno kasztanowaty pół-krwi *Burzan,* łączący w sobie wszystkie zalety doskonale zbudowanego wierzchowego konia i znakomitego reproduktora, w celu wychowu koni służących do powszechnego użytku. Zarzut mu uczyniony przez jednego z najznakomitszych naszych sportsmenów i jeźdźców, pod względem niezupełnie prawidłowego ustawienia nóg przednich w pęcinach, wydaje się nam przesadzonym i skierowanym do tego jedynie, aby wykazać że „i na słońcu są plamy."

Słowem, te trzy okazy reprezentujące na wystawie głośną w kraju stadninę p. L. Grabowskiego, były najzupełniéj godne ustalonéj jéj sławy. Żałujemy iż właściciel drugiéj stadniny hodujący konie pełnéj krwi, p. Władysław Mysyrowicz z Łosia, nic nie nadesłał na wystawę. Konie bowiem jego, niejednokrotnie rywalizujące dość szczęśliwie z końmi pana Grabowskiego na wyścigach w Warszawie, w Wilnie w Carskiém-Siele i w Moskwie, odznaczają się dobrą budową, a jeśli ustępują wyżéj wymienionym w szybkości, to niemniéj dają dowody wielkiéj siły i wytrwałości: zalety, które zdaniem naszém, w zupełności równoważą, a nawet przewyższają przymiot bezwzględnéj szybkości. Ubieganie się o tę ostatnię zaletę z pominięciem lub pozostawieniem innych na drugim planie, było powodem w nowszych już czasach, tak w Anglii, jak i na stałym lądzie Europy, zwichnienia właściwego kierunku konia pełnéj krwi. Stawienie na torze wyścigowym koni zbyt młodych, bo źrebiąt zaledwie półtora roku mających i dwulatków, zmniejszanie stopniowe przestrzeni, która ma być przebieżoną i ciężaru, który koń przytém dźwigać musi, jakby z jednéj strony sprzyjało rozwinięciu w młodym koniu drażliwości systemu nerwowego i niesłychanéj szybkości na krótkiéj mecie, przy odpowiedniém od pierwszéj młodości żywieniu i systematyczném trenowaniu; tak z drugiéj ujemnie wpływało na siłę i wytrwałość konia. Tym sposobem wyścigi przestały być próbą dzielności i rzeczywistéj wartości konia i stały się nie środkiem ale celem. W Anglii i we Francyi liczne już dają się słyszéć głosy ostrzegające przed złemi skutkami tego fałszywego kierunku hodowli i niebezpieczeństwem narażenia owoców dwuwiekowych prac zabiegów i kosztów, na cofanie się wstecz, marnienie i degeneracyą. Obawy te zbyt są uzasadnione, aby je milczeniem zbyć można było. Jako skuteczny przeciwko złemu środek, podają niektórzy odświeżanie krwi przez użycie szlachetnych reproduktorów czystéj krwi wschodniéj, od których konie angielskie pełnéj krwi pochodzą. I nam równie, jak i zachodniéj Europie grozi toż samo niebezpieczeństwo, tylko że to co dla bogatéj Anglii lub Francyi będzie przemijającym kłopotem, na których zaradcze środki z pewnością się znajdą; dla nas ubogich i mniéj rzemiosła hodowniczego świadomych, stać się może klęską nie do powetowania. Panujące u ogółu wyobrażenia o dzielności konia wschodniego, mianowicie arabskiego, tradycyjne upodobanie w wierzchowcu tego pochodzenia, każe nam nieraz zamykać oczy na nieprzezwyciężone prawie trudności w sprowadzaniu oryginalnych re-

produktorów czystéj krwi arabskiéj i powoduje nieuzasadnione sądy o wyższości téj rasy nad angielską, bez względu na duch czasu i potrzeby obecnéj chwili. Kto nie wié, niech przeczyta jakie to trudności przezwyciężać musieli wysłańcy księcia Sanguszki (patrz *Encyklopedya rolnictwa*, t. III, str. 665 i nast.), lub wyprawa hr. Juliusza Dzieduszyckiego po konie do Arabii.

Gdy więc tak zwane odświeżanie krwi za pomocą reproduktorów czystéj krwi wschodniéj, tak wielkie przedstawia trudności, iż tylko dla bardzo zamożnych ludzi, mogących wydawać znaczne sumy gwoli upodobaniu, staje się dostępném, dla osób zaś średniéj zamożności jest zupełnie niemożebném, a nawet dla zarządów zawiązywanych w tym celu stowarzyszeń, zmuszonych ściśle się liczyć z powierzonemi im zbiorowemi funduszami, stanowi operacyą ryzykowną i niebezpieczną: wypadnie więc poszukać innéj drogi. Niebezpieczeństwo to degeneracyi angielskiéj rasy koni krwi pełnéj, dobitnie wyraził hr. Ludwik Krasiński w pracy swéj, w formie listu, w języku francuzkim wydanéj. Żałujemy, iż w téj chwili dokładniéj broszury téj przytoczyć nie możemy, nie mając jéj pod ręką. Następnie p. Antoni Mokronowski w broszurze swojéj zwrócił uwagę na konie angielskie, „roadster'ami" zwane, których zwięzła i silna budowa, wolna od wad, spowodowanych jednostronnością w hodowli koni pełnéj krwi, czyni je materyałem najprzydatniejszym na konie powozowe, czyli kareciane i wierzchowe. Konie téj rasy, przedstawione na wystawie, pochodziły ze stadniny hr. Tomasza Ordynata Zamoyskiego w Michałowie, po ogierze Silverthorn; tegoż pochodzenia był dwuletni kasztanowaty ogier „Milord" p. Kazimierza Piotrowskiego z Krupego (w Lubelskiém) i wzrostem swym, jako téż budową, usprawiedliwiał zupełnie przypisywane téj rasie zalety. Zdaje się, iż się nie pomylimy, sądząc, iż w téj rasie, wytworzonéj w Anglii pod wpływem obaw, jakie obecny kierunek hodowli koni krwi pełnéj wywołał, znajdziemy właściwy typ reproduktorów, mających podnieść chów koni w kraju.

Któż u nas pozostanie obojętnym na widok pięknego szlachetnéj rasy konia? kogoż nie zachwyci dzielny wierzchowiec? Lecz koń służyć nam ma do tak rozlicznych użytków, iż trzymając się zasady znakomitego naszego ekonomisty: „użyteczne przed przyjemném," zadowolenie to odłożyć musimy na późniéj, a przyjrzéć się koniom hodowanym w celach ekonomicznych, dla ciągnienia zysków z téj gałęzi gospodarstwa. Z hodowców systematycznie w tym kierunku stadninę prowadzących, odznacza się p. Antoni Bobrowski ze Snopkowa (w Lubelskiém); celem jego jest produkowanie koni powozowych i wierzchowych dużego wzrostu, mogących znaléźć zbyt na handel zagraniczny i zaspakajać potrzeby armii. Dla poprawienia rasy w tym kierunku, używa stale reproduktorów pełnéj krwi angielskiéj; z tych jeden „Glück-auf," urodzony w Anglii, dwa zaś drugie: „Atylla" i „Mirabeau," w Sernikach, u p. Ludwika Grabowskiego.. Tak więc słynna sernicka stadnina oddała już rzeczywiste usługi, zaopatrując stadninę w Snopkowie w dwa cel-

ne reproduktory, których potomstwo w systematycznym porządku ustawione, podzielone na sekcye podług wieku wystawionych okazów, imionami nawet swemi wskazuje reproduktora, od którego pochodzi. Dwa, trzy i czterolatki, kolejno w klatkach ustawione, noszą nazwiska zaczynające się od litery A, lub M, podług tego, jak który z dwu wyżéj wymienionych reproduktorów dał im życie. Pomimo takiéj systematyczności w hodowli i jasno wytkniętego celu hodowli, właściciel jednak stadniny w Snopkowie dotąd jeszcze znacznych zysków pieniężnych nie osiąga; lecz i na straty się nie uskarża, zwłaszcza, że przy pilnym dozorze, racyonalnie urządzonéj stajni, okólnikach dla klaczy ze źrebiętami i dobrych pastwiskach, nie miewa w swéj stadninie epizootycznych, lub enzootycznych chorób.

Obszerny dział koni zaprzężnych, to jest powozowych, pociągowych i roboczych, przedstawiał bardzo wiele okazów; pojedyńczo zastanawiać się nad niemi nie będziemy, gdyż suche powtarzanie szczegółów katalogu na nicby się nie przydało, a wyczerpująca ocena każdego okazu zaprowadziłaby nas zadaleko i nużąc czytelnika powtarzaniem jednostajnych szczegółów, rozszerzyłaby nad miarę zakres niniejszéj pracy, w któréj nam przedewszystkiém chodzi o przedstawienie ogólnego charakteru wystawy i jéj znaczenia dla przyszłości krajowéj hodowli. Pod względem koni zaprzężnych, to jest powozowych, lekkich powozowych, tak zwanych bryczkowych, pociągowych i roboczych, właściwie rolniczych, widzimy na wystawie najrozmaitsze krzyżowania. W jednéj stadninie hr. Ludwika Krasińskiego znajdujemy potężne suffolki, perszerony, angielskie roadstery i normandy. W ogóle koń perszeroński już od lat kilkunastu stał się u nas przedmiotem szczególnego zamiłowania, jako dzielny koń, zdatny do szybkiego pociągu, w obsłużeniu omnibusów i dyliżansów pocztowych, jako téż do obsługi artyleryi.

Z perszeronami rzecz tak się ma, jak z winem szampańskiém: w handlu zjawiają się coraz nowe marki tego kosztownego, obrzędowego niejako napoju ludzi zamożnych, lub chcących za takich uchodzić; lecz niech kto powié, czy pił kiedy *prawdziwe* wino szampańskie? Podobnie niewielki okrąg we Francyi, „le Perche" zwany, zawierający części departamentów Orne i Eure et Loire, nie byłby w stanie wychować tyle koni, ile się ich pod nazwą percheronów drogą handlu po Francyi i znacznéj części Europy rozchodzi. Wziętość, jakiéj koń perszeroński w ojczyznie swéj używa, stała się przyczyną, iż pod tą nazwą rozpowszechniają się, drogą handlu, konie podobne do nich z kształtów i maści, lecz znacznie niższéj wartości; mianowicie konie bretońskie, które zapewne z powodu miejscowych przyczyn, podlegają spadkowéj ślepocie, objawiającéj się dopiero w piątym lub szóstym roku życia [1]). Rzeczywistość tego mieliśmy raz sposobność sprawdzić. W okolicy dobrze nam znanéj, włościanin, posiadacz pół-włokowéj zagrody, dochował się z własnéj klaczy po ogierze, do sąsiedniego obywatela należącym

[1]) A. Biesiekierski: *Uwagi o koniach.* Warszawa, 1874, str. 27.

i uchodzącym za perszerona, jako przychowanym po ogierze do stad rządowych należącym i na stacyą przysłanym, młodego czteroletniego konia, którego wyprowadził na jarmark i nie wahał się żądać za niego 1000 rubli a ofiarowali mu 750: nie przyjął; po paru jednak latach koń mu oślepł i tenże los spotkał przychówek u owego obywatela. Prócz tego, gęstym włosem porosłe nogi perszeronów, każą przypuszczać iż w naszym klimacie konie te nie byłyby wolne od chronicznéj złośliwéj grudy.

W ogóle nie sądzimy aby konie perszerońskie, lub uchodzące za takowe, mogły u nas stanowić dobry i pożądany materyał ku poprawieniu wyrodzonych koni krajowych.

Widzieliśmy też na wystawie produkta krzyżowania z rasą tyrolską u p. Stanisława Kronenberga z Wieńca, u p. Władysława Kronenberga z Szymanowa okazy pochodzące z krzyżowania z rasą pinzgauńską. Wszystko to stwierdza wyżéj wypowiedziane nasze zdanie, iż hodowla nasza szuka dopiero dróg własnych; lecz dotąd jeszcze pewnego stałego kierunku nie obrała, oprócz nielicznych wyjątków.

Do takich wyjątków, oprócz tych o których wyżéj była wzmianka, należy stadnina p. Emeryka Mańkowskiego z Borówki na Podolu (powiat Jampolski). Stadnina ta liczy 72 matki tak krajowéj rasy jako też poprawnéj zapomocą ogierów, których znajduje się trzynaście. Właściciel postawił sobie zadanie ulepszenia budowy i powiększenia wzrostu matek stadnych, słusznie uważając iż tym tylko sposobem dojść można do wyrobienia odpowiedniego materyału, którego dalsze ulepszanie i uszlachetnianie zapomocą krwi pełnéj będzie pracą wdzięczną i płodną w pomyślne rezultaty. Ku temu celowi użył ogierów meklemburskich a przedstawione przez niego na wystawie klacze robocze świadczą, iż droga przez niego wybrana jest właściwą. Zpomiędzy tych okazów, klacz jasno-kasztanowata stanowi typ bez zarzutu konia roboczego.

Czyniąc pobieżny przegląd całego tego szeregu produktów najrozmaitszych krzyżowań, szukamy niespokojnie czegoś własnego, swojskiego. Czyżbyśmy mieli skarlały szczep koni tak zwanych włościańskich za jedyną, prawdziwie krajową rasę uważać? A i w takim nawet razie odmówićbyśmy jéj musieli nazwy rasy, bo prócz małego wzrostu, słabéj budowy, rozmaitych wad nóg i innych skutków nędznego żywienia i zawczesnego użycia do pracy, nie widzimy żadnych cech wspólnych, świadczących o zdolnościach przelewania zalet, lub wad stale na potomstwo. Konie te raczéj stanowią znędzniały zlepek przypadkowych krzyżowań ras najrozmaitszych, niż właściwą rasę. Doznalibyśmy uczucia prawdziwego smutku, wspominając na ogromne niegdyś bogactwo kraju pod względem hipicznym, kraju, w którym dotąd przechowuje się tradycya właściwéj rasy koni, gdybyśmy zmuszeni byli wyznać sami przed sobą, że żadnéj rasy nie posiadamy. Konie przedstawione przez książąt Bohdana i Michała Ogińskich, dają nam na to pocieszającą odpowiedź.

Znaną jest powszechnie rasa koników żmudzkich; ich zgrabne kształty, zdrowe i silne nogi, zwięzła budowa, wielka wytrzymałość, siła, którejby się po nich nikt nie domyślał, obok żywego, lecz przytém łagodnego temperamentu, wolnego od wszelkich narowów. Otóż książęta Ogińscy, oceniając nieporównane zalety téj rasy, nie szczędzą starań, aby ją utrzymać w zupełnéj czystości i o ile można rozpowszechniać. Jedyny, wprawdzie bardzo poważny zarzut, jaki tym koniom zrobić można, jest ich wzrost zbyt drobny, który sprawia, iż konie te ani do powozu, ani pod siodło, dla mężczyzny średniego nawet wzrostu, z korzyścią użytemi być nie mogą. Chociaż bowiem z łatwością uciągną pierwszy, a pod ciężarem drugiego grzbiet ich się nie ugnie, zawsze jednak widok taki, pozbawiony wszelkiéj harmonii, niemile razi oko, z tego téż powodu i do służby wojskowéj konie te nie są zdatne. Ujemna ta strona koni żmudzkich nie jest jednak łatwą do poprawienia; próbowane krzyżowanie z ogierami krwi pełnéj wydało ujemne tylko rezultaty; wysokie zalety téj rasy, któreśmy wyżéj wymienili, świadczą zarazem o żywotności jéj krwi, przezco rasa żmudzka nie nadaje się wcale do ulepszenia przez krzyżowanie z pełną krwią angielską, która powszechnie uważaną bywa za uniwersalny czynnik w przedmiocie uszlachetnienia ras pospolitych; nie wiemy, jakieby rezultaty wydało krzyżowanie z czystą krwią wschodnią, arabską, lub szlachetną, tak zwaną złocistą, karabachską. W każdym razie nie mogłoby to wpłynąć na powiększenie wzrostu żmudzkich koni, gdyż i obie pomienione rasy odznaczają się wzrostem zbyt małym w stosunku do dzisiejszych wymagań. Jedyną więc, racyonalną drogą być może ulepszanie rasy saméj w sobie, przez jaknajstaranniejszy dobór reproduktorów, obfite i silne żywienie młodzieży, przy zwracaniu szczególnéj uwagi na rozwój szkieletu, tego najtrudniejszego zadania hodowli i przez systematyczną gimnastykę młodych indywiduów, stosowaną w miarę, lecz strzegąc się pilnie używania zbyt młodych zwierząt do ciężkiéj i męczącéj pracy. Postępując tym sposobem w ciągu kilku pokoleń, zdołamy otrzymać konie znacznie większego wzrostu. Pomiędzy końmi, przedstawionemi przez książąt Ogińskich, znajdował się jeden, którego wzrost znacznie większy, zdaje się potwierdzać to nasze zdanie. Praca to byłaby mozolna, bo musi być wytrwale i z wielką znajomością rzeczy prowadzoną, ale przytém wdzięczna i warta poniesienia trudów i kosztów.

Taką była tegoroczna wystawa koni, któréj inicyatywę i urządzenie zawdzięczamy dyrekcyi Towarzystwa wyścigów konnych. Za pośrednictwem wystawy, instytucya ta, istniejąca w kraju od lat blizko czterdziestu, jeśli się nie mylimy i w ciągu tego długiego okresu czasu stojąca na uboczu i nie zsolidaryzowana z ogółem hodowców i posiadaczy koni, zrobiła krok naprzód i dowiodła, iż mogłaby nakreślić sobie szerszy, niż dotychczasowy zakres działania.

Utarte wyrażenie, używane nieraz przez samychże hodowców, jako téż w piśmie i w prasie: „stadnina koni wyścigowych" stanowi już

sama przez się krytykę działalności Towarzystwa. Czém właściwie powinny być wyścigi, w takiém pojęciu jak w Anglii, wtedy, gdy służyły jako środek przy wytworzeniu i ustaleniu rasy krwi pełnéj? Próbą dzielności i szybkości konia. Lecz konia hodujemy i utrzymujemy nie dla próby tylko, lecz dla rzeczywistego użytku. Cobyśmy np. powiedzieli o artyście dramatycznym, któryby odbywał tylko próby, lecz na właściwéj scenie, przed zebraną publicznością, wcale nie występował? Podobnież i koń, który złożył dowody swojéj dzielności, w wyścigu, a nie złożył jako reproduktor, uważanym być może za kosztowny a nieużyteczny ciężar, bo nawet nagrody przez niego na torze wyścigowym zdobyte, nie zawsze są w stanie zrównoważyć straty, koszta, ryzyko i zawody przez właścicieli ponoszone. Ztąd, przy jawnie głoszonym celu instytucyi wyścigów, występuje drugi, zupełnie innéj natury, noszący wszystkie cechy gry hazardownéj ze wszystkiemi jéj ujemnemi stronami. Chcemy tu mówić o manii zakładów, przeszczepionéj na nasz grunt żywcem z Anglii, służącéj za przynętę dla niedoświadczonych i lekkomyślnych, a dla wytrawnych i ciętych graczy będącéj źródłem znacznych nieraz, lecz nie godzących się z zasadami moralności dochodów.

Ta jednostronność wyścigów była przyczyną, iż w publiczności wyrobiło się przekonanie, że one nie są niczém więcéj, jak kosztowną, ryzykowną, lecz bezużyteczną zabawką. Lecz zdanie takie również jest jednostronne i całéj kwestyi nie rozstrzyga.

Mieliśmy dawniéj dużo dobrych koni w kraju, teraz ich mamy mało, a nawet coraz mniéj, pomimo trzydziestoletniego istnienia Towarzystwa wyścigów, którego celem przecież miało być podniesienie hodowli koni w kraju. Dowód, że działalność Towarzystwa, w tym kierunku, w jakim się dotąd objawiała, nie była wystarczającą. Zrozumiała to dyrekcya i urządziła wystawę, w celu poznania zasobów, jakie kraj w téj chwili pod względem hippicznym posiada, dróg, jakiemi ogół hodowców postępuje w celu podźwignienia téj gałęzi przemysłu w kraju.

Prasa żywo się zajęła tą kwestyą i każdy prawie jéj organ wypowiedział swe zdanie w sprawie tak mocno ogół obchodzącéj. Nie brakło nawet surowych krytyk tak co do samego urządzenia wystawy, jak i co do sposobu udzielania nagród za odznaczające się w każdym dziale okazy.

Ostatnią tę okoliczność pozostawimy zupełnie na stronie, odpowiedzialność za nią pada wyłącznie na komitet sędziów, który, udzielając nagrody lub ich odmawiając, wychodził z pewnéj zasady nieznanéj lub niedostępnéj dla ogółu. Zresztą, rzeczą jest dowiedzioną, iż na każdéj wystawie sposób, w jaki nagrody przyznawane i rozdzielane bywają, wywołuje zawsze w pewnych kółkach niezadowolenie.

Zawiedzione nadzieje, draśnięta miłość własna, podejrzenie o stronność i t. d., są to akcesorya nieodłączne od podobnego rodzaju popisów. Ale nie o tém tu mowa; korzystając z przywileju, słu-

żącego drukowanemu słowu, chcemy rzecz naszą zakończyć kilku uwagami nad sposobami, jakiemi, bądź pojedyńcze osoby, bądź stowarzyszenia w tym celu zawiązane, przyczynić się mogą do podniesienia hodowli koni w kraju.

Zdanie, wypowiedziane przez znaczną większość hodowców, prowadzi do wniosku, iż ilość reproduktorów i stacyi ogierów w kraju, jest na potrzeby tegoż nie wystarczającą; potrzebie téj stado rządowe w Janowie, zadosyć uczynić nie może. Należałoby zatém się starać, zapomocą zbiorowych funduszów, drogę stowarzyszenia zwiększyć liczbę reproduktorów i stacyi ogierów, mając głównie na widoku miejscowoście kraju, nadające się szczególnie do chowu koni, a więc obfitujące w dobre, nietorfiaste łąki i pastwiska.

Rozciągnąć ścisłą kontrolę nad stacyami i dostarczanemi na nie ogierami, jako też nad przyprowadzanemi do ogierów klaczami, usuwając bezwarunkowo od stanowienia takie, które, bądź w skutek wadliwéj budowy, bądź wad spadkowych, nie rokują nadziei wydania dobrego przypłodku.

Staranny dobór sztuk rozpłodowych płci obojéj, należy miéć zawsze na pierwszym względzie. W celu zachęty, możnaby klacze, odznaczające się budową i zaletami, uwalniać od opłaty za stanowienie; tę zaś tak ustanowić, aby klacze, przedstawiające większe kwalifikacye na dobre matki stadne, opłacały mniéj, niż takie, które pod tym względem pewne wątpliwości przedstawiają.

Urządzenie peryodycznych, co lat kilka dla danéj miejscowości, prowincyonalnych wystaw koni, o ile można jaknajtańszym kosztem, aby i drobni właściciele ziemscy, bez ponoszenia nieprodukcyjnych kosztów, korzystać z nich mogli. Konie krwi pełnéj lub wysoko uszlachetnione, mogłyby w takich wystawach brać udział, lecz powinnyby być od konkursu wyłączone. Nagrody przeznaczać przeważnie pieniężne.

Chów koni, w porównaniu z innemi zwierzętami domowemi, przedstawia to dziwne zjawisko, iż lubo najwłaściwsze do téj hodowli miejscowości należą do takich, w których miejscowe warunki systemowi ekstenzywnemu gospodarstwa nakazują dać pierwszeństwo, to przecież sama hodowla musi być prowadzoną intenzywnie, czyli że przy znacznym nakładowym i obrotowym kapitale, dochód brutto jest wprawdzie większy, lecz dochód netto mniejszy. Każdy więc hodowca na większą nieco skalę, powinien uwzględnić ten warunek ekonomiczny i dogodzeniem swemu upodobaniu zastąpić wyższe materyalne zyski, które w tym razie osiągnąćby się dały jedynie zapomocą innéj gałęzi gospodarstwa. Pomimo to jednak, właściciele ziemscy, drobni i średni, nawet w okolicach nie obfitujących w łąki i pastwiska, nie są zupełnie wyłączeni od współudziału w chowie koni. Każde gospodarstwo posiada w celu zaspokojenia swych potrzeb przy uprawie gruntów, zwózce z pola, wywózce nawozów, odstawie produktów i t. d. więc

kszą lub mniejszą ilość koni. Dobre matki stadne w takich gospodarstwach, co drugi rok z doborowemi ogierami stacyjnemi odstanawiane, dostarczą źrebiąt, które po odessaniu się odsadzone i w inną okolicę, odpowiedniejszą dla chowu koni sprzedane, stanowić mogą pewną stałą rubrykę dochodu dla właściciela. Lecz i w tym razie instytucya, czuwająca nad podniesieniem hodowli koni w kraju, powinna rozciągnąć swą kontrolę nad tego rodzaju przychówkiem i handel nim regulować.

Naostatek, pożądaném byłoby założenie specyalnego organu, sprawom hippiki krajowéj poświęconego, któryby szerzył pomiędzy publicznością zdrowe, na doświadczeniu i powadze nauki oparte zasady hodowli, obznajmiał interesowanych o nowych na tém polu odkryciach i doświadczeniach, stanowił arenę, na któréj mogłyby się ścierać przeciwne zdania, uwiadamiał o rezultatach wyścigów w kraju, w Cesarstwie i w ościennych prowincyach, podawał ceny na konie, na znaczniejszych jarmarkach, krytycznie oceniał nowe wynalazki pod względem osiodłania, uprzęży, sprzętów stajennych, środków leczniczych, okucia, żywienia, nowych surrogatów paszy, hygieny ogólnéj i t. d. [1]).

Kreśląc powyższe sprawozdanie o wystawie koni, nie chodziło nam o drobiazgową dokładność w wyliczaniu przedstawionych okazów, z których niejeden, pojedyńczo wzięty, zasługiwałby na wyróżnienie; chcieliśmy tylko podzielić się z czytelnikami ogólném wrażeniem, jakie na nas wystawa zrobiła, i o ile cel, jaki w jéj urządzeniu miano na względzie, został osiągnięty.

Obejmując ogół interesów krajowych, jakie się z każdym takim publicznym popisem pracy społecznej organicznie łączą, zwracamy uwagę na te zjawiska, które nie zreflektowane, mogłyby, przy naszéj skłonności do naśladownictwa i sadzenia się nad stan, pod względem ekonomicznym i społecznym, szkodliwe przynieść owoce. Takie niebezpieczeństwo zdaje nam się kryć w przewadze momentów *cyrkowych*, które w téj wystawie trochę zajaskrawo przezierały. Były chwile, że patrząc na owe „dog-carts" i „paniers à salade" w kosztownéj uprzęży, zdawało ci się, jakobyś oddychał atmosferą cyrku Justynianowego, gdzie zastępy niebieskich i zielonych zapaśników wśród okrzyków nika! nika! (wyraz grecki zwycięzaj) w zawody z sobą pędziły. Brakło tylko trybuny cesarzowéj Teodory, któréj aplauz korono-

[1]) Red. nie podziela co do tego punktu zdania sz. autora, ponieważ wszystkie kwestye, dotyczące hippiki, mogą być bardzo dobrze i wyczerpująco traktowane w pismach rolniczych, które się nie ostoją, jeżelibyśmy mieli dla każdéj ważniejszéj gałęzi gospodarstwa osobne tworzyć organa. Podobne postępowanie musiałoby koniecznie wpłynąć szkodliwie na jedno i drugie; o korzyściach zaś z konkurencyi wynikających nie można na téj arenie myśléć.

wał zapaśników trudy i nakłady. Patrząc, jak panowie automedonci wyręczają na koźle swoich Grzesiów i Janów, pojmujemy głębokie zastrzeżenie Horacego:

„Sunt quos curriculo pulverem olimpium collegisse juvat."

Dziś jestto anachronizm i rzecz w skutkach szkodliwa.

Nie naganiamy wcale ozdobnego i mile wpadającego w oko urządzenia wystawy, lecz widzieliśmy na niéj bardzo wiele eleganckich, wytwornych, powiemy nawet zbytkownych zaprzęgów, których liczba na nasz kraj ubogi wydaje się nam zawielką. Widać, żeśmy dotąd jeszcze, pomimo surowéj nauki każdego dnia powszedniego, niewiele z niéj skorzystali.

Czyż miałaby ta wystawa otworzyć znowu jeden wielki kanał zbytku i marnotrawstwa, w którym miernéj fortuny obywatel, dla dorównania lub nawet przewyższenia ostentacyi pańskiéj, topić będzie resztę ziemi przodków? Jestto droga bardzo ślizka i dla naszego temperamentu nadzwyczaj niebezpieczna.

W jedném ze sprawozdań o wystawie, drukowaném w bardzo poczytném piśmie, natrafiliśmy na zdanie, iż wystawa grzeszyła tém, że konie stojące w klatkach, oglądać można było tylko z tyłu; że zatém powinna była tak być urządzoną, aby każdego konia widzieć można było z boku. Zarzut ten wydaje się nam zbytecznym; chcąc konia należycie ocenić, trzeba go widzieć nietylko z obu boków, ale z przodu i z tyłu, a takie urządzenie ze względu na warunki przestrzeni jest niepodobieństwem. Jestto tylko dostępném dla grona sędziów, którzy jako eksperci, muszą wyroki swoje ferować na zasadzie pewnych danych, ku czemu za podstawę służy dokładne i wszechstronne obejrzenie konia. Dla ogółu zwiedzającéj wystawę publiczności, dostatecznem jest przeprowadzanie koni, które się podczas wystawy dość często codziennie powtarzało, dając sposobność każdemu z widzów przypatrzenia się koniom podczas ruchu i porównywania ich pomiędzy sobą. Niejeden, spoglądając na karego „olbrzyma" hr. Krasińskiego, przybranego w jaskrawy rzęd średniowieczny, dźwigającego na grzbiecie swym jeźdźca w stroju herolda, lub téż na siwego ogiera w podobnym, lecz odmiennéj barwy rzędzie, na którym siedział sokolnik z sokołem na pięści; albo na dwie szpakowate arabskie klacze pod jeźdźcami w beduińskie białe burnusy przybranymi, jako téż na kare arabskie ogiery, których jeźdźcy nosili strój perski, czy téż turecki, zrobił sobie w duchu zapytanie: co znaczą te średniowieczne przybory?

Gawiedź ciekawie się przypatrywała temu nowemu widowisku, którego prawdziwego znaczenia nie pojmowała, ponieważ brakło jéj bezpośredniego zestawienia rozlicznych pod tym względem typów. Uważny jednak spostrzegacz mógł sobie ten brak uzupełnić, szukając potrzebnego mu kontrastu w innych wzorach. Uderzające te różnice w rzędach, poczynając od średniowiecznych, okrywających całego konia i służących nietylko ku jego ozdobie, lecz razem do umocowania na jego grzbiecie siodła, przeznaczonego do dźwigania ciężaru jeźdźca za-

kutego w żelazo, aż do dzisiejszych, ogólnie przez cywilizowane ludy przyjętych, mają pewne historyczne znaczenie, są świadectwem rozwijających się pojęć o wartości konia w epoce, gdzie służył więcéj wojnie, niż potrzebom ekonomicznym i nie można ich kłaść w rzędzie cyrkowych maskarad.

Dzisiaj służy typ angielski głównie za wzór. Celem jego jest zapewnienie jeźdzcowi wygodnego siedzenia na koniu i łatwego nim powodowania, nie zakrywając przytém konia i uwydatniając jego kształty; gdy przeciwnie, ciężki koń bojowy średnich wieków nic na tém nie tracił, gdy mniéj estetyczne jego kształty niknęły pod błyskotliwym i jaskrawym rzędem. Porównywając z sobą osiodłanie konia wschodnie, to jest arabskie, perskie, lub tureckie, czerkieskie, kozackie, wojskowe, wreszcie zwykłe angielskie, widzimy tu wszystkie różnice, jakie potrzeba i zwyczaje narodowe u rozmaitych ludów wywołały. Krytyczny przegląd rozmaitych metod siedzenia na koniu mógłby nam również sporo uwag nastręczyć, od których jednak wolimy się powstrzymać, nie chcąc wkraczać w granice specyalności nie dla wszystkich dostępnéj, a dla wielu nie przedstawiającéj interesu. Z przyjemnością jednak mogliśmy się przekonać, patrząc na dzielną jazdę p. Niemojewskiego, iż tradycya naszéj szerokiéj, śmiałéj i dziarskiéj jazdy jeszcze u nas nie wygasła zupełnie.

Słyszeliśmy, że tegoroczna wystawa ma się na przyszły rok powtórzyć; jeżeli ma ona być tylko kosztowną zabawką, uważalibyśmy ją za zbyteczną; lecz jeśli stanie się ona centralnym jarmarkiem na konie, niejako giełdą końską, regulującą handel końmi i wprowadzającą go na nowe, szlachetniejsze od dotychczasowych tory, śpieszymy wyrazić dla téj myśli całe nasze uznanie. Pragnęlibyśmy również widzieć więcéj jawności w motywach, kierujących zdaniem sędziów w przyznawaniu nagród. W ogłoszonéj bowiem drukiem liście widzimy rażące anomalie. Tak np.: *posiadacz*, czyli *nabywca*, dosyć bogaty, aby kupić dzielnego wierzchowca, otrzymuje *medal złoty;* naszém zdaniem, najwyższa ta nagroda słusznie się należała hodowcy. Pierwszorzędna stadnina za wytrwały i racyonalny kierunek w hodowli nagrodzoną zostaje *listem pochwalnym*, podczas, gdy inna, dążąca również po drodze postępu, otrzymuje oprócz listu pochwalnego jeszcze dwie wysokie pieniężne nagrody a dla podniesienia swojego kupuje reproduktora właśnie z przytoczonego powyżéj stada. Właściciel ładnéj, żwawéj, szlachetnéj rasy wierzchowéj klaczki, nie odznaczającéj się wszakże tak wybitnemi przymiotami, aby za typ matki stadnéj służyć mogła, został wynagrodzony pieniężną nagrodą w wysokości 200 rs., podczas, gdy inny, przedstawiający ogiera wierzchowego, własnego chowu, który już złożył niezaprzeczone dowody dzielności, gdyż właściciel odbył na nim osobiście w przeciągu siedmnastu godzin, *ośmnaście* mil drogi, otrzymał jako nagrodę, tylko medal bronzowy. Podobnych anomalii należałoby na

przyszłych wystawach unikać, jako złe wrażenie na publiczności czyniących, gdyż ta zawsze jest skora do posądzeń o jakieś zakulisowe względy i predylekcye.

Pragniemy z całego serca, aby przyszłe wystawy, wolne od usterek, któreśmy tutaj w imię powszechnego pożytku zaznaczyli, dały nam mniéj świetnych, zbytkowych okazów, a więcéj takich, z których wnosić można o szczęśliwym rozwoju hodowli w kierunku rzeczywistéj użyteczności: tego kraj po hodowcach i wystawcach, jako obywatelach, ma prawo wymagać.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Iris. Dichterstimmen aus Polen von Heinrich Nitschmann. Leipzig, Wilhelm Friedrich, 1880 r., 16-ka, str. 289. *Iris.* „Głosy poetów polskich," przez Henryka Nitschmanna. Lipsk, 1880 r.

„Tłómaczyć potrzeba, to rzecz uznana; lecz czy przekład poezyi jest wogóle możliwym, wątpiłem ó tém zawsze, i, zdaje się, z tém powątpiewaniem umrę. Coś zawsze uronioném być musi: barwa, dźwięk, właściwość jakaś: na to Bóg dał tyle języków, bo każdy z nich ma woń swoję, a narcyz nie przetłómaczy fiołka, ani róża może volkameryą przełożyć... Tak samo przekłady naszych ze krwi i kości poetów, dziko, barbarzyńsko może, dziwnie zawsze brzmią w uszach niemieckich..."

Zaprzeczyć niepodobna, że opinia ta, (J. I. Kraszewskiego) mieści w sobie trafne spostrzeżenie, ale całkowitą prawdą nie jest i być nie może.

Pomimo pewnych właściwości, przywiązanych do poetycznego języka każdego narodu i każdéj literatury, istnieją przekłady utworów poetyckich, czyniące zadość nietylko warunkowi wierności, ale oddające nadto w języku obcym wszelkie subtelne odcienia właściwości czysto rodzimych przekładanego utworu. Zaleta ta pochodzić może jedynie od uzdolnienia tłómacza, od jego talentu i dokładnego wniknienia w ducha téj literatury, z jakiéj przełożony utwór pochodzi.

Czyż np. przekład Byronowskiego *Giaura* może być nazwanym „różą" niezdolną do odtworzenia wolkameryi? Czyż przekłady Odyńca Tiecka, Szlegla i Kaszewskiego; Paszkowskiego lub Ulrycha nie są wiernem, dosłownie niemal dokładném odtworzeniem niemieckiego lub angielskiego oryginału?

Zgodzi się na to każdy, że w przekładach poetyckich utworów nietyle zależy na warunku dosłownéj wierności, która, częstokroć ani możliwą, ani pożądaną nawet być nie może, ile na dokładném odtworzeniu r y t m u, o zachowanie w przekładzie owéj muzyki i harmonii wiersza, jaka tkwi w utworze oryginalnym; a jeśli przekład oddaje tę właściwość i wywołuje w duszy czytelnika toż samo wrażenie, jakie sprawia oryginał, wówczas przekład staje się już nie mechaniczném

tłómaczeniem, ale dziełem sztuki, przyswojeniem, w takiém pojmowaném znaczeniu, w jakiém np. pojmujemy wzorowe kopie arcydzieł malarstwa, odtwarzane przez utalentowanych artystów.

Jest jeden zwłaszcza rodzaj poezyi, nieprzedstawiający dla zdolnego tłómacza zbyt wielkich w odtwarzaniu oryginału trudności. Jestto liryka. Utwory liryczne we wszystkich prawie literaturach noszą na sobie jeden i tenże sam charakter. Przedmiotem ich są ogólnie ludzkie uczucia miłości, tęsknoty, żalów i zachwytów serca ludzkiego, czerpane z głębi zawsze jednakiéj człowieczéj natury. Hiszpan zarówno jak Szwed, Polak zarówno jak i Francuz w jednaki sposób opiewają żale zawiedzionego uczucia i tęsknotę za ideałem...

To nam właśnie tłómaczy przyczynę, dlaczego poeci liryczni wszystkich narodów łatwiéj i częściéj są przyswajani w przekładach na języki obce, aniżeli poeci epiczni i dlaczego np. przekład Hołdu Pruskiego, Wojny Chocimskiéj lub też Pana Tadeusza bardziéj „dziko" brzmieć będzie w szacie niemieckiéj, aniżeli Treny Kochanowskiego lub Sonety Mickiewicza. Tłómaczy to nam wreszcie przyczynę, dla któréj Intermezzo Heinego istnieje w przekładach wszystkich prawie literatur europejskich, gdy tymczasem na przekład Atta Troll lub Deutschland Heinego rzadko kto dotychczas pokusić się zapragnął.

Książka p. t.: Iris, którą mamy przed sobą, przykładowo zasadność powyższych uwag potwierdza. Nazwisko p. Henryka Nitschmana, jako zdolnego tłómacza, nie jest już obcém dla literatury polskiéj. Biblioteka Warszawska w zeszycie styczniowym 1877 r. podała już wyczerpujące sprawozdanie z innego zbioru przekładów Nitschmana, zaczerpniętych z naszéj literatury p. t.: Der polnische Parnass (Brockhaus, Lipsk 1875 r.).

Zasłużeni niemieccy krytycy, znawcy i miłośnicy naszéj poezyi, nadają Nitschmanowi zaszczytną nazwę klasycznego przewodnika po bogatéj niwie polskiéj literatury; a przyznając tłómaczowi wysokie zalety poetyckiego smaku i znajomości ducha literatury polskiéj, chwalą w nim wysokie poczucie harmonii, nadające wszystkim przekładom jego pióra, zwłaszcza lirycznym, niewypowiedziany urok.

Cztery wydania Polskiego parnasu Nitschmana są dowodem, że czytająca publiczność niemiecka znalazła upodobanie w téj książce, a jeśli jéj popularność w znacznéj części przypisać można zaletom przekładów tłómacza, piękności języka i mistrzowskiéj ich formie, niemniéj jednak bezprzykładne to, jak na wydawnicze stosunki niemieckie, powodzenie polskiego parnasu da się wytłómaczyć nowością motywów i bogactwem treści oryginału. Czytający i myślący niemiecki ogół, olśnionym został przepysznym kolorytem i obrazowością poezyi polskiéj. Nowe, nieznane światy, otwarte zostały dla niemieckiego ducha, w owym szeregu arcydzieł, których

cząstkę, jakby cudowne perły, udało się Nitschmanowi wyłowić z głębin oceanu polskiéj poezyi. Dla nieuprzedzonego czytelnika nie będzie to zapewne wyrazem przesady lub nieznajomości rzeczy, jeśli powiemy, że od czasu, gdy poetyczna lira Heinego w Niemczech umilkła, gwarna niegdyś i harmonijna orkiestra poetów niemieckich przycichła i zubożała niepomiernie. Z wyjątkiem może Alberta Traegera, niéma obecnie w literaturze niemieckiéj poety, wyskakującego ponad zwykły poziom naśladowczych talentów. Stosuje się to nietylko do poetów lirycznych, ale i dramatycznych, ci bowiem, których księgarze niemieccy, w wydawniczych celach klasycznymi poetami nazywają, na zaszczytne to miano wcale nie zasługują. Wartoby bliżéj zastanowić się nad przyczynami, które tak strasznie wyjałowiły grunt fantazyi niemieckiéj, niedawno jeszcze bujnym kwiatem porosły; pożądanąby może było rzeczą poznać okoliczności, które z owéj „promienistéj (jak ją Mochnacki nazwał) ojczyzny ducha i myśli, z owego ogniska wszystkich entuzyazmów, wszystkich uczuć i zapałów, gdzie zdawało się, że bije serce Europy, gdzie poezya tak cudnie mędrkowała, a mądrość filozoficzna nieraz poetyckim przemawiała językiem; gdzie po ogłoszeniu jednego sentymentalnego romansu (Wertera Goethego), studenci z wielkiéj czułości we łby sobie strzelać zaczęli, a po ogłoszeniu pierwszéj tragedyi ośmnastoletniego Szyllera po lasach jéj bohatera „Moora" naśladowali; ciekawą, mówię, byłoby rzeczą poznać te okoliczności, które, po upływie kilkudziesięciu lat, uczyniły z tych poetycznych niemiec ojczyznę koszar, fortec, igliców, stagnacyi ekonomicznéj, szkodliwych waśni kościelno-politycznych, z usunięciem na plan uboczny wszelkich rojeń niedawnéj epoki, noszącéj w literaturze miano epoki „burz i zapędów" (Sturm und Drang-Periode). Gdy jednak studyum takie wykroczyłoby poza zwykłe ramy literackiego sprawozdania z książki p. Nitschmana, poprzestać musimy, jak na teraz, na uwadze, że echa dziwnie dźwięcznéj piosenki, wyśpiewanéj z nieznanego dotychczas Niemcom polskiego śpiewnika, zwróciły uwagę myślącego ogółu Niemców, na skarby polskiéj poetyckiéj literatury, a dowodem tego uznania są nietylko powtarzające się w krótkich stosunkowo odstępach czasu nakłady Polskiego parnasu, ale i wzięstość nowego zbioru przekładów Nitschmana, ozdobionego tytułem gwiaździstéj Irydy. Siedmiu bowiem polskich poetów złożyło się na utworzenie téj „tęczy" poezyi polskiéj, mianowicie: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Odyniec, Morawski, Pol i Bielowski.

Z Mickiewicza wybrał tłómacz: Świteź (Der Świteź), Świteziankę (Świtezmaid), Panią Twardowską (Frau Twardowska), Pierwiosnek (Das Schlüsselblümchen, Primula veris), Żeglugę (Seefahrt), Do... Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą..." (Ich möchte das Band vom Golde

sein [1]), Trzy Słowa (Drei Worte), Śmierć pułkownika (Der Tod des Obristen), Rozmowę (Das Gespräch) i Grażynę. Ze Słowackiego: Jana Bieleckiego i Ojca Zadżumionych (Der Vater der Pesterkrancktenin El Arish). Z Krasińskiego: Gdybym dziś... jutro... (Naht heute oder morgen mir die Stunde) wiersz wybrany z autografu Kroniki Rodzinnéj r. 1873, nr. 21, Pożegnanie (Abschied) z Kroniki Rodz. z r. 1873, str. 175: Jak anioł spadły (Nun liegt es dem gefallenen Engel gleich) z Kron. Rodz. 1873 r., str. 366, Do Beatryczy (An Beatrix), z autografu Kron. Rodz. r. 1873, str. 175, Listku dziś suchy (Das dürre Blätten), Zawsze i wszędzie (Zu allen Stunden) z Kron. Rodz. r. 1873, str. 289 Ułamek z glossy Ś. Teresy (Aus der Zelle der heiligen Theresa [2]). Antoni Odyniec reprezentowanym jest w zbiorze Nitschmana przez Starość ducha (Das Altern des Geistes) Branki (Kriegs gefangene), Wesele (Die Hochzeit.) Przerwaną ofiarę (Das unterbrochene Opfer). Z Franciszka Morawskiego są przekłady: Łza (Die Thräne), Do modlącéj się (An eine betende), Ogdybym wiedział (Wenn ich gewusst), Chłop i bies (Bauer und Teufel), Wizyta w sąsiedztwie (Die Wisite in der Nachbarschaft). Wincentego Pola przedstawiają utwory: Domowe bogi (Hausgötter), Skowronek (Die Lerche), Kościuszko i Pożegnanie. Z pieśni Janusza wreszcie ustęp z Pieśni o Domu i Starosta Kiślański (Der Starost von Kisla). Nakoniec z Augusta Bielowskiego znajdujemy w zbiorze Nitschmana Pieśń o Henryku Pobożnym (Das Lied vom Heinrich den Frommen), którą zapewne nie tyle dla jéj zalet poetycznych, jak

[1]) Zwracamy uwagę czytelnika na to, że w ostatnich czasach zakwestyonowano autentyczność tego wiersza, którego skład nietylko pod względem treści, ale i pod względem formy, przedstawia tak wiele do życzenia, że tak mistrz słowa, jak Mickiewicz, nie mógł go napisać. Twierdzenie to opieramy prócz tego na tym fakcie, że autor tego wiersza jeszcze żyje. Panu Nitschmanowi, jako cudzoziemcowi, nie możemy robić zarzutu, że tego nie wiedział; ale mamy trochę żalu do niego, że ten niefortunny wybór zrobił.

Red.

[2]) Z tytułu możeby się czytelnik ,nie domyślał, że mowa tu o Glossie Ś. Teresy; lecz ponieważ w języku niemieckim wyraz *glossa* ma pewne naukowe filologiczne lub jurydyczne znaczenie, przeto tłómacz właściwie sobie postąpił, nie krępując się zanadto wyrażeniem oryginału, aby tylko pochwycić wiernie ducha poety. Red.

raczéj dla jéj osnowy, budzącéj żywszy interes w czytelnikach niemieckich w pięknym swoim zbiorze zamieścił.

Dla czytelnika polskiego obojętną będzie bezwątpienia opinia, czyli przekłady p. Nitschmana są doskonałemi i czy dobrze oddają właściwości rytmu polskiego wiersza. Opinia krytyka co do tego, czy tłómacz właściwy zrobił wybór, nie może już zmienić faktu dokonanego; ale pozostałaby tylko głosem ostrzegającym czytelników niemieckich pod tym względem, że niemają przed sobą najdoskonalszych wzorów naszéj literatury! Obeznawanie bowiem cudzoziemców z pojedyńczemi ustępami utworów naszéj poezyi, może miéć tę niebezpieczną i słabą stronę, że zamiast przyczynić chwały naszéj literaturze, może jéj szkodzić nietylko przez niedołężne tłómaczenie, ale i przez nieszczęśliwy, mniéj trafny wybór. Co do tego ostatniego nie można jednak zanadto krępować tłómacza, bo ten idzie zwykle w takim razie za upodobaniem własném. I dlatego, oddając najzupełniejszą sprawiedliwość dobrym i skutecznym usiłowaniom p. Nitschmana i wyrażając się ogółowo, że przekłady lirycznych poezyi jego zbioru, z małym wyjątkiem, są oddane wiernie, wytwornym językiem i pyszną architektoniką wiersza, zaznaczymy w krótkości te zalety, które przekładom p. Nitschmana zapewniły wartość istotnego dzieła sztuki.

O brakach przekładu utworów charakteru opisowego, może i zbyteczna wspominać. Są to braki nie ze złéj intencyi, lub z nieznajomości rzeczy wynikające, ale wprost z samego przedmiotu, który, o ile jest przedstawianym we właściwych warunkach języka i kolorytu miejscowego, staje się ponętnym i zrozumiałym, w szacie zaś przekładowéj traci na woni i wdzięku, wydając się czémś dziwném i niesmaczném.

Zwracamy zatém uwagę przeważnie na utwory liryczne. Punktem porównania będą dla nas nie utwory całkowite, bo szczupły zakres sprawozdawczych uwag na to nie zezwala, ale niektóre popularniejsze ustępy i wyrażenia oryginału.

Znaną jest powszechnie pierwsza strofka Mickiewiczowskiéj R o z m o w y, w któréj poeta ubolewa, że nie mogąc duszy swojéj w duszę kochanki przelać, uczucia swoje zmuszonym jest rozdrobić na s ł o w a:

> Które nim słuch twój i serce doścignę,
> W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną...

W przekładzie Nitschmana ustęp ten brzmi:

> Was kann Geliebte, dem Gespräch ents priessen,
> O darf ich mein Gefühl dir mittzutheilen,
> Nicht meine Seele in die deine giessen,
> Warum es theilen in der Worte viele.
> Die, eh sie dir zu Ohr und Herzen dringen,
> Im Mund verwehen, in der Luft verklingen.

Mistrzowskie oddanie myśli ostatniego wiersza psuje nieco wiersz czwarty, w którym rym odpowiadający wyrazowi: m i t t z u t h e i l e n drugiego wiersza, przeniesionym został do środka wiersza czwartego, przyczém przekładnia: i n d e r W o r t e v i e l e... jakkolwiek w niemieckim języku poetyckim tolerowana, razi ucho i smak czytelnika. Nietrudno byłoby tłómaczowi przez uszeregowanie wyrazów w inny sposób i wypuszczenie zbytecznego wyrazu: v i e l e, oddać myśl Mickiewicza słowami: W a r u m i n W o r t e d i e G e f ü h l e t h e i l e n? przezco i harmonia strofy byłaby uszanowaną i myśl oryginału odtworzoną dokładniéj. Że p. Nitschman wnika w poetyczną intencyę oryginału, dowodem tego jest zacytowany powyżéj wiersz szósty strofy, oddający nawet szczęśliwiéj myśl poety, aniżeli na to wymagania rymu w oryginale zezwalały. „Słowa" u Mickiewicza na powietrzu s t y g n ą; u Nitschmana zaś milkną, giną w dźwięku milknącego, oddalającego się echa (v e r k l i n g e n). Powstał tu obraz nowy, ale bez zaprzeczenia równie poetyczny i pod względem warunków fizycznych zupełnie naturalny, prawdziwy.

Taż sama uwaga stosuje się i do pięknego wiersza Krasińskiego:

Jak anioł spadły, leżący w piękności,
Lecz z kary Bożéj popiołem na czole,
Italia drzémie, wśród naddziadów kości,
A lud spodlony, w czarodziejskiém kole,
Mórz zwierciadlanych i sklepień światłości,
Jak proch pokuty, leży na jéj czole.

W oryginale ustęp ten nosi na sobie cechę opisowości. Poeta jednym tchem wypowiada swoje wrażenia, nie dzieląc go na pojedyncze momenta i obrazy. Tłómacz z wrodzoną poetycznym duszom intuicyą odczuł, że przestanki w stopniowaniu wrażeń silniéj oddadzą to uczucie smutku, budzące się w duszy czytelnika, na widok upadłego anioła Italii:

Nun liegt es dem gefallnen Engel gleich,
So schön, doch auf der Stirne Gottes Strafe...
Auf Gräbern ruht Italien in Schlafe...
Das Volk verdarb. Im zauberischen Reich
Des Meeres glanzes und der Lichtpallaste,
Bedeckt der Staub der Busse seine Stirn...

Tego rodzaju dowolności przekładu, o ile zbytnio nie wykraczają poza zakres intencyi autora, są dowodem, że tłómacz nie poddaje się niewolniczo pierwowzorowi, lecz wnika głębiéj w ducha przekładanego utworu.

Głównym wszelako warunkiem l e g a l n o ś c i tego rodzaju licencyi, jest zachowanie właściwego rytmu oryginału. Gdzie ten warunek zachowanym nie jest, przekład staje się chybionym i nieudanym. Weźmy np., trzecią strofę ballady Mickiewicza Ś w i t e ź:

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą,
I zwrócisz ku wodom lice;
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce.

Niewypowiedziana obrazowość tego wiersza uległa w przekładzie Nitschmana zupełnemu przeistoczeniu.

Ueber, unter dir erschimmert dort bei Nacht der Sterne Licht,
Zwiegestaltet sieht dein Auge auch des Mondes Angesicht... (!)

Wrażenie oryginału, skutkiem zmiany rytmu, znikło tu w zupełności, zamieniwszy się w bladą i bezbarwną parafrazę.

Do mniéj szczęśliwych również pod względem wyboru wyrażeń zaliczyć można i przekład Świtezianki. Wierności rytmu nic tu zarzucić nie można, ale mieści się tam wyrażenie niefortunne: die Dirne, na które żadna ze Świtezianek, błądzących brzegiem sinéj wody o blasku księżyca, bezwątpienia się nie zgodzi...

Dziewica Mickiewicza zamieniła się w przekładzie Nitschmana na zwykłą dziewkę, o któréj w przyzwoitém towarzystwie nigdy się nie wspomina. Tego jednak rodzaju drobne usterki nie odejmują wartości przekładom p. Nitschmana.

Tłómacz wykazał w nich prawdziwy artyzm, biegłość i poetyckie uzdolnienie.

Dowiódł, że sam jest poetą dzielnym, odczuwającym najsubtelniejsze piękności poezyi polskiéj, że się do pracy swojéj zabrał z zamiłowaniem i znajomością rzeczy.

Ale obok tych stron dodatnich jest jeszcze jedna, stanowiąca niejako akt zasługi tłómacza wobec nas, a odwagi względem swoich rodaków:

Den warmen Herzen sei dies Buch geweiht,
Die fern von Vorurtheil, mit Freudigkeit,
Den Geisteshauch aus Fremden Lande grüssen!
Czującym sercom, księgę tę poświęcam,
Co, bez przesądów, z radosném uczuciem,
Duchowy powiew z obcych stron witają!

Temi słowy rozpoczyna tłómacz wiązankę swoich przekładów, a te właśnie słowa nasuwają na myśl, że powodzenie tłómacza, jakiém się cieszy obecnie u swoich, nie towarzyszyło zrazu pierwszym jego krokom na polu obznajmiania Niemców ze skarbami naszéj poezyi, polu międzynarodowego pośrednictwa między naszą, a niemiecką umysłowością.

Z podejrzliwością właściwą epigonom niemieckiego national-liberalizmu, wietrzono w każdym odmiennym głosie wroga i pozbawionego uczucia miłości i sprawiedliwości. Od pewnego wszakże czasu dostrzegamy, że za przewodem Nitschmana i innych

znawców literatury polskiéj, przeważnie wszakże za danym przez cenne czasopismo: Magazin für die Literatur des Auslandes (w obecnéj redakcyi) przykładem, nastąpił w Niemczech przyjaźniejszy zwrot w zapatrywaniu się na umysłowość polską. Wzmianki o tém, co się na polu literackiéj działalności u nas dzieje, w dziennikach niemieckich są coraz obfitsze, a zastęp tłómaczów, probujących sił swoich w przekładach z polskiego na niemiecki język, staje się coraz poważniejszym. Z pomiędzy nowszych na tém polu prac, wymienić należy przekład Maryi Stuart Słowackiego, dokonany przez Ludomiła Germana (Lipsk, 1879); M. von Reden'a, przekład Kiejstuta Asnyka (Poznań, u Jolowicza, 1880). Bratranek wydaje w Krakowie przekłady Mohorta, Wincentego Pola i Śmierć Władysława IV, Szujskiego. Dr. Kurtzman tłómaczy Słowackiego: W Szwajcaryi. Obok wielu przekładów poetyckich utworów polskich, znajdujemy w czasopismach niemieckich sprawozdania z dzieł prozaicznych, jak np.: z pracy Sowińskiego, wydanéj z notat Zdanowicza p. t.: Dzieje literatury polskiéj, która właśnie dla swego kompilacyjnego charakteru, jako obejmująca, bez pretensyi do samodzielności, treść najnowszych poglądów na całokształt polskiéj literatury, zasługiwałaby na pobłażliwsze ocenienie ze strony krytyków. Wreszcie wymienić należy cenne przekłady Galicyanina Zygmunta Lipinera, studyum porównawcze Pechnika: O Hermanie i Dorocie Goethego i Panu Tadeuszu; szkic biograficzno-krytyczny O J. I. Kraszewskim, wydany przez Bohdanowicza. W wiedeńskich Dioskuren reprezentuje pan H. Blumenstock bardzo zaszczytnie ten kierunek pracy cywilizacyjnéj.

Tak przyjazny zwrot w ocenianiu koryfeuszów naszéj literatury, zawdzięczać należy szczupłemu, jak dotąd, gronu pisarzy, oceniających bezstronnie umysłowość sąsiedniego narodu. Na czele zaś tych bojowników prawdy i piękna, słusznie dać należy miejsce p. Nitschmanowi. Prawda, że zwrot ten, dotychczas przynajmniéj ujawnił się w sferze literatury nadobnéj. Przyjdzie może chwila, że i naukowość polska, prace na polu historyczném, filozoficzném, filologiczném, matematyczném i przyrodniczém, dostąpią należnego u obcych uznania, byleśmy coraz więcéj o te skarby się krzątali i nie zapominali o tém, że nauka to potęga. Trzeba, aby dzieła uczonych naszych nie zamykały się dobrowolnie w zbyt szczupłych swojskości granicach, ale starały się zwolna przenikać i na obszerne pole powszechnéj wiedzy bez uprzedzenia dla żadnego przedmiotu: z miłością i bezstronnością sądu dla wszystkiego, co urzeczywistnia idee prawdy, dobra i piękna.

Niepodobna tu oprzéć się narzucającemu się mimowoli pytaniu: czém się to dzieje, że dla Francuza, lub Anglika, obojętną, a przynajmniéj nie tyle pociechy sprawiającą okolicznością, jest pojawienie się utworu ich literatury w przekładzie na języki obce, ile dla Polaka, który każdą wiadomość o przekładzie utworu rodzinnéj literatury na języki obce wita z nieukłamaném uczuciem wewnętrznego zadowolenia?

Odpowiedź na to pytanie leży w fakcie, że naród dziewięć wieków kultury za sobą mający, widzi w tego rodzaju objawach a k t s p r a w i e d l i w o ś c i, akt międzynarodowego równouprawnienia literatury naszéj, być może mniéj szczęśliwemi warunkami bytu uposażonéj, niemniéj jednak ożywionéj temi szlachetnemi pierwiastkami, jakie są nieodzownym atrybutem umysłowego życia każdego europejskiego, na europejskiéj cywilizacyi urobionego narodu.

Czyżby kto interesował się takimi np. narodami, jak Węgrzy lub Duńczycy, gdyby świat nie znał w przekładach arcydzieł Petoefie'go, lub Andersena? Dobijać się nie sentymentalnego współczucia, ale uznania u obcych, nie jest dowodem zaściankowéj miłości własnéj, ale obowiązkiem każdego żyjącego i żywotnego narodu. Niechaj przekłady arcydzieł naszéj literatury torują nam drogę do takiego uznania!

Aleksander Kraushar.

Lettre sur l'enseignement des Beaux Arts. Par Henry Havard. Paris, 1879.

Pod tym tytułem wyszła w Paryżu broszura napisana skutkiem jednomyślnie przez Izbę francuzką przyjętego wniosku ministra p. Bardout, dotyczącego powszechnego, w początkowych nawet zakładach naukowych nauczania rysunku.

Wniosek mówi tylko o rysunku, autor zaś broszury rozszerza to zdanie i dochodzi do propozycyi nowéj zupełnie metody wdrażania umysłów młodzieży w pojęcie piękna.

Zaznaczymy tu tylko krótką wzmianką wywody, za pomocą których autor broszury dowodzi stosowności i konieczności tego nauczania, aby dłużéj zatrzymać się nad najważniejszą częścią poglądów jego na drogi prowadzące do skutecznéj nauki. Punkt wyjścia p. Havard, stanowi zdanie, iż w każdém społeczeństwie pewna część onego musi miéć możność używania i że ta właśnie bez sztuk obejść się nie może, że w widokach cywilizacyjnych używanie to na cały ogół rozszerzyć należy, uprzystępniając szlachetne rozrywki najuboższym [1]).

Przeprowadzając daléj rozumowania swe co do konieczności i użyteczności uprawy sztuk i popierając je zdaniami mędrców starożytnych i nowożytnych znajduje, co zresztą jawném już jest i wiadomém wszystkim, iż cały rozwój rękodzieł wyższych i cały dobrobyt Francyi,

[1]) Pan Havard zdaje się zapominać o tém, że przecie prawdziwém źródłem sztuk pięknych są wrodzone każdemu człowiekowi *uczucia estetyczne*, bez których miliardowe nawet bogactwa nie stworzyłyby sztuki.

Red.

ogromne jéj bogactwa płynące z tego źródła, opierają się właśnie na rozwoju pojęcia i poczucia piękna, zaszczepionego przez wielowiekową uprawę sztuk pięknych.

Autor broszury krytykuje silnie i nie bez słuszności dzisiejsze nauczanie sztuk a szczególniéj rysunku, na którym się one opierają.

Istotnie, pomiędzy nauczycielami rysunków w zakładach naukowych średnich, mało jest niezmiernie takich, którzyby przedmiot swój gruntownie znali: wyjątkowy, któryby ukończył akademią lub szkołę sztuk pięknych, gdy nauczycielem każdego innego przedmiotu nie można być nie ukończywszy uniwersytetu. Cóż mówić o metodzie nauczania, która może być dopiéro wynikiem wykształcenia zupełnego i wszechstronnego, opromienionego gorliwością nauczycielską a zapłodnionego przez zdolności pedagogiczne.

Gdy sobie tę stronę zadania uprzytomniamy, myśli p. Havarda wydadzą się do spełnienia zupełnie nieprawdopodobne, jakkolwiek napozór arcy proste a w założeniu często logiczne.

Pan Havard utrzymuje, iż nauczanie prowadzone sposobem dotychczasowym, nie może żadną miarą wydawać owoców dojrzałych: zaczyna się bowiem od końca; uczymy młodzież pisać, mówi autor broszury, nie nauczywszy jéj wprzód czytać. Radzi więc poczynać od nauczania wczytywania się w piękno przyrody i arcydzieł sztuki a następnie dopiéro zaleca wdrażanie uczących się w pisanie, czyli odtwarzanie rysownicze, plastyczne, rzeczy już zupełnie dla niéj zrozumiałych.

Nie tai autor trudności kolosalnych jakie ten sposób nauczania musiałby za sobą pociągnąć, przeciwnie, stawia im czoło odważnie i wbrew wypowiadając, iż wcale nie widzi ani liczby ani jakości odpowiednio uzdolnionych nauczycielów; niemożliwość chwilowa, wprowadzenia téj nowéj metody w czyn, nie zmienia zdania autora, ale prowadzi go do odszukania dróg i sposobów postępowania.

Dostrzega pan Havard z zupełną słusznością, iż dzieło Karola Blanc: G r a m m a i r e d e s a r t s d u d e s s i n, jakkolwiek napisane nie dla specyalnie kształcących się a najmniéj dla początkujących, nosi w sobie zarody tego, coby za wzór wziąć należało do utworzenia szeregu podręczników teoretycznych do nauczania odczytywania piękna w przyrodzie.

Jest więc i droga do wyjścia z trudności wskazana, idzie tylko o wykonanie zadania. Jako pomoc niewątpliwie jednę z najskuteczniejszych, wskazuje autor zakładanie muzeów nietylko prowincyonalnych, których we Francyi jest bardzo dużo, ale okręgowych i bodaj gminnych, złożonych z odlewów gipsowych arcydzieł sztuki starożytnéj i z innych wzorowych reprodukcyi.

Wracamy jeszcze raz do największéj trudności, do znalezienia ludzi, w których ręku metoda ta mogłaby nabrać krwi, życia; o takich atoli nawet we Francyi, wedle zdania p. Havarda, trudno.

Cóż mówić w téj sprawie odnośnie do kraju naszego, który także przyszłość dobrobytu swego w znacznéj części na rozwoju rękodzieł

wyższych zasadzać musi; cóż mówić wobec niezmiernie jeszcze grubych pojęć o znaczeniu sztuk pięknych, nawet u ludzi zkądinąd wykształconych i poważnych.

Czyż nic nie powiedzieć, czy zostawić w zawieszeniu jedno z ważnych pytań etycznych i ekonomicznych? nie daj tego Boże, byłoby to przemilczenie nie dowybaczenia i dlatego też wrócimy do tego przedmiotu, względnie do kraju naszego w obszerniejszym zakresie, poprzestając dzisiaj na sprawozdaniu z broszury p. Havarda, któréj osnowa nie nastręcza wiele przedmiotu do krytyki, ale potrąca o idee, których gruntowny rozbiór nie będzie bez korzyści.

W. G.

Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego. Przez dr. Antoniego Małeckiego. Lwów, 1879 r. 2 tomy, w 8-ce (str. XII, 490 i 546) *).

Część druga gramatyki zawiera „*naukę o formach*, czyli odmianach wyrazów," zwaną także morfologią (*Formenlehre, Wortbildungslehre)*, i rozpada się na dwa główne rozdziały: *deklinacyą*, obejmującą odmiany imion (str. 162—256) i *konjugacyą* (str. 256—323), przedstawiającą zasób odmian słowa polskiego.

Deklinacyą rozpoczyna nauka odmian rzeczownika. Po wiadomościach wstępnych o gatunkach rzeczowników, o rodzajach, liczbach, zatrzymuje się autor nieco dłużéj nad przypadkami czyli skłonnikami, zpowodu nazw polskich: *mianownik*, *dopełniacz*, *celownik*, *biernik*, *wołacz*, *narzędnik* i *miejscownik*, wprowadzonych do gramatyki przez Kopczyńskiego, które dotychczas „są w obiegu" zamiast łacińskich: *nominativus*, *genitivus* etc. Małecki przeciwny jest polskim nazwom skłonników, z powodu, że żadna z tych nazw nie wyraża dokładnie wszelkich odcieni znaczenia swojego skłonnika, a prócz tego, że niektóre z nich, jak mówi autor, są „wręcz niezdarne" (np. celownik). Dlatego w książce swojéj używa „tylko łacińskich i liczebnych nomenklatur deklinacyjnych," z polskich zaś nazw „dopełniaczem" posługuje się w składni. Że polskie nazwy skłonników nie są bez zarzutu, że niedokładność jest cechą ich niewątpliwą, temu nikt przeczyć nie będzie; ależ, jak sam autor mówi, i „łacińskie nazwy przypadków nie zewszystkiém wyrażają to, co powinny wyrażać" i dodajmy: w żadnym razie ani fortunniejsze ani „lepsze" od polskich nie są. Co się tyczy owéj „niezdarności" nazw polskich, to nie jest ona tak dalece rażącą, jak ją autor ocenia [1]): niektóre z tych nazw są wprost tłómaczeniem łacińskich,

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za sierpień r. b.

[1]) Miano „niezdarnych" zasadniéj możnaby przysądzić nazwom skłon-

inne znowu na tenże sam sposób utworzone, i zarówno ze względu na formę zewnętrzną jak i wewnętrzne znaczenie pierwowzorom łacińskim nie ustępują. Czyż bowiem nazwa *genitivus* wszystkie odcienie stosunków tym przypadkiem wyrażonych obejmuje? lub czy *dativus* może miéć jakieś pierwszeństwo przed „niezdarnym" celownikiem? Bezstronnie obie te nomenklatury oceniając, przyjdziemy do wniosku, że nie wiele zalet przemawia tak za jedną jak i za drugą: w równéj mierze można o nich powiedzieć: *ambo meliores*. Wobec tego więc, nie ma dostatecznéj zasady nastawać na wycofanie z „obiegu" nazw polskich na korzyść łacińskich. Tym więcéj zaś, jak sądzę, miejsca ich zająć nie powinny nazwy liczebne: *przypadek pierwszy*, *przypadek drugi* i t. d.," i to nie dlatego bynajmniéj, że nazwy te, jak mówi autor „nie przypadają niektórym do smaku np. poznańskim gramatykom," bo *smak* jednostki w sprawach ogólno naukowych nie ma żadnéj wagi; ale dla innych, ważniejszych przyczyn, a mianowicie: popierwsze, że nazwy liczebne nie zawierają w sobie i nie wyrażają żadnego zgoła znaczenia przypadku, najsłabszego nawet odcienia stosunku, jaki danym skłonnikiem wyrazić mamy; powtóre, że „odwieczny ów porządek przypadków, do którego śmy od dzieciństwa przywykli" (str. 166), bez względu czy to są nazwy łacińskie czy liczebne, od pół wieku przeszło w lingwistyce naruszony został i to nie bezzasadnie; a nawet, jak zaznacza autor: „dzisiejsi lingwiści bardzo często porządek ten burzą," dając nowe świadectwo prawdzie, „że i w téj nawet ostatecznie tak błahéj sprawie, co głowa to rozum" (str. 167).

Zważywszy tedy, że do owego wywrotu „odwiecznego porządku przypadków" piórem swojém przyłożyły się osobistości takie, jak: Bopp, Schleicher, Miklosić, Gustaw Meyer i tylu innych, kierując się pobudkami, które i nasz autor zupełnie podziela, skoro łączy przypadek 1, 4 i 5 w jednę grupę skłonników głównych (casus recti, § 306); zważywszy nadto, że z wywróceniem raz kolejnego porządku skłonników, za utrzymaniem nazw liczebnych nic już nie przemawia [co bowiem u nas pozostałoby przypadkiem 4-ym, to u nich jest z kolei 2-im lub 3-im (accus.), co u nas 3-im, to u nich z kolei 4-ym lub 5-tym (dativ.)], że zatém, dla zabezpieczenia się od niechybnego zamieszania, nazwy specyalne dla każdego skłonnika okazują się koniecznemi; sądzę, że pozostaje nam: albo trzymać się nazw łacińskich, albo co właściwsza, nie wystrzegać się nadal nazw polskich, jakie już nie od dziś posiadamy: témbardziéj, że znalazły one zastosowanie zarówno w pracach bardzo po-

---

ników, wprowadzonym przez Szylarskiego w jego gramatyce: *mianujący*, *rodzący*, *dawający*, *oskarżający*, *wzywający*, *nazywający* (?) *i opowiadający!* podobnie jak innym nazwom np. num. pluralis, oddanéj przez *liczbę wielką*, g. feminum, którą Szylarski oddaje przez rodzaj *niewieści*, a neutrum przez rodzaj *„trzeci, ani męski, ani niewieści;"* lub gdy łacińskie participium tłómaczy przez *uczestnictwo*, activum i passivum przez: słowa *gatunku działającego* i *gatunku cierpiącego* i t. p. Gram. jęz. polsk.; Lwów, 1770, str. 5, 54, 61.

ważnych (jak Fr. Malinowskiego, prof. Przyborowskiego i innych), jak i w praktyce szkolnéj.

W nauce o formach, zadaniem autora było „zapoznać się dokładnie z formami *już gotowemi*, mianowicie jakie one są *dziś* w piśmiennym i poprawnym polskim języku, jakie były w Zygmuntowskiéj epoce, jakie w pomnikach z przeddrukowego jeszcze okresu, i jakie być mogły o dwa albo trzy wieki rychléj, o ile wiedzieć nam o tém w *przybliżeniu* daje tak zbliżony do naszego, a już wtedy piśmienny język staro-słowiański" (str. 168).

Deklinacyj przyjmuje autor pięć, jak w gramatyce z r. 1863, trzymając się w tém ściśle Miklosića („Formenlehre," w drugiém wydaniu „Wortbildungslehre."). Nie podaje jednak ani zasad, na jakich podział deklinacyj opierać się winien, ani téż przyczyny, dla któréj tych deklinacyi ustanawia pięć, a nie więcéj lub mniéj. Pojęcie *tematu*, będące dotychczas nietylko główną podstawą przy nauce deklinacyi, ale także stanowiące, obok różnicy końcówek skłonnikowych, ważną bardzo wskazówkę przy grupowaniu rzeczowników w pewne odrębne kategorye, zwane deklinacyami, obecnie zostało przez autora z nauki deklinacyi usunięte. W wydaniu gramatyki z r. 1863, przy podziale deklinacyj, określenie pojęcia tematu i wykazanie zasady podziału znalazło odpowiednie uwzględnienie w § 115 i 116; prócz tego temat odmienianego rzeczownika na czele wzorca w każdéj deklinacyi był przedstawiony. W obecném zaś dziele orzeka autor wprost: „rzeczownych deklinacyj w języku polskim jest pięć," i porządkuje z góry ustanowione grupy podług zakończenia pierwszego przypadku liczby pojedyńczéj, unikając starannie przez cały ciąg wykładu deklinacyi nawet wzmianki o temacie. Brak ten z konieczności często prowadzić za sobą musi nie tylko przydłuższe w wykładzie omówienia (np. w § 103 i 105), ale nadto jest powodem niedokładności orzeczeń (§ 129, 137) i niepotrzebnego zamętu w opisywaniu rzeczy najprostszych (§ 125, 150, 151).

Powodów stanowczego wykluczenia tematu z nauki deklinacyi nie znajdujemy w całéj morfologii. Nazwy *tematu* po raz pierwszy użył autor mimochodem przy deklinacyi przymiotników, tłómacząc powstanie niektórych form deklinacyi złożonéj (str. 235). Dopiéro z pojęciem tematu jako zasadniczéj części morfologicznéj, spotykamy się przy teoryi konjugacyi polskiéj. Tam bez tego pojęcia jakikolwiek głębszy wykład, okazał się niemożliwym. Wprowadzenie jego uznał autor za rzecz konieczną i w § 233 określeniu pojęcia tematu, jako niezmiennéj „części danego czasownika" poświęcił osobny ustęp, uzasadniając przytém dość obszernie pierwszeństwo nazwy *temat*, przed nazwą *źródłosłów* i innemi [1]).

[1]) Przytém nazwę *osnowa* najniesłuszniéj mianuje autor obok innych (*pień*, *rdzeń*) „niezręczną i nieodpowiednią." Nie możemy miéć nic przeciwko wyrazowi „temat," ani téż nie stajemy w obronie nazw innych; ale, jeżeliby

O zapatrywaniu się autora na tematy imienne i znaczenie ich dla fleksyi, dowiadujemy się nie wcześniéj, aż przy wykładzie 3-éj części gramatyki, t. j. *etymologii*. Przytaczamy tu odnośne słowa autora, jako charakteryzujące i stanowisko jego w naszéj nauce i pozwalające choć w części wyrozumiéć przyczynę usunięcia tematu z deklinacyi. „Lingwistyka tegoczesna, mówi autor, kładzie cały przycisk na tak zw. *tematach* (Stamm) i do tego stopnia nie turbuje się w Etymologii o nic więcéj, jak tylko o wyjaśnienie składu tych martwych, bo abstrakcyjnych wyrazowych tematów, że się ta część gramatyki i sama już przezwała *tematorodem* (Stammbildungslehre) [1]), a tworzyć z owych tematów żywe, rzeczywiste wyrazy, to pozostawia już fleksyi" (str. 325).

Przedewszystkiém *tematu* nie można uważać za część „martwą," abstrakcyjną, w ustroju wyrazów. Tak w naszéj mowie, jak i we wszystkich językach fleksyjnych tematy nie są to pojęcia gramatyczne oderwane, ale części wyrazów podstawowe, realne, i jako takie w każdym języku, dopóki język ten nie pozbył się fleksyi, żywo przez naród mówiący uczuwane. Tematy w ten sposób pojmowane, jako całości morfologiczne, dają możność dokładnego rozumienia procesów fleksyjnych, jako téż wielu zjawisk fonetycznych, które bez uwzględnienia „tematu," abstrakcyjnie, najczęściéj w sposób zewnętrzny tylko, mechaniczny, bywają objaśniane. Nauka téż etymologii, zajmując się owemi tematami, jako podstawowemi dla fleksyi częściami wyrazów, jest zupełnie w obrębie swojego zadania. Z czego jednak nie wypływa, że się już „o nic więcéj nie turbuje" i że fleksyi dopiéro pozostawia naukę tworzenia żywych „rzeczywistych wyrazów," to bowiem jest właśnie etymologii ostatniém zadaniem. W zakres zaś nauki fleksyi wchodzi wykazanie i wyjaśnienie sposobów formalnych, jakiemi się język posługuje przy wyrażaniu rozlicznych względów i stosunków, zachodzących pomiędzy wypowiadanemi pojęciami.

Nie widzimy téż słuszności w dalszych słowach autora: „Taka metoda (w etymologii wyjaśnienia składu tematów) może być trafną chyba tylko wobec języka, któryby zachowywał do téj pory jaknajwyraźniejsze jeszcze poczucie ustroju tematowego w swoich wyrazach..." Nie zgadza się to bowiem z ową zapowiedzianą „genetycznością" metody autora, która sięga bardzo często aż do stanu języka pierwotnego,

---

chodziło o wybór nazwy swojskiéj, to nie żadna inna, tylko „osnowa" miałaby zupełne do tego wyboru prawo, będąc właśnie i zręczną i odpowiednią do dokładnego oddania pojęcia, o jakiém mowa. Za wyrazem *temat* to tylko jedynie przemawia, że jest on terminem ogólnie w językach zachodnich przyjętym.

[1]) Część gramatyki, znana p. n.: *Stammbildungslehre*, „tematorodem" chyba „przezwać się" nie może; to bowiem, co stanowi „naukę o tworzeniu się tematów," nie jest jeszcze samém tworzeniem (czyli rodem) tychże. Gdyby chodziło o dokładne oddanie powyższego terminu niemieckiego, właściwszą już byłaby nazwa „*tematorodnia*," któréj jednak nie śmiemy zalecać.

t. j. epoki, poprzedzającéj tę, w któréj „poczucie ustroju tematowego" wyrazów, tkwiło bez zaprzeczenia żywo wśród mówiącego ogółu. Jeżelić, jak sam autor w etymologii twierdzi „pierwszy zawiązek fleksyi w naszych językach stanowiło pojawienie się *imionowych tematów* w przeciwstawieniu do tematów *czasowych* (werbalnych)" str. 335, to czyż podobna wejrzéć w głąb' owéj fleksyi przy wykładzie deklinacyi, pomijając zupełném milczeniem żywioł podstawowy, jakim jest temat deklinacyjny?

Dogmatem również nieuzasadnionym byłoby twierdzenie, że dziś w języku naszym poczucie tematów wyrazowych zamarło. Zapewne, sam temat, jako część wyrazu ulegać musi stopniowym i ciągłym zmianom, jak w ogóle wszystkie elementy głosowe w skład jego wchodzące; poczucie jednak rzeczywistych tematów wyrazowych (choć z biegiem czasu przeobrażonych (wśród mówiących jednostek) istnieje we wszystkich językach fleksyjnych, dopóki te fleksyą swoję w jéj przyrodzonéj sile utrzymują, t. j. dopóki języki te nie zejdą do rzędu języków analitycznych, zamieniając fleksyjny sposób wyrażania względów deklinacyjnych i konjugacyjnych sposobami zupełnie odmiennemi (jak np. języki romańskie, język angielski, bulgarski i t. p.). Wtedy temat będzie rzeczywiście czémś martwém, nieodczutym przez lud mówiący jako część wyrazu zasadnicza, a przy istnieniu fleksyi wybitna.

Usunięcie więc tematów imiennych z nauki deklinacyi, a zatrzymanie tematów słownych przy wykładzie konjugacyi nie da się pobudkami naukowemi usprawiedliwić. Nieobecność tematu w deklinacyi pozostanie w wykładzie téj części gramatyki dotkliwym brakiem, który nawet naukę deklinacyi sprowadziłby do zwyczajnego przestarzałego wykazu odmian rzeczowników, ujętych w pewne mniéj lub więcéj dowolne gromady, a tém samém odjąłby wykładowi charakter umiejętny, gdyby nie „uwagi o poszczególnych przypadkach," zamieszczane przy każdéj deklinacyi, a zawierające w sobie wiele pożądanego materyału dla historyi form deklinacyjnych, w systematycznym porządku przedstawionego. Na objaśnienia jednak autora wśród tych uwag nie zawsze godzić się można; często bowiem są one zupełnie nieodpowiednie dzisiejszym pojęciom naukowym i niezgodne z rzeczywistym zkądinąd znanym stanem rzeczy.

Dowolna liczba przyjętych 5-ciu deklinacyj zostaje w bezpośrednim związku z brakiem zasady, na któréj podział ten oparty być winien. Jeżeli w wykładzie autora chodzić miało przedewszystkiém o „istniejący stan rzeczy," to ten jeden wzgląd czyni już liczbę 5-ciu deklinacyj niewłaściwą. Przypuśćmy, że ustanawiając deklinacyą 1-szą dla rzeczowników męzkich „ze spółgłoską nakrawędną odkrytą" (*aniol*, *koń*), a deklinacyą 2-gą dla rzeczowników rodzaju nijakiego „zakończonych w przyp. 1-szym liczby pojed. po spółgłosce twardéj i czasem po *o* na *o*..., po spółgłosce miękkiéj na *e*," autor powodował się względami jasności wykładu, by imion dwojakiego rodzaju nie łączyć w jednę deklinacyą, chociaż wspólność zasadniczych końcówek

w dalszych skłonnikach przemawia i tu za połączeniem obu tych szeregów w jednę kategoryą skłonnikową. Jeżeli jednak rozdział ten może miéć niejakie usprawiedliwienie, za to tworzenie dla rzeczowników *nijakich* z końcówką mianownika *ę* (*źrebię*, *znamię*) osobnéj deklinacyi 5-téj jest już niepotrzebném rozdrabianiem przedmiotu. Rzeczowniki te bowiem mogły były znaleźć pomieszczenie w osobnym wzorcu w deklinacyi 2-iéj rzeczowników nijakich na *e* (*pole*)—rzecz prosta—z wyłuszczeniem różnicy zachodzącéj dziś tylko w tematach tych dwu gromad wyrazów (*pol-*, *źrebięć-*, *znamień-*) i powstałych ztąd mianownikach; zakończenia bowiem pozostałych skłonników dla obu kategoryj rzeczowników są zupełnie jednakowe.

Z powodu nieobecności *tematu*, jako części podstawowéj wyrazów, znajdujemy zaraz w uwagach przy deklinacyi 1-éj, objaśnienia niezgodne z rzeczywistą genezą wyrazów. Autor i tutaj uczy, że dzisiejsze rzeczowniki: *kocieł*, *kotła*, *orzeł*, *orła* i t. p. miały pierwotnie we wszystkich skłonnikach samogłoski *o* i *e*; że „zatém było *kocełа*, *orzełа* (!)... *kubłkiem* i t. d. Późniéj w nich te samogłoski zaprzestało się wymawiać; spółgłoski *ć*, *rz*... napowrót odtwardniały, gdzie było trzeba" (str. 170)—tłómaczenie, jak to widzieliśmy w przeglądzie głosowni (st. 325), będące w niezgodzie z rzeczywistą historyą form i dźwięków języka polskiego.

Niedokładne przez autora wyłuszczenie niektórych przepisów gramatycznych staje się powodem pewnéj pomiędzy niemi sprzeczności i niejasności. Na str. np. 176 autor, mówiąc o formach mianownika na *y*, t. j. takich jak: *psy*, *koty*, *chłopy*, *pany*, *doktory*, *pogany*, *dominikany* (*?*), dodaje, że form tych „w połączeniu z zaimkiem lub przymiotnikiem nie można inaczéj używać, jak tylko tak: *te psy*, *owe koty*, *tęgie chłopy*, *dobre pany*, *mądre doktory*..." I daléj: „osobowe imiona zakończone na *cy* mogą zawsze i *ci* i *te* wedle woli mówiącego (sic) przybierać: *ci* zbójcy i *te* zbójcy, *ci* potwarcy i *te* potwarcy..." (str. 177). W uwagach zaś o wzorcu 2-gim téjże deklinacyi (str. 182) czytamy: „Rzeczy i zwierzęce imiona zdolne są tylko samych form rzeczowych. Osobowe, po większéj części, samych tylko form osobowych (*te ludzie*, *goście*, *przyjaciele* powiedzieć nie można)." Czytelnik daremnie szukałby odpowiedzi na nastręczające się tu pytanie: dlaczego to gramatyka *pozwala* używać form np. *ci* i *te* zbójcy, potwarcy „wedle woli mówiącego," zaś *te* ludzie, goście... podług téjże gramatyki „powiedzieć nie można." Również nieświadom rzeczy nie dowié się, czy forma mianownika od rzeczownika *dominikanin* ma rzeczywiście sufiks *anin*, jak na str. 176, czy téż sufiks *an* „dominikan," jak to niewłaściwie podano na str. 182, obok „Hiszpan, młodzian," czy téż i jedna forma i druga są właściwe.

O rzeczownikach obcego pochodzenia takich, jak: *testament*, *dokument*... mówi autor, że formują 1-y przypadek liczby mnogiéj albo na *a*, jak we własnym języku, albo rzeczowo na *y*, nic jednak nie wzmiankując, czy te ostatnie (na *y*) wyrobiły się w czasach nowszych,

czy też znane były w staropolszczyźnie. Byłoby zaś rzeczą pożądaną, by gramatyka historyczna wyjaśnić mogła na zasadzie faktów, niezgodność panujących w tym względzie zapatrywań. Rzeczowniki te, przyjęte do polskiego, w odległéj przeszłości języka, upodobniły swą deklinacyą do deklinacyi polskich rzeczowników męzkich, skutkiem czego już w wieku XVI spotykamy formy w mianowniku i bierniku liczby mnogiéj na *y* [1]). Jednocześnie jednak i współrzędnie z działaniem téj asymilacyi, występuje druga siła, przeciwdziałająca pierwszéj, podtrzymująca w mianowniku i bierniku niezmienność form łacińskich na *a* i tamująca tym sposobem przewagę i ustalenie się form powstałych drogą całkowitéj asymilacyi [2]).

Podobnemu procesowi podlegały i rzeczowniki: *koszt* i *grunt*, o których autor niezupełnie zgodnie z historyą mówi, że „wyrazy te wzięte z niemieckiego, mają zawsze *koszta*, *grunta*." Dziś jest tak, bo i one uległy asymilacyi do łacińskich (*akta*, *dokumenta*), tak silnéj, że wpływem swoim dosięgła niektórych czystopolskich (jak: *urzędy*, *przedmioty*...), pojawiających się i dziś jeszcze z końcówką *a* w mianowniku; w wieku jednak XVI i wyrazy: *koszt* i *grunt*, podlegały również asymilacyi rzeczowników męzkich, które w liczbie mnogiéj mają w mianowniku *y* (*koty*, *kłopoty*, *mosty*, *bunty*...) i temu to wpływowi winny swoje istnienie formy: *grunty*, *koszty*, dosyć często spotykane u pisarzów wieku XVI-go i późniejszych [3]). Działanie jednak asymilacyi do form cudzoziemskich, mianowicie łacińskich na *a: testamenta*, *dokumenta* i t. p., okazało się silniejszém i onoto spowodowało ustalenie się dzisiejszych form: *koszta*, *grunta*, powszechnie używanych.

Najniesłuszniéj niekiedy daje autor ucho pomysłom i radom zaściankowych gramatyków, którzy nietylko, że zjawiska języka tak zwy-

---

[1]) Dwa *testamenty*, Postyl. Wujka, r. 1584, t. II, str. 204; trzeba odłożyć *affecty* na stronę, Postyl. Wujka, r. 1579, t. I, str. 314; *sakramenty*, Kazania Skargi, r. 1600, str. 2, 3, 5, 6, s. 277; *elementy*, s. 1, 2; *fundamenty*, *lamenty*, Grodzicki, O poprawie kalendarza, Wilno, 1587, str. 8, 9, 38 i t. d.

[2]) Rzecz o *asymilacyi* w języku przedstawił p. M. Kruszewski w wybornym artykule p. n. *Ob „analogiji"* i *„narodnoj etimologiji"* („*Volksetymologie*"), pomieszczonym w czasopiśmie naukowém: *Russkij filologiczeskij wiestnik*, 1879 r., zeszyt 3 (str. 109—120). W zeszycie zaś 4-tym (str. 265), daje krótkie i gruntowne objaśnienie, dlaczego termin *asymilacya* właściwszym jest od terminu *asocyacya*, projektowanego zamiast *analogii* przez K. Brugmana w *Studien* Curtiusa i w *Zeitschrift für vergl. sprachforsch*, etc.

[3]) Wujek: Skąd się wżdy te zbytki y te niepotrzebne *koszty* wźięły miedzy chrześćiany, Postyl., r. 1584, t. II, str. 62. Błażowski: *grunty* splondrowawszy, str. 101; *grunty* nieprzyiścielskie; *grunty* y przedmieścia, str. 404, przekład Kromera, 1611 r. Petrycy: *grunty* y náwet wszytka roley włość, str. 238; majętność y *grunty* wszelákie, Polit. Arystot., r. 1604, str. 28; Klonowicz: *grunty*, Flis, 1595, st. 28 i t. d.

kle tłómaczą, jak sobie życzą, ale nadto wskutek niepojmowania rozmaitości form, usiłują zaprowadzać według własnego widzimisię różnice, których język wcale nie wytworzył i zgoła nie posiada. Tak np. na str. 183 mówi autor: „Czasem rozstrzygają o formie téj, albo owéj, przywiązane do nich znaczenia, np.: *pisarzów* (scriptorum), *pisarzy* (scribarum); *uczniów* (w szkołach), *uczni* (rzemieślniczych)." I jakkolwiek autor osłabia zaraz fałszywy ten przepis uwagą: „Najczęściéj wszelako wcale się nie troszczymy o różnicę znaczenia w używaniu form tych, albo owych potocznem" (str. 183, wyd. 1863, § 146), to jednak w żadnym razie osobiste czyjeś życzenie, nie mające zupełnie podstawy w żywéj mowie ogółu, nie powinno znaléźć żadnego uwzględnienia w gramatyce, która przedewszystkiém liczyć się musi z rzeczywistemi faktami języka.

Zamiast tych rad domowych i „praktycznych przepisów," pożądańsza byłaby w gramatyce historyczno-porównawczéj dokładna wiadomość o formach mianownika liczby mnogiéj, z końcówką *ewie* (*królewie*, *mistrzewie*), oraz o formach celownika liczby pojedyńczéj na *ewi* (*królewi*, *mężewi*, *mikołajewi*) [1]), właściwych w XIV i XV wieku rzeczownikom męzkim z ostatnią tematową zmiękczoną, zgodnie ze starosłowiańskim, a następnie i innym rzeczownikom, jak również wyjaśnienie ścisłego związku, między temi dwiema formami (*ewie*, *ewi*) zachodzącego.

W uwagach o celowniku, czyli 3-im przypadku liczby mnogiéj rzeczowników męzkich i nijakich, nie znajdujemy ani wzmianki o formach z końcówką *am*, które istniały w języku wieku XIV, XV a nawet i XVI (*skutkam*, *bogactwam*, *dzieciam*), powstałych na zasadzie asymilacyi morfologicznéj do form właściwie żeńskich (*laskam*, *twarzam*, *niebezpiecznościam*). Jak wiadomo, i te jednak pierwotne formy żeńskie nie utrzymały się w języku, ustępując formom z końcówką pierwotną męzką *om*, które, jako nierównie częstszego użycia, wskutek siły asymilacyi, zdobyły stanowczą przewagę i w celowniku rzeczowników żeńskich. Działanie asymilacyi morfologicznéj było tu znacznie ułatwione wskutek przyczyny czysto fonetycznéj; już bowiem i sama końcówka żeńska *ám* z *á*, pochyloném brzmieniem swojém zbliżała się do *om*. Takie zatém dwa przyjazne warunki zapewniły zakończeniu *om* wyłączne panowanie w formach celownika liczby mnogiéj wszystkich rzeczowników.

Niesłusznie końcówkę *mi* w narzędniku liczby mnogiéj rzeczowników męzkich (np.: *końmi*), uważa autor (str. 185) za pożyczoną „z IV deklinacyi" (*kośćmi*). Jest ona pierwotną, właściwą rzeczownikom męzkim, z ostatnią tematową twardą, lub miękką, zarówno w je-

[1]) „*Mikołayewi*," księgi kość., r. 1408, księ. pyzdr., r. 1429; „*maczeyewy*," księ. pozn., r. 1415; „*bartoszewy*," księ. pyzdr., r. 1428 i w innych u Przyborowskiego: Vetustissima adjectiv. ling. pol. declin. Gdy iuż było *Jezusewi* dwanaście lat, Wujek, Postyl., r. 1579, str. 102 i t. d.

zyku polskim (*żydmi*, *synmi*, *oraczmi*), jak starosłowiańskim (*wołъmi*, *darъmi*), staroserbskim (*synmi*, *gradmi*) [1]) i innych słowiańskich.

Błędy i niedokładności w nauce deklinacyi, znajdujące się w gramatyce z r. 1863, przeniesione zostały i do dzieła obecnego. Jak dawniéj, tak i teraz, naucza np., autor, „że w przypadku 1-szym liczby mnogiéj, przechodzą niektóre rzeczowniki wzorca 2-go (*pole*), mające w całéj liczbie pojedyńczéj spółgłoskę w ostatniéj sylabie miękką, do gromady 1-go wzorca (*dzielo*), stwardzając (?) tęż spółgłoskę" (str. 189). Jednym z przykładów tego rzekomego prawidła ma być rzeczownik *wesele*, który w mianowniku liczby mnogiéj podług autora obu gramatyk „ma *wesoła*" [2]). Nie wiemy, zkąd czerpie autor tego rodzaju przykłady; dla nas bowiem rzeczą jest ogólnie znaną, że mianownik liczby mnogiéj od *wesele*, jest *wesela* i żadnego w nim stwardzenia *l* na *ł*, nigdy nie słyszeliśmy. Toż samo z rzeczownikiem *ziele;* od tematu imiennego *ziel*, mamy mianownik liczby mnogiéj najprawidłowszy *ziela;* obok tego zaś od 2-go tematu *zioł*, mamy rzeczownik *zioło*, z formą dla mianownika liczby mnogiéj: *zioła.*

W uwadze o dopełniaczu, czyli 2-im przypadku liczby pojedyńczéj rzeczowników żeńskich na *ja* (§ 131), naucza autor, że „wyrazy swojskie na *ja*, np.: *szyja*, *nadzieja*, mają *szyi*, *nadziei*," nie troszcząc się bynajmniéj, że z zasady ogólnéj (*wol-a*, *wol-i*, *dusz-a*, *dusz-y*, *ławk-a*, *ławk-i*), wynikają najoczywiściéj i od *szyja*, *nadzieja*, formy dopełniacza: *szyji*, *nadzieji.* Tym jednak logicznym wynikom autor naszéj gramatyki stara się zapobiedz następującém zwięzłém ostrzeżeniem: „niektórzy piszą *szyji*, *nadzieji*, zupełnie niepotrzebnie" i każe „odczytać § 37," który, jak w przeglądzie głosowni poznaliśmy (str. 321), prawdę językową tak pod względem etymologicznym, jak fizyologicznym i fonetycznym, przedstawia w świetle fałszywém.

Tyle ważne przerodzenie się form dopełniacza rzeczowników żeńskich z końcówką *e* (np.: téj *dusze*, *ziemie*), w miejsce pierwotnego i starosłowiańskiego *ę*, na formy z końcówką *y*, *i*, pod wpływem dwu różnych czynników, nader pobieżnie tylko i niedokładnie przedstawia autor na str. 193. Czytelnik żadnego ztąd nie poweźmie wyobrażenia, jak silny i rozległy był tu wpływ deklinacyi przymiotnikowéj aż do początku XVIII wieku: zdawało się, że powstałe wskutek asymilacyi do form przymiotnikowych (*słabéj*, *prawéj*, *wielkiéj*, *taniéj*), formy takie, jak: *osobéj*, *prawdéj*, *ustawéj*, *łaskiéj*, *roléj*, *mszéj*, *paniéj* i t. p., w dopełniaczu rzeczowników żeńskich wyłącznie zapanują. Podobnie

[1]) Formy narzędnika *mi* w serbskim trwały do wieku XVI. Patrz, Daniczić *Istorija oblika srpskoga ili hrvatskoga jezika.* U Biogradu, 1874, str. 113 i następne.

[2]) W Wielkopolsce jest jeszcze dziś w użyciu taka forma na odróżnienie uroczystości weselnych i godów, od pojęcia abstrakcyjnego „wesele," czyli radość, uciecha.

Przyp. Red.

też o wpływie asymilacyi tych form dopełniacza, na formy celownika i miejscownika pewnych rzeczowników żeńskich (np.: na *wieczerzej*, we *władzej*), nie masz ani wzmianki.

O rzeczownikach męzkich w téjże deklinacyi, zakończonych na *a* (np.: *cieśla*, *kaznodzieja*, *zbójca*), mówi autor, że „deklinują się regularnie *cieśli*, *kaznodziei*, *zbójcy*" i t. p. O ich przeszłości również nic nas historyczna gramatyka nie poucza, a i one, jak wiemy, w dopełniaczu asymilowały się do form żeńskich na *e* (tego *cieśle*...), w któréj to formie przetrwały do wieku XVII-go (np. u Birkowskiego: wszechmocność *Stwórce* Kaz. 1628, II, 103, pilen był regułki onego opacznego *rządźce*, II, 108 i t. p.).

Prócz tego więcéj niż niedokładnie poucza nas autor, mówiąc, że w dopełniaczu, czyli przypadku 2-im liczby pojedyńczéj rzeczowników żeńskich, „formy na *ę* są rzadsze" (str. 193). Rzeczywiście bowiem formy te na *ę* w pomnikach języka polskiego należą do prawdziwych osobliwości. Jeden tylko przykład tego rodzaju posiada Psałterz Floryański, mianowicie w wyrażeniu: *ostrzezy duszǫ twogey gospodzyn* (Ps. 120, wiersz 7, str. 71) [1]). Drugi zaś z przywiedzionych przez Miklosića (*Vergl. gram.* III, 421) i przez autora przykładów: „*rozumey duszǫ moiey*" (Ps. 68, 22), jest niewłaściwy. W miejscu tém, zgodnie ze zdaniem prof. Nehringa (Iter flor. s. 78), w znaku ǫ na końcu wyrazu *duszǫ*, widzieć trzeba omyłkę przepisywacza zamiast *i* (*duszi*) [2]) i uważać tę formę za celownik, czyli 3-i przypadek [3]), jakto przy słowie *rozumieć* jest rzeczą zwykłą w staropolszczyznie [4]), zgodnie ze starosłowiańskim, czeskim, serbskim i innemi narzeczami słowiańskiemi.

---

[1]) W świéżo wydanym Psałterzu Puławskim (wiek XV) miejsce to mamy w postaci: „*strzesz dusze twoye bog*," gdzie *dusze twoye* jest dopełniaczem przy słowie *strzec*, podobnie jak to czytamy w następnym zaraz wierszu obu Psałterzów; Psałterz Floryański: „*Pan strzezy weszcza* (introitum) *twego y wyszcza*" (exitum), Ps. 120, 7; tudzież w Psałterzu Puławskim: „*Gospodzyn strzesz weszczya twego y wyszczya twego*," Ps. 121, 7 i t. p.

[2]) Taki sam błąd mamy w Psałterzu Floryańskim w wyrażeniu: „*od neprzyaczelow rǫkǫ twoiey*," Ps. 16, 14 (ab inimicis manus tuae), gdzie winno być *ręki*. Miejsce to zaznacza i Kopitar w tekście, jako błędne, dodając *sic*. W Psałterzu Puławskim mamy jo poprawione: „*od nyeprzyaczol ręky twoyey*," Ps. 17, 14.

[3]) Psałterz Puławski ma w tém miejscu zamiast *rozumieć*, słowo *baczyć*, oddaje przeto słowa wulgaty: intende animae meae, προσχες τῇ ψυχῇ μου w przekładzie wierniejszym „*baczy duszę moyę*" (Ps. 69, 22), NB. w przedruku homograficznym wydania kórnickiego, głoska *ę* w tych dwu wyrazach przekreślona niezbyt wyraźnie.

[4]) W Psałterzu Floryańskim np.: rozumey *glossowi* prosby moiey, Ps. 85, 5; Jan Kochanowski: kto *grze* rózumie Szachy, 85; á ty też *mey* rozumiey *potrzebie* Marszałek, str. 151; *wiatrom* rozumie, Fraszki, 1612, str. 15 i t. p.

Miklosić przytoczywszy niegdyś w swojéj gramatyce porównawczéj oba te przykłady (*Formenlehre* z r. 1856, str. 465), omyłki téj nie prostuje i w drugiém wydaniu tegoż dzieła z r. 1875 (p. t.: *Wortbildungslehre*, str. 421), pomimo, że w „Składni porównawczéj" (*Vergl. syntax der slav. spr.* 1874), na str. 591 przywodzi przykłady z Psałterza Floryańskiego (*rozumiéj modlitwie mojéj*, Ps. 60, 1) [1]) i z Kochanowskiego na poparcie, że słowo *rozumieć*, wymagało po sobie celownika. Dla dokładności dodać należy, że obok celownika słowo *rozumieć*, używało się również z biernikiem (np. Psałterz Floryański, 77, 1), zupełnie, jak to ma miejsce w dzisiejszym języku.

Co się tyczy innych przykładów dopełniacza na *ę*, to tylko forma *duszę*, przytoczona przez Miklosića dwa razy z Psałterza Kochanowskiego: z r. 1606 i 1610 (*Wortbildungslehre*, str. 421), a przez Małeckiego taż sama forma z wydania Psałterza 1606 r., zasługują na jakąś uwagę; kilka zaś pozostałych przykładów, jakie przywodzi Miklosić i Małecki z Kochanowskiego i Klonowicza, nie mają żadnéj wartości, bo są wyciągami z przedruków lipskich (z r. 1835), warszawskich (z r. 1803) i krakowskich (z r. 1829), przepełnionych, jak wiadomo, błędami i najdowolniejszemi zmianami wydań pierwotnych, skutkiem czego przedruki te za źródłowe uważane być nie mogą i do użytku naukowego zgoła są nieprzydatne.

Odmawiając formom z podobnych źródeł znaczenia wiarogodności, uważam natomiast za właściwe podać na tém miejscu przykład formy *duszę*, jaki napotkałem w dziele Baltazara Opecia: *Żywot Jezu Krysta*, z r. 1522, w wyrażeniu: „Będziess miłował pana boga twego ze wssytkiego serca, ze wssytkiey *dussę* y śiły twey, a bliźniego twego, iako sam siebie" (list 2-gi, str. odwr. wiersz 7, w egzemplarzu Bibl. głównéj, uniwersyt.). Jestto przykład jedyny téj formy w całém dziele Opecia; na innych miejscach formy dopełniacza wyrazów podobnych mają *e;* na téj saméj nawet stronie nieco niżéj czytamy: „y ze wssytkiey *dusse* y siły" (wiersz 13) [2]).

Zapatrywania się Małeckiego na istnienie i przeradzanie się form w języku, nie można zawsze nazwać naukowém. W wielu miejscach zdaje się, jak gdyby autor uważał *more antiquo* gramatykę za jakiś kodeks prawodawczy, który na pewne formy języka zezwala, innych zabrania, używanie jednych zaleca jako bezpieczniejsze, aniżeli drugich; na inne znowu zjawiska języka patrzy jak na „intruzy," lub „antykwarskie błędy," w innych widzi „nałóg, lub wymysł, dopiéro w osta-

---

[1]) I tutaj wyrażenie wulgaty: intende orationi meae, Psałterz Puławski oddaje przez „*baczy modlytwę moyę* (Ps. 61, 1).

[2]) Toż samo w zupełności powiedzieć można i o innych wyżéj wspomnianych pomnikach. Psałterz Floryański oprócz jednéj formy dopełniacza z zakończeniem nosowém *duszę*, Ps. 120. 7, na innych miejscach posiada formy podobnych rzeczowników z czystém *e*: „*dusze* moiey," „*dusze* swoiey," Ps. 7, 2; 9, 23; 10, 6; 15, 10; 37, 12; 39, 19 i t. d.

tnim wieku ukuty" i t. p. Tak np., w § 112 czytamy: „Niektóre wyrazy, np.: *żydzi* i *żydowie—anieli* i *aniołowie* i t. p., mają sobie do wyboru dozwolone obydwie końcówki" (str. 176). Na str. zaś 177: „Zdarza się niekiedy słyszéć i obok *ci mężowie—te męże*, albo obok *ci stróże—te stróże;* najbezpieczniéj jednak będzie osobowych rzeczowników, zakończonych w liczbie mnogiéj na *e*, np.: *rycerze*, *ludzie*, a nawet *męże* i *stróże*, nie używać inaczéj, jak tylko z zaimkiem *ci*, *owi*, *dobrzy* i t. d." Jakkolwiek na str. 203 bardzo słuszną wygłasza autor zasadę: „Co się już w fakt języka zamieniło, tego gramatyka oczywiście nie potrafi odrobić" i stosując do praktyki takie pojmowanie rzeczy, naucza: „mówmyż więc i nadal: *rozkosze*, *twarze* i t. d." (zamiast form dawniejszych na *y* lub *i*), to jednak dodaje zaraz ostrzeżenie: „Ale przynajmniéj nie idźmy daléj (?) i nie myślmy, żeby nam i *wsie*, *noce*, *pięście*, *przepaście*, *nienawiście*, *próżnoście* i t. d., mówić wolno było" (!). Formy ostatnich rzeczowników: *nienawiście*, *próżnoście*, z końcówką *e*, przynajmniéj w języku mieszkańców Wielkopolski i Królestwa Polskiego nie istnieją: słyszymy je powszechnie z zakończeniem *i*. Co się zaś tyczy form rzeczowników: *wsie*, *noce*, *pięście*, to zjawienie się ich w języku wywołane jest przyczyną wcale nie mniejszéj wagi, aniżeli wytworzenie form: *rozkosze*, *twarze*, mianowicie siłą asymilacyi do form: *straże*, *łodzie*, *tęcze* i t. p.; przytém są one już tak daleco w mowie ogółu rozpowszechnione, że żadna gramatyka *faktu* tego, podobnie jak i setki innych, „odrobić nie potrafi," pomimo przełożeń i zapewnień z jéj strony, że zarówno „i historya naszego języka i porównawcza gramatyka słowiańska" uczy: „że tu zakończenie *i* jest jedynie właściwém, *e* przeciwnie późniejszym wtrętem, któryby rad pierwotne *i* wyprzéć do reszty" (str. 203). Taż sama właśnie historya języka i gramatyka porównawcza dowodnie nas przekonywa, że na wciskaniu się takich „późniejszych wtrętów" do form języka, napozór ustalonych, polega cały niemal proces morfologicznych przeobrażeń każdego języka. To téż zapobieganie naturalnym zjawiskom w języku nie jest i nie może być nigdy zadaniem umiejętnéj gramatyki. Skoro tylko jest rzeczą pewną, że pomiędzy istniejącemi w języku dwiema, jak w danym razie, grupami wyrazów: jednéj z końcówką *e* i drugiéj z końcówką *y* (*i*), wynikł spór o pierwszeństwo i przewagę, skoro w dalszym ciągu spór ten zamienił się w istną walkę o byt, w ciągu któréj, szeregi form *y* coraz się przerzedzają, ustępując przed szeregami *e;* to zwycięztwo po stronie tych ostatnich łatwe do przewidzenia, w odległéj, czy blizkiéj przyszłości, nie powinno gramatyka ani smutnemi obawami napełniać, ani téż obudzać w nim chęci odwrócenia niechybnego losu pewnych form, za pomocą zakazów „nie wolno;" praktyczne bowiem znaczenie podobnych zakazów w naturalnym procesie przeobrażania się form językowych równa się głosowi wołającego na puszczy.

Niedokładność historycznych objaśnień w wykładzie form deklinacyjnych języka polskiego w gramatyce Małeckiego spotykamy bardzo często. Opisując bliżéj formy żeńskie w bierniku licz. poj. z końców-

ką *ę* i *ą* (*pracę* i *pracą*, *studnię* i *studnią*, *Maryę* i *Maryą*) nie słusznie mówi autor, że „i w Zygmuntowskiéj literaturze wielka panuje już chwiejność między jedném zakończeniem a drugiém" (str. 195). Historya języka uczy nas inaczéj: rzekoma „chwiejność" nie tylko że nie mogła być „wielką," ale jéj wcale w wieku XVI nie było; przeciwnie, zabytki owoczesne literatury dają nam wielce zgodne świadectwa ogólnéj i wyraźnéj pod tym względem jedności i „prawidłowości" w ciągu dłuższego nawet okresu aniżeli epoka Zygmuntowska. Nie było zaś owéj chwiejności dlatego, że główna przyczyna, na któréj się opiéra dwoistość form: z zakończeniami *ę* i *ą*, to jest poczucie różnicy dwu *a:* *a* czystego i *á* pochylonego, istniało w języku XVI wieku w całéj jeszcze pełni i przetrwało aż po koniec wieku XVII. Dopiéro w XVIII wieku ze zniknięciem *á* pochylonego ustaje różnica dwu *a:* rzeczowniki z poprzedniém *á* pochyloném przestają się różnić od rzeczowników z *a* prostém i jednocześnie zaczyna się działanie asymilacyi morfologicznéj. Formy mające w mianowniku *á* pochylone, a w bierniku *ą*, (*lutnią*, *Maryą*), zaczynają się upodabniać do form z końcowém *a* otwartém, mających w bierniku *ę* (*głowę*, *matkę*). Znaczna liczebna większość tych ostatnich uczyniła wpływ téj asymilacyi tak silnym, że do dziś większość pierwszéj kategoryi rzeczowników, już przybrała ogólną cechę biernika *ę*. Utrzymujące się zaś obok niéj formy z *ą* w bierniku (tę *Maryą*, *opinią* i t. p.) zawdzięczają jeszcze swoje istnienie przeciwdziałającéj tamtemu czynnikowi sile tradycyi językowéj.

O formach żeńskich z zakończeniem *ech* w miejscowniku liczby mnogiéj niedokładną podaje autor (na str. 204) wiadomość, jakoby zakończenie to „poprzednio było jedynie właściwém" deklinacyi czwartéj t. j. rzeczownikom żeńskim „zakończonym w przyp. pierwszym na jaką spółgłoskę odkrytą" (np. *postać*). Pomniki języka XVI i XVII wieku świadczą, że do form tych asymilowały się i wszystkie żeńskie na *a* z ostatnią tematową twardą (dekl. 2-ga) np. w *szaciech*, w *potrawiech*, na *trąbiech*, na lutniach y na inszych instrumenciech (Wujek, Postyl. II, 1584, str. 60 — 65). Niepodobna tu wyliczać wszystkich braków widocznych przy wykładzie form deklinacyjnych w gramatyce Małeckiego. Każdy prawie ustęp wypadałoby poprawiać i nowemi z dzisiejszą nauką zgodnemi objaśnieniami uzupełniać, chcąc z téj nauki o formach rzeczowników utworzyć wykład umiejętny i z historyą języka zgodny. Na tém miejscu dodamy jeszcze, że w cytatach form przytaczanych z pomników języka, pożądanąby była większa dokładność. Autor np. wymienia formy dopełniacza l. p. *duszę*, *rusznicę*, dodając w nawiasie „w Klonowiczu." Ponieważ formy takie, jak powiedzieliśmy, są osobliwością w historyi języka; rzeczywiście bowiem znanych jest kilka zaledwie (mnie wiadomych 4), dlatego konieczną niemal jest rzeczą dokładne oznaczenie źródła ich pochodzenia. Na str. 176 spotykamy zacytowany z Psałterza flor. „*na stołcy twoim*" (Ps. 131, 11) błędnie, zamiast na stolcy tw*ojem* („na stolczy twogem"); końcówka bowiem *im* (zam. *em*) w miejscowniku jest właściwością dopiéro wieku

XV; w XIV zaś wieku było ścisłe odróżnianie przypadków: narzędnika (*twojim*) od miejscownika (*twojem*).

Prócz tego, zdanie autora o przeszłości form językowych jest niekiedy wprost sprzeczne z pozytywnemi świadectwami powszechnie znanych pomników. Tak np. twierdzi autor na str. 201, że forma „*krew* ani teraz ani dawniéj z miękkiém *w* nie wymawiała się." I dla nadania stanowczości swemu twierdzeniu, umacnia je uwagą: „niektórzy gramatycy wprawdzie zapewniają, że się *powinna* wymawiać! Może „powinna," ale faktu dotychczas niéma." Autor widocznie wcale się nie troszczył o to, czy orzeczenie jego zgadzać się będzie ze źródłami, które nas uczą o przeszłości języka. Dzisiaj, jak wiadomo, wyraz *krew* wymawiamy ze spółgłoską *w* twardą, przynajmniéj takie brzmienie słyszymy w ustach większości mówiących i zgodnie z tém piszemy *w* bez żadnego znaku miękczenia. „Dawniéj" jednak było inaczéj i „faktów," dowodzących mylności twierdzenia autora, mamy poddostatkiem. Wyraz *krew'* z miękkiém *w'*, oznaczoném kréską u góry pośrodku téj głoski, spotykamy w następujących dziełach XVI i XVII w.: w Biblii Radziwiłłowskiéj cz. Brzeskiéj (1563), w Biblii Leopolity (1575 i 1577), w Biblii Wujka (1599), w Postylli Wujka (1584), w Oczki Przymiocie (1581), w Skargi Kazaniach (1600), w Skargi Dziejach (1603), Petrycego Polityce Arystotelesa (1604), w Zwierciedle Reja (1568), w Słowniku Volckmara i w Słowniku Balt. Andreae (1605) i wielu innych [1]). Nikt zapewne nie zechce utrzymywać, by kreska nad spółgłoską *w'* w przywiedzionych tu dziełach z różnych drukarń i z różnych miejscowości, drukowana była z innych aniżeli fonetycznych tylko pobudek. Zresztą dlaczegóżby owo *w'* w wyrazie *krew'* nie mogło istnieć w języku polskim, skoro w tymże wyrazie istniało w starosłowiańskim (*krъvь*), skoro istnieje dotąd w języku rosyjskim (*krov'*), a w dzisiejszéj górnołużyckiéj formie *krej* (dopełniacz *krw'e* lub *kreje*), oraz w dolnołużyckiéj *kszej*, końcowe *j* jest zwyczajném zastąpieniem miękkiego *w'*, podobnie jak we formach; *mużoji*, *synoji*, *Christusoji*, zamiast *mużow'i*, *synow'i*, *Christusow'i*; *prajicż*, *prajił*, zamiast *praw'icż*, *praw'ił* i t. p.

W deklinacyi zaimka *ji*, *ja*, *je* (str. 215) podaje autor dla mianownika i biernika licz. pojed. oraz dla mianownika liczb. mnogiéj rodzaju męzkiego formę *i*, jaka w języku staropolskim nigdy nie istniała. Z pomników języka i z gramatyki porównawczéj znana jest tylko forma *ji*, która w zabytkach piśmiennych polskich XIV i XV-go wieku, oddawana jest wszędzie przez *gi* lub *gy* z czeska (jak to autor na str.

[1]) Bibl. Radziw. list 17 v. Ew. Mat. 26, 28; list 29. Mar. 14, 24; list 41 v. Łuk. 13, 1; Jan 6, 54, 55, 56; 19, 34; Bibl. Leop. l. 466, l. 527, l. 527 v., l. 622 v. l. 648 v.; Bibl. Wujka str. 89, st. 810, st. 1149, 1123, 1427, 1208, 1241, 1263; Post. Wujka st. 61, st. 204, 376 dwa razy, 377 dwa razy; Ocko st. 1, 2, 6, 29, 397; Skar. Kaz. st. 2, 58, 62, 62 v., 64, 65, 65 v.; Skar. Dzieje st. 678, 708; Petrycy st. 231; Rej Zwyerciádło, l. 3 v. 2 razy; Volckm., Diction. trium linguarum etc. Dantisci, str. 843: „sanguis, inis, blut, *krew*'." Dict. pars altera B. Andreae ark. J. „*krew*', sanguis, cruor" i w. i.

217 przyznaje), gdzie *g* znaczyło wówczas *j* [zarówno jak np. we formach: *gich*=jich, *gemu*=jemu, *gim*=jim, *nadzegi*=nadźeji, *zmigi*=żmiji, *ukogil ies*=ukoił ieś i t. p.]; w drukach zaś XVI-go wieku biernik liczb. pojed. tego zaimka oddawano bądź także przez *gi* lub *gy*, bądź też przez *ii*, *iy*, lub *ji*. Ostatecznie, w drugiéj połowie XVI-go wieku miejsce biernika *ji* zajął wyraz *go*, będący skróconą formą dopełniacza liczb. pojed. (*jego*) tegoż zaimka.

Mylnie też autor naucza, że w wymawianiu pomiędzy spójnikiem *i* a zaimkiem *ji* nie było różnicy, że „owszem jestto ten sam wyraz, chociaż ma różne znaczenie" (str. 217). Skoro zachodzi między temi wyrazami różnica etymologiczna, skoro w pomnikach przez trzy wieki, t. j. przez całą epokę piśmienną istnienia zaimka *ji* w naszym języku zachowywano stale i różnicę graficzną, to nie mamy żadnéj logicznéj podstawy twierdzić, że między spójnikiem *i* a zaimkiem *ji* fonetycznéj różnicy nie było. To też zamykające naukę autora orzeczenie, że wyraz *ji* „brzmi, brzmiał i zawsze brzmieć będzie *i*" jest twierdzeniem naukowo nieuzasadnioném. Najprzód, skoro zaimek *ji* nie istnieje w dzisiejszym języku, tém samém też nie „brzmi;" 2) dla téjże przyczyny „zawsze brzmieć" nie „będzie *i*," bo o przyszłych losach rzeczy nieistniejącéj prawić nie przystoi; że zaś 3) zaimek *ji* „brzmiał" inaczéj, aniżeli *i*, na to, oprócz dowodów fizyologicznych, gramatycznych i logicznych, widocznych w całéj deklinacyi tego zaimka, mamy świadectwa pozytywne w drukach XVI-go wieku, gdzie obok formy dawnéj *gi* lub *gy* spotyka się naprzemian, jak wyżéj powiedziałem: *ii*, *iy* lub wyraźną formę *ji*, o czém autor w swoich uwagach przemilczał; spójnik zaś *i* zawsze przez *y*, nigdy w postaci *ji* nie był pisany. Oto kilka świadectw z druków Łazarzowych, uważanych słusznie za najstaranniejsze:

W *Biblii Wujka* z r. 1599 znajdujemy: I będźie łuk ná obłokach y uyrzę *ji* str. 11 (*Gen.* 9, 16); Człowiek ieśli szlubi dóm swóy y poświęći panu, ogląda *ji* kápłan..., lecz iesli ten który szlubił będźie *ji* chćiał od kupić... str. 137 w. 14 i 15; y walczył przećiw niemu: wźiął *ji*, y pobił; wróćiwszy sie do Dabir, wźiął *ji* y zburzył, str. 227 [1]); nie będę pił dotychmiast z tego owocu winnéy máćice, aż do dniá onégo gdy *ji* będę pił z wámi nowy... str. 1149; mogę zepsować kośćiół boży, á po trzech

[1]) W *Biblii Radziwiłłowskiéj* z r. 1563 odpowiednie miejsca zawierają formy *gi* lub *go*: ..tedy *gi* (dom) ma oszácowáć kápłan, list. 74 v; zbudowáć *gi* (kościół), list. 18, N. T.; kto ma mieszek, niechże *go* wćźmie, list. 47 v. i t. d.

W *Biblii Budnego* cz. Nieświezkiéj z r. 1572 spotykamy: *iy* lub *go*: y będzie łuk ná obłoku, y uyrzę *iy*, ábym wspomniał przymierze... list 5; Záś mąsz gdyby poświęcił dom swoj zá święty Jehowie, oszácuie *iy* ofiárownik... á iáko *iy* oszácuie ofiárownik, list 71 v; á zá trzy dni *go* (kościół) zbudować, list. 18 v. N. T. i t. d.

dniách zásię *ii* zbudować, str. 150 w. 61 [1]); Ták Pan Christus... testáment nowy zaczyna y poświąca *ii* y potwiérdza krwią swoią, str. 1223 w przypisach; i t. p.

W *Statutach* wydania Januszowskiego z r. 1600, z „architypográphiiéy Kró. J. M. Łázárzowey" spotykamy również: Konrad u Dominiká upominał sie domu y chćiał *ji* mieć, str. 625; y da iemu sąd list przezyskow odsyłaiąc *ji*... (et dabit judicium sibi literas perlucrorum remittendo ipsum etc.) str. 669 n. 6; tedy ma urząd puśćić, a potym my damy *ji* komu będźiemy chćieli, str. 677 i t. d.

Sądzę, że przykłady te, wyjęte z druków XVI-go wieku wystarczą dla przekonania się, że forma biernika zaimka *ji* w staropolskim nie jest to „ten sam wyraz," co i spójnik *i*, oraz, że brzmienie, tego zaimka składało się z dwu elementów. spółgłoski *j*, wymówionéj łącznie ze samogłoską *i*, skoro w ciągu trzech wieków istnienia w języku tego zaimka starano się w piśmie i druku obie te części wyrażać zawsze dwoma znakami graficznemi, gdy tymczasem spójnik *i* oddawano stale pojedyńczym znakiem *y*.

Autor jednak, odwróciwszy oczy od tak oczywistych i niewzruszonych świadectw historycznych istnienia formy *ji* dla biernika liczby pojed., i ignorując uparcie znane odnośne fakty w innych językach słowiańskich, nie waha się w swojéj gramatyce historyczno-porównawczéj naprzekór prawdzie orzekać, że „pustą tylko jest gadaniną, jakoby ów staropolski accus. sing. *gi* albo *gy* przez to *g* miał dowodzić egzystencyi joty w téj formie" (str. 461, przypis). Stosownie téż do swego uporczywego widzimisię, że zgłoska *ji* niemożliwa jest w języku, że zatém pisownia form tego zaimka „przez *ji* np, *jich, jim, jimi* i t. d. ani w naszym, ani w jakimbądź języku niéma żadnego sensu" [str. 461], autor, przywodząc przykłady z zabytków języka XIV i XV-go wieku, znak graficzny téj *j*, jako *niemający sensu* wszędzie kasuje. I tak: na str. 215 podaje przykład celownika liczby podwójnéj z *Zabytku gnieźnieńskiego* (str. 35) *ima*, gdy w oryginale wyraz ten znajdujemy w postaci *gyma* t. j. *jima*, gdyż w podobnych wyrazach stale owo *g* znaczy *j*, jak np. tuż obok: „gdis szǫ *gest gim* był szin narodził tedy vǫcz ony szǫ *gy* biły do skoły daly" (gdyż się *jest jim* był syn narodził, tedy więc oni są *ji* byli do szkoły dali); lub: *gego* oczecz; swǫtemu *ganu* (=*jego* oćec; świętemu *janu*) i t. p. Podobnie cytuje Małecki z *Psalterza floryańskiego: oczyma moima, plecoma swoima, oczy moi, w ręce*

W *Biblii Leopolity* z r. 1575 i 1577: y uyźrzę *go* (łuk) str. 6, ogląda *gi* kápłan, s. 75, dobył go st. 125 v.; we trzech dniách zasię *gi* zbudować st. 623. To ostatnie miejsce w wydaniu 1-szém téjże biblii z r. 1561 ma formę *ij* (Mat. 26, 61).

[1]) Osobliwsza, iż *późniejsze* niektóre przedruki Nowego Testam. Wujka mają na miejscu *ji* formę *gi*. Np. wydanie krakowskie Piotrkowczyka z r. 1647: a po trzech dniach zaśię *gi* zbudować st. 103; gdy *gi* będę pił i t. d.

twoi (nb. nie oznaczając bliżéj ani psalmu, ani stronicy pomnika), gdy tymczasem w pomniku samym formy te znajdujemy w postaci: *przed oczima mogima* (=mojima) Ps. 100, 4; *pleczoma swogima* (=plecoma swojima) Ps. 90, 4; *przed oczima twogima*, Ps. 89, 4; *oczi mogi* (=moji), Ps. 76, 4 i 87, 9; w rǫce *twogi* gospodne poleczam duch moy, Ps. 30, 6; *oczi twogi*, Ps. 16, 3; *sǫdowe twogi*, Ps. 9, 26 i t. p., gdzie oczywiście *g* znaczy *j*, jak *i* w innych wyrazach: *w nadzegi* 77, 58, *na zmigi* y na basiliszku 90, 13, *ukogil* ies gnew 84, 3 i 93, 14, w serczu lichoty *strogicze* 57, 2, plagi *gich*, przeciwo *gim* 63, 8, i w tysiącu podobnych, w każdym niemal wierszu tego pomnika; i taki właśnie sposób pisania właściwy jest wszystkim bez wyjątku zabytkom piśmiennym XIV i XV-go wieku. U takiego filologa jak p. Małecki, wykształconego w szkole jaknajskrupulatniejszych pod względem tekstu filologów niemieckich, nie spodziewaliśmy się takiéj niedokładności w przywodzeniu źródeł, która dla udowodnienia swojéj nieuzasadnionéj imprezy nadweręża autentyczność form i tekstu.

W uwagach autora, dotyczących pewnych form zaimkowych napotykamy również objaśnienia bądź niedokładne, bądź z prawdą niezgodne. Tak np. formy *zań* (za niego), *weń* (w niego) i t. p. podług autora są to „dzisiejsze nasze wyrażenia" (str. 217), gdy tymczasem powstanie ich poprzedza znacznie epokę piśmienniczą języka polskiego, a przykłady form podobnych znajdujemy już w najdawniejszym pomniku z wieku XIV-go, w Psałterzu Floryańskim (np. Ps. 27, 9; 33, 8; 33, 22; 36, 12; 36, 5; 108, 16...).

Sposób powstania tych form wytłómaczony i na tém miejscu niedokładnie i błędnie, jak to w przeglądzie głosowni wykazaliśmy (na str. 324). Dodaje przytém autor, że „przyzwyczaiwszy się do powyższych form skróconych, mówimy teraz podobnie i wtedy, kiedy przyimek nie 4-tym przypadkiem, lecz 2-gim rządzi, jak np. *dlań*, *doń*, *zeń*, zamiast *dla niego*, *do niego*, *z niego*. To uchodzi." Daléj zaś zaraz objaśnia: „Nie wynika ztąd jednak, żeby można mówić i w liczbie mnogiéj *weń*, *zań* i t. p. zamiast *w nich*, *za nich;* albo też w rodzaju żeńskim, jak się to czasem zdarza słyszéć i czytać: *zań* zamiast *za nią*, *weń* zamiast *w nią*, albo zgoła *dlań* zamiast *dla niéj*," ostrzegając, że „takie wyrażenia są błędem przeciwnym gramatyce." Taki sposób widzenia rzeczy grzeszy widoczną niekonsekwencyą, i naukowym nazwać się nie może. Jeżeli bowiem fakty nieodwołalne w języku skłaniają nas do przyznania, że „uchodzi" używać wyrażeń *dlań*, *doń* zamiast *dla niego*, *do niego*..., to nie mamy wcale podstawy uważać za „błędy" wyrażeń: *weń* zamiast *w nich*, *dlań* zamiast *dla niéj*... Przypuszczając działanie asymilacyi w pewnych formach liczby pojedyńczéj, nie słuszną jest rzeczą jednocześnie ostrzegać, że rozszerzenie się wpływu téjże asymilacyi na liczbę mnogą w tych samych warunkach da początek „błędom przeciwnym gramatyce." Niezgodne to przynajmniéj z tą ogólną prawdą, że téż same przyczyny przy jednych i tych samych warunkach zdolne są wywołać jednakowe skutki. (*d. n.*).

Ad. Ant. Kryński.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Sierpień 1880 r.— Walne zebranie Towarzystwa naukowego w Toruniu odbyło się pod przewodnictwem p. Ignacego Łyskowskiego, w sali Muzeum tegoż Towarzystwa, w dniu 20 z. m. Wydziały teologiczny i archeologiczny odbywały regularnie swoje posiedzenia; tylko przyrodniczo-lekarski nie mógł się regularnie zbierać, z powodu, że członkowie jego, przeważnie lekarze, daleko po miasteczkach pracujący, nie mogli głównych obowiązków swoich często opuszczać. Po przyjęciu nowych członków, doręczył p. prezes obecnym drugi tom *Roczników Towarzystwa*, w którym zwraca na siebie uwagę rozprawa ks. Kujota: *O majątkach biskupich na morzu.* Daléj opowiedział przewodniczący o zabiegach swoich u ministra spraw wewnętrznych względem uwolnienia Towarzystwa, jako czysto naukowego, od dozoru policyi. Pan Łyskowski przedstawił ministrowi w jak wyjątkowy sposób, władze miejscowe traktują Towarzystwo naukowe w Toruniu, ręczył za czysto naukowe dążności Towarzystwa, które samo czuwa pilnie z własnego interesu społecznogo, aby nie zboczyć z czysto naukowéj drogi. Minister uznał to, wszelako kontroli usunąć nie chciał, tłómacząc się tém głównie, że gdy najwyższy sąd administracyjny przyznał Polakom prawo używania na zgromadzeniach języka polskiego, rząd jest zmuszony trzymać osobnych do tego urzędników i przez nich zasięgać informacyi o postępowaniu towarzystw. Na wzmiankę, że dążność polskich mieszkańców ogranicza się na pielęgnowaniu i rozwijaniu narodowości swojéj, odpowiedział minister, że dążność taką rząd szanuje i zapory jéj nie stawia, gdyż nie chodzi mu o wygubienie polskości, ale tylko o to, aby Polacy i po niemiecku rozumieli. Sprawozdanie specyalne mówi o powiększeniu się i o obecnym stanie zbiorów. Daléj referuje sekretazz Towarzystwa dr. Różycki o wysłaniu na wystawę antropologiczną do Berlina okazów archeologicznych, a to na zaproszenie tak komitetu jak i ministeryum oświecenia. Wreszcie ks. Kujot zdawał sprawę z jubileuszu Długoszowego w Krakowie, podnosząc głównie te momenta, które, jako wskazówka dla prac naukowych Towarzystwa

przydać się mogą. Ze względu na to, że Akademia krakowska postawiła sobie za zadanie zebranie zabytków dyplomatycznych z polityki gabinetowéj i międzynarodowych Polski stosunków; pozostaje jeszcze druga część zadania, niemniéj ważna dla historyi, do spełnienia, mianowicie zebranie drobnych kamyczków na złożenie domowego i społecznego życia obrazu z naszéj przeszłości. Do takich prac nie tyle brak pracowników, ile brak organu, w którymby tego rodzaju prace drukować się mogły. Ks. Kujot uważa tedy Towarzystwo naukowe w Toruniu za najodpowiedniejszy do tego organ, twierdząc, że Towarzystwo toruńskie powinno się zająć tém, co leży poza sferą zadania Akademii. Członkowie Towarzystwa powinni zębrać z akt miejskich, familijnych, klasztornych i kościelnych zabytki i dokumenta, aby wykazać narodowościowe i językowe stosunki w ziemiach naszych i dopełnić w małém i ku stronie społecznéj, rodzinnéj tego, co w pracach Akademii w wielkich zarysach z dyplomatycznych stosunków i dokumentów ułoży się i zarysuje. Dr. Donimirski popiera myśl ks. Kujota, jako bardzo trafną i radzi systematycznie w tém postępować, robiąc propozycyą, aby zarząd obmyślił ku temu drogi i plan takiéj pracy złożył przyszłemu walnemu zebraniu. W interesie nauki dziejów naszych życzyć należy, aby pogląd ks. Kujoty, ujęty w ramy pewnego metodologicznego planu przy tego rodzaju publikacyach, wszedł jaknajprędzéj w życie, i dostarczył nam w przejrzystych rejestrach źródeł, które dotychczas chociaż niektóre po czasopismach drukowane, są dla nauki dziejów zupełnie stracone. Nie wątpimy o tém, że Towarzystwo naukowe toruńskie zrobi rzecz użyteczną i praktyczną.

— Gobeliny katedry krakowskiéj. Kiedy w Paryżu pp. Guiffrey, Müntz i Pinchart kończą rozpoczętą w r. 1878 wspaniałą publikacyą: *Histoire Générale de la Tapisserie*, a watykańskie tego rodzaju zabytki wydaje w Rzymie p. Gentili; ukazuje się i w Krakowie album pod tytułem *Gobeliny katedry na Wawelu*. Wydawca ks. J. Polkowski dał w niém 18 fotografii, *in folio* (roboty J. Kriegera), przedstawiających 8 gobelinów z scenami z historyi Jakóba Patryarchy, kilka z *Iliady*, nadto kilka z herbami biskupów Zadzika i Trzebickiego. Wydanie piękne, tylko w 25 egzemplarzach odbite.

Autor prostując błędne podania o pochodzeniu tych zabytków, powtarzane w opisach Krakowa, dowodzi, że gobeliny z scenami z dziejów Jakóba (z podpisem van Zevnen) są brukselskie, z daru biskupa Małachowskiego, jeden wyobrażający ofiarę Abla i dwa z herbem Korab, z przekazu biskupa Zadzika; inne z wyobrażeniami z *Iliady*, darowane kościołowi przez biskupa Gębickiego, wreszcie ostatnie z pejsażami, dał katedrze biskup Trzebicki.

Ma Wawel razem gobelinów 26, a więc jeszcze tyle, że ścian nie starczy na ich rozpięcie.

Uzupełnia ks. kan. Polkowski objaśnienia fotografii, wypisami z inwentarzów kapitulnych, dającemi wyobrażenie o bogactwach, jakie z téj kategoryi zabytków miała niegdyś katedra.

Jeśli nas wielce cieszy publikacya ks. kan. Polkowskiego, to nie mniejsza należy się wdzięczność jemu i kapitule za to, że te cenne zabytki są dziś zrestaurowane znacznym nakładem i pracą, a umieszczone bezpiecznie.

Gdy publikacyami, jak niniejsza, hipotekuje się niejako w pamięci narodu to, co jego skarbce posiadają; nasuwa się więc myśl, czy nie byłoby dobrze, aby wydawnictwo ks. Polkowskiego uważać za dopiéro zaczęte.

Nawet katedra, oprócz tych opon z herbami biskupów Trzebickiego i Zadzika, ma jeszcze ornat gobelinowy, sprawiony przez ks. biskupa Andrzeja Załuskiego, bardzo prawdopodobnie wykonany w owéj warszawskiéj fabryce (istniejącéj w połowie XVIII wieku), z któréj takież ornaty płocki kościół posiada.

Są gobeliny dla Polski robione za granicą, jak ów z herbami książąt Czetwertyńskich i Olizarów, będący w gabinecie archeologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, lub inny w Zakładzie Ossolińskich, przedstawiający *Bitwę pod Mozyrem* Michała ks. Radziwiłła z hajdamakami. Kościół św. Floryana w Krakowie ma gobelin z herbami Korycińskich, nie tak utrzymywany, jak wartością swoją na to zasługuje. Ten i inne, jakie były na wystawie starożytności, urządzonéj w Krakowie w r. 1858, opisuje Jan hr. Załuski w rozprawie swojéj o arrasach i gobelinach, ogłoszonéj w XXVII tomie *Rocznika Towarzystwa naukowego krakowskiego.*

Niemało tego rodzaju zabytków w kraju. Są w kościele N. M. Panny w Krakowie. Pyszny arras z XV wieku posiada kościół Ś. Katarzyny na Kazimierzu. Ma gobeliny katedra włocławska. Te, co były w katedrze lwowskiéj, posiadają podobno hr. Gołuchowscy w Skale. Są gobeliny w Willanowie, są w Gumniskach, w Kórniku, w Przeworsku; mają je hr. Potoccy, ks. Czartoryscy, hr. Mieroszowscy, Konopkowie, hr. Tarnowscy, Hallerowie, hr. Moszyńscy (stołki gobelinami obite), Chwalibogowie (w Grojcu), i zapewne innych wiele. Znajdą się może i tam, gdzie ich wartości nie znają.

Za granicą znalazłyby się także związek z nami mające. Niedawno czytałem w Brzozowskiego notatkach z podróży po Szwecyi (*Kronika Rodzinna*, 1878 r.), że w zamku Skokloster są jeszcze gobeliny (z r. 1645) z herbami polskiemi. Opisuje je Tyszkiewicz (*Listy o Szwecyi* t. I, str. 101).

O owych przesławnych gobelinach, zwanych „Potopem," począwszy od Stanisława Orzechowskiego pisano wiele; opowiadając, jak sprawione przez Zygmunta Augusta, zastawiane bywały w Rzymie, w Gdańsku i gdzieindziéj. Ciampi (*Viaggio in Polonia*, Firenze, 1831 r., str. 16) szuka ich w Dreznie. Cytaty wzmianek o tym utopionym „Potopie" są w A. Grabowskiego *Ojczystych wspominkach*

(t. I, str. 238). Pisał o nim E. Rastawiecki (w *Bibl. Warsz.* 1853 r., t. I, str. 134). Lucyan Siemieński na jedném z posiedzeń Akademii podnosił tę sprawę, wskazując konieczność szukania, gdzie się owe gobeliny podziały, a wróżąc możność ich znalezienia. Nie pomnę, w jakiém czasopiśmie drukował ś. p. Lucyan rozprawę swoję w tym przedmiocie.

Więc gdyby się o gobelinach u nas pisało, oprócz katalogów, wystaw i zbiorów, znajdzie się i w literaturze nieco o téj rzeczy. Cóż dopiéro w archiwach kościelnych, w których ks. kanonik Polkowski tak wybornie umie i chce poszukiwać?

Zebranie tedy materyału, rzecz dla wydawcy *Albumu gobelinów katedry krakowskiéj* bardzo łatwa; ależ... zarówno gobeliny, jak wydawnictwo illustrowanych o nich publikacyi, to kategorye luksusowe. Paryzkie wydanie, o którém wspomnieliśmy (jeszcze nie skończone) kosztuje około 150 złr., zaś na egzemplarz watykańskiego Albumu Gentillego, nałożył wydawca cenę 200 franków. Tak kosztowne są te edycye, chociaż rzymskie wydawnictwo popiera papież, a francuzkie pomaga sobie tém, że posiadacze gobelinów fotografowanych, w znacznéj części do kosztów nakładu się przyczyniają.

Jeśliby więc nie można było myśléć o dalszym ciągu publikacyi ks. Polkowskiego, to wykonanie spisu (rodzaju inwentarza czy katalogu) i opisu arrasów i gobelinów, jakie są w Polsce, i dla nas i dla zagranicy byłoby potrzebne. Bez tego nawet dzieło p. Guilffrey'a nie będzie zupełne, chociaż się pokusiło o dokładność. *Łepkowski.*

— Muzeum narodowe w Peszcie, otrzymało temi dniami w darze zabytek starożytny wielkiéj historycznéj wartości, pamiątkę po słynnym bohaterze, szablę króla polskiego Jana III. Szablę tę darowała muzeum węgierskiemu hrabina Teresa Erdödy-Raczyńska, ze zbiorów broni swego męża, byłego gubernatora w Fiume. Brzeszczot téj szabli kuty jest z prawdziwéj damasceńskiéj stali, ma kształ i rozmiary nadzwyczaj proporcyonalne i ozdobiony jest po obu stronach złotemi napisami, a mianowicie po jednéj: „Cave a falsis amicis, salvabo te ab inimicis," a po drugiéj: „Haec meta laborum." Przy jelcu na brzeszczocie znajduje się herb Sobieskich nabijany złotem. Jelec pospołu z obłąkiem zrobiony jest ze szczerego złota i odznacza się bardzo misterną ornamentacyą. Niezwykłą wartość dodaje rękojeści jéj główka rznięta z czystego kryształu, osypana 27 brylantami, z wizerunkiem króla na koniu. Drogocenny ten zabytek umieszczony będzie w muzeum węgierskiém w osobnéj szafie.

— Katedra kolońska, któréj kamień węgielny położono przed 632 laty, mianowicie 14 sierpnia 1248 roku, już jest obecnie w zupełności ukończona. Robotami kierował budowniczy téj świątyni, Voigtel z Kolonii. Dnia 14 sierpnia 1880 roku, o godzinie 10 rano, osadzono na wierzchołku olbrzymiéj wieży ostatni kamień wieńczący całe dzieło i wnet potém wywieszone na obu wieżach chorągwie, dały znać

o tém świątu. Dzienniki protestanckie, a nawet narodowo-liberalne, z wielką radością i dumą zwiastują ukończenie świątyni katolickiéj w Kolonii. W „dumnym jéj majestacie" widzą świadectwo „ofiarności i jedności Niemiec."

— Warszawski Instytut głuchoniemych i ociemniałych będzie mógł teraz rozwinąć obszerniéj swą działalność, dzięki utworzeniu oddziałów paralelnych, które otwarte zostały w domu po-augustyańskim przy ulicy Piwnéj. Zatwierdzona Najwyżéj instrukcya dla nich obejmuje następujące główne przepisy: oddziały paralelne przy warszawskim Instytucie głuchoniemych i ociemniałych, mają na celu zapewnienie głuchoniemym dzieciom rodziców, zamieszkałych w Warszawie, religijno-moralnego i rzemieślniczego wychowania. Przyjmują się do nich wyłącznie uczniowie i uczennice przychodni, według prawideł wskazanych dla Instytutu. Oddziały paralelne mają obejmować trzy niższe klasy. Wydatki coroczne na ich utrzymanie pokrywane będą: *a*) z płaconéj przez magistrat m. Warszawy sumy rs. 500; *b*) z takiéj sumy rs. 500 płaconéj przez radę miejską warszawskiéj Dobroczynności publicznéj, za wychowańców pochodzących ze szpitala Dzieciątka Jezus; *c*) z opłat od uczniów; *d*) z funduszów instytutu w rodzaju pomocy; wysokość zaś téj pomocy ma oznaczać kurator okręgu naukowego na wniosek komitetu gospodarczego tegoż Instytutu. Nauczycieli i nauczycielki oddziałów paralelnych mianuje, oraz wysokość płacy oznacza kurator okręgu naukowego warszawskiego na przedstawienie dyrektora Instytutu. Mają oni korzystać ze wszelkich praw i przywilejów służbowych, oraz z praw emerytalnych na równi z etatowymi nauczycielami warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych. Kwestye tyczące się oddziałów paralelnych roztrząsane będą na posiedzeniach rady pedagogicznéj Instytutu przy współudziale nauczycieli i nauczycielek oddziałów. Nauczycielem téj filii Instytutu mianowany został p. Michalski, dotychczasowy gorliwy i zdolny pedagog w Instytucie.

— Uroczystości na cześć Nordenskjöld'a, odbywane w Sztokholmie po powrocie śmiałego podróżnika z wyprawy, w któréj pierwszy opłynął ziemię przez Ocean Lodowaty i jego cieśniny, wywołały książkę polską, zawierającą opis owego niezwykłego święta. Książka pięknie odbita w Poznaniu drukiem J. I. Kraszewskiego (dr. Wł. Łebińskiego), nosi tytuł: W j a z d u r o c z y s t y i p r z y j ę c i e p r o f e s o r a N o r d e n s k j ö l d ' a w S z t o k h o l m i e. Autorem jéj jest Wawrzyniec hr. Benzelstjerna-Engeström, którego liczne prace od lat już dwudziestu zaznajomiają publiczność polską z literaturą i życiem półwyspu skandynawskiego. Książka obecna, odbita w bardzo szczupłéj liczbie egzemplarzy i niepuszczona w handel księgarski, zawiera wielce interesujący opis wszystkiego, co się działo wśród Szwedów, przejętych zapałem na widok tryumfalnego powrotu V e g i, wyzwolonéj z ośmiomiesięcznego więzienia wśród lodów u północnych brzegów Syberyi. Opis zaś saméj podróży, poczynionych w niéj odkryć naukowych, wycierpianych niezwykłych przygód i nareszcie od-

niesionego tryumfu, wkrótce ma się ukazać jednocześnie w oryginale szwedzkim Nordenskiölda, oraz w przekładach na najważniejsze języki europejskie. *Gazeta Warszawska*, podając powyższą relacyą donosi, że znakomity podróżnik proponuje przez pośrednictwo p. Engeströma przetłómaczenie jego dzieła także na język polski, aby wyjść mogło jednocześnie z oryginałem i innemi przekładami. Za prawo przekładu w warunkach wyjątkowych, prócz zwrotu kosztów, uczony. szwedzki nic nie wymaga, gotowe zaś klisze rycin ustępuje bajecznie tanio. W tak dogodnych warunkach powinnaby którakolwiek poważna firma księgarska polska, podjąć się ogłoszenia dzieła tak zaciekawiającego swą treścią, a więc i mogącego liczyć na pokup. (*Gaz. War.*).

— W końcu zeszłego miesiąca wyszło z druku dzieło pedagogiczne, głośnego filozofa angielskiego, w przekładzie polskim, Aleksandra Bain, prof. logiki przy uniwersytecie w Aberdeen, p. t.: *Nauka wychowania*, przekład z angielskiego, pomnożony rozdziałem: *O wykładzie języka polskiego*. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1880, str. IV i 568. Poważna ta praca zasługuje ze wszech miar na gruntowniejsze krytyczne sprawozdanie, którego *Biblioteka* nieomieszka czytelnikom swoim przedstawić.

— Ignacy Skrochowski wydał rozprawę pod tytułem: *O wiedzy ludzkiéj*; 1880 r.

— *Encyklopedyi wychowawczéj*, wydawanéj pod redakcyą J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przystańskiego i J. K. Plebańskiego, wyszedł z druku tomu pierwszego zeszyt trzeci i zawiera następujące artykuły: *Akademie sztuk pięknych* (dokończenie), A. Zaleskiego i W. G.; *Aleksandryjska szkoła katechetów*, przez J. K. P.; *Algebra*, przez Wł. G.; *Alkuin*, przez J. K. P.; *Ambicya*, przez J. O.; *Ameryka Północna*, przez E. St.; *Ameryka Południowa* (początek).

— W oddzielnéj odbitce z *Gazety sądowéj*, wydaną została rozprawa *O przymusowém i bezpłatném nauczaniu w szkołach początkowych*, zestawił (!) Stanisław Bełza; druk J. Noskowskiego, 1880, str. 47, w 12-ce. Czytamy tu nieco wiadomości o istniejących przepisach prawodawstwa o nauczaniu początkowém i pobieżny przegląd zdań kilku teoretyków o tak zwanym przymusie szkolnym. Autor przemawia bardzo gorąco za przepisaniem przez władzę państwową obowiązku powszechnego posyłania dzieci do szkoły, opierając ten obowiązek na ogólnych zasadach prawa i stanowisku państwa. Krytyka autora przeciwnych w téj sprawie poglądów jest za słaba, bo autor nie ogarnął wszechstronnie sprawy tak ogólnego znaczenia: stosunek szkoły do Kościoła, do państwa i do gminy nie jest dokładnie wyłożony; a w tém mieszczą się właśnie najważniejsze trudności w rozwiązywaniu téj kwestyi. Stanowisko Bluntschli'ego uznającego opiekuńczy stosunek państwa do obywateli w sferach interesów kościelnych i szkolnych, nie da ściśle się utrzymać w powszednim biegu interesów; a w dalszéj konsekwencyi obarczyłoby państwo tak uciążliwemi obowiązkami, żeby się nigdy z nich wywiązać nie mogło. Słusznie zauważyła także *Gazeta*

Polska, że żądanie autora obok przymusowego, zarazem płatnego nauczania, nie da się w praktyce pogodzić z powszechnym obowiązkiem nauczania.

— Dowiadujemy się, że na wzór *Wiadomości archeologicznych*, których poszytów kilka wyszło, mają wyjść *Wiadomości z historyi naturalnéj*, zawierające prace naszych naturalistów, a mianowicie Cientkowskiego, Dybowskiego, Taczanowskiego, Strasburgera, Sznabla i i. Wydanie tego zbioru da uczonym naszym możność w krajowéj publikacyi ogłosić poważne prace swoje, nie rozpraszając ich po pismach zagranicznych, nie zawsze dla nas dostępnych.

— W ostatnich dniach bieżącego miesiąca wyszło zapowiadane już od niejakiego czasu dzieło prof. Józefa Szujskiego p. t.: *Historyi polskiéj, treściwie opowiedzianéj, ksiąg dwanaście.* Warszawa, druk J. Bergera, 1880, 8 w., str. VI, 429. Sama opowieść kończy się na str. 384; resztę zawiera dodatek, poświęcony *Źródłoznawstwu historyi polskiéj*, gdzie czytelnik znajdzie wskazane źródła i krytyczne prace historyczne, dziejom polskim poświęcone.

Książka prof. Szujskiego zasługuje na gruntowny rozbiór. Tymczasem nadmieniamy, że według słów autora przeznaczoną jest, aby młodzieży i światłéj publiczności dać zbiór najważniejszych, przedmiotowo traktowanych faktów historyi polskiéj. Nie jest ona popularną w zwyczajném tego słowa znaczeniu, bo nigdzie nie liczy się z pedagogicznemi i dydaktycznemi względami, przemawia tym samym językiem, którymby ściśle naukowa książka przemawiała, wszakże nie opatrzona aparatem przypisów objaśniających, do naukowości nie może rościć pretensyi. Powstała z prelekcyi, mających na celu podanie krótkiego historyi polskiéj zarysu, w niejedném zapewne nie wyczerpuje ostatnich badań; dla samego téż względu na krótkość, nie zapuszcza się w żadną prawie polemikę: natomiast tu i owdzie stawia rzeczy nowe, które gdzieindziéj w osobnych rozprawach, lub, gdy siły pozwolą, w wznowioném obszerniejszém wydaniu *Dziejów Polski*, usprawiedliwić przyjdzie."

— *Biblioteki umiejętności prawnych* wyszedł zeszyt 46-ty, zawierający dalszy ciąg dzieła p. t.: *Wykład prawa administracyjnego, obowiązującego w Królestwie Polskiém.*

— W tych dniach opuściła w Poznaniu prasę: *Gramatyka języka sanskryckiego*, Fr. Boppa, opracowana przez ks. Fr. Ks. Malinowskiego.

— Świeżo ukazały się z druku *Wypisy polskie*, dla szkół męzkich i żeńskich (część średnia), ułożone przez p. Stanisława Gargulskiego.

— Dzieła Lucyana Siemieńskiego mają być wydane nakładem p. Gracyana Ungra, pod kierunkiem profesorów: Józefa Szujskiego i Stanisława Tarnowskiego.

— Z wydawnictwa p. E. Orzeszkowéj i S-ki, opuściła prasę 2-ga książka, mianowicie Edwarda Lubowskiego: *Sąd honorowy*, komedya w 5-ciu aktach. Wilno, 1880.

— Ludomira Szczerbowicza-Wieczór: *Dziejów starożytnych* wyszedł tom II, zawierający w sobie historyą Grecyi.

— Księgarnia Teodora Paprockiego wydała powieść pod tyt.: *Dziewiąta fala* Grzegorza Danilewskiego, tłómaczona z języka rosyjskiego na polski przez Józefa z Sieniawy. Warszawa, 1880, t. III.

— Andrzej Podbereski wydał książkę p. t.: *Materyały do demonologii ludu ukraińskiego*, któréj tło stanowią opowiadania ludowe w powiecie czechryńskim.

— W oddzielnéj odbitce z *Nowin*, ukazała się nowela Władysława Okońskiego (Aleksandra Świętochowskiego) p. t.: *Klemens Boruta*. Tegoż samego autora dwa odczyty: *O epikureizmie*, wyszły w oddzielnéj broszurze.

— Dr. Floryan Krassowski wydał broszurę p. t.: *Istota cholery azyatyckiéj i pospolite jéj leczenie*. Warszawa, 1880 r.

— W bieżącym miesiącu wydał p. A. Hempel broszurę pod tyt.: *Rozkład kosztów na budowę, lub reparacyą zabudowań kościelnych i kościołów, sporządzony na mocy informacyi, zatwierdzonéj przez radę administracyjną w dniu 27 marca r. 1863, z dołączeniem objaśniających wzorów, wobec zmian, zaszłych w Królestwie od r. 1864.* Warszawa, 1880 r.

— Redakcya *Tygodnika rolniczego* wydała pierwszą część zapowiedzianéj *Księgi stad*, traktującą *O owcach*. W dalszym zaś ciągu ukaże się niebawem część trzecia *O bydle*. Z powodu trudności technicznych wyjdzie część druga, traktująca *O koniach*, cokolwiek późniéj.

— Wyszło drugie, znacznie powiększone wydanie czterotomowego dzieła d ra A. J. p. t.: *Zameczki podolskie na kresach multańskich*. Warszawa, 1880.

— W ostatnich dniach bieżącego miesiąca wyszło w Poznaniu, nakładem Jana Konst. Żupańskiego dzieło w języku niemieckim p. t.: *Geschichte d. polnischen Dichtkunst in der ersten Haelfte des laufenden Jahrhunderts von Dr. Adalbert Cybulski, weiland Prof. an d. Universitaet Berlin*, 1880 r., t. 2. Są to prelekcye, które ś. p. Cybulski wykładał na uniwersytecie Berlińskim, w przeciągu dwu lat akademickich, mianowicie 1842/3 i 1844/5. W przedmowie, napisanéj przez p. L. Kurtzmanna, znanego tłómacza poetów naszych, mamy relacyą o tém, w jaki sposób z konceptu prof. Cybulskiego i z różnych notatek słuchaczów całość tę ułożono.

— Profesor uniwersytetu Warszawskiego Józef Perwolf, Czech, zamieścił w *Czasopiśmie Muzeum Czeskiego* nader ciekawy wykaz i krótkie streszczenie źródeł do dziejów czeskich XV i XVI-go stulecia, o ile wypadki owych czasów były w związku z dziejami polskiemi. Wiadomości swe, tyczące się stosunków Czechów z Polakami w ogóle, a zwłaszcza używania języka czeskiego w Polsce, czerpał p. Perwolf, jak do-

nosi *Gazeta Warszawska*, przeważnie w archiwum głównem warszawskiém, tak w dokumentach odosobnionych, jak w Metryce koronnéj i litewskiéj, księgach wojskowych i t. p. Prócz tego znalazł też piszący nieco materyału w bibliotece Ordynacyi Krasińskich, w zbiorach po Podczaszyńskim, w aktach wydawanych przez komisyę archeologiczną w Petersburgu, w zbiorach Muzeum czeskiego i w wydawnictwach materyałów do dziejów Szlązka. Piszący o zaciągach czeskich w wojsku polskiém, o losach hussytyzmu w Polsce, o wpływie czeszczyzny na język polski i t. p. będzie miał znaczną pomoc w tym rejestrze dokumentów.

— W Pradze Czeskiéj wydaje księgarz Urbanek, redagowane przez siebie bardzo pożyteczne pismo bibliograficzne p. t.: *Viestnik Bibliograficky* (Goniec bibliograficzny), zawierający doniesienia o nowych książkach i przedsięwzięciach literackich w granicach całéj Słowiańszczyzny, a przedewszystkiém w Czechach. Z przekładów z polskiego języka na czeski znajdujemy: *Wybór poezyi Zyg. Krasińskiego*, przełożył Fr. Kvapil i wydał w *Bibliotece salonnéj* (salonowéj); M. Bałuckiego: *Z księgi wspomnień* podaje F. Zakortelsky w czasopiśmie *Ohlas od Nežarky;* Sewera nowelę: *Jedna noc w Londynie* zamieszcza *Otavan* w przekładzie Ernesta Schwab-Polabskiego; Wł. Ordona: *Ktoby to powiedział* zamieszczają *Brandyskie Nowiny*, także w przekładzie Polabskiego; *Zaklęte jezioro*, obrazek ukraiński St. Grudzińskiego przekłada F. A. Hora w *Pilzeńskich listach;* próby z pisma zbiorowego *Ziarno* podaje przełożone L. L. Nowakovsky (L. C. Fricz) w *Krkonoszu.* Prócz tego zapowiedziane są dalsze jeszcze tłómaczenia prac Bałuckiego, Asnyka i i.

— Do jakiego stopnia dochodzi rozdrażnienie przeciwko żydom w Niemczech, dowodzi ten fakt nader znaczący, że w gmachu uniwersyteckim w Lipsku przylepiono niedawno odezwę studencką, wzywającą akademików do podpisywania petycyi do ministra oświecenia, domagającéj się wydalenia z uniwersytetu wszystkich profesorów-docentów żydów, których nazywa cudzoziemcami, nie należącymi do narodowości niemieckiéj. Fakt ten może dotykalnie przekonać nowoczesnych liberałów niemieckich, że broń kosmopolitycznego bezwyznaniowego liberalizmu jest obosieczna, i że niebezpiecznie jest nią wojować.

— W Paryżu wyszły z druku listy Nordenskiöld'a (wymaw. Norrdenschöld), przedstawiające w formie naukowéj relacyi ważniejsze ustępy z dziejów głośnéj żeglugi po morzu Lodowatém p. t.: „Lettres de Nordenskiöld racontant son expedition à la découvert du passage nord-est du pole nord 1878/79. Avec une préface par M. Daubrée, Paris, 1880.

Temu samemu przedmiotowi poświęcono inne dziełko daleko krótsze, ale pod względem naukowym systematyczniejsze p. t.: „Nordenskiöld, Notice sur sa vie et ses voyages, par Flahault." Paris, 1880 r.

Niejako za wstęp do gruntowniejszéj naukowéj relacyi o téj wyprawie po morzu Lodowatém północném można uważać następujące dzieło szwedzkie w tłómaczeniu niemieckiém: „A. E. Freiherr von Nordenskiöld und seine Entdeckungsreisen 1878/79 nebst einer kurzen Lebensbeschreibung des Chefs der „Vega" Capitän Louis Palander von T. M. Fries, prof. an d. uniw. Upsala deutsch. v. Gottfried von Leinburg. Lipsk, 1880 r.

„Die Nordpolarreisen Adolf Erik Nordenskiölds 1858—1879 r." Tłómaczone z angielskiego na język niemiecki, z 44 drzeworytami i 4 litografowanemi kartami w tekscie. Lipsk u Brockhausa, 1880 r. Dzieło to przedstawia nam wszystkie podróże Nordenskiölda do bieguna północnego i daje dosyć szczegółową jednolitą relacyą o najsławniejszéj ostatniéj Nordenskiölda wyprawie, unaoczniając szczegóły licznemi illustracyami.

Nekrologia.

† Ś. p. ***Tytus Szczeniowski*** zakończył życie w Winnicy na Podolu, w wieku lat 73. Zmarły pochodził z dawnéj a dobrze krajowi zasłużonéj rodziny. Dziad jego, Onufry Szczeniowski, starosta trachtamirowski, posłując z Bracławskiego na sejmie czteroletnim, odznaczył się gorliwością i prawością obywatelską, a następnie jako dozorca honorowy gimnazyum podolskiego w Winnicy, od czasu jego założenia (roku 1816) do roku 1829, nie małe zasługi na polu oświaty krajowéj położył. I ś. p. Tytus, idąc śladami swojego dziada, w miarę możności i wymagań czasu, poświęcał się dla kraju. Imię jego zasłynęło przed laty w piśmienictwie naszém, jako myśliciela i humorysty. Z dzieł jego na bliższą uwagę zasługują: *Przygotowanie do nauki dziejów powszechnych i historyi* (Wilno, 1842), oraz pełen werwy i żywego dowcipu utwór humorystyczny: *Bigos hultajski* (2 t., Wilno, 1844), wydany pod pseudonimem Blepońskiego. Pod koniec żywota oddawszy się zatrudnieniom gospodarza wiejskiego, pomimo pracy i umiarkowanego życia, przez dziwne powikłanie wypadków, nie był w możności zachować spuścizny ojców, którą tak cenił, co ostatek dni nieszczęśliwego starca zatruło.

Pokój téj zacnéj a zbolałéj duszy!

† Ś. p. ***Hipolit Skimborowicz***, dnia 30 lipca zmarł prawie nagle w Willanowie, pod Warszawą, bawiący tam na letniém mieszkaniu, znany i dobrze zasłużony na niwie piśmiennictwa krajowego pracownik, o którego życiu i działalności literackiéj obowiązkiem jest naszym podać tu choć treściwe wspomnienie.

Ś. p. Hipolit urodził się r. 1815 w Żytomierzu, z ojca Teodora Skimborowicza, zdolnego pedagoga, organizatora szkół Niemirowskich i Międzybozkich na Podolu, w których też pod jego kierownictwem pierwotne wychowanie odebrał. Na wyższe kursa naukowe udał się do liceum krzemienieckiego, lecz trafił nieszczęśliwie już przed samém jego zamknięciem i przenieść się musiał do Wilna, postanowiwszy wejść na wydział lekarski, który sam jeden, obok Akademii duchownéj, z dawnego uniwersytetu pozostał. Medycyna wszakże nie mogła zaspokoić jego pragnienia, które go w inną stronę ciągnęło; wkrótce więc jéj zaniechał, a natomiast zaczął uczęszczać na wykłady historyi i literatury do Akademii duchownéj, z których korzystał aż do roku 1837.

W r. 1837 przeniósł się na stały pobyt do Warszawy, gdzie z zapałem młodzieńczym zabrawszy się do pracy na polu dziennikarskiém, objął po Zielińskim redakcyą Gazety Porannéj z Pismem dodatkowém, treści literackiéj, która w r. 1841 krótkotrwały żywot swój zakończyła; jednocześnie zaś uczestniczył w wydawanym przez Budułowicza Przeglądzie Warszawskim, który podobnież przestał istnieć w r. 1841. Nie lepiéj wiodło mu się i z Czasem, założonym przezeń na własną rękę po upadku Gazety, ani też z Piśmiennictwem krajowém, które dwa lata tylko utrzymać się zdołało.

Nie zrażony jednak smutnemi zawodami, ani stratą materyalną, a ufny w siły młodych, utalentowanych pisarzy, z których sam niejednego pobudził i zachęcił do pióra, Skimborowicz poraz trzeci szczęścia sprobował i z Edwardem Dembowskim, w którym znalazł dzielnego pomocnika, trzecie z kolei czasopismo założył. A był to Przegląd Naukowy, który w dość krótkim czasie pozyskał wielką wziętość, zwłaszcza między młodzieżą, garnącą się pod rozwinięty przezeń sztandar postępu, i rzec można, iż ukazaniem się swojém epokę w dziejach czasopiśmiennictwa warszawskiego zaznaczył. Wszyscy prawie najzdolniejsi pisarze owocześni warszawscy brali czynny w nim udział, a w ich liczbie nieporównana Gabryela (Żmichowska), Majorkiewicz, Cypryan Norwid, Włodzimierz Wolski i Roman Zmorski, z zamiejscowych zaś Libelt i Kraszewski. Dembowski propagował tu filozofią Hegla i prowadził krytykę literacką, w któréj mu Skimborowicz, pod pseudonimem Wróblewskiego, dopomagał ostrém i pełném werwy piórem.

Po zwinięciu Przeglądu w r. 1848, Skimborowicz właściwie już na zawsze zawód redaktorski porzucił, bo ani Kalendarz popularny (od r. 1846—52), ani Album malownicze (1849), ani też Księga świata (od 1859—1863), któremi po kolei kierował, nie były odpowiedniém polem dla niego; nie przestał wszakże na polu dziennikarskiém pracować, kiedy niekiedy zasilając artykułami swemi Gazetę Warszawską, Codzienną, późniéj Polską, Kuryer Codzienny, Bluszcz, Tygodnik Illu-

strowany i Kłosy. Oprócz tego napisał i ogłosił: Wspomnienie z życia Jędrzeja Śniadeckiego (1840); Małżeństwo dni piętnastu (powieść, 1844); Upominek toaletowy (kalendarzyk, 1845); Przewodnik dla zwiedzających Częstochowę (1847); Wybór rozrywek dla różnego wieku płci obojéj, z wzorowych pisarzy polskich (1853); Żywot i prace Jana Heweliusza (1860); Specimen photograficum titulorum, quos habent Biblia (Zbiór odbić fotograficznych, kart tytułowych, trzynastu najrzadszych bibłii polskich, 1865); Żywot, skon i nauka Jakóba Józefa Franka (1866); Magdalena (Nina) Łuszczewska (1869); O Mikołaju Koperniku (1873) i w końcu Album Willanowskie, do którego cały tekst opracował. Ostatni utwór jego drukuje się obecnie w Bluszczu p. t.: Gabryela i entuzyasta, przez Sfinksa.

Nie na tém wszakże koniec pracy i zasługi Skimborowicza: rozmiłowany w dziejach, literaturze i sztuce ojczystéj, oddając się badaniu zabytków piśmienniczych, artystycznych, a od roku 1863, przez lat kilka będąc jednym z bibliotekarzy Biblioteki głównéj, nabył wielkiego znawstwa w tym zakresie, nagromadził skarby szacowne do bibliografii polskiéj i rytownictwa, zebrał omal nie wszystkie czasopisma krajowe, poczynając od najdawniejszych i około 20,000 rycin, jakoteż wiele rzadkich autografów i pamiątek po mężach znakomitych, oraz insygniów masońskich, i przygotował zapas materyałów bogaty do Słownika biograficznego pisarzy i artystów i do Historyi mówców polskich. Nadto zaś pozostawił w rękopisie pamiętnik p. t.: Salony warszawskie.

W końcu powinniśmy zaznaczyć, że nieboszczyk był jednym z najczynniejszych członków Towarzystwa zachęty sztuk pięknych od czasów jego założenia, w którém najgorliwszy brał udział, a na Cmentarzu Powązkowskim, gdzie dnia 1 sierpnia jego zwłoki spoczęły, położył swém staraniem i kosztem kamień grobowy dla uczczenia pamięci Malczewskiego.

Od roku 1873 aż do śmierci, był ś. p. Skimborowicz nauczycielem języka i literatury polskiéj w IV gimazyum warszawskiém; zawód wszakże pedagogiczny nie zgadzał się z jego usposobieniem i fakt ten notujemy tylko dla ścisłości biograficznéj. I bez tego jednakże dosyć zasług położył, ażeby imię jego przeszło do pamięci potomnych.

Od Redakcyi.

Pan Feliks Jezierski, dotychczasowy Redaktor Biblioteki Warszawskiéj, na skutek własnego żądania uwolnił się od obowiązków. W miejsce jego obranym został Redaktorem odpowiedzialnym Biblioteki Warszawskiéj Józef Kazimierz Plebański, który zatwierdzenie władzy otrzymał dnia 19 (31) lipca r. b.



Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **J. K. Plebański.**

Wydawca *Józef Berger.*

Druk J. Bergera,
w Warszawie, Elektoralna Nr. 14.

Дозволено Цензурою
Варшава, 18 Августа 1880 года.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM,

Z R. 1880.

—

stron.

Filozofia.

O honorze średniowiecznym. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. 1
Psychologia w Anglii i w Niemczech (ozęść I. La psychologie anglaise contemporaine par Th. Ribot. Paris, 1875). 353

Historya.

Obraz historyczny cywilizacyi społeczeństwa polskiego w wieku XII. Przez Stanisława Smolkę. 173, 386
O kwestyi religijnéj w Prusiech (ustęp z historyi współczesnéj). Przez L. Ż. 444

Literatura i sztuki piękne.

Od szkolnéj ławy. Opowiadanie z lat 1798—1813. Przez Kajetana Kraszewskiego (Dokończenie). 32
Luiz Camoens i jego dzieło. (Notatka biograficzno-literacka). Przez Kazimierza Kaszewskiego. 203
Siostra miłosierdzia. Powieść Emila Castelara, tłómaczona z hiszpańskiego przez A. Gorajską. 241, 418
Rrzut oka na rozwój sztuki w ogólności, na jéj dzieje i stan obecny u nas. Przez Karola Matuszewskiego. 373

stron.

Kilka słów z powodu znalezionego we Francyi pomnika Jana Sobieskiego. Przez Józefa Łoskiego. 453

Ekonomia.

O wystawie koni, odbytéj w Warszawie w miesiącu czerwcu. Przez Stanisława Rewieńskiego. 467

Językoznawstwo.

Psałterz Puławski. Z Kodeksu pergaminowego księcia Władysława Czartoryskiego, przedruk homograficzny wykonali Adam i Stanisław Pilińscy. Nakładem Biblioteki Kórnickiéj, 1880. Przez Józefa Przyborowskiego. 141

Rozbiory krytyczne.

Pieśni Bułgarów macedońskich w Rodopie, zebrane przez Stefana Werkowicza. Przez Bronisława Grabowskiego. 61

Książka jubileuszowa dla uczczenia pięćdziesięcioletniéj działalności literackiéj J. I. Kraszewskiego. (Dokończenie) 93

Złota księga szlachty polskiéj. Przez Teodora Żychlińskiego. Rocznik drugi. Poznań, 1880 r. Przez A. Bonieckiego. . . . 152

Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego. Przez d-ra Antoniego Małeckiego. Lwów, 1879 r. 2 tomy. Przez Ad. Ant. Kryńskiego. 311, 483

Archiwum spraw zagranicznych francuzkie do dziejów Jana III. Tom I, opracował dr. Kazimierz Waliszewski. Kraków. 1879. Przez A. Tyszyńskiego. 327

Iris. Dichterstimmen aus Polon von Heinrich Nitschmann. Lipsk. 1880 (Iris. „Głosy poetów polskich"). Przez Aleksandra Kraushara. 473

Lettre sur l'enseignement des Beaux Arts. Par Henry Havard. Paris, 1879. Przez W. G. 481

KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich. 123

Trzechsetletni jubileusz Camoensa w Paryżu.—Salon literacki pani Julietty Adam (Lamber).—Powieść *Greczynka*. Dramat *Galatea*. —Rozprawa o literaturze naturalistycznéj.—*Chrzestny syn śmierci*, poemat p. Bouchard, ze staréj baśni lotaryńskiéj.—Dzieło p. d'Arbois Jubainville o społecznéj organizacyi w Irlandyi, w początkach ery naszéj.—*Dwie maski*, historya sztuki dramatycznéj. *Teatr grecki*, przez Pawła de St. Victor.—*Historya*

stron.

Stanów Zjednoczonych Ameryki, przez Fryderyka Nolte.—*Dykcyonarz dawnego języka francuzkiego* p. Godefroy.—*Studya krytyczne nad historyą i literaturą francuzką*, p. Brunettiere.—Turysta niemiecki w Paryżu. 276
Kronika poznańska 78

Korrespondencya.

Z powodu przewodnika heraldycznego Ad. Amilkara Kosińskiego. Przez Kazimierza hr. Stadnickiego. 140
Zjazd historyczny imienia Długosza w Krakowie, w dniach 18—21 maja 1880 r. Przez J. I. Kraszewskiego. 299

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK. I ART. 161, 345, 500

Nekrologia. 509

Od Redakcyi.

Przypomnienie o zadaniach konkursowych 172
Doniesienie o zmianie Redaktora głównego 512

